



STEPHEN
KING

POD KOPUŁĄ

Prószyński i S-ka

STEPHEN

KING

POD KOPUŁĄ

Przełożyli

Agnieszka Barbara Ciepłowska i Tomasz Wilusz

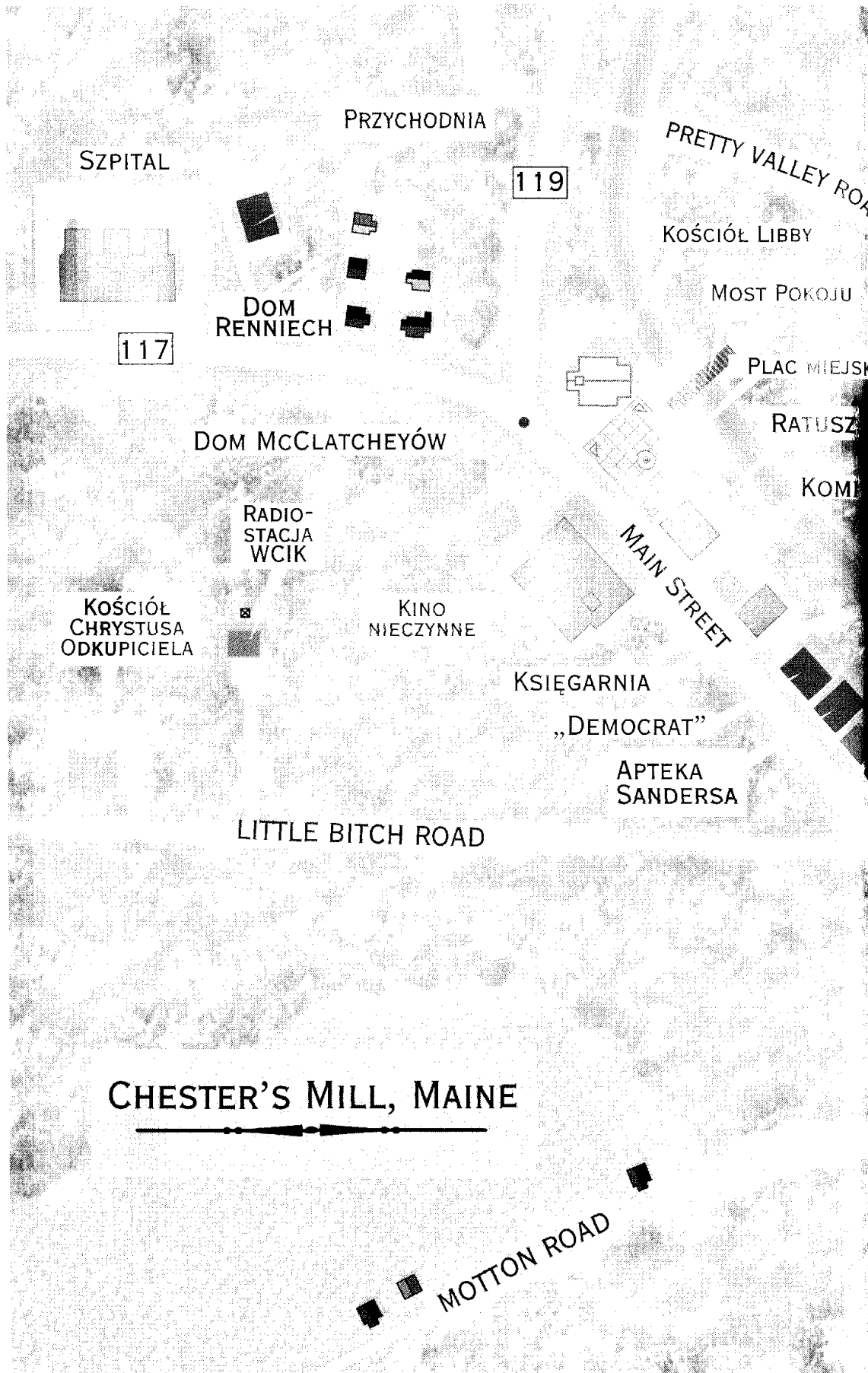
Tytuł oryginału: UNDER THE DOME

Pamięci Surendry Dahyabhaia Patela.

Brakuje nam Ciebie, przyjacielu

Kogo szukasz?
Jak się nazywa?
Pewnie go znajdziesz
Na boisku
Miasto nie jest wielkie
Łapiesz, w czym rzecz?
Miasto nie jest wielkie, kotku
I wszyscy gramy razem

JAMES McMURTRY



SZPITAL

PRZYCHODNIA

119

PRETTY VALLEY ROAD

KOŚCIÓŁ LIBBY

MOST POKOJU

117

DOM RENNIECH

PLAC MIEJSKI

DOM MCCLATCHEYÓW

RATUSZ

KOMI

RADIO-STACJA WCIK

MAIN STREET

KOŚCIÓŁ CHRYSZTUSA ODKUPICIELA

KINO NIECZYNNNE

KSIĘGARNIA

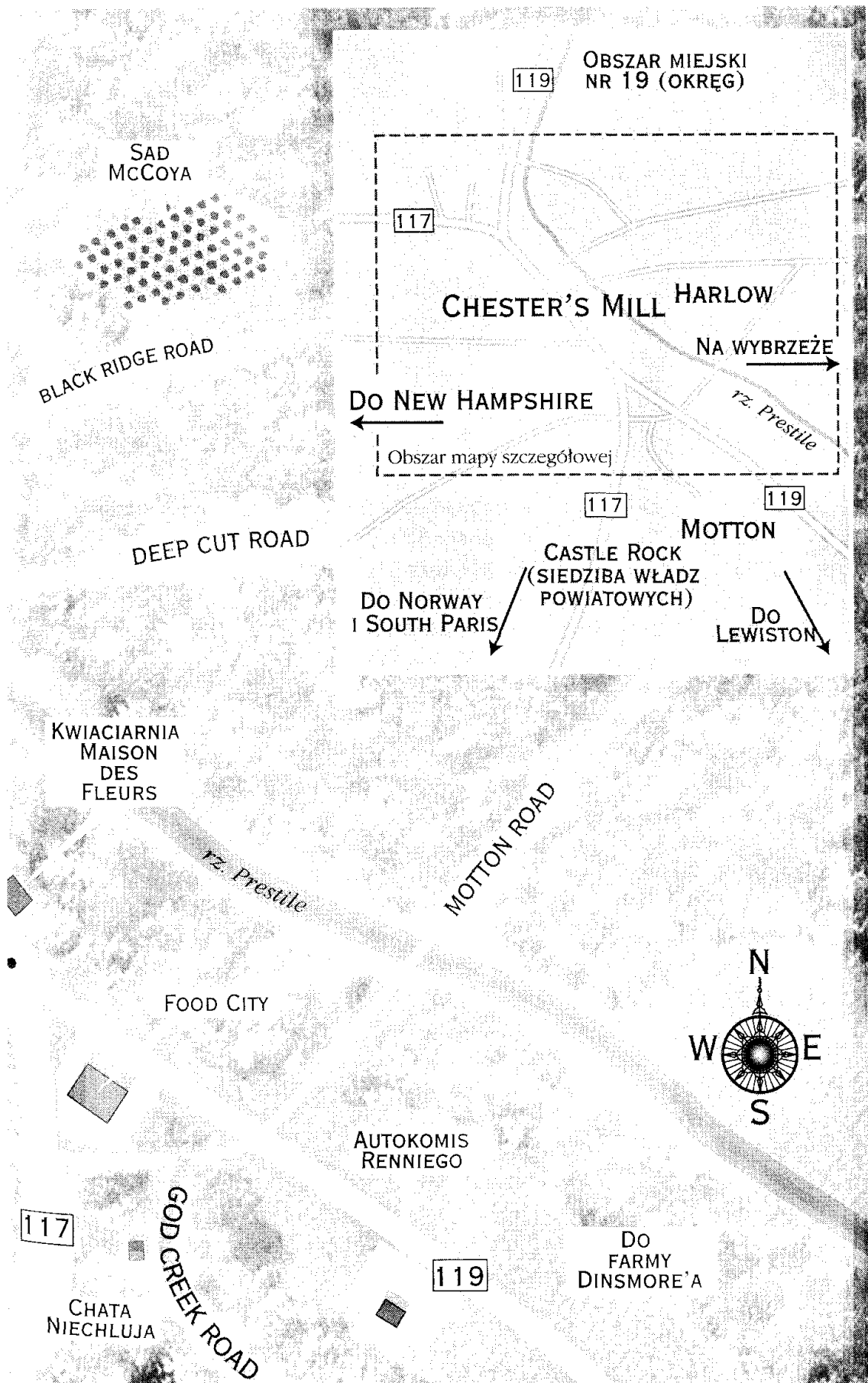
„DEMOCRAT”

APTEKA SANDERSA

LITTLE BITCH ROAD

CHESTER'S MILL, MAINE

MOTTON ROAD



NIKTÓRZY SPOŚRÓD OBECNYCH W CHESTER'S MILL W DNIU POWSTANIA KLOSZA

WŁADZE MIASTA

Andy Sanders - przewodniczący Rady Miejskiej
Jim Rennie - zastępca przewodniczącego Rady Miejskiej
Andrea Grinnell - członkini Rady Miejskiej

PRACOWNICY RESTAURACJI SWEETBRAIR ROSE

Rose Twitchell - właścicielka
Dale Barbara - kucharz
Anson Wheeler - pomywacz
Angie McCain - kelnerka
Dodee Sanders - kelnerka

POLICJA

Howard Perkins, Duke - komendant
Peter Randolph - zastępca komendanta
Marty Arsenault - funkcjonariusz policji
Freddy Denton - funkcjonariusz
George Frederick - funkcjonariusz
Rupert Libby - funkcjonariusz
Toby Whelan - funkcjonariusz
Jackie Wettington - funkcjonariuszka
Linda Everett - funkcjonariuszka
Stacey Moggin - funkcjonariuszka, obsługa radiostacji
Junior Rennie - funkcjonariusz policji kryzysowej
Georgia Roux - funkcjonariuszka policji kryzysowej
Frank DeLesseps - funkcjonariusz policji kryzysowej
Melvin Searles - funkcjonariusz policji kryzysowej
Carter Thibodeau - funkcjonariusz policji kryzysowej

OPIEKA DUCHOWA

Lester Coggings - wielebny Kościoła Chrystusa Odkupiciela
Piper Libby - wielebna Pierwszego Kościoła Kongregacyjnego

PERSONEL MEDYCZNY

Ron Haskell - lekarz Eric Everett,
Ryży - asystent medyczny
Ginny Tomlinson - pielęgniarka
Dougie Twitchell, Twitch - pielęgniarz
Gina Buffalino - pielęgniarka ochotniczka
Harriet Bigelow - pielęgniarka ochotniczka

DZIECIAKI Z MIASTA

Joe McClatchey, Chudzielec
Norrie Calvert Benny Drake, Brzytwa
Judy i Janelle Everest
Ollie i Rory Dinsmore

ISTOTNIEJSI MIESZKAŃCY MIASTA

Tommy i Willow Anderson - właściciele Karczmy Dippera
Stewart i Fernald Bowie - właściciele zakładu pogrzebowego
Joe Boxer - stomatolog
Romeo Burpee - właściciel sklepu wielobranżowego
Phil Bushey, Kucharz
Samantha Bushey - jego żona
Jack Cale - kierownik supermarketu Food City
Ernie Calvert - kierownik supermarketu Food City (emerytowany)
Johnny Carver - kierownik stacji benzynowej Mill Gas & Grocery
Alden Dinsmore - farmer, mleczarz
Roger Killian - właściciel kurzej farmy
Lissa Jamieson - bibliotekarka
Claire McClatchey - mama Joego Chudzielca
Alva Drake - mama Benny'ego
Charles Norman, Gruby - handlarz antykami
Brenda Perkins - żona komendanta Perkinsa
Julia Shumway - właścicielka i redaktorka lokalnej gazety
Tony Guay - dziennikarz sportowy
Pete Freeman - fotograf prasowy
Sam Verdreaux, Niechluj - pijaczyna

OSOBY SPOZA MIASTA

Alice i Aidan Appleton - sieroteni z powodu klosza

Thurston Marshall - człowiek pióra z uzdolnieniami medycznymi

Carolyn Sturges - absolwentka uczelni

Psy

Horace - pies Julii Shumway

Clover - suka Piper Libby

Audrey - suka Everettów

SAMOLOT I ŚWISTAK

1

Z wysokości sześciuset metrów, gdzie Claudette Sanders brała lekcję latania, miasteczko Chester's Mill połyskiwało w porannym świetle jak świeżo powstała i dopiero co ustawiona makieta. Samochody toczyły się po Main Street, odbijając promienie słońca, iglica kościoła kongregacyjnego wydawała się dość ostra, by przekłuć niebo bez jednej chmurki. Seneca V leciała nad rzeką, razem z nią przecinając miasto po przekątnej.

- Chuck, chyba widzę dwóch chłopców przy moście! Łowią ryby! - Claudette zaśmiała się uszczęśliwiona.

Naukę latania zafundował jej mąż, przewodniczący Rady Miejskiej. Andy całkowicie zgadzał się z twierdzeniem, że gdyby Bóg chciał, aby człowiek latał, toby mu dał skrzydła, lecz łatwo ulegał perswazji, więc Claudette w końcu dostała, czego chciała. Zachwycała się nowym doznaniem od pierwszej chwili. Nie była to zwykła radość, lecz prawdziwe szczęście. Dziś wreszcie rozumiała, dlaczego latanie jest świetne. Dlaczego jest fantastyczne.

Chuck Thompson, instruktor, musnął wolant i wskazał panel kontrolny.

- Wierzę, wierzę. Ale mimo wszystko uważaj, co robisz, dobrze?

- Jasne, przepraszam. - Nie ma za co.

Uczył latania od wielu lat, lubił takich zapaleńców jak Claudie, zafascynowanych nowością. Andy Sanders niedługo pewnie wyda okrągłą sumkę, bo jego żona pokochała senecę i stwierdziła, że chce mieć taki samolocik na własność. Taki sam, tylko nowszy. Co oznaczało wydatek około miliona dolarów. Claudie Sanders nie była rozwydrzona, ale niezaprzeczalnie miała kosztowne zachcianki, które Andy, prawdziwy szczęściarz, najwyraźniej zaspokajał bez trudu.

Chuck lubił też dni takie jak dzisiaj: widoczność nieograniczona, zero wiatru, doskonałe warunki do nauki. Seneca lekko zakołysała się dopiero wtedy, gdy Claudie przesadziła z korektą.

- Niepotrzebnie się spięłaś - powiedział. - Przejdź na jeden dwadzieścia. Ustaw się nad sto dziewiętnastą i zjeżdż na trzysta metrów.

Uczennica wykonała polecenia, samolot znów leciał idealnie równo. Chuck pozwolił sobie na chwilę relaksu.

Przelecieli nad autokomisem Jima Renniego i zostawili miasto za sobą. Po obu

stronach szosy numer sto dziewiętnaście rozciągały się pola, drzewa płonęły intensywnymi barwami jesieni. Cień w kształcie krzyża sunął po asfalcie, jedno z ciemnych skrzydeł musnęło małego jak mrówka człowieka z plecakiem. Człowiek ten spojrział w górę i pomachał ręką, a Chuck odpowiedział mu tym samym, choć wiedział, że tamten tego nie zobaczy.

- Jasny szlag, ale rewelacja! - zaśmiała się Claudie. Chuck jej zawtórował.

Zostało im czterdzieści sekund życia.

2

Świstak dążył swoją drogą wzdłuż szosy sto dziewiętnaście, w stronę Chester's Mill. Miasto było oddalone jeszcze dobre dwa kilometry, nawet komis Jima Renniego jawił się tylko jako rzędy słonecznych błysków ustawionych równo w miejscu, gdzie droga skręcała w lewo. Świstak planował - o ile można powiedzieć, że świstak coś planuje - już dawno temu zawrócić do lasu. Tylko że okolica była obiecująca. Odszedł znacznie dalej od nory, niż zamierzał, ale słońce grzało go w grzbiet, a w nozdrzach miał rześkie wonie, które budziły w mózgu jakieś skojarzenia, nie całkiem uświadomione.

Zatrzymał się, stanął słupka. Wzrok miał już nie tak dobry jak kiedyś, mimo wszystko dość ostry, by zobaczyć człowieka idącego w jego stronę przeciwnym poboczem.

Postanowił pójść kawałek dalej. Ludzie czasami zostawiali różne smakowite kąski.

Był stary, tłusty i swego czasu odwiedził niejeden śmietnik. Znał drogę na miejskie wysypisko równie dobrze jak trzy tunele swojej nory, bo tam zawsze znalazło się coś pysznego. Ruszył kaczkatym chodem zadowolonego z siebie starego wyjadacza, zerkając na człowieka po drugiej stronie szosy.

Człowiek się zatrzymał. Świstak zdał sobie sprawę, że został zauważony. Niedaleko, ciut na prawo, leżała brzoza. Pod nią można się schować, przeczekać, aż człowiek sobie pójdzie, potem sprawdzić, czy może coś smacznego...

Tyle zdążył pomyśleć, robiąc następne trzy kroki, nim został przecięty na pół. Rozpadł się na dwie części. Krew trysnęła z niego jak z sikawki, wnętrzności wylały się na ziemię, tylne łapy drgnęły dwukrotnie, po czym zastygły w bezruchu.

Zanim ogarnęła go ciemność, czekająca nas wszystkich, świstaki tak samo jak ludzi, w łebku błysnęła mu ostatnia myśl:

Co się stało?

Wszystkie zegary kontrolne wysiadły.

- Cholera, co jest? - spytała Claudie Sanders.

Oczy miała wielkie, ale nie ze strachu, tylko ze zdumienia.

Nie było czasu na strach.

Chuck nie zdążył spojrzeć na kontrolki. Zobaczył natomiast, jak nos seneki się marszczy. Potem oba śmigła znikają.

I tyle zobaczył. Na nic więcej nie starczyło czasu. Seneca nad drogą sto dziewiętnaście wybuchła. Spadła na ziemię ognistym deszczem. Razem z nią - różne części ciała. Dymiące przedramię Claudette łupnęło w pobocze, tuż obok równo podzielonego na pół świstaka.

Był dwudziesty pierwszy października.

BARBIE

1

Barbie poczuł się lepiej, gdy tylko zostawił za sobą centrum miasta i minął supermarket Food City. Zobaczywszy znak z napisem CHESTER'S MILL ŻEGNA ZAPRASZAMY PONOWNIE - poczuł się jeszcze lepiej. Chętnie ruszał w drogę, i nie tylko dlatego, że w Mill dostał niezły wycisk. Ot, lubił być w ruchu. Właściwie zbierał się najmarniej dwa tygodnie przed bójką na parkingu przed Karczmą Dippera.

- Włóczykij ze mnie, co tu kryć - powiedział i zaśmiał się głośno. - Włóczykij w drodze do Big Sky.

Albo do piekła, a co? Montana! Może Wyoming? Niech będzie nawet cholerne Rapid City w Dakocie Południowej. Wszystko jedno, byle jak najdalej stąd.

Usłyszał warkot silnika, obrócił się i idąc tyłem, uniósł kciuk. Zobaczył piękny duet: brudnego starego forda z odkrytą paką i śliczną młodą blondynkę za kierownicą. Popielatą blondynkę! Takie podobały mu się najbardziej. Zaprezentował swój najsympatyczniejszy uśmiech. Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem. Dobry Boże, jeśli miała chociaż dzień powyżej dziewiętnastki, gotów był zjeść swój ostatni czek za pracę w restauracji Sweetbriar Rose. Niewątpliwie za młoda dla dżentelmena w trzydziestej wiosnie życia, ale super na legalu, jak to się mawiało za jego młodości w kukurydzianym stanie Iowa.

Samochód zwolnił, Barbie przyspieszył, a wtedy dziewczyna dodała gazu. Mijając go, rzuciła mu spojrzenie pełne skruchy. „Chwilowe zaćmienie umysłu - zdawał się mówić wyraz jej twarzy - ale już wszystko w normie”.

Barbie odniósł wrażenie, że rozpoznaje dziewczynę, choć oczywiście nie mógł mieć pewności - niedzielne poranki w Sweetbriar Rose przypominały dom wariatów. Chyba jednak widział ją tam ze starszym mężczyzną, może ojcem. Oboje ledwo wystawali zza stron „Sunday Timesa”. Gdyby teraz mógł się do niej odezwać, rzucić uwagę, kiedy go mijają, powiedziałby: „Skoro zaufałaś mi na tyle, że jadłaś kielbaski i jajka, które ja smażyłem, tym bardziej możesz mnie wpuścić na miejsce dla pasażera i podwieźć parę kilometrów”.

Oczywiście nie miał jak jej tego powiedzieć, więc tylko podniósł rękę w oszczędnym salucie oznaczającym „Nie ma sprawy”.

Błysnęły czerwone światła stopu, jakby dziewczyna zmieniła zdanie. Potem jednak zgasły, a wóz przyspieszył.

Przez następne dni, kiedy w Mill robiło się coraz gorzej, Barbie ciągle na nowo przypominał sobie tę scenę w ciepłym październikowym słońcu. Myślał zwłaszcza o tym drugim błysnięciu stopów. Chyba jednak go wtedy rozpoznała. „Czy to nie kucharz ze Sweetbriar Rose? Może go mimo wszystko...?”.

Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. Gdyby rzeczywiście zmieniła zdanie, jego życie wyglądałoby inaczej. Bo musiało jej się udać. Już nigdy więcej nie zobaczył popielatej blondynki o nieskazitelnej cerze ani starego brudnego forda F - 150. Wobec tego wyjechała z Chester's Mill dosłownie minuty, a nawet sekundy przed zamknięciem granicy. Gdyby go zabrała ze sobą, też byłby poza miastem, bezpieczny.

Chyba że ten przystanek trwałby za długo. W takim razie również jego by tu nie było. Ani jej. Bo na sto dziewiętnastej jest ograniczenie do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. A osiemdziesiąt kilometrów na godzinę...

Tak myślał, kiedy nie mógł zasnąć.

A potem nieodmiennie zaczynał myśleć o samolocie.

2

Seneca 5 przeleciała nad nim zaraz po tym, jak minął komis Jima Renniego, miejsce, do którego nie czuł sentymentu. Nie to, żeby tam kupił jakiegoś grata, bo nie miał samochodu już ponad rok, ostatni sprzedał w Punta Gorda na Florydzie. Chodziło o to, że Jim Rennie Junior był jednym z tych, których spotkał na parkingu przed Karczmą Dippera. Młody gnojek chciał coś udowodnić, a ponieważ nie dawał sobie rady z udowadnianiem w pojedynkę, udowadniał z grupą. Z doświadczenia Barbiego wynikało, że tak właśnie załatwiają interesy wszelkie Jimy Juniory tego świata.

Ale to już przeszłość. Autokomis, Jim Junior, Sweetbriar Rose (Nasza specjalność - smażone małże! Zawsze świeże, zawsze smaczne!), Angie McCain, Andy Sanders. Cała paczka, wliczając tych z karczmy. (Nasza specjalność - gwarantowane pobicie na parkingu!). Wszystko to już przeszłość. A przyszłość? Cóż, szeroko otwarte bramy Ameryki! Żegnaj miasteczko w Maine, witaj Big Sky. A może lepiej na południe? Hm... Dzień był piękny, ale zima już się przyczaiła na kartkach kalendarza. Może lepiej na południe. Jeszcze mu się nie zdarzyło zahaczyć o Muscle Shoals, a nazwa brzmiała interesująco. Prawdziwa poezja: Muscle Shoals.

Ta myśl wprowadziła go w tak dobry nastrój, że gdy usłyszał nad głową warkot samolotu, podniósł wzrok i szerokim gestem pozdrowił lecących. Miał nadzieję na odpowiedź w postaci kiwnięcia skrzydłami, ale się jej nie doczekał, choć maszyna obniżała lot. Domyślał się, że na

pokładzie byli wycieczkowicze, w taki dzień aż się prosiło, żeby popatrzeć z góry na płonące jesienią drzewa. Ale może pilotował jakiś dzieciak pod okiem instruktora, zbyt przejęty kontrolkami, żeby zwracać uwagę na tych, co na dole - choćby tam z plecakiem szedł sam Dale Barbara. Tak czy inaczej życzył im wszystkiego dobrego. Wycieczkowicze czy dzieciak półtora miesiąca przed pierwszym samodzielnym lotem - obojętne. Barbie wszystkim życzył dobrze. Dzień był piękny, a on z każdym krokiem, który oddalał go od Chester's Mill, czuł się lepiej. Stanowczo za dużo dupków mieszkało w Mill. Zresztą podróż jest dobra dla duszy.

Może powinno być takie prawo, pomyślał, które by kazało w październiku ruszać w drogę. Nowe motto narodowe: „W październiku wszyscy ruszają w drogę”.

W sierpniu dostajemy pozwolenie na pakowanie, w połowie września oddajemy tygodniowe zgłoszenie, a potem...

Przystanął. Niedaleko, po drugiej stronie czarnej wstęgi asfaltu zobaczył świstaka. Spasioneo, lśniąceo i beczelneo. Zamiast śmignać w trawę, nadal truchtał przed siebie. Tuż obok pobocza leżała złamana brzoza, Barbie gotów był dać w zakład własną głowę, że świstak tam się schowa, żeby przeczekać, aż dwunożny sobie pójdzie. A jeśli nie, miną się jak dwóch włóczęgów, którymi w końcu byli. Ten na czterech pójdzie dalej na północ, a ten na dwóch - swoją drogą na południe. Barbie miał nadzieję, że tak się stanie. Byłoby fajnie.

Wszystkie te myśli przebiegły mu przez głowę w ułamki sekund, cień samolotu nadal kładł się czarnym krzyżem na szosie między nim a świstakiem.

Potem dwie rzeczy zdarzyły się niemal równocześnie.

Po pierwsze - świstak. Najpierw był cały, a potem w dwóch kawałkach. Oba drgały i krwawiły. Barbie stanął, szeroko otworzył usta, bo dolna szczęka sama mu opadła. Świstak wyglądał, jakby go przecięło ostrze niewidzialnej gilotyny. Wtedy, dokładnie nad przedzielonym świstakiem, eksplodował samolot.

3

Barbie spojrział w górę. Z nieba spadał śliczny samolocik, który przed chwilą go minął, tyle że w zgniecionej wersji rodem z komiksów o świecie Bizarra. Poskręcane czerwono - pomarańczowe płatki ognia zawisły w powietrzu, rozkwitała katastrofa w kształcie róży. Nurkujący samolot ciągnął za sobą chmurę dymu.

Coś huknęło o ziemię, wzbijając fontannę grudek asfaltu, potem wirując pijaną spiralą, odtoczyło się w wysoką trawę. Śmigło.

Gdyby poszło w moją stronę...

Oczami wyobraźni zobaczył siebie samego w dwóch częściach, całkiem jak

pechowego świstaka. Obrócił się i ruszył biegiem. Coś walnęło w ziemię tuż przed nim, krzyknął głośno. Nie było to jednak drugie śmigło, to była noga w dżinsowej nogawce. Nie widział krwi, ale boczny szew się rozdarł, odsłaniając białe ciało i sztywne czarne włosy.

Brakowało stopy.

Barbiemu wydawało się, że biegnie w zwolnionym tempie. Widział swoją nogę w zniszczonym traperze: wysunęła się do przodu, łupnęła o asfalt, potem przesunęła się do tyłu i zniknęła, gdy w polu widzenia pojawiła się druga. Wolno, ciągle za wolno, jak na telewizyjnej powtórce rozgrywki baseballowej, kiedy zawodnik stara się zyskać choć sekundę.

Za plecami Barbiego coś przeraźliwie brzęknęło, potem rozległ się huk drugiej eksplozji, fala gorąca zalała go od stóp do głów, pchnęła do przodu jak gorąca dłoń. Wtedy mózg się wyłączył. Został tylko instynkt samozachowawczy.

Dale Barbara biegł, by ocalić życie.

4

Jakieś sto metrów dalej gorąca dłoń puściła, natomiast wcale nie zelżał smród benzyny i słodszy zapach stopionego plastiku oraz spalonego mięsa. Barbie przebiegł jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów, wreszcie zatrzymał się i odwrócił. Dyszał. Raczej nie z powodu biegu. W końcu nie palił i w sumie był w niezłej formie... mniej więcej, bo szczerze mówiąc, żebra po prawej stronie ciągle go bolały po bójce na parkingu przed Karczmą Dippera. Dyszał raczej ze strachu, z przerażenia. Ledwo uciekł przed kawałkami samolotu. Bo spadło nie tylko śmigło.

Mógł też spłonąć. Ocalał dzikim fartem.

Wtedy zobaczył coś, co sprawiło, że stracił oddech. Wyprostował się, przyjrzał uważniej miejscu wypadku. Szosę zasypały kawałki samolotu... rzeczywiście cud, że wyszedł z tego bez zadrapania. Po prawej stronie leżało skrzydło, drugie wystawało z trawy po lewej, niedaleko od miejsca, gdzie zatrzymało się śmigło. Poza nogą w niebieskim dżinsie widział samotne ramię. Dłoń zdawała się wskazywać w kierunku głowy, jakby chciała powiedzieć: „Moja”. Głowa, sądząc po włosach, należała do kobiety. Biegnące wzdłuż szosy linie wysokiego napięcia zostały zerwane. Leżały na poboczu, podrygując i sypiąc iskrami.

Za ramieniem i głową znajdował się kadłub samolotu. Można było na nim odczytać NJ3. Jeśli kiedyś było tam coś więcej, przepadło.

Ale nie o to szło. Nie to przyciągnęło wzrok Barbiego i przyprawiło go o bezdech. Ognista róża już zniknęła, lecz na niebie ciągle płonął ogień. Płonące paliwo, jasna sprawa, tylko...

Tylko że spływało z nieba cienką warstwą. Jak ognista płachta. Za tą płachtą widać było krajobraz Maine - spokojny i choć nie zamary w bezruchu, to obojętny na spływający ogień, połyskliwy, drgający niczym powietrze nad krematorium albo rozpaloną blaszaną beczką. Całkiem jakby ktoś spryskał benzyną tafłę szkła i ją podpałił.

Jak zahipnotyzowany Barbie ruszył z powrotem ku miejscu wypadku.

5

W pierwszym odruchu chciał zakryć części ciała, ale było ich za dużo. Zobaczył drugą nogę, w kępie jałowca. Oczywiście mógł zdjąć koszulę, osłonić nią głowę kobiety, tylko co dalej? Wprawdzie miał w plecaku jeszcze dwie koszule...

Od strony Motton, następnej miejscowości na południe, zbliżał się samochód. Jakiś nieduży suv, jechał dość szybko. Ktoś albo zobaczył katastrofę, albo usłyszał wybuch. Pomoc. Dzięki Bogu! Barbie stanął okrzakiem nad białą linią. Trzymał się w bezpiecznej odległości od ognia, nadal schodzącego z nieba w ten dziwaczny sposób przywodzący na myśl spływanie wody po szybie, i podniósł ręce nad głowę, krzyżując je w znak X.

Kierowca nacisnął klakson, dając do zrozumienia, że widzi prośbę o pomoc, i wcisnął pedał hamulca, zostawiając na asfalcie dziesięć metrów gumy. Wskoczył z auta, niemal zanim zielona toyota na dobre się zatrzymała, i ruszył biegiem. Duży facet z długimi siwymi włosami, spadającymi na plecy spod baseballowej czapki z logo Sea Dogs. Biegł poboczem, żeby ominąć ognisty wodospad.

- Co tu się stało?! - krzyknął. - Co do jasnej...

O coś uderzył. Mocno. Nic tam nie było, a jednak Barbie zobaczył, jak facet łamie o coś nos, jak mu go coś przesuwa w bok. Najwyraźniej gość odbił się od niczego. Rozbił sobie nos, usta i czoło. Padł na plecy, po chwili z trudem dźwignął się na nogi. Patrzył na Barbiego skołowany, z wielkim znakiem zapytania w oczach. Krew spływała mu na koszulę szerokim strumieniem. Barbie też nic nie rozumiał.

JUNIOR I ANGIE

1

Dwóch chłopców przy moście nie podniosło wzroku na przelatujący samolot, zrobił to natomiast Junior Rennie. Znajdował się jedną przecnicę dalej, na wysokości Prestile Street i rozpoznał znajomy dźwięk. Tak pomrukiwała seneca V Chucka Thomsona. Popatrzył w górę, spojrzał na samolot i szybko spuścił głowę, bo promienie słońca przeświecające przez liście wbiły mu w oczy mordercze ostrza. Znowu ból głowy. Ostatnio nachodził go coraz częściej. Czasami pomagały leki. Kiedy indziej, zwłaszcza od jakichś trzech, czterech miesięcy, coraz częściej nic nie dawały.

Zdaniem doktora Haskella były to migreny. Junior wiedział tylko, że boli jak diabli, a jasne światło pogarsza sprawę, szczególnie kiedy ból się dopiero zaczyna. Czasami przychodziły mu na myśl mrówki, które przypalali z Frankiem DeLessepsem, gdy jeszcze byli mali. Wystarczy mieć szkło powiększające, skupić promienie słoneczne na wybranym punkcie mrowiska i w rezultacie otrzymuje się pieczone mrówki. Teraz, kiedy rodził się ból głowy, mózg Juniora zmieniał się w mrowisko, a oczy w bliźniacze szkła powiększające.

Skończył dwadzieścia jeden lat. Czy naprawdę musiał czekać mniej więcej do czterdziestki, żeby to przeszło? Tak uważał doktor Haskell.

Kto wie?

Tego ranka ból nie przeszedł i nie zanosił się, żeby ustał. Gdyby Junior zobaczył na podjeździe terenowca Henry'ego McCaina albo toyotę prius należącą do LaDonny McCain, mógłby wrócić do domu, połknąć jeszcze jeden imitrex i położyć się przy zaciągniętych zasłonach, z mokrym ręcznikiem na czole. Może wtedy ból by zelżał. A może nie. Czarne pająki szalejące w głowie miały niezłego kopa...

Raz jeszcze spojrzał w górę, tym razem mrużąc oczy przed nienawistnym blaskiem, ale seneca już zniknęła, ucichł nawet warkot motoru, też trudny do zniesienia, bo wszystkie dźwięki mu przeszkadzały, kiedy się zaczynało to upierdliwe draństwo. Na pewno Chuck Thompson z jakimś uczniem albo z uczennicą. Chociaż Junior nie miał nic przeciwko Chuckowi, w zasadzie prawie go nie znał, nagle z dziecięcą złością zapragnął, żeby pupilek Chucka spieprzył sprawę i rozwalił samolot.

Najlepiej nad autokomisem ojca.

Kolejna fala bólu zalała mu głowę, powodując mdłości, ale już był na schodach

prowadzących do domu. Jak trzeba, to trzeba. Nie ma się co zastanawiać. Angie musi dostać za swoje.

Nauczkę i tyle. Spokojnie, bez nerwów.

Jak na zawołanie usłyszał głos matki. Milusi, aż się nóż w kieszeni otwierał.

Junior zawsze był nadpobudliwy, ale nauczył się panować nad sobą, prawda, syneczku?

Ojejku, jejku. Ale nauczył się, fakt faktem. Pomógł mu futbol. A teraz nie było futbolu, nie było nawet college'u. Tylko bóle głowy. Przez te bóle robił się z niego podły skurczysyn.

Spokojnie, bez nerwów.

Jasne.

Ale pogadać z nią musi, bez względu na ból głowy.

Może nawet pogada z nią ręcznie, jak to się ładnie ujmuje, kto wie? Możliwe, że im gorzej ona się będzie czuła, tym lepiej będzie się czuł on.

Zadzwoił do drzwi.

2

Angie McCain akurat wyszła spod prysznica. Włożyła szlafrok, ściągnęła go paskiem, mokre włosy owinęła ręcznikiem.

- Już idę! - krzyknęła.

Schody na parter pokonała dość szybko, choć nie biegiem. Była całkiem pewna, że przyszedł Frankie. Wreszcie zaczynało się układać. Ten bezczelny kuchta, chociaż taki przystojny, to jednak drań, pewnie już zniknął z miasta. A rodzice byli poza domem. Wystarczyło dodać dwa do dwóch, by otrzymać znak od Boga, że wszystko szło ku dobremu. Będą mogli z Frankiem zapomnieć o głupich nieporozumieniach i zacząć od początku.

A jak zacząć, to ona już doskonale wiedziała. Najpierw otworzy drzwi, potem rozsunie szlafrok. W sobotni poranek, na progu domu, gdzie każdy przechodzący może ją zobaczyć. Jeszcze się tylko upewni, że to faktycznie Frankie - nie miała zamiaru prezentować swoich wdzięków staremu grubemu panu Wickerowi, który mógł się pojawić z jakąś paczką albo poleconym, chociaż na niego było jeszcze dobre pół godziny za wcześnie.

To na pewno Frankie.

Otworzyła drzwi. Lekko uniesione kąciki ust zwiastowały szeroki uśmiech powitalny. Może nie był to najszczęśliwszy pomysł, skoro miała zęby wielkie jak u królika. Jedną rękę położyła na pasku szlafroka, ale go nie pociągnęła. Bo za drzwiami nie był Frankie. Tylko

Junior. I w dodatku strasznie zły.

Widywała go w podłym nastroju niejedną raz, ale takiego wściekłego - ostatnio chyba w ósmej klasie podstawówki. Wtedy złamał rękę temu małemu Dupree. Fakt, pedzio był bezczelny - przywłókł swój tłusty tyłek na publiczne boisko koszykówki i chciał grać. Podejrzewała też, że Junior miał tak samo ponurą twarz w tamtą noc na parkingu przed karczmą, ale tego rzecz jasna nie wiedziała, bo jej tam nie było, tylko o tym słyszała. Wszyscy w Mill słyszeli. Została wezwana na rozmowę do komendanta Perkinsa, ten cholerny Barbie też tam był i w końcu wszystko wyszło na jaw.

- Junior, co się... Junior?

Uderzył ją i w zasadzie przestał myśleć.

3

Pierwszy cios nie był bardzo mocny, bo Junior ciągle stał w progu i nie miał jak się zamachnąć. Właściwie mógłby jej wcale nie uderzyć, a przynajmniej nie zaczynać od bicia, gdyby nie ten uśmiech. Boże, na widok jej zębów przechodziły go ciarki, nawet w podstawówce. No i na dodatek nazwała go „Junior”.

Jasne, całe miasto go tak nazywało, on sam myślał o sobie „Junior”, ale nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo, jak potwornie, jak cholernie go to wkurza, dopóki nie usłyszał tego słowa wydobywającego się spomiędzy końskich zębów tej suki, przez którą miał tyle kłopotów.

Jak na takie machnięcie na pół gwizdka i tak wyszło nieźle. Angie zatoczyła się do tyłu, aż na słupek podtrzymujący schody, ręcznik zleciał jej z głowy. Brązowe pasma mokrych włosów opadły wokół twarzy, wyglądała jak Meduza. W miejsce uśmiechu pojawił się wyraz ogłupiałego zaskoczenia, z kącika ust popłynął strumyczek krwi. I dobrze. Bardzo dobrze. Należało się suce. Za wszystko, co zrobiła. Za kłopoty, jakie na nich ściągnęła. Nie tylko na niego, ale na Frankiego, Mela i na Cartera.

Znowu głos matki w myślach.

Spokojnie, bez nerwów, kochanie.

Chociaż nie żyła, ciągle udzielała mu rad.

Możesz jej dać nauczkę, ale się nie zapominaj.

I pewnie dałby sobie radę, gdyby nie to, że szlafrok się rozsunał, a pod spodem ona nic nie miała. Zobaczył ciemne włosy na kuciapie, a właśnie przez tę cholerną kuciapę zaczęły się kłopoty i w ogóle, jak się tak chwilę zastanowić, to wszystkie pieprzone problemy na całym świecie zaczynały się od śmierdzącej kuciapy! W głowie mu pulsowało, dudniło, wyło i

gwizdało, jakby za chwilę miało tam dojść do eksplozji jądrowej. Doskonale ukształtowane grzybki chmurek wystrzelały mu z uszu, a potem głowa wybuchnie i wtedy Junior Rennie, który nie wiedział, że ma nowotwór mózgu, bo dychawiczny doktor Haskell nawet nie wziął takiej możliwości pod uwagę (niby skąd u młodego zdrowego człowieka taka choroba?), otóż wtedy Junior Rennie wpadł w szal.

Tamten ranek nie był szczęśliwy ani dla Claudette Sanders, ani dla Chucka Thompsona. Bogiem a prawdą nie był szczęśliwy dla żadnego z mieszkańców Chester's Mill.

Ale mało kto miał aż takiego pecha jak była dziewczyna Franka DeLessepsa.

4

Zdażyły jej się ukształtować w głowie jeszcze dwie na wpół zborne myśli. Wtedy gdy patrzyła na Juniora, który miał wybałuszone oczy i zatopił zęby we własnym języku.

Zwariował. Muszę wezwać pomoc, zanim będzie za późno.

Rzuciła się do kuchni, tam na ścianie wisiał telefon. Wcisnęła 911 i zaczęła krzyczeć. Zrobiła dwa kroki i zaplątała w ręcznik. Szybko złapała równowagę. W gimnazjum była cheerleaderką, jeszcze to i owo pamiętała. Niestety już było za późno. Junior złapał ją za włosy, szarpnął, głowa poleciała do tyłu, nogi, siłą rozpędu, do przodu.

Przycisnął ją do siebie. Parzył - jak człowiek z wysoką gorączką. Czowała bicie jego serca, pośpieszny rytm, jakby samo przed sobą uciekało.

- Ty załgana dziwko! - Wrzasnął jej prosto w ucho.

Skuliła się z bólu. Krzyknęła rozziewając, ale ten dźwięk wydał się nikły w porównaniu z głosem Juniora. Napastnik chwycił ją w tali, w szaleńczym tempie przepchnął przez korytarz, tylko czubkami palców stóp dotykała chodnika. Przemknęła jej przez głowę myśl, że jest jak znaczek firmowy na masce pędzącego auta, i zaraz znaleźli się w kuchni rozjarzonej słonecznym blaskiem.

Junior zawył głośno. Tym razem nie z wściekłości, ale z bólu.

5

Światło go tortuowało, prażyło jego skowyczący mózg, lecz go nie powstrzymało. Na to już było za późno.

Z rozpędu rzucił Angie na kuchenny blat. Przyłożył jej w brzuch, potem złapał ją za ramiona, zsunął z blatu i huknął nią o ścianę. Cukiernica, solniczka i pieprzniczka zleciały na podłogę. Z płuc Angie powietrze uciekło z głośnym świstem. Junior chwycił ją jedną ręką za

włosy, drugą objął w pól i cisnął z obrotu. Dziewczyna odbiła się od lodówki, strącając większość magnesów. Na jej kredowobiałej twarzy malowało się osłupienie. Teraz krwawiła już nie tylko z dolnej wargi, ale i z nosa. Lśniła czerwień na białej skórze. Angie przeskoczyła wzrokiem na stojak z nożami, więc kiedy zaczęła się podnosić, z całej siły wyrzucił ją kolaniem w twarz. Rozległo się stłumione chrupnięcie, jakby w innym pomieszczeniu ktoś upuścił duży przedmiot z porcelany, na przykład półmisek.

Szkoda, że to nie Dale Barbara, pomyślał Junior.

Odsunął się o krok, palcami ścisnął tętniące bólem skronie. Z oczu popłynęły mu łzy. Przygryzł język, krew ściekła po brodzie, kapłała na podłogę, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Ból był całym światem.

Angie leżała na brzuchu między magnesami. Na największym napis głosił: CO DZISIAJ WŁOŻYSZ DO UST, JUTRO ZOBACZYSZ NA TYŁKU. Junior pomyślał, że straciła przytomność, lecz nagle zaczęła się cała trząść. Najpierw palce, jakby się szykowała do zagrania trudnego utworu na pianinie.

Jedyny instrument, na jakim grałaś, to flet męski, pomyślał.

Następnie zaczęły jej podrygiwać nogi i zaraz potem ręce. Wyglądała, jakby usiłowała od niego odpłynąć. Najwyraźniej miała jakiś atak.

- Przestań! - krzyknął.

Nie przestała. Mało tego, wypróżniła się.

- Przestań wreszcie, ty zasrana krowo!

Opadł na kolana, miał jej głowę między udami. Czołem uderzała rytmicznie w terakotę jak Arab oddający cześć Allachowi.

- Przestań, do kurwy nędzy! Dostyc!

Z jej gardła wydobył się dziwaczny charkot, zaskakująco głośny.

Jezu, a jeśli ktoś ją usłyszy? Przecież go złapią! A to już nie to samo co tłumaczenie ojcu, dlaczego przestał chodzić do szkoły - zresztą tego nawet sobie nie potrafił wytłumaczyć. Tym razem nie skończy się na obcięciu siedemdziesięciu pięciu procent kieszonkowego, jak po tamtej cholernej bójce z kuchnią. Bójkę też sprowokowała ta bura suka. Tym razem Duży Jim Rennie nie przegada komendanta ani tych jego kutasów. Tym razem może być...

Nagle wykwitł mu przed oczami obraz jednolicie zielonych ścian więzienia stanowego Shawshank. Nie. Nie da się zamknąć, miał przed sobą całe życie. A jednak. Nawet jeśli ona teraz się uciszy, i tak go zapuszczają. Bo powie później. I jej twarz, która wyglądała teraz znacznie gorzej niż twarz Barbiego po bójce na parkingu, będzie mówiła swoje.

Chyba żeby ją uciszyć skutecznie.

Chwycił Angie za włosy i mocniej łupnął jej głową o podłogę. Miał nadzieję, że dziewczyna straci przytomność, żeby mógł dokończyć... to, co musiał zrobić, ale nic z tego, tylko drgawki stały się silniejsze. Angie kopała w lodówkę, posypała się reszta magnesów.

Puścił włosy, złapał ją za szyję.

- Przykro mi, Angie - powiedział - nie tak miało być.

W rzeczywistości wcale nie było mu przykro. Bał się, bolała go głowa i zaczynał nabierać przekonania, że ta szarpanina w potwornie jasnej kuchni nigdy się nie skończy. Już mu słabły palce. Skąd miał wiedzieć, że tak trudno kogoś udusić?

Gdzieś daleko, chyba na południu, coś potężnie huknęło. Jakby ktoś wypalił z bardzo dużej spluwy. Junior nie zwrócił na to uwagi. Wzmocnił uścisk i w końcu Angie zaczęła się uspokajać. Dużo bliżej, w domu, i to na tym samym piętrze, rozległo się niskie buczenie. Podniósł wzrok, przekonany, że to dzwonek do drzwi. Ktoś usłyszał hałas i wezwał gliniarzy. Głowa mu pękała, miał wrażenie, że wyłamał sobie palce, a tu wszystko na nic. W wyobraźni zobaczył koszmarny obraz: Junior Rennie eskortowany do sądu powiatowego w Castle Rock. Ma kurtkę naciągniętą na głowę. Prowadzą go na ławę oskarżonych...

Rozpoznał ten dźwięk. Tak samo buczał komputer, kiedy wysiadł prąd i musiał się przełączyć na zasilanie awaryjne.

Buuu... Buuu... Buuu...

Junior dusił dalej. Angie już się nie ruszała, ale i tak przytrzymał ją jeszcze z minutę. Głowę odwrócił na bok, bo strasznie cuchnęła. Cała ona! Piękny prezent pożegnalny! Wszystkie są takie same! Baby! Suki! I te kuciapy! Jak owłosione mrowiska! A podobno to mężczyźni sprawiają problemy!

6

Stał nad jej zakrwawionym, umazanym odchodami i niewątpliwie pozbawionym życia ciałem, zastanawiając się, co robić dalej. Akurat wtedy z południa dobiegł następny wybuch. Tym razem na pewno nie spluwa, na spluwę to było o wiele za głośne. Eksplozja. Może ten zabawny samolocik Chucka Thompsona jednak faktycznie się rozbił. Nie było to takie znowu niemożliwe, zwłaszcza w dzień, kiedy masz zamiar komuś wygarnąć, co o nim myślisz, nawrzeszczeć i dać nauczkę, nic więcej, a w efekcie tę osobę zabijasz. W taki dzień wszystko jest możliwe.

Zawyła syrena policyjna i Junior już wiedział, że po niego jadą. Ktoś zajrzał przez okno, zobaczył, jak dusi Angie. Ostre wycie spięło go jak ostrogą. Junior rzucił się do wyjścia, dotarł do miejsca, gdzie na podłodze leżał ręcznik, który spadł z włosów Angie przy

pierwszym uderzeniu, i tam stanął jak wryty. Właśnie wtedy wejść. Zatrzymają się przed frontowymi drzwiami, świecący kogut przeszyje skowyczący mózg strzałami bólu...

Pobiegł z powrotem do kuchni. Spojrzał na ciało Angie, gdy nad nim przechodził - nie mógł się powstrzymać. W pierwszej klasie podstawówki razem z Frankiem ciągnęli ją czasem za warkocze. Wtedy wywalala język i robiła zęza. Teraz oczy jej wyszły z oczodołów jak szklane kulki, a usta miała pełne krwi.

Ja to zrobiłem? Naprawdę ja?

Tak. On to zrobił. Przelotne spojrzenie wystarczyło, by wyjaśnić dlaczego. Przez te cholerne zęby. Końskie.

Do pierwszej syreny dołączyła druga, potem trzecia. Ale po chwili się oddaliły. Dzięki Bogu, pojechali dalej. Gdzieś na południe, Main Street, w stronę miejsca, gdzie doszło do wybuchu.

Mimo wszystko Junior nie zwolnił. Skulony przemknął podwórzem, całkiem nie myśląc o tym, że gdyby go ktokolwiek teraz zobaczył, od razu domyśliłby się w nim winowajcy. Za krzewami pomidorowymi LaDonny znajdowało się wysokie drewniane ogrodzenie z furtką. Wisiała na niej kłódka, ale nigdy nie była zamknięta. Odkąd Junior pamiętał, zawsze można było tamtędy przejść bez przeszkód.

Otworzył furtkę. Za nią zaczynał się zagajnik i ścieżka prowadząca do cicho szemrzającej rzeki Prestile. Gdy miał trzynaście lat, zobaczył na tej ścieżce Angie i Franka. Całowali się. Ona obejmowała go za szyję, a on miał dłonie na jej piersiach. Wtedy Junior zrozumiał, że dzieciństwo się kończy.

Pochylił się, zwymiotował do rzeki. Słoneczne plamy na wodzie złośliwie kłuły go w oczy. Kiedy zaczął widzieć trochę wyraźniej, dostrzegł po prawej stronie most Pokoju. Chłopców, którzy tam wcześniej łowili ryby, już nie było, ale zobaczył dwa wozy policyjne pędzące w dół Town Common Hill.

Odezwała się syrena miejska. Generator w ratuszu zaskoczył, zgodnie z przewidywaniami. W czasie awarii elektryczności głośnym wyciem oznajmiał katastrofę. Junior jęknął, zasłonił uszy.

Most Pokoju w rzeczywistości wcale nie był mostem, tylko kładką dla pieszych, zadaszoną i obudowaną drewnianymi ścianami, już od dawna mocno zniszczoną. W zasadzie nosiła ona nazwę mostu Alvina Chestera, a mostem Pokoju stała się w roku 1969, gdy jakieś dzieciaki (wtedy jeszcze z plotek można się było dowiedzieć, które konkretnie) namalowały na boku mostka dużą niebieską pacyfę. Znak w dalszym ciągu był widoczny, choć bardzo zbladł, niewiele z niego zostało. Przez ostatnie dziesięć lat most Pokoju był wyłączony z

ruchu. Oba jego końce zamykały żółte ikсы policyjnej taśmy z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Mimo wszystko był, rzecz jasna, używany. Dwa razy w tygodniu, czasem trzy, podwładni komendanta Perkinsa przychodzili nocą i robili dużo szumu, świecąc przy tym latarkami. Zawsze tylko z jednego końca. Nie mieli zamiaru łapać podrostków, którzy przychodzili tutaj z jakąś butelką czy puszką i z dziewczyną, tylko ich przegonić. Co roku na walnym zgromadzeniu mieszkańców miasta ktoś proponował rozebranie mostu, a ktoś inny postulował jego renowację. Oba wnioski skrupulatnie zapisywano. Najwyraźniej jednak miasto jako takie miało własne zdanie na ten temat i most Pokoju pozostawał bez zmian.

Akurat dzisiaj było to Juniorowi bardzo na rękę.

Przemknął północnym brzegiem rzeki do mostu. Syreny policyjne cichły w oddali, natomiast miejski sygnał alarmowy zawodził niez mordowanie. Junior minął znak z informacją ŚLEPA ULICA. MOST ZAMKNIĘTY, zanurkował pod skrzyżowaną żółtą taśmą i zniknął w cieniu. Co prawda słońce przefiltrowane przez dziurawy dach kładło się na startych deskach jasnymi cętkami, ale w porównaniu z jaskrawym blaskiem w kuchni, tutaj panował błogosławiony półmrok. Pod belkami gruchały gołębie. Wzdłuż drewnianych boków kładki wałały się puszki po piwie i butelki po brandy.

Tym razem mi się nie upiecze, myślał Junior. Może ma moją skórę pod paznokciami? Tak czy inaczej pełno tam mojej krwi. I odcisków palców. Właściwie to mam dwa wyjścia: uciekać albo się przyznać.

A, nie. Było jeszcze trzecie wyjście. Mógł się zabić.

Musiał się dostać do domu. Zaciągnąć zasłony w sypialni, zmienić ją w jaskinię. Wziąć imitrex, położyć się, może przespać. Potem chyba uda mu się zastanowić. A jeśli przyjdą po niego, kiedy będzie spał? No cóż, to by rozwiązało problem wybierania między możliwością pierwszą, drugą i trzecią.

Przeciął plac miejski. Jakiś staruszek, którego mgliście rozpoznawał, chwycił go za ramię.

- Junior, co się dzieje? Co się stało?

Potrząsnął głową, odtrącił rękę starego i poszedł dalej.

Miejski sygnał alarmowy wył, jakby obwieszczał koniec świata.

DROGI I BEZDROŻA

1

Tygodnik wychodzący w Chester's Mill nosi tytuł „Democrat”, co stanowi dezinformację, ponieważ szefowa redakcji i właścicielka pisma - a w obu rolach występuje mocarna Julia Shumway - to zaprzysiężona zwolenniczka republikanów. Na pierwszej stronie zawsze widniało:

DEMOCRAT

od 1890 roku w służbie Chester's Mill

„miasteczka w kształcie buta”

Owo motto również wprowadzało w błąd. Chester's Mill nie wyglądało jak but. Przypominało raczej dziecięcą skarpetkę, tak brudną, że można by ją postawić. Od południowego zachodu, czyli od strony pięty, stykało się ze znacznie większym i bogatszym Castle Rock, ale w zasadzie otoczone było przez cztery miasta o większym obszarze, lecz mniej licznej populacji: Motton od południa i południowego wschodu, Harlow od wschodu i północnego wschodu, TR - 90 od północy oraz Tarker's Mills od zachodu. Chester's i Tarker's identyfikowane były niekiedy jako Twin Mills, czyli Bliźniacze Młyny. Kiedy fabryki tekstylne środkowej i zachodniej części stanu Maine pracowały pełną parą, rzekę Prestile przekształcono w martwy ściek chemiczny, który zmieniał kolor niemal codziennie i zależnie od miejsca. W tamtych czasach można było wyruszyć w kanoe z Tarker's po zielonej wodzie, a z Chester's Mill do Motton płynąć już po jaskrawożółtej. Przy tym, jeśli łódź była zrobiona z drewna, poniżej linii wody mogła stracić farbę.

Ostatnia z fabryk zanieczyszczających środowisko została zamknięta w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Z Prestile zniknęły dziwaczne kolory, natomiast wróciły do niej ryby, chociaż czy nadawały się do spożycia, pozostawało ciągle tematem dyskusyjnym. „Democrat” wołał głośno „Tak!”.

Populacja miasta zmieniała się zależnie od sezonu. Między Memoriał Day, świętem zawsze obchodzonym w ostatni poniedziałek maja, a Labor Day, czyli pierwszym poniedziałkiem września, zbliżała się do piętnastu tysięcy. Przez pozostałą część roku nieco przekraczała dwa tysiące, zależnie od bilansu narodzin i zgonów prowadzonego w szpitalu

imienia Catherine Russell, uważanym za najlepszą placówkę na północ od Lewiston.

Gdyby zapytać letników, ile dróg prowadzi do Chester's Mill, większość z nich odrzekłaby, że dwie: sto siedemnasta, wiodąca do Norway i South Paris, oraz sto dziewiętnasta, którą jechało się do Lewiston, przecinając po drodze Castle Rock.

Ci, co mieszkają w Chester's Mill od jakichś dziesięciu lat, potrafią wymienić jeszcze co najmniej osiem innych dróg, wszystkie asfaltowe, po jednym pasie w każdą stronę, poczynsz od Black Ridge Road i Deep Cut Road, prowadzących do Harlow, po Pretty Valley Road, która rzeczywiście była tak ładna, jak sugerowała jej nazwa, skręcającą na północy do TR - 90.

Mieszkańcy zakorzenieni w Mill od trzydziestu lat lub dłużej, jeśli mieli czas się spokojnie zastanowić, na przykład na zapleczu sklepiku połączonego ze szczątkową knajpką, zwanego od nazwiska właściciela sklepem Browniego, gdzie przetrwał piec do opalania drewnem, wymieniliby jeszcze z dziesięć, o nazwach uświęconych, jak God Creek Road, lub wulgarnych, choćby Little Bitch Road, które na lokalnych mapach oznaczone były tylko numerami.

W dniu, który miał zostać nazwany Dniem Klosza, najstarszym obywatelem Chester's Mill był Clayton Brassey, równocześnie najstarszy obywatel powiatu Castle, a co za tym idzie, właściciel jednej ze słynnych lasek ofiarowywanych z inicjatywy czasopisma „Boston Post” najstarszym obywatelom wybranych miast. Niestety, nie wiedział już, co to jest laska „Boston Post”, a nawet nie miał całkowitej pewności, kim jest on sam. Czasami mylił swoją praprawnuczkę Nell z żoną, która od czterdziestu lat nie żyła. „Democrat” przestał przeprowadzać z nim coroczny wywiad przed trzema laty, bo ostatnim razem zapytany o tajemnicę swej długowieczności odpowiedział pytaniem: „Gdzież jest mój obiad, u licha ciężkiego?”. Starość zaczęła mu się dawać we znaki tuż po setnych urodzinach, a w ten dzień, dwudziestego pierwszego października, miał lat sto pięć. Swego czasu był cenionym cieślą specjalizującym się w kredensach, tralkach i ozdobnych listwach wykończeniowych, natomiast w ostatnich latach wprawiał się w jedzeniu budyniu bez pakowania go sobie do nosa oraz zdążaniu do łazienki, żeby tam, a nie gdzie indziej zostawić kilka poznaczonych krwią bobków.

Kiedyś jednak, mniej więcej wówczas, gdy miał lat osiemdziesiąt pięć, potrafił nazwać chyba każdą drogę prowadzącą do Chester's Mill, a znał ich trzydzieści cztery. Większość z nich stanowiły drogi gruntowe, o wielu dawno zapomniano, a wszystkie te, które zatoneły w ludzkiej niepamięci, wiły się przez gęstwą bogatego poszycia lasu stanowiącego własność firm Diamond Match, Continental Paper Company oraz American Timber.

W Dzień Klosza, na krótko przed południem, wszystkie przejścia zostały zamknięte. Co do jednego.

2

Na większości dróg nie doszło do zdarzeń tak spektakularnych jak eksplozja seneki V, ale nie obyło się bez kłopotów. Nic dziwnego. Jeśli coś w rodzaju niewidzialnego kamiennego kręgu spada nagle na miasto, kłopoty być muszą.

Dokładnie w tym samym momencie, gdy świstak został podzielony na pół, to samo stało się ze strachem na wróble na polu dyniowym Eddiego Chalmersa, niedaleko Pretty Valley Road. Strach na wróble stał równo na linii granicznej Chester's Mill i TR - 90. Jego pozycja zawsze śmieszyła Eddiego, więc nazwał kukłę Międzydzielowym Strachem na Wróble, w skrócie MSW. Połowa pana MSW przypadła na stronę Mill, druga „na TR”, jak to ujmowali miejscowi.

Kilka sekund później stado wron przymierzające się do dyń Eddiego - a trzeba nadmienić, że wrony nigdy się nie bały pana MSW - uderzyło w coś, czego wcześniej w tym miejscu nie było. Większość ptaków ze złamanymi karkami spadła czarną stertką na Pretty Valley Road oraz na okoliczne pola.

Martwe ptaki po obu stronach klosza pozwoliły w swoim czasie określić położenie bariery.

Na God Creek Road Bob Roux wykopywał ziemniaki. Akurat zawrócił do domu na obiad, czyli, jak to mawiano w okolicy, żeby wrzucić coś na ząb. Siedział okrakiem na starym traktorze Deere i słuchał muzyki dobiegającej z nowiutkiego iPod, który dostał od żony w prezencie na urodziny. Nie wiedział, że obchodził je po raz ostatni. Z pola do domu miał jakiś kilometr z niedużym okładem, niestety, samo pole znajdowało się w Motton, a dom w Chester's Mill. Uderzył w niewidzialną przeszkodę z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, słuchając, jak James Blunt śpiewa „Your're Beautiful”. Kierownicę przytrzymał ledwo - ledwo, bo doskonale widział drogę aż do samego domu - nie było na niej żadnej przeszkody. Dlatego też, kiedy traktor zatrzymał się w miejscu jak wryty, a kopaczka stanęła dęba, po czym z głuchym łoskotem opadła znowu na ziemię, Bob poleciał do przodu i poszybował nad blokiem silnika. Nowiutki iPod eksplodował w szerokiej kieszeni na piersi ogrodniczek, ale właściciel już tego nie poczuł. Skręcił kark i rozbił czaszkę o nic, w które wyrznął. Chwilę później leżał martwy na polu, tuż obok jednego z wielkich kół traktora, który nadal pracował na wolnych obrotach. Bo, jak wiadomo, na maszyny Deere nie ma mocnych.

Motton Road w rzeczywistości nigdzie nie biegła przez teren Motton. Prowadziła tuż przy wewnętrznej stronie granicy Chester's Mill. W okolicy, która mniej więcej od roku 1975 nazywana była Eastchester, stały przy niej nowe ładne domy. Jakies trzydzieści rodzin mieszkało i pracowało w Chester's Mill, czterdzieści kilka dojeżdżało codziennie do Lewiston czy Auburn, gdzie jako członkowie klasy białych kołnierzyków otrzymywali całkiem przyzwoite stawki. Wszystkie te domy znajdowały się na terenie Mill, ale wiele z nich miało podwórka w Motton. Tak właśnie wyglądała sytuacja z domem Jacka i Myry Evans, zamieszkałych przy Motton Road pod numerem 379. Myra zaprowadziła na tyłach domu ogródek warzywny i choć większość plonów zdążyła już zebrać, ciągle jeszcze zostało kilka naprawdę imponujących dyń odmiany Blue Hubbard Squashe - tuż za solidnie nadgniętymi resztkami zwykłych dyń. W chwili gdy miasto okrył klosz, Myra jak raz sięgała po jedno z warzyw. Chociaż kolana miała w Chester's Mill, to upatrzona dynia znajdowała się ze trzydzieści centymetrów za granicą miasta, po stronie Motton.

Myra Evans nie krzyknęła, bo nawet nie poczuła bólu, w każdym razie z początku. Cięcie było szybkie i czyste.

W kuchni Jack Evans ubijał jajka na frittate. W tle LCD Soundsystem śpiewali „North American Scum” i Jack nucił razem z nimi, gdy raptem za plecami usłyszał cicho wypowiedziane swoje imię. W pierwszej chwili nie rozpoznał głosu kobiety, z którą był żonaty od czternastu lat, bo brzmiał jak głos dziecka. Odwrócił się i zobaczył Myrę. Stała w progu, prawą rękę przyciskała do brzucha. Naniósła do kuchni błota, co było do niej całkiem niepodobne. Zwykle zostawiała robocze obuwie na stopniach przed drzwiami. Lewą ręką, obciążoną brudną rękawicą ogrodową, podtrzymywała prawą, a pomiędzy palców ciekło jej coś czerwonego. Uznał, że to sok żurawinowy, ale już po sekundzie zrozumiał, że popełnił błąd. To była krew. Upuścił miskę z jajkami. Rozprysnęła się na podłodze.

Myra powtórzyła jego imię tym samym drżącym, dziecięcym głosem.

- Co się stało?! Myra, co ci jest?!

- Wypadek - powiedziała i pokazała mu prawą dłoń.

Tyle że prawej dłoni nie było. Jedynie chlustający krwią kikut. Myra uśmiechnęła się słabo.

- Auć - powiedziała.

Wywróciła oczy, widać było same białka. Zwilżone moczem dzinsy pociemniały w kroku. Kolana się pod nią ugięły, upadła. Krew tryskająca z nadgarstka uciętego czysto i

równy, jak na lekcji anatomii, zmieszała się z rozlanymi na ziemi jajkami.

Jack opadł na kolana, kawałek szkła z rozbitej miski wbił mu się głęboko w nogę. Prawie nic nie poczuł, choć z powodu tego skaleczenia miał utykać do końca życia. Ścisnął rękę żony. Przerazająco silny strumień krwi tryskający z nadgarstka osłabł nieco, ale nie ustał. Jack wyszarpnął pasek ze szlufek spodni i zacisnął pętlę wokół przedramienia. Pomogło, lecz nie mógł paska zapiąć, pętla była o wiele za wąska.

- Jezu! - poskarżył się bezdusznej kuchni. - Jezu Chryste!

Uświadomił sobie, że zrobiło się ciemniej. Zabrakło prądu. Komputer w gabinecie popiskiwał alarmująco. LCD Soundsystem nadal śpiewali, bo przenośny odtwarzacz stojący na blacie działał na baterie. Jackowi zresztą i tak było to obojętne, kompletnie stracił zainteresowanie muzyką techno.

Tyle krwi.

Nawet się nie zastanowił, w jaki sposób Myra straciła dłoń. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Nie mógł puścić paska, bo żona by się wykrwawiła, a zaciskając go, nie sięgał do telefonu. Musiał ją zabrać ze sobą. Złapał za koszulę, ale najpierw tylko wyciągnął ją ze spodni, a potem zorientował się po chrapliwym oddechu, że dusi Myrę kołnierzykiem. W końcu chwycił żonę za włosy, długie, ciemne, mocne, i niczym jaskiniowiec zaciągnął do telefonu.

Był to telefon komórkowy. Działał. Jack wystukał 911. Numer zajęty.

- Niemożliwe! - krzyknął w pustej kuchni, gdzie światła zgasły, a nadal płynęła muzyka z przenośnego odtwarzacza. - Do cholery, ten numer nie może być zajęty!

Wcisnął powtórne wybieranie.

Zajęty.

Jack siedział na podłodze w kuchni, oparty o szafkę, z całej siły zaciskał pasek na przedramieniu żony, patrzył na krew na podłodze i systematycznie wciskał w telefonie przycisk ponownego wybierania numeru. Za każdym razem odpowiadał mu ten sam urywany sygnał. Całkiem niedaleko rozległ się głośny wybuch, ale Jack nawet go nie usłyszał wyraźnie, bo zagłuszała go muzyka, naprawdę nieźle zakrecona. Eksplozji seneki nie usłyszał wcale. Chętnie by wyłączył muzykę, ale żeby sięgnąć do odtwarzacza, musiałby podnieść Myrę. Albo rozluźnić pasek na jakieś dwie, może trzy sekundy. Ani jedno, ani drugie nie wchodziło w rachubę. Dlatego siedział i wciskał guziki telefonu, a muzyka grała. Skończyło się „North American Scum”, zaczęło „Someone Great”, później „Ali My Friends”, potem jeszcze kilka nagrań i w końcu płyta CD zatytułowana „Sound of Silver” dobiegła końca. Wtedy zapanowała cisza, przerywana tylko odległym jękiem syren policyjnych i

popiskiwaniami komputera, a Jack zorientował się, że jego żona nie oddycha.

Przecież właśnie szykowałem lunch, pomyślał.

I to nie były jakieś. Można by na taki lunch zaprosić choćby i Marthę Stewart.

Siedział przy szafce, ciągle ściskając w dłoni pasek (rozprostowanie palców okaże się potem wyjątkowo bolesne), prawa nogawka na podudziu pociemniała mu od krwi z rozciętego kolana.

Jack Evans przytulił żonę do piersi i zapłakał.

4

Nieco dalej, na zarośniętej leśnej ścieżce, o której nie pamiętałby nawet stary Clay Brassey, na skraju bagniska Prestile Marsh sarenka skubała apetyczne zielone pędy. Tak się akurat złożyło, że wyciągnęła szyję nad granicą Mill z Motton, więc gdy opadł klosz, sarni łeb potoczył się na ziemię. Został odcięty tak równo, jakby tego dokonano za pomocą gilotyny.

5

Okrążyliśmy Chester's Mill po linii w kształcie skarpety i wróciliśmy na szosę sto dziewiętnaście. Dzięki czarodziejskim właściwościom narracji nie minęła nawet chwila od momentu, gdy sześćdziesięciolatek z toyoty wyrznął twarzą w coś niewidocznego, ale bardzo twardego i złamał sobie nos. Siedzi teraz na asfalcie i gapi się na Dale'a Barbarę kompletnie osłupiały. Jakaś mewa, przemierzająca zapewne jak co dzień drogę od wybornego bufetu na śmietniku w Morton do tylko odrobinę mniej wyśmienitego na wysypisku w Chester's Mill, spadła jak kamień i huknęła o ziemię może z metr od czapki baseballowej z logo Sea Dogs, należącej do oniemiałego sześćdziesięciolatka. Ranny podnosi czapkę, otrzepuje ją i wkłada na głowę.

Obaj mężczyźni podnoszą wzrok, patrzą tam, skąd spadł ptak, i widzą jeszcze jedną rzecz niepojętą. A będzie ich tego dnia niemało.

6

W pierwszej chwili Barbie uznał, że widzi refleks po wybuchu samolotu. Na tej samej zasadzie widziałby okrągłą siną plamę, gdyby mu ktoś dał po oczach lampą błyskową. Tyle że ta plama nie była ani okrągła, ani sina, a na dodatek zamiast się przenosić razem z polem widzenia, kiedy człowiek odwraca wzrok - w przypadku Barbiego było to spojrzenie na nowego znajomego - plama wisząca w powietrzu została na miejscu.

Sea Dogs przetarł oczy. Najwyraźniej zapomniał o złamanym nosie, spuchniętych wargach i krwawiącym czole. Wstał, z trudem utrzymując równowagę, bo odchylił głowę daleko do tyłu.

- Co to takiego? - mruknął. - Cholera jasna, co to jest?

Na tle błękitnego nieba odznaczał się duży czarny ślad, którego kształt przy niejakim wysiłku wyobraźni można by porównać do płomienia świecy.

- Chmura jakaś? - zastanowił się Sea Dogs.

Zwątpienie w głosie wyraźnie dawało do zrozumienia, że sam w to nie wierzy.

- Chyba nie... - Barbie w zasadzie nie miał ochoty mówić tego, co musiał powiedzieć. - To miejsce, gdzie się rozbił samolot.

- Że co? - zdumiał się Sea Dogs.

Zanim Barbie zdążył odpowiedzieć, piętnaście metrów nad ich głowami zabił się wilgowron. Uderzył w nic, a w każdym razie oni nie widzieli niczego, w co by mógł uderzyć, i spadł na ziemię niedaleko mewy.

- Widział pan? - odezwał się Sea Dogs.

Barbie pokiwał głową, a potem wskazał ścieżkę płonącej trawy po swojej lewej ręce. Unosił się z niej, podobnie jak z kilku kęp trawy po prawej strome szosy, gęsty czarny dym, który łączył się z tumanem z rozbitej seneki. Ogień się nie rozprzestrzeniał, bo poprzedniego dnia spadł ulewny deszcz, więc trawa była ciągle wilgotna. I całe szczęście, w przeciwnym razie z obu stron już by pędziły wozy strażackie.

- Widzi pan? - spytał Barbie. Sea Dogs przyjrzał się uważnie.

- Widzę, cholera.

Ogień wypalił jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych trawy, przesuając się stale w jedną stronę, aż dotarł prawie do miejsca, gdzie stali naprzeciwko siebie Barbie i Sea Dogs. Tam się rozlał na boki - na zachód do krawędzi szosy i na wschód po pastwisku. Tyle że nie, jak to zwykle bywa - tu trochę bardziej, tam nieco mniej - ale jakby go kto nożem uciął.

Nad głowami mężczyzn pojawiła się kolejna mewa. Ta, dla odmiany, leciała z Mill do Motton.

- Niech pan uważa - ostrzegł Sea Dogs.

- Może przeleci - powiedział Barbie. Spojrzał w górę, osłaniając oczy. - Może to coś zatrzymuje tylko ptaki lecące z południa.

- Jak tak sobie myślę o tym samolocie, to raczej wątpię - stwierdził Sea Dogs.

W jego głosie brzmiało zakłopotanie.

Wylatująca z miasta mewa uderzyła w niewidzialną barierę i spadła dokładnie na

największą stertę pozostałości z płonącego samolotu.

- Stopuje w obie strony - stwierdził Sea Dogs tonem człowieka, który otrzymał potwierdzenie swojego głębokiego, ale dotąd nieuzasadnionego przekonania. - Na pewno jakieś pole siłowe, jak w „Star Trick”.

- „Trek” - poprawił go Barbie. - Co?

- Oż cholera... - Barbie patrzył na coś za plecami swego rozmówcy.

- Co? - Sea Dogs obejrzał się przez ramię. - Jasny szlag! Nadjeżdżała ciężarówka. Wielka. Wylądowana gigantycznymi drewnianymi kłodami zdrowo ponad wszelkie limity. I dozwoloną szybkość też przekraczała znacznie. Barbie odruchowo zaczął liczyć, jaką drogę hamowania ma taki kolos, ale szybko uznał, że niczego się nie doliczy.

Sea Dogs ruszył sprintem do swojej toyoty, którą zostawił skośnie na przerywanej linii środkowej. Facet za kierownicą ciężarówki pewnie był na prochach albo upalony, a może po prostu młody i się śpieszył, więc igrał ze śmiercią. Grunt, że zobaczywszy właściciela toyoty, nawet nie zwolnił, tylko zatrafił.

- Ja chromo! - wrzasnął Sea Dogs, wskakując za kółko. Silnik zapalił przy pierwszym obrocie kluczyka, samochód zjechał z drogi przy wtórze kłapięcia zatraskujących się drzwiczek od strony kierowcy. Niewielki SUV wjechał do rowu na poboczu i tam utknął z kwadratowym nosem wzniesionym ku niebu. W tej samej sekundzie Sea Dogs wyskoczył z auta. Potknął się, wylądował na jednym kolanie, ale zaraz się zerwał i co sił w nogach pognął w pole.

Barbie, myśląc o samolocie i o ptakach oraz o tej dziwacznej czarnej smudze, która mogła być miejscem zderzenia samolotu z kloszem, także uciekł, na łąkę. Z początku biegł przez niskie, leniwe płomienie, wzbijając w górę obłoczki czarnego popiołu. Gdzieś tam zobaczył męski but sportowy. Na pewno męski, bo na damski był za duży. W środku nadal tkwiła stopa.

Pilot, pomyślał.

A potem jeszcze: Ciskam się bez sensu we wszystkie strony...

- Hamuj, kretynie, hamuj! - krzyknął do kierowcy Sea Dogs piskliwym głosem podszytym strachem.

Za późno już było na dobre rady.

Barbie odruchowo spojrział przez ramię. Wydało mu się, że ciężarówka przyhamowała. Pewnie kierowca dostrzegł wrak samolotu. Tak czy inaczej nic już nie mogło mu pomóc. Uderzył w niewidoczną przeszkodę od strony Morton z prędkością co najmniej stu kilometrów na godzinę, mając na pace najmarniej dwadzieścia ton. Kabina przestała istnieć w

mgnieniu oka, a przeładowana naczepa, niewolnica praw fizyki, nadal parła do przodu. Zbiorniki paliwa szorowały po asfalcie, iskrząc. Kiedy wybuchły, ładunek wyprysnął w powietrze, uderzając w klosz nad szoferką zmienioną w zieloną metalową harmonię. Gigantyczne pnie leciały do przodu i w górę, uderzały w niewidoczną barierę i spadały na ziemię. Ogień i czarny dym wytrysnęły w górę potężnym gejzerem. Potworny huk przetoczył się przez okolicę jak kamienny głaz. Drewniane kłody spadały po stronie Motton, lądowały na jezdni i na polu jak patyczki od gigantycznych bierek. Jedna trafiła w dach suwa, zmiażdżyła autko na płasko, na maskę posypał się diamentowy deszcz szkła z przedniej szyby. Inny kloc wylądował tuż przed Sea Dogsem.

Barbie stanął. Patrzył.

Sea Dogs poderwał się na nogi, upadł, chwycił się pnia, który omal nie pozbawił go życia, i ponownie stanął. Chwiał się, wzrok miał nieprzytomny. Barbie ruszył do niego, ale po dziesięciu krokach zderzył się z ceglany murem. W każdym razie takie odniósł wrażenie. Zatoczył się do tyłu, po ustach spłynęła mu ciepła kaskada krwi z nosa. Otarł ją dłonią, popatrzył na rękę z niedowierzaniem i wytarł w koszulę.

Teraz już z obu stron podjeżdżały samochody - od Motton i od Chester's Mill. Trzy postacie, ciągle jeszcze niewielkie, biegły przez łąki od strony budynku stojącego na ich przeciwległym krańcu. Kilku kierowców wciskało klakson, jakby to mogło rozwiązać wszystkie problemy. Pierwszy samochód, który zbliżył się od strony Motton, stanął na poboczu, w przyzwoitej odległości od płonącej ciężarówki. Dwie kobiety, które z niego wysiadły, gapily się na słup dymu i ognia, osłaniając oczy.

7

- O szlag - odezwał się Sea Dogs głosem cichym, niepewnym. Ruszył do Barbiego przez pole, na ukos, przezornie trzymając się z dala od płonącego stosu.

Barbie pomyślał wtedy, że kierowca ciężarówki przynajmniej miał pogrzeb jak jakiś ważny wiking.

- Pan widział, gdzie ten pień huknął? - odezwał się Sea Dogs. - Mało mnie nie trafił! Zmiażdżyłby mnie na miejscu! Jak robaka.

- Ma pan komórkę? - Barbie musiał podnieść głos, żeby się przebić przez wściekle huczące płomienie.

- W wozie - odparł starszy gość. - Przynieść?

- Zaraz, niech pan zaczeka. - Barbie nagle sobie uświadomił z niekłamaną ulgą, że wszystko, co właśnie przeżywa, jest po prostu snem. Bywa niekiedy, że we śnie człowiek

jeździ rowerem pod wodą albo rozprawia o swoim życiu seksualnym w językach, których się nigdy nie uczył, i wszystko to wydaje się całkiem normalne.

Pierwszą osobą, jaka pojawiła się po jego stronie bariery, był puciołowaty mężczyzna w starym pikapie. Barbie znał go z restauracji Sweetbriar Rose: to Ernie Calvert, poprzedni szef supermarketu Food City, teraz już na emeryturze. Ernie gapił się na płonący stos na drodze szeroko otwartymi oczami, ale miał w ręku telefon komórkowy i nadawał w trybie ekspresowym. Barbie ledwo go słyszał przez ryk ognia z ciężarówki, lecz dotarły do niego słowa „wygląda bardzo poważnie”, więc założył, że Ernie zawiadomił policję. Albo straż pożarną. Jeśli tę drugą, to należało mieć nadzieję, że jednostkę z Castle Rock. Co prawda w schludnej remizie Chester's Mill stały dwa wozy, ale gdyby się pojawiły od tej strony, mogłyby co najwyżej ugasić trawę, która i tak powoli przygasła. Płonąca ciężarówka była bardzo blisko, lecz do niej raczej nie zdołają się dostać.

To tylko sen, powiedział sobie Barbie. Wystarczy to powtarzać dość często, żeby się wreszcie obudzić.

Do dwóch kobiet po stronie Morton dołączyło kilku mężczyzn. Oni także przyglądali się płonącej ciężarówce, osłaniając oczy. Samochody stały już na obu poboczach. Ludzi przybywało z każdą chwilą. Zaczął się tworzyć tłum. To samo działo się po stronie Chester's Mill. Trochę jakby otwarto dwa konkurujące ze sobą pchle targi, oba pełne kuszących towarów - jeden po stronie Motton, drugi jeszcze w granicach Chester's Mill.

Dotarło na miejsce trio z farmy: właściciel i jego dwóch nastoletnich synów. Chłopcy biegli bez wysiłku, farmer miał czerwoną twarz i dyszał.

- Jasna cholera! - wyrwało się starszemu nastolatkowi.

Ojciec trzepnął go po głowie, ale chłopak prawie tego nie zauważył. Oczy wychodziły mu z orbit. Młodszy wyciągnął do niego rękę, a kiedy brat ją wziął, mały zaczął płakać.

- Co się stało? - zapytał farmer Barbiego, robiąc przerwę na głęboki wdech między „co się” a „stało”.

Barbie go zignorował. Ruszył w stronę Sea Dogs. Prawą rękę wysunął przed siebie w geście nakazującym zatrzymanie. Sea Dogs bez słowa zrobił to samo. Gdy Barbie dotarł do miejsca, w którym spodziewał się bariery, a wystarczyło tylko spojrzeć na dziwaczną prościuteńką i gładką krawędź wypalanej trawy, żeby znaleźć to miejsce, zwolnił. Już załatwił sobie twarz. Nie zamierzał powtórzyć tego numeru.

Raptem dostał gęsiej skórki. Od stóp do głów. Aż mu się włosy na karku zjeżyły. Jądra mu się skurczyły, w ustach poczuł metaliczny smak. Półtora metra dalej Sea Dogs patrzył na niego coraz większymi oczami. Jeszcze się zbliżali.

- Poczł pan to?

- Tak - odpowiedział Barbie. - Ale juź zniknęło. A tam?

- Też - potwierdził Sea Dogs.

Ich wyciągnięte dłonie prawie się zetknęły. Barbiemu znowu przyszła na myśl tafla szkła. Na szybie można tak ułożyć dłonie: palce w tym samym miejscu, a jednak się nie dotykają.

Cofnął rękę. Wcześniej otarł nią krwawiący nos, teraz zobaczył czerwone odciski własnych palców wiszące w powietrzu. Na jego oczach krew zaczęła spływać. Dokładnie tak by spływała po szkłe.

- Rany boskie, co to jest? - szepnął Sea Dogs.

Barbie nie wiedział. Zanim zdążył się odezwać, stuknął go w ramię Ernie Calvert.

- Wezwałęm gliny - rzekł. - Przyjadą. A w straży pożarnej nikt nie odbiera. Automat każe się łączyć z Castle Rock.

- Niech będzie Castle Rock - powiedział Barbie.

Kolejny ptak spadł na ziemię jakieś pięć metrów od nich, zniknął w wysokiej trawie. Na ten widok Barbiemu przyszła do głowy nowa myśl, zapewne podsunięta przez doświadczenie, jakie zdobył swego czasu, biegając z bronią na drugim końcu świata.

- Ale chyba najpierw niech pan zadzwoni do Narodowej Straży Powietrznej w Bangor.

Ernie zamrugął z niedowierzaniem.

- Po co?

- Tylko oni mogą zakazać lotów nad Chester's Mill - wyjaśnił Barbie. - A zdaje mi się, że im szybciej, tym lepiej.

OD CHOLERY MARTWYCH PTAKÓW

1

Komendant policji w Mill nie usłyszał żadnej z dwóch eksplozji, chociaż był przed swoim domem na Morin Street i grabił liście. Na masce hondy jego żony stało przenośne radio, z którego płynęła muzyka sakralna nadawana przez stację WCIK. Był to skrót od słów *Where Christ Is King*, czyli „Gdzie Chrystus jest królem”, a młodszy obywatele miasta nazywali rozgłośnie radiem jezusowym. Poza wszystkim innym komendant nie miał już takiego słuchu jak kiedyś i nic w tym dziwnego, skoro skończył sześćdziesiąt siedem lat.

Syreny policyjne jednak usłyszał od razu. Był na nie uwrażliwiony jak matka na płacz dziecka. Howard Perkins umiał nawet powiedzieć, który samochód słyszał oraz kto siedzi za kierownicą. Tylko trójka i czwórka nadal miały stare syreny, a trójkę Johnny Trent zabrał do Castle Rock na ćwiczenia straży pożarnej. Nazywali to „pożarem kontrolowanym”, ale w zasadzie chodziło o to, żeby dorośli faceci mieli pretekst do zabawy. Wobec tego z pewnością była to czwórka, jeden z dwóch pozostałych dodge'ów, a za kierownicą siedział Henry Morrisom Komendant przestał grabić, stał z przechyloną głową. Gdy syrena zaczęła się oddalać, wrócił do przerwanej zajęcia. Wtedy na stopniach prowadzących do wejścia stanęła Brenda. Prawie wszyscy w Mill zwracali się do komendanta Duke - został mu ten przydomek jako relikw z czasów szkolnych, gdy uwielbiał Johna Wayne'a, natomiast ona wkrótce po ślubie zaczęła się zwracać do niego zdrobnieniem, za którym nie przepadał.

- Howie, nie ma prądu. I coś wybuchło.

Howie. Wiecznie Howie. Jak do psa. Starał traktować tę sprawę z chrześcijańską wyrozumiałością... diabła tam! Traktował tę sprawę z chrześcijańską wyrozumiałością, ale czasami przychodziło mu do głowy, że to przydomek było przynajmniej w części odpowiedzialne za to, że od jakiegoś czasu nosił w klatce piersiowej niewielkie urządzenie.

- Co?

Brenda przewróciła oczami, zamasztyłym krokiem podeszła do radia na masce samochodu i wcisnęła przycisk zasilania, ucinając w połowie pieśń „What a Friend We Have in Jesus” wykonywaną przez chór Normana Luboffa.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś tego nie stawiał na masce mojego wozu? Podrapiesz mi lakier i dostanę mniejszą kwotę przy sprzedaży.

- Wybacz, Bren. Co mówiłaś?

- Prądu nie ma! I coś wybuchło. Pewnie dlatego Johnny Trent pojechał.

- To był Henry. Johnny jest w Rock ze strażą.

- Tak czy inaczej...

Odezwała się druga syrena, nowsza, „ptaszek Tweety”, jak nazywał je Duke Perkins. Na pewno dwójka, z Jackie Wettington. Musi być Jackie, skoro Randolph pilnuje interesu. Na pewno siedzi za biurkiem, nogi położył na blacie i buja się na tylnych nogach krzesła, czytając „Democrata”. Albo siedzi na kiblu. Peter Randolph był dobrym gliniarzem i potrafił być twardy, ale Duke go nie lubił. Po części dlatego, że tamten był wyraźnie człowiekiem Jima Renniego, a trochę z tego powodu, że Randolph bywał niekiedy twardszy, niż należało, lecz najbardziej dlatego, że miał Randolpha za lenia, a Duke Perkins nie znosił leniwych policjantów.

Brenda przyglądała mu się uważnie. Była żoną policjanta od czterdziestu trzech lat, więc doskonale wiedziała, że dwa wybuchy plus dwie syreny i do tego brak prądu nie wróżą nic dobrego. Zdziwiłaby się, gdyby Howiemu udało się w ten weekend oczyścić trawnik albo posłuchać, jak Twin Mills Wildcats, jego ulubiona drużyna, rozgrywa mecz futbolu z zespołem z Castle Rock.

- Lepiej jedź - powiedziała. - Coś się zaważyło. Mam nadzieję, że nikt nie zginął.

Duke odpiął komórkę od paska. Nieszczęsne urządzenie zwisało mu tam od rana do wieczora jak pijawka, ale musiał przyznać, że było użyteczne. Nie wybrał numeru, ot stał, patrzył na telefon i czekał, aż zadzwoni.

Tymczasem odezwała się kolejna syrena z gatunku „ptaszek Tweety”. Wóz numer jeden. W końcu jednak i Randolph ruszył tyłek.

Co oznaczało naprawdę poważne komplikacje. Duke uznał, że telefon już nie zadzwoni, i właśnie miał go przytwierdzić z powrotem do paska, gdy odezwał się sygnał. Stacey Moggin.

- Stacey?! - Wiedział, że nie musi wrzeszczeć w to nieszczęsne urządzenie, Brenda powtarzała mu to ze sto razy, ale inaczej nie umiał. - Co robisz na posterunku w sobotę ra...

- Jestem w domu. Peter prosił, by ci przekazać, że dostał wezwanie na sto dziewiętnastą i że jest paskudnie. Jego zdaniem samolot zderzył się z ciężarówką. - W głosie policjantki brzmiało powątpiewanie. - Nie bardzo wiem, jak to się mogło stać, ale...

Samolot. Słodki Jezu. A przecież dopiero co, najwyżej pięć minut temu, kiedy grabił liście i śpiewał „How Great Thou Art”...

- Stacey, czy to Chuck Thompson? Widziałem jego senece. Leciała dość nisko.

- Nie wiem. Powtórzyłam wszystko, co powiedział Peter.

Brenda, mądra kobieta, już przestawiała samochód, żeby mąż mógł wyjechać na podjazd służbowym autem w kolorze leśnej zieleni. Przenośne radyjko postawiła obok stertki zgrabionych liści.

- Rozumiem - rzucił Duke. - A, Stacey, u ciebie też nie ma prądu?

- Nie ma. I telefony stacjonarne siadły. Dzwonię z komórki. Chyba jest naprawdę źle.

- Obyś się myliła. Możesz podjechać na posterunek? Założę się, że został otwarty i nie ma tam żywej duszy.

- Będę za pięć minut.

- Świetnie.

Akurat gdy Brenda wróciła na podjazd, włączyły się miejskie syreny alarmowe. Ich pulsujące wycie zawsze przyprawiało Duke'a Perkinsa o skurcze żołądka. Mimo wszystko jeszcze przytulił żonę. Nigdy nie zapomniła, że znalazł na to czas.

- Nie przejmuj się, Brennie - powiedział. - Syrena jest zaprogramowana tak, żeby dawała znać o powszechnej awarii zasilania. Ucichnie za trzy minuty. Albo za cztery, nigdy nie pamiętam.

- Wiem, wiem, po prostu jej nie znoszę. Pamiętasz, jak ten kretyn Andy Sanders włączył syreny po ataku na World Trade Center? Całkiem jakbyśmy byli następnymi na liście terrorystów.

Duke pokiwał głową.

Rzeczywiście, Andy Sanders był idiotą. Niestety był również przewodniczącym Rady Miejskiej, przypominał wesółkowatego Mortimera Snerda z muppetów, tyle że siedział na kolanach Dużego Jima Renniego.

- Kochanie, muszę jechać.

- Wiem.

Odprowadziła go do samochodu.

- Co się stało? Wiesz już coś?

- Stacey mówi, że na sto dziewiętnastej samolot zderzył się z ciężarówką.

Brenda uśmiechnęła się niepewnie.

- Wolne żarty.

- Chyba że samolot miał awarię silnika i próbował lądować na szosie - powiedział Duke.

Z twarzy Brendy zniknął uśmiech. Przycisnęła prawą pięść do piersi. Ten język ciała Howard znał doskonale. Usiadł za kierownicą, a że jego krążownik szos był relatywnie nowy, fotel ciągle jeszcze dopasowywał się do kształtu pośladków. Mimo że Duke Perkins nie był

mężczyzną wagi lekkiej.

- W dzień wolny od pracy! - Brenda załamała ręce. - Wstydu nie mają. A przecież mógłbyś już być na emeryturze...

- Cóż, będą musieli znieść mój widok w stroju weekendowym - odparł i uśmiechnął się do niej szeroko. Ten uśmiech nie przyszedł mu łatwo. Wiedział, że ma przed sobą trudny dzień. - Tak jak stoję, dobry Boże, tak jak stoję. Zostaw mi w lodówce jakąś kanapkę albo lepiej dwie, dobrze?

- Jedną. Tyjesz ostatnio. Nawet doktor Haskell to zauważył, a on przecież nigdy nikogo nie beszta.

- Niech będzie jedna. - Wrzucił wsteczny bieg i zaraz przestawił skrzynię z powrotem na parkowanie. Wychylił się przez okno.

Brenda zorientowała się, że chce ją pocałować. Ucałowała go z całego serca. Wycie syreny miejskiej niosło się przez rześki październikowy ranek, a Duke pogładził żonę po szyi. Dawno już tego nie robił, a zawsze przyprawiało ją to o rozkoszne dreszcze.

Ten gest w blasku słońca. Nigdy go nie zapomniała.

Gdy Howie cofał wóz na podjeździe, coś jeszcze zawołała. Nie wszystko zrozumiał. Naprawdę czas do specjalisty, zbadać uszy i jeśli trzeba, zacząć nosić aparat słuchowy, chociaż to pewnie będzie kropla przepelniająca dzban i doprowadzi do tego, że dostanie od Randolpha i Dużego Jima pożegnalnego kopa w podstarzały tyłek.

Zahamował, wystawił głowę przez okno.

- Na co mam uważać?

- Na rozrusznik! - zawołała ze śmiechem. Nieco wymuszonym. Nadal czuła jego dłoń na szyi, gładzącą skórę, gładką i elastyczną, jaką miała, tak się jej zdawało, zaledwie wczoraj. A może to było przedwczoraj, kiedy razem słuchali KC and the Sunshine Band, a nie radia jezusowego.

- Nie bój nic! - odkrzyknął i pojechał.

Kiedy go zobaczyła następnym razem, był martwy.

2

Billy i Wanda Debec w ogóle nie usłyszeli podwójnej eksplozji. Po pierwsze dlatego, że byli na szosie numer sto siedemnaście, po drugie - ponieważ się kłócili. Sprzeczka wybuchła z błahego powodu - Wanda zauważyła, że dzień jest piękny, a Billy jej na to odpowiedział, że męczy go potworny ból głowy, poza tym całkiem nie rozumie, po co mają jechać na sobotni pchli targ do Oxford Hills, przecież będzie tam taki sam śmietnik jak

zwykle.

Wanda powiedziała, że nie cierpiałby na ból głowy, gdyby poprzedniego wieczora nie wlał w siebie dziesięciu puszek piwa.

Wtedy Billy zapytał, czy policzyła puszki w koszu z odpadami ekologicznymi. Trzeba przyznać, Billy zawsze pił w domu i niezależnie od tego, jak bardzo był napruty, zawsze wrzucał puszki do pojemnika na surowce wtórne. Oba te fakty, podobnie jak wykonywany zawód elektryka, napępiały go dumą.

Wanda stwierdziła, że oczywiście policzyła. Mało tego...

I tak dalej.

Zanim dotarli do marketu Patela w Castle Rock, przeszli od „za dużo pijesz” z jednej strony i „wszystkiego się czepiasz” z drugiej, do „mama mnie ostrzegła, żebyś za siebie nie wychodziła” oraz „ale jesteś wredna”. W ciągu ostatnich dwóch lat poznali ten wzór tak dobrze, że już stał się nudny, lecz tego ranka Billy nagle poczuł, iż ma stanowczo dosyć. Wjechał na zadaszony parking przed sklepem, nie sygnalizując manewru ani nie zwalniając, i zawinął z powrotem na sto siedemnastą bez jednego spojrzenia w lusterko wsteczne albo chociaż przez ramię. Jadąca za nim Nora Robichaud zatrąbiła. Jej przyjaciółka Elsa Andrews cmoknęła z dezaprobatą. W milczeniu wymieniły znaczące spojrzenia. Emerytowane pielęgniarki znały się tak długo, że w podobnych sytuacjach nie potrzebowały słów.

Tymczasem Wanda zapytała Billy'ego, dokąd jedzie.

Billy odpowiedział, że do domu, bo ma ochotę się zdrzemnąć. A ona jak chce, to może sobie pojechać na ten cholerny targ sama.

Wanda zauważyła, że omal nie zderzył się z samochodem dwóch starszych pań.

Rzeczony starsze panie szybko zostawały z tyłu, ponieważ Nora Robichaud uważała, że jeśli nie ma cholernie ważnej przyczyny, rozwijanie prędkości powyżej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę jest kuszeniem losu.

Billy stwierdził, że Wanda wygląda jak jej matka i mówi też jak jej matka.

Wanda poprosiła, żeby wyjaśnił, co właściwie przez to rozumie.

Billy skonkretyzował: córka ma dupę równie tłustą jak matka i tak samo jak ona zmijowaty jęzor.

Wanda powiedziała Billy'emu, że wychodzi z niego kac.

Billy powiedział Wandzie, że jest brzydka jak noc.

Wymieniali się wrażeniami bez oporów i zanim przekroczyli granicę między Castle Rock a Motton, zbliżając się do niewidzialnej bariery, która zaistniała wkrótce po tym, jak Wanda zaczęła tę ożywioną dyskusję stwierdzeniem, że dzień jest piękny, Billy jechał starym

chevym zdrowo ponad setkę.

- Co to za dym? - spytała nagle Wanda, wskazując na północny wschód, w stronę szosy sto dziewiętnaście.

- Bo ja wiem? - zastanowił się Billy głośno. - Moja teściowa pierdnęła? - Zaśmiał się z własnego dowcipu.

Wtedy Wanda Debec uświadomiła sobie, że ma serdecznie dosyć, i dzięki temu odkryciu zobaczyła swój świat i przyszłość klarownie jak za sprawą czarów. Akurat się odwracała do męża ze słowami „chcę rozwodu” na końcu języka, gdy dotarli do granicy między Motton a Chester's Mill i uderzyli w barierę. Chevy był, co prawda, wyposażony w poduszki powietrzne, ale ta przed Billym nie wybuchła wcale, ta po stronie Wandy zaś nie wyszła w całości. Kierownica wyrznęła w klatkę piersiową Billy'ego, a kolumna kierownicy zmiądzzyła mu serce. Umarł niemal natychmiast.

Wanda uderzyła głową w deskę rozdzielczą, przesuwający się blok silnika złamał jej nogę (lewą) oraz rękę (prawą). Nie zdawała sobie sprawy z bólu, wiedziała tylko, że klakson wyje nieprzerwanie, samochód raptem znalazł się skosem na linii środkowej szosy i przód ma prawie całkiem spłaszczony, a ona widzi wszystko na czerwono.

Gdy Nora Robichaud i Elsa Andrews minęły zakręt, prowadząc ożywioną dyskusję na temat dymu unoszącego się od kilku minut na północnym wschodzie i gratulując sobie wzajemnie, że wybrały mniej zatłoczoną drogę, ofiara wypadku czołgała się na łokciach wzdłuż białej linii na asfalcie. Krew spływała jej po twarzy czerwoną płachtą, bo Wanda Debec została połowicznie oskalpowana przez fragment przedniej szyby i wielki kawał skóry zwiślał jej po lewej stronie głowy jak źle umiejscowiony policzek.

Nora i Elsa spojrzały po sobie ponuro.

- Niezły bigos - powiedziała Nora. I tyle.

Elsa wysiadła w chwili, gdy wóz się zatrzymał, i pobiegła do rannej. Jak na swój wiek, a właśnie skończyła lat siedemdziesiąt, była całkiem żwawa.

Nora wrzuciła jałowy bieg i też wybiegła z samochodu. We dwie przetransportowały Wandę do starego, lecz doskonale utrzymanego mercedesa Normy. Żakiet rannej zmienił kolor z czekoladowego na brudnoszary, jej ręce wyglądały na oblane czerwoną farbą.

- Zie Billy? - wyjąkała Wanda.

Nora spostrzegła, że biedaczka ma wybite prawie wszystkie zęby. Trzy przyczepiły się do ubrania.

- Zie Billy? - powtórzyła ranna. - So s nim? So sie stało?

- Wszystko w porządku. Ty też dasz radę - stwierdziła Nora, po czym spojrzała

pytając na Else.

Elsa kiwnęła głową i pośpieszyła do chevy'ego, częściowo ukrytego za parą buchającą z pękniętej chłodnicy. Wystarczyło jej spojrzeć przez otwarte drzwi pasażera, wiszące na jednym zawiasie, by dzięki czterdziestoletniemu doświadczeniu w zawodzie pielęgniarki (ostatni pracodawca: Ron Haskell, MD, gdzie skrót należało tłumaczyć: medyczny dureń) stwierdzić, że z Billym wcale nie było w porządku. Młoda kobieta z połową włosów zwisającą razem ze skórą obok głowy właśnie została wdową.

Elsa wróciła do mercedesa i wsunęła się na tylne siedzenie obok rannej, która zaczynała tracić przytomność.

- Kierowca nie żyje - zawiadomiła Norę. - I ona też nie pożyje długo, jeśli nie dotrzemy błyskawicznie do szpitala.

- No to trzymaj się wiatru - rzuciła Nora i wcisnęła gaz do dechy. Mercedes miał przyzwoity silnik, żwawo skoczył do przodu. Nora ominęła chevroleta Debeców i ciągle jeszcze przyśpieszając, wyrzuciła w niewidoczną przeszkodę. Po raz pierwszy od dwudziestu lat nie zapięła pasów. Wyleciała przez przednią szybę i skręciła kark, uderzywszy w niewidzialną barierę. Młodą kobietę wyrzuciło między przednimi siedzeniami mercedesa przez roztrzaskaną przednią szybę. Wylądowała na masce, twarzą do dołu, z dziwnie wykręconymi, czerwonymi od krwi nogami. Stopy miała bose. Mokasyny (kupione na ostatnim targu w Oxford Hills, na jakim dane jej było się zjawić) straciła w czasie pierwszego wypadku.

Elsa Andrews uderzyła w tył fotela kierowcy, po czym odrzuciło ją na oparcie tylnego siedzenia. Była oszołomiona, lecz względnie cała. W pierwszej chwili nie mogła otworzyć drzwi, ale gdy z całej siły pchnęła je ramieniem, ustąpiły. Wysunęła się z wozu, spojrzała na wrak. Na kałuże krwi. Na zmiążdżonego chevy'ego, z którego nadal wydobywała się para.

- Co się stało? - spytała.

Takie samo pytanie zadała wcześniej Wanda, choć Elsa tego nie pamiętała. Stojąc pośród kawałków chromu i zakrwawionego szkła, przyłożyła lewą rękę do czoła, jakby sprawdzała sobie temperaturę.

- Co się stało? - powtórzyła. - Nic nie rozumiem. Nora, kochanie, gdzie jesteś?

I wtedy zobaczyła przyjaciółkę. Krzyknęła przerażona. Wrona przyglądająca się scenie z czubka sosny po stronie Mill odezwała się ochryplym głosem przypominającym szyderczy śmiech.

Pod Elsą ugięły się nogi. Zrobiła krok do tyłu, potem drugi, trzeci, aż oparła się o rozbitą maskę mercedesa.

- Nora, kochanie... Och, Noro...

Coś załaskotało ją w kark. Nie miała pewności, co to takiego, ale chyba kosmyk włosów rannej kobiety. Teraz już martwej kobiety.

A biedna, kochana Nora, z którą zdarzało jej się po kryjomu łyknąć dżinu albo wódki w szpitalnej pralni... chichotały wtedy jak głupiutkie młode dziewczyny... Nora patrzyła bez zmrużenia powiek w jasno świecące słońce. Głowę miała przekrzywioną pod okropnym kątem, jakby umarła, oglądając się przez ramię, chcąc zyskać pewność, że Elsa nie ucierpiała.

A Elsa, która rzeczywiście nie ucierpiała i była jedynie wstrząśnięta, jak za jej czasów mawiano na pogotowiu o szczęściarzach, którym udało się przeżyć, wybuchnęła płaczem. Zsunęła się po karoserii, rozdzierając płaszcz o jakiś metalowy zadziór, i siadła na szosie numer sto siedemnaście. Siedziała tak i płakała, aż natrafił na nią Barbie oraz jego nowy przyjaciel w czapce Sea Dogs.

3

Sea Dogs okazał się emerytowanym sprzedawcą samochodów z jednego z północnych stanów. Nazywał się Paul Gendron i mieszkał w Motton, na farmie odziedziczonej po rodzicach dwa lata wcześniej. Barbie dowiedział się tego - i wielu innych rzeczy - od momentu, gdy wyruszyli z miejsca kolizji na szosie sto dziewiętnaście, do chwili, gdy natrafili na inną katastrofę, nie tak spektakularną, ale wciąż straszną, tam gdzie granicę Mill przekraczała sto siedemnasta. Barbie chętnie by uściskał dłoń Gendrona, ale z takimi sympatycznymi gestami trzeba było się wstrzymać do czasu, gdy znajdą koniec niewidzialnej bariery.

Ernie Calvert uzyskał połączenie z Narodową Strażą Powietrzną w Bangor, lecz kazano mu czekać, aż szef zostanie powiadomiony, czego dotyczy telefon. Tymczasem coraz bliższe wycie syren oznajmiało nadsięgnięcie miejscowych przedstawicieli prawa.

- Straży pożarnej nie będzie - stwierdził farmer, który przybiegł przez pola z dwoma synami. Nazywał się Alden Dinsmore i ciągle jeszcze miał kłopoty z odzyskaniem oddechu. - Pojechali do Castle Rock, spalić jakiś dom dla wprawy. Szkoda, bo tutaj... - Zobaczył, jak jego młodszy syn zbliża się do miejsca, gdzie na czymś odrobinę bardziej materialnym niż rozświetlone powietrze wysychały odciski palców Barbiego. - Rory! Nie podchodź!

Rory, wiedziony ciekawością, zignorował polecenie ojca. Wyciągnął rękę i stuknął w powietrze obok krwawych śladów. Chwilę wcześniej Barbie zobaczył na ręku dzieciaka gęsią skórę, a widział całe ramię, aż po postrzępiony rękaw koszulki Wildcats. Coś tam było na drodze. Coś, co z bliska kopało jak prąd. Raz tylko Barbie miał podobne wrażenie: kiedy

migdalił się z dziewczyną niedaleko wielkiego generatora prądu w Avon na Florydzie.

Dzieciak stuknął w powietrze knykciami. Rozległ się przy tym taki dźwięk, jakby zapukał w rondel z pyreksu. Raptem ucichły rozmowy gapiów obserwujących płonące szczątki ciężarówki. Niektórzy nawet robili zdjęcia telefonami komórkowymi.

- Ale numer - powiedział ktoś.

Alden Dinsmore chwycił syna za koszulkę i odciągnął od dziwnego miejsca, po czym plasnął go po głowie otwartą dłonią, tak samo jak poprzednio starszego chłopaka.

- Żebyś mi się nie ważył! - krzyknął, potrząsając dzieciakiem. - Nie dotykaj, jak nie wiesz, co to takiego!

- Tato, to jest zupełnie jak szkło! To jest...

Dinsmore potrząsnął nim mocniej. Nadal ciężko dyszał, Barbie obawiał się o jego serce.

- Żebyś mi się nie ważył! - powtórzył farmer i pchnął młodszego syna w stronę starszego. - Ollie, pilnuj tego głupola.

- Ta jes - rzucił Ollie i uśmiechnął się krzywo do brata.

Barbie spojrział w stronę Mill. Dostrzegł błyski policyjnych kogutów, ale znacznie bliżej, jakby był najważniejszy z całej grupy, jechał duży czarny wóz przywodzący na myśl trumnę na kołach. Hummer Dużego Jima Renniego. Wszystkie guzy i siniaki na ciele Barbiego, powstałe na parkingu przed Karczmą Dippera, zapulsowały przykrymi wspomnieniami.

Renniego seniora oczywiście nie było na miejscu, za to Junior odegrał rolę najważniejszego prowokatora. Potem Duży Jim zadbał, żeby synowi nie stała się krzywda. A jeśli całe zdarzenie miało uprzykrzyć życie w Mill pewnemu wędrownemu kuchcie, i to na tyle, żeby ten konkretny wędrowny kuchta postanowił się zwinąć i wynieść z miasta - tym lepiej.

Barbie nie miał ochoty spotkać Dużego Jima. Zwłaszcza w towarzystwie glin. Komendant Perkins traktował go całkiem dobrze, ale ten drugi, Randolph, patrzył na niego, jakby Dale Barbie był gównem na eleganckim pantoflu.

Odwrócił się do Sea Dogsa.

- Może się przejdziemy? - zaproponował. - Pan po swojej stronie, ja po swojej? Sprawdzimy, jak daleko to sięga.

- I zejdziemy z oczu nadętym waźniakom? - Gendron też widział hummera. - Ruszajmy, przyjacielu. W którą stronę?

Poszli na zachód, w stronę drogi sto siedemnaście. Końca bariery nie znaleźli, ale widzieli, co spowodowała, opadając. Poodcinała gałęzie z drzew, tworząc prześwity tam, gdzie ich nikt nie prześwietlał. Podzieliła pnie na pół. No i wszędzie było mnóstwo opierzonych trupów.

- Od cholery martwych ptaków - zauważył Gendron. Drżącymi rękami poprawił czapkę. Był blady. - W życiu tyłu nie widziałem.

- Dobrze się pan czuje? - spytał Barbie.

- Fizycznie... w zasadzie tak. Z głową gorzej. Mam wrażenie, że coś mi się poprzestawiało. A pan?

- Tak samo.

Jakieś trzy kilometry na zachód od szosy sto dziewiętnaście dotarli do God Creek Road. Tam znaleźli ciało Boba Rouksa leżące obok traktora z włączonym silnikiem. Barbie instynktownie ruszył w stronę leżącego człowieka i znów uderzył w barierę. Tym razem jednak w ostatniej chwili sobie o niej przypomniał, więc obyło się bez krwotoku z nosa.

Gendron przyklęknął i dotknął groteskowo skrzyżowanej szyi farmera.

- Nie żyje.

- A co to jest to białe dookoła? Te jasne kawałki? Gendron podniósł największy fragment.

- To chyba takie coś komputerowe, co gra. Pewnie się rozleciało, kiedy wpadł na... - Machnął ręką przed siebie. - Na to coś.

Od strony miasta dobiegło ich wycie alarmu, tym razem głośniejsze i bardziej ochryple niż poprzednia syrena.

Gendron rzucił w tamtą stronę krótkie spojrzenie.

- Alarm przeciwpożarowy - powiedział. - Pomoże jak plaster na złamanie...

- Jedzie straż pożarna z Castle Rock - stwierdził Barbie. - Słyszę wozy.

- Tak? No to masz, przyjacielu, lepsze uszy niż ja. Przypomnij mi, jak się nazywasz.

- Dale Barbara. Dla przyjaciół Barbie.

- No dobrze, Barbie, i co teraz?

- Chodźmy dalej. Jemu już nie pomożemy.

- Co prawda, to prawda. Nawet nie ma jak do kogoś zadzwonić. Zostawiłem telefon w samochodzie. Ty nie masz?

W zasadzie Barbie miał, ale też nie przy sobie. Zostawił komórkę w mieszkaniu, które

dopiero co opuścił, razem z kilkoma parami skarpetek, koszulkami, dżinsami i bielizną. Zamierzał zniknąć z miasta, zabierając tylko to, co miał na grzbiecie. No i dobre wspomnienia, a na nie walizki ani chlebaka nie potrzebował.

Sprawa była nieco zbyt skomplikowana, żeby ją wyjaśniać obcemu, więc tylko potrząsnął głową.

Na siedzeniu ciągnika leżał pled. Gendron wyłączył silnik, a pledem przykrył ciało właściciela.

- Mam nadzieję, że kiedy się to stało, słuchał swojego ulubionego kawałka - powiedział.

- Oby - zgodził się Barbie.

- Chodźmy. Trzeba by wreszcie znaleźć koniec tego czegoś. Chętnie bym ci uściskał rękę, przyjacielu. A może nawet wbrew swym zasadom bym ciebie uściskał.

5

Wkrótce po znalezieniu ciała Rouksa, gdy zbliżali się do miejsca wypadku na szosie sto siedemnaście, choć jeszcze o tym nie wiedzieli, doszli do strumyka. Stanęli przy nim, każdy po swojej stronie bariery, przyglądając mu się w pełnej zdumienia ciszy.

W końcu odezwał się Gendron.

- Ożeż jasna cholera!

- Jak to wygląda z drugiej strony? - spytał Barbie.

On ze swojej widział tylko strumień wody, który podnosił się i rozpląwał w poszyciu. Jakby napotkał niewidzialną przeszkodę.

- Nie wiem, jak to opisać... W życiu czegoś takiego nie widziałem. - Gendron umilkł, podrapał się po policzkach, opuszczając brodę, przez co jego końska twarz stała się jeszcze dłuższa, więc wyglądał jak postać z obrazu „Krzyk” Edwarda Muncha. - Chociaż... tak, raz widziałem. Coś mniej więcej podobnego. Kiedyś przyniosłem do domu parkę złotych rybek dla córki. Na szóste urodziny. A może na siódme. Przyniosłem je do domu w plastikowej torebce... Właśnie to wyglądało podobnie. Ta woda na dnie torebki. Tylko że tutaj jest płasko, tamto się wyginało. Woda zatrzymuje się na tym... na tym czymś, potem spływa na boki po twojej stronie przyjacielu.

- Nic się nie przedostaje?

Gendron przykląkł, oparł się na dłoniach, spojrzął na wodę z ukosa.

- Chyba trochę przecieka. Ale niedużo, ledwo ciurka. I tylko woda. Bez żadnych patyków, liści ani niczego takiego.

Poszli dalej, Gendron po swojej, Barbie po swojej stronie. Na razie jeszcze żadnemu z nich nie przyszły do głowy określenia „wewnątrz” i „na zewnątrz”. Jeszcze nie pomyśleli, że bariera może nie mieć końca.

6

Potem dotarli do szosy sto siedemnaście, gdzie wydarzył się kolejny fatalny wypadek. Dwa samochody i przynajmniej dwa trupy, tyle Barbie dostrzegł na pewno. Chyba jeszcze jeden kształt ludzki tkwił za kierownicą starego chevroleta, z którego niewiele zostało. Tyle że tym razem był na miejscu katastrofy także ktoś, kto przeżył. Osoba ta siedziała z pochyloną głową obok zmiążdżonego mercedesa. Paul Gendron podbiegł do niej, a Barbie mógł tylko stać i patrzeć. Kobieta na widok Gendrona zaczęła się podnosić.

- Nie, nie, proszę pani, niech pani siedzi! - zatrzymał ją.

- Chyba nic mi się nie stało. Tylko... jestem wstrząśnięta. - Nie wiedzieć czemu zaczęła się śmiać, choć twarz miała napuchniętą od łez.

Właśnie w tej chwili pojawiło się następne auto, jakiś wyjątkowy wolnochód - na czele kolumny złożonej z trzech czy czterech samochodów prowadzonych przez mocno zniecierpliwionych kierowców. Kierowca pierwszego, zobaczywszy wypadek, zatrzymał wóz. Jadący za nim także stanęli.

Elsa Andrews zdążyła w tym czasie wstać i zadać pytanie, które miało być najczęściej zadawanym pytaniem dnia:

- Co się stało? - Po czym uściśliła: - Co to było? Przecież nie samochód. Nora ominęła go z daleka.

- Nie wiem, proszę pani - odpowiedział Gendron zgodnie z prawdą.

- Zapytaj ją, czy ma komórkę - poprosił Barbie. A potem zawołał do innych: - Proszę państwa, ma ktoś ze sobą telefon?!

- Ja mam - odezwała się jedna z kobiet.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo uwagę wszystkich przyciągnął pulsujący dźwięk. Śmigłowiec.

Barbie i Gendron spojrzeli po sobie z przestraszeniem.

Śmigłowiec był niebiesko - biały, leciał nisko. Chociaż przechylił się w stronę słupa ognia znaczącego miejsce, gdzie na sto dziewiętnastej płonęła ciężarówka, w doskonale czystym powietrzu, które działało prawie jak lupa, wyraźnie widniała duża niebieska trzynastka na burcie. Oraz wielkie oko, stanowiące logo kanału CBS. Innymi słowy - śmigłowiec z telewizyjnych wiadomości, z Portland. Na pewno był w okolicy. Trafił mu się

łakomy kęs, trudno o lepsze warunki do nakręcenia paru scen z wypadku, w sam raz do programu informacyjnego o szóstej.

- Nie... - jęknął Gendron, osłaniając oczy. - Zjeżdżajcie stąd, cholera, won! Wynocha!

- Wynoście się! - zawtórował mu Barbie. - Zawracajcie! Oczywiście nie miało to najmniejszego sensu. I równie całkowicie pozbawione sensu było gwałtowne machanie, które miało oznaczać „zabierajcie się stąd”.

Elsa popatrywała to jednego, to na drugiego, coraz bardziej zdziwiona.

Śmigłowiec zszedł tuż nad wierzchołki drzew, tam zawisł.

- Dobra, chyba się udało - sapnął Gendron. - Tamci też na nich machają, żeby odlecieli. Pilot musiał widzieć...

Właśnie wtedy śmigłowiec ruszył na północ. Miał przelecieć nad łąkami Aldena Dinsmore'a, umożliwić operatorowi zyskanie innego ujęcia. Uderzył w barierę. Barbie zobaczył, jak jeden z wirników odpada. Śmigłowiec zanurkował, opadł, zaczął się obracać. Wszystko jednocześnie. A potem eksplodował, zasypując deszczem ognia szosę i pola po drugiej stronie bariery.

Po stronie Gendrona.

Po zewnętrznej stronie.

7

Junior Rennie wkradł się do swojego rodzinnego domu jak złodziej. Albo jak zjawa. Oczywiście nikogo nie zastał. Ojciec z pewnością był na terenie gigantycznego autokomisu przy szosie sto dziewiętnaście. Frank, przyjaciel Juniora, nazywał to miejsce świętym przybytkiem mamony. Natomiast matka, Francine Rennie, od czterech lat leżała w grobie na Pleasant Ridge Cemetery.

Syreny miejskie wreszcie umilkły, a policyjne ucichły w oddali, gdzieś na południu. W domu panowała błogosławiona cisza.

Połknął dwa imitrekсы, zrzucił ubranie i wziął prysznic. Kiedy spod niego wyszedł, spostrzegł, że na ubraniu jest krew. Teraz już nic nie mógł na to poradzić. Wkopał koszulę i spodnie pod łóżko, zaciągnął zasłony, wpelził na łóżko i naciągnął kołdrę na głowę, tak jak dawniej, kiedy był dzieckiem i bał się potworów z szafy. Dygotał, a w głowie dudniły mu wszystkie piekielne dzwony.

Z drzemki wyrwał go sygnał alarmowy straży pożarnej. Znowu wpadł w dygot, ale przynajmniej głowa bolała znacznie mniej. Przespał się jeszcze trochę, potem zaczął myśleć, co dalej. Samobójstwo nadal wydawało się opcją najbardziej kuszącą. Bo przecież złapią go

na pewno. Teraz już nawet nie mógł tam posprzątać - nie zdążyłby przed powrotem LaDonny i Henry'ego McCainów.

Mógłby uciec... Może by się udało, ale dopiero jak ustanie ból głowy. No i oczywiście trzeba by się ubrać. Nie sposób zaczynać życia uciekiniera na golasa.

Podsumowując, samobójstwo nadal wyglądało najlepiej. Tyle że w takim wypadku ten pieprzony kuchta byłby górą. A jak się dobrze zastanowić, to właśnie on był wszystkiemu winien.

W którymś momencie alarm straży pożarnej ucichł. Junior zasnął z głową pod kołdrą. Obudził się o dwudziestej pierwszej. Ból głowy przeszedł.

W domu nadal nie było nikogo.

ROZPSIJUCHA

1

Kiedy Duży Jim Rennie zatrzymał z piskiem opon swojego hummera H3 alpha (kolor - czarna perła, wyposażenie - kompletne), gliniarze byli za nim dobre trzy minuty, czyli właśnie tak jak lubił. Jego życiowe motto brzmiało: „Zawsze wyprzedzaj konkurencję”.

Ernie Calvert trzymał w ręku telefon, ale podniósł dłoń w połowicznym geście powitania. Włosy miał w nieładzie, przywodził na myśl szaleńca.

- Yo, Duży Jim, czekam na połączenie!

- Z kim? - spytał Rennie, nie zwracając na niego większej uwagi.

Przyglądał się płonącej ciężarówce oraz szczątkom samolotu. Fatalna sprawa, mogły z tego być niemałe kłopoty, skoro dwa najnowsze wozy strażackie przebywały aktualnie w Rock. Rennie osobiście zgodził się na ich wyjazd na ćwiczenia... ale na dokumentach znajdował się podpis Andy'ego Sandersa, ponieważ Andy był przewodniczącym Rady Miejskiej. I właśnie o to chodziło. Rennie był żarliwym wyznawcą teorii asekuracyjnej. Będąc zastępcą przewodniczącego, stanowił wzorcowy przykład asekuracji stosowanej: miał nieograniczoną władzę, przynajmniej dopóki stanowisko przewodniczącego zajmowała taka gnida jak Sanders, a nie ponosił praktycznie żadnej odpowiedzialności, jeśli ewentualnie coś się zawaliło.

Rennie w wieku lat szesnastu oddał serce Jezusowi i od tamtej pory nie używał wulgarnego języka, wobec czego sytuację, jaką tutaj zastał, nazwałby rozpsiajuchą. Teraz należało podjąć odpowiednie kroki. Opanować sytuację. A na tego starego pryka, Howarda Perkinsa, oczywiście nie sposób było liczyć. Perkins może był niezłym szefem policji przed dwudziestu laty, ale tymczasem nastał nowy wiek.

Duży Jim Rennie obejrzał miejsce wypadku i mocniej ściągnął brwi. Za dużo gapiów. Jak zawsze przy takich okazjach - ludzie kochają krew i tragedię. Niektórzy zachowywali się, jakby grali w jakąś kuriozalną grę polegającą na sprawdzeniu, jak daleko zdołają się wychylić.

Dziwne.

- Cofnąć się! - zawołał. Miał głos stworzony do wydawania rozkazów, mocny i stanowczy. - Cofnąć się od miejsca wypadku!

Ernie Calvert, kolejny idiota (w mieście się od nich roiło, pewnie jak w każdym innym), pociągnął go za rękaw. Wyglądał na bardzo podekscytowanego.

- Hej, Duży Jim, dodzwoniłem się do ochrony powietrznej i...

- Do kogo? Co takiego? Jak to?

- Do Narodowej Straży Powietrznej!

Coraz gorzej. Tutaj ludzie najwyraźniej świetnie się bawią, a ten głupek wzywa...

- Ernie, a dlaczego, na litość boską, zadzwoniłeś do nich?

- Bo on powiedział... tamten facet... - Ernie jakoś nie mógł sobie przypomnieć, co dokładnie Barbie powiedział, więc w końcu pominął tę kwestię. - Jakiś pułkownik wysłuchał mnie i przełączył do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Portland. Bezzwłocznie!

Rennie przyłożył dłonie do policzków. Często tak robił, gdy był zirytowany. Niekiedy też opowiadał dowcipy, zawsze przyzwoite. Żartował, ponieważ sprzedawał używane samochody, a także dlatego, że właśnie takiego zachowania ludzie spodziewają się po politykach, zwłaszcza gdy nadciąga czas wyborów. Zawsze miał na podorędziu niewielki zapas anegdotek. Wykuł je na pamięć, podobnie jak turysta wybierający się do obcego kraju zapamiętuje zdania: „Gdzie znajdę toaletę?” albo „Czy w tym mieście jest hotel z Internetem?”.

Teraz jednak stracił ochotę na żarty.

- Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego! A w jakim celu wykonałeś to takie siakie owakie połączenie? - „Takie siakie owakie” było jego ulubionym wyrażeniem.

- Bo tamten młodziak powiedział, że coś jest na drodze. Jim, naprawdę coś jest! Niewidzialne! Można się o to oprzeć, wiesz? O, patrz, teraz też ludzie się opierają. Albo... na przykład jeśli rzucisz kamieniem, to się od tego odbije! Patrz!

Ernie podniósł kamień i rzucił nim przed siebie. Rennie nie pofatygował się, żeby przenieść spojrzenie w tamtą stronę, uznał, że jeśli Pocisk trafi w któregoś z gapiów, rozlegnie się głośny wrzask.

- Wpadła na to ciężarówka - podjął Ernie - na to coś... No, to takie... I samolot też. A tamten facet powiedział...

- Wolniej, spokojnie. Jaki facet?

- Ten ze Sweetbriar Rose - wtrącił się Rory Dinsmore. - Robi fantastyczne średnio wysmażone hamburgery. Tata mówi, że teraz bardzo rzadko można dostać średnio wysmażony, bo już nikt nie umie go przyrządzić, a tamten facet potrafi. - Cały się rozpromienił. - Ja wiem, jak on się nazywa.

Twarz Renniego pociemniała groźnie. Ollie Dinsmore wiedział z doświadczenia, że tak wyglądają nauczyciele tuż przed tym, zanim ukarzą ucznia tygodniowym szlabanem.

- Weź się zamknij - warknął na brata. Ale Rory już się rozpędził.

- On się nazywa jak dziewczyna! Barbara!

Akurat kiedy nabieram pewności, że więcej go nie zobaczę, ten... człowiek znowu wyskakuje jak diabeł z pudełka. Kompletnie bezużyteczny i całkowicie nieobliczalny.

Rennie odwrócił się do Erniego Calverta. Policja była tuż - tuż, ale uznał, że jeszcze zdąży zapobiec skutkom najnowszego wariactwa spowodowanego przez Barbarę. Swoją drogą, po nim samym oczywiście ani śladu. Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej wcale nie spodziewał się go spotkać. Tak właśnie działał ten kuchta: mącił, broił, a potem znikał.

- Ernie - odezwał się Duży Jim Rennie - zostałeś wprowadzony w błąd.

Na to wystąpił Alden Dinsmore.

- Proszę pana, nie rozumiem, dlaczego pan tak mówi, skoro pan nie wie, czego on się dowiedział.

Rennie obdarzył go dobrotliwym uśmiechem. A w każdym razie rozciągnął usta na boki.

- Znam Dale'a Barbarę i to mi w zupełności wystarczy. - Odwrócił się ponownie do Erniego Calverta. - Najlepiej zrobisz, jeśli...

- Ciii...

Duży Jim Rennie nie przywykł, żeby go uciszano, zwłaszcza by to robił emerytowany kierownik sklepu spożywczego. Wyłuskał telefon z jego dłoni, zupełnie jakby Ernie był asystentem trzymającym aparat wyłącznie w tym celu.

- Z kim rozmawiam? - odezwał się głos w słuchawce. Zaledwie trzy słowa, lecz tyle wystarczyło, by Rennie się zorientował, że ma do czynienia z jakimś nadętym biurokratą. Bóg świadkiem, miał z takimi do czynienia aż nazbyt często w ciągu trzech dekad na stanowisku urzędnika miejskiego. A federalni byli najgorsi.

- Mówi James Rennie, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Chester's Mill. Z kim mam przyjemność?

- Donald Wozniak, Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. O ile mi wiadomo, macie jakieś kłopoty na drodze numer sto dziewiętnaście. Jakąś barierę.

Barierę? Bariere?! Co za język!

- Został pan źle poinformowany - oznajmił Rennie. - Mamy do czynienia z katastrofą samolotu, jednostki cywilnej i miejscowej - podkreślił - który próbował lądować na drodze i zderzył się z ciężarówką. Sytuacja jest opanowana. Nie potrzebujemy pomocy Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

- Proszę pana - odezwał się farmer - wcale nie tak było. Rennie uciszył go

machnięciem ręki i ruszył w stronę pierwszego wozu policyjnego. Wysiadł z niego Hank Morrison. Wielki, prawie dwa metry wzrostu, ale w zasadzie beużyteczny. Tuż za nim pojawiła się ta babka z wielkimi cyckami, Wethington. Jeszcze gorsza niż Morrison, bo nie dość, że tępa, to na dodatek pyskata. Natomiast za nią Rennie dostrzegł Petera Randolpha. Randolph był zastępcą komendanta i człowiekiem bliskim sercu radnego. Człowiekiem, z którym wszystko można było załatwić. Gdyby Randolph był na służbie tamtej nocy, kiedy Junior popadł w tarapaty na parkingu przed karczmą, szanowny pan Dale Barbara już dawno wyniosłby się z miasta. Mało tego, mógłby nawet wylądować za kratkami w Castle Rock. Renniemu bardzo by taki rozwój zdarzeń odpowiadał.

Tymczasem pracownik Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego - aż dziwne, że śmieli nazywać siebie agentami! - cały czas coś nawijał.

- Bardzo dziękujemy za zainteresowanie, panie Wozner - przerwał mu radny - ale radzimy sobie sami.

Nie żegnając się, wcisnął przycisk kończący połączenie, po czym rzucił aparat Calvertowi.

- Jim, źle zrobiłeś... - zaczął Ernie, ale Rennie go zignorował. Patrzył, jak Randolph zatrzymuje wóz za autem Wethington i wyjmuje pasek gumy do żucia. Już miał zamiar do niego podejść, gdy zmienił zdanie. Niech Randolph się ruszy. Tak powinno być. I tak będzie.

2

- Cześć, Duży Jim. Co się dzieje? - zapytał Randolph.

- Widać gołym okiem. Samolot Chucka Thompsona miał drobną sprzeczkę z ciężarówką. Najwyraźniej żadne nie ustąpiło.

Od Castle Rock zbliżały się syreny. Najprawdopodobniej wozy strażackie. Rennie miał nadzieję, że znajdują się wśród nich dwa nowe i potwornie drogie wozy należące do wyposażenia remizy Chester's Mill. Najlepiej, gdyby nikt się nie zorientował, że wyjechały poza miasto akurat wówczas, gdy były potrzebne. Z nimi na pewno zjawią się karetki i policja.

- Wcale nie - upierał się Alden Dinsmore. - Byłem w ogrodzie, widziałem samolot tuż przed...

- Przydałoby się oczyścić teren z gapiów, nie uważasz? - rzucił Rennie pod adresem Randolpha.

Za ciężarówką urosła ich już całkiem spora grupa. Trzymali się w bezpiecznej odległości od płonących szczątków. Po stronie Mill ludzi było jeszcze więcej. Zaczynało to

wyglądać na jakiś zjazd.

Randolph odwrócił się do Morrisona i Wettington.

- Hank - rzekł, wskazując gapiów z Mill.

Niektórzy rozglądali się wśród rozrzuconych szczątków samolotu. Od czasu do czasu, gdy ktoś znajdował kolejną część ciała, rozlegał się okrzyk przerażenia.

- Sie robi.

- Jackie, a ty... - Randolph zamierzał posłać Wettington do tłumku przy ciężarówce, lecz urwał w pół zdania.

Ludzie po południowej stronie granicy rozdzielającej miasta stali na samych poboczach oraz dalej po obu stronach szosy: po jednej - na łące, po kolana w trawie, a po drugiej - między krzewami. Wszyscy mieli otwarte usta, przez co wyglądali głupio. Taką minę Randolph znał bardzo dobrze, widział ją na tej czy owej twarzy dzień w dzień, a hurtem co roku w marcu, na zgromadzeniu miejskim. Tyle że ci ludzie nie patrzyli na płonąca ciężarówkę. Nawet Peter Randolph - w końcu nie idiota, chociaż też niespecjalnie błyskotliwy, w każdym razie na dłuższą metę, ale tak czy inaczej przynajmniej człowiek, który wie, co dla niego dobre - on też patrzył w to samo miejsce i z takim samym ogłupiałym wyrazem twarzy jak reszta gapiów. I Jackie Wettington też.

Wszyscy patrzyli na dym. Na dym unoszący się z płonącej ciężarówki.

Dym był ciemny i oleisty. Osoby stojące mu na drodze powinny mieć kłopoty z oddychaniem, i to duże, zwłaszcza że z południa wiał lekki wietrzyk. Tymczasem nie działo się nic podobnego. I Rennie szybko zobaczył dlaczego. Chociaż z trudem wierzył własnym oczom. Dym przesunął się na północ, owszem, ale w pewnym momencie skręcał nieomal pod kątem prostym i wznosił się pionowo w górę, jakby się dobywał z komina w pogodny bezwietrzny dzień. A w dodatku zostawiał po sobie w powietrzu ciemnobrazowy ślad. Długą smugę znieruchomiałą w jednym miejscu.

Jim Rennie potrząsnął głową, spojrzał jeszcze raz. Niestety, nic się nie zmieniło.

- Co to takiego? - spytał zdziwiony Randolph przyciszonym głosem. Stał przed nim farmer, Dinsmore.

- Ten gość - powiedział, wskazując na Erniego Calverta - miał połączenie z Departamentem Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a on - wycelował w Renniego teatralnym gestem, którym radny wcale się nie przejął - zabrał mu telefon i się rozłączył! Źle zrobił. Bo widzisz, Pete, to nie było zderzenie. Samolot leciał wysoko, wcale nie lądował. Sam widziałem. Ociepiałem rośliny i widziałem.

- Ja też widziałem... - zaczął Rory, ale znów dostał po głowie, tym razem od brata.

Zaczął popłakiwać.

- Samolot w coś uderzył - podjął Alden Dinsmore. - W to samo, w co huknęła ciężarówka. Coś tam jest, można tego dotknąć. Ten gostek... ten kucharz powiedział, że powinno się tutaj ustalić strefę zamkniętą w powietrzu, i miał rację. Tylko że pan Rennie - znowu wskazał na radnego, jakby sam był nie wiadomo kim, może na przykład Perrym Masonem, a nie facetem, który zarabia na chleb, przyczepiając dojkarki do krowich wymion - pan Rennie nawet nie chciał rozmawiać. Rozłączył się i tyle.

Rennie nie zadał sobie trudu podjęcia dyskusji.

- Tracisz czas - rzucił pod adresem Randolpha. Przysunął się do niego bliżej i dodał cicho, prawie szeptem: - Zaraz tu będzie komendant. Radzę opanować sytuację, zanim się zjawi. - Obrzucił farmera lodowatym spojrzeniem. - Świadców można przesłuchać później.

Alden Dinsmore jednak jeszcze się wtrącił, do niego należało ostatnie słowo.

- Ten gostek, ten Barbara miał rację. On miał rację, a pan Rennie nie. Radny postanowił sobie zapamiętać irytującego natręta. Wcześniej czy później farmerzy zawsze trafiali do radnych, i to z kapeluszem w dłoniach. Z prośbą o jakieś udogodnienia, wyłączenie z podziału na strefy albo jeszcze coś innego, więc kiedy pan Dinsmore pojawi się w urzędzie następnym razem, spotka się z bardzo chłodnym przyjęciem, jeśli tylko Rennie będzie miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. A zwykle miał.

- Opanuj sytuację - powtórzył Randolphowi.

- Jackie, każ ludziom się cofnąć - rozkazał zastępca komendanta, wskazując gapiów po stronie ciężarówki. - Rozciągnij taśmę.

- Oni są w zasadzie w Motton - zaprotestowała policjantka.

- Nieważne, mają się cofnąć. Randolph zerknął przez ramię na Duke'a Perkinsa. Komendant akurat wysiadał z zielonego wozu, Randolph chętnie by widział tę maszynę na własnym podjeździe. I zobaczy, z pomocą Dużego Jima Renniego. Najdalej za trzy lata.

- Straż pożarna z Castle Rock będzie ci wdzięczna - dorzucił.

- A co z tym...? - Jackie wskazała gęstą plamę dymu, stale coraz większą. Widoczne przez nią paździenikowe drzewa, pełne soczystych jesiennych barw, wyglądały na poszarzałe, a niebo nabrało niezdrowego żółtawego odcienia.

- Trzymaj się od tego z daleka - polecił Randolph i poszedł pomóc Hankowi Morrisonowi rozciągać taśmę po stronie Chester's Mill.

Jackie ruszyła w stronę gapiów przy ciężarówce. Tłumek rósł z minuty na minutę, ciągle przybywało nowych ludzi z telefonami komórkowymi w rękach. Niektórzy zdeptali mniejsze płomienie w krzewach, co było bardzo rozsądnym posunięciem, a teraz już tylko

stali i patrzyli. Policjantka rozłożyła ręce w identycznym geście, jakim Hank ogarniał ludzi po stronie Mill, i zaczęła wygłaszać tę samą mantrę.

- Proszę się cofnąć, nie ma tu nic ciekawego, wszystko państwo widzieli. Proszę zrobić miejsce dla wozów strażackich i policji. Proszę się cofnąć, proszę zrobić miejsce. Wracajcie państwo do domu. Proszę się...

Uderzyła w coś. Rennie nie miał bladego pojęcia w co, ale widział skutki. Najpierw zetknął się z przeszkodą daszek czapki. Czapka się przekrzywiła, spadła z głowy policjantki i potoczyła się po jezdni. Sekundę później te beczelne cycki, te wystrzałowe balony zostały... spłaszczone. W następnej kolejności na przeszkodę trafił nos. Popłynęła z niego krew, rozpryskując się na tym czymś, i zaczęła spływać długimi smugami jak farba ze ściany. Jackie wylądowała na swojej mocno zaokrąglonej pupie, na twarzy miała wyraz całkowitego ogłupienia.

- A nie mówiłem? - odezwał się beczelny farmer. - Teraz pan widzi? Randolph i Morrison nie widzieli. Ani Perkins. Konferowali we trzech, stojąc tuż przed wozem komendanta. Rennie rozważył szybko, czyby nie podejść do Wethington, ale już robili to inni, zresztą ciągle była nieco zbyt blisko tego czegoś, na co wpadła. Pośpieszył więc w stronę trzech rozmawiających funkcjonariuszy, przybrawszy postawę osoby cieszącej się zasłużonym autorytetem. Po drodze obrzucił ponurym spojrzeniem farmera.

- Witam, komendancie - zaczął, wchodząc między Morrisona i Randolpha.

- Jak widzę, nie tracisz czasu - rzekł Perkins.

Pewnie była w tym stwierdzeniu nutka złośliwości, ale Rennie, stary wyjadacz, nie chwycił przynęty.

- Obawiam się, że jest gorzej, niż można sądzić na pierwszy rzut oka. Przydałoby się skontaktować z Departamentem Bezpieczeństwa Wewnętrznego. - Przerwał z odpowiednio zafasowanym wyrazem twarzy. - Nie twierdzę, że mamy do czynienia z aktem terrorystycznym... ale też bym tego całkowicie nie wykluczał.

3

Duke Perkins patrzył na scenę, jaka się rozgrywała za plecami Dużego Jima. Ernie Calvert i Johnny Carver ze stacji benzynowej Mill Gas & Grocery pomagali Jackie wstać. Policjantka była oszołomiona. Z nosa ciekła jej krew, ale poza tym nie widać było obrażeń. Tak czy inaczej sytuacja wyglądała nieciekawie. Oczywiście w pewnym stopniu to normalne, gdy zdarzy się wypadek z ofiarami śmiertelnymi, lecz tym razem najwyraźniej coś potoczyło się gorzej niż zwykle.

Choćby kwestia samolotu. Na pewno wcale nie próbował lądować. Za dużo było wokół jego części, zbyt szeroko rozrzucone. I ci gapie. Też jakoś nie w porządku... Randolph nie zwrócił na to uwagi, ale Duke Perkins - owszem. Ludzie powinni utworzyć jedną grupę. Zawsze tak robili, jakby szukali pocieszenia w obliczu śmierci. Tymczasem tutaj ustawili się w dwóch grupach - po obu stronach miejskiej granicy. A ci, którzy zebrali się na terenie Motton, stali stanowczo zbyt blisko płonącej ciężarówki. W zasadzie w bezpiecznej odległości, jednak... dlaczego nie przechodzili dalej?

Zza zakrętu na południu wyłoniły się pierwsze wozy strażackie. Trzy. Z radością dostrzegł na boku drugiego złoty napis STRAŻ POŻARNA CHESTER'S MILL WÓZ NR 2. Tłumek zafalował, cofnął się między krzewy, robiąc straży więcej miejsca. Duke skupił się ponownie na Renniem.

- Co tu się stało? Coś wiesz?

Rennie otworzył usta, ale nie zdążył się odezwać, bo uprzedził go Ernie Calvert.

- Na drodze jest jakaś przeszkoda. Nie widać jej, panie władzo, ale jest. W nią uderzyła ciężarówka. I samolot też.

- Właśnie, cholera! - poparł go Dinsmore.

- I Wethington też się z nią zderzyła - dorzucił Johnny Carver. - Całe szczęście, że wolno szła.

Objął ramieniem Jackie, która nadal miała nieprzytomne spojrzenie. Na rękawie kurtki Carvera, naznaczonej hasłem: TANKUJĘ W GAS & GROCERY, widniała plama krwi policjantki. Nie uszło to uwagi Duke'a.

Po stronie Morton zjawił się kolejny wóz strażacki. Pierwsze dwa zablokowały drogę, ustawiając się w literę V. Strażacy już wysypywali się z samochodów, rozwijali węże. Duke usłyszał dobiegający od Castle Rock pulsujący sygnał karetki pogotowia.

A gdzie nasze? Też pojechały na te nieszczęsne ćwiczenia?

Nie podobała mu się ta myśl. Kto przy zdrowych zmysłach wysłałby karetkę do pożaru pustego budynku?

- Wygląda na to, że mamy tu jakąś niewidoczną barierę - zaczął Rennie.

- Tak, to już wiem - stwierdził Duke. - Nie mam pojęcia, co to właściwie ma znaczyć, ale że jest, już zrozumiałem.

Zostawił Renniego samemu sobie i podszedł do krwawiącej policjantki. Nie zauważył, że policzki wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej oblała głęboka czerwień.

- Jackie, przeżyjesz jakoś? - zwrócił się do Wethington.

- Przeżyję. - Dotknęła nosa. Krew ciekła coraz wolniej. - Złamany? - spytała. - Nie

czuję, żeby był złamany.

- Nie, jest cały, ale i tak spuchnie. Nie przejmuj się, na zabawie dożynkowej będziesz już wyglądała całkiem dobrze. Uśmiechnęła się słabo.

- Komendancie - odezwał się Rennie. - Stanowczo powinniśmy zadzwonić do jakichś służb bezpieczeństwa. Jeśli nie do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, bo to chyba jednak zbyt radykalne posunięcie, to może po policję stanową...

Duke odsunął go na bok. Grzecznie, ale stanowczo. Nieomal odepchnął. Rennie zacisnęła pięści, lecz zaraz rozluźniła dłonie. Owszem, przez całe życie raczej sam popychał, niż był popychany, ale zaciskanie pięści tak czy inaczej było dobre dla tępeków, czego doskonały przykład stanowił jego rodzony syn. Tak czy inaczej zniewaga nie pójdzie w niepamięć. I w odpowiednim momencie... Za jakiś czas... A zemsta im dojrzała, tym słodsza.

- Peter! - zawołał Duke do Randolpha. - Skontaktuj się ze szpitalem i spytaj, gdzie u licha ciężkiego jest nasza karetka! Ma być tutaj, i to już!

- Morrison się tym zajmie - odparł Randolph. Wziął z auta aparat fotograficzny i zaczął pstrykać zdjęcia.

- Ty się tym zajmiesz, i to natychmiast.

- Szeffie, Jackie też może to sprawdzić, a nikt inny...

- Jak będę chciał znać twoje zdanie, to cię o nie zapytam. Randolph zamierzał obrzucić komendanta spojrzeniem, które by mu wszystko powiedziało, lecz podniósłszy na niego wzrok, tylko odłożył aparat na przednie siedzenie i chwycił telefon komórkowy.

- Jackie, co to było? - odezwał się Duke.

- Nie wiem. Najpierw miałam dziwne wrażenie, jakby mnie przeszedł prąd, trochę tak jak wtedy, kiedy się niechcący dotknie bolców przy wsadzaniu wtyczki do gniazdka. A potem uderzyłam... Kurczę, nie wiem w co.

Od strony gapiów dobiegło chóralne „aaach!”. Strażacy właśnie zaczęli lać wodę na płonąca ciężarówkę. Silne strumienie spadały na ogień, ale za rozbitym samochodem od czegoś się odbijały, rozbryzgiwały na boki i tworzyły w powietrzu tęczowe łuki. Duke w życiu nie widział nic podobnego. Chociaż... trochę to przypominało myjnię samochodową, kiedy człowiek obserwuje strumienie wody pod dużym ciśnieniem na przedniej szybie.

Potem zobaczył tęczę również po stronie Mill. Ta była niewielka.

Jedna z patrzących, Lissa Jamieson, bibliotekarka, ruszyła w ich stronę.

- Lissa, stój! - krzyknął Duke.

Udała, że nie słyszy. Szła jak zahipnotyzowana. Zatrzymała się dosłownie kilka centymetrów od miejsca, gdzie strumień wody pod ogromnym ciśnieniem uderzał w

powietrze, rozłożyła ramiona.

Komendant widział, jak wilgotnieją jej włosy ściągnięte w koński ogon. Tuż za jej plecami zamigotała kolejna tęcza.

- Tyle wody z tamtej strony, a tutaj prawie nic! - zawołała Lissa entuzjastycznie. - Mgiełka jak z nawilżacza!

Peter Randolph podniósł wysoko rękę z telefonem i pokręcił głową.

- Mam sygnał, ale nie mogę się połączyć. Pewnie dlatego że wszyscy dzwonią. - Zatoczył ręką szeroki łuk. - Ciągłe zajęte.

Duke nie wiedział, czy to możliwe, ale rzeczywiście, chyba wszyscy gapie mieli w rękach telefony, jedni gadali, inni robili zdjęcia, tylko Lissa nadal udawała nimfę wodną.

- Idź ją przyprowadź - polecił Randolphowi. - Zabierz ją stamtąd, zanim wyciągnie kryształ albo coś w ten deseń.

Randolph przybrał wyraz twarzy, który mówił wyraźnie, że takie polecenia są stanowczo poniżej jego szarży i godności, ale poszedł. Duke się roześmiał. Głośno i serdecznie.

- Co w tym śmiesznego, na litość boską? - zirytował się Rennie. Po stronie Motton zatrzymywało się na drodze coraz więcej wozów policyjnych z powiatu Castle. Jeżeli Perkins nie zapanuje nad sytuacją, kontrolę przejmie Rock. A potem wyciągnie profity.

Duke ucichł, lecz ciągle miał uśmiezek na ustach. Całkiem wyraźny.

- Niezła rozpsiajucha - powiedział. - Tak byś to nazwał, co? A ja się nauczyłem, że czasami jedynym sposobem na poradzenie sobie z rozpsiajucha jest śmiech.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi! - odparł Rennie zbyt głośno. Synowie Dinsmore'a odsunęli się od niego, stanęli bliżej ojca.

- Wiem, wiem - powiedział Duke. - Nie szkodzi. Na razie wystarczy, żebyś pamiętał, kto tu dowodzi. Ja. Przynajmniej dopóki nie zjawi się szeryf powiatu. A ty jesteś radnym miejskim. Nie odgrywasz tu żadnej oficjalnej roli, dlatego proszę, żebyś się cofnął.

Pod koniec zdania Duke podniósł głos i wskazał miejsce, gdzie Henry Morrison rozciągał żółtą taśmę, omijając dwa większe szczątki samolotu.

- Proszę państwa, proszę się odsunąć, pozwolicie nam pracować. Proszę iść za radnym Renniem. Zaprowadzi państwa za żółtą taśmę.

- Duke, wcale mi się to nie podoba - przestrzegł go Rennie.

- Bóg z tobą. W ogóle mnie to nie obchodzi - oznajmił Duke. - Zejdz z miejsca zdarzenia. I uważaj na taśmę. Nie chciałbym, żeby Henry musiał ją przytwierdzać po raz drugi.

- Komendancie, zapamiętaj sobie, jak się dzisiaj do mnie odnosisz. Bo ja tego nie zapomnę.

Rennie odszedł sztywnym krokiem, za nim ruszyli inni. Większość oglądała się przez ramię, spoglądała na delikatną mgielkę przesączającą się przez barierę umazaną ropą, formującą na jezdni wilgotną linię. Kilkoro co bystrzejszych, między nimi Ernie Calvert, zdało sobie sprawę, że owa linia pokrywa się dokładnie z granicą między Motton a Mill.

Duży Jim Rennie czuł ogromną pokusę, by po dziecinnemu złośliwie zerwać taśmę starannie rozciągniętą przez Hanka Morrisona, ale się powstrzymał. Jednak nie zamierzał jej obchodzić dookoła i dopuścić do tego, żeby do jego eleganckich spodni, za które zapłacił sześćdziesiąt dolarów, poprzyczepiały się rzepy. Przeszedł pod plastikiem, przytrzymując go jedną ręką. Kosztowało go to nieco trudu, bo wydatny brzuch utrudniał ruchy.

Duke wolnym krokiem zbliżył się do miejsca, gdzie Jackie z czymś się zderzyła. Jedną rękę miał wyciągniętą przed siebie, jak ślepiec szukający drogi w nieznanym pomieszczeniu.

Tutaj upadła... a tutaj...

Poczuł ciarki, tak jak mówiła. Tyle że zamiast minąć, szybko zmieniły się one w palący ból po lewej stronie klatki piersiowej. Czasu starczyło mu tylko na to, by przypomnieć sobie ostatnie słowa Brendy: „Uważaj na rozrusznik”. Zaraz potem urządzenie eksplodowało mu w piersiach z taką siłą, że rozerwało koszulkę z logo drużyny Wildcats, którą włożył na siebie tego dnia, by uczcić popołudniowy mecz. Krew, strzępy bawełny i kawałki ciała uderzyły w barierę.

Z ust patrzących wyrwało się zgodne „aaach!”.

Duke chciał wymówić imię żony. Nie zdołał, ale w myślach wyraźnie ujrzał jej twarz. Uśmiechniętą.

A potem ciemność.

4

Dzieciak nazywał się Benny Drake, miał czternaście lat i jako Brzytwa był członkiem niewielkiego, lecz prężnego klubu skateboardzistów. Miejskowa policja tolerowała ich wyczyny mimo sprzeciwów ze strony radnych Renniego i Sandersa. W czasie poprzedniego marcowego zgromadzenia miejskiego ów dynamiczny duet zdjął z porządku obrad kwestię wybudowania bezpiecznego miniparku dla deskorolkowców.

Dorosły, Eric Everett, inaczej Ryży, miał trzydzieści siedem lat i pracował jako pomocnik u doktora Rona Haskella, którego w myślach nazywał Czarnoksiężnikiem z krainy Oz, ponieważ (wy tłumaczyłby, gdyby komuś poza swoją żoną mógł się zwierzyć z takiego

braku lojalności) „stale jest gdzieś na zapleczu, a ja odwalam całą robotę”.

Aktualnie sprawdzał, do kiedy jest ważny ostatni zastrzyk przeciwtężcowy zaaplikowany mistrzowi Drake'owi. Jesień dwa tysiące dziewiąty. Doskonale. Zwłaszcza że tenże młody mistrz Drake odstawił wilsona na betonie, zostawiając na nim spory kawałek ciała z łydki. Nie załatwił sobie nogi na cacy, ale też ranę trudno było nazwać zwykłym rozcięciem.

- Włączyli prąd - zauważył młody mistrz.

- Generator się włączył - skorygował go Ryży. - Awaryjne zasilanie szpitala i przychodni. Nieźle, co?

- Rewela - zgodził się mistrz Drake.

Przez jakiś czas dorosły mężczyzna i nastolatek bez słowa patrzyli na piętnastocentymetrowe rozcięcie. Oczyszczone z brudu i krwi nie robiło już takiego przerażającego wrażenia, choć postrzępione brzegi nadal nie wyglądały najlepiej. Alarm miejski ucichł, natomiast gdzieś z oddali dobiegało zawodzenie syren. Gdy nagle odezwał się sygnał straży pożarnej, obaj podskoczyli.

Ambulans będzie potrzebny jak nic, pomyślał Ryży. Twitch i Everett ruszą na pomoc. Lepiej się pośpieszyć z chłopakiem.

Dzieciak miał kredowobiałą twarz i chyba łyzy w oczach.

- Boisz się? - spytał Ryży.

- Trochę - przyznał Benny Drake. - Mama mnie uziemi.

- I to jest powód do strachu? - Ryży miał pewność, że Benny już był uziemiany. Raczej częściej niż rzadziej.

- No, w sumie... Będzie bolało?

Ryży już miał schować strzykawkę, ale jeszcze wstrzyknął trzy mililitry lidokainy z adrenaliną - mieszanek przeciwbólową, którą nadal nazywał prokainą. Nie śpiesząc się, nasączył ranę. Nie chciał sprawiać dzieciakowi więcej bólu, niż musiał.

- Mniej więcej tak.

- E, spooko - ocenił Benny. - Nie ma sprawy. Luuuzik. Ryży się zaśmiał.

- Zrobiłeś full - pipe, zanim zaliczyłeś głębę? - Jako emerytowany deskorolkarz był szczerze zainteresowany.

- Tylko half - pipe, ale było bosko! - Benny się rozpromienił. - Ile będzie szwów? Norrie Calvert miała dwanaście, jak w zeszłym roku wyfrunęła w Oxfordzie.

- Tyle nie będzie.

Znał Norrie, drobną dziewczuszkę na etapie gotyku i emo, której główną ambicją

wydawało się popełnienie efektownego samobójstwa na desce z kółkami, koniecznie zanim wpadnie i coś urodzi. Przycisnął brzeg rany końcówką strzykawki.

- Czujesz?

- No, czuję. A słyszał pan ten strzał?

Benny wskazał mniej więcej na południe. Siedział na stole do badania, bez spodni, tylko w bokserkach, krew ściekała na ligninową podkładkę.

- Nie słyszałem. - W rzeczywistości słyszał dwa. Tyle że raczej nie strzały, ale wybuchy, niestety. Trzeba się uporać z chłopakiem jak najszybciej. A gdzie się podziewał Czarnoksiężnik? Ginny twierdziła, że na wizytach domowych. Co pewnie oznaczało, że pochrapywał na kanapie gdzieś w szpitalu imienia Cathy Russell. Od jakiegoś czasu Czarnoksiężnik głównie tam przebywał w ramach wizyt domowych.

- A teraz czujesz? - Ryży dotknął rany igłą. - Tylko nie patrz, bo wzrok mam.

- Nie, kurczę, całkiem nic. Pan się ze mnie nabija.

- Nie nabijam się. Jesteś odporny na ból.

I na głos rozsądki też, dorzucił w myślach. No, czas się brać do szycia.

- Połóż się, odpręż i ciesz lotem liniami Cathy Russell. - Polał ranę roztworem soli fizjologicznej, usunął martwe fragmenty tkanki, wyrównał skórę swoim ulubionym skalpelem numer dziesięć. - Założę ci sześć szwów z mojej najlepszej nici nylonowej, rozmiar cztery zero.

- Rewela - uznał dzieciak. - Chyba będę rzygać - dodał po chwili. Ryży podał mu nerkę, przy podobnych okazjach nazywaną rzygownicą.

- Proszę ugrzejmie. Możesz też zemdleć.

Benny nie zemdlał. Zresztą i nie zwymiotował. Ryży akurat przykładał sterylną gazę na ranę, gdy rozległo się niedbałe stuknięcie drzwi, a następnie ukazała się w nich głowa Ginny Tomlinson.

- Możemy zamienić dwa słowa?

- Mną się nie przejmujcie - powiedział Benny. - Ja mam odlot. Pyskaty smarkacz.

- Wyjdź na chwilę - poprosiła Ginny. Na dzieciaka nawet nie zerknęła.

- Benny, zaraz wrócę. Siedź spokojnie.

- Nie ma sprawy. Spokojna twoja rozczochrana. Ryży wyszedł za Ginny na korytarz.

- Potrzebny ambulans?

Za jej plecami w rozświetlonej poczekalni matka Benny'ego z ponurą miną przeglądała jakąś gazetę o przesłodzonej okładce z nieokiełznaną pięknnością.

Ginny pokiwała głową.

- Na drodze sto dziewiętnastej, na granicy z Tarker's Mills. Na granicy z Motton też mamy wypadek, ale nikt nie przeżył. Zderzyły się ciężarówka i samolot. Samolot lądował na szosie.

- Nabijasz się ze mnie?

Alva Drake podniosła wzrok, rozejrzała się dookoła, ściągnęła brwi, po czym wróciła do przeglądania czasopisma. A w każdym razie wbiła w nie spojrzenie, zastanawiając się, czy mąż pomoże jej uziemić Benny'ego do czasu, gdy chłopak skończy osiemnastkę.

- Ani trochę - zapewniła go Ginny. - Mam też informacje o innych wypadkach...

- Dziwne.

- ...ale ten człowiek na granicy z Tarker's Mills jeszcze żyje. Jechał jakimś dostawczakiem. Wrzucić drugi bieg, braciszku. Twitch już czeka.

- Skończysz dzieciaka? - Jasne. Śmigaj.

- Doktor Rayburn?

- Miał pacjentów w Stephens Memorial. - Czyli w szpitalu w Norway, South Paris. - Już jest w drodze. Jedź, jedź.

Jeszcze na chwilę przystanął obok pani Drake, by jej powiedzieć, że Benny się wyliże. Alva nie wyglądała, jakby miała zamiar skakać z radości, ale podziękowała za dobre wieści.

Dougie Twitchell, zwany w skrócie Twitchem, siedział na zderzaku starego ambulansu, którego Jim Rennie oraz jego koledzy radni ciągle jakoś nie mogli zastąpić nowym. Palił papierosa, wystawiwszy twarz do słońca. W drugim ręku trzymał CB. Z radia płynęły głosy nakładające się jeden na drugi.

- Rzuć ten zgubny nałóg i jedziemy - zarządził Ryży. - Wiesz dokąd?

Twitch pstryknął niedopałkiem. Był najspokojniejszym pielęgniarzem, jakiego Ryży kiedykolwiek spotkał, a to miało swoje znaczenie.

- Wiem tyle, ile ci Gin - Gin powiedziała. Na granicy z Tarker's Mills, zgadza się?

- Tak. Wypadek dostawczaka.

- Plany się zmieniły. Jedziemy gdzie indziej. - Wskazał na południe, gdzie na horyzoncie wznosił się czarny gruby filar dymu. - Widziałeś kiedyś rozbity samolot?

- Widziałem - odparł Ryży. - Na służbie. Zginęło dwóch chłopaków. To, co z nich zostało, można było spokojnie rozsmarować na chlebie. Jeśli o mnie chodzi, wystarczy, dziękuję. Ginny powiedziała, że tam wszyscy zginęli, więc nie ma po co...

- Może tak, a może nie, ale wygląda na to, że Perkins potrzebuje pomocy.

- Komendant Perkins?

- Właśnie on. Jak człowiekowi wybuchnie rozrusznik w klatce, a Peter Randolph

twierdzi, że tak właśnie się stało, to przewidywania nie są najbardziej optymistyczne, no ale on jest szefem policji. Nieustraszoną dowódcą.

- Twitch, staruszku, rozruszniki nie wybuchają. To nie jest możliwe.

- Wobec tego może Perkins nadal żyje i faktycznie się na coś przydamy - uznał Twitch.

W połowie drogi do drzwi ambulansu wyjął paczkę papierosów.

- Nie ma palenia w karetce - przypomniał mu Ryży. Pielęgniarka spojrzała na niego smutno.

- Chyba że się podzielisz - sprecyzował Ryży. Twitch westchnął i podał Everettowi paczkę.

- Ach, marlboro... - powiedział Ryży. - Moje ulubione cudzesy.

- Wykończysz mnie - stwierdził Twitch.

5

Z wyjąką syreną przemknęli przez światła na skrzyżowaniu w centrum miasta, gdzie szosa numer sto siedemnaście dochodziła do sto dziewiętnastej. Obaj zaciągali się papierosami, jakby od tego zależało ich życie, oczywiście przy otwartych oknach, co stanowiło aktualnie standardową procedurę postępowania. Cały czas słuchali radia. Ryży niewiele wyławiał z nieprzerwanego potoku słów, lecz bardzo szybko pojął, że będzie pracował jeszcze długo po czwartej.

- Człowieku, nie wiem, co się stało - powiedział Twitch - ale jedno jest pewne: zobaczymy prawdziwą katastrofę lotniczą. A w każdym razie jej skutki. Trudno, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

- Twitch, ty jesteś nienormalny.

Ruch był dość duży, samochody zmierzały głównie na południe. Zapewne niektórzy z jadących rzeczywiście mieli jakieś sprawy do załatwienia, jednak większość najprawdopodobniej przyciągał zapach krwi, całkiem jak muchy. Twitch bez kłopotu minął cztery wozy jadące w kolumnie. Północny pas szosy numer sto dziewiętnaście był zastanawiająco pusty.

- Patrz, o Wielki Ryży! - Wskazał w górę. - Śmigłowiec wiadomości. Będziemy w informacjach o szóstej. Bohaterscy paramedycy walczą...

Na tym skończył się lot na skrzydłach wyobraźni. Śmigłowiec, który pewnie znalazł się już nad miejscem wypadku, wpadł w korkociąg. Przez chwilę Ryży widział wymalowaną na burcie trzynastkę i oko CBS. Potem maszyna wybuchła. Z bezchmurnego nieba spadł na

ziemię ognisty deszcz.

- Jezu! Przepraszam! - krzyknął Twitch. - Ja nie chciałem! Cofam to! - dorzucił jak dziecko.

6

- Muszę wracać.

Gendron zdjął czapkę Sea Dogsów i otarł nią bladą twarz ze smugami krwi. Nos mu spuchł do tego stopnia, że wyglądał jak ogromny paluch. Oczy tonęły w ciemnych obwódkach.

- Wybacz, ale nos mnie dobija. No i nie jestem już taki młody... I w ogóle... - Podniósł rękę, opuścił je gestem pełnym bezradności.

Stali naprzeciwko siebie. Barbie chętnie by uściskał staruszka i poklepał go po plecach. Gdyby tylko mógł.

- Niezły wstrząs - powiedział. Gendron zaśmiał się szczeniście.

- Jak dla mnie śmigłowiec był ostatnim gwoździem do trumny. Obaj spojrzeli na świeży słup dymu.

Odeszli z miejsca wypadku na drodze sto siedemnastej, gdy upewnili się, że Elsa Andrews, jedyna ocalała, otrzyma niezbędną pomoc.

Przynajmniej ona wydawała się we względnie dobrym stanie, chociaż załamana po stracie przyjaciółki.

- No to wracaj. Powoli. Nie śpiesz się. Odpoczywaj po drodze. - Ty idziesz dalej?

- Tak.

- Ciągłe masz nadzieję, że znajdziesz koniec?

Barbie milczał jakiś czas. Z początku był pewien, ale teraz...

- Tak, mam nadzieję.

- No to powodzenia. - Gendron uniósł czapkę. - Chciałbym ci uścisnąć rękę jeszcze przed zachodem słońca.

- Ja też. - Barbie na chwilę pograżył się w myślach. - Mógłbyś coś dla mnie zrobić, jak będziesz miał pod ręką telefon?

- Jasne.

- Zadzwoń do bazy wojskowej w Fort Benning. Poproś o rozmowę z oficerem łącznikowym, a jego o kontakt z pułkownikiem Jamesem O. Coksem. Powiedz, że sprawa jest pilna i dzwoniisz w imieniu kapitana Dale'a Barbary. Zapamiętasz?

Gendron pokiwał głową.

- Zrobię to. Powodzenia, żołnierzu.

Barbie uniósł palce do czoła i ruszył w drogę, nadal szukając tego, w czego odnalezienie przestał już wierzyć.

7

Trafił na leśną dróżkę wiodącą mniej więcej równolegle do bariery. Była pozarastana, wyraźnie rzadko używana, ale i tak szło się nią lepiej niż przez zarośla. Od czasu do czasu zbaczał na zachód i dotykał ściany odgradzającej Chester's Mill od świata zewnętrznego. Ciągle była.

Przystanął w miejscu, gdzie na sto dziewiętnastej znajdowała się granica z miastem siostrzanym Chester's Mill, czyli Tarker's Mills. Jakiś dobry samarytanin zabrał kierowcę wywróconego dostawczaka leżącego po drugiej stronie bariery. Wóz został na drodze jak wielkie martwe zwierzę. Tylne drzwiczki były otwarte, na asfalcie wysypały się psie chrupki Devil Dogs, roladki czekoladowe Ho Hos, pierniki Ring Dings, kromki Twinkies i krakersy z masłem orzechowym. Na pniaku siedział jakiś młody człowiek w koszulce z George'em Straitem i zajadał te ostatnie. w ręku trzymał telefon komórkowy. Podniósł wzrok na Barbiego.

- Hej. Przyszedł pan stamtąd? - Wskazał mniej więcej na przestrzeń za jego plecami.

Był wyraźnie zmęczony, a do tego przestraszony i rozczarowany.

- Z drugiego końca miasta - potwierdził Barbie.

- Ta niewidzialna ściana jest wszędzie? Granica zamknięta? - Tak.

Młody człowiek kiwnął głową i wdusił przycisk na telefonie.

- Dusty? Jesteś tam już? - Przez chwilę słuchał. - Okay. - Zakończył rozmowę. - Mój przyjaciel i ja zaczęliśmy na wschód stąd. Rozdzieliliśmy się. On poszedł na południe. Cały czas mamy kontakt przez telefon. To znaczy wtedy, kiedy się uda połączyć. Teraz jest tam, gdzie się rozbił śmigłowiec. Mówi, że zbiera się tłumek.

Barbie jakoś wcale nie był zdziwiony.

- Nie znalazłeś żadnej dziury w tej ścianie?

Młodziak tylko pokręcił głową. Nic nie powiedział, bo i nie musiał. Barbie zdawał sobie sprawę, że teoretycznie mogli ominąć jakieś wyrwy wielkości drzwi lub okien, ale mocno w to wątpił.

Jego zdaniem mieszkańcy Chester's Mill zostali odcięci od świata.

GRAMY RAZEM

1

Barbie wrócił sto dziewiętnastą do centrum miasta, jakieś pięć kilometrów. Zanim dotarł na miejsce, zrobiła się szóstka. Main Street świeciła pustkami, ożywia ją tylko pomruk generatorów. Sądząc po natężeniu dźwięku, pracowało ich co najmniej dziesięć. Sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniu dróg sto dziewiętnaście i sto siedemnaście nie działała, natomiast w Sweetbriar Rose było jasno i tłoczno. Ani jednego wolnego stolika. Wszedł do środka. Nie usłyszał znajomych rozmów o wszystkim i o niczym, obejmujących szeroki wachlarz tematów: politykę, Red Sox, lokalną ekonomię, rakiety Patriot, nowe samochody, Celtics, ceny paliwa, świeżo nabyte wiertarki, piły elektryczne i inne urządzenia stanowiące treść życia wielu mężczyzn, czy miejscowy klub sportowy Twin Mills Wildacts. Brakowało też śmiechu.

Nad kontuarem wisiał telewizor, w niego wszyscy się wpatrywali. Na ekranie widniał Anderson Cooper z CNN, lekko wytrącony z równowagi, jak każdy, kto znajdzie się na miejscu katastrofy. Stał na drodze numer sto dziewiętnaście, w tle miał ciągle jeszcze dymiący wrak ciężarówki.

Rose obsługiwała gości przy stołach, od czasu do czasu wracając za ladę, by i tam przyjąć zamówienie. Niesforne kosmyki uciekły jej spod siatki. Wyglądała na zaganianą i zmęczoną. Za kontuarem powinna stać Angie McCain, przynajmniej od czwartej do zamknięcia, ale nie było po niej śladu. Może wyszła z miasta przed zamknięciem bariery. W takim razie nie wróci za ladę przez jakiś czas.

Anson Wheeler, którego Rose nazywała dzieciakiem, chociaż miał skończone najmarniej dwadzieścia pięć lat, był w kuchni, toteż należało się obawiać o stan każdego dania bardziej skomplikowanego niż fasola z kiełbasą, czyli posiłek tradycyjnie serwowany w Sweetbriar Rose w sobotnie wieczory. Biada temu, kto zamówił „śniadanie na kolację” i musiał stawić czoło jajkom wysmażonym przez Ansona. Mimo wszystko dobrze, że w ogóle tutaj był, zwłaszcza pod nieobecność Angie i Dodee Sanders. Chociaż ta ostatnia wcale nie potrzebowała katastrofy, żeby się urwać z pracy. W zasadzie nie była leniwa, ale trudno jej się było skupić. A jeśli chodzi o liczbę szarych komórek... no cóż. Jej ojciec, Andy Sanders, pierwszy radny Mill, nie był zagrożony członkostwem w Mensie, a i tak przy córce mógł robić za Einsteina.

Na ekranie telewizora śmigłowce lądowały za plecami Andersona Coopera, rozwiewając mu gęste siwe włosy i nieomal go zagłuszając. Wyglądały jak pave lowsy, ciężkie śmigłowce transportowe, którymi Barbie wylatał swoje w Iraku. W pewnej chwili jakiś oficer wszedł w kadr, zakrył Cooperowi mikrofon dłonią w rękawiczce i powiedział mu coś do ucha.

Wśród zebranych w Sweetbriar Rose przeszedł niespokojny pomruk. Barbie doskonale rozumiał jego przyczyny. Jeżeli człowiek w mundurze zakrywa mikrofon sławnemu reporterowi telewizyjnemu nawet bez śladowego „za pozwoleniem”, to nastąpił koniec świata.

Wojskowy był pułkownikiem, ale nie tym szczególnym. Gdyby Barbie teraz zobaczył Coksa, poczułby się kompletnie skołowany. Ten na wizji powiedział reporterowi, co miał do powiedzenia, i odsłonił mikrofon, posyłając w eter miękkie świnięcie. Wyszedł z kadru, niezmiennie z kamienną twarzą. Barbie znał to spojrzenie. Wojskowy beton.

„Otrzymaliśmy informację - odezwał się Cooper - że przedstawiciele mediów muszą się wycofać około pół kilometra, aż do miejsca, gdzie znajduje się bar U Raymonda, już na obszarze Motton”.

Bywalcy Sweetbriar Rose znowu mruknęli unisono. Wszyscy znali ten przydrożny bar ze sklepikiem, wabiący klientów napisem w oknie: ZIMNE PIWO GORĄCE KANAPKI ŚWIEŻA PRZYNETA.

„Teren, na którym znajdujemy się w tej chwili, niecałe sto metrów od tego, co w braku lepszego określenia nazwaliśmy barierą, został objęty klauzulą bezpieczeństwa narodowego. Wznowimy nadawanie możliwie najszybciej, a teraz przekazuję głos do Waszyngtonu. Wolf?”.

Na czerwonym pasku pod obrazem z kamery płynęły słowa: JEDNO Z MIAST MAINE W NIEWYJAŚNIONY SPOSÓB ODCIĘTE OD ŚWIATA. A w górnym prawym rogu ekranu mrugało na czerwono słowo NAJŚWIEŻSZE, jak neon nad tawerną. Pij najświeższe piwo.

Barbie o mało się nie zaśmiał.

Miejsce Andersona Coopera na ekranie zajął Wolf Blitzer. Rose się w nim podkochiwała i codziennie po południu nastawiała odbiornik na „The Situation Room”. Mówiła o nim „mój Wolfie”. Tego wieczoru Wolfie miał pod szyją krawat, jak zwykle, ale wyjątkowo źle zawiązany, a i reszta jego ubrania podejrzenie przywodziła na myśl sobotnią imprezkę przy grillu.

„Podsumowując fakty - odezwał się ulubiony dziennikarz Rose - dzisiaj wczesnym

popołudniem, mniej więcej o godzinie pierwszej...”

- Wcześniej, dużo wcześniej - odezwał się ktoś.

- Myra Evans naprawdę nie żyje? - zapytał ktoś inny.

- Tak - potwierdził Fernald Bowie. Jego starszy brat, Stewart Bowie, prowadził jedyne w mieście przedsiębiorstwo pogrzebowe. Fern pomagał mu czasami, jeśli był trzeźwy, a tego wieczoru wyglądał na trzeźwego. Wstrząsająco trzeźwego. - Bądźcie cicho, chcę posłuchać.

Barbie też chciał posłuchać, bo Wolfie właśnie przeszedł do informacji, które najbardziej go interesowały. Powiedział to, co Barbie chciał usłyszeć: że przestrzeń powietrzna nad Chester's Mill została zamknięta. Dokładnie rzecz biorąc, cała przestrzeń nad zachodnią częścią stanu Maine i wschodnią New Hampshire, od Lewiston - Auburn po North Conway. Prezydent został powiadomiony o sprawie. I po raz pierwszy od dziewięciu lat zarządzono czerwony alarm antyterrorystyczny.

Gdy Barbie mijął stolik Julii Shumway, właścicielka i wydawca „Democrata” w jednej osobie obrzuciła go znaczącym spojrzeniem. A potem na jej twarzy pojawił się tajemniczy uśmiezek, tak dla niej charakterystyczny, że porównywalny ze znakiem firmowym.

- Widzę, że Chester's Mill pana nie wypuściło. - Na to wygląda - zgodził się Barbie.

Oczywiście wiedziała o jego pożegnaniu z miastem. Spędził tu dość czasu, by się przekonać, że Julia Shumway miała pojęcie o wszystkim, o czym chciała mieć.

Rose dojrzała go, niosąc do stolika dla czterech osób, obłożonego przez sześć, fasolę z kiełbasą plus jakiś poczerniały kawałek padliny, który swego czasu mógł być kotлетem wieprzowym. Zamarła w pół kroku, z dwoma talerzami w dłoniach i dwoma kolejnymi na przedramionach, oczy miała wielkie jak spodki. Potem się uśmiechnęła. Na jej twarzy ukazała się pełnia szczęścia oraz nieklamana ulga. Jedno i drugie podniosło Barbiego na duchu.

Tak się czuje człowiek po powrocie do domu, pomyślał.

Duża przyjemność.

- Dobry Boże! Kogo to moje piękne oczy widzą! Dale Barbara!

- Masz jeszcze gdzieś mój fartuch? - zapytał Barbie trochę nieśmiało.

W końcu przecież to właśnie ona, Rose, mu zaufała i dała pracę, chociaż był dla niej zwykłym włóczęgą z paroma nagryzłomonymi referencjami w plecaku. A potem uznała, że rozumie, dlaczego musi zniknąć z miasta. Nikt by nie chciał mieć wroga w osobie tatuśka Juniora Renniego. Mimo wszystko Barbie ciągle miał wrażenie, że zostawił ją z ręką w nocniku.

Odstawiła talerze na pierwsze z brzegu wolne miejsce i pośpieszyła do Barbiego. Była pulchna i niewysoka, więc musiała stanąć na palcach, żeby go uściskać.

- Pojęcia nie masz, jak się cieszę, że cię widzę - szepnęła. Barbie uściskał ją równie serdecznie i cmoknął w czubek głowy.

- Duży Jim i Junior nie będą zachwyceni - zauważył.

Na razie jednak żadnego z Renniech nie było w pobliżu. I całe szczęście, bo akurat w tej chwili stał się dla zebranych w restauracji mieszkańców Mill ważniejszy od ich miasta na ogólnopolskim kanale telewizyjnym.

- Duży Jim Rennie może mnie pocałować! - powiedziała Rose. Barbie zaśmiał się wdzięczny za żywiołową reakcję, a także za dyskrecję - Rose nadal szeptała.

- Myślałam, że cię już nie zobaczę.

- Niewiele brakowało, żebym zniknął na dobre, ale zaliczyłem falstart.

- Widziałeś... to coś?

- Tak. Opowiem ci później.

Wypuścił ją z objęć, odsunął się na odległość ramienia.

Ech, Rose, gdybyś była o dziesięć lat młodsza... Nawet pięć...

- To jak, masz gdzieś ten mój fartuch? Rose otarła kącik oka i kiwnęła głową.

- Przyda mi się twoja pomoc. Trzeba wyrzucić z kuchni Ansona, zanim nas wszystkich potruje.

Barbie posłusznie zaszutrował, minął kontuar i zszutrował Ansona Wheelera w kuchni. Powiedział mu, żeby ogarnął ladę, przyjął zamówienia przy barze, a potem pomógł Rose na sali. Anson odstąpił od grilla z nieskrywaną ulgą. Zanim wyszedł z kuchni, jeszcze potrząsnął ręką Barbiego, zamykając ją w obu dłoniach.

- Dzięki Bogu, człowieku... W życiu nie było takiego tłumu. Już wysiadałem.

- Uszy do góry. Nakarmimy pięć tysięcy głodnych.

- Co? - Anson nie był znawcą Biblii. - Nieważne.

Odezwał się dzwonek wiszący w przejściu.

- Zamówienie! - krzyknęła Rose.

Na grillu zawsze był potworny bałagan, jeśli tylko Anson przykładał rękę do zmian stanu żywności pod wpływem ciepła, które nazywał gotowaniem. Barbie założył fartuch na szyję, zawiązał troki na plecach i otworzył szafkę nad zlewem. Znajdował się w niej spory wybór czapek baseballowych, które wyrobnikom przy grillu w Sweetbriar Rose służyły jako czapki kucharskie. Wybrał Sea Dogs, myśląc o Paulu Gendronie, który powinien już znajdować się na łonie rodziny. Przekreślił ją daszkiem do tyłu. Strzelił stawami palców, chwycił łopatkę do grilla, pierwszą karteczkę z zamówieniem i zabrał się do pracy.

Piętnaście po dziewiątej, czyli dobrą godzinę później niż zwykle, Rose pozbyła się ostatnich gości. Barbie zamknął drzwi, odwrócił tabliczkę z napisem OTWARTE na stronę z informacją ZAMKNIĘTE. Popatrzył chwilę na ostatnich czterech czy pięciu bywalców, jak przechodzą przez ulicę i kierują się w stronę placu miejskiego, gdzie już zebrało się około pięćdziesięciu osób. Wszyscy stali zwrócenii na południe, bo tam jasne białe światło utworzyło bąbel nad drogą numer sto dziewiętnaście. Barbie ocenił, że to nie są reflektory telewizyjne, tylko wojskowe, tworzące i izolujące obszar chroniony. A jak izolować obszar chroniony nocą? Cóż, oczywiście ustawiając posterunki i oświetlając martwą strefę.

Martwą strefę. Fatalne określenie.

Dla odmiany na Main Street panowała nienaturalna ciemność. W kilku budynkach, przy których pracowały generatory, błyszczało elektryczne oświetlenie, światła awaryjne paliły się w sklepie wielobranżowym Burpeego, na stacji benzynowej Gas & Grocery, w księgarni Mill New & Used Books, w supermarkecie Food City u stóp Main Street Hill, ale latarnie nie świeciły. W oknach na pierwszym piętrze, gdzie w większości budynków znajdowały się mieszkania, migotały płomyki świec.

Rose usiadła przy stoliku pośrodku sali, zapaliła papierosa, łamiąc zakaz palenia tytoniu w miejscach publicznych, ale Barbie przecież nikomu nie powie. Zdjęła z głowy siatkę i uśmiechnęła się do Barbiego, który usiadł naprzeciwko. Anson czyścił kontuar. Uwolnione od czapki baseballowej włosy spadły mu na ramiona.

- Myślałam, że czwartego lipca przeżyliśmy apogeum, ale dzisiaj to dopiero dostałam w kość - stwierdziła. - Gdybyś się nie zjawił, w końcu skuliłabym się w kącie i płakała, że chcę do mamusi.

- Niewiele brakowało, a byłbym wyjechał. - Barbie uśmiechnął się do wspomnienia. - Spotkałem blondynkę w fordzie... Mogła mnie podwieźć. Pewnie bym wtedy zdążył. Albo skończył jak Chuck Thompson i jego uczennica.

O Thompsonie mówiono w CNN. Kobiety ponoć jeszcze nie zidentyfikowano.

Rose jednak wiedziała swoje.

- To była Claudette Sanders. Jestem pewna. Dodee powiedziała mi wczoraj, że jej mama wybiera się dziś na lekcję latania.

Na stole między nimi stał talerz z frytkami. Barbie właśnie sięgał po jedną. Zamarł w pół gestu. Nagle jakoś przestał mieć ochotę na frytki. I w ogóle na cokolwiek. A czerwona plama keczupu przy brzegu talerza wyglądała jak krew.

- Dlatego Dodee nie przyszła...

- Kto ją tam wie? - Rose wzruszyła ramionami. - Nie dała znaku życia. Chociaż przyznaję, wcale się tego nie spodziewałam, zwłaszcza przy tych kłopotach z telefonami.

Barbie w pierwszym odruchu przyjął, że mowa o linii naziemnej, ale zaraz sobie przypomniał, że w kuchni słyszał, jak goście na sali narzekają na kłopoty z połączeniami komórkowymi. Większość ludzi przyjęła, że skoro wszyscy usiłują się gdzieś dodzwonić w tym samym momencie, dochodzi do blokady częstotliwości. Niektórzy przypuszczali, że to przez pracowników telewizji, których zjechało się już pewnie kilka setek, a wszyscy bez przerwy nadawali przez różne nokie, motorole, iPhony i blackberry. Barbie miał swoje przypuszczenia na ten temat: zaistniała sytuacja zagrażająca bezpieczeństwu narodowemu - w czasie gdy cały kraj miał paranoję na punkcie terroryzmu. Niektóre połączenia przebijały się na zewnątrz, ale w miarę upływu czasu coraz mniej liczne.

- Oczywiście Dodee mogła też uznać, że ma w nosie pracę, i pojechać do Auburn Mall - stwierdziła Rose.

- Czy pan Sanders wie, że w samolocie była Claudette? - Pewna nie jestem, ale byłabym zdziwiona, gdyby to do niego jeszcze nie dotarło. - Zanuciła niskim, dźwięcznym głosem: - „Miasto nie jest wielkie, łapiesz w czym rzecz?”.

Barbie uśmiechnął się lekko i zaśpiewał następny kawałek.

- „Miasto nie jest wielkie, kotku, i wszyscy gramy razem”. Słowa pochodziły ze starej piosenki Jamesa McMurtry'ego, która minionego lata cudem jakimś na dwa miesiące wypłynęła na fali w kilku stacjach zachodniego Maine, puszczających muzykę country. Nie było między nimi, rzecz jasna, rozgłośni WCIK, bo James McMurtry nie należał do artystów popieranych przez radio jezusowe.

- Będziesz jeszcze jadł? - spytała Rose, wskazując frytki.

- Nie. Straciłem apetyt.

Barbie nie kochał nad życie ani wiecznie uśmiechniętego Andy'ego Sandersa, ani ponurej Dodee, która prawie na pewno pomogła swojej najlepszej przyjaciółce, Angie, rozsiewać plotki będące powodem jego kłopotów na parkingu przed Karczmą Dippera, ale myśl, że tamte części ciała to była matka Dodee... żona przewodniczącego Rady Miejskiej... Ta noga w zielonej nogawce, którą ciągle podsuwała mu pamięć...

- Ja też - stwierdziła Rose.

Zgasła papierosa w keczupie. Gdy żar syknął z cicha, Barbie przez jeden straszny moment miał wrażenie, że zwymiotuje. Odwrócił głowę, popatrzył przez okno na Main Street, chociaż właściwie nie było na co patrzeć. Za oknem królowała ciemność.

- O północy będzie przemawiał prezydent - oznajmił Anson zza lady.

Z kuchni dochodził jednostajny pomruk zmywarki do naczyń. Barbie uświadomił sobie, że potężna maszyna może właśnie wykonywać ostatnie swoje zadanie. Przynajmniej na jakiś czas. Trzeba przekonać Rose do tej decyzji. Nie będzie zachwycona, ale zrozumie jej sens. Bo jest kobietą mądrą i praktyczną.

Matka Dodee Sanders. Jezu Chryste. Jaki był stopień prawdopodobieństwa?

Uświadomił sobie, że stopień prawdopodobieństwa był niemały. A jeśli nawet nie pani Sanders leciała senecą, mógł to być ktoś inny, kogo znał. „Miasto nie jest wielkie, kotku, i wszyscy gramy razem”.

- Ja dziękuję za prezydenta - stwierdziła Rose. - Będzie musiał kazać Bogu błogosławić Amerykę beze mnie. Piąta godzina to bardzo wcześnie.

W niedziele Sweetbriar Rose otwierano o siódmej, ale przedtem trzeba wszystko przygotować. Był z tym huk roboty. Zwłaszcza w niedziele, bo wtedy piekło się bułeczki cynamonowe.

- Chłopcy, jeśli macie ochotę pooglądać prezydenta, możecie zostać. Tylko potem zamknijcie porządnie. Tylne drzwi też.

Zaczęła się podnosić.

- Rose, musimy pogadać o jutrzejszym dniu.

- Daj spokój, walenie kotka za pomocą młotka, jutro jest dzień jak co dzień. Jutro pogadamy. - Coś jednak dojrzała w jego twarzy takiego, że usiadła. - Dobra, na jaki temat ta ponura mina?

- Kiedy ostatnio uzupełniałaś propan?

- W zeszłym tygodniu. Mam prawie pełne zbiorniki. Coś jeszcze?

Owszem, ale akurat to było największe zmartwienie. Barbie przeprowadził wyliczenia. Sweetbriar Rose dysponował dwoma połączonymi zbiornikami, każdy o pojemności tysiąca dwustu pięćdziesięciu litrów. Skoro Rose uzupełniała gaz niedawno, miała dwa i pół tysiąca litrów gazu do dyspozycji. Dobrze. Wreszcie okrucieństwo szczęścia w dzień najeżony nieszczęściami całego miasta. Gorzej, że trudno było przewidzieć, ile jeszcze nieszczęść ich czeka. Dwa i pół tysiąca litrów propanu nie wystarczy na wieki.

- Jak szybko go zużywasz? Masz pojęcie?

- Dlaczego pytasz?

- Prąd dostarcza ci generator. Światło, piece, lodówki, pompy... Ogrzewanie, jeśli nocą zrobi się chłodniej. A generator zużywa gaz.

Przez jakiś czas milczeli, wsłuchani w jednostajny pomruk nowiutkiego generatora.

Dosiadł się do nich Anson Wheeler.

- Spala siedem i pół litra propanu na godzinę - powiedział. - Przy siedemdziesięciu procentach wykorzystania mocy.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Barbie.

- Przeczytałem na tabliczce znamionowej. Mniej więcej od południa, odkąd padło zasilanie miejskie, idzie na nim wszystko, więc pewnie będzie jakieś dziesięć litrów na godzinę. Nawet trochę więcej.

Rose zareagowała natychmiast.

- Anse, pogaś wszystkie światła, zostaw tylko w kuchni. Teraz, od razu. I przestaw termostat w piecu grzewczym na dziesięć stopni. Albo nie. Wyłącz całkiem.

Barbie uśmiechnął się, uniósł do góry kciuk. Załapała w lot. Nie wszyscy w Mill rozumieją sytuację. Nie wszyscy będą chcieli.

- No dobra... - Anson nie wyglądał na przekonanego. - Nie wydaje się wam, że jutro rano... a najpóźniej po południu?...

- Prezydent Stanów Zjednoczonych ma wygłosić przemówienie - powiedział Barbie. - O północy. Czym ci to pachnie?

- Idę gasić światła - stwierdził Anson.

- Nie zapomnij o termostacie! - zawołała za nim Rose. - Na górze zrobię to samo.

Od dziesięciu lat była wdową, mieszkała nad restauracją.

Barbie pokiwał głową. Odwrócił jedną z papierowych podkładek z napisem: CZY ZNASZ DWADZIEŚCIA NAJPIĘKNIEJSZYCH MIEJSC W MAINE? i zaczął liczyć. Mniej więcej sto litrów propanu poszło od czasu, gdy pojawiła się bariera. Czyli zostało dwa tysiące czterysta litrów. Jeżeli Rose zmniejszy zużycie do dziewięćdziesięciu litrów dziennie, teoretycznie zdoła przetrzymać trzy tygodnie. Jeśli do osiemdziesięciu - co oznaczałoby zamykanie lokalu między śniadaniem a obiadem i potem do kolacji - może pociągnąć prawie miesiąc.

A jeśli miasto nie zostanie otwarte przez miesiąc, to i tak nie będzie już co gotować.

- Co kombinujesz? - spytała Rose. - I co liczysz? Nic nie rozumiem.

- Bo źle patrzysz.

I nagle uświadomił sobie, że wielu mieszkańców miasta popełni ten sam błąd. Ludzie nie będą chcieli wierzyć cyfrom.

Rose odwróciła zapiski w swoją stronę. Przyjrzała się obliczeniom. Potem podniosła głowę i spojrzała na Barbiego wyraźnie wstrząśnięta. Akurat Anson wygasił większość światel, więc siedzieli w półmroku, który - przynajmniej zdaniem Barbiego - był przerażająco

prorocy. Zapowiadał poważne kłopoty.

- Trzydzieści dni? - zdziwiła się Rose. - Uważasz, że musimy robić plany na miesiąc?

- Nie wiem. Ale kiedy byłem w Iraku, dostałem od kogoś „Czerwoną książeczkę”, czyli cytaty z przewodniczącego Mao. Nosilem ją zawsze przy sobie i przeczytałem wiele razy od deski do deski. Ten Chińczyk miał więcej rozumu, niż nasi politycy wykazują w chwilach wyjątkowej bystrości umysłu. Jedna refleksja szczególnie zapadła mi w pamięć: „Oczekuj słońca, ale buduj wały przeciwpowodziowe”. Wydaje mi się, że tak właśnie powinniśmy... to znaczy powinnaś...

- My - zgodziła się, dotykając jego palców. Odwrócił dłoń i ujął ją za rękę.

- Dobrze. Wobec tego my. Moim zdaniem powinniśmy się jak najlepiej zabezpieczyć. Co oznacza zamykanie lokalu między posiłkami, ograniczenie używania pieców, czyli rezygnację z bułeczek cytrynowych, chociaż uwielbiam je jak wszyscy... I koniec ze zmywarką. Jest stara, zużywa dużo energii. Wiem, że Anson i Dodee nie będą zachwyceni perspektywą ręcznego zmywania, ale...

- Dodee pewnie i tak nieprędko się zjawi, jeśli w ogóle - westchnęła Rose. - Przecież straciła matkę. W pewnym sensie mam nadzieję, że faktycznie pojechała do Auburn Mall. Dowiem się jutro z gazet.

- Możliwe.

Barbie nie miał pojęcia, ile wiadomości przedostanie się przez barierę, obojętne w którą stronę, jeśli sytuacja nie znajdzie szybko jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia. Zapewne niewiele. Zrozumiał, że miasto zostanie wygłuszone, jak za sprawą urządzenia szpiegowskiego Stożek Ciszy z filmów o Maxwellu Smarcie. O ile już do tego nie doszło.

Anson stanął przy stoliku Barbie i Rose. Miał na sobie kurtkę.

- To ja już pójdę.

- Jasne. - Rose pokiwała głową. - Jutro o szóstej?

- Nie za późno? - Uśmiechnął się szeroko. - Ja się wcale nie skarzę, ale...

- Będziemy otwierać później. - Umilkła na chwilę. - I zamykać między posiłkami.

- Poważnie? Super. - Przeniósł wzrok na Barbiego. - Masz gdzie przenocować? Jakby co, to możesz u mnie. Sada pojechała do rodziny w Derry.

Sada była żoną Ansona.

Barbie miał gdzie nocować. Prawie dokładnie po drugiej stronie ulicy.

- Serdeczne dzięki, wracam do siebie. Zapłaciłem do końca miesiąca, więc nadal mam dach nad głową. Klucze oddałem rano Petrze Searles w aptecę, ale został mi duplikat.

- Dobra. No to, Rose, do zobaczenia rano. Barbie, ty będziesz? - Jasne!

- To super.

Po wyjściu Ansona Rose potarła oczy, po czym spojrzała na Barbiego ponuro.

- Jak sądzisz, ile to potrwa?

- Nie mam bladego pojęcia, bo nie wiem, co się stało. Albo co się dzieje.

- Przerażasz mnie - powiedziała Rose cicho.

- Sam się boję. - Zabębnił palcami po stole. - Idziemy spać - zarządził. - Rano wszystko będzie mniej straszne.

- Bez ambieniu pewnie nie zasnę, chociaż jestem zmęczona... Tak czy inaczej, bardzo się cieszę, że wróciłeś.

Barbie przypomniał sobie, że miał powiedzieć Rose o zaopatrzeniu.

- Jeszcze jedno. Jeżeli Food City będzie jutro otwarty...

- Tak, oni pracują w niedzielę. Od dziesiątej do osiemnastej.

- Jeżeli jutro też będzie otwarty, zrób zakupy.

- Przecież Sysco mi dostarcza... - przerwała, popatrzyła na Barbiego z rezygnacją. - We wtorki mam dostawy, ale teraz nie mogę na nie liczyć, prawda?

- Fakt, nie możesz - potwierdził Barbie. - Nawet jeśli raptem wszystko wróci do normy, armia może uznać, że przyda nam się kwarantanna.

- Co mam kupić?

- Wszystko, a szczególnie mięso. Mięso, mięso i jeszcze raz mięso. O ile otworzą sklep... - Pokręcił głową. - Coś mi się nie wydaje. Jim Rennie może wpłynąć na... Kto tam jest właścicielem?

- Jack Cale. Przejął interes w zeszłym roku, gdy Ernie Calvert przeszedł na emeryturę.

- No właśnie. Rennie może go przekonać, żeby na jakiś czas zamknął sklep. Albo nawet wpłynąć na komendanta Perkinsa, żeby mu wydał takie polecenie.

- Nic nie wiesz?

Odpowiedział jej pytającym wzrokiem.

- Nie wiesz. Duke Perkins nie żyje. Barbie patrzył na nią osłupiały.

Anson nie wyłączył telewizora, więc w tle ukochany Rose, Wolfie, po raz kolejny opowiadał światu, że jakaś nieznana siła odgrodziła miasteczko w zachodniej części stanu Maine. Armia odizolowała teren, w Waszyngtonie obraduje Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, a o północy zwróci się do narodu sam prezydent. Tymczasem prosi wszystkich Amerykanów, by razem z nim się modlili za mieszkańców Chester's Mill.

- Tato? Tato!

Junior Rennie stał na szczycie schodów, głowę przechylił w bok i słuchał z uwagą. Odpowiedziała mu cisza, nawet telewizor milczał. A przecież ojciec zawsze po pracy siadał przed telewizorem. W sobotnie wieczory oglądał CNN i FOX News albo Animal Planet czy History Channel. Dziś jakoś nie. Junior podniósł do ucha zegarek. Nadal tykał, a jego wskazanie miało sens, bo na zewnątrz było już ciemno.

Juniorowi przyszła do głowy straszna myśl: Duży Jim pewnie jest z komendantem Perkinsem. Naradzają się, jak go możliwie dyskretnie aresztować. Ale dlaczego zwlekają z tym tak długo? Żeby go pod osłoną ciemności wywieźć z miasta do więzienia w Castle Rock. Potem będzie proces. A co dalej?

Shawshank. Po kilku latach pewnie zaczną o nim mówić The Shank, jak reszta morderców, gwałcicieli i zboków.

- Bzdury - szepnął.

Ale czy rzeczywiście? Obudził się z przekonaniem, że zabójstwo Angie było tylko snem. Musiało być snem, bo przecież on by nigdy nikogo nie zabił. Pobić, ewentualnie, ale zabić? Śmieszne! Przecież był... był całkiem normalnym człowiekiem!

Obejrzał się przez ramię i w oko wpadły mu rzeczy wrzucone pod łóżko, zobaczył na nich krew, pamięć odżyła. Ręcznik spadający z włosów. Jej piczka, wyraźnie z niego kpiąca. Dziwaczny zgrzytliwy dźwięk w twarzy dziewczyny, kiedy w nią wyrzwał kolaniem. Deszcz magnesów z lodówki i jak upadła na ziemię...

To nie byłem ja. To był...

To był ból głowy.

Tak. Prawda. Tylko kto w nią uwierzy? Prędzej by mu uwierzyli, gdyby się uparł, że to robota lokaja.

- Tato?

Nadal cisza. Tu go nie ma. I w komisariacie też nie. Kto jak kto, ale ojciec by nie knuł przeciwko niemu. Zawsze powtarza, że rodzina jest najważniejsza.

Ale czy rzeczywiście jest? On tak mówi, owszem, w końcu jest chrześcijaninem i ma połowę udziałów w radiostacji WCIK...

I zaraz Juniorowi przyszło na myśl, że komis z dumnym szyldem JIM RENNIE UŻYWANE SAMOCHODY może być dla ojca ważniejszy niż rodzina. A funkcja radnego miejskiego jeszcze bardziej istotna niż święty przybytek mamony.

Wobec tego on sam, Junior, znajduje się dopiero na trzecim miejscu.

Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie w niespotykanym przeblýsku intuicji, że właściwie niczego nie wie na pewno. W zasadzie wcale nie zna własnego ojca.

Wrócił do pokoju, włączył górne światło. Rozjarzyło się niepewnie, ciągle przygasało. Sądził, że ma kłopoty z oczami, dopiero po chwili uświadomił sobie, że słyszy generator. I to nie tylko w swym domu. Najwyraźniej miejskie zasilanie padło. Zalała go fala ulgi. Solidna awaria zasilania wiele wyjaśniała. Ojciec na pewno siedzi w sali konferencyjnej w ratuszu i obgaduje sytuację z tą dwójką idiotów, Sandersem i Grinnell. Może wtyka znaczniki w wielką mapę miasta niczym sam George Patton. I narzeka na Western Maine Power, wyzywając pracowników firmy energetycznej od łachadojdów oraz takich siakich owakich.

Junior zebrał powalane krwią ubrania, wytrząsnął z džinsów różne drobiazgi - portfel, drobiazki, klucze, grzebień, proszek od bólu głowy - i powkładał wszystko do kieszeni czystych spodni. Poszedł na dół, wsadził dowody zbrodni do pralki, nastawił na gotowanie, po czym przypomniało mu się jeszcze z czasów, kiedy miał najwyżej dziesięć lat, jak matka mówiła, że plamy z krwi spiera się zimną wodą. Przystawiając programator na chłodne pranie, zastanawiał się ospale, czy ojciec od dawna pieprzy się z jakąś sekretarką, czy też trzyma swój taki siaki owaki fiut na głodzie.

Włączył pralkę i zastanowił się, co dalej. Co najważniejsze, od czasu gdy przestała go boleć głowa, w ogóle mógł myśleć.

W końcu postanowił wrócić do domu Angie. Bardzo tego nie chciał... Boże jedyny, była to ostatnia rzecz na świecie, na jaką miał ochotę, jednak powinien się tam rozejrzeć. Sprawdzić, ile wozów policyjnych stoi pod tamtym domem. I czy jest van patologa sądowego. Patolodzy byli najważniejsi. Na pewno, przecież oglądał CSI. Widział już wcześniej ten wielki niebiesko - biały samochód, kiedy był z ojcem w sądzie. Więc jeśli będzie taki stał przed domem McCainów...

Wtedy ucieknę, pomyślał.

Tak. I to jak najszybciej. Tylko wcześniej jeszcze wróci na chwilę do domu, do gabinetu ojca, otworzy sejf. Ojciec sądził, że Junior nie zna szyfru, ale Junior znał. Znał też hasło do komputera ojca, wobec czego wiedział o jego skłonności do oglądania pikantnych scenek, które z Frankiem DeLessepsem nazywali „na markizę” - dwie czarne cizie, jeden biały facet. W sejfie była kupa szmalu. Tysiące baksów.

A jeśli zobaczą van, wrócę tutaj i ojciec już będzie w domu?

Wobec tego najpierw pieniądze. Teraz.

Wszedł do gabinetu. Przez moment wydało mu się, że ojciec siedzi w fotelu z

wysokim oparciem, w którym oglądał telewizję. Przysnął, czy może... miał atak serca? Duży Jim miewał kłopoty z sercem od trzech lat. Jakaś arytmia. Zwykle chadzał do szpitala imienia Cathy Russell i tam albo doktor Haskell, albo Rayburn coś mu dawali i stawiali go na nogi. Haskell najchętniej by nie zmieniał takiego stanu rzeczy, ale Rayburn, którego ojciec nazywał mądralińskim łachadojdą, w końcu postawił na swoim i skłonił Dużego Jima do wizyty u specjalisty w Lewiston. Kardiolog stwierdził, że aby się pozbyć tych zaburzeń rytmu serca raz na zawsze, trzeba przeprowadzić odpowiednie procedury medyczne, a Duży Jim, który panicznie bał się szpitali, stwierdził, że musi porozmawiać z Bogiem, czyli przeprowadzić procedury modlitewne. Po czym wrócił do łykania pigulek i od kilku miesięcy wszystko wydawało się w najlepszym porządku, ale z drugiej strony... bo to wiadomo?

- Tato?

Cisza.

Junior przytknął przełącznikiem światła. Nad jego głową rozjarzył się taki sam niepewny blask jak w sypialni, ale rozproszył cień, który chłopak wziął za głowę ojca. Na dobrą sprawę nie załamałby się, gdyby ojcu wysiadła pikawa, ale może lepiej, że niekoniecznie akurat dzisiaj. Za dużo komplikacji jak na jeden dzień.

Mimo wszystko podszedł do sejfu długimi miękkimi krokami na przygiętych nogach, jak skrada się postać na filmie rysunkowym. Stale oczekiwał rozbłysku reflektorów samochodowych na oknie, nieomylnego znaku powrotu ojca. Zdjął ze ściany i odłożył na bok obraz zakrywający sejf - „Kazanie na Górze” - i wprowadził kombinację cyfr. Ostatnią czynność musiał powtórzyć, zanim obrócił pokrętło, bo ręce mu drżały.

Skrytka była pełna gotówki. Poza nią Junior znalazł całe sterty kartek przypominających pergamin, zatytułowanych OBLIGACJE NA OKAZICIELA. Gwizdnął cicho. Gdy zaglądał do sejfu poprzednim razem, żeby podprowadzić jakieś pięćdziesiąt baksów na zeszłoroczny festyn we Fryeburgu, też było tam dużo gotówki, ale nie aż tyle co teraz. I żadnej obligacji na okaziciela. Przypomniała mu się plakietka stojąca na biurku ojca. CZY JEZUS BY ZAWARŁ TAKI UKŁAD? Nawet w tej chwili, struty i przestraszony, Junior zastanowił się, czy Jezus by pochwalił układy, jakie Duży Jim tworzył na boku.

Jego interesy, jego sprawa, uznał. Ja muszę się zająć własnymi.

Wziął pięćset dolarów w pięćdziesiątkach i dwudziestkach. Już miał zamknąć sejf, gdy zmienił zdanie i dołożył jeszcze parę setek. Ojciec nawet nie zauważył, że mu coś ubyło. A jeśli, to pewnie zrozumie, dlaczego syn wziął pieniądze, może nawet się z nim zgodzi, kto wie? Sam Duży Jim zawsze mawiał: „Opatrzność pomaga tym, którzy sami sobie pomagają”.

Kierując się tą maksymą, Junior wziął jeszcze cztery setki. Zamknął sejf, obrócił

pokrętko i odwiesił Jezusa na miejsce. W przedpokoju chwycił kurtkę i wyszedł. Generator mruczał, zasilając pralkę, która czyściła jego ubrania z krwi Angie.

4

W domu McCainów nie było nikogo.

Normalnie, kurwa, nikogusieńko.

Junior przyczał się po przeciwnej stronie ulicy, w lekkim deszczu liści klonowych. Sam nie wiedział, czy wierzyć własnym oczom: dom był pogrążony w ciemnościach, na podjeździe ani śladu terenowca Henry'ego McCaina czy toyoty prius LaDonny. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Stanowczo zbyt piękne.

Może byli na placu. Widział tam sporo ludzi. Pewnie wszyscy gadali o awarii zasilania, chociaż nigdy dotąd nie było aż takiego zbiegowiska z tego powodu. Zwykle ludzie wracali do domów i kładli się spać z błogą świadomością, że jeśli tylko przerwa w dostawie elektryczności nie jest skutkiem wyjątkowo gwałtownej burzy, najdalej w porze śniadania wszystko wróci do normy.

Ewentualnie ta akurat awaria zasilania została spowodowana jakimś spektakularnym zajściem, z rodzaju tych, o których telewizja informuje, przerywając programy z ramówki. Junior przypominał sobie mgliście, że tuż po tym, jak mu się zdarzył wypadek z Angie, jakiś starowina go pytał, co się stało. Tak czy inaczej zadbał, żeby z nikim nie rozmawiać w drodze powrotnej do domu dziewczyny. Szedł Main Street z nisko pochyloną głową, postawił kołnierz i przez to wszystko mało nie wpadł na Ansona Wheelera wychodzącego ze Sweetbriar Rose. Latarnie nie świeciły, więc tym łatwiej było pozostać niezauważonym. Kolejny podarunek od losu.

A teraz jeszcze na dodatek to. Trzeci łut szczęścia. Gigantyczny! Czy naprawdę ciało Angie mogło jeszcze pozostać nieodkryte? Czy też może właśnie przyglądał się pułapce?

Z łatwością sobie wyobrażał tutejszego szeryfa albo jakiegoś ważniaka z policji stanowej, który mówi: „Wystarczy się ukryć i poczekać, chłopcy Przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni. Wiadoma sprawa”.

Bzdety z telewizora.

A jednak przechodząc przez ulicę, przyciągany chyba jakąś zewnętrzną siłą, w każdej chwili spodziewał się znaleźć w świetle reflektorów punktowych, które przyszpila go do ściany jak motyla w gablocie, czekał na krzyk, zapewne przez megafon: „Stój, ręce do góry!”.

Nic się nie działo.

W końcu znalazł się na podjeździe. Serce waliło mu jak młotem, w skroniach

pulsowało... jednak ból głowy nie wracał, co także stanowiło dobry znak. Bardzo dobry znak. Dom w dalszym ciągu był ciemny i cichy. Nawet generator milczał. Słysząc było tylko maszynę pracującą u Grinnellów, po sąsiedzku.

Junior obejrzał się przez ramię. Dostrzegł ogromny biały krąg światła nad drzewami. Gdzieś przy południowych granicach miasta, może nawet w Morton? Czyżby tam znajdowało się miejsce wypadku, który spowodował awarię zasilania? Pewnie tak.

Podszedł do tylnych drzwi. Frontowe też powinny być nadal otwarte, skoro nikt nie wrócił do domu od czasu zdarzenia z Angie, ale nie chciał wchodzić od tamtej strony. Gdyby musiał, to oczywiście, ale może było inne wyjście. W końcu ostatnio naprawdę miał fart.

Przekręcił gałkę w drzwiach.

Wetknął głowę do kuchni. Natychmiast poczuł krew, całkiem jak krochmal, tylko zwietrzały.

- Halo! Cześć! - zawołał. - Jest tam ktoś?

Miał niemal całkowitą pewność, że nikogo nie ma, ale gdyby jakimś cudem Henry albo LaDonna zostawili samochód przy placu, wrócili do domu na piechotę i przegapili martwą córkę na kuchennej podłodze, wtedy Junior zacząłby krzyczeć. Tak! Bo właśnie by „odkrył ciało”. Jeśli chodzi o patologa, nic by to nie dało, ale zyskałby trochę na czasie.

- Halo? Proszę pana! Proszę pani! - I w końcu, w przebłysku geniuszu: - Angie? Jesteś w domu?

Przecież by jej nie wołał, gdyby ją zabił. Jasne, że nie! Wtedy pojawiła się straszna myśl.

A gdyby tak Angie odpowiedziała? Gdyby się odezwała z podłogi? Wydała jakiś dźwięk z gardła pełnego krwi?

- Weź się w garść - mruknął.

Tak, stanowczo trzeba było wziąć się w garść, choć zadanie nie należało do łatwych. Zwłaszcza w ciemnościach. A poza tym w Biblii takie rzeczy zdarzały się bez przerwy. W Biblii ludzie czasami wracali do życia, jak zombi w „Nocy żywych trupów”.

- Jest tu ktoś? Zero reakcji. Cisza.

Oczy mu nieco przywykły do mroku, jednak nie dość. Potrzebował światła. Powinien był wziąć latarkę z domu, ale jak człowiek się przyzwyczai do tego, że normalnie wystarczy pstryknąć przełącznikiem, łatwo zapomina o takich sprawach. Junior przestąpił nad ciałem Angie i otworzył pierwsze z dwójga drzwi na przeciwległej ścianie. Spizarka. Niezbyt wyraźnie, ale jednak widać było półki zastawione butelkami i puszkami. Zajrzał za drugie drzwi - tu poszczęściło mu się lepiej. Pralnia. I o ile nie zwiódł go kształt przedmiotu

stojącego na półce, nadal miał fart.

Rzeczywiście, latarka. I to silna, bardzo przyzwoita. W kuchni trzeba będzie jej używać ostrożnie i najlepiej spuścić rolety, ale tu, w pralni, mógł świecić do woli.

Proszek. Wybielacz. Zmiękcacz do tkanin. Mop i wiadro. Dobrze. Skoro nikt nie włączył generatora, będzie tylko zimna woda. Z kranów naleci pewnie z jeden kubek, ale są jeszcze rezerwuary. Zimna woda - doskonale. Krew - zimną wodą.

Będzie sprzątał niczym oszalała na punkcie czystości pani domu, jaką kiedyś była jego matka, posłuszna maksymie głoszonej przez męża: „Czysty dom, czyste ręce, czyste serce”. Zmyje całą krew. Potem wytrze Wszystko, czego dotykał i czego mógł dotknąć. Ale najpierw...

Ciało. Trzeba coś zrobić z ciałem.

Zdecydował, że na razie może zostać w spizarce. Wciągnął tam Angie za ramiona, na koniec puścił. Łup! Zabrał się do pracy. Podśpiewując pod nosem, przyczepił magnesy na lodówce, następnie opuścił rolety. Wiadro udało mu się napełnić niemal po brzegi, zanim kran zaczął prychać. Kolejny bonus.

Ciągle jeszcze czyścił kuchnię i był daleko od ukończenia pracy, gdy usłyszał pukanie do frontowych drzwi.

Podniósł głowę. Oczy miał szeroko otwarte, usta rozciągnięte na boki w przypominającym uśmiech grymasie przerażenia.

- Angie? - Dziewczyna szlochała. - Angie, jesteś?

Kolejne pukanie, potem drzwi się otworzyły. Najwyraźniej fart się skończył.

- Angie, mam nadzieję, że jesteś... Widziałam twój samochód w garażu...

Cholera! Garaż! O pieprzonym garażu całkiem zapomniał...

- Angie? - Kolejny szloch.

Znał ten głos. To ta idiotka Dodee Sanders... Tak, to ona.

- Angie, moja mama nie żyje! Pani Shumway powiedziała, że mama nie żyje!

Junior miał nadzieję, że dziewczyna pójdzie najpierw na górę, sprawdzić, czy Angie nie ma w sypialni. Niestety, Dodee ruszyła od razu do kuchni, niepewnie stawiając kroki w ciemności.

- Angie? Jesteś tutaj? Zdawało mi się, że widzę światło.

Juniora znowu zaczynała boleć głowa. Wszystko przez tę naćpaną zdzirę. I to, co się zaraz stanie, to też jej wina.

Dodee Sanders była wciąż lekko wstawiona i cokolwiek naprana. Poza tym właśnie straciła matkę. W ciemnościach brnęła przez przedpokój domu najlepszej przyjaciółki, nadepnęła na coś, poślizgnęła się i mało nie wyrznęła na tyłek. W ostatniej chwili złapała się poręczy. Boleśnie wykręciła dwa palce, więc krzyknęła głośno. W pewnym stopniu rozumiała, że wszystko to właśnie jej się zdarza, ale jednocześnie trudno jej było w to uwierzyć. Czowała się troszkę tak, jakby żyła w jakimś równoległym wymiarze, całkiem jak w filmie science fiction.

Pochyliła się, żeby sprawdzić, na czym się przejechała, i o mało nie zaliczyła gleby. Dłonią wymacała ręcznik. Co za idiota zostawił ręcznik na podłodze w korytarzu? Potem wydało jej się, że słyszy jakiś ruch w ciemnościach. Chyba w kuchni.

- Angie? Jesteś?

Nic. Ale chyba nadal wyczuwała czyjąś obecność. A może i nie.

- Angie?

Szła dalej, szurając nogami. Przyciskała do boku pulsującą bólem i już puchnącą prawą rękę. Lewą wyciągnęła przed siebie, żeby na nic nie wpaść w ciemności.

- Angie... gdzie jesteś? Moja mama nie żyje. Nie nabijam się, poważnie. Pani Shumway mi powiedziała, to nie dowcip. Angie, jesteś mi strasznie potrzebna!

A dzień zaczął się tak dobrze! Wstała wcześniej... no, około dziesiątej, więc jak na nią bardzo wcześnie - i wcale nie miała zamiaru urywać się z pracy. Potem zadzwoniła Samantha Bushey i powiedziała, że wyłapała na eBayu nowe lalki Bratz, więc chciała wiedzieć, czy Dodee będzie chciała przyjść, poddać je torturom. Torturowanie lalek było nałogiem z czasów gimnazjum. Dziewczyny kupowały je na wyprzedazach garażowych, potem wieszały, kłuły paznokciami głupie twarzyczki, oblewały zabawki benzyną do zapalniczek i podpalały... Dodee wiedziała, że powinny dać sobie z tym spokój, teraz były już dorosłe, no, prawie dorosłe. Cała ta zabawa to dziecinada. No i w sumie trochę straszna, jak się tak nad tym zastanowić. Wszystko przez to, że Sammy miała własny dach nad głową przy Morton Road. Nic wielkiego, tylko przyczepę, ale do wyłącznej dyspozycji, od wiosny, kiedy to jej mąż dał nogę. Little Walter spał praktycznie bez przerwy. No i Sammy zwykle miała ziele. Dodee się domyślała, że dostawała je od chłopaków, z którymi imprezowała. Jej przyczepa cieszyła się w weekendy dużą popularnością. Tyle że Dodee obiecała sobie nigdy więcej nie tknąć zioła. Przysięgła to sobie po tej awanturze z kuchcią. „Nigdy więcej” trwało już ponad tydzień, gdy Sammy zadzwoniła.

- Możesz dostać w swoje łapy Jade i Yasmin - kusiała. - No i mam trochę wiesz czego. Rewelka. - Zawsze wysławiała się w taki sposób, jakby ktoś podsłuchiwał i doskonale wiedział, o czym mowa. - A poza tym możemy wiesz co.

Dodee oczywiście doskonale wiedziała, co oznacza „wiesz co”, poczuła mrowienie w dole, wiadomo gdzie, chociaż całe to „wiadomo co” też było dziecinadą i należało z tym skończyć dawno temu.

- Wiesz co, Sammy, nie bardzo mogę. Muszę być w robocie o drugiej, no i...

- Yasmin czeka - powiedziała Sammy. - Wiem, że jej nienawidzisz.

Cóż, prawda. Yasmin była, zdaniem Dodee, najgorszą suką spośród lalek Bratz. Do czternastej zostały jeszcze cztery godziny. A nawet gdyby się trochę spóźniła, to co? Rose ją wywali? A gdzie znajdzie jakiegoś naiwnego na jej miejsce?

- Dobra. Ale tylko na chwilę. I wyłącznie dlatego, że nienawidzę Yasmin.

Sammy zachichotała.

- I pamiętaj, że ja już nie używam wiesz czego - zaznaczyła. I tego drugiego wiesz czego też nie robię.

- Nie ma sprawy - zgodziła się Sammy bez sprzeciwu. - Przyjeżdżaj szybko.

I tak Dodee pojechała do przyjaciółki i oczywiście przekonała się, że torturowanie lalki to żadna przyjemność, jak człowiek nie jest chociaż troszkę na haju, więc zapaliła skręta i Sammy też. Potem we dwie przeprowadziły u Yasmin operację plastyczną za pomocą środka do czyszczenia rur, co było dość zabawne. Następnie Sammy chciała jej pokazać: rewelacyjne body, które kupiła w Deb. Chociaż miała trochę brzucha, zdaniem Dodee nadal wyglądała rewelacyjnie, może dlatego, że były trochę upalone. Little Walter ciągle spał. (Jego ojciec się uparł, żeby mu dać imię na cześć jakiegoś starego bluesmana. Mały właściwie bez przerwy spał. Dodee uważała, że jest opóźniony w rozwoju. Nie byłoby w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, ile maryśki wciągała Sammy, będąc w ciąży). W końcu wylądowały w łóżku Sammy, na małe wiadomo co, jak dawniej. Potem usnęły, a kiedy Dodee się obudziła, Little Walter puszczał bąki... w dodatku było wpół do szóstej. Naprawdę już za późno, żeby iść do roboty, zresztą Sammy wyciągnęła butelkę johnniego walkera, więc wypity kolejną, drugą, trzecią i czwartą, a potem Sammy uznała, że chce sprawdzić, co będzie z Baby Bratz . wsadzoną do mikrofalówki, tylko że prąd wysiadł.

Dodee wróciła do miasta, pełnząc niecałe trzydzieści kilometrów na godzinę, nadal na haju i prześladowana przez paranoję. Bez przerwy sprawdzała, czy we wstecznym lusterku nie widać gliniarzy. Wiedziała, że gdyby ją faktycznie zatrzymali, z pewnością z wozu wysiadłaby ta ruda suka Jackie Wettington. Albo ojciec zrobi sobie przerwę w aptecznej

harówie i poczuje od niej procenty. Albo matka będzie w domu, bo tak ją zmęczyła ta kretyńska nauka latania, że postanowiła sobie odpuścić spotkanie Gwiazdy Wschodniej i bingo.

Boże, pomóż mi! Błagam, niech mi się upiecze, a już nigdy nie będę robiła wiadomo czego. I tego drugiego też nie. Nigdy w życiu.

Jej modlitwy zostały wysłuchane. Dom świecił pustkami. Tu także: nie było prądu, ale tego najarana Dodee w zasadzie nie zauważyła.

powlokła się do swojego pokoju, ściągnęła spodnie oraz koszulę i padła na łóżko.

Tylko na parę minut, obiecała sobie w duchu.

Potem wstanie, wrzuci ciuchy śmierdzące gandzią do pralki, weźmie prysznic. Czują na ciele perfumy Sammy, przyjaciółka kupiła ich w sklepie Burpeego pewnie z litr za jednym zamachem.

Tyle że przy wyłączonym prądzie budzik nie działał. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, było już całkiem ciemno. Włożyła szlafrok i zeszła na parter, przekonana, że na progu zobaczy rudowłosą policjantkę z wielkimi cycami, gotową ją aresztować za prowadzenie pod wpływem. A może i za drobne bara - bara. Dodee przypuszczała, że to ostatnie nie jest sprzeczne z prawem, lecz całkowitej pewności nie miała.

Nie zobaczyła Jackie Wettington. Przed drzwiami stała Julia Shumway, redaktorka i wydawczyni „Democrata”. W ręku trzymała latarkę. Zaświeciła Dodee w twarz, pewnie napuchniętą od snu, w oczy na pewno zaczerwienione, na włosy w koszmarnym nieładzie, po czym opuściła strumień światła. W rozproszonym blasku widać było twarz Julii, na niej wyraz współczucia, który zmieszał i przestraszył Dodee.

- Biedactwo - odezwała się Julia. - Ty jeszcze o niczym nie wiesz...

- O czym? - Mniej więcej wtedy Dodee zaczęła mieć to dziwaczne wrażenie światów równoległych. - O czym nie wiem?

Julia Shumway jej powiedziała.

6

- Angie? Angie, błagam...

Po omacku brnęła korytarzem. W dłoni pulsował ból. W głowie też. W zasadzie mogłaby poszukać ojca... pani Shumway zaproponowała, że ją zawiezie, pewnie trzeba by zacząć szukanie w zakładzie pogrzebowym... na samą myśl dostawała gęsiej skórki. Zresztą wolała być z Angie. Z Angie, która ją mocno przytuli, kompletnie bez podtekstów i niezainteresowana wiadomo czym. Angie, najlepsza przyjaciółka.

Z kuchni wyszedł jakiś cień. Zbliżał się szybko.

- Jesteś, całe szczęście! - Zaszlochała głośniej, wyciągnęła przed siebie obie ręce, przyśpieszyła kroku. - Koszmar, mówię ci, koszmar! Los mnie pokarał, dostałam za swoje!

Cień także wyciągnął ręce, ale nie po to, by Dodee przytulić. Silne dłonie zacisnęły się wokół jej gardła.

DOBRO MIASTA, DOBRO MIESZKAŃCÓW

1

Andy Sanders rzeczywiście znajdował się w zakładzie pogrzebowym Bowiego. Doszedł tam, dźwigając na barkach wielki ciężar: niedowierzanie, rozpacz, ściśnięte serce.

Siedział w salonie zadumy numer jeden, za jedyne towarzystwo mając nieboszczkę w trumnie na wprost. Była to Gertrude Evans, lat osiemdziesiąt siedem, a może nawet osiemdziesiąt osiem, która zmarła na niewydolność serca przed dwoma dniami. Andy wysłał kondolencje, choć nie miał bladego pojęcia, kto je w zasadzie otrzymał, bo mąż Gerty zmarł dobre dziesięć lat wcześniej. Nieważne. Sanders zawsze wysyłał kondolencje, gdy umierał któryś z jego wyborców. Ręcznie pisane na papeterii z nagłówkiem „Przewodniczący Rady Miejskiej”. Miał poczucie, że takie działanie należy do jego obowiązków.

Duży Jim nie mógł się zajmować takimi sprawami. Był zbyt zajęty pilnowaniem tego, co nazywał „naszym wspólnym interesem”, przez co rozumiał Chester's Mill. W zasadzie zarządzał miastem jak prywatnym przedsiębiorstwem, lecz Andy nie miał nic przeciwko temu, bo doskonale rozumiał, że Duży Jim jest bystry. Andy równie dobrze rozumiał także coś innego: bez niego, bez Andre w DeLois Sandersa, Duży Jim najprawdopodobniej nie zostałby wybrany nawet na hycła. Duży Jim sprzedawał używane samochody, obiecując gwiazdki z nieba, doskonale interesy oraz bonusy w postaci tanich koreańskich odkurzaczy, ale kiedy chciał zostać przedstawicielem Toyoty, koncern zamiast niego wybrał Willa Freemana. Biorąc pod uwagę wielkość sprzedaży w autokomisie oraz jego lokalizację tuż przy szosie numer sto dziewiętnaście, Duży Jim nie umiał pojąć głupoty decydentów Toyoty.

Natomiast Andy ich rozumiał. Może nie był najbystrzejszym niedźwiadkiem w lesie, ale swój rozum miał. Wiedział, że Dużemu Jimowi brakuje ciepła. Był on człowiekiem bardzo stanowczym, a zdaniem niektórych, na przykład farmerów ubiegających się o nisko oprocentowane dofinansowanie, miał serce z kamienia i był wyrachowany Tymczasem Andy, dla równowagi, dysponował ciepłem w nadmiarze. Kiedy kursował po mieście przed wyborami, mówił ludziom, że on i Duży Jim są jak bliźniaczki z reklamy gumy do żucia, jak Click i Clack z radiowego cyklu motoryzacyjnego albo jak masło orzechowe i dżem i że Chester's Mill nie byłoby takie jak dziś bez nich obu, pracujących w tandemie, z trzecią osobą, jaka się trafi na dokładkę. Akurat teraz była to siostra Rose Twitchell, Andrea Grinnell. Andy zawsze był zadowolony z partnerstwa z Dużym Jimem. I pod kątem finansów, tak, jak

najbardziej, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat, ale także ze względu na podział ról. Duży Jim wiedział, jak się załatwia sprawy i dlaczego powinny zostać załatwione. „Trzeba patrzeć na problemy w szerszej perspektywie”, mawiał. „Robimy to dla miasta. Dla jego mieszkańców. Dla ich dobra”. I tak było dobrze. Działanie w imię dobra było dobre.

Tyle że teraz, dzisiaj...

- Od początku byłem przeciwny całej tej nauce latania - powiedział i znów się rozplakał.

Po chwili szlochał głośno i nikomu to nie szkodziło, bo Brenda Perkins już wyszła, milcząco ocierając łzy po obejrzeniu ciała swojego męża, a bracia Bowie byli na dole. Mieli sporo pracy Do Andy'ego docierało jak przez mgłę, że wydarzyło się coś strasznego. Fern Bowie poszedł coś przekąsić do Sweetbriar Rose i po powrocie właściwie powinien Andy'ego wyprosić, tymczasem przeszedł korytarzem, nawet nie rzuciwszy okiem do saloniku, gdzie przewodniczący Rady Miejskiej siedział z dłońmi wciśniętymi między kolana, rozluźnionym krawatem i włosami w nieładzie. Od razu zszedł do pomieszczenia, które razem z bratem, Stewartem, nazywali pracownią. Straszne miejsce. Właśnie tam znajdował się Duke Perkins. Znajdował się tam również ten przekłety Chuck Thompson, który co prawda nie namawiał żony Andy'ego na lekcje latania, ale też jej ich nie odradził. Pewnie byli tam też inni.

Claudette na pewno.

Andy jęknął i mocniej zacisnął dłonie. Nie umiał bez niej żyć. Nie Potrafił. I nie tylko dlatego, że kochał ją nad życie. Właśnie Claudette, wspierana regularnymi, nierejestrowanymi i coraz większymi zastrzykami gotówki od Jima Renniego, utrzymywała aptekę. Andy, zostawiony sam sobie, doprowadziłby do bankructwa najdalej na przełomie wieków. On znał się na kontaktach z ludźmi, nie na kontach i księgach rachunkowych. Specjalistką od cyfr była jego żona. Była.

Czas przeszły. Andy rozszlochał się na dobre.

Claudette i Duży Jim nawet pracowali razem przy miejskiej księgowości - gdy miała być sprawdzana przez władze stanowe. Teoretycznie audyt przeprowadzano niespodziewanie, ale Duży Jim był uprzedzony. Wystarczyło jedno słowo, by puścić w komputerze program, który Claudette nazywała czyszcicielem, gdyż dzięki niemu księgowość stawała się czysta jak łąza. Wyszli z tego audytu lśniący niczym najczystszej wody kryształ i nikt nie poszedł do więzienia, a to bardzo dobrze, bo przecież większość tego, co robili, a w zasadzie prawie wszystko, robili dla dobra miasta.

Prawda o Claudette Sanders wyglądała tak: dla Andy'ego była ładniejszym Jimem Rennie, miłszym Jimem Rennie, a w dodatku mógł z nią sypiać i powierzyć jej każdą

tajemnicę. Życia bez niej sobie nie wyobrażał.

Znowu zapłakał rzewnymi łzami. Akurat wtedy pojawił się Duży Jim. Położył mu dłoń na ramieniu, ścisnął lekko. Andy nie słyszał jego kroków, ale nie był zaskoczony. Poniekąd spodziewał się tej ręki na ramieniu, bo Jim Rennie zwykle pojawiał się wówczas, gdy Andy go potrzebował.

- Domyślałem się, że tu cię znajdę - powiedział Duży Jim. - Andy, chłopie... tak mi przykro...

Andy dźwignął się na nogi, otoczył ramionami potężny tułów Jima i rozszłochał mu się na piersi.

- Mówiłem jej, że nauka latania jest niebezpieczna! Mówiłem jej, że z Chucka Thompsona taki sam wariat jak z jego ojca!

Duży Jim uspokajająco gładził go po plecach.

- Wiem, wiem. Ale teraz twoja żona jest już na lepszym świecie. Dziś wieczór spożywa wieczerzę z Jezusem Chrystusem. Pieczeń wołowa, zielony groszek ze świeżym masełkiem... Przyjemna myśl, prawda? Pamiętaj o tym. Pomodlimy się razem?

- Tak! - jęknął Andy. - Tak! Pomódlmy się razem!

Ukłękli, a Duży Jim długo i żarliwie modlił się za duszę Claudette Sanders.

Usłyszał to Stewart Bowie na dole w pracowni. Podniósł głowę.

- Ten człowiek umie przysrać z obu końców.

W kilka minut przeszli przez „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno...” oraz „Kiedy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko...” - Andy nie mógł się dopatrzeć sensu ostatniego cytatu, ale nie miało to szczególnego znaczenia, ot, dobrze było klęczeć z Dużym Jimem.

Wreszcie Jim Rennie zakończył „WimieJezusaChrystusaamen” i pomógł Andy'emu wstać. Twarzą w twarz i torsem w tors, ujął go za ramiona i zajrzał mu w oczy.

- Partnerze. - Zawsze w trudnych sytuacjach nazywał Andy'ego partnerem. - Jesteś gotów do pracy?

Andy gapił się na niego bez słowa.

Duży Jim skinął głową, zupełnie jakby Andy zaprotestował, co byłoby w tych okolicznościach całkowicie zrozumiałe.

- Wiem, że to trudne. I niewdzięczne. Fatalny czas, żeby cię o to prosić. I masz pełne prawo... Bóg mi świadkiem, że masz prawo zostawić mnie z ręką w nocniku. Ale czasem trzeba przedłożyć dobro innych nad własne. Zgodzisz się ze mną?

- Najważniejsze jest dobro miasta - powiedział Andy.

Po raz pierwszy odkąd dowiedział się o śmierci Claudie, dostrzegł promyk nadziei.

Duży Jim pokiwał głową. Twarz miał posępną, ale oczy błyszczące.

Andy'ego uderzyła dziwna myśl: Rennie wygląda dziesięć lat młodziej!

- Masz rację, partnerze. Pełnimy rolę opiekunów. Dbamy o dobro publiczne. Nie zawsze jest to łatwe, lecz zawsze potrzebne. Posłałem Wethington, żeby znalazła Andreę. Kazałem jej przyprowadzić Andreę do sali konferencyjnej. Jeśli będzie trzeba, nawet w kajdankach. - Duży Jim zaśmiał się głośno. - Więc będzie w ratuszu. A Pete Randolph sporządza listę wszystkich gliniarzy w mieście. Mało ich mamy. Musimy się nad tym zastanowić, partnerze. Jeżeli sytuacja się pogorszy, kluczową rolę będą odgrywały siły porządkowe. No i co ty na to? Mogę na ciebie liczyć?

Teraz Andy pokiwał głową. Uznał, że sprawy oficjalne pozwolą mu odsunąć myśl o nieszczęściu. A nawet jeśli nie, to i tak musiał się czymś zająć. Patrzenie na trumnę Gerty Evans zaczynało przyprawiać go o ciarki. Ciche łzy wdowy po komendancie wprawiły go w jeszcze gorszy nastrój. W dodatku jego rola nie należała do trudnych. Wystarczyło siedzieć przy stole konferencyjnym i podnosić rękę wtedy, kiedy robił to Duży Jim. Andrea Grinnell, zwykle nie całkiem przytomna, zrobi to samo. Jeżeli trzeba będzie wprowadzić jakieś nadzwyczajne rozwiązania, Duży Jim dopilnuje, żeby tak się stało. Duży Jim się wszystkim zajmie.

- Chodźmy - powiedział Andy.

Duży Jim klepnął go w plecy, objął za szczupłe ramiona i wyprowadził z salonu zadumy. Rękę miał ciężką. Mięsiłą. I dobrze.

Andy Sanders, pogrążony w bólu i żałobie, zupełnie zapomniał o córce.

2

Julia Shumway wolnym krokiem szła Commonwealth Street, ulicą, przy której stały domy najbogatszych mieszkańców miasteczka. Szczęśliwie rozwiedziona przed dziesięciu laty, żyła sobie spokojnie nad redakcją „Democrata” z Horace'em, wiekowym psiakiem rasy welsh corgi. Imię nadała mu na cześć Horace'a Greeleya, który zapisał się w ludzkiej pamięci za sprawą jednego sloganu: „Na zachód, młody człowieku, na zachód”, ale zdaniem Julii zasłużył sobie na sławę i chwałę przede wszystkim jako wydawca czasopism. Gdyby ona sama radziła sobie choć w połowie tak dobrze jak on przy wydawaniu „New York Tribune”, mogłaby uznać, że odniosła sukces.

Oczywiście jej Horace zawsze uważał ją za mistrzynię we wszystkim, przez co był najmiłszym psem na świecie, w każdym razie zdaniem Julii. Miała zamiar od razu po

przyjściu do domu wyprowadzić go na spacer, a potem urośnie w jego oczach jeszcze więcej, bo na psią karmę rzuci kawałki wczorajszego steku. Dzięki temu prostemu zabiegowi oboje poczują się doskonale, a Julia Shumway bardzo potrzebowała poprawić sobie nastrój, bo była zmartwiona.

Znała ten stan. Mieszkała w Mill przez wszystkie swoje czterdzieści trzy lata, a w ciągu ostatnich dziesięciu różne zdarzenia, które obserwowała w rodzinnym mieście, coraz mniej się jej podobały. Martwił ją trudny do wytłumaczenia zły stan kanalizacji oraz przestarzałe metody utylizacji odpadów, mimo ogromnych sum, jakie przeznaczano na oba te cele, przygnębiało ją bliskie zamknięcie Cloud Top, miejskiego kurortu narciarskiego, a także fakt, że James Rennie najwyraźniej kradł z kasy miejskiej znacznie więcej, niż podejrzewała, a podejrzewała, że od dziesiątek lat kradł ogromne sumy. No i oczywiście gnębiła ją kwestia tego czegoś, co się właśnie pojawiło i co trudno było w ogóle pojąć. Za każdym razem, gdy próbowała jakoś ogarnąć sprawę, jej mózg skupiał się na jakimś szczególe drobnym lecz istotnym, choćby takim, że coraz trudniej było uzyskać połączenie telefoniczne. Nie mówiąc o tym, że nie odebrała ani jednej rozmowy, a to było mocno niepokojące. Już pomijając zatroskanych przyjaciół i rodzinę spoza miasta, powinna była tonąć w zalewie pytań z innych czasopism, „Sun” z Lewiston, „Press Herald” z Portland, a może nawet z „New York Timesa”.

Czy wszyscy mieszkańcy Mill mają takie same kłopoty?

Powinna się pofatygować na granicę z Motton i sprawdzić. Jeśli nie zdoła się połączyć z Pete'em Freemanem, najlepszym fotografem, będzie musiała sama strzelić kilka fotek swoim nikonem, który nazywała aparatem na czarną godzinę. Słyszała, że wyznaczono przy barierze coś na kształt obszaru chronionego od strony Motton i Tarker's Mills. Pewnie na innych drogach sytuacja wyglądała podobnie, ale od wewnętrznej strony bariery nadal można było się do niej zbliżyć. Niech władze zabraniają, ale jeśli przeszkoda rzeczywiście jest tak nieprzenikniona, jak ludzie mówili, na ostrzeżeniach się skończy.

- Słowa nie kamienie. Słowa nie ranią - mruknęła pod nosem. Gdyby raniły, wylądowałyby na pogotowiu w ekspresowym tempie po tym, jak opisała historię przeprowadzonego przed trzema laty pozorowanego audytu. Ileż się Duży Jim nagadał o pozywaniu gazety do sądu!... Tyle że na gadaniu się skończyło. Nawet zastanawiała się wtedy, czy i o tym nie napisać artykułu, głównie dlatego, że wymyśliła świetny nagłówek: „Tajemnicze zniknięcie pozwu sądowego”.

Tak, miała poważne powody do niepokoju. Przywykła do tego stanu przez lata pracy, natomiast nigdy dotąd nie musiała się przejmować własnym zachowaniem, a teraz, gdy doszła

do rogu ulic Main i Commonwealth, nastąpiła właśnie taka chwila. Zamiast skręcić w lewo w Main, obejrzała się przez ramię.

- Nie powinnam była zostawiać jej samej - stwierdziła cicho, głosem normalnie zarezerwowanym dla Horace'a.

I nie zrobiłaby tego, gdyby przyjechała samochodem. Niestety, Przyszła pieszo. Poza tym Dodee wyraźnie zamierzała postawić na swoim. I na dodatek czuć od niej było... chyba trawkę? Możliwe. Julia nie miała większych obiekcji na ten temat. Sama swego czasu wypaliła swoje. Zresztą może skręt by dziewczynie wręcz pomógł. Złagodził cios w tych najgorszych, pierwszych chwilach.

- Proszę się o mnie nie martwić - powiedziała Dodee. - Pójdę do taty. Tylko się ubiorę. Rzeczywiście, miała na sobie szlafrok.

- Poczekam - zaproponowała Julia, chociaż wcale nie chciała czekać.

Miała w perspektywie pracowitą noc. Najpierw koniecznie spacer z psem. Horace pewnie jest bliski eksplozji, w końcu ominął go spacer o piątej. No i na pewno głodny. Dopiero kiedy go wyprowadzi i nakarmi, pójdzie obejrzyć z bliska to coś, co ludzie nazwali barierą. Zobaczyć na własne oczy. Porobić zdjęcia wszystkiemu, co się da sfotografować.

A to będzie dopiero początek. Potem trzeba dopilnować nadzwyczajnego wydania „Democrata”. Była to sprawa ważna dla niej i, jej zdaniem, dla miasta także. Oczywiście, rano mogło być po wszystkim, ale Julia miała przeczucie, płynące częściowo z mózgu, a częściowo z serca, że tak szybko się to nie skończy.

Mimo wszystko Dodee Sanders nie powinna była zostać sama. Robiła wrażenie opanowanej, ale to mógł być wynik wstrząsu i skutek wyparcia informacji ze świadomości. Trawka też na pewno zrobiła swoje. Dziewczyna faktycznie zachowywała się rozsądnie.

- Nie musi pani czekać. Proszę nie czekać.

- Raczej nie powinnaś być teraz sama, kochanie.

- Pójdę do Angie - powiedziała Dodee. Rozchmurzyła się przy tym nieco, chociaż łzy nadal płynęły jej po twarzy. - Razem poszukamy taty. - Kiwnęła głową. - Tak, Angie mi pomoże.

Zdaniem Julii córka McCainów miała tylko śladową ilość szarych komórek więcej niż Dodee, która odziedziczyła urodę po matce, ale rozum, niestety, po ojcu. Tak czy inaczej były przyjaciółkami, a Dodee Sanders tej nocy potrzebowała życzliwej duszy.

- Pójdę z tobą - zaproponowała Julia, choć wcale tego nie chciała. Dziewczyna pewnie to wyczuła, mimo że była wyraźnie ogłuszona.

- Nie trzeba. To tylko kilka przecznic. - Cóż...

- Proszę pani... Czy pani jest pewna? Wie pani z całą pewnością, że moja mama...

Julia z ociąganiem pokiwała głową. Potwierdzenie numeru uwidocznionego na ogonie samolotu dostała od Erniego Calverta. Otrzymała także niezbity dowód, który w zasadzie powinien był się znaleźć w rękach policji. Normalnie Julia poprosiłaby Erniego, żeby go zaniósł, gdzie trzeba, ale już dotarły do niej fatalne wieści o śmierci Duke'a Perkinsa i wiedziała, że jego miejsce zajął pyszałkowaty ignorant, Peter Randolph.

Tym dowodem było zakrwawione prawo jazdy Claudette. Julia miała je w kieszeni, gdy stała w progu domu Sandersów, i tam zostało. postanowiła oddać je Andy'emu albo jego bladej córce o przetłuszczonych włosach we właściwszym momencie. Nie teraz.

- Rozumiem. Dziękuję pani - dorzuciła Dodee formalnym tonem. - Proszę już iść. Nie chcę być nieuprzejma, ale...

Nie dokończyła zdania, zamknęła drzwi.

A co zrobiła Julia Shumway? Usłuchała polecenia wstrząśniętej i naćpanej dwudziestolatki. Czekają ją tej nocy inne obowiązki. Najpierw Horace. Potem gazeta. Ludzie czasem podśmiewali się z ziarnistej, czarno - białej fotografii tancerzy na szkolnej zabawie, niekiedy twierdzili, że czasopismo nadaje się wyłącznie do wykładania kociej kuwety, ale go potrzebowali. Zwłaszcza gdy działo się coś złego. Julia zamierzała dopilnować, by rano dostali świeżutkie egzemplarze, nawet gdyby miała nie spać całą noc. Co zapewne ją czekało, skoro obaj reporterzy wyjechali na weekend z miasta.

Zorientowała się, że nowe wyzwanie jest jej właściwie na rękę. Twarz biednej Dodee Sanders powoli osunęła się w niepamięć.

3

Horace patrzył na nią z nieskrywaną pretensją, ale nie było na dywanie mokrych plam ani brązowej niespodzianki pod fotelem w przedpokoju, w magicznym miejscu, które pies najwyraźniej uważał za osłonięte przed ludzkim spojrzeniem. Julia przypięła mu smycz, wyprowadziła go i cierpliwie czekała, aż obsiusia swój ulubiony kanał ściekowy, chwiejąc się na krótkich nóżkach. Horace miał piętnaście lat, więc był już stary. Idąc za psem, Julia przyglądała się białemu pęcherzowi księżycy nad południowym horyzontem. Przywodził jej na myśl obraz z filmu science fiction Stevena Spielberga. Był większy niż zwykle. W powietrzu niósł się łopot rotorów, odległy, lecz nieprzerwany. Dostrzegła jeden helikopter pędzący w poprzek wysokiego łuku jasności.

Ciekawe, ile reflektorów zapalili... Wyglądało to całkiem, jakby Północna część Morton zmieniła się w strefę lądowania w Iraku.

Horace zataczał leniwe koła, wachając to tu, to tam, szukając miejsca doskonałego na zakończenie wieczornego rytuału wypróżniania, całkowicie pochłonięty odwiecznym psim tańcem. Julia, korzystając z okazji, po raz kolejny wyciągnęła telefon komórkowy. Niestety, i tym razem po serii normalnych sygnałów usłyszała tylko ciszę.

Będę musiała odbijać gazetę na ksero. Co oznacza najwyżej siedemset pięćdziesiąt egzemplarzy.

„Democrat” od dwudziestu lat był drukowany poza granicami miasta. Do roku dwa tysiące drugiego Julia woziła materiały z tygodnia do View Printing w Castle Rock, a potem już nawet tego nie musiała robić. We wtorkowy wieczór zwyczajnie przesyłała złamane kolumny e - mailem, a następnego dnia rano, jeszcze przed siódmą, View Printing dostarczał jej schludnie zapakowane w plastik wydrukowane egzemplarze. Dla Julii, która uczyła się fachu w dawnych czasach, korekty robiła z ołówkiem w rękę na maszynopisie, który następnie był składany przez drukarza, taki obrót spraw wydawał się czarodziejski. I podobnie jak wszystko, co trąci magią, nie do końca godny zaufania.

Tego wieczoru nieufność była uzasadniona. Nawet gdyby Julii udało się przesłać e - mailem projekt do View Printing, nikt by nie dostarczył do miasta wydrukowanych gazet. Domyślała się, że rano nikt nie podejdzie do granic miasta na odległość mniejszą niż pięć kilometrów. Do którejkolwiek z granic. Całe szczęście, że miała fantastyczny wielki generator w dawnej drukarni, fotokopiarka w redakcji była prawdziwym gigantem, a w magazynku leżało pięćset ryz papieru. Ech, gdyby tylko Pete Freeman jej pomógł... Albo Tony Guay, który na co dzień zajmował się sportem...

Horace tymczasem w końcu znalazł odpowiednie miejsce i przyjął właściwą postawę. Gdy skończył, Julia zakrzętnęła się wokół prezentu z zieloną torebką oznaczoną napisem PSIA KUPKA, zastanawiając się jednocześnie, czy Horace Greeley potrafiłby sobie wyobrazić świat, gdzie sprzątanie psich odchodów ze ścieku było nie tylko odpowiedzią na oczekiwania społeczne, ale także obowiązkiem nałożonym przez prawo. Pewnie by się zastrzeżił.

Zawiązała torebkę i raz jeszcze wybrała numer na komórce.

Nic z tego.

Zabrała Horace'a do domu i nakarmiła.

Właśnie zapinała płaszcz, by pojechać w poblize bariery, gdy zadzwonił telefon. Niewiele brakowało, a przewieszony przez ramię aparat fotograficzny wylądowałby na ziemi,

gdy gwałtownie sięgnęła do kieszeni. Spojrzała na wyświetlacz. Numer zastrzeżony.

- Halo? - Musiały zabrzmieć w jej głosie jakieś szczególne tony, bo Horace, czekający przy drzwiach, uradowany perspektywą nocnej wycieczki, po tym jak już został wyprowadzony i nakarmiony, zastrzygł uszami i spojrzał na nią wyczekująco.

- Szanowna pani Shumway? - Męski głos. Chłodny. Oficjalny.

- Pani Shumway. Kto dzwoni?

- Pułkownik James Cox. Armia Stanów Zjednoczonych.

- Czemu zawdzięczam ten honor? - usłyszała własną ironię i wcale jej się to nie spodobało. Nieprofesjonalne zachowanie. Niestety, zwykle odruchowo maskowała strach sarkazmem.

- Muszę się skontaktować z niejakim Dale'em Barbarą. Czy pani go zna?

Oczywiście. Nawet spotkała go w Sweetbriar Rose parę godzin wcześniej, choć to było dziwne. Nie wyglądał na wariata, a jednak został w mieście. Chociaż nie dalej jak wczoraj Rose mówiła, że zrezygnował z pracy. Losy Dale'a Barbary stanowiły jedną z setek historii, których Julia nie opisała, choć znała je od podszewki. Wydawca gazety w niewielkim miasteczku musi czasem przymknąć oko na jakieś zgniłe jabłko. A nawet często. Trzeba mierzyć siły na zamiary, uważnie wybierać cel. Tak jak robił Junior Rennie i jego przyjaciele. Swoją drogą Julia mocno wątpiła, żeby w plotkach na temat Barbary oraz najlepszej przyjaciółki Dodee, Angie, było choć ziarno prawdy. Choćby dlatego, że jej zdaniem Barbara miał lepszy gust.

- Proszę pani?... - Sucho. Oficjalnie. Głos obiektywny. Mogłaby znienawidzić tego człowieka za taki ton. - Czy pani mnie słucha?

- Tak, owszem. Tak, znam Dale'a Barbarę. Gotuje w restauracji przy Main Street. A o co chodzi?

- Najwyraźniej nie ma telefonu komórkowego, w restauracji nikt nie odbiera...

- Już zamknięte.

- ...a linie naziemne oczywiście nie funkcjonują.

- Dzisiaj chyba nic nie działa, pułkowniku. Z telefonami komórkowymi na czele. Zauważyłam jednak, że pan nie miał najmniejszych trudności z dodzwonieniem się do mnie, co każe mi zadać sobie pyta - nie, czy to przypadkiem nie wy, panowie, jesteście odpowiedzialni za kłopoty z łącznością! - Wściekłość zrodzona ze strachu zaskoczyła nawet ją. - Coście zrobili?

- Nic. O ile mi wiadomo, nic.

Zdziwiła się tak, że nie przyszła jej na myśl żadna cięta riposta. Co było całkiem

niepodobne do Julii Shumway, jaką znali mieszkańcy Mill.

- Telefony komórkowe, owszem - przyznał pułkownik. - Rozmowy do i z Chester's Mill zostały zablokowane. W interesie bezpieczeństwa narodowego. Z całym szacunkiem, proszę pani, na naszym miejscu zrobiłaby pani to samo.

- Wątpię.

- Doprawdy? - Wydawał się raczej zainteresowany niż zły. - W sytuacji bez precedensu w historii świata, sugerującej użycie technologii wykraczającej daleko poza to, co ludzkość potrafi objąć umysłem?

Ponownie zabrakło jej odpowiedzi.

- Zależy mi na kontakcie z kapitanem Barbarą - podjął pułkownik, wracając do pierwotnego oschłego tonu.

Bogiem a prawdą Julia była zdziwiona, że odszedł aż tak daleko od tematu rozmowy.

- Z kapitanem...?

- W stanie spoczynku. Czy może pani go znaleźć? Proszę wziąć ze sobą telefon. Podam pani numer, pod który należy zadzwonić. To połączenie zostanie nawiązane.

- Dlaczego ja, pułkowniku? Dlaczego pan nie zadzwonił na posterunek policji? Albo do któregoś z radnych miejskich? Zdaje się że wszyscy troje są w mieście.

- Nawet nie próbowałem. Proszę pani... wychowałem się w małym miasteczku...

- Gratuluję.

- ...i wiem z doświadczenia, że małomiasteczkowi politycy wiedzą niewiele, gliniarze sporo, ale tylko miejscowy wydawca gazety wszystko.

Roześmiała się wbrew sobie.

- Po co dzwonić, skoro możecie się spotkać twarzą w twarz? Oczywiście ze mną w roli przyzwoitki. Będę po swojej stronie bariery... szczerze powiedziawszy, kiedy pan zadzwonił, właśnie się tam wybierałam. Znajdę Barbiego...

- Ciągle używa tego imienia? - Cox wydawał się zaskoczony. - Znajdę go i przyprowadzę. Urządzimy minikonferencję prasową.

- Nie ma mnie w Maine, jestem w Waszyngtonie. W Kolegium Szefów Połączonych Sztabów.

- Chce pan wyrzucić na mnie wrażenie? Chciał czy nie chciał, wywarł.

- Proszę pani, jestem zajęty, pani z pewnością także. Wobec czego, żeby jak najprędzej rozwiązać ten problem...

- Pan sądzi, że to możliwe?

- Zostawmy to. Z pewnością zanim została pani wydawcą, była reporterką i nie mam

wątpliwości, że zadawanie pytań jest pani drugą naturą, ale teraz naprawdę najważniejszy jest czas. Czy może pani spełnić moją prośbę?

- Mogę. Lecz będzie pan z nim rozmawiał w mojej obecności. Wyjdziemy na drogę numer sto dziewiętnaście i stamtąd do pana zadzwonimy.

- Nie ma mowy.

- Pańska decyzja - zgodziła się gładko. - Miło mi się z panem rozmawiało, pułkowniku...

- Niechże mi pani pozwoli skończyć. Po waszej stronie sto dziewiętnastej jest FUBAR. Przepraszam, to znaczy...

- Znam to wyrażenie, pułkowniku, swego czasu czytałam Toma Clancy'ego. A co ono dokładnie oznacza w odniesieniu do drogi sto dziewiętnaście?

- Oznacza, że... proszę mi wybaczyć dosadny język, wygląda to jak otwarcie darmowego burdelu. Pół waszego miasta zaparkowało tam wozy na obu pasach szosy i na łąkach.

Julia odłożyła aparat fotograficzny na podłogę, wyciągnęła z kieszeni płaszcza notatnik i nagryzmoła: „płk James Cox - jak otwarcie darmowego burdelu”. Następnie dodała: „Łąki Dinsmore'a?”. Tak, pułkownik zapewne mówił o łąkach Aldena Dinsmore'a.

- W porządku - rzuciła w słuchawkę. - Co pan proponuje?

- Cóż, nie mogę pani zabronić przyjść z kapitanem, tu ma pani rację. - Westchnął, zawierając w jednym oddechu przekonanie o tym, że świat nie jest sprawiedliwy. - I oczywiście nie mogę pani powstrzymać przed drukowaniem gazety, chociaż uważam, że nie ma to większego sensu, skoro nikt spoza Chester's Mill jej nie przeczyta.

Uśmiech spełził jej z ust.

- Czy może mi pan to wyjaśnić?

- Oczywiście, wyjaśnię, a pani się nad tym zastanowi. Skoro chce Pani obejrzeć barierę... chociaż jak pani na pewno już wie, jej nie widać, proszę przyprowadzić kapitana Barbarę w miejsce, gdzie zamyka ona drogę miejską numer trzy. Czy wie pani, gdzie to jest?

W pierwszej chwili nie wiedziała. A kiedy uświadomiła sobie, o czym mowa, zaśmiała się w głos.

- Powiedziałem coś zabawnego? - Mieszkańcy Mill nazywają ją Little Bitch Road. Bo w deszcz robi się tam naprawdę kurewsko nieprzyjemnie.

- Barwny język.

- Rozumiem, że na Little Bitch Road nie ma tłoku?

- Jak na razie żywej duszy.

- W porządku. - Wsunęła notes do kieszeni i podniosła kodaka. Horace nadal cierpliwie czekał pod drzwiami.

- Doskonale. Kiedy mogę się spodziewać pani telefonu? Czy też raczej kiedy Barbie zadzwoni z pani komórki?

Julia spojrzała na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta. Jakim cudem czas uciekł tak szybko?

- Będziemy na miejscu za jakieś pół godziny. Zakładając, że go znajdę. Ale chyba tak.

- Świetnie. Proszę mu przekazać pozdrowienia od Kena. To taki...

- ...dowcip, jasne. Czy ktoś będzie tam na nas czekał? Nastąpiła pauza. Po jakimś czasie pułkownik odezwał się z ociąganiem:

- Zobaczycie światła i strażę, wojsko i blokadę drogową, ale ludzie mają zakaz rozmawiania z mieszkańcami miasta.

- Jak to? Dlaczego? Na litość boską, z jakiego powodu?

- Proszę pani, jeżeli sytuacji nie da się rozwiązać po naszej myśli, wszystko to stanie się dla pani jasne. Większości domyśli się pani sama. Robi pani wrażenie osoby inteligentnej.

- Bardzo, cholera jasna, uprzejmie panu dziękuję! - krzyknęła rozwścieczona.

Horace zastrzygł uszami.

Cox zaśmiał się głośno i szczerze.

- Dotarło jasno i wyraźnie. Czyli słyszymy się o dziesiątej trzydzieści. Kusilo ją, żeby odmówić, ale oczywiście nie mogła tego zrobić. - Tak, o dziesiątej trzydzieści. Zakładając, że go złapię. Pod jaki numer dzwonić?

- Nawet jeśli zadzwoni pani, to i tak z nim muszę rozmawiać. Będę czekał z ręką na słuchawce.

- Tylko jeszcze proszę mi podać czarodziejski numer. - Przycisnęła telefon uchem do ramienia i wsunęła rękę do kieszeni.

Gdzie ten notes? Oczywiście zawsze człowiek musi go wyciągać jeszcze raz, jak już schowa. Niezmienne prawo z życia reportera, a teraz przyjęła taką właśnie rolę. Ponownie.

Numer, który podał jej dzwoniący, wystraszył ją bardziej niż wszystko, co usłyszała do tej pory. Bo kierunkowy składał się z trzech zer.

- Proszę pani, jeszcze jedna sprawa. Czy ma pani rozrusznik serca? Albo aparat słuchowy? Czy jakieś inne podobne urządzenie?

- Nie, a dlaczego pan pyta?

Sądziła, że będzie się uchylał od odpowiedzi, ale nie.

- W pobliżu klosza dochodzi do swego rodzaju interferencji. Dla większości ludzi nie

ma ona negatywnych skutków, powoduje odczucia podobne do zetknięcia ze słabym prądem elektrycznym, które przechodzą dosłownie po dwóch sekundach, ale zjawisko to oddziałuje na urządzenia elektryczne. Jedne, jak na przykład telefony komórkowe, jeśli się znajdują bliżej niż jakieś pięć metrów od klosza, zostają unieruchomione, inne wybuchają. Jeżeli weźmie pani ze sobą magnetofon, zapewne przestanie działać. Jeżeli będzie to iPod albo coś bardziej złożonego, jak choćby blackberry, najprawdopodobniej eksploduje.

- Czy rozrusznik Perkinsa eksplodował? Czy właśnie on zabił naszego komendanta?

- Słyszemy się o dwudziestej drugiej trzydziści. Niech będzie z panią Barbie i proszę mu koniecznie przekazać pozdrowienia od Kena.

Przerwał połączenie. Julia wystukała numer siostry mieszkającej w Lewiston. Sygnał ciągle... potem nic. Martwa cisza, jak wcześniej. Klosz. Pod koniec rozmowy nazwał to coś kloszem, nie barierą.

5

Barbie ściągnął koszulę i usiadł na łóżku, żeby rozwiązać buty, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Docierało się do nich po zewnętrznych schodach na boku budynku apteki. Pukanie nie oznaczało nic dobrego. Barbie cały dzień chodził, a cały wieczór gotował. Padał na nos.

A jeśli to Junior i przyjaciele gotowi na nowo powitać go w mieście? Można by powiedzieć, że to podejrzenie mało prawdopodobne, a nawet trąące paranoją, lecz cały dzień był pełen zdarzeń, delikatne mówiąc, mało prawdopodobnych. Swoją drogą akurat Juniora i Franka DeLessepsa ani reszty towarzystwa wzajemnej adoracji nie widział dziś w Sweetbriar Rose, chociaż zgromadzili się tam prawie wszyscy. Pewnie chłopcy gapili się na wypadki na drodze numer sto siedemnaście albo sto dziewiętnaście, ale jeżeli się dowiedzieli o jego powrocie do miasta, mogli coś zaplanować na później. Na przykład na teraz.

Znowu pukanie.

Barbie wstał i położył dłoń na przenośnym odbiorniku telewizyjnym. Niezbyt imponująca broń, ale zawsze można nim rzucić w pierwszego, który wpadnie przez drzwi. Miał też do dyspozycji drewniany drąg z szafy, niestety, we wszystkich trzech pomieszczeniach było za mało miejsca, żeby go skutecznie wykorzystać. No i jeszcze szwajcarski scyzoryk, ale nie zamierzał nikogo zranić, chyba że...

- Proszę pana!

Kobięcy głos.

- Jest pan tam? Zostawił w spokoju telewizor i przeszedł do kuchni.

- Kto tam? W tej samej chwili rozpoznał głos.

- Julia Shumway. Ktoś chce z panem rozmawiać. Mam panu przekazać pozdrowienia od Kena.

Otworzył drzwi, zaprosił ją do środka.

6

W suterenie, w wyłożonej sosnowymi panelami sali konferencyjnej ratusza Chester's Mill, warkot pracującego generatora słyszalny był jako przygłuszony pomruk. Czterometrowy stół na środku pomieszczenia, cudo z czerwonego klonu, pysznił się wysokim połyskiem. Większość krzeseł dookoła tego imponującego mebla była dziś pusta. Czworo członków spotkania, które Duży Jim nazwał zebraniem w celu oszacowania skali zagrożenia, skupiło się przy jednym końcu. Sam Duży Jim, chociaż zaledwie wiceprzewodniczący Rady Miejskiej, zasiadł u szczytu. Za jego plecami wisiała mapa przedstawiająca miasto w kształcie skarpety.

Oprócz Dużego Jima obecni byli pozostali radni oraz Peter Randolph pełniący obowiązki komendanta policji. W tym gronie jedynie Rennie wydawał się przytomny. Randolph był wstrząśnięty i przestraszony. Andy Sanders oczywiście przytłoczony żalobą. Andrea Grinnell, siwiejąca i obciążona nadwagą wersja swej młodszej siostry, Rose jak zwykle oszołomiona.

Cztery, może pięć lat wcześniej, w styczniowy poranek Andrea w drodze do skrzynki pocztowej poślizgnęła się na oblodzonym podjeździe. Upadła ciężko, uszkadzając sobie dwa dyski. Czterdzieści nieć kilogramów nadwagi z pewnością nie podziałało na jej korzyść. Doktor Haskell przepisał jej nowy, cudowny lek, oksykodon, który miał przynieść ulgę w bólu z pewnością trudnym do zniesienia. I przepisywał jej ten lek nadal. A Duży Jim, dzięki swojemu drogiemu przyjacielowi Andy'emu, właścicielowi miejscowej apteki, wiedział, że Andrea, która zaczęła od przyjmowania czterdziestu miligramów dziennie, osiągnęła już pułap czterystu. Była to szalenie użyteczna informacja.

- Ze względu na stratę, jaką poniósł Andy - zaczął Duży Jim - będę przewodniczył temu zebraniu, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu. Andy, przyjmij nasze wyrazy współczucia.

- Tak jest - poparł go Randolph.

- Dziękuję wam - powiedział Andy, a gdy Andrea przykryła jego rękę dłonią, w oczach zakręciły mu się łzy.

Duży Jim przystąpił do rzeczy.

- Wszyscy mamy pojęcie, co się dzieje, chociaż nikt w mieście tego nie rozumie.

- Założę się, że także nikt spoza miasta - powiedziała Andrea. Duży Jim ją zignorował.

- Władze wojskowe nie uznały za stosowne nawiązać kontaktu z przedstawicielami miasta.

- Są problemy z komunikacją, proszę pana - odezwał się Randolph.

Ze wszystkimi zebranyimi był po imieniu, Dużego Jima uważał wręcz za przyjaciela, lecz uznał, że akurat w tym pomieszczeniu lepiej używać formy grzecznościowej. Taką samą metodę stosował Perkins i przynajmniej w tej kwestii starszy chyba miał rację.

Duży Jim machnął dłonią, jakby odganiał natrętą muchę.

- Mógł się zjawić ktoś od strony Morton albo Tarker's i posłać po mnie... po nas, ale nikt tego nie zrobił.

- Proszę pana, sytuacja jest bardzo... dynamiczna.

- Oczywiście. Bezdyskusyjnie. I bardzo prawdopodobne, że właśnie dlatego jeszcze do tej pory nikt się do nas nie zwrócił. Modłę się, żeby takie właśnie były przyczyny. Mam nadzieję, że wszyscy się modlicie.

Obecni karnie przytaknęli.

- Teraz jednak... - Duży Jim potoczył dokoła ciężkim wzrokiem.

Czuł powagę sytuacji. A jednocześnie był podniecony. I gotowy do działania. Należało się spodziewać, że przed końcem roku jego zdjęcie znajdzie się na okładce magazynu „Times”. Katastrofa, zwłaszcza powiązana z działaniami terrorystycznymi, nie zawsze była taka całkiem zła. Doskonały przykład stanowił choćby burmistrz Nowego Jorku Rudy Giuliani.

- Teraz jednak, proszę państwa, musimy stawić czoło bardzo prawdopodobnej ewentualności, że jesteśmy zdani na własne siły.

Andrea zasłoniła usta dłonią. Oczy jej błyszczały albo ze strachu, albo z przedawkowania. A najpewniej z obu powodów. - Niemożliwe!

- Claudette zawsze powtarza: Bądźmy dobrej myśli, ale gotowi na najgorsze - powiedział Andy głosem człowieka pogrążonego w głębokiej medytacji. - To znaczy... powtarzała. Zrobiła mi dzisiaj takie pyszne śniadanko! Jajka sadzone i resztki taco cheese... Boże jedyny!

Z jego oczu na nowo popłynęły łzy. Andrea ponownie nakryła dłonią jego rękę. Tym razem Andy uściśnął jej palce. Andy i Andrea, pomyślał Duży Jim. Nieznaczny uśmiech wykrzywił mu dolną połowę twarzy. Para kretynów.

- Bądźmy dobrej myśli, ale gotowi na najgorsze - powtórzył. - Doskonała rada. Najgorsze w tym wypadku to możliwość, że zostaniemy na kilka dni odcięci od świata. Może

na tydzień. Albo nawet na miesiąc. - Nie wierzył we własne słowa, lecz wiedział, że zebrani prędzej spełnią jego oczekiwania, jeśli będą się bali.

- Niemożliwe! - powtórzyła Andrea.

- Naprawdę nie wiemy - stwierdził Duży Jim. I rzeczywiście. - Bo i skąd?

- Może by zamknąć Food City? - podsunął Randolph. - Przynajmniej na jakiś czas. W przeciwnym razie będzie jak przed zadymką.

Rennie poczuł się urażony. Miał zamiar poruszyć tę sprawę, ale jeszcze nie teraz, nie na pierwszym miejscu.

- Chociaż może to nie jest najlepszy pomysł - wycofał się Randolph, widząc wyraz twarzy wiceprzewodniczącego.

- Rzeczywiście, Pete, moim zdaniem nie jest to dobry pomysł - stwierdził Duży Jim, - Na tej samej zasadzie nie jedzie się na wycieczkę w święto bankowe, jeśli brakuje pieniędzy. Sprowokowalibyśmy zamieszki.

- Banki też mamy zamknąć? - odezwał się Andy. - A co z bankomatami? Jeden jest w sklepie Browniego, drugi na stacji benzynowej...

oczywiście u mnie w aptece... - Na moment stracił pewność siebie, po czym się rozpromienił. - I chyba widziałem bankomat w przychodni chociaż nie mam całkowitej pewności...

Rennie zastanowił się przelotnie, czy przypadkiem Andrea nie użycza Sandersowi swoich pigułek.

- Andy, mówiłem w przerośni - rzekł ze spokojem, nie podnosząc głosu. Właśnie tak należało się zachowywać, kiedy ludzie zbaczali z tematu. - W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, żywność jest poniekąd walutą. A ja twierdzę, że sklepy powinny być otwarte jak zwykle. Inaczej ludzie wpadną w panikę.

- Aha - zorientował się Randolph. Tyle potrafił zrozumieć. - Jasna sprawa.

- Ale trzeba porozmawiać z kierownikiem supermarketu... jak on się nazywa? Cade?

- Cale - podsunął Randolph. - Jack Cale.

- I z Johnnym Carverem z Gas & Grocery, i koniecznie... u licha, kto prowadzi sklep Browniego po śmierci Dila Browna?

- Velma Winter - podpowiedziała Andrea. - Pochodzi z Away, ale jest bardzo sympatyczna.

Rennie z przyjemnością spostrzegł, że Randolph zapisuje nazwiska w notatniku.

- Przekaż tym trzem osobom, że sprzedaż alkoholu, w tym także piwa, jest wstrzymana do odwołania. - Twarz mu się skurczyła w dość przerażającym grymasie

zadowolenia. - A Karczmę Dippera należy zamknąć.

- Ludziom się nie spodoba zamknięcie knajpy - powiedział Randolph. - Takim na przykład jak Sam Verdreaux.

Sam Verdreaux był notorycznym moczymordą, a jednocześnie, zdaniem Dużego Jima, wzorcowym dowodem na to, że nie należało znosić prohibicji.

- Sam i jemu podobni będą musieli odcierpieć swoje, kiedy skończą im się prywatne zapasy piwa i brandy. Nie możemy dopuścić, żeby pół miasta chodziło pijane jak w Nowy Rok.

- Dlaczego? - zdziwiła się Andrea. - Wypiją zapasy sklepowe i będzie po sprawie.

- A jeśli wcześniej doprowadzą do buntu? Andrea milczała. Nie rozumiała, przeciwko czemu ludzie mieliby się buntować, jeśli tylko nie zabraknie im jedzenia, natomiast z doświadczenia wiedziała, że sprzeczenie się z Jimem Rennie jest bardzo męczące i nieskuteczne.

- Poślę chłopaków, żeby z nimi porozmawiali - powiedział Randolph.

- Z Tommym i Willow Andersonami porozmawiaj ty. Andersonowie prowadzili Karczmę Dippera.

- Mogą sprawiać kłopoty - podkreślił Rennie. - Ekstremiści.

- Lewicowcy. - Randolph pokiwał głową ze zrozumieniem. Powiesili nad barem plakat z Wujem Barackiem.

- No właśnie.

Nie musiał dodawać: „Duke Perkins pozwalał tej parze takich siakich owakich hipisów i ich gościom na głośne puszczenie rock and roilla oraz na hulanki do pierwszej po północy! Chronił ich. I proszę, jakie z tego powstały kłopoty dla mojego syna i jego przyjaciół”.

- A ty - zwrócił się do Andy'ego Sandersa - musisz wziąć pod klucz wszystkie leki na receptę. Oczywiście nie mówię o nasivinie czy lirice. Rozumiesz mnie.

- Oczywiście. Leki, którymi można się narkotyzować, tak czy inaczej są pod kluczem.

Czuł się odrobinę nieswojo w tym temacie, a Rennie, choć doskonale wiedział dlaczego, nie zamierzał się akurat teraz przejmować subtelnościami sprzedaży. Czekają go pilniejsze sprawy.

- Lepiej przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności. Andrea wyglądała na zaniepokojoną. Tym razem Andy poklepał ją po ręku.

- Nic się nie martw - powiedział. - Zawsze mamy dość, by zadbać o tych, którym to naprawdę potrzebne.

Andrea podziękowała mu uśmiechem.

- Najważniejsze, żeby miasto było trzeźwe, póki kryzys się nie skończy - oznajmił Duży Jim. - Zgadzą się co do tego? Głosujmy. Ręce powędrowały w górę.

- Czy teraz mógłbym wrócić do tego, od czego chciałem zacząć? - spytał Rennie. Spojrzał na Randolpha, który rozłożył ręce w geście oznaczającym równocześnie „oczywiście” i „przepraszam”. - Musimy sobie uświadomić, że ludzie łatwo ulegają panice. A kiedy się boją, mogą się zachowywać niewłaściwie, obojętne pijani czy trzeźwi.

Andrea spojrzała na konsolę znajdującą się po prawej stronie Dużego Jima, pozwalającą zmieniać i nagrywać programy telewizyjne i radiowe na falach AM i FM oraz wbudowany system rejestrujący rozmowy prowadzone w tej sali, innowację, której Duży Jim nienawidził.

- Czy to nie powinno być włączone?

- Nie widzę takiej potrzeby.

Przeklęty system, cię po Richardzie Nixonie, był pomysłem wścibskiego doktora, Erica Everetta, znanego jako Ryży. Everett wyskoczył z tym swoim idiotycznym systemem nagrywania dwa lata temu na zgromadzeniu miejskim, przedstawiając go jako wyjątkowy krok naprzód. Rennie był tą propozycją niemile zaskoczony, a trzeba wiedzieć, że zaskoczyć go było niełatwo, zwłaszcza osobie spoza polityki.

Duży Jim przedstawił swoje obiekcje, podkreślając kwestię ponoszenia całkiem niepotrzebnych kosztów. Taktyka ta zwykle okazywała się skuteczna wobec oszczędnych jankesów, ale tym razem zawiodła. Everett przedstawił liczby, zapewne dostarczone przez Duke'a Perkinsa, dowodząc, że rząd federalny pokryje osiemdziesiąt procent kosztów. Jakaś tam Rada Pomocy w Czymś tam, pozostałość po latach rozrzutności Clintona. Rennie został oskrzydłony.

Nie zdarzało się to często i bardzo tego nie lubił, ale zajmował się polityką znacznie dłużej niż Eric Ryży Everett obmacywaniem prostat i wiedział, jak ogromna jest różnica między przegraną bitwą a przegraną wojną.

- Może przynajmniej ktoś sporządzi protokół? - zaproponowała Andrea nieśmiało.

- Lepiej będzie na razie nadać naszemu spotkaniu charakter nieformalny - stwierdził Duży Jim. - Do wiadomości nas czworga.

- No cóż... skoro tak uważasz...

- Dwoje utrzyma sekret, jeśli jedno jest martwe - wyrecytował Andy sennym głosem.

- Racja, przyjacielu - stwierdził Rennie, jakby słowa Sandersa miały jakikolwiek sens. Potem zwrócił się ponownie do Randolpha. - Uważam, że kwestią dla nas najważniejszą,

najistotniejszą w sensie odpowiedzialności za miasto, jest utrzymanie porządku w czasie sytuacji kryzysowej. Co oznacza gotowość policji.

- Słuszna racja! - wyrwał się Randolph.

- Jestem pewien, że komendant Perkins spogląda na nas z góry...

- Razem z moją żoną - wtrącił Andy. - Z moją Claudie. - Zaszlochał i pociągnął nosem.

Duży Jim wolałby tego nie słyszeć, jednak mimo wszystko poklepał Andy'ego po wolnej ręce.

- Właśnie, Andy, właśnie. We dwoje spoglądają na nas, skapani w blasku Jezusowej chwały... Tymczasem my, którzy zostaliśmy tu, na ziemi... Pete, jakimi siłami dysponujemy?

Doskonale znał odpowiedź. Znał odpowiedzi na większość pytań, które zadawał. Bardzo mu to ułatwiało życie. Mieli do dyspozycji osiemnastu policjantów zatrudnionych przez Chester's Mill, w tym dwunastu w pełnym wymiarze godzin, a sześciu na część etatu. Ci ostatni prawie wszyscy mieli ponad sześćdziesiąt lat, dzięki czemu ich praca była zachwycająco tania. Spośród całej osiemnastki pięciu zatrudnionych na pełen etat z pewnością znajdowało się poza granicami miasta. Jedni pojechali z całymi rodzinami na międzyszkolny mecz futbolu, inni na kontrolowany pożar do Castle Rock. Szósty, komendant Perkins, nie żył. A Rennie, choć nigdy nie mówił źle o zmarłych, uważał, że Perkins znacznie bardziej przysłużył się miastu, patrząc na nie z góry, niż próbując zaprowadzić porządek w tej rozpsiajusze, znacznie przekraczającej jego ograniczone możliwości.

- No, niestety - odezwał się Randolph - nie wygląda to dobrze. Jest Henry Morrison i Jackie Wettington, oboje razem ze mną odpowiedzieli na kod trzy. Oprócz nich Rupe Libby, Fred Denton i George Frederick... on ma astmę, więc trudno powiedzieć, jaki z niego pożytek. Z końcem roku miał przejść na wcześniejszą emeryturę.

- Biedny stary George - odezwał się Andy. - Bez przerwy zażywa leki wziewne.

- No i jeszcze Marty Arsenault i Toby Whelan... na nich też nie bardzo można liczyć. Jedyna osoba pracująca na część etatu, która jest naprawdę w pełni zdolna do pełnienia służby, to Linda Everett.

- Żona Ryżego? - zainteresowała się Andrea.

- Aj, aj! - zachnął się Duży Jim. Często używał tego wykrzyknika, kiedy był poirytowany. - Ona jest tylko stójkowym! I do tego wiecznie nadęta!

- Tak - przyznał Randolph - ale w zeszłym roku zaliczyła kurs okręgowy w Rock i ma prawo nosić broń. Może ją nosić na służbie. Nie pracuje na pełen etat, w końcu ma dwoje dzieci, ale z pewnością warto Lindę wziąć pod uwagę. W końcu mamy sytuację kryzysową.

- Bez wątpienia, bez wątpienia.

Tyle że Rennie prędzej dałby się pokroić, niż pozwolił, żeby małżeństwo Everettów wyskakiwało mu przed oczami jak pajac z pudełka.

Stanowczo nie życzył sobie żonki tego łachadojdy w zespole. Przede wszystkim była za młoda. Chyba jeszcze nie skończyła trzydziestki. A do tego diabelnie ładna. Na pewno miałyby zły wpływ na mężczyzn. Z ładnymi kobietami tak zawsze. Wystarczyło już, że policjantką była Wethington z tymi jej kolosalnymi balonami.

- Innymi słowy - podsumował Randolph - z osiemnastu policjantów mamy tylko ośmiu.

- Nie policzyłeś siebie - zauważyła Andrea. Randolph plasnął się dłonią w czoło.

- Racja. No tak. Dziewięciu.

- Ciągle za mało - stwierdził Rennie. - Potrzebujemy więcej stróżów prawa. Czasowo, oczywiście, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

- Kogo pan ma na myśli? - zapytał Randolph.

- Choćby mojego chłopaka.

- Juniora? - Andrea uniosła brwi. - Ile on ma lat? Chyba jeszcze nie może głosować?

Duży Jim zobaczył oczami wyobraźni podział funkcji w mózgu Andrei: piętnaście procent - ulubione sklepy online, osiemdziesiąt procent - receptory narkotyku, dwa procent pamięci i trzy uczestniczące w bieżących procesach myślowych. Tak czy inaczej musiał z nią współpracować.

Cóż, współpraca z głupcami ułatwia życie.

- Skończył dwadzieścia jeden lat. W listopadzie będzie miał dwadzieścia dwa. I za sprawą szczęścia czy boskiej opatrności w weekend wrócił do domu ze szkoły.

Peter Randolph wiedział, że Junior Rennie wrócił do domu na dobre. W zeszłym tygodniu widział tę informację na podkładce telefonicznej na biurku zmarłego komendanta. Nie miał pojęcia, jak Duke uzyskał tę wiadomość ani dlaczego uznał ją za dość istotną, by wymagała zapisania. Było tam coś jeszcze... „niepożądane zachowania”?

Wszystko jedno. I tak nie był to najlepszy czas na dzielenie się z Dużym Jimem takimi nowościami.

Rennie podjął wątek entuzjastycznym tonem gospodarza programu rozrywkowego, obwieszającego wyjątkowo sowitą nagrodę w rundzie bonusowej.

- Co więcej, Junior ma trzech przyjaciół, którzy się także doskonale nadają do tej roli. To Frank DeLesseps, Melvin Searles i Carter Thibodeau.

Andrea w dalszym ciągu wyglądała na zaniepokojoną.

- Czy to nie ci młodzi ludzie... byli zamieszani w awanturę w karczmie?

Duży Jim spojrział na nią z uśmiechem pełnym tak nieskrywanego okrucieństwa, że aż się skuliła.

- Sprawa została wyolbrzymiona - oznajmił. - I oczywiście nie małą rolę odegrał alkohol, jak zwykle bywa w takich przypadkach. Co więcej, prowokatorem był ten cały Barbara. Właśnie dlatego nikomu nie postawiono zarzutów. Nie było podstaw. Peter, mam rację?

- Całkowitą - potwierdził Randolph, choć nie wyglądał na przekonanego.

- Przyjaciele mojego syna także są pełnoletni, Carter Thibodeau chyba nawet ma dwadzieścia trzy lata, o ile dobrze pamiętam.

Thibodeau rzeczywiście skończył dwadzieścia trzy lata. Ostatnio pracował na część etatu jako mechanik na stacji Mill Gas & Grocery. Z poprzednich dwóch miejsc pracy został wyrzucony z powodu wybuchowego charakteru, tak przynajmniej słyszał Randolph. Na razie jednak wszystko wskazywało na to, że w Gas & Grocery zagrzeje miejsce na dłużej. Johnny twierdził, że w życiu nie miał pracownika tak dobrze zorientowanego w układach wydechowych i elektronice.

- Ci chłopcy polowali razem, są dobrymi strzelcami...

- Nie daj Boże, żebyśmy musieli się o tym przekonać - wtrąciła Andrea.

- Nikomu nie stanie się nic złego - zapewnił ją Duży Jim. - I nikt nie mówi, że mamy z nich zrobić policjantów pełną gębą. Uważam jedynie, że powinniśmy uzupełnić nasze nadwątlone siły reagowania. Co pan na to, komendancie? Czy oni mogą zostać przyjęci do służby, póki sytuacja się nie wyklaruje? Zapłacimy im z funduszu awaryjnego.

Randolphowi nie podobała się myśl, że Junior miałby chodzić po Chester's Mill z bronią. Junior ze swoimi „niepożądanymi zachowaniami”... Z drugiej strony jednak myśl o sprzecznie wobec Dużego Jima nie podobała mu się jeszcze bardziej. A z trzeciej - paru chłopaków w policji naprawdę się przyda. Nawet jeśli są bardzo młodzi. Nie spodziewał się kłopotów w samym mieście, ale można by ich posłać do kontrolowania tłumu w miejscach, gdzie bariera zamykała główne drogi. O ile nadal tam była. A jeśli nie? Problem z głowy.

Przywołał na twarz uśmiech sportowca.

- Wie pan, to bardzo dobry pomysł. Mogą przyjść na komisariat: jutro około dziesiątej...

- Pete, lepiej będzie o dziewiątej.

- O dziewiątej będzie lepiej - włączył się Andy, ciągle nie do końca przytomny.

- Jeszcze jakieś kwestie w tej sprawie?

Nie było. Andrea sprawiała wrażenie, jakby ewentualnie miała coś do powiedzenia, ale zapomniała, o co jej chodziło.

- Wobec tego stawiam pytanie - oznajmił Rennie. - Czy Rada Miejska prosi aktualnego komendanta policji, Petera Randolpha, o przyjęcie do pracy z podstawowym uposażeniem Juniora, Franka DeLessepsa, Melvina Searlesa i Cartera Thibodeau? Czas ich służby będzie trwał do chwili, kiedy się skończy to szaleństwo. Głosujemy jak zwykle.

Wszyscy podnieśli ręce.

- Wniosek został przyjęty...

Przerwały mu dwa wybuchy przypominające strzały z broni palnej. Wszyscy podskoczyli. Chwilę później usłyszeli trzeci, a wtedy Rennie, który przez większą część życia miał do czynienia z silnikami, uświadomił sobie, co słyszą.

- Spokojnie, nie ma powodu do obaw. To tylko generator. Dochodzi do oczyszczenia...

Stary generator strzelił po raz czwarty i ucichł. Światła zgasły, wewnątrz pograżyło się w egipskich ciemnościach. Andrea krzyknęła ochryple.

Po lewej odezwał się Andy Sanders.

- Boże drogi, Jim, propan...

Rennie po omacku chwycił Andy'ego za ramię. Andy ucichł. A kiedy Rennie rozluźnił uścisk, światło na powrót wpełzło do pokoju wyłożonego sosnowymi panelami. Nie zapaliły się jasne lampy nad głowami zebranych, lecz kwadratowe awaryjne lampki umieszczone w czterech kątach sali. W słabej poświacie twarze przy stole konferencyjnym postarzały się i pozołkły. Wszyscy robili wrażenie przestraszonych. Nawet Duży Jim.

- Nie ma się czym przejmować - oznajmił Randolph z fałszywą beztroską. - To tylko gaz się skończył. Mamy go w mieście jeszcze dużo.

Andy rzucił Dużemu Jimowi spojrzenie kątem oka. Było to ledwie zerknięcie, lecz Andrea chyba je zauważyła. Czego się w związku z tym domyśliła, to była już zupełnie odrębna kwestia.

Zapomni o wszystkim po następnej porcji tabletek, powiedział sobie Rennie.

A już do rana z pewnością.

Tymczasem miejskie zapasy gazu, a raczej ich brak, nie przysparzały mu szczególnych zmartwień. Uznał, że zajmie się sprawą wówczas gdy to będzie konieczne.

- No dobrze, wiem, że podobnie jak ja chcecie zakończyć spotkanie jak najszybciej, więc przejdźmy do następnego punktu. Uważam, że powinniśmy oficjalnie uznać Pete'a za komendanta policji pro tempore.

- Pewnie, jasne, że tak. - Andy zdawał się wykończony.

- Jeśli nie ma tutaj kwestii spornych, zadam oficjalnie pytanie. Głosowali zgodnie z jego oczekiwaniami.

Jak zawsze.

7

Junior siedział na stopniach prowadzących do frontowych drzwi wielkiego domu Renniech na Mill Street. Światła hummera ojca rozlały się na podjeździe. Junior był całkiem spokojny. Ból głowy nie wrócił. Angie i Dodee leżały w spizarce McCainów i tak było dobrze, przynajmniej na razie. Pieniądze, które ukradł ojcu, odłożył z powrotem do sejfu. W kieszeni miał broń - trzydziestkęósemkę z rękojeścią wykładaną masą perłową, którą dostał od ojca na osiemnaste urodziny. Teraz nadszedł czas poważnej rozmowy. Junior posłucha uważnie, co władca świętego przybytku mamony ma mu do powiedzenia. Jeżeli wyczuje, że ojciec wie o jego najnowszych wyczynach... Całkiem sobie nie wyobrażał, skąd miałby wiedzieć, ale ojciec zawsze wszystko wiedział... Jeśli okaże się, że ojciec wie, Junior go zabije. A potem zabije siebie. Bo nie było jak uciec. W każdym razie nie dzisiaj. I jutro pewnie też nie. W drodze powrotnej zatrzymał się na placu i posłuchał rozmów. Wszyscy gadali jakieś kompletne bzdury, lecz wielki bąbel światła nad południową granicą miasta i nieco mniejszy na południowym zachodzie, gdzie sto siedemnasta biegła w stronę Castle Rock, zdawały się te bzdury potwierdzać.

Drzwi hummera otworzyły się, potem zamknęły cicho. Ojciec z neseserem objającym mu się o kolano szedł w stronę domu. Nie wyglądał na podejrzliwego, ostrożnego albo wściekłego. Bez słowa usiadł na stopniu obok syna. Potem gestem, który Juniora całkowicie zaskoczył, położył mu dłoń na karku i lekko ścisnął.

- Słyszałeś? - zapytał.

- Trochę - przyznał Junior. - Ale nic nie rozumiem. - Nikt nic nie rozumie. Moim zdaniem mamy przed sobą parę prawdę trudnych dni. Dlatego chciałbym cię o coś zapytać. - O co? Zamknął kolbę w dłoni.

- Czy jesteś gotów odegrać swoją rolę? Razem z przyjaciółmi, z Frankiem, Carterem i Searlesem?

Co jest, do cholery? - pomyślał Junior. Milczał.

- Komendantem policji jest teraz Peter Randolph. Będzie potrzebował ludzi. Dobrych ludzi. Czy zgodzisz się służyć w policji, póki się to wszystko nie skończy?

Junior miał wielką ochotę ryknąć śmiechem. Wrzeszczeć z radości. Jedno i drugie. Rękę ojca ciągle czuł na karku. Nie ścisnęła. Nie trzymała. Prawie... pieściła.

Puścił kolbę. Uświadomił sobie, że nadal ma fart. Nieprawdopodobny.

Dziś zabił dwie dziewczyny, które znał od piaskownicy.

Jutro zostanie gliniarzem.

- Pewnie, tato - powiedział. - Skoro nas potrzebujecie, jesteśmy do dyspozycji.

I po raz pierwszy od czterech lat, a może nawet od dłuższego czasu, pocałował ojca w policzek.

MODŁY

1

Barbie i Julia Shumway zamienili po drodze ledwie kilka słów, bo i niewiele było do powiedzenia. Ich samochód okazał się jedynym pojazdem w ruchu. Światło w oknach farmerskich domów świadczyło o tym, że są tam ludzie. Na farmie zawsze jest coś do roboty, a nikt w pełni nie ufa Western Maine Power, firmie dostarczającej energię elektryczną, więc prawie każdy ma własny generator.

Minęli wieżę transmisyjną radia WCIK. Dwa czerwone światełka na wierzchołku migają jak zwykle. I elektryczny krzyż nad wejściem do niewielkiego budynku studia także jasno błyszczał, przecinając ciemność białym promieniem. Nad nim jak zwykle rozsypały się po niebie gwiazdy - nieskończony ocean energii, który nie potrzebuje generatora.

- Czasami chodziłem tutaj na ryby - odezwał się Barbie. - Cisza, spokój...

- Coś pan złapał?

- Mnóstwo ryb, ale nie odważyłem się ich jeść. Czuć tutaj jakby brudną bielizną, więc wiadomo, że okoliczni mieszkańcy używają nawozów.

- To nie jest smród nawozów, tylko zakłamania. Znanego także jako fałszywa prawość.

- Przepraszam?

Julia wskazała mroczny smukły kształt rysujący się na tle gwiazd.

- Kościół Chrystusa Odkupiciela. Jest właścicielem WCIK. Zna pan radio jezusowe?

Barbie lekko wzruszył ramionami.

- Widziałem tę wieżę. I znam stację radiową. Trudno jej nie słuchać, jak się mieszka w okolicy i ma radioodbiornik. Fundamentalisci?

- Ortodoksyjni baptyści to przy nich szkółka niedzielna. Już wolę pierwszy Kościół Kongregacyjny. Nie znoszę Lestera Cogginsa i nienawidzę całej tej otoczki pod tytułem „cha, cha, wy pójdziecie do piekła, a my nie!”. No cóż, jak to mówią, co kto lubi. Mnie tylko zawsze zastanawia, jakim cudem stać ich na utrzymanie stacji radiowej o mocy pięćdziesięciu tysięcy watów.

- Z datków wiernych? Julia prychnęła.

- Należałoby o to zapytać Jima Renniego. Jest diakonem. Jechali priusem hybrydą, samochodem, o jaki Barbie w życiu by nie podejrzewał właścicielki czasopisma lojalnego

wobec republikanów, chociaż z drugiej strony pewnie takie autko pasowało do członkini Pierwszego Kościoła Kongregacyjnego. Pracowało cicho i było wyposażone w radio. Jedyne problem polegał na tym, że tutaj, po zachodniej stronie miasta, sygnał WCIK był tak potężny, iż zagłuszał na paśmie FM wszystkie inne rozgłośnie. A tego wieczoru nadawano jakieś święte utwory wykonywane na akordeonie i Barbiemu wędły od tego uszy. Brzmiało to jak skoczna polka grana przez orkiestrę umierającą na dzumę.

- Może pan spróbuje znaleźć coś na AM? - zaproponowała Julia.

Spróbował. Przez dłuższy czas znajdował tylko nocne pogaduszki, dopiero pod koniec skali złapał stację sportową. Usłyszał, że podczas meczu Red Sox i Mariners w Fenway Park minutą ciszy uczczono ofiary wypadków, które spiker nazwał „wynikiem zdarzenia w zachodnim Maine”.

- Zdarzenie - powtórzyła Julia. - Typowy żargon sportowy. Może pan wyłączyć, i tak się niczego nie dowiemy.

Kilometr z okładem za terenem kościoła zaczęli widzieć przez drzewa poświatę. Gdy wyjechali zza zakrętu, znaleźli się w blasku reflektorów jak na hollywoodzkiej premierze. Dwa skierowane były w ich stronę, dwa następne świeciły pionowo w górę. Najmniejszą dziurę na drodze widać było jak na dłoni. Pnie brzoź przywodziły na myśl wychudłe duchy. Barbie miał wrażenie, że wjechali w białe - czarny film z lat czterdziestych dwudziestego wieku.

- Stop, stop, stop! - zawołał. - Dalej nie jedziemy. Wygląda, jakby tu niczego nie było, ale jest, proszę mi uwierzyć na słowo. Za chwilę by pani zdechła elektronika w aucie i nie wiem, czy na tym by się skończyło.

Julia zatrzymała samochód, wysiedli. Chwilę stali przed maską, mrużąc oczy w jaskrawym świetle. Dziennikarka osłoniła twarz dłonią.

Za światłami stały na drodze nos w nos dwa brązowe pojazdy wojskowe z brezentowymi budami. Jezdnię przegrodzono kozłami, przy ich nogach ułożono worki z piaskiem. Dalej w ciemności niósł się monotony warkot silników. Pracowało kilka generatorów. Barbie widział gruby kabel elektryczny pełznący jak wąż od reflektorów do lasu, gdzie spomiędzy drzew wyzierały kolejne światła.

- Będą oświetlać barierę - powiedział, wskazując w górę jak arbiter obwieszczający zdobycie bazy domowej. - Wokół całego miasta, Do wewnątrz i w górę.

- Po co w górę?

- Jako ostrzeżenie dla ruchu powietrznego. Gdyby ktoś tu przypadkiem zabłądził. Pewnie o to się dzisiaj martwią najbardziej. Jutro przestrzeń powietrzna nad Mill będzie

pilnowana lepiej niż skarbiec wujka Sknerusa.

Po ciemnej stronie stało kilku uzbrojonych żołnierzy widocznych na jaśniejszym tle, w rozkroku, z rękami założonymi za plecami. Wszyscy zwróceni tyłem do miasta. W prawie całkowitej ciszy z pewnością usłyszeli nadjeżdżający samochód, ale żaden się nie obejrzał.

- Cześć, chłopaki! - zawołała Julia.

Nadal nikt nie zareagował. Barbie nawet się tego nie spodziewał, bo w drodze do bariery Julia powtórzyła mu, czego się dowiedziała od Coksa, ale spróbować musiał. A ponieważ widział ich pagony, wiedział, co ma robić. Nad całością zapewne czuwała armia, skoro jakąś rolę odgrywał Cox, lecz ci tutaj nie należeli do wojsk lądowych.

- Czołem, marines! - zawołał. Nic.

Podszedł bliżej. Zobaczył ciemną poziomą linię wiszącą nad drogą. Na razie ją zignorował. Bardziej interesowali go ludzie strzegący bariery. Czy raczej klosza. Shumway powiedziała, że Cox nazwał barierę kloszem.

- Skąd wy tutaj, w kraju? - spytał, podchodząc bliżej. - Czyżbyśmy się uporali z kłopotami w Afganistanie?

Żadnej reakcji.

Zrobił jeszcze kilka kroków. Kamyki chrzęściły mu pod stopami.

- Słyszałem, że w marines coraz więcej mięczaków... Cieszę się, że was tu widzę, bo gdyby sytuacja była naprawdę zła, przysłaliby rangersów.

- Błazen - mruknął jeden z mundurowych. Niewiele, ale zawsze coś. Barbie nabrał życia.

- Spokojnie, przyjaciele, pogadajmy.

Znowu cisza. A Barbie znajdował się już blisko bariery... czy raczej klosza. Jeszcze nie dostał gęziej skórki, jeszcze włosy na karku nie stanęły mu dęba, ale już był blisko. Czuł to.

I widział. Ten ciemny pas wiszący w powietrzu. Nie wiedział, jaki będzie miał kolor w świetle dnia, choć zgadywał, że czerwony, kolor zagrożenia. Farba w sprayu. Gotów był się założyć o cały stan swojego konta, aktualnie wynoszący nieco ponad pięć tysięcy dolarów, że pas biegł wokół całej bariery.

Jak pasek na rękawie koszulki, pomyślał.

Zwinał dłoń w pięść i uderzył w klosz. Rozległ się znajomy dźwięk stukania kłykciami w szkło. Jeden z marines podskoczył.

- Czy to aby dobry... - zaczęła Julia.

Barbie nie słuchał. Zaczynał mieć dosyć. Przez cały dzień wzbierała w nim złość i oto

zyskał szansę, by dać jej upust. Wiedział, że nie ma najmniejszego sensu zaczepiać ludzi w mundurach, oni tylko wykonywali rozkazy, ale nie potrafił odpuścić.

- Ej, chłopaki, pomóżcie koledze!

- Uspokój się, człowieku.

Chociaż ten, który to powiedział, też się nie odwrócił, Barbie wiedział, że usłyszał dowódcę, bo sam używał takiego tonu. Wielokrotnie.

- Wykonujemy rozkazy, więc to ty, bracie, pomóż nam. Przy innej okazji z przyjemnością postawię ci piwo albo skopię tyłek. Ale nie dziś i nie tutaj. Rozumiemy się?

- Dobra, dobra. W końcu nie muszę być uszczęśliwiony, nie? - Barbie odwrócił się do Julii. - Ma pani ten telefon?

Julia uniosła dłoń z aparatem.

- Też pan powinien sobie kupić. Przydają się.

- Kupiłem - odparł Barbie. - Jednorazowy. Ale nie używam. Zostawiłem w szufladzie, kiedy próbowałem zniknąć z miasta. I nie widziałem powodu, żeby teraz wieczorem go stamtąd zabierać.

Podawała mu telefon.

- Obawiam się, że musi pan sam wybrać numer. Mnie wzywają obowiązki. - Podniosła głos, żeby ją usłyszeli żołnierze stojący poza oślepiającym światłem. - W końcu jestem wydawcą miejscowego czasopisma. Chcę porobić trochę zdjęć. - Podniosła głos jeszcze bardziej.

- Zwłaszcza interesują mnie kadry pokazujące żołnierzy odwróconych plecami do miasta, które znalazło się w opałach.

- Proszę pani, lepiej niech pani tego nie robi - odezwał się dowódca, potężnie zbudowany mężczyzna o szerokich barach.

- Niech mnie pan powstrzyma - rzuciła wyzwanie Julia.

- Na pewno pani wie, że to niemożliwe. A jeśli chodzi o stanie tyłem do bariery, takie mamy rozkazy.

- Marines - odezwała się Julia z pogardą. - Możecie sobie swoje rozkazy zwinąć w ciasną rolkę i wetknąć tam, gdzie jakość powietrza jest słusznie kwestionowana.

W jaskrawym świetle Barbie dojrzał na twarzy pani redaktor zastanawiający wyraz: usta zaciśnięte w cienką linię wyrażającą upór i zdecydowanie, a w oczach łzy.

Gdy wybierał numer z dziwnym kierunkowym, ona zaczęła robić zdjęcia. Lampa błyskowa wypadła blado w porównaniu ze światłem z reflektorów zasilanych potężnymi generatorami, ale i tak żołnierze kurczyli się za każdym razem, gdy posyłała błyskawice.

Pewnie mają nadzieję, że pagonów nie widać, pomyślał.

2

Pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych James O. Cox powiedział, że będzie czekał z ręką na słuchawce o dwudziestej drugiej trzydziści. Barbie i Julia Shumway mieli drobne opóźnienie i telefon zadzwonił dopiero za dwadzieścia jedenasta, lecz Cox wyraźnie nadal czekał, ponieważ nie wybrzmiała nawet połówka sygnału, gdy dawny dowódca Barbiego odebrał.

- Halo, tu Ken. Barbie nadal był w kiepskim humorze, mimo to musiał się roześmiać.

- Tak jest. Z tej strony panienka, która najszybciej znajduje, co trzeba Cox także się roześmiał. Niewątpliwie początek udany.

- Co u pana, kapitanie Barbara? - Wszystko w porządku, proszę pana, ale, z całym szacunkiem, po prostu Dale Barbara. Ostatnio dowodzę grillem oraz frytkownicą w miejscowej restauracji. I nie mam nastroju na towarzyskie pogaduszki. Ugrzążłem z ręką w nocniku, a ponieważ patrzę na plecy zgrai błazeńskich marines, którzy nie chcą mi spojrzeć w oczy, jestem też wkurzony.

- Rozumiem. I chciałbym, żeby pan także coś zrozumiał. Gdyby ci ludzie mogli wam pomóc, obojętne w jaki sposób, albo spowodować, żeby sytuacja się zmieniła, patrzyłby pan im w oczy, a nie oglądał ich tyłki. Wierzy mi pan?

- Słyszę każde słowo.

Co nie do końca stanowiło potwierdzenie.

Julia nadal robiła zdjęcia. Barbie przeszedł na krawędź drogi. Z nowego miejsca zobaczył za ciężarówkami wielki namiot i mniejszy, wyraźnie przeznaczony na stołówkę, a dalej parking wypełniony wozami ciężarowymi. Marines zakładali obóz. Pewnie znacznie większe przewidzieli w miejscach, gdzie drogi numer sto dziewiętnaście i sto siedemnaście przecinały granice miasta. A to oznaczało, że sprawa nie zakończy się szybko. Nogi się pod nim ugięły.

- Czy dziennikarka jest z panem? - zapytał Cox.

- Tak. Robi zdjęcia. I jeszcze jedno, muszę uprzedzić: cokolwiek pan powie, ja jej przekażę. Jestem teraz po tej stronie.

Julia przestała pstrykać, posłała Barbiemu uśmiech.

- Zrozumiałem, kapitanie.

- Tytułowanie mnie kapitanem nie działa na pańską korzyść.

- Dobrze, wobec tego zostanmy przy Barbie, pasuje?

- Pasuje.

- A jeśli chodzi o to, ile pani redaktor postanowi opublikować... ze względu na dobro miasta mam nadzieję, że starczy jej rozumu, by wybrać odpowiedzialnie.

- Moim zdaniem starczy.

- Przy czym, jeśli będzie próbowała przesłać zdjęcia do kogoś z zewnątrz, na przykład do innych gazet, choćby do „New York Timesa”, może się okazać, że z Internetem stało się to samo co z naziemnymi liniami telefonicznymi.

- To jest nie w porz...

- Takie decyzje zapadają na znacznie wyższych stanowiskach niż moje. Ja tylko uprzedzam.

Barbie westchnął. - Powiem jej.

- Co pan mi powie? - zainteresowała się Julia.

- Że jeśli spróbuje pani przesłać te zdjęcia, odetną nam dostęp do Internetu.

Julia uczyniła gest, którego Barbie nie spodziewał się u niebrzydkiej republikanki. Skupił się na powrót na rozmowie telefonicznej.

- Ile może mi pan powiedzieć? - spytał.

- Wszystko, co wiem - stwierdził Cox.

- To świetnie - stwierdził Barbie, choć mocno wątpił, żeby pułkownik był skłonny dzielić się z nim rzeczywiście wszystkim, co wiedział. Albo sądził, że wie.

- Nazwaliśmy to coś kloszem - powiedział Cox - ale w rzeczywistości nim nie jest. Tak nam się w każdym razie wydaje. Należałoby raczej sądzić, że jest to rodzaj kapsuły o krawędziach dopasowanych idealnie do granic miasta. Rzeczywiście dokładnie dopasowanych.

- Czy wiadomo, jak wysoko sięga?

- Szacujemy, że jakieś szesnaście tysięcy metrów, ale to się zmienia. Nie wiemy, czy szczyt jest płaski, czy zaokrąglony. Przynajmniej na razie.

Barbie milczał. Zdumienie odebrało mu mowę.

- A jak głęboko... Tego jeszcze nie wiemy. Na pewno głębiej niż trzydzieści metrów. Na taką głębokość wkopaliśmy się na granicy Chester's Mill i tamtego miasta na północy...

- TR - 90. - Własny głos brzmiał w uszach Barbiego dziwnie.

- Niech będzie TR - 90. Zaczęliśmy od żwirowej jamy głębokości jakichś dziesięciu metrów. Widziałem obrazy spektroskopowe, które się w głowie nie mieszczą. Ogromne warstwy skał metamorficznych przedzielone na dwoje. Nie ma między nimi wolnej przestrzeni, ale widać miejsce zmiany, tam gdzie północna część nieco opadła. Sprawdziliśmy

raporty sejsmograficzne ze stacji meteorologicznej w Portland i bingo. O jedenastej czterdzieści cztery był wstrząs. Dwa stopnie w skali Richtera. Czyli wiemy, o której się to stało.

- Fantastycznie - powiedział Barbie. Chciał w tym słowie zawrzeć ironię, ale był zbyt zdumiony, wręcz zdębiał.

- Ostatecznie nic nie wiemy. Możemy jedynie snuć domysły. Oczywiście badania dopiero się zaczęły, lecz można zakładać, że to coś sięga w głąb ziemi tak samo daleko jak w powietrze. A jeśli przekroczy osiem kilometrów...

- Skąd wiecie? Radary?

- Nie. Tego nie widać na radarach. Nie sposób powiedzieć, czy jest w danym miejscu, póki się w to nie uderzy albo jest się tak blisko, że już za późno na to, żeby się zatrzymać. Ofiar w ludziach mamy stosunkowo niewiele, natomiast wzdłuż granic leży mnóstwo martwych ptaków. I po zewnętrznej, i po wewnętrznej stronie.

- Wiem. Widziałem.

Julia skończyła robienie zdjęć, stanęła przy Barbiem.

- Wobec tego skąd wiecie, jak wysoko to sięga? Lasery?

- Nie, one też przechodzą. Użyliśmy pocisków z głowicami ćwiczebnymi. Od czwartej po południu puszczałyśmy z Bangor F - 15A, dziwne, że nie słyszeliście.

- Chyba coś słyszałem. Ale byłem skupiony na czymś innym.

Na przykład na samolocie. I na ciężarówce. I na trupach na szosie sto siedemnaście. Na kilku spośród stosunkowo niewielu ofiar w ludziach.

- Ciągle się odbijały, wreszcie na wysokości ponad szesnastu tysięcy metrów przeleciały. Tak między nami mówiąc, zdziwiony jestem, że nie straciliśmy żadnego myśliwca.

- Udało wam się nad tym przelecieć?

- Niecałe dwie godziny temu. Misja zakończyła się sukcesem.

- Pułkownika, czyja to sprawka?

- Nie wiemy.

- Myśmy to zrobili? Nieudany eksperyment? Albo, nie daj Boże, jakiś test? Jest mi pan winien prawdę. Jest pan winien prawdę temu miastu. Ludzie są przerażeni.

- Rozumiem. Ale to nie my.

- Wiedziałby pan, gdyby tak było? Cox nie odpowiedział od razu.

- Mamy w departamencie wiarygodne źródła informacji - stwierdził przyciszonym głosem. - Jeśli ktoś w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego pierdnie, my o tym wiemy. To

samo dotyczy Group Nine w Langley i paru innych układów, które nigdy nie otarły się panu o uszy.

Możliwe, że Cox mówił prawdę. Ale mógł też kłamać. W końcu i on musiał słuchać rozkazów. Gdyby mu kazano stać tutaj na warcie w chłodną jesienną noc, razem z pajacowatymi marines, toby stał, zwrócony do bariery plecami. Mogłoby mu się to nie podobać, ale rozkaz to rozkaz.

- Jest jakaś szansa, że to zjawisko naturalne? - zapytał Barbie.

- O kształcie idealnie dopasowanym do wyznaczonych przez człowieka granic miasta? Z uwzględnieniem każdego cholernego załomka?

- Musiałem spytać. Czy klosz jest przepuszczalny? Coś wiecie na ten temat?

- Woda przechodzi - stwierdził Cox. - W niewielkiej ilości.

- Jak to możliwe? O to też musiał spytać, chociaż sam widział dziwaczne efekt spotkania wody z przeszkodą.

- Nie wiemy. Skąd mamy wiedzieć? - zirytował się Cox. - Pracujemy nad tym niespełna dwanaście godzin. Ludzie poklepują się po plecach uszczęśliwieni, że udało im się określić wysokość przeszkody. Może dojdziemy i do wody, ale na razie nie wiemy.

- A powietrze?

- Powietrze przedostaje się w znacznie większym stopniu. Ustawiliśmy stację monitorującą na granicy... em... - Barbie usłyszał nieco przygłuszony szelest kartek papieru. - Na granicy z Harlow. Jajogłowi zrobili test z dmuchaniem. Zdaje się, że mierzyli ciśnienie powietrza początkowe i strumienia odbitego. Tak czy inaczej powietrze przechodzi znacznie swobodniej niż woda, ale jednak nie całkiem. O ile mi wiadomo, ten fakt wywrze całkiem niemały wpływ na pogodę, tyle że nikt nie potrafi przewidzieć, do jakiego stopnia i na ile wam zaszkodzi. Może Chester's Mill zmieni się w Palm Springs. - Zaśmiał się niewesoło.

- Cząstki?

- Nic z tego. Cząstki stałe nie przechodzą. W tej chwili tak sądzimy. I oczywiście działa to w obie strony. Nie wchodzi i nie wychodzi. Co oznacza, że emisja spalin...

- Nikt tu nie będzie daleko jeździł. Chester's Mill ma pewnie z pięć kilometrów w najszerszym miejscu. A po przekątnej... - Spojrzał na Julię.

- Góra jedenaście - podrzuciła.

- Skutki ogrzewania olejowego nie powinny stanowić szczególnego zagrożenia - podjął Cox. - Podejrzewam, że prawie każdy w mieście ma piękny, kosztowny piec olejowy... w Arabii Saudyjskiej ludzie przyklejają na zderzakach plakietki z napisem KOCHAM NOWĄ ANGLIĘ, ale nowoczesne piece olejowe potrzebują też stałego dostępu do elektryczności.

Zapasy oleju macie pewnie solidne, biorąc pod uwagę bliski sezon grzewczy, lecz na niewiele wam się zdadzą. Na dłuższą metę może się to okazać korzystne ze względu na zanieczyszczenie powietrza.

- Tak pan myśli? To niech pan tu zajrzy, kiedy będzie minus dziesięć i zawieje lodowaty wiatr... - Barbie zamilkł na moment. - Będzie wiał wiatr?

- Nie wiemy - przyznał Cox. - Niech mnie pan spyta jutro, może będę dysponował przynajmniej jakąś teorią.

- Możemy opalać drewnem - włączyła się Julia. - Niech pan mu to powie.

- Pani Shumway podpowiada, że możemy palić drewnem. - Musicie zachować ostrożność, kapitanie... Barbie. Jasne, macie sporo drzewa i nie potrzebujecie elektryczności, żeby rozpałcić ogień, ale z drewna powstaje popiół. A to substancja kancerogenna.

- Sezon grzewczy zaczyna się... - Barbie spojrzał wyczekująco na Julię.

- Piętnastego listopada - odpowiedziała. - Mniej więcej.

- Pani Shumway mówi, że w połowie listopada. Niech mnie pan zapewni, że do tej pory będzie po wszystkim.

- Naprawdę robimy, co w naszej mocy. Zresztą dzwonię też z tego powodu. Nasi mądrale, w każdym razie ci, których zdołaliśmy do tej pory ściągnąć, wszyscy się zgadzają, że mamy do czynienia ze swego rodzaju polem siłowym...

- Całkiem jak w „Star Tricky” - mruknął Barbie. - Zabierz mnie stąd, Scotty.

- Słucham?

- Nieważne. Proszę mówić dalej.

- Wszyscy oni twierdzą unisono, że pole siłowe nie bierze się znikąd. Musi je powodować coś, co znajduje się albo blisko, albo wręcz w jego centrum. Jajogłowi uważają opcję z centrum za znacznie bardziej prawdopodobną. Jeden z nich porównał miejsce tego czegoś do punktu osadzenia rączki w parasolu.

- Uważacie, że to sprawka kogoś z miasta?

- Naszym zdaniem to jest możliwe. A skoro przypadkiem mamy w mieście zasłużonego żołnierza...

Byłego żołnierza, poprawił go Barbie w myślach.

Rozstał się z armią półtora roku wcześniej. Niestety wszystko wskazywało na to, że wcielili go na nowo do służby, czy mu się to podobało, czy nie. Głosem ludu. Uchwalono przez aklamację.

- ...który w Iraku specjalizował się w znajdowaniu fabryk bomb należących do Al - Kaidy. Znajdował je i likwidował.

Jasne. Czyli w zasadzie chodzi o generator. Tyle ich minęli, jadąc to w ciemnościach, tyle ich potrzebowali ludzie, żeby mieć światło i ciepło. A do tego niezbędny był propan. Barbie uświadomił sobie, że propan i akumulatory właśnie stały się w Chester's Mill cenniejsze niż złoto. Jedno wiedział z całą pewnością: ludzie będą palili drewno.

Kiedy zrobi się zimno i zabraknie gazu, będą palili drewno. Każde dostępne. I w cholere z czynnikami rakotwórczymi.

- To coś, co wytwarza pole siłowe... - powiedział Cox. - Nie wiemy, co to właściwie takiego ani kto to skonstruował.

- Ale Wuj Sam i tak chce to mieć - stwierdził Barbie. Trzymał telefon tak mocno, że mało go nie zgniótł. - To właśnie jest priorytetem wszelkich działań, prawda? Bo takie urządzenie może zmienić świat. Los mieszkańców tego miasta jest sprawą drugorzędną. Podciągnie się ich pod nieuniknione straty.

- Po co ten melodramatyzm? - przyhamował go Cox. - Akurat w tej kwestii nasze interesy są zbieżne. Niech pan znajdzie generator, jeżeli gdzieś tam u was jest. Niech pan go znajdzie tak samo, jak znajdował fabryki bomb, i unieruchomi. Będzie po problemie.

- O ile jest tutaj.

- Oczywiście. Spróbuje pan?

- Mam inne wyjście?

- Ja nie widzę, ale ja jestem żołnierzem. W moim przypadku nie istnieje coś takiego jak wolna wola.

- Ken, tutaj wszystko stanie na głowie.

Dłuższą chwilę trwała całkowita cisza na linii, podbita tylko dyskretnym buczeniem, które mogło oznaczać nagrywanie rozmowy. Cox nie śpieszył się z odpowiedzią.

- To prawda - powiedział wreszcie. - Ale ty i tak najszybciej znajdziesz, co trzeba, panienko.

Barbie się roześmiał. Nie mógł inaczej.

3

W drodze powrotnej, gdy mijali ciemny kształt świątyni Kościoła Chrystusa Odkupiciela, odwrócił się do Julii Shumway. W poświęconej z deski rozdzielczej wydawała się zmęczona i posępna.

- Nie będę prosił, żeby pani zapomniała o tym, co się dało usłyszeć, ale jedną wiadomość chyba powinna pani zachować dla siebie.

- Że generator może ewentualnie być w mieście. - Sięgnęła prawą ręką do tyłu i

poklepała Horace'a po łbie, jakby go chciała pocieszyć.

- Tak.

- Ponieważ jeśli rzeczywiście istnieje generator wytwarzający pole siłowe, ten klosz, to ktoś musi go obsługiwać. Ktoś z miasta.

- Cox nie ujął tego tak dosłownie, ale właśnie tak myśli.

- Zatrzymam to dla siebie. I nie będę przesyłała zdjęć pocztą elektroniczną.

- Świetnie.

- I tak powinny najpierw ukazać się w „Democracie”.

Nadal głąskała psa. Zwykle Barbie robił się nerwowy przy ludziach, którzy prowadzili jedną ręką, dziś jednak było inaczej. Calutką Little Bitch Road, a potem szosę sto dziewiętnaście mieli wyłącznie dla siebie.

- Rozumiem - podjęła Julia - że czasem dobro publiczne jest ważniejsze niż świetny artykuł. Czego nie pojmują na przykład w „New York Timesie”.

- Ba!

- A przy tym, im szybciej znajdzie pan generator, tym krócej będę musiała robić zakupy w Food City. Nie znoszę tego sklepu. - Wyglądała na przestraszona. - Jak pan sądzi, będzie jutro otwarty?

- Raczej tak. Ludzie zwykle reagują na zmiany dość opieszale.

- No to się wybiorę na niedzielne zakupy - powiedziała z namysłem.

- Proszę pozdrowić Rose Twitchell. Pewnie tam będzie razem z Ansonem Wheelerem.

- Przypomniałszy sobie, jakiej rady udzielił właścicielce restauracji, zaśmiał się pod nosem. - Mięso, mięso, mięso.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Jeżeli ma pani w domu generator...

- Oczywiście. Mieszkam nad redakcją gazety. W bardzo ładnym mieszkaniu. Generator został odliczony od podatku - oznajmiła z dumą.

- To niech pani kupi mięso. Mięso i żywność w puszkach. Puszki i mięso.

Zastanowiła się nad jego słowami.

Do centrum mieli już niedaleko. W oknach paliło się znacznie mniej świateł niż zwykle, mimo wszystko ciągle było ich sporo. Jak długo potrwa ten stan? - zastanowił się Barbie.

- Czy pański pułkownik dał panu jakiegokolwiek wskazówki, jak szukać generatora?

- Nie. Szukanie różnego gówna należało do moich obowiązków. I on o tym wie. - Barbie przerwał, po czym spytał: - Jak pani sądzi, znajdę tu gdzieś licznik Geigera?

- Owszem. W podziemiach ratusza. Dokładnie rzecz biorąc na poziomie minus półtora. Jest tam schron atomowy.

- Niemożliwe!

Julia roześmiała się głośno.

- Ależ jak najbardziej, Sherlocku. Trzy lata temu napisałam artykuł na ten temat, a Pete Freeman zrobił zdjęcia. W podziemiach ratusza znajduje się spora sala konferencyjna oraz niewielka kuchnia. Pół piętra niżej wybudowano schron. Całkiem przestronny. Dodano go w latach pięćdziesiątych, kiedy wywaliliśmy kupę szmalu na próby wyeksmitowania siebie do piekła.

- Jak w „Ostatnim brzegu” - powiedział Barbie.

- Albo w „Alas, Babylon”. Rzeczywiście, ponure miejsce. Zdjęcia Pete'a przywodzą mi na myśl *Fuhrerbunker*. Jest tam coś na kształt spiżarni, mnóstwo półek zastawionych jedzeniem w puszkach, no i z pół tuzina łóżek. Oczywiście także wyposażenie dostarczone przez rząd. Między innymi licznik Geigera.

- Żywność w puszkach sprzed pięćdziesięciu lat musi być smakowita.

- Nie jest tak źle. Zapasy się co jakiś czas wymienia. A po jedenastym września zainstalowano w podziemiach ratusza generator. Wystarczy sprawdzić raporty miejskie, robi się je co cztery lata, jeśli dobrze pamiętam, znajduje się w nich odpowiednia pozycja, inwentaryzacja przedmiotów zgromadzonych w schronie. Swego czasu warte były trzysta dolarów. Ostatnio sześćset. Tak czy inaczej licznik Geigera tam jest. - Zerknęła na Barbiego. - Przy czym James Rennie traktuje całe wyposażenie ratusza, od piwnic po strychy, jako własność osobistą, więc będzie chciał wiedzieć, do czego panu to urządzenie potrzebne.

- O niczym się nie dowie - stwierdził Barbie. Przyjęła to bez komentarza.

- Ma pan ochotę iść ze mną do redakcji? - spytała. - Obejrzy pan sobie przemówienie prezydenta, a ja zacznę przygotowywać materiały do druku. Szybko się uporam z brudną robotą. Wystarczy jeden artykuł i parę zdjęć. Zwięzłe informacje na lokalne potrzeby, a nie ulotki reklamowe na jesienną wyprzedaż u Burpeego.

Barbie zastanowił się nad propozycją. Czekał go ciężki dzień, bo trzeba będzie nie tylko gotować, ale i zadawać pytania. Znowu jak dawniej, wszystko po staremu. Chociaż jeśli wróci do siebie, do mieszkania nad apteką, czy uda mu się zasnąć?

- Dobrze. Pewnie kopię pod sobą dołek, ale się przyznam: mam doskonałe kwalifikacje na pomocnika wydawcy. I od biedy radzę sobie z parzeniem kawy.

- Został pan przyjęty.

Podniosła prawą dłoń, a Barbie przybił piątkę.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie, nie do publicznej wiadomości?

- Jasne - zgodził się Barbie.

- Chodzi mi o ten generator rodem z powieści science fiction. Myśli pan, że go znajdzie?

Barbie zastanawiał się nad odpowiedzią dość długo, w tym czasie zdążyli zaparkować przed frontem budynku, w którym znajdowała się redakcja „Democrata”.

- Nie - odrzekł w końcu. - To byłoby zbyt łatwe.

Julia westchnęła i pokiwała głową. Potem chwyciła go za rękę.

- Czy pomoże panu, jeśli będę się modliła za powodzenie misji?

- Na pewno nie zaszkodzi.

4

W dniu, gdy zaistniał kłosz, na terenie Chester's Mill znajdowały się tylko dwa kościoły, oba nastawione na bogów protestanckich, chociaż każdy w zupełnie innym stylu. Katolicy jeździli do Naszej Pani w Motton, a garstka miejscowych żydów, jeśli odczuła potrzebę duchowego pocieszenia, udawała się do Kongregacji Beth Shalom w Castle Rock. Swego czasu był jeszcze Kościół unitariański, ale popadł w rozsypankę u schyłku lat osiemdziesiątych. Zresztą i tak nikomu już na nim nie zależało. Aktualnie w jego domu modlitewnym mieściła się księgarnia połączona z antykwariatem, Mill New & Used Books.

Dwoje miejskich duszpasterzy, z dwóch bardzo różnych kościołów, padło tego wieczoru na kolana, jak by to określił Jim Rennie, ale każde z nich znajdowało się w całkiem innym stanie ducha oraz umysłu i miało zupełnie odmienne oczekiwania.

Wielebna Piper Libby, która służyła swemu stadku radą zza pulpitu mównicy w kościele kongregacyjnym, już nie wierzyła w Boga, choć z nikim się tą informacją nie podzieliła. Tymczasem wiara Lestera Cogginsa sięgnęła poziomu męczeństwa albo szaleństwa. A może w jego wypadku oba słowa określały ten sam stan.

Wielebna Libby, ciągle jeszcze w sobotnim roboczym ubraniu i nadal w nim piękna mimo lat czterdziestu pięciu, klęczała przed ołtarzem w nieomal całkowitych ciemnościach, ponieważ w kościele nie było generatora. Za nią ułożyła się Clover, owczarek niemiecki - wsparła nos na łapach, ślepią miała na wpół przymkniętą.

- Witaj, Nieobecny - odezwała się Piper.

Takim imieniem zwracała się ostatnio do Boga. Wcześniej nazywała Go Wielkim Niewiadomym. Latem był On: Może i Wszechmocny. Nawet jej się to podobało. Brzmiało niezłe.

- Wiesz, w jakiej sytuacji się znalazłam... Powinieneś, bo zawracałam Ci głowę dość często... ale nie o tym chciałam mówić. Więc pewnie już Ci rażniej. - Westchnęła. - Mamy kłopoty, przyjacielu. Żywię nadzieję, że rozumiesz, co się dzieje, bo ja ani w ząb. Tak czy inaczej oboje wiemy, że jutro będzie tu pełno ludzi, którzy przyjdą szukać pomocy boskiej.

W kościele było cicho. Wokół kościoła także. „Zbyt cicho”, jak mawiają bohaterowie starych filmów. Czy słyszała taką ciszę w Mill w sobotni wieczór? Ani śladu warkotu silnika samochodowego, żadnego dudnienia basów zespołu grającego w weekendowy wieczór w Karczmie Dippera (każdy był reklamowany jako przybyły prosto z Bostonu).

- Nie będę Cię prosiła, żebyś mi odsłonił swoją wolę, bo już nie jestem przekonana, czy rzeczywiście ją masz. Ale na wszelki wypadek, gdybyś ją miał i w ogóle jednak gdzieś tam był... w końcu zawsze istnieje taka możliwość, przyznaję to bez najmniejszych oporów, proszę Cię, spraw, żebym powiedziała ludziom coś, co im pomoże. Co im da nadzieję. Nie na życie w niebie, tylko teraz, tu, na ziemi. Dlatego że...

Wcale się nie zdziwiła, gdy z oczu popłynęły jej łzy. Ostatnio popłakiwała coraz częściej, zawsze w samotności. Mieszkańcy Nowej Anglii nie znosili publicznych łez u kapłanów i polityków.

Clover, czując jej nastrój, zaskomlała. Piper kazała suce być cicho i zwróciła się ponownie do ołtarza. Krzyż często kojarzył się jej z chevroletem bowtie, z logo, które powstało bez szczególnej przyczyny, ot, dlatego że jakiś facet sto lat temu zobaczył na hotelowej tapecie w Paryżu kształt, który mu się spodobał. Jeżeli człowiek takie symbole postrzega jako boskie, to chyba jest świrem.

A jednak przed nim się modliła.

- Dlatego że, jak na pewno wiesz, my żyjemy na ziemi. Tylko tyle mamy. Chciałabym pomóc ludziom. Taką mam pracę, chcę ją wykonywać jak najlepiej. Zakładając, że tam jesteś... i że Cię choć trochę obchodzimy.. - marna szansa, przyznaję, lecz zawsze jakaś... Jeśli jesteś, pomóż mi. Amen.

Wstała. Nie miała latarki, ale nie przewidywała żadnych kłopotów z dotarciem do wyjścia bez obijania goleni. Znała to wnętrze jak własną kieszeń. Kochała ten kościół. Nie oszukiwała siebie ani w kwestii swojego braku wiary, ani konsekwentnego uwielbienia dla samej idei.

- Chodź, Clove - rzuciła. - Za pół godziny przemawia prezydent. Następny wielki nieobecny. Posłuchamy go przez radio samochodowe.

Suka poszła za nią posłusznie, wolna od rozterek religijnych.

Przy Little Bitch Road, przez wyznawców uczęszczających do świątyni Chrystusa Odkupiciela nieodmiennie nazywanej drogą numer trzy, rozgrywała się scena znacznie bardziej dynamiczna, rozjarzona jasnym światłem elektrycznym. Dom modlitwy, w którym pracował Lester Coggins, był zaopatrzony w generator, i to tak nowiutki, że na jego jaskrawo - pomarańczowym boku ciągle jeszcze widniały metki. Zainstalowano go w osobnym budyneczku, także pomalowanym na pomarańczowo, niedaleko magazynku, za kościołem.

Lester skończył pięćdziesiąt lat, ale był w doskonałej formie, zarówno dzięki genom, jak i wyteżonym wysiłkom, by utrzymać świątynię swego ciała w doskonałym stanie. W efekcie wyglądał na nie więcej niż trzydzieści pięć lat, w czym pomagało mu rozsądne stosowanie kosmetyków do włosów firmy Just For Men. Miał na sobie jedynie spodenki gimnastyczne z nadrukiem klubu sportowego Orał Roberts Golden Eagles na prawej nogawce. Naprężone mięśnie rysowały się wyraźnie pod skórą.

W czasie mszy, których odprawiał pięć w ciągu tygodnia, Lester modlił się ekstatycznym tremolo używanym przez telewizyjnych głosicieli prawdy Chrystusa, zmieniając imię Najważniejszego jak za zbyt mocnym naciśnięciem pedału ekspresji w gitarowym harmonizerze ze zwykłego „Boże” w „Booo - oooh - oooże!”. W modlitwach Prywatnych czasem też mu się zdarzało wpadać w tę kadencję, choć nawet o tym nie wiedział. Natomiast kiedy był naprawdę zmartwiony, gdy rzeczywiście potrzebował rady Boga Mojżesza i Abrahama, Tego, który postępował przed swoim ludem za dnia jako słup obłoku, a nocą jako słup ognia, wtedy Lester mówił do Pana tonem, który przypominał warkot psa szykującego się do ataku na intruza. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ nigdy w życiu nikt go w takiej sytuacji nie słyszał. Piper Libby była samotna, bo przed trzema laty straciła w wypadku męża i obu synów, natomiast Lester Coggins nigdy się nie ożenił, bo jako nastolatek przeżywał koszmar masturbacji i ujrzał na progu sypialni Marię Magdalenę.

Kościół był prawie tak nowy jak generator, zbudowany z kosztownego czerwonego klonu, a przy tym pozbawiony ozdób, nieomal nagi. Za plecami Lestera ciągnęły się potrójne rzędy ław, przed nim stała ambona, na pulpicie leżała tylko Biblia. Na szkarłatnej kotarze wisiał krzyż. Podwyższenie dla chóru znajdowało się po prawej stronie, tam też ustawiono instrumenty, między innymi gitarę Stratocaster, na której Lester czasami grywał osobiście.

- Boże, wysłuchaj mej modlitwy - zaczął swoim warkotliwym głosem świadczącym, że modli się naprawdę.

W jednym ręku trzymał długi ciężki sznur, na którym zawiązano dwanaście węzłów,

tyle, ilu było uczniów Chrystusa. Dziewiąty, symbolizujący Judasza, został zabarwiony na czarno.

- Boże, wysłuchaj mej modlitwy, błagam Cię w imię ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Jezusa.

Zaczął się biczować. Smagał sznurem po plecach, najpierw przez lewe ramię, potem przez prawe... Płynnie podnosił i zginał rękę. Wkrótce mięśnie ramion pokryły się potem. Sznur uderzał w poznaczoną licznymi bliznami skórę pleców jak trzepaczka. Wielebny robił to nie po raz pierwszy, ale nigdy dotąd z taką siłą.

- Boże, wysłuchaj mojej modlitwy! Usłysz moje słowa, Boże wysłuchaj mojej modlitwy!

Świst, jeden, drugi, następny. Ukąszenia bólu jak języki ognia, jak pokrzywa. Mknące przez ciało ścieżkami nędznych ludzkich nerwów. Równocześnie przerażające i przerażająco rozkoszne.

- Panie, my, mieszkańcy tego miasta, grzeszyliśmy, a ja jestem największym spośród grzeszników. Usłuchałem Jima Renniego i uwierzyłem w jego kłamstwa. Tak, uwierzyłem, a oto cena tej wiary i jest teraz, jak już bywało. Nie jeden płaci za swój grzech, ale wielu. Nie-rychliwy Twój gniew, Panie, lecz gdy na nas spadnie, jest jak potężna burza, która zmiata zboże z pola, kładąc na ziemię nie jeden kłos, lecz wszystkie. Zasiałem wiatr i burzę zbieram, nie ja jeden, lecz wielu.

W Mill żyli też inni grzesznicy, wiedział o tym doskonale, nie był przecież naiwny. Ludzie przeklinali, tańczyli, uprawiali seks i brali narkotyki. O wszystkim tym wiedział aż za dużo. Z pewnością zasługiwali na karę, na biczowanie, ale tak było w każdym mieście, a tylko to jedno zostało dotknięte straszną karą boską, Ale przecież... może... Czy istniała możliwość, że ta przedziwna klątwa nie nastąpiła z powodu jego grzechu? Tak. Istniała. Chociaż była mało prawdopodobna.

- Panie, muszę wiedzieć, co robić. Znalazłem się na rozdrożu. Jeśli taka jest Twoja wola, jutro przed wiernymi wyznam, do czego mnie ten człowiek namówił, wyznam grzechy, które popełniliśmy razem, i grzechy, których dopuściłem się sam. Ale będzie to oznaczało koniec mojego kapłaństwa, a trudno mi uwierzyć, że taka jest Twoja wola w tym trudnym czasie. Jeśli Twoją wolą jest, bym zaczekał... zaczekał i przekonał się, co będzie dalej... Czekał i modlił się z Twoimi owieczkami o to, by jarzmo zostało z nas zdjęte... Tak zrobię. Niech się dzieje wola Twoja, Panie, teraz i zawsze.

Przestał się biczować. Czuł ciepłe, uspokajające strumyki krwi na plecach. Kilka supełów na linie się zaczerwieniło. Wzniósł mokrą od łez twarz ku dachowi kościoła z

widocznymi belkami.

- Ci ludzie mnie potrzebują, Panie. Wiesz, że mnie potrzebują, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Więc... jeśli taka jest Twoja wola, jeśli chcesz, by odsunięty został od mych ust ten puchar goryczy, błagam, daj mi znak.

Czekał. I zaiste, przemówił Pan do Lestera Cogginsa.

Dam ci znak, człowiecze marny. Do świętej księgi podejdź, jak wówczas, gdy dziecięciem będąc, szukałeś w niej pociechy po snach grzesznych.

- Już idę - powiedział Lester. - Natychmiast.

Zawiesił linę na szyi. Opadła mu na piersi czerwoną podkową. Krew spływała strumykiem wzdłuż kręgosłupa, zwilżała gumkę w spodenkach.

Stanął przy pulpicie, jakby się miał modlić z wiernymi (ale w najgorszych koszmarach nie przewidywał, że mógłby się modlić publicznie w tak skąpym stroju), i zamknął otwartą Biblię.

- Panie, niech się dzieje wola Twoja. Pytam w imieniu Twojego Syna, ukrzyżowanego w hańbie i zmartwychwstałego w chwale.

I Pan odpowiedział.

Otwórz moją księgę, aby ujrzeć, co zobaczysz, Lester zrobił, co mu kazano, starając się nie otworzyć Biblii zbyt blisko środka, bo tam były najgorsze fragmenty Starego Testamentu, a możliwe, że musiałby je zastosować. Po omacku przeciągnął palcem w dół po wybranej stronie, po czym rozwarł powieki i pochylił się nad księgą. Trafił na rozdział dwudziesty ósmy Księgi Powtórzonego Prawa. I wiersz dwudziesty ósmy.

„Pan tknie cię obłędem, ślepotą i niepokojem serca”. Niepokój serca był zapewne wskazany, ale reszta nieco zbijała z tropu. I nie była jasna. Wtedy Pan przemówił ponownie.

Nie zatrzymuj się tutaj, Lesterze.

Przeczytał wobec tego wiersz dwudziesty dziewiąty.

„W południe będziesz szedł...”.

- Tak, Panie, skoro taka jest Twoja wola... - szepnął i czytał dalej. „...po omacku jak niewidomy idzie po omacku w ciemności, w zabiegach swoich nie będziesz miał powodzenia. Stale będziesz napastowany, ograbiany, a nikt cię nie będzie ratował”.

- Czy oślepnę, Panie? - spytał Lester. Warkotliwy ton głosu modlitewnego stał się nieco głośniejszy. - Panie, błagam Cię, oszczędź mi tego! Chociaż... jeśli taka jest wola Twoja...

Pan przemówił do niego raz jeszcze.

Czyś ty dzisiaj ogłupiał?

Kapłan szeroko otworzył oczy. Głos Boga, ale słowa - ulubione powiedzonko matki. Prawdziwy cud.

- Nie, Panie.

Spójrz więc ponownie. Co ci ukazałem?

- Coś tam jest o szaleństwie. I o ślepotie.

Które z dwojga wydaje ci się bardziej prawdopodobne? Lester raz jeszcze przeczytał tekst księgi. Powtarzało się jedynie odniesienie do ślepoty.

- Panie... czy to jest twój znak?

Taa, zaprawdę, lecz nie o twojej ślepotie tu mowa, bo teraz twoje oczy widzą wyraźniej niż zwykle. Spotkasz ślepcę, który oszalał, a kiedy go zobaczysz, wtedy powiesz wiernym o planach Renniego i o swojej w nich roli. Obaj musicie dać świadectwo. Porozmawiamy o tym później, a teraz, Lester, idź spać. Kapie z ciebie na podłogę.

Lester posłuchał słów Pana, ale najpierw jeszcze wytarł z drewnianej podłogi za pulpitem plamki krwi. Uczynił to na kolanach. Nie modlił się wtedy, lecz rozpamiętywał przeczytane wersy. Czuł się znacznie lepiej.

Na razie będzie mówił tylko ogólnie o błędach, które, być może, spowodowały powstanie tej dziwnej bariery między Mill a światem zewnętrznym. Równocześnie będzie miał oczy szeroko otwarte. Musi opatrywać znaku. Dotkniętego szaleństwem ślepcę, kobiety lub mężczyzny. Taa, zaprawdę.

6

Brenda Perkins słuchała WCIK, ponieważ jej mąż lubił tę stację. Kiedy żył. Natomiast nigdy dotąd jej noga nie postąpiła w Chrystusie Odkupicielu. Była członkinią Pierwszego Kościoła Kongregacyjnego całym sercem i duszą, więc dbała o to, żeby jej mąż razem z nią chodził do właściwej świątyni.

Za jego życia. Teraz Howie znajdzie się w kościele po raz ostatni. Będzie tam leżał w trumnie, o niczym nie wiedząc, a Piper Libby pożegna go modlitwą.

Uświadomiła to sobie ostro i bezwzględnie tuż po powrocie do domu. Pierwszy raz od chwili, gdy dotarli do niej tragiczne wieści, rozplakała się na głos. Może dlatego, że dopiero teraz mogła. Bo była sama.

W telewizji prezydent o twarzy ponurej i przerażająco starej wygłaszał przemówienie.

„Amerykanie! Żądacie odpowiedzi. Otrzymacie je ode mnie, gdy tylko je poznam. Nie będzie żadnych przemilczeń. Będziecie wiedzieli tyle samo co ja. Przyrzekam wam to”...

- Tak, tak - westchnęła Brenda. - I pewnie zaraz będziesz chciał nam sprzedać jakiś

most.

Rozszlochała się jeszcze głośniejsze, bo było to jedno z ulubionych powiedzonek Howiego. Gniewnym ruchem wyłączyła telewizor, rzuciła pilot na podłogę. Miała ochotę go rozdeptać i nie zrobiła tego głównie dlatego, że zobaczyła męża jak żywego - pokręcił głową i powiedział, żeby nie zachowywała się jak dziecko.

Poszła do jego gabinetu. Chciała nawiązać z Howiem jakiś kontakt, póki jeszcze wszędzie czuć było jego obecność.

Na tyłach domu mruczał generator. „Szczęśliwy i zadowolony”, powiedziałby Howie. Nie chciała wydawać pieniędzy na to urządzenie, ale on się uparł, żeby je zamówić. Po jedenastym września. „Na wszelki wypadek”. Teraz żałowała każdego kąśliwego słowa, jakie powiedziała na ten temat.

Tęsknota za mężem w ciemnościach byłaby jeszcze gorsza, niosłaby ze sobą większą samotność.

Na biurku stał tylko laptop, jak zawsze otwarty. Jako wygaszacz ekranu ustawione było bardzo stare zdjęcie z rozgrywek Małej Ligi. Widnieli na nim Howie i Chip, obaj ubrani w zielone koszulki zawodów sportowych sponsorowanych przez aptekę Sandersa. Mały miał wtedy jedenaście, może dwanaście lat. Zdjęcie zostało zrobione tego roku, kiedy Howie i Eric Everett doprowadzili drużynę do finałów stanowych. Chip ścisnął ojca za szyję, a Brenda obejmowała ich obu. To był cudny dzień.

Nie mogła zadzwonić do Chipa, a myśl o rozmowie, jaką by z nim przeprowadziła, zakładając, że byłaby możliwa, rozkleiła ją ostatecznie. Szlochając, osunęła się na kolana przy męzowskim biurku. Nigdy nie spletała dłoni przy modlitwie, zawsze składała je tak samo jak za dziecięcych czasów, kiedy we flanelowej pidżamie klęczała przy łóżku i powtarzała jak mantrę: „Boże, miej w opiece mamusię i tatusia, i moją złotą rybkę, która jeszcze nie ma imienia”.

- Boże, to ja, Brenda. Nie będę Cię prosiła, żebyś mi go wrócił. Chciałabym tego, ale wiem, że to niemożliwe. Proszę Cię, żebyś mi dał siłę do przetrwania, dobrze? I jeszcze... nie wiem, może to bluźnierstwo, ale bardzo bym chciała jeszcze raz z nim porozmawiać. Chciałabym, żeby mnie jeszcze raz, ostatni raz dotknął, tak jak dzisiaj rano.

Na wspomnienie tamtego dotyku palców na skórze w słonecznym blasku zapłakała jeszcze rozpaczliwiej.

- Wiem, że nie zajmujesz się duchami... oczywiście poza Duchem Świętym... ale może byś mi go zesłał we śnie? Wiem, proszę o wiele, ale... Och, Boże, taka jestem zdruzgotana, taka samotna. Nie wiedziałam, że można mieć taką pustkę w środku, aż się boję, że przestanę

istnieć.. Jeżeli spełnisz moją prośbę, zrobię, co zechcesz. Co tylko zechcesz. Proszę Cię, Boże, tylko jeden dotyk. Jedno słowo. Nawet we śnie. - Z trudem zaczerpnęła powietrza. - Dzięki Ci, Boże. Niech się dzieje wola Twoja. Czy mi się to podoba, czy nie. - Zaśmiała się niewesoło. - Amen.

Otworzyła oczy i wstała, przytrzymując się biurka. Jedną ręką trąciła ekran, który natychmiast ożył. Howie nigdy nie pamiętał, żeby wyłączyć laptop, ale przynajmniej podłączał go do gniazdka, więc bateria się nie wyczerpywała. Na pulpicie miał zawsze nienaganny porządek, w przeciwieństwie do Brendy, bo u niej pełno było ściągniętych programów i elektronicznych notatek. Na ekranie laptopa Howiego pod ikoną dysku twardego jak zwykle widniały tylko trzy foldery: AKTUALNE, gdzie przechowywał raporty z bieżących śledztw, SĄDOWE - zawierający listę osób, łącznie z samym Howiem, które miały zeznawać, uzupełnione o informację, gdzie i dlaczego.

Trzeci folder zatytułowany był PRYWATNE i znajdowały się w nim wszystkie informacje związane z domem. Brenda uświadomiła sobie, że tam pewnie znajdzie wiadomości o generatorze, dzięki którym zdoła korzystać z niego możliwie najdłużej. Henry Morrison z komendy na pewno jej podłączy nowy zbiornik z propanem, tylko czy są w domu zapasowe? Jeśli nie ma, powinna jechać do sklepu Burpeego albo na stację benzynową, zanim gaz się skończy.

Ruszyła myszą, po czym zastygła. Na pulpicie w lewym dolnym rogu ekranu znajdował się czwarty folder. Nigdy go nie widziała. Zastanowiła się, kiedy ostatnio w ogóle zerknęła do komputera męża - i nie mogła sobie przypomnieć.

Folder zatytułowany był VADER.

Istniała w mieście tylko jedna osoba, którą Howie nazywał Vaderem, rozumiejąc przez to, rzecz jasna, Dartha Vadera. Duży Jim Rennie.

Zaciekawiona przesunęła kursor na folder i kliknęła dwa razy.

Ciekawe, czy jest chroniony hasłem.

Owszem.

Spróbowała WILDACTS, słowo, które otwierało folder AKTUALNE. Folderu SĄDOWE Howie nie uznał za stosowne chronić hasłem. Udało się. W VADERZE znajdowały się dwa dokumenty. Jeden oznaczony ŚLEDZTWA W TOKU, drugi, zapisany w formacie PDF, zatytułowany LISTY Z PGSM. Innymi słowy, korespondencja z Prokuraturą Generalną Stanu Maine. Kliknęła dokument.

Przeglądała list od prokuratora generalnego z rosnącym zdumieniem. Łzy na policzkach zaczęły jej obsycać. Pierwszym szczegółem, który przykuł jej uwagę, był

nagłówek. Nie „Szanowny panie komendancie”, ale „Drogi Duke”.

Choć list był naspikowany żargonem prawniczym, niektóre zdania rzucały się w oczy same, jakby zostały wyróżnione tłustą czcionką. Na początek: „Sprzeniewierzenie dóbr publicznych i niezasadne wykorzystywanie służb miejskich”. Potem: „Zaangażowanie radnego Sandersa wydaje się pewne”. A jeszcze dalej: „Nadużycia władzy sięgają głębiej, niż mogliśmy przypuszczać trzy miesiące temu”.

A blisko końca zdanie, które zdawało się wręcz krzyczeć wielkimi literami: „Produkcja i sprzedaż narkotyków”.

Najwyraźniej modły Brendy zostały wysłuchane w sposób całkowicie niespodziewany. Siedząc w fotelu Howiego, kliknęła ŚLEDZTWA BIEŻĄCE w folderze VADER i zaczęła słuchać zmarłego męża.

7

Przemówienie prezydenta, bogate w słowa pocieszenia, ubogie w informacje, skończyło się dwadzieścia jeden minut po północy. Ryży Everett obejrzał je w holu na drugim piętrze szpitala, potem ostatni raz przejrzał karty chorych i poszedł do domu. Niejeden raz w czasie swojej kariery medycznej kończył dzień pracy znacznie bardziej zmęczony niż teraz, ale nigdy dotąd nie był tak przygnębiony i niespokojny o przyszłość.

Dom zastał pogrążony w ciemnościach. W zeszłym roku rozważali z Lindą kupno generatora, rok wcześniej także, bo w Chester's Mill każdej zimy przez cztery czy pięć dni brakowało prądu, a latem też zdarzały się przerwy w dostawie. Western Main Power nie należała do najbardziej niezawodnych dostawców energii. Rzecz w tym, że po prostu nie było ich stać na ten zakup. Może gdyby Lin została policjantką na pełen etat, sytuacja wyglądałaby inaczej, lecz żadne z nich tego nie chciało, bo dziewczynki były jeszcze małe.

W razie czego mamy dobry piec i od cholery drewna, pomyślał Ryży.

Odszukał latarkę w skrytce na rękawiczki, ale kiedy ją włączył, zaświeciła słabiutko i po pięciu sekundach zgasła. Zaklął pod nosem i zapisał sobie w głowie, żeby jutro kupić nowe baterie. A raczej dzisiaj. Zakładając, że sklepy będą otwarte.

Jeżeli po dwunastu latach mieszkania w tym domu nie znajdę drogi po ciemku, to jestem głupszy, niż ustawa przewiduje.

Cóż, czuł się głupi. Jak mała. Dopiero co złapana i wsadzona do klatki w zoo. I, niestety, cuchnął też jak zwierzę. Więc może jednak prysznic przed spaniem...

A, nie. Nie ma prądu, nie ma prysznicza.

Noc była jasna, bo choć bezksiężycowa, to rozjarzona tysiącami gwiazd. Wyglądały

tak samo jak zawsze. Może bariery nie było na górze? Prezydent nie poruszył tego tematu, więc pewnie ludzie odpowiedzialni za rozeznanie się w sprawie jeszcze tego nie wiedzieli. Jeżeli Mill znalazło się na dnie niewidzialnej studni, a nie w brzuchatym słoiku, może nie jest tak źle. Rząd dostarczy zapasy drogą powietrzną. Skoro kraj może przeznaczać miliardy dolarów na ratowanie upadających korporacji, stać go, by zrzucić na spadochronach parę generatorów i kilka paczek sucharów.

Wszedł na ganek i wyjął klucz, a zbliżywszy się do drzwi, dostrzegł, że na zamku coś wisi. Pochylił się, przyjrzał uważniej. Miniaturowa latarka. Na letniej wyprzedazy u Burpeego Linda kupiła ich sześć sztuk a pięć dolarów. Wtedy uważał, że niepotrzebnie wyrzuca pieniądze, nawet pamiętał, że myślał: Kobiety robią zakupy z tego samego powodu z jakiego mężczyźni wspinają się na szczyty gór - bo mogą.

Z końca latarki wystawała niewielka metalowa pętka. Przez nią przewleczono sznurowadło ze starej tenisówki, do niego przyklejono taśmą karteczkę. Skierował na nią strumień światła.

Cześć, kochanie. Mam nadzieję, że wszystko OK. Nasze 2 J. wreszcie zasnęły. Obie smutne i niespokojne, ale wreszcie się wyłączyły. Jutro mam służbę cały dzień, naprawdę cały. Od 7 do 19, Tak mówi Peter Randolph, nasz nowy szef.:/Marta Edmunds weźmie dziewczynki, Bogu dzięki. Nie obudź mnie. Chyba że nie będę spała. Pewnie mamy przed sobą trudne dni, ale jakoś to będzie. Na szczęście spiżarnia pełna.

Kochanie, na pewno jesteś zmęczony, ale wyprowadź Audrey dobrze? Ciągłe popiskuje. Może wiedziała, co się stanie? Podobno psy wyczuwają trzęsienia ziemi...

Judy i Jannie mówią że kochają tatusia. Ja też Cię kocham.

Pogadamy jutro, dobrze? I przejrzymy zapasy.

Trochę się boję.

Lin

On też się bał i wcale mu się nie podobało, że żona ma następnego dnia pracować dwanaście godzin, podczas gdy on będzie w pracy przez szesnaście, a może i dłużej. Nie podobało mu się też, że Judy i Janelle spędzą caluteńki dzień z Martą, bo one na pewno też się bały.

Ale najmniej mu się podobała myśl, żeby wyprowadzać Audrey na spacer o pierwszej nad ranem. Jego zdaniem suka rzeczywiście mogła wyczuć barierę, psy, a zwłaszcza golden retrievery, były bardzo wrażliwe na różne zjawiska, nie tylko na trzęsienia ziemi. W takim razie zachowanie, które Linda nazywała popiskiwaniem, już powinno ustać, prawda? Inne psy w mieście zachowywały się tej nocy spokojnie. Żadnego szczekania, żadnego wycia. Nie

słyszał też, żeby któryś ciągle popiskiwał.

Może już śpi zwinęta na posłaniu przy piecu, pomyślał z nadzieją, otwierając drzwi kuchni.

Audrey nie spała. Natychmiast znalazła się przy nim, ale nie w radosnych podskokach, jak zwykle, kiedy wracał, jakby mówiła: „Jesteś! Cudownie! Wróciłeś! Tak się cieszę!”, tylko z brzuchem przy ziemi, nieomal pełznąca, z ogonem podkulonym między tylne łapy, trochę jakby się bała lania, a przecież nigdy w życiu nikt jej nie uderzył. No i rzeczywiście popiskiwała. Popiskiwanie zaczęło się jeszcze przed zaistnieniem bariery. Ucichło na dwa tygodnie i Ryży miał nadzieję, że już po sprawie, niestety wkrótce potem zaczęło się na nowo. Czasami było ciche, a czasem całkiem głośne. Tej nocy - bardzo głośne. A może tylko tak się wydawało w ciemnej kuchni, gdzie nawet wyświetlacze na piekarniku i mikrofalę zgasty. Nie świeciła też żarówka nad zlewem, którą Linda zwykle zostawiała zapaloną.

- Ciiicho, mała. - Pogładził sukę po łbie. - Obudzisz cały dom. Nic z tego. Audrey szturchnęła go pyskiem w nogę. W wąskiej smudze światła latarki widział wpatrzone w siebie psy oczy. Przysiągłby, że dostrzegł w nich błaganie.

- Dobrze - poddał się. - W porządku. Idziemy na spacer. Smycz wisiała na kołku przy drzwiach spiżarni. Poszedł po nią, wieszając sobie latarkę na szyi. Suka skoczyła przed nim, bardziej jak kot niż jak pies. Mało go nie przewróciła.

Tylko tego brakowało, żeby zakończyć ten koszmary dzień z fasonem.

- Jedną minutkę, spokojnie. Szczeknęła, odskoczyła do tyłu.

- Cicho, Audrey, ciiicho! Suka szczeknęła ponownie, jej głos odbił się w cichym domu wstrząsająco głośnym echem. Ryży drgnął. Audrey doskoczyła do niego, chwyciła go zębami za nogawkę i zaczęła ciągnąć pana na korytarz.

Zaintrygowany pozwolił się prowadzić. Audrey, zrozumiałwszy, że za nią pójdzie, puściła nogawkę i wbiegła na schody. Przeskoczyła tylko dwa, stanęła, obejrzała się i znów szczeknęła.

Na piętrze, w sypialni małżeńskiej, zapłonęło niewielkie światełko.

- Ryży?! - zawołała Lin zaspanym głosem.

- Tak, to ja - odpowiedział jak najciszej. - A w zasadzie Audrey. Poszedł za psem po schodach. Audrey, zamiast jak zwykle obiec susami całe piętro, ciągle przystawała, oglądając się za siebie. Dla ludzi mieszkających z psami mowa ciała zwierząt jest klarowna. W tej chwili Ryży widział u Audrey niepokój. Uszy położyła płasko, ogon wciąż miała podkulony. Jeśli to nadal było popiskiwanie, zyskało zupełnie nową formę. Ryżemu nagle przyszło do głowy, że w domu może być włamywacz. Drzwi kuchenne były zamknięte, Lin zawsze tego

pilno wała, zwłaszcza gdy była sama z dziewczynkami, ale kto wie...

Linda stanęła u szczytu schodów, zawiązując pasek grubego szlafroka. Audrey na jej widok szczerknęła ponownie. Wyraźnie: „z drogi!”.

- Audi, przestań! - syknęła Lin, ale suka już minęła swoją panią, uderzając ją barkiem w nogę, odtrącając na ścianę.

Pobiegła korytarzem w stronę pokoju dziewczynek, gdzie wciąż panowała cisza.

Lin wyłowiła z kieszeni szlafroka minilatarkę.

- Na litość boską...

- Lepiej wróc do sypialni - powiedział Ryży. - Jeszcze czego!

Ruszyła przed nim korytarzem, wąski strumień światła podskakiwał na podłodze.

Dziewczynki miały lat pięć i siedem, niedawno rozpoczął się u nich etap, który Lin nazywała „odkrywaniem kobiecej odrębności”. Audrey skoczyła na drzwi i stojąc na zadnich łapach, przednimi drapała deski.

Ryży dopadł do drzwi, gdy żona je otwierała. Audrey wpadła do środka. Na Judy nawet nie spojrzała, zresztą pięciolatka spała jak zabita.

Natomiast Janelle nie spała. Ale też nie była przytomna. Ryży zrozumiał, z czym ma do czynienia, w tej samej chwili, w której dwie smugi światła padły na twarz dziewczynki, i przeklął siebie za to, że wcześniej nie zauważył, co się dzieje. A musiało się dziać przynajmniej od sierpnia, jeśli nie od lipca. Bo zachowanie Audrey, jej popiskiwanie, było właśnie tym spowodowane. Tylko on nie dostrzegł rzeczy ewidentnej.

Janelle miała otwarte oczy, lecz widać było tylko białka. Bogu dzięki, żadnych konwulsji, ale drżała na całym ciele. Ściągnęła z siebie przykrycie, pewnie na początku ataku, więc widać było na spodniach od pidżamy mokrą plamę. Przebierała palcami, jakby grała na pianinie.

Audrey usiadła przy łóżku, wpatrzona w małą panią z napiętą uwagą.

- Co jej jest?! - krzyknęła Linda. Judy poruszyła się i obudziła.

- Maaama? Już śniadanie? Spóźniłam się na autobus?

- Ma atak drgawek - powiedział Ryży.

- Pomóż jej! Zrób coś! Umiera?!

- Nie - ocenił Ryży.

Starał się myśleć logicznie i szybko doszedł do wniosku, że to prawie na pewno *petit mal*. U obcego dziecka dawno by to zauważył, u własnego zawsze trudniej.

Judy gwałtownie usiadła na łóżku, rozrzucając dookoła pluszowe zabawki. Oczy miała wielkie jak spodki, na twarzyczce przestraszonych. Niewiele pomogło, gdy matka poderwała ją z

pościeli i zamknęła w objęciach.

- Niech ona przestanie! - krzyknęła Lin. - Ryży, zrób coś! Jeśli to była *petit mal*, atak powinien szybko minąć sam z siebie. Boże, niech minie szybko!

Uchwycił głowę dziecka w obie dłonie, chciał ją odchylić do tyłu, na wszelki wypadek udrozić drogi oddechowe. Nic z tego, przeszkodziła mu cholerna poduszka piankowa. Zrzucił ją na podłogę. Trafił w Audrey, ale suka nawet się nie cofnęła, nadal wbijała wzrok w małą panią.

Ryży wreszcie przechylił głowę Jannie do tyłu, słyszał jej oddech. Spokojny, wcale nie przyśpieszony ani urywany.

- Mamusiu, co się dzieje z Jan - Jan? - spytała Judy z buzią wykrzywioną w podkówkę. - Zwariowała? Zachorowała?

- Nie zwariowała, kochanie, ale jest trochę chora - odpowiedział Ryży. Sam był zdziwiony własnym spokojnym głosem. - Mamusia zabierze cię teraz do naszej sy...

- Nie! - sprzeciwiły się obie równocześnie.

- Dobrze wobec tego, dobrze. Ale musicie być cicho. Nie wolno jej przestraszyć, kiedy się będzie budziła, pewnie już się boi. Troszeczkę - dorzucił. - Audi, dobra suka. Jesteś kochana.

Na pochwały suka zwykle reagowała żywiołową radością, tym razem było inaczej. Nawet nie ruszyła ogonem. W pewnym momencie szczerknęła krótko i położyła się, układając pysk na łapie. Dosłownie w następnej sekundzie Jan przestała drżeć i zamknęła oczy.

- A niech mnie - odezwał się Ryży.

- Co?

Linda siedziała na krawędzi łóżka Judy, trzymając małą na kolanach.

- Po wszystkim.

Ale nie było po wszystkim. Nie do końca. Gdy Jannie ponownie otworzyła oczy, źrenice były na swoim miejscu, lecz nie widziała ojca.

- Wielka dynia! - krzyknęła. - Wszystko przez wielką dynię! Trzeba ją złapać!

Ryży delikatnie potrząsnął córką.

- Coś ci się śniło. Miałaś zły sen, ale już się obudziłaś.

Przez chwilę Jannie nadal nie do końca kojarzyła, choć już poruszała oczami i najwyraźniej widziała oraz słyszała ojca. - Tatusiu! Trzeba odwołać Halloween!

- Dobrze, kochanie. Odwołamy Halloween. Całkiem. Zamrugła, podniosła rękę i odsunęła z czoła potargane, sklezione potem włosy.

- Co? Dlaczego? Miałam być księżniczką Leią! Czy ja naprawdę nie mogę mieć

żadnych przyjemności? - Rozpląkała się głośno.

Linda podeszła bliżej, Judy przy dreptała z nią razem, trzymając się jej szlafroka. Matka objęła Janelle.

- Będiesz księżniczką Leilą, króliczku. Obiecuję.

Jan patrzyła na rodziców kompletnie oszołomiona, trochę podejrzliwie i z rosnącym przestraszaniem.

- Co tu robicie? - Wskazała na młodszą siostrę. - Dlaczego ona nie śpi?

- Nasikałaś do łóżka - odparowała Judy gładko.

Jan uświadomiła sobie, że siostra mówi prawdę, i rozpląkała się jeszcze bardziej, a Ryży miał ochotę przyłożyć Judy. W zasadzie uważał siebie za rodzica świadomego i dobrze wychowującego dzieci, zwłaszcza w porównaniu z tymi, którzy chyłkiem wkradali się do przychodni, prowadząc dzieciaka ze złamaną ręką albo podbitym okiem, lecz dzisiaj zaczynał mieć dość.

- Nic nie szkodzi - powiedział, głaszcząc Jan. - To nie twoja wina. Miałaś kłopoty, ale już po wszystkim.

- Trzeba będzie ją zawieźć do szpitala? - spytała Linda.

- Wystarczy do przychodni i na pewno nie teraz. Jutro rano. Dopasuję jej leki.

- Nie chcę zastrzyków! - wrzasnęła Jannie i znów wybuchnęła płaczem.

Był to zdrowy, głośny płacz. Silny. Ryżemu się spodobał.

- Nie dostaniesz zastrzyków, króliczku. Wystarczą proszki. Pies teraz leżał całkiem spokojnie na podłodze, obojętny na cały dramat.

- Audrey jest pewna, że wszystko będzie dobrze - oznajmił Ryży. - Dzisiaj będzie spała z dziewczynkami.

- Hura! - ucieszyła się Judy. Kucnęła i uściskała Audi z całej siły. Ryży objął żonę. Lin położyła mu głowę na ramieniu, zbyt zmęczona, żeby nadal siedzieć prosto.

- Dlaczego teraz? - spytała cicho. - Dlaczego akurat teraz?

- Nie wiem. Ale powinniśmy być wdzięczni, że to tylko *petit mal*. W tej kwestii jego nadzieje się spełniły.

SZALEŃSTWO, ŚLEPOTA, NIEPOKÓJ SERCA

1

Joe Chudzielec całą noc spędził przy komputerze.

Nazywał się Joseph McClatchey, miał trzynaście lat i był znany także jako Król Nawiedzonych albo Skeletor. Mieszkał przy Mill Street pod numerem dziewiętnastym. Ponieważ przy wzroście metr osiemdziesiąt pięć ważył niecałe sześćdziesiąt kilogramów, rzeczywiście wyglądał jak szkielet. A do tego miał głowę nie od parady. Chodził do ósmej klasy tylko dlatego, że rodzice stanowczo sprzeciwiali się jakimkolwiek „przeskakiwaniu klas”.

Joemu to nie przeszkadzało. Wolał być z przyjaciółmi, a miał ich zadziwiająco wielu jak na chudego trzynastoletniego geniusza. W dodatku szkoła była łatwa i miał mnóstwo komputerów do dyspozycji. W Maine w gimnazjach przypadało po jednym na głowę. Oczywiście lepsze strony w sieci były zablokowane, ale Joe szybko dawał sobie radę z takimi drobnymi utrudnieniami. Chętnie dzielił się informacjami ze swoimi ziomalami, wśród których znajdowało się dwoje nieustraszonych deskorolkarzy, Norrie Calvert oraz Benny Drake. Benny uwielbiał w bibliotece serfować po stronie z blondynkami w białych majteczkach.

Działalność tego typu z pewnością częściowo wyjaśniała popularność Joego, jednak nie do końca. Dzieciaki po prostu uważały, że jest fajny. Nalepka przeznaczona na zderzak, a przyklejona na jego plecaku, wyjaśniała tę kwestię chyba najsensowniej. Głosiła: WALCZ Z WŁADZĄ.

Joe był wzorowym uczniem, świetnym, a niekiedy wręcz błyskotliwym środkowym w szkolnej drużynie koszykówki oraz sprawnym graczem w futbol. Umiał brzdąkać na pianinie i dwa lata wcześniej zajął drugie miejsce w dorocznym Bożonarodzeniowym Miejskim Konkursie Talentów, parodiując taniec do „Redneck Woman” Gretchen Wilson. Jego występ wywołał wśród dorosłych na widowni głośne brawa i okrzyki radości, a Lissa Jamieson, bibliotekarka, oceniła nawet, że mógłby takimi występami zarabiać na życie, mimo wszystko rola Napoleona Dynamite nie zaspokajała jego ambicji.

- Ustawili sprawę - ocenił ponuro Sam McClatchey, wodząc palcem wokół srebrnego medalu syna.

Najprawdopodobniej miał rację: zwycięzcą konkursu został Dougie Twitchell,

przypadkiem brat członkini Rady Miejskiej. Pierwsze miejsce przyznano mu za zonglowanie maczugami z jednoczesnym śpiewaniem „Moon River”.

Joe miał w nosie, czy sprawa była ustawiona, czy nie. Szybko stracił zainteresowanie tańcem, tak samo jak większością umiejętności, które do pewnego stopnia opanował. Nawet miłość do koszykówki, która w piątej klasie wydawała mu się wieczna, jakoś zbladła.

Jedyną niezmienną pasją pozostawała miłość do Internetu, elektronicznej galaktyki nieograniczonych możliwości.

Miał zamiar, czego nie zdradził nawet rodzicom, zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Może zatańczę jako Napoleon Dynamite na zaprzysiężeniu. Taki numer zostałby na YouTube na wieki.

I tak przez całą pierwszą noc istnienia klosza Joe surfował po Internecie. McClatcheyowie nie mieli generatora, ale laptop chłopaka był zadbane i zawsze gotów do działania. No i zaopatrzony w pół tuzina zapasowych baterii. Joe pilnował pozostałych siedmiorga członków nieoficjalnego klubu komputerowego, żeby zawsze mieli w zapasie dodatkowe akumulatory, i wiedział, skąd wziąć więcej w razie potrzeby. Poza tym szkoła miała czadowy generator, więc tam można podładować akumulatory. Nawet gdyby ją zamknęli, to dozorca i woźny, pan Allnut, na pewno go wpuści. Bo pan Allnut również był fanem strony blondynkiwbialychmajteczkach.com. Nie mówiąc już o tym, że za sprawą Joego Chudzielca zaopatrywany był darmowo w dowolne nagrania country.

Tamtej pierwszej nocy Joe zdał do żywego połączenie bezprzewodowe Wi - Fi, przeskakując z blogu na blog ze zwinnością jaszczurki przemykającej po gorących kamieniach. Każdy blog był gorszy od poprzedniego. Na każdym coraz mniej faktów, a coraz więcej teorii spiskowych. Joe zgadzał się ze swoimi rodzicami, którzy nazywali zwolenników najdziwniejszych teorii spiskowych, ludzi, których życie toczyło się głównie w Internecie i dla niego, „gośćmi w czapeczkach z folii aluminiowej”, czyli paranoikami, ale także wierzył w to, że w każdej plotce jest ziarno prawdy.

Nim dzień nastania klosza niepostrzeżenie przeszedł w dzień drugi, wszystkie błogi zgadzały się w jednym: nie chodziło o działania terrorystyczne, najeźdźców z kosmosu czy Wielki Przedwieczny Cthulhu, ale dobrze wszystkim znaną współpracę militarno - przemysłową. Teorie różniły się w szczegółach, lecz miały wspólne podstawy, które dały się uszeregować w trzy główne nurty. Pierwszy zakładał, że kopała jest skutkiem bezwzględного eksperymentu, w którym mieszkańcy Chester's Mill odgrywają rolę królików doświadczalnych. Według drugiej jakiś eksperyment wymknął się spod kontroli, całkiem jak

w filmie „Mgła”. Wedle trzeciej nie był to wcale eksperyment, lecz z zimną krwią wymyślony pretekst mający usprawiedliwić wojnę z wrogami kraju. „Zwycięzimy! - napisał Aniemowilem87. - Bo przy takiej broni KTO NAM SIĘ POSTAWI? Ludziska, MY JESTEŚMY PATRIOTAMI NOWEJ ANGLII!!!”.

Joe nie wiedział, która z teorii, jeśli w ogóle któraś, jest prawdziwa. I nieszczególnie go to obchodziło. Obchodził go natomiast wspólny mianownik wszystkich wypowiedzi, czyli rząd.

Nadszedł czas na demonstrację, którą rzecz jasna poprowadzi on, nikt inny. I to nie w samym mieście, ale na szosie sto dziewiętnaście, gdzie będą mogli dotrzeć bezpośrednio do ważniaków. Z początku będą demonstrować tylko kumple Joego, lecz szybko urośnie tłum. Na pewno. Ważniacy z pewnością trzymali media na dystans, ale Joe, chociaż miał dopiero trzynaście lat, wiedział, że to nie ma większego znaczenia. Bo ci w mundurach to też ludzie i przynajmniej za niektórymi twarzami pozbawionymi wyrazu skrywały się myślące mózgi. Obecność wojskowa jako taka stanowiła reprezentację władzy, lecz władza także składała się z ludzi, z poszczególnych osób, a ten czy ów mógł prowadzić blog. Choćby w tajemnicy. Oni rozprzestrzeniały informacje, pewnie zilustrowane zdjęciami z telefonów komórkowych: Joe McClatchey z przyjaciółmi niosą transparenty DOŚĆ TAJEMNIC, SKOŃCZYĆ EKSPERYMENT, UWOLNIĆ CHESTER'S MILL i tym podobne.

- Przydadzą się też plakaty na mieście - mruknął do siebie Joe.

Żaden problem. Każdy ziomal ma drukarkę. I rower.

Nad ranem Chudzielec Joe zaczął wysyłać e - maile. Później wsiądzie na rower i pojedzie po Benny'ego Drake'a. Może też po Norrie Calvert. Normalnie kumple zaangażowani w pospolite ruszenie wstawali w weekend raczej później niż wcześniej, ale Joe przewidywał, że tym razem nikt nie zostanie długo w łóżku mimo niedzieli. Poza tym ważniacy na pewno niedługo odetną Internet, tak samo jak zablokowali połączenia telefoniczne. Dopóki jednak działał, był bronią Joego, orężem ludu. Nastął czas walki z władzą.

2

- Unieście ręce - polecił Peter Randolph świeżym rekrutom. Był zmęczony i miał worki pod oczami, lecz jednocześnie czuł ponure zadowolenie. Zielony wóz komendanta stał na parking, zatankowany do pełna i gotów do akcji. Stanowił teraz jego własność.

Rekruci, których Randolph postanowił nazywać w oficjalnych raportach dla Rady Miejskiej policją kryzysową, posłusznie unieśli prawe dłonie. Było ich pięcioro, w tym potężnie zbudowana kobieta, Georgia Roux, bezrobotna fryzjerka, a jednocześnie dziewczyna

Cartera Thibodeau. Junior podsunął ojcu myśl, że powinni włączyć do zespołu kobietę, by wszyscy czuli się lepiej, i Duży Jim natychmiast na to przystał. Randolph z początku się opierał, ale wystarczyło, żeby Duży Jim poczęstował go chłodnym uśmiechem, by nowy komendant się poddał.

Odbierając od rekrutów przysięgę w obecności garstki zawodowych policjantów, przyznał w duchu, że robili należyte wrażenie. Co prawda Junior latem stracił parę kilogramów i wyglądał zupełnie inaczej niż za czasów, gdy grał w szkolnej drużynie w ataku, na szczęście nadal ważył dobre osiemdziesiąt pięć kilo, a pozostali, nawet dziewczyna, też nie byli chucherkami.

Powtarzali za nim słowa przysięgi, zdanie za zdaniem. Junior pierwszy od lewej, dalej jego przyjaciel Frankie DeLesseps, potem Thibodeau i dziewczyna. Po prawej Melvin Searles. Ten ostatni miał na twarzy rozanielony uśmiech, jakby się wybierał na wakacje. Randolph szybko by mu go starł z twarzy, gdyby miał ze trzy tygodnie na przeszkolenie tych dzieciaków.

Diabła tam, nawet tydzień by wystarczył.

Jedyną kwestią, w której postawił się Dużemu Jimowi, była sprawa broni. Rennie nalegał, żeby nowi ją dostali, twierdząc, iż to rozsądni, bogobojni młodzi ludzie, nawet zadeklarował, że w razie konieczności sam ich w broń zaopatrzy.

Randolph tylko kręcił głową.

- Sytuacja jest zbyt niepewna. Najpierw zobaczmy, jak sobie radzą.

- Jeżeli komuś stanie się krzywda, kiedy będziemy patrzyli, jak sobie radzą...

- Nikomu nic się nie stanie - zapewnił go Randolph, mając nadzieję, że się nie myli. -

Jesteśmy w Chester's Mill, nie w Nowym Jorku. Tam sprawy mogłyby wyglądać inaczej.

3

- I będę ze wszystkich sił bronił mieszkańców tego miasta i im służył.

Powtórzyli jego słowa zgodnie, jak w szkółce niedzielnej w Dzień Rodzica, nawet Searles z nieprzytomnym uśmiechem. I wyglądali rzeczywiście nieźle. Owszem, nie mieli broni, na razie, ale zostali wyposażeni w walkie - talkie. No i mieli pałki. Stacey Moggin, która miała patrolować ulice, wyszukała koszule mundurowe dla wszystkich prócz Cartera Thibodeau. Nie mieli nic w jego rozmiarze, był za szeroki w barach. Przyszedł na posterunek w gładkiej błękitnej koszuli, w której wyglądał nie najgorzej. Nie całkiem regulaminowo, ale czysto i schludnie. A srebrna odznaka przypięta nad lewą kieszenią świadczyła o tym, o czym miała świadczyć.

Może się jakoś uda?

- Tak mi dopomóż Bóg - powiedział Randolph.

- Tak mi dopomóż Bóg - powtórzyli nowi.

Randolph kątem oka dostrzegł, że zjawił się Duży Jim i przeszedł na tył pomieszczenia, do Henry'ego Morrisona, dychawicznego George'a Fredericka, Freda Dentona oraz Jackie Wettington o twarzy naznaczonej wyraźnym powątpiewaniem. Rennie przyszedł popatrzeć na zaprzysiężenie swojego syna. Randolph nadal czuł się nieswojo z powodu tej sprawy z bronią - sprzeciwianie się Dużemu Jimowi w ogóle nie leżało w jego naturze - więc zaimprovizował, głównie ze względu na wiceprzewodniczącego rady:

- I w żadne gówno nie będę się pakować.

- I w żadne gówno nie będę się pakować! - powtórzyli nowi.

Z entuzjazmem. Wszyscy uśmiechnięci. Chętni do roboty. Gotowi wyjść na ulice.

Duży Jim pokiwał głową, mimo brzydkiego wyrazu skwitował wyczyn Randolpha uniesionym kciukiem. Komendant nie wiedział, że będą go prześladować własne słowa.

I w żadne gówno nie będę się pakować.

4

Kiedy Julia Shumway przyszła następnego ranka do Sweetbriar Rose, największy śniadaniowy tłum już się przewalił, odpłynął albo do kościoła, albo w miejsca prowizorycznych forów na placu miejskim. Minęła dziewiąta. Barbie rządził sam. Ani Dodee Sanders, ani Angie McCain się nie pokazały, co nikogo nie zdziwiło. Rose wybrała się do Food City. Anson z nią razem. Barbie miał nadzieję, że wrócą obładowani zakupami spożywczymi, chociaż uwierzy, jak zobaczy.

- Zamknięte do obiadu - powiedział - natomiast jest kawa.

- A bułeczki cynamonowe? - spytała Julia. Barbie pokręcił głową.

- Dziś Rose nie piekła. Oszczędza paliwo do generatora.

- I słusznie - oceniła Julia. - Wobec tego niech będzie sama kawa.

Barbie przyniósł dzbanek, nalał.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Barbie, litości, dzisiaj z rana wszyscy wyglądają na zmęczonych. I przerażonych.

- Jak gazeta?

- Miałam nadzieję, że wyjdzie na dziesiątą, ale będzie dopiero o trzeciej. To pierwszy „Democrat” drukowany poza normalnym trybem od dwa tysiące trzeciego, kiedy Prestile wylała.

- Problemy techniczne?

- Nie, skąd, póki działa generator, wszystko gra. Po prostu chcę zajrzeć do sklepu, zobaczyć, czy się zbierze motłoch. A jeśli tak, dołączyć i tę historię. Pete Freeman już tam jest, gotów robić zdjęcia.

Barbiemu nie spodobało się słowo „motłoch”.

- Rany boskie, mam nadzieję, że nie będzie żadnych awantur.

- Pewnie nie. Jesteśmy w Chester's Mill, a nie w Nowym Jorku. Zdaniem Barbiego różnica między wielką metropolią a niedużym miasteczkiem nie była taka znowu istotna, bo ludzie przerażeni zachowywali się podobnie, niezależnie od miejsca pobytu. Postanowił się jednak nie odzywać. Redaktorka знаła miejscowych lepiej niż on.

- Oczywiście mogę się mylić - powiedziała Julia, jakby mu czytała w myślach. - Dlatego wysłałam tam Pete'a.

Rozejrzała się po wnętrzu. Kilka osób przy kontuarze jeszcze kończyło jajka i kawę, oczywiście zajęty był też „stół choleryków”, jak to nazywają jankesi, przy którym jak zwykle przesiadywali mężczyźni dyskutujący o zdarzeniach przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Środkową część restauracji Julia i Barbie mieli dla siebie.

- Muszę z tobą spokojnie pogadać. - Redaktorka zniżyła głos. - Nie stercz nade mną jak wzorcowy kelner, siadaj.

Barbie posłuchał, sobie też nalał kawy. Resztki z samego dna, więc smakujące jak ropa, ale gęste od kofeiny.

Julia sięgnęła do kieszeni sukienki, wyjęła z niej komórkę i położyła przed Barbiem.

- Twój pułkownik zadzwonił do mnie o siódmej rano. Najwyraźniej on też tej nocy nie spał zbyt długo. Poprosił mnie, żebym ci dała telefon. Nie wie, czy masz własny.

Barbie nie tknął aparatu.

- Jeśli się spodziewa raportu już natychmiast, to poważnie przecenił moje możliwości.

- Tego nie powiedział. Stwierdził, że chciałby móc się dodzwonić, jeśli będzie musiał z tobą pogadać.

To przeważyło. Barbie pchnął aparat w stronę właścicielki. Wzięła go, wcale nie zdziwiona.

- Powiedział też, że jeśli się nie odezwie dziś do piątej, powinienes do niego zadzwonić. Będzie miał jakieś wiadomości. Chcesz ten numer z dziwacznym kierunkowym?

Barbie westchnął ciężko.

- Niech będzie.

Julia napisała numer na serwetce. Drobne, kształtne cyfry.

- Chyba mają jakiś pomysł.

- Jaki?

- Tego nie wiem. Po prostu mam przeczucie, że wykluło im się parę pomysłów.

- Na pewno. Co jeszcze dla mnie masz? - A skąd wiesz, że mam coś jeszcze?

- Przeczucie - odparł, uśmiechając się szeroko.

- Niech ci będzie. Rzeczywiście. Chodzi mi o licznik Geigera.

- Planowałem załatwić tę sprawę z Alem Timmonsem.

Al był woźnym w ratuszu i stałym bywalcem Sweetbriar Rose. Barbie pozostawał z nim w niezłych stosunkach. Julia potrząsnęła głową.

- Odradzasz? - zdziwił się Barbie. - Dlaczego?

- Zgadnij, kto mu osobiście udzielił nieoprocentowanej pożyczki, żeby mógł wysłać najmłodszego syna do prywatnej szkoły w Alabamie?

- Czyżby Jim Rennie?

- Owszem. A teraz podnosimy stawkę. Zgadnij, kto ma w ręku papiery na spycharkę Ala.

- Domyślam się, że także Jim Rennie.

- Doskonale. A ponieważ jesteś jak wrzód na tylnej części ciała radnego Renniego, i to wrzód, którego nasz radny nie może się pozbyć, raczej nie licz na zrozumienie ludzi od niego zależnych... Tak się jednak składa, że znam kogoś, kto dysponuje kompletem kluczy do królestwa: do ratusza, szpitala, przychodni, do szkół, do wszystkiego.

- Kto to?

- Nasz zmarły szef policji. I tak się składa, że dobrze znam jego żonę... to znaczy wdowę. Na dodatek Brenda nie przepada za Jamesem Renniem. I do tego wszystkiego potrafi dotrzymać tajemnicy, jeśli uważa to za uzasadnione.

- Sam nie wiem... Ciało jej męża jeszcze nie ostygło...

Julia zobaczyła w myślach ponury salonik domu pogrzebowego.

- Zupełnie może i nie, ale do temperatury pokojowej... Tak, wiem, o co ci chodzi, ja też jej współczuję, ale... - Chwyciła go za rękę.

Barbie zdziwił się, lecz nie oswobodził dłoni, uścisk wcale nie sprawił mu przykrości.

- ...sytuacja jest wyjątkowa. I Brenda Perkins o tym wie, niezależnie od tego, jak bardzo jest zrozpaczona. Ty masz zadanie do wykonania, ja ją przekonam, żeby ci pomogła. Jesteś swój chłop.

- Swój chłop - powtórzył Barbie, nagle osaczony przez niechciane wspomnienia: gimnazjum w Al - Falludży, szloch nagiego Irakijczyka, tylko w rozdartym hidżabie na

głowie. Po tamtym dniu w szkolnej sali gimnastycznej przestał chcieć być „swoim chłopem”.
A tu - proszę, samo przyszło.

- To trzeba by...

Ranek był ciepły i choć drzwi przyblokowano tak, żeby można było z restauracji wychodzić, ale nie dało się do niej wejść, okna zostały pootwierane. Z Main Street dobiegło metaliczne uderzenie, ktoś zawył z bólu, potem rozległ się okrzyk protestu.

Barbie i Julia popatrzyli na siebie nad kubkami kawy z identycznym wyrazem twarzy - zaskoczenia i obawy.

Zaczyna się, pomyślał Barbie.

Wiedział, że to nie powinna być prawda, bo w zasadzie zaczęło się wczoraj, wraz z zaistnieniem klosza, ale z drugiej strony była to prawda niepodważalna. Dzisiaj. Teraz.

Klienci jedzący przy barze biegli do drzwi. Barbie wstał, poszedł za nimi, Julia też.

Odezwał się dzwon na smukłej wieżycy kościoła kongregacyjnego wzywający wiernych do modlitwy.

5

Junior Rennie czuł się doskonale. Głowa go prawie nie bolała, zjadł wyśmienite śniadanie. Był przekonany, że uda mu się zjeść także lunch. I bardzo dobrze. Ostatnio niewiele miał pożytku z jedzenia. Zwykle sam widok przyprawiał go o nudności. Tego ranka jednak było inaczej. Tosty i bekon, a co!

Jeśli to ma być apokalipsa, powinna była nastąpić wcześniej.

Każdy świeżo powołany na służbę policjant został partnerem starego wyjadacza. Junior patrolował ulice z Freddym Dentonem, i to też mu odpowiadało. Dentonowi stuknęła pięćdziesiątka, zaczął łysieć, ale poza tym był w świetnej formie - twardziel, do tego nieprzejednany. Choć i od tego zdarzały się wyjątki. W czasie gdy Junior grał w szkolnej drużynie futbolu, pełnił rolę przewodniczącego klubu wyszukującego sponsorów dla Wildcats. Chodziły wtedy słuchy, że nigdy żadnemu graczowi nie wlepił mandatu. Junior nie mógłby oczywiście przysiąc, że faktycznie dotyczyło to wszystkich członków drużyny, ale Frankiemu DeLessepsowi Freddy z pewnością odpuścił co najmniej raz, a sam Junior dwukrotnie usłyszał „tym razem ci daruję, ale bądź łaskaw jeździć wolniej”. Mógłby ewentualnie patrolować z Wethington, która miała wielkie balony i na pewno uważała, że w końcu czas dopuścić do siebie faceta. Ale jego chyba nie brała pod uwagę? A jemu wcale nie przeszkadzało lodowate spojrzenie, jakim go poczęstowała po zaprzysiężeniu, kiedy z Freddym wychodzili na ulicę.

Jak będziesz ze mną pogrywać, Jackie, to znajdę dla ciebie miejsce w spiżarni, pomyślał Junior.

Zaśmiał się głośno. Boże, jak dobrze czuć na twarzy ciepło słońca! Kiedy ostatnio był w tak fantastycznej formie?

Freddy zmierzył go badawczym spojrzeniem.

- Co cię cieszy, Junior?

- Nic takiego. Po prostu dobrze mi.

Ich zadanie, przynajmniej tego ranka, polegało na pieszym patrolowaniu Main Street. „Żeby zaakcentować naszą obecność”, powiedział Randolph. Najpierw jedną stroną, z powrotem drugą. Bardzo przyjemny obowiązek w pogodny październikowy dzień.

Właśnie mijali stację benzynową Mill Gas & Grocery, gdy z wnętrza dobiegły ich podniesione głosy. Jeden należał do Johnny'ego Carvera, kierownika i właściciela części interesu. Drugiego Junior nie rozpoznał, natomiast Freddy wymownie przewrócił oczami.

- Sam Verdreaux, Niechluj, niech mnie szlag. A jeszcze nie ma wpół do dziesiątej.

- Kto to jest Sam Verdreaux? - zapytał Junior.

Freddy tylko zacisnął usta, aż zmieniły się w białą linię. Junior znał ten wyraz twarzy z dawnych czasów. Oznaczał on „kurwa mać, odpadamy”, albo „kurwa mać, denna zagrywka”.

- Junior, najwyraźniej nie znasz naszej elity towarzyskiej. Zaraz zostaniesz wprowadzony.

Carvera słyszeli już całkiem wyraźnie.

- Wiem, że jest po dziewiątej, Sam, i widzę pieniądze, ale i tak nie mogę ci sprzedać wina. Ani teraz, rano, ani po południu, ani wieczorem. I jutro też raczej nie, chyba że się to wszystko poukłada. Tak zdecydował Randolph. On jest nowym komendantem.

- Fiut nie komendant! - odpowiedział drugi głos, tak bełkotliwy, że słowa zlały się w jedno: fiunikomend. - Pete Randolph może Duke'owi buty czyścić!

- Duke nie żyje, a Randolph zabronił sprzedaży alkoholu. Przykro mi, naprawdę.

- Tylko jedną flaszkę - skamlał Sam. Tlojednąłaskę. - No muszę mieć. I zapłacę. No daj. Przecież kupuję u ciebie od zawsze...

- Ożeż cholera... - Johnny, najwyraźniej zde gustowany własnym zachowaniem, odwrócił się i zerknął na długi regał zastawiony piwem i winem.

Akurat wtedy weszli do sklepu Junior i Freddy. Sprzedawca zapewne uznał, że jedna butelczyna jabcola to niewygórowana cena za pozbycie się starego pijaczyny, zwłaszcza że inni kupujący z rosnącym zainteresowaniem czekali na rozwój wypadków.

Ręcznie wypisana tabliczka na kasie głosiła wyraźnie ZAKAZ SPRZEDAŻY

ALKOHOLU DO ODWOŁANIA, ale mimo to sprzedawca mięczak sięgnął po flaszkę ze środkowej półki. Właśnie tam stały najtańsze wina, prawdziwe bełty. Junior, chociaż zatrudniony w policji od niespełna dwóch godzin, wiedział, że to zły pomysł. Jeśli Carver sprzeda pijaczynie alkohol, inni, mniej odrażający klienci będą się domagali tego samego przywileju.

Freddy Denton wyraźnie miał na tę sprawę identyczny pogląd.

- Nie sprzedawaj - odezwał się do Johnny'ego Carvera. Potem odwrócił się do Sama Verdreaux, który patrzył na niego przekrwionymi oczami, wzrokiem kreta uwiecznionego w płonącej norze. - Nie wiem, czy zostało ci dość szarych komórek, żebyś przeczytał tabliczkę, ale słyszałeś, co powiedział sprzedawca: dziś obowiązuje zakaz sprzedaży alkoholu. Więc wymiataj. Nie zatruwaj atmosfery.

- Panie władzo, tak się nie robi! - oznajmił Sam, prostując całe swoje metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Miał na sobie brudne płócienne spodnie, koszulkę z zespołem Led Zeppelin i stare mokasyny z przydeptanymi piętami. Jego włosy wyglądały, jakby ostatni raz przycinano je w czasach, gdy George W. Bush prowadził w rankingach. - Ja znam swoje prawa. To wolny kraj. Tak jest w konstytucji.

- Konstytucja została w Mill zawieszona - oznajmił Junior, nie mając pojęcia, że wygłasza prorocstwo. - Zbieraj się, stary, wypad.

Boże, jakie cudowne uczucie! W niecały dzień przemieścił się z dna, mułu i wodorostów do siódmego nieba!

- Ale...

Samowi zabrakło argumentów. Dolna warga mu drżała. Junior patrzył, zafascynowany i ogarnięty wstrętem, jak pijaczynie wilgotnieją oczy. Staruch wyciągnął przed siebie trzęsące się ręce. Pozostała mu jedna racja, lecz trudno ją było przedstawić w obecności gapiów. Zrobił to, bo musiał.

- Johnny, potrzebne mi to. Poważnie. Jedna butelka. Żebym się przestał trząść. Ostatnia. Więcej nie będę się naprzykrzał. Przysięgam na swoją matkę. Od razu idę do domu.

Domem Niechlują była chałupa stojąca na gołym podwórzu upstrzonym starymi częściami samochodów.

- Może faktycznie... - odezwał się Johnny Carver, spoglądając na Freddy'ego.

Policjant nie zwrócił na niego uwagi.

- Niechluj, będziesz pił do końca życia.

- Ty mnie tak nie nazywaj! - krzyknął Sam Verdreaux. Łzy przelały mu się przez powieki, spływały po twarzy.

- Masz rozpięte pod szyją, staruszkę - powiedział Junior. Kiedy Sam opuścił wzrok na spodnie, Junior stuknął palcem w jego sflaczały podbródek i pociągnął go za nos. Sztuczka z podstawówki, zawsze na czasie. Junior nawet powiedział to, co mówiło się w takiej chwili w podstawówce:

- Zapnij rozporek, bo dziś nie wtorek!

Freddy Denton parsknął śmiechem. Zawtórowało mu kilkoro klientów. Nawet Johnny Carver się uśmiechnął, choć nie sprawiał wrażenia, jakby to zrobił z ochotą.

- Śmigaj stąd, Niechluj - powiedział Freddy. - Ładny dzień dzisiaj, nie chcę cię wsadzać do mamra.

W Samie zaszła zmiana. Zapłonęła w nim wściekłość, której obawiali się przeciwnicy na boisku przed czterdziestu laty po kanadyjskiej stronie Merimachee. Drzenie ustąpiło, przynajmniej chwilowo. Oczy mu zapłonęły. Przyszpilił wzrokiem Juniora. Charknął z pogardą. Odezwał się głosem pewnym i mocnym:

- Pierdol się, gówniarzu. Taki z ciebie gliniarz jak zawodnik. W college'u nie dostałeś się nawet do rezerwy. - Przeniósł spojrzenie na Dentona. - A z ciebie przydupas radnego. W niedzielę po dziewiątej można sprzedawać alkohol. Tak jest od lat siedemdziesiątych, koniec, kropka. - Popatrzył na sprzedawcę.

Johnny spowaźniał, klienci ucichli. Jedna z kobiet przycisnęła rękę do ust.

- Mam pieniądze - powiedział Sam. - Żywią gotówkę. Więc biore, co chcę.

Ruszył za ladę, ale Junior chwycił go za kołnierz oraz za siedzenie spodni, obrócił i ciągle trzymając, pchnął do wyjścia.

- Co jest! - wrzasnął Sam, gdy stopy oderwały mu się od podłogi. - Łapy przy sobie! Zabieraj, gówniarzu...

Minęli drzwi i schody. Stary był lekki jak piórko. Tyle że pierdział. Strzelał jak karabin maszynowy.

Przy krawężniku stał z szeroko otwartymi ustami Gruby Norman obok swej furgonetki ozdobionej na bokach napisem MEBLE KUPNO I SPRZEDAŻ oraz NAJLEPSZE CENY ZA ANTYKI. Junior nie wahał się ani chwili. Cisnął złorzeczącym staruchem o furgonetkę. Cienki metal wygiął się z miękkim brzękiem.

Juniorowi nie przyszło do głowy, że mógł zabić cuchnącego skurczysyna, póki Niechluj nie padł na ziemię jak kamień, pół na chodnik, pół do rynsztoka. Okazało się jednak, że trzeba czegoś więcej niż łupnięcie w burtę furgonetki, żeby wykończyć Sama Verdreaux. Albo go uciszyć. Krzyknął głośno, a potem zwyczajnie się rozplakał. Dźwignął się na kolana. Twarz miał zabarwioną na czerwono krwią wypływającą spomiędzy włosów. Otarł ją,

popatrzył na swoją dłoń z niedowierzaniem, po czym wyciągnął przed siebie.

Ruch na chodniku zamarł tak kompletnie, jakby nagle wszyscy zaczęli grać w „raz, dwa, trzy, baba - jaga patrzy”. Przechodnie oczami wielkimi jak spodki gapili się na klęczącego mężczyznę z wyciągniętą ręką o palcach czerwonych od krwi.

- Pozwę to pieprzone miasto za brutalność policji! - zawył Sam. - I wygram!

Ze sklepu wyszedł Freddy. Stał obok Juniora.

- No już, mów - odezwał się młody Rennie.

- Co takiego?

- Że przesadziłem.

- Jak jasna cholera! Słyszałeś, co Pete powiedział: nie pakować, się w żadne gówno. I to nas obowiązuje, partnerze.

Partnerze!

Junior od razu poczuł się lepiej.

- Nie macie prawa mnie wyrzucać ze sklepu, jeśli mam pieniądze! - pieklił się Sam. - Nie wolno mnie bić! Jestem obywatelem amerykańskim! Spotkamy się w sądzie!

- Powodzenia - prychnął Freddy. - Sąd nadal znajduje się w Castle Rock, a o ile mi wiadomo, prowadząca tam droga jest zamknięta.

Podniósł starego na nogi. Samowi krew płynęła także z nosa, więc na jego koszuli zarysował się czerwony śliniak. Policjant sięgnął za plecy po plastikowe kajdanki i chwilę później zapiął je na nadgarstkach Sama.

Ja też muszę takie mieć, pomyślał Junior zachwycony.

Freddy potoczył wzrokiem po gapiach, tych na ulicy i tych tłoczących się w drzwiach stacji benzynowej.

- Ten człowiek jest aresztowany za zakłócanie spokoju publicznego, nieposłuszeństwo wobec funkcjonariusza policji oraz obrazę władzy - oznajmił donośnym głosem, który Junior pamiętał z czasów, gdy słyszał go na boisku. Dobiegający z linii bocznej, doprowadzał go do szalu. Teraz brzmiał fantastycznie.

Chyba dorośleję, pomyślał Junior.

- Jest aresztowany także za pogwałcenie nowego prawa - podjął Freddy - ustanowionego przez komendanta Randolpha, a zabraniającego sprzedaży alkoholu. Przyjrzyjcie się! - Potrząsnął więźniem; na ziemię spadły kropelki krwi z twarzy i posklejanych włosów Niechlują. - Mamy sytuację kryzysową, ale jest w mieście nowy komendant i on zadba o utrzymanie porządku. Trzeba się do tej myśli przyzwyczaić, polubić ją i zacząć wdrażać w życie. To dobra rada, więc lepiej jej posłuchać, a wtedy przejdziemy

przez to wszystko gładko. Jeśli ktoś będzie się rzucał... - Wskazał ręce Sama skute kajdankami.

Kilka osób nagrodziło jego przemowę oklaskami. Dla Juniora ten dźwięk był jak źródłana woda na środku pustyni. Tyle że kiedy policjant zaczął prowadzić krwawiącego aresztanta główną ulicą, młody Rennie poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Tak intensywne, że równie dobrze patrzący mógłby go chwycić za kark. Odwrócił się. Dale Barbara. Stał razem z tą od gazety i patrzył na niego bez zmrużenia. Barbara, który mu nieźle dokopał tamtej nocy na parkingu. Który przyłożył im wszystkim czterem, zanim w końcu zwykła przewaga liczebna przeważała szalę na ich stronę.

Junior czuł, że jego dobry nastrój się ulatnia podobnie jak ptaki wlatujące z gałęzi. Albo nietoperze z dzwonnicy.

- A ty co tu robisz? - zapytał Barbarę.

- Ja mam istotniejsze pytanie - odezwała się Julia Shumway z tym swoim nieodłącznym uśmiechem. - Co ty wyprawiasz? Jakim prawem znęcasz się nad człowiekiem cztery razy od ciebie mniejszym i trzy razy starszym?

Junior nie wiedział, co odpowiedzieć. Krew dudniła mu w uszach, zabarwiła policzki. Nagle zobaczył oczami wyobraźni tę sukę z gazety w towarzystwie Angie i Dodee, w spizarni McCainów. I Barbarę też. Może leżącego na suce, jakby się zabawiali.

Na pomoc przyszedł mu Freddy.

- Proszę pani, wszelkie pytania na temat działań policji należy kierować do komendanta - oznajmił spokojnie, z kamienną twarzą policjanta na służbie. - I dobrze jest pamiętać, że na razie jesteśmy zdani na siebie. A w takiej sytuacji czasem trzeba dać przykład.

- W takiej sytuacji czasem ludzie robią rzeczy, których później żałują - odparła Julia. - Zwykle kiedy zaczyna się śledztwo.

Freddy'emu opadły kąciki ust. Ruszył do komisariatu, ciągnąc za sobą Sama.

Junior nie spuścił wzroku z Barbiego.

- Uważaj, co mówisz - przestrzegł. - I co robisz. - Kciukiem dotknął nowiutkiej lśniącej odznaki. - Perkins nie żyje, a ja jestem przedstawicielem prawa.

- Źle wyglądasz - powiedział Barbie. - Jesteś chory? Juniorowi rozszerzyły się oczy. Po chwili odwrócił się i poszedł za partnerem. Dłonie miał zaciśnięte w pięści.

W krytycznych chwilach ludzie szukają pocieszenia w sprawach i zachowaniach zwykłych i dobrze znanych. W takim samym stopniu wierzący i niewierzący. Wierzący w

Chester's Mill dostali tego ranka to, czego oczekiwali: Piper Libby w kościele kongregacyjnym wlewała w ich serca nadzieję, a Lester Coggins w Odkupicielu przestrzegał przed ogniem piekielnym. Oba domy modlitwy pękały w szwach.

Piper wybrała wyjątek z ewangelii według świętego Jana: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie”. Powiedziała tłumnie zgromadzonym wiernym, że w trudnych czasach modlitwa jest szczególnie istotna, bo przynosi ukojenie i ma wielką moc, ale równie ważne jest wzajemne wsparcie, życzliwość i miłość.

- Bóg często doświadcza nas w sposób, którego nie rozumiemy - mówiła. - Czasami to choroba. Czasem nagła śmierć ukochanej osoby. - Ze szczerym współczuciem spojrzała na Brendę Perkins, ubraną na czarno, siedzącą z pochyloną głową i mocno zaciskającą złożone na kolanach dłonie. - A teraz jakaś niepojęta bariera, która odcięła nas od świata. Nie rozumiemy, co się dzieje, tak samo jak nie rozumiemy bólu i choroby albo niespodziewanej śmierci dobrego człowieka. Pytamy Boga: dlaczego? A odpowiedź znajdujemy w Starym Testamencie, otrzymał ją Hiob: „Gdzieś był, gdy zakładałem ziemię?”. A w Nowym Testamencie, w piśmie bardziej oświeconym, jest odpowiedź, jakiej udzielił swoim uczniom Jezus: „Miłujcie się wzajemnie, jak Ja was umiłowałem”. Tak musimy postępować dzisiaj i każdego następnego dnia, aż się to wszystko skończy. Musimy się wzajemnie kochać. Pomagać sobie nawzajem. I czekać, aż sprawdzian się skończy, jak wszystko, czym Bóg nas doświadcza.

Lester Coggins wybrał fragment z Księgi Liczb, a więc nieszczególnie optymistycznej części Pisma Świętego. „Gdybyście jednak nie wykonali tego, zgrzeszycie wobec Pana i wiedziecie, że grzech wasz dosięgnie was”.

Podobnie jak Piper zahaczył o koncepcję doświadczenia, wykorzystując kaznodziejski chwyt, zawsze niezawodny na wielkich zakrętach historii, lecz nacisk położył na rozprzestrzenianie się grzechu i na to, jak Bóg sobie radzi z tą zarazą, a z jego słów wynikało, że ściska ją swymi palcami jak irytujący pryszcz, aż wydusi z niego cały łój niczym świętą pastę do zębów.

A ponieważ w świetle rzeńskiego październikowego poranka pozostał równie mocno jak w ciemnościach minionej nocy przekonany o tym, że kara, jaka spadła na miasto, jest skutkiem jego grzechu, Lester był wyjątkowo elokwentny. W wielu oczach pojawiły się łzy, pod strop leciały okrzyki „Panie!” i jedno „amen” za drugim. W momentach natchnienia miewał Lester nowe wspaniałe pomysły nawet podczas kazania. Akurat jeden z nich się pojawił, więc został wygłoszony natychmiast, bez chwili zastanowienia. Nie wymagał

zastanowienia. Czasem myśl jest tak błyskotliwa, tak wielka i wspaniała, że musi być słuszna.

- Dziś po południu idę tam, gdzie droga sto dziewiętnaście dociera do tajemniczej bramy Boga - obwieścił.

- O tak, Jezu, tak! - krzyknęła któraś ze szlochających kobiet. Inni zaczęli klaskać, jeszcze inni podnosili w górę ręce, wyrażając poparcie.

- O godzinie drugiej. Pójdę modlić się na kolanach do Boga, by nas uwolnił od nieszczęścia.

Tym razem okrzyki „O tak!”, „Jezu Chryste!” i „Chwała Bogu!” zabrzmiały znacznie głośniej.

- Ale najpierw... - Lester uniósł dłoń, która w ciemnościach nocy chłostała jego nagie plecy. - Najpierw będę się modlił za grzech, który spowodował tyle smutku, bólu i nieszczęść! Jeśli będę sam, Bóg może mnie nie usłyszeć. Jeśli będzie ze mną dwóch, trzech albo nawet pięciu, Bóg nadal może mnie nie usłyszeć. Zawołajcie: amen!

Zawołali. Teraz już wszyscy unieśli ręce, kołysali się i podrygiwali opętani boską gorączką.

- Ale jeżeli wszyscy tam pójdziecie, jeśli utworzymy krąg modlitewny tam, na Bożej ziemi, pod Bożym błękitnym niebem... pod okiem żołnierzy, którzy twierdzą, że pilnują dzieła ręki Boskiej... Jeżeli pójdziemy tam wszyscy, jeżeli wszyscy będziemy się modlili razem, to może dotrzemy do sedna grzechu, wydostaniemy go na światło dzienne i zniszczymy, a wtedy Bóg Wszechmogący uczyni cud! Przyjdziecie? Padniecie ze mną na kolana?

Oczywiście przyjdą, padną na kolana. Ludzie uwielbiają spotykać się na modlitwie i w dobrych, i w złych czasach.

A jeszcze kiedy zespół zagrał „Whate'er My God Ordains is Right” w tonacji G i z Lesterem akompaniującym na gitarze, śpiew o mało nie podniósł dachu.

Jim Rennie też tam był, oczywiście. Właśnie Duży Jim organizował wzajemne podwożenie się samochodami.

7

DOŚĆ ZAGADEK!
UWOLNIĆ CHESTER'S MILL!
DEMONSTRUJEMY!

GDZIE? Na farmie Dinsmore'ów, na drodze 119 (tam gdzie WRAK CIĘŻARÓWKI i ŻOŁNIERZE
SIŁ SPECJALNYCH)

KIEDY? O 14.00 WCK (Wschodniego Czasu Kryzysowego)!

KTO? Ty i wszyscy przyjaciele, których przyprowadzisz!

CHCEMY PRZEKAZAĆ MEDIOM, CO SIĘ DZIEJE!

Chcemy wiedzieć, KTO NAM TO ZROBIŁ!

I DLACZEGO!

A przede wszystkim:

ŻĄDAMY WOLNOŚCI!!!

MIASTO JEST NASZE! Będziemy go bronić!

CHCEMY TU ŻYĆ NORMALNIE!!!

Dostępna pewna liczba transparentów, jednak przynieś swój (i pamiętaj, że wulgaryzmy odnoszą skutek odwrotny do zamierzonego)

WALCZMY Z WŁADZĄ!

OKO ZA OKO!

Komitet wolnego Chester's Mill

8

Gdybyście chcieli znaleźć w mieście człowieka biorącego powiedzenie Nietzschego „Co mnie nie zabije, to wzmocni” za swoje życiowe motto, byłby nim Romeo Burpee - mężczyzna energiczny, uczesany na Elvisa, zwykle w spiczastych botkach z gumami po bokach. Imię zawdzięczał romantycznej pół Amerykance, pół Francuzce, nazwisko odziedziczył po jankeskim twardzielu, na wskroś praktycznym i oszczędnym. Romeo, w dzieciństwie bezlitośnie wyśmiewany i niekiedy bity, wyrósł na najbogatszego mieszkańca Chester's Mill. Chociaż... nie. Najbogatszym człowiekiem w mieście był Duży Jim, tyle że duża część jego majątku była z konieczności ukryta. Rommie dopracował się pozycji właściciela największego w całym stanie i najbardziej dochodowego sklepu wielobranżowego niezwiązanego z żadną siecią. W latach osiemdziesiątych potencjalni wspólnicy ocenili, że chyba mu rozum odjęło, skoro startuje w interesie z tak fatalnym nazwiskiem na szyldzie. On odpowiedział wtedy, że jeśli nie zaszkodziło ono firmie ogrodniczej Burpee Seeds, jemu też krzywda się nie stanie. A teraz największym hitem lata były koszulki z nadrukiem NA JEDNEGO WPADNIJMY DO BURPEEGO. Właśnie tak, drodzy bankierzy pozbawieni wyobraźni!

Odniósł sukces w dużym stopniu dzięki temu, że potrafił wypatrzeć okazję i bezlitośnie ją wykorzystać. Tej niedzieli, około godziny dziesiątej, wkrótce po tym, jak obejrzał odprowadzanie Sama Niechluję do mamra, dostrzegł kolejną szansę. Tak to zwykle bywa, jak człowiek ma oczy otwarte.

Obserwował dzieciaki rozlepiające plakaty. Zrobione na komputerze, wyraźnie fachowa robota. Dzieciaki, w większości na rowerach, ale niektóre na deskorolkach, z wprawą plakatowały Main Street. Demonstracja na drodze sto dziewiętnaście. Ciekawe, czyj to pomysł.

Złapał któregoś smarkacza i o to zapytał.

- Pomysł jest mój - odpowiedział Joe McClatchey.

- Chrzaniisz.

- Nie chrzanię.

Rommie dał młodemu piątaka. Ignorując jego protesty, wetknął mu banknot głęboko do tylnej kieszeni. Należało mu się za informację. Rommie uważał, że na demonstracji zjawi się mnóstwo ludzi. Bo bardzo potrzebowali wyrazić strach i słuszny gniew, dać upust frustracji.

Jak tylko Joe Chudzielec ruszył swoją drogą, Romeo zaczął słyszeć rozmowy o wyznaczonym na godzinę czternastą spotkaniu modlitewnym organizowanym przez pastora Cogginsa. Ten sam czas, to samo miejsce.

Znak jak nic. A nad nim wielki neon: SZANSA NA ZYSK.

Romeo poszedł do swojego sklepu, gdzie ruch był całkiem nieszczególny. Ci, którzy zwykle do niego przychodzili, dziś wybrali się albo do Food City, albo na stację benzynową Mill Gas & Grocery.

A i tak stanowili mniejszość, bo większość tkwiła albo w kościele, albo przed telewizorami.

Za kasą siedział Toby Manning. Oglądał CNN na telewizorku zasilanym bateriami.

- Wyłącz ten bełkot i zamknij kasę.

- Pan mówi poważnie?

- Tak. Wyciągniesz z magazynu ten wielki namiot. Niech Lily ci pomoże.

- Ten na letnie wyprzedaje?

- Właśnie ten. Rozstawimy go na łące, tam gdzie się rozbił samolot Chucka Thompsona.

- Na polu Aldena Dinsmore'a? A jeśli będzie za to coś chciał?

- To mu zapłacimy. - Romeo kalkulował w myślach.

W jego sklepie można było kupić wszystko, łącznie z przecenionymi artykułami spożywczymi. Aktualnie miał na stanie, w przemysłowej zamrażarce na zapleczu, tysiąc paczek miniparówek w cieście. Kupił je bezpośrednio u producenta w Rhode Island. Firma już padła, rozłożyły ją jakieś mikroby, na szczęście nie E. coli. Zamierzał sprzedać kanapki

turystom oraz mieszkańcom Chester's Mill organizującym pikniki z okazji Czwartego Lipca. Niestety, towar nie poszedł. Wszystko przez nieszczęsną recesję. Tak czy inaczej Rommie nie potrafił wypuścić ich z garści, całkiem jak małpa wyciągająca ciasteczka ze słoika. A teraz zaświtała nadzieja...

Można je serwować nabite na patyczki do szaszłyków, tych też miał spory zapas. Trzeba je jakoś apetycznie nazwać... „Pychota na patyku”. Tak. Ach, no i jest jeszcze ze sto kartoników „Prawdziwej lemoniady”, a także oranżada w proszku.

Kolejny artykuł z przeceny, na którym już położył krzyżyk.

- Spakujemy też wszystkie butle Blue Rhino z gazem.

Umysł właściciela pracował jak kalkulator na najwyższych obrotach, a to Romeo lubił, bez dwóch zdań. Toby wreszcie nabrał życia.

- Co to ma być, proszę pana?

Rommie zajął się inwentaryzowaniem towaru, który już spisał na straty. Te chałowe wiatraczki... Sztuczne ognie, które zostały po Czwartym Lipca... Zleżałe cukierki zostawione na Halloween...

- Toby - powiedział - urządzimy największy piknik, jaki to miasto widziało. Rusz się. Mamy kupę roboty.

9

Ryży robił obchód z doktorem Haskellem, gdy zabrzączało mu w kieszeni walkie - talkie, które wziął, ustępując Lindzie.

Głos był cichy, ale wyraźny.

- Jednak muszę iść. Randolph mówi, że dzisiaj po południu pół miasta będzie przy barierze na sto dziewiętnastej. Jedni mają się modlić, inni demonstrować. Romeo Burpee rozbija namiot i będzie sprzedawał hot dogi, więc wieczorem możesz się spodziewać fali przypadków żołądkowych.

Jęknął.

- Dlatego muszę w końcu zostawić dziewczynki z Martą. - Linda była wyraźnie niespokojna. Najchętniej by się rozdziwiła. - Powiem jej, co się dzieje z Jannie.

- Rozumiem.

Wiedział, że jeśli ją poprosi, by została w domu, zostanie. A on osiągnie jedynie tyle, że będzie zmartwiona jeszcze bardziej, choć zdążyła się nieco uspokoić. A poza tym, jeśli rzeczywiście na drodze zbierze się tłum, faktycznie będzie tam potrzebna.

- Dzięki, że rozumiesz.

- Tylko psa też koniecznie daj do Marty. Pamiętasz, co powiedział Haskell.

Doktor Ron Haskell - inaczej Czarnoksiężnik z krainy Oz - tego ranka stał się dla rodziny Everettów bardzo ważny. Dokładnie rzecz biorąc, stał się bardzo ważny wraz z początkiem kryzysu. Ryży zaczął go doceniać i szanować. Widział podkrążone oczy, opadnięte kąciki ust i wiedział, że Haskell płaci niemałą cenę za pomaganie ludziom. Czarnoksiężnik był za stary na sytuacje kryzysowe. Bardziej do niego pasowało podrzemywanie na leżance na drugim piętrze szpitala. Niestety, poza Ginny Tomlinson oraz Twitchem tylko Ryży i Czarnoksiężnik pełnili wartość. Fatalnie się złożyło, że kłosz powstał akurat w piękne weekendowe przedpołudnie, gdy każdy, kto tylko mógł, wyjechał z miasta.

Haskell, choć dobiegał siedemdziesiątki, siedział w szpitalu do dwudziestej trzeciej. Dopiero wtedy udało się Ryżemu dosłownie siłą wyrzucić go za drzwi. A i tak wrócił o siódmej, akurat kiedy Ryży i Linda przyjechali z córkami. Oraz z psem, który szybko przystosował się do nowego otoczenia. Judy i Janelle szły po obu stronach wielkiego goldena, dotykając suki przez cały czas, czerpiąc z tego dotyku otuchę. Janelle robiła wrażenie wystraszonej na śmierć.

- Co z psem? - spytał Haskell, a kiedy Ryży wszystko mu opowiedział, pokiwał głową. Następnie zwrócił się do Janelle: - Chodź, mała, teraz cię zbadamy.

- Będzie bolało? - spytała zalekniona.

- Nie. Zajrzę ci w oczy, a potem dostaniesz cukierek.

Po badaniu dorośli zostawili dziewczynki oraz psa w gabinecie i wyszli na korytarz. Haskell był przygarbiony. Wydawało się, że posiwiiał przez noc.

- Ryży, jaką stawiasz diagnozę?

- *Petit mal* Strzelałbym, że z podniecenia i strachu, przez to wszystko, co się dzieje od wczoraj, lecz Audi popiskuje już kilka miesięcy.

- Racja. Zaczniemy od etosuksymidu, tak? - Tak.

Ryży był poruszony, że stary lekarz pyta go o zdanie. Zaczynał żałować paru złościwości, które mu się wymsknęły pod jego adresem, oraz kilku przykrych myśli.

- I niech pies będzie z małą, dobrze?

- Oczywiście.

- Ron - odezwała się Linda - czy ona wyzdrowieje?

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że pójdzie do pracy. Zamierzała cały dzień spędzić z córkami na spokojnej zabawie.

- Ależ ona jest zdrowa - odparł Haskell. - Napady *petit mal* u dzieci to nic szczególnego. Większość przechodzi jeden, dwa ataki drgawek. Niektóre więcej, przez

dłuższy czas, potem wszystko wraca do normy.

Linda wyglądała na przekonaną. Wyraźnie jej ulżyło. Tymczasem Ryży miał nadzieję, że się nigdy nie dowie tego, czego Haskell jej nie powiedział: że niektóre dzieci, obdarzone przez los mniejszym fartem, nie znajdują wyjścia z neurologicznego gąszczu, choroba się pogłębia, przeradza w *grand mal*. A napady drgawek powodowane przez *grand mal* mogły doprowadzić do trwałych uszkodzeń. Mogły zabić.

Tymczasem, po zakończeniu porannego obchodu, krótkiego, bo pacjentów było zaledwie sześciu, a wśród nich nowo upieczona mama po porodzie bez komplikacji, akurat kiedy Ryży zaczynał mieć nadzieję na kubek kawy, zanim przeniesie się do ośrodka zdrowia, przyszła wiadomość od Lindy.

- Marta się zgadza wziąć też Audi - powiedziała Linda.

- Świetnie. W dzień będziesz miała przy sobie służbowe walkie - talkie?

- Jasne.

- To może oddaj nasz aparat Marcie? Ustawcie częstotliwość na kanale komercyjnym. Gdyby coś było nie tak z Janelle, zjawię się jak najszybciej.

- Dobrze. Dzięki, kochanie. Jest jakaś szansa, że się urwiesz z pracy dziś po południu?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Ryży dostrzegł, że Dougie Twitchell zbliża się swym zwykłym luzackim krokiem, za ucho ma zatknięty papieros, ale na jego twarzy maluje się troska.

- Może mi się uda zniknąć na godzinę. Niczego nie obiecuję.

- Rozumiem. Po prostu chciałabym cię zobaczyć.

- Ja ciebie też. Uważaj tam na siebie. I mów ludziom, żeby nie jedli hot dogów.

Burpee pewnie przechowywał je w zamrażarce jakieś tysiąc lat.

- To raczej będą steki z mastodonta. - Linda się zaśmiała. - Pa, kochanie. Będę się za tobą rozglądała.

Ryży wetknął walkie - talkie do kieszeni białego fartucha i odwrócił się do Twitcha.

- No mów. I wyjmij papierosa zza ucha, w szpitalu jesteś. Twitch posłusznie wyłuskał porcję nikotyny z aktualnego miejsca składowania, chwilę patrzył na nią bez słowa.

- Właśnie miałem sobie zapalić - powiedział wreszcie. - Przy magazynie.

- Kiepski pomysł. Przecież tam są zapasy propanu.

- No właśnie w tym rzecz. Nic tam nie ma.

- Bajdurzysz, stary. Taki pojemnik jest wielki jak słoń. Dziesięć tysięcy litrów? A może i piętnaście?

- Co mi usiłujesz powiedzieć? Że nie zajrzałem za drzwi? Ryży potarł skronie.

- Jeżeli zlikwidowanie pola siłowego zajmie tym... specjalistom od takich spraw więcej niż trzy albo cztery dni, będziemy potrzebowali mnóstwo gazu.

- Dla odmiany powiedz mi coś, czego nie wiem - zachnął się Twitch. - Według karty inwentaryzacyjnej wiszącej na drzwiach powinno tam być siedem ślicznych zbiorniczków. A są tylko dwa. - Wsadził papierosa do kieszeni fartucha. - Zajrzałem też do drugiego magazynu. Na wypadek gdyby ktoś po prostu przestawił pojemniki.

- Po jakie лихо ktoś miałby to robić?

- Pojęcia bladego, o Wielki Nieomylny. Tak czy inaczej w tym drugim magazynie są rzeczy niezbędne każdemu szpitalowi: narzędzia i inny badziew do pielęgnacji terenów zielonych. No i wszystkie narzędzia stoją rządkiem, jak powinny, natomiast po nawozie ani śladu.

Ryży w nosie miał nawóz. Natomiast kwestia gazu to zupełnie inna sprawa.

- No trudno. Jak nas przyciśnie, podbierzemy z zapasów miejskich.

- Będziesz musiał stoczyć walkę z Renniem.

- Nie przypuszczam. Nasz szpital może być dla niego jedyną opcją na utrzymanie pikawki w przyzwoitym stanie. - Umilkł na chwilę. - Jak sądzisz, uda mi się dziś po południu wyrwać na godzinkę?

- Pytaj Czarnoksiężnika. Wygląda na to, że teraz on tu rządzi. - A gdzie jest?

- Śpi w kanciapie. Chrapie tak, że ściany się trzęsą. Będziesz go budzić?

- Nie - zdecydował Ryży natychmiast. - Niech śpi. A tak przy okazji, ja już nie będę go nazywał Czarnoksiężnikiem. Widzę, ile się naharował, odkąd zostaliśmy odcięci, to sobie myślę, że należy mu się trochę szacunku.

- Ach, *sensei!* Osiągnąłeś wyższy poziom oświecenia! - Spadaj, buraku.

10

Przyjrzyjmy się. Popatrzmy uważnie.

Jest piękny pogodny jesienny dzień w Chester's Mill, godzina czternasta czterdzieści. Gdyby media nie były trzymane na dystans, miałyby do dyspozycji fotograficzny raj - nie tylko z powodu drzew wystrojonych w płomienne barwy. Uwięzieni mieszkańcy miasta masowo wylegli na pola Aldena Dinsmore'a. Farmer zawarł umowę użyczenia z Burpeem; dostał sześćset dolarów. Obaj są zadowoleni. Alden, bo wytargował trzykrotną wartość początkowej oferty, Romeo, bo gdyby został postawiony pod ścianą, zapłaciliby i tysiąc.

Od protestujących i wyznawców Chrystusa Odkupiciela Alden Dinsmore nie dostał złamanego grosza. Co nie oznacza, że i tak na nich nie zarobił. Nie był może największym

bystrzakiem na świecie, ale głupkiem też nie. Skoro trafiła się okazja, wyznaczył na swojej ziemi, tuż na północ od miejsca, gdzie poprzedniego dnia spadły szczątki samolotu Chucka Thompsona, ogromny parking - i postawił tam żonę oraz starszego syna. Pamiętamy Olliego, prawda? A z nimi jeszcze swojego najętego człowieka, Manuela Ortegę, jankesa bez zielonej karty, który też świetnie sobie radzi. Alden życzy sobie pięć baksów za samochód, co dla niego, mleczarza w kraciastej koszuli, który od dwóch lat ledwo wiąże koniec z końcem, ratując swoją ziemię przed bankiem, stanowi fortunę. Ten i ów narzeka na wysokość opłaty, ale nie jest ich wielu. Więcej płaci się za parking w czasie festynu we Fryeburgu, a jeśli ktoś nie ma ochoty parkować na poboczu drogi, która już jest po obu stronach gęsto obstawiona wozami tych, którzy zjawili się wcześniej, a potem maszerować kilometr na miejsce zbiórki, w zasadzie nie ma wyboru.

Przyjrzyjmy się miejscu akcji. Niesamowity widok! Cyrk na trzech arenach, a we wszystkich rolach gwiazdorskiej obsady - zwykli mieszkańcy Mill. Pojawia się Barbie w towarzystwie Rose Twitchell i Anse'a Wheelera. Restauracja jest ponownie zamknięta, zostanie otwarta w porze kolacji, lecz serwowane będą tylko kanapki na zimno, żadnych dań z grilla. Wszyscy troje rozglądają się dookoła w milczeniu. Julia Shumway i Pete Freeman robią zdjęcia. Julia przerywa pracę na chwilę, by rzucić Barbiemu uśmiech - pociągający, choć odrobinę introwertyczny.

- Niezłe przedstawienie, co?

Barbie odpowiada z szerokim uśmiechem:

- Ta jes, psze pani.

Na pierwszej arenie mamy mieszkańców miasta, którzy przybyli tu na wezwanie przekazane za pośrednictwem plakatów Joego Chudzielca i jego znajomych. Protest odbywa się zgodnie z założeniami, zjawilo się prawie dwieście osób, więc sześćdziesiąt transparentów przygotowanych przez dzieciaki - a wśród nich najpopularniejszy: WYPUŚCIĆ NAS, DO CHOLERY! - rozeszło się w mgnieniu oka. Szczęściem wielu uczestników demonstracji przyniosło własne. Joemu najbardziej podobają się więzienne kraty na mapie Mill. Lissa Jamieson nie tylko trzyma ten afisz, ale na dodatek potrząsa nim groźnie, Jest tu też Jack Evans, blade i ponury. Niesie kolaż zdjęć kobiety, która wczoraj się wykrwawiła. Zdjęcia tworzą napis krzyczący: KTO ZABIŁ MOJĄ ŻONĘ?! Joe Chudzielec szczerze mu współczuje, ale... jaka fantastyczna plansza! Gdyby media mogły ją zobaczyć, pewnie by się kolektywnie posiwały z radości.

Joe ustawił protestujących w duży krąg obracający się tuż przed kloszem, którego granicę po stronie Chester's Mill zaznacza rząd martwych ptaków. Te od strony Motton

zostały usunięte przez służby wojskowe. Chodzenie po okręgu umożliwia każdemu z ludzi Joego - tak trzynastolatek nazywa ich w myślach - wymachiwanie transparentem w stronę wartowników, którzy niewzruszenie stoją odwróceny do miasta plecami, od czego można dostać szału. Joe wydrukował też „płachty z hasłami”, opracowanymi z uwielbianą przez Benny'ego Drake'a Norrie Calvert, która nie tylko zasuwa na desce z prędkością światła, ale też rymuje. Jej hasła są nieskomplikowane, lecz trafiają do wyobraźni. Na przykład: „He, he, he! Hi, hi, hi! Chester's Mill musi wolne być!”. Potem szło: „Zrobiliście coś złego, przyznajcie się do tego”, następnie jeszcze parę innych, no i w końcu slogan, który Joe bardzo niechętnie, ale jednak odrzucił: „Cholera, dawać tu media, bo będzie, q.r.a, tragedia!”.

- Musimy przestrzegać poprawności politycznej - uznał.

A teraz się zastanawia, czy Norrie Calvert nie jest przypadkiem za dziecinna, żeby się całować. I czy mogliby się pocałować z języczkiem. Nigdy dotąd nie całował się z dziewczyną, ale skoro i tak mieli wszyscy umrzeć jak robale uwięzione w plastikowym pojemniku, to pewnie powinien pocałować dziewczynę, póki jeszcze może.

Na drugiej arenie znajduje się krąg modlitewny pastora Cogginsa. Ci ludzie naprawdę są pod opieką opatrności. Odbywa się tutaj wspaniały pokaz kościelnej manifestacji uczuć, do chóru z Kościoła Chrystusa Odkupiciela przyłączyło się pewnie z dziesięć osób z Pierwszego Kościoła Kongregacyjnego. Zaśpiewali razem „A Mighty Fortress Is Our God”, a wtedy wielu innych mieszkańców, nienależących do żadnego z kościołów, ale znających słowa, zaśpiewało z nimi. Ich głosy wznoszą się ku bezchmurnemu niebu, wspierane przenikliwymi napomnieniami Lestera i okrzykami kręgu modlitewnego - „amen” oraz „alleluja” - akcentującymi melodię, nie zawsze z nią w harmonii... tak, stwierdzenie, że zawsze w harmonii, byłoby pewną przesadą. Krąg modlitewny stopniowo rośnie, kolejni mieszkańcy miasta padają na kolana, chwilowo odkładają na bok transparenty i tablice, żeby wzniesć złożone dłonie w błagalnej prośbie. Żołnierze odwrócili się do nich plecami, ale Bóg może nie.

Środkowa arena jest największa i najbardziej rzuca się w oczy. Tam Romeo Burpee rozbił swój namiot używany w czasie letnich wyprzedaży, w odpowiedniej odległości od klosza i jakieś sześćdziesiąt metrów od kręgu modlitewnego, planując swoje położenie na podstawie leciutkiego powiewu wiatru. Chce mieć pewność, że dym unoszący się z rzędu grillów turystycznych dosięgnie zarówno rozmodlonych, jak i protestujących. Jedynym jego ukłonem w stronę religijnych aspektów tego popołudnia jest polecenie Toby'emu Manningowi, by wyłączył przenośny odtwarzacz, z którego dudniła piosenka Jamesa McMurtry'ego o życiu w niewielkim miasteczku. Nie pasowała do „How Great Thou Art”. I

do „Won't You Come to Jesus”. Interesy idą świetnie, a będą szły jeszcze lepiej. Tego Romeo jest całkowicie pewien, Miniparówki, rozmrażające się w czasie opiekania, może temu czy owemu zaszkodzą na żołądek, ale pachną po prostu bosko. Przywodzą na myśl raczej piknik na łonie przyrody niż występy w więzieniu. Dzieci biegają, unosząc w górę wiatraczki, zapalają pozostałe po Czwartym Lipca fajerwerki, przez co pojawia się niebezpieczeństwo zaproszenia ognia w trawie Dinsmore'a. Wszędzie poniewierają się puste kubeczki papierowe z resztkami niesmacznych napojów cytrusowych lub naprędce parzonej, jeszcze gorszej w smaku kawy. Później Romeo poleci Toby'emu Manningowi, żeby zapłacił jakiemuś dzieciakowi, może synowi Dinsmore'a, dziesięć baksów za zebranie śmieci. Relacje społeczne zawsze są ważne. Teraz jednak Romeo jest całkowicie skupiony na swojej prowizorycznej kasie, kartonie, w którym niegdyś znajdował się papier toaletowy. Wkłada do niego zielone papierki, a wyjmuje srebrne monety. Właśnie tak wyglądają w Ameryce interesy, kochanie ty moje. Bierze cztery dolce za parówkę i wszyscy grzecznie płacą. Spodziewa się zyskać do zachodu słońca ze trzy tysiące, a kto wie, może i więcej.

O, a tam? Ryży Everett! Zdołał się jednak urwać z pracy! I bardzo dobrze. Trochę mu szkoda, że nie zabrał po drodze dziewczynkę, na pewno byłyby zachwycone, no i mniej by się bały, gdyby zobaczyły, że tyle osób tak świetnie się bawi, jednak nie chciał fundować Jannie zbyt silnych wrażeń.

Zauważa Lindę w tym samym czasie, gdy ona dostrzega jego i zaczyna gwałtownie wymachiwać rękami, nawet podskakuje. Linda ma włosy splecione w warkocze, jest uczesana na nieustraszoną policjantkę. Prawie zawsze się tak czesze do pracy. Wygląda w tym uczesaniu jak cheerleaderka z gimnazjum. Stoi z siostrą Twitcha, Rose, i z tym młodym człowiekiem, który gotuje w restauracji. Ryży jest zdziwiony, sądził, że Barbara opuścił miasto. Zadarł z Dużym Jimem. Podobno wdał się w jakąś bójkę w barze, tak Ryży słyszał, ale akurat nie miał dyżuru, kiedy zjawili się uczestnicy bijatyki, żeby ich połatać. Jak dla niego - bardzo dobrze. Już się dość nałatał klientów Karczmy Dippera.

Przytula żonę, całuje ją w usta, potem cmoka Rose w policzek. Potrząsa dłonią kucharza, zostają sobie przedstawieni.

- Ile hot dogów! - jęczy. - O rany!

- Szykuj baseny, doktorze - mówi Barbie i wszyscy się śmieją. Dziwnie tak się śmiać, biorąc pod uwagę okoliczności, ale nie im jednym jest wesoło. Na litość boską, niby dlaczego nie? Jak człowiek nie potrafi się śmiać z nieszczęścia, śmiać i trochę zabawić, to albo jest martwy, albo mu życie obrzydło.

- Ale impreza! - mówi Rose, nieświadoma, że wkrótce impreza się skończy.

Leci do nich talerz frisbee. Rose wychwytuje go w powietrzu i odsyła do Benny'ego Drake'a, który wyskakuje po zabawkę wysoko w górę, po czym skręca się i rzuca ją do Norrie Calvert. Dziewczyna łapie krążek za plecami... efekciara! Kółko modlitewne się modli. Połączone chóry wreszcie naprawdę się zjednoczyły i wspólnie zaintonowały prawdziwy, nieprzemijający hit, „Onward, Christian Soldiers”. Dziewczynka w wieku Judy mija Ryżego w podskokach, spódnica trzepoce jej wokół krągłych kolanek. W zaciśniętej ręczce mała trzyma fajerwerk, w drugiej kubeczek z resztką paskudnej lemoniady. Protestujący krążą po spirali, skandując „He, he, he! Hi, hi, hi! Chester's Mill musi wolne być!”. Nad ich głowami puchate obłoki o cienistych spodach płyną z północy, od Motton... po czym nad linią wojska rozdzielają się, omijając niewidoczną kopułę. Niebo nad zebranymi jest pozbawione jednej chmurki, błękit bez skazy. Są tacy na polu Dinsmore'a, którzy przyglądają się chmurom i zastanawiają nad deszczem w Chester's Mill, ale nikt nie mówi o tym głośno.

- Ciekaw jestem, czy za tydzień też będziemy mieli ochotę na zabawę - mówi Barbie.

Linda Everett patrzy na niego i nie jest to spojrzenie przyjazne.

- Przecież na pewno za tydzień...

- Patrzcie! - przerywa jej Rose. - Dzieciak jedzie o wiele za szybko! Nienawidzę tych quadów!

Wszyscy patrzą na niewielki pojazd z ogromnymi kulistymi oponami. Jedzie po skosie przez pole. Niezupełnie w kierunku zebranych, ale na pewno w stronę klosza. Stanowczo za szybko. Dwóch żołnierzy słyszy narastający warkot silnika i w końcu się obraca.

- Jezu Chryste, nie daj, żeby się dzieciak rozbił - mamrocze Linda Everett.

Rory Dinsmore się nie rozbił. Chociaż tak byłoby dla niego lepiej.

11

Myśl jest jak wirus przeziębienia: wcześniej czy później zawsze kogoś dopadnie. Kolegium Szefów Połączonych Sztabów miało to już za sobą. Wracala kilkakrotnie podczas spotkań, w których brał udział były szef Barbiego, pułkownik James O. Cox. Wcześniej czy później ktoś w Mill też musiał na nią wpaść, i trudno się dziwić, że tym kimś okazał się Rory Dinsmore, który był stanowczo najlepiej wyposażonym w szare komórki członkiem rodziny Dinsmore'ów. „Nie wiem, po kim on to ma” - powiedziała Shelley Dinsmore, kiedy Rory przyniósł do domu pierwsze świadectwo z szóstkami od góry do dołu. A powiedziała to raczej z obawą niż z dumą.

Gdyby chłopak mieszkał w mieście, gdyby miał komputer - a nie miał - z pewnością byłby ziomalem Chudzielca McClatcheya.

Rory dostał zakaz uczestniczenia w festynie połączonym ze spotkaniem modlitewnym oraz demonstracją, więc zamiast zajadać dziwaczne hot dogi, a także pomagać w przeprowadzaniu operacji parkowania samochodów, musiał zostać w domu i na polecenie ojca nakarmić krowy. Potem należało jeszcze natłuścić im wymiona specyfikiem o nazwie Bag Balm, czego nienawidził z całego serca.

- A jak już wszystkie będą się świeciły jak psu jaja - powiedział ojciec - posprzątasz obory i rozrzuć słomę.

Dostał karę za to, że poprzedniego dnia podszedł do kopuły, chociaż ojciec tego wyraźnie zabronił. Mało tego, nawet w nią zastukał. Odwołanie się do matki, które często przynosiło pożądany efekt, tym razem nie podziałało.

- Mogłeś się zabić - powiedziała Shelley. - Na dodatek ojciec mówi, że się wtrącałeś do rozmowy.

- Tylko im powiedziałem, jak ma na imię ten pan z restauracji! - zaprotestował Rory, za co znów dostał od ojca po głowie.

Ollie przyglądał się temu w milczeniu i z zadowoleniem.

- Za cwany jesteś, synu - ocenił Alden. - W końcu sobie zaszkodzisz.

Ollie, za plecami ojca, wywalił język na całą długość. Matka to zobaczyła i z kolei ona jemu dała po głowie. Mimo wszystko nie zabroniła mu korzystania z przyjemności gwarantowanych w czasie naprędce urządzonego jarmarku.

- I nie zbliżaj się do gokarta - przestrzegł Alden, wskazując quada zaparkowanego w cieniu między dwiema oborami. - Słomę masz podłożyć krowom, przyda ci się trochę ruchu.

Wkrótce potem ci mniej lotni z rodziny Dinsmore'ów wyszli razem i ruszyli przez pole w stronę namiotu Romea. Bystrzejszy został z widłami i pojemnikiem maści do wymion wielkim jak wiadro.

Zabrał się do roboty w ponurym nastroju, lecz pracował solidnie. Tak to już było, żywy umysł niekiedy wpędzał go w kłopoty, jednak chłopak był dobrym synem i myśl, żeby się uchylić od kary, nawet nie przeszła mu przez głowę. Z początku właściwie wcale nie myślał. Miał w głowie błogosławioną pustkę, która niekiedy okazuje się najlepszą pożywką, żyzną glebą dla błyskotliwych idei, zarówno bardzo dobrych, jak i wyjątkowo złych, niekiedy od razu w pełni dojrzałych.

Gdy Rory sprzątał pierwszą oborę (znieawidzone smarowanie wymion zostawił na koniec), usłyszał charakterystyczny dźwięk strzelających fajerwerków. Brzmiało to trochę jak wystrzały z broni palnej. Wtedy pomyślał o karabinie kalibru .30 stojącym w szafie. Chłopcom pozwalano go dotykać wyłącznie pod ścisłym nadzorem dorosłych. W sezonie

polowań strzelano z niego do celu. Łatwo było się do niego dostać, a amunicja znajdowała się półkę wyżej.

Wtedy pojawił się pomysł.

Przestrzelę to coś, może się rozpadnie, pomyślał Rory.

Pamiętał, że kiedy dotknął niewidzialnej bariery, wydawała się pod dłonią niby powłoka balonu.

Rzucił miotłę. Jak wielu bystrych ludzi, a zwłaszcza pomysłowe dzieci, lepszy był w wymyślaniu niż myśleniu. Gdyby na taki pomysł wpadł jego starszy brat, co swoją drogą mało prawdopodobne, jego proces myślenia wyglądałby tak:

Skoro samolot się przez to nie przebił i rozbiła się o to ciężarówka pełna drewna, jakie są szanse, że przebije to coś kula z karabinu?

Mógłby też ewentualnie pomyśleć:

I tak mam już przerabane za to, że byłem nieposłuszny, a to jest nieposuszeństwo do dziewiątej potęgi.

Chociaż... nie. Ollie by pewnie tak nie pomyślał. Jego zdolności matematyczne ograniczały się do absolutnych podstaw mnożenia.

Tymczasem Rory już uczył się algebry na poziomie college'u i szło mu świetnie. Gdyby go ktoś zapytał, jakim sposobem pocisk z karabinu ma wykonać zadanie, któremu nie sprostał samolot ani ciężarówka, odpowiedziałby, że siła wystrzału winchestera elite XP3 jest większa niż uderzenia samolotu i ciężarówki. Co można udowodnić. Po pierwsze, szybkość będzie znacznie większa. Po drugie, cała siła uderzenia będzie skupiona na samym czubku dwunastogramowego pocisku. Był pewien, że to zadziała. Pomysł miał niepodważalny wdzięk oraz uzasadnienie w algebrze.

Chłopak już widział swoją uśmiechniętą twarz, oczywiście pełną skromności, na pierwszej stronie „USA Today”, już się przygotowywał do wywiadu w „Nocnych informacjach z Brianem Williamsem”, już siedział na wyłożonej kwiatami platformie w czasie parady urządzonej na jego cześć, otoczonego dziewczętami w typie królowej balu maturalnego, ubranymi w sukienki bez ramiączek, a może nawet w kostiumy kąpielowe. On pozdrawia tłum uniesioną dłonią, z nieba sypie się deszcz konfetti.

Chłopiec, który uratował Chester's Mill.

Chwycił karabin, wszedł na stołek ze schodkami i półkę wyżej wyszukał pudełko XP3. Załadował dwa naboje - drugi na wszelki wypadek - po czym wybiegł z domu z karabinem nad głową jak zwycięski *rebelista*. Oddajmy mu jednak sprawiedliwość, zaciągnął bezpiecznik, nawet o tym nie myśląc. Kluczyki do quada firmy Yamaha, którym zabroniono

mu jeździć, wisiały na tablicy w oborze. Rory wsadził przywieszkę od kluczy między zęby, przymocował karabin na tyle quada grubymi gumami. Zastanawiał się, czy będzie coś słycać, kiedy klosz pęknie. Pewnie trzeba było wziąć strzeleckie zatyczki do uszu, leżały w szafie na najwyższej półce, ale nie wróci po nie, to nie do pomyslenia, musiał działać!

Tak to jest z wielkimi ideami.

Poprowadził quada wokół drugiej obory, zatrzymał się tylko, by zerknąć na tłum. Chociaż był podekscytowany, zostało mu tyle rozsądku, by nie jechać tam, gdzie kopuła spadła na szosę i gdzie smugi po wczorajszej kolizji ciągle wisiały w powietrzu jak brud na szybie. Tam mógłby go ktoś powstrzymać, a wtedy, zamiast być chłopcem, który uratował Chester's Mill, zostanie chłopcem, który przez rok będzie natłuszczał krowie wymiona. Na dodatek przez pierwszy tydzień będzie to robił w przysiadzie, bo na obolałym tyłku nie da rady usiąść. A co najgorsze, jego światłą ideę wprowadziłby w życie ktoś inny.

Dlatego pojechał na ukos, żeby się znaleźć przy kloszu jakieś pięćset metrów od namiotu. Któredy przebiegał klosz, widać było wyraźnie, choćby po martwych ptakach. Zobaczył, jak żołnierze stojący na straży odwracają się, słysząc ryk silnika. Docierały do niego alarmujące okrzyki modlących się, demonstrujących i świętujących. Hymn powoli zamierał.

Co najgorsze, widział ojca wymachującego brudną czapkę z logo Deere. Nawet go słyszał.

- Rory, cholera jasna, stóóój!!!

Tymczasem Rory wpakował się w całą historię już stanowczo za daleko, żeby się teraz zatrzymać. A już poza wszystkim innym, niezależnie od tego, czy był dobrym synem, czy nie, wcale nie chciał się zatrzymać.

Koło trafiło na polny kamień, chłopaka wyrzuciło z siedzenia. Przez chwilę frunął nad pojazdem, trzymając kierownicę. Śmiał się jak szalony. Sam też miał na głowie czapkę Deere, ale nawet nie pamiętał, kiedy ją obrócił daszkiem do tyłu. Quad zachybotał się i jednak postanowił stanąć na czterech kołach. Jeden z żołnierzy też krzykiem chciał Rory'ego zatrzymać.

W końcu chłopak stanął, jak najbardziej. Zarył dęba w miejscu, wobec czego omal nie wyleciał nad kierownicą. Zapomniał przerzucić skrzynię na luz i quad jeszcze wyrwał do przodu, uderzając w kopułę, zanim w końcu znieruchomiał. Rory usłyszał zgrzyt metalu i brzęk tłukącego się reflektora.

Żołnierze uskoczyli z drogi quada, bo oko widzące rozpędzony obiekt uruchamia instynkt samozachowawczy. W tej sytuacji Rory już nie musiał im mówić, żeby się usunęli z

drogi pocisku. Chciał zostać bohaterem, natomiast nie zamierzał nikogo zabić.

Musiał się śpieszyć. Najbliżej mieli do niego ludzie z parkingu i zgromadzeni wokół wielkiego namiotu, a biegli, jakby ich sto diabłów goniło. Między nimi byli ojciec i brat, obaj wrzeszczeli, żeby nic nie robił.

Wziął karabin, oparł kolbę na barku i wymierzył w niewidzialną barierę jakieś półtora metra nad trzema martwymi wróblami.

- Mały, nie strzelaj, nie strzelaj! - krzyknął jeden z żołnierzy. Rory nie zwracał na niego uwagi, bo wiedział, że jego pomysł jest doskonały. Ludzie z parkingu i spod namiotu byli już dość blisko. Ktoś... Lester Coggins, który biegał dużo lepiej, niż grał na gitarze, krzyknął:

- Na miłość boską, synu, nie rób tego!

Chłopak nacisnął spust. Nic z tego. Broń była nadal zabezpieczona. Obejrzał się przez ramię. Szczupły kaznodzieja wyprzedził jego sapiącego ojca. Tato miał twarz czerwoną jak burak, koszula frunęła mu za plecami. Kucharz ze Sweetbriar Rose był tuż za nim. Wszyscy razem mieli do chłopaka może sześćdziesiąt metrów, a wielebny wyglądał, jakby właśnie zamierzał wrzucić czwarty bieg. Rory kciukiem odbezpieczył broń.

- Nie, mały, nie! - krzyknął znów żołnierz.

Jednocześnie kucnął - po swojej stronie kopuły - i szeroko rozłożył ręce.

Rory nadal nie zwracał na niego uwagi. Tak to jest z genialnymi pomysłami. Wypalił.

Na nieszczęście dla chłopaka strzał był doskonały. Pocisk z ogromną prędkością uderzył w klosz, odbił się rykoszetem i wrócił jak piłka na gumce. Rory nawet nie poczuł bólu. Kiedy mniejszy z dwóch fragmentów pocisku trafił go w lewe oko i utkwiał w mózgu, spadła na niego wielka płachta jaskrawego białego światła. Trysnęła krew, a gdy padł na kolana i przycisnął ręce do twarzy, przesączyła się między palcami.

12

- Oślepiłem! Oślepiłem! - krzyczał chłopiec.

Lester natychmiast pomyślał o fragmencie pisma, na którym zatrzymał palec.

Szaleństwo, ślepotą, niepokój serca.

- Nic nie widzę! - zawodził dzieciak. - Jestem ślepy!

Lester odsunął chłopakowi ręce od twarzy i zobaczył czerwony, mokry oczodół. Resztki oka obijały się o policzek. Kiedy mały podniósł głowę do kaznodziei, rozbryzgane kawałki spadły w trawę.

Pastor chwycił dziecko w ramiona i kołysał przez chwilę, nim zjawił się ojciec i mu go

odebrał. Bardzo dobrze. Tak powinno być. Lester zgrzeszył, a potem prosił Pana o radę. Dostał wskazówki, udzielono mu odpowiedzi na pytanie. Wiedział teraz, co zrobi w sprawie grzechów, do których nakłonił go James Rennie.

Oślepie dziecko wskazało mu drogę.

GORZEJ BYĆ NIE MOŻE

1

Ryżemu Everettowi został w głowie tylko mętlik. Jedyne obrazy, jakie widział wyraźnie, to nagi tors wielbego Cogginsa, jego skóra biała jak brzuch ryby oraz wystające zębra.

Natomiast Barbie, być może dlatego, że pułkownik znów nałożył na niego obowiązek przeprowadzenia śledztwa, widział wszystko. I najwyraźniejszym wspomnieniem wcale nie był Coggins bez koszuli, tylko Melvin Searles, który wskazał na niego, na Barbiego palcem, a potem lekko przechylił głowę. Było to zrozumiałe dla wszystkich zdanie w mowie ciała: „Jeszcze nie skończyliśmy, słonko”.

Wszyscy inni zapamiętali to, co uświadomiło ludziom ich prawdziwą sytuację lepiej niż cokolwiek innego: krzyki ojca trzymającego w ramionach nieszczęśliwego, krwawiącego chłopca i płacz matki, która taszcząc swoje trzydzieści kilogramów nadwagi, wołała z daleka:

- Nic mu nie jest?! Alden? Nic mu nie jest?

Barbie widział, jak Ryży Everett rozpycha krąg ciekawskich, by dotrzeć do klęczących Aldena i Lestera. Alden przyciskał do siebie syna, pastor Coggins patrzył w przestrzeń pustym wzrokiem, dolna szczęka mu opadła, otwarta jak furtka na zepsutym zawiasie. Tuż za Ryżym znalazła się jego żona. Lekarz padł na kolana między Aldenem a Lesterem i próbował odsunąć ręce chłopaka z twarzy. Wtedy Alden, zdaniem Barbiego w całkiem normalnym odruchu, wyrzucił Ryżego w twarz. Połała się krew z nosa.

- Spokój! - wrzasnęła żona medyka. - On chce pomóc! To Linda, przypomniał sobie Barbie. Jest policjantką.

- Alden! Uspokój się! - Linda położyła rękę na ramieniu farmera, a on odwrócił się, najwyraźniej zamierzając jej także przyłożyć.

Twarz miał kompletnie pozbawioną ludzkich uczuć, był jak zwierzę chroniące swoje młode. Barbie przesunął się do przodu, żeby zablokować cios, gdyby farmer rzeczywiście się zamachnął. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Lekarz! - krzyknął Aldenowi w twarz, jednocześnie zasłaniając mu Lindę. - Lekarz! Lekarz...

Ktoś go chwycił za kołnierz i pociągnął do tyłu. Zdążył tylko zobaczyć, że to Mel Searles, jeden z kumpli Juniora, i uświadomił sobie, że jest on ubrany w błękitną bluzę policyjnego munduru ozdobioną odznaką.

Gorzej być nie może, pomyślał.

Jakby na dowód, że się myli, Searles wyrznął go w twarz, tak samo jak tamtej nocy na parkingu przed karczmą. Nie trafił w nos, chociaż pewnie właśnie w niego celował, ale zmiażdżył Barbiemu wargi o zęby.

Zamachnął się ponownie, lecz Jackie Wettington, tego dnia jego partnerka, kompletnie wbrew woli - chwyciła go za ramię.

- Spokój! - krzyknęła. - Proszę o spokój!

Przez moment szala się ważyła. W następnej chwili pojawił się między nimi Ollie Dinsmore, a tuż za nim jego matka, łkająca i dysząca ciężko. Searles musiał się cofnąć o krok. Opuścił rękę.

- Dobra - powiedział. - Ale jesteś na miejscu zbrodni, dupku. Na miejscu przestępstwa. Zdarzenia. Jak zwał, tak zwał.

Barbie otarł krwawiące usta grzbietem dłoni. Czyli jednak może być gorzej, pomyślał. Cholera jasna, może być dużo gorzej.

2

Ryży słyszał tylko, jak Barbie krzyczy: „Lekarz!”. Oprzytomniał, powtórzył to sam.

- Panie Dinsmore, jestem lekarzem. Nazywam się Everett Ryży. Zna mnie pan. Niech pan mi pozwoli obejrzeć syna.

- Pozwól mu, niech się nim zajmie! - krzyknęła Shelley. Alden rozluźnił uścisk. Dzieciak siedział na piętach, kołysał się w przód i w tył, dzinsy miał przesiąknięte krwią, ręce przyciśnięte do oczu. Ryży ujął go za dłonie i delikatnie, powoli odsunął je od twarzy. Miał nadzieję, że nie będzie tak źle, jak podejrzewał, ale zobaczył pusty oczodół ociekający krwią. I wiedział, że mózg został poważnie uszkodzony, bo drugie oko nieprzytomnie uciekało w górę, patrzyło w nicość.

Zaczął zdejmować koszulę, ale kaznodzieja już mu podawał swoją. Coggins był szczupły, z przodu tułów miał biały, z tyłu poznaczony czerwonymi kreskami strupów. Ociekał potem.

- Podrzec - rzucił Ryży.

W pierwszej chwili Lester nie zrozumiał, ale zaraz rozdarł koszulę na pół przez środek. W tym czasie zjawilo się więcej policji. Starzy wyjadacze - Henry Morrison, George Frederick, Jackie Wettington, Freddy Denton - krzyczeli do nowo mianowanych, żeby pomogli odsunąć rosnący tłum. Nowi przystąpili do wykonywania tego zadania z tak wielkim entuzjazmem, że kilku gapiów znalazło się na ziemi, w tym słynna miłośniczka katowania

lalek Bratz, Samantha Bushey. Sammy miała ze sobą Little Waltera w nosidle, więc kiedy upadła, rozdarli się oboje. Junior Rennie przeszedł nad nią, ledwo spojrzawszy, i chwycił matkę Rory'ego. Mało brakowało, a byłby ją przewrócił, na szczęście Freddy Denton zdążył go powstrzymać.

- Zostaw ją! To matka chłopaka. Odpuść!

- Policja znęca się nad niewinnymi ludźmi! - krzyczała Sammy Bushey, leżąc w trawie. - Policja...

Akurat pojawiła się Georgia Roux, najnowszy nabytek policji dowodzonej przez Petera Randolpha, w towarzystwie Cartera Thibodeau. Dokładnie rzecz biorąc, trzymali się za ręce. Georgia przycisnęła but do piersi Sammy. Nie było to kopnięcie, ale niewiele brakowało.

- Stul pysk, lesbo - rozkazała.

Junior puścił matkę Rory'ego, stanął z Melem, Carterem i Georgią. Wszyscy patrzyli na Barbiego. Junior myślał, że kuchta jest jak wrzód na dupie, nie sposób się go pozbyć. Pomyślał też sobie, że „Baaarbie” wyglądałby fantastycznie w więziennej celi tuż obok Niechluja. I jeszcze myślał, że rola gliniarza była mu pisana od urodzenia. A na pewno pomogła na bóle głowy.

Ryży oddał mniejszy kawałek z połowy koszuli Lestera. Złożył go i chciał przycisnąć do wielkiej rany na twarzy chłopca, jednak zmienił zdanie. Wetknął tkaninę w rękę ojcu.

- Przyciśnij do...

Nie można było zrozumieć, co mówi, bo usta miał pełne krwi z rozbitego nosa. Odwrócił głowę, wypuł czerwoną ślinę i spróbował jeszcze raz.

- Przyłóż opatrunek do rany. Mocno. A drugą rękę połóż małemu na karku i ściśnij.

Alden oszołomiony, lecz chętny do pomocy, zrobił, co mu kazano. Prowizoryczny opatrunek natychmiast poczerwieniał, na szczęście ojciec, tak czy inaczej, wydawał się spokojniejszy. W końcu miał sensowne zajęcie, to zwykle pomagało.

Ryży rzucił resztę koszuli Lesterowi.

- Więcej!

Lester posłusznie zaczął drzeć tkaninę na mniejsze kawałki. Lekarz odsunął dłoń Dinsmore'a, wymienił pierwszy opatrunek, już całkowicie przesiąknięty krwią i bezużyteczny. Shelley Dinsmore zobaczyła wtedy pusty oczodół.

- O Boże! Moje dziecko!

W takim momencie zjawił się Peter Randolph. Przybiegł truchcikiem, niemiłosiernie zasapany. A i tak zdrowo wyprzedził Jima Renniego, który - pamiętając o swojej nie całkiem sprawnej pikawie - stąpił godnie po opadającym łagodnie zboczu, na którym rozciągała się

łąka, gdzie tłum wydeptał w trawie szerokie przejście. Myślał o tym, do czego to doszło. Postanowił, że w przyszłości wszelkie demonstracje i manifestacje będą się mogły odbywać wyłącznie za odpowiednim zezwoleniem. I jeśli on będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia, a będzie miał z pewnością, jak zawsze, uzyskanie takiego pozwolenia nastreczy wiele trudności.

- Odsuńcie ludzi - warknął Randolph pod adresem Morrisona i nie czekając, aż Henry wykona rozkaz, sam krzyknął: - Cofnąć się! Cofnąć się!

- Utworzyć linię! - huknął Morrison na policjantów. - Odsunąć ludzi! Jeśli ktoś będzie stawiał opór, zakuć w kajdanki.

Tłum zaczął powoli rzednąć. Barbie zwlekał.

- Panie Everett... Ryży... Potrzebujesz pomocy? Trzymasz się jakoś?

- Trzymam - rzucił Ryży.

Z wyrazu jego twarzy Barbie zorientował się, że faktycznie nie jest źle, nos rozbity i tyle. Gorzej z dzieciakiem. Wyglądało na to, że już nigdy nie będzie w dobrej formie, jeżeli przeżyje. Ryży przyłożył mu świeży opatrunek do krwawiącego oczodołu i przycisnął dłonią ojca.

- I na karku - przypomniał. - Uciskaj, tata. Mocno.

Barbie cofnął się o krok, lecz nagle zamarł w bezruchu. Chłopak się odezwał.

3

- Już Halloween, nie możecie... My nie możemy...

Ryży zmartwił nad kolejnym opatrunkiem. Nagle zobaczył sypialnię córek, znów usłyszał krzyk Janelle: „Wszystko przez wielką dynię!”.

Podniósł wzrok na Lindę. Ona też słyszała. Oczy miała wielkie jak spodki, kolor odpłynął z jej zarumienionych policzków.

- Linda! - rzucił pośpiesznie. - Masz walkie - talkie! Połącz się ze szpitalem! Powiedz Twitchowi, niech wskakuje do karetki...

- Ogień! - krzyknął Rory Dinsmore przenikliwym, drżącym głosem.

Lester gapił się na niego, jak zapewne Mojżesz patrzył na krzak gorejący.

- Ogień! - krzyczał Rory piskliwie. - Autobus się pali! Wszyscy krzyczą! To Halloween!

Tłum ucichł, wszyscy słuchali dziecka. Nawet Jim Rennie, który wreszcie dotarł na skraj zbiegowiska i zaczął sobie torować drogę łokciami.

- Linda! - krzyknął Ryży. - Wzywaj karetkę! Szybko!

Linda drgnęła, jakby jej ktoś klasnął tuż przed twarzą. Odczepiła od paska walkie - talkie.

Rory osunął się na trawę. Jego ciałem wstrząsały drgawki.

- Co się dzieje?! - spanikował ojciec.

- Boże drogi, Jezu Chryste, on umiera! - spanikowała matka. Ryży obrócił drgające dziecko na plecy, próbując nie myśleć przy tym o Jannie, co oczywiście było niewykonalne, i przechylił mu głowę do tyłu, żeby możliwie najlepiej udrożnić układ oddechowy.

- Tata - zwrócił się do Aldena. - Jesteś mi nadal potrzebny. Ściskaj za kark. Ucisk na ranę. Musimy powstrzymać krwawienie.

Uciskanie rany mogło spowodować wsunięcie głębiej tego fragmentu pocisku, który pozbawił dziecko oka, ale tym Ryży będzie się przejmował później. Jeżeli chłopak nie wyzionie ducha tu i teraz.

Jeden z żołnierzy, stojących tak blisko i zarazem tak daleko, w końcu się odezwał. Młody, pewnie tuż po dwudziestce. Był wyraźnie przestraszony, a jednocześnie pełen współczucia.

- Staraliśmy się go zatrzymać, ale nie słuchał. Nie dało się nic zrobić...

Pete Freeman, z nikonem dyndającym na wysokości kolan, obdarzył młodego wojaka uśmiechem przepelnionym goryczą.

- Wiemy. Jeśli nawet jeszcze przed chwilą nie wiedzieliśmy, teraz mamy pewność.

4

Barbie nie zdążył zniknąć w tłumie, Mel Searles chwycił go za ramię.

- Zabierz rękę - odezwał się Barbie spokojnie.

Searles pokazał zęby w grymasie, który u niego był uśmiechem.

- Chciałbyś, gnojku. - Podniósł głos. - Szefie! Hej, szefie! Peter Randolph odwrócił się do niego zniecierpliwiony, ściągnął brwi.

- Ten facet przeszkadzał mi zabezpieczać miejsce zdarzenia. Mogę go aresztować?

Randolph otworzył usta, najprawdopodobniej po to, żeby powiedzieć „nie zawracaj mi...” albo coś w tym rodzaju, ale jeszcze się rozejrzał. Jim Rennie w końcu przepchnął się do grupki ludzi obserwujących, jak Everett ratuje chłopca. Zmierzył Barbiego spojrzeniem, jakim się patrzy na oślizłego gada, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Randolpha i lekko skinął głową.

Mel widział jedno i drugie. Uśmiechnął się szerzej.

- Jackie... to znaczy pani Wettington, mogę pożyczyć kajdanki? Junior i pozostali

także mieli na twarzach szerokie uśmiechy.

Trafiła im się gratka, kąsek znacznie bardziej apetyczny niż jakiś zakrwawiony dzieciak albo pilnowanie bandy świętoszków i durniów z transparentami.

- Zemsta jest słodka, Baaarbie - powiedział Junior. Jackie wyraźnie miała wątpliwości.

- Pete... szefie, ten człowiek chciał tylko...

- Zakuć go - rzucił Randolph. - Co chciał, a co zrobił, dojdziemy później. Teraz ma tu być spokój i porządek. - Podniósł głos. - Koniec widowiska! Wystarczy atrakcji na dzisiaj! Wracajcie do domu!

Jackie odczepiła od paska plastikowe kajdanki. Nie miała najmniejszego zamiaru podawać ich Melowi Searlesowi. Zamierzała sama wykonać rozkaz.

Raptem odezwała się Julia Shumway. Do tej pory stała za Randolphem i Dużym Jimem, a dokładnie rzecz biorąc, to Duży Jim przepchnął się przed nią, chcąc być na pierwszym planie.

- Ja bym nie radziła - zwróciła się do Randolpha. - Chyba że chce pan zawstydzić policję na pierwszej stronie „Democrata”. - Na jej ustach błąkał się nieodłączny uśmiech Mony Lisy. - Wstyd by było, zwłaszcza tak od razu na początku kariery na nowym stanowisku...

- Nie rozumiem. - Randolph ściągnął brwi mocniej, twarz mu się brzydko pobruździła.

Julia uniosła nieco aparat, odrobinę starszą wersję caczuszka, jakim dysponował Pete Freeman.

- Zrobiłam dzisiaj sporo zdjęć. Na niektórych widać, jak pan Barbara pomaga Ryzemu Everettowi przy rannym dziecku. Ze dwa pokazują, jak policjant Searles odciąga wspomnianego pana Barbarę bez żadnej przyczyny, a na jednym uderza go w twarz. Także bez powodu. Daleko mi do biegłości w dziedzinie fotografii, ale to ujęcie jest wyjątkowo atrakcyjne. Chce pan zobaczyć? Chętnie pokażę, to aparat cyfrowy.

Barbie uznał, że lubi Julię Shumway znacznie bardziej niż jeszcze chwilę wcześniej. Był przekonany, że blefowała. Bo jeśli faktycznie robiła zdjęcia, to dlaczego osłonę obiektywu trzymała w lewym ręku, jakby dopiero co ją zdjęła?

- Szefie, to nieprawda - odezwał się Mel. - Chciał mi przyłożyć. Pan spyta Juniora.

- Myślę, że na moich zdjęciach będzie widać także, że młodszy pan Rennie, w chwili kiedy pan Barbara został uderzony, usiłował opanować tłum i był odwrócony do pana Searlesa i pana Barbary tyłem.

Randolph zmierzył redaktorkę ciężkim spojrzeniem.

- Mogę zarekwirować aparat - stwierdził. - Są w nim dowody rzeczowe.

- Och, tak, oczywiście - zgodziła się Julia pogodnie. - A Pete Freeman zrobi piękne zdjęcie, jak pan mi rekwiruje aparat. Potem pan zarekwiruje aparat Pete'a... czy pamięta pan o ludziach, którzy nas cały czas obserwują?

- Julio, po czyjej stronie jesteś? - odezwał się Duży Jim, nieszczercze uśmiechnięty. Wyglądał jak rekin, który za chwilę ma się wgrzyźć w pulchny tyłek niebacznego pływaka.

Julia w zamian poczęstowała go swoim charakterystycznym uśmiechem i podniosła na niego pytające spojrzenie pełne dziecięcej niewinności.

- James! To tu są jakieś strony? Poza tam - wskazała na żołnierzy - i tutaj?

Duży Jim nie odpowiedział. Kąciki ust mu opadły, rysując na twarzy odwrotność uśmiechu. W końcu machnął dłonią na Randolpha.

- Tym razem panu odpuścimy, panie Barbara - odezwał się komendant policji. - Uznamy, że pana poniosło.

- Dzięki - rzekł Barbie.

Jackie wzięła pod ramię swojego młodego partnera patrzącego groźnie na niedoszłą ofiarę.

- Idziemy. Skończyło się. Wracamy do odsuwania ludzi. Searles posłusznie za nią ruszył, ale jeszcze się odwrócił, powtórzył wcześniejszy gest: wskazał Barbiego palcem, lekko przechylił głowę. „Jeszcze nie skończyliśmy, słonko”.

Pomocnik Rommiego Toby Manning oraz Jack Evans pojawili się z noszami naprędce skleconymi z kawałka namiotowego płótna i podtrzymujących go tyczek. Rommie co prawda zdążył otworzyć usta, żeby spytać, co wyprawiają, u licha ciężkiego, ale zamknął je, nie powiedziawszy słowa. Sprzedaż na łąkach i tak dobiegła końca, więc diabła tam.

5

Ci, którzy dotarli na miejsce samochodami, wsiedli do swoich aut. Oczywiście wszyscy usiłowali odjechać jednocześnie.

Do przewidzenia, pomyślał Joe McClatchey. Jasne jak słońce.

Gliniarze zajęli się odkorkowywaniem przejazdu, ale nawet dzieciaki - Joe stał z Bennym i Norrie - widziały, że nowo mianowana piątka nie ma pojęcia, co robić. W powietrzu krzyżowały się przekleństwa i wyzwiska.

- Baranie jeden, nie możesz cofnąć?!

Mimo nerwów i bałaganu jakoś nikt nie trąbił. Większość odjeżdżających była na to zbyt przygnębiona.

- Ale kretyni - powiedział Benny. - Ile wachy spalą, zanim w ogóle ruszą z miejsca.

Wydaje im się, że mogą tankować, ile wlezie...

- Takie życie - podsumowała Norrie.

Miała fryzurę na zmodyfikowaną pletwę i normalnie była dzielną, mądrą dziewczyną, która nie da sobie w kaszę dmuchać, lecz teraz pobladła i wyglądała na przestraszoną. Wzięła Benny'ego za rękę. Joemu Chudzielcowi pękło serce, ale tylko na chwilę, bo jego dłoń także ujęła.

- Idzie ten, co go prawie aresztowali - powiedział Benny, wskazując Barbiego wolną ręką.

Barbie i dziennikarka szli przez łąkę w stronę tymczasowego parkingu razem z prawie setką innych. Niektórzy, przygnębeni, ciągnęli za sobą transparenty.

- Babka z gazety wcale nie robiła zdjęć, wiecie? - rzucił Joe Chudzielec. - Stałem za nią, to wiem. Niezła jest.

- No, Ale i tak bym nie chciał być na jego miejscu. Dopóki się to nie skończy, gliniarze mogą robić, co chcą.

Rzeczywiście, taka była prawda. Joe uświadomił sobie także, iż nowi policjanci nie są sympatycznymi facetami. Na przykład taki Junior Rennie. Historia aresztowania Sama Niechlują już krążyła po mieście.

- Co mówisz? - spytała Norrie.

- Nic. Na razie wszystko w porządku. - Zastanowił się chwilę nad własnymi słowami. - Bajecznie. Ale jak tak dalej pójdzie... Pamiętacie „Władcę much”?

Lektura szkolna.

- „Zabić świnie!” - zaintonował Benny. - „Poderznąć jej gardło! Walnąć w łeb!”. Ludzie nazywają gliniarzy świniami, ale właściwie to jest inaczej. Ja wam powiem jak. Gliniarze znajdują sobie świnie, kiedy wpadną w gówno po uszy. Może dlatego, że sami też się boją.

Norrie Calvert w końcu się rozplakała. Chudzielec objął ją ramieniem, ostrożnie, delikatnie, jakby ten gest mógł spowodować, że oboje eksplodują, tymczasem dziewczynka ukryła mu twarz na piersiach i przytuliła się do niego. Uścisnęła go jedną ręką, bo drugą ciągle trzymała dłoń Benny'ego. Joe pomyślał, że w życiu nie czuł czegoś tak niesamowitego jak jej łzy moczące mu koszulkę. Nad głową płaczącej dziewczyny spojrzął z wyrzutem na Benny'ego.

- Sorka, człowieku - powiedział Benny i poklepał Norrie po plecach. - Spoko, mała.

- On stracił oko! - chlipnęła.

Słowa też wsiąkły w koszulkę Joego. W końcu Norrie się odsunęła.

- Denna impreza - oceniła. - Do niczego.

- Fakt - potwierdził Joe, jakby odkrywał wielką prawdę. - Do niczego.

- Patrzcie - odezwał się Benny.

Pojawił się ambulans. Twitch wjechał na łąkę, czerwone światła na dachu błyskały niespokojnie. Jego siostra, właścicielka restauracji, szła przed karetką, pokazując, gdzie omijać największe dziury.

Ambulans na łące pod jasnym październikowym niebem okazał się tego popołudnia kroplą przepelniającą dzban.

Nagle Joe Chudzielec zorientował się, że już nie ma ochoty protestować. Ale też nie chciał wracać do domu.

W tamtej chwili najbardziej na świecie chciał się wydostać z miasta.

6

Julia wsunęła się za kierownicę, ale nie uruchomiła silnika. Wiedziała, że i tak trochę postoja, więc nie było sensu marnować paliwa. Sięgnęła przed Barbiem, otworzyła schowek na rękawiczki i wyjęła z niego starą paczkę papierosów.

- Zapas na czarną godzinę - wyjaśniła przepraszająco. - Chcesz jednego?

Barbie tylko pokręcił głową.

- Nie masz nic przeciwko, że zapalę? Nie muszę teraz. Znowu pokręcił głową.

Zapaliła papierosa, wydmuchnęła dym przez otwarte okno.

Ciągle jeszcze było ciepło, prawdziwa złota jesień, ale wiadomo, że to długo nie potrwa. Może jeszcze tydzień, może ciut dłużej, a potem będzie, jak to się mówi, pogoda pod psem.

Chociaż kto wie? - zastanowiła się Julia.

Jeżeli klosz nadal zostanie, gdzie jest, z pewnością wielu meteorologów pokusi się o prognozy pod kloszem. I co z tego? Czarodzieje na kanale meteo nie potrafili przewidzieć nawet, któredy przejdzie śnieżyca. Zdaniem Julii byli tak samo wiarygodni jak geniusze intelektu, którzy w Sweetbriar Rose przy stole choleryków całymi dniami roztrząsali zawiłości polityczne.

- Dzięki za uratowanie mi tyłka - powiedział Barbie.

- Mam dla ciebie wieści, mój drogi. Twój tyłek nadal jest w opałach. Co zrobisz następnym razem? Poprosisz swojego przyjaciela Coksa, żeby zgłosił sprawę Amerykańskiej Unii Wolności Obywatelskich? Mogą być faktycznie zainteresowani tematem, ale jakoś mi się nie wydaje, żeby ktoś z biura w Portland w najbliższym czasie przyjechał do Chester's Mill.

- Coś ty taka pesymistka? Może dziś wieczorem wiatr zdmuchnie tę kopułę do morza. Albo zwyczajnie zniknie, tak jak się pojawiła. Kto wie?

- Marne szanse. To jest robota rządu. Któregoś rządu, niekoniecznie naszego. I założę się, że ten twój pułkownik doskonale o tym wie.

Barbie milczał. Uwierzył Cokowski, kiedy od niego usłyszał, że Stany Zjednoczone nie są odpowiedzialne za powstanie klosza. Nie dlatego, żeby mu szczególnie ufał, ale ponieważ był przekonany, że Ameryka nie dysponuje odpowiednią technologią. Ani żaden inny kraj. Tylko co on właściwie wiedział? Jako że był w wojsku, miał za zadanie straszyć przestraszonych Irakijczyków. Czasem przykładając im lufę do głowy.

Przez pewien czas obserwowali, jak przyjaciel Juniora Frankie DeLesseps pomaga kierować ruchem. Ubrany był w niebieską bluzę mundurową i dżinsy. Pewnie nie znaleźli w komisariacie spodni na jego rozmiar. Wysoki był skurczybyk. Julia, pełna obaw, dostrzegła na jego biodrze broń. Jakiś pistolet mniejszy niż glock, w które normalnie wyposażano policjantów w Mill, pewnie jego własny, ale tak czy inaczej - broń.

- Co zrobisz, kiedy przyjdzie po ciebie Hitlerjugend? - zapytała Julia, wskazując brodą wyrosniętego młodego mężczyznę. - Skarga na brutalność policji niewiele ci da, jeśli postanowią cię zapuszkować i skończyć, co zaczęli. W mieście jest tylko dwóch prawników. Jeden dawno się zestarzał, a drugi jeździ porsche boxterem, którego mu Jim Rennie sprzedał ze zniżką. Tak przynajmniej słyszałam.

- Dam sobie radę.

- Oho ho! Ale *macho!*

- A co z gazetą? - Barbie wolał zmienić temat. - Kiedy wychodziłem nocą, wyglądała na gotową.

- Technicznie rzecz ujmując, wyszedłeś rano. Owszem, jest gotowa. Razem z Pete'em i paroma przyjaciółmi dopilnujemy dystrybucji. Po prostu uznałam, że nie ma sensu robić tego w czasie, kiedy trzy czwarte mieszkańców miasta przyszło tutaj. Chcesz się pobawić w gazeciarza?

- Chętnie bym się zgłosił, ale muszę naszykować milion kanapek. Dzisiaj nie serwujemy nic na ciepło.

- Może wpadnę. - Wyrzuciła do połowy wypalonego papierosa przez okno. Po chwili namysłu wysiadła i zgasiła go butem. Lepiej nie kusić losu, pożar nie jest mile widziany, kiedy nowe miejskie wozy strażackie stoją w Castle Rock. - Zajrzałam wcześniej do komendanta Perkinsa - powiedziała, siadając z powrotem za kierownicą. - To znaczy do Brendy.

- Jak sobie daje radę?

- Jest w strasznym stanie. Ale kiedy napomknęłam, że chcesz z nią porozmawiać i masz do niej ważną sprawę, zgodziła się od razu, chociaż nawet nie powiedziałam, o co chodzi. Chyba byłoby najlepiej, gdybyście się spotkali po zmierzchu. Twój przyjaciel Cox pewnie się niecierpliwi, ale...

- Nie nazywaj go tak. Cox nie jest moim przyjacielem.

W milczeniu patrzyli, jak ranny chłopiec jest wsuwany przez tylne drzwi do karetki. Żołnierze też patrzyli. Zapewne wbrew rozkazom, dlatego Julia poczuła do nich odrobinę sympatii. Wreszcie ambulans potoczył się z powrotem przez łąkę, na dachu ciągle błyskały czerwone światła.

- Straszne... - szepnęła.

Barbie objął ją za ramiona. W pierwszej chwili stężała, lecz zaraz się rozluźniła.

- A co będzie, jeśli mi zamkną firmę? - zastanowiła się na głos, patrząc przed siebie. Karetka wyjeżdżała na odblokowany pas pośrodku szosy sto dziewiętnaście. - Co będzie, jeśli Rennie i jego służalczą policja postanowią zamknąć redakcję?

- To niemożliwe - oznajmił Barbie stanowczo.

Ale nie był tego pewien. Jeżeli sytuacja kryzysowa potrwa odpowiednio długo, każdy dzień w Chester's Mill może się stać dniem wielkiej niewiadomej.

- Ona coś kombinuje... - odezwała się Julia Shumway.

- Pani Perkins?

- Tak. Dziwnie się z nią rozmawiało. Pod wieloma względami dziwnie.

- Jest pogrążona w żałobie - powiedział Barbie. - Smutek zmienia ludzi. Przywitałem się dzisiaj z Jackiem Evansem... jego żona zmarła wczoraj z powodu kopuły. Patrzył na mnie, jakby mnie zobaczył pierwszy raz w życiu, chociaż od wiosny co srode serwuję mu moją słynną pieczeń.

- Znam Brendę Perkins od czasów, kiedy była Brendą Morse - powiedziała Julia. - Prawie czterdzieści lat. Myślałam, że mi powie, co ją niepokoi. Nie powiedziała.

Barbie wskazał na drogę.

- Chyba możemy już jechać.

Akurat w chwili, gdy Julia uruchomiła silnik, zadzwonił telefon. Mało brakowało, a upuściłaby torebkę, w pośpiechu szukając aparatu. Znalazła go, przyłożyła do ucha, słuchała przez moment.

Następnie, ze swoim lekko ironicznym uśmiechem, podała komórkę Barbiemu.

- Do pana, szefie.

To był Cox i miał coś do powiedzenia. Całkiem sporo. Barbiemu udało się wpaść mu w słowo na tyle skutecznie, żeby przekazać, co się stało chłopakowi, który właśnie był wieziony do szpitala, jednak Cox albo nie rozumiał związku historii Rory'ego Dinsmore'a z tym, co mówił, albo nie chciał tego zrozumieć. Wysłuchał relacji uprzejmie, po czym wrócił do swojego wątku. A kiedy skończył, zadał pytanie, które byłoby rozkazem, gdyby Dale Barbara w dalszym ciągu nosił mundur i był jego podwładnym.

- Rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje - odpowiedział Barbie - ale nie ma pan pełnego obrazu sytuacji. Ani pojęcia o moim skromnym udziale w tym, co się tutaj dzieje. Miałem tu trochę kłopotów, zanim pojawił się kłosz...

- Wiemy, wiemy, o wszystkim wiemy. Sprzeczka z synem wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej i kilkoma jego przyjaciółmi. Z raportu wynika, że omal nie został pan aresztowany.

Z raportu. No pięknie. Więc miał raporty. Dobry Boże...

- Z grubsza biorąc, można to tak określić - zgodził się Barbie - ale powinien pan wiedzieć więcej. Po pierwsze, komendant policji, dzięki któremu nie zostałem aresztowany, umarł na szosie numer sto dziewiętnaście, całkiem niedaleko stąd...

Gdzieś z daleka, ze świata, do którego teraz nie mógł się dostać, dobiegło szeleszczenie papieru. Nagle uświadomił sobie, że mógłby zamordować pułkownika Jamesa O. Coksa gołymi rękami tylko dlatego, że tamten mógł iść do McDonalda, a on, Dale Barbara, nie.

- O tym też wiemy - oznajmił Cox. - Problem z rozrusznikiem.

- Po drugie - podjął Barbie - nowy komendant, kompletny dupek, skaczący na dwóch łapkach przed jedynym człowiekiem mającym władzę w tym mieście, wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej, najął nowych policjantów. I to właśnie są ci panowie, którzy usiłowali mi skopać głowę z ramion na parkingu przy tutejszej karczmie z nocnym klubem.

- Będzie pan musiał wznieść się ponad to, pułkowniku.

- Dlaczego pan mnie nazywa pułkownikiem? Pułkownikiem jest pan.

- Gratulacje - powiedział Cox. - Nie tylko wrócił pan do służby, ale też awansował w zawrotnym tempie.

- Nie! - krzyknął Barbie.

Julia przyglądała mu się z troską, lecz on tego nie widział. - Nie chcę!

- Nie ma pan wyjścia - oznajmił Cox spokojnie. - Zanim wam odetniemy Internet, prześlę e - mailem kopie dokumentów do pańskiej przyjaciółki z redakcji.

- Odetniecie?! Jak to? Nie możecie odciąć!

- Dokumenty podpisał sam prezydent. Czy jemu też się pan sprzeciwi? O ile mi wiadomo, potrafi być bardzo niemiły dla tych, którzy mu stają okoniem.

Barbie nie odpowiedział. W głowie miał mętlik.

- Pójdzie pan do radnego i do komendanta policji - ciągnął Cox. - Powie im pan, że prezydent wprowadził w Chester's Mill stan wyjątkowy, a pan jest oficerem dowodzącym. Początkowo z pewnością napotka pan opór, ale informacje, które pan przed chwilą ode mnie otrzymał, pomogą ustanowić pana w roli człowieka prowadzącego miasto na powrót do świata zewnętrznego. Zresztą znam pańską siłę perswazji. Widziałem w Iraku, co pan potrafi.

- Źle oceniliście tutejszą sytuację, śmiem twierdzić - odezwał się w końcu Barbie. Przeciągnął dłonią po włosach. Ucho mu pulsowało od przyciskania cholernego telefonu. - Nie mówię, że nie rozumiecie kwestii klosza, ale nie macie pojęcia, co się dzieje tutaj, w mieście, które odciął od świata. I to niecałe trzydzieści godzin temu.

- Wobec tego niech pan mi wytłumaczy.

- Mówi pan, że prezydent ma dla mnie zadanie specjalne. A co się stanie, jeśli do niego zadzwonię i powiem, żeby mnie pocałował w mój śliczny, pachnący różami zadek?

Julia spojrzała na niego przerażona, a Barbie się rozpędział.

- Załóżmy, że jestem uszpionym agentem Al - Kaidy i planowałem go zabić strzałem prosto w głowę. Co pan na to?

- Poruczniku Barbara... to znaczy pułkownik Barbara... już i tak za dużo pan powiedział.

Barbie był odmiennego zdania.

- Czy prezydent przyśle tutaj FBI? Naśle na mnie Secret Service? Albo cholerną Armię Czerwoną? Nie, proszę pana. Nie zrobi nic.

- Chcemy zmienić aktualną sytuację, przed chwilą to panu wyjaśniłem. - Cox nie robił już wrażenia dobrodusznego kumpla, luzaka opowiadającego dowcipy.

- Jak wam się uda, możecie po mnie przysłać dowolną agencję federalną i mnie aresztować. Ale dopóki jesteśmy odcięci, kto mnie tu będzie słuchał? Zrozumcie wreszcie, to miasto jest kompletnie odgródzone od świata. Nie tylko od Ameryki, ale w ogóle od całego świata. Nie możemy nic na to poradzić. Wy też.

- Staramy się wam pomóc - powiedział Cox cicho.

- Pan to mówi i ja panu w zasadzie wierzę. Ale czy uwierzy w to któryś z mieszkańców miasta? Kiedy się rozglądają, żeby zobaczyć, jaką pomoc zyskują dzięki podatkom, widzą żołnierzy zwróconych do nich plecami. Genialny przekaz, nie ma co.

- Bardzo jest pan elokwentny jak na kogoś, kto odmawia współpracy.

- Nie odmawiam. Ale niewiele brakowało, żebym został aresztowany, i jeśli się proklamuję czasowym dowódcą, wcale mi to nie pomoże.

- Mógłbym ewentualnie zadzwonić do przewodniczącego rady... jakże mu tam... Sandersa i powiedzieć.

- Właśnie o tym mówię, kiedy twierdzą, że mało pan wie. Znowu się czuję jak w Iraku, tyle że tym razem jest pan w Waszyngtonie, a nie na miejscu z piechotą. Tak czy inaczej ma pan równie słabe pojęcie o sprawie jak reszta tych, co siedzą za biurkiem. Niech pan mnie uważnie posłucha: każdy wywiad jest lepszy niż żaden.

- Brak wiedzy może być niebezpieczny - dorzuciła Julia.

- Nie Sanders tam rządzi? - zdziwił się Cox. - Kto wobec tego?

- James Rennie. Wiceprzewodniczący. To on jest tutaj grubą rybą.

Nastąpiła pauza.

- Może jednak zostawimy wam Internet - odezwał się wreszcie Cox. - Rzeczywiście, niektórzy z nas uważają, że odcięcie was od sieci byłoby ciosem poniżej pasa.

- Niepojęte! - krzyknął Barbie ironicznie. - Czy naprawdę do was nie dociera, że jeśli będziemy mieli dostęp do sieci, to przepis ciotki Sarah na chleb z żurawiną wcześniej czy później wycieknie poza obręb miasta?

Julia wyprostowała się w fotelu i spytała bezdźwięcznie:

- Chcą nam odciąć Internet?

Barbie uniósł palec w geście mówiącym: „Czekaj”.

- No dobrze, niech pan mnie posłucha - ciągnął Cox. - Załóżmy, że zadzwonimy do tego Renniego i powiemy mu, że musimy was odciąć od Internetu, bardzo nam przykro, sytuacja jest bardzo szczególna, trzeba podjąć wyjątkowe środki i tak dalej. Następnie pan go przekona o swojej przydatności, nakłaniając nas do zmiany zdania.

Barbie zastanowił się chwilę. Mogło podziałać. Przynajmniej na jakiś czas. Albo i nie.

- A do tego - podjął Cox - poda im pan tamtą informację. Może uda się komuś uratować życie, a z pewnością uchronić ludzi od strachu przed śmiercią.

- Telefony też zostają - zaryzykował Barbie.

- To byłoby bardzo trudne. Sądzę, że mogę wynegocjować Internet, ale... niechże pan posłucha. W Komitecie zarządzającym całym tym bałaganem zasiada przynajmniej pięciu jastrzębi w stylu Curtisa LeMaya. Ich zdaniem każdy mieszkaniec Chester's Mill jest terrorystą, dopóki nie udowodni swojej niewinności.

- A jaką krzywdę mogą ci terroryści wyrządzić Ameryce? - spytał Barbie. - Zorganizować samobójczy zamach na kościół kongregacyjny?

- Barbie, zaczynamy bić pianę. Fakt.

- Zrobi pan to?

- Będę się musiał z panem skontaktować. Proszę czekać na mój telefon, zanim pan cokolwiek zrobi. Muszę najpierw porozmawiać z wdową po komendancie Perkinsie.

- Zatrzyma pan drażliwe szczegóły naszej rozmowy dla siebie? - naciskał Cox.

I znów Barbiego zaskoczyło, jak niewiele pułkownik wie o zmianach, które zaszły pod kloszem, chociaż według standardów wojskowych był prawdziwym wolnomyślicielem. Tutaj dochowanie tych tajemnic nie miało już znaczenia.

My przeciwko nim, pomyślał.

Teraz jesteśmy my kontra oni. Chyba że ich szalony pomysł się sprawdzi.

- Proszę pana, naprawdę muszę oddzwonić później. Zresztą w tym aparacie bateria siada. - Skłamał bez najmniejszych wyrzutów sumienia. - Proszę zaczekać na wiadomości ode mnie, zanim pan zacznie z kimkolwiek rozmawiać.

- Tylko niech pan pamięta, że wielkie bum zostało wyznaczone punktualnie na trzynastą. Jeżeli chcecie zminimalizować straty, trzymajcie się jak najdalej.

„Zminimalizować straty” - kolejne wyrażenie pod kopułą całkowicie pozbawione znaczenia. Chyba że odniesie się je do zaopatrzenia generatora w propan.

- Porozmawiamy później - rzucił Barbie. Wyłączył telefon, zanim Cox zdążył powiedzieć coś więcej.

Na szosie numer sto dziewiętnaście zrobiło się już całkiem pusto, ale DeLesseps ciągle stał w miejscu, z rękami założonymi na piersiach, oparty o swojego chevy'ego II nova. Kiedy mijali tę brykę, Barbie dostrzegł naklejkę z napisem: DUPCIA, TRAWKA ALBO WACHA, NA KRZYWY RYJ NIE WOŻĘ. A do tego policyjny kogut na przysawce. Nic dodać, nic ująć. Kontrast skupiający w sobie wszystko, co aktualnie nawalało w Chester's Mill.

W drodze powrotnej Barbie przekazał Julii, czego się dowiedział od Coksa.

- Planują właściwie to samo, co zrobił ten dzieciak - zauważyła redaktorka, wyraźnie przerażona.

- No, niezupełnie - zaproponował Barbie. - Dzieciak miał karabin. A oni mają rakiety Cruise. Zaplanowali Wielki Wybuch.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Tym razem jednak nie był to jej zwyczajowy, lekko ironiczny uśmiezek, lecz mizerny grymas pełen zmęczenia, z którym wyglądała na sześćdziesiątkę, a nie na swoje czterdzieści trzy lata.

- Coś mi się zdaje, że następny numer gazety wyjdzie znacznie szybciej, niż sądziłam.

Barbie pokiwał głową.

- Wydanie specjalne. Wiadomości na gorąco.

7

- Cześć, Sammy - usłyszała. - Jak sobie radzisz? Samantha Bushey nie rozpoznała głosu, więc obróciła się trochę przestraszona, równocześnie przyciskając do siebie nosidło. Little Walter spał i ważył tonę. Tyłek ją bolał od upadku, duma też ucierpiała, bo jakim prawem cholerna Georgia nazywa ją lesbą? Georgia Roux niejedną raz przychodziła do przyczepy skamleć o działkę cracku dla siebie i tego mięśniaka, z którym się prowadziła.

To był ojciec Dodee. Sammy rozmawiała z nim tysiąc razy, a mimo to teraz nie rozpoznała jego głosu. Jego samego też rozpoznała ledwo.

Postarzał się jakoś, był smutny i jakby załamany. Nawet nie rzucił okiem na jej cyci, co się zdarzyło po raz pierwszy.

- Dzień dobry. Rany, nie zauważyłam pana... - Machnęła ręką do tyłu, w stronę wygniecionej trawy i wielkiego namiotu, teraz na wpół zapadniętego i opuszczonego.

Chociaż namiot i tak robił wrażenie lepsze niż pan Sanders.

- Siedziałem w cieniu.

Ten sam niepewny głos, przepaszający uśmiech człowieka cierpiącego. Aż żal było na niego patrzeć.

- No, ale czegoś się napiłem. Ciepło dziś było jak na październik, prawda? Tak... tak. Tak sobie myślałem, że to całkiem miłe popołudnie, jednoczące mieszkańców miasta... póki ten chłopiec...

O szlag by to, rozplakał się!

- Przykro mi, że tak się stało z pana żoną...

- Kochana z ciebie dziewczyna. Pomóc ci nieść dziecko do samochodu? Teraz już da się pojechać, prawie nikt nie został.

Takiej propozycji Sammy nie mogła się oprzeć, nawet gdyby mały miał płakać. Wyciągnęła Little Waltera z nosidła, całkiem jakby podnosiła wielką ciepłą kluchę, i podała go radnemu. Dziecko otworzyło oczy, uśmiechnęło się nieprzytomnie i zasnęło na nowo.

- Zdaje się, że naszykował upominek w pieluszce - zauważył pan Sanders.

- Prawdziwa z niego maszyna do produkcji kup. Little Walter, pierwszorzędny srajtygiel.

- Walter... bardzo ładne imię. Trochę staromodne.

- Dziękuję.

Nie miało sensu mu tłumaczyć, że w rzeczywistości dzieciak miał na pierwsze imię

Little... Na pewno już mu kiedyś wyjaśniała, po prostu zapomniał. A taki spacer z radnym, odpowiednie zakończenie doskonałego jesiennego popołudnia. W kwestii ruchu na drodze miał rację: większość samochodów odjechała. Sammy zastanowiła się, ile czasu minie, nim wszyscy przesiądą się na rowery.

- Nigdy mi się nie podobała ta cała nauka latania - powiedział Sanders. Całkiem jakby podjął wątek rozmowy, którą prowadził sam ze sobą. - Czasami nawet się zastanawiałem, czy Claudie aby z nim nie sypia.

Matka Dodee syjająca z Chuckiem Thompsonem? Sammy była w równym stopniu zaintrygowana, co wstrząśnięta.

- Raczej nie - ocenił i westchnął. - Teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Widziałas może Dodee? Nie wróciła do domu na noc.

Sammy o mało nie odpowiedziała: „Tak, wczoraj po południu”, ale w porę ugryzła się w język. Jeżeli Dodee spędziła noc poza domem, to wiadomość, że się wczoraj widziały, tylko by przygnębiła tatuśka Dodee. I na dodatek zapoczątkowałyby długą rozmowę z facetem, któremu łzy spływały po twarzy oraz gil wisiał u nosa. Nic fajnego.

Dotarli do samochodu, starego chevroleta o listwach bocznych wyżartych przez rdzę. Sammy wzięła Little Waltera, skrzywiła się od smrodu. To w pieluszcze to nie był upominek, tylko wymyślny prezent na osiemnastkę, poparty toną paczek bożonarodzeniowych.

- Nie, proszę pana, jakoś jej nie widziałam.

Pokiwał głową, otarł nos wierzchem dłoni. Gil zniknął, został przeniesiony gdzieś indziej. Co za ulga.

- Pewnie się wybrała z Angie McCain do marketu, a potem, skoro nie mogła wrócić do miasta, może do ciotki Peg w Sabattus?

- Tak, możliwe.

Kiedy Dodee się pojawi tu w Mill, będzie miał miłą niespodziankę. Należała mu się odrobina radości.

Sammy otworzyła drzwi samochodu i położyła dziecko na siedzeniu pasażera. Fotelika nie używała od miesięcy. Za dużo się trzeba było z nim napierniczyć. Zresztą zawsze prowadziła bardzo ostrożnie.

- Miło cię było spotkać, Sammy. - Chwila ciszy. - Pomodlisz się za moją żonę?

- Taaak... Jasne. Nie ma problemu.

Już miała wsiąść do samochodu, gdy skojarzyła dwa fakty: że Georgia Roux przygniotła jej cycek tym cholernym buciorem motocyklowym (i pewnie zostawiła jej siniaki) oraz że Andy Sanders, bez względu na to, jak bardzo załamany, był przewodniczącym Rady

Miejskiej.

- Proszę pana...

- Tak, Sammy?

- Niektórzy z policjantów zachowywali się dzisiaj dość brutalnie. Może dałby pan radę coś z tym zrobić? Rozumie pan, zanim sprawy wymkną się spod kontroli...

Ten sam nieszczęśliwy uśmiech na twarzy radnego.

- Widzisz, Sammy, ja wiem, co wy, młodzi, myślicie o policji... Sam kiedyś byłem młody. Ale naprawdę jesteśmy w trudnej sytuacji. Im szybciej nauczymy się szacunku dla władzy, tym lepiej dla nas wszystkich. Rozumiesz mnie, prawda?

- Jasne - odparła Sammy. Rozumiała doskonale, że niezależnie od smutku, obojętne jak szczerego, nie mógł wyhamować z politycznie poprawnym bełkotem. - No, do zobaczenia.

- To dobrzy ludzie - podjął Andy mgliście. - Pete Randolph zrobi z nich zgrany zespół. Będą działać jak jeden mąż. W tym samym rytmie... No, chronić i służyć, rozumiesz.

- Oczywiście.

Rytm służby i ochrony od czasu do czasu przerywany kopniakiem w czyjś biust.

Odjechała. Little Walter już znowu pochrapywał. Śmierdział przepotwornie. Opuściła szybę, spojrzała w lusterko wsteczne. Pan Sanders nadal stał na prowizorycznym parkingu, teraz już prawie całkiem pustym. Podniósł rękę na pożegnanie.

Odpowiedziała tym samym. Zastanowiła się przelotnie, gdzie Dodee spędziła minioną noc, skoro nie wróciła do domu. Szybko przestała o tym myśleć, bo to naprawdę nie była jej sprawa. Włączyła radio. Tylko radio jezusowe nadawało czysto, więc zaraz wyłączyła sprzęt.

Gdy podniosła wzrok, Frankie DeLesseps stał na środku drogi z ręką uniesioną w górę, jak prawdziwy gliniarz. Musiała wdepnąć hamulec do dechy, jedną ręką przytrzymała dziecko. Little Walter obudził się i zaczął pierdzieć.

- Zwariowałaś?! - krzyknęła do Frankiego. Była z nim przez dwa dni, kiedy Angie wyjechała na turniej z cheerleaderkami, jeszcze w gimnazjum. - Mało mi dziecko nie spadło!

- A gdzie masz fotelik?

Frankie nachylił się do okna, bicepsy zagrały.

Mięśnie wielkie, fiut karłowaty, cały Frankie DeLesseps. Jeśli chodziło o zdanie Sammy, Angie mogła go sobie zatrzymać na własność.

- Nie twój zasrany interes.

Prawdziwy gliniarz pewnie by jej wypisał mandat za obrazę władzy i łamanie przepisów ruchu drogowego dotyczących wożenia dziecka, ale Frankie tylko się głupio uśmiechnął.

- Widziałaś Angie?

- Nie. - Tym razem powiedziała prawdę. - Pewnie ugrzęzła za miastem.

Chociaż jeśli się zastanowić, to raczej oni ugrzęzli w mieście. - A Dodee?

Sammy po raz kolejny zaprzeczyła. Nie miała wyjścia, bo teoretycznie Frankie mógł pogadać z panem Sandersem.

- Jej samochód stoi w garażu - stwierdził Frankie. - Sam widziałem.

- Wielkie mi co. Pewnie we dwie z Dodee wsiadły do jej kii i odjechały w siną dal.

Świeżo upieczony policjant najwyraźniej rozważał tę możliwość. Byli na drodze praktycznie sami. Po korku zostały tylko wspomnienia.

- Georgia zrobiła ci krzywdę w cycuszek? - spytał Frankie w pewnym momencie. I nie czekając na odpowiedź, chwycił Sammy za pierś, wcale nie delikatnie. - Pocałować, żeby nie bolało?

Trzepnęła go po rękę. Little Walter pierdział jak karabin maszynowy. Czasami zastanawiała się, po co Bóg w ogóle stworzył mężczyzn. Naprawdę trudno to zrozumieć. Tylko pierdzieli i macali. Na zmianę - macali i pierdzieli.

Frankie już się nie uśmiechał.

- Zachowuj się - ostrzegł. - Teraz wszystko jest inaczej. - A co mi zrobisz? Zamkniesz mnie?

- Wymyśliłbym coś lepszego - stwierdził. - Dobra, zjeżdżaj. A jak spotkasz Angie, powiedz jej, że ma do mnie przyjść.

Pojechała. Nie tylko wściekła, ale też, choć przyznawała to niechętnie, odrobinę przestraszona. Kilometr dalej zatrzymała się na poboczu i zmieniła dziecku pieluszkę. Miała w bagażniku torbę na zużyte pieluchy, lecz dała się ponieść złości. Cisnęła zasranym pamperssem w bok. Wylądował niedaleko tablicy z napisem:

JIM RENNIE - UŻYWANE SAMOCHODY

KRAJOWE I ZAGRANICZNE

TEN SIĘ RADUJE,

KTO U DUŻEGO JIMA KUPUJE!

PYTAJCIE NAŚ O KREDYT!

Minęła jakieś dzieciaki na rowerach. Znów przyszło jej do głowy, że niedługo wszyscy

się przesiądą na dwa kółka. Tyle że do tego nie dojdzie. Ktoś coś wymyśli, całkiem jak na filmach katastroficznych, które oglądała z dziką przyjemnością, kiedy była upalona. Wulkany wybuchające w Los Angeles, zombi w Nowym Jorku... cuda! A jak już wszystko wróci do normy, Frankie i Carter Thibodeau znowu będą sobą: cieniasami bez grosza w kieszeni. Na razie jednak chyba rzeczywiście lepiej będzie się nie wychylać.

W sumie dobrze wyszło, że nie wyskoczyła z żadnymi wiadomościami na temat Dodee.

8

Ryży słyszał rozpaczliwe popiskiwanie urządzenia monitorującego ciśnienie krwi i wiedział, że tracą chłopca. Bogiem a prawdą, mały umierał już w karetce... a na dobrą sprawę od momentu, gdy dostał rykoszetem, lecz dopiero dźwięk monitora uświadomił Everettowi niepodważalny fakt. Rory'ego trzeba było przetransportować śmigłowcem do ośrodka w Lewiston natychmiast, bezpośrednio z miejsca, gdzie doznał obrażeń. Zamiast tego chłopak znalazł się w przegrzanej sali operacyjnej ze zbyt małą liczbą personelu. Klimatyzacja została wyłączona, by zmniejszyć zużycie energii. Operowało go dwóch lekarzy, z których jeden powinien był już dawno temu przejść na emeryturę, a drugi nigdy nawet nie asystował przy operowaniu przypadku neurochirurgicznego - oraz przemęczona pielęgniarka.

- Migotanie komór, doktorze - odezwała się teraz. Zapiszczało urządzenie monitorujące serce. Po chwili brzmiał cały chór.

- Wiem, Ginny. Jeszcze żyję... To znaczy, jeszcze słyszę. Chryste. Ryży przez chwilę przyglądał się im nad podłużnym kształtem okrytym prześcieradłem. Haskell miał spojrzenie jasne i przytomne, nie był to ten wyposażony w stetoskop pracownik zatrudniony na część etatu, który przez kilka ostatnich lat ciężko stapał po korytarzach szpitala niczym duch potępiony, a jednak wyglądał przerażająco staro i krucho.

- Próbowaliśmy - powiedział.

Haskell nie tylko próbował. Ryżemu przywodził na myśl bohatera jednej ze sportowych powieści dla dorastających chłopaków, które uwielbiał jako dziecko. W takiej powieści podstarzały miotacz wychodzi z „zagrody dla byków” tylko na jeden rzut, w siódmej grze mistrzostw świata, w glorii i chwale. Tyle że tym razem całą widownię stanowili jedynie Ryży i Ginny Tomlinson, a staremu bojownikowi poskapiono szczęśliwego zakończenia.

Ryży podłączył kroplówkę z solą fizjologiczną, dodając mannitol, żeby zredukować opuchliznę mózgu. Haskell wyszedł z sali operacyjnej, a właściwie wybiegł, żeby zbadać krew w laboratorium znajdującym się na parterze. Wykonał kompletną morfologię. Musiał to

zrobić sam, bo Ryży nie miał odpowiednich kwalifikacji, a techników nie było. W szpitalu imienia Catherine Russell przeraźliwie brakowało personelu. Ryży uświadomił sobie, że chłopak Dinsmore'ów może być tylko pierwszą ratą z ceny, jaką miastu przyjdzie zapłacić za brak wykwalifikowanego personelu szpitalnego.

Poszło źle. Okazało się, że chłopak ma krew grupy A minus, a takiej nie mieli w niewielkich zapasach wcale. Znaleźli na szczęście zero minus, krew uniwersalną. Rory dostał cztery jednostki. Podanie ich rannemu było w zasadzie równoznaczne z wylaniem do ścieku, lecz nikt nie powiedział tego głośno. Haskell wysłał Ginny do kanciapy wielkości szafy, pełniącej funkcję szpitalnej biblioteki. Pielęgniarka wróciła ze zniszczonym „Krótkim przeglądem zagadnień z dziedziny neurochirurgii”. Haskell operował, zerkając do książki, której kartki przytrzymał otoskop. Ryży był pewien, że nigdy nie zapomni jazgotu piły i zapachu kościanego pyłu unoszącego się w nienaturalnie ciepłym powietrzu. Ani grudki galaretowatej krwi, która wypadła, gdy Haskell usunął czop kostny.

Przez kilka chwil nawet miał nadzieję. Otwarcie czaszki spowodowało zmniejszenie krwiaka, funkcje życiowe Rory'ego się ustabilizowały... na moment. Ale potem, kiedy Haskell chciał sprawdzić, czy fragment kuli znajduje się w jego zasięgu, wszystko zaczęło się sypać błyskawicznie.

Ryży pomyślał wtedy o rodzicach czekających na wynik operacji, żywiących nadzieję wbrew wszelkiej logice. I o tym, że zamiast wywieźć Rory'ego z sali operacyjnej w lewo, na oddział pooperacyjny, gdzie matka i ojciec mogliby wślizgnąć się niepostrzeżenie i zobaczyć dzieciaka, będzie trzeba z nim pojechać w prawo, do kostnicy.

- W normalnych warunkach podtrzymałbym funkcje życiowe - powiedział Haskell - i poprosił rodziców o podpisanie zgody na pobranie organów. Tyle że w normalnych warunkach chłopaka by tutaj w ogóle nie było. A nawet gdyby do nas trafił, nie operowałbym go, korzystając z... instrukcji obsługi toyoty!

Chwycił otoskop, rzucił nim na oślep. Wziernik odbił się od ściany, odłupał kawałek zielonej płytki ceramicznej, spadł na ziemię.

- Podać adrenalinę, panie doktorze? - spytała Ginny. Spokojna, chłodna, opanowana, chociaż też wyglądała na tak zmęczoną, jakby miała zaraz paść bez życia.

- Czy ja się wyraziłem niejasno? Nie zamierzam przedłużać agonii tego chłopca.

Haskell sięgnął do czerwonego przełącznika na tylnej części respiratora. Jakiś dowcipniś, pewnie Twitch, przykleił tam niewielką czerwoną nalepkę z napisem: BUM!

- Ryży? Masz inne zdanie na ten temat?

Ryży zastanowił się, po czym wolno pokręcił głową. Test Babińskiego dał odruch

pozytywny, wskazując na rozległe uszkodzenia mózgu. Najważniejsze jednak, że po prostu nie było szans na uratowanie chłopaka. I to od początku.

Haskell wcisnął przełącznik. Rory Dinsmore zaczerpnął jeden ciężki oddech o własnych siłach, przymierzył się do drugiego i przegrał.

- Niech będzie... - Haskell spojrzął na duży zegar ścienny - siedemnasta piętnaście. Ginny, zanotujesz czas zgonu?

- Tak, doktorze.

Haskell ściągnął maskę. Miał sine wargi.

- Wyjdźmy stąd - powiedział. - Strasznie gorąco.

Nie gorąco go pokonało, tylko serce. Upadł w połowie korytarza, w drodze do Aldena i Shelley Dinsmore'ów, którym miał przekazać złe wieści. Ryży podał adrenalinę, ale nic to nie pomogło. Podobnie jak masaż serca. I elektrody.

Czas zgonu - siedemnasta czterdzieści dziewięć. Ron Haskell przeżył swojego ostatniego pacjenta dokładnie o trzydzieści cztery minuty. Ginny przekazała wieści rodzicom chłopca. Ryży usiadł na podłodze, oparł się o ścianę, ukrył twarz w dłoniach. Słyszał zawodzenie matki, ból i rozpacz. Dźwięki niosły się daleko w prawie pustym szpitalu. Miał wrażenie, że pani Dinsmore nigdy nie umilknie.

9

Barbie uznał, że wdowa po komendancie była swego czasu wyjątkowo urodziwą kobietą. Nawet teraz, z podsiniętymi oczami, ubrana w wypłowiałe dżinsy i bluzę, która chyba pełniła rolę góry od pidżamy, nadal była uderzająco piękna. Przyszło mu do głowy, że ludzie mądrzy rzadko wyglądają źle. Oczywiście jeśli nie są brzydki od urodzenia. W oczach Brendy Perkins błyszczała mądrość. I coś jeszcze. Wdowa z pewnością była pogrążona w żalobie, jednak smutek nie zabił w niej ciekawości. A w tej chwili obiektem jej zaciekawienia był właśnie on.

Zerknęła nad jego ramieniem na zawracający samochód Julii, uniosła rękę w pytającym geście: „Co robisz?”. Julia wychyliła się przez okno.

- Muszę przypilnować druku! Przy okazji zajrzę do Sweetbriar Rose i zaniosę Ansonowi Wheelerowi złe wieści, że będzie się dzisiaj z kanapkami męczył sam! Nie martw się, Bren, Barbie jest niegroźny!

I zanim pani Perkins zdołała odpowiedzieć czy zaprotestować, Julia już jechała Morin Street. Kobieta z misją. Barbie wolałby siedzieć obok niej, mając przed sobą jako jedyny cel naszykowanie czterdziestu kanapek z szynką i serem oraz drugich czterdziestu z tuńczykiem.

Stał przed siatkowymi drzwiami i czuł się jak zabiegający o pracę aplikant na bardzo trudnym spotkaniu.

- Jest pan? - zapytała Brenda.

- Przepraszam?

- Jest pan niegroźny?

Barbie rozważył jej słowa. Jeszcze dwa dni wcześniej bez namysłu odpowiedziałby twierdząco, ale dziś po południu czuł się bardziej żołnierzem z Al - Falludży niż kucharzem z Chester's Mill. W końcu powiedział, że jest dobrze wytresowany, czym wywołał uśmiech na ustach gospodyni.

- O tym będę musiała się przekonać sama - uznała. - Choć akurat teraz trudno mi być obiektywną. Straciłam męża.

- Wiem, szanowna pani. Proszę przyjąć najszczerze kondolencje. - Dziękuję. Pogrzeb jutro. Organizuje go ten podrzędny zakład pogrzebowy Bowiego, który nie wiecie jakim cudem w ogóle jeszcze trwa, skoro wszyscy w potrzebie jeżdżą do Crosmana w Castle Rock. Ludzie nazywają firmę Stewarta Bowiego Trupim Składem... Stewart to idiota, a jego brat, Fernald, jest jeszcze głupszy, ale na razie nie mamy wyboru. I ja nie mam wyboru. - Westchnęła jak osoba, którą czeka trudne zadanie.

I słusznie, pomyślał Barbie.

Śmierć ukochanej osoby łączy się z wieloma sprawami, między innymi oznacza konieczność wykonania naprawdę ciężkiej pracy organizacyjnej.

Spodziewał się, że pani Perkins zaprosi go do środka, tymczasem to ona wyszła przed drzwi.

- Najpierw się przejdziemy - oznajmiła - może potem wpuszczę pana do domu. Muszę pana poznać. Normalnie całkowicie polegam na zdaniu Julii, niestety teraz sytuacja nie jest normalna.

Poprowadziła go wzdłuż boku domu, po starannie utrzymanym trawniku, wygrabionym z jesiennych liści. Po prawej stronie ciągnęło się ogrodzenie oddzielające działkę Perkinsów od sąsiadów, po lewej rabaty kwiatowe.

- Mąż miał bzika na punkcie kwiatów. Pewnie uzna pan to za dziwaczne hobby u przedstawiciela sił porządkowych.

- Wcale nie.

- Mnie też to nie dziwiło. Co nas plasuje w zdecydowanej mniejszości. Małe miasta, ciasne umysły, płytka wyobraźnia... Grace Metalious i Sherwood Anderson w swoich książkach mieli rację. Co więcej - podjęła, skracając za róg domu na ładnie urządzone

podwórze - tutaj dłużej będzie jasno. Generator rano przestał działać, pewnie mu zabrakło paliwa. Nawet mam zapasową butlę, tylko nie potrafię jej wymienić. Miałam Howiemu za złe, że się uparł na ten generator. Chciał mnie nauczyć obsługi, a ja nie zdradzałam ochoty... Głównie ze złości. - Po policzku spłynęła samotna łza. Brenda Perkins starła ją nieuważnie. - Chętnie bym go przeprosiła, gdybym tylko mogła. Przyznałabym mu rację. Ale nie mogę tego zrobić, prawda?

Barbie wiedział, co to pytanie retoryczne.

- Jeśli chodzi tylko o wymianę butli, powinienem dać sobie z tym radę - powiedział.

- Byłabym wdzięczna.

Zaprowadziła gościa na taras, gdzie królował stół, a przy nim stała niewielka chłodziarka.

- Miałam poprosić Henry'ego Morrisona, no i kupić więcej butli u Burpeego, tyle że zanim się zebrałam, Burpee już zamknął sklep, a Henry był na łąkach Dinsmore'a razem ze wszystkimi. Jak pan sądzi, uda mi się jutro kupić zapasowe butle?

- Możliwe - powiedział Barbie. Wątpił we własne słowa.

- Słyszałam o wypadku - odezwała się Brenda Perkins po chwili.

- Gina Buffalino, sąsiadka, opowiedziała mi, co się stało. Straszne. Chłopiec będzie żył?

- Nie wiem. - Intuicja podpowiedziała, że szczerłość będzie najprostszą drogą do zdobycia zaufania tej kobiety, więc dodał: - Raczej nie.

- Raczej nie. - Westchnęła i ponownie otarła oczy. - Rzeczywiście, mówiła, że miał niewielkie szanse. - Otworzyła lodówkę. - Jest woda Poland Spring i dietetyczna cola. Na nic innego nie pozwalałam Howiemu. Co pan woli?

- Wodę, szanowna pani.

Otworzyła dwie butelki. Gdy pili, obserwowała go pełnym smutku, ale i zaciekawionym spojrzeniem.

- Julia powiedziała, że chce pan dostać klucze do ratusza. Wiem po co. I rozumiem, dlaczego Jim Rennie nie powinien o tym wiedzieć...

- Może będzie musiał się dowiedzieć. Sytuacja uległa zmianie. Widzi pani...

Brenda uniosła dłoń i pokręciła głową. Barbie umilkł.

- Zanim pan mi powie o sytuacji w mieście, chciałabym usłyszeć o pańskich kłopotach z Juniorem i jego przyjaciółmi.

- A czy pani mąż...?

- Howie rzadko rozmawiał ze mną na tematy służbowe, ale o tej sprawie rzeczywiście

mi opowiedział. Chyba mu w jakimś sensie nie dawała spokoju. A teraz ja chcę się przekonać, czy pańska wersja będzie się zgadzała z tym, co wiem od niego. Jeśli tak, będziemy mogli poruszyć inne tematy. Jeśli nie, poproszę, żeby pan sobie poszedł. Pozwolę panu zabrać ze sobą tę butelkę wody.

Barbie wskazał brodą czerwoną komórkę, tuż przy domu.

- Tam jest generator? - Tak.

- Czy mogę opowiadać, zmieniając butlę? - Tak.

- Zakładam, szanowna pani, że chce pani usłyszeć rzeczywiście wszystko?

- Rzeczywiście. A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie szanowną panią, będę chyba musiała się obrazić.

Drzwi komórki zamknięte były na haczyk z błyszczącego mosiądzu, Mężczyzna, który jeszcze wczoraj mieszkał w tym domu, widocznie dbał o generator. Szkoda tylko, że poprzestał na jednej zapasowej butli propanu. Barbie postanowił, iż niezależnie od dalszego przebiegu spotkania z panią Perkins postara się następnego dnia zdobyć jeszcze kilka.

Tymczasem obiecał sobie, że opowie o tamtej nocy całkiem szczerze. A łatwiej mu będzie mówić, nie patrząc jej w oczy. Wcale nie miał ochoty przyznawać, że kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy Angie McCain uznała go za lekko przerośniętą zabawkę.

I zaczął opowiadać.

10

Najlepiej zapamiętał z tego lata przebój Jamesa McMurtry'ego, który był grany chyba wszędzie. Nosił tytuł „Talking' at the Texaco”. A z tego przeboju najlepiej zapadały w pamięć słowa „każdy musi znać swoje miejsce”. W którymś momencie Angie zaczęła się w kuchni za bardzo do niego przysuwać. Na przykład sięgając po coś, co spokojnie mógł jej podać, przyciskała biust do jego ramienia. Znał te bajery. I wiedział, kim jest jej chłopak, a także miał świadomość, że Frankie DeLesseps należy do tych, co w tym mieście narzucają swoją wolę, nawet jeśli jedyną jego zaletą była przyjaźń z synem Dużego Jima Renniego. A on, Dale Barbara, przelotny gość, w Chester's Mill po prostu nie miał własnego miejsca.

Któregoś wieczoru dziewczyna lekko ścisnęła go w kroczu, Fizjologia zrobiła swoje, a na twarzy Angie pojawił się złośliwy uśmiešek.

- Możesz mi oddać, jak chcesz - powiedziała. Na chwilę podciągnęła brzeg spódnicy, i tak już bardzo krótkiej. Przez moment widział różowe figi. - Niech będzie sprawiedliwie.

- Dzięki, pasuje.

Pokazała mu język.

Widział takie zabawy w niejednej kuchni, czasem nawet brał w nich udział.

Mogło się skończyć na zwykłym podrywie starszego i dość przystojnego znajomego z pracy przez młodą dziewczynę. Niestety, potem Angie i Frankie zerwali ze sobą. I w pewien wieczór, kiedy Barbie wylewał resztki do pojemnika na tyłach restauracji, dziewczyna postanowiła go podejść na serio.

Odwrócił się i na nią wpadł. Objęła go za szyję, pocałowała. Z początku odruchowo oddał pocałunek. Angie jedną jego rękę położyła sobie na piersi. Wtedy wróciła mu zdolność myślenia. Pierś była fantastyczna, młoda i jędrna, a także stanowiła źródło kłopotów. Jak zresztą cała dziewczyna. Chciał się odsunąć, ale nie od razu zdołał, bo choć obejmowała go tylko jedną ręką, to wbiła mu paznokcie w szyję i napierała na niego biodrami. Pchnął trochę mocniej, wtedy zatoczyła się na pojemnik ze zlewkami. Spojrzała na niego chmurnie, dotknęła siedzenia dzinsów i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

- Wielkie dzięki! Jestem uświniona po całości.

- Powinnaś wiedzieć, kiedy odpuścić - powiedział spokojnie.

- Podobało ci się!

- Może i tak. Ale cię nie lubię. Wtedy zobaczył, że ją skrzywdził. Dojrzał na jej twarzy gniew.

- To znaczy... lubię, ale nie w ten sposób, rozumiesz - dodał. Oczywiście ludzie mają sposoby powiedzenia tego, co naprawdę myślą, kiedy są wzburzeni.

Cztery dni później w karczmie ktoś wylał mu na plecy szklankę piwa. Frankie DeLesseps.

- Jak tam, Baaarbie? Fajnie? Mogę jeszcze raz. Dziś dają dzbanek za dwa dolce. Albo jeśli wolisz, możemy wyjść.

- Nie wiem, co ci powiedziała, ale nakłamała - stwierdził Barbie. Z szafy grającej płynęła akurat zupełnie inna melodia, wcale nie przebój McMurtry'ego, mimo wszystko Barbie i tak miał w głowie tamte słowa: „każdy musi znać swoje miejsce”.

- Powiedziała mi, że mówiła „nie”, ale tobie to nie przeszkadzało i tak czy inaczej ją przeleciałeś. Ile ty ważysz? Z pięćdziesiąt kilo więcej niż ona? To mi wygląda na gwałt.

- Nic jej nie zrobiłem. - Wiedział, że jego słowa nie mają żadnego znaczenia.

- Wyjdiesz przed lokal, skurwielu jeden, czy tchórzysz?

- Tchórzę - stwierdził Barbie.

Co dziwne, Frankie odpuścił. Barbie uznał w tej sytuacji, że ma dość piwa i muzyki na jeden wieczór, i zaczął wstawać, kiedy Frankie wrócił. Tym razem nie ze szklanką, lecz z dzbankiem piwa.

- Nie rób tego - powiedział Barbie.

Frankie oczywiście nie posłuchał. Chlusnął mu w twarz. Piękny prysznic. Kilka osób się zaśmiało, paru podpitych zaklaskało.

- Możesz wyjść teraz i załatwić sprawę - powiedział Frankie - albo zaczekam. Nie będę się powtarzał, Baaarbie.

Wobec tego Dale Barbara poszedł. Uświadomił sobie, że teraz czy później, i tak go to nie minie. Zamierzał rozprawić się z Frankiem szybko, zanim powstanie zbiegowisko.

Potem przeprosił i powtórzył, że nic nie zaszło. Nie zająknął się słowem o tym, jak Angie na niego leciała, chociaż podejrzewał, że sporo osób już i tak o tym wie, na pewno Rose i Anson. Może Frankie oprzytomnieje dzięki krwawiącemu nosowi i zrozumie, że pomysł zemsty był od początku chybiony.

Zrazu wydawało się, że sprawy potoczą się tak, jak Barbie przewidywał. Frankie stał w rozkroku, na żwirze leży dwa jego cienie, zarysowane przez latarnie na krańcach parkingu. Zaciśnięte pięści uniósł jak John L. Sullivan. Wściekły, silny i głupi. Kolejny małomiasteczkowy awanturnik. Zwykle załatwia przeciwnika jednym ciosem, potem go podnosi za frak i okłada dotąd, aż nieszczęśnik zacznie błagać o litość.

Frankie podsunął się bliżej i uderzył - jak było do przewidzenia, od dołu, celując w szczękę. Barbie uniknął ciosu dzięki lekkiemu przechyleniu głowy. Skontrował prawym prostym w splot słoneczny. Frankie wylądował na ziemi. Kompletnie ogłupiały.

- Nie musimy... - zaczął Barbie, a wtedy Junior wyrzucił go w nerki, pewnie splecionymi dłońmi, żeby użyć większej siły.

Barbie zatoczył się do przodu. Tam już czekał na niego Carter Thibodeau, wyszedł pomiędzy dwóch zaparkowanych samochodów. Wyprowadził cios z półobrotu. Gdyby trafił, złamałby Barbiemu szczękę, ale kucharz zdążył się zasłonić ręką. Tak zarobił najgorsze siniaki - w dniu, gdy chciał odejść z miasta, ciągle jeszcze brzydkie, żółte.

Skręcił się w bok. Oczywiście zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Wiedział też, że należy zakończyć sprawę, zanim komuś naprawdę stanie się krzywda. Niekoniecznie jemu. Zamierzał uciec, nie przeszkadzało mu w tym fałszywe poczucie dumy. Zrobił trzy kroki i wtedy skoczył na niego Melvin Searles. Barbie wylądował na ziemi, na brzuchu. Zaczęło się kopanie. Zasłonił głowę, więc grad kopniaków spadł mu na nogi, plecy i ramiona. Dostał raz dość mocno w żebra, zaraz potem udało mu się dźwignąć na kolana, obok furgonetki do przewożenia mebli należącej do Grubego Normana.

Wtedy opuścił go zdrowy rozsądek, w tamtej chwili przestał myśleć o ucieczce. Wstał, odwrócił się twarzą do napastników, wyciągnął przed siebie ręce, poruszył palcami.

Bezczelne zaproszenie. Prowokacja. Znajdował się w wąskiej przestrzeni między samochodami, musieli do niego przychodzić pojedynczo.

Pierwszy spróbował Junior. Jego entuzjazm został nagrodzony kopniakiem w brzuch. Barbie w przeciwieństwie do napastników miał na nogach obuwie sportowe, a nie skórzane ciężkie buciory, ale kopnął mocno, więc Junior zgiął się wpół, walcząc o oddech. Nad nim zaczął się gramolić Frankie, więc Barbie, korzystając z okazji, uderzył go dwa razy w twarz - krótkie, ostre ciosy, dość mocne, ale nie na tyle, by cokolwiek złamać.

Zazgrzytał żwir. Barbie odwrócił się akurat na czas, by zainkasować potężny raz od Thibodeau, który zaszedł go od tyłu. Dostał w skroń. Zobaczył gwiazdy.

- A może była między nimi nawet jedna kometa - powiedział Brendzie, otwierając zawór pełnej butli.

Thibodeau nacierał, ale zainkasował kopa w kostkę. Opadł na kolano. Wyglądał jak sportowiec ustawiający piłkę do karnego, tyle że taki piłkarz zwykle nie ściska kostki.

- Nie grasz fair! - wrzasnął idiotycznie. - Co ty nie po...

Więcej Barbie nie zdążył powiedzieć, bo Melvin Searles od tyłu chwycił go ramieniem za szyję. Kucharz wyrznął go łokciem w brzuch, usłyszał syk uchodzącego z płuc powietrza. Śmierdziało piwem, papierosami i kiełbaskami. Już się obracał, wiedząc, że Thibodeau zaatakuje ponownie, zanim on zdoła wywalczyć sobie przejście pomiędzy samochodów. Twarz mu pulsowała bólem, żebra też i raptem doszedł do wniosku, a wniosek ten wydawał się dość rozsądny, że wyśle ich, wszystkich czterech, do szpitala. Potem będą mogli sobie podyskutować na temat chwytów poniżej pasa.

Wtedy pojawił się komendant Perkins wezwany przez Andersonów, właścicieli karczmy. Wjechał na parking z całą dyskoteką na dachu i migającymi światłami przednimi. Walczący zostali oświetleni jak aktorzy na scenie.

Perkins raz wdusił przycisk syreny; zawyła przez pół obrotu i umilkła. Wysiadł, poprawiając pas na wydatnym brzuchu.

- Nie za wcześnie trochę na takie zabawy, chłopcy? Odpowiedział mu Junior Rennie.

11

Brenda nie musiała tego słyszeć od Barbiego. Znała ciąg dalszy od męża. I wcale nie była zaskoczona. Syn Dużego Jima już jako dziecko potrafił kłamać jak z nut, zwłaszcza gdy stawką były jego korzyści.

- Junior Rennie powiedział: „Kuchta zaczął”. Mam rację?

- Aha. - Barbie wdusił przycisk uruchamiający generator, urządzenie ożyło z

warkotem. Uśmiechnął się do gospodyni, mimo że policzki go parzyły. Właśnie skończył opowiadać historię, która nie należała do jego ulubionych. Chociaż pewnie któregoś dnia uzna, że jest lepsza od tamtej w gimnazjum w Al - Falludży. - Proszę uprzejmie: światła, kamera, akcja!

- Bardzo panu dziękuję. Jak długo będzie działał?

- Ze dwa dni. Może wtedy będzie już po wszystkim.

- Może tak, a może nie. A wracając jeszcze do tamtych zdarzeń... Czy pan wie, dlaczego pan nie trafił pod klucz w komendzie powiatowej?

- Jasne. Dzięki pani mężowi. Widział, co się działo. Czterech na jednego. W sumie rzucano się w oczy.

- Inny policjant mógłby tego nie zauważyć, nawet mając tuż przed oczami. Miał pan szczęście, że akurat Ho wie pełnił służbę tamtego wieczoru. Przypadała kolej George'a Fredericka, ale zadzwonił, że ma gripę żołądkową. - Umilkła na chwilę. - Może pan to nazwać zrzędzeniem opatrności.

- Prawda - zgodził się Barbie.

- Wejdzie pan do środka?

- A może posiedzimy tutaj? Jeśli to pani nie przeszkadza... Bardzo tu przyjemnie.

- Chętnie. Niedługo pogoda się zmieni, będzie chłodniej... Mam rację?

Barbie przyznał, że nie wie.

- Kiedy Howie zabrał was wszystkich do komisariatu, DeLesseps powiedział mu, że zgwałcił pan Angie McCain. Zgadza się?

- Z początku tak twierdził. Potem przyznał, że może to nie do końca był gwałt, ale że dziewczyna się przestraszyła i chciała wycofać, a ja jej nie pozwoliłem. Czyli, zdaje się, gwałt drugiego stopnia.

Brenda uśmiechnęła się przelotnie.

- Przy feministkach lepiej niech się pan nie afiszuje ze stopniowaniem gwałtu.

- Słusznie. Co potem... Pani mąż wsadził mnie do pokoju przesłuchań, który normalnie chyba jest schowkiem na szczotki...

Brenda parsknęła śmiechem.

- ...i wepchnął tam Angie. Posadził ją naprzeciwko, musiała patrzeć mi w oczy. Rany boskie... niewiele brakowało, a dotykaliśmy się łokciami. W takich warunkach nietatwo kłamać, zwłaszcza młodej osobie i na poważne tematy. Nauczyłem się tego w armii. Pani mąż też o tym wiedział. Powiedział jej, że sprawa trafi do sądu. Wyjaśnił, jaka jest kara za krzywoprzysięstwo. Już nie będę wchodził w szczegóły, ale w końcu Angie wycofała

oskarżenie. Stwierdziła, że nie było żadnego zbliżenia, nie mówiąc już o gwałcie.

- Howie zawsze stosował zasadę, że rozum stoi przed prawem. Na tym się opierał, zgodnie z tą myślą prowadził sprawy. Peter Randolph praktykuje zupełnie inne podejście, bo po pierwsze, ma kłopoty z myśleniem, a po drugie i ważniejsze, nie dałby sobie rady z Renniem. Mój mąż sobie z nim radził. Howie powiedział, że kiedy do pana Renniego dotarły wieści o pańskiej... sprzeczce z jego synem, naciskał, by pana za coś jednak aresztowano. Za cokolwiek. Był wściekły. Wiedział pan o tym?

- Nie. - Ale nie był zaskoczony.

- Howie oznajmił panu Renniemu, że jeśli cokolwiek z wydarzeń tamtych dni trafi przed sąd, on osobiście dopilnuje, żeby zostało ujawnione wszystko, łącznie z kwestią czterech na jednego na parkingu. Dorzucił też, że dobry obrońca może wygrzebać gimnazjalne wybryki Juniora i Frankiego. Było ich kilka, chociaż żaden takiej wagi jak w pana przypadku.

- Pokręciła głową. - Junior Rennie nigdy nie był szczególnie miłym dzieckiem, ale też raczej nikomu nie zagrażał. Zmienił się w ciągu ostatniego roku. Howie to dostrzegał i nie dawało mu to spokoju. Odkryłam, że wiedział pewne rzeczy o nich obu, o synu i ojcu... - Umilkła.

Barbie widział wyraźnie, że biła się z myślami, czy ujawnić tajemnicę, i w końcu postanowiła zachować dyskrecję. Nauczyła się tego jako żona małomiasteczkowego policjanta i trudno jej było zwalczyć ten nawyk.

- Howie poradził panu wyjechać z miasta, zanim Rennie znajdzie jakiś inny sposób, żeby panu dobrać się do skóry, prawda? Domyślam się, że nie zdążył pan z powodu klosza.

- Tak. Prawda. Jedno i drugie. Proszę pani, czy mógłbym teraz dostać coli?

- Mów mi po imieniu. A ja będę do ciebie mówiła Barbie, jeśli ci to nie przeszkadza. Proszę, weź sobie colę.

Barbie uniósł się, sięgnął do lodówki.

- Chcesz klucze do schronu, żeby stamtąd wziąć licznik Geigera. W tym mogę ci pomóc i pomogę. Ale twoim zdaniem Jim Rennie powinien o tym wiedzieć i z tą kwestią nie bardzo mogę dojść do ładu. Może rozpacz przyćmiewa mi myśli, jednak nie rozumiem, dlaczego w ogóle chcesz rozmawiać z tym człowiekiem. Duży Jim nie znosi, gdy ktokolwiek podważa jego autorytet, a ciebie jeszcze, na dodatek, darzy szczerą antypatią. I nie jest ci nic winien. Gdyby nadal komendantem był mój mąż, poszlibyście do Renniego razem. Chętnie bym zobaczyła efekty. Cóż, Howiego nie ma, a ty zapewne wylądujesz w celi, zamiast szukać swojego tajemniczego generatora.

- Wiem, wszystko to wiem, ale sytuacja się zmieniła. Jutro punktualnie o godzinie trzynastej Air Force wystrzeli w kopułę cruise'a.

- O mój Boże!

- Strzelali w nią już wcześniej, ale tylko po to, żeby określić, jak wysoko sięga. Radar jej nie widzi. Wtedy to były głowice ćwiczebne. Ta będzie prawdziwa. Z ładunkiem niszczącym bunkry.

Brenda pobladła.

- Gdzie będą celować?

- W miejsce gdzie klosz przecina Little Bitch Road. Byliśmy tam z Julią wczoraj wieczorem... Pocisk wybuchnie jakieś półtora metra nad ziemią.

Gospodyni otworzyła usta w sposób całkiem nieprzystający do kobiety z klasą. - Niemożliwe!

- Niestety, tak ma być. Wypuszczą pocisk z B - 52. Polecą zaprogramowanym kursem. Solidnie zaprogramowanym. Wzięli pod uwagę każdą dziurę. Taki pocisk jest naprawdę potężny. Jeżeli wybuchnie, a się nie przebije, będziemy mieli w mieście panikę. I efekty jak w czasie Armagedonu. Natomiast jeśli się przebije...

Brenda uniosła rękę do ust.

- Jakie będą straty? Barbie, nie mamy wozów strażackich!

- Na pewno będą w pobliżu. A jeśli chodzi o szkody... - Skrzywił się lekko. - Trzeba będzie ewakuować całą okolicę.

- Czy to mądre posunięcie? Czy oni tam mają rację?

- Trudne pytanie, proszę pa... Brendo. Taką podjęli decyzję. Niestety, to nie koniec kłopotów. - Widząc wyraz jej twarzy, dodał szybko: - Dla mnie, nie dla miasta. Zostałem awansowany na pułkownika. Rozkazem prezydenckim.

Brenda przewróciła oczami.

- Gratuluję.

- Mam wprowadzić stan wyjątkowy i w zasadzie przejąć władzę w Chester's Mill. Jimowi Renniemu się taki pomysł spodoba?

Zaskoczyła go, wybuchnęła śmiechem. I on sam siebie zaskoczył, bo śmiał się z nią razem.

- Widzisz, jakie mam problemy? Mieszkańcy miasta nie muszą wiedzieć, że sobie pożyczam z ratusza stary licznik Geigera, ale muszę im powiedzieć o tym, że jutro spadnie na nich cruise. Jeśli ja tego nie rozpowiem, zrobi to Julia Shumway, ale ojcowie miasta powinni usłyszeć te wieści ode mnie, bo...

- Wiem. Wiem dlaczego.

Słońce czerwieniało. Brenda objęła się ramionami.

- Skoro masz przejąć władzę... a tego chce twój zwierzchnik...

- Zdaje się, że Cox jest teraz raczej moim kolegą - zauważył Barbie.

- Andrea Grinnell... - Brenda westchnęła ciężko. - Do niej z tym pójdziemy. Potem razem porozmawiamy z Renniem i Andym Sandersem. Przynajmniej będzie nas więcej.

- Z siostrą Rose? Dlaczego?

- Jest radną, nie wiedziałeś?

- Nic a nic.

- No tak, mało kto o tym wie, chociaż Andrea już od kilku lat sprawuje tę funkcję. Zwykle we wszystkim zgadza się z tamtymi dwoma, a w zasadzie z Renniem, bo przecież Andy Sanders przyklaskuje bezkrytycznie swojemu zastępcy. Przy tym Andrea... ma kłopoty. Czy może miała...

- Jakie?

Przez chwilę sądził, że tę wiadomość również Brenda zachowa dla siebie, jednak postanowiła ją ujawnić.

- Jest uzależniona od leków. Od środków przeciwbólowych. Nie wiem, do jakiego stopnia.

- I pewnie realizuje recepty w aptece Sandersa?

- Tak. Mój plan nie jest doskonały i będziesz musiał zachować wyjątkową ostrożność, mimo wszystko... Jim Rennie może przez zwykłą logikę zostać zmuszony do zaakceptowania twojej roli. Przynajmniej na jakiś czas. Ale żebyś miał rządzić w mieście? - Pokręciła głową. - Podetrze sobie tyłek dowolną formą deklaracji stanu wyjątkowego, nawet podpisaną przez prezydenta. Widzisz...

Urwała. Patrzyła na coś za jego plecami, a oczy miała coraz większe.

- Proszę pani? Brendo... Co się stało?

- Och... - szepnęła. - Boże jedyny. Odwrócił się i sam umilkł oszołomiony.

Zachodzące słońce było czerwone, jak to się zwykle zdarzało po ciepłym, pięknym dniu niesplamionym późnym deszczem. Natomiast takiego zachodu słońca Barbie nie widział dotąd nigdy. I podejrzewał, że coś podobnego mogli oglądać jedynie ludzie znajdujący się w pobliżu wulkanu w niedługi czas po wybuchu.

Chociaż nie, pomyślał. Oni też nie. Bo to coś zupełnie nowego.

Słońce nad horyzontem nie było kulą. Zmieniło się w wielką czerwoną kokardę z płonącym środkiem. Zachodni widnokrąg był pociągnięty cienką krwistą warstwą, jaśniejącą wyżej do pomarańcza.

- Jezu Chryste! Zupełnie jakbym miała bardzo brudną przednią szybę.

Rzeczywiście, tak właśnie było. Tyle że kopuła to nie przednia szyba. Zaczęła się pokrywać kurzem i innymi zanieczyszczeniami. Także substancjami powodującymi skażenie. I z pewnością będzie gorzej.

Trzeba ją umyć, postanowił Barbie automatycznie.

Oczami wyobraźni zobaczył rzędy ochotników z wiadrami i szmatami w rękach. Absurd. Jak mają umyć klosz na wysokości dziesięciu metrów? Albo stu? Lub tysiąca?

- To się musi skończyć - wyszeptała Brenda. - Zadzwoń do nich i powiedz, żeby szykowali największy pocisk, jaki mają, pal diabli konsekwencje. Bo to się musi skończyć.

Barbie milczał. Nie był pewien, czy zdołałby się odezwać, nawet gdyby miał coś do powiedzenia. Ta płonąca luna... Miał wrażenie, że przez dziurkę od klucza zagląda do piekła.

KWIK, KWIK, KWIK

1

Jim Rennie i Andy Sanders obserwowali dziwaczny zachód słońca ze stopni domu pogrzebowego. Wybierali się do ratusza na kolejne zebranie w celu oceny skali zagrożenia, przewidziane na siódmą, a Duży Jim chciał być wcześniej, żeby się przygotować. Tymczasem jednak stali w miejscu, patrząc, jak dzień umiera dziwną, rozmazaną śmiercią.

- Całkiem jak koniec świata - powiedział Andy cicho, wyraźnie przestraszony.

- Bzdura! - stwierdził Duży Jim.

Ale głos miał schrypnięty, nawet sam to słyszał. Bo i jemu przemknęła przez głowę podobna myśl. Ponieważ po raz pierwszy, odkąd zaistniała kopała, uświadomił sobie, że sytuacja może im się wymknąć spod kontroli. Jemu może się wymknąć spod kontroli. Natychmiast, zdecydowanie odtrącił tę możliwość.

- Czy widzisz Chrystusa Pana zstępującego z niebios?

- Nie - przyznał Andy.

Widział natomiast, jak mieszkańcy miasta, których znał całe życie, przystają grupkami na Main Street i w milczeniu obserwują groźny zachód słońca, osłaniając oczy dłońmi.

- A widzisz mnie? - ciągnął Duży Jim.

- Tak, oczywiście. - Andy wydawał się zakłopotany. - Widzę cię, jak najbardziej.

- Co oznacza, że nie poszedłem żywcem do nieba - oznajmił Duży Jim. - Oddałem serce Chrystusowi przed wielu laty, więc gdyby nastąpił koniec świata, nie byłoby mnie tutaj. Ani ciebie, prawda?

- Chyba tak - zgodził się Andy bez wielkiego przekonania. Gdyby zostali wyzwoleni od grzechu, obmyci w krwi Baranka, to jak wytłumaczyć, że przed chwilą rozmawiali ze Stewartem Bowiem na temat zakończenia przedsięwzięcia, które Duży Jim nazywał „wspólnym interesikiem”? A w ogóle jak do tego wszystkiego doszło? Co wspólnego z uwolnieniem od grzechu ma wytwórnia nietamfetaminy?

Wiedział, jaką by dostał odpowiedź, gdyby zadał te pytania Dużemu Jimowi. „Niekiedy cel uświęca środki”. Cel rzeczywiście wydawał się wart zachodu - nowy dom modlitwy Kościoła Chrystusa Odkupiciela w miejsce starego, czyli nieco większej szopy z drewnianym krzyżem na dachu, do tego radiostacja, dzięki której udało się ocalić Bóg jeden wie jak wiele dusz, oraz wspieranie Towarzystwa Misjonarskiego Chrystusa Pana, za sprawą

dziesięciu procent lokowanych w udziałach banku na Kajmanach. Pastor Coggins nazywał to pomocą dla ciemnoskórych braci.

Teraz, patrząc na rozmazany zachód słońca, który zdawał się mówić, że ludzkie sprawy są małe i nieważne, Andy musiał przyznać, iż wszystkie powyższe przyczyny były tylko pretekstem i marnym usprawiedliwieniem. Bez wpływów za metamfetaminę jego apteka upadłaby sześć lat temu. To samo z domem pogrzebowym. I pewnie także z komisem Jima Renniego, choć tego właściciel nigdy by głośno nie przyznał.

- Wiem, co myślisz, przyjacielu - odezwał się Duży Jim.

Andy podniósł na niego nieśmiałe spojrzenie. Duży Jim się uśmiechał, ale nie był to uśmiech zawzięty, wręcz przeciwnie - miły, pełen zrozumienia. Andy odpowiedział uśmiechem, a w każdym razie spróbował. Wiele zawdzięczał Dużemu Jimowi. Tyle że teraz sprawy takie jak apteka czy bmw, którym jeździła Claudie, wydawały się mało istotne. Najwspanialszy wóz, nawet z czujnikiem parkowania oraz systemem audio aktywowanym głosem, był kompletnie zbędny martwej żonie.

Jak się to wszystko skończy i Dodee wróci do domu, dam jej beemkę, postanowił Andy. Claudie by tego chciała.

Duży Jim uniósł dłoń, krótką i szeroką, wskazując słońce, które rozlewało się na zachodnim widnokręgu jak śmierdzące jajo.

- Wydaje ci się, że to wszystko nasza wina. Że Bóg karze nas za wspieranie miasta w trudnych czasach. A to nieprawda, przyjacielu. Nie ma w tym palca bożego. Gdybyś powiedział, że do przegranej w Wietnamie doszło za sprawą Boga, że była boskim ostrzeżeniem, że Ameryka zapomina o drodze duchowej, musiałbym się z tobą zgodzić. Jeślibyś stwierdził, że jedenasty września był odpowiedzią Najwyższego na wyrok sądu, który zdecydował, że dzieciaczki nie mogą rozpoczynać dnia od modlitwy do Pana, także bym ci przyklasnął. Ale Bóg karzący Chester's Mill za to, że nie chcemy, by miasto skończyło jako dziura zabita dechami, konająca przy podrzędnej drodze, podobnie jak Jay albo Millinocket? - Pokręcił głową. - Nie, mój drogi. Z pewnością nie.

- Trochę grosza wpadło i do naszych kieszeni - zauważył Andy nieśmiało.

Taka była prawda. Nie tylko wsparli własne biznesy oraz wyciągnęli pomocną dłoń do ciemnoskórych braci. Andy miał własne konto na Kajmanach. I głowę by dał, że Duży Jim zyskuje trzy razy tyle co on albo bracia Bowie. Albo nawet cztery.

- „Wart jest bowiem robotnik swojej strawy” - przytoczył Duży Jim górnolotnie, lecz miłym tonem. - Mateusz, rozdział dziesiąty, wers dziesiąty.

Zapomniał jedynie o poprzednim wersie: „Nie zdobywajcie złota ani srebra, ani

miedzi do swych trzosów”. Spojrzał na zegarek.

- A skoro już mowa o pracy, przyjacielu, czas się zbierać. Będziemy podejmować ważne decyzje.

Ruszył, Andy za nim, nie odrywając oczu od słońca, które przywodziło mu na myśl gnijące ciało.

Raptem Duży Jim się zatrzymał.

- A przy okazji, słyszałeś Stewarta. Wszystko zamknięte. Jak to się mówi, zamiecione do czysta. Powiedział to też samemu Kucharzowi.

- Ach, jemu... - wycedził Andy przez zęby.

- Nie martw się o Phila. - Duży Jim zachichotał. - Zamknęliśmy interesik i nie otworzymy, póki nie minie kryzys. Może to znak, że powinniśmy zwinąć interes na dobre. Znak od opatrności.

- Dobrze by było - uznał Andy.

Ale miał niemiłą pewność, że w momencie gdy klosz zniknie, Duży Jim zmieni zdanie, a wtedy on, Andy, także. Stewart Bowie i jego brat Fernald również zachowają się jak chorągiewki na wietrze. Gorliwe chorągiewki. Częściowo dlatego, że były z tego niewyobrażalne pieniądze, wolne od podatku, a częściowo dlatego, że siedzieli w tym już zbyt głęboko. Pamiętał słowa jakiejś gwiazdy filmowej, usłyszane dawno temu: „Zanim odkryłam, że nie lubię grać, byłam już stanowczo zbyt bogata, żeby to rzucić”.

- Nie przejmuj się tak bardzo - powiedział Duży Jim. - Za dwa tygodnie zaczniemy transportować propan z powrotem do miasta, niezależnie od tego, czy się ta cała awantura z kopułą skończy, czy nie. Przewieziemy miejskimi wywrotkami. Możesz prowadzić pojazdy o standardowej wadze?

- Tak - przyznał Andy ponuro.

- Ach! - Duży Jim się rozpromienił. - Możemy też wykorzystać karawan Stewiego. W ten sposób niektóre pojemniki można by przewieźć nawet wcześniej!

Andy milczał. Nie podobała mu się myśl, że przyznali sobie - jak to określał Duży Jim - tak ogromne ilości propanu z różnych źródeł miejskich, ale też była to rzeczywiście najbezpieczniejsza metoda. Produkcja szła na dużą skalę, co oznaczało zapotrzebowanie na ogromną ilość energii, a także sporą emisję gazów. Duży Jim podkreślał, że kupowanie propanu w ilościach hurtowych mogłoby spowodować niepotrzebne pytania. Podobnie jak bezpośrednie kupowanie dużych ilości różnych leków mogło zostać zauważone i spowodować kłopoty.

Prowadzenie apteki pomagało nieco w rozwiązaniu tego problemu, choć wielkość

zamówień powiązanych z produkcją, na przykład robitussinu i sudafedu, przyprawiała Andy'ego o zawał. Podejrzał, że jeśli im się noga powinie, to właśnie z tego powodu. Aż do dziś wcale nie myślał o ogromnych zapasach propanu na tyłach studia WCIK.

- A przy okazji - podjął Duży Jim - dziś w ratuszu z pewnością nam elektryczności nie zabraknie. - Z jego miny wynikało, że przyszykował miłą niespodziankę. - Poprosiłem Randolpha, żeby wysłał mojego chłopaka i jego przyjaciela Frankiego po butlę do szpitala.

Andy był wyraźnie zaniepokojony.

- Przecież już wcześniej...

- Wiem, pamiętam - uspokoił go Rennie. - Oczywiście. Nie martw się, mają dość paliwa na bieżące potrzeby.

- Mogłeś wziąć butlę ze stacji radiowej. Tyle tam tego...

- Szpital był bliżej - stwierdził Duży Jim. - I cała akcja bezpieczniejsza. Peter Randolph jest swój człowiek, co jednak nie oznacza, że chciałbym go wtajemniczać w nasze interesiki. Ani teraz, ani kiedykolwiek później.

Co upewniło Andy'ego, że Rennie w rzeczywistości wcale nie ma zamiaru zaniechać produkcji.

- Jim, a co powiemy ludziom, kiedy będziemy oddawać gaz? Wyjaśnimy, że pojawiła się gazowa wróżka, która najpierw zabrała butle z gazem, a potem zmieniła zdanie i je oddała?

Rennie ściągnął brwi.

- Przyjacielu, tobie się to wydaje śmieszne? - Nie! Raczej przerażające.

- Mam plan, mój drogi. Ogłosimy, że zorganizowaliśmy miejski magazyn paliwa i będziemy racjonować propan w miarę potrzeb. A także olej opałowy, jeżeli dojdziemy, jak go wykorzystać, w razie gdyby zabrakło prądu. Bardzo mi się nie podoba myśl o racjonowaniu czegokolwiek, to takie nieamerykańskie, ale to tak jak w bajce o mrówce i pasikoniku. Są w tym mieście łachadojdy, które w miesiąc zużyją wszystko, a potem będą prosić nas o opiekę, kiedy przyjdą chłody!

- Naprawdę sądzisz, że ta sytuacja może potrwać miesiąc?

- Ależ nie, tylko sam wiesz, jak to jest. Lepiej na zimne dmuchać, niż się gorącym sparzyć.

Andy miał ochotę podkreślić, że już zużyli sporą część miejskich zapasów - na produkcję kryształów metamfetaminy, lecz wiedział, co by usłyszał w odpowiedzi: „Nie mogliśmy tego przewidzieć”.

Rzeczywiście. Bo i kto przy zdrowych zmysłach spodziewałby się nagłego odcięcia

dostępu do wszelkich źródeł energii? Ludzie zwykle robili zapasy z górką. Jak to w Ameryce. Nie zaledwie dostateczne, bo to by urało amerykańskiej duszy.

- Nie będziesz jedynym krytycznie nastawionym do pomysłu racjonowania paliwa - zauważył Andy.

- I na taką okazję mamy policję. Wszyscy oplakujemy śmierć Howiego Perkinsa, lecz on teraz już jest z Jezusem, a my mamy Pete'a Randolpha. Który w obecnej sytuacji jest właściwszym człowiekiem na tym stanowisku. Ponieważ słucha. - Wycelował w Andy'ego palcem. - Ludzie w mieście takim jak to... a w zasadzie po prostu ludzie... są jak dzieci. Jak często to powtarzam?

- Bardzo często - westchnął Andy. - A co się robi z dziećmi?

- Trzeba ich pilnować. Jeśli chcą deser, muszą najpierw zjeść warzywa.

- Właśnie. Co oznacza, że czasem potrzebna jest marchew, a czasem kij.

- Przypomniało mi się coś jeszcze - stwierdził Andy. - Na łące u Dinsmore'a zamieniłem kilka słów z Sammy Bushey, jedną z przyjaciółek Dodee. Powiedziała, że policja traktowała ludzi zbyt brutalnie. Stanowczo zbyt brutalnie. Może przydałoby się porozmawiać o tym z komendantem Randolphem.

Jim zmarszczył czoło.

- A czego się spodziewałeś, mój drogi? Pogłaskania po główce? Przecież tam o mało nie doszło do zamieszek. Niewiele brakowało, a mielibyśmy takie siakie owakie zamieszki w Chester's Mill!

- Oczywiście, masz rację, rozumiem, ale...

- Znam tę Bushey. Znam całą jej rodzinę. Narkomani! Złodzieje samochodów! Degeneraci! Nie zwracają pożyczek, nie płacą podatków. Właśnie takich ludzi nazywaliśmy białymi śmieciami, zanim to określenie stało się politycznie niepoprawne. Właśnie takich musimy się strzec, zwłaszcza teraz. To oni doprowadzą do kłopotów w mieście, jeśli tylko damy im szansę. Tego chcesz?

- Nie...

Ale Duży Jim się rozpędził.

- W każdym mieście mieszkają mrówki, stworzenia dobre i pracowite, oraz pasikoniki, nie tak pracowite jak mrówki. Mimo wszystko da się z nimi żyć, ponieważ je rozumiemy i potrafimy przekonać, by robiły to, co należy, we własnym dobrze pojętym interesie, nawet jeśli w związku z tym trzeba je od czasu do czasu trochę przycisnąć, W każdym mieście jest także szarańcza, szkodnik rodem z Biblii. I taką szarańczę są Busheyowie. Nie wolno mieć dla nich litości. Może nam się to nie podobać, ale wolności osobiste muszą zostać

ograniczone, póki się to wszystko nie skończy. My także ponosimy pewne konsekwencje. Przecież musieliśmy zamknąć interes.

Andy nie chciał już wspominać, że w zasadzie i tak nie mieli wyboru, skoro nie było sposobu na wywiezienie towaru z miasta, więc poprzestał na krótkim „tak”. Nie miał ochoty dalej dyskutować na podobne tematy, obawiał się spotkania w ratuszu, które mogło się przeciągnąć nawet do północy. Pragnął tylko jednego: wrócić do swojego pustego domu, wlać w siebie jakiś solidny, mocny drink, położyć się, myśleć o Claudie i płakać, aż zaśnie.

- Teraz najważniejsze - ciągnął Duży Jim - to ogarnąć sytuację. Co oznacza, że muszą panować prawo i porządek. I potrzebny jest nadzór. Nasz nadzór, bo nie jesteśmy pasikonikami. My jesteśmy mrówkami. Mrówczymi żołnierzami.

Duży Jim umilkł, pogrążył się w zamyśleniu. Gdy znów się odezwał, mówił tonem praktycznego urzędnika.

- Przemyślałem ponownie naszą decyzję, by pozwolić Food City działać na normalnych zasadach. Nie mówię, że zamkniemy sklep, w każdym razie nie teraz, ale będziemy musieli przez najbliższe dni uważnie mu się przyglądać. Sokolim wzrokiem. To samo z Gas & Grocery. I może powinniśmy także zająć się żywnością najbardziej narażoną na zepsucie, przeznaczyć ją do osobistego...

Urwał w pół zdania. Z niedowierzaniem patrzył na schody ratusza. Podniósł rękę, osłonił oczy przed słońcem. A jednak, Brenda Perkins i ten zły duch, Dale Barbara. Ale nie sami, nie sami. Między nimi siedziała i z ożywieniem rozmawiała z wdową po komendancie Perkinsie Andrea Grinnell, radna. A na dodatek podawali sobie z ręki do ręki jakieś papiery.

Dużemu Jimowi się to nie podobało.

Wcale.

2

Ruszył energicznie do przodu, zdecydowany położyć kres tej konwersacji, niezależnie od jej tematu. Zanim jednak zrobił dziesięć kroków, podbiegł do niego jakiś dzieciak. Jeden z chłopaków Killiana. Jakiś tuzin Killianów mieszkał na zapuszczonej kurzej farmie przy drodze prowadzącej do Tarker's Mills. Żadne z dzieci nie grzeszyło szczególną bystrością, co wcale nie dziwiło, jeśli się wiedziało, z czyich podłych lędźwi splodzone zostało to potomstwo, lecz wszyscy byli wiernymi członkami Kościoła. Innymi słowy, obmyci z grzechu. Ten mały miał na imię Ronnie... w każdym razie Renniemu tak się wydawało, chociaż trudno było mieć pewność. Wszyscy mieli takie same okrągłe głowy, wypukłe czoła i orle nosy.

Chłopak ubrany był w podartą koszulkę WCIK i trzymał w ręku jakąś kartkę.

- O, znalazłem pana! - krzyknął. - Jejku, szukałem pana po całym mieście!

- Obawiam się, że teraz nie mam czasu na rozmowy, Ronnie - powiedział Duży Jim.

Cały czas obserwował ludzi siedzących na schodach ratusza. Troje błaznów. - Może jutro...

- Ja jestem Richie, proszę pana. Ronnie to mój brat.

- Richie, tak. Oczywiście. A teraz wybacz. - Ruszył stanowczym krokiem.

Andy wziął od chłopca kartkę i złapał Renniego za ramię.

- Lepiej przeczytaj.

Duży Jim najpierw spojrzał Andy'emu w twarz, bardziej ściągniętą i mocniej naznaczoną smutkiem niż zwykle. Dopiero potem wziął kartkę.

Jamesie,

Musimy się zobaczyć dzisiaj. Przemówił do mnie Bóg. Teraz muszę porozmawiać z Tobą, zanim przemówię do miasta. Proszę, odpisz. Richie Killian przyniesie mi Twoją odpowiedź.

Wielebny Lester Coggins

Nie Les, nawet nie Lester. Nie. Wielebny Lester Coggins. Niedobrze. Stanowczo niedobrze. Jak się wali, to się wali.

Chłopak stał przed księgarnią. W podartej koszulce i workowatych, za dużych dzinsach wyglądał jak sierota. Gdy Duży Jim na niego skinął, podbiegł natychmiast. Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej wyjął z kieszeni długopis (ze złotym napisem wzdłuż korpusu TEN SIĘ RADUJE, KTO U DUŻEGO JIMA KUPUJE) i skreślił krótką odpowiedź: „O północy. U mnie”. Złożył kartkę, podał chłopakowi.

- Zanieś mu. I nie czytaj!

- Mowy nie ma, proszę pana! Niech pana Bóg błogosławi.

- Ciebie także, synu.

Odprowadził biegnącego chłopca wzrokiem.

- O co mu chodzi? - spytał Andy. - O wytwórnię? O narko...

- Zamknij się.

Andy aż pomylił krok. Duży Jim nigdy dotąd nie kazał mu się zamknąć. Innymi słowy, było źle.

- Nie wszystko naraz - oznajmił Rennie i ruszył rozwiązać następny problem.

Patrząc na zbliżającego się Renniego, Barbie w pierwszej chwili pomyślał: „Ten

człowiek idzie, jakby był chory, a o tym nie wiedział”. Poza tym wiceprzewodniczący Rady Miejskiej szedł jak człowiek, który przywykł do kopania cudzych tyłków. Z fałszywym uśmiechem współczucia ujął obie dłonie Brendy i lekko je uściśnął. Wdowa pozwoliła na tę scenę ze spokojem i wdziękiem.

- Przyjmij moje kondolencje - odezwał się radny. - Przyszedłbym wcześniej, by złożyć ci najszczerze wyrazy współczucia... Na pogrzebie oczywiście się zjawię... Byłem zajęty... Jak wszyscy.

- Oczywiście.

- Tak nam brakuje Duke'a...

- Bardzo nam go brakuje - poparł Renniego Andy. Holownik wspomagający liniowiec oceaniczny. - Wszyscy odczuwamy jego brak.

- Bardzo wam obu dziękuję.

- Ogromnie chciałbym zostać z tobą i porozmawiać o twoich zmartwieniach... Widzę wyraźnie, że nie dają ci spokoju... - Uśmiech Dużego Jima odsłonił już wszystkie zęby, ale nadal nie zbliżył się do oczu. - Niestety, mamy bardzo ważne spotkanie. Andrea, czy byłabyś tak uprzejma i pobiegła rozłożyć teczki?

Andrea, choć dobiegała pięćdziesiątki, wyglądała w tej chwili jak dziecko przyłapane na podkradaniu gorących ciasteczek stygnących na parapecie. Zaczęła wstawać, krzywiąc się z bólu, ale że Brenda mocno chwyciła ją za rękę, usiadła z powrotem.

Barbie uświadomił sobie, że zarówno Andrea Grinnell, jak i Andy Sanders robią wrażenie wystraszonych na śmierć, I nie chodziło o klosz, w każdym razie nie w tym momencie. Bali się Renniego.

Znów pojawiła się znajoma myśl. Najgorsze jeszcze przed nami.

- Rennie - odezwała się Brenda miło - powinieneś znaleźć dla nas chwilę. Rozumiesz przecież, że gdyby sprawa nie była ważna... bardzo ważna, siedziałabym teraz w domu, oplakując męża.

Dużemu Jimowi zabrakło słów. Jak nigdy. Przechodnie, którzy jeszcze przed chwilą obserwowali zachód słońca, teraz przyglądali się temu zaimprovizowanemu spotkaniu. Może Barbara zyskiwał w ich oczach na znaczeniu jedynie z tego powodu, że siedział między radną miejską a wdową po komendancie policji? We troje przekazywali sobie z rąk do rąk kartki, jakby to był list od samego papieża z Rzymu. Kto wpadł na pomysł, żeby z tego zrobić publiczne przedstawienie? Brenda Perkins, oczywiście. Andrea była na to za mało sprytna. I nie miała odwagi mu się stawiać, zwłaszcza publicznie.

- Chyba znajdziemy kilka minut, jak sądzisz, Andy?

- Oczywiście - zgodził się Andy. - Dla pani zawsze znajdziemy chwilę. Naprawdę mi przykro z powodu Duke'a.

- A mnie z powodu pańskiej żony - powiedziała Brenda ze smutkiem.

Spojrzeli sobie w oczy. Był to moment prawdziwego szczerego współczucia, więc Duży Jim miał ochotę rwać włosy z głowy. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na takie gwałtowne emocje, ponieważ szkodziły mu na ciśnienie, a co mu szkodziło na ciśnienie, to mu szkodziło także na serce. Czasem jednak było trudno. Zwłaszcza kiedy człowiek dostał wiadomość od znajomego, który wiedział o wiele za dużo, i właśnie nabrał przekonania, że Bóg każe mu przemawiać do miasta. Jeżeli Duży Jim słusznie podejrzewał, co się kłuło w głowie Cogginsa, to aktualne kłopoty były pikuś w porównaniu z tym.

Chociaż... mógł się mylić, Brenda Perkins nigdy go nie lubiła, a została wdową po człowieku, który był teraz w mieście postrzegany - kompletnie bez przyczyny - jako bohater. Wobec czego trzeba po pierwsze...

- Wejźmy do środka - zarządził. - Porozmawiamy w sali konferencyjnej. - Przeskoczył wzrokiem na Barbiego. - Pan także odgrywa tutaj jakąś rolę, panie Barbara? Nie bardzo rozumiem, co pana tu sprowadza.

- Przypuszczam, że to panu pomoże zrozumieć - powiedział Barbie, podając mu kartki, które oglądali przed chwilą. - Byłem w armii. W randze kapitana. Wygląda na to, że przedłużono mi okres służby. A jednocześnie dostałem awans.

Rennie wziął kartki za sam rozek, jakby go parzyły. List był zdecydowanie bardziej elegancki niż notka, którą przyniósł mu Richie Killian, a także od znacznie szerszej znanej nadawcy. W nagłówku napisano po prostu BIAŁY DOM. Korespondencja nosiła bieżącą datę.

Rennie pomacał papier. Głęboka pionowa zmarszczka przecięła mu czoło między krzaczastymi brwiami.

- To nie jest papeteria z Białego Domu. Oczywiście, że nie, ty półgłówku.

Barbie nie powiedział tego na głos, ale niewiele brakowało.

Sądziłeś, że dokument został przed godziną dostarczony przez Zastęp Elfów FedEx? Któryś liliput teleportował się przez kopułę i już? Bez problemu?

- Rzeczywiście, nie. - Barbie starał się odpowiedzieć sympatycznym tonem. - Przyszedł drogą elektroniczną jako plik PDF. Pani Shumway go wydrukowała.

Julia Shumway. Następna intrygantka.

- Przeczytaj ten list, Jamesie - odezwała się Brenda cicho. - Jest ważny.

Duży Jim przeczytał.

Benny Drake, Norrie Calvert i Joe McClatchey Chudzielec stali przed redakcją „Democrata” w Chester's Mill, Każde z nich miało latarkę. Benny i Joe w rękach, Norrie wetknęła swoją do głębokiej kieszeni kangurki. Patrzyli w stronę ratusza, gdzie kilka osób, w tym troje radnych miejskich oraz kucharz ze Sweetbriar Rose, najwyraźniej brało udział w jakiejś konferencji.

- Ciekawa jestem, o co chodzi - odezwała się Norrie.

- Dorosłe pierdoły - ocenił Benny z pełnym wyższości brakiem zainteresowania, po czym zapukał do drzwi.

Nikt nie odpowiadał, więc Joe przepchnął się obok niego i przekręcił gałkę. Drzwi ustąpiły. Natychmiast zrozumieli, dlaczego pani Shumway ich nie słyszała - kopiarka pracowała pełną parą, a redaktorka rozmawiała głośno z dziennikarzem sportowym i z facetem, który robił zdjęcia na łąkach.

Zobaczyła dzieciaki, gestem zaprosiła je do środka. Pojedyncze kartki wystrzeliwały z kopiarki na tackę. Pete Freeman i Tony Guay na zmianę zabierali je i układali w stosy.

- No, jesteście - odezwała się Julia. - Już się bałam, że nie przyjdziecie. Prawie skończyliśmy. O ile ta cholerna kopiarka się nie zesra.

Joe, Benny i Norrie przyjęli soczyste wyrażenie z milczącą aprobatą, każde z nich postanowiło sobie w duchu wykorzystać je przy pierwszej okazji.

- Rodzice pozwolili? - spytała Julia. - Nie chcę mieć na karku! stada rozwścieczonych opiekunów.

- Tak, proszę pani - zapewniła ją Norrie. - Pozwolili. Freeman związywał ryzę papieru szpagatem. Szło mu jak po grudzie.

Norrie widziała to wyraźnie, bo sama знаła pięć różnych węzłów. Potrafiła też przywiązywać woblery do żyłki. Ojciec ją nauczył. A ona jemu w zamian pokazała, jak zrobić manuala na nosie deski na poręczy. Kiedy po pierwszej próbie wylądował na tylnej części ciała, aż się popłakał ze śmiechu. Norrie uważała, że ma najwspanialszego ojca pod słońcem.

- Może ja to zrobię? - zaproponowała.

- Jeśli potrafisz lepiej niż ja, bierz się do roboty. - Pete odsunął się na bok.

Podeszła do sterty kopii, Joe i Benny tuż za jej plecami. Nagle zobaczyła duży nagłówek wydrukowany czarnymi literami i aż stanęła w pół kroku.

- O cholera!

Przycisnęła dłonie do ust, ale słów cofnąć już nie mogła.

Julia tylko pokiwała głową.

- Masz rację, dziecko. - Potoczyła wzrokiem po całej trójce. - Rozumiem, że wszyscy macie rowery i koszyki. Nie możecie rozwozić tego na deskach.

- Tak pani powiedziała i tak jest - zameldował Joe. - U mnie nie ma koszyka, ale jest bagażnik.

- Ja mu przymocuję ładunek - stwierdziła Norrie.

Pete Freeman z podziwem obserwował, jak dziewczyna szybko i sprawnie wiąże węzły, co trochę przypominało trzepotanie skrzydeł motyla. - Nieźle ci idzie - uznał, kręcąc głową.

- Fakt - stwierdziła Norrie bez fałszywej skromności.

- Latarki macie? - spytała Julia.

- Mamy - odpowiedzieli wszyscy troje.

- Doskonale. „Democrat” nie zatrudniał gazeciarzy od trzydziestu lat. Nie chciałabym, żeby świętowanie powrotu tej praktyki zepsuł jakiś wypadek na przykład na którymś rogu Main albo Prestile.

- To by było dno - zgodził się Joe.

- Zostawiacie jedną kartkę przy każdym domu i sklepie na tych dwóch ulicach, tak? Następnie na Morin i St Anne Avenue. Potem dalej. Zróbcie, co się da, ale o dziewiątej wracajcie do domu. Jeśli coś zostanie, połóżcie na rogach ulic. Przyciśnijcie kamieniem.

Benny znów przebiegł wzrokiem nagłówek.

UWAGA MIESZKAŃCY CHESTER'S MILL! BARIERA ZOSTANIE ZBOMBARDOWANA

POCISKIEM CRUISE

ZALECANA EWAKUACJA ZACHODNIEJ CZĘŚCI MIASTA

- Założę się, że to nic nie da - stwierdził Joe ponuro, przyglądając się mapie umieszczonej w dolnej części kartki, wyraźnie rysowanej odręcznie.

Granicę między Chester's Mill a Tarker's Mills zaznaczono na czerwono. W miejscu gdzie Little Bitch Road przecinała granicę miasta, znajdował się czarny X. Został opatrzony napisem CEL.

- Nie kracz, mały - westchnął Tony Guay.

*BIAŁY DOM**Do**RADNYCH CHESTER'S MILL:**Andrew Sandersa**Jamesa P. Nenniego**Andrei Grinnell**Szanowni Państwo!*

Przede wszystkim chciałbym Państwa pozdrowić, wyrazić ogromną troską i zapewnić o najszczerzych intencjach. Jutrzejszy dzień ustanowiłem Narodowym Dniem Modlitwy. Kościoły w całej Ameryce będą otwarte, by ludzie wszelkich wyznań mogli się modlić za was oraz za tych, którzy pracują nad zrozumieniem i odwróceniem procesów, które zaszły na granicach Waszego miasta. Pragnę zapewnić, że nie ustaniemy w wysiłkach, dopóki mieszkańcy Chester's Mill nie zostaną oswobodzeni, a winni ich uwięzienia - ukarani. Sytuacja wkrótce zostanie rozwiązana. Takie przyrzeczenie składam Wam oraz wszystkim mieszkańcom Chester s Mill wsparte powagą mojego urzędu jako Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych.

Po drugie, list ten ma służyć przedstawieniu pułkownika Dale'a Barbary, żołnierza Armii Stanów Zjednoczonych. Pułkownik Barbara służył w Iraku, gdzie został odznaczony Brązową Gwiazdą Meritorious Service Medal oraz dwukrotnie Purpurowym Sercem. Ostatnio przywróciliśmy go do służby i awansowaliśmy, by mógł pełnić odpowiedzialną rolę łącznika. Wiem, że jako prawomyślni Amerykanie zapewnicie mu wszelką pomoc. Tak jak Wy pomożecie jemu, tak my Wam.

Pierwotnie zamierzałem, idąc za radą Kolegium Szefów Połączonych Sztabów oraz Sekretarza Obrony i Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wprowadzić w Chester s Mill stan wyjątkowy, mianując pułkownika Barbarę tymczasowym gubernatorem wojskowym. Jednak pułkownik Barbara zapewnił mnie, że nie będzie to konieczne. Stwierdził, iż spodziewa się pełnej współpracy ze strony radnych miejskich, a także miejscowej policji. Ufa, iż całkowicie wystarczająca będzie dla niego pozycja doradcy. Musiałem się zgodzić z jego oceną choć jest to kwestia dyskusyjna.

Po trzecie, wiem, że martwi Państwa brak możliwości porozumienia się z przyjaciółmi i rodziną spoza granic miasta. Rozumiemy ten niepokój, niestety utrzymanie blokady telefonicznej jest w tej chwili absolutną koniecznością, ponieważ jedynie w ten sposób

możemy obniżyć ryzyko przepływu informacji zastrzeżonych. Mogą Państwo sądzić, że to nadmierna troska, lecz zapewniam, tak nie jest. Istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś w Chester ś Mill ma wiedzę dotyczącą bariery otaczającej wasze miasto. Wewnętrzne rozmowy miejskie można prowadzić bez przeszkód.

Po czwarte, kontynuowana będzie blokada kontaktów z mediami, choć to również jest kwestia dyskusyjna. Może się okazać, że w pewnym momencie zarówno dla reprezentantów miasta, jak i dla pułkownika Barbary korzystne będzie zorganizowanie konferencji prasowej, jednak jesteśmy przekonani, że do spotkania z przedstawicielami mediów najsprawniej doprowadzi szybkie zakończenie obecnej sytuacji kryzysowej.

Piątą sprawą jest komunikacja internetowa. Kolegium Szefów Połączonych Sztabów zdecydowanie zaleca czasowe uniemożliwienie komunikacji e - mailowej, a ja byłem skłonny się z nimi zgodzić. Tymczasem pułkownik Barbara zdecydowanie obstawał przy pozostawieniu mieszkańcom Chester ś Mill dostępu do Internetu. Podkreślał, że poczta elektroniczna może być legalnie monitorowana przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. Praktycznie rzecz ujmując, łatwiej ją sprawdzać niż połączenia przez telefony komórkowe. Ponieważ to on jest na miejscu, zgodziłem się z jego punktem widzenia, częściowo ze względów humanitarnych. Mimo wszystko ta decyzja również pozostaje kwestią dyskusyjną więc mogą zajść pewne zmiany w naszym stosunku do poruszanych spraw. Pułkownik Barbara będzie na bieżąco informowany o wszelkich ewentualnych zmianach, zakładamy pełną współpracę między nim a władzami miasta.

I po szóste, chciałbym Was zawiadomić, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Wasza niedola skończy się jutro o godzinie trzynastej czasu wschodniego. Pułkownik Barbara objaśni szczegóły operacji wojskowej, która zostanie przeprowadzona w tym czasie. Zapewnił mnie, że dzięki właściwym stosunkom z panią Julią Shumway, właścicielką lokalnego czasopisma, zdołają Państwo zawiadomić mieszkańców, czego powinni się spodziewać.

I rzecz ostatnia, lecz nie najmniej ważna. Jesteście obywatelami Stanów Zjednoczonych Ameryki i nie będziecie pozostawieni sami sobie. Niniejszym składamy uroczystą przysięgę, opartą na naszych najwspanialszych ideałach: nie opuścimy nikogo. Mężczyzny, kobiety ani dziecka. Wykorzystamy wszystkie możliwości, by Was uwolnić, nie szczędząc wysiłku, energii, pieniędzy W zamian oczekujemy od Was wiary i współpracy. Jedno i drugie jest równie ważne.

Wspieramy Was modlitwą i serdeczną myślą.

Z wyrazami szacunku

Niezależnie od tego, jaki sekretarzyna pisał ten list, drań, w którego imieniu to zrobił, podpisał się pod nim osobiście, łącznie z drugim imieniem, pasującym do terrorysty. Duży Jim na niego nie głosował, a w tej chwili, gdyby jakimś cudem został teleportowany i znalazł się z nim twarzą w twarz, z przyjemnością udusiłby go gołymi rękami.

Barbarę także.

Najbardziej w świecie pragnął teraz zagwizdać na Pete'a Randolpha i kazać mu wsadzić pułkownika kuchtę za kratki. Powiedzieć intruzowi, że może sobie wprowadzać stan wyjątkowy w piwnicy komendy, z Samem Verdreaux w roli adiutanta. Kto wie, może Niechlujowi uda się opanować delirium na tyle, żeby przy salutowaniu nie wsadził sobie palca w oko.

Spokojnie. Po kolei. Na razie miał przed oczami kilka łajdackich zdań z listu prezydenta.

Tak jak Wy pomożecie jemu, tak my Wam.

Zakładamy pełną współpracę między nim a władzami miasta.

Decyzja pozostaje kwestią dyskusyjną

Oczekujemy wiary i współpracy.

Najbardziej wymowne było ostatnie. Duży Jim był absolutnie pewien, że ten taki siaki owaki zwolennik aborcji nie miał o sprawach wiary żadnego pojęcia. Dla niego wiara była pustym słowem. Za to kiedy wspominał o współpracy, dokładnie wiedział, o czym mówi. Rozumiał to także Jim Rennie. Żelazna pięść obleczona w aksamitną rękawiczkę.

Prezydent pisał o współczuciu i wsparciu (Grinnell, ta narkomanka, czytając, miała załzawione oczy), ale jak człowiek zebrał to, co zostało przekazane między wierszami, widział prawdę. List był groźbą. Stanowczą i bezdyskusyjną. Współpracujcie albo straciecie Internet. Współpracujcie, bo my sporządzamy listę grzecznych oraz niegrzecznych i nikt nie będzie miał ochoty figurować na liście niegrzecznych, jak już się przebijemy. A pamięć mamy doskonałą.

Współpracuj, kolego. W przeciwnym razie popamiętasz.

Nigdy nie oddam miasta jakiemuś kuchcie, który w dodatku ośmielił się przyłożyć mojemu synowi, a potem podważyć mój autorytet, myślał Rennie.

Nie ma mowy, ty prymitywie. Nigdy.

Ale pomyślał także:

Spokojnie, powoli.

Najpierw niech pułkownik kuchta objaśni wielkie plany militarne. Jeśli przyniosą pożądany skutek, świetnie. Jeśli nie, wówczas nowo mianowany pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych pozna szeroki wachlarz całkiem nowych znaczeń określenia „głęboko w terytorium wroga”.

Duży Jim przywołał na twarz uśmiech.

- Wejźmy do środka - zaproponował. - Wygląda na to, że mamy sporo do omówienia.

7

Junior siedział z przyjaciółkami w ciemnościach.

Nawet on uważał, że to dziwne, ale bardzo go uspokajało.

Gdy razem z innymi świeżo upieczonymi policjantami wrócił do komisariatu po tej gigantycznej rozróbie na polu Dinsmore'ów, Stacey Moggin, ciągle jeszcze w mundurze i wyraźnie zmęczona, powiedziała im, że mogą wziąć następne cztery godziny służby, jeśli mają ochotę. Powiedziała też, że nadgodzin będzie jeszcze dużo, na to się zanosi, więc kiedy przyjdzie do wypłaty, pewnie można będzie się spodziewać premii od wdzięcznego rządu Stanów Zjednoczonych.

Carter, Mel, Georgia Roux i Frank DeLesseps wszyscy zgodzili się pracować w nadgodzinach, chociaż wzięli tę pracę nie dla pieniędzy. Chodziło im o samo zajęcie. Juniorowi też, ale akurat zaczęła go boleć głowa. Fatalne uczucie po całym dniu bez żadnych dolegliwości. Powiedział Stacey, że rezygnuje, jeśli nie jest niezbędny. Ona zapewniła go, że dadzą sobie radę, jednak równocześnie przypomniała, by się stawił na służbę następnego dnia o siódmej.

- Będzie mnóstwo roboty - stwierdziła.

Na schodach przed komendą Frankie poprawił pas. - Chyba wpadnę do Angie - powiedział. - Myślę, że pojechała gdzieś z Dodee, ale nigdy nie wiadomo. Głupio by było, gdyby się okazało, że się poślizgnęła pod prysznicem i leży sparaliżowana albo coś w tym stylu.

Juniorowi krew tętniła w głowie. Biała plamka rozpoczęła taniec przed lewym okiem. Podrygiwała w rytm bicia serca, które właśnie przyspieszyło.

- Mogę tam zajrzeć, jeśli chcesz - zaproponował Frankiemu. - Mam po drodze.

- Poważnie? Dzięki, stary.

Junior pokiwał głową. Biała plamka przed okiem podskoczyła szaleńczo, poczuł mdłości. Po chwili się uspokoiła.

- Bo wiesz... - Frankie zniżył głos. - Sammy Bushey mi napyskowała.

- A, ta rura.

- Właśnie. Mówi do mnie: „Co mi zrobisz? Aresztujesz mnie?” - powiedział Frankie, naśladowując głos dziewczyny irytującym falsetem, który działał Juniorowi na nerwy.

Biała plamka przed lewym okiem zmieniała kolor na czerwony. Przez chwilę młody Rennie miał ochotę zacisnąć ręce na szyi kumpla i przytrzymać, aż wydusi z niego życie, żeby już nigdy więcej nie usłyszeć tego głosu.

- Więc pomyślałem sobie - ciągnął Frankie - że mógłbym do niej zajrzeć po robocie. I dać jej nauczkę. Wiesz, żeby się suka nauczyła szanować władzę.

- Szmata jedna. I jeszcze lesba.

- No, może to i lepiej. - Frankie popatrzył na dziwny zachód słońca. - Ta cała kopuła nie jest taka zła. Człowiek może robić, co chce. Zastanów się, starszku. - Położył dłoń na swoim kroczu i ścisnął.

- Akurat dziś nie jestem napalony.

Teraz jednak był. W pewnym sensie. Nie zamierzał się pieprzyć z trupami, niemniej...

- Jesteście moimi dziewczynami - powiedział w ciemnościach spiżarki.

Wcześniej zapalił latarkę, ale potem ją zgasił. Ciemność była lepsza.

- Racja?

Cisza.

Gdyby któraś odpowiedziała, zameldowałbym wielebnemu Cogginsowi o cudzie, pomyślał.

Siedział pod ścianą z półkami zastawionymi jedzeniem w puszkach. Angie posadził po swojej prawej, Dodee po lewej ręce. *Menagerie a trois* jak by to ujęto w „Penthouse”. W świetle latarki dziewczęta nie wyginały najlepiej, bo miały wytrzeszczone oczy i napuchnięte twarze, tylko częściowo przesłonięte włosami, lecz kiedy zgasił światło. Mmm! Można by nawet wziąć je za żywe laski!

To znaczy, pomijając smród. Mieszanina zaschniętego gówna i rozkładu, który już się zaczął. Ale dało się jakoś wytrzymać, bo w powietrzu unosiły się też inne, miłsze wonie: kawy, czekolady, melasy, suszonych owoców i czegoś jeszcze... brązowego cukru.

I perfum. Dodee? Angie? Junior nie wiedział. Wiedział jedynie, że ból głowy znowu zelżał, a wkurzająca biała plamka zniknęła. Położył dłoń na piersi Angie.

- Mogę? No bo w sumie niby jesteś dziewczyną Frankiego, ale w zasadzie zerwaliście ze sobą. Zresztą to tylko drobne macando. A poza tym... nie chciałbym ci robić przykrości, ale coś mi się zdaje, że Frankie zamierza cię dzisiaj puścić kantem.

Drugą ręką po omacku odszukał dłoń Dodee. Była zimna. Trudno, i tak położył ją

sobie w kroczu.

- Dodee! Bezpośrednia z ciebie dziewczyna! - powiedział. - Nie ma sprawy, rób, co chcesz, pokaż mi, jaka jesteś sprośna.

Trzeba będzie je pochować, jasne. I to niedługo. Klosz mógł zniknąć jak bańka mydlana albo naukowcy znajdą sposób, żeby go zniszczyć. Wtedy w mieście zaroi się od policji i śledczych. A jeśli kopała zostanie, wkrótce zbierze się coś na kształt komitetów żywnościowych, ludzie będą chodzili od domu do domu, szukając zapasów.

Trzeba będzie pochować dziewczyny. Niedługo. Jeszcze nie teraz. Teraz było dobrze.

I podniecająco. Nikt by tego nie zrozumiał, jasne, ale nikt nie będzie musiał nic z tego rozumieć. Ponieważ...

- To jest nasza tajemnica - szepnął Junior w ciemność. - Co, dziewczyny?

Nie odpowiedziały.

Junior siedział, obejmując za ramiona swoje ofiary, aż w końcu się zdrzemnął.

8

Gdy Barbie i Brenda Perkins wyszli z ratusza o godzinie dwudziestej trzeciej, posiedzenie Rady Miejskiej ciągle trwało. Poszli Main Street do Morin. Z początku oboje prawie się nie odzywali. Na rogu Main i Mapie ostała się jeszcze stertka wydania specjalnego „Democrata”. Barbie wyciągnął kartkę spod kamienia przytrzymującego gazetki. Brenda poświeciła na kartkę latarką w długopisie.

- Można by sądzić, że kiedy człowiek zobaczy to na piśmie, łatwiej mu będzie uwierzyć - westchnęła. - Nieprawda.

- Nieprawda - zawtórował jej Barbie.

- Zrobiliście to, żeby James nie mógł wyciszyć sprawy, prawda? Barbie pokręcił głową.

- Nie próbowałby, bo to niemożliwe. Kiedy pocisk uderzy w klosz, będzie huk jak diabli. Julia chciała mieć pewność, że Rennie nie poda informacji na swój sposób, obojętne, jak miałyby to zrobić. - Stuknęła dłonią w kartkę. - Szczerze mówiąc, ja to widzę jako swego rodzaju zabezpieczenie. Radny Rennie musi sobie myśleć tak: „Skoro on wie o takich rzeczach wcześniej niż ja, to na pewno wie coś jeszcze”.

- Przyjacielu, James Rennie może się okazać bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem.

Ruszyli dalej. Brenda złożyła kartkę i wetknęła pod pachę.

- Mój mąż miał Renniego na oku.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem, ile ci powiedzieć. A w zasadzie mogę ci powiedzieć wszystko lub nic. Howie nie miał niezbitych dowodów, to jedno wiem z całą pewnością. Chociaż był blisko.

- Nie chodzi o dowody - powiedział Barbie. - Chodzi o to, czy jutro trafię za kratki, jeśli próba zniszczenia kopuły się nie powiedzie. Gdyby coś z tego, co pani wie, mogło się okazać przydatne...

- Jeżeli twoim jedynym zmartwieniem jest uniknięcie aresztowania, to mocno mnie rozczarowałeś.

Nie taki był powód do zmartwienia i Barbie domyślał się, że wdowa po Perkinsie wie o tym doskonale. W czasie spotkania w ratuszu słuchał uważnie i choć Rennie robił co w jego mocy, żeby jego słowa brzmiały rozsądnie i świadczyły o czystych intencjach, Barbie nadal miał niemałe obawy. Uważał, że za zasłoną dymną wyrazów pełnych współczucia i troski o wspólny los krył się człowiek groźny. Nie odda władzy za żadną cenę, będzie brał, co uzna za potrzebne, póki go ktoś nie powstrzyma. Był niebezpieczny dla każdego, dla całego swojego otoczenia, nie tylko dla Barbary.

- Widzi pani...

- Brenda - poprawiła go cierpliwie.

- No tak. Widzisz, ująłbym to w ten sposób: jeżeli kłosz jednak zostanie, miasto będzie potrzebowało pomocy innych, nie tylko sprzedawcy używanych samochodów nękanego manią wielkości. A ja nikomu nie pomogę, jeśli będę siedział w kiciu.

- Mój mąż uważał, że Duży Jim kradnie.

- Jak? Co? Ile?

- Zaczekajmy - poprosiła Brenda. - Przekonajmy się, co da wystrzelenie pocisku. Jeżeli on nie załatwi sprawy, wszystko ci powiem. W przeciwnym razie, kiedy już kurz opadnie, pójdę do prokuratora okręgowego. A wtedy, jak to mawia Ricky Ricardo, James Rennie będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

- Nie ty jedna czekasz na jutrzejszy dzień. Dzisiaj słowa Renniego ociekały słodyczą. Ale jeśli cruise się odbije od kopuły, zamiast ją przedziurawić, pewnie zobaczymy całkiem inną twarz tego człowieka.

Brenda wyłączyła latarkę. Podniosła wzrok.

- Spójrz na gwiazdy, jakie jasne. Wielki Wóz, Kasjopeja, Wielka Niedźwiedzica... Takie same jak zawsze. Mnie to podnosi na duchu, a ciebie?

- Mnie też.

Czas jakiś milczeli, patrząc na migoczącą Drogę Mleczną.

- Zawsze przy nich czuję się mała i taka... nietrwała. - Brenda zaśmiała się, po czym

dodała, odrobinę nieśmiało: - Mogłabym cię wziąć pod ramię?

- Oczywiście.

Ujęła go pod łokieć. On położył rękę na jej dłoni. I tak odprowadził wdowę do domu.

9

Duży Jim przerwał spotkanie o dwudziestej trzeciej dwadzieścia. Peter Randolph życzył wszystkim dobrej nocy i wyszedł. Zamierzał rozpocząć ewakuację zachodniej części miasta o siódmej rano, miał nadzieję uporać się z oczyszczeniem terenu wokół Little Bitch Road najdalej do południa. Andrea wolno ruszyła za nim, uciskając dłońmi dół kręgosłupa. Często przybierała taką pozycję, wszyscy do tego przywykli.

Duży Jim, chociaż myślał głównie o spotkaniu z Lesterem Cogginsem (a także o spaniu - chętnie by wreszcie złapał trochę snu), jednak poprosił ją, żeby została jeszcze na chwilę.

Popatrzyła na niego pytająco. Za jego plecami Andy Sanders ostentacyjnie zbierał dokumenty i układał je w szarej szafce biurowej.

- I zamknij drzwi - poprosił Duży Jim uprzejmie.

Wykonała polecenie, wyraźnie zaniepokojona. Andy nadal pilnie pracował, sprząając po spotkaniu, lecz plecy miał przygarbione, jakby się szykował do przyjęcia ciosu. Najwyraźniej wiedział, o czym Jim chce porozmawiać z radną. I że nie będzie to nic miłego.

- O co chodzi? - spytała Andrea.

- Doprawdy drobiazg... - Co oznaczało, że sprawa jest istotna. - Widzisz, odnoszę wrażenie, że przed zebraniem skumałaś się z tym Barbarą. No i z Brendą w zasadzie też.

- Z Brendą? - Miała na końcu języka: „Co za głupoty wygadujesz?“, ale wydało jej się to zbyt obcesowe. - Dajże spokój. Znam ją od trzydziestu lat...

- A pana Barbarę od trzech miesięcy. O ile jadanie usmażonego przez niego bekonu można uznać za znajomość.

- Zdawało mi się, że teraz jest pułkownikiem.

- Trudno go traktować poważnie, kiedy jego mundur stanowią dzinsy i koszulka.

- Widziałeś list prezydenta.

- Widziałem coś, co Julia Shumway mogła spreparować osobiście na swoim własnym komputerze. Mam rację, Andy?

- Masz rację - potwierdził Andy, nawet się nie odwracając. Ciągłe układał dokumenty. A potem je przekładał i układał ponownie, w każdym razie tak to wyglądało.

- Zresztą przyjmijmy, że faktycznie był od prezydenta - podjął Duży Jim.

Na jego szerokiej twarzy o obwisłych policzkach rozlał się nienawistny uśmiech. Andrea zafascynowana obserwowała kępki niedogolonego zarostu i wreszcie pojęła, dlaczego Jim zawsze tak starannie się golił. Nieogolony wyglądał groźnie, jak Nixon.

- Tak? - Teraz to już nie była obawa, tylko strach. Andrea chciała powiedzieć Jimowi, że po prostu zachowywała się uprzejmie, ale prawda wyglądała inaczej i Jim na pewno to dostrzegł. On wiele dostrzegał. - No cóż, jest naczelnym dowódcą, tak?

Duży Jim niecierpliwie machnął dłonią.

- Czy wiesz, kto to jest naczelnny dowódca? Nie wiesz. No to ci powiem. To jest ktoś, kto zasługuje na lojalność i posłuszeństwo, ponieważ umie w razie potrzeby zapewnić pomoc tym, którzy jej potrzebują. Istotna jest wzajemność.

- Słusznie! - przytaknęła gorliwie. - Pomoc taką jak na przykład cruise!

- Jeśli zadziała, wszystko będzie świetnie.

- Oczywiście, że zadziała! Powiedział, że głowica może mieć ładunek o wadze nawet pół tony!

- Biorąc pod uwagę, jak niewiele wiemy o kloszu, trudno cokolwiek wiedzieć z pewnością. Może pocisk go zdmuchnie i w miejscu Chester's Mill zostawi krater głęboki na kilometr?

Andrea patrzyła na niego z przerażeniem. Pocierała dłońmi dół kręgosłupa, gdzie usadowił się ból.

- Wszystko w rękach Boga - podjął Rennie, - I rzeczywiście, masz rację, może się udać. Ale w przeciwnym razie będziemy zdani na siebie, a wtedy naczelnny dowódca, który nie potrafi pomóc mieszkańcom, nie jest wart funta klaków. Tak uważam. Jeśli wystrzelenie pocisku nic nie da, a przy okazji nie przeniosą nas na łono Abrahama, ktoś będzie musiał się zająć tym miastem. Czy ma to być jakiś włóczęga, którego prezydent postukał czarodziejską różdżką, czy też demokratycznie wybrany przedstawiciel miasta? Rozumiesz, do czego dążę, prawda?

- Pułkownik Barbara wydaje mi się człowiekiem kompetentnym - szepnęła Andrea.

- Przestań go tytułować pułkownikiem! - wrzasnął Duży Jim. Andy upuścił teczkę, Andrea pisnęła i cofnęła się o krok.

A potem się wyprostowała, czerpiąc siłę z żelaznej jankeskiej woli, która pozwoliła jej choćby ubiegać się o stanowisko radnej.

- Nie pokrzykuj na mnie! Znam cię od pierwszej klasy podstawówki, kiedy wycinałeś zdjęcia z katalogów Searsa i wklejałeś do zeszytu. Nie podnoś na mnie głosu.

- Ojej, pani się obraziła... - Na twarzy Dużego Jima znowu rozlał się fałszywy uśmiech

od ucha do ucha, układający górną część twarzy w niestałą maskę radości. - O, to po prostu, niech mnie, fatalnie. Późno już, skończyły mi się na dzisiaj zapasy słodczy. Więc posłuchaj. I słuchaj uważnie, żebym nie musiał powtarzać. - Spojrzał na zegarek. - Jest jedenasta trzydzieści, a ja chciałbym być w domu przed północą.

- Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz!

Przewrócił oczami, jakby nie mógł ogarnąć jej głupoty.

- Ujmę to w dwóch słowach. Chcę wiedzieć, czy będziesz trzymała ze mną, ze mną i z Andym, jeśli ten szaleńczy pomysł z pociskiem nie wypali. Z nami, a nie z jakimś pomywaczem nie wiadomo skąd.

Andrea hardo uniosła głowę, oderwała dłonie od pleców. Spojrzała Renniemu prosto w oczy, jednak wargi jej drżały.

- A jeśli uważam, że pułkownik Barbara... pan Barbara, skoro tak wolisz, ma lepsze kwalifikacje do radzenia sobie z sytuacją kryzysową?

- Cóż, powiem jak świerszcz z „Pinokia”: słuchaj rad sumienia.

- Zniżył głos do złowieszczonego szeptu, groźniejszego niż przedtem krzyk. - Tylko widzisz... te twoje pigułki... oksykodon...

Andrea zmartwiała.

- Co?

- Andy ma spory zapas, odłożył je specjalnie dla ciebie. Niestety, jeśli obstawisz niewłaściwego konia w tym wyścigu, mogą zniknąć, prawda, Andy?

Andy właśnie zaczął myć ekspres do kawy. Wyglądał na nieszczęśliwego i nie potrafił spojrzeć Andrei w oczy, ale odpowiedział bez wahania.

- Tak. W takim wypadku będę musiał je spuścić w aptecznej toalecie. Niebezpiecznie mieć takie leki w mieście odciętym od świata i w ogóle.

- Nie wolno ci! - krzyknęła Andrea. - Mam receptę!

- Nie potrzebujesz recepty. Wystarczy, że będziesz się trzymała ludzi, którzy wiedzą, co ci służy. Na razie jest to jedyna recepta, która się liczy.

- Jim, te pigułki są mi potrzebne. - Ze wstrętem uświadomiła sobie, że słyszy we własnym głosie skamlenie podobne do błagań matki z ostatnich lat jej życia, gdy była przykuta do łóżka.

- Są mi potrzebne!

- Wiem - odparł Duży Jim. - Bóg obarczył cię wielkim ciężarem, ogromnym bólem.

Nie wspominając już o nałogu, dodał w myślach.

- Postępuj, jak należy - podpowiedział jej Andy. Oczy miał podkrążone i smutne, a

spojrzenie szczere. - Jim wie, co najlepsze dla miasta. Przecież zawsze tak było. Nie potrzebujemy, żeby jakiś obcy dyktował nam, co robić.

- Będę dostawała tabletki? - upewniła się Andrea. Andy rozjaśnił się w uśmiechu.

- Pewnie! Może nawet wezmę na siebie zwiększenie dawki. Powiedzmy o sto miligramów dziennie. Jak sądzisz? Przydałoby ci się? Wyglądasz na wycieńczoną.

- Chyba rzeczywiście przydałoby mi się trochę więcej... - przyznała Andrea tępo.

Spuściła głowę. Nie wypła drinka ani nawet kieliszka wina od czasu balu maturalnego, po którym strasznie się pochorowała. Nigdy w życiu nie wypaliła jointa, kokainę widziała tylko na ekranie telewizora. Była z natury dobra. Dobra do szpiku kości. Jakim cudem wpakowała się w takie bagno? Bo upadła, idąc po listy? Czy naprawdę tyle tylko trzeba, żeby zmienić człowieka w narkomana? Jeśli tak, to było niesprawiedliwe. Straszne.

- Ale tylko czterdzieści miligramów - zastrzegła. - Tyle mi wystarczy.

- Na pewno? - spytał Duży Jim.

Nie miała żadnej pewności. Właśnie to było najgorsze.

- Może osiemdziesiąt - powiedziała i otarła z twarzy łzy. Po czym dodała szeptem: - Szantażujecie mnie.

Szept był naprawdę cichy, lecz Duży Jim usłyszał. Wyciągnął do niej rękę. Andrea drgnęła, ale on tylko ujął ją za dłoń. Delikatnie.

- Nic podobnego - stwierdził. - To byłby grzech. My ci pomagamy. A w zamian chcemy jedynie, żebyś i ty nam pomogła.

10

Rozległo się łupnięcie.

Sammy obudziła się natychmiast, chociaż wypaliła pół skręta i wypła trzy piwa Phila, zanim o dziesiątej poszła do łóżka. Zawsze miała dwa sześciopaki w lodówce i nadal nazywała je piwem Phila, chociaż mąż zniknął w kwietniu. Słyszała, że ponoć nadal był w mieście, ale w to nie wierzyła. Gdyby był w pobliżu, na pewno by czasem do niej zajrzał przez te pół roku, nie? Miasto nie jest wielkie, całkiem jak w piosence.

Łup!

Usiadła gwałtownie, nasłuchując płaczu Little Waltera. Nie zapłakał.

- O Boże, pewnie to cholerne łódeczko się rozleciało... A skoro mały nie płacze...

Odrzuciła przykrycie i pobiegła do drzwi. Zamiast do nich trafiła w ścianę. Mało nie upadła. Cholerna ciemność! Niech szlag trafi firmę energetyczną! I Phila, bo sobie poszedł, a ją zostawił całkiem samą. Nie miał kto stanąć w jej obronie, kiedy facet taki jak Frank

DeLesseps był dla niej wredny i straszył ją i...

Łup!

Na blacie toaletki wymacała latarkę. Zapaliła ją, ruszyła w lewo, do sypialni Little Waltera. Znowu łupnięcie. Nie z lewej strony, ale na wprost, za salonem, w którym panował nieprawdopodobny bałagan. Ktoś walił w drzwi przyczepy. A teraz dobiegły zza nich stłumione śmiechy. Ktokolwiek się dobijał, z pewnością był napity.

Gdy szła przez pokój, długi T - shirt, w którym spała, wcisnął się jej między uda. Przybrała trochę na wadze, odkąd Phil ją zostawił, jakieś dwadzieścia kilo, ale jak tylko skończy się ta cała awantura z kloszem, przejdzie na dietę i wróci do wagi z czasów gimnazjum. Energicznie otworzyła drzwi.

Ukąsiły ją w twarz cztery strumienie światła z latarek. Bardzo silne. Zza nich dobiegały śmiechy. Jeden z nich brzmiał jak „kwik, kwik, kwik”. To kwiczenie rozpoznała natychmiast, słyszała je przez całe gimnazjum. Mel Searles.

- No, no! - odezwał się Mel. - Panna gotowa, a nie ma komu zrobić lodu.

Znowu śmiech. Sammy podniosła dłoń, by osłonić oczy, ale niewiele to pomogło. Ludzie za latarkami stanowili tylko niewyraźne kształty. Natomiast jeden śmiech był chyba żeński. To pewnie dobrze.

- Zgaście te latarki, bo oślepnę! I przymknijcie się, dziecko mi obudzicie.

Następny wybuch śmiechu, głośniejszy niż dotąd, jednak trzy latarki zgasły. Sammy zapaliła swoją, a to co zobaczyła, wcale jej nie uspokoiło. Frankie DeLesseps i Mel Searles, a między nimi Carter Thibodeau i Georgia Roux. Georgia, ta sama, która tego popołudnia nadepnęła jej na pierś i nazwała ją lesbą. Kobieta, niestety też groźna.

Wszyscy mieli odznaki. I byli pijani.

- Czego chcecie? Późno jest.

- Towaru - odezwała się Georgia. - Handlujesz, to i nam sprzedaj.

- Chcę się nawalić jak jabłuszko pod gruszką, co szepcze na uszko - oznajmił Mel i znowu się zaśmiał. Kwik, kwik, kwik!

- Nie mam - powiedziała Sammy.

- Gówno prawda - stwierdził Carter. - Tu wszystko przesiąkło marycha. Sprzedaj trochę. Nie bądź świnią.

- Właśnie - poparła go Georgia. W świetle latarki Sammy jej oczy zaślniły srebrem. - Nie zwracaj uwagi na to, że jesteśmy glinami.

Zarechotali wszyscy czworo. Obudzą dzieciaka jak nic. - Nie!

Sammy chciała zamknąć drzwi, ale Thibodeau pchnął je mocno i znów otworzył.

Zrobił to od niechcenia, jedną ręką, lecz Sammy poleciała do tyłu. Nadepnęła na jakąś lokomotywę i wylądowała na tyłku, po raz drugi tego dnia. T-shirt się jej podwinął.

- Ooo! Różowa bielizna! - zauważyła Georgia. - Czekasz na którąś ze swoich dziewczyn?

Znowu wszyscy gruchnęli śmiechem. Zapaliły się pozostałe trzy latarki, jasne strugi światła przyszpiliły Sammy do ciemności.

Gwałtownie obciągnęła koszulkę, mało jej nie Oddarła przy szyi. Potem niepewnie dźwignęła się na nogi. Jaskrawe plamy światła tańczyły po jej ciele.

- Bądź miłą gospodynią i zaproś nas do środka - powiedział Frankie, pakując się w drzwi. - Dziękuję uprzejmie. - Poświecił po salonie. - Ale chlew!

- W sam raz dla świni! - zarżała Georgia. Reszta jej zawtórowała.

- Na miejscu Phila wróciłabym tu na parę chwil, żeby ci porządnie skopać tyłek!

Uniosła zaciśniętą pięść, Carter Thibodeau też, ręce zderzyły się kłykciami. Żółwik.

- A co, ciągle siedzi w radiostacji? - zapytał Mel. - Szuka złota w rynsztokach? Rozwija paranoję na punkcie Jezusa?

- Nie rozumiem... - Sammy już nie była zła, teraz się bała. W taki chaotyczny sposób mówili ludzie w koszmarnych snach, kiedy się napaliła zioła zapapranego PCR - Phil wyjechał!

Czwórka jej gości popatrzyła po sobie i ryknęła śmiechem. Wybijało się idiotyczne „kwik, kwik, kwik” Searlesa.

- Wyjechał! - zarżał Frankie. - Wypiął się, a nie wyjechał!

- Taki chuj! - zawtórował mu Carter. Unieśli w górę prawe pięści. Żółwik.

Georgia zdjęła z górnej półki biblioteczki kilka książek w kieszonkowym wydaniu.

- Nora Roberts? Sandra Brown? Stephenie Meyer? Ale makulatura! Nie wiesz, że teraz się czyta pieprzonego Harry'ego Pottera?!

Wyciągnęła przed siebie rękę z książkami i otworzyła dłoń. Spadły na podłogę.

Dziecko nadal spało. Prawdziwy cud.

- Pójdziecie sobie, jeśli wam sprzedam towar?

- Jasne! - ucieszył się Frankie.

- Galopem! - dorzucił Carter. - Jutro zaczynamy służbę z samego rana. Eeewaaakuacja. Więc łaskawie rusz tę tłustą dupę.

- Zaczekajcie tutaj.

Poszła do kuchni, otworzyła zamrażarkę, teraz tchnącą ciepłem. Wszystko będzie do wyrzucenia. Nie wiedzieć czemu zebrało jej się na płacz. Wyjęła półlitrowy foliowy worek.

Miała jeszcze trzy.

Właśnie miała się obrócić, gdy ktoś ją chwycił wpół, a ktoś inny wyłuskał jej torebkę z ręki.

- Chcę jeszcze raz zobaczyć te różowe majtki - szepnął jej Mel do ucha. - Ciekawe, czy masz napis NIEDZIELA na tyłku. - Szarpnął koszulkę w górę, aż do pasa. - Eee, dupa blada, nie ma.

- Zostaw mnie! Przestań!

Mel się zaśmiał. Kwik, kwik, kwik.

Promień światła ukłuł ją w oczy, mimo to rozpoznała twarz za latarką: Frankie DeLesseps.

- Napyskowałeś mi dzisiaj. I uderzyłaś mnie w rączkę. A ja przecież nie zrobiłem nic strasznego, tylko tyle. - Znowu złapał ją za pierś.

Spróbowała się wyrwać. Promień latarki przeskoczył na sufit, zaraz potem wrócił na dół. W głowie Sammy wybuchła kula bólu. Bo Frankie uderzył ją latarką.

- Aua! Zwariowałaś?! Boli!

- Gówno, a nie boli. Masz szczęście, że cię nie zatrzymam za sprzedaż narkotyków. Stój spokojnie, bo ci przyłożę jeszcze raz.

- Ta trawka cuchnie zdzirą - stwierdził Mel rzeczowym tonem. Stał za Sammy, ciągle trzymając ją za T - shirt.

- Ona też - uznała Georgia.

- Słuchaj, szmato, muszę skonfiskować ziolo - oznajmił Carter. - Wybacz.

Frankie znowu ścisnął pierś Sammy.

- Nie ruszaj się. - Przyszczytał brodawkę. - Stój spokojnie. - Powtórzył schrypniętym głosem.

Oddech miał przyśpieszony. Wiedziała, na co się zanosi. Zamknęła oczy.

Oby tylko dziecko się nie obudziło. Byle nie posunęli się dalej, byle nie było gorzej.

- No, bierz się do roboty - powiedziała Georgia. - Przypomnij jej, co traci, odkąd Phil ją zostawił.

Frankie machnął latarką w stronę salonu.

- Na kanapę. I nogi szeroko.

- A może byś jej najpierw przeczytał prawa? - rzucił Mel.

I od razu się zaśmiał. Kwik, kwik, kwik.

Sammy pomyślała, że jeśli usłyszy to kwiczenie jeszcze raz, dostanie świra. Ruszyła w stronę kanapy. Ze spuszczoną głową, przygarbiona.

Po drodze złapał ją Carter. Zaświecił sobie w twarz, zmieniając ją w maskę goblina.

- Sammy, będziesz się komuś skarżyła?

- Nie, nie.

Maska goblina pokiwała się zadowolona. - I tego się trzymaj. Bo widzisz, nikt ci nie uwierzy. Poza nami, oczywiście. A wtedy będziemy musieli wrócić i naprawdę zdrowo cię wyruchać.

Frankie pchnął ją na kanapę.

- Zerznij ją! - krzyknęła Georgia podniecona, kierując światło na Sammy. - Zerznij dziwkę!

Zrobili to wszyscy trzej młodzi mężczyźni po kolei.

Pierwszy podszedł Frankie, szepcząc jej do ucha.

- Musisz się nauczyć trzymać głowę na kłódkę. Otwieraj ryj tylko wtedy, kiedy jesteś na kolanach.

I wepchnął się w nią.

Następny był Carter. Kiedy ją posuwał, Little Walter obudził się i zaczął płakać.

- Morda w kubel, gówniarzu, bo ci przeczytam twoje prawa! - wrzasnął Mel Searles.

A potem się zaśmiał. Kwik, kwik, kwik!

11

Dochodziła północ.

Linda Everett szybko zasnęła. Miała za sobą ciężki dzień, a przed sobą służbę od rana (ewakuacja), więc nawet obawy o stan Janelle nie przeszkodziły jej zasnąć. Nie można powiedzieć, że chrapała, ale z jej połowy łóżka dobiegały miękkie chrapliwe odgłosy.

Ryży też miał za sobą bardzo trudny dzień, lecz nie mógł zasnąć, chociaż akurat nie troska o Jan odsuwała od niego sen. Uważał, że nic jej nie grozi, przynajmniej przez jakiś czas. Jeżeli drgawki się nie pogorszą, da się je powstrzymać. Gdyby w szpitalnej aptece zabrakło etosuksymidu, dostanie lek u Sandersa.

Myślał o doktorze Haskellu. I o Rorym Dinsmore, oczywiście. Ciągłe miał przed oczami postrzępiony, zakrwawiony oczodół chłopaka. Bez przerwy słyszał słowa Rona Haskell: „Jeszcze żyję. To znaczy, jeszcze słyszę”.

A teraz już nie żył.

Ryży po raz setny przekreślił się na drugi bok, próbując odepchnąć od siebie wspomnienia. I mamrotanie Rory'ego o Halloween. Na to nakładał mu się głos córki: „Wielka dynia! Wszystko przez wielką dynię! Trzeba ją złapać!”.

Córka miała atak epilepsji. Chłopak Dinsmore'ów dostał rykoszetem w oko i fragment pocisku uszkodził mu mózg. Czy to cokolwiek wyjaśniało?

Nic a nic. Jak to mówił ten Szkot w „Zagubionych”? „Nie myl przeznaczenia z przypadkiem”?

Może tak. A może i nie. „Zagubieni”... kiedy to było... Może ten Szkot powiedział „Nie myl przypadku z przeznaczeniem”?

Ryży kolejny raz przekręcił się na drugi bok i tym razem jego wzrok padł na czarny nagłówek specjalnego, jednostronicowego wydania „Democrata”: BARIERA ZOSTANIE ZBOMBARDOWANA!

Beznadzieja. Nie da się zasnąć. A najgorsze to próbować spać na siłę.

W kuchni została połówka ciasta pomarańczowego z żurawiną, słynnego specjału Lindy. Ryży widział je na blacie, wróciwszy do domu. Postanowił wobec tego zjeść kawałek przy kuchennym stole, przerzucając przy tym ostatni numer „Amerykańskiego Lekarza Rodzinnego”. Jeżeli przy artykule o krztuścu nie zmorzy go sen, to już nic nie pomoże.

Wstał - potężny mężczyzna w komplecie medycznym służącym za pidżamę - i wyszedł z sypialni cicho, żeby nie obudzić żony.

W połowie schodów przystanął, przechylił głowę.

Usłyszał Audrey. Popiskiwała cicho. Dźwięk dobiegał z pokoju dziewczynek. Ryży wrócił na górę, otworzył drzwi. Golden retriever, zaledwie mroczny kształt między dziecięcymi łóżeczkami, odwrócił łeb, spojrzął na niego i znów cicho zapiszczał.

Judy leżała na boku, z jedną rączką pod główką, oddychała głęboko i spokojnie. Natomiast Jannie wyglądała zupełnie inaczej. Przewracała się z boku na bok, zrzuciła z siebie przykrycie, coś mówiła. Ryży przestąpił nad psem, usiadł na brzegu łóżka córki, pod plakatem najnowszego boys bandu.

Małej coś się śniło. Nie był to dobry sen, niewyraźne słowa brzmiały jak protest. Ryży starał się coś zrozumieć z tego mamrotania, ale zaraz ucichło.

Audrey znowu pisnęła.

Wyprostował pomiętą koszulę nocną córeczki, przykrył dziecko i odgarnął małej włosy z czoła. Gałki oczne, zakryte powiekami, poruszały się gwałtownie, lecz przy tym nie było drżenia mięśni, wyginania palców, charakterystycznego mlaskania. Więc raczej faza REM normalnego snu niż atak. Prawie na pewno. Co nasuwało interesujące pytanie: czyżby psy wyczuwały również złe sny?

Pochylił się, pocałował Jan w policzek. Otworzyła oczy, lecz nie miał pewności, czy go rzeczywiście widzi. Teoretycznie mógł to być objaw *petit mal*, chociaż właściwie w to nie

wierzył. Był przekonany, że wtedy Audi by czekała.

- Śpij, maleńka. - Tatusiu, on ma złotą piłkę. - Wiem, kochanie, wiem. Śpij.

- To zła piłka. Do baseballu.

- Nieee... Piłki do baseballu są dobre. Szczególnie złote. - Aha.

- Śpij, słoneczko.

- Dobrze, tatusiu.

Przewróciła się na drugi bok, zamknęła oczy. Jeszcze się ułożyła pod kołdrą i zaraz znieruchomiała. Audrey, która leżała na podłodze, tyle że z podniesionym łbem, oparła pysk na łapach i też najwyraźniej zamierzała spać.

Ryży siedział jeszcze jakiś czas, słuchając oddechu córki, powtarzając sobie, że naprawdę nie ma się czego bać, jak świat światem ludzie gadają przez sen, wszystko jest w porządku - w razie wątpliwości wystarczy spojrzeć na psa spokojnie śpiącego przy łóżku. Niestety, w środku nocy trudno być optymistą. Do świtu było jeszcze daleko, a o tej godzinie złe myśli łatwo nabierają realnych kształtów. Zmieniają się w zombi.

Postanowił jednak nie jeść ciasta pomarańczowego. Tak naprawdę miał ochotę przytulić się do śpiącej żony. Jeszcze tylko, zanim wyszedł z sypialni dziewczynek, poklepał Audrey po łbie obrośniętym jedwabistą sierścią.

- Uważaj na nią, suniu - szepnął.

Audi na chwilę otworzyła ślepią, spojrzała mu prosto w oczy.

Złoty retriever, pomyślał Ryży.

I złota piłka baseballowa. Skojarzenie narzuca się samo. Zła piłka baseballowa.

Tej nocy mimo świeżo odkrytej przez dziewczynki „kobiecej odrębności” Ryży zostawił drzwi ich pokoju szeroko otwarte.

12

Lester Coggins siedział na schodach domu Dużego Jima. Czytał Biblię w świetle latarki. Gospodarza wcale nie natchnęło to pobożnością bijącą od wielebnego, tylko pogorszyło mu humor, już i tak fatalny.

- Niech cię Bóg błogosławi - odezwał się Coggins, wstając. Gdy Duży Jim podał mu rękę, zamknął ją w żarliwym uścisku i energicznie potrząsnął.

- I nawzajem - odpowiedział Jim śmiało.

Coggins potrząsnął jego ręką po raz ostatni, wreszcie puścił.

- Jim, przyszedłem do ciebie, bo miałem objawienie. Prosiłem o nie wczoraj w nocy... Tak, tak, bo byłem straszliwie zagubiony.

I dziś po południu się pojawiło. Bóg do mnie przemówił przez Pismo i przez chłopca.

- Przez dzieciaka Dinsmore'a?

Coggins głośno cmoknął złożone dłonie, po czym wznosił je do nieba.

- Właśnie przez niego. Rory'ego Dinsmore'a. Niech go Bóg ma w swojej opiece na wieczność.

- Chłopiec spożywa wieczerzę u boku Jezusa - odparł Duży Jim automatycznie.

Przyglądał się wielebnemu w świetle własnej latarki, a to, co widział, nie nastrajało go optymistycznie. Chociaż noc z chwili na chwilę stawała się chłodniejsza, skórę Cogginsa powlekała błyszcząca warstewka potu. Szeroko otwarte oczy odsłaniały zbyt dużą część białek, a potargane włosy sterczały we wszystkie strony. Ogólnie biorąc, wielebny wyglądał na człowieka, który właśnie zaczął się zsuwać po równi pochyłej.

Niedobrze, pomyślał Duży Jim.

- O tak - zgodził się Coggins. - Jestem tego pewien. Ucztuje, odpoczywając w wieczystych objęciach...

Duży Jim uznał, że trudno byłoby robić jedno i drugie równocześnie, ale zachował milczenie.

- I nie umarł na darmo, o nie! Widzisz, Jim, właśnie to chciałbym ci opowiedzieć.

- Opowiedz mi w domu - stwierdził Duży Jim i zaraz spytał: - Widziałeś mojego syna?

- Juniora? Nie.

- Jak długo czekałeś? - Zapalił światło w korytarzu, błogosławiąc generator.

- Godzinę. Może niecałą. Siedziałem na stopniach... czytałem... modliłem się... medytowałem...

Rennie wiele by dał za informację, czy ktoś widział wielebnego na jego schodach, ale nie zapytał. Coggins i tak był już cały w nerwach, pytanie mogło go jeszcze bardziej wytrącić z równowagi.

- Chodźmy do gabinetu - zarządził i poprowadził.

Szedł ze spuszczoną głową, nieco przygarbiony, kołysząc się na boki w rytm ciężkich kroków. Od tyłu przypominał niedźwiedzia w ludzkim ubraniu. Starego, ale wciąż groźnego.

Poza przedstawiającym Kazanie na Górze obrazem, pod którym ukryty był sejf, na ścianach gabinetu Dużego Jima znajdowało się mnóstwo tabliczek dokumentujących jego różnorakie zasługi w służbie społeczeństwu. Między nimi było oprawione zdjęcie Dużego Jima potrząsającego dłonią Sarah Palin, na innym widniał z Dale'em Earnhardtem. To zdjęcie

zostało zrobione w czasie jakiejś akcji charytatywnej związanej z dziećmi. Znajdowało się tam nawet zdjęcie Dużego Jima z Tigerem Woodsem, na oko bardzo sympatycznym Murzynem.

Na biurku jedynym przedmiotem przywołującym wspomnienia była osadzona w specjalnej przezroczystej kołysce piłka baseballowa platerowana złotem. Na tabliczce ze szkła akrylowego widniała dedykacja: „Jimowi Renniemu z podziękowaniem za pomoc w przeprowadzeniu Charytatywnego Turnieju Softballa w Zachodnim Maine. 2007”. A niżej znajdował się podpis: Bill Spaceman Lee.

Duży Jim, siadając w fotelu z wysokim oparciem, wziął piłkę z kołyski. Zaczął ją przerzucać z ręki do ręki. Fantastyczne wrażenie, zwłaszcza kiedy człowiek jest odrobinę podminowany. Piłka była miła w dotyku i przyjemnie ciężka, złote szwy dobrze pasowały do wnętrza dłoni. Duży Jim zastanawiał się czasami, jakby to było mieć taką piłkę całą z litego złota. Może się tym zajmie, jak już minie ta cała afera z kloszem.

Coggins usiadł po drugiej stronie biurka, na krześle dla klienta. Na miejscu suplikanta. Właśnie tam chciał go widzieć Duży Jim. Oczy wielebnego skakały w lewo i w prawo, jakby obserwował mecz tenisa. Albo kryształową kulę hipnotyzera.

- No dobrze, Lesterze. Teraz mi powiedz, o co chodzi. Tylko treściwie, jeśli mogę prosić. Muszę się przespać, jutro czeka mnie mnóstwo pracy.

- Odmówisz ze mną modlitwę?

Na twarzy Dużego Jima rozlał się uśmiech. Chłodny, ale nie lodowaty. Przynajmniej na razie.

- Najpierw mi o wszystkim opowiedz. Chciałbym wiedzieć, o co się modłę, zanim padnę na kolana.

Lester nie potrafił przekazać wiadomości treściwie, lecz Duży Jim prawie nie zauważył, że historia jest rozwlekła. Słuchał z rosnącym strachem, w końcu nieomal przerażony. Opowieść wielebnego była urywana i naszpikowana cytatami z Biblii, jednak sedno widać było jak na dłoni: doszedł do wniosku, że ich wspólny interesik nie spodobał się Panu na tyle zdecydowanie, że Bóg zamknął miasto pod szklaną miską. Lester modlił się, prosząc o radę i wsparcie, wspierał modlitwę chłostą (choć chłosta mogła tu być rozumiana w przenośni i taką Duży Jim miał nadzieję), a wówczas Pan naprowadził go na fragment Pisma Świętego, w którym była mowa o szaleństwie, ślepcie i tak dalej.

- Pan powiedział, że da mi znak i...

- Da ci znak? - Duży Jim uniósł krzaczaste brwi. Lester zignorował pytanie. Mówił dalej, spocony jak człowiek chory na malarię. Oczami ciągle podążał za złotą piłką. W prawo,

w lewo. W prawo, w lewo.

- Tak samo się zdarzało, kiedy byłem nastolatkiem i dochodziłem sam...

- Dajże spokój... Komu potrzebne takie szczegóły. - Duży Jim nadal przerzucał piłkę z ręki do ręki.

- Bóg powiedział, że ześle ślepotę, ale nie na mnie. I dziś po południu, na łąkach, spełnił obietnicę! Sam widziałeś!

- Można tamte zdarzenia zinterpretować na różne sposoby...

- Nie! - Coggins zerwał się na równe nogi. Zaczął krążyć po gabinecie, stale z Biblią w dłoni. Drugą ręką szarpał włosy. - Bóg powiedział, że kiedy da mi znak, mam powiedzieć wiernym o twoich zamierzeniach...

- O moich tylko? - spytał Jim.

Zadał pytanie całkiem spokojnym tonem. Piłka skakała z ręki do ręki w odrobinę szybszym rytmie. Pac. Pac. Pac. W prawo i w lewo, w prawo i w lewo, w dłoniach pulchnych, ale silnych.

- Nie, nie... - jęknął Lester.

Krążył szybciej, nie patrzył na piłkę. Wymachiwał Biblią, a wolną ręką rwał włosy z głowy. Czasami podobnie zachowywał się w kościele - mówiąc do wiernych, wpadał w trans. I w kościele takie zachowanie było całkiem na miejscu, ale tutaj zwyczajnie doprowadzało do wściekłości.

- Muszę powiedzieć o tobie - podjął - i o sobie, i o Rogerze Killianie, i o braciach Bowie, i o... - zniżył głos - o tamtym... Phil Kucharz to szaleniec! Jeśli nie był szalony wiosną, kiedy to wszystko się zaczęło, teraz jest na pewno.

I kto to mówi, pomyślał Duży Jim.

- Wszyscy jesteśmy zamieszani - gadał dalej wielebny - ale ty i ja musimy się wypowiedzieć. Tak mi oznajmił Pan. Właśnie takie znaczenie miała ślepota chłopca, za tę sprawę mały umarł. Uczynimy wyznanie i spalimy siedlisko szatana za kościołem. Wtedy Bóg nas wypuści.

- Aha, i będziesz mógł sobie pójść, drogi Lesterze, prosto do więzienia stanowego Shawshank.

- Przyjmę z rąk Boga karę, jaką zechce mi wymierzyć. Z największą radością.

- A co ze mną? A co na to Andy Sanders? I bracia Bowie? A Roger Killian?! On ma dzieci na utrzymaniu! Może my nie jesteśmy tak skorzy do przyjmowania kary!

- Nic na to nie poradzę.

Lester zaczął się okładać Biblią po ramionach. Raz i drugi, po prawej i po lewej. Duży

Jim zorientował się, że zgrał przerzucanie złotej piłki z uderzeniami kaznodziei. Łup i pac. Łup i pac.

- Los dzieci Killiana będzie smutny - podjął Coggins - ale... Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty, wiersz piąty: „Jestem Bogiem zazdrosnym, który karze występki ojców na synach do trzeciego i czwartego pokolenia”... Musimy się ukorzyć. Trzeba usunąć ten wrzód, choć będzie bolało. Naprawić to, co zepsuliśmy. Uczynić wyznanie i doprowadzić do oczyszczenia. Przez ogień.

Duży Jim uniósł rękę, w której akurat nie miał złotej piłki.

- Zaraz, zaraz. Nie tak prędko. Zastanów się, co mówisz. W normalnej sytuacji miasto jest ode mnie zależne, od ciebie oczywiście także. Teraz jednak, w czasie kryzysu, ono nas bezwzględnie potrzebuje.

Wstał, odpychając fotel Miała za sobą długi i trudny dzień, był zmęczony. A tu takie coś. Zaczynał się złościć.

- Zgrzeszyliśmy - stwierdził Coggins z uporem, ciągle uderzając się Biblią. Jakby sądził, że traktowanie Pisma Świętego w ten sposób jest całkowicie w porządku.

- A ja uważam, że uratowaliśmy od głodu tysiące dzieci w Afryce. Nawet płaciliśmy za ich leczenie! Postawiliśmy ci nowy kościół i najsilniejszą chrześcijańską radiostację na północnym wschodzie!

- A także napelniliśmy własne kieszenie, nie zapominaj! - dorzucił Coggins piskliwie.

Tym razem przyłożył sobie Świętą Księgą prosto w twarz. Z nosa pociekła mu strużka krwi.

- Napchaliśmy sobie kieszenie brudnymi pieniędzmi z narkotyków! - Uderzył się ponownie. - A radiostacja Jezusa jest prowadzona przez wariata produkującego truciznę, którą dzieci wstrzykują sobie w żyły!

- O ile mi wiadomo, raczej pałą.

- Masz sumienie sobie żartować?

Duży Jim obszedł biurko. W skroniach mu dudniło, na twarz wypływały ceglaste rumieńce. Mimo wszystko raz jeszcze spróbował, ostatni raz przemówił łagodnie, przyjaźnie, jak do rozzłoszczonego dziecka.

- Lester, miasto mnie potrzebuje. Jeśli zaczniesz kłapać dziobem, nie będę mógł kierować ludźmi. Nikt ci nie uwierzy...

- Wszyscy uwierzą! - krzyknął Coggins. - Kiedy zobaczą diabelską wytwórnę, którą pozwoliłem ci zbudować za kościołem, wszyscy uwierzą! I jeszcze jedno... Jim, czy ty naprawdę nie dostrzegasz, że kiedy wreszcie wyznamy grzechy, kiedy wrzód zostanie

przecięty... Bóg unicestwi barierę! Kryzys się skończy! Mieszkańcy nie będą potrzebowali twojej pomocy!

Tego było dla Jamesa P. Renniego za wiele.

- Zawsze będą jej potrzebowali! - ryknął i wyprowadził cios piłką.

Lester akurat się do niego odwracał, złota piłka trafiła go w lewą skroń i rozcięła skórę. Krew spłynęła po policzku, spod czerwonego wzoru błyszczało lewe oko. Kaznodzieja ruszył do przodu z wyciągniętymi rękami. Biblia kłapała na Dużego Jima jak wielka paszczyka. Wtedy krew zaczęła skapywać na dywan. Sporo jej było, lewa strona swetra Lestera bardzo szybko przesiąkła.

- Nie taka jest wola Pana...

- Taka jest moja wola, ty mucho uprzykrzona! - Duży Jim tym razem trafił duchownego w czoło, w sam środek. Prąd mu przeszył rękę aż do barku. Lester zachwiał się, lecz nadal wymachiwał Biblią. I chyba próbował coś mówić.

Duży Jim opuścił rękę z piłką. Ramię mu pulsowało bólem. Teraz już krew dosłownie strumieniem lała się na dywan, a ten skurczybyk nadal stał o własnych siłach i wciąż usiłował coś mówić, plując szkarłatnymi kroplami.

Wpadł na biurko. Krew zbryzgała dziewiczą suszkę do atramentu, zaczęła z niej skapywać. Duży Jim chciał podnieść piłkę jeszcze raz, niestety nie mógł.

Wiedziałem, że te dalekie rzuty w gimnazjum kiedyś mi wyjdą bokiem, pomyślał.

Przełożył piłkę do lewej dłoni, zamachnął się od dołu. Trafił Lestera w szczękę. Dolna połowa twarzy kaznodziei przesunęła się względem górnej, w nie do końca pewnym górnym świetle załśniła następna fontanna krwi. Kilka kropli sięgnęło nawet mlecznego szkła na suficie.

- Booo...! - krzyknął Lester.

Ciągle usiłował obejść biurko. Duży Jim przyczaił się pod blatem.

- Tato? - W drzwiach stanął Junior z szeroko otwartymi ustami i oczami jak spodki.

- Booo... - Lester ruszył w stronę, skąd usłyszał głos. Wyciągnął Biblię przed siebie. - Booo... Booo... Booózeeee!

- Nie stój tak, pomóż mi! - huknął Duży Jim na syna.

Lester niczym zombi szedł ku Juniorowi, wymachując Biblią w górę i w dół. Sweter miał całkiem mokry, spodnie jak unurzane w ciemnopurpurowym błocie, twarz skryła się za płachtą krwi.

Junior pośpieszył mu na spotkanie. Kiedy duchowny zaczął upadać, Junior chwycił go i podtrzymał.

- Trzymam pana, wielebny. Już dobrze.

Po czym ułożył dłonie na jego szyi lekko od krwi i z całej siły zacisnął.

14

Pięć długich jak wieczność minut później. Duży Jim prawie leżał w fotelu. Ściągnął krawat, założony specjalnie z okazji spotkania w ratuszu, koszulę miał rozpiętą. Masował sobie pierś. Gdzieś tam w środku serce wciąż pędziło i gubiło rytm, jednak na szczęście nie wykazywało chęci, by nagle się zatrzymać.

Junior wyszedł. Rennie z początku był przekonany, że syn poszedł po Randolpha, co byłoby błędem. Tak czy inaczej brakowało mu tchu i nie mógł zawołać chłopaka. Tymczasem Junior wrócił szybko - przyniósł z przyczepy kempingowej płachtę brezentu. Jednym strząśnięciem rozłożył ją na podłodze. Z niezrozumiałą wprawą, jakby robił to wcześniej ze sto razy.

Wszystko przez te filmy pełne przemocy, pomyślał Duży Jim.

Pocierał zwiotczałe ciało, które swego czasu było tak silne i wytrzymałe.

- Pomogę ci - wydusił z siebie ze świstem, choć wiedział, że nie da rady.

- Siedź i łap oddech.

Jego własny syn, teraz na kolanach, obrzucił go mrocznym, nieodgadnionym spojrzeniem. Może była w nim miłość? Duży Jim miał taką nadzieję. Z pewnością jednak było coś jeszcze.

„Teraz cię mam”? Czy to spojrzenie mówiło: „Teraz cię mam”?

Junior przetoczył Lestera na brezent. Płachta zaszeleściła głośno. Chłopak przyjrzał się ciału, potoczył je dalej, potem narzucił na nie jeden koniec płachty. Zielony brezent. Duży Jim kupił go u Burpego. Na wyprzedazy. Pamiętał, jak Toby Manning powiedział: „Zrobił pan świetny interes!”.

- Biblia - wskazał Duży Jim.

Nadal miał świszczący oddech, ale czuł się trochę lepiej. Serce biło nieco wolniej, Bogu dzięki! Kto by pomyślał, że po pięćdziesiątce człowiek się tak szybko sypie...

Będę musiał wziąć się za siebie. Poćwiczyć. Wrócić do formy. Bóg daje nam tylko jedno ciało.

- No tak, słusznie - mruknął Junior.

Chwycił Biblię, wetknął ją między uda Cogginsa i zaczął zawijać trupa.

- Włamał się! Synu, on chyba oszalał.

- Jasne. - Junior nie wydawał się zainteresowany wyjaśnieniami. Wszystko

wskazywało na to, że interesuje go jedynie solidne zapakowanie ciała. Po prostu.

- To była walka na śmierć i życie. Będziesz musiał... - Jeszcze jedno drzenie pod żebrami. Jim ciężko wciągnął powietrze, zakasłał, uderzył się w pierś. Serce odzyskało właściwy rytm. - Będziesz musiał zabrać go do kościoła. Kiedy go znajdą... Jest tam taki jeden... może... - Ten jeden to był Kucharz, ale może oczekiwanie, że Kucharz weźmie na siebie odpowiedzialność za coś takiego, nie było najsensowniejszym pomysłem. Bushey dużo wiedział. Oczywiście nie zgodzi się na aresztowanie. A co za tym idzie, mogą go nie zdołać ująć żywego.

- Znam lepsze miejsce - powiedział Junior. Bardzo zdecydowanie. - A jeśli chcesz zwalić to na kogoś, mam też lepszego kandydata.

- Kogo?

- Pieprzonego Dale'a Barbarę. - Jak?

- Jeszcze nie wiem. Ale umyj tę cholerną złotą piłkę, jeśli masz zamiar ją zatrzymać. I pozbadź się suszki.

Duży Jim wstał. Czuł się lepiej.

- Dobry z ciebie chłopak, Junior. Dobry syn pomaga ojcu.

- Skoro tak uważasz...

Na dywanie leżało teraz wielkie zielone burrito. Z jednego końca wystawały stopy. Junior spróbował naciągnąć płachtę, ale jej nie wystarczyło.

- Przydałaby się taśma izolacyjna.

- Skoro nie zabierasz go do kościoła, to gdzie zamierzasz...

- Nieważne - odparł Junior. - W bezpieczne miejsce. Wielebny poczeka, aż wymyślimy, jak wsadzić Barbarę za kratki.

- Zanim postanowimy, co dalej, zaczekamy i przekonamy się, co będzie jutro.

Junior podniósł na ojca spojrzenie pełne pogardy. Takiego Duży Jim nie widział go nigdy. Przyszło mu do głowy, że syn ma teraz nad nim ogromną władzę. No, ale przecież własny syn z pewnością...

- Trzeba będzie zakopać dywan - rzekł Junior. - Całe szczęście, że to nie wykładzina od ściany do ściany. I większość brudu jednak na nim została.

Dźwignął gigantyczne burrito i wyniósł na korytarz. Kilka minut później Rennie usłyszał silnik samochodu kempingowego.

Z namysłem przyjrzał się złotej piłce.

Powinienem się jej pozbyć, pomyślał.

Wiedział, że tego nie zrobi. Była to droga sercu pamiętka.

A zresztą dlaczego nie miałyby zostać, jeśli tylko będzie czysta?

Godzinę później, gdy Junior wrócił do domu, złota piłka, lśniąca jak dawniej, leżała w przejrzystej kołysce.

NADCIĄGA POCISK

1

UWAGA! TU POLICJA CHESTER'S MILL! ZARZĄDZONO EWAKUACJĘ! JEŚLI MNIE SŁYSZYSZ, IDŹ W KIERUNKU MOJEGO GŁOSU! PRZEPROWADZAMY EWAKUACJĘ!

Thurston Marshall i Carolyn Sturges usiedli w pościeli, słuchając dziwnego dudnienia i spoglądając na siebie ze zdumieniem. Oboje uczyli w Emerson College w Bostonie, Thurston był tam profesorem angielskiego (a poza tym współredaktorem aktualnego numeru „Ploughshares”), Carolyn - asystentką na tym samym wydziale. Zostali kochankami pół roku wcześniej i romans kwitł w najlepsze. Znajdowali się w domku Thurstona nad jeziorem Chester Pond, między Little Bitch Road a rzeką Prestile. Przyjechali na „długi weekend opadania liści”, lecz w praktyce od piątkowego popołudnia skupiali się raczej na podziwianiu włosów łonowych partnera. W domku nie było telewizora, bo Thurston Marshall nie znosił telewizji. Było radio, ale nawet go nie włączyli. Wybiła właśnie ósma trzydzieści w poniedziałkowy ranek, dwudziestego trzeciego października. Żadne z nich nie miało pojęcia o tym, że coś jest nie w porządku, póki nie zbudził ich dudniący głos.

UWAGA! TU POLICJA CHESTER'S MILL! ZARZĄDZONO...

Głos był coraz bliżej.

- Thurston! Trawa! Gdzie ją zostawiłeś?

- Nie przejmuj się - rzucił, choć drżenie w jego głosie świadczyło, że nie zdoła posłuchać własnej rady.

Był wysoki, szczupły. Gęste siwiejące włosy zwykle ściągał w koński ogon. Teraz rozpuszczone, spływały mu prawie do ramion. Skończył sześćdziesiąt lat, Carolyn miała dwadzieścia trzy.

- Na tym kempingu o tej porze roku nie ma żywego ducha - podjął. - Zaraz nas miną i zawrócą na Little Bitch...

Uderzyła go w ramię - po raz pierwszy.

- Auto stoi na podjeździe! Zobaczą je!

Na twarzy profesora wyraźnie odbiły się słowa „O cholera!”. EWAKUACJĘ! JEŚLI MNIE SŁYSZYSZ, IDŹ W KIERUNKU MOJEGO GŁOSU! UWAGA! UWAGA! - Teraz głos się rozlegał bardzo blisko.

Thurston słyszał inne wzmocnione głosy, ludzi mówiących przez megafony, gliniarzy mówiących przez megafony, ale jeden dominował nad resztą.

ZARZĄDZONO EWA... - na moment zapadła cisza, a potem: - HALO, WY TAM, W DOMKU! WYCHODZIĆ! RAZ - DWA!

Koszmar.

- Gdzie zostawiłeś trawkę? - Po raz drugi uderzyła go w ramię. Narkotyk został w drugim pokoju. W foliowej torebce, do połowy opróżnionej. Tuż obok tacy, na której od zeszłego wieczoru zostały krakersy i ser. Pierwsza rzecz, jaką było widać od drzwi.

TU POLICJA! TO NIE SĄ WYGLUPY! ZARZĄDZONO EWAKUACJĘ! JEŻELI JESTEŚCIE W ŚRODKU, WYŁĄŻCIE, ŻEBYŚMY NIE MUSIELI WAS WYCIĄGAĆ!

Świnie, pomyślał Thurston. Małomiasteczkowe świnie o ciasnych świńskich rozumkach.

Wyskoczył z łóżka. Z rozwianym włosiem i gołymi pośladkami pobiegł do drugiego pokoju.

Chałupinę zbudował jego dziadek tuż po drugiej wojnie światowej. Składała się zaledwie z dwóch pokoiów - dużej sypialni z widokiem na jezioro oraz salonu połączonego z kuchnią. Elektryczność dostarczał stary generator, który Thurston wyłączył, zanim się położyli, bo jego nierówny warkot był nieszczerólnie romantyczny. W kominku nadal pulsował żar. Choć rozpalanie ognia nie stanowiło konieczności, było *tres* romantyczne.

A może jednak włożyłem trawkę do aktówki...

Niestety, nie. Narkotyk leżał na wierzchu, w sąsiedztwie resztek sera brie, którym się raczyli, nim zaczęli nocny ruchaton.

W momencie gdy Thurston podbiegł do stołu, rozległo się pukanie do drzwi. Nie, właściwie nie pukanie, walenie.

- Chwileczkę! - krzyknął.

Carolyn stała w drzwiach sypialni, owinięta prześcieradłem, ale prawie jej nie zauważył. Jego umysł, ciągle jeszcze niezbyt sprawnie działający po rozkoszach minionego wieczoru, chaotycznie mu podsuwał: pozbawienie własności, Orwellovska Policja Myśli, pozbawienie własności, wstręt jego trójki dzieci (z dwóch żon, obu aktualnie byłych) oraz, oczywiście, pozbawienie własności.

- Jedną sekundę, niech się ubiorę...

Drzwi stanęły otworem, a następnie, na skutek pogwałcenia co najmniej dziewięciu różnych praw gwarantowanych przez konstytucję, do środka wkroczyło dwóch młodych mężczyzn. Jeden trzymał w ręku megafon. Obaj mieli na sobie dzinsy i niebieskie koszule.

Dżinsy były balsamem na duszę, niestety koszule miały pagony i przypięte odznaki.

Nie potrzeba nam tu żadnych odznak, pomyślał Thurston nieskładnie.

- Wynocha! - krzyknęła Carolyn.

- Popatrz no, Junior - odezwał się Frankie DeLesseps. - Zupełnie jak w „Kiedy Harry spotkał zdzirę”.

Thurston zdążył chwycić torebkę z ziołem, schował ją za plecami i ukradkiem wrzucił do zlewu.

Junior przyglądał się osprzętowi, który ten ruch odsłonił.

- Chyba w życiu nie widziałem dłuższej i chudszej fujary - stwierdził.

Wyglądał na zmęczonego i miał do tego pełne prawo, bo spał tylko dwie godziny, natomiast czuł się doskonale, naprawdę świetnie, kwitnąco. Ani śladu bólu głowy.

Praca gliniarza mu pasowała.

- Wynocha! - wrzasnęła Carolyn ponownie.

- Zamknij bużkę, kochanie - odezwał się Frankie - i idź się ubierz. Przeprowadzamy ewakuację tej strony miasta.

- To jest nasz dom! Won, do kurwy nędzy!

Do tej pory Frankie się uśmiechał. Teraz przestał. Minał gołego chudego mężczyznę stojącego przy zlewie (czy też może raczej: dygoczącego przy zlewie) i chwycił Carolyn za ramiona. Potrząsnął nią solidnie.

- Nie pyskuj, maleńka, próbuję wam ratować tyłki. Ty i twój kochaś...

- Zabieraj łapy! Wylądujesz za kratkami! Mój ojciec jest prawnikiem!

Chciała go uderzyć w twarz, tyle że Frankie, który rano zwykle miewał kiepski humor, złapał ją za rękę i wykręcił na plecy. Niezbyt mocno, ale dziewczyna zawyła. Prześcieradło zsunęło się na podłogę.

- O rany! - odezwał się Junior - Niezłe bufory! - Zwrócił się do Thurstona. - Dajesz sobie z nimi radę, staruszkę?

- Ubierajcie się oboje - rzucił Frankie. - Czyście kompletnie zgłupieli? Przecież wiadomo... - Zamilkł.

Przyjrzał się jednej twarzy, potem drugiej. Na obu malował się strach. I ten sam wyraz kompletnego osłupienia.

- Junior... - Co?

- Ta cycata i pomarszczony chłoptaś nie mają w ogóle pojęcia, co się dzieje.

- Nie nazywaj mnie w ten sposób, ty seksistowska świ... Junior uniósł rękę.

- Proszę włożyć ubranie. Musicie się stąd wynieść. Siły Powietrzne Stanów

Zjednoczonych wystrzelał w tę część miasta pocisk Cruise. - Spojrzał na zegarek. - Za niecałe pięć godzin.

- Na mózg ci padło?! - krzyknęła Carolyn.

Junior westchnął ciężko i ruszył do przodu. Zdawało mu się, że już lepiej pojął istotę zawodu gliniarza. Było to wspaniałe zajęcie, tyle że ludzie czasami okazywali się tak potwornie tępi...

- Jeżeli się odbije, usłyszycie wielkie „bum” i po krzyku. Może narobicie w majtki, jeśli akurat będziecie je mieli na sobie, ale nie stanie wam się nic złego. Jeżeli natomiast przejdzie, to zostaniecie zwęgleni, bo to będzie naprawdę duży pocisk, a wy znajdujecie się nieco ponad kilometr od celu.

- Od czego się odbije, ty ciemniaku? - rzucił zaczepnie Thurston.

Ciągle jeszcze był napalony po uszy. Jedną ręką zakrywał walory rodowe... w każdym razie bardzo się o to starał, a nie było to łatwe, bo atut miał rzeczywiście wyjątkowo długi, choć cienki.

- Od klosza - powiedział Frankie. - I nie będziesz mnie wyzywał. Zrobił do przodu jeden długi krok, jednocześnie wyprowadził cios i wyrzwał redaktora „Ploughshares” w brzuch. Profesor złożył się we dwoje, zatoczył, prawie zdołał utrzymać się na nogach, ale jednak upadł na kolana i zwymiotował pewnie ze sto mililitrów rzadkiego białego kleiku, który nadal czuć było brie.

Carolyn trzymała się za spuchnięty nadgarstek.

- Traficie do więzienia - groziła Juniorowi drżącym głosem. - Czasy Busha i Cheney'a minęły. Nie jesteśmy już Stanami Zjednoczonymi Korei Północnej.

- Wiem - zgodził się Junior z anielską cierpliwością człowieka, który właśnie oswaja się z myślą, że chętnie by jeszcze kogoś udusił. W jego głowie zamieszkała jadowita jaszczurka, konkretnie heloderma arizońska, która chętnie by asystowała przy jakimś małym duszonku, ot po to, żeby rozpocząć dzień we właściwy sposób.

Ale nie. Nie. Musiał odegrać swoją rolę w przeprowadzaniu ewakuacji. Złożył przysięgę służbową, czy jak to tam się, cholera, nazywało.

- Naprawdę wiem - powtórzył. - Ale wy, wielkomiejskie dupki, najwyraźniej nie łapiecie, że już nie jesteście w Stanach Zjednoczonych Ameryki, tylko w Królestwie Chester's Mill. I jeśli nie będziecie się zachowywali jak należy, traficie do lochu. Poważnie. Żadnych telefonów, żadnych prawników, żadnych procesów. Próbujemy wam uratować życie. Za głupi jesteście, żeby dotarło?!

Kobieta stała bez słowa, gapiąc się na Juniora. Thurston próbował wstać, ale nie dał

rady, więc brnął w jej stronę na czworakach. Frankie pomógł mu w tym trudnym zadaniu, wymierzając celnego kopa w tyłek. Thurston krzyknął głośno, w równym stopniu z bólu, zaskoczenia i oburzenia.

- Za to, że straciliśmy przez was tyle czasu, dziadku - oznajmił Frankie. - Podzielał twój gust, jeśli chodzi o panienki, ale naprawdę mamy kupę roboty.

Junior przyglądał się młodej kobiecie. Świetne usta. Jak Angeliny Jolie. Gotów był się założyć, że zessałaby chrom z haka przyczepy.

- Jak nie da rady ubrać się sam, to mu pomóż. Musimy sprawdzić jeszcze cztery domki. Zanim wrócimy, macie siedzieć w swoim volvo i mknąć z powrotem do miasta.

- Nic nie rozumiem! - szlochnęła Carolyn.

- Trudno się dziwić - stwierdził Frankie. Wyjął ze zlewu torebkę z narkotykiem. - Nie wiesz, że od tego świństwa człowiek głupieje?

Rozplakała się na dobre.

- Nie przejmuj się - pocieszył ją Frankie, - Konfiskuję towar, więc za dwa dni przejaśni wam się w głowach.

- Nie przeczytałeś nam naszych praw - chlipnęła. Junior był zdumiony. W końcu się roześmiał.

- Macie prawo się zamknąć i wynosić stąd w podskokach, jasne? W zaistniałej sytuacji nie macie innych praw. Zrozumiano?

Frankie przyglądał się skonfiskowanemu narkotykowi.

- Ty, Junior, zobacz - odezwał się w pewnym momencie. - Normalnie prawie nie ma nasion. Towar super prima.

Thurston dotarł do Carolyn. Dźwignął się na nogi, puszczając przy tym głośnego bąka. Junior i Frankie spojrzeli po sobie. Starali się zachować powagę, w końcu byli przedstawicielami prawa, ale im się nie udało. Obaj równocześnie ryknęli śmiechem.

- Charlie Trąbka zawitał do miasta! - zawył Frankie. Przybili piątkę wysoko.

Thurston i Carolyn stali w drzwiach sypialni, ukrywając swoją nagość we wzajemnych objęciach. Patrzyli na rechoczących intruzów. A w tle, jak głosy z koszmarne snu, rozlegało się nawoływanie z megafonów.

Junior w końcu się opanował.

- Jak wrócimy, wozu ma nie być. Albo was wypieprzę. Wyszli.

Carolyn najpierw ubrała się sama, potem pomogła Thurstonowi, bo tak go bolał brzuch, że nie mógł się schylić, żeby włożyć buty. Oboje płakali. W samochodzie Carolyn zadzwoniła z komórki do ojca. Odpowiedziała jej cisza.

Na skrzyżowaniu Little Bitch Road i szosy numer sto dziewiętnaście blokował przejazd radiowóz. Postawna policjantka o rudych włosach wskazała im nieutwardzone pobocze i kazała nim przejechać obok służbowego wozu. Carolyn zamiast tego zatrzymała samochód i wysiadła. Trzymała się za spuchnięty nadgarstek.

- Zostaliśmy napadnięci! Przez dwóch chłopaków podających się za policjantów. Jeden miał na imię Junior, drugi Frankie! Obaj...

- Wynoście się, bo sama was napadnę - odparła Georgia Roux. - Nie żartuję, słonko, spieprzaj stąd.

Carolyn oniemiała ze zdumienia. Jej świat wywrócił się do góry nogami. Najwyraźniej trafiła do jednego z odcinków „Strefy mroku”. Musiało tak być, nie istniało inne wyjaśnienie, które by miało choćby szczyptę sensu. Za chwilę usłyszą w tle głos Roda Serlinga.

Wsiadła do swojego volvo (na zderzaku ciągle jeszcze tkwiła nalepka, spłowiała, ale czytelna: OBAMA! TAK, NADAL MOŻEMY!) i ominęła wóz policyjny. W środku siedział policjant, starszy mężczyzna, przeglądał jakąś listę na podkładce. W pierwszej chwili chciała go prosić o pomoc, ale szybko się rozmyśliła.

- Włącz radio - powiedziała. - Posłuchamy, co naprawdę się dzieje.

Thurston przekręcił gałkę. Na całej skali znaleźli jedynie Elvisa Presleya z Jordanaires, śpiewającego natchnione „How Great Thou Art”.

Carolyn wyłączyła radio.

Miała zamiar powiedzieć: „Prawdziwy koszmar”, ale nie powiedziała. Marzyła tylko o tym, żeby się jak najszybciej wydostać z tego dziwnego miasta.

2

Na mapie droga prowadząca przez kemping nad jeziorem Chester wyglądała na zawiniętą w haczyk nitkę, prawie jakby jej nie było. Junior i Frankie po wyjściu z domku Marshalla siedzieli jakiś czas w samochodzie, przyglądając się planowi.

- Tam już na pewno nikogo nie ma - stwierdził Frankie. - O tej porze roku... Jak myślisz? Pieprzyć to i wracamy do miasta. - Kciukiem wskazał domek za plecami. - Oni się zaraz pozbierają, a nawet jeśli nie, kogo to obchodzi?

Junior namyślał się przez chwilę, po czym pokręcił głową. Składali przysięgę. Poza tym niespecjalnie mu się śpieszyło z powrotem, do ojca, który będzie go wypytywał, co zrobił z ciałem wielebnego. Coggins dotrzymywał towarzystwa dziewczętom w spiżarni McCainów, tyle że ojciec na razie nie musiał o tym wiedzieć. Niech najpierw wymyśli, jak ubrać w to Barbarę. A Junior wierzył w zdolności organizacyjne ojca. Duży Jim Rennie był mistrzem w

manipulowaniu ludźmi.

Teraz już nawet nie ma znaczenia, czy się dowie, że rzuciłem budę, pomyślał. Bo ja o nim wiem gorsze rzeczy. Dużo gorsze.

Zresztą rezygnacja ze szkoły wydawała się tak mało ważna w porównaniu z tym, co się działo w Mill! Mimo wszystko musiał być ostrożny. Nie zamierzał pozwolić, żeby ojciec miał na niego haka.

- Junior? Ziemia do Juniora!

- Jestem, jestem - mruknął poirytowany.

- Wracamy do miasta?

- Zajrzyjmy do pozostałych domków. Wszystkiego zostało z kilometr, a jak wrócimy, Randolph od razu wynajdzie nam jakąś inną robotę.

- Chętnie bym coś przetrącił.

- Gdzie? W Sweetbriar Rose? Prosisz się o trutkę na szczury w jajecznicy? Z najlepszymi życzeniami od Dale'a Barbary?

- Jego tam nie będzie.

- Jesteś pewien na sto procent?

- Dobra, dobra.

Frankie uruchomił silnik i wycofał samochód z podjazdu. Barwne liście zwisały nieruchomo z gałęzi, było duszno. Bardziej jak w lipcu niż w październiku.

- Tylko lepiej, żeby wielkomiejstowych dupków tu nie było, jak wrócimy, bo będę musiał przedstawić cycatej mojego mściciela.

- Chętnie ci ją przytrzymam - powiedział Junior. - Ty skurwielu.

3

Pierwsze trzy domki były całkiem puste, nawet nie wysiadali z samochodu. Z drogi kempingowej zostały tylko koleiny przedzielone pośrodku trawiastym garbem. Z obu stron nachylały się nad nią drzewa, niższe gałęzie prawie zamiatały dach.

- Ostatni powinien być zaraz za zakrętem - powiedział Frankie. - Droga kończy się przy przystani...

- Stój! - krzyknął Junior.

Wyjechali zza ostrego zakrętu prosto na dzieci, chłopca i dziewczynkę. Stały na drodze, nawet nie próbowały uciekać. Były blade i przestraszone. Gdyby Frankie się nie bał, że zostawi na leśnej drodze układ wydechowy toyoty, i prowadził odrobinę szybciej, z pewnością by je trafił. Na szczęście zdążył wbić hamulec w podłogę i samochód stanął pół

metra od dzieciaków.

- Jezu, niewiele brakowało - odetchnął. - Chyba dostałem zawału.
- Skoro mój ojciec nie dostał, to i ty przeżyjesz - rzucił Junior. - Co?
- Nic. Nieważne.

Junior wysiadł. Dzieci nadal stały w miejscu. Dziewczynka była wyższa i starsza. Mogła mieć jakieś dziesięć lat. Chłopiec wyglądał na pięć. Oboje byli brudni i bardzo bladzi. Mała trzymała chłopca za rękę. Podniosła wzrok na Juniora, natomiast chłopiec nadal patrzył prosto przed siebie, jakby widział coś interesującego na reflektorze toyoty od strony kierowcy.

Junior przyklęknął przed dziewczynką.

- Co wy tu robicie?
- Ja chcę do mamy - odpowiedział chłopiec. Nadal oglądał reflektor. - I jeść.

Podszedł Frankie.

- Oni są prawdziwi? - Powiedział to głosem w stylu: „żartuję, ale nie do końca”.

Wyciągnął rękę, dotknął ramienia dziewczynki. Podskoczyła lekko, przeniosła na niego wzrok.

- Mama nie wróciła - powiedziała cicho.
- Jak masz na imię? - zapytał Junior. - I jak się nazywa twoja mama?

- Ja nazywam się Alice Rachel Appleton, a mój brat Aidan Patrick Appleton. Nasza mama nazywa się Vera Appleton. Nasz tata nazywa się Edward Appleton, ale nasi rodzice rozwiedli się w zeszłym roku i teraz tata mieszka w Piano, w Teksasie. My mieszkamy w Weston, w Massachusetts, na Oak Way szesnaście. Numer telefonu... - Wyrecytowała ciąg cyfr z beznamiętną precyzją sekretarki automatycznej.

- Przyjechaliśmy patrzeć na liście.

O rany, następne wielkomiejskie dupki, pomyślał Junior. Pewnie. Bo nikt z miejscowych nie marnowałby benzyny, żeby przyjeżdżać patrzeć na liście spadające z drzew. Frankie też przyklęknął.

- Alice - odezwał się - posłuchaj mnie uważnie. Gdzie jest twoja mama?
- Nie wiem. - Wielkie okrągłe łzy potoczyły się po jej policzkach.
- Mieliśmy patrzeć na liście. I pływać kajakiem. Lubimy pływać kajakiem, prawda,

Aide?

- Jestem głodny - oznajmił Aidan ponuro.

I też się rozpłakał.

Junior sam miał łzy w oczach. Musiał sobie przypomnieć, że jest gliniarzem. Gliniarze nie płaczą, w każdym razie nie na służbie. Jeszcze raz zapytał dziewczynkę o matkę, tym

razem odpowiedział mu chłopiec.

- Pojechała po woopsy.

- Woopsy to ciasteczka Whoopie Pies - wyjaśniła Alice. - Miała kupić jeszcze inne rzeczy, bo pan Killian nie przyniósł ich do domku, chociaż powinien. Mama powiedziała, że mam się zająć Aidanem, bo jestem już duża, i obiecała, że zaraz wróci, bo jedzie tylko do sklepu Yodera. Miałam pilnować, żeby Aide nie zbliżał się do jeziora.

Junior zaczął rozumieć sytuację. Najwyraźniej matka tych dwojga spodziewała się, że w domku będzie mnóstwo jedzenia. A przynajmniej trochę. Gdyby знаła Rogera Killiana, wiedziałaby, że na nim nie można polegać. Facet był durniem pierwszej klasy i przekazał swój, delikatnie mówiąc, nienachalny intelekt całemu potomstwu. Zapyziały sklepik Yodera tuż za granicą miasta w stronę Tarker's Mills specjalizował się w sprzedaży piwa, kawy, brandy i spaghetti w puszkach. Normalnie dojazd tam trwał góra dwadzieścia minut, więc mamusia po godzinie powinna była wrócić. Tyle że nie wróciła i Junior, rzecz jasna, wiedział dlaczego.

- Pojechała w sobotę rano? - spytał. - W sobotę, prawda?

- Ja chcę do mamy! - rozplakał się Aidan. - Jeść! Brzuch mnie boli!

- Tak - odpowiedziała dziewczynka. - W sobotę rano. Oglądaliśmy kreskówki, ale teraz już się nie da oglądać, bo nie ma prądu.

Junior i Frankie popatrzyli na siebie. Dwie noce w całkowitych ciemnościach. Dziesięcioletnia dziewczynka i pięcioletni chłopiec. Junior nie chciał o tym myśleć.

- Mieliście cokolwiek do jedzenia? - spytał Frankie. - Mała, znaleźliście coś?

- W szufladzie na warzywa była cebula - wyszeptła dziewczynka.

- Zjedliśmy z cukrem.

- Oż kurwa - wyrwało się Frankiemu. - Przepraszam, nic nie mówiłem. Nic nie słyszeliście.

Wrócił do samochodu, otworzył drzwiczki pasażera i zaczął szperać w skrytce na rękawiczki.

- Alice - odezwał się Junior - dokąd teraz idziecie?

- Do miasta. Poszukać mamy i czegoś do jedzenia. Trzeba minąć następną chatę, a potem można iść przez las. - Machnęła rączką mniej więcej na północ. - Żeby było bliżej.

Junior uśmiechnął się, ale w środku zlodowaciał. Mała pokazywała nie w stronę Chester's Mill, ale w kierunku TR - 90. Tam całymi kilometrami ciągnął się gęsty las i trzęsawiska. No i po drodze była, oczywiście, kopuła. Alice i Aidan prawie na pewno umarliby z głodu i wycieńczenia. Jaś i Małgosia, tylko bez happy endu.

A tak niewiele brakowało, żebyśmy po prostu zawrócili. Jezu...

Wrócił Frankie. W rękę trzymał batonik. Pognieciony i wyraźnie nie pierwszej świeżości, lecz nadal w papierku. Dzieci pożerały go wzrokiem. Patrząc na nie, Junior miał przed oczami głodujące dzieci pokazywane w telewizji. Taki wyraz twarzy u Amerykanów był niewyobrażalny, straszny.

- Nic więcej nie mamy - powiedział Frankie, rozrywając papier.

- W mieście dostaniecie coś lepszego.

Przełamał batonik na pół i każdemu z dzieci podał kawałek. Słodycz zniknęła w ciągu pięciu sekund. Chłopiec wetknął do buzi wszystkie palce i wysysał z nich resztki czekolady. Policzki mu się przy tym nadymały i zapadały rytmicznie.

Jak pies zlizujący tłuszcz z kija, pomyślał Junior.

Odwrócił się do Frankiego.

- Zatrzymamy się przy domku staruszka i panienki. Damy dzieciakom zjeść, co tam znajdziemy.

Frankie pokiwał głową i wziął chłopca na rękę. Junior podniósł dziewczynkę. Czuł pot, strach dziecka. Zmierzył jej włosy, jakby w ten sposób mógł z niej zetrzeć ten oleisty zapach.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił małą. - Jesteście bezpieczni. Już nic złego wam się nie stanie.

- Obiecujesz? - Obiecuję. Objęła go za szyję.

Junior nie potrafił sobie przypomnieć, żeby go w życiu spotkało coś miłszego.

4

Zachodnia część Chester's Mill była najrzadziej zaludnionym fragmentem miasta, a kwadrans po dziewiątej nie został tam prawie nikt. Jedyнным samochodem policyjnym na Little Bitch Road był wóz numer dwa. Za kierownicą siedziała Jackie Wettington, na miejscu strzelca Linda Everett. Komendant Perkins, małomiasteczkowy glina ze starej szkoły, nigdy by nie wysłał dwóch kobiet w jednym patrolu, ale oczywiście komendant Perkins już nie dowodził, a kobietom nowe rozstawienie nawet się spodobało. Mężczyźni, zwłaszcza policjanci, ze swoimi grubiańskimi dowcipami bywają męczący.

- Wracamy? - spytała Jackie. - Sweetbriar Rose będzie zamknięta, ale może uda się wyprosić kubek kawy.

Linda nie odpowiedziała. Myślała o miejscu, gdzie klosz odcinał Little Bitch Road. Widziała stojących tam żołnierzy, ciągle zwróconych do miasta plecami. Nawet nie drgnęli,

kiedy posłała w ich stronę „dzień dobry” przez głośnik na dachu. Niepokoilo ją to miejsce, bo teraz znajdowało się tam wielkie czerwone X namalowane sprayem na kopule, wiszące w powietrzu niczym jakiś hologram rodem z filmu science fiction. Właśnie tam znajdował się cel. Trudno jej było uwierzyć, pocisk wystrzelony z odległości pięciuset kilometrów trafi w tak niewielki punkt, chociaż Ryży ją o tym zapewniał.

- Lin?

Wróciła do rzeczywistości.

- Nie ma sprawy. Możemy. Wtedy zatrzeszczało radio.

- Wzywam dwójkę, wzywam dwójkę, dwójka, słyszysz mnie?

Odbiór.

Linda wzięła do ręki mikrofon.

- Baza, tu dwójka. Słyszę cię, Stacey, niestety, niezbyt dobrze, odbiór. - Wszyscy mi meldują to samo - stwierdziła Stacey Moggin. - Im bliżej kopuły, tym gorzej. Jesteście nadal na Little Bitch Road? Odbiór.

- Tak. Właśnie sprawdziliśmy domy Killianów i Boucherów. W obu nie ma żywego ducha. Natomiast jeśli pocisk się przebije, Roger Killian będzie miał mnóstwo pieczonych kurczaków. Odbiór.

- Urządzimy piknik. Pete chce z wami pogadać. To znaczy komendant Randolph. Odbiór.

Jackie zaparkowała na poboczu. Chwilę trwała cisza naszpikowana wyładowaniami elektrycznymi, po czym odezwał się Randolph.

- Dwójka, czy kościół sprawdzony?

Nigdy nie zwracał sobie głowy żadnym „odbior”.

- Chrystusa Odkupiciela? - upewniła się Linda. - Odbiór.

- O ile mi wiadomo, jest tam tylko jeden kościół. Chyba że w nocy jacyś hinduiści wybudowali meczet.

Linda miała nieodparte wrażenie, że hinduiści nie modlą się w meczetach, ale zdawała sobie sprawę, że nie jest to najlepszy czas na podobne sprostowania. Randolph był najwyraźniej zmęczony i zły.

- Kościół nie jest w naszym sektorze - zameldowała. - Tam mieli sprawdzić nowi. Thibodeau i Searles, jeśli dobrze pamiętam. Odbiór.

- To wy też tam sprawdźcie - polecił Randolph. - Coggins gdzieś zniknął, a jego parafianie łakną pocieszenia.

Jackie przytknęła palec do skroni i poruszyła kciukiem - mimiczny strzał samobójczy.

Linda, która marzyła o powrocie do miasta, bo bardzo chciała sprawdzić, jak się mają dzieci pod opieką Marty w domu Edmundsów, pokiwała głową.

- Tak jest, szefie - powiedziała. - Zrobi się. Odbiór.

- Na plebanię też zajrzyjcie. - Chwila ciszy. - I do radiostacji Wyje toto bez przerwy, więc ktoś tam musi być.

- Zajrzymy. - Już miała na końcu języka „bez odbioru”, kiedy coś jeszcze przyszło jej do głowy. - Szefie, jest coś nowego w telewizji? Prezydent coś powiedział? Odbiór.

- Nie mam czasu wsłuchiwać się w każde słowo, które temu facetowi spadnie z ust. Jedźcie do kościoła, znajdźcie ojczulka i powiedzcie mu, żeby się stamtąd zabierał. I wy też ruszcie dupy. Koniec.

Linda odwiesiła mikrofon i popatrzyła na Jackie. - Ruszcie dupy? - powtórzyła Jackie. - My mamy ruszyć dupy?

- On jest dupek - podsumowała Linda.

Uwaga miała być śmieszna, lecz jakoś wypadła blado. Przez jakiś czas siedziały bez słowa w samochodzie z silnikiem pracującym na jałowym biegu. Potem Jackie odezwała się tak cicho, że ledwo ją było słychać.

- Ale koszmar.

- Mówisz o Randolphie zamiast Perkinsa?

- I o nowych gliniarzach, - Ostatni wyraz intonacją umieściła w cudzysłowie. - O tych dzieciakach. Wiesz co, jak się zbierałam do roboty, Henry Morrison powiedział mi, że Randolph najął dziś rano jeszcze dwie osoby. Przyszli prosto z ulicy z Carterem Thibodeau i Pete zwyczajnie ich zaciągnął, bez zadawania pytań.

Linda wiedziała, w jakim towarzystwie obraca się Carter, czy to w Karczmie Dippera, czy w Gas & Grocery, gdzie korzystali z garażu, żeby sobie podrasowywać motory.

- Jeszcze dwóch? Dlaczego?

- Pete powiedział Henry'emu, że mogą być potrzebni, jeśli z pociskiem się nie uda. Żeby się upewnić, że sytuacja nam się nie wymknie spod kontroli. Oczywiście domyślamy się, kto mu podsunął ten pomysł.

Linda oczywiście się domyśliła.

- Przynajmniej nie noszą broni.

- Dwóch nosi. Nie służbową, prywatną, ale nosi. A jutro, jeżeli dzisiaj się to wszystko nie skończy, dostaną broń wszyscy. I skoro już mowa o dzisiejszym poranku, to Pete pozwolił im jechać samym, zamiast ich sparować z prawdziwymi glinami. Podobno już mają za sobą okres próbny. Dwadzieścia cztery godziny. Czy ty wiesz, że ich jest teraz więcej niż nas?

Linda rozważyła nowe wieści w milczeniu.

- Normalnie Hitlerjugend - odezwała się Jackie. - Pewnie przesadzam, ale na Boga, mam ogromną nadzieję, że to wszystko się dzisiaj skończy i nie trafi mi się okazja, by sprawdzić, czy mam rację.

- Jakoś nie widzę Randolpha w roli Hitlera.

- Ja też nie. Raczej Hermanna Goeringa. Jak myślę o Hitlerze, widzę Renniego.

Wrzuciła bieg, zawróciła na trzy i ruszyła w stronę Kościoła Odkupiciela.

5

Kościół był otwarty i pusty, generator wyłączono. Na plebanii także panowała cisza, z tym że chevrolet wielebnego Cogginsa stał w garażu. Linda zajrzała do środka, zobaczyła na zderzaku dwie naklejki. Na jednej przeczytała: JEŚLI DZIŚ BIORĄ ŻYWCEM DO NIEBA, NIECH KTOŚ PRZEJMIE KIEROWNICĘ! Na drugiej widniało: MÓJ DRUGI POJAZD MA 10 BIEGÓW.

Linda zwróciła uwagę Jackie na tę drugą.

- Przypomniało mi się, że wielebny ma rower. A nie widzę go w garażu, więc pewnie Coggins pojechał do miasta na dwóch kółkach. Oszczędza benzynę.

- Może i tak - zgodziła się Jackie. - Ale lepiej wejdźmy do domu i sprawdźmy, czy nie poślizgnął się pod prysznicem i nie leży ze złamanym kręgosłupem.

- W takim razie miałybyśmy go zobaczyć nagiego?

- Nikt nie obiecywał, że praca w policji będzie łatwa i przyjemna - stwierdziła Jackie. - Chodź.

Dom był zamknięty, lecz w małym miasteczku, które w sezonie puchnie, policja umie znajdować sposoby wejścia. Policjantki sprawdziły miejsca, w których normalnie chowa się zapasowe klucze. Znalazła je Jackie, wisiały na haczyku za kuchenną okiennicą. Pasowały do tylnych drzwi.

- Wielebny! - zawołała Linda, wetknąwszy głowę do środka. - Tu policja. Jest pan w domu?

Cisza. Weszły. Parter był czysty i zadbany, jednak Linda czuła się nieswojo. Zapewne dlatego, że weszła bez zaproszenia do cudzego domu. I to osoby duchownej.

Jackie ruszyła na górę.

- Wielebny! Tu policja. Jeśli pan jest w domu, proszę dać nam znać.

Linda stała u stóp schodów, patrząc w górę. Dom wydawał się odpychający. Coś tu było nie tak. Przywodził jej na myśl Janelle wstrząsaną drgawkami. To też było złe. Wkradła

jej się do głowy myśl: Gdyby Janelle znalazła się teraz w tym domu, dostałaby ataku. Tak. I znowu by zaczęła mówić niezrozumiałe rzeczy. O Halloween i o wielkiej dyni.

Schody były najzwyczajniejsze w świecie, jednak wcale nie miała ochoty się na nich znaleźć, dlatego stała i czekała, aż Jackie odraportuje, że nikogo nie ma i mogą iść do radiostacji. Niestety, partnerka zawołała ją na górę.

6

Jackie stała pośrodku sypialni Cogginsa. Na ścianie wisiał prosty drewniany krzyż, na drugiej tabliczka z napisem. Napis głosił: PAN WIDZI WSZYSTKO. Tytuł hymnu gospel. Odsunięta kołdra odsłaniała prześcieradło ze śladami krwi.

- I jeszcze tu - powiedziała Jackie. - Chodź, zobacz.

Linda niechętnie podeszła bliżej. Na zadbanej drewnianej podłodze między łóżkiem a ścianą leżała lina powiązana w supły. A supły były umazane krwią.

- Wygląda na to, że ktoś go pobił - stwierdziła Jackie ponuro. - Może nawet do nieprzytomności. Potem położyli go na... - Podniosła wzrok na koleżankę. - Nie?

- Zakładam, że nie wychowywałaś się w rodzinie wierzącej - stwierdziła Linda.

- Popelniasz grubą błąd. Czciłiśmy Świętą Tróję: Świętego Mikołaja, Króliczka Wielkanocnego i Wrózkę Zębuszkę. A jak było u ciebie?

- Dobrzy starzy baptyści, ale zdarzyło mi się słyszeć o czymś takim. Myślę, że on się chłostał.

- A, faktycznie! To kara za grzechy, tak?

- Tak. I pewnie nigdy do końca nie wyjdzie z mody.

- Ma to jakiś sens. Mniej więcej. Chodź do łazienki, coś ci pokażę. Linda nawet nie drgnęła. Zasupełana lina już jej całkowicie wystarczyła, na dodatek ten dom naprawdę przyprawiał o gęsią skórę.

- No chodź. Popatrz na rezerwuar. Nie ugryzie cię, a stawiam centa do dolara, że widziałaś gorsze rzeczy.

Linda weszła do łazienki. Na rezerwuarze leżały dwa czasopisma. Jedno religijne, drugie nosiło tytuł „Młode Szparki Orientalne”. Jakoś trudno było uwierzyć, że nabywało się je w sklepach z dewocjonaliami.

- No to jak, mamy pełen obraz? - spytała Jackie. - Siedzi sobie na tronie, grzeje gruchę...

- Co takiego? - Linda zachichotała, chociaż była zdenerwowana. Albo może właśnie dlatego.

- Moja mama tak to nazywała - wyjaśniła Jackie, - Jak wielebny skończy, daje sobie popalić, żeby odpokutować za grzechy, i idzie do łóżka, śnić azjatyckie sny o szczęściu. Rano wstaje świeżutki, wolny od grzechu, odmawia modlitwy i jedzie rowerem do miasta. Ma to sens?

Miało. Tylko nie tłumaczyło, dlaczego dom był straszny.

- Chodź, zajrzemy do radiostacji. A potem wracamy do miasta, na kawę. Ja stawiam.

- Super - ucieszyła się Jackie. - Poproszę czarną. Najlepiej w zastrzyku dożylnym.

7

Długi, niski, zbudowany głównie ze szkła budynek WCIK także był zamknięty, ale z głośników zamontowanych pod okapami płynęło „Good Night, Sweet Jesus” w interpretacji pieśniarza soul Perry'ego Como. Zza studia wynurzała się wieża transmisyjna z czerwonymi ostrzegawczymi światelkami na szczycie, ledwo widocznymi w jasnym świetle poranka. W pobliżu wieży znajdowała się podłużna bryła przywodząca na myśl stodołę. Linda uznała, że zapewne właśnie tam jest zamontowany generator i zmagazynowane wszystko to, co pozwala mu działać, a w efekcie promieniować cudem boskiej miłości na zachodni Maine, wschodni New Hampshire i najprawdopodobniej wewnętrzne planety Układu Słonecznego.

Jackie zastukała w drzwi, potem załomotała.

- Chyba nikogo tu nie ma - powiedziała Linda.

Ten budynek także budził w niej przykre odczucia. W powietrzu unosił się dziwny zapach, stęchły i niewyraźny. Przypominał jej zapach potraw przyrządzanych przez matkę, obecny w domu zawsze, nawet po wietrzeniu. Wszystko dlatego, że matka paliła jak komin, a przy tym wierzyła, że jeśli coś ma się nadawać do jedzenia, musi być przyrządzone z dużą ilością tłuszczu.

Jackie pokręciła głową.

- Przecież kogoś jednak słyszałyśmy, tak?

Linda nie potrafiła znaleźć kontrargumentu, bo rzeczywiście, słuchały radia w drodze z plebanii i słyszały miękki głos prowadzącego audycję, zapowiadającego następne nagranie, a mianowicie „Another message of God's love song”.

Tym razem poszukiwanie klucza trwało dłużej, w końcu Jackie znalazła go w kopercie przyklejonej pod skrzynką pocztową. Razem z nim był też skrawek papieru, na którym ktoś nagryzmolił cztery cyfry: 1 6 9 3.

Klucz okazał się duplikatem, niedbale dopasowanym, ale po kilku chwilach dociskania zadziałał. Gdy tylko weszły, odezwał się jednostajny brzęczyk systemu alarmowego. Terminal

znajdował się na ścianie i gdy Jackie wcisnęła cztery cyfry wypisane na skrawku papieru, alarm ucichł. Została tylko muzyka. Perry Como ustąpił miejsca jakiemuś utworowi instrumentalnemu. Głośniki we wnętrzu grały tysiącrotnie lepiej niż te przed budynkiem.

- Naprawdę ktoś pracuje w tej prześwieconej rakiecie? - zdumiała się Linda. - Odbiera telefony? Załatwia sprawy? Jakim cudem?

Coś tu było nie tak, na pewno. Lindzie ciarki chodziły po skórze, czuła się zagrożona. Gdy zobaczyła, że Jackie rozpina kaburę służbowego automatu, zrobiła to samo. Gładka kolba w dłoni poprawiała jej samopoczucie.

Niech pałka twoja i rękojeść broni będą dla ciebie pocieszeniem, pomyślała.

- Halo! - zawołała Jackie. - Wielebny! Jest tu ktoś?

Żadnej odpowiedzi. W recepcji nikogo. Po lewej stronie dwoje zamkniętych drzwi. Na wprost okno biegnące przez całą długość głównego pomieszczenia. Linda widziała za nim mrugające światła.

Studio, uznała.

Jackie pchnęła drzwi stopą, została ostrożnie w miejscu. Zerknęła. Za drzwiami znajdowało się biuro. Za drugimi - sala konferencyjna, zaskakująco luksusowa, zdominowana przez gigantyczny płaski odbiornik telewizyjny. Był włączony, tylko bez głosu. Na ekranie Anderson Cooper, nieomal rzeczywistych rozmiarów, mówił chyba z Main Street w Castle Rock. Budynki ginęły pod sztandarami i żółtymi wstążkami. Na sklepie wielobranżowym widniał transparent z napisem: UWOLNIĆ ICH! Linda poczuła się jeszcze gorzej. Pasek biegnący u dołu ekranu krzyczał drukowanymi literami: INFORMATOR Z DEPARTAMENTU OBRONY MÓWI O PLANACH ODPALENIA POCISKU.

- Dlaczego telewizor jest włączony? - spytała Jackie.

- Bo ten, kto tu rządzi, tak go zostawił, kiedy... Przerwał jej dudniący głos.

„Usłyszeliśmy »Chirst My Lord and Leader« w wykonaniu Raymonda Howella”.

Obie podskoczyły.

„Mówi Norman Drake, przypominam trzy ważne fakty: po pierwsze, słuchasz »Godziny odrodzenia«, po drugie, Bóg cię kocha, i po trzecie, posłał swojego Syna na śmierć na krzyżu, dla odkupienia twoich grzechów. Jest godzina dziewiąta dwadzieścia pięć. Przy okazji przypomnę, jak zwykle, że czas ucieka. Czy ofiarowałeś swoje serce Panu? Wracamy po reklamie”.

Norman Drake umilkł, oddając głos złotoustemu szatanowi, który oferował całą Biblię na jednym krążku DVD, a co najlepsze, można było za nią zapłacić w miesięcznych ratach, nie mówiąc już o tym, że istniała możliwość wycofania się z umowy, jeśli człowiek nie był

uszcęśliwiony jak świnia tarzająca się w gównie. Linda i Jackie podeszły do okna studia i zajrzały do wnętrza. Nikogo. Ani Normana Drake'a, ani złotoustego szatana. Mimo to po zakończeniu reklamy z głośników na nowo popłynął głos prowadzącego, zapowiadając kolejną pieśń chwały. Zielone światło zmieniło się w czerwone, a czerwone w zielone. Potem zabrzmiała muzyka i inne czerwone światło pozieleniało.

- Automat! - stwierdziła Jackie. - Całe to cudo jest zautomatyzowane!

- To dlaczego mam wrażenie, że ktoś tu jest? I ty też to czujesz, nie zaprzeczaj.

Jackie nie zaprzeczyła.

- Bo tu jest jakoś dziwnie. Spryciarze, nawet podają aktualny czas... Słonko, ta aparatura musiała kosztować fortunę! Jak sądzisz, długo to będzie działać?

- Aż się skończą zapasy propanu i generator zdechnie. - Linda dostrzegła jeszcze jedne zamknięte drzwi, otworzyła je kopnięciem, tak samo jak Jackie, tylko że wyjęła broń z kabury i trzymała zabezpieczony pistolet wzdłuż nogi, lufą w dół.

Toaleta. Pusta. Z podobizną bardzo białoskórego Jezusa na ścianie.

- Nie jestem wierząca - odezwała się Jackie - więc nie rozumiem, dlaczego ktoś chce, żeby Jezus patrzył, jak robi kupę. Wytłumaczysz mi?

Linda pokręciła głową.

- Zbierajmy się, zanim stracę wiarę. Cały ten budynek to lądowa wersja wraku „Mary Celeste”.

Jackie rozejrzała się dookoła niespokojnie.

- Faktycznie, atmosfera jak w rodzinnym grobowcu, przyznaję bez bicia.

Krzyknęła ile sił w płucach, aż Linda podskoczyła. Chciała jej powiedzieć, żeby nie zachowywała się tak głośno, bo jeszcze ktoś usłyszy. I przyjdzie albo co.

- Halo! - zawołała Jackie. - Jest tu ktoś?! Ostatnia szansa! Nikogo. Żadnego odzewu.

Wyszły. Linda głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Kiedyś, jeszcze w liceum, wybraliśmy się z przyjaciółmi do Bar Harbor na piknik. Pięknie tam. Pojechaliśmy w sześcioro, dzień prześliczny, prawie dało się zobaczyć Irlandię. Kiedy zjedliśmy, postanowiłam zrobić zdjęcie. Wszyscy się rozszaleli, wyglupiali, nie mogłam ich objąć, bez przerwy się cofałam, żeby mieć szerszy kadr. W którymś momencie Arabella, wtedy moja najlepsza przyjaciółka, nagle przerwała zabawę i krzyknęła: „Stój! Linda, Stój!”. Zatrzymałam się, obejrzałam za siebie. Wiesz, co zobaczyłam?

Jackie pokręciła głową.

- Ocean Atlantycki. Cofałam się po szczycie klifu tak długo, że dotarłam do jego krawędzi. Był tam znak ostrzegawczy, ale nikt nie postawił płotu ani barierki. Jeszcze krok i

bym spadła. Teraz się czuję tak jak wtedy.

- Lin, tutaj naprawdę nikogo nie ma.
- Nieprawda. I ty też o tym wiesz.
- Ponuro jest, fakt, ale zajrzałyśmy wszędzie, gdzie się dało...
- Do studia nie weszłyśmy. Telewizor jest włączony, muzyka stanowczo za głośna.

Uważasz, że normalnie tak bardzo podkrecają?

- A co ja tam wiem o tych świętoszkach? Może spodziewają się apokalipca.
- Apokalipsy.
- Wszystko jedno. Chcesz zajrzeć do magazynu?
- Stanowczo nie - stwierdziła Linda. Jackie parsknęła śmiechem.
- No dobra. Odraportowujemy, że nie ma śladu po wielebnym, zgadza się?
- Zgadza.
- Wracamy do miasta. I idziemy na kawę.

Zanim Linda wsiadła do wozu na miejsce obok kierowcy, rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na budynek radiostacji, spowity w chwałę eteru. Nie słyszała żadnych innych dźwięków. Nie odezwał się ani jeden ptak.

Czy wszystkie zginęły, roztrzaskały się o klosz? Nie, to niemożliwe. A może jednak? Jackie wskazała mikrofon.

- Może jeszcze zawołam przez głośniki? Powiem, że jeśli ktoś tu się ukrywa, powinien spadać do miasta? Bo wiesz, właśnie sobie uświadomiłam, że ludzie mogą się nas bać.

- Ja chcę tylko, żebyś przestała kombinować i żebyśmy się stąd wyniosły.

Jackie nie oponowała. Zawróciła w stronę Little Bitch Road i pojechały do Mill.

8

Czas mijał. Religijna muzyka płynęła z głośników. Norman Drake odezwał się ponownie i oznajmił, że jest dziewiąta trzydzieści cztery bożego czasu wschodniego. Potem nadano reklamę autokomisu Jima Renniego, przedstawioną przez samego wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej.

„Jak zawsze jesienią rozpoczynamy wyprzedaż. W tym roku mamy spore zapasy! - oznajmił Duży Jim smutnym tonem sugerującym początek dowcipu. - Są fordys, chevy, plymouthy... nawet trudno dostępny dodge ram i jeszcze trudniej dostępny mustang! Ludzie, zostałem nie z jednym, nie z dwoma, ale z trzema mustangami, a wszystkie trzy są jak nowe, słynne V6, kabriolety, każdy jest wsparty słynną Chrześcijańską Gwarancją Jima Renniego. Za niewielkie ceny serwisujemy wszystkie sprzedane wozy. A teraz.... - jęknął żałośnie -

musimy oczyścić magazyn! Wiec przyjeżdżajcie! Kawiarenka zawsze otwarta i pamiętajcie: ten się raduje, kto u Dużego Jima kupuje!”.

Na tyłach studia otworzyły się drzwi, których nie zauważyła żadna z policjantek, prowadzące do kolejnego pomieszczenia z mrugającymi światełkami - była ich tam cała galaktyka. Wnętrze, niewiele większe niż komórka, wypełnione było przewodami, rozgałęziaczami, routerami i różnymi urządzeniami elektronicznymi. Można by sądzić, że nie zmieściłby się tam człowiek. Tyle że Kucharz był wyjątkowo szczupły, wręcz wychudzony. Błyszczące oczy zapadły mu się głęboko w czaszkę, skórę miał bladą i plamistą, wargi zawinięte do środka, oparte na dziąsłach, w których brakowało większości zębów. Ubrany był w brudną koszulę i równie brudne opadające spodnie, nagie biodra przywodziły na myśl skórzaste skrzydła - już dawno temu bielizna odeszła do wspomnień. Wątpliwe, żeby Sammy Bushey rozpoznała swojego męża. W jednym ręku trzymał kanapkę z masłem kakaowym i dżemem (teraz mógł jadać tylko miękkie rzeczy), w drugim glocka 9.

Podszedł do okna otwierającego widok na parking, zastanawiając się, czy zabić policjantki. Mało tego nie zrobił, gdy były w studiu. Tylko że się bał. Bo demonów nie można zabić. Kiedy umierały ludzkie ciała, demony zwyczajnie przelatywały do następnego gospodarza. Gdy znajdowały się między ciałami, przypominały czarne ptaki. Kucharz widział je w jaskrawych snach, które pojawiały się przy coraz rzadszych okazjach, gdy zasypiał.

Tak czy inaczej policjantki zniknęły. Jego atman był dla nich za silny.

Rennie kazał mu zamknąć wszystko i Kucharz zrobił, co mu kazano, lecz liczył się z ewentualnością, że będzie musiał uruchomić kilka palników. W zeszłym tygodniu wyszła duża dostawa do Bostonu, prawie nic nie zostało. A on potrzebował zapalić. Tym się jego atman żywił od jakiegoś czasu.

Na razie jednak miał dość towaru. Rzucił bluesa, który był dla niego tak ważny na etapie Phila Busheya - rzucił B.B. Kinga, Koko i Hound Doga Taylora, Muddy Watersa i Howlin' Wolfa, a nawet nieśmiertelnego Little Waltera - rzucił ich wszystkich tak samo jak pieprzenie, na dobrą sprawę przestał też się wypróżniać, miał zaparcie od czerwca. I dobrze. Co upokarzało ciało, karmiło atmana.

Długo patrzył na parking i drogę. Nabral pewności, że nigdzie nie ma przyczajonego demona z automatem za paskiem spodni na plecach. Dopiero wtedy poszedł do magazynu, który ostatnio przekształcił się w wytwórnię. Na razie wytwórnia została zamknięta, ale można było wznowić produkcję w razie potrzeby.

Kucharz poszedł po fajkę.

Ryży Everett w magazynku za szpitalem świecił latarką, ponieważ Ginny Tomlinson, teraz nowa szefowa administracji usług medycznych w Chester's Mill, podjęła trudną decyzję i nakazała odcięcie energii wszędzie tam, gdzie nie była ona absolutnie niezbędna. Po lewej, w tym samym składzie, mruczał wielki generator, zużywając kolejne litry propanu.

„Większość butli zniknęła”, powiedział Twitch i, niestety, rzeczywiście tak było. „Zgodnie z kartą na drzwiach powinno ich być siedem, a zostały dwa”. Tutaj Twitch się mylił. Został tylko jeden. Ryży oświetlił promieniem z latarki niebieskie litery wymalowane za pomocą szablonu na srebrnym korpusie butli tuż pod logo firmy dostawczej Dead River: SZPIT. CR.

- Mówiłem - odezwał się niespodziewanie Twitch za jego plecami.

Ryży aż podskoczył.

- Myliłeś się. Jest tylko jeden.

- Bredzisz! - Twitch wodził wzrokiem za plamą światła, którą Ryży oświetlał sukcesywnie całe wnętrze, wyławiając z mroku kartony z zapasami, otaczające dużą i w zasadzie pustą przestrzeń na środku. - Nie bredzisz - przyznał po chwili.

- Nie.

- Nieustraszony dowódco, ktoś nam kradnie propan. Ryży nie chciał w to wierzyć, jednak nie miał wyjścia. Twitch przykucnął przed magazynkiem.

- Zobacz tutaj.

Ryży opadł na jedno kolano. Latem wyasfaltowano jakieś sto metrów kwadratowych za szpitalem. Nietrudno było dostrzec ślady opon ciężarówki przed suwanymi drzwiami magazynu.

- Może być z ratusza - zauważył Twitch.

- Albo skądkolwiek.

- Ale przydałoby się sprawdzić magazyn za ratuszem. Twitch nie ufać wielki szef Rennie. On złe lekarstwo.

- Po co by nam zabierał propan? Rada Miejska ma pod dostatkiem swojego.

Przeszli pod drzwi prowadzące do szpitalnej pralni, także czasowo zamkniętej. Obok wejścia ustawiono ławkę. Nad nią, na ceglach, wisiał plakat z napisem: OD 1 STYCZNIA PALENIE W TYM MIEJSCU BĘDZIE ZABRONIONE. RZUĆ NAŁÓG, UNIKNIESZ KŁOPOTÓW!

Twitch wyjął paczkę marlboro, podsunął Ryżemu, który najpierw odmówił gestem,

potem zmienił zdanie i wziął papierosa. Twitch podał mu ogień.

- Skąd wiesz? - zapytał.

- Skąd wiem co?

- Że mają pod dostatkiem swojego? Sprawdziłeś?

- Nie - przyznał Ryży. - No dobrze, tylko jeśli mieliby podkradać, to dlaczego akurat od nas? Okradanie szpitala zwykle uważa się za wyjątkowe świństwo, a tu po sąsiedzku mamy choćby pocztę. Oni też na pewno mają jakieś zapasy.

- Może Rennie i przyjaciele już pozbawili pocztę zapasów. Zresztą ile oni tam mają? Jeden pojemnik? Dwa? Maławo.

- Nie rozumiem, po co w ogóle im gaz. To bez sensu.

- Fakt, to w ogóle jest bez sensu - przyznał Twitch i ziewnął tak szeroko, że o mało nie wywichnął sobie szczęki.

- Skończyłeś obchód? - spytał Ryży.

Przez moment obracał w myślach surrealizm tego pytania. Po śmierci Haskella Ryży został ordynatorem szpitala, a Twitch, jeszcze trzy dni wcześniej pielęgniarz, zajął jego miejsce, awansował na asystenta medycznego.

- Ano. - Twitch westchnął. - Pan Carty nie dożyje końca dnia. Tydzień temu Ryży miał takie samo zdanie. Ed Carty, pacjent w ostatnim stadium nowotworu żołądka, ciągle jakoś się trzymał.

- Śpiączka?

- Tak jest, *sensei*.

Pozostałych pacjentów można było policzyć na palcach jednej ręki, co stanowiło wyjątkowo pomyślną okoliczność. Ryży myślał, że mógłby nawet czuć się szczęśliwy, gdyby tylko nie był taki śpiący i niespokojny.

- Werner stabilny, powiedziałbym.

George Werner, sześćdziesięcioletni mieszkaniec Eastchester, obarczony sporą nadwagą, miał zawał mięśnia sercowego akurat w Dniu Klosza. Ryży sądził, że z tego wyjdzie. Tym razem.

- Jeśli chodzi o Emily Whitehouse... - Twitch wzruszył ramionami. - Nie jest dobrze, *sensei*.

Emmy Whitehouse, kobieta czterdziestoletnia bez jednego kilograma nadwagi, też przeszła zawał, jakąś godzinę po wypadku Rory'ego Dinsmore'a. Jej przypadek był znacznie groźniejszy, ponieważ miała świra na punkcie sprawności fizycznej i cierpiała na zespół, który doktor Haskell zwykł nazywać syndromem przesadzania z fitness klubem.

- Mała od Freemana ma się coraz lepiej, Jimmy Sirois trzyma się nieźle, a Nora Coveland zupełnie dobrze. Po lunchu wychodzi. Ogólnie biorąc, nie jest źle.

- Fakt - przyznał Ryży. - Ale będzie gorzej. Gwarantuję. I... powiedz mi, staruszk, gdyby ci się trafił uraz głowy, chciałbyś, żebym to ja cię operował?

- Niekoniecznie - stwierdził Twitch. - Raczej miałbym nadzieję, że objawi się doktor House.

Ryży zdusił niedopałek w puszcze i raz jeszcze przyjrzał się nieomal pustemu magazynowi. Może faktycznie powinien rzucić okiem na zapasy ratusza? W sumie... co to szkodzi?

Tym razem on ziewnął szeroko.

- Długo wytrzymasz? - zapytał Twitch. Z jego głosu zniknęła kpina. - Pytam, bo jesteś teraz jedyną nadzieją tego miasta.

- Tak długo, jak będę musiał. Boję się tylko, że jeśli będę wciąż taki zmęczony, mogę coś spieprzyć. No i wiem, że niestety będę musiał radzić sobie z przypadkami wykraczającymi daleko poza moje kwalifikacje.

Pomyślał o Rorym Dinsmore. I o Jimmym Siroisie. Myśl o Jimmym była gorsza, bo Rory'emu już nie mogły zaszkodzić żadne błędy lekarskie. Natomiast Jimmy...

Ryży znów zobaczył siebie w sali operacyjnej. Słuchał cichego szumu urządzeń. Patrzył na gołą, bladą nogę Jimmy'ego, z czarną linią narysowaną w miejscu, gdzie należało przeprowadzić cięcie. Myślał o Dougiem Twitchellu, próbującym swoich sił w roli anestezjologa. Czuł, jak Ginny Tomlinson zdecydowanym gestem wkłada mu skalpel do ręki obleczonej rękawiczką, a potem patrzy na niego nad maską chłodnymi niebieskimi oczami.

Boże, oszczędź mi tego, pomyślał.

Twitch położył mu rękę na ramieniu.

- Spokojnie - powiedział. - Nie wszystko naraz. Dzień za dniem.

- Godzina za godziną, cholera - jęknął Ryży i wstał. - Muszę zajrzeć do przychodni. Sprawdzę, co tam się zawaliło. Dzięki Bogu, że to się nie zdarzyło latem, mielibyśmy wtedy na głowie trzy tysiące turystów i siedemset dzieciaków na koloniach.

- Iść z tobą?

Ryży pokręcił głową.

- Lepiej zajrzyj do Eda Carty'ego. Sprawdź, czy się nie przeniósł na łono Abrahama.

Jeszcze raz rzucił okiem na magazyn i ciężkim krokiem ruszył za róg budynku, a potem po przekątnej w stronę przychodni znajdującej się na drugim końcu podjazdu.

GINNY była, rzecz jasna, w szpitalu, po raz ostatni ważyła nowe szczęście pani Coveland przed wysłaniem obojga do domu. Recepcjonistką i pielęgniarką w przychodni została teraz Gina Buffalino, siedemnastolatka z sześciotygodniowym stażem medycznym. Tyle co nic. Przywitała Ryżego spojrzeniem sarny złapanej w blask reflektorów auta, więc serce mu się skurczyło, lecz poczekalnia była pusta, a to już dobrze. Bardzo dobrze.

- Były jakieś wezwania? - zapytał.

- Jedno. Od pani Venziano z Black Ridge Road. Jej dziecko włożyło głowę między pręty kojca i nie mogło wyjść. Żądała karetki. Poradziłam jej... żeby nasmarowała dziecku głowę oliwką i wtedy spróbowała wyciągnąć spomiędzy prętów. Podziałało.

Ryży uśmiechnął się szeroko. Przed małą otwierała się przyszłość w medycynie. Gina wyraźnie odetchnęła z ulgą.

- Na razie, jak widzę, pusto - powiedział Ryży. - Fantastycznie. - Niezupełnie. Jest pani Grinnell. Mmm... Andrea? Posadziłam ją w trójce. Wydaje się bardzo... - Gina się zająknęła. - Bardzo poruszona.

Ryży, który właśnie zaczął odzyskiwać dobry humor, znowu się zasepił. Andrea Grinnell. Poruszona. Co oznaczało, że chce dostać receptę. Której on, mimo najlepszej woli, nie miał prawa wypisać. Nawet zakładając, że Andy Sanders dysponował odpowiednimi zapasami, żeby ją zrealizować.

Ruszył korytarzem do trójki. Jeszcze się zatrzymał, obejrzał przez ramię.

- Nie dałaś mi znać na pager. Gina splonęła rumieńcem.

- Pani Grinnell prosiła, żeby tego nie robić.

Zdziwiło to Ryżego, ale tylko na moment. Andrea miała kłopot z uzależnieniem, fakt, natomiast głupia nie była. Wiedziała, że jeśli Ryży jest w szpitalu, to w towarzystwie Twitcha. A Dougie Twitchell przypadkiem był jej młodszym bratem i choć miał lat trzydzieści dziewięć, chroniła go przed przykrymi niespodziankami szykowanymi przez życie.

Ryży stanął przed drzwiami z czarną trójką. Musiał się wziąć w garść. Rozmowa będzie trudna. Andrea to nie jakiś beczelny pijak twierdzący uparcie, że alkohol nie stanowi dla niego absolutnie żadnego problemu. Nie należała też do osób uzależnionych od metamfetaminy, które w mijającym roku pojawiały się w przychodni coraz częściej. Trudno było określić odpowiedzialność Andrei za jej stan, a to komplikowało leczenie. Z pewnością po upadku bardzo cierpiała. Środki przeciwbólowe były dla niej koniecznością, pozwalały walczyć z bólem, wyłącznie dzięki nim mogła sypiać i rozpocząć terapię. Nie jej wina, że

jedyny specyfik, który pozwalał jej funkcjonować, to tak zwana heroina dla ubogich.

Otworzył drzwi i wszedł, układając w głowie słowa odmowy.

Grzecznie, ale stanowczo, powiedział sobie.

Grzecznie, ale stanowczo.

Pacjentka siedziała na krześle w kącie, pod plakatem o cholesterolu, nogi miała złączone, torebkę na kolanach, głowę spuszczoną. Była postawną kobietą, teraz wydawała się mała i krucha. Jakaś skarłała. Gdy podniosła głowę i Ryży zobaczył jej wymizerowaną twarz, zmarszczki orzące skórę wokół ust, sine, prawie czarne worki pod oczami, natychmiast zmienił zdanie, postanowił jednak wypisać jej receptę na różowym druczku doktora Haskella. Może po zakończeniu kryzysu z kopułą postara się namówić ją na program odwykowy, nawet zagrozi, że zdradzi jej kłopoty bratu, jeśli będzie trzeba. Teraz jednak da jej to, czego potrzebuje. Bo rzadko widział tę konieczność równie wyraźnie.

- Eric... Ryży... Mam kłopoty.

- Wiem. Widzę. Przepiszę...

- Nie! - W jej oczach błysnęło przerażenie. - Nawet gdybym błagała na kolanach. Jestem narkomanką, zwykłą ćpunką! Muszę z tym skończyć.

Skuliła się, zapadła w sobie. Chciała się wyprostować, odzyskać godność, nie mogła. Ukryła twarz w dłoniach. Spomiędzy palców wyrwał się urywany szloch.

Ryży podszedł bliżej, przyklęknął, objął ją.

- Dobrze, że chcesz z tym skończyć... fantastycznie. Tylko raczej moment nie jest najwłaściwszy...

Podniosła na niego zaczerwienione oczy błyszczące od łez.

- Masz rację. Trudno o gorszy moment. Ale muszę teraz. I nie mów nic Dougiemu ani Rose. Potrafisz mi pomóc? Czy w ogóle można mi pomóc? Bo widzisz, sama nie dałam rady. Te różowe pigułki! Wkładam je do apteczki i mówię sobie: „Dziś już ani jednej”, a godzinę później znowu łykam! Nigdy nie byłam w takim stanie, nigdy w życiu! - Ściszyła głos, jakby się zwierzała z wielkiego sekretu. - Myślę, że tu już nie chodzi o plecy. Mózg nakazuje moim plecocom boleć, żebym ciągle brała te przeklęte pigułki.

- Dlaczego chcesz się odzwyczycać akurat teraz? Andrea tylko pokręciła głową.

- Pomożesz mi czy nie?

- Tak, ale jeśli planujesz odstawić leki natychmiast i definitywnie, lepiej tego nie rób. Po pierwsze, możesz mieć... - Przypomniał sobie Jannie wstrząsaną drgawkami, bredzącą coś o wielkiej dyni. - Najprawdopodobniej będziesz miała napady drgawek.

Albo nie słuchała, albo się wcale nie przejęła.

- Ile to potrwa?

- Fizyczna część odwyku? Dwa tygodnie. Może trzy. Zakładając, że wszystko pójdzie łatwo, pomyślał, ale na głos tego nie powiedział.

Chwyciła go za przedramię. Rękę miała bardzo zimną.

- Za długo.

Przyszła mu do głowy bardzo przykra myśl. Należało przyjąć, że pacjentka cierpi na przejściową paranoję spowodowaną stresem.

- Andreo, czy ktoś cię szantażuje?

- Żartujesz? Przecież wszyscy wiedzą, że biorę leki, to małe miasto.

Zdaniem Ryżego nie odpowiedziała na pytanie.

- Chcę załatwić sprawę jak najszybciej - podjęła. - Jaki jest najkrótszy możliwy okres?

- Jeśli weźmiesz witaminę B12 w zastrzykach, plus tiaminę i inne witaminy... może ci się udać skrócić czas do dziesięciu dni. Ale będziesz się czuła fatalnie. Bezsenność, zespół niespokojnych nóg... to też nic miłego. Nie bez przyczyny nazywa się te objawy wykopywaniem z nałogu. I będziesz musiała znaleźć sobie kogoś, kto będzie ci wydzielał coraz mniejsze dawki. Kogoś, kto przetrzyma twoje leki i nie da ci ich, nawet jeśli będziesz błagała na kolanach. A będziesz.

- Dziesięć dni? - Wyglądała na pełną nadziei. - A w tym czasie może zniknąć klosz?

- Nawet dziś po południu. Taką mamy nadzieję.

- Dziesięć dni - powtórzyła.

- Dziesięć dni.

Tyle że głód narkotyczny będzie cię dręczył do końca życia, pomyślał Ryży.

Tego jednak też nie powiedział na głos.

11

W Sweetbriar Rose panował wyjątkowy ruch jak na poniedziałkowy rano, ale też był to poranek całkiem wyjątkowy, zupełnie inny od wszystkich poprzednich, w całej historii miasta. Mimo wszystko stali bywalcy opuścili lokal bez protestów, gdy Rose oznajmiła, że zamyka restaurację i otwiera dopiero o piątej.

- Zresztą wtedy będziecie mogli się wybrać do Moxiego w Castle Rock i tam się najeść - podsumowała.

Jej słowa zostały nagrodzone spontanicznym aplauzem, choć wspomniana knajpa była wyjątkowo podła.

- Nie będzie lunchu? - spytał Ernie Calvert.

Rose zerknęła na Barbiego, który uniósł dłonie na wysokość ramion. „Mnie nie pytaj”.

- Będą kanapki - stwierdziła Rose. - Niezbyt dużo.

Ta decyzja także spotkała się z aplauzem. Zadziwiające, że z ludzi tryskał optymizm. Słysząc było kpiny i śmiechy. A najbardziej namacalnym dowodem poprawy zdrowia psychicznego mieszkańców miasta był fakt, że w głębi restauracji, przy stole choleryków na nowo rozgorzały dysputy.

Niebagatelny powodem takiego stanu rzeczy był odbiornik telewizyjny nad ladą, na stałe ustawiony na odbiór CNN. Gadające głowy miały do przekazania widzom w zasadzie tylko domysły i plotki, lecz wszystkie optymistyczne. Kilku naukowców przepytanych na wiadomy temat stwierdziło jednogłośnie, że cruise ma ogromne szanse przebić się przez kopułę i położyć kres sytuacji kryzysowej. Jeden z nich określał szanse na sukces na „dobrze ponad osiemdziesiąt procent”.

W końcu pracownik Massachusetts Institute of Technology znajdującego się w Cambridge powinien wiedzieć, co mówi, pomyślał Barbara.

Właśnie oskrobywał grill, gdy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Wyrzał i zobaczył Julię Shumway z trójką dzieci. Wyglądała jak nauczycielka z pierwszej klasy gimnazjum na wycieczce z wychowankami. Podszedł do drzwi, wycierając ręce w fartuch.

- Jak będziemy wpuszczać wszystkich, którzy chcą coś zjeść - odezwał się zirytowany Anson, nie przerywając wycierania stołów - zaraz nam zabraknie jedzenia.

Rose znowu wybrała się do Food City po mięso. - Nie przypuszczam, żeby chcieli jeść - stwierdził Barbie i, jak się okazało, miał rację.

- Witam pułkownika Barbarę - odezwała się Julia ze swoim uśmiechem Mony Lisy. - Nie mogę się doczekać, kiedy będę cię nazywała majorem. Całkiem jak...

- Tak, tak, jak w sztuce. - Barbie słyszał ten tekst już parę razy. Mniej więcej tysiąc. - Zwołałaś pospolite ruszenie?

Jeden z chłopców, wysoki i strasznie chudy, miał na głowie szopę ciemnych włosów, drugi, mocno zbudowany, ubrany był w workowate spodnie i wypłowiałą koszulkę z nadrukiem 50 CENT, trzecia była śliczna dziewczuszka z błyskawicą na policzku. Raczej naklejka niż tatuaż, ocenił Barbie, tak czy inaczej dodawała jej sznytu, stylu *savoir faire*.

- Norrie Calvert - przedstawiła ją Julia, dotykając ramienia zbuntowanej dziewczyny. - To jest Benny Drake, a ten patyczak to Joseph McClatchey. On zorganizował wczorajszą demonstrację.

- Nie chciałem, żeby komuś stała się krzywda - powiedział Joe.

- W niczym nie zawiniłeś - zapewnił go Barbie. - Spokojnie.

- Naprawdę pan tu rządzi? - spytał Benny.

- Nie - odparł Barbie ze śmiechem. - I nie będę nawet próbował, jeśli się to nie okaże absolutnie konieczne.

- Ale pan zna żołnierzy, co tam stoją, tak? - dociekała Norrie.

- Osobiście nie. Oni są marines, a ja służyłem w wojskach lądowych.

- Według pułkownika Coksa nadal jesteś w armii - wtrąciła się Julia. Ciągle miała na ustach chłodny uśmiech, lecz w jej oczach tańczyły iskry podniecenia. - Możemy z tobą pogadać? Młody pan McClatchey ma pomysł, który uważam za rewelacyjny. O ile da się go zrealizować.

- Da się - stwierdził Joe. - Jeśli chodzi o komputery, to ja tu rządzę. Jestem najlepszy.

- Zapraszam do biura - powiedział Barbie i poprowadził wszystkich czworo do lady.

12

Pomysł był świetny, to prawda, tyle że dochodziło już wpół do jedenastej, więc jeśli faktycznie mieli go wcielić w życie, musieli działać szybko.

Barbie odwrócił się do Julii.

- Masz tele...

Zanim skończył, położyła mu aparat na dłoni.

- Numer Coksa jest w pamięci.

- Fajnie. Jeszcze chciałbym wiedzieć, jak się do niej dostać. Joe wziął od niego komórkę.

- Co pan, ze średniowiecza?

- Tak! Z czasów gdy rycerze odznaczyli się zuchwałością, a damy nie nosiły bielizny.

Norrie zaśmiała się głośno i podniosła do góry zaciśniętą piastkę. Barbie stuknął w nią swoją wielką pięścią - zółwik.

Joe wduśił kilka przycisków na miniaturowej klawiaturze. Słuchał przez chwilę, po czym oddał aparat Barbiemu.

Cox najwyraźniej w dalszym ciągu siedział z jedną ręką na telefonie, bo już był na linii, gdy Barbie przyłożył komórkę Julii do ucha.

- Co u pana, pułkowniku? - zapytał Cox.

- W zasadzie nieźle. - A to dopiero początek.

Łatwo się mówi, pomyślał Barbie.

- Podejrzewam, że tak będzie do chwili, kiedy pocisk albo się odbije, albo przebije i narobi szkód na farmach po naszej stronie. Mieszkańców Chester's Mill to uraduje. Co

słuchać u pana?

- Niewiele. Nikt nie ryzykuje przepowiedni.

- Co innego słyszymy z telewizora.

- Nie nadążam za komentarzami tych mądrali.

Barbie usłyszał w głosie rozmówcy lekkie zniechęcenie.

- Mamy nadzieję - ciągnął Cox. - Sądzymy, że to strzał w dziesiątkę, że się tak wyrażę.

Julia otworzyła i zamknęła dłonie w geście wyrażającym: „Do rzeczy!”.

- Pułkowniku, jest tu ze mną czwórka przyjaciół. Jeden z nich to młody człowiek, Joe McClatchey, który wpadł na ciekawy pomysł. Oddaję mu słuchawkę.

Joe gwałtownie pokręcił głową, aż mu włosy podfrunęły. Barbie się tym nie przejął.

- On wszystko wyjaśni - dorzucił i podał chłopakowi komórkę. - Gadaj.

- Ale...

- Nie podskakuj władzy, synu. Mów.

Wobec czego Joe zaczął rozmawiać. Z początku szło mu trochę kulawo, przetykał zdania mnóstwem „eee...”, „nooo” i „widzi pan”, ale wreszcie się rozkręcił i rzeczowo przedstawił sprawę. Potem słuchał. Po chwili rozpromienił się w uśmiechu. W końcu powiedział: „Ta jes, psze pana. Dziękuję panu!” i oddał telefon Barbiiemu.

- Musi pan potwierdzić. Spróbują nam poprawić Wi - Fi, zanim wystrzelą pocisk. Jezu, cholera, ale rewela!

Julia chwyciła go za ramię.

- Wymsknęło mi się - przeprosił dzieciak.

- Nie szkodzi. Ustalono? Dasz radę to zrobić?

- Jasna sprawa! Nie ma problemu.

- Pułkowniku? - odezwał się Barbie. - Naprawdę?

- Nie możemy blokować każdej waszej inicjatywy - stwierdził Cox. - Zdaje się, że właśnie pan mi to uświadomił. A możemy wam pomóc. Będziecie mieli najszybszy Internet na świecie. Przynajmniej dzisiaj. Swoją drogą ma pan tam niezłe towarzystwo. Bystry dzieciak.

- Też tak uważam. - Barbie spojrział na Joego, podnosząc kciuk. Chłopak rozpromienił się jak słońce.

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze - powiedział Cox - i będziecie mieli nagranie, chcę dostać kopię. Oczywiście my też filmujemy, ale naukowcy zajmujący się tą sprawą będą chcieli widzieć wszystko od waszej strony klosza.

- Mało tego - zastanowił się Barbie. - Jeżeli Joe to zrobi, większość mieszkańców

będzie mogła oglądać program na żywo.

Tym razem Julia uniosła kciuk. Barbie z uśmiechem powtórzył jej gest.

13

- Aaale! - wyrwało się Joemu.

Ze zdumionym i pełnym podziwu wyrazem twarzy wyglądał na osiem lat, nie trzynaście. Pewność siebie ulotniła się z jego głosu.

Razem z Barbiem stali jakieś trzydzieści metrów od miejsca, gdzie Little Bitch Road docierała do kopuły. Chłopak nie patrzył na żołnierzy, którzy wyjątkowo odwrócili się przodem do miasta, tylko na taśmę ostrzegawczą i wielki czerwony X namalowany sprayem na kloszu. Fascynujący widok.

- Zwijają biwak - zauważyła Julia. - Namioty zniknęły.

- Jasne. - Barbie spojrział na zegarek. - Czas najwyższy. Za półtorej godziny robi się tu bardzo gorąco. Mały, bierz się do roboty.

Tutaj, na pustej drodze w środku lasu Barbie zaczął mieć wątpliwości, czy Joe zdoła zrealizować swoje obietnice.

- Już, zaraz. - Chłopak przestąpił z nogi na nogę. - Widzi pan drzewa?

Barbie nie od razu zrozumiał. Zerknął na Julię, ona lekko wzruszyła ramionami. Więc Joe pokazał, w czym rzecz. Drzewa po stronie Tarker's tańczyły na wietrze, rozsiewając barwne liście, obsypując nimi wartowników marines. Tymczasem we wnętrzu kopuły gałęzie ledwie się poruszały, a większość liści pozostała na drzewach. Barbie wiedział, że powietrze przechodzi przez barierę, chociaż niezbyt dynamicznie. Klosz zatrzymywał wiatr. Przypomniało mu się, jak z Paulem Gendronem, tym w czapce Sea Dogs, natrafili na strumyk. Pamiętał tę spiętrzoną wodę.

- Liście są jakieś takie... - odezwała się Julia. - Sama nie wiem... bez życia.

- Tak się wydaje, bo po drugiej stronie wieje wiatr, a u nas cisza - oznajmił Barbie, wcale nie do końca przekonany, że to prawda. Albo czy cała prawda. Tylko co by miało wyjść dobrego ze spekulacji na temat aktualnej jakości powietrza w Chester's Mill, skoro i tak nie mogli nic z tym zrobić? - No, Joe, do roboty.

Zajrzeli po drodze do domu McClatcheyów, Joe zabrał stamtąd powerbooka. Pani McClatchey kazała Barbiemu przysiąc, że zadba o bezpieczeństwo jej syna, i Barbie złożył tę przysięgę. A teraz Joe wskazał drogę.

- Tutaj?

Barbie uniósł obie ręce do twarzy, spojrział na wielki czerwony X w kadrze

fotograficznym.

- Bardziej w lewo. Może spróbujemy. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

- Jasne.

Joe otworzył i włączył laptop. Rozległ się znajomy pomruk. Barbiemu przyszło do głowy, że w życiu nie widział czegoś tak surrealistycznego jak srebrny komputer na środku asfaltowej Little Bitch Road. Taki obrazek doskonale podsumowywał ostatnie trzy dni.

- Bateria jest świeża, powinna wytrzymać co najmniej sześć godzin - oznajmił Joe.

- A komputer nie przejdzie w stan wstrzymania? - zaniepokoiła się Julia.

Joe ograniczył się do spojrzenia, które znają wszystkie matki na świecie, mówiącego wyraźnie: „Weeż, przestań”. Po czym obrócił się do Barbiego.

- Jeżeli pocisk usmaży mojego kompa, kupi mi pan drugi?

- Wujek Sam ci kupi - obiecał Barbie. - Osobiście złożę zamówienie.

- No to gra.

Chłopak pochylił się nad powerbookiem. Do górnej krawędzi ekranu przymocował niewielki cylindryczny przedmiot połyskujący srebrem. Wyjaśnił patrzącym, że to najnowszy cud techniki komputerowej, iSight. Musnął palcem panel dotykowy, stuknął w klawisz „enter” i raptem ekran rozjarzył się obrazem Little Bitch Road. Z niewielkiej wysokości każdy wybór, każda nierówność asfaltu wyglądała jak potężna góra. Dalej widać było marines mniej więcej do kolan.

- Jest obraz?! - zawołał jeden z nich. Barbie podniósł wzrok.

- Ujmijmy to w ten sposób, żołnierzu: gdybym w tej chwili przeprowadzał inspekcję, ty już byś robił pompki z moją nogą na tyłku. Masz plamę na lewym bucie. Rzecz niedopuszczalna w warunkach niebojowych.

Marine spojrzał na swój lewy but, który faktycznie był poplamiony. Julia zaśmiała się głośno. Joe nie. Był wyraźnie zaabsorbowany.

- Za nisko - ocenił. - Proszę pani, ma pani w samochodzie coś, co by się nadało? - Uniósł rękę mniej więcej na wysokość metra.

- Mam - stwierdziła Julia i poszła do swojego priusa, którym wszyscy przyjechali.

- Może pani też wziąć mój worek gimnastyczny? - Parę chwil robił coś przy laptopie, po czym wyciągnął rękę. - Komórka!

Barbie podał mu telefon. Chłopak wcisnął kilka przycisków z nieprawdopodobną szybkością.

- Benny? - rzucił w słuchawkę. - A, Norrie, dobrze. Jesteście? Pewnie pierwszy raz w knajpie z wyszynkiem? Jasne. Gotowi? Ekstra. Czekać. - Słuchał chwilę, po czym

wyszczerył w uśmiechu wszystkie zęby. - Powaga? No, z tego, co ja tu mam, to leci jak odrzutowiec. Podkreślił Wi - Fi. Muszę kończyć. - Wdusił przycisk, zamknął telefon i oddał Barbiemu.

Wróciła Julia, niosąc worek gimnastyczny i karton z resztką egzemplarzy niedzielnego wydania specjalnego „Democrata”. Joe ustawił powerbooka na kartonie (nagle przesunięcie obrazu z poziomu szosy spowodowało, że Barbiemu zakręciło się w głowie), potem sprawdził działanie sprzętu i oznajmił, że wszystko jest ekstra. Poszperał chwilę w worku, wyjął z niego czarne pudło z anteną i całość podłączył do komputera. Żołnierze stłoczeni po drugiej stronie kopuły przyglądali mu się z zainteresowaniem.

Teraz już wiem, jak to jest w akwarium, pomyślał Barbie.

- Wygląda, że wszystko gra - mruknął Joe. - Mamy zielone światło.

- Nie powinienesz zadzwonić do...

- Jeśli działa, oni do mnie zadzwonią - stwierdził Joe. - O - o... Kłopoty.

Barbie uznał, że chłopak mówi o komputerze, ale on nawet nie patrzył na sprzęt. Nadjeżdżał zielony wóz komendanta policji. Jechał szybko, światła na dachu pulsowały. Gdy się zatrzymał, zza kierownicy wysiadł Pete Randolph, a z miejsca pasażera (samochód wyraźnie się podniósł, gdy zszedł mu ciężar z resorów) sam Duży Jim Rennie.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

Zabrzączał telefon. Barbie bez słowa podał go Joemu, nie spuszczając wzroku ze zbliżających się dwóch mężczyzn: wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej i komendanta policji.

14

Transparent na drzwiach Karczmy Dippera głosił ZAPRASZAMY NA NAJWIĘKSZY PARKIET W MAINE! i po raz pierwszy w historii knajpy ów parkiet był zatłoczony o godzinie jedenastej czterdzieści pięć. Tommy oraz Willow Anderson witali gości w drzwiach jak księża parafian przed kościołem. W tym wypadku musieliby być reprezentantami Pierwszego Kościoła Zespołów Rockowych Prosto z Bostonu.

Z początku goście zachowywali się cicho, bo na wielkim ekranie telewizora widniało tylko jedno niebieskie słowo: CZEKAJ, Benny i Norrie podłączyli swój sprzęt, przestawili odbiornik na wejście czwarte. Nagle ukazała się Little Bitch Road jak żywa, łącznie z barwnymi liśćmi wirującymi wokół wartowników marines.

Rozległy się oklaski i wiwaty.

Benny przybił Norrie wysoką piątkę, ale dziewczynce to nie wystarczyło. Pocałowała

go. Prosto w usta. Był to najszcześniejszy moment w życiu Benny'ego, nawet lepszy niż pion na samej górze w czasie fuli pipe'a.

- Dzwon! - zarządziła Norrie.

- Dzwonię - odmeldował Bennie.

Wyglądał jak poparzony słońcem, mimo to uśmiech miał od ucha do ucha. Wcisnął „redial” i przysunął słuchawkę do ucha.

- Stary, jest! - wrzasnął w mikrofon. - Obraz ostry jak żyłeta i do tego...

- Houston, mamy problem - przerwał mu Joe.

15

- Ja nie wiem, co wam się wydaje - powiedział komendant Randolph - ale macie mi wszystko wyjaśnić i dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi, musicie to wyłączyć. - Wskazał powerbook.

- To jest pułkownik Barbara - odezwał się jeden z marines z pagonami podporucznika.

- Ma szczególne uprawnienia nadane przez rząd.

Duży Jim, słysząc to, zaprezentował swój najbardziej sarkastyczny uśmiech. Żyła na szyi pulsowała mu gwałtownie.

- Ten człowiek jest wyłącznie przyczyną kłopotów. Gotuje w restauracji.

- Proszę pana, mam rozkazy... Duży Jim pogroził mu palcem.

- W Chester's Mill jedyną oficjalną władzą, jaką teraz uznajemy, jest nasza własna, żołnierzu, a jej reprezentantem jestem ja. - Odwrócił się do Randolpha. - Komendancie, jeśli dzieciak tego nie wyłączy natychmiast, proszę wyciągnąć kabel.

- Nie widzę tu żadnego kabla - wymamrotał Randolph. Przenosił wzrok z Barbiego na marines i na Dużego Jima. Zaczął się pocić.

- Wobec tego potraktuj z buta ten nieszczęsny ekran! Wyłącz! Randolph zrobił krok naprzód. Joe, wyraźnie przestraszony, lecz zdeterminowany, własnym ciałem zasłonił laptop. Nadal miał w ręku telefon komórkowy.

- Niech pan go nie rusza! To moja własność i nie złamałem żadnego prawa!

- Cofnąć się, komendancie - powiedział Barbie. - To rozkaz. Jeżeli nadal jest pan posłuszny prawu powiatu, w którym pan mieszka, musi pan posłuchać.

Randolph niepewnie rozejrzał się dookoła.

- Jim, może jednak...

- Co „może”? Co „może”? - odparował Duży Jim. - Teraz mieszkasz tutaj. I nigdzie indziej. Wyłącz ten taki siaki owaki komputer!

Tym razem Julia wysunęła się do przodu, chwyciła powerbook i obróciła w taki sposób, że kamera objęła nowo przybyłych. Z biurowego koka wymusnęło się pani redaktor kilka kosmyków włosów, muskały jej zaróżowione policzki. Barbiemu przyszło do głowy, że Julia Shumway wygląda wyjątkowo ślicznie.

- Zapytaj Norrie, czy widzą! - poleciła Joemu.

Uśmiech na twarzy Dużego Jima zmienił się w przykry grymas.

- Odłóż to, kobieto!

- Zapytaj ich, czy widzą.

Joe rzucił kilka słów do telefonu. Słuchał przez moment, po czym odmeldował:

- Widzą. Pana Renniego i komendanta Randolpha. Norrie mówi, że ludzie chcą wiedzieć, co się dzieje.

Na twarzy Randolpha malowało się przerażenie, na twarzy Renniego - wściekłość.

- Kto chce wiedzieć? - zapytał Randolph.

- Ustanowiliśmy połączenie na żywo z Karczmą Dippera - wyjaśniła Julia.

- Z tą speluną! - warknął Duży Jim.

Dłonie miał mocno zaciśnięte. Barbie szacował, że radny ma jakieś pięćdziesiąt kilo nadwagi. Zauważył też, że się krzywi, gdy musi poruszyć prawą ręką, jakby ją nadwreżył, jednak widać było, że potrafi przyłożyć. A teraz szykował się do zadania ciosu, chociaż komu - nie sposób było przewidzieć. Może sam nie wiedział.

- Od jakiejś jedenastej z minutami zbierają się tam ludzie - podjęła redaktorka. - Wieści szybko się rozchodzą. - Przekrzywiła głowę, uśmiechnęła się lekko. - Czy zechcesz pozdrowić swoich wyborców?

- To blef.

- Bardzo łatwo to sprawdzić. - Odwróciła się do Randolpha. - Zadzwoń do któregoś ze swoich chłopaków i zapytaj, gdzie się dziś ludzie zbrali. - Potem znowu do Jima. - Jeżeli wyłączysz komputer, setki osób się dowiedzą, że to ty odciąłeś im widok na wydarzenie, które jest dla nich w tej chwili najważniejsze na świecie. Od którego zależy ich dalsze życie.

- Nie miałaś prawa!

Barbie, zwykle dobronny i opanowany, tym razem stracił zimną krew. Przecież ten człowiek nie był głupi. I właśnie to doprowadzało Barbiego do wściekłości.

- O co właściwie chodzi? - zapytał. - Dzieje się coś niebezpiecznego? Ja tu nic takiego nie widzę. Chcemy to ustawić, włączyć transmisję i zniknąć.

- Jeżeli pocisk nie przedziurawi kopuły, może dojść do paniki. Wiedzieć o czymś to jedno, a zobaczyć - zupełnie co innego. Trudno przewidzieć, do czego jest zdolny tłum.

- Ma pan bardzo niskie mniemanie na temat swoich wyborców. Duży Jim otworzył usta, gotów odparować w stylu „Tysiącrotnie dowiedli, że mam rację” - a w każdym razie tak podejrzewał Barbie - lecz w porę sobie przypomniał, że znaczna część mieszkańców miasta ogląda tę konfrontację na wielkim ekranie telewizora.

- Chętnie bym stał ten ironiczny uśmiezek z twojej twarzy - warknął pod adresem Barbary.

- Wyraz twarzy też będziemy teraz kontrolować? - spytała Julia. Joe Chudzielec zakrył usta, ale nie zdążył zasłonić uśmiechu. Zobaczyli go obaj, i Randolph, i Duży Jim. I obaj usłyszeli prychnięcie.

- Zbierajcie się - usłyszeli podporucznika marines. - Czas ucieka.

- Julio, ustaw na mnie kamerę - poprosił Barbie. Tak się stało.

16

Karczma nie była tak napakowana jeszcze nigdy, nawet w pamiętny Nowy Rok dwa tysiące dziewiąty, kiedy występowały Seksowne Kociaki z Watykanu. I nigdy nie było tu tak cicho. Ponad pięćset osób stało ramię w ramię, wpatrując się w obraz z kamery Joego, obraz, który razem z powerbookiem zrobił obrót o sto osiemdziesiąt stopni, przyprawiając o zawrót głowy, i w końcu zatrzymał się na Dale'u Barbarze.

- Mój kucharz - mruknęła Rose Twitchell z uśmiechem.

- Cześć wszystkim - odezwał się Barbie.

Przekaz był tak doskonały, że niejeden odruchowo odpowiedział na powitanie.

- Nazywam się Dale Barbara i zostałem ponownie zaciągnięty w szeregi Armii Stanów Zjednoczonych oraz awansowany na pułkownika.

Jego słowa wywołały falę zaskoczenia.

- Przekaz wideo z Little Bitch Road odbywa się w całości na moją odpowiedzialność. Jak się już pewnie zorientowaliście, doszło do różnicy zdań między mną a radnym Renniem dotyczącej tego, czy należy kontynuować przekaz, czy też nie.

Tym razem szmer był znacznie głośniejszy. I wcale nie łagodny.

- Nie mamy teraz czasu na uzgadnianie zakresu kompetencji - ciągnął Barbie. - Ustawimy kamerę na punkt, w który ma uderzyć pocisk. Czy transmisja będzie trwała, czy nie, zależy od decyzji wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej. Jeżeli ją przerwie, zrobi to na własną odpowiedzialność. Dziękuję za uwagę.

Wyszedł z kadru. Przez chwilę zebrani na parkiecie widzieli tylko drzewa, po czym obraz znowu zatoczył obrót o pół koła, opadł nieco i ustatkował się, wycelowawszy w

wielkie, zawieszono w powietrzu X. Za nim żołnierze pakowali ostatnie sprzęty do dwóch potężnych ciężarówek.

Will Freeman, właściciel miejscowego przedstawicielstwa Toyoty (niezaprzyjaźniony z Jamesem Renniem) odezwał się do telewizora:

- Zostaw komputer w spokoju, Jimmy, bo w przeciwnym razie pod koniec tygodnia będziemy mieli w Mill całkiem nowego radnego.

Wsparł go ogólny pomruk akceptacji. Mieszkańcy miasta stali w ciszy, patrząc na ekran i czekając, czy aktualny program, jednocześnie nudny i nieprawdopodobnie ekscytujący, będzie trwał, czy też transmisja zostanie przerwana.

17

- Duży Jim, co ja mam robić? - zapytał Randolph. Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę i otarł kark.

- A co chcesz zrobić?

Po raz pierwszy od czasu przejścia kluczyków od zielonego wozu komendanta policji Pete Randolph nabrał przekonania, że chętnie by je oddał komuś innemu. Westchnął ciężko.

- Chcę to zostawić w spokoju.

Duży Jim pokiwał głową, jakby mówił: „Bierzesz to na siebie”. Po czym uśmiechnął się, o ile można tak nazwać przesunięcie kącików ust do tyłu.

- Cóż, to ty jesteś komendantem policji. - Odwrócił się do Barbiego, Julii oraz Joego Chudzielca. - Zostaliśmy wymanewrowani, prawda, panie Barbara?

- Zapewniam pana, że nie ma tu mowy o żadnym manewrowaniu - odparł Barbie.

- Gó... Nieprawda. To przejaw dążenia do władzy. W najczystszej postaci. Widziałem to już niejedynym razem. Widziałem, jak ludzie wygrywali... i widziałem, jak przegrywali. - Podszedł do Barbiego, podtrzymując bolącą prawą rękę.

Z bliska czuć go było wodą kolońską i potem. Oddychał chrapliwie. Zniżył głos, by Julia nie usłyszała jego słów, natomiast Barbie słyszał je bardzo wyraźnie.

- Wpadliście jak śliwka w kompot, synu. Jeżeli pocisk się przebiję, wygraliście, ale jeżeli się odbije... uważajcie na siebie.

Na chwilę długą jak wieczność jego oczy, omal niewidoczne w głębokich fałdach tłuszczu, lecz błyszczące lodowatym sprytem, przyszpiliły Barbiego. Wreszcie się odwrócił.

- Zbieramy się, komendancie. Dzięki panu Barbarze i jego przyjaciółom sytuacja jest już wystarczająco skomplikowana. Wracamy do miasta. Siły porządkowe muszą być w gotowości na wypadek zamieszek.

- Co za absurd! - obruszyła się Julia.

Duży Jim zbył ją machnięciem ręki, nawet się nie odwracając.

- To jak, Jim, jedziemy do karczmy? - spytał Randolph. - Mamy jeszcze czas.

- Moja noga nie postanie w tej spelunie! - oznajmił Duży Jim, podchodząc do samochodu. - Najchętniej bym się zdrzemnął. Ale nic z tego nie będzie, bo mam za dużo pracy. Cięży na mnie wielka odpowiedzialność. Nie prosiłem o nią, ale ją przyjąłem.

- Są ludzie wielcy i tacy, których przygniata odpowiedzialność, prawda? - spytała go Julia retorycznie. Na twarzy miała swój słynny chłodny uśmiech.

Duży Jim odwrócił się i spojrział na nią z tak wielką nienawiścią w oczach, że aż cofnęła się o krok.

- Ruszamy, komendancie - powiedział.

Zielone auto zawróciło do Mill, kogut stale migotał w mglistym, dziwnie ciepłym powietrzu.

- Uff... - Joe teatralnym gestem otarł pot z czoła. - Straszny facet!

- Nic dodać, nic ująć - zgodził się Barbie. Julia patrzyła na niego bez śladu uśmiechu.

- Masz teraz wroga - stwierdziła. - Śmiertelnego wroga.

- Ty też. Pokiwała głową.

- Mam nadzieję, że pocisk się przebije. Dla dobra nas obojga.

- Pułkownika Barbara! - zawołał podporucznik. - Na nas już czas. Chętnie byśmy pana zabrali ze sobą.

Barbie skinął głową i po raz pierwszy od długiego czasu zaszalutował na poważnie.

18

B - 52, który wystartował z bazy Sił Powietrznych w Carswell w poniedziałkowy rano, o dziesiątej czterdzieści znalazł się nad Burlington w stanie Vermont. Siły powietrzne zawsze przybywają na imprezę nieco wcześniej, jeśli to tylko możliwe. Misja otrzymała kryptonim „Wielka Wyspa”. Pilotem dowodzącym został major Gene Ray, który służył zarówno podczas wojny w Iraku, jak i w Zatoce Perskiej. W rozmowach prywatnych określał tę pierwszą jako „Jeden wielki cyrk”. Miał w ładowni dwa pociski Fasthawk Cruise. Był to dobry sprzęt, lepszy, bardziej niezawodny i potężniejszy od starszych tomahawków. Tylko dziwnie było planować strzał w amerykański cel.

O dwunastej pięćdziesiąt trzy czerwona lampka na panelu kontrolnym zmieniła kolor na bursztynowy. COMCOM przejął sterowanie samolotem i zaczął go naprowadzać na pozycję. Burlington zniknęło pod skrzydłami.

- Już prawie czas - powiedział major Ray do mikrofonu.

W Waszyngtonie odpowiedział mu pułkownik Cox:

- Tak jest, majorze. Powodzenia. Załatwcie to gównu.

- Się robi - odparł Ray.

O dwunastej pięćdziesiąt cztery bursztynowe światło zmieniło się w zielone i zaczęło pulsować. O dwunastej pięćdziesiąt cztery i pięćdziesiąt pięć sekund zapłonęło równym zielonym blaskiem. Ray pstryknął przełącznikiem oznaczonym cyfrą jeden. Nie było żadnej sensacji, rozległ się tylko niegłośny syk spod spodu, ale pilot widział, jak fasthawk rozpoczyna lot. Szybko osiągnął maksymalną prędkość, zostawiając za sobą smugę, jakby ktoś zadrapał niebo.

Gene Ray przeżegnał się, na koniec ucałował podstawę kciuka.

- Leć, leć z Bogiem, cacuszko - powiedział.

Maksymalna prędkość pocisku wynosiła pięć tysięcy sześćset kilometrów na godzinę. Osiągnął ją w odległości stu kilometrów od celu, jakieś sześćdziesiąt na zachód od Conway w New Hampshire. Teraz mijał Góry Białe. Komputer skalkulował, a następnie zatwierdził ostatni odcinek. W czasie obniżania pułapu szybkość pocisku spadła do dwóch tysięcy dziewięciuset sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ustawił się on nad drogą numer trzysta dwa, stanowiącą w North Conway główną ulicę. Przechodnie zadzierali głowy z obawą.

- Czy on aby nie leci za nisko? - zaniepokoiła się jakaś kobieta na parkingu przed outletem.

Zwróciła się z tym pytaniem do koleżanki. Obie śledziły pocisk, osłaniając oczy dłonią.

Gdyby system naprowadzający fasthawk mógł im odpowiedzieć, usłyszałyby pewnie: „Kochana, ty jeszcze nie wiesz, na co mnie stać!”.

Granicę między New Hampshire i Maine pocisk minął na wysokości tysiąca metrów, ciągnąc za sobą łoskot, od którego szczękały zęby i wypadały szyby z okien. Gdy układ naprowadzania znalazł drogę numer sto dziewiętnaście, obniżył pocisk najpierw na wysokość trzystu metrów, potem stu pięćdziesięciu. Komputer pracował na najwyższych obrotach, sprawdzając dane systemu naprowadzającego i robiąc tysiąc korekt kursu na minutę.

W Waszyngtonie pułkownik James O. Cox powiedział:

- Panowie, zbliżamy się do celu. Trzymajcie sztuczne szczęki. Fasthawk odszukał Little Bitch Road i opadł nieomal na poziom gruntu, nadal utrzymując prędkość ponad dwa machy, dostrzegając każde wzgórze i każdy zakręt. Ogon mu błyszczał zbyt jasno, żeby się dało na niego patrzeć; zostawiał za sobą toksyczny smród substancji napędowej. Strącał liście

z drzew, kilka gałęzi podpalił. Spowodował zawalenie przydrożnego straganu w Tarker's - posypały się deski, zmiażdżone dynie wyleciały w niebo. Za nim toczył się grzmot, który rzucał ludzi na ziemię i kazał im zasłaniać głowę rękami.

Uda się, pomyślał Cox.

Jakżeby inaczej?

19

W karczmie stłoczyło się już osiemset osób. Nikt nic nie mówił. Lissa Jamieson bezdźwięcznie poruszała wargami, modląc się do tego, do czego czy kogo aktualnie zwracała się nadfizyczna forma ruchu New Age. W rękę ścisnęła jakiś kryształ. Wielebna Piper Libby uniosła do ust krzyżyk swojej matki.

- Już jest - powiedział Ernie Calvert.

- Gdzie? - spytał Marty Arsenault. - Nic nie wi...

- Słuchaj! - powiedziała Brenda Perkins.

Usłyszeli. Najpierw obejmujące cały świat buczenie od zachodnich granic miasta, niskie mmmmm, które w ciągu kilku sekund urosło do MMMMM. Na wielkim ekranie telewizora nie zobaczyli właściwie nic, obejrzeni cokolwiek dopiero pół godziny później, po tym jak pocisk zawiódł. Dla tych, którzy jeszcze zostali w karczmie, Benny Drake puścił nagrany obraz w zwolnionym tempie, wręcz klatka po klatce. Wtedy zobaczyli pocisk wylatujący zza zakrętu na Little Bitch Road. Znajdował się nieco ponad metr nad drogą, prawie dotykał własnego rozmazanego cienia. Na następnej klatce fasthawk z głowicą odłamkową, mającą eksplodować w zetknięciu z celem, zamarł w powietrzu mniej więcej tam, gdzie znajdował się obóz marines.

Dalej ekran wypełniło światło tak jaskrawe, że patrzący musieli osłonić oczy. A kiedy biel zaczęła blaknąć, zobaczyli fragmenty pocisku jak czarne płatki popiołu na tle blednącego rozbłysku oraz wielki przypieczony znak w miejscu czerwonego X. Pocisk trafił dokładnie w cel.

Potem ludzie w karczmie zobaczyli, jak las po drugiej stronie kopuły staje w płomieniach. Asfalt najpierw się zmarszczył, potem zaczął topić.

20

- Odpalić drugi - rozkazał Cox głosem bez wyrazu.

Gene Ray wykonał polecenie. Drugi pocisk wytułkł jeszcze trochę szyb, przestraszył

więcej ludzi w New Hampshire i zachodnim Maine.

Ostateczny efekt był taki sam.

MAM CIĘ

1

Przy Mill Street pod dziewiętnastką, w domu McClatcheyów skończyło się nagranie. Zaległa cisza. Potem Norrie Calvert wybuchnęła płaczem. Benny Drake i Joe McClatchey spojrzeli po sobie i spuścili głowy w identycznym geście znaczącym „I co teraz?”. Obaj objęli drżące ramiona dziewczyny i podali sobie ręce jak w powitaniu.

- To wszystko? - spytała z niedowierzaniem Claire McClatchey, matka Joego. Nie płakała, ale niewiele brakowało, oczy miała dziwnie błyszczące. Trzymała w dłoniach zdjęcie męża, zdjęte ze ściany krótko po tym, jak Joe z przyjaciółmi przyszedł do domu z płytą DVD.

- To już wszystko?

Nikt nie odpowiedział. Barbie przysiadł na poręczy fotela bujanego, zajętego przez Julię.

Zdaje się, że będę miał spore kłopoty, pomyślał.

Nie była to jednak jego pierwsza myśl. Pierwsza była o tym, że miasto znalazło się w prawdziwych tarapatach.

Pani McClatchey wstała. Nadal trzymała fotografię męża. Sam jeździł w soboty na pchli targ, który organizowano w Oxfordzie, dopóki pozwalała pogoda. Uwielbiał odświeżać meble i często właśnie tam znajdował starocie warte zainteresowania. Trzy dni po ostatnim targu nadal był w Oxfordzie. Zamieszkał w hotelu Raceway razem z kilkoma plutonami reporterów radiowych i telewizyjnych. Nie zdołał porozmawiać z żoną przez telefon, na szczęście mógł utrzymywać z nią kontakt za pośrednictwem poczty elektronicznej. Jak dotąd.

- Co z twoim komputerem, Joey? - zapytała. - Wybuchnął? Joe, nadal obejmując Norrie za ramiona i ściskając nadgarstek Benny'ego, pokręcił głową.

- Raczej nie, pewnie się stopił. - Odwrócił się do Barbiego. - Tam od gorąca mógł się zapalić las. Ktoś powinien to sprawdzić.

- Chyba nie ma w mieście wozów strażackich - zauważył Benny. - Może został któryś stary...

- Zobaczą, co się da zrobić - odezwała się Julia. - I najlepiej będzie, jeśli się tym zajmę sama - powiedziała, patrząc na Barbiego.

- Dlaczego? - spytała Claire. Była to kobieta wysoka, bez wątpienia Chudzielec po niej odziedziczył wzrost. Jedna łza wreszcie przelała się przez powiekę i stoczyła po policzku. -

Joe mówił, że rząd oddał władzę w ręce pana Barbary. Sam prezydent!

- Posprzeczałem się z panem Rennie i komendantem Randolphem na temat transmisji wideo - wyjaśnił Barbie. - Trochę mnie poniosło. Wątpię, żeby któryś z nich posłuchał mojej rady. Tylko widzisz, Julio, to samo dotyczy ciebie. Przynajmniej na razie. Jeżeli Randolph ma chociaż odrobinę rozumu, pośle na miejsce paru chłopaków ze wszystkim, co zostało w remizie. Na pewno są tam przynajmniej węże i hydronetki.

- Wyjdiesz ze mną, Barbie? - poprosiła Julia po chwili namysłu.

Kucharz pułkownik rzucił okiem na matkę Joego, ale Claire już nie zwracała na gości uwagi. Odsunęła syna i sama usiadła przy Norrie, która od razu się do niej przytuliła.

- Ludzie, rząd wisi mi komputer - oznajmił Joe, widząc, że Barbie i Julia idą do drzwi.

- Załatwione - zgodził się Barbie. - I wielkie dzięki. Odwaliłeś kawał dobrej roboty.

- Spisał się lepiej niż ten cholerny pocisk - mruknął Benny. Jakiś czas Barbie i Julia w milczeniu stali na schodach przed domem McClatcheyów, patrząc na plac miejski, na rzekę Prestile i most Pokoju.

- On nie potrafi - odezwała się w końcu Julia ze złością. - W tym rzecz. Niestety, cholera, w tym rzecz.

- Kto czego nie potrafi?

- Peter Randolph jest półgłówkiem. A nawet ćwierćmózgiem. Chodziłam z nim do przedszkola, wtedy był mistrzem w moczeniu majtek. Potem wspólna szkoła aż do dwunastej klasy, kiedy przystał do Brygady Strzelającej Stanikami. Zasługiwał na oceny C minus, a dostawał B minus, bo jego ojciec był członkiem zarządu szkolnego. I dzisiaj Pete Randolph wcale nie jest mądrzejszy! Nasz drogi pan Rennie otoczył się głupcami. Wyjątek stanowi Andrea Grinnell, niestety ona jest uzależniona. Od oksykodonu.

- Problemy z plecami. - Barbie pokiwał głową. - Rose mi powiedziała.

Drzewa na placu pogubiły liście. Main Street była pusta, bo większość tych, którzy zebrali się w karczmie, nadal tam dyskutowała o tym, co widzieli. Wkrótce jednak na chodnikach mieli pojawić się ludzie, osłupiali, pełni niedowierzania, wracający do domów. Mężczyźni i kobiety, którzy nie mieli odwagi wzajemnie zadawać sobie pytania, co będzie dalej.

Julia westchnęła i przyglądała włosy.

- Jim Rennie uważa, że jeśli utrzyma władzę, wszystko w końcu wróci do normy. W każdym razie dla niego i jego przyjaciół. Jest politykiem najpodlejszego gatunku. To zadufany egoista, zbyt egocentryczny, żeby sobie uświadomić, że mocno odstaje od ligi, a na dodatek podszyty tchórzem. Jeśli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót, pośle całe miasto do diabła,

skoro tylko uzna, że w ten sposób ocali siebie. Tchórz na stanowisku przywódcy jest bardzo groźnym człowiekiem. Powinieneś zająć jego miejsce.

- Doceniam twoją wiarę we mnie...

- Ale do tego nie dojdzie, niezależnie od tego, czego by chciał twój pułkownik Cox czy prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie dojdzie do tego, nawet gdyby pięćdziesiąt tysięcy osób przemaszerowało w Nowym Jorku Piątą Aleją, machając transparentami z twoim portretem. Nic z tego, dopóki ta cholerna kopuła nas odcina od świata.

- Im lepiej cię poznaję, tym mniej republikańska mi się wydajesz - zauważył Barbie. Szturchnęła go w ramię pięścią. Zdziwiała twardą.

- Ja nie żartuję - powiedziała.

- Wiem. Bo i nie ma powodu do żartów. Czas przeprowadzić wybory. Zachęcam cię, żebyś się ubiegała o stanowisko wiceprzewodniczącej Rady Miejskiej.

Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Twoim zdaniem Jim Rennie pozwoli na przeprowadzenie wyborów pod kopułą? W jakim świecie ty żyjesz, drogi przyjacielu?

- Julio, chyba nie doceniasz woli ludu. - To ty nie doceniasz Jamesa Renniego. Rządzi tym miastem od zarania dziejów i ludzie do tego przywykli. A poza tym ma niezwykły talent do znajdowania kozłów ofiarnych. Taki na przykład obcy, włączę na dobrą sprawę, byłby w obecnej sytuacji doskonały w roli kozła ofiarnego. Znamy kogoś takiego?

- Oczekiwałem po tobie jakiegoś pomysłu, a nie analizy politycznej.

Przez moment miał wrażenie, że znowu dostanie łupnia. Julia nabrała głęboko powietrza, wypuściła je powoli i uśmiechnęła się.

- Taki jesteś do rany przyłóż, ale pazurki też umiesz pokazać, co? Syrena w ratuszu odezwała się serią krótkich sygnałów. Rozniosły się w ciepłym, nieruchomym powietrzu.

- Wezwanie do pożaru - zauważyła Julia. - Chyba wiem, gdzie się pali.

Popatrzyli na zachód, gdzie dym przesłaniał błękit nieba. Zdaniem Barbiego lwią część czarnych oparów unosiła się po stronie Tarker's Mills, ale trzeba było pamiętać, że gorąco prawie na pewno doprowadziło do miejscowych zapaleń także w Chester.

- Chcesz ode mnie pomysłów? - odezwała się Julia. - To jeden mam. Znajdę Brendę... będzie albo w domu, albo w karczmie, i podsunę jej, żeby poprowadziła akcję gaszenia ognia.

- A jeśli odmówi?

- Nie odmówi. Na szczęście nie ma wiatru... w każdym razie po naszej stronie klosza, więc pewnie zajęły się tylko krzewy i trawa. Brenda zmobilizuje parę osób, wie, kogo prosić o pomoc. Howie też by się do nich zwrócił.

- Nie przewiduję w tym gronie żadnych świeżo mianowanych policjantów.

- Zostawię to jej decyzji, ale rzeczywiście wątpię, żeby poprosiła o pomoc Cartera Thibodeau albo Melvina Searlesa. Czy Freddy'ego Dentona. Ten ostatni jest gliną od pięciu lat, ale wiem od Brendy, że Duke planował pozwolić mu odejść. Freddy co roku bombowo odgrywa Świętego Mikołaja w młodszych klasach szkoły podstawowej, dzieciaki go uwielbiają. Słynne „ho, ho, ho!” wychodzi mu jak nikomu innemu. No i ma rysę na charakterze.

- Znowu zajdziesz Renniemu za skórę.

- Tak.

- Może się mścić.

- Ja też potrafię być nieprzyjemna. A i Brenda także w razie potrzeby. - No to do roboty. I zajrzyjcie do Burpeego. W kwestii gaszenia ognia oparłbym się bardziej na nim niż na tym, co zostało w remizie. Ten człowiek ma w swoim sklepie chyba wszystko. Julia pokiwała głową.

- Świetna myśl.

- Na pewno nie chcesz, żebym się z tobą zabrał?

- Masz co innego do roboty. Bren dała ci klucz Duke'a do schronu? - Dała.

- Jest spora szansa, że pożar odwróci uwagę odpowiednich osób. Idź po ten licznik. - Ruszyła do swojego priusa, lecz jeszcze się zatrzymała i odwróciła. - Znalezienie generatora... zakładając, że jest tu ten, o który nam chodzi, to pewnie najsensowniejsza szansa dla miasta. Może jedyna. Barbie?

- Słucham szanowną panią? - Uśmiechnął się pod nosem. Ona pozostała całkowicie poważna.

- Nie oceniaj go, póki nie usłyszysz jego mowy wyborczej. Nie bez przyczyny utrzymał się na stanowisku tak długo.

- Pewnie jest dobry w kluciu w oczy martyrologią.

- Tak. A tym razem ofiarą możesz być ty.

Po chwili odjechała szukać Brendy i Romea Burpeego.

2

Ci, co oglądali nieskuteczną próbę przebiccia się przez kopułę, przeprowadzoną przez Siły Powietrzne, wychodzili z karczmy w zasadzie tak, jak to sobie Barbie wyobrażał: powoli, ze spuszczoneymi głowami, prawie nie rozmawiając. Wiele par się obejmowało, niektórzy płakali. Po drugiej stronie ulicy stanęły trzy radiowozy, sześciu funkcjonariuszy czekało w

gotowości.

Niepotrzebnie.

Zielony wóz szefa policji stał zaparkowany nieco dalej, przed wejściem do sklepu Browniego, gdzie w oknie wywieszono ręcznie wypisaną tabliczkę: ZAMKNIĘTE AŻ UWOLNIENIE UMOŻLIWI NOWE DOSTAWY. W samochodzie siedzieli komendant policji Peter Randolph oraz Jim Rennie. Patrzyli.

- No i proszę - odezwał się Duży Jim z nieskrywaną satysfakcją. - Mam nadzieję, że teraz są zadowoleni.

Randolph popatrzył na niego zdziwiony.

- Nie chciałeś, żeby się udało?

Duży Jim skrzywił się, bo nadwerężona ręka bolała.

- Chciałem, chciałem, oczywiście, że chciałem. Ale nie wierzyłem, że się uda. A ten mądrała o babskim nazwisku i jego nowa przyjaciółka Julia obudzili w ludziach nadzieję. Mam rację? Pewnie! Czy ty wiesz, że ona mnie nigdy nie poparła w tym swoim szmatławcu? Ani razu! - Wskazał pieszych wracających do centrum. - Przyjrzyj się, przyjacielu. Przyjrzyj się uważnie. Właśnie takie są skutki niekompetencji, budzenia fałszywej nadziei oraz nadmiernej swobody przepływu informacji. Zobacz, ludzie są rozczarowani, smutni, nieszczęśliwi. A jak do nich rzeczywiście dotrze, co się stało, będą wściekli. Potrzebujemy więcej policji.

- Jeszcze więcej? Mamy już osiemnastu ludzi, wliczając tych, którzy pracują na niepełny etat i nowo mianowanych.

- Nie wystarczy. A zawdzięczamy...

Miejska syrena z ratusza uderzyła ostrym dźwiękiem. Obaj spojrzeli na zachód. Dostrzegli tam czarny dym.

- A zawdzięczamy to Barbarze i Julii Shumway - dokończył Duży Jim.

- Powinniśmy chyba zająć się ogniem.

- To jest problem Tarker's Mills. I rządu, oczywiście. Skoro wywołali pożar tym swoim takim siakim owakim pociskiem, niech go teraz gaszą.

- Ale jeżeli po naszej stronie...

- Przestań biadolić jak stara baba. Wracamy do miasta. Muszę znaleźć Juniora. Mam z nim parę spraw do omówienia.

przy subaru duchownej.

- Nie wierzyłam, że to coś da - powiedziała Brenda - ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie jestem rozczarowana.

- Ja też - przyznała Piper. - I to mocno. Podrzuciłabym cię do miasta, tylko że muszę zajrzeć do jednego z parafian...

- Mam nadzieję, że nie przy Little Bitch Road. - Brenda wskazała kciukiem czarny dym nad horyzontem.

- Nie, nie. W całkiem inną stronę. W Eastchester. Jadę do Jacka Evansa. W pierwszym dniu kopuły stracił żonę. Głupi przypadek... Zresztą wszystko to razem jest bez sensu...

Brenda pokiwała głową.

- Widziałam go na łąkach Dinsmore'a, miał transparent ze zdjęciami żony. Biedaczysko.

W samochodzie Piper na miejscu kierowcy usadowiła się Clover. Z zainteresowaniem obserwowała idących ludzi. Piper poszperała w kieszeniach i dała suce drobny smakołyk.

- Posuń się, kochana. Pamiętasz, że nie masz prawa jazdy? - Po czym zwróciła się do Brendy: - Oblała parkowanie równoległe.

Owczarek przeszedł na miejsce pasażera. Piper otworzyła drzwiczki i obejrzała się na dym.

- Po stronie Tarker's Mills musi być prawdziwe piekło, ale nas to nie dotyczy. - Uśmiechnęła się smutno. - Nas chroni kopuła.

- Powodzenia - pożegnała ją Brenda. - Przekaż Jackowi moje wyrazy współczucia. I serdeczności.

- Przekażę - obiecała Piper i odjechała.

Brenda wsadziła ręce w kieszenie dzinsów i ruszyła przez parking, zastanawiając się, co zrobić z resztą dnia, gdy pojawiła się Julia Shumway i rozwiązała jej problem.

4

Huk wybuchających na kopule pocisków nie obudził Sammy Bushey. Obudził ją trzask drewna, a zaraz po nim głośny płacz Little Waltera, wyraźnie podszyty bólem.

Carter Thibodeau i przyjaciele zabrali z lodówki całą trawkę, jaka tam została, ale nie przeszukali przyczepy, więc pudełko po butach z narysowaną na wierzchu czaszką i skrzyżowanymi piszczelami nadal było w szafie. Na wieku znajdowało się również ostrzeżenie wypisane własnoręcznie przez Phila Busheya, przechylonymi w lewo krzywymi literami: NIE DOTYKAĆ! JAK WEŹMIESZ - ZABIJĘ.

W środku nie było zioła, bo Phil uważał zioło za „głupi rozweselacz na imprezki”. Była tam torebka kryształków, a Sammy taki towar nie interesował. „Policjanci” z pewnością chętnie by wypalili coś takiego, lecz jej zdaniem kryształy były debilnym gównem dla kretynów, bo kto inny chciałby wciągać dym, w którym znajdują się pozostałości z draski marynowane w acetonie? W tym samym pudełku znajdowała się inna, mniejsza torebka strunowa, zawierająca sześć tabletek Spełnienia Marzeń. Po wyjściu Cartera ze świąt połknęła jedną tabletkę i popiła ciepłym piwem z butelki utkniętej pod łóżkiem, w którym teraz sypiała samotnie... oczywiście poza momentami, gdy zasypiała z Little Walterem. Albo z Dodee.

Przyszło jej do głowy, żeby połknąć wszystkie tabletki i zakończyć to marne życie raz na zawsze. Może by to nawet zrobiła, gdyby nie Little Walter. Jeśli ona umrze, kto by się nim zajął? Mógłby nawet umrzeć z głodu... straszna myśl.

Samobójstwo nie wchodziło w rachubę, ale jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak przybita, smutna i pokrzywdzona. A także brudna. Zdarzyło jej się już być poniżaną, Bóg świadkiem. Czasami przez Phila (który lubił napędzane dragami sesje we trójkę, zanim kompletnie stracił zainteresowanie seksem), czasem przez innych, niekiedy załatwiała sobie powody do złego samopoczucia sama, bo też nigdy nie była swoją najlepszą przyjaciółką.

Oczywiście miała też doświadczenie z większą liczbą mężczyzn w jedną noc, na przykład w gimnazjum, gdy Wildcats zdobyli w koszykówce mistrzostwo klasy D, na przyjęciu po meczu zaliczyła czterech, jednego po drugim. Piąty w kącie stracił przytomność. Wtedy to był jej własny kretyński pomysł. Zdarzało jej się także sprzedawać to, co Carter, Mel i Frankie DeLesseps wzięli siłą. Najczęściej Freemanowi Brownowi, właścicielowi sklepu nazywanego sklepem Browniego, gdzie robiła większość zakupów, ponieważ Brown udzielał jej kredytu. Niezbyt ładnie pachniał i był stary, lecz jednocześnie popędliwy, co akurat stanowiło plus, bo załatwiał sprawę szybko. Zwykle wystarczało mu sześć pompek na materacu w magazynku, potem zduszony okrzyk i już dochodziło do wytrysku. Nigdy nie stanowiło to dla Sammy atrakcji tygodnia, ale lubiła mieć świadomość, że linia kredytowa pozostaje otwarta, zwłaszcza gdy pod koniec miesiąca brakowało gotówki, a Little Walter potrzebował pampersów.

No i Brown nigdy jej nie skrzywdził.

To, co się stało zeszłej nocy, było zupełnie inne. DeLesseps jeszcze nie był taki zły, natomiast Carter zadał jej mnóstwo bólu powyżej pasa i spowodował krwawienie poniżej. Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Mel Searles, opuściwszy spodnie, wydobyl z nich przyrząd, jaki widywała jedynie na filmach porno, które Phil lubił oglądać, zanim uwielbienie dla kryształu zdominowało u niego zainteresowanie seksem.

Searles wszedł w nią brutalnie. Próbowła sobie przypomnieć, jak to było z Dodee dwa dni wcześniej, ale nie pomogło. Mimo wysiłków została sucha jak sierpień bez deszczu. Oczywiście do momentu, kiedy otarcie po Carterze Thibodeau zmieniło się w otwartą ranę. Wtedy już był poślizg. Czuła rosnącą pod pośladkami kałużę, ciepłą i lepłą. Twarz także miała mokrą, lzy płynęły jej strumieniem i wlewały się do uszu. W czasie niekończącej się jazdy Mela Searlesa myślała, że ją w końcu zabije. A wtedy co się stanie z Little Walterem?

I jeszcze w tle tego wszystkiego piskliwe judzenie Georgii Roux: „Zerznij ją, rznij dziwkę! Niech wrzeszczy!”.

Sammy wrzeszczała, jak najbardziej. Wrzeszczała długo i głośno, wrzeszczał też Little Walter w łóżeczku w sąsiednim pokoju.

Na koniec ostrzegli ją jeszcze raz, żeby trzymała buzię na kłódkę, i zostawili na kanapie. Krwawiącą, ale żywą. Patrzyła, jak światła reflektorów przesuwają się po suficie, potem znikają, kiedy odjechali. Wtedy została sama z Little Walterem. Wzięła go na ręce i nosiła tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zatrzymała się tylko raz, żeby włożyć majtki (nie różowe, bo różowych nie włoży już nigdy) i upchnąć między nogami trochę papieru toaletowego. Miała tampaksy, ale wzdrygnęła się na samą myśl o wkładaniu czegośkolwiek tam do środka.

W końcu głowa Little Waltera opadła jej ciężko na ramię, po chwili Sammy poczuła na skórze ślinę młodego, niezawodny znak, że naprawdę zasnął. Odłożyła go do łóżeczka (modląc się, żeby przespał całą noc), a potem wyjęła z szafy pudełko. Spełnienie Marzeń, jakiś mocny wygaszacz - nie wiedziała, co to właściwie jest - z początku złagodził ból tam na dole, a potem odciął wszystko. Przespała dwanaście godzin.

A teraz to.

Placz Little Waltera był jak strumień ostrego światła wdzierający się w gęstą mgłę. Sammy pobiegła do sypialni synka. Wiedziała, że cholerne łóżeczko, które Phil zmajstrował ledwo przytomny, w końcu się rozpadło. Widocznie Little Walter nadwreżył je w nocy, kiedy nią zajmowała się policja kryzysowa. No i wytrzymało tylko do rana, kiedy zaczął się kręcić...

Little Walter leżał na podłodze, między szczątkami łóżeczka. Na czworakach ruszył w stronę matki, krew z rozciętego czoła zalewała mu twarz.

- Młody! - krzyknęła i porwała go w ramiona.

Obróciła się, potknęła o jakiś fragment łóżeczka, upadła na kolano. Wstała i pobiegła do łazienki. Odkręciła kran, ale woda oczywiście nie poleciała. Przecież nie było prądu, więc nie działała pompa. Sammy chwyciła ręcznik i na sucho otarła dziecku twarz, odsłaniając

rozcięcie - niezbyt głębokie, lecz długie, o postrzępionych krawędziach. Będzie blizna. Przycisnęła ręką, próbując ogłuchnąć na krzyki bólu i złości. Duże krople krwi zaczęły jej skapywać na stopy. Dopiero wtedy się zorientowała, że niebieskie majtki, które włożyła po wizycie policji kryzysowej, są całkiem przemoczone i fioletowe od krwi. W pierwszej chwili wydało jej się, że to krew Little Waltera, ale uda też miała umazane na czerwono.

5

Cudem jakimś udało jej się unieruchomić Little Waltera na tyle, by mu przykleić trzy plastry ze SpongeBobem Kanciastoportym, a następnie przebrać w świeżą koszulkę oraz ostatnie czyste body (z czerwonym napisem UKOCHANE DIABŁĄTKO MAMUSI). Potem Little Walter raczkował po jej sypialni, pochlipując od czasu do czasu, a ona się ubierała. Zaczęła od wrzucenia przesiąkniętych krwią majtek do śmieci i włożenia świeżych. W kroku wyłożyła je poskładaną ścierką do naczyń, drugą wzięła na później. Ciągle krwawiła. Dużo mocniej niż przy najgorszych miesiączkach. I trwało to całą noc. Łóżko było nasiąknięte krwią.

Spakowała Little Waltera i wzięła go na ręce. Był strasznie ciężki. Zaczęło ją znowu boleć w dole brzucha, trochę tak jakby zjadła coś nieświeżego.

- Jedziemy do przychodni - powiedziała. - Nic się nie przejmuj, doktor Haskell się nami zajmie. A poza tym u chłopców blizny nie są takie znowu straszne. Czasem dziewczyny nawet uważają, że to seksowne. Będę jechała szybko, nawet nie zauważysz, kiedy dotrzemy na miejsce. - Otworzyła drzwi. - Wszystko będzie dobrze.

Pomyliła się, niestety. Stara toyota zjedzona przez rdzę była w fatalnym stanie. Reprezentanci policji kryzysowej co prawda zostawili w spokoju opony na tylnych kołach, ale na przednich przedziurawili obie. Sammy przez dłuższą chwilę patrzyła na samochód bez słowa i bez ruchu. Ogarniała ją rozpacz. Przemknęła jej przez głowę ulotna, lecz wyrazista myśl: podzielić się pigułkami z Little Walterem. Można je zemleć na proszek, wsypać do butelki, jednej z tych, które młody nazywał „buula”, i zalać mlekiem kakaowym, żeby zamaskować smak. Little Walter uwielbiał mleko czekoladowe.

Odepchnęła od siebie kuszącą myśl.

- Nie jestem taką matką - powiedziała synkowi.

Młody wybałuszył na nią oczy w sposób, który przypominał jej Phila, ale ten sam wyraz, który na znieawidzonej twarzy męża wyrażał idiotyczne osłupienie, u małego był głupkowaty, lecz przymilny. Ucałowała synka w nos, a on rozjaśnił się uśmiechem. Uśmiech był pogodny, niestety plastry na czole podpływały czerwienią. A w tym już nie było nic

pogodnego.

- Mała zmiana planu - oznajmiła Sammy i weszła do środka.

Z początku nie mogła znaleźć nosidla, w końcu jednak dostrzegła je w kącie za kanapą. Z niemałym trudem ulokowała w nim Little Waltera. Kosztowało ją to nową falę bólu. Ścierka w kroczu wydawała się całkiem mokra, lecz spojrzawszy w dół, Sammy się przekonała, że nie ma żadnych plam. Bardzo dobrze.

- Idziemy na spacer? -

Little Walter tylko się do niej przytulił. Czasami martwiło ją, że mówi tak niewiele. U przyjaciół dzieci w szesnastym miesiącu mówiły już pełnymi zdaniami, tymczasem Little Walter znał zaledwie jakieś dziesięć słów. Tego ranka miała jednak inne zmartwienia.

Dzień był wyjątkowo ciepły jak na koniec października. Niebo przybrało blady odcień błękitu, światło zdawało się dziwacznie rozmazane. Sammy nieomal natychmiast poczuła na twarzy i szyi krople potu, dół brzucha pulsował bólem, z każdym krokiem coraz gorszym, a przecież dopiero co ruszyła w drogę. Zastanowiła się, czyby nie wziąć aspiryny, lecz zrezygnowała, bo wtedy krwawienie byłoby obfitsze. Zresztą wcale nie wiedziała, czy w ogóle ma aspirynę.

Poza tym był jeszcze jeden powód, do którego ledwo odważała się przyznać nawet przed samą sobą: nie miała pewności, czy zdoła jeszcze raz wyjść z przyczepy.

Pod lewą wycieraczką toyoty widniał kawałek papieru zadrukowany stokrotkami. Kartka wyrwana z jej kuchennego notatnika. Gdzieś spod zmęczenia wypłynęło oburzenie. Na kwiatkach widniały słowa: „Jak komuś powiesz, to dziabniemy nie tylko oponki”. A niżej, innym pismem: „Może następnym razem obrobimy cię od tyłu”.

- Chcielibyście, skurwysyny! - rzuciła słabym głosem. Zmięła kartkę i rzuciła na ziemię obok jednej z przebitych opon.

Biedna stara corolla! Wyglądała na prawie tak samo zmęczoną jak ona. Na końcu podjazdu oparła się o skrzynkę pocztową. Metal był wyraźnie ciepły, słońce grzało w szyję. Nie było czym oddychać. W październiku powinno być chłodno i rześko.

Może to globalne ocieplenie, pomyślała.

Jej pierwszej przyszła ta myśl do głowy, ale nie ostatniej. Poza tym w ostatecznej wersji ustaliło się nie „globalne”, tylko „lokalne”.

Motton Road, pusta i brzydka, zaczynała się jakieś dwa kilometry dalej po lewej stronie, tam gdzie stały śliczniutkie i nowiutkie domy Eastchester, należące do pracusiów, tatusiów i mamus z wyższej klasy, którzy wracali pod wieczór ze sklepów, biur i banków w Lewiston - Auburn. Potem trzeba skręcić w prawo do centrum miasta Chester's Mill. A

jeszcze dalej jest przychodnia.

- Gotowy? - spytała Sammy.

Little Walter nie odpowiedział. Spał w zagłębieniu jej ramienia i obślinał koszulkę z zespołem Donna de Buffalo. Wzięła głęboki oddech, postanowiła nie zwracać uwagi na ból tam w dole, poprawiła nosidło i ruszyła do miasta.

Gdy odezwała się syrena w ratuszu, wysyłając krótkie sygnały oznaczające pożar, Sammy w pierwszej chwili odniosła wrażenie, że wycie rozlega się w jej głowie, a było to wyjątkowo dziwaczne uczucie. Potem zobaczyła dym, na szczęście daleko, na zachodzie. Całkiem obojętny dla niej i dla Little Waltera... chyba że znalazłby się na drodze ktoś, kto by się chciał pożarowi przyjrzeć z bliska. Z pewnością by ją podrzucił do przychodni.

Zaczęła śpiewać przebój Jamesa McMurtry'ego, który latem rozbrzmiewał właściwie wszędzie.

- Kwadrans po ósmej zwijamy chodniki, miasto nie jest wielkie, nie mogę ci sprzedać piwa... - po czym ucichła.

Miała za sucho w ustach. Zamrugła i spostrzegła, że jest na krawędzi rowu, chociaż wcale nie pamiętała, jak się tam znalazła, w dodatku po drugiej stronie szosy. Szła teraz, prosząc się o wypadek, a nie łapiąc autostop.

Obejrzała się przez ramię. Nic. Ani jednego samochodu. Droga do Eastchester była całkiem pusta, asfalt zaczynał połyskiwać z gorąca.

Niepewnym krokiem, na galaretowatych nogach wróciła na właściwe pobocze.

Jak pijany marynarz, pomyślała.

What do you do with a drunken sailor early in the morning?

No właśnie, co zrobić z pijanym marynarzem z samego rana? Tyle że rano już dawno minął i zrobiło się popołudnie, bo przespała równe dwanaście godzin. Zobaczyła, że dzinsy w kroku ma przesiąknięte krwią, tak samo jak przedtem majtki.

Niech to szlag, krew nie zejdzie, a zostały mi już tylko dwie pary spodni, w które się mieszczę.

Potem przypomniała sobie, że jedna z tych dwóch ostatnich par ma wielką dziurę na siedzeniu. Rozpłakała się. Łzy schłodziły jej policzki.

- Wszystko będzie dobrze, młody - powiedziała. - Doktor Haskell nas połata. Będziemy jak nowi. Śliczni i pachną...

Przed oczami zaczęła jej rozkwitać czarna róża. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Mięśnie zmieniły się w wodę. Sammy runęła na ziemię, trzymając się ostatniej myśli: Na bok, na bok, żeby nie na dziecko!

Tyle jej się udało. Leżała na poboczu Motton Road, nieruchoma, w zamglonym palącym słońcu. Little Walter obudził się i rozplakał. Spróbował się uwolnić z nosidla, ale nie dał rady, bo Sammy przytroczyła go starannie. Zapłakał głośniej. Jakaś mucha usiadła mu na czole, spróbowała krwi wyciekającej spod kolorowego plastra z rysunkiem SpongeBoba Kanciastoportego, po czym odleciała. Prawdopodobnie odraportować w muszej kwaterze głównej fakt znalezienia smacznej przekąski oraz w celu ściągnięcia posiłków.

W trawie zagrał konik polny.

Syrena w ratuszu nadal wyła.

Little Walter przytroczony do nieprzytomnej matki zawodził jakiś czas w upale. Potem ucichł. Leżał, popatrując dookoła, a pot spływał mu z włosów dużymi kroplami.

6

Barbie stał obok zabitej deskami kasy kina Globe, pod obwisłą markizą (kino zakończyło działalność pięć lat wcześniej). Miał stamtąd dobry widok zarówno na ratusz, jak i na komisariat policji. Jego dobry znajomy, Junior, siedział właśnie na schodach komisariatu, masując skronie, jakby regularne gwizdy syreny sprawiały mu ból.

Z ratusza wyszedł Al Timmons i pobiegł ulicą. Miał na sobie szary strój woźnego, ale na szyi lornetkę, a na plecach hydronetkę - bez wody, bo niósł ją z łatwością. Barbie domyślał się, że to właśnie on włączył syrenę.

No, śmigaj, popędził go w myślach.

Nadjechały samochody. Dwa pikapy i ciężarówka. Wszystkie trzy pomalowane na kolor żółty, tak jaskrawy, że aż oczy bolały. Pikapy miały na bokach wymalowane: SKLEP WIELOBRANŻOWY BURPEEGO, natomiast ciężarówkę naznaczono sloganem NA JEDNEGO WPADNIEMY DO BURPEEGO. W pierwszym samochodzie siedział sam właściciel. Włosy miał, rzecz jasna, uczesane jak za czasów Daddy Cool, całe w falach i spiralach. Na siedzeniu pasażera wiózł Brendę Perkins. Na pace ciężarówki leżały łopaty, węże gumowe i nowiuteńka pompa, jeszcze z metkami producenta.

Romeo zatrzymał wóz obok Ala Timmonsa.

- Wskakuj na tył, bracie.

Barbie wcisnął się w cień samotnej markizy. Nie chciał gasić ognia na Little Bitch Road - miał do załatwienia sprawy w mieście.

Junior nie ruszył się ze stopni komisariatu, nadal pocierał skronie. Barbie zczekał, aż samochody odjadą, po czym przeszedł przez ulicę. Junior nawet nie uniósł głowy i po chwili zniknął Barbiemu z pola widzenia, zasłonięty przez ratusz o ścianach porośniętych winoroślą.

Barbie wszedł po stopniach prowadzących do frontowego wejścia. Na tablicy przy drzwiach zastał wiadomość: JEŻELI KRYZYS SIĘ NIE SKOŃCZY, ZGROMADZENIE MIEJSKIE W CZWARTEK O 19.00.

Pomyślał o słowach Julii: „Nie oceniaj go, póki nie usłyszysz jego mowy wyborczej”. Pewnie zyska okazję w czwartek wieczorem, bo przecież Rennie powinien coś powiedzieć mieszkańcom, by nadal panować nad sytuacją.

„I zyskać więcej władzy”, odezwał mu się w głowie głos Julii. „Będzie chciał mieć większą władzę. Oczywiście dla dobra miasta”.

Ratusz został pobudowany z kamienia przed stu sześćdziesięciu laty; w korytarzu panował mrok i chłód. Generator wyłączono, pracowałby bez sensu, skoro w środku nie było nikogo.

A jednak był ktoś. W największej sali. Dobiegały stamtąd głosy, przynajmniej dwa dziecinne. Wysokie dębowe drzwi stały otworem. Barbie zajrzał do środka. Przy stole obrad Rady Miejskiej zobaczył chudego mężczyznę o bujnych siwiejących włosach. Przed nim siedziała śliczna dziewczuszka, na oko dziesięcioletnia. Oboje wpatrywali się w zastawioną pionkami szachownicę. Długowłosa oparł brodę na dłoni, rozmyślając nad następnym ruchem. Nieco dalej, między ławkami, młoda kobieta bawiła się z chłopcem, mniej więcej pięcioletnim. Ta dwójka głośno się śmiała, szachiści milczeli w skupieniu.

Barbie chciał się cofnąć, ale nie zdążył. Młoda kobieta akurat podniosła wzrok.

- Dzień dobry! - Wzięła chłopca na ręce i podeszła. Szachiści spojrzeli na niego czujnie. To tyle, jeśli chodzi o dyskretną kradzież.

Kobieta wyciągnęła wolną rękę.

- Nazywam się Carolyn Sturges. Ten pan to mój przyjaciel, Thurston Marshall Mały człowiek nazywa się Aidan Appleton. Aidan, przywitaj się, kochanie.

- Cześć - powiedział Aidan cicho, po czym wsadził kciuk do ust. Przyglądał się Bartnemu okrągłymi oczami, z niejakim zaciekawieniem.

Dziewczynka oderwała się od szachownicy, podbiegła w podskokach do drzwi, stanęła przy Carolyn Sturges. Za nią, wolniej, podeszedł długowłosa. Wyglądał na wstrząśniętego i bardzo zmęczonego.

- Nazywam się Alice Rachel Appleton - oznajmiła dziewczynka. - Aidan jest moim bratem. Aide, wyjmij palec z buzi.

Chłopiec nie wyjął palca z buzi.

- Miło mi was poznać - stwierdził Barbie.

Nie wymienił swojego imienia. Żałował, że nie ma przyklejonych sztucznych wąsów.

Jeszcze nie stracił nadziei, jeszcze mogło się udać. Był prawie całkowicie pewien, że ci ludzie nie są mieszkańcami miasta.

- Pan jest pracownikiem ratusza? - zapytał Thurston Marshall. - Jeżeli tak, chcę złożyć skargę.

- Ja tu tylko sprzątam - rzekł Barbie, po czym przypomniał sobie, że Al Timmons przed chwilą wyszedł.

A niech to, i na pewno z nimi rozmawiał.

- Jestem drugim woźnym - oznajmił swobodnie. - Ala pewnie już poznaliście.

- Ja chcę do mamy - stwierdził Aidan. - Tęsknię za mamusią.

- Tak, spotkaliśmy go - odezwała się Carolyn Sturges. - Powiedział nam, że rząd wystrzelił pocisk w to coś, co nas uwięziło, ale on tylko się odbił i spowodował pożar.

- Rzeczywiście - potwierdził Barbie.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, ponownie odezwał się Marshall.

- Chcę złożyć skargę. A ściśle mówiąc, wnieść oskarżenie. Zostałem napadnięty przez funkcjonariusza policji. Uderzył mnie w brzuch, a ja miałem kilka lat temu wycinany woreczek żółciowy i obawiam się poważnych obrażeń wewnętrznych. Na tym nie koniec. Carolyn została obrażona, nazwana słowem dyskryminującym płciowo.

Carolyn położyła mu rękę na ramieniu.

- Zanim wniesiemy oskarżenie, warto sobie przypomnieć, że mieliśmy trawkę.

- Trawka! - podchwyciła Alice. - Mama czasem pali marihuanę, bo jej pomaga na oookres.

- Aha. - Carolyn uśmiechnęła się blado. - No tak. Marshall wyprostował się zadziornie.

- Posiadanie marihuany jest wykroczeniem - oznajmił. - A oni dopuścili się napaści.

Bardzo mnie boli brzuch!

Carolyn obrzuciła go spojrzeniem czułym, lecz też nieco poirytowanym. Barbie raptem zrozumiał, z kim ma do czynienia. Oto seksowna Wiosna i wymowny Pan Jesień. Ugrzęźli w amerykańskiej wersji „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre'a.

- Thurse... Nie jestem pewna, czy zasłanianie się wykroczeniem to najlepsza linia obrony w sądzie. - Carolyn uśmiechnęła się do Barbiego przepaszająco. - Sporo tego mieliśmy. Zabrali wszystko.

- Może spalą dowody - odparł Barbie.

Dziewczyna zaśmiała się głośno. Jej siwiejący przyjaciel - nie. Ściągnął krzaczaste brwi.

- Tak czy inaczej zamierzam złożyć skargę.

- Radziłbym poczekać - powiedział Barbie. - Sytuacja jest... no cóż, powiedzmy, że cios w brzuch to nic wielkiego, póki jesteśmy pod kloszem.

- Dla mnie to jest rzecz szalenie istotna, młody człowieku. Teraz już dziewczyna wyglądała bardziej na zirytowaną niż rozkochaną.

- Thurse...

- W tej sytuacji raczej nikt nie będzie robił wielkiej afery z powodu trawki - stwierdził Barbie. - Może to szczęście w nieszczęściu. A skąd się wzięły dzieci? - spytał.

- Gliniarze, którzy nas wyrzucili z domku Thurstona, zobaczyli nas potem w restauracji - powiedziała Carolyn. - Właścicielka mówiła, że jest zamknięte do kolacji, ale się nad nami zlitowała, kiedy powiedzieliśmy, że jesteśmy z Massachusetts. Dała nam kanapki i kawę.

- Dała nam chleb z masłem orzechowym i dżemem - poprawił ją Thurston, - Nie było żadnego wyboru, nawet tuńczyka. Powiedziałem jej, że masło orzechowe przykleja mi się do podniebienia, a ona mi na to o racjonowaniu żywności... Po prostu czyste szaleństwo.

Barbie w zasadzie się z nim zgadzał, ale ponieważ racjonowanie żywności w Sweetbriar Rose wymyślił osobiście, powstrzymał się od komentarzy.

- Jak zobaczyłam gliniarzy, myślałam, że nadciągają kłopoty - podjęła Carolyn - na szczęście chyba dali się zmiękczyć Aidanowi i Alice.

- Nie do tego stopnia, żeby przeprosili - prychnął Thurston. - Czy może coś przegapiłem?

Carolyn westchnęła ciężko.

- Powiedzieli - ciągnęła, zwróciwszy się do Barbiego - że wielebna z kościoła kongregacyjnego znajdzie dla nas jakiś pusty dom, gdzie będziemy mogli przeczekać, aż się to wszystko skończy. No i tak zostaliśmy rodzicami zastępczymi na jakiś czas.

Zmierzyła chłopcu włosy.

Thurston Marshall nie wyglądał na szczególnie zachwyconego perspektywą odgrywania roli zastępczego rodzica, ale objął dziewczynkę za ramiona, zyskując w ten sposób sympatię Barbiego.

- Jeden policjant nazywa się Juunior - powiedziała Alice. - Jest miły. I przystojny. Frankie jest brzydszy, ale też miły. Dał nam batonik Milky Way. Mama mówi, że nie wolno brać słodyczy od obcych, ale... - Rezerwacyjnie wzniosła ramionami, dobitnie wyrażając w ten sposób pogląd, że wszystko się zmienia.

Najwyraźniej dziewczęta postrzegały sytuację znacznie klarowniej niż Thurston.

- Wcześniej nie byli mili - oznajmił długowłosa. - Nie byli mili, kiedy mnie wyróżnili

w brzuch! Pamiętaj o tym, Caro.

- Zawsze się trafi jakaś kropla goryczy - stwierdziła Alice filozoficznie. - Tak mówi mama.

Carolyn wybuchnęła śmiechem, Barbie jej zawtórował, po chwili przyłączył się do nich także Marshall, chociaż trzymał się za brzuch i spoglądał na przyjaciółkę z niejakim wyrzutem.

- Byłam w kościele - podjęła Carolyn - nawet weszłam do środka, bo drzwi były otwarte, tyle że nie zastałam nikogo. Nie wie pan, kiedy wróci wielebna?

Barbie pokręcił głową.

- Na waszym miejscu zabrałbym szachownicę i poszedł na plebanię. Jest zaraz za kościołem. Tam mieszka wielebna Piper Libby.

- *Cherchez la femme* - rzucił Thurston. Barbie pokiwał głową.

- Dobra z niej kobieta, a i pustych domów mamy teraz pod dostatkiem. Można przebierać jak w ulegalkach. I pewnie w każdej spiżarni znajdziecie zapasy.

Wzmianka o zapasach przypomniała mu o schronie. Tymczasem Alice upchnęła pionki po kieszeniach, po czym złapała szachownicę.

- Pan Marshall mnie ciągle ogrywa! - zawołała. - Mówi, że to nie... wywoławcze dawać dzieciakom wygrywać. Ale ja już gram coraz lepiej, prawda? - Uśmiechnęła się do Thurstona, a on odpowiedział jej uśmiechem.

Barbie doszedł do wniosku, że ten dziwny kwartet powinien sobie całkiem nieźle dać radę.

- Młodość ma swoje prawa, droga Alice - stwierdził Thurston. - Mimo wszystko jednak młodzież nie jest pępkiem świata.

- Ja chcę do mamy - miauknął smutno Aidan.

- Ech, gdyby tylko udało się jakoś z nią skontaktować - westchnęła Carolyn. - Alice, na pewno nie pamiętasz adresu e - mailowego? - Odwróciła się do Barbiego. - Ich mama zostawiła telefon komórkowy w domku, więc z dzwonienia nici.

- Na pewno jest hotmail - powiedziała dziewczynka. - Ale więcej nie wiem.

Carolyn spojrzała na swojego podstarzałego przyjaciela.

- Spadamy stąd?

- Tak. Równie dobrze możemy czekać przy plebanii, mając nadzieję, że wielebna wkrótce powróci stamtąd, dokąd ją zawiodły obowiązki podyktowane miłosierdziem.

- Plebania też może być otwarta - podpowiedział Barbie. - A w razie gdyby była zamknięta, zajrzyjcie pod wycieraczkę.

- Nie przypuszczam, żebyśmy tam znaleźli klucze! - zachnął się Thurston.

- A ja tak! - stwierdziła Carolyn ze śmiechem. Młec, słysząc ją, wreszcie się rozpogodził.

- Przy... puuszczam! - krzyknęła Alice, rozkładając ręce jak skrzydła. Pomknęła przez salę, trzymając w jednym ręku szachownicę. - Przy... puuszczam! Puuszczam!

Thurston westchnął ciężko.

- Jeżeli zepsujesz szachownicę, nigdy mnie nie ograsz.

- Ogram! Młodość ma swoje prawa! - zawołała dziewczynka przez ramię. - A poza tym można posklejać! Przy... puuszczam!

Aidan poruszył się niecierpliwie, więc Carolyn go postawiła na ziemi. Zaczął gonić siostrę.

Młoda kobieta wyciągnęła rękę do Barbiego.

- Dziękuję panu, panie...

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Barbie, potrząsając jej dłonią.

Następnie pożegnał się z Thurstonem. Gdy podał mu rękę, miał wrażenie, że ściska zdechłą rybę. Zawsze mu się taki uścisk kojarzył z ludźmi, u których stosunek inteligencji do ćwiczeń fizycznych był tak przesunięty w stronę aktywności umysłowej, że wystawał poza skalę.

Dorośli poszli za dziećmi. W drzwiach Thurston Marshall jeszcze się obejrzał. Promień słońca z jednego z wysokich okien padł mu na twarz, dodając zmarszczek.

- Redagowałem aktualny numer „Ploughshares”... - Głos Marshallowi drżał z oburzenia i smutku. - To bardzo dobry magazyn literacki, jeden z najlepszych w kraju. Nie mieli prawa mnie bić ani się ze mnie naśmiewać.

- Nie mieli - zgodził się Barbie. - Jasne że nie. Niech się państwo opiekują dziećmi.

- Oczywiście - obiecała Carolyn. Wzięła przyjaciela pod ramię, uściśliła lekko. - Chodź, Thurse, chodź.

Barbie zaczekał, aż drzwi się za nimi zamkną, dopiero wtedy poszedł szukać schodów prowadzących do sali konferencyjnej w piwnicy oraz kuchni. Julia powiedziała, że schron jest pół poziomu niżej.

7

W pierwszym odruchu Piper uznała, że ktoś zostawił na poboczu worek ze śmieciami. Potem, gdy znalazła się bliżej, zobaczyła ciało.

Zahamowała i wyskoczyła z samochodu tak pośpiesznie, że upadła. Otarła sobie

kolano. Podniosła się, spojrzała uważniej i dostrzegła, że to nie jedno ciało, lecz dwa, kobiety i dziecka. Przynajmniej dziecko było z pewnością żywe, bo słabo poruszało rączkami.

Podbiegła do nich, przekręciła kobietę na plecy. Była to osoba młoda, wydała się Piper znajoma, choć na pewno nie spośród wiernych. Na policzku i czole miała brzydkie siniaki. Piper wyswobodziła dziecko z nosidła, wzięła na ręce, pogładziła po mokrych od potu włoskach. Chłopczyk zapłakał ochryple.

Dopiero wtedy Piper zobaczyła, że matka ma spodnie przesiąknięte krwią.

Leżąca kobieta zamrugła i otworzyła oczy.

- Młody... - wychrypiała.

Piper źle usłyszała, zrozumiała co innego.

- Tak, tak, mam wodę w samochodzie. Leż spokojnie. Wyjęłam dziecko z nosidła, nic mu się nie stało złego. - Wcale nie miała takiej pewności. - Możesz być o niego spokojna.

- Młody... - powtórzyła kobieta w zakrwawionych dzinsach. Zamknęła oczy.

Piper pobiegła do samochodu. Serce waliło jej tak mocno, że czuła je w oczach. Język smakował miedzią.

Boże, zmiłuj się! - zawołała w myślach.

A ponieważ nie przychodziło jej do głowy nic innego, powtórzyła: Boże, zmiłuj się! Pomóż mi uratować tę kobietę!

W subaru była klimatyzacja, ale Piper z niej nie korzystała, choć dzień był upalny. W ogóle rzadko ją włączała. Uważała, że bez klimatyzacji można się obejść, a niepotrzebnie zatruwa środowisko naturalne. Teraz jednak ją uruchomiła na pełną moc. Położyła dziecko na tylnym siedzeniu, pozamykała okna, drzwi i ruszyła do młodej kobiety, ciągle leżącej na poboczu. Raptem uderzyła ją straszna myśl: A jeśli dziecko przejdzie na przednie siedzenie i wdusi przycisk blokujący zamki?

Boże, ależ ja jestem głupia! Najgorsza wielebna na świecie, jeśli chodzi o zachowanie w sytuacji kryzysowej. Zmiłuj się, niech nie będę taka głupia!

Pobiegła z powrotem, otworzyła drzwi samochodu, spojrzała nad siedzeniem i zobaczyła chłopca leżącego spokojnie tam, gdzie go zostawiła. Tyle że teraz ssał kciuk. Spojrzał na nią przelotnie, po czym zatrzymał wzrok na podsufitce, jakby tam widział coś interesującego. Może przypomniawszy mu się jakaś kreskówka. Ubranko miał kompletnie przepocone. Piper oderwała od kółka na kluczyki elektroniczny breloczek z pilotem. Ruszyła z powrotem w stronę kobiety, która próbowała usiąść.

- Niech się pani nie rusza - przestrzegła, klękając przy niej i obejmując ją za ramiona. - Lepiej się nie...

- ...ody... - wychrypiała kobieta.

Cholera jasna! Zapomniałam o wodzie. Boże, dlaczego pozwoliłeś mi zapomnieć o wodzie?!

Ranna dźwigała się na nogi. Piper wcale się to nie podobało, bo kłóciło się ze wszystkim, co wiedziała o pierwszej pomocy, ale cóż miała zrobić? Na drodze żywego ducha, nie sposób przecież zostawić człowieka w palącym słońcu. Wobec czego zamiast położyć kobietę z powrotem, pomogła jej wstać.

- Powoli - mówiła, podtrzymując ją w pasie i prowadząc do samochodu. - Spokojnie, ostrożnie. W samochodzie jest chłodno. I mam wodę.

- ...ody... - Matka zatoczyła się, odzyskała równowagę i na ile mogła, przyspieszyła kroku.

- Tak, dostanie pani wody. A zaraz potem zabieram panią do szpitala.

- ...choodni.

To Piper zrozumiała.

- Nie ma mowy. Nie do przychodni, tylko prosto do szpitala. Oboje. I pani, i dziecko.

Młoda kobieta stanęła przed wozem, chwiejąc się lekko. Głowę miała spuszczoną, włosy spadały jej na twarz. Piper otworzyła drzwiczki pasażera i pomogła jej wsiąść. Od razu wyjęła z centralnej konsoli butelkę wody Poland Spring i zdjęła nakrętkę. Kobieta chwyciła butelkę, zanim Piper zdążyła ją podać, napiła się chciwie. Woda ściekała jej po szyi i po brodzie, mocząc koszulkę.

- Jak pani się nazywa? - spytała Piper.

- Sammy Bushey.

Żołądek ścisnął się Sammy od wody, a przed oczami znowu wykwitła czarna róża. Butelka wypadła jej z ręki, potoczyła się po dywaniku, bulgocząc.

Piper jechała z dużą prędkością, bo na Morton Road było całkiem pusto. Niestety, gdy dotarła do szpitala, dowiedziała się, że doktor Haskell zmarł poprzedniego dnia, a jego asystent, Everett, wyszedł.

Sammy została zbadana i przyjęta przez słynnego eksperta medycznego Dougiego Twitchella.

W czasie gdy Ginny starała się powstrzymać krwawienie z pochwy, a Twitch podawał poważnie odwodnionemu Little Walterowi płyny przez kroplówkę, Ryzy Everett siedział sobie na ławeczce na placu miejskim przy ratuszu. Ławeczka stała pod wysokim świerkiem o

rozłożystych gałęziach, więc człowiek w cieniu był w zasadzie niewidoczny. Oczywiście jeśli się nie ruszał.

Było na co popatrzeć.

Ryży zamierzał iść bezpośrednio do magazynu znajdującego się za ratuszem (Twitch nazywał go szopą, ale długi drewniany budynek, w którym znalazło się miejsce także dla czterech pługów śnieżnych, był jednak nieco większy niż szopa) i sprawdzić, jak tam wygląda sytuacja z propanem, tymczasem akurat podjechał jeden z samochodów policyjnych. Za kółkiem siedział Frankie DeLesseps. Z miejsca dla pasażera wysiadł Junior Rennie. Obaj rozmawiali przez chwilę, po czym DeLesseps odjechał.

Junior tymczasem wspiął się po schodach komisariatu, lecz zamiast wejść do środka, usiadł i zaczął pocierać skronie, jakby go bolała głowa. Ryży postanowił zaczekać. Nie chciał być widziany w czasie sprawdzania miejskich zapasów źródeł energii, a już zwłaszcza przez syna wiceprzewodniczącego rady.

W pewnej chwili Junior wyjął z kieszeni telefon komórkowy, otworzył klapkę, jakiś czas słuchał, potem coś powiedział, następnie znowu słuchał, powiedział coś jeszcze i zatrzasnął aparat. Wrócił do masowania skroni. Doktor Haskell swego czasu mówił coś o tym młodym człowieku... Migreny? Bóle głowy? To, co było widać, wyglądało na migrenę. Nie ze względu na pocieranie skroni. Raczej z powodu sposobu, w jaki Junior opuścił głowę.

Unika światła, uświadomił sobie Ryży.

Pewnie zostawił leki w domu. Zakładając, że Haskell mu je przepisał.

Ryży zaczął wstawać, by przejść przez Commonwealth Lane i na tyły ratusza - Junior najwyraźniej i tak by go nie dostrzegł - lecz wówczas zobaczył kogoś jeszcze i usiadł z powrotem. Oto Dale Barbara, zatrudniony na sezon w kuchni Sweetbriar Rose, podobno awansowany do rangi pułkownika (jak twierdzili niektórzy, przez samego prezydenta), stał w cieniu pod markizą przy starym kinie. I on także bezdyskusyjnie obserwował młodego pana Renniego.

Interesujące.

Barbara chyba doszedł do tego samego wniosku co Ryży: Junior nie obserwuje, tylko na kogoś czeka. Śpiesznym krokiem przeszedł przez ulicę i w chwili, gdy zniknął z pola widzenia Juniora, zasłonięty przez ratusz, przystanął, by przeczytać zawiadomienie wywieszona na zewnętrznej tablicy. Potem wszedł do środka.

Ryży postanowił zostać na ławce jeszcze chwilę. Pod drzewem panował miły chłód, a poza tym był ciekaw, na kogo czeka Junior. Placem ciągle jeszcze przechodzili ludzie z karczmy (niektórzy zostaliby znacznie dłużej, gdyby mogli się napić czegoś z procentami).

Wielu z nich, podobnie jak młody człowiek siedzący na schodach, miało pochylone głowy. Nie z bólu, podejrzewał Ryży, ale z przygnębienia. A może to jedno i to samo? Warto się nad tym zastanowić.

Pojawił się czarny kanciasty samochód, żłowiący hektolitry paliwa, który Ryży doskonale znał. Hummer Dużego Jima Renniego. Rozległ się niecierpliwy dźwięk klaksonu, trzy osoby przechodzące ulicą zeszyły z asfaltu potulnie jak owce.

Hummer zatrzymał się przed komisariatem. Junior podniósł wzrok, ale nie wstał. Otworzyły się drzwiczki po stronie kierowcy. Wysiadł Andy Sanders. Z miejsca pasażera - Rennie.

Rennie pozwolił Sandersowi prowadzić swoją ukochaną czarną perłę? Ryży uniósł brwi. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek ujrzy za kierownicą czarnego monstrem kogokolwiek poza samym Dużym Jimem. Najwyraźniej wiceprzewodniczący postanowił awansować Andy'ego z woła roboczego na szofera.

Chwilę później Ryży zmienił zdanie. Wystarczyło, że popatrzył, w jaki sposób Duży Jim idzie po schodach do syna.

Jak większość doświadczonych medyków, Everett był niezły w diagnozowaniu na odległość. Nigdy nie zaleciłby kuracji na tej podstawie, natomiast potrafił odróżnić człowieka, który pół roku wcześniej przeszedł operację wstawienia sztucznego stawu biodrowego, od takiego, który aktualnie cierpi na hemoroidy - na podstawie sposobu chodzenia. Można ocenić nadwężenie szyi, patrząc, jak ktoś obraca się całym ciałem, zamiast po prostu zerknąć przez ramię; można rozpoznać wszawicę u dziecka, które po powrocie z letniego wyjazdu bez przerw się drapie. Duży Jim przyciskał rękę do wydatnego brzuszyska, jakby ją miał na temblaku. W mowie ciała oznaczało to, że ostatnio nadwężył sobie bark albo łokieć, ewentualnie jedno i drugie. Nic dziwnego zatem, że Sanders został wyznaczony do prowadzenia czarnej bestii.

Jakiś czas rozmawiali we trzech. Junior nie wstał, Sanders koło niego usiadł, poszperał w kieszeniach i wyjął coś, co błysnęło w mglistych promieniach słońca. Ryży miał niezły wzrok, ale znajdował się co najmniej o pięćdziesiąt metrów za daleko, żeby zobaczyć, co to było. Szkło albo metal. Tyle mógł powiedzieć z całkowitą pewnością. Junior wsadził to coś do kieszeni, potem jeszcze chwilę wszyscy trzej rozmawiali. Rennie wskazał hummera - zrobił to zdrową ręką - a Junior pokręcił głową. Potem Sanders wskazał brykę. Junior ponownie zaprzeczył, opuścił głowę i znów pocierał skronie. Dwaj radni spojrzeli po sobie, Sanders musiał przy tym podnieść głowę, bo nadal siedział. Zresztą w cieniu Dużego Jima, co Ryży uznał za symboliczne. Duży Jim wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście „co ja na

to poradzę?”. Sanders wstał i we dwóch weszli do komisariatu. Duży Jim po drodze poklepał syna po ramieniu. Junior nie zareagował. Jakby miał zamiar siedzieć na tych schodach do końca świata. Sanders odegrał rolę odzwiernego, przepuszczając Dużego Jima w drzwiach.

Ledwo obaj radni opuścili scenę, a z ratusza wyszedł kwartet: siwiejący mężczyzna, młoda kobieta, chłopiec i dziewczynka. Dziewczynka trzymała chłopca za rękę i niosła szachownicę. Chłopiec wyglądał na równie strapionego jak Junior. I niech to licho, wolną ręką pocierał skroń. Wszyscy czworo przeszli przed ławką Ryżego.

- Cześć - przywitała go dziewczynka pogodnie. - Nazywam się Alice. A to jest Aidan.

- Będziemy mieszkali na chlebanii - oznajmił ponuro Aidan. Nadal pocierał skroń i był bardzo blady.

- To świetnie - powiedział Ryży. - Czasem i mnie się marzy, żeby tam zamieszkać.

Kobieta i mężczyzna też trzymali się za ręce. Ojciec i córka, pomyślał.

- Chcemy porozmawiać z wielbłą Libby - odezwała się kobieta. - Nie wie pan przypadkiem, czy już wróciła?

- Nie mam pojęcia.

- No to sprawdzimy I w razie czego zaczekamy. Na chlebanii. - Uśmiechnęła się do mężczyzny.

Ryży doszedł do wniosku, że jednak nie są rodziną.

- Tak nam przed chwilą poradził woźny - dokończyła dziewczyna.

- Al Timmons?

Przecież na własne oczy widział, jak Al wskakiwał na tył ciężarówki Burpeego.

- Nie, ten drugi - włączył się mężczyzna. - Powiedział, że wielbłą pomoże nam znaleźć jakiś dom.

Ryży pokiwał głową.

- Ten drugi miał na imię Dale? - zapytał.

- Chyba się w końcu nie przedstawił - uznała kobieta.

- Choodźmy! - Chłopiec puścił dłoń siostry, dla odmiany pociągnął za rękę kobietę. - Chcę się pobawić w tę drugą zabawę.

Wydawało się, że marudzi. Może był chory. Ryży miał nadzieję, że to najzwyczajniejsze przeziębienie. Ostatnim, czego potrzebowali w Mill, była epidemia grypy.

- Stracili matkę - powiedziała kobieta cicho. - To znaczy chwilowo. Na razie my się nimi zajmujemy.

- I bardzo dobrze - powiedział Ryży całkiem szczerze. - Synku, boli cię głowa? - Nie.

- A gardło?

- Nie. - Aidan zmierzył lekarza poważnym spojrzeniem. - Wcale nie będę żałował, jeśli w tym roku nie będzie zabawy „cukierek albo psikus”.

- Aidanie Appletonie! - krzyknęła Alice wstrząśnięta do głębi. Ryży aż drgnął, nie zdołał opanować odruchu. Zaraz się jednak uśmiechnął. - A dlaczego?

- Bo zawsze mamusia chodziła z nami po domach, a mamusia pojechała po kupy.

- Jemu chodzi o zakupy - wyjaśniła Alice od niechcienia.

- Pojechała po woopsy - ciągnął Aidan. Wyglądał jak mały staruszek. Mały i przestraszony staruszek. - Boję się iść na Halloween bez mamy.

- Chodź, Caro - odezwał się siwiejący mężczyzna. - Powinniśmy... Ryży wstał.

- Czy zechciałaby pani poświęcić mi chwilę? Odejźmy dwa kroki, proszę.

Caro była zdumiona i ostrożna, ale odeszła z nieznanym kilka kroków od świerku.

- Czy chłopiec ma jakieś objawy chorobowe? - zapytał Ryży. - Na przykład przerywa na chwilę wykonywaną czynność, całkiem jakby zapomniał, na jakim świecie żyje... Rozumie pani, dziecko wtedy nieruchomieje... albo ma szklany wzrok, porusza wargami, nic nie mówiąc...

- Nic podobnego nie zaobserwowaliśmy - oznajmił mężczyzna, który zbliżył się do nich.

- Rzeczywiście - potwierdziła Caro, lecz wyglądała na przestraszoną.

Nie umknęło to uwagi mężczyzny. Zgromił Ryżego spojrzeniem.

- Czy pan jest lekarzem?

- Jestem asystentem medycznym. Zdawało mi się...

- Doceniamy pańską troskę, panie...

- Everett. Eric Everett. Proszę mnie nazywać Ryży.

- Doceniamy pańską troskę, panie Everett, i rozumiemy niepokój, jednak naszym zdaniem jest on nieuzasadniony. Proszę pamiętać, że te dzieci zostały bez matki...

- I spędziły dwie doby w samotności, bez jedzenia - uzupełniła Caro. - Postanowiły się dostać do miasta o własnych siłach, wtedy ci dwaj... policjanci - zmarszczyła nos, jakby jej coś brzydko zapachniało - je znaleźli.

Ryży pokiwał głową.

- To wiele wyjaśnia. Chociaż... dziewczynka wydaje się w dobrej formie.

- Każde dziecko reaguje po swojemu. Na nas już czas. Thurse, dzieci są coraz dalej.

Alice i Aidan rzeczywiście pobiegli przez park, kopiąc sterty kolorowych liści. Alice przy tym stale machała szachownicą i krzyczała co sił w płucach:

- Chlebania! Chlebania!

Chłopiec dotrzymywał jej kroku i też wrzeszczał na cały głos.

Pewnie mały miał stan fugi i tyle, pomyślał Ryży. Reszta to czysty przypadek. A nawet norma, bo i które amerykańskie dziecko nie myśli o Halloween w drugiej połowie października?

Jedno było pewne: jeżeli ktoś kiedyś tych ludzi zapyta, bez trudu opowiedzą, gdzie i kiedy spotkali Ryżego Everetta. To tyle w kwestii dyskrecji.

- Dzieci! - zawołał siwiejący mężczyzna. - Zaczekajcie! Kobieta zastanawiała się chwilę, po czym wyciągnęła rękę.

- Dziękujemy panu za troskę, panie Everett. Ryży.

- Pewnie przesadziłem. Ryzyko zawodowe.

- Wybaczamy panu. - Uśmiechnęła się szeroko. - Złożmy to na karb najbardziej zwariowanego weekendu w dziejach świata.

- Chętnie. A gdybyście mnie państwo potrzebowali, odstukać, proszę zajrzeć do szpitala albo do przychodni. - Wskazał w stronę, gdzie stały zabudowania szpitalne, które będą widoczne przez drzewa, gdy opadną liście. O ile opadną.

- Albo na tej ławeczce - powiedziała kobieta, nadal z uśmiechem.

- Albo na tej ławeczce - zgodził się Ryży pogodnie.

- Caro! - zawołał Thurse niecierpliwie. - Chodźże!

Kobieta pomachała ręką na pożegnanie, właściwie tylko poruszyła palcami i pobiegła lekko, z wdziękiem. Ryży był ciekaw, czy Thurse wie, że dziewczęta, które biegają lekko i z wdziękiem, prawie zawsze w końcu uciekają od swoich podstarzałych kochanków. Może wiedział. Może mu się to już przydarzyło.

Patrzył za nimi, gdy szli przez plac w stronę, gdzie wznosiła się wieża kościoła kongregacyjnego. W końcu drzewa przesłoniły mu widok. Gdy przeniósł spojrzenie na budynek komisariatu, stwierdził, że Junior Rennie zniknął ze schodów.

Czas jakiś jeszcze posiedział na ławeczce, bębniąc palcami w udo. Wreszcie podjął decyzję i wstał. Szukanie szpitalnych pojemników z propanem w magazynie ratusza mogło zaczekać. Bardziej go ciekawiło, co jedyny oficer armii Stanów Zjednoczonych obecny w Mill robi w ratuszu.

Co Barbie robił w ratuszu w chwili, gdy Ryży przekraczał Commonwealth Lane, aby wejść do ratusza? Otóż właśnie zagwizdał z uznaniem przez zęby. Schron przeciwbombowy był długi jak wagon restauracyjny pociągu firmy Amtrak, a półki uginały się od zapasów

żywności. Najwyraźniej większość stanowiły ryby i przetwory rybne: całe kolumny puszek z sardynkami, rzędy łososia i mnóstwo czegoś, co się nazywało „Ostrygi śnieżne”. Barbie miał nadzieję, że nigdy w życiu nie będzie musiał skosztować tego specjału. Były tu pudła z artykułami sypkimi, wielkie plastikowe pojemniki oznaczone napisami: RYŻ, KASZA PSZENNA, MLEKO W PROSZKU oraz CUKIER, równo ustawione rzędy butli z naklejkami WODA PITNA. Naliczył też dziesięć dużych kartonów sucharów z nadwyżek rządowych i dwa wypełnione tabliczkami czekolady z tego samego źródła. Na ścianie wisiała żółtawa tabliczka z napisem CZŁOWIEKOWI WYSTARCZA 700 KALORII DZIENNIE.

- Dobrze sobie - mruknął Barbie.

Na drugim końcu pomieszczenia znalazł drzwi. Otworzył je i stanął w egipskich ciemnościach. Pomacał, znalazł przełącznik. Kolejny pokój, nie taki okazały, lecz nadal duży. Wyglądał na nieużywany, ale nie był zaniedbany ani brudny, najwyraźniej Al Timmons o nim wiedział, czasem ścierał kurz z półek i niekiedy zmiatał. Tutaj zmagazynowano wodę w szklanych butelkach, a czegoś takiego Barbie nie widział od czasu krótkiego okresu racjonowania żywności w Arabii Saudyjskiej.

Zobaczył łóżka polowe oraz niebieskie koce i materace zabezpieczone plastikowymi pokrowcami na suwak. A także kolejne pudła: ze sześć oznaczonych ZESTAW SANITARNY i kilkanaście masek przeciwgazowych. Znajdował się tam również niewielki generator pomocniczy. Pracował. Zapewne włączył się przy zapaleniu światła. Po obu jego stronach znajdowały się półki. Na jednej stało radio, które wyglądało, że mogło być nowe w czasach, gdy C.W. McCall lansował przebój „Convoy”. Drugą półkę zajmowały dwie płytowe kuchenki elektryczne oraz metalowe pudło pomalowane na jasnożółto. Czarny symbol na jego boku - trzy czarne trójkąty tworzące kółko - pochodził z dawnych czasów, gdy nie mógł oznaczać compact discu. Tego właśnie Barbie szukał.

Chwycił skrzyneczkę i omal jej nie upuścił, taka była ciężka. Z przodu maszynki umieszczono skalę podpisaną IMPULSY NA SEK. Należało włączyć urządzenie i skierować czujnik w odpowiednią stronę, a wtedy igła wskaźnika mogła zostać na zielonym polu, przesunąć się na żółte, pośrodku skali... albo przechylić na czerwone. A to, jak wiadomo, nie byłoby dobrze.

Włączył urządzenie. Lampka zasilania pozostała ciemna, a igła spokojnie tkwiła w miejscu, wskazując zero.

- Baterie padły - powiedział ktoś.

Barbie mała nie wyskoczył ze skóry. Obejrzał się i w drzwiach między dwoma pomieszczeniami zobaczył wysokiego, solidnie zbudowanego mężczyznę o jasnych włosach.

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, choć facet bywał w Sweetbriar Rose prawie w każdą niedzielę, czasami z żoną, a zawsze z dwiema dziewczynkami. Nagle doznał olśnienia.

- Ryży Evers, prawda?

- Blisko. Everett. - Mężczyzna wyciągnął rękę. Barbie z niejaką rezerwą podszedł i podał mu dłoń.

- Widziałem, jak pan wchodził do ratusza - stwierdził Ryży. - To - wskazał licznik Geigera - pewnie jest całkiem niezła myśl. W końcu jakoś musi się toto trzymać. - Nie uściślił, co rozumiał przez „toto”, naprawdę nie musiał.

- Miło mi, że się zgadzamy. Przez pana mało nie zszedłem na zawał. Chociaż pewnie by mnie pan odratował. Zdaje się, że jest pan lekarzem?

- Asystentem medycznym - uściślił Ryży. - To znaczy...

- Wiem, co to znaczy.

- Doskonale, wygrał pan parowar. Chyba potrzebna będzie bateria sześciowoltowa. Na sto procent widziałem takie u Burpeego. Tylko nie wiem, czy teraz tam kogoś zastaniemy. Więc może na razie rozejrzemy się dokładniej tu w pobliżu?

- A gdzie konkretnie mielibyśmy się rozglądać?

- W magazynie na tyłach ratusza.

- I z jakiego powodu chcemy się rozglądać?

- Zależy, co znajdziemy. Jeżeli to, czego nam brakuje w szpitalu, moglibyśmy dokonać drobnej wymiany informacji.

- Czego wam brakuje, jeśli można spytać?

- Propanu, bracie.

Barbie zastanowił się chwilę. - A, diabła tam. Chodźmy zerknąć.

10

Junior stał u stóp rozchwierutanych schodów prowadzących do mieszkania nad apteką. Zastanawiał się, czy w ogóle zdoła po nich wejść, wygrać z bólem głowy. Może i tak. Prawdopodobnie. Choć może się zdarzyć, że pokona połowę schodów, a wtedy głowa mu wybuchnie jak noworoczna petarda. Plama przed okiem wróciła na swoje miejsce, podskakując w rytm bicia serca, tyle że już nie była biała. Zmieniła się w jasnoczerwoną.

W ciemnościach będzie lepiej, pomyślał Junior.

W spizarnce, z dziewczynkami.

Jeśli tutaj uda się załatwić sprawę, będzie można tam pojechać. W tej chwili spizarnia

w domu McCainów na Prestile Street wydawała mu się najwspanialszym miejscem na ziemi. Był tam również Coggins, jasna sprawa, ale co z tego? Zawsze można było zepchnąć na bok tego wrzaskliwego gospelowego kretyna. Na razie musiał być schowany i tyle. Junior nie był zainteresowany chronieniem ojca (nie był też zaskoczony ani przerażony tym, co stary zrobił, bo zawsze wiedział, że drzemie w nim morderca), ale naprawdę miał interes we wrobieciu Dale'a Barbary.

- Jeżeli odpowiednio rozegramy karty, nie tylko usuniemy go z drogi - powiedział ojciec tego ranka. - Wykorzystamy go do zjednoczenia mieszkańców miasta w obliczu zagrożenia. I jeszcze ta taka siaka owaka redaktorka... Na nią też mam pomysł. - Położył na ramieniu Juniora ciepłą mięsistą dłoń. - Gramy razem, synu.

Sytuacja zawsze mogła się zmienić, lecz na razie rzeczywiście jechali na tym samym wózku. I zamierzali zająć się „Baaarbiem”. Junior w końcu nawet doszedł do wniosku, że nie kto inny, tylko Barbie ponosi odpowiedzialność za jego bóle głowy. Bo przecież jeżeli faktycznie był za oceanem - ludzie plotkowali, że w Iraku - to mógł ściągnąć do kraju jakąś przykrą niespodziankę z Bliskiego Wschodu. Na przykład truciznę. Junior jadał w Sweetbriar Rose wielokrotnie. Barbara mógł bez trudu zaaplikować mu jakieś świństwo w jedzeniu. Albo w kawie. A nawet jeśli nie zrobił tego osobiście, mógł namówić Rose. Ta cipa tańczyła, jak jej zagrał.

Junior pokonał schody wolno, zatrzymując się co cztery stopnie. Głowa jakoś mu nie wybuchła. Stanąwszy na szczycie, pogrzebał w kieszeni, szukając klucza, który dostał od Andy'ego Sandersa. Dłuższy czas nie mógł znaleźć i już zaczął się obawiać, że zgubił, gdy namacał go między monetami.

Rozejrzał się dookoła. Jeszcze kilka osób wracało z karczmy, na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi. Włożył klucz w zamek, obrócił i wślizgnął się do środka.

Nie zapalił światła, choć generator Sandersa z pewnością był świetnie zaopatrzone. W półmroku czerwona plama przed oknem stawała się mniej widoczna. Rozejrzał się ciekawie po wnętrzu. Od razu rzucało się w oczy mnóstwo książek. Całe półki zastawione książkami. Czyżby Baaarbie zamierzał je zostawić? Albo umówił się z kimś... może z Petrą Searles, która pracowała w aptece, że mu je gdzieś prześle. W takim razie miał pewnie identyczne plany wobec dywanu w salonie, który wyglądał na jakąś wielbłądzą wełnę albo inny badziew, wyszukany na jakimś wschodnim bazarze w chwili wolnej od podtapiania podejrzanych albo molestowania chłopców.

Nie. Wcale nie zamierzał prosić o wysłanie swoich rzeczy. Nie miał takiej potrzeby, bo w ogóle nie planował opuszczać miasta.

Junior nawet się zdziwił, że nie wpadł na to wcześniej. Baaarbiemu się tutaj podobało, nie zamierzał się wynosić z własnej woli. Był szczęśliwy jak larwa w psiej kupie.

- Znajdź coś, od czego się nie wykręci - pouczył syna Duży Jim. - Cokolwiek. Coś, co może należeć wyłącznie do niego. Rozumiesz?

Masz mnie za idiotę, stary? - myślał teraz Junior.

Gdybym był idiotą, nie uratowałbym ci tyłka wczoraj w nocy.

Ojciec potrafił przyłożyć, kiedy się wściekł, to fakt. Syna nigdy nie uderzył, nie ukarał go nawet kłapsem. Junior sądził, że taki był skutek wpływu matki, ostatnio jednak zmienił zdanie. Stary po prostu wiedział, podświadomie przeczuwał, że jeśli uderzy raz, nie będzie umiał przestać.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - powiedział Junior i zachichotał.

Chichot obudził ból w głowie, trudno. Jak to było? Podobno śmiech jest najlepszym lekarstwem.

Junior wszedł do sypialni. Zobaczył starannie zaścielone łóżko. Cudownie byłoby nasrać na samym środku materaca, I podetrzeć się poszewką od poduszki.

Fajnie by było, co, Baaarbie?

Podszedł do komody. W górnej szufladzie zobaczył cztery pary dżinsów i dwie pary krótkich spodenek khaki. Pod nimi telefon komórkowy. Przez moment sądził, że właśnie tego szukał, ale szybko zmienił zdanie. To był tani aparat, z gatunku takich, jakie dzieciaki z college'u określały mianem „gorący kartofel” albo, jednorazówka”. Barbie mógł zwyczajnie stwierdzić, że to nie jego.

W drugiej szufladzie - parę kompletów bawełnianej bielizny, kilka par białych sportowych skarpet. W trzeciej - pusto.

Zajrzał pod łóżko, chociaż w głowie mu dudniło i huczało. Wszystko na nic. W ogóle nic tam nie było, nawet kłaczek kurzu. Porządnie z tego Baaarbiego. Junior zastanowił się, czyby nie łyknąć imitrexu, wetkniętego do małej przedniej kieszonki dżinsów, jednak po namyśle zrezygnował. Już połknął dwa i kompletnie nic to nie dało poza metalicznym posmakiem w gardle. Wiedział, czego mu trzeba: ciemnej spizarni na Prestile Street. I towarzystwa dziewcząt.

Na razie jednak był tutaj. I musiał coś znaleźć.

- Cokolwiek - szepnął. - Muszę znaleźć cokolwiek.

Wrócił do salonu, otarł wilgoć z kącika tętniącego bólem lewego oka (nie zauważył, że łaża była zaczerwieniona od krwi), po czym znieruchomiał, tknięty nagłą myślą. Wrócił do komody, otworzył szufladę ze skarpetkami i bielizną. Skarpetki były zwinięte w kulki. W

szkole sam tak zwijał skarpetki i czasami chował w nich trochę trawy albo jakieś dopalacze. A kiedyś nawet stringi Adriette Nedeau. Skarpety to dobra kryjówka. Wyjął z szuflady starannie zwinięte kule i obmacał każdą po kolei.

Trafił za trzecim razem. Wyczuł coś, co przypominało płaski kawałek metalu. A, nie, dwa. Rozwinął skarpety i tę cięższą wytrząsnął nad blatem komody.

Wypadł z niej nieśmiertelnik Dale'a Barbary.

Junior, mimo potwornego bólu głowy, uśmiechnął się szeroko.

Mam cię, Baaarbie, pomyślał.

Już mi nie spieprzysz.

11

Na Little Bitch Road po stronie Tarker's Mills ciągle szalał pożar wywołany przez fasthawki, ale już było widać, że do zmroku zostanie ugaszony. Rozprawiała się z nim straż pożarna z czterech okolicznych miast, wspierana przez oddziały marines i wojsk lądowych. Brenda Perkins oceniła, że uporaliby się z ogniem dużo szybciej, gdyby nie mieli za przeciwnika dość ostrego wiatru. Po stronie Mill nie było tego problemu. Dzisiaj należało to uznać za błogosławieństwo. Później mogło okazać się przekleństwem. Nigdy nie wiadomo.

Brenda nie zamierzała się tym przejmować akurat teraz, bo czuła się wyśmienicie. Gdyby ją tego ranka ktoś zapytał, kiedy, jej zdaniem, odzyska formę po śmierci męża, odpowiedziałaby: „Może za rok. Może nigdy”. Zdawała sobie sprawę, że aktualny stan może nie potrwać długo. Pomogło jej półtorej godziny aktywności: wyzwoliło endorfiny, jak to wysiłek fizyczny, obojętne - jogging czy gaszenie ognia łopata. Ale chodziło nie tylko o endorfiny. Nie bez znaczenia była odpowiedzialność za wykonanie ważnej pracy przez grupę ludzi.

Szybko pojawili się ochotnicy ściągnięci przez dym. Czternastu mężczyzn i trzy kobiety rozstawili się po obu stronach drogi, niektórzy z nich nadal trzymali łopaty i gumowe wycieraczki, którymi gasili pełzające ogniki. Kilku miało na plecach hydronetki, teraz je zdjęli i siedli na poboczu. Al Timmons, Johnny Carver i Nell Toomey zwijali węże i rzucali je na pakę ciężarówky Burpeego. Tommy Anderson z Karczmy Dippera i Lissa Jamieson - nieco zbaczająca w stronę New Age, lecz silna jak koń - nieśli do innego samochodu pompy, którymi ciągnęli wodę ze strumienia Little Bitch Creek. Brenda słyszała śmiechy i uświadomiła sobie, że nie była jedyną korzystającą z napływu endorfin.

Krzewy po obu stronach drogi były poczerniałe i wciąż jeszcze dymiły, kilka drzew spaliło się prawie doszczętnie, na szczęście jednak nie stało się nic strasznego. Kopuła

zablokowała wiatr, a przy tym pomogła gaszącym pożar w jeszcze inny sposób - stała się zaporą na strumieniu, przemieniając najbliższą okolicę w zaczątek bagien. Ogień po drugiej stronie to już była zupełnie inna historia. Walczący z nim wyglądali jak połyskliwe zjawy za sadzą osiadającą na kopule.

Do Brendy podszedł Romeo Burpee. Niósł mokrą miotłę i gumową wycieraczkę pod drzwi. Ciągłe jeszcze widniały na niej metki. A słowa, które nadal można było przeczytać, choć poczerniały, głośno wszem wobec: U BURPEEGO WYPRZEDAŻ TRWA OKRĄGLY ROK. Rzucił jedno i drugie, wyciągnął do Brendy rękę.

Zaskoczył ją, ale chętnie podała mu dłoń. Potrząsnął nią mocno.

- Z jakiej to okazji, Rommie? - Za to, że wykonała pani kawał dobrej roboty.

Roześmiała się, trochę zakłopotana, lecz zadowolona. - W tych okolicznościach mógł to zrobić każdy. Ognia było niewiele, a ziemia taka mokra, że pewnie sam by wygasł. - Może i tak. - Wskazał palcem nierówną przecinkę między drzewami i przegradzający ją wałący się kamienny mur. - Albo ogień by się przeniósł tam, na wysoką trawę, potem na drzewa po drugiej stronie. Mógłby płonąć przez tydzień albo i miesiąc. Zwłaszcza że nie mamy teraz straży pożarnej. - Odwrócił głowę, splunął przez ramię. - Nawet bez wiatru mógłby się rozprzestrzenić, gdyby się już zajęło. Na południu były pożary w kopalniach, co to się paliły dwadzieścia i trzydzieści lat. Czytałem w „National Geographic”. A pod ziemią przecież nie ma wiatru. Poza tym skąd wiemy, że wiatru nie będzie? Nie wiemy w ogóle nic o tym, co to robi, a co nie.

Oboje spojrzeli w stronę kopuły. Popiół i sadza wyłowiły ją z powietrza, była mniej więcej widoczna do wysokości jakichś trzydziestu metrów. I przesłaniała widok na stronę Tarker's, co się Brendzie wcale nie podobało. Jeszcze się nad tą sprawą głębiej nie zastanawiała, lecz wcale jej się to nie podobało. Przypomniała sobie dziwaczny zachód słońca z poprzedniego dnia.

- Dale Barbara powinien zadzwonić do swojego przyjaciela w Waszyngtonie i powiedzieć mu, że jak już się uporają z ogniem, powinni to coś opłukać. My od naszej strony tego nie zrobimy.

- Świetna myśl - zgodził się Romeo. Ale miał w głowie coś jeszcze.

- Pani widzi coś, co łączy pani zespół? Bo ja widzę.

Brenda się zdziwiła.

- To nie jest mój zespół. - Jest, jest. Pani wydaje rozkazy, oni słuchają, to zespół. Widzi pani jakieś gliny? Pokręciła głową.

- Ani jednego - podkreślił Rommie. - Ani Randolpha, ani Henry'ego Morrisona, ani

Freddy'ego Dentona, ani Ruperta Libby'ego, ani Georgiego Fredericka... i żadnego z nowych, z tych dzieciaków.

- Pewnie mają zajęcie przy... - umilkła. Rommie pokiwał głową.

- No właśnie. Przy czym oni mają zajęcie? Ani pani nie wie, ani ja. Ale wszystko jedno co robią, wcale mi się to nie podoba. I nie wiem, czy robią to, co trzeba. Szykuje się spotkanie na czwartek wieczór. Jeżeli ciągle jeszcze będziemy zamknięci pod kloszem, przyda się parę zmian. - Umilkł. - Może ja się trochę pcham z wozem przed konie, ale uważam, że pani powinna kandydować na szefa straży i policji.

Brenda zastanowiła się nad propozycją, pomyślała też o pliku z nazwą VADER, który znalazła w komputerze, w końcu wolno pokręciła głową.

- Za wcześnie na takie kroki.

- A przynajmniej na szefa straży? Co pani myśli? - spytał z naciskiem.

Powiodła wzrokiem po tłących się krzewach i zwęglonych drzewach. Były brzydkie, jak na zdjęciu z pola walki w czasie pierwszej wojny światowej, ale już niegroźne. Zadbali o to ludzie, którzy się tu zjawili, żeby tego dopilnować. Zespół. Jej zespół.

- Nad tym się mogę zastanowić - stwierdziła z uśmiechem.

12

Ginny Tomlinson biegła szpitalnym korytarzem, bo wzywało ją głośnie buczenie, więc Piper nie miała szansy z nią porozmawiać. Nawet nie próbowała. Spędziła w poczekalni dość czasu, żeby zyskać pełny obraz sytuacji. Całym szpitalem zajmowały się trzy osoby: pielęgniarka, pielęgniarz oraz nastoletnia ochotniczka, Gina Buffalino. Jakoś dawali sobie radę, ale ledwo. W powrotnej drodze Ginny szła powoli. Miała przygarbione ramiona. W dłoni trzymała kartę pacjenta.

- Ginny? - odezwała się Piper. - Co się dzieje?

Już myślała, że Ginny coś odburknie, ale pielęgniarka odpowiedziała zmęczonym uśmiechem. I usiadła obok wielebnej.

- Wszystko w porządku. Tylko jestem zmęczona. - Umilkła na chwilę. - No i Ed Carty właśnie zmarł.

Piper wzięła ją za rękę.

- Przykro mi to słyszeć.

Ginny ścisnęła jej palce.

- Taki los. Pan Carty umierał długo, teraz już dotarł do celu. Piper wydało się to szczególnie pięknym ujęciem sprawy. Przyszło jej do głowy, że mogłaby je wykorzystać w

kazaniu... tyle że ludzie raczej nie zechcą słuchać o śmierci, jeśli w niedzielę kopuła nadal będzie okrywała miasto.

Jakiś czas siedziały bez słowa. Piper zastanawiała się, jak zadać pytanie, które zadać musiała. W końcu jednak nie padło.

- Dziewczyna została zgwałcona - powiedziała Ginny sama z siebie. - Prawdopodobnie więcej niż raz. Już się obawiałam, że Twitch będzie musiał ją zszywać, ale w końcu udało mi się powstrzymać krwawienie. - Pokiwała głową. - Rozpłakałam się, jak zobaczyłam, co z nią zrobili. Na szczęście była zbyt naćpana, żeby cokolwiek zauważyć.

- A dziecko?

- Zdrowy szesnastomiesięczny chłopiec. Chociaż w pewnej chwili nas wystraszył, miał lekki napad drgawek. Pewnie wskutek długiego przebywania na słońcu... odwodnienia, głodu... no i skaleczenie. - Ginny przeciągnęła palcem po czole.

W korytarzu pojawił się Twitch. Usiadł przy nich. Nie został nawet ślad normalnego, beztroskiego Twitcha.

- Czy dziecko też zostało skrzywdzone przez gwałcicieli? - spytała Piper. Głos miała spokojny, natomiast w jej mózgu otworzyła się wąska czerwona szczelina.

- Młody? Nie, nie przypuszczam - odpowiedział Twitch. - Raczej się przewrócił. Sammy mówiła coś o łóżeczku, że się rozleciało. Nie do końca zrozumiałem, ale w zasadzie jestem pewny, że to był wypadek. Mówię o skaleczeniu dziecka.

Piper patrzyła na niego osłupiała.

- Ona mówiła „młody”! A ja myślałam, że prosi „wody”...

- Wody też na pewno chciała - uznała Ginny. - Jej synek nazywa się Little Walter, Sammy często mówi na niego „Młody”. Nazwali go po jakimś bluesmanie grającym na harmonijce. Ten jej Phil... - Ginny pokazała na migi zaciąganie się jointem i zatrzymywanie dymu w płucach.

- O, Phil na jaraniu nie kończył - stwierdził Twitch. - Jeśli chodzi o dragi, był wielobranżowcem.

- Nie żyje? - spytała Piper. Wzruszył ramionami.

- Nie widziałem go... od wiosny. Jeżeli zszedł z tego padołu, tym lepiej.

Skulił się pod wzrokiem Piper.

- Sorry, wielebna - mruknął. Odwrócił się do Ginny. - Ryży jest tu gdzieś?

- Musiał odpocząć, powiedziałam mu, żeby wyszedł. Na pewno niedługo wróci.

Piper siedziała między nimi, pozornie spokojna. W ustach miała kwaśny posmak, w myślach czerwoną szczelinę otwierającą się coraz szerzej. Czuła się trochę jak w tę noc, kiedy

ojciec zabronił jej iść do skateparku w galerii handlowej, bo coś odpysknęła matce. Jako nastolatka naprawdę umiała się odgryźć. Wtedy poszła na górę, do swojego pokoju, zadzwoniła do przyjaciółki, z którą miała się spotkać, i powiedziała jej całkiem spokojnie, doskonale opanowanym głosem, że wypadło coś niespodziewanego, więc jednak nie będą mogły się zobaczyć. W następny weekend? Jasne, tak, na pewno, powodzenia, baw się dobrze, u mnie wszystko w porządku, pa, pa. A potem zdemolowała pokój. Zakończyła zdarciem ze ściany ukochanego plakatu Oasis i porwaniem go na strzępy. Przez cały czas płakała, wyła ochryple, nie ze smutku, ale z wściekłości. Takie napady znaczyły jej życie nastolatki potężnymi huraganami. W pewnej chwili ojciec wszedł na górę i stanął w drzwiach. Przyglądał się jej bez słowa. Gdy ona go dostrzegła, przyszpiliła wyzywającym spojrzeniem, dysząc, myśląc o tym, jak bardzo go nienawidzi. Jak serdecznie nienawidzi ich obojga. Gdyby umarli, mogłaby zamieszkać z ciotką Ruth w Nowym Jorku. Ciotka Ruth potrafiła się zabawić. Nie tak jak niektórzy. A ojciec wyciągnął do niej otwarte ramiona. Był to gest niesłychanie pokorny, skruszył jej gniew, o mało nie zdruzgotał serca.

- Jeśli nie nauczysz się panować nad wściekłością, ona zapanuje nad tobą - powiedział wtedy i odszedł ze spuszczoną głową.

Nie zatrasnęła za nim drzwi. Zamknęła je bardzo cicho.

Tamtego roku postawiła sobie za cel walkę z napadami wściekłości. Nie mogła ich wyeliminować kompletnie, bo zabiłaby część siebie, lecz uznała, że jeśli nie dokona fundamentalnych zmian, istotna sfera jej osobowości nie zdoła dojrzeć, pozostanie jak u piętnastolatki. Zaczęła pracować nad samokontrolą i w dużym stopniu osiągnęła sukces. Gdy czuła, że zaczyna tracić panowanie nad sobą, przypominała sobie słowa ojca i ten prosty gest otwartych rąk, a potem jego wolne kroki w korytarzu. Dziewięć lat później w czasie mszy żałobnej powiedziała: „Od ojca dowiedziałam się najważniejszej rzeczy na świecie”. Nie wyjaśniła, co to takiego było, matka jednak wiedziała. Siedziała w pierwszej ławie i słuchała wyświęconej córki.

Jeśli przez ostatnie dwadzieścia lat zdarzało się, że Piper miała ochotę wybuchnąć - a zdarzało się często, bo ludzie byli tacy głupi... tacy nieprawdopodobnie głupi - przywoływała w pamięci głos ojca. „Jeśli nie nauczysz się panować nad wściekłością, ona zapanuje nad tobą”. Zawsze pomagało.

Teraz czerwona szczelina rosła z chwili na chwilę, a wielebna Piper czuła potrzebę, żeby rzucić czymś ciężkim. Albo drapać do krwi.

- Spytałaś ją, kto to zrobił?

- Tak, jasne - odparła Ginny. - Nie chce powiedzieć. Boi się. Piper przypominała

sobie, jak z początku wzięła matkę i dziecko leżących na poboczu drogi za worek ze śmieciami. Tak oboje widział ten, kto ich skrzywdził. Wstała.

- Idę z nią porozmawiać.

- Może niekoniecznie teraz - zaproponowała Ginny. - Dostała środki uspokajające i...

- Niech idzie - wtrącił się Twitch. Był bardzo blady. Splecione dłonie wcisnął między kolana. Co chwilę strzelał stawami. - Powodzenia, wielebna.

13

Sammy miała podpuchnięte oczy. Otworzyła je z trudem, gdy Piper usiadła przy łóżku.

- To pani... mnie...

- Tak. Nazywam się Piper Libby.

- Dziękuję. - Oczy zaczęły jej się zamykać.

- Podziękuj mi, mówiąc, kto cię zgwałcił.

W szpitalnym pokoju było mroczno i ciepło, klimatyzacja nie działała. Sammy pokręciła głową.

- Zagrozili, że mnie skrzywdzą, jeśli powiem. - Spojrzała na Piper. Było to spojrzenie krowy idącej na rzeź, pełne otępienia, rezygnacji. - Mogą zrobić coś złego Little Walterowi.

Piper pokiwała głową.

- Wiem, że się boisz. To zrozumiałe. A teraz powiedz mi, kto to był. Podaj nazwiska.

- Nie słyszała pani? Powiedzieli...

Piper nie miała czasu na takie zabawy. Dziewczyna zaraz odjedzie. Chwyliła ją za nadgarstek.

- Chcę znać te nazwiska i ty mi je podasz.

- Boję się. - W oczach Sammy zalśniły łzy.

- Zrobisz to, bo gdybym cię nie zabrała ze sobą, już byś nie żyła. - Umilkła na moment, po czym drążyła dalej. Wiedziała, że potem może tego żałować, wszystko jedno, teraz inaczej nie mogła. Teraz dziewczyna w szpitalnym łóżku była jedynie przeszkodą na drodze do poznania prawdy. - Nie mówiąc już o twoim dziecku. Ono także mogło umrzeć. Ocaliłam ci życie, synka też ci uratowałam, chcę znać nazwiska.

- Nie.

Dziewczyna słabła, a wielebna Piper Libby poniekąd się z tego cieszyła. Później będzie zde gustowana, później pomyśli: „Niespecjalnie się różnisz od tych facetów, zmuszanie to zmuszanie”. Na razie jednak znajdowała w tym przyjemność, tak jak kiedyś w zdarciu ze ścianą i rozszarpaniu na strzępy ulubionego plakatu.

Pochyliła się nad płaczącą pacjentką.

- Wyciągnij wosk z uszu, Sammy, bo musisz usłyszeć moje słowa. Zrobili to raz, zrobią następny. A kiedy pojawi się tutaj następna zgwałcona kobieta, zapewne w ciąży z którymś z gwałcieli, wtedy przyjdę do ciebie i powiem...

- Nie! Dostyc!

- ...powiem: „To przez ciebie. Sama ich do tego zachęcałaś”.

- Nie! - krzyknęła Sammy. - To nie ja, to Georgia! Ona ich zachęcała!

Piper ogarnęło obrzydzenie. Kobieta. Była tam kobieta. Czerwona szczelina wściekłości otworzyła się jeszcze szerzej. Niedługo wyleje się z niej strumień ławy.

- Nazwiska - zażądała Piper Libby. I Sammy je podała.

14

Jackie Wettington i Linda Everett zaparkowały przed Food City. Sklep zamykano teraz nie o ósmej, tylko o piątej. Randolph posłał je tam, przewidując, że wcześniejsze zamknięcie może spowodować kłopoty. Idiotyczny pomysł, bo supermarket był prawie pusty. Na parkingu stało może dziesięć, może dwanaście samochodów, kilkoro zapóźnionych kupujących poruszało się wolno, w oszołomieniu, jakby byli ogarnięci tym samym złym snem. Pracował tylko jeden kasjer, Bruce Yardley, nastolatek. Brał od ludzi gotówkę i zapisywał sumy na kartce, zamiast obsługiwać elektroniczną kasę i karty płatnicze. Lada chłodnicza z mięsem opustoszała, ale drobiu nadal zostało mnóstwo, a półki ugięły się pod ciężarem artykułów sypkich i puszek.

Policjantki czekały, aż wyjdą ostatni klienci, Linda usłyszała sygnał swojej komórki. Zerknęła na wyświetlacz i żołądek jej się skurczył ze strachu. Dzwoniła Marta Edmunds, która opiekowała się Janelle i Judy, gdy Linda i Ryży pracowali, czyli od czasu pojawienia się kopuły praktycznie non stop. Wcisnęła wybieranie numeru.

- Marto? W duchu modliła się, żeby sprawa była błaha. Żeby Marta pytała, czy można zabrać dziewczynki na plac. Albo coś w tym stylu.

- Wszystko w porządku?

- Teraz już chyba tak. - W głosie Marty wyraźnie brzmiał niepokój. - Ale... te ataki...

- Boże drogi! Miała atak?

- Tak mi się zdaje - przyznała Marta i od razu dodała śpiesznie: - Wszystko jest w porządku, teraz dziewczynki rysują.

- Co się stało? Mów!

- Były na huśtawkach. Ja pracowałam przy kwiatkach, muszę je ocieplić na zimę...

- Marto!...

Jackie położyła Lindzie rękę na ramieniu.

- Przepraszam. Audi zaczęła szczekać, więc podbiegłam, a mała zeszła z huśtawki i usiadła na ziemi, wiesz, tam taka dziura się zrobiła od hamowania... Nie spadła ani nic takiego, po prostu usiadła. Patrzyła przed siebie i tak cmokała ustami, powiedzieliście mi, żebym na to zwracała uwagę. I wtedy ona powiedziała... niech się zastanowię...

Wiadomo, pomyślała Linda. Trzeba odwołać Halloween. Ale nie. Tym razem było coś zupełnie innego.

- Powiedziała: „Różowe gwiazdy spadają. Różowe gwiazdy spadają rzędami”. I jeszcze: „Strasznie ciemno i brzydko pachnie”. Potem się przecknęła i wszystko znowu było normalnie.

- Dzięki Bogu! - Linda odetchnęła. - A Judy? Nie zdenerwowała się?

Długi czas na linii trwała cisza, a w końcu Marta się odezwała:

- Lindo, ja mówiłam o Judy, nie o Janelle. Tym razem to była Judy.

15

„Chcę się pobawić w tę drugą zabawę”, powiedział Aidan do Carolyn Sturges, kiedy na placu rozmawiali z Ryzym. Miał na myśli „Raz, dwa, trzy, baba - jaga patrzy”, a Carolyn niezbyt dobrze pamiętała reguły gry. I trudno się dziwić, skoro ostatni raz miała z nią do czynienia w wieku sześciu, może siedmiu lat.

Skoro jednak stanęli pod drzewem na podwórzu za „chlebanią”, zaraz sobie przypomniała. Co ciekawe, do gry włączył się również Thurston. Niezbyt chętny, lecz obowiązkowy.

- Pamiętajcie - pouczał dzieci (które jakoś straciły serce do zabawy) - Caro może liczyć nawet bardzo szybko i jeśli przyłapie któreś na poruszeniu, kiedy się odwróci, ta osoba przegrywa i wraca na linię.

- Mnie nie przyłapie - stwierdziła Alice.

- Mnie też nie - oznajmił Aidan dzielnie.

- Zobaczymy! - krzyknęła Carolyn i odwróciła się twarzą do drzewa. - Raz... dwa... trzy... baba - jaga pa - trzy! - Obróciła się na pięcie.

Dziewczynka stała z jedną nogą wysuniętą daleko do przodu, ale i z uśmiechem na ustach. Thurston, także uśmiechnięty, rozczapierzył pacy jak szpony, minę miał „Upiora z opery”. Aidan drgnął leciutko, lecz Carolyn nawet przez myśl nie przeszło, żeby go odsyłać do tyłu. Wyglądał na szczęśliwego, nie miała zamiaru psuć mu humoru.

- No dobrze... Bardzo ładne figury. Zaczynamy drugą próbę. Odwróciła się do drzewa i szybko wyrecytowała formułkę, czując pierwotny strach zrodzony ze świadomości, że inni się zbliżają, gdy ona jest do nich odwrócona plecami.

- Raz, dwa, trzy, baba - jaga patrzy! Szybki obrót.

Alice była już najwyżej dwadzieścia kroków od drzewa, Aidan jakieś dziesięć kroków za nią stał na jednej nodze, miał świeżo otarte kolano. Thurse utknął za chłopcem, położył rękę na piersi jak rasowy mówca. Na twarzy miał uśmiech. Innymi słowy Alice pierwsza dotrze do celu. I dobrze. W następnej turze dziewczynka zostanie czarownicą i wtedy jej brat wygra. Już ona z Thurse'em tego dopilnują.

Odwróciła się do drzewa.

- Raz, dwa, trzy...

Alice krzyknęła przesywająco.

Aidan Appleton leżał na ziemi. Z początku Carolyn sądziła, że nadal się bawi. Jedną nogę, tę z zadrapanym kolanem, miał uniesioną w górę, jakby próbował biec na leżąco. Wargi zastygły mu w kształcie litery O. Na spodniach pojawiła się ciemna plama. Carolyn podbiegła do chłopca.

- Co mu jest? - spytała Alice. Carolyn dojrzała na twarzy dziewczynki wszystkie niepokoje nagromadzone w ciągu straszego weekendu. - Co mu się stało?

- Co z tobą, chłopie? - odezwał się Thurse.

Aidan zaczął drzeć, ustami ssał przez niewidoczną słomkę. Zgięta noga opadła na ziemię, po czym drgnęła w potężnym kopnięciu. Ramiona też dygotały.

- Jakiś atak - powiedziała Carolyn. - Chyba z przemęczenia. Za dużo wrażeń. Pewnie minie samo, trzeba tylko...

- Różowe gwiazdy spadają - powiedział Aidan. - Zostawiają za sobą długie ślady. To ładne. I straszne. Wszyscy patrzą. Nie ma cukierków, tylko psikusy. Trudno oddychać. On mówi o sobie Kucharz. To jego wina. To przez niego.

Carolyn i Thurston popatrzyli po sobie. Alice klękła przy bracie, wzięła go za rękę.

- Różowe gwiazdy - powtórzył Aidan. - Spadają, spadają, spadają...

- Obudź się! - krzyknęła mu siostra prosto w twarz. - Nie rób tak, bo to straszne!

Thurston Marshall lekko dotknął jej ramienia.

- Skarbie, to nic nie da.

Alice nie zwróciła na niego uwagi.

- Obudź się, ty... ty ciemniaku!

I Aidan się obudził. Ze zdziwieniem spojrzął na twarz siostry mokrą od łez. Potem

przeniósł wzrok na Carolyn i uśmiechnął się promiennie.

- Wygrałem?

16

Generator zainstalowany w magazynie ratusza był źle utrzymany (ktoś podstawił pod niego starą miednicę, do której skapywał olej)

i, jak się domyślał Ryży, najprawdopodobniej charakteryzował się taką samą efektywnością energetyczną jak hummer Dużego Jima Renniego. Bardziej interesował Everetta przymocowany do niego srebrny zbiornik.

Barbie zerknął na generator, skrzywił się od smrodu i podszedł do zbiornika.

- Nie taki znowu wielki - ocenił.

Chociaż i tak dużo większy od tych ze Sweetbriar Rose. Albo ten, który wymienił u Brendy Perkins.

- To się nazywa rozmiar miejski - wyjaśnił Ryży. - Pamiętam z zeszłorocznego spotkania. Sanders i Rennie sporo się nagadali o tym, jak to mniejsze pojemniki pozwolą oszczędzić fortunę w tych „czasach drożejącej energii”. W każdym jest jakieś trzy tysiące litrów.

- Ile to waży? Ze trzysta kilo? Ryży pokiwał głową.

- Plus waga samego zbiornika. Niemało. Potrzebny wózek widłowy, żeby to dźwignąć. A przynajmniej podnośnik hydrauliczny. Natomiast potem idzie już łatwo. Normalnie na pikapa można wrzucić trzysta czterdzieści kilogramów, a może i więcej. Taki zbiorniczek spokojnie wejdzie na pakę, najwyżej będzie trochę wystawał. Wystarczy przywiesić czerwoną szmatkę i można jechać.

- Tak czy inaczej, mają tylko jeden - stwierdził Barbie. - Kiedy zostanie opróżniony, światła w ratuszu zgasną.

- Chyba że Rennie i Sanders wiedzą, skąd wziąć więcej. A o to jestem dziwnie spokojny.

Barbie przesunął ręką po niebieskim napisie wykonanym z szablonu: SZPIT. CR.

- Znalazłeś swoją zgubę.

- Nie zgubiliśmy zbiorników. Zostały ukradzione. Tak ja to widzę. Tyle że powinno ich być jeszcze pięć, bo brakuje nam sześciu.

Barbie rozejrzał się w podłużnym budynku. Wydawało się, że nie ma w nim nic poza pługami śnieżnymi i kartonami z częściami zamiennymi. Zwłaszcza rzucała się w oczy pustka wokół generatora.

- Już mniejsza o te, które zniknęły ze szpitala, ale gdzie są pozostałe zbiorniki ratuszowe?

- Nie wiem.

- A do czego mogą być im potrzebne?

- Nie wiem - powtórzył Ryży. - Ale się dowiem.

RÓŻOWE GWIAZDY SPADAJĄ

1

Barbie i Ryży wyszli na zewnątrz, odetchnęli głęboko. Chociaż w powietrzu unosił się posmak dymu z niedawno ugaszonych pożarów na zachodzie miasta, i tak wydawało się świeże w porównaniu ze spalinami w szopie. Niemrawy wietrzyk musnął im policzki. Barbie niósł licznik Geigera włożony do brązowej torby, którą znalazł w schronie.

- Cholera, tak być nie może - stwierdził Ryży. Twarz miał ponurą i zaciętą.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - spytał Barbie.

- Teraz nic. Wracam do szpitala, muszę zajrzeć do chorych. Wieczorem zapukam do Jima Renniego i poproszę go o wyjaśnienia. Lepiej żeby miał na podorędziu coś, co mnie przekona, a do tego resztę propanu, bo w szpitalu wystarczy paliwa tylko do jutra, nawet jeśli wyłączymy wszystko, co się da.

- Pojutrze może być po wszystkim.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Wywieranie nacisku na zastępcę przewodniczącego Rady Miejskiej akurat teraz może być niebezpieczne - stwierdził Barbie, nie odpowiadając na pytanie.

- Akurat teraz? Od razu widać, że jesteś nowy w mieście. Słyszę to o Dużym Jimie od mniej więcej dziesięciu tysięcy lat, czyli od czasu, kiedy on nami rządzi. Albo spławia ludzi, albo prosi ich o cierpliwość. „Dla dobra miasta”. To jego naczelne hasło. Marcowe zgromadzenie miejskie to farsa. Ustawa upoważniająca do budowy nowego systemu kanalizacyjnego? Bardzo nam przykro, miasto nie może sobie na to pozwolić. Rozszerzenie strefy komercyjnej? Fantastyczny pomysł, miasto potrzebuje większych wpływów. Pozwólmy na budowę Walmartu przy sto siedemnastej. Badacze z wydziału ochrony środowiska uniwersytetu stanowego twierdzą, że w jeziorze Chester jest za dużo ścieków? Radni proponują przedyskutowanie sprawy, bo przecież wszyscy wiedzą, że te badania naukowe są prowadzone przez humanistów, na dodatek ateistów... Ale szpital to instytucja stworzona i działająca dla dobra miasta, tak?

- Tak. Zgoda. - Barbiego trochę zdziwił ten wybuch.

Ryży wetknął dłonie w tylne kieszenie spodni i patrzył w ziemię. W końcu podniósł wzrok.

- Jak rozumiem, prezydent oczekuje, że przejmiesz władzę. Moim zdaniem czas

najwyższy.

- Jest to jakaś myśl. - Barbie się uśmiechnął. - Tyle że Rennie i Sanders mają do dyspozycji policję. A gdzie moja?

Ryży nie zdążył odpowiedzieć, bo zadzwonił mu telefon. Otworzył aparat, spojrzął na wyświetlacz.

- Linda? Co się stało? - Słuchał jakiś czas. - Rozumiem. Jesteś pewna, że to była Judy? Nie Janelle? - Znowu słuchał, po czym odpowiedział: - Chyba nie musimy się martwić. Widziałem dziś dwoje dzieci, które przeszły krótkotrwałe ataki. Drgawki szybko minęły, oboje czują się świetnie. Dostałem wiadomość o trzech następnych. O jednym dowiedziała się Ginny. Może to jest jakiś efekt uboczny klosza. - Umilkł i słuchał. - Nie miałem jak ci powiedzieć. - Cierpliwie, spokojnie.

Barbie bez trudu odgadł pytanie, które padło z drugiej strony: „Cały dzień dowiadujesz się o atakach u kolejnych dzieci i dopiero teraz mi mówisz?”.

- Zabierasz dziewczynki? - spytał Ryży. - Dobrze. Gdybyś uważała, że coś jest nie tak, dzwoni, zaraz będę. I niech Audi będzie z nimi przez cały czas. Tak. Mhm. Ja ciebie też kocham. - Zawiesił telefon na pasku, przeczesał włosy palcami na tyle mocno, że przez chwilę oczy mu się zwężyły w szparki jak u Chińczyka. - Jezusie Chrystusie!

- Kto to jest Audi?

- Nasz pies, golden retriever.

- Opowiedz mi o atakach.

Ryży opowiedział, przytaczając również słowa Jannie o Halloween i Judy o różowych gwiazdach.

- Chłopak Dinsmore'a też mówił coś o Halloween. A co z różowymi gwiazdami?

- Rodzice, z którymi dzisiaj rozmawiałem, mówili, że dzieci coś majaczyły w czasie ataku, ale byli zbyt przerażeni, żeby się wsłuchiwać.

- Dzieci nie pamiętają?

- Dzieci nie wiedzą nawet, że miały atak.

- Czy to normalne?

- To nie jest nienormalne.

- Istnieje możliwość, że twoja młodsza córka naśladuje zachowanie starszej? Może... nie wiem... chce zwrócić na siebie uwagę?

Na ten pomysł Ryży nie wpadł. Szczerze powiedziawszy, zwyczajnie nie miał czasu myśleć o tej sprawie. Teraz jednak się zastanowił.

- To możliwe, ale mało prawdopodobne. - Brodą wskazał starodawny żółty licznik

Geigera w torbie. - Będziesz coś sprawdzał?

- Nie ja. To własność miasta, a władze za mną nie przepadają. Nie chciałbym zostać złapany na gorącym uczynku. Ty to weź.

- Nie mogę. Nie mam pojęcia, w co najpierw ręce wsadzić.

- Wiem - stwierdził Barbie i powiedział Ryżemu, co wymyślił. Ryży słuchał uważnie, z lekkim uśmiechem na ustach.

- W porządku - uznał w końcu. - Dla mnie bomba. A co ty będziesz robił w czasie, kiedy ja się zabawię w twojego chłopca na posyłki?

- Idę gotować w Sweetbriar Rose. Dzisiaj kurczak a la Barbara. Przysłać trochę do szpitala?

- Koniecznie.

2

W drodze powrotnej do szpitala Ryży zatrzymał się przy redakcji „Democrata” i przekazał licznik Geigera Julii Shumway.

Redaktorka wysłuchała instrukcji Barbiego, uśmiechając się lekko.

- Ten człowiek umie zorganizować pracę, bezdyskusyjnie - powiedziała w końcu. - Podporządkuję się z przyjemnością.

Ryży miał zamiar ją przestrzec, żeby uważała, kto widzi u niej miejski licznik Geigera, ale zanim zdążył, urządzenie w brązowej torbie zniknęło pod biurkiem.

W drodze do szpitala połączył się z Ginny Tomlinson i wypytał ją o to wezwanie do ataku, które ona odebrała.

- Chłopiec, Jimmy Wicker. Dzwonił dziadek. Chyba Bill Wicker.

Ryży go znał. Akurat Bill dostarczał im pocztę.

- Opiekował się chłopcem pod nieobecność matki, która pojechała zatankować samochód. Przy okazji... w Gas & Grocery normalna się właściwie skończyła, a Johnny Carver podniósł cenę i bierze trzy dolary za litr. Trzy dolary!

Ryży słuchał cierpliwie, myśląc o tym, że w zasadzie powinien był zaczekać i porozmawiać z Ginny twarzą w twarz, a nie przez telefon. Już prawie dojechał na miejsce. Gdy skończyła narzekać, zapytał, czy mały Jimmy powiedział coś w czasie ataku.

- A tak, owszem. Bill mi przekazał, że dzieciak paplał jak najęty. Coś o różowych gwiazdach. I o Halloween. Chociaż mogło mi się pomylić z tym, co mówił Rory Dinsmore... Ludzie plotkują...

I nic dziwnego. O tym też będą plotkować, jeśli tylko się dowiedzą. A zapewne tak.

- No dobrze - rzucił w słuchawkę. - Dzięki.

- Kiedy wrócisz, Rudy Rycerzu?

- Już prawie jestem.

- Świetnie. Bo mamy pacjentkę. Sammy Bushey. Została zgwałcona.

Ryzy jęknął.

- Pozbiera się - mówiła dalej Ginny. - Piper Libby ją przywiozła. Nie mogłam się dowiedzieć od dziewczyny, kto jej to zrobił, ale Piper chyba się udało. Wypadła ze szpitala jak... - Przerwa. Ginny ziewnęła tak szeroko, że było ją słyhać przez telefon. - Jak bomba.

- Ginny, skarbie, kiedyś ty ostatnio spała?

- Czuję się świetnie.

- Idź do domu.

- Wolne żarty!

- Nie żartuję. Idź do domu. Prześpij się. Nie nastawiaj budzika. - Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Wpadnij po drodze do Sweetbriar Rose. Serwują tam dzisiaj kurczaka. Wiem o tym z wiarygodnego źródła.

- Ale ta Bushey...

- Będę przy niej za pięć minut. A ty - lulu! Rozłączył się, nim zdążyła zaprotestować.

3

Duży Jim Rennie czuł się stosunkowo dobrze jak na człowieka, który poprzedniej nocy popełnił morderstwo. Częściowo dlatego, że nie postrzegał swojego czynu w tych kategoriach, podobnie zresztą jak śmierci żony. Zabrał ją nowotwór. Nieoperacyjny. Owszem, w ostatnim tygodniu dawał jej za dużo środków przeciwbólowych, a w końcu i tak musiał posłużyć się poduszką (przyciskał ją do twarzy żony bardzo delikatnie, zwalniał jej oddech, popychając w objęcia Jezusa), ale zrobił to z miłości i wiedziony litością. Natomiast to, co się przydarzyło wielebnemu Cogginsowi, było rzeczywiście nieco bardziej dramatyczne, niestety ten człowiek uparcie nie chciał postawić dobra miasta przed własnym.

- Cóż, teraz już spożywa wieczerzę z Chrystusem Panem - powiedział Duży Jim w przestrzeń pustego gabinetu. - Pieczeń wołowa z sosem i purée z groszku, a na deser szarlotka.

On sam właśnie zajadał solidną porcję fettuccini alfredo dzięki uprzejmości firmy Stouffer. Podejrzewał, że danie zawiera mnóstwo cholesterolu, ale nie było przy nim doktora Haskella, który by mu zatruwał życie.

- Przeżyłem cię, stary konowale - mruknął Duży Jim i zaśmiał się dobrodusznie.

Talerz z makaronem i szklanka mleka (Duży Jim nie pił alkoholu) stały na biurku. Często jadał w gabinecie i nie widział potrzeb) zmiany tego nawyku tylko dlatego, że Lester Coggins tutaj przeszedł do wieczności. Zresztą pokój został wysprzątnięty do czysta. No, zapewne jakaś brygada dochodzeniowa, podobna do tych, które pokazywano w telewizji, znalazłaby za pomocą luminolu i specjalnych świateł oraz innego oprzyrządowania mnóstwo plam krwi, ale żadna z takich grup nie znajdzie się tutaj w niedalekiej przyszłości. A jeśli chodzi o Pete'a Randolpha w roli śledczego... koń by się uśmieł. Randolph to idiota.

- Tyle że wie, kogo słuchać - obwieścił Duży Jim pustemu wnętrzu tonem wykładowcy.

Otarł brodę serwetką, po czym wrócił do notatek w notesie leżącym obok podkładki. Od soboty sporo zapisał. Dużo miał do zrobienia. A jeśli kopuła zostanie, pracy będzie jeszcze więcej.

W pewnym sensie miał nadzieję, że kopuła zostanie przynajmniej na jakiś czas. Tworzyła wyzwania, którym tylko on mógł sprostać - z Bożą pomocą oczywiście. Pierwszym i najważniejszym zadaniem w kwestiach biznesu było wzmocnienie władzy w mieście. Do tego celu potrzebował nie tyle kozła ofiarnego, ile potwora. Oczywistym kandydatem był tutaj Barbara, człowiek, którego wystawiony przez Partię Demokratyczną kandydat na prezydenta wyznaczył na miejsce Jamesa Renniego.

Drzwi się otworzyły. Duży Jim podniósł wzrok znad notatek i zobaczył swojego syna. Chłopak miał twarz bladą i bez wyrazu. Coś z nim się ostatnio działo niedobrego. Duży Jim, chociaż zajęty sprawami miasta (oraz, rzecz jasna, interesiku, który także wymagał sporo czasu), jednak to zauważył. Mimo wszystko ufał chłopakowi. A nawet gdyby Junior go wystawił, i tak sobie poradzi. Przez całe życie liczył wyłącznie na siebie i teraz nie zamierzał tego zmieniać.

Zresztą przecież to Junior usunął ciało. Przez co stał się współsprawcą. I bardzo dobrze. Tak właśnie żyje się w niewielkim miasteczku. Tutaj każdy jest w coś uwikłany. Jak to było w tej głupiej piosence? „Wszyscy gramy razem”.

- Jak się czujesz, synu?

- Dobrze.

Junior skłamał, ale rzeczywiście czuł się lepiej. Zabójczy ból głowy wreszcie popuścił. Wizyta u przyjaciółek pomogła, zgodnie z oczekiwaniami. W spizarce McCainów nie pachniało najlepiej, szczęściem człowiek szybko się przyzwyczajał, wystarczyło posiedzieć spokojnie, trzymając dziewczęta za ręce. Junior przypuszczał, że mógłby nawet polubić ten zapach.

- Znalazłeś coś w jego mieszkaniu? - Tak.

Pokazał, co przyniósł.

- Wspaniale, synu. Doskonale. Czy jesteś gotów powiedzieć mi, gdzie... gdzie go umieściłeś?

Junior wolno pokręcił głową, ale jego oczy zostały nieporuszone, utkwione w to samo miejsce, w twarz ojca. Robiło to dość dziwaczne wrażenie.

- Już ci powiedziałem, nie musisz wiedzieć. Jest w bezpiecznym miejscu i tyle.

- Mój własny syn mi mówi, co powinienem wiedzieć - stwierdził Duży Jim bez śladu pasji w głosie.

- W tym przypadku, tak. Duży Jim rozważył słowa syna.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał w końcu. - Błado wyglądasz.

- Nic mi nie jest. Głowa mnie bolała, ale już przechodzi.

- Zjesz coś? Mam jeszcze trochę fettuccini w lodówce, mikrofala świetnie sobie radzi z tym daniem. - Uśmiechnął się ciepło. - Trzeba korzystać, póki można.

Spojrzenie ciemnych oczu padło na kałużę białego sosu na talerzu Dużego Jima, po czym zaraz wróciło do twarzy ojca. - Nie jestem głodny. Kiedy powinienem znaleźć ciało?

- Ciało? - Duży Jim przekrzywił głowę. - Jak to: ciało?

Junior uśmiechnął się, jego wargi uniosły się tylko na tyle, by odsłonić zęby.

- Nieważne. Tak jest lepiej. Będziesz zaskoczony jak wszyscy. Ujmijmy to w ten sposób: Gdy już pociągniemy za spust, miasto będzie gotowe powiesić Baaarbiego na pierwszym drzewie. Kiedy chcesz to zrobić? Dzisiaj? Wszystko gotowe.

Duży Jim zastanowił się nad odpowiedzią. Opuścił spojrzenie na notatnik pełen zapisków (i poplamiony sosem z włoskiego dania) - tylko jeden był zakreślony: psia córka redaktorka.

- Nie, jeszcze nie dzisiaj. Możemy go wykorzystać nie tylko do Cogginsa. Jeżeli odpowiednio rozegramy sprawę.

- A jeśli klosz zniknie, zanim wszystko zaplanujesz?

- Nic nie szkodzi - stwierdził Duży Jim.

A w myślach dodał: Jeżeli pan Barbara się wykręci... co mało prawdopodobne, ale w końcu trzeba pamiętać, że karaluchy mają zadziwiającą zdolność znajdowania szpar, gdy człowiek zapala światło, zawsze jeszcze jesteś ty. Ty i te twoje inne ciała.

- Weź sobie coś do jedzenia - polecił. - Chociaż sałatkę. Junior ani drgnął.

- Nie czekaj za długo, tato - powiedział. - Dobrze.

Junior zastanawiał się jeszcze chwilę, wpatrzony w ojca ciemnymi oczami, które teraz

wydawały się takie dziwne i obce, po czym najwyraźniej stracił nim zainteresowanie. Ziewnął szeroko.

- Idę do siebie, zdrzemnę się trochę. Zjem później.

- Tylko pamiętaj. Chudniesz w oczach.

- Chudzi są w modzie - odparł syn i uśmiechnął się pustym uśmiechem, bardziej niepokojącym niż wyraz jego oczu.

Duży Jim odniósł wrażenie, że patrzy na trupa czaszkę. Co mu przypomniało o facecie, który od jakiegoś czasu kazał mówić na siebie Kucharz, zupełnie jakby skasował poprzednie życie w roli Phila Busheya. Gdy Junior wyszedł z gabinetu, Duży Jim odetchnął z ulgą.

Podniósł pióro. Miał mnóstwo pracy. Zamierzał ją wykonać, i to jak najlepiej. Kto wie, kiedy to wszystko się skończy, może jego zdjęcie zamieszczą na okładce magazynu „Time”.

4

Generator nadal działał, chociaż wiadomo było, że długo nie pociągnie, jeśli Brenda nie zdobędzie kolejnych butli z gazem. Na razie jednak udało jej się wydrukować całą zawartość pliku zatytułowanego VADER. Niewiarygodna lista wykroczeń skompletowana przez Howiego, nad którą najwyraźniej zamierzał pracować, wydawała się na papierze bardziej realna niż na ekranie komputera. Im dłużej Brenda patrzyła na kartki, tym bardziej opisane tam sprawy pasowały jej do Jima Renniego, jakiego znała całe życie. Zawsze była przekonana, że on jest potworem.

Nawet fragmenty o podrygującym Kościele Cogginsa pasowały... Chociaż jeśli dobrze zrozumiała to, co przeczytała, to wcale nie był Kościół, tylko jedna wielka święta pralnia pieniędzy. Pieniądzy pochodzących z produkcji narkotyków, ujmując sprawę słowami jej męża, „zapewne jednej z największych w historii Stanów Zjednoczonych”.

Komendant policji Howie Duke Perkins oraz prokurator stanowy napotkali pewne problemy. Dlaczego etap gromadzenia dowodów w sprawie operacji Vader tak bardzo się przeciągał? Jim Rennie był potworem, ale bardzo sprytnym. Zawsze się zadowalał funkcją zastępcy przewodniczącego Rady Miejskiej. Szlaki przecierał mu Andy Sanders.

A także służył za tarczę. Przez długi czas Andy był jedynym, przeciwko któremu Howie zebrał niepodważalne dowody. Andy był celowo wystawiany i prawdopodobnie nawet o tym nie wiedział, wiecznie uśmiechnięty, serdeczny głupek. Właśnie Andy był przewodniczącym rady. I pierwszym diakonem w Kościele Chrystusa Odkupiciela, pierwszym

w sercach mieszkańców miasta i na pierwszej stronie każdego dokumentu, które w końcu zniknęły w finansowych bagnach Nassau oraz Wielkiego Kajmanu. Gdyby Howie i prokurator stanowy zbyt pośpiesznie wykonali ruch, byłby także pierwszym, który by pozował do fotografii, trzymając tabliczkę z numerem. A może nawet jedynym, gdyby uwierzył w obietnice Dużego Jima, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zachowa milczenie. I zapewne tak by się właśnie stało. Bo kto milczy lepiej niż marionetka?

Ostatniego lata zaczął, według Howiego, dążyć do wycofania się z gry. Wtedy na dokumentach, które otrzymywał prokurator stanowy, zaczął się pojawiać podpis Renniego, najczęściej na tych, które dotyczyły spółki Town Ventures zarejestrowanej w Nevadzie. Pieniądze tej spółki zniknęły na zachodzie, a nie na wschodzie, nie na Karaibach, lecz w Chinach, w kraju, gdzie składniki leków obkurczających naczynia krwionośne można było nabywać hurtem i nikt nie zadawał pytań.

Dlaczego Rennie się tak odsłonił? Howie Perkins widział tylko jedną przyczynę: pieniądze zrobiło się za dużo na jedną tylko świętą pralnię. Nazwisko Renniego zaczęło się pojawiać na dokumentach dotyczących kilku innych fundamentalistycznych Kościołów na północnym wschodzie. Również spółka Town Ventures (nie wspominając już o kilku religijnych rozgłośniach; każda była mniejsza niż WCIK) stanowiła jeden z pierwszych poważnych błędów Renniego. Przez te inwestycje zostawały ślady. A po śladach można iść i wcześniej czy później, zwykle wcześniej, do czegoś dojść.

Nie mogłeś przepuścić okazji, co? - pomyślała Brenda, przeglądając dokumenty przy męzkim biurku. Zarobiłeś miliony, a może i dziesiątki milionów... ryzyko wzrosło nieprawdopodobnie, ale ty nie potrafiłeś zrezygnować z okazji. Jak małpa, która daje się złapać, bo wsadziła łapę do słoja i nie może jej wyjąć, ściskając smakołyk. Nie popuści. Masz fortunę, a mieszkasz w starym dwupiętrowym domu i handlujesz używanymi samochodami. Dlaczego?

Wiedziała dlaczego. Nie chodziło o pieniądze, chodziło o miasto. Które on uważał za swoje. Siedząc na ławce gdzieś w Kostaryce albo rządząc strzeżonym majątkiem w Namibii, Duży Jim zmieniłby się w małego Jima. Bo jeśli człowiekowi brakuje celu w życiu, to nawet z pękającym w szwach kontem bankowym jest nikim.

Czy poszedłby na układ, gdyby mu pokazała, czym dysponuje? Czy zgodziłby się zrezygnować z funkcji w zamian za jej milczenie? Nie miała pewności. I obawiała się konfrontacji. Będzie nieprzyjemna, zapewne niebezpieczna. Dobrze byłoby zabrać ze sobą Julię Shumway. I Barbiego. Tyle że Dale Barbara miał teraz własne kłopoty.

Słyszała w głowie spokojny, lecz stanowczy głos męża: „Możesz jeszcze trochę

zaczekać. I ja czekałem na ostateczne dowody, ale nie przeciągaj sprawy zbyt długo, kochanie. Bo im dłużej trwa izolacja pod kloszem, tym groźniejszy staje się Rennie”.

Przypomniała sobie, jak Howie cofał samochód na podjeździe, jak się zatrzymał, żeby ją pocałować w blasku słońca, pogładzić po szyi. Jakby wiedział, że już się nie spotkają, jakby tym ostatnim gestem odpłacał za wszystko.

Założenie płytkie i zbyt romantyczne, oczywiście, ale Brendzie i tak łzy napłynęły do oczu.

Nagle wszystkie dokumenty i opisane w nich machinacje wydały się mało ważne. Nawet klosz stał się nieważny. Liczyła się tylko pustka, która nagle zawładnęła życiem Brendy, zabierając jej szczęście, które uważała za rzecz pewną. Czy biedny głupi Andy Sanders czuł to samo? Prawdopodobnie.

Zaczekam jeszcze dwadzieścia cztery godziny, postanowiła Brenda. Jeżeli do jutrzejszego wieczora klosz nie zniknie, pójdę do Renniego z tymi wydrukami. Powiem mu, że ma zrezygnować ze stanowiska na rzecz Dale'a Barbary. Zagrozę, że jeśli tego nie zrobi, przeczyta o swoich narkotykowych dokonaniach w gazecie.

- Jutro - mruknęła i przymknęła oczy.

Dwie minuty później spała jak zabita w mężowskim fotelu.

Mieszkańcy Chester's Mill szykowali się do kolacji. Niektóre posiłki (jak na przykład kurczak a la king dla jakiejś setki osób) przygotowywano na kuchenkach gazowych lub elektrycznych dzięki generatorom, które jeszcze działały, lecz już coraz więcej osób zaczynało palić drewnem - jedni po to, by oszczędzić paliwo do generatorów, drudzy dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Z kominów unosił się dym i szedł w górę w nieruchomym powietrzu.

Tam się rozpływał.

5

Po dostarczeniu licznika Geigera - odbiorca przyjął go chętnie, a nawet ochoczo, i obiecał zacząć poszukiwania we wtorek z samego rana - Julia z Horace'em na smyczy wybrała się do sklepu Burpeego. Romeo powiedział jej, że ma w magazynie dwie nowiuteńkie fotokopiarki, jeszcze w kartonach. I że zaprasza ją do korzystania z obu.

- Zachomikowałem też trochę propanu - wyznał, klepiąc psa. - Dopilnuję, żebyś miała wszystko, co potrzebne, póki będę mógł. Gazeta musi wychodzić, tak? Szczególnie teraz.

Julia zgadzała się z nim całkowicie i od razu mu to powiedziała. Po czym serdecznie cmoknęła go w policzek.

- Jestem twoim dłużnikiem, Rommie.

- Jak już się to wszystko skończy, będę oczekiwał znacznej obniżki ceny moich cotygodniowych reklam - stwierdził.

Położył palec na ustach, jakby mieli zachować wielką tajemnicę. I może miał rację.

Ledwo Julia wyszła ze sklepu, zaćwierkał jej telefon. Wyjęła aparat z kieszeni spodni.

- Słucham.

- Dobry wieczór pani.

- Ach, pułkownik Cox, miło mi pana słyszeć - rzuciła lekko. - Nie wyobraża pan sobie, jaki dreszczyk budzi w nas, mieszkańcach dziury zabitej dechami, rozmowa międzymiastowa... Jak tam życie poza kloszem?

- Ogólnie biorąc, pewnie w porządku. Natomiast tu, gdzie jestem, raczej nieciekawie. Wie pani o pociskach?

- Patrzyłam, jak uderzają. I jak się odbijają. Ładny pożar spowodowały po pana stronie...

- ...to nie jest moja...

- ... i całkiem przyzwoity po naszej.

- Dzwonię do pułkownika Barbary - uciał Cox. - To on powinien teraz nosić ten cholerny telefon.

- Cholerna racja! - krzyknęła Julia, nadal pogodnym tonem. - A w cholernym piekle ludzie powinni mieć cholerną wodę z lodem!

Stała przed stacją benzynową Gas & Grocery, zamkniętą na cztery spusty. W oknie widniała ręcznie wypisana tabliczka: JUTRO OTWARTE OD 11.00 DO 14.00. PRZYJDŹ WCZEŚNIEJ!

- Proszę pani...

- O pułkowniku Barbarze porozmawiamy za chwilę - oznajmiła Julia. - Teraz chcę usłyszeć odpowiedzi na dwa pytania. Pierwsze: kiedy dopuścicie do nas prasę? Bo obywatele Ameryki mają prawo wiedzieć więcej, niż im wydziela rząd, prawda?

Spodziewała się z jego strony zaprzeczenia oraz informacji, że nie będzie pod kloszem „New York Timesa” ani CNN w przewidywalnej przyszłości, tymczasem Cox ją zaskoczył.

- Prawdopodobnie w piątek, jeśli nie zadziała żaden trik z tych, które chowamy w zanadrzu. O co jeszcze chce pani zapytać? Krótka, jeśli mogę prosić, nie jestem rzecznikiem prasowym. To kwestia całkiem innych stawek.

- Skoro już pan do mnie zadzwonił, nie ma pan innego wyjścia. Niech pan przywyknie do tej myśli, pułkowniku.

- Proszę pani, z całym szacunkiem, jednak chciałbym zaznaczyć, że pani telefon nie jest jedynym w Chester's Mill, z jakim się mogę połączyć.

- Oczywiście. Przypuszczam jednak, że Barbie nie będzie chciał z panem rozmawiać, jeśli pan się na mnie wypnie. I tak nie jest uszczęśliwiony rolą przyszłego komendanta fortu.

Cox westchnął zrezygnowany.

- Co jeszcze chce pani wiedzieć?

- Chcę znać temperaturę na południe i na wschód od kopuły. Prawdziwą temperaturę, z dala od ognisk, które rozpaliliście.

- Dlaczego...

- Dysponuje pan taką informacją czy nie? Pewnie tak albo może ją pan łatwo uzyskać. Moim zdaniem siedzi pan przed komputerem i ma dostęp do wszystkiego, zapewne łącznie z rozmiarem mojej bielizny. - Przerwała na moment. - Jeśli pan powie, że noszę szesnastkę, kończymy rozmowę.

- Ma pani dziś wyjątkowo dobry humor, czy zawsze pani chętnie żartuje?

- Jestem zmęczona i przerażona. Skutki ma pan jak na dłoni.

Po stronie Coksa zapanowała cisza. Julii zdawało się, że słyszy pykanie klawiszy.

- W Castle Rock mamy osiem i pół stopnia Celsjusza - odezwał się pułkownik po chwili. - Wystarczy to pani?

- Tak. - Różnica nie była tak wielka, jak się Julia obawiała, jednak nadal spora. - Patrzę na termometr w oknie Mill Gas & Grocery. Widzę na nim czternaście i pół stopnia. Czyli mamy sześć stopni różnicy między miastami oddalonymi o niecałe trzydzieści kilometrów. Coś tu się u nas dzieje, chyba że przez zachodnią część Maine przechodzi dziś wieczór jakiś piekielnie gorący front. Zgadza się pan ze mną?

Nie odpowiedział na jej pytanie, lecz usłyszawszy jego słowa, zapomniała o temperaturze.

- Zamierzamy dzisiaj wypróbować kolejny pomysł. Mniej więcej około dziewiątej. O tym właśnie chciałem porozmawiać z Barbiem.

- Pozostaje mieć nadzieję, że plan B zadziała lepiej niż plan A. O ile mi wiadomo, osoba wyznaczona przez prezydenta jest w tej chwili w Sweetbriar Rose, karmiąc licznych głodnych gości. Podobno kurczakiem a la king. - Spojrzała w stronę świateł restauracji i zaburczało jej w brzuchu.

- Czy posłucha mnie pani i przekaże wiadomość? Usłyszała też to, czego nie powiedział: „ty uparta babo”.

- Z przyjemnością. - I z uśmiechem. Bo rzeczywiście była upartą babą. Jeżeli musiała.

- Zamierzamy wypróbować eksperymentalny kwas. Fluorowodorowy. Syntetyczny. Dziewięć razy bardziej żrący niż zwykły.

- Chemia ułatwia życie.

- Podobno można nim wypalić kilometrową dziurę w skale.

- Pracuje pan dla zdumiewających ludzi, pułkownika.

- Spróbujemy w miejscu, gdzie Motton Road krzyżuje się z... - Dał się słyszeć szelest papieru. - Z Harlow. Zamierzam tam być.

- Wobec tego powiem Barbiemu, żeby sobie znalazł zastępstwo do zmywania.

- Czy pani także zaszczyci nas swoją obecnością?

Właśnie miała odpowiedzieć: „Za nic w świecie bym tego nie przegapiła”, gdy raptem na ulicy rozpętało się piekło.

- Co się dzieje? - zapytał Cox.

Julia nie odpowiedziała. Zatrzasnęła aparat i już w biegu wetknęła go do kieszeni. Kierowała się w stronę głośnych krzyków. Słysząc było coś jeszcze. Jakby warkot.

Była jeszcze co najmniej pół przecznicy od celu, gdy padł strzał.

6

Wróciwszy na plebanie, Piper zastała tam Carolyn, Thurstona oraz dwójkę małych Appletonów. Powitała ich z przyjemnością, bo pozwolili jej zapomnieć o Sammy Bushey. Przynajmniej na jakiś czas.

Posłuchała opowiadania Carolyn o ataku Aidana Appletona, lecz chłopiec wyglądał już na całkiem zdrowego. Zajadał z apetytem ciasteczka. Gdy Carolyn spytała niepewnie, czy nie powinien chłopca obejrzeć lekarz, Piper odpowiedziała:

- Jeśli nie będzie nawrotów, pewnie można przyjąć, że atak był spowodowany głodem i podnieceniem zabawą.

Thurston uśmiechnął się ponuro.

- Wszyscy byliśmy podnieceni. Świetnie się bawiliśmy.

Po czym doszło do ustalania miejsca pobytu. Piper z początku pomyślała o domu McCainów, który znajdował się niedaleko. Tyle że nie wiedziała, gdzie tam chowano zapasowy klucz.

Alice Appleton siedziała na podłodze, karmiąc Clover okruszkami ciasteczek. Wielka suka kładła jej pysk na nogach, wzrokiem zapewniając o dozgonnej miłości.

- Ten pies jest fantastyczny - powiedziała dziewczynka, podnosząc wzrok na Piper. - Chciałabym mieć psa.

- Ja mam smoka - oznajmił Aidan siedzący na kolanach Carolyn.

Alice uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- To jego wymyślony przyjaciel.

- Rozumiem - stwierdziła Piper.

Zastanawiała się właśnie nad wybiciem okna w domu McCainów. Jak trzeba, to trzeba.

W pewnym momencie, gdy wstała zaparzyć kawę, przyszedł jej do głowy lepszy pomysł.

- Zamieszkacie u Dumagenów - oznajmiła. - Że też mi to od razu nie przyszło do głowy. Pojechali na konferencję do Bostonu. Coralee Dumagen prosiła mnie o podlewanie kwiatów pod jej nieobecność.

- Ja wykładam w Bostonie - oznajmił Thurston. - Na Emerson. Redagowałem bieżące wydanie „Ploughshares”. - Westchnął ciężko.

- Klucz jest pod doniczką, na lewo od drzwi - powiedziała Piper. - Nie przypuszczam, żeby mieli generator, ale na pewno jest piec w kuchni... - Zawahała się, myśląc: Ludzie z wielkiego miasta. Dadzą sobie radę z piecem, żeby nie puścić z dymem całego domu?

- Dzieciństwo spędziłem w Vermoncie - odezwał się Thurston. - Do moich obowiązków należało podtrzymywanie ognia w piecach, w domu i w oborze aż do czasu, gdy wyjechałem do college'u. Czym skorupka za młodu nasiąknie... - I westchnął znów.

- Spizarnia będzie pełna, to pewne - uznała Piper. Carolyn pokiwała głową.

- Tak samo mówił woźny w ratuszu.

- I Juunior też - wtrąciła się Alice. - To policjant. Bardzo przystojny.

Thurstonowi uśmiech spelzł z twarzy.

- Ten jej przystojniak mnie napadł. Albo on, albo ten drugi. Ja ich nie odróżniam.

Piper uniosła brwi.

- Uderzył Thurse'a w brzuch - wyjaśniła Carolyn spokojnie. - I nazwał nas wielkomiastowymi dupkami, w czym teoretycznie miał rację. No i się z nas śmiali. Dla mnie właśnie to było najgorsze. Kiedy potem byli z dziećmi, zachowywali się już lepiej, ale... - pokręciła głową - z nami robili, co chcieli.

Właśnie wtedy Piper przypomniała sobie o Sammy. Poczowała pulsującą żyłę na boku szyi. Pulsującą wolno i mocno. Mimo wszystko pytanie zadała całkiem spokojnie.

- Jak się nazywał ten drugi?

- Frankie - odpowiedziała Carolyn. - Junior nabywał go Frankie. Pani ich zna? Pewnie tak?

- Znam - przyznała Piper.

7

Wyjaśniła nowej, tymczasowej rodzinie, jak trafić do Dumagenów. Dom miał jeszcze jedną zaletę, mianowicie znajdował się niedaleko szpitala imienia Cathy Russell, co mogło się okazać nie bez znaczenia, gdyby chłopcu przytrafił się następny atak. Po czym jakiś czas siedziała w kuchni przy stole i piła herbatę. Piła powoli. Pociągała łyk i odstawiała kubek. Pociągała łyk i odstawiała. Clover popiskiwała niespokojnie. Była dostrojona do swojej pani, zapewne wyczuwała jej gniew.

Może zmienia się mój zapach, pomyślała Piper. Robi się bardziej cierpki albo co?

Miała coraz pełniejszy obraz sytuacji. Wcale niepiękny. Mnóstwo nowych gliniarzy, bardzo młodych ludzi, zaprzysiężonych niecałe czterdzieści osiem godzin wcześniej i już pozwalających sobie stanowczo na zbyt wiele. Sposób zachowania, jakim się popisali wobec Sammy Bushey i Thurstona Marshalla, nie powinien się rozszerzyć na doświadczonych policjantów, takich jak Henry Morrison i Jackie Wethington, ale co z Fredem Dentonem? Tobym Whelanem? Któż to wie? Gdyby dowodził Duke, zachowywaliby się należycie. Nie byli ideałami, tacy ludzie na przykład niepotrzebnie klną w korku, ale zachowywaliby się należycie. Jak na policjantów przystało. Pewnie na tyle pozwalała zawartość miejskiej kasy. „Tanio kupujesz, byle co dostajesz”, jak by powiedziała matka Piper. A jeszcze pod komendą Petera Randolpha...

Trzeba coś z tym zrobić.

Tylko najpierw opanuje wściekłość. Bo w przeciwnym razie wściekłość nad nią zapanuje.

Zdjęła smycz z kołka przy drzwiach. Clover w mgnieniu oka stawiała się przy nodze, machając ogonem. Uszy postawiła, ślepia jej błyszczały.

- Chodź, suniu, chodź. Idziemy złożyć skargę.

Wyszły razem. Suka po drodze jeszcze oblizwała z pyska okruchy ciastek.

8

Clover szła posłusznie tuż przy prawej nodze. Piper czuła, że udało jej się opanować wściekłość. Była o tym przekonana, do momentu gdy zbliżyła się do komisariatu. Zauważyła właśnie tych facetów, których nazwiska wyciągnęła od Sammy Bushey: DeLessepsa, Thibodeau, Searlesa. Georgia Roux także była między nimi. Georgia, która podjudzała ich:

„Zerznij dziwkę!”. Był z nimi także Freddy Denton. Siedzieli wszyscy na najwyższym stopniu schodów prowadzących do komisariatu, popijali jakieś napoje gazowane i gadali jak najęci. Duke Perkins nigdy by nie pozwolił na takie zachowanie. Piper doszła do wniosku, że jeśli widział, co się dzieje, to przewracał się w grobie tak energicznie, iż pewnie doprowadził do samozapłonu własnych szczątków.

Mel Searles powiedział coś, co wywołało burzę śmiechu i wzajemne poklepywanie po plecach. Thibodeau objął Georgię Roux, czubkami palców muskał jej pierś. Dziewczyna nie zaprotestowała, zaśmiali się głośno.

Piper przyszło do głowy, że śmieją się z gwałtu, przypominają sobie, jak świetnie się bawili. Od tego momentu porady ojca przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Piper, która usługiwała biednym i chorym, która celebrowała śluby i pogrzeby, która w niedziele przypominała wiernym o miłosierdziu i tolerancji, została brutalnie zdominowana przez zupełnie inną Piper. Tę, która mając piętnaście lat, zdemolowała pokój zalana łzami nie smutku, lecz wściekłości.

Między ratuszem a budynkiem komisariatu znajdował się wykładany łupkiem placyk poświęcony bohaterom wojny, nazwany War Memoriał Plaza. Pośrodku wznosił się tam pomnik ojca Erniego Calverta, Luciena Calverta, człowieka, który został pośmiertnie odznaczony Srebrną Gwiazdą za bohaterskie czyny w Korei. Na cokole wyryto nazwiska innych mieszkańców Chester's Mill, którzy stracili życie w różnych bitwach, począwszy od wojny secesyjnej. Ustawiono tam także dwa maszty, na jednym wisiała flaga w pasy i gwiazdy, na drugim flaga stanowa z farmerem, marynarzem i łosiem. Obie zwisały bezwładnie w czerwieniejącym słońcu. Piper Libby minęła oba maszty, w ogóle ich nie widząc. Clover trzymała się jej prawej nogi, uszy miała postawione.

„Policjanci” na szczycie schodów po raz kolejny zarechotali od serca, a wtedy skojarzyli się Piper z trollami z którejś z bajek, jakie czytywał jej ojciec. Z trollami w jaskini, pozerającymi wzrokiem nieuczciwie zdobyte złoto. Wtedy ją zobaczyli i ucichli.

- Dobry wieczór - odezwał się Mel Searles.

Wstał i podciągnął pas gestem człowieka przekonanego o własnej ważności.

Wstał w obecności kobiety, pomyślała Piper. Matka go tego nauczyła? Pewnie tak. Sztukę gwałtu zapewne przejął od kogoś innego.

Gdy dotarła do schodów, stracił pewność siebie, więc z pewnością zrozumiał wyraz jej twarzy. Chociaż nie znał powodu. A Piper miała twarz jak maskę. Nieruchomą.

Dostrzegła, że największy z nich przygląda się jej uważnie. Thibodeau. Miał twarz równie kamienną jak ona.

On jest jak Clover. Czuje ode mnie wściekłość, pomyślała.

- Wielebna? - odezwał się Mel ponownie. - Wszystko gra? Jakiś problem?

Weszła na schody. Ani szybko, ani wolno. Suka nadal karnie trzymała się przy prawej nodze.

- A owszem, problem - oznajmiła Piper, podnosząc głowę. - Jaki...

- Ty - oznajmiła. - Ty stanowisz problem.

Pchnęła go, a Mel się tego nie spodziewał. Nadal trzymał w dłoni kubek z napojem. Zamachał rękami, lecz nie zdołał utrzymać równowagi. Przez moment napój zmienił się w mantę na tle wieczornego nieba. Mel zatoczył się Georgii Roux na kolana. Dziewczyna krzyknęła zaskoczona, cofnęła się odruchowo, rozlewając swój napój. Na szerokiej granitowej płycie przed podwójnymi drzwiami powstała kałuża. Piper poczuła whisky albo bourbon. Innymi słowy, policjanci popijali sobie to, czego inni mieszkańcy już nie mogli kupować. Nic dziwnego, że było im do śmiechu.

Czerwona szpara w mózgu wielebnej rosła.

- Nie wolno... - wyrwał się Frankie, wstając.

Jego także pchnęła. Odepchnęła go mocno. A Clover, normalnie najłagodniejsza pod słońcem, warknęła.

Frankie upadł na plecy, oczy miał wielkie jak spodki, był wyraźnie przestraszony i przez chwilę wyglądał jak chłopiec ze szkółki niedzielnej.

- Problemem jest gwałt! - krzyknęła wielebna. - Gwałt!

- Ciszej! - syknął Carter. Nadal siedział i chociaż za jego plecami kuliła się Georgia, zachował spokój. Pod krótkimi rękawkami błękitnej koszulki zagrały naprężone mięśnie. - Stul pysk i spadaj stąd, chyba że chcesz spędzić noc w piwnicy, w celi...

- To ty trafisz do celi! - odparowała Piper. - Wszyscy czworo tam wylądujecie!

- Niech ona się zamknie - jęknęła Georgia. Była na krawędzi łez. - Cart, weź coś zrób.

- Proszę pani... - zaczął Freddy Denton.

Mundurową koszulę miał wyjętą ze spodni, w jego oddechu czuć było bourbona. Duke by ich wszystkich z miejsca wyrzucił. Freddy zaczął się podnosić i w następnej chwili wylądował na ziemi. Na jego twarzy malowało się kompletne zaskoczenie, które w innych okolicznościach mogłoby się wydać komiczne. Miło, że oni siedzieli, a ona stała. W ten sposób było łatwiej. Tylko to łupanie w skroniach... Skupiła się na najgroźniejszym, na Thibodeau. W dalszym ciągu patrzył na nią ze spokojem doprowadzającym do szału. Tak samo patrzyłby na wariata w cyrkowym namiocie, zapłaciwszy za tę gratkę ćwierć dolara. Tyle że musiał spoglądać do góry, a to dawało jej przewagę.

- Z tym że nie traficie do piwnicy w komisariacie - powiedziała bezpośrednio do Thibodeau. - Wylądujecie w Shawshank, gdzie takim chłoptasiom jak wy robią to, co wy zrobiliście tej dziewczynie.

- Jesteś idiotką - odezwał się Carter. Mówił spokojnie, jakby wymieniał z przyjacielem uwagi na temat pogody. - Nawet nie byliśmy w pobliżu jej domu.

- Właśnie! - podchwyciła Georgia, znów siadając na stopniu. Rozmazała colę na policzkach, ciągle jeszcze poznaczonych zjadliwym trądzikiem młodzieńczym. Niby schodził, ale jeszcze w paru miejscach nie rezygnował. - Zresztą wszyscy wiedzą, że Sarniny Bushey to lesba.

Piper uśmiechnęła się szeroko. Odwróciła się do Georgii. Dziewczyna skuliła się pod palącym wzrokiem kobiety, która nagle wtargnęła na schody, przerywając im miłe zakończenie dnia przy drinku.

- Skąd wiesz, że chodzi mi o tę lesbę? Nie wymieniłam jej nazwiska. Georgia oniemiała z przerażenia. Otworzyła usta, lecz nic nie powiedziała. I coś drgnęło pod maską kamiennego spokoju Cartera Thibodeau. Strach? Irytacja? Tego Piper nie wiedziała. Frank DeLesseps wstał ostrożnie.

- Lepiej nie obrzucać ludzi oskarżeniami, które nie mają pokrycia, wielebna.

- I nie napadać na policjantów - dodał Freddy Denton. - Tym razem przymknę oko, bo wszyscy jesteśmy podenerwowani, jednak pani musi się uspokoić i natychmiast zaprzestać rzucania oskarżeń. - Przerwał na moment, po czym dodał kulawo: - Oraz popychania policjantów, rzecz jasna.

Piper skupiła wzrok na Georgii. Prawą dłonią tak mocno ścisnęła plastikowy uchwyt smyczy Clover, że aż czuła w niej pulsowanie. Suka stała na sztywnych łapach, spuściła łeb, odłoniła kły. Z jej gardzieli dobiegał niski warkot przypominający potężny silnik pracujący na jałowym biegu. Sierść na karku miała tak zjeżoną, że nie widać było obroży.

- Georgio, skąd znasz jej nazwisko?

- Ja... po prostu się domyśliłam. Carter chwycił koleżankę za ramię i ścisnął mocno.

- Zamknij się, skarbie. - Odwrócił się do Piper, nadal nie wstając.

(Bo się boi, że go popchnę, tchórz jeden).

- Nie wiem, co się pani tam roi w tej uświęconej główce, ale wczoraj byliśmy wszyscy razem na farmie Aldena Dinsmore'a. Staraliśmy się dowiedzieć czegokolwiek od chłopaków postawionych na sto dziewiętnastej. Nic z tego nie wyszło, ale tak czy inaczej byliśmy po drugiej stronie miasta. - Powiódł wzrokiem po przyjaciółach.

- Jak najbardziej - powiedział Frankie.

- Zgadza się - zawtórował mu Mel.

- Właśnie! - ucieszyła się Georgia. Carter znów objął ją za ramiona, moment zwątpienia minął. Dziewczyna popatrzyła na Piper wyzywająco.

- Georgia przyjęła, że ciska się pani o Sammy - podjął Carter ciągle z tym samym spokojem doprowadzającym do wściekłości - bo Sammy jest największą puszczałką w mieście.

Mel Searles kwiknął radośnie.

- Nie używaliście kondomów - oznajmiła Piper. Wiedziała to od Sammy, a teraz, kiedy zobaczyła tężejącą twarz Thibodeau, zrozumiała, że trafiła w sedno. - Nie używaliście kondomów i została sperma. - Nie miała pojęcia, czy to prawda, i wcale jej to nie obchodziło. Widziała w rozszerzonych oczach strach, widziała, że jej uwierzyli, to wystarczyło. - Jak porównają wasze DNA z tym, co znaleźli...

- Dosyć tego! - uciął Carter. - Koniec! Odwróciła się do niego z zawziętym uśmiechem.

- O nie, drogi panie Thibodeau. To jest dopiero początek. Freddy Denton sięgnął do niej, lecz go odepchnęła. Nagle ktoś ją złapał za rękę i wykręcił. Obróciła głowę, spojrzała prosto w oczy Thibodeau. Już nie było w nich spokoju, teraz lśniły gniewem. W głowie wielebnej pojawiła się chaotyczna myśl: Witaj, bracie.

- Pierdol się, ty pizdo niejebana - wycedził i pchnął kobietę. Piper poleciała do tyłu, spadła ze schodów. Instynktownie starała się zwinąć w kłębek i chronić głowę przed uderzeniem o kamienny stopień, bo wiedziała, że to mogłoby ją zabić. Albo, co gorsza, zmienić w roślinę. Walnęła w kamień lewym barkiem, przeszył ją ostry ból. Znajomy ból. Swego czasu, jeszcze w gimnazjum, więc mniej więcej przed dwudziestu laty, grając w piłkę, zwichnęła bark i teraz pewnie znowu do tego doszło.

Nogi przeleciały jej nad głową w niezgrabnym fikołku do tyłu, wykręciła sobie szyję, obila oba kolana do krwi, aż w końcu wylądowała na brzuchu. Stoczyła się prawie na sam dół schodów. Krew leciała jej z rozciętego policzka, z nosa oraz z warg, szyja też ją bolała, ale bark był najgorszy. Ramię, wybite ze stawu, zwisało w ten szczególny sposób, który doskonale pamiętała z czasów, kiedy miała na sobie czerwoną koszulkę Wildcats. Z trudem dźwignęła się na nogi, dziękując Bogu, że ciągle ma nad nimi władzę, bo w końcu mogła zostać sparaliżowana.

W połowie drogi w dół wypuściła z ręki smycz. Uwolniona Clover skoczyła na Thibodeau. Powaliła go, kłapnęła raz, drugi, mierzyła w klatkę piersiową i w brzuch, rozszarpała koszulkę.

- Oż kurwa! - wrzasnął Carter. Po jego spokoju nie zostało śladu. - Zagryzie mnie!

Rzeczywiście, Clover stała się niebezpieczna. Przednie łapy oparła na udach leżącego Cartera i gwałtownie sięgała do niego zębami. Raz, drugi, trzeci. Wyglądała, jakby jechała na rowerze, kłapiąc pyskiem. Potężny mężczyzna wił się pod nią jak piskorz. W pewnej chwili suka zmieniła kąt ataku i dosięgła jego przedramienia. Zatopiła kły głęboko w ciele. Thibodeau krzyknął z bólu, a zwierzę skoczyło mu do gardła. W ostatniej chwili trafił sukę w żebra, zdołał ją odepchnąć i tylko dzięki temu ocalał życie.

- Ratunku!

Frank sięgnął po smycz. Clover zrobiła błyskawiczny zwrot, ugryzła go w rękę. Frank odskoczył, a suka na powrót zajęła się człowiekiem, który zepchnął jej panią ze schodów. Rozciągnęła wargi, ukazując dwa rzędy lśniących białych zębów. Warknęła. Skoczyła. Chciała strzaskać napastnikowi kark, ale Thibodeau zdążył się zasłonić ręką. Wobec tego złapała to, co samo weszło jej w pysk, i potrząsała przedramieniem Cartera jak ulubioną szmacianą zabawką. Tyle że szmaciane zabawki nie krwawią.

Piper z wysiłkiem ruszyła po schodach w górę. Lewą rękę przyciskała do tułowia. Twarz miała we krwi. W kącie ust przykleił jej się wybity ząb jak okruszek chleba.

- Jezu Chryste! - darł się Thibodeau. - Zabierzcie to bydlę! Zabierzcie tego pieprzonego psa!

Piper właśnie otworzyła usta, żeby zawołać sukę, gdy zobaczyła, że Fred Denton wyciąga broń.

- Nie! - krzyknęła. - Odwołam ją!

Fred odwrócił się do Mela Searlesa i wolną ręką wskazał psa. Mel zrobił krok do przodu, kopnął Clover w brzuch. Zrobił to mocno, z całej siły, od dołu, tak jak kiedyś (wcale nie tak znowu dawno) kopał piłkę. Sukę odrzuciło na bok, puściła rękę Thibodeau, poszarpaną i krwawiącą. Dwa palce wykręcone pod nieprawdopodobnym kątem przywodziły na myśl zakrzywione drogowskazy.

- Nie! - krzyknęła Piper ponownie, tak głośno, że świat jej poszarzał przed oczami. - Nie krzywdzić psa!

Fred nie zwrócił na nią uwagi.

Przez podwójne drzwi wypadł Peter Randolph, w koszuli wyciągniętej na niedopięte spodnie, trzymając w dłoni egzemplarz „Outdoors”, który czytał na sedesie. Na niego także Fred nie zwrócił uwagi. Wycelował służbowy automat w psa i strzelił.

Huk był ogłuszający. Kawalek czaszki Clover poszybował w powietrze, niesiony rozbryzniętą krwią i kością. Pies zrobił krok w stronę swojej krzyczącej, zakrwawionej pani,

po czym upadł.

Fred, nadal z bronią w ręku, ruszył do przodu, złapał Piper za wybite ramię. Wielebna zawyla z bólu. Nie odrywała wzroku od psa, którego wychowała od szczeniaka.

- Aresztuję cię, wariatko - oznajmił Fred. Był blady, spocony, oczy mu o mało nie wyszły z orbit. Kiedy mówił, pryskał śliną na policzki Piper. - Wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie, ty pieprzona dupo.

Po drugiej stronie ulicy ze Sweetbriar Rose wybiegali ludzie, którzy przyszli tam na obiad. Między nimi znalazł się także Barbie, w fartuchu i czapce baseballowej. Pierwsza dotarła na miejsce Julia Shumway.

Objęła scenę jednym spojrzeniem. Nie zwracała uwagi na szczegóły, patrzyła na całość: martwy pies, garstka policjantów, krwawiąca, krzycząca kobieta z jednym barkiem wyraźnie wyżej niż drugi. Łysy gliniarz, cholerny Freddy Denton, potrząsający ją za ramię od strony wybitego barku, krew na schodach, sugerująca, że Piper z nich spadła. Albo została zepchnięta.

Julia zrobiła coś, czego nie zrobiła nigdy wcześniej. Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej portfel, otworzyła go jednym machnięciem i trzymając wysoko nad głową, ruszyła po schodach.

- Prasa! - krzyknęła głośno. - Prasa! - powtórzyła. - Prasa! Przynajmniej przestała się trząść.

9

Dziesięć minut później w biurze, które nie tak dawno należało do Duke'a Perkinsa, Carter Thibodeau siedział na sofie pod oprawionymi w ramki zdjęciami Duke'a. Miał świeżo zabandażowane ramię i dłoń owiniętą ręcznikami papierowymi. Obok niego siedziała Georgia. Carterowi z bólu wystąpiły na czoło grube krople potu, ale poprzestał na stwierdzeniu: „Chyba wszystkie kości mam całe”, i umilkł.

Fred Denton usiadł na krześle w kącie. Jego broń leżała na biurku komendanta. Oddał ją bez oporów. Powiedział tylko: „Musiałem to zrobić, wystarczy spojrzeć na rękę Cartera”.

Piper siedziała w biurowym fotelu, należącym teraz do Petera Randolpha. Julia otarła jej większość krwi z twarzy papierowymi ręcznikami. Wielebna dygotała z emocji i z bólu, ale milczała, podobnie jak Thibodeau. Spojrzenie miała całkiem przytomne.

- Clover go zaatakowała - odezwała się wreszcie, wskazując brodą Cartera - bo zepchnął mnie ze schodów. Wtedy też puściłam smycz. Nie mogła się zachować inaczej. Musiała mnie bronić.

- To wariatka! - krzyknęła Georgia. - Napadła na nas! Wciskała nam jakieś bzdury.

- Cisza! - zarządził Barbie. - Zamknijcie się wszyscy. - Spojrzał na Piper. - Nie pierwszy raz ma pani kłopot z tym barkiem, Prawda?

- Panie Barbara - odezwał się Randolph. - Proszę stąd wyjść. - Powiedział to jednak bez wielkiego przekonania.

- Umiem nastawić bark - oznajmił Barbie. - A pan?

Randolph nie odpowiedział. Mel Searles i Frankie DeLesseps stali przed drzwiami. Wyglądali na wystraszonych. Barbie odwrócił się do Piper.

- Jak widzę, mamy do czynienia ze zwichnięciem. Nie jest tak źle. Mogę nastawić bark, zanim pójdzie pani do szpitala.

- Do szpitala? - poderwał się Fred Denton. - Ona jest areszto...

- Freddy, zamknij się - powiedział Randolph głosem bez emocji. - Nikt nie jest aresztowany. Przynajmniej na razie.

Barbie spojrzał Piper głęboko w oczy.

- Jeśli mam to zrobić, muszę teraz, zanim bark spuchnie. Może pani z tym również iść do szpitala, do Everetta, wtedy dostanie pani znieczulenie. - Pochylił się do niej, szepnął jej do ucha: - Kiedy pani wyjdzie, opowiedzą swoją wersję. Nieobecni nie mają racji.

- Co pan powiedział? - zapytał Randolph ostro.

- Że to nie będzie bardzo bolesne - odparł Barbie. Wielebna wsparła go, kiwając głową.

- Niech pan się bierze do roboty. Trenerka Gromley nastawiła mi bark na boisku, a nie miała o tym żadnego pojęcia. Tylko szybko. I niech pan nie spieprzy sprawę.

- Julio, proszę, przynieś temblak z apteczki, a wielebna niech się położy na plecach.

Julia, biała jak ściana, wykonała polecenie. Zbierało się jej na mdłości.

Barbie usiadł na podłodze po lewej stronie Piper, ściągnął but, po czym obiema rękami chwycił ją tuż za nadgarstkiem.

- Nie wiem, jakie metody stosowała trenerka Gromley - powiedział - ale medyk, którego poznałem w Iraku, robił to w ten sposób. Policzy pani do trzech i wrzaśnie głośno: ciągaaj!

- Ciągaaj... ? - powtórzyła Piper zdumiona, zapomniawszy na chwilę o bólu. - No dobrze, w końcu pan tu robi za lekarza.

Niezupełnie, pomyślała Julia. Za lekarza robi tu teraz Ryży Everett.

Rozmawiała z Lindą i dostała od niej numer telefonu męża, niestety z Ryżym nie udało się połączyć, odzywała się poczta głosowa.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Nawet Carter Thibodeau przyglądał się wielebnej. Na czole Piper pojawiły się krople potu, lecz nadal zachowała kamienną twarz. Barbie miał dla niej wiele podziwu. Wsunął stopę bez buta w lewy dół pachowy, ustawił ją tam nieruchomo. Potem wolno i ostrożnie, ale stanowczo naciągnął ramię kobiety.

- No dobrze, ja jestem gotowy. Teraz słucham.

- Raz... dwa... trzy... Ciągaaaj!

Gdy Piper krzyknęła, Barbie szarpnęła. Wszyscy obecni usłyszeli głośny trzask. Staw wskoczył na miejsce. Skrzywienie ramion zniknęło jak za sprawą czarów. Piper nie zemdłała. Barbie założył jej temblak i unieruchomił rękę.

- Lepiej? - spytał.

- Lepiej - odpowiedziała wielebna. - Dzięki Bogu, dużo lepiej. Nadal boli, ale już nie tak bardzo.

- Mam aspirynę - zgłosiła się Julia.

- Daj jej tę aspirynę i wyjdź - zarządził Randolph. - Wychodzą wszyscy poza Carterem, Freddym i wielebnią.

Julia popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- To ma być dowcip? Wielebna idzie do szpitala. Piper, możesz iść o własnych siłach?

Piper już stała, ale była rozdygotana.

- Chyba tak. Byle nie za daleko.

- Proszę usiąść - powiedział Randolph, lecz Barbie nie miał wątpliwości, że wielebna w zasadzie już wyszła. Usłyszał to w głosie komendanta.

- Niech pan mnie zmusi. - Ostrożnie podniosła unieruchomione ramię. Ono też dygotało, ale staw sprawiał się jak należy. - Na pewno zdoła mi pan wybić bark bez większego trudu. Śmiało. Niech pan pokaże tym... chłopcom... że jest pan taki sam jak oni.

- A ja to wszystko opiszę! - oznajmiła Julia pogodnie. - Nakład mi się podwoi!

- Komendancie, proponuję odłożyć ciąg dalszy do jutra - odezwał się Barbie. - Pani Libby powinna dostać środki przeciwbólowe silniejsze niż aspiryna, niech Everett zerknie na jej kolana. A ponieważ znajdujemy się pod wielkim kloszem, ryzyko, że wielebna zniknie, jest raczej niewielkie.

- Jej pies chciał mnie zagryźć - powiedział Carter. Mimo bólu wydawał się znów całkiem spokojny.

- Panie komendancie - odezwała się Piper głośno - DeLesseps, Searles i Thibodeau są winni gwałtu. - Zachwiała się, aż Julia musiała ją podeprzeć, lecz głos miała nadal mocny i czysty. - Roux jest winna podżegania do gwałtu.

- Gówno prawda! - zaprzeczyła Georgia skrzekliwie.
- Należy ich zawiesić w pełnieniu obowiązków w trybie natychmiastowym.
- Ona kłamie - stwierdził Thibodeau.

Komendant Randolph wyglądał jak widz na meczu tenisowym. Wreszcie skupił spojrzenie na Barbiem.

- Teraz ty mi powiesz, co mam robić?

- Nie. Ja tylko przedstawiłem sugestię opartą na moim wojennym doświadczeniu zdobytym w Iraku. Decyzję podejmuje pan.

Randolph wyraźnie się odprężył.

- Dobrze wobec tego. Dobrze. - Ściągnął brwi w zamyśleniu, spuścił wzrok.

Wszyscy obserwowali, jak dostrzegł ciągle rozpięty rozporek i uporał się z tym drobnym kłopotem. Potem podniósł głowę.

- Julio, zabierzesz wielebną do szpitala. Jeśli chodzi o pana, panie Barbara, jest mi obojętne, dokąd pan się uda, ale proszę opuścić posterunek. Dzisiaj spiszę zeznania moich pracowników, wielebną Libby przesłucham jutro.

- Zaraz. - Thibodeau wyciągnął do Barbiego karykaturalnie wykręcone palce. - Możesz coś z tym zrobić?

- Nie wiem - odpowiedział Barbie. Miał nadzieję, że jego głos zabrzmiał uprzejmie.

Najgorsze się skończyło, teraz przyszedł czas na działania polityczne, a te pamiętał doskonale z czasów, kiedy stykał się z gliniarzami w Iraku. Wcale się tak znowu nie różnili od tych tutaj, siedzących na kanapie, i tych, co tłoczyli się w progu. Wszystko sprowadzało się do tego, żeby być miłym dla ludzi, na których miało ochotę się napluć.

- Umiesz powiedzieć „ciągnij”?

10

Ryży wyłączył komórkę, zanim zastukał do drzwi Dużego Jima. Teraz Duży Jim siedział za biurkiem, a Ryży przed nim, na miejscu dla suplikantów i petentów.

Gabinet (Rennie pewnie określał go w zeznaniach podatkowych domowym biurem) miło pachniał sosną, jakby go ostatnio solidnie wyczyszczono od podłogi po sufit, ale Ryżemu nadal się nie podobał. I nie chodziło wyłącznie o obraz, na którym agresywnie białoskóry Jezus wygłaszał Kazanie na Górze, ani o plakietki oraz tabliczki wychwalające właściciela, a także nie o drewnianą podłogę, która aż się prosiła o jakiś dywan. Chodziło o to wszystko plus jeszcze coś innego. Ryży Everett w zasadzie nie wierzył w żadne siły nadnaturalne, lecz chciał nie chciał, miał poczucie, że ten pokój jest przeklęty.

Pewnie dlatego, że jednak trochę mam cykora, pomyślał.

Mając nadzieję, że uczucia nie odbijają mu się na twarzy, powiedział Renniemu o brakujących zbiornikach szpitalnego propanu.

O tym, że jeden z nich znalazł w magazynie za ratuszem, zasilający generator. I tylko jeden.

- Wobec czego mam dwa pytania - stwierdził. - Jakim sposobem zbiornik ze szpitalnych zapasów zawędrował do centrum miasta?

I gdzie są pozostałe?

Duży Jim odchylił się w krześle, założył ręce za głowę, zapatrzył się w sufit, jakby nad czymś medytował. Ryży zorientował się, że obserwuje piłkę baseballową na biurku. Przed nią stała tabliczka z autografem Billa Lee, niegdyś grającego w Bostońskich Red Soksach. Mógł ją przeczytać, ponieważ była do niego odwrócona. Jakżeby inaczej. Przecież to właśnie goście mieli ją podziwiać, musieli się nią zachwycić. Podobnie jak zdjęcia na ścianach, tak i owa piłka świadczyła o tym, że Duży Jim Rennie obracał się w towarzystwie ludzi sławnych i wpływowych. „Patrz na moje trofea, na moją potęgę i drzyj ze strachu”. Dla Ryżego piłka baseballowa oraz odwrócony w stronę gościa autograf stanowiły ukoronowanie złych przeczuć związanych z pomieszczeniem, w którym się znajdował - świadectwo małomiasteczkowego prestżu i władzy.

- Nie wiedziałem, że pozwolono panu węszyć w miejskim magazynie - powiedział Duży Jim sufitowi. Dłonie miał w dalszym ciągu splecione za głową. - Może jest pan urzędnikiem miejskim, tylko ja o tym nie wiem? W takim razie wina leży po mojej stronie, mój błąd, jak mawia Junior. Miałem pana za pielęgniarza wyposażonego w bloczek recept.

Ryży uświadomił sobie, że Rennie stosuje na nim manipulację. Odwraca kota ogonem.

- Nie jestem urzędnikiem miejskim - przyznał - ale jestem zatrudniony przez szpital. I płacę podatki.

- Tak?

Ryżemu krew zaczęła się burzyć.

- Wobec tego jest to poniekąd także mój magazyn. - Poczekał na komentarz Dużego Jima, lecz gospodarz pozostał niewzruszony. - A już poza wszystkim innym był otwarty. Co też ciekawe, prawda? Zobaczyłem tam to, co zobaczyłem, i chciałbym uzyskać wyjaśnienie. Jako pracownik szpitala.

- Oraz płatnik podatków. Proszę o tym pamiętać. Ryży patrzył na Renniego bez ruchu.

- Ja nie potrafię tego wytłumaczyć - stwierdził Rennie. - Naprawdę? - Ryży uniósł brwi. - A sądziłem, że trzyma pan dłoń na pulsie tego miasta. Czy nie tak pan to ujął, kiedy

zeszłym razem ubiegał się pan o stanowisko radnego? A teraz mówi mi pan, że nie potrafi wyjaśnić, gdzie się podziały miejskie zapasy propanu? Nie do wiary.

Po raz pierwszy Rennie wydał się rozdrażniony.

- Nie interesuje mnie, czy pan w to wierzy. Tak czy inaczej pańskie informacje stanowią dla mnie nowość. - Tyle że kiedy to mówił, zerknął w bok, jakby się chciał upewnić, czy podpisana fotografia z Tigerem Woodsem nadal stoi na swoim miejscu. Klasyczna mowa ciała kłamcy.

- W szpitalu praktycznie już nie ma propanu - powiedział Ryży. - Bez niego ci, którzy jeszcze są na miejscu i teoretycznie mogą coś zrobić, równie dobrze mogliby pracować w czasie wojny secesyjnej w lazarecie obok pola walki. Nasi pacjenci, w tym operowany z chorobą wieńcową oraz poważny przypadek cukrzycy, który może się skończyć amputacją, są nie do uratowania, jeśli zabraknie prądu. Ten, któremu grozi amputacja, to Jimmy Sirois. Jego samochód stoi na parkingu. Ma na zderzaku naklejkę GŁOSUJ NA DUŻEGO JIMA.

- Przeprowadzę dochodzenie - rzucił Duży Jim. Powiedział to z miną człowieka, który zgodził się wyświadczyć przysługę. - Gaz miejski jest najpewniej zmagazynowany w jakimś innym budynku publicznym. A jeśli chodzi o wasze zbiorniki, nie potrafię o nich nic powiedzieć.

- W jakim innym budynku publicznym? - zapytał Ryży. - Mamy komisariat i jakąś stertę desek przysypaną piaskiem na God Creek Road. Trudno to nazwać nawet szopą. O innych nic mi nie wiadomo.

- Drogi panie, jestem człowiekiem zajęтым. Zechce mi pan wybaczyć.

Ryży wstał. Bardzo miał ochotę zacisnąć pięści, lecz sobie na to nie pozwolił.

- Zapytam pana jeszcze raz. Prosto z mostu. Czy pan wie, gdzie znajdują się brakujące zbiorniki?

- Nie. - Tym razem Rennie umknął wzrokiem w stronę Dale'a Earnhardta. - Puszczę mimo uszu implikacje zawarte w tym pytaniu, synu, bo w przeciwnym razie musiałbym się rozgniewać. A teraz najlepiej będzie, jeśli pobiegiesz sprawdzić stan Jimmy'ego Siroisa. Powiedz mu, że Duży Jim go pozdrawia i zajrzy, jak tylko skończą się te wszystkie kłopoty.

Ryży nadal walczył z wściekłością i teraz zaczął tę walkę przegrywać.

- „Pobiegiesz”? Chyba się pan zapomina. Nie jest pan dyktatorem, tylko urzędnikiem publicznym. A ja w tej chwili jestem naczelnym lekarzem w tym mieście i żądam...

Zadzwoiła komórka Dużego Jima. Odebrał, słuchał jakiś czas. Pogłębiły mu się zmarszczki wokół ust.

- Aaa niech to! Wystarczy, że się odwrócę...! - Słuchał jeszcze moment, potem

powiedział: - Skoro są z tobą ludzie w biurze, Pete, zamknij buzię, zanim narobisz jakichś nieodwracalnych szkód. Zadzwoni do Andy'ego. Zaraz tam będę, we trzech jakoś sobie poradzimy.

Wyłączył telefon i dźwignął się na nogi.

- Muszę jechać na komisariat. Albo stało się tam coś złego, albo znowu ktoś coś kombinuje... nie ocenię, póki się tam nie znajdę. A pan powinien być w szpitalu czy przychodni. Zaistniał pewien problem z wielbłądzą Libby.

- Jak to? Co jej się stało?

Duży Jim zmierzył lekarza lodowatym spojrzeniem małych, bezlitosnych oczek.

- Na pewno usłyszysz pan jej wersję. Nie wiem, ile w niej będzie prawdy, ale usłyszysz pan ją z pewnością. Więc weź się do roboty, młody człowieku, i pozwól mi wykonywać moją pracę.

Ryży szybko wyszedł. Krew mu łomotała w skroniach. Na zachodzie słońce zostawiło po sobie upiorną czerwień. Powietrze było niemal całkiem nieruchome, a mimo to unosił się w nim smród spalenizny. U stóp schodów Ryży podniósł rękę, wycelował palcem w urzędnika miejskiego, który czekał, aż lekarz opuści jego dom, zanim on zrobi to samo. Rennie wyraźnie się naburmuszył, lecz Ryży nie opuścił palca.

- Nikt nie musi mnie zaganiać do pracy. Moim obowiązkiem także jest odszukanie propanu. Jeżeli znajdę go w niewłaściwym miejscu, pańską pracę, panie wiceprzewodniczący, będzie wykonywał ktoś inny. Tyle panu mogę obiecać.

Duży Jim zbył go pogardliwym machnięciem ręki.

- Znikaj stąd, synu. Do roboty.

11

W czasie pierwszych pięćdziesięciu pięciu godzin istnienia klosza ponad dwadzieścioro dzieci przeszło ataki *petit mal*. Jedne, na przykład u córek Everettów, zostały odnotowane. Wiele innych przeszło niezauważenie, a w następnych dniach liczba ataków szybko spadła do zera. Ryży skłonny był porównywać je do wstrząsu, jaki przeżywali ludzie, którzy zanadto zbliżyli się do kopuły. Za pierwszym razem mieli wrażenie zetknięcia ze słabym prądem elektrycznym, który podnosił włosy na karku i przyparował o gęsią skórę. Potem większość ludzi nie czuła już nic. Trochę jakby zostali zaszczepieni.

- Uważasz, że kopuła jest jak ospa wietrzna? - spytała go Linda później. - Raz się z nią stykasz i jesteś uodporniony na całe życie?

Janelle miała dwa ataki, podobnie pewien chłopiec, Norman Sawyer, i w obu

przypadkach drugi atak był znacznie łagodniejszy niż pierwszy, a przy tym bez majaczenia. Większość dzieci, które trafiły do Ryżego, miała w ogóle tylko jeden atak. Wszystko wskazywało na brak widocznych skutków.

W ciągu owych pięćdziesięciu pięciu godzin ataki miało dwoje dorosłych. U obojga objawy wystąpiły mniej więcej w porze zachodu słońca w poniedziałek i u obojga bez trudu można było określić przyczyny.

Jeśli chodzi o Phila Busheya, znanego jako Kucharz, przyczyna leżała głównie w jego własnym produkcie. Mniej więcej w czasie, gdy Duży Jim przebywał w towarzystwie Ryżego, Bushey siedział przed magazynem za radiostacją WCIK, sennym wzrokiem obserwował zachód słońca (przywodzący na myśl wybuch pocisku, bo szkarłat na niebie był poczerniały od sadzy na kopule), w rękę luźno trzymał bonga. Był nagrany do tego stopnia, że mógł się wznieść do jonosfery. Na kilku nisko zawieszonych chmurach, które przepłynęły w krwistym oświetleniu, zobaczył twarze matki, ojca i dziadka. A także Sammy i Little Waltera.

Wszystkie twarze na chmurach krwawiły.

Kiedy zaczęła mu drgać prawa noga, a zaraz potem lewa, nie zwrócił na to uwagi. Drgawki były częste przy grzaniu, każdy o tym wiedział. Ale potem ręce zaczęły mu się trząść na tyle, że fajka spadła w wysoką trawę (pożółkłą i zwiędłą wskutek produkcji, jaka tutaj odchodziła).

To by było tyle, pomyślał z całkowitym spokojem i nawet ulgą.

W końcu przedobrzyłem. Już po mnie. I bardzo dobrze.

Nie umarł jednak, nawet nie stracił przytomności. Wolno przekręcił się na bok, podrygując i obserwując, jak na czerwonym niebie rośnie czarny marmur. Przybrał rozmiary kuli do kręgli, potem zbyt mocno nadmuchanej piłki plażowej. I rósł dalej, aż zagarnął całe czerwone niebo.

Koniec świata, pomyślał Kucharz.

I bardzo dobrze.

Moment później doszedł do wniosku, że się jednak pomylił, bo zaczęły spadać gwiazdy. Tylko że miały niewłaściwy kolor. Były różowe. A potem, Boże drogi, zaczęły za sobą zostawiać długie różowe ślady.

Następnie pojawił się ogień. Ryczące palenisko, jakby ktoś otworzył ukrytą zapadnię i do Chester's Mill wpuścił piekło.

- To cukierek - mruknął.

Fajka wbiła mu się w ramię, powodując oparzenie, które miał zobaczyć i poczuć później. Leżał, drgając w żółtej trawie, z wywróconymi oczami, w białkach odbijał się

upiorny zachód słońca.

- Cukierek na Halloween. Najpierw psikus, potem cukierek.

Ogień przybrał kształt twarzy, była to pomarańczowa wersja krwawych chmur, na które patrzył tuż przed atakiem. Twarz Jezusa. Jezus się na niego gniewał.

I mówił. Mówił do niego. Mówił mu, że to on jest odpowiedzialny za ogień. On. Ogień i...

- Czystość - mruknął. - Nie... Oczyszczenie.

Jezus już nie wyglądał na takiego rozgniewanego. I powoli blakł. Dlaczego? Bo Kucharz zrozumiał. Najpierw pojawią się różowe gwiazdy, potem oczyszczający ogień. A potem próba się skończy.

Po ataku zapadł w pierwszy prawdziwy sen od tygodni, a może i od miesięcy. Gdy się obudził, było całkiem ciemno. Najmniejszy ślad czerwieni zniknął z nieba. Kucharz był przemarznięty do szpiku kości, ale suchy.

Bo pod kloszem już nie opadała rosa.

12

W czasie gdy Kucharz obserwował twarz Chrystusa w krwistym zachodzie słońca, radna Andrea Grinnell siedziała na tapczanie i próbowała czytać. Generator wysiadł albo zużył całe paliwo, nie pamiętała.

Była jednak zaopatrzona w zabawną lampkę na baterie, którą w zeszłą Gwiazdkę Rose, siostra, wetknęła do jej skarpetki. Nigdy dotąd nie miała okazji skorzystać z tego gadżetu, a teraz proszę, jak znalazł. Wystarczyło przyczepić lampkę klipsem do książki i włączyć. Światło nie stanowiło problemu. Tymczasem słowa - owszem. Słowa wiły się wokół strony, czasami nawet zamieniały się miejscami, więc w efekcie proza Nory Roberts, zwykle krystalicznie czysta, była całkiem pozbawiona sensu. Mimo wszystko Andrea starała się czytać, bo nie potrafiła sobie wynaleźć innego zajęcia.

Dom cuchnął mimo otwartych okien. Cierpiała na rozstrój żołądka, a toalety już nie miała czym spłukać. Była głodna, lecz nie mogła jeść. Mniej więcej około piątej ugryzła kanapkę i nawet przełknęła ten kawałek chleba z serem, niestety, kilka chwil później zwymiotowała do kosza na śmieci. Szkoda, bo zjedzenie tej kanapki kosztowało ją sporo wysiłku. Pociła się obficie. Już dwukrotnie zmieniała ubranie, pewnie będzie musiała zmienić je ponownie, jeśli tylko zdoła, bo nogi jej drżały i podrygiwały.

„Nie bez przyczyny nazywa się te objawy skopywaniem nałogu”, przypomniała sobie słowa Ryżego.

Nie dotrę dzisiaj na zebranie kryzysowe. Nawet nie wiem, czy Jim nadal zamierza je zwoływać.

Biorąc pod uwagę przebieg ostatniej rozmowy z Dużym Jimem i Andym Sandersem, może tak nawet było lepiej, bo gdyby się tam pokazała, po prostu by na nią wsiedli. I zmusili do robienia rzeczy, których robić nie chciała. Lepiej zostać w domu, dopóki się nie oczyści z tego... z tego...

- Z tego gówna - powiedziała głośno i odsunęła z oczu wilgotne włosy. - Póki nie wywalę całego tego gówna z mojego ciała.

A kiedy znów będzie sobą, postawi się Renniemu. Dawno powinna była to zrobić. Mimo bolących pleców, które bez oksykodonu przysparzały jej tyle cierpień (ale nie musiała przechodzić przez rozgrzaną do białości udrekę, jakiej się spodziewała, taka ją spotkała miła niespodzianka). Ryży namawiał ją do przejścia na metadon. Metadon! Boże drogi, heroina w przebraniu!

„Jeśli planujesz odstawić leki natychmiast i definitywnie, lepiej tego nie rób”. Tak powiedział.

„Najprawdopodobniej będziesz miała napady drgawek”.

I powiedział też, że odwyk może potrwać dziesięć dni, a ona nie mogła czekać tak długo. Z tą straszną kopułą nad miastem. Trzeba skończyć od razu. Doszedłszy do tej konkluzji, spuściła z wodą wszystkie pigułki: zarówno metadon, jak i ostatnie tabletki oksykodonu znalezione w głębi szuflady nocnego stolika. Musiała spuścić wodę dwa razy, zanim wszystkie zapasy spłynęły do ścieków. Teraz siedziała rozdygotana i usiłowała siebie przekonać, że postąpiła słusznie.

Nie miałam innego wyjścia, myślała.

Więc nie ma co się zastanawiać, czy zrobiłam dobrze, czy źle.

Chciała przekręcić kartkę, lecz niesforna dłoń strąciła lampkę z klipsem. Gadżet spadł na podłogę. Plama światła przeniosła się na sufit. Andrea podniosła na nią wzrok i nagle zdała sobie sprawę, że się unosi ze swojego ciała. I to szybko. Całkiem jakby jechała niewidzialną windą ekspresową. Miała tylko chwilę, by zerknąć na swoją ziemską powłokę siedzącą na tapczanie, podrygującą bezradnie. Z ust spływała jej na brodę spieniona ślina. Na dżinsach w okolicy krocza pojawiła się plama wilgoci.

No tak. Będę musiała znowu się przebrać. O ile przeżyję, oczywiście.

Potem przeszła przez sufit, sypialnię na piętrze, przez strych z ciemnymi pudłami oraz popsutymi lampami i dalej w noc. Rozlała się nad nią Droga Mleczna, tyle że coś było nie tak jak należy. Droga Mleczna poróżowiła.

Andrea zaczęła spadać.

Gdzieś daleko, bardzo daleko w dole usłyszała, że ciało, które za sobą zostawiła, krzyczy przeraźliwie.

13

Barbie sądził, że w drodze z miasta będą z Julią rozmawiać na temat tego, co się przydarzyło Piper Libby, ale prawie nie zamienili słowa, każde zagubione we własnych myślach. Żadne też nie powiedziało głośno, że odczuło ulgę, gdy nienaturalna czerwień zachodzącego słońca wreszcie zaczęła blednąć, chociaż oboje czuli to samo.

Julia w pewnej chwili włączyła radio. Niestety, odbierało tylko stację WCIK, nadającą „All Prayed Up”, więc od razu wyłączyła.

Barbie odezwał się raz, wkrótce po tym, jak skręcili z szosy numer sto dziewiętnaście i pojechali na zachód, znacznie węższą Motton Road, gdzie las z obu stron podchodził bardzo blisko.

- Dobrze zrobiłem?

Zdaniem Julii zrobił wiele dobrego i świetnie sobie poradził podczas konfrontacji w biurze komendanta, wliczając w to udzielenie pomocy medycznej dwóm osobom. Wiedziała jednak, o co pyta.

- Tak. Trudno o gorszy czas na próbę przejęcia dowodzenia. Zgodził się, choć był zmęczony, przygnębiony i nie miał najmniejszej ochoty podjąć się pełnienia roli, jaką mu narzucano.

- Wrogowie Hitlera pewnie też mówili coś w tym stylu. Najpierw w trzydziestym czwartym, i wtedy mieli rację, potem w trzydziestym szóstym, i wtedy też dobrze myśleli. Następnie w trzydziestym ósmym. „Nie czas teraz mu się przeciwstawiać”. A kiedy uznali, że wreszcie nastał właściwy czas, protestowali w Auschwitz - Birkenau albo w Buchenwaldzie.

- To nie to samo.

- Tak sądzisz?

Nie odpowiedziała, ale rozumiała jego punkt widzenia. Hitler podobno pracował jako malarz pokojowy. Jim Rennie sprzedawał używane samochody. Zajęcie równie mało prestiżowe.

Przed nimi błyszczały wśród drzew strugi światła. Rysowały cieniste reliefy na łatanym asfalcie Motton Road.

Za kloszem, czyli od strony Harlow, stała spora liczba wojskowych ciężarówek, jakichś trzydziestu żołnierzy wykonywało rozkazy. Wszyscy mieli maski przeciwgazowe przy

paskach. Blżej kopuły, nieomal dotykając namalowanego na niej sprayem prostokąta w kształcie drzwi, stała srebrna cysterna z wielkim napisem UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO! ZACHOWAĆ BEZPIECZNĄ ODLEGŁOŚĆ. Dwóch mężczyzn rozwijało plastikowy wąż, z jednej strony przymocowany do tylnej części zbiornika, z drugiej zakończony dyszą nie szerszą niż obudowa długopisu. Obaj byli ubrani w lśniące kombinezony, na głowach mieli hełmy, a na plecach butle z powietrzem.

Po stronie Chester's Mill był tylko jeden widz. Lissa Jamieson, miejscowa bibliotekarka. Stała obok staromodnej damki firmy Schwinn, ze skrzynką na mleko zamontowaną nad tylnym błotnikiem. Na niej znajdowała się nalepka z napisem KIEDY WŁADZA MIŁOŚCI BĘDZIE SILNIEJSZA NIŻ MIŁOŚĆ DO WŁADZY, ŚWIAT ZAZNA SPOKOJU. JIMI HENDRIX.

- Co ty tu robisz? - spytała Julia, wysiadając z samochodu. Osloniła dłonią oczy przed jaskrawym światłem.

Lissa nerwowo obracała w palcach krzyż ankh zawieszony na szyi na srebrnym łańcuchu. Przeskakiwała wzrokiem z Julii na Barbiego i z powrotem.

- Wyszłam pojeździć na rowerze. Zawsze tak robię, kiedy jestem zdenerwowana albo zmartwiona. Czasami jeżdżę aż do północy. Uspokaja to moją pnieumę. Zobaczyłam światła i przyjechałam. - Mówiła, jakby wypowiadała zaklęcie. Puściła ankh na chwilę dość długą, żeby nakreślić w powietrzu jakiś skomplikowany symbol. - A wy co tu robicie?

- Przyjechaliśmy popatrzeć na eksperyment - odpowiedział Barbie. - Jeżeli się powiedzie, ty pierwsza opuścisz Chester's Mill.

Lissa uśmiechnęła się i choć jej uśmiech wyglądał na wymuszony, Barbie był jej wdzięczny za ten wysiłek.

- Wtedy ominąby mnie wtorkowy wieczór w Sweetbriar Rose. Czyli wyśmienita pieczeń, tak?

- Rzeczywiście, zwykle jest w planach pieczeń - zgodził się Barbie. Nie dodał, że jeżeli w następnym wtorek kopuła nadal tu będzie, *specialité de la maison* okaże się najpewniej quiche z cukinią.

- Nie chcę rozmawiać - stwierdziła Lissa. - Próbowałam.

Zza cysterny wyszedł człowiek przywodzący na myśl przysadzisty hydrant. Miał na sobie spodnie khaki, popelinową kurtkę i czapkę z logo Maine Black Bears na głowie. Barbie zauważył przede wszystkim, że James O. Cox przybrał na wadze. Następnie zwrócił uwagę na tę grubą kurtkę z zamkiem podciągniętym aż pod samą brodę, której niebezpiecznie blisko było do podwójnego podbródka. Oni nie mieli kurtek. Nie było ku temu powodu ani po tej,

ani po drugiej stronie kopuły.

Cox zasalutował. Barbie też i poczuł się z tym dobrze.

- Witaj, Barbie - odezwał się Cox. - Co u Kena?

- W porządku. Nadal jest z panienką, która najszybciej znajduje, co trzeba.

- Tym razem będzie wyjątkowo ciężko, pułkowniku - stwierdził Cox. - Tym razem najwyraźniej siedzi pan po uszy w gównie.

14

- Kto to jest? - szepnęła Lissa. Znow obracała w palcach krzyż. Julii Przyszło do głowy, że jeśli dalej będzie skręcać łańcuszek, w końcu go zerwie. - I co oni w ogóle tu robią? - dokończyła bibliotekarka.

- Starają się nas uwolnić. Po dzisiejszej spektakularnej porażce tym razem mądrze postanowili działać po cichu. - Julia ruszyła do przodu. - Witam, pułkowniku Cox. Jestem pana ulubioną przedstawicielką mediów. Dobry wieczór.

Uśmiech Coksa był tylko odrobinę skrzywiony, co Julia zapisała mu na plus. - Pani Shumway. Jest pani jeszcze ładniejsza, niż przypuszczałem.

- Muszę przyznać, że potrafi pan prawie kompletnie... Barbie zastąpił jej drogę jakieś trzy metry od miejsca, gdzie stał Cox. Chwycił ją za ramiona.

- O co chodzi? - zdziwiła się Julia.

- Aparat. Całkiem zapomniała o aparacie fotograficznym zawieszonym na szyi.

- Cyfrowy? - upewnił się Barbie.

- Jasne. Awaryjny sprzęt Pete'a Freemana. - Już miała powtórzyć pytanie, gdy nagle skojarzyła. - Kopuła go usmaży.

- To najbardziej optymistyczna teoria - stwierdził Barbie. - Pamiętasz, co się stało z rozrusznikiem komendanta Perkinsa?

- O cholera! - wyrwało się Julii. - Ożeż jasna cholera! Chyba powinnam się przeprosić ze starym kodakiem.

- Co chcecie zrobić? - spytała Coksa bibliotekarka. - Następny wybuch?

Cox milczał niezdecydowany.

- Niech pan powie, pułkowniku - odezwał się Barbie. - W przeciwnym razie ja to zrobię.

- Domaga się pan całkowitej przejrzystości... - Cox westchnął ciężko.

- Dlaczego nie? Jeżeli się uda, mieszkańcy Chester's Mill będą pana wychwalali pod niebiosa. Staracie się zachować tajemnicę jedynie z przyzwyczajenia.

- Niezupełnie. Mam rozkazy od przełożonych.

- Oni są w Waszyngtonie - stwierdził Barbie. - A media w Castle Rock. Większość ich przedstawicieli ogląda „Girls Gone Wild” w płatnej telewizji. Tu jesteśmy tylko my.

Cox ponownie westchnął i wskazał namalowany sprayem prostokąt.

- Ci ludzie w kombinezonach ochronnych zaaplikują naszą eksperymentalną mieszankę. Jeśli nam się poszczęści, kwas przeżre kopułę i będzie można wypchnąć ten fragment jak kawałek szyby w oknie.

- A jeśli nie? - spytał Barbie. - Jeżeli kopuła się rozłoży, wydzielając jakiś trujący gaz, i zabije nas wszystkich? Na taki wypadek macie maski przeciwgazowe?

- Niezupełnie - odparł Cox. - Zdaniem uczonych bardziej prawdopodobne jest, że dojdzie do jakiejś reakcji chemicznej, która może doprowadzić do zapalenia kopuły. - Spojrzał na przerażoną Lisę. - Obie możliwości uważają za wysoce nieprawdopodobne - dodał.

- Mogą sobie na to pozwolić - stwierdziła Lissa, obracając ankh.

- Nie oni zostaną upieczeni albo zagazowani.

- Rozumiem pani niepokój...

- Pani ma na imię Melissa - wtrącił Barbie. Nagle wydało mu się istotne, był Cox zrozumiał, że pod kloszem żyją ludzie, a nie parę tysięcy anonimowych podatników. - Melissa Jamieson. Dla przyjaciół Lissa. Jest tutaj bibliotekarką. Pełni też funkcję doradcy szkolnego w gimnazjum i, o ile dobrze pamiętam, prowadzi zajęcia jogi.

- Powinam sobie dać z tym spokój - stwierdziła Lissa z nerwowym uśmiechem. - Za dużo tego wszystkiego.

- Miło mi panią poznać - znalazł się Cox. - Widzi pani, warto podjąć to ryzyko...

- Gdybyśmy sądzili inaczej, mamy szansę was powstrzymać? - spytała.

Cox nie odpowiedział bezpośrednio.

- Nie ma żadnych przesłanek, które by świadczyły o tym, że klosz, pod którym się państwo znaleźli, w jakikolwiek sposób słabnie, cofa się czy ulega biodegradacji. Tak więc jeśli nie znajdziemy sposobu, by go naruszyć, zostaną państwo pod nim na długi czas.

- Czy macie jakieś domysły, skąd się wziął? Jakiegokolwiek?

- Żadnych - przyznał Cox, lecz uciekł wzrokiem w ten sam sposób, który Ryzy Everett rozpoznał u Dużego Jima.

Po co kłamać? - zastanowił się Barbie. Reakcja odruchowa? Cywilów należy traktować jak grzyby - trzymać w ciemności i podlewać gównem?

Prawdopodobnie właśnie o to chodziło. Mimo wszystko się zdenerwował.

- Czy ten wasz kwas jest mocny? - spytała Lissa.

- O ile mi wiadomo, to najbardziej żrąca substancja, jaka istnieje - Przyznał Cox.

Lissa zrobiła dwa kroki do tyłu.

Pułkownik odwrócił się do ludzi w skafandrach kosmicznych.

- Gotowi?

Obaj wystawili w górę kciuki. Za ich plecami wszelka aktywność zamarła. Żołnierze stali z dłońmi na maskach przeciwgazowych.

- No to zaczynamy - oznajmił Cox. - Barbie, sugeruję, żeby pan odprowadził piękne panie przynajmniej trzydzieści metrów...

- Patrzcie. Spójrzcie na gwiazdy - powiedziała Julia zdumiona. Odchyliła głowę do tyłu jak dziecko.

Barbie też spojrział w górę. Zobaczył Wielki Wóz, Wielką Niedźwiedzicę, Oriona. Wszystko tak, jak być powinno, tyle że zamazane i... różowe. Cała Droga Mleczna zmieniła się w gumę do żucia rozciągniętą na wielkiej kopule nocy.

- Cox - odezwał się cicho. - Czy pan to widzi? Cox spojrział w górę.

- Co takiego? Gwiazdy?

- Jak wyglądają?

- Są bardzo jasne... W tej części kraju właściwie nie ma zanieczyszczeń... - Przyszła mu do głowy jakaś myśl. Strzelił palcami. - A wy co widzicie? Zmieniły kolor?

- Są piękne - powiedziała Lissa. Oczy miała wielkie i błyszczące. - Ale i straszne.

- Gwiazdy są różowe - oznajmiła Julia. - Co się dzieje?

- Nic - stwierdził Cox, ale mało przekonująco.

- Chcemy wiedzieć - rzucił Barbie. - Niech nam pan powie - dodał po chwili grzeczniej.

- Ściągnęliśmy raporty meteorologiczne o dziewiętnastej. Ze szczególnym uwzględnieniem siły wiatru. Na wypadek gdyby... Na wszelki wypadek. Mniejsza o to. Od zachodu nadciąga prąd strumieniowy znad Nebraski i Kansas. Dąży na południe, potem wejdzie na Wschodnie Wybrzeże. Jak to pod koniec października.

- A co to ma wspólnego z gwiazdami?

- Dążąc na północ, prąd powietrzny mija wiele miast i ośrodków produkcyjnych. To, co zbiera po drodze, normalnie niesie nad Kanadę i Arktykę. Teraz zostawia na kopule. Jest tego dość, żeby powstał filtr optyczny. Z pewnością nie powoduje żadnego zagrożenia.

- Na razie - poprawiła go Julia. - A co będzie za tydzień albo za miesiąc? Umyjcie klosz na wysokości tysiąca metrów, jeśli nam się zacznie robić ciemno?

Cox nie zdążył odpowiedzieć, bo Lissa Jamieson krzyknęła i wskazała na niebo. Po czym ukryła twarz w dłoniach.

Różowe gwiazdy spadały, zostawiając za sobą jasne smugi.

15

- Więcej znieczulenia proszę - zażądała Piper niezbyt przytomnie, gdy Ryży słuchał bicia jej serca.

Lekarz poklepał ją po prawej dłoni - lewa była mocno podrapana.

- Ani odrobiny - odparł. - I tak jest już pani oficjalnie naćpana.

- Jezus chce, żebym dostała więcej znieczulenia - upierała się tym samym rozmarzonym tonem. - Chcę wlecieć wysoko aż pod same gniazda.

- Chyba raczej gwiazdy? Dobrze, wezmę to pod uwagę. Wielebna usiadła. Ryży usiłował ją położyć z powrotem, ale ponieważ mógł ją pchnąć tylko z jednej strony, nie na wiele się to zdało.

- Wyjdę do jutra? - spytała Piper. - Koniecznie muszę porozmawiać z komendantem Randolphem. Jego funkcjonariusze zgwałcili Sammy.

- I o mało pani nie zabili. Bark to jedna sprawa, ale miała pani kupę szczęścia przy upadku. Niech się pani już nie martwi o Sammy, ja się nią zajmę.

- Ci młodzi ludzie są niebezpieczni. Nie mogą pracować w policji, bo będą dalej krzywdzić ludzi. - Oblizła wargi. - Mam strasznie sucho w ustach.

- Da się temu zaradzić, tylko musi się pani położyć.

- Pobraliście próbki spermy od Sammy? Możecie porównać z materiałem genetycznym tych chłopaków? Jeśli tak, będę prześladowała Petera Randolpha w dzień i w nocy tak długo, aż dostanę od niego ich próbki DNA.

- Nie mamy sprzętu do takich badań - powiedział Ryży.

A także nie ma próbek, dodał w myślach. Bo Gina Buffalino umyła dziewczynę na jej prośbę.

- Przyniosę pani coś do picia. Wyłączyliśmy wszystkie lodówki poza laboratoryjnymi, oszczędzamy prąd, ale w pokoju pielęgniarstka jest chłodziarka.

- Przydałoby się trochę soku - stwierdziła wielebna, przymykając oczy. - O tak. Pomarańczowego albo jabłkowego. Nie V8. Za słony.

- Jabłkowy - zdecydował Ryży. - Na razie będzie pani na rzadkich Płynach.

- Tęsknię za Clover - szepnęła Piper. Odwróciła głowę.

Ryży pomyślał, że zanim wróci z kartonikiem soku, wielebna będzie smacznie spała.

W połowie korytarza spotkał Twitcha, który wyszedł zza rogu, od strony dyżurki pielęgniarek.

- Ryży, wychodzimy.

- Zaraz, tylko zaniosę...

- Nie. Teraz. Musisz to zobaczyć.

Ryży wrócił biegiem do pokoju numer dwadzieścia dziewięć, wetknął głowę do środka. Rzeczywiście, Piper spała jak zabita, chrapała jak potężny chłop, co przy spuchniętym nosie nie było niczym dziwnym.

Dogonił Twitcha na korytarzu, potem musiał prawie truchtać, żeby dotrzymać mu kroku.

- Co się stało? Co znowu?

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, a zresztą i tak byś mi nie uwierzył. Musisz zobaczyć na własne oczy.

Wypadł przez tylne drzwi na podwórze.

Na podjeździe, za daszkiem, pod którym przekładano pacjentów na wózki, stały Ginny Tomlinson, Gina Buffalino oraz Harriet Bigelow, przyjaciółka Giny, ściągnięta przez nią do pomocy w szpitalu. Obejmowały się nawzajem, jakby szukając pocieszenia, i wszystkie trzy patrzyły w niebo.

A niebo było pełne świecących różowych gwiazd. Wiele z nich spadało, zostawiając za sobą fluorescencyjne ogony. Ryżego przeszedł dreszcz.

Judy to przewidziała, pomyślał.

„Różowe gwiazdy spadają rzędami”.

I spadały. Rzeczywiście spadały.

Zupełnie jakby całe niebo spadało na ziemię.

16

Kiedy zaczęły spadać różowe gwiazdy, Alice i Aidan Appleton smacznie spali. Thurston Marshall i Carolyn Sturges stali na podwórzu za domem Dumagenów i patrzyli w niebo. Różowe linie krzyżowały się i przecinały, tworząc na firmamencie znaki, które zdawały się tam trwać jakiś czas, póki nie zbladły i nie zniknęły.

- Czy to jest koniec świata? - spytała Carolyn.

- Nie, skądże. To deszcz meteorów, bardzo częste zjawisko jesienią na terenie Nowej Anglii. Chyba trochę za późno na Perseidy, więc pewnie to po prostu kosmiczny pył albo fragment asteroidy, który oderwał się od niej z trylion lat temu.

- Czy deszcz meteorów zawsze jest różowy?

- Nie - przyznał Thurston. - Podejrzewam, że gdybyśmy patrzyli na niego spoza klosza, byłby biały. My tymczasem widzimy go przez filtr kurzu i cząstek stałych... zanieczyszczeń, jednym słowem. One zmieniły barwę.

Myślała o tym, gdy patrzyli na różowy gniew milczącego nieba.

- Thurse... Pamiętasz, jak Aidan miał ten atak...

- Tak, pamiętam, co powiedział. „Różowe gwiazdy spadają, zostawiają za sobą długie ślady”.

- Skąd on to wiedział? Thurston tylko pokręcił głową.

Carolyn przytuliła się do niego mocniej. W takich razach (choć oczywiście dokładnie czegoś takiego jak teraz jeszcze nie przeżywała) cieszyła się, że Thurston mógłby być jej ojcem. Teraz w zasadzie chciałyby, żeby był jej ojcem.

- Skąd wiedział, co będzie? Skąd on to wiedział?

17

Aidan powiedział w chwili proroczej wizji coś jeszcze: „Wszyscy patrzą”. I o godzinie dziewiątej trzydziści w ten poniedziałkowy wieczór, w czasie deszczu meteorów, jego przepowiednia się spełniła.

Więści rozchodzą się szybko przez telefony komórkowe i pocztę e - mailową, ale najskuteczniej za sprawą najstarszej metody świata - z ust do ust. Około dwudziestej pierwszej piętnaście na Main Street wychodzi mnóstwo osób i wszyscy oglądają bezgłośnie pokaz fajerwerków. Większość ludzi milczy. Ten i ów płacze. Leo Lamoine, oddany członek kościoła reprezentowanego przez zmarłego wielebnego Cogginsa, woła, że nadciąga apokalipsa, że widzi czterech jeźdźców na niebie, że wkrótce wierni pójdą żywcem do nieba i tak dalej, i tak dalej. Niechluj Sam Verdreaux, wypuszczony z aresztu około godziny piętnastej, trzeźwy i w złym humorze, mówi do Lea, że jeśli nie przestanie bredzić na temat tego całego apogówna, to zobaczy własne, osobiste gwiazdy. Rupert Libby z sił policyjnych Chester's Mill, z ręką na kolbie służbowej broni, nakazuje im obu zachować spokój i przestać straszyć ludzi. Jakby ludzie już nie byli wystraszeni.

Willow i Tommy Andersonowie wychodzą na parking przed Karczmą Dippera. Willow płacze, oparłszy głowę na ramieniu Tommy'ego. Rose Twitchell stoi obok Ansona Wheelera przed Sweetbriar Rose. Oboje nadal mają na sobie fartuchy. Oni także się obejmują. Norrie Calvert i Benny Drake są z rodzicami, a kiedy Norrie wtyka dłoń w rękę Benny'ego, on zamyka palce z drżeniem, którego nie mogły wywołać żadne różowe gwiazdy. Jack Całe,

aktualny właściciel Food City, wyszedł na parking przed supermarketem. Po południu zadzwonił do Erniego Calverta, poprzedniego właściciela, i poprosił o pomoc przy inwentaryzacji. Szło im nieźle, mieli nadzieję skończyć przed północą, kiedy zaczął się ruch na Main Street. Teraz razem patrzą na spadające różowe gwiazdy. Stewart i Fernald Bowie przed swoim zakładem pogrzebowym spoglądają w górę. Henry Morrison i Jackie Wettington są naprzeciwko, z Chazem Benderem, nauczycielem historii w gimnazjum.

- To tylko deszcz meteorów - mówi Chaz, ale on też jest przestraszony.

Fakt, że kumulujące się cząstki stałe zmieniły kolor gwiazd, rysuje ludziom sytuację z nowego punktu widzenia. Stopniowo coraz więcej osób zaczyna ocierać łzy. Ich płacz jest cichy, trochę jak szelest deszczu.

Duży Jim jest mniej zainteresowany jakimiś tam światłami na niebie, które nie mają najmniejszego znaczenia, a bardziej tym, jak ludzie zinterpretują to zjawisko. Jest zdania, że dziś po prostu pójda do domu. Natomiast jutro sytuacja może wyglądać zupełnie inaczej. A strach, malujący się na wielu twarzach, może się okazać przydatny. Ludzie owładnięci przerażeniem potrzebują silnego przywódcy, a silny przywódca to Duży Jim Rennie.

Jest przed wejściem do komisariatu, z komendantem Randolphem i Andym Sandersem. Niżej tłoczą się dzieciaki, które sprawiają kłopoty. Thibodeau, Searles i ta psia córka Roux. Oraz przyjaciel Juniora, Frank. Duży Jim schodzi po stopniach, z których nie tak dawno spadła Libby (wyświadczyłaby nam wszystkim przysługę, gdyby skręciła kark, myśli), stuka Frankiego w ramię.

- Podoba ci się pokaz?

Chłopak z rozszerzonymi strachem oczami wygląda na dwanaście lat, a nie dwadzieścia dwa, czy ile tam ma w rzeczywistości.

- Co to jest, proszę pana, czy pan wie?

- Kosmiczny prysznic. Bóg mówi swojemu ludowi „cześć”.

Frank DeLesseps trochę się uspokaja.

- Wracamy do środka - oznajmia Duży Jim, pokazując kciukiem Randolpha i Andy'ego, którzy nadal wpatrują się w niebo. - Porozmawiamy chwilę, potem zawołam was czworo. A wtedy macie mi wszyscy razem opowiedzieć zgrabną spójną historyjkę. Zrozumiałeś?

- Tak, proszę pana - przytakuje Frankie.

Mel Searles patrzy na Dużego Jima. On też ma oczy jak spodki, a na dodatek otwarte usta. Duży Jim myśli sobie, że chłopak w teście IQ nie zdobyłby więcej niż siedemdziesiąt. Co oczywiście niekoniecznie musi być złe.

- Wygląda jak koniec świata - mówi chłopak.

- Bzdura. Czy jesteś dzieckiem bożym, synu?

- Chyba tak - mówi Mel.

- Wobec tego nie masz się czego obawiać. - Duży Jim patrzy na nich po kolei, kończąc na Carterze Thibodeau. - Dziś w nocy wasza droga do zbawienia to zgrabna i spójna historyjka.

Nie wszyscy widzą różowe gwiazdy. Córeczki Ryżego Everetta oraz dzieci Appletonów szybko zasnęły. A także Piper. I Andrea Grinnell. Również Kucharz, rozciągnięty na uschłej trawie obok budynku mieszczącego chyba największą wytwórnę metamfetaminy w Ameryce. Podobnie Brenda Perkins - zmęczona płaczem zasnęła na kanapie, wśród wydruków z pliku VADER rozłożonych na stoliku do kawy.

Martwi także nic nie widzą, chyba że patrzą na ziemię z lepszego miejsca niż ta ciemna równina, gdzie nocą ścierają się armie niewiernych. Myra Evans, Duke Perkins, Chuck Thompson i Claudette Sanders są w domu pogrzebowym Bowiego. Doktor Haskell, pan Cary i Rory Dinsmore w kostnicy w szpitalu imienia Catherine Russell, Lester Coggins, Dodee Sanders i Angie McCain w dalszym ciągu znajdują się w spiżarni domu McCainów. Podobnie jak Junior. Siedzi między Dodee i Angie, trzyma je za ręce. Głowa go boli, na szczęście tylko trochę. Zastanawia się, czyby tu nie zostać na noc.

Na Morton Road w Eastchester (niedaleko od miejsca, gdzie próba naruszenia konstrukcji klosza za pomocą eksperymentalnej mieszanki kwasów odbywa się mimo deszczu meteorów) Jack Evans, wdowiec od przedwczoraj, stoi na podwórzu za swoim domem. W jednym ręku trzyma butelkę jacka danielsa, w drugim broń, która zawsze była w domu na wypadek konieczności obrony. Sam ją wybrał, to ruger SR9. Jack pociąga z butelki i patrzy na spadające różowe gwiazdy. Wie, czym są. Przy każdej wypowiedzi życzenie, a życzy sobie śmierci, bo bez Myry stracił grunt pod nogami. Może zdołałby jakoś bez niej żyć i prawdopodobnie umiałby żyć jak szczur w szklanej klatce, jednak z dwiema tragediami naraz nie potrafi sobie dać rady. Gdy spadające meteory rzedną, mniej więcej piętnaście po dziesiątej, jakieś czterdzieści pięć minut po tym, gdy zaczął się kosmiczny pokaz, Jack Evans przełyka resztkę alkoholu, rzuca butelkę w trawę i strzela sobie w łeb. Jest pierwszą ofiarą samobójczą klosza. Nie ostatnią.

Barbie, Julia i Lissa Jamieson patrzyli w milczeniu, jak dwóch żołnierzy w kosmicznych skafandrach zdejmuje smukłą dyszę z końca plastikowego węża. Włożyli ją do

nieprzejrzystej plastikowej torby ze strunowym zamknięciem, a następnie całość do metalowej kasetki oznaczonej słowami MATERIAŁY NIEBEZPIECZNE. Tę zamknęli osobnym kluczem i wtedy zdjęli hełmy. Wyglądali na zmęczonych, zgrzanych i przygnębionych.

Dwaj starsi mężczyźni, za starzy na żołnierzy, odjechali mocno skomplikowanym urządzeniem od miejsca eksperymentu, który został powtórzony trzykrotnie. Barbie domyślał się w nich uczonych z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, przeprowadzających jakieś analizy spektrograficzne. W każdym razie zapewne takie mieli zamiary. Maski przeciwigazowe, zasłaniające twarze podczas procedury testowej, teraz sterczały na czubkach głów jak dziwaczne kapelusze. Barbie mógłby zapytać Coksa, co miały wykazać testy, i Cox może by nawet udzielił odpowiedzi wprost, ale Barbie także był przygnębiony.

Wysoko na niebie szybowały ostatnie różowe meteory.

Lissa wskazała w stronę Eastchester.

- Słyszałam coś jakby strzał. A wy?

- Pewnie strzelił gaźnik albo jakiś dzieciak zrobił raketę z butelki - powiedziała Julia.

Ona też była zmęczona i przybita. Gdy stało się jasne, że eksperyment, tak zwany test kwasowy, nie przyniesie oczekiwanych rezultatów, Barbie przyłapał ją na ocieraniu oczu. Co nie przeszkodziło jej fotografować.

Cox podszedł bliżej. Rzucił podwójny cień. Wskazał miejsce, gdzie sprayem namalowano na kopule duży prostokąt.

- O ile mi wiadomo, ta przygoda kosztowała amerykańskich podatników jakieś trzy czwarte miliona dolarów, nie licząc kosztów prac badawczo - rozwojowych związanych z budową kwasu. Który utrwalił w ścianie kopuły namalowane przez nas linie, a poza tym, kurwa mać, nie zrobił kompletnie nic.

- Niech pan się nie wyraża, pułkowniku - powiedziała Julia ze śladem dawnego uśmiechu w głosie.

- Ma pani rację, przepraszam.

- Naprawdę sądziliście, że to zadziała?

- Nie, ale też nie spodziewałem się, że kiedykolwiek zobaczę człowieka na Marsie, a tymczasem Rosjanie twierdzą, że w dwa tysiące dwudziestym wyślą czteroosobową załogę.

- Aaa... rozumiem! - uznała Julia. - Marsjanie usłyszeli o tym plotki i się wkurzyli.

- Jeśli tak, to rozliczają się z niewłaściwym krajem - stwierdził Cox.

Barbie dostrzegł coś w jego oczach.

- Jim, jesteś pewien? - zapytał cicho.

- Przepraszam?

- Że kopuła została stworzona przez istoty pozaziemskie.

Julia zrobiła dwa kroki do przodu. Twarz miała białą jak kreda, oczy błyszczące.

- Niech pan wreszcie nam powie! Do jasnej cholery! Cox uniósł dłoń.

- Nic nie wiemy. Mamy tylko teorię. Tak... Marty, pozwól na moment.

Jeden ze starszych dżentelmenów, którzy przeprowadzali testy, zbliżył się do ściany klosza. Maskę przeciwgazową trzymał w ręku.

- Jak analizy? - zapytał Cox. Widząc jego wahanie, dorzucił: - Mów, mów, żadnych tajemnic.

- Jak chcesz... - Marty wzruszył ramionami. - Śladowe ilości minerałów. Skażenia pochodzące z ziemi i z powietrza. Poza tym - nic. Z punktu widzenia analizy spektrograficznej tego czegoś tu nie ma.

- A co z HY - 908? - Cox odwrócił się do Barbiego i kobiet... - To nazwa kwasu.

- Zniknął - stwierdził Marty. - To coś, czego nie ma, wchłonęło go i unicestwiło.

- Czy według naszej wiedzy to w ogóle jest możliwe?

- Nie. Tyle że według naszej wiedzy istnienie klosza też nie jest możliwe.

- Czy byłbyś skłonny twierdzić, że kopuła może być stworzona przez jakąś formę życia o bardziej zaawansowanej wiedzy na temat fizyki, chemii, biologii i tak dalej? - Ponieważ Marty nadal wyraźnie miał wątpliwości, zapewnił go raz jeszcze: - Możesz mówić wszystko, co wiesz.

- Owszem, bierzemy pod uwagę taką ewentualność - przyznał. - Ale musimy się też liczyć z tym, że to robota jakiegoś ziemskiego superłobuza. Trzeba też rozważyć, czy to nie skutek działania wrogiego państwa, na przykład Korei Północnej.

- Które nic na tym nie zyskało? - zapytał Barbie sceptycznie.

- Ja sam skłaniam się ku teorii o istotach pozaziemskich. - Marty stuknął w klosz. Nawet się nie skrzywił, najwyraźniej robił to nie po raz pierwszy. Szczepionkę w postaci łagodnego wstrząsu elektrycznego miał już za sobą. - Podobnie sądzi większość naukowców, z którymi nad tym pracujemy... jeśli można to tak nazwać, skoro w zasadzie nic nie robimy. Stosujemy metodę Sherlocka Holmesa: „Jeśli wyeliminuje się wszystko, co zbyt skomplikowane, to, co pozostanie, choćby nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

- Czy wylądował gdzieś latający spodek i jakiś kosmita żądał widzenia z naszym przywódcą? - zapytała Julia.

- Nie - odparł Cox.

- Wiedziałby pan, gdyby coś takiego się zdarzyło? - spytał Barbie. Czy my naprawdę dyskutujemy na ten temat? - pomyślał. Czy mi się to tylko śni?

- Niekoniecznie - przyznał Cox po zastanowieniu.

- To może być zjawisko meteorologiczne - stwierdził Marty. - A nawet biologiczne... może kopała żyje. Jedna z teorii zakłada, że to coś jest w pewnym sensie hybrydą pałeczki okrężnicy.

- Pułkowniku - odezwała się Julia do Coksa. - Czy jesteśmy przedmiotem jakiegoś eksperymentu? Szczerze mówiąc, tak się czuję.

Lissa Jamieson przyglądała się schludnym domom Eastchester. W większości nie paliły się światła, bo ludzie albo nie mieli generatorów, albo oszczędzali paliwo.

- To był strzał z broni - stwierdziła stanowczo. - Jestem tego pewna.

WCZUCIE SIĘ

1

Poza polityką Duży Jim Rennie miał tylko jedną pasję, a była nią koszykówka dziewczęcych drużyn gimnazjalnych, dokładnie - jednej, Lady Wildcats. Od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego zawsze miał bilety na cały sezon i oglądał co najmniej tuzin rozgrywek rocznie. W dwa tysiące czwartym, kiedy Lady Wildcats wygrały stanowe mistrzostwa klasy D, widział wszystkie mecze. I choć na ścianach biura powiesił zdjęcia, które musiał podziwiać każdy gość, z autografami osób sławnych, a więc Tigera Woodsa, Dale'a Earnhardta oraz Billa Lee Spacemana, najbardziej cenił sobie fotografię Hanny Compton, rozgrywającej, drugoklasistki, która doprowadziła Lady Wildcats do zdobycia tej jedynej złotej piłki.

Jeśli się ma bilety na cały sezon, siłą rzeczy poznaje się innych posiadaczy kartonów oraz powody, dla których kibicowali. Wielu z nich to krewni zawodniczek, a często także filary Booster Club, organizacji praktykującej sprzedaż ciasteczek i inne formy zbiórki pieniędzy na pokrycie rosnących kosztów „wyjazdówek”. Są też prawdziwi miłośnicy koszykówki, którzy powiedzą, i nie bez racji, że dziewczęca koszykówka jest zwyczajnie lepsza. Młode zawodniczki przestrzegają etycznych zasad gry, które chłopcy (uwielbiający wyścigi, walenie piłką w tablicę i rzuty z połowy boiska) rzadko w ogóle dostrzegają. Gra toczy się wolniej, pozwalając ocenić taktykę i cieszyć się każdym podaniem czy przejęciem. Kibice dziewczęcych zespołów twierdzą, że u dziewcząt kładzie się znacznie większy nacisk na obronę i rzuty wolne, a więc dobre stare podstawy koszykówki, i nie przeszkadzają im niewysokie wyniki, z których śmieją się fani zespołów chłopięcych.

Są też tacy, co zwyczajnie lubią sobie popatrzeć na długonogie nastolatki biegające w krótkich spodenkach.

Duży Jim wszystkie te powody, dla których człowiek interesuje się sportem, uważał za równie ważne, lecz jego pasja zaczęła się od czegoś zupełnie innego. Wyłynęła ze źródła, o którym nigdy nie wspomniał w rozmowie z przyjaciółmi z widowni. Nie byłoby to zachowanie polityczne.

Dziewczęta traktowały sport bardzo osobiście, kipiały nienawiścią.

Chłopcy także chcieli wygrywać, oczywiście, czasem gra toczyła się bardzo ostro, zwłaszcza jeśli rozgrywano mecz z tradycyjnym rywalem (w przypadku Wildcats z Mills była

to znieawidzona drużyna Rockets z Castle Rock), ale dla większości chłopców była to kwestia indywidualnych osiągnięć. Innymi słowy - pokazówki, która po końcowym gwizdku umierała śmiercią naturalną.

Dla dziewcząt przegrana była znacznie trudniejsza do zaakceptowania. Roztrząsały ją w szatni jeszcze długo po zakończeniu meczu. Co więcej, nienawidziły porażki jako zespół. Duży Jim często obserwował, jak ta nienawiść puchnie dziewczętom w głowach. W czasie pogoni za piłką podczas drugiej połowy, przy remisie, bardzo wyraźnie odbierał z boiska: „Nic z tego, pieprzona dziwko. Ta piłka jest moja!”. Żywił się tą nienawiścią.

Przed rokiem dwa tysiące czwartym Lady Wildcats zakwalifikowały się do turnieju stanowego tylko raz w ciągu dwudziestu lat, po szybkiej i łatwej wygranej w meczu z Buckfield. A potem zjawiała się Hanna Compton. Jak ona potrafiła nienawidzić! Zdaniem Dużego Jima nikt jej nie dorównywał.

Była córką Dale'a, chudego drwala z Tarker's Mills, zwykle pijanego i zawsze kłótliwego. Od urodzenia mówiła światu „odwal się ode mnie”. W pierwszym roku grała w drużynie juniorów przez większą część sezonu. Trener przesunął ją do reprezentacji na dwa ostatnie mecze, w czasie których zdobyła więcej punktów niż ktokolwiek inny a jej przeciwniczka z Richmond Bobcats zwiwała się z bólu na parkiecie po ostrej, lecz czystej obronie.

Gdy skończył się tamten mecz, Duży Jim położył rękę na karku trenera Woodheada.

- Jeśli ta dziewczyna nie będzie grała w przyszłym roku, to nazwę cię głupcem - stwierdził.

- Nie jestem głupcem - odparł trener Woodhead.

Hanna wystartowała ostro, a skończyła jeszcze ostrzej, załatwiając fanom Wildcatsów sezon, który wspominali przez długie lata. Średnia punktów na mecz z tamtego czasu wynosiła dwadzieścia siedem do sześciu. Dziewczyna przejmowała piłkę i wykonywała rzuty trzypunktowe, kiedy chciała, ale Duży Jim najbardziej lubił patrzeć, jak rozbija obronę i z wyrazem skupienia na ponurej twarzy nieubłaganie zbliża się do kosza. Czarne lśniące oczy kpiły z każdego, kto by śmiał wejść jej w drogę, krótki kucyk sterczał na głowie jak wyprostowany środkowy palec. Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Chester's Mill i pierwszorzędnym handlarz używanymi samochodami się zakochał.

W rozgrywkach mistrzowskich roku dwa tysiące czwartego Lady Wildcats prowadziły z Rockets z Castle Rock dziesięcioma punktami, gdy Hanna sfaulowała. Szczęściem dla jej drużyny do końca meczu została tylko minuta i szesnaście sekund. Wygrały jednym punktem. Z osiemdziesięciu sześciu punktów rzuconych w czasie tamtej rozgrywki Hanna Compton

zdobyła, aż trudno uwierzyć, sześćdziesiąt trzy. Tamtej wiosny jej kłótniwy ojciec zasiadł za kierownicą nowiutkiego cadillaca, kupionego z czterdziestoprocentowym upustem u Jamesa Renniego seniora. Normalnie Duży Jim nie handlował nowymi samochodami, ale jeśli jakiś był mu potrzebny, zawsze udawało się go „bokiem skombinować”.

Gdy teraz siedział w biurze Petera Randolpha, za oknem ostatnie różowe meteory blakły w oddali (a przed drzwiami ci, co sprawili mu kłopot, czekali - miał nadzieję, cali w nerwach - aż ich do siebie wezwie i odsłoni im przyszły los), przypominał sobie tamten wspa- niały, fantastyczny, niepowtarzalny, czarodziejski mecz koszykówki. Szczególnie pierwsze osiem minut drugiej połowy, która rozpoczęła się wynikiem niekorzystnym dla Lady Wildcats - przegrywały dziewięcioma punktami.

Wtedy do gry weszła Hanna i ruszyła do boju z determinacją Józefa Stalina obejmującego rządu w Rosji. Czarne oczy jej błyszczały (wydawało się, że wzrok miała utkwiony w jakiejś koszykarskiej nirwanie, niedostępnej i niedostrzegalnej dla zwykłych śmiertelników), twarz jej zastygła w szyderyczym grymasie, który mówił bardzo wyraźnie: „Jestem lepsza niż wy wszystkie, jestem najlepsza. Zejdźcie mi z drogi, bo rozjebię”. Każdy rzut w ciągu tych ośmiu minut był celny, łącznie z jednym całkiem absurdalnym, przez pół boiska, który wykonała ze splecionymi nogami, żeby uniknąć zarzutu o błąd kroków.

Istniały różne sportowe określenia takiego rodzaju zachowania, jak choćby bycie w strefie, ale Duży Jim mówił o tym po swojemu. Nazywał to wczuciem się. „Dziewczyna umiała się wczuć”. Dobra gra charakteryzuje się szczególną strukturą, pozostającą poza zasięgiem tuzinkowych graczy (choć czasem nawet najzwyklejszy gracz potrafi się wczuć i na krótką chwilę przemienić w boga, a wtedy, podczas boskiej przemiany, znikają wszelkie defekty i ograniczenia ciała), strukturą, której można niekiedy dotknąć nocą, bogatą i zdumiewającą draperią, z rodzaju tych, jakie z pewnością zdobią komnaty Walhalli.

Hanna Compton więcej nie zagrała. Mistrzowski mecz był jej pożegnalnym. Tego lata jej ojciec, prowadząc po pijanemu, zabił siebie, żonę i wszystkie trzy córki. Wracali do Tarker's Mills ze sklepu Browniego, dokąd wybrali się na lody. Bonusowy cadillac stał się ich trumną.

Wypadek z pięcioma ofiarami śmiertelnymi trafił na pierwsze strony w zachodnim Maine, „Democrat” ukazał się w tamtym tygodniu z czarną obwódką, a Duży Jim wcale nie czuł smutku. Hanna nie umiałaby grać w koszykówkę w college'u. Tak podejrzewał. Tam dziewczęta były wyższe, pewnie by w końcu wylądowała na ławce rezerwowych. A z tym by się nie pogodziła. Musiała żywić swoją nienawiść ciągłą, agresywną grą. Duży Jim rozumiał ją jak nikt. Z tego samego powodu nigdy nawet nie rozważał wyjazdu z Mill. Gdzieś tam w

świecie pewnie zarobilby więcej pieniędzy, jednak bogactwo to małe piwo. A władza to szampan.

Rządzenie miastem było dobre w normalnych okolicznościach, a w czasach kryzysu - jeszcze lepsze. Człowiek mógł rozwinąć skrzydła, zdać się na intuicję, wiedząc, że nie może dać ciała, po prostu nie może. Przewidywało się kroki obrony, zanim ona sama je ustaliła, a każde dojsście do piłki kończyło się rzutem i trafieniem. To się czuło. A trudno o lepszy czas na takie działanie niż rozgrywki mistrzowskie.

Teraz właśnie nastał czas rozgrywek mistrzowskich. Jego mistrzostw. I wszystko układało się pomyślnie. Miał przeczucie, a nawet był przekonany, że nic nie stanie mu na przeszkodzie. Nawet sprawy, które na pierwszy rzut oka wydawały się przeszkodami, zmieniały się w okazje, jak ten desperacki rzut Hanny przez pół boiska, po którym cała widownia zerwała się na równe nogi, fani z Mills krzyczeli ze szczęścia, kibice Castle Rock szaleli z wściekłości.

Duży Jim się wczuwał. Właśnie dlatego nie był nawet zmęczony, chociaż powinien być wyczerpany. Właśnie dlatego nie obawiał się Juniora mimo jego małomówności i czujności. Właśnie dlatego nie obawiał się Dale'a Barbary ani jego kłopotliwych przyjaciół, a zwłaszcza tej psiej córki redaktorki. I właśnie dlatego, kiedy Peter Randolph oraz Andy Sanders patrzyli na niego osłupiali, Duży Jim tylko się uśmiechał. Stać go było na uśmiech. Miał wyczucie.

- Zamknąć supermarket? - powtórzył Andy. - Jim, ludziom się to nie spodoba.

- Supermarket oraz Gas & Grocery - poprawił go Duży Jim, nadal z uśmiechem na twarzy. - Sklepem Browniego nie musimy sobie zawracać głowy, już i tak zamknięty. I bardzo dobrze... straszna speluna.

Oferująca świńskie pisemka. Tego na głos nie powiedział.

- Jim, w Food City jest mnóstwo jedzenia - zaproponował Randolph. - Rozmawiałem z Jackiem Cale'em nie dalej jak dziś po południu. Mięso na wykończeniu, to prawda, ale wszystkiego innego pod dostatkiem.

- Wiem, wiem. Doceniam robienie zapasów i Cale także. Na pewno, w końcu jest Żydem.

- No tak. Chodzi mi o to, że do tej pory wszystko było w najlepszym porządku. Ludzie zwykle mają pełne spizarnie. - Rozpogodził się wyraźnie. - A może by tak zarządzić krótsze godziny otwarcia? Do tego chyba Jack da się przekonać? Pewnie już sam rozważał takie wyjście.

Duży Jim pokręcił głową. Nadal miał uśmiech na ustach. Oto kolejny przykład, jak

życie idzie na rękę człowiekowi, który ma wycucie. Duke Perkins by ocenił, że takie działanie to błąd, niepotrzebny powód do nerwów, zwłaszcza po tym nocnym pokazie kosmicznych fajerwerków. Ale Duke był martwy, a to już trudno było nazwać zdarzeniem pomyślnym, to był po prostu cud.

- Zamykamy - powtórzył. - Oba. Na cztery spusty. A kiedy zostaną otwarte ponownie, my będziemy zarządzali towarem. Wystarczy go na dłużej, dystrybucja będzie sprawiedliwsza. Ogłoszę plan racjonowania dóbr na czwartkowym spotkaniu. - Umilkł. - O ile kopuła jeszcze wtedy będzie, rzecz jasna.

- Nie jestem pewien, czy mamy prawo zamykać sklepy - odezwał się Andy niepewnie.

- W sytuacji kryzysowej mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek. - Duży Jim serdecznie poklepał Pete'a Randolpha po plecach. Nowy komendant policji nie oczekiwał takiego gestu i omal się nie Zakrzusił.

- A jeśli wybuchnie panika? - spytał Andy.

- Istnieje taka możliwość. Jeśli kopnąć w gniazdo myszy, zapewne się rozbiegną. Wobec czego będziemy musieli powiększyć siły porządkowe. I to znacznie.

Randolph był wyraźnie zaskoczony.

- Mamy dwudziestu funkcjonariuszy. Wliczając w to... - Głową wskazał w kierunku drzwi.

- Aha - przytaknął Duży Jim. - A skoro już o nich mowa, zaprosz ich, komendancie, żebyśmy mogli zakończyć sprawę i wysłać ich do domu spać. Mam przeczucie, że będą jutro bardzo zajęci.

I jeśli przy tym oberwą po uszach, tym lepiej. Należy im się za to, że nie potrafią utrzymać ptaszka w spodniach.

2

Frank, Carter, Mel i Georgia weszli jak podejrzani mający się ustawić do rozpoznania. Twarze mieli zacięte i wyzywające, lecz niepewne. Hanna Compton by ich wyśmiała. Pospuszczali oczy, wpatrywali się we własne buty Duży Jim od razu się domyślił, że oczekują wyrzucenia z pracy albo i czegoś gorszego. Bardzo mu to odpowiadało. Najłatwiej kierować ludźmi, którzy się boją.

- No tak - zaczął. - Oto nieustraszeni policjanci. Georgia Roux mruknęła coś pod nosem.

- Głośniej, skarbie. - Duży Jim przyłożył dłoń do ucha.

- Powiedziałam, że nie zrobiliśmy nic złego.

Ton, jakim dziecko tłumaczy mamusi, że nauczyciel jest złośliwy.

- Więc coście dokładnie zrobili?

Gdy Georgia, Frank i Carter zaczęli mówić jednocześnie, wskazał Frankiego.

- Ty mów.

I mów z sensem, na litość boską.

- Byliśmy tam - zaczął Frank - i ona nas zaprosiła.

- Właśnie! - krzyknęła Georgia, zakładając ręce na obfitym biuście. - Ona...

- Cicho. - Duży Jim wycelował w nią grubym palcem. - Jedno mówi za wszystkich.

Tak to jest w drużynie. Jesteście drużyną?

Carter Thibodeau pierwszy połapał się, do czego zmierza ta rozmowa.

- Tak jest, proszę pana.

- Miło mi to słyszeć. - Duży Jim kiwnął na Franka, żeby mówił dalej.

- Powiedziała, że ma trochę piwa - podjął Frank. - Tylko dlatego weszliśmy. No bo teraz nie można kupić piwa. Siedzieliśmy tam sobie i popijaliśmy piwko, każdy tylko jedno, chociaż właściwie byliśmy już niby po służbie...

- Całkowicie po służbie - poprawił go komendant. - Prawda?

- Tak jest - przytaknął Frank z szacunkiem. - Właśnie to chciałem powiedzieć. Więc wypiliśmy piwo i powiedzieliśmy, że pora wracać, ale ona powiedziała, że jest nam wdzięczna za to, co robimy, i chciałyby nam podziękować. A potem tak jakby w zasadzie rozłożyła nogi.

- Pokazując bobra - wyjaśnił Mel z szerokim, bezmyślnym uśmiechem.

Duży Jim skrzywił się niemiłosiernie. W myślach podziękował opatrności, że nie ma z nimi Andrei Grinnell. Narkomanka czy nie, w takiej sytuacji z pewnością zachowałaby polityczną poprawność.

- Zaprosiła nas do sypialni, jednego po drugim - podjął Frankie. - Wiem, nie powinniśmy i bardzo nam przykro, ale wszystko odbyło się za jej zgodą.

- Jestem tego pewien - oznajmił komendant Randolph. - Ta dziewczyna ma zszarganą opinię. Jej mąż też. Nie widzieliście tam przypadkiem jakichś narkotyków?

- Nie, proszę pana - odpowiedział chór czterech głosów.

- I nie skrzywdziliście jej? - upewniał się Duży Jim. - Bo ona twierdzi, że została pobita i nie wiadomo co tam jeszcze.

- Nikt jej nie uderzył - stwierdził Carter. - Mogę powiedzieć, co myślę?

Duży Jim zezwolił mu machnięciem ręki. Zaczynał sądzić, że w panu Thibodeau drzemią niejake możliwości.

- Przypuszczam, że po naszym wyjściu się przewróciła. Może nawet więcej niż raz. Była zdrowo zalana. Opieka społeczna powinna jej odebrać syna, zanim go zabije.

Nikt nie podjął tego wątku. W obecnej sytuacji opieka społeczna z siedzibą w Castle Rock mogła się równie dobrze znajdować na Księżycu.

- Rozumiem z tego, że jesteście niewinni - podsumował Duży Jim.

- Jak nowo narodzone dzieci - przytaknął Frank.

- Tyle chyba wystarczy. - Duży Jim rozejrzał się dookoła. - Czy tyle wam wystarczy, panowie?

Andy i Randolph z wyraźną ulgą zgodnie pokiwali głowami.

- Doskonale - ocenił Duży Jim. - A teraz, ponieważ mamy za sobą dzień pełen wrażeń, wszystkim nam przyda się trochę snu. Zwłaszcza młodym funkcjonariuszom, bo jutro stawiacie się na służbę o siódmej rano. Supermarket oraz sklep przy stacji Gas & Grocery zostaną zamknięte na czas kryzysu. Komendant Randolph wyznaczył was do pilnowania Food City, na wypadek gdyby ktoś się nie dostosował do nowego porządku. Czy da pan sobie radę, panie Thibodeau? Z pańską... raną bitewną?

Carter zgiął ramię.

- Nic mi nie jest. Pies nie naruszył mi żadnego ścięgna.

- Możemy wysłać z nimi Freda Dentona - zaproponował Randolph. - Przy Gas & Grocery powinni wystarczyć Wettington i Morrison.

- Jim - odezwał się Andy - pod Food City powinni pójść bardziej doświadczeni policjanci. A ci nowi do mniejszego...

- Nie zgadzam się z tobą - odparł Duży Jim. Z uśmiechem. Wycucie. - Właśnie ci młodzi ludzie są potrzebni pod Food City. Nikt inny. I jeszcze jedna rzecz. Mały ptaszek powiedział mi na uszko, że macie w samochodzie broń, a dwóch nawet nosi ją ze sobą w czasie patrolu.

Jego słowa skomentowała głucha cisza.

- Jesteście w okresie próbnym - podjął Duży Jim. - Skoro macie prywatną broń, możecie ją nosić jako Amerykanie. Ale jeżeli usłyszę, że któreś z was będzie miało przy sobie pukawkę, stojąc jutro przed Food City i mając do czynienia z mieszkańcami tego miasta, jego służba w charakterze funkcjonariusza policji dobiegnie końca w trybie natychmiastowym.

- Racja - poparł go Randolph.

Duży Jim powiódł wzrokiem po Franku, Carterze, Melu i Georgii.

- Rozumiemy się? Czy są jakieś sprzeczności?

Nie byli uszczęśliwieni, jednak szybko się pogodzili z decyzją. Thibodeau bez przerwy

zginał ramię oraz palce, sprawdzając, czy są sprawne.

- A mogą być nienaładowane? - spytał Frank. - No tak po prostu, na wszelki wypadek.

Duży Jim uniósł palec wskazujący jak nauczyciel.

- Powiem ci, Frank, to co powiedział mi kiedyś ojciec. Nie ma czegoś takiego jak nienaładowana broń. Mieszkamy wśród uczciwych ludzi. Będą się zachowywali poprawnie, to pewne jak w banku. Jeśli oni się zmieniają, wówczas my także. Rozumiesz?

- Tak jest, proszę pana. - Frank nadal nie wydawał się uszczęśliwiony.

Dużemu Jimowi to pasowało. Wstał. Lecz zamiast wyprowadzić funkcjonariuszy z komisariatu, otworzył szeroko ramiona. Widząc ich wahanie, pokiwał głową z uśmiechem.

- No chodźcie. Przed nami ciężki dzień, trzeba się wesprzeć słowem modlitwy. Weźcie się za ręce.

Zrobili, co kazał. Duży Jim zamknął oczy, pochylił głowę. - Dobry Boże... Trwało to jakiś czas.

3

Barbie wszedł do swojego mieszkania zewnętrznymi schodami kilka minut przed północą. Przygarbił się ze zmęczenia i marzył tylko o tym, by na dobre sześć godzin zapaść w odrętwienie, zanim bezlitosny budzik wyrwie go ze snu i każe iść do Sweetbriar Rose szykować śniadanie.

Wystarczyło, że zapalił światło, które wciąż działało dzięki generatorowi Andy'ego Sandersa, a całe znużenie go opuściło.

Ktoś tu był.

Ślady były tak subtelne, że z początku nie potrafił ich odszukać. Zamknął oczy, potem je otworzył i pozwolił wzrokowi błądzić bez celu po wnętrzu stanowiącym połączenie salonu i kuchni. Starał się patrzeć na wszystko i wszystko widzieć. Książki, które zamierzał zostawić w mieście, stały na półkach, tak jak je zostawił. Krzesła też nikt nie ruszył z miejsca - jedno pod lampą, drugie przy oknie z widokiem na ulicę. Filizanka po kawie i talerzyk po toście tkwiły na suszarce obok mikroskopijnego zlewu.

I nagle zrozumiał. Zwykle tak się dzieje, jeżeli człowiek nie stara się za bardzo. Dywanik. „Nie dla Lindsaya”.

Półtora metra długości, pół metra szerokości. „Nie dla Lindsaya” miał wzór diamentowy w kolorach niebieskim, czerwonym, białym i brązowym. Barbie kupił go w Bagdadzie, ale iracki policjant zapewnił go, że dywanik pochodzi z kurdyjskiej fabryczki. „Bardzo stary, bardzo piękny”. Policjant nazywał się Latif abd al - Khaliq Hassan. Dobry był z

niego funkcjonariusz. „Wygląda na turecki, ale nie, nie, nie”. Szeroki uśmiech. Śnieżnobiałe zęby. Tydzień później kula snajpera rozsadziła mu mózg. „Nie turecki. Iracki!”.

Handlarz miał na sobie koszulkę z nadrukiem NIE STRZELAĆ DO PIANISTY. Latif słuchał go dłuższą chwilę, potakując. Potem się śmiali. Sprzedawca wykonał zaskakująco amerykański gest imitujący masturbację, a wtedy śmiali się jeszcze głośniej.

- O co chodziło? - spytał Barbie.

- Mówi, że amerykański senator kupił takich pięć. Lindsay Graham. Pięć dywanów, pięć setek dolarów. Pięć setek na rękę, na oczach ludzi. A dużo więcej do kieszeni. Ale wszystkie dywany senatora fałszywe. Tak, tak, tak. Ten nie fałszywy. Ten prawdziwy. Ja Latif Hassan ci to mówię, Barbie. To nie dywan dla Lindsaya Grahama. Nie dla Lindsaya.

Latif podniósł dłoń i Barbie przybił mu piątkę. To był dobry dzień. Gorący, ale dobry. Dywan zmienił właściciela za dwieście dolarów amerykańskich oraz uniwersalny odtwarzacz DVD. „Nie dla Lindsaya” był jedynym upominkiem z Iraku. Barbie nigdy na niego nie wszedł. Zawsze go okrążał. Zostawił go, opuszczając Chester's Mill, prawdopodobnie dlatego, że w ten sposób poniekąd chciał zostawić za sobą Irak, ale na to nie miał wielkich szans. Gdziekolwiek byś poszedł, tam jesteś. Epokowa prawda zen.

Nigdy na niego nie wszedł, był pod tym względem przesądny, zawsze go okrążał, jakby nadeptanie na ten dywan mogło aktywować jakiś komputer w Waszyngtonie i spowodować, że znalazłby się z powrotem w Bagdadzie albo w cholernej Al - Falludży. Ktoś jednak na niego wszedł, bo „Nie dla Lindsaya” był zmierzwiony. Zmarszczony. I lekko przekrzywiony. Rano leżał idealnie prosto. Rano, tysiąc lat temu.

Barbie przeszedł do sypialni. Narzuta na łóżku była nietknięta, ale nadal miał nieodparte przekonanie, że i tutaj ktoś wchodził. Czy to ledwo uchwytny zapach potu? A może atmosfera? Barbie nie wiedział i wcale go to nie obchodziło. Podeszedł do komody, otworzył górną szufladę i od razu zobaczył, że wypłowiałe dzinsy, które poprzednio były na szczycie stertki, teraz znalazły się na jej spodzie. A krótkie spodnie khaki, złożone z zapiętym suwakiem, teraz miały suwak rozpięty.

Natychmiast zajrzał do drugiej szuflady, do skarpetek. Nie potrzebował nawet pięciu sekund, żeby stwierdzić, że identyfikator zniknął. I wcale nie był tym zdziwiony. Ani trochę.

Chwycił komórkę, którą także zamierzał zostawić w mieście, i wrócił do salonu. Książka telefoniczna z numerami Tarker's i Chester's leżała na stoliku przy drzwiach, cienka broszura. Zajrzał do niej bez przekonania, bo komendant policji zwykle nie afiszuje się z numerem swojego domowego telefonu w książce telefonicznej.

Tyle że najwyraźniej w małych miasteczkach panowały odmienne obyczaje. W

każdym razie tutaj, choć informacja była dość dyskretna: „H. i B. Perkins, Morin Street 28”. Mimo że minęła północ, Barbie bez wahania wystukał numer. Nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Miał przeczucie, że może mu zabraknąć czasu.

4

Zacwierał telefon. Niewątpliwie Howie, dzwoni uprzedzić, że będzie późno, więc czas zamykać drzwi, iść spać...

I znowu ta bolesna świadomość - Howie nie żyje. Nie miała pojęcia, kto mógł dzwonić o tej porze, dwadzieścia minut po północy, ale z pewnością nie Howie.

Skrzywiła się i usiadła, rozcierając kark, przeklinając siebie za brak rozwagi, bo kto sypia na kanapie, jeśli nie musi? Przekląła też tego, kto ją obudził o tak niehumanitarnej godzinie i przypomniał, że została sama.

Potem dotarło do niej, że może być tylko jeden powód telefonu o tej porze. Kopuła zniknęła albo została otwarta. Sięgając po telefon, Brenda uderzyła nogą w stolik do kawy na tyle mocno, że leżące na nim papiery podskoczyły. Pokuśtykała do aparatu stojącego przy fotelu Howiego (widok pustego mebla sprawiał jej ból) i chwyciła słuchawkę.

- Co jest? O co chodzi?

- Mówi Dale Barbara.

- Barbie! Udało się ją zniszczyć? Wyszliśmy spod klosza?

- Nie. Bardzo bym chciał dzwonić w tej sprawie, ale nie.

- Więc co się stało? Jest prawie wpół do pierwszej!

- Powiedziałaś, że twój mąż prowadził dochodzenie w sprawie Jima Renniego.

Brenda milczała chwilę, usiłując zebrać myśli. Przyłożyła dłoń do szyi, w miejscu, którego dotknął Howie, gdy widzieli się po raz ostatni.

- Rzeczywiście, ale tak jak ci powiedziałam, nie miał absolutnej...

- Tak, pamiętam. Chciałbym, żebyś mnie teraz uważnie posłuchała. Możesz się skupić. Jesteś już przytomna?

- Tak, już tak.

- Czy twój mąż robił notatki?

- Tak. W laptopie. Wydrukowałam je. - Spojrzała na kartki z informacjami z pliku VADER rozrzucone na stoliku.

- To dobrze. Jutro rano włóż ten wydruk do koperty i zanieś do Julii Shumway. Powiedz, żeby ją ukryła w bezpiecznym miejscu. Nawet w sejfie, jeśli ma. W kasie panczernej albo w zamykanej na klucz szafce, jeśli nie ma czegoś mocniejszego. Powiedz jej, że ma

otworzyć kopertę jedynie wówczas, gdyby coś złego stało się tobie, mnie lub nam obojgu.

- Przerazasz mnie.

- W innym wypadku niech nie otwiera. Czy Julia cię posłucha? Wydaje mi się, że tak.

- Oczywiście, ale dlaczego nie pozwolić jej zajrzeć?

- Bo jeśli wydawca lokalnej prasy zobaczy, co twój mąż miał na Dużego Jima, a Duży Jim zorientuje się, że ona to widziała, większość dowodów zniknie. Rozumiesz?

- Tak... Tak.

Z całego serca pragnęła, żeby to nie ona, lecz Howie prowadził tę nocną rozmowę.

- Powiedziałem ci dzisiaj, że mogę zostać aresztowany, jeśli pocisk nie przebijie kopuły. Pamiętasz?

- Oczywiście.

- Nie zamknęli mnie. Ten tłusty skurczybyk potrafi rozgrywać karty. Ale teraz już nie będzie czekał. Jestem prawie na sto procent pewien, że trafię za kratki jutro... to znaczy dziś. W takim wypadku pamiętaj, że i tak nie powstrzymasz biegu wypadków, jeśli zagroźysz, że rozgłosisz prawdę o wszystkich brudach, których się dokopał twój mąż.

- Pod jakim zarzutem cię aresztują?

- Nie mam pojęcia, ale na pewno nie za drobną kradzież w sklepie. A kiedy już znajdę się za kratkami, może mi się przydarzyć jakiś wypadek. Widziałem wiele takich wypadków w Iraku.

- To jakieś szaleństwo.

Niestety, przeraźliwie wiarygodne, jak w sennym koszmarze.

- Jeśli się zastanowisz, przyznasz mi rację. Rennie ma coś do ukrycia, potrzebuje kozła ofiarnego, komendant policji tańczy, jak on mu zagra. Wszystko pasuje.

- Zamierzałam porozmawiać z Renniem. Dla bezpieczeństwa wziąć ze sobą Julię.

- Nie zabieraj Julii. Ale nie idź sama.

- Chyba nie przypuszczasz, że on...

- Nie wiem, co zrobi, jak daleko się posunie. Komu ufasz poza Julią?

Wróciła myślą do minionego popołudnia. Ogień w zasadzie ugaszony, ona sama stoi niedaleko Little Bitch Road, w doskonałym nastroju mimo żaloby, podratowana przez endorfiny. Romeo Burpee mówi jej, że powinna kandydować na komendanta straży pożarnej.

- Rommie Burpee.

- Niech będzie on.

- Czy powinnam mu powiedzieć, co Howie miał...

- Nie. Niech będzie tylko polisą ubezpieczeniową. I jeszcze jedno: zabezpiecz laptop

męża. Ukryj go.

- Dobrze... Tylko jeśli ukryję laptop, a wydruk zostawię u Julii, to co pokażę Jimowi? Chyba będę musiała zrobić drugą kopię...

- Nie, nie. Jedna w zupełności wystarczy. Przynajmniej na razie. Postraszyć go boskim gniewem to jedno, ale jeśli się wścieknie, będzie nieprzewidywalny. Brendo, czy ty jesteś przekonana, że on ma brudne ręce?

- Całkowicie - odparła bez wahania.

Ponieważ wierzył w to Howie, pomyślała. Tyle mi wystarczy. - I pamiętasz, co jest w tym pliku?

- Nie znam wszystkich liczb i nazw banków, ale mam ogólny zarys.

- Wobec tego ci uwierzy - stwierdził Barbie. - Nie musisz mu pokazywać dowodów czarno na białym, żeby ci uwierzył.

5

Brenda włożyła wydruki do żółtawej koperty. Napisała na niej „Julia” i położyła na kuchennym blacie. Następnie poszła do gabinetu Howiego. Sejf był niewielki, musiała postawić laptop na boku, w końcu jednak się zmieścił. Wprowadziła kombinację cyfr, a na koniec zakręciła gałką nie raz, lecz dwa razy, tak jak ją uczył mąż. Akurat wtedy zgasło światło. Irracjonalnie uznała, że stało się tak z powodu tego drugiego obrotu gałki.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to generator zużył cały gaz.

6

We wtorkowy rano, o godzinie szóstej pięć zjawił się Junior. Twarz miał bladą i nieogoloną, włosy w nieładzie. Duży Jim siedział przy kuchennym stole, ubrany w biały szlafrok o rozmiarze przypominającym grot na kliperze. Pił colę.

Junior pokiwał głową. - Dobry dzień zaczyna się od dobrego śniadania. Duży Jim podniósł puszkę, przełknął łyk.

- Nie ma kawy. To znaczy, kawa jest, ale nie ma elektryczności. Skończył się gaz do generatora. Też chcesz trochę kofeiny? Cola jeszcze zimna, a ty wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Raczej ci nie zaszkodzi.

Junior otworzył lodówkę i zajrzał do ciemnego wnętrza.

- Mam uwierzyć, że nie potrafisz zorganizować paru pojemników z gazem?

Duży Jim spał się odrobinę, lecz tylko na moment. Pytanie było uzasadnione, nie

oznaczało, że Junior wie wszystko. Na złodzieju czapka gore.

- Powiedzmy, że w danym momencie byłoby to niepoprawne politycznie.

- Uhm.

Junior zamknął lodówkę i usiadł po drugiej stronie stołu. Popatrzył na ojca ze swego rodzaju rozbawieniem pełnym zdumienia, które Duży Jim mylnie odebrał jako sentyment.

Rodzina, która morduje razem, trzyma się razem, pomyślał Junior.

W każdym razie, przez jakiś czas, dopóki to jest...

- ...polityczne - powiedział głośno.

Duży Jim pokiwał głową i uważniej przyjrzał się synowi, który jadł kielbasę wołową. Nie spytał go: „Gdzie byłeś?”, nie zapytał: „Co się z tobą dzieje?”, chociaż w bezlitosnym świetle poranka widać było dokładnie, że coś jest nie tak. Miał do syna inne pytanie.

- Powiedziałeś: ciała. W liczbie mnogiej. Zgadza się? - Tak.

Junior odgryzł słuszny kawał kielbaski i popił colą. W kuchni panowała niezwykła cisza, bez szumu lodówki i bulgotania ekspresu do kawy.

- I we wszystkie te ciała można ubrać pana Barbarę?

- Tak. We wszystkie.

Następny kęs. Przełknięcie. Junior patrzył na ojca bez zmrużenia, pocierając lewą skroń.

- Możesz je odkryć dzisiaj około południa.

- Nie ma sprawy.

- I dowód świadczący przeciwko panu Barbarze, oczywiście.

- Tak. - Junior się uśmiechnął. - To dobry dowód.

- Nie idź dzisiaj do komisariatu, synu.

- Lepiej pójde - ocenił Junior. - Dziwnie by wyglądało, gdybym nie poszedł. Zresztą nie jestem zmęczony. Spałem z... - Umilkł, pokręcił głową. - Spałem. Kropka.

Duży Jim nie spytał także: „Z kim spałeś?”. Miał poważniejsze kłopoty niż to, z kim jego syn baraszkował nocą. Natomiast cieszył się, że chłopak nie był z kolegami, którzy zabawili się z tym ludzkim śmieciem z przyczepy przy Morton Road. Zadawanie się z taką dziewczyną prowadziło najprostszą drogą do złapania jakiejś francy.

On już jest chory, szepnął głos w głowie Dużego Jima. Może to był ślad obecności jego żony.

Spójrz na niego.

Jednak tego ranka Duży Jim miał na głowie poważniejsze sprawy niż kłopoty trawienne Juniora, czy co to tam było.

- Nie powiedziałem, żebyś się kładł do łóżka. Wyznaczę cię na patrol samochodowy, będziesz miał dużo pracy. Tylko trzymaj się z daleka od Food City. Podejrzewam, że tam będą kłopoty.

Junior wyraźnie się ożywił.

- Jakie kłopoty?

Duży Jim nie odpowiedział wprost.

- Możesz znaleźć Sama Verdreaux?

- Jasne. Na pewno będzie w tym swoim kurniku przy God Creek Road. Normalnie o tej porze by spał, ale dzisiaj raczej ma delirkę. - Junior rozpogodził się na widok wyobrażonej sceny, po czym skrzywił się i znowu pomasaował skroń. - Naprawdę uważasz, że akurat ja powinienem do niego jechać? Ostatnio raczej mnie nie kocha. Pewnie mnie nawet usunął ze swojego facebooka.

- Nie rozumiem.

- To był dowcip. Nieważne.

- Jak sądzisz, zapala do ciebie cieplejszym uczuciem, jeśli mu zanieziesz butelczynę whisky? A obiecasz więcej po wykonaniu roboty?

- Ten stary pijaczyna pokocha mnie, jeśli mu zaniosę pół szklanki sikacza.

- Weźmiesz whisky od Browniego - polecił Duży Jim. Poza artykułami spożywczymi podłej jakości oraz książkami z wydawnictwa Beaver Books, Brownie jako jeden z trzech sklepów w mieście był uprawniony do sprzedaży alkoholu. Policja miała klucze do wszystkich trzech. Duży Jim przesunął go po stole. - Tylnymi drzwiami. I nie rzucaj się w oczy.

- Co Niechluj Sam ma zrobić za procenty?

Duży Jim wyjaśnił synowi swój zamiar. Junior słuchał beznamiętnie. Tylko czerwona plamka tańczyła mu przed oczami. Na koniec miał jedno pytanie.

- Czy to się uda?

- Uda się. - Duży Jim pokiwał głową. - Mam przeczucie. Junior ugryzł kiełbasę, przełknął, popił colą.

- Ja też - stwierdził. - Ja też.

Po wyjściu Juniora Duży Jim poszedł do gabinetu - wciąż w szlafroku, który wydymał się wokół niego jak żagiel. Wyjął telefon komórkowy ze środkowej szuflady biurka, gdzie odkładał go, kiedy tylko mógł. Uważał, że takie nowinki techniczne, szatańskie wynalazki, są

przyczyną mnóstwa niepotrzebnego bicia piany... ileż to godzin stracono na bezużyteczną gadaninę? I na dodatek wydzielały szkodliwe promieniowanie, które trafiało bezpośrednio w głowę.

Mimo wszystko czasem się przydawały. Duży Jim zakładał, że Sam Verdreaux wykona polecenia Juniora, ale też głupotą byłoby nie zadbać o jakieś zabezpieczenie.

Wybrał numer z ukrytych kontaktów, do których można było się dostać jedynie po wpisaniu hasła numerycznego. Odczekał co najmniej sześć sygnałów, zanim ktoś odebrał.

- Co jest? - warknął któryś z licznych Killianów.

Duży Jim skrzywił się, na sekundę odsunął telefon od ucha. Gdy przytknął go znowu, usłyszał w tle gdakanie kur.

- Rog? Jesteś na farmie?

- No. To znaczy, tak, tak. Kurczaki trzeba nakarmić, czy susza, czy powódź, czy inna zaraza.

Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Od irytacji do szacunku. I nic dziwnego. Roger Killian powinien darzyć Dużego Jima szacunkiem, bo Duży Jim zrobił z niego zafajdanego milionera. Skoro nadal wstawał o świcie i tracił czas na żywienie stadka kurczaków, zamiast korzystać z życia bez trosk finansowych, widać taka była wola Boża. Roger był zbyt głupi, żeby zmienić zwyczaje. Taką miał naturę i dziś był dla Dużego Jima niezastąpiony.

Oraz dla miasta, pomyślał Duży Jim.

Bo robię to dla miasta. Dla dobra jego mieszkańców.

- Roger, mam zajęcie dla ciebie i trzech twoich najstarszych synów.

- Tylko dwóch mam w domu - powiedział Roger. - Jest Ricky i Randall. Roland pojechał do Oxfordu po karmę, kiedy opadła Boża kopuła... - przerwał, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział. W tle nadal gdały kury. - Przepraszam za używanie nadaremno imienia Bożego.

- Bóg ci wybaczy - ocenił Duży Jim. - Wobec tego będziesz ty i dwóch twoich najstarszych. Możecie być w mieście mniej więcej o... - Duży Jim szybko dokonał w myślach niezbędnych obliczeń. Jak człowiek ma wycucie, wszystko idzie sprawnie. - Powiedzmy o dziewiątej? Najpóźniej o dziewiątej piętnaście?

- Będę musiał ich obudzić, ale tak, jasne. Co mamy zrobić? Przywieźć trochę propa...

- Nie. I ani słowa na ten temat, jak mi Bóg miły. Teraz posłuchaj.

I mówił jakiś czas.

A Roger Killian, jak mu Bóg miły, słuchał. W tle nadal gadało i ćwierkało osiem setek kurczaków karmionych steroidami.

- Co? Co takiego?! Dlaczego???

Jack Cale siedział przy swoim biurku w zagraconym biurze kierownika Food City. Na blacie poniewierały się karty ze spisem towarów, który zamknęli z Erniem Calvertem o pierwszej nad ranem. Nadzieje na wcześniejsze ukończenie pracy przepadły razem z deszczem meteorów. Teraz zebrał kartki razem - duże, żółte, pokryte długimi kolumnami ręcznego pisma - i potrząsnął nimi przed twarzą Petera Randolpha, który stał w drzwiach. Nowy komendant wystroił się na tę wizytę w mundur galowy.

- Patrz, Pete. Przejrzyj to, zanim zrobisz coś głupiego.

- Przykro mi, Jack. Sklep jest zamknięty. Otworzymy w czwartek, jako magazyn żywności. Będziemy dzielić po równo i tak dalej. Pozapisujemy, co i jak, firma nie straci ani centa, tego możesz być pewien...

- Nie w tym rzecz! - Niewiele brakowało, a Jack byłby jęknął z rozpacz.

Był po trzydziestce, miał łagodną dziecinną twarz i gęstą szopę sztywnych jak druty rudych włosów, które teraz szarpał wolną ręką.

Peter Randolph najwyraźniej nie zamierzał przyjrzeć się bliżej żółtym kartkom.

- Tutaj! I tutaj! Sam zobacz! - denerwował się Jack. - O czym ty w ogóle mówisz?

Z piwnicy wypadł zwabiony krzykami Ernie Calvert. Miał wielki brzuch, czerwoną twarz i siwe włosy obcięte na rekruta, tak nosił je całe życie. Ubrany był w kombinezon Food City.

- On chce zamknąć sklep! - obwieścił Jack.

- Co za pomysł, na litość boską?! Przecież towaru jest pod dostatkiem! - spytał Ernie rozgniewany. - Po co straszyć ludzi? I tak będą mieli czego się bać, jeśli ta kopuła szybko nie zniknie. Kto wpadł na ten kretyński pomysł?!

- Przegłosowali go radni - odpowiedział Randolph. - Wszelkie obiekcje wobec planu możecie przedstawić na spotkaniu w czwartek wieczorem. Oczywiście jeśli do tej pory jeszcze się to wszystko nie skończy.

- Jakiego planu?! - krzyknął Ernie. - Chcesz mi powiedzieć, że Andrea Grinnell głosowała za czymś takim? Ta kobieta nie jest głupia!

- O ile mi wiadomo, ma grypę - powiedział Randolph. - Leży w łóżku. Dlatego decyzję podjął Andy, a Duży Jim go poparł.

Nikt nie udzielał mu instrukcji, że ma sprawę przedstawić w ten sposób, ale też nikt nie musiał. Randolph wiedział, jak Duży Jim załatwia interesy.

- Racjonowanie żywności może się w pewnym momencie okazać sensowne - przyznał Jack - ale dlaczego akurat teraz? - Znowu potrząsnął żółtymi kartkami, policzki miał niemal tak samo czerwone jak włosy. - Dlaczego teraz, skoro magazyny pękają w szwach?!

- To najlepszy moment, żeby zacząć oszczędzać - odparł Randolph.

- Jasne, więc niech zaczniesz od siebie, ten co ma motorówkę na jeziorze Sebago i vectrę winnebaggo pod drzwiami - powiedział Jack.

- Nie zapominajmy o hummerze Dużego Jima - podpowiedział Ernie.

- Dostyc tego - uciał Randolph. - Radni zdecydowali...

- Tylko dwóch - stwierdził Jack.

- Dokładnie biorąc, jeden - poprawił go Ernie. - I wszyscy doskonale wiemy który.

- ...a ja przekazałem ich polecenie, więc koniec dyskusji. Wystaw w oknie tabliczkę ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA.

- Pete, posłuchaj. Zastanów się chwilę. - Ernie już nie wydawał się rozgniewany, prawie błagał. - Ludzie będą przerażeni. Jeżeli koniecznie upieracie się, żeby zamknąć, to napisz: ZAMKNIĘTE Z POWODU INWENTARYZACJI, OTWARCIE WKRÓTCE. Albo: PRZEPRASZAMY ZA CHWILOWE UTRUDNIENIA. I wtedy „chwilowe” na czerwono albo jakoś inaczej wyróżnić.

Peter Randolph wolno pokręcił głową.

- Nie mogę ci na to pozwolić. Nie mógłbym, nawet gdybyś nadal był tu oficjalnie zatrudniony, jak on. - Wskazał brodą Jacka Cale'a, który odłożył na biurko żółte kartki, żeby móc rwać włosy dwoma rękami. - ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA. Tak mi kazali powtórzyć radni, a ja muszę wykonywać ich polecenia. Zresztą kłamstwo ma krótkie nóżki.

- Wiem, co by z tym poleceniem kazał zrobić Duke Perkins - stwierdził Ernie. - Dokładnie to, co i ty powinienes. Kazałby radnym się nim podetrzeć. Wstyd mi za ciebie. Nisko upadłeś. Tańczysz, jak ci zagrają. A kiedy mówią skacz, pytasz, jak wysoko.

- Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, to zamknij twarz i rób, co ci kazano. - Peter Randolph wycelował w starszego mężczyznę palcem. Nieco drżącym. - Chyba że chcesz spędzić resztę dnia w więzieniu, za obrazę władzy. Mamy sytuację kryzysową...

Ernie patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Za obrazę władzy? Nie ma czegoś takiego!

- Teraz jest. Nie wierzysz? Możesz się przekonać.

doszła, jak się zaczęły rozruchy pod Food City, ale nie miała najmniejszej szansy tego wydrukować. A nawet gdyby miała, musiałaby z tego zrobić normalną informację, napisaną zgodnie z dziennikarskim kanonem w formie odpowiedzi na sześć podstawowych pytań: „Kto brał udział w zdarzeniu?”, „Co się działo?”, „Kiedy?”, „Gdzie?”, „Dlaczego?” i „Jak do tego doszło?”. Bo gdyby miała napisać o swoich odczuciach, byłaby w dużym kłopotcie. Jak wytłumaczyć, że ludzie, których znała całe życie, których lubiła i szanowała - zmienili się w bezmyślny tłum? Potem powiedziała sobie: Mogłabym zrobić więcej, lepiej zaradzić sytuacji, gdybym tam była od początku i widziała, jak to się zaczęło. Ale to była tylko próba racjonalizowania, odrzucenie strasznej prawdy, że gdy się sprowokuje przerażonych ludzi, budzi się w nich krwiożercza bezmyślna bestia. Widywała takie potwory w telewizyjnych wiadomościach, zwykle w doniesieniach z obcych krajów. Nie spodziewała się ich spotkać w rodzinnym mieście.

Najgorsze, że naprawdę nie było powodu. Miasto było odcięte od świata dopiero trzecią dobę, ludziom właściwie nie brakowało niczego. Tylko propanu było zadziwiająco mało.

Później mogłaby napisać: „W tamtej chwili mieszkańcy miasta w końcu sobie uświadomili, co się dzieje”. Pewnie było to twierdzenie prawdziwe, ale jej nie satysfakcjonowało. Z całkowitą pewnością mogła powiedzieć jedynie (i powiedziała, ale tylko do siebie), że była świadkiem, jak mieszkańcy Chester's Mill stracili rozum.

10

Pierwsze czytają informację o zamknięciu supermarketu Gina Buffalino oraz jej przyjaciółka Harriet Bigelow. Obie są ubrane na białą, jak prawdziwe pielęgniarki (na ten pomysł wpadła Ginny Tomlinson - uznała, że strój pielęgniarki wzbudza w pacjentach większe zaufanie niż fartuszki w białą - różowe prążki, jakie nosiły wolontariuszki), i wyglądają naprawdę bardzo ładnie. Wyglądają też na zmęczone, mimo młodzieńczej energii. Mają za sobą dwa trudne dni, a następny przed sobą, po bardzo krótkim odpoczynku w nocy. Przyjechały po batoniki. Zamierzają kupić dla wszystkich oprócz biednego Jimmy'ego Siroisa, cukrzyka. Rozmawiają o deszczu meteorów. Przed drzwiami milkną. Czytają informację z tabliczki.

- Niemożliwe - mówi Gina z niedowierzaniem. - Jest wtorek.

Przyciska twarz do szkła, osłania ją dłońmi przed porannym słońcem. W tym czasie podjeżdża Anson Wheeler z Rose Twitchell na siedzeniu pasażera. Zostawili w Sweetbriar Rose Barbiego kończącego podawanie śniadania. Rose wyskakuje z półciężarówki z jej

imieniem wymalowanym na burcie, zanim Anson wyłączył silnik. Ma długą listę zakupów i chce się z nimi uporać jak najszybciej. Dostrzega na drzwiach tabliczkę ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA.

- Co za cholera? Wczoraj wieczorem widziałam Jacka, słowem się nie zająknął...

Mówi do Ansona, który coś burczy niezadowolony, natomiast odpowiada jej Gina Buffalino.

- Pełne półki. Niczego nie brakuje.

Sklep powinien zostać otwarty za pięć minut. Pojawiają się następni klienci. W całym mieście ludzie budzili się rano, stwierdzali, że kopuła nie znikła, i postanawiali uzupełnić zapasy. Zapytana później o wyjaśnienie tego nagłego napływu klientów Rose powiedziałaaby: „To samo dzieje się każdej zimy, kiedy meteorolodzy ostrzegają przed zamieciami. Sanders i Rennie nie mogli wybrać gorszej chwili”.

O tej wczesniej porze przed supermarketem są także obsady wozu numer dwa i wozu numer cztery z departamentu policji Chester's Mill. Tuż za nimi przyjechał Frank DeLesseps w swojej bryce (zerwał naklejkę DUPCIA, TRAWKA ALBO WACHA, uznał, że nie przystoi funkcjonariuszowi policji). W dwójce siedzą Carter i Georgia, w czwórce Mel Searles oraz Freddy Denton. Zaparkowali nieco dalej, pod Maison des Fleurs, zgodnie z rozkazem komendanta Randolpha. „Nie powinniście się tam zjawić zbyt wcześnie. Zaczekajcie, aż będzie z tuzin samochodów na parkingu. Może ludzie po prostu przeczytają informację i pojedą do domu”.

Oczywiście tak się nie stało, Duży Jim Rennie od razu o tym wiedział. A pojawienie się policjantów, zwłaszcza tych młodych i całkiem świeżych, działa jak katalizator, wcale nie uspokaja. Pierwsza zaczepia ich Rose. Wybiera Freddy'ego, wymachuje mu przed oczami długą listą zakupów, potem wskazuje okno, za którym potrzebne jej towary stoją na półkach. Freddy jest z początku grzeczny, bo ma świadomość, że ludzie (choć nie tłum, jeszcze nie) go obserwują. Trudno jednak na dłuższą metę zachować zimną krew, jak człowiekowi taka wrzaskliwa jędza podskakuje przed nosem. Czy ona naprawdę nie rozumie, że muszą wypełniać rozkazy?

- Fred, kto twoim zdaniem żywi to miasto? - pyta Rose. Anson kładzie jej dłoń na ramieniu. Rose niecierpliwie strząsa jego rękę. Wie, że Freddy widzi na jej twarzy tylko gniew, choć ona jest mocno zmartwiona, ale na to nic nie może zaradzić.

- Wydaje ci się, że lada moment spadnie nam z nieba ciężarówka wyładowana zapasami?

- Proszę pani...

- Dajże spokój! Od kiedy to ja jestem dla ciebie „pani”? Dwadzieścia lat jadasz u mnie naleśniki z jagodami i ten twój ukochany mało wysmażony boczek pięć dni w tygodniu i zawsze zwracałeś się do mnie Rosie, a teraz nagle „pani”? Tylko że jutro nie zjesz naleśników. Chyba że kupię mąkę, olej, syrop i... - Urywa raptownie. - No, w końcu! Ludzie, ktoś wreszcie poszedł po rozum do głowy! Dzięki Bogu!

Jack Cale otwierał od środka podwójne drzwi. Mel i Frank stoją przed nimi tak, że ledwo może się przez nie przecisnąć. Niedoszli klienci - a zebrało się ich już ze dwudziestu, chociaż do godziny dziewiątej, kiedy sklep powinien zostać otwarty, została jeszcze dobra minuta - ruszają do przodu. Zaraz jednak muszą się zatrzymać, bo Jack, odszukawszy odpowiedni klucz na kółku przy pasie, ponownie zamyka drzwi. Rozlega się chóralny jęk.

- Co ty wyprawiasz, człowieku?! - woła Bill Wicker oburzony. - Żona mnie wysłała po jajka!

- Poskarż się radnym i komendantowi Randolphowi - odpowiada Jack.

Włosy sterczą mu na wszystkie strony. Obrzuca Franka DeLessepsa chmurnym spojrzeniem, jeszcze bardziej ponure zarezerwował dla Mela Searlesa, który bezskutecznie stara się powstrzymać uśmiech, a może nawet śmiech, to swoje pokwikiwanie.

- Ja na pewno tak zrobię - stwierdza Jack. - Ale na razie mam dosyć wszystkiego. Wynoszę się stąd.

Rusza długimi krokami między ludźmi, głowę ma pochyloną, a policzki płoną mu bardziej jaskrawo niż włosy. Lissa Jamieson, która właśnie przyjechała na rowerze (wszystkie zakupy z jej listy spokojnie mieściły się w skrzynce na mleko przyczepionej nad tylnym błotnikiem; miała naprawdę minimalne potrzeby), musi ostro skręcić, żeby na niego nie wpaść.

Carter, Georgia i Freddy stoją przed dużym szklanym oknem, gdzie Jack zwykle wystawia taczki i nawozy. Carter ma zabandażowane palce, grubszy opatrunek wypycha mu koszulę. Freddy kładzie dłoń na kaburze, Rose Twitchell nadal nie daje mu spokoju. Carter chętnie by jej przyłożył na odlew. Palce są w porządku, ale ramię boli jak jasna cholera. Grono niedoszłych klientów sklepu rośnie w oczach, na parkingu pojawia się coraz więcej samochodów.

Zanim Thibodeau zdążył się przyjrzeć rosnącemu tłumowi, pojawia się przed nim Alden Dinsmore. Wygląda bardzo mizernie, człowiek ma wrażenie, że stracił ze dwadzieścia kilo od śmierci syna. Na lewym ramieniu nosi czarną żałobną opaskę i wydaje się lekko oszołomiony.

- Muszę wejść, synu. Żona kazała przywieźć trochę puszek. Alden nie mówi, z czym

mają być te puszki. Pewnie ze wszystkim.

A może myśli tylko o pustym łóżku w sypialni na piętrze, o tym, w którym już nigdy nikt nie będzie spał, i o plakacie Foo Fighters, który wciąż wisi nad tym łóżkiem, i o modelu samolotu na biurku, który nigdy nie zostanie skończony, i po prostu zapomniał.

- Przykro mi, panie Dimmesdale - mówi Carter. - To niemożliwe.

- Nazywam się Dinsmore - poprawia go Alden mało przytomnie. Rusza w stronę drzwi. Są zamknięte, nie ma mowy, żeby się dostał do środka, mimo to Carter odpycha go silnie. Po raz pierwszy w życiu młody człowiek współczuje nauczycielom z gimnazjum, którzy mieli zwyczaj zatrzymywać go w szkole po lekcjach. Irytujące, jak cię ludzie nie zauważają.

Poza tym jest gorąco. I ramię daje się we znaki mimo dwóch proszków przeciwbólowych, jakie dostał od matki. Dwadzieścia cztery stopnie o dziewiątej rano nie zdarza się często w październiku, a bladoniebieskie niebo świadczy, że w południe będzie znacznie cieplej i jeszcze goręcej w okolicach piętnastej.

Alden zatacza się na Ginę Buffalino i oboje byliby upadli, gdyby Petra Searles - kobieta raczej wagi ciężkiej - ich nie podtrzymała. Alden nie jest zły ani zagniewany, tylko zdziwiony.

- Żona mi kazała kupić puszki - wyjaśnia Petrze.

Po zebranych przetacza się pomruk. Nie ma w nim gniewu. Jeszcze nie. Ludzie przyszli po zakupy spożywcze i towar jest, ale za zamkniętymi drzwiami. A teraz ich sąsiad został popchnięty przez wyrostka, który jeszcze w zeszłym tygodniu był mechanikiem samochodowym.

Gina patrzy na Cartera, Mela i Franka DeLessepse coraz większymi oczami.

- To oni ją zgwałcili! - mówi przyjaciółce, nie zniżając głosu. - Oni zgwałcili Sammy Bushey!

Uśmiech spełza z twarzy Mela, opuszcza go chęć pokwikiwania.

- Zamknij się - mówi.

Na tyłach tłumu pojawiają się Ricky i Randall Killian. Przyjechali pikapem. Nieco dalej jest Sam Verdreaux, ten oczywiście na piechotę, w dwa tysiące siódmym stracił prawo jazdy na dobre.

Gina robi krok do tyłu, wpatrzona w Mela szeroko otwartymi oczami. Obok niej Alden Dinsmore kolebie się jak robot z wyczerpaną baterią.

- Wy macie być policjantami? Wy, chłopaki?

- Nie było żadnego gwałtu, dziwka łyże jak pies - mówi Frank. - A ty się zamknij, bo

zostaniesz aresztowana za zakłócanie spokoju.

- Jak cholera - popiera go Georgia.

Przysuwa się nieco bliżej do Cartera. On nie zwraca na nią uwagi. Obserwuje tłum. Bo to już prawdziwy tłum. Jeżeli pięćdziesięciu ludzi to tłum, już go tutaj mamy. A ciągle pojawiają się następni. Carter chciałby mieć broń. Nie podoba mu się wrogość, którą widzi na ich twarzach.

Velma Winter, która prowadzi sklep Browniego (a w każdym razie prowadziła, zanim został zamknięty), przyjeżdża razem z Tommym i Willow Andersonami. Velma jest postawna, krzepka, czesze się jak Bobby Darin i wygląda na Wojowniczą Królową Lesbijek, ale pochowała dwóch mężów, a przy stole choleryków w Sweetbriar Rose opowiada się, że obu wykończyła w łóżku i że w środowe wieczory rozgląda się w Karczmie Dippera za numerem trzecim. W nocie z country karaoke, które przyciągają nieco starszych gości. Teraz wysuwa się przed Cartera, dłonie wspiera na szerokich biodrach.

- Zamknięte? - upewnia się obiektywnie. - Pokażcie dokumenty. Carter jest zmieszany i to go irytuje.

- Cofnij się, suko. Nie mam żadnych dokumentów. Komendant nas tu przysłał. Radni tak zdecydowali. Tu będzie magazyn żywności.

- Racjonowanie żywności? Dobrze rozumiem? - Prycha z pogardą. - Nie w moim mieście. - Przepycha się między Melem i Frankiem, zaczyna łomotać w drzwi. - Otwierać! - krzyczy. - Otwierać natychmiast!

- Nikogo w sklepie nie ma - mówi Frank. - Nie ma po co tu stać. Tymczasem Ernie Calvert nie wyszedł. Idzie alejką z makaronami, mąką i cukrem. Velma go dostrzega, łomocze w drzwi mocniej.

- Otwieraj, Ernie! Otwieraj!

- Otwieraj! - wtórują jej głosy z tłumu.

Frank spogląda na Mela i kiwa głową. We dwóch chwytają Velmę i odsuwają żywe sto kilogramów mięśni od drzwi. Georgia Roux odwraca się i na migi pokazuje Erniemu, żeby się wycofał. Ernie stoi w miejscu. Stary głupek po prostu stoi i patrzy.

- Otwierać! - wrzeszczy Velma. - Otwierać!

Tommy i Willow się do niej przyłączają. A także Bill Wicker, listonosz. Potem Lissa z rozjaśnioną twarzą - przez całe życie marzyła, że kiedyś weźmie udział w spontanicznej demonstracji, wreszcie trafiła się okazja. Podnosi zaciśniętą pięść i potrząsa nią rytmicznie: dwa krótsze gesty na „o - twie - ” i jeden mocniejszy na „ - rać!”. Inni idą w jej ślady. Słowa się zlewają, zostaje rytm, teraz już wszyscy potrząsają pięściami w rytmie dwa plus jeden.

Może siedemdziesiąt osób, może osiemdziesiąt, a ciągle pojawiają się następne. Cienka niebieska linia przed wejściem do supermarketu wydaje się coraz węższa. Czworo młodych policjantów spogląda na Freddy'ego Dentona, oczekuje od niego jakiegoś pomysłu, lecz Freddy nie ma żadnego pomysłu.

Natomiast ma broń.

Strzel w powietrze, łysolu, myśli Carter.

Zanim ludzie nas zdeptają.

Dwóch kolejnych policjantów - Rupert Libby i Toby Whelan - podjeżdża Main Street od strony komisariatu (gdzie popijali sobie kawę i oglądali CNN), w pędzie mijając Julię Shumway, która biegnie z aparatem przewieszonym przez ramię.

Jackie Wettington oraz Henry Morrison także ruszają w stronę supermarketu, lecz akurat ożywa walkie - talkie przy pasku Henry'ego. To komendant Randolph, rozkazuje im zostać na posterunku przy stacji benzynowej Gas & Grocery.

- Ale słyszeliśmy... - zaczyna Henry.

- To rozkaz - ucina Randolph, nie konkretyzując, że ten rozkaz wydała władza nadrzędna, a on go tylko przekazuje.

- O - twie - rać! O - twie - rać! - skanduje tłum, potrząsając pięściami. Robi się coraz goręcej. Ludzie są przestraszeni, ale i podekscytowani.

Angażują się coraz bardziej. Gdyby to widział Kucharz, zobaczyłby potencjalnych odbiorców swojego produktu, a w tle brakowało jedynie podkładu muzycznego, najlepiej jakiegoś utworu grupy Grateful Dead.

Synowie Killiana i Sam Verdreaux przepychają się przez tłum. Oni też skandują - nawet nie w ramach przybierania barw ochronnych, lecz niesiony emocjami tłum narzuca swój nastrój - żaden z nich jednak nie potrząsa pięściami. Mają co robić. Nikt nie zwraca na nich szczególnej uwagi. Później zaledwie kilka osób przypomni sobie, że ich w ogóle widziało.

Ginny Tomlinson, pielęgniarka, również toruje sobie drogę przez tłum. Przyszła powiedzieć dziewczętom, że są potrzebne w szpitalu. Pojawili się nowi pacjenci, jeden przypadek jest poważny - Wanda Crumley z Eastchester, sąsiadka Evansów, od strony Morton. Tego ranka, gdy zajrzała do Jacka, znalazła go martwego jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie klosz obciął dłoń jego żonie. Jack leżał na plecach, obok butelka, a mózg wysychał na trawie. Wanda pobiegła z powrotem do domu, wołając męża co sił w płucach, i w chwili gdy do niego dotarła, dostała ataku serca. Wendell Crumley miał szczęście, że nie rozbił swojego subaru w drodze do szpitala - jechał sto pięćdziesiąt na godzinę. Teraz już z

pacjentką jest Ryży, ale zdaniem Ginny Wanda - kobieta z prawie trzydziestokilogramową nadwagą i paląca jak komin - raczej z tego nie wyjdzie.

- Dziewczęta - mówi pielęgniarka. - Jesteście potrzebne w szpitalu.

- To oni, proszę pani! - krzyczy Gina. Musi krzyżeć, inaczej nie będzie jej słychać w skandującym tłumie. Wskazuje policjantów i zaczyna płakać. Trochę ze strachu i zmęczenia, a trochę z gniewu. - To oni ją zgwałcili!

Ginny spogląda na twarze nad mundurami i uświadamia sobie, że Gina ma rację. Ginny Tomlinson nie ma takich kłopotów z opanowaniem wściekłości jak Piper Libby, jednak również nie jest zimnokrwista, a na dodatek niemałą rolę odgrywa tu jeszcze jeden czynnik: w przeciwieństwie do Piper, Ginny widziała Bushey bez majtek. Widziała spuchniętą i zakrwawioną pochwę. Gigantyczne siniaki na udach, które ukazały się dopiero po obmyciu krwi. Tyle było tej krwi...

Ginny zapomina o tym, że dziewczęta są potrzebne w szpitalu. Zapomina o tym, że ma je zabrać z miejsca, gdzie sytuacja zaczyna być niebezpieczna. Zapomina nawet o ataku serca Wandy Crumley. Energicznie przesuwa się do przodu, odpychając kogoś łokciem (przypadkiem jest to Bruce Yardley, pracownik Food City, w jednej osobie kasjer i chłopak pakujący klientom zakupy, który potrząsa pięścią jak wszyscy inni) i staje przed Melem oraz Frankiem. Obaj są wpatrzeni w coraz bardziej wrogi tłum i nie zwracają na nią uwagi.

Ginny podnosi obie ręce. Przez chwilę wygląda jak czarny charakter z westernu, poddający się szeryfowi. Potem bierze zamach i równocześnie uderza obu młodych mężczyzn.

- Dranie! - krzyczy. - Hańba! Tchórze! Hołota! Wylądujecie za kratkami!...

Mel nie myśli, reaguje odruchowo. Uderza kobietę pięścią w twarz, tłucze jej okulary, łamie nos. Ginny zatacza się do tyłu, krzyczy, krwawi. Jej staromodny czepek pielęgniarski wyskakuje ze spinek, spada z głowy. Bruce Yardley, młody kasjer, próbuje złapać kobietę, lecz mu się to nie udaje. Ginny wpada na rząd wózków. Przetaczają się, turkocząc jak pociąg. Pielęgniarka upada na kolana, podpira się rękami, płacze z bólu i zaskoczenia. Jasne krople krwi z nosa - nie złamanego, lecz zmiążdżonego - spadają na wielkie żółte litery RK z napisu NIE PARKOWAĆ.

Tłum cichnie, Gina i Harriet podbiegają do Ginny.

Wtedy rozlega się głos Lissy Jamieson, jasny, klarowny sopran:

- Świnie! Dranie!

Kamienie idą w ruch. Kto rzucił pierwszy - nie wiadomo. Może było to jedyne przestępstwo, jakie Niechlujowi uszło na sucho.

Junior wysadził go po północnej stronie miasta i Sam, z obrazem butelki whisky

tańczącym przed oczami, ruszył wschodnim brzegiem rzeki Prestile w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia. Musiał być dość duży, ale nie za duży, bo wtedy Sam nie zdoła nim rzucić wystarczająco mocno i celnie, choć przecież kiedyś, zdawałoby się sto lat temu - a kiedy indziej można by sądzić, że zaledwie wczoraj - był liczącym się miotaczem w drużynie Mills Wildcats, w pierwszej rozgrywce turnieju stanowego Maine. W końcu znalazł taki, jak trzeba, niedaleko mostu Pokoju. Jakieś pół kilograma, gładki niczym gęsie jajo.

„I jeszcze jedno”, powiedział wtedy Samowi Junior. To Jeszcze jedno” wcale nie było od niego, ale tego już nie powiedział, tak samo jak komendant Randolph nie przyznał przed Wettington i Morrisonem, że nie od niego pochodził rozkaz, by zostali przed stacją benzynową. To by było niepolityczne.

„Celuj w dziewczuchę”, brzmiało ostatnie polecenie, jakie Junior wydał Samowi. „Należy jej się, więc nie spudłuj”.

Gina i Harriet w białych fartuchach klęczą przy szlochającej na czworakach kobiecie, krwawiącej na żółte RK (uwaga wszystkich jest zwrócona właśnie na nie), wtedy Sam rzuca, jak nie rzucał od dawna, od lat siedemdziesiątych, to jego pierwszy strike od czterdziestu lat.

I bardzo udany. Półkilogramowy kawałek skały trafia Georgię Roux prosto w twarz, łamiąc jej szczękę w pięciu miejscach i wybijając sześć zębów. Dziewczynę odrzuca do tyłu, na wielką szklaną tafłę okna, szczęka opada jej groteskowo niemal na piersi, krew leje się szerokim strumieniem.

Chwilę później lecą dwa następne kamienie. Jeden rzucony przez Ricky'ego Killiana, drugi przez Randalla. Ten pierwszy trafia Billa Allnuta w tył głowy, powala go na chodnik niedaleko Ginny Tomlinson.

Cholera! - myśli Ricky. Cholera, miałem trafić gliniarza.

Takie dostał polecenie, ale zawsze chciał to zrobić.

Randall wycelował lepiej. Trafił Mela Searlesa w czoło. Mel osuwa się na ziemię jak szmaciana lalka.

Następuje pauza, moment wstrzymania oddechu. Przywodzi na myśl samochód w chwiejnej równowadze na dwóch kołach, kiedy nie wiadomo, czy się przewróci, czy nie. Rose Twitchell rozgląda się dookoła, zdumiona i przerażona, nie do końca pewna, co się dzieje, a co dopiero, co w związku z tym zrobić. Anson obejmuje ją w pasie. Słyszc wycie Georgii Roux z obwisniętą szczęką. Jej krzyk przypomina zawrozenie wiatru między nawoskowanymi strunami blaszanego wabika na łosie. Krew ścieka jej także z pokaleczonego języka. Przybywają posiłki. Toby Whelan i Rupert Libby (kuzyn wielebnej Libby, chociaż ona się tym nie chwali) pierwsi zjawiają się na miejscu zdarzeń. Rzucają na nie okiem... po czym

się wycofują. Następnie zjawia się Linda Everett. Jest pieszo, w towarzystwie drugiego policjanta zatrudnionego w niepełnym wymiarze godzin, Marty'ego Arsenaulta, który ledwo jej dotrzymuje kroku. Ona zaczyna się przepychać między ludźmi, ale Marty - który nawet nie włożył tego ranka munduru, ot, zwałókl się z łóżka i wciągnął na siebie parę starych dżinsów - chwyta ją za ramię. Linda prawie mu się wrywa, po czym myśli o córkach. Zawstydzona własnym tchórzostwem pozwala się doprowadzić do miejsca, gdzie Rupe i Toby obserwują przebieg wypadków. Z tej czwórki tylko Rupe ma dzisiaj broń, tylko czy powinien strzelać? Żadnego strzelania! Widzi w tłumie swoją żonę, za rękę z matką (gdyby to była teściowa, może by i strzelił). Widać Julię, która przybiega tuż za Lindą i Martym. Z trudem łapie oddech, ale już podnosi aparat, ściąga osłonę obiektywu, zaczyna robić zdjęcia. Widać Franka DeLessepsa - przyklęka obok Mela. W ten sposób cudem uchyla się przed następnym kamieniem, który ze świstem przelatuje mu nad głową i wybija dziurę w jednym skrzydle drzwi.

Potem...

Potem ktoś krzyczy. Kto - nigdy nie będzie wiadomo, nawet co do płci tej osoby nie będzie zgody, chociaż większość sądzi, że to kobieta, a Rose powie Ansonowi, że jest prawie pewna, iż to była Lissa Jamieson.

- Na nich!!!

- Jedzenie! - ktoś inny ryczy z całych sił. Tłum rusza do przodu.

Freddy Denton strzela w powietrze. Raz. Potem opuszcza broń, waha się opróżnić magazynek w tłum. Nie zdąża podjąć decyzji, bo ktoś mu wrywa broń z ręki. Freddy pada na ziemię, krzyczy z bólu. Potem czubek wielkiego farmerskiego buta - buta Aldena Dinsmore'a - trafia go w skroń. Światło nie gaśnie całkowicie dla funkcjonariusza Dentona, lecz wyraźnie przygasa, a zanim się na powrót rozjaśni, będzie już po zamieszkach pod supermarketem.

Carterowi Thibodeau krew przesącza się przez bandażę na ramieniu, na niebieskiej koszuli wykwitają czerwone plamy, mimo to młody człowiek nie czuje bólu. Na razie. Nie próbuje uciekać. Staje w szerokim rozkroku i uderza pierwszą osobę, jaka znajduje się w zasięgu jego ręki. Tak się składa, że jest to Gruby, czyli Charles Norman, który ma sklep ze starymi meblami przy szosie numer sto siedemnaście. Gruby upada na ziemię, chwytając się za twarz, z ust leci mu krew.

- Cofnąć się! - warczy Carter. - Cofnąć się, kurwa, ale już! Żadnego plądrowania! Cofnąć się!

Marta Edmunds, niania córek Lindy i Ryżego, chce pomóc Grubemu i w nagrodę dostaje od Franka DeLessepsa pięścią w twarz. Zatacza się, trzymając za policzek, z

niedowierzaniem patrzy na młodego człowieka, który właśnie ją uderzył... i nagle pada na ziemię i na Grubego, zmieciona falą niedoszłych kupujących.

Carter i Frank zaczynają bić ludzi, lecz udaje im się wymierzyć najwyżej trzy ciosy, gdy uwagę wszystkich odwraca przedziwne wycie. Bibliotekarka z rozwianymi włosami pcha przed sobą cały rząd wózków sklepowych, krzyczy przy tym (chyba: *Banzai!*). Frank uskakuje na bok, natomiast Carter ma mniej szczęścia - trafiony wózkami wylatuje w górę. Wymachuje ramionami, usiłując odzyskać równowagę i może by mu się to nawet udało, gdyby nie nogi Georgii. Potyka się o nie, ląduje na plecach, zostaje podeptany. Przekręca się na brzuch, osłania głowę rękami, czeka, aż fala przejdzie.

Julia Shumway pstryka i pstryka. Może potem na zdjęciach rozpozna twarze ludzi, bo przez wizjer widzi tylko obcych. Tłum.

Rupe Libby wyciąga broń i oddaje w powietrze cztery strzały. Cztery razy głośny huk rozrywa ciepły poranek. Cztery wykrzykniki. Toby Whelan schyla się do samochodu, uderza głową we framugę, spada mu czapka (z żółtym napisem POLICJA CHESTER'S MILL na przedzie). Chwyta z tylnego siedzenia megafon, przysuwa go do ust i krzyczy:

- ZACHOWAĆ SPOKÓJ! COFNAĆ SIĘ! TU POLICJA! TO ROZKAZ!

Julia robi mu zdjęcie.

Tłum nie zwraca uwagi ani na strzały, ani na głos z megafonu. Ani na Erniego Calverta, który wychodzi zza rogu budynku. Na wysokości kolan zwisa mu zielona szmatka od kurzu.

- Chodźcie od tyłu! - krzyczy. - Nie trzeba wyważać drzwi, otworzyłem od tyłu!

Tłum chce się włamywać. Ludzie walą w drzwi z naklejkami WEJŚCIE i WYJŚCIE oraz CODZIENNIE NISKIE CENY. Z początku drzwi stawiają opór, potem zamek puszcza. Pierwsi w grupie zostają do nich przyparci, są ranni: dwie osoby z połamanymi żebrami, jedna z nadwężoną szyją, dwie ze złamanymi rękami.

Toby Whelan znowu podnosi megafon do ust, ale zaraz go odkłada, wyjątkowo starannie, na dach samochodu, którym przyjechał z Rupertem. Podnosi z ziemi swoją czapkę, otrzepuje ją i wkłada na głowę. Obaj z Rupe'em idą w stronę sklepu, potem się zatrzymują, są bezradni. Dołączają do nich Linda i Marty Arsenault. Linda widzi Martę, podprowadza ją do swoich kolegów.

- Co się stało? - pyta Marta oszołomiona. - Ktoś mnie uderzył? Gorąco mi w twarz. Kto się zajmuje Judy i Janelle?

- Z samego rana wzięła je twoja siostra - mówi Linda i przytula Martę. - Nic się nie martw.

- Cora?

- Wendy. Cora, starsza siostra Marty, od lat mieszka w Seattle. Linda się obawia, czy Marta aby nie doznała wstrząsu mózgu. W pierwszym odruchu uznaje, że powinien ją zbadać doktor Haskell, lecz zaraz sobie przypomina: doktor Haskell jest albo w szpitalnej kostnicy, albo w domu pogrzebowym Bowiego. Ryży został sam na włościach, dziś będzie bardzo zajęty.

Carter prawie niesie Georgię do wozu numer dwa. Dziewczyna w dalszym ciągu wydaje z siebie ryki przypominające wabienie łosia. Mel Searles powoli zaczyna odzyskiwać przytomność. Frankie prowadzi go w stronę reszty policjantów. Mel próbuje podnieść głowę, nie może, opada mu na piersi. Z rozciętego czoła leci krew, koszulę ma całkiem moką, czerwoną.

Wartki ludzki strumień wlewa się do sklepu. Jedni biegną wzdłuż alejek, popychając przed sobą wózki albo chwytając koszyki ze sterty obok worków z węglem drzewnym (URZĄDZAMY JESIENNEGO GRILLA! - głoszą czerwone litery). Manuel Ortega, pracownik na farmie Aldena Dinsmore'a, oraz jego przyjaciel Dave Douglas idą prosto do rzędu kas, naciskają guziki i wyciągają z szufladek pieniądze. Napychają nimi kieszenie, śmiejąc się jak szaleni.

W supermarkecie jest teraz pełno - dzień wyprzedaży. Przy zamrażarkach dwie kobiety walczą o ostatnią sztukę ciasta cytrynowego. W dziale delikatesowym jeden mężczyzna okłada drugiego kielbasą, krzycząc, żeby tamten zostawił trochę wędlin dla innych. Ten od wędlin odwraca się i wali trzymającego kielbasę prosto w nos. Wkrótce tarzają się po ziemi, okładając pięściami.

Wybuchają kolejne kłótnie i bójki. Rance Conroy, właściciel i jedyny pracownik Conroy's Western Maine Electrical Service & Supplies („Naszym godłem jest uśmiech”), uderza Brendana Ellerbeego, emerytowanego profesora uniwersytetu stanowego, bo ten wyprzedził go w wyścigu do ostatniego worka cukru. Ellerbee upada, lecz nadal ściska pięciokilogramowy worek, a kiedy Conroy schyla się, żeby przejąć zdobycz, Ellerbee warczy: „No to masz!” i rzuca mu worek prosto na głowę. Opakowanie pęka, otaczając Rance'a Conroya białym obłokiem. Elektryk zatacza się na regały, twarz ma białą jak błazen, krzyczy, że nic nie widzi, że jest ślepy. Carla Venziano z dzieckiem w nosidełku na plecach odpycha Henriettę Clavard od półki z ryżem... mały Steven uwielbia ryż, a poza tym chętnie się bawi pustymi plastikowymi pojemnikami, więc Carla musi mieć pewność, że ani jednego, ani drugiego mu nie zabraknie. Henrietta, która w styczniu skończyła osiemdziesiąt cztery lata, upada na tylną część ciała, suchą i kościstą, która niegdyś była jej pośladekami. Lissa Jamieson

odpycha Willa Freemana, miejscowego dealera Toyoty, żeby chwycić ostatniego mrożonego kurczaka. Nic z tego, uprzedza ją jakaś nastolatka w koszulce z napisem PUNK RAGE, wywała na Lisę język z kolczykiem i ucieka.

Rozlega się brzęk tłuczonego szkła, a zaraz po nim radosny okrzyk, który wyrwał się głównie (lecz nie wyłącznie) z męskich gardeł. Wyłamano zamki chłodziarki z piwem. Wiele osób śpieszy w tamtym kierunku. Może planują urządzić jesiennego grilla. Teraz zamiast „O - twie - rać” słychać „Pi - wo! Pi - wo!”.

Inni schodzą do magazynów w piwnicach i na tyłach budynku. Wkrótce zaczynają wynosić stamtąd wino całymi kartonami. Niektórzy ustawiają sobie pudła na głowie, jak mieszkańcy dżungli na starych filmach.

Pod nogami Julii chrzęści szkło, a ona pstryka, pstryka, pstryka.

Na zewnątrz docierają przed sklep pozostali gliniarze, również Jackie Wettington i Henry Morrison, którzy za obopólną zgodą porzucili posterunek przy stacji benzynowej. Dołączają do pozostałych, skupionych bojaźliwie na boku, i po prostu patrzą. Jackie dostrzega ściągniętą twarz Lindy Everett, obejmuje koleżankę ramieniem. Dobia do nich Ernie Calvert.

- Po co to wszystko? Po co to komu? - woła. Po jego puciołowatych policzkach płyną łzy.

- Co teraz? - pyta Linda, wsparta o ramię Jackie.

Marta stoi tuż obok, gapi się na sklep, przyciskając dłoń do szybko puchnącego i siniejącego policzka. Z Food City dobiegają krzyki, śmiechy, od czasu do czasu okrzyk bólu. Ludzie rzucają towarami. Linda widzi rolkę papieru toaletowego lecącą nad sklepową alejką, rozwijającą się jak serpentyna.

- Nie wiem, skarbie - mówi Jackie. - Po prostu nie wiem.

11

Anson chwycił listę zakupów i pomknął do sklepu, zanim pracodawczyni zdążyła go powstrzymać. Rose została przy samochodzie, zaciskając i rozluźniając pięści, zastanawiając się, czy powinna za nim iść. Właśnie postanowiła zostać, gdy ktoś objął ją za ramiona. Podskoczyła, gwałtownie odwróciła głowę i zobaczyła Barbiego. Odczuła taką ulgę, że aż się pod nią kolana ugięły. Przywarła do jego ramienia - częściowo szukając pocieszenia, a trochę też po to, żeby nie zemdleć.

Barbie miał na twarzy uśmiech, choć nie był to uśmiech wesoły.

- Niezła zabawa, co?

- Nie wiem, co robić - przyznała Rose. - Anson poszedł do sklepu. Wszyscy tam pobiegli, a policjanci sobie stoją i nic.

- Pewnie nie chcą dostać jeszcze gorszego manta. I trudno ich za to winić. Całość została pięknie zaplanowana i skrupulatnie przeprowadzona.

- O czym ty mówisz?

- Ech, nieważne. Chciałabyś, żeby się to skończyło, zanim będzie gorzej?

- Tylko jak?

Barbie wziął z dachu radiowozu megafon i podał Rose. Cofnęła się o krok, przycisnęła rękę do piersi.

- Ty to zrób.

- Nie. Ty ich karmisz od lat, ciebie znają od zawsze, ciebie posłuchają.

Bez przekonania wzięła od niego megafon.

- Nie wiem, co powiedzieć. Kompletnie nic mi nie przychodzi do głowy. Toby Whelan już próbował. Wcale nie zwrócili na niego uwagi.

- Toby wydawał im rozkazy - stwierdził Barbie. - Równie dobrze mógł rozkazywać mrówkom.

- Wszystko jedno. I tak nie wiem, co...

- Ja ci podpowiem - obiecał Barbie i to ją nieco uspokoiło. Zamilkł, gestem ręki zaprosił Lindę Everett. Podeszła razem z Jackie.

- Możesz się porozumieć z mężem? - spytał Barbie.

- Jeśli ma włączoną komórkę.

- Powiedz mu, żeby tu przyjechał. W miarę możliwości karetką. Jeżeli nie będzie odbierał telefonu, jedź radiowozem do szpitala.

- On tam ma pacjentów...

- Tutaj też. Tylko jeszcze o nich nie wie. - Barbie wskazał Ginny Tomlinson. Siedziała na ziemi, oparta o boczną ścianę sklepu, dłonie przycisnęła do krwawiącej twarzy. Gina i Harriet kucnęły po bokach, a kiedy próbowały przytknąć rannej do nosa złożoną chusteczkę, Ginny krzyknęła z bólu i odwróciła głowę. - Może zacząć od ratowania swojej pielęgniarki.

- A ty co będziesz robił? - spytała Linda, odczepiając telefon od paska.

- Rose i ja spróbujemy uspokoić ludzi. Prawda, Rose?

Rose stanęła tuż za drzwiami. Jak zahipnotyzowana patrzyła na ogólny chaos. Zapach octu szczypał w oczy, mieszał się z wonią solanki i piwa. W alejce numer trzy potłuczone

musztardy i ketchup utworzyły na linoleum barwne plamy przywodzące na myśl wymiociny. W piątej alejce unosiła się chmura cukru i mąki. Ludzie pchali przed sobą wyładowane wózki, pokasływali i ocierali oczy. Ślizgali się na rozsypanej kaszy.

- Zostań tu chwilę - poprosił Barbie, choć Rose wcale nie wyglądała na taką, która by się gdzieś wybierała. Stała i patrzyła z megafonem przyciśniętym do piersi.

Barbie znalazł Julię robiącą zdjęcia ludzi plądrujących kasy.

- Zostaw to, chodź ze mną - powiedział.

- Nie mogę, nikt inny tego nie zrobi. Nie wiem, gdzie jest Pete Freeman, a Tony...

- Nie musisz tego fotografować, tylko powstrzymać. Zanim stanie się coś gorszego. - Wskazał na Ferna Bowiego, który minął ich, popychając wyładowany wózek jedną ręką. W drugiej trzymał piwo. Miał rozcięte czoło, krew mu płynęła po twarzy, lecz mimo to wydawał się zadowolony z życia.

- Jak?

Barbie zaprowadził ją do Rose.

- Gotowa? - spytał. - Czas na przedstawienie. - Ja... właściwie...

- Pamiętaj, szczerze. Nie staraj się ich powstrzymać, niech tylko trochę ochłoną.

Rose głęboko zaczerpnęła powietrza, przyłożyła megafon do ust.

- CZĘŚĆ. MÓWI ROSE TWITCHELL ZE SWEETBRIAR ROSE. CHCĘ WAS PROSIĆ...

Trzeba było przyznać, rzeczywiście brzmiało to szczerze. Ludzie zwalniali i rozglądali się dookoła. Głos z megafonu nie rozkazywał, tylko prosił. Barbie widział to już w Tikricie, w Al - Falludży, w Bagdadzie. Zwykle po bombardowaniach w zatłoczonych miejscach publicznych, kiedy zjawiały się policja i wojsko.

- CHCĘ WAS PROSIĆ, ŻEBYŚCIE SKOŃCZYLI ROBIĆ ZAKUPY JAK NAJSZYBCIEJ I JAK NAJSPOKOJNIEJ.

Ten i ów zachichotał, ludzie popatrzyli po sobie, jakby dopiero teraz zorientowali się w sytuacji. W alejce numer siedem Carla Venziano, mocno zawstydzona, pomogła wstać Henriecie Clavard. Wystarczy ryżu dla nas obu, pomyślała Carla. Na litość boską, co mnie napadło?

Barbie pokiwał głową z uznaniem i niemym ruchem ust podpowiedział Rose: „kawa”. Z oddali dobiegł dźwięk syreny karetki pogotowia.

- A JAK JUŻ SKOŃCZYCIE, PRZYJDŹCIE DO SWEETBRIAR NA KAWĘ. JEST ŚWIEŻA, PYSZNA, NA KOSZT FIRMY.

Kilka osób zaklaskało, ktoś ryknął z całych sił: „Na co komu kawa, skoro jest piwo?!”.

Nagrodziły go śmiechy i okrzyki.

Julia pociągnęła Barbiego za rękaw. Na twarzy miała grymas, który Barbie uznał za czysto republikański wyraz dezaprobaty.

- Przecież oni nie robią zakupów, tylko kradną.

- Chcesz ich teraz pouczać, czy wolisz stąd ludzi wyprowadzić, zanim ktoś straci życie przygnięciony workiem kaszy?

Julia przemyślała sprawę i pokiwała głową. Srogi grymas ustąpił miejsca temu specyficznemu uśmiechowi, który Barbieniu się coraz bardziej podobał.

- Ma pan rację, pułkowniku - przyznała.

Barbie odwrócił się do Rose, pokazał, jakby kręcił korbą, i Rose znowu podniosła megafon do ust. Ruszyli we trójkę alejkami sklepu, zaczynając od najbardziej zdewastowanych działów - delikatesowego i nabiału. Wpatrywali ludzi, którzy mogliby sprawiać kłopoty. Nikogo takiego nie spotkali. Rose stopniowo zyskiwała pewność siebie, w sklepie robiło się coraz spokojniej. Ludzie wychodzili. Wielu popychało przed sobą wyładowane wózki, ale to także Barbie uważał za dobry znak. Im szybciej wychodzili, tym lepiej, niezależnie od tego, ile barachła ze sobą zabierali. Najważniejsze, żeby postrzegali siebie jako kupujących, a nie złodziei. Jeżeli człowiek odzyska szacunek do siebie, to w większości przypadków - nie we wszystkich, ale w większości - odzyskuje także zdolność myślenia, a przynajmniej widzi sprawy z większą klarownością.

Po chwili dołączył do nich Anson Wheeler pchający wózek pełen artykułów żywnościowych. Wyglądał na odrobinę zawstydzonego, z ręki leciała mu krew.

- Ktoś mnie huknął słoikiem z oliwkami - wyjaśnił. - Teraz cuchnę jak włoska kanapka.

Rose podała megafon Julii, która równie spokojnym głosem przekazywała tę samą prośbę: kończymy robić zakupy i spokojnie wychodzimy.

- Nie możemy tego wziąć - stwierdziła Rose, wskazując wózek.

- Wszystkie te rzeczy są nam potrzebne - zaprotestował Anson. Był skruszony, lecz jednocześnie stanowczy. - Naprawdę. Bardzo.

- Wobec tego zostawimy pieniądze - zdecydowała Rose. - O ile nikt mi nie ukradł torebki z samochodu...

- To na nic - zaproponował Anson. - Paru facetów obrobiło kasy.

Doskonale wiedział, którzy to byli, ale tą wiedzę nie zamierzał się dzielić. W każdym razie nie przy wydawczyni miejscowej gazety. Rose nie kryła przerażenia.

- Co tu się dzieje?! Na litość boską, dlaczego?

- Nie wiem - przyznał Anson.

Na zewnątrz syrena karetki jęknęła i ucichła. Minutę później, może dwie, gdy Rose i Julia w towarzystwie Barbiego nadal krążyły po alejkach, mówiąc przez megafon (w sklepie było coraz mniej ludzi), za ich plecami odezwał się głos.

- Dosyć tego dobrego. Oddaj mi to.

Barbie wcale się nie zdziwił, widząc komendanta Randolpha wkraczającego do akcji, wystrojonego w mundur absolutnie doskonały. Oto on, spóźniony i kompletnie nieprzygotowany. Zgodnie z planem.

Rose akurat wychwalała zalety darmowej kawy w Sweetbriar Rose. Randolph wyłuskał jej megafon z dłoni. Od razu zaczął wywrzaskiwać rozkazy i straszyć.

- NATYCHMIAST OPUŚCIĆ SKLEP! MÓWI KOMENDANT POLICJI, PETER RANDOLPH. ZOSTAWIĆ WSZYSTKO I WYCHODZIĆ! JEŻELI ZOSTAWICIE ZRABOWANE TOWARY, MACIE SZANSĘ UNIKNĄĆ POSTAWIENIA ZARZUTÓW.

Rose spojrzała na Barbiego z przerażeniem. Wzruszył ramionami. Krzyki Randolpha nie miały większego znaczenia. Ludzie i tak już zdążyli się uspokoić. Policjanci, którzy trzymali się na nogach - między nimi także Carter Thibodeau, utykający, lecz stojący o własnych siłach - zaczęli poszturchiwać ludzi, popychać w kierunku wyjścia. Jeśli któryś z „kupujących” nie chciał zostawić towarów, policjanci przewracali go na ziemię, a Frank DeLesseps wywracał do góry nogami wyładowany wózek. Twarz miał zaciętą, bladą i wściekłą.

- Zamierza pan ich powstrzymać? - spytała Randolpha Julia.

- Nie, proszę pani. Ci ludzie to złodzieje i tak zostaną potraktowani.

- A czyja to wina? Kto kazał zamknąć sklep?

- Proszę mi nie przeszkadzać - zachnął się Randolph. - Jestem zajęty.

- Szkoda, że pana tu nie było, kiedy się to wszystko zaczęło - zauważył Barbie.

Randolph zmierzył go spojrzeniem. Nieprzyjaznym, lecz jednocześnie pełnym satysfakcji. Barbie westchnął ciężko. Najwyraźniej rozpoczęło się odliczanie. On się tego domyślał, Randolph o tym wiedział. Niedługo rozlegnie się sygnał. Gdyby nie klosz, Barbie mógłby uciec. No, ale też gdyby nie klosz, żadne z tych zdarzeń nie miałyby miejsca.

Właśnie Mel Searles postanowił odebrać Ałowi Timmonsowi koszyk z żywnością. Woźny nie miał zamiaru go oddać, więc Mel wyrwał mu go z ręki i rzucił starego na ziemię. Al krzyknął z bólu, z upokorzenia, z wściekłości. A komendant Randolph się zaśmiał. Krótko, urywanie, bez śladu wesołości. „Cha, cha, cha”. Barbie pomyślał wtedy, że właśnie usłyszał dźwięk, który w Chester's Mill będzie charakterystyczny, jeżeli kopuła szybko się nie

podniesie.

- Chodźmy - odezwał się do Julii i Rose. - Najwyższy czas się wynieść.

13

Ryży i Twitch opatrywali kilkunastu rannych zebranych wzdłuż bocznej ściany sklepu, gdy wyszli Barbie, Julia i Rose. Anson stał przy półciężarówce, przyciskał do zakrwawionej ręki papierowy ręcznik.

Ryży miał ponurą minę, lecz kiedy zobaczył Barbiego, nieco się rozpogodził.

- Witaj, stary. Miło mi cię widzieć. Dzisiaj jesteś mój. Pasuję cię na wykwalifikowaną pielęgniarkę.

- Mocno przeceniasz moje umiejętności - zaproponował Barbie, ale podszedł do Ryżego.

Tuż za nim podbiegła Linda Everett, rzuciła się mężowi na szyję. Uścisnęli się serdecznie.

- Mogę w czymś pomóc, kochanie? - spytała.

Patrzyła na Ginny. Z przerażeniem. Ginny dostrzegła jej spojrzenie i znużona zamknęła oczy.

- Nie - odparł Ryży. - Rób swoje. Ja mam Ginę i Harriet, a teraz jeszcze pielęgniarkę wykwalifikowanego Barbare.

- Możesz liczyć na moją pomoc - obiecał Barbie i o mało nie dodał: „do chwili, kiedy mnie aresztują”.

- Dasz sobie radę - rzucił Ryży, a ciszej dodał: - Gina i Harriet bardzo się kwapią z pomocą, niestety, umieją tylko podawać tabletki i przyklejać plastry.

Linda pochyliła się nad Ginny.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- Nic mi nie będzie - stwierdziła Ginny, lecz nie otworzyła oczu.

Linda ucałowała męża, objęła go zatroskanym spojrzeniem i poszła do Jackie Wettington, która z notatnikiem w ręku słuchała zeznań Erniego Calverta. Ernie co chwilę ocierał oczy.

Ryży i Barbie pracowali ramię w ramię ponad godzinę. Policjanci rozciągnęli przed wejściem do sklepu żółtą taśmę. W którymś momencie zjawił się Andy Sanders. Oceniał straty, cmokając i kręcąc głową. Barbie słyszał, jak pytał kogoś retorycznie, do czego zmierza ten świat, jeśli ludzie z jednego miasteczka potrafią się zachować w ten sposób. Potem jeszcze potrząsnął prawicą komendanta Randolpha i powiedział mu, że odwalił kawał roboty.

Odwalił.

Jeśli potrafisz się wczuć, znikają wszelkie przeszkody. Konflikty są twoim żywiołem, pech zmienia się w nieziemski fart. Nie przyjmujesz tego z wdzięcznością (uczuciem zarezerwowanym według Dużego Jima Renniego dla słabeuszy i przegranych), ale jako rzecz ci należną. Jeżeli potrafisz się wczuć, to tak jakbyś wsiadł na czarodziejską karuzelę i rządził (nadal zdaniem Dużego Jima) niepodzielnie.

Gdyby opuścił wielką starą posiadłość Renniech przy Mill Street nieco później albo odrobinę wcześniej, nie zobaczyłby tego, co zobaczył, i zapewne postąpiłby z Brendą Perkins w zupełnie inny sposób. Tymczasem wyszedł w najważniejszym momencie. Właśnie tak się działo, jeśli człowiek miał wyczucie. Obrona odpadała na boki, a ty, człowieku, szedłeś jak po sznurku i kończyłeś wycieczkę pięknym dwutaktem.

Wywabiły go z gabinetu krzyki „O - twie - rać! O - twie - rać!”. Właśnie robił notatki dotyczące planów nowego tworu, który zamierzał nazwać administracją kryzysową. Oczywiście pogodny, uśmiechnięty Andy zostanie głową tego tworu, a on, Duży Jim - szyją, która tą głową będzie kręciła. „Lepsze jest wrogiem dobrego”. Tak brzmiała najważniejsza maksyma w politycznym poradniku Dużego Jima, a Andy w roli głowy sprawdzał się jak złoto. Większość mieszkańców Chester's Mill doskonale zdawała sobie sprawę, że ten człowiek jest głupi jak but, ale to nie miało znaczenia. Można ludzi nabierać bez przerwy na to samo, bo dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest jeszcze większymi durniami. I chociaż Duży Jim nigdy wcześniej nie planował kampanii wyborczej na tak wielką skalę - bo zamierzał doprowadzić do dyktatury - nie miał żadnych wątpliwości, że mu się uda.

Nie wciągnął Brendy Perkins na listę przewidywanych komplikacji, lecz to też nie miało znaczenia. Jak człowiek się wczuje, komplikacje szybko znikają. Tak ma być i tak jest.

Szedł chodnikiem na róg Mill i Main. Zrobił może sto kroków, taszcząc przed sobą wydatny brzuch, gdy dokładnie przed jego oczami otworzył się widok na plac miejski. Nieco dalej znajdował się ratusz i komisariat, rozdzielone War Memorial Plaza.

Nie widział z tego rogu Food City, ale miał na oku wszystkie sklepy i instytucje na Main Street. I zobaczył Julię Shumway. Śpiesznie wyszła z redakcji „Democrata”, trzymając w ręku aparat. Pobiegła w stronę okrzyków i skandowania, w drodze przewieszając aparat przez ramię. Duży Jim powiódł za nią wzrokiem. Zabawne, z jaką chęcią pędziła asystować przy każdym nieszczęściu.

Potem zrobiło się jeszcze zabawniej. Julia Shumway zawróciła biegiem, chwyciła za klamkę drzwi redakcji, stwierdziła, że zostawiła je otwarte, więc zamknęła. Wreszcie

pobiegła patrzeć, jak jej sąsiedzi i przyjaciele rozrabiają.

Właśnie zdała sobie sprawę, że bestia wypuszczona z klatki może zaatakować każdego, pomyślał Duży Jim.

Przyjdzie czas, Julio, zajmę się i tobą. Może będziesz musiała trochę spuścić z tonu w tym swoim szmatławcu, ale czy to zbyt wysoka cena za bezpieczeństwo?

A jeśli pani redaktorka się nie dostosuje...

Wypadki chodzą po ludziach.

Duży Jim stał na rogu ulicy, z rękami w kieszeniach, z uśmiechem na twarzy. A gdy usłyszał pierwsze krzyki... potem brzęk tłuczonego szkła... wystrzały... uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Nagle zmarszczył czoło, bo zobaczył Brendę Perkins. Wszyscy na Main Street kierowali się w stronę Food City, sprawdzić, o co ta cała awantura, tymczasem Brenda szła w przeciwnym kierunku. Może nawet do jego domu... co by nie prorokowało nic dobrego.

Czego ona może ode mnie chcieć z samego rana? Cóż jest tak istotne, że okazało się ważniejsze od zamieszek przed supermarketem?

Było całkiem prawdopodobne, że Brenda nawet nie pamiętała w tej chwili o istnieniu Dużego Jima, ale on obserwował ją uważnie.

Szła po przeciwnej stronie ulicy niż Julia. Nie zauważyła jej, bo wzrok miała utkwiony w czerwonej ruderze nazywanej sklepem wielobranżowym Burpeego. Niosła przewieszoną przez ramię płócienną torbę na długim pasku, która objęła się jej o kolano.

Dotarłszy do sklepu, szarpnęła za klamkę, jednak drzwi nie ustąpiły. Odsunęła się do tyłu i rozejrzała wokół jak osoba, która napotkała niespodziewaną przeszkodę na drodze do realizacji planów i usiłuje zdecydować, co dalej. Nadal mogłaby zobaczyć Julię Shumway, gdyby tylko się obejrzała, ale tego nie zrobiła. Spojrzała w prawo, w lewo, potem na drugą stronę Main Street, na redakcję „Democrata”.

Jeszcze raz rzuciła okiem na sklep Burpeego, po czym przeszła przez ulicę i nacisnęła klamkę w drzwiach redakcji. One, rzecz jasna, także były zamknięte. Spróbowała jeszcze raz, pociągnęła, pchnęła, nic. Zastukała. Zajrzała do środka. W końcu cofnęła się, wsparła ręce na biodrach. Gdy ponownie ruszyła Main Street, ciężkim krokiem i już nie rozglądając się na boki, Duży Jim zwawo wrócił do domu. Nie wiedział, dlaczego nie chce, żeby Brenda wiedziała, iż ją obserwował, wcale nie musiał tego wiedzieć. Jak człowiek ma wycucie, wystarczy słuchać intuicji. Tak to działa.

Wiedział natomiast z całą pewnością, że jeśli Brenda zastuka do jego drzwi, będzie gotów na jej przyjęcie. Bez względu na powód wizyty.

„Jutro rano zanieś wydruk do Julii Shumway”, powiedział Barbie. Niestety, redakcja „Democrata” była zamknięta na głucho. Julia prawie na pewno wybrała się na miejsce awantury pod marketem. Pete Freeman i Tony Guay prawdopodobnie też.

Co wobec tego zrobić z wydrukiem dokumentów z pliku VADER? Gdyby w drzwiach była szczelina na korespondencję, pewnie by tam zostawiła kopertę. Tyle że nie było.

Doszła do wniosku, iż powinna wobec tego znaleźć Julię pod sklepem albo wrócić do domu i poczekać, aż wszystko się uspokoi i Julia wróci do redakcji. Ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie przypadło jej do gustu. Jeśli chodziło o pierwsze, wszystko wskazywało na to, że przy Food City doszło do regularnych zamieszek, a Brenda nie miała najmniejszej ochoty się w nie włączać. Co do drugiego...

To rozwiązanie wydało się jej właściwsze. Howie często mawiał: „Cierpliwość popłaca”.

Brenda nigdy nie umiała czekać, a jej matka z kolei mawiała: „Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj i miej z głowy”. Właśnie tak zamierzała Brenda teraz postąpić. Stając z nim twarzą w twarz, wysłuchać jego frazesów, zaprzeczania i usprawiedliwień, a potem dać mu do wyboru: albo zrezygnuje ze stanowiska na rzecz Dale'a Barbary, albo przeczyta o swoich niecnym czynkach w „Democracie”. Konfrontacja nie była dla niej chlebem powszednim, raczej gorzką pigułką, a jeśli człowiek musi przełknąć niesmaczne lekarstwo, robi to możliwie najszybciej, po czym płucze usta. Płukanie ust zamierzała Brenda wykonać z użyciem podwójnego bourbona i nie miała ochoty zwlekać z tym do południa.

Tyle że...

„Nie idź sama”, powiedział Barbie. A kiedy zapytał, komu ufa, wymieniła Romea Burpeego. Niestety, jego sklep także był zamknięty na cztery spusty. Co jej pozostało?

Należało sobie zadać pytanie, czy Duży Jim rzeczywiście potrafiłby ją skrzywdzić, a odpowiedź, zdaniem Brendy, była przecząca. Ufała, że fizycznie nie grozi jej ze strony Renniego żadne niebezpieczeństwo, niezależnie od tego, jakie obawy mógł żywić Barbie, który miał za sobą doświadczenia wojenne.

Fatalnie się przeliczyła, chociaż było to całkowicie zrozumiałe: Nie ona jedna kurczowo trzymała się przekonania, że świat był nadal taki sam jak przed zaistnieniem klosza.

Wciąż nie rozwiązała problemu wydruku z pliku VADER.

Bardziej się obawiała elokwencji Dużego Jima niż jego siły fizycznej, ale tak czy inaczej wiedziała, że szaleństwem byłoby stanąć na progu jego domu, nadal mając w torbie obciążające go dowody. Mógłby chcieć jej odebrać dokumenty, nawet wiedząc, że nie jest to jedyna kopia. Tego można się było po nim spodziewać.

W połowie drogi na wzgórzu Town Common Hill dotarła do Prestile Street, prowadzącej wzdłuż krawędzi miejskiego placu. Pierwszy dom należał do McCainów. Następny - do Andrei Grinnell. Choć Andrea w zasadzie zawsze pozostawała w cieniu mężczyzn z zarządu miasta, Brenda знаła ją jako osobę uczciwą i nieszczerólnie przyjazną Dużemu Jimowi. Dziwiło ją natomiast, że najwyraźniej skłonna była słuchać Andy'ego Sandersa, ponieważ nikt nie powinien tego człowieka traktować poważnie.

Może on coś na nią ma, rozległ się w głowie Brendy głos Howiego.

Mało się nie roześmiała głośno. Niedorzeczna myśl. Andrea, zanim wyszła za mąż za Tommy'ego Grinnella, nosiła nazwisko Twitchell, a Twitchellowie byli silni. Nawet ci nieśmiali. Brenda uznała, że może zostawić kopertę z wydrukiem pliku VADER u Andrei. O ile zostanie ją w domu. A taką miała nadzieję, bo gdzieś przecież słyszała, że Andrea zachorowała na grypę.

Przebieła Main Street, układając w myślach, co powie Andrei. „Przechowasz mi tę kopertę? Wrócę po nią za jakieś pół godziny. A gdybym nie wróciła, oddaj ją Julii Shumway. I koniecznie zawiadom Dale'a Barbarę”.

A jeżeli Andrea zapyta, co to za tajemnicze sprawy? Brenda postanowiła być szczerą. Informacje, za pomocą których planowała zmusić Jima Renniego do rezygnacji ze stanowiska, najpewniej zadziałałyby na Andree lepiej niż podwójna dawka theraflu.

Chociaż chciała jak najszybciej załatwić sprawę, zatrzymała się przed domem McCainów. Wyglądał na opuszczony i nie było w tym nic dziwnego, wiele rodzin wyjechało z miasta w dzień, gdy pojawiła się kopuła. Zatrzymało ją coś innego. Ledwo wyczuwalna woń... jakby zepsutego jedzenia? Od razu dzień wydał jej się gorętszy, powietrze gęściejsze, a odgłosy awantury pod supermarketem bardziej odległe. Stała jakiś czas, myśląc o tym, że zasłonięte okna wyglądają jak zamknięte oczy. Chociaż... nie całkiem. Raczej jak zmrużone oczy.

Kobieto, nie trać czasu! - napomniała siebie w myślach.

Poszła dalej. Tylko raz jeszcze przystanąła, obejrzała się przez ramię. Nie zobaczyła nic szczególnego, ot dom z oknami o zaciągniętych zasłonach, otoczony ponurym smrodkiem gnijącego jedzenia. Tylko mięso mogło tak szybko zacząć cuchnąć. Henry i LaDonna mieli najwyraźniej spore zapasy w zamrażarce.

Obserwował ją Junior. Junior na kolanach, Junior ubrany jedynie' w slipy, Junior z głową pękającą z bólu. Patrzył na Brendę z salonu, zza krawędzi zaciągniętej zasłony. Gdy odeszła, wrócił do spiżarni. Czas rozstania z przyjaciółkami zbliżał się nieubłaganie, Junior o tym wiedział, więc tym bardziej teraz chciał z nimi być. I w ciemności. Tęsknił nawet za smrodem unoszącym się z poczerniającej skóry.

Wszystko, wszystko, co tylko mogło przytępić ten koszmarny ból głowy.

Trzy razy zakręciła staromodnym dzwonkiem, nim wreszcie postanowiła jednak wrócić do domu. Właśnie się obracała, gdy usłyszała powolne szuranie coraz bliżej drzwi. Zawróciła, przywołała na twarz uśmiech „witaj, sąsiadko”, który po chwili zamarł jej na ustach. Andrea miała cerę bladą jak kreda, pod oczami wielkie sine cienie, włosy w nieładzie. Przytrzymała pasek szlafroka, pod nim miała pidżamę. Z tego domu także dochodził smród. Nie rozkładającego się mięsa, lecz wymiotów.

Andrea też się uśmiechnęła, choć bardzo blado.

- Wiem, jak wyglądam - wychrypiąła. - Nie zaproszę cię do środka. Czuję się już lepiej, ale mogę jeszcze zarażać.

- Widziałas się z doktorem... - Oczywiście, że nie. Doktor Haskell nie żył. - Widziałas się z Everettem?

- Tak. Niedługo ma mi się poprawić. - Jesteś spocona.

- Ciągle jeszcze mam gorączkę, ale powoli przechodzi. Mogę ci w czymś pomóc?

Niewiele brakowało, a Brenda powiedziałaby „nie”, bo nie chciała tej chorej kobiety obarczać odpowiedzialnością łączącą się z dokumentami, które miała w torebce, lecz wtedy Andrea dodała coś jeszcze, przez co Brenda zmieniła zdanie. Ważkie wydarzenia często biorą początek z drobnych wypadków.

- Ogromnie mi przykro z powodu śmieci Howiego. Bardzo go lubiłam.

- Dziękuję ci.

Nie tylko za współczucie, ale także za to, że nazwałaś go Howiem, a nie Dukiem.

Dla Brendy zawsze był Howiem, ukochanym, najmiłszym Howiem. W pliku VADER zawarł swoją ostatnią pracę, prawdopodobnie najistotniejszą. Brenda postanowiła nie zwlekać dłużej. Zanurzyła rękę w torbie, wyjęła ze środka kopertę z wypisanym na wierzchu imieniem „Julia”.

- Czy mogłabyś mi to przechować, skarbie? Dosłownie pół godzinki? Muszę załatwić pewną sprawę, nie chcę tego nosić ze sobą.

Odpowiedziały na każde pytanie, lecz Andrea najwyraźniej nie miała pytań. Przyjęła grubą kopertę z niejakim roztargnieniem. I dobrze. W ten sposób poszło szybciej. No i dzięki temu nadal nic nie wiedziała, co mogło jej w przyszłości oszczędzić kłopotów.

- Oczywiście. Wybacz, powinnam wrócić do łóżka. Nie będę spała! - dorzuciła, jakby to mogło Brendzie przeszkadzać. - Usłyszę dzwonek, kiedy wrócisz.

- Dziękuję ci. Pijesz dużo?

- Hektolitrami. Nie śpiesz się, kochana, zajmę się twoją kopertą. Brenda miała zamiar podziękować raz jeszcze, ale radna już zamknęła drzwi.

19

Pod koniec rozmowy z Brendą Andrei ponownie zaczął się dawać we znaki żołądek. Starła się nad nim zapanować, lecz nie mogła. Zapewniła Brendę, że nie musi się śpieszyć, po czym zamknęła miłej znajomej drzwi przed nosem i z głośno burczącym brzuchem pognęła do cuchnącej łazienki.

Po drodze rzuciła kopertę na stolik przy kanapie. Papier ześlizgnął się po gładkiej powierzchni i spadł z drugiej strony, w ciemną szparę między dwoma meblami.

Andrea zdążyła do łazienki, nie do toalety... co zresztą nie miało większego znaczenia, bo i tam już pełno było zastałych, śmierdzących wymiocin, z którymi jej ciało pozbywało się toksyn przez całą nieskończenie długą noc. Pochyliła się nad umywalką i wymiotowała tak długo, aż nabrała przekonania, że jej przelyk wylądował na zbryzganej żółcią porcelanie ciepły i pulsujący.

Do tego nie doszło, ale świat poszarzał i uciekł od niej, malejąc w oddali. Oddychała głęboko, byle nie zemdleć. Gdy wreszcie poczuła się nieco lepiej, powoli, na wacianych nogach wróciła do korytarza, dla utrzymania równowagi przesuwając jedną ręką po ścianie. Drżała na całym ciele, słyszała szczekanie własnych zębów, straszny dźwięk, który odbierała nie uszami, lecz tylną stroną gałek ocznych.

Nawet nie próbowała się dostać do sypialni na górze, od razu wyszła na ganek. Normalnie pod koniec października byłoby tam za zimno na siedzenie w pidżamie, a tego dnia było wręcz parno. Zapadła się w objęcia starej leżanki, nadpleśniałej, ale ukochanej.

Zaraz wstanę, obiecała sobie solennie.

Wezmę z lodówki ostatnią butelkę wody i pozbędę się tego koszmarne posmaku z ust...

Tutaj myśli się jej urwały. Zapadła w głęboki, mocny sen, z którego nie wybudziło jej nawet gwałtowne drganie rąk i nóg. Dużo śniła.

W jednym ze snów zobaczyła wielki ogień, z którego uciekali ludzie, kaszląc i wymiotując, rozpaczliwie szukając chłodnego, czystego powietrza. W innym Brenda Perkins stanęła na progu i dała jej opasłą kopertę. Gdy Andrea ją otworzyła, poleciał z niej niewysychający potok różowych pigułek oksykodonu. Obudziła się dopiero wieczorem, zapomniawszy o wszystkich snach. A także o wizycie Brendy Perkins.

20

- Chodźmy do biura - zaprosił Duży Jim pogodnie. - Czy wolisz się najpierw napić? Mamy colę, chociaż, obawiam się, ciepłą. Wczoraj wieczorem wyłączył mi się generator. Zabrakło gazu.

- Ale jak sądzę, wiesz, skąd wziąć więcej - powiedziała Brenda. Duży Jim uniósł brwi pytająco.

- Masz zapasy tam, gdzie produkujesz metamfetaminę - podjęła cierpliwie. - O ile mi wiadomo z notatek Howiego, produkujesz ją w ilościach hurtowych. Dokładnie, jak to ujął, „w ilościach, które się nie mieszczą w głowie”. Potrzebujesz do tego mnóstwo propanu.

Gdy zaczęła mówić, zapomniała o tremie. Nawet czerpała niejaką przyjemność z widoku rumieńców, które ogarnęły policzki, a potem czoło Dużego Jima.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Pewnie żałoba... - Westchnął, rozłożył ręce o krótkich paluchach. - Chodź, wejdz. Porozmawiamy, na pewno się uspokoisz.

Uśmiechnęła się. Fakt, że w ogóle zdołała się uśmiechnąć, był zaskakujący. Łatwiej sobie wyobraziła Howiego, który patrzy na nią gdzieś z góry. I przestrzega ją, żeby była ostrożna. Tej rady miała zamiar posłuchać.

Na trawniku przed domem Renniego, wśród opadłych liści, stały dwa drewniane fotele.

- Nie ma potrzeby - stwierdziła. - Chętnie zostanę na zewnątrz.

- O interesach wolę rozmawiać w środku.

- A chciałbyś zobaczyć swoje zdjęcie na pierwszej stronie „Democrata”? Mogę ci to zapewnić.

Skrzywił się, jakby go uderzyła. Przez moment Brenda dojrzała w jego świńskich oczkach czystą nienawiść.

- Duke nigdy mnie nie lubił - stwierdził Duży Jim. - Nic dziwnego zatem, jeżeli swoje uczucia przekazał...

- Nie Duke, tylko Howie!

Duży Jim podniósł ręce w geście, który wyraźnie mówił, że z niektórymi kobietami człowiek nie dojdzie do ładu, i poprowadził ją do foteli z widokiem na Mill Street.

Brenda Perkins mówiła prawie pół godziny, coraz bardziej zlodowaciała i rozwścieczona. O laboratorium metamfetaminy, o udziale Andy'ego Sandersa i Lestera Cogginsa, o oszałamiających rozmiarach produkcji. O lokalizacji wytwórni. O pośrednikach, którym obiecano darowanie kary w zamian za informacje. O przepływie pieniędzy. O tym, jak interes urósł do takich rozmiarów, że miejscowa apteka nie mogła już zapewnić odpowiednich ilości składników i pojawiła się konieczność importowania ich z zewnątrz.

- Składniki przyjeżdżały do miasta w ciężarówkach oznaczonych Towarzystwo Biblijne Gedeon. „Przekombinowane”, jak to określił Howie.

Duży Jim siedział, bez słowa patrzył na cichą, spokojną uliczkę. Biła od niego wściekłość i nienawiść. Jak gorąco od rondla.

- Niczego mi nie udowodnisz - stwierdził w końcu.

- Dowody nie będą miały najmniejszego znaczenia, jeśli zapiski Howiego ukazą się w prasie. Nie jest to właściwy sposób postępowania, jednak kto jak kto, ale ty z pewnością zrozumiesz małe odstępstwo od reguły.

Lekceważąco machnął ręką.

- No dobrze. Masz notatki. Tyle że na niczym nie znajdziesz mojego nazwiska.

- Owszem, znajdę. Na dokumentach spółki Town Ventures. Duży Jim odsunął się gwałtownie w fotelu, jakby Brenda uderzyła go pięścią w skroń.

- Town Ventures, spółka z Carson City - podjęła. - Z Nevady ślad prowadzi do Chongqing, farmaceutycznej stolicy Chińskiej Republiki Ludowej. - Uśmiechnęła się niewesoło. - Sądziłeś, że jesteś przebiegły, co?

- Gdzie te zapiski?

- Rano zostawiłam wydruk u Julii.

Nie miała najmniejszego zamiaru wciągać w to wszystko Andrei. Bała się, że Duży Jim z Andym mogliby ją namówić, do czego by tylko zechcieli. Poza tym chciała, by sądził, że dowody znajdują się w rękach wydawcy, i tym łatwiej się poddał.

- Jest więcej kopii?

- A jak myślisz?

Rennie zastanowił się przez chwilę.

- Załatwialem sprawy poza miastem - powiedział w końcu. Brenda milczała.

- Robiłem to dla dobra miasta.

- Tak, rzeczywiście zrobiłeś dla miasta wiele dobrego. Mamy kanalizację niemodemizowaną od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Jezioro Chester zmieniło się w brudną kałużę, dzielnica handlowa umiera. - Siedziała prosto, ściskając poręcz fotela. - Jesteś pieprzonym zakłamanym egoistą i draniem.

- Czego chcesz? - Patrzył prosto przed siebie, na pustą ulicę. Wielka żyła pulsowała mu na skroni.

- Zrezygnujesz ze stanowiska. Przekażesz je Barbiemu zgodnie z poleceniem prezyden...

- Nigdy w życiu nie oddam stanowiska temu łachadojdzie. - Odwrócił się do Brendy. Na twarzy miał uśmiech. Przerazający. - Niczego nie zostawiłaś u Julii, bo Julia jest pod supermarketem i patrzy, jak ludzie walczą o jedzenie. Może plik gdzieś schowałaś, ale nigdzie nie zostawiłaś wydruku. Byłaś u Burpeego, byłaś u Julii Shumway, w obu miejscach pocałowałaś klamkę. Potem przyszałaś tutaj. Widziałem cię, jak szłaś na Town Common Hill.

- Mylisz się.

A gdyby tak powiedzieć prawdę? Nie, naraziłabyś Andreę. Wstała z fotela.

- Dałam ci szansę.

- Drugi błąd popełniłaś, zakładając, że jesteś bezpieczna w ogrodzie przy ulicy. Przy pustej ulicy.

On także wstał. Mówił uprzejmym tonem, więc kiedy dotknął jej ramienia, odruchowo się do niego odwróciła. Chwytał ją za twarz. I przekręcił głowę.

Brenda Perkins usłyszała suchy trzask, jakby się gałąź złamała pod ciężarem lodu. Wołając męża, podążyła w wielką ciemność.

21

Duży Jim wszedł do domu i z komody w holu wziął firmową czapkę autokomisu. A także rękawiczki. I dynię ze spiżarki. Brenda siedziała na fotelu, tak jak na niego opadła, głowę miała zwieszoną na piersi. Rozejrzył się dookoła. Nikogo. Wsadził jej na głowę czapkę, naciągnął na oczy, na ręce włożył rękawiczki, na kolanach położył dynię.

Będzie doskonale, póki Junior nie wróci i nie zabierze jej do innych ofiar Dale'a Barbary. Do tej pory Brenda Perkins pozostanie zwykłym manekinem przygotowanym na Halloween.

Zajrzał do torebki. Znalazł portfel, grzebień i jakąś powieść w kieszonkowym wydaniu. W porządku. Wystarczy zanieść do piwnicy, wrzucić za wygasły piec.

Zostawił ją z czapką naciągniętą na oczy, z dynią na kolanach i wrócił do domu

schować torbę, a potem czekać na syna.

W KICIU

1

Radny Rennie słusznie założył, że nikt nie widział, jak Brenda przysła do niego tego ranka. Natomiast wcześniej zapamiętała ją nawet nie jedna osoba, ale trzy, w tym jedna, która także mieszkała przy Mill Street. Gdyby Duży Jim o tym wiedział, czy ta wiedza by go powstrzymała? Wątpliwe. Wtedy już za późno było na odwrót. Może jednak by się zastanowił (w końcu, na swój sposób, był człowiekiem myślącym) nad podobieństwem morderstwa i chipsów ziemniaczanych: szalenie trudno jest poprzestać na jednym.

2

Duży Jim przegapił patrzących, idąc na róg Mill i Main. Nie zauważyła ich także Brenda w drodze na Town Common Hill. A to dlatego, że tamci nie chcieli być zauważeni. Ukryli się między drewnianymi ścianami mostu Pokoju, łamiąc tym samym parę zakazów. Nie to jednak było najgorsze. Najgorsze byłoby wówczas, gdyby Claire McClatchey zobaczyła papierosy. Na pewno by padła z wściekłości. A może nawet padłaby dwa razy. I na pewno zabroniłaby Joemu na zawsze zadawać się z Norrie Calvert, nawet gdyby od tego miał zależeć los miasta, bo właśnie Norrie zdobyła papierosy - pogniecione i mocno wychudłe winstony, które znalazła na półce w garażu. Jej ojciec rzucił palenie rok wcześniej, więc paczka zdążyła się pokryć grubą warstwą kurzu, lecz same papierosy wydały się Norrie całkiem w porządku. Były tylko trzy, co też pasowało doskonale - po jednym dla każdego. Kazała chłopakom podejść do sprawy jak do rytuału ściągającego fart.

- Wypalimy jak Indianie błagający bogów o powodzenie na polowaniu. A potem bierzemy się do roboty.

- No dobra - przystał Joe.

Zawsze go ciekawiło palenie papierosów. Nie rozumiał, co w tym pociągającego, a przecież musi coś być, skoro tylu ludzi pali.

- Jakich bogów? - zapytał Benny Drake.

- Jakich chcesz - odparła Norrie, patrząc na niego, jakby na całym świecie nie było równie tępego stworzenia. - Może być ten bóg, co się nazywa Bóg, jeżeli tak chcesz. - Ubrana w różowy top i dzinsowe szorty, z włosami wyjątkowo rozpuszczonymi, a nie jak zwykle zebranymi w koński ogon, podobała się obu chłopcom. - Ja będę się modliła do Wonder

Woman.

- Wonder Woman nie jest boginią - stwierdził Joe. Wziął papierosa, ostrożnie go rozprostował. - Wonder Woman to superbohater. - Zastanowił się chwilę. - Superbohaterka.

- Dla mnie jest boginią - stwierdziła Norrie z grobową powagą, której nie sposób było się sprzeciwić, a już na pewno nie dało się wyśmiać.

Wygładziła papierosa. Benny swojego nie prostował. Uznał, że pogięty będzie bardziej cool.

- Miałam kiedyś jej niezniszczalne bransolety mocy, ale mniej więcej jak skończyłam dziewięć lat, gdzieś zniknęły. Chyba ta głupia Yvonne Nedeau mi je zasunęła.

Zapaliła zapalniczkę, przysunęła płomień najpierw do papierosa Joego, potem Benny'ego. Kiedy chciała zapalić swojego, Benny zdmuchnął zapalniczkę.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała.. - Bo trzy z rzędu to pech.

- Wierzysz w to?

- Niespecjalnie - przyznał Benny - ale dzisiaj lepiej nie ryzykować.

Zerknął na torbę tkwiącą w koszyku jego roweru. Zaciągnął się papierosem. Wciągnął zaledwie odrobinę dymu, lecz rozkaszał się rozpaczliwie, w oczach stanęły mu łzy.

- Rany, ale świństwo!

- Jeszcze nie paliłeś, co? - spytał Joe.

Teraz on zaciągnął się dymem. Nie chciał wyjść na cykora, ale kasłać i rzygać też nie. Dym palił go w gardle, W jakimś sensie było to przyjemne uczucie. Może faktycznie coś w tym jest. Tylko że zaczęło mu się kręcić w głowie.

Spokojnie z tym zaciąganiem, pomyślał. Bo jak zemdlejesz, człowieku, to będzie jeszcze gorzej, niż gdybyś się porzygał.

Chyba żeby mdlejąc, osunął się Norrie na kolana. To byłoby super.

Norrie wyciągnęła z kieszeni nakrętkę od soku.

- Popielniczka - oznajmiła. - Rytuał rytuałem, ale lepiej żebyśmy nie podpalili mostu.

Zamknęła oczy, zaczęła poruszać wargami. Na papierosie rósł słupek popiołu.

Benny spojrzał na Joego, wzruszył ramionami i też zamknął oczy.

- Wszechpotężna GI Joe, wysłuchaj, proszę, modlitwy swojego pokornego sługi Drake'a...

Norrie kopnęła go, nie otwierając oczu.

Joe wstał (trochę niepewnie, bo odrobinę kręciło mu się w głowie, ale nie było tak źle; stojąc, zaryzykował jeszcze jedno pociągnięcie) i poszedł na koniec mostu od strony miasta. Tam niedaleko stały rowery.

- A ty dokąd? - zapytała Norrie, nadal nie otwierając oczu.

- Lepiej mi się modli, jak patrzę na przyrodę - odparł Joe.

W rzeczywistości po prostu chciał zaczerpnąć świeżego powietrza. I nie chodziło o zapach tytoniu, ten mu się nawet spodobał. Chodziło o inne zapachy zalegające na moście: gnijące drewno, zwietrzały alkohol i kwaśny odór chemikaliów, który zdawał się unosić z wody (ten zapach, mógłby mu powiedzieć Kucharz, można pokochać).

Tutaj, na końcu mostu, powietrze też było nieszczególne. Jak zużyte. Przypomniało Joemu zeszłoroczną wycieczkę z rodzicami do Nowego Jorku. Metro czuć było trochę podobnie, szczególnie po południu, kiedy tłumy ludzi wracały do domu.

Strząsnął popiół na rękę. Wyrzucając go, zobaczył Brendę Perkins idącą na wzgórze.

Chwilę później ktoś dotknął jego ramienia. Lekko, za delikatnie na Benny'ego.

- Kto to jest? - spytała Norrie.

- Nie wiem. Znam ją z widzenia, ale nie wiem, jak się nazywa. Podszedł do nich Benny.

- To pani Perkins. Wdowa po szeryfie. Norrie szturchnęła go łokciem.

- Nie szeryfie, tylko komendantcie policji, głupku jeden. Benny wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno.

Przyglądali się jej głównie dlatego, że nie mieli na co patrzeć. Całe miasto pojechało do supermarketu, gdzie najwyraźniej rozgrywała się wielka bitwa o jedzenie. We troje przyjrzeni się wydarzeniom, ale z daleka. Nie trzeba ich było przekonywać, żeby się trzymali w odpowiedniej odległości. W końcu powierzono im cenne urządzenie.

Brenda Perkins przeszła przez Main na stronę Prestile, zatrzymała się przed domem McCainów, a potem poszła do pani Grinnell.

- Zbieramy się - zarządził Benny.

- Nie możemy jechać, póki ona nie zniknie - stwierdziła Norrie. Benny wzruszył ramionami.

- Co za różnica? Nawet jeżeli nas zobaczy, i tak nie zwróci uwagi. A w ogóle to pewnie nas wcale nie zauważy. Dorośli po prostu nie widzą dzieci. - Zastanowił się przez moment. - Chyba że na desce.

- Albo z papierosem - dodała Norrie. Wszyscy troje spojrzeli na swoje papierosy.

Joe kciukiem wskazał torbę w koszu przymocowanym do kierownicy górala Schwinn High Plains.

- Mogą też zwrócić uwagę na dzieciaki wałęsające się z drogim sprzętem należącym do miasta.

Norrie wetknęła papierosa w kącik ust. Wyglądała z nim fantastycznie twardo, fantastycznie ładnie i fantastycznie dorośle.

Po chwili chłopcy znów spojrzeli na ulicę. Pani Perkins rozmawiała z panią Grinnell. Wymiana zdań nie trwała długo. Wdowa po komendancie policji wyjęła z torby dużą kopertę, podała ją pani Grinnell. Gospodyni prawie natychmiast zatrzasnęła gościowi drzwi przed nosem.

- Nooo, pięknie - ocenił Benny. - Nagroda tygodnia. Joe i Norrie się zaśmiali.

Pani Perkins stała jeszcze przez moment, najwyraźniej zdziwiona lub zakłopotana, po czym zeszła ze schodów. Była wtedy zwrócona twarzą w stronę mostu, więc dzieciaki odruchowo cofnęły się głębiej w cień. Wtedy na chwilę straciły ją z oczu, ale zaraz Joe znalazł przyzwoitą szczelinę między bocznymi deskami i wyjrzał.

- Wraca na Main Street - odraportował. - Dobra, idzie na wzgórze, przechodzi ulicę...

Benny uniósł do ust wymaglinowany mikrofon.

- Kamera na jedenastą. Joe go zignorował.

- Wchodzi na moją ulicę! - Odwrócił się do pozostałych dwojga. - Myślicie, że idzie do mojej mamy?

- Człowieku, Mill Street ma cztery przecznice długości! - przypomniał mu Benny. - Szanse chyba są niewielkie.

Joemu wyraźnie ulżyło, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, czego właściwie się obawiał, dlaczego pani Perkins nie miałyby zajrzeć do jego mamy. No, może dlatego, że mama martwiła się o tatę, który został za miastem, a Joe za nic w świecie nie chciałby jej przysporzyć więcej zmartwień. I tak o mało mu nie zabroniła tej wyprawy. Na szczęście pani Shumway ją przekonała, twierdząc, że Dale Barbara uważał Joego za najodpowiedniejszego człowieka do wykonania tego zadania (które z Bennym i Norrie woleli nazywać misją). „Proszę pani - powiedziała wtedy Julia Shumway. - Barbie uważa, że jeśli w ogóle ktokolwiek zdoła uruchomić to urządzenie, to wyłącznie pani syn. A sprawa jest bardzo ważna”.

Joe poczuł się bosko, lecz kiedy spojrział na twarz matki, ściągniętą zmartwieniem, od razu mu się pogorszyło. Nie minęły jeszcze trzy dni od powstania klosza, a ona już zdążyła stracić na wadze. I kiedy wpatrywała się w zdjęcie tatusia, też mu było niespecjalnie. Całkiem jakby trzymała w rękach fotografię zmarłego, a nie człowieka, który siedział gdzieś w motelu, popijając piwo i oglądając HBO.

W końcu zgodziła się z panią Shumway.

- Mądry z niego chłopak, zna się na różnych gadżetach. Ma to we krwi. - Zmierzyła go

uważnym spojrzeniem od stóp do głów, westchnęła. - Kiedyś ty tak urósł, synu?

- Nie wiem - odparł zgodnie z prawdą.

- Będziesz ostrożny?

Joe obiecał, że będzie ostrożny.

- I zabierz ze sobą przyjaciół - poleciła Julia.

- Benny'ego i Norrie? Nie ma sprawy.

- I jeszcze jedno - dodała Julia. - Postarajcie się nie rzucać w oczy. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak, proszę pani. Jasna rzecz. Oznaczało to, że mają nie dać się złapać.

3

Brenda zniknęła między drzewami rosnącymi przy Mill Street.

- Dobra - rzucił Benny. - Komu w de, temu ce.

Ostrożnie zdusił papierosa w prowizorycznej popielniczce, następnie wyjął torbę na zakupy z drucianego koszyka. W torbie tkwił stary żółty licznik Geigera, który kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk: od Barbiego do Ryżego, od Ryżego do Julii - i w końcu trafił do Joego.

Joe zgasił papierosa w zakrętce od soku, postanawiając, że powinien zapalić jeszcze raz, kiedyś, gdy będzie miał więcej czasu, żeby się skoncentrować na nowym doświadczeniu. A może lepiej nie? Był uzależniony od komputerów, od komiksów Briana K. Vaughana i od jeżdżenia na desce. Chyba dosyć tych przyjemności.

- Spotkamy po drodze ludzi - powiedział Benny'emu i Norrie. - Pewnie całe tłumy, jak już się skończy ten cyrk pod supermarketem. Więc musimy mieć nadzieję, że nie będą na nas zwracali uwagi.

W pamięci miał słowa pani Shumway, która przekonywała mamę, jak ważna jest ta wyprawa dla całego miasta. Jemu tego nie musiała mówić. Chyba rozumiał to lepiej niż one obie razem wzięte.

- A jeśli się trafią jacyś gliniarze? - spytała Norrie.

- Pakujemy go z powrotem do torby. I wyciągamy frisbee.

- Naprawdę myślisz, że pod placem jest zakopany jakiś kosmiczny generator? - spytał Benny.

- Powiedziałem, że to możliwe - odparł Joe ostrzej, niż zamierzał. - Wszystko jest możliwe.

W zasadzie sądził, że to więcej niż możliwe, że to prawdopodobne. Jeżeli kopuła nie

była pochodzenia nadnaturalnego, to powstała na skutek działania pola siłowego. Pole siłowe musiało zostać w jakiś sposób wygenerowane. Jego zdaniem podchodziło to pod elektrodynamikę kwantową, ale nie chciał niepotrzebnie rozbudzać w nich nadziei. W sobie zresztą też.

- Jedziemy szukać - zdecydowała Norrie. Zanurkowała pod luźno zwisającą taśmą policyjną. - Oby wasze modły okazały się skuteczne.

Joe nie wierzył w żadne modły za sprawy, którymi mógł sam pokierować, mimo to miał jedno życzenie, z zupełnie innej beczki: żeby po znalezieniu generatora Norrie go jeszcze raz pocałowała. Długo i naprawdę.

4

Wcześniej tego ranka, zanim wyruszyli na poszukiwania, Chudzielec Joe, siedząc w salonie, zdjął z prawej nogi but i białą skarpetkę.

- Cukierek albo psikus lepsze niż śmigus - dyngus, dawaj batonik, jełopie, bo każę ci wachać stopę - zaśmiał się Benny.

- Cicho, głupku - zgasił go Joe.

- Nie nazywaj przyjaciela głupkiem - ofuknęła go Claire McClatchey, ale też obrzuciła Benny'ego karcącym spojrzeniem.

Norrie w milczeniu obserwowała, jak Joe rozkłada skarpetkę na dywanie i wygładza dłonią.

- To jest Chester's Mill - powiedział. - W tym kształcie, no nie?

- Masz najsluszniejszą rację - zgodził się Benny. - Taki nasz los. Mieszkamy w mieście, które wygląda jak skarpetka Joego McClatcheya.

- Albo stary damski but - podrzuciła Norrie.

- Jedna stara kobieta w bucie sobie mieszkała - zacytowała pani McClatchey. Siedziała na kanapie i trzymała w dłoniach fotografię męża, tak samo jak poprzedniego dnia, kiedy była u nich pani Shumway z licznikiem Geigera. - Strasznie tam ciasno było, tyle dzieci miała.

- Nieźle, nieźle - odezwał się Joe, tłumiąc uśmiech. Gimnazjalna wersja rymowanki brzmiała nieco inaczej: „Tyle dzieci miała, że cipa jej odleciała”. Opuścił wzrok na skarpetkę.

- Gdzie ona ma środek?

Benny i Norrie przestawili szare komórki na wyższe obroty. Joe im nie przeszkadzał. Lubił ich między innymi za to, że tego rodzaju pytania potrafiły ich zainteresować.

- Środek nie będzie taki jak w kole albo kwadracie - odezwała się w końcu Norrie. - Nie taki jak w figurach geometrycznych.

- Skarpetka to też kształt geometryczny - zauważył Benny. - Tylko jak go nazwać? Skarpetkagon?

Norrie wybuchnęła śmiechem, nawet Claire się uśmiechnęła.

- Na mapie Chester's Mill jest zbliżone do sześciokąta - powiedział Joe. - Ale nieważne. Wysil zdrowy rozsądek.

Norrie wskazała na skarpetce miejsce, gdzie spód w kształcie stopy przechodził w górną część.

- Tutaj. To jest środek.

Joe postawił kropkę wiecznym piórem.

- Nie wiem, czy to zejdzie - westchnęła Claire. - Ale pewnie i tak przydadzą się nowe.
- Zanim zdążył zadać następne pytanie, odezwała się jeszcze raz: - Na mapie to by było mniej więcej w okolicach placu. Tam będziecie szukać?

- Tam będziemy szukać najpierw - uściślił Joe.

Matka trochę podcięła mu skrzydła, to on chciał grzmotnąć tym wyjaśnieniem.

- Bo twoim zdaniem - podsumowała pani McClatchey - generator powinien być mniej więcej pośrodku miasta.

Joe pokiwał głową.

- Super, proszę pani! - ucieszył się Benny. Podniósł rękę. - Niech pani przybije piątkę, matko brata mojej duszy.

Błado uśmiechnięta, nadal ze zdjęciem męża w dłoni, Claire McClatchey przybiła Benny'emu piątkę.

- Przynajmniej plac to miejsce bezpieczne - powiedziała. Zastanowiła się nad tym chwilę, lekko ściągając brwi. - Tak mi się wydaje, ale kto wie...?

- Niech pani się nie martwi - powiedziała Norrie. - Będę ich pilnowała.

- Obiecacie mi tylko, że jeśli faktycznie coś znajdziecie, zostawicie to fachowcom - zażądała Claire.

Oj, mamó, zdaje się, że to my jesteśmy fachowcami, pomyślał Joe. Jednak tego nie powiedział. Nie chciał jej zasmucać jeszcze bardziej.

- Tak jest! - krzyknął Benny i ponownie uniósł dłoń. - Jeszcze jedna piątka, matko brata...

Tym razem Claire nie podniosła ręki. Obiema trzymała fotografię.

- Oj, Benny, czasami jesteś męczący. Chłopak uśmiechnął się smutno.

- Moja mama mówi dokładnie to samo.

Joe z przyjaciółmi zeszli ze wzgórza aż do estrady na środku placu. Za ich plecami szumiała Prestile. Poziom wody się obniżył, bo na północy kopała przegradziła rzekę tamą.

Do jutra zostanie tylko szlam, pomyślał Joe.

- No dobra - odezwał się Benny. - Dostyc tej zabawy w chowanego. Teraz nieustraszeni jeźdźcy uratują Chester's Mill. Włączamy to cudencko.

Bardzo ostrożnie (i z autentycznym szacunkiem) Joe wyjął licznik Geigera z torby na zakupy. Bateria zasilająca urządzenie wyczerpała się już dawno, a styki zaśniedziały, jednak wystarczyło je przemyć sodą oczyszczoną, żeby zaśniedziały jak nowe. Norrie poszperała w szafce z narzędziami ojca i znalazła nie jedną, ale trzy sześciowoltowe baterie.

- On ma normalnie świra na punkcie baterii - zwierzyła się kolegom. - I kiedyś się zabije, jak się uprze, że zrobi jakiś trik na desce, ale ja go Kocham.

Joe położył kciuk na włączniku. Zmierzył pozostałych dwoje ponurym spojrzeniem.

- Zdajecie sobie sprawę, że to urządzenie może wskazywać zero nawet blisko generatora, jeżeli nie będzie on emitował fal alfa albo beta...

- Włączaj! - rozkazał Benny. - Bo mnie szlag trafi!

- Fakt - poparła go Norrie. - Włączaj.

Jakoś im nie szło. W domu Joego przetestowali licznik Geigera wielokrotnie i wszędzie działał niezawodnie - zwłaszcza przy zegarze z fosforyzującą tarczą. Każde z nich kolejno włączało i wyłączało urządzenie. Teraz jednak, „na mieście”, Joe skamieniał. Pot wystąpił mu na czoło. Czuł, jak zbierają się coraz większe krople, gotowe płynąć w dół.

Pewnie by tak stał jeszcze jakiś czas, gdyby nie Norrie, która położyła dłoń na jego rękę. I zaraz na wierzchu położył dłoń Benny. We trójkę przestawili suwany przełącznik. Igła wskazująca IMPULSY NA SEK. natychmiast skoczyła na plus pięć. Norrie ścisnęła Joego za ramię. Potem wskazówka opadła na plus dwa i tam została. Dziewczyna rozluźniła uścisk. Chociaż nie mieli doświadczenia w korzystaniu z czujników promieniowania, odgadli, że mają do czynienia z promieniotwórczością naturalną.

Joe powoli obszedł estradę, wyciągając przed siebie rękę z czujnikiem licznika, połączonym z urządzeniem spiralnym kablem przypominającym przewód od słuchawki telefonicznej. Światelko zasilania błyszczało jasno na bursztynowo, igła zadrzała raz czy drugi, ale trzymała się blisko zera na skali. Drgania wskaźnika były prawdopodobnie spowodowane jego ruchami. Właściwie go to nie zdziwiło, gdzieś w głębi duszy wiedział, że to nie może być takie łatwe, lecz mimo wszystko był mocno rozczarowany. Zdziwiający, jak

doskonale uzupełniają się rozczarowanie i brak zaskoczenia.

- Daj - zażądała Norrie. - Może będę miała więcej szczęścia. Oddał jej urządzenie bez sprzeciwu. Przez następną godzinę chodzili we wszystkie strony po placu, zmieniając się przy liczniku Geigera.

Widzieli samochód skręcający w Mill Street, lecz nie zwrócili uwagi na to, że za kierownicą siedział Junior Rennie, który znów poczuł się lepiej. On ich też nie zauważył. Karetka na sygnale pojechała w stronę Food City. Na krótko przyciągnęła ich spojrzenia. Kiedy jednak Junior jechał w drugą stronę, tym razem za kółkiem hummera swojego ojca, znowu byli zapatrzeni w skalę licznika.

Nawet nie pomyśleli o wyciągnięciu frisbee, które zabrali ze sobą w ramach kamuflażu - byli zbyt zajęci. Zresztą nie było to potrzebne. Mało kto spośród wracających do domów patrzył na plac. Kilka osób zostało pokaleczonych. Większość taszczyła zapasy żywności, ten i ów pchał przed sobą wózek z supermarketu. Prawie wszyscy wyglądali na zawstydzonych.

W południe Joe i przyjaciele gotowi byli się poddać. W dodatku zachciało im się jeść.

- Chodźcie do mnie - zaproponował Joe. - Mama coś nam wykombinuje.

- Super - ucieszył się Benny. - Najlepiej chińszczyznę. Chop suey. Normalnie nikt nie robi tego tak jak ona.

- Może jeszcze spróbujemy po drugiej stronie rzeki? - zaproponowała Norrie.

Joe wzruszył ramionami.

- Niech będzie. Ale tam jest tylko las. No i oddalimy się od centrum.

- Fakt, ale... - zamilkła.

- Ale co?

- Nic. Tak tylko sobie pomyślałam. Pewnie głupio.

Joe spojrzał na Benny'ego. Benny wzruszył ramionami i oddał dziewczynie licznik. Wrócili do mostu Pokoju i przeszli pod taśmą policyjną. Na moście było chłodno i mroczno, jednak Joe, patrząc nad ramieniem Norrie, widział tarczę licznika. Szli gęsiego, żeby zbyttnio nie nadwerężyć przegniłych desek. Gdy minęli środek mostu, wskazówka drgnęła. Zeszli na drugi brzeg obok znaku OPUSZCZASZ MIASTO CHESTER'S MILL, ROK ZAŁ. 1808. Stamtąd wydeptana ścieżka prowadziła w górę między dębami, jesionami i brzoźami. Jesienne liście zwisały z gałęzi, budząc raczej smutek niż zachwyty.

Zanim dotarli do ścieżki, wskazówka na tarczy stała między plus pięć a plus dziesięć. Poza dziesiątką skala szybko dążyła do plus pięciuset i zaraz do plus tysiąca. Górny koniec zaznaczono kolorem czerwonym. Na razie wskazówka znajdowała się całe kilometry poniżej tego miejsca, lecz Joe miał niezbitą pewność, że i tak pokazuje coś więcej niż

promieniotwórczość naturalną.

Benny patrzył na drgającą igłę, a Joe przyglądał się Norrie.

- O co ci właściwie chodziło? - spytał. - Wygląda na to, że pomysł nie był głupi.

- Fakt - przytaknął Benny.

Stuknął w szybkę czytania. Wskazówka podskoczyła, po czym ustawiła się mniej więcej na plus osiem.

- Pomyślałam sobie, że generator i nadajnik to mniej więcej to samo - powiedziała Norrie. - No i nadajnik nie musi być pośrodku, wystarczy, żeby był wysoko.

- Wieża WCIK nie jest wysoko - stwierdził Benny. - Stoi w przecince i wysyła Jezusa w świat. Wiem na pewno.

- No tak, ale ten nadajnik jest potężny - odparła Norrie. - Tata mówi, że ma sto tysięcy watów czy coś takiego. Może to coś, czego szukamy, ma krótszy zasięg. Więc pomyślałam sobie: Gdzie jest najwyższa część miasta?

- Wzgórze Black Ridge - powiedział Joe.

- Black Ridge - zgodziła się dziewczyna i uniosła pięść. Joe przybił zółwika, po czym wskazał w odpowiednią stronę.

- Tam. Jakies trzy kilometry. Może cztery.

Wycelował czujnik licznika w odpowiednim kierunku. Wszyscy troje zafascynowani patrzyli, jak wskazówka przesuwają się na plus dziesięć.

- O, ja pieprzę - wyrwało się Benny'emu.

- Po czterdziestce - przycięła mu Norrie. Jak zwykle pyskata. Chociaż zarumieniona. Leciutko.

- Przy Black Ridge Road jest stary sad - przypomniał sobie Joe. - Widać stamtąd całe Mill. TR - 90 też. Tak mówi tata. Może to tam. Norrie, jesteś genialna.

W końcu nie musiał czekać na pocałunek. Sam go sobie wziął, chociaż nieśmiało cmoknął tylko w kącik ust.

Dziewczyna wyglądała na zadowoloną, lecz nadal miała ściągnięte brwi.

- Może coś być, a może nie być. Licznik niespecjalnie wariuje. Lepiej pojedźmy tam na rowerach.

- Jasne! - zgodził się Joe.

- Ale po obiedzie - dodał Benny. Miał siebie za człowieka praktycznego.

W czasie gdy Joe, Benny i Norrie jedli obiad w domu McClatcheyów (faktycznie

dostali chińszczyznę), a Ryży Everett z pomocą Barbiego i dwóch nastolatków opatrywał w szpitalu ofiary zamieszek pod supermarketem, Duży Jim Rennie w swoim gabinecie przeglądał listę, odhaczając kolejne punkty.

Zobaczył swojego hummera wracającego na podjazd i odznaczył następną pozycję: Brenda dołączyła do pozostałych. Uznał, że jest gotowy, całkowicie i bezdyskusyjnie. Nawet gdyby kopuła nie przetrwała do wieczora, miał zabezpieczone tyły.

Junior wszedł, rzucił kluczyki od samochodu na biurko. Był blady i powinien się ogolić, na szczęście już nie wyglądał jak śmierć. Lewe oko miał zaczerwienione, raczej niegroźnie.

- Wszystko załatwione, synu? Junior kiwnął głową.

- Pójdziemy do więzienia? - zapytał z prawie bezinteresownym zaciekawieniem.

- Nie - odparł Duży Jim.

Myśl, że mógłby wylądować za kratkami, nie powstała mu w głowie nigdy w życiu, nawet wtedy, gdy ta wiedźma Perkins zaczęła go obrzucać oskarżeniami. Uśmiechnął się.

- Do więzienia pójdzie Dale Barbara.

- Nikt nie uwierzy, że zabił Brendę Perkins.

- Mylisz się - stwierdził Duży Jim, nadal uśmiechnięty. - Wszyscy uwierzą. Ludzie są przerażeni, więc uwierzą. Tak to jest na tym świecie.

- Skąd wiesz?

- Bo znam historię. Też powinieneś czasem poczytać.

Na końcu języka miał pytanie, dlaczego Junior przerwał naukę w Bowdoin College. Rzucił szkołę, oblał egzaminy, a może poproszono go o rezygnację? Nie czas jednak ani miejsce na takie pytania. Natomiast zapytał, czy syn zdoła mu wyświadczyć jeszcze jedną drobną przysługę.

Junior potarł skroń.

- Chyba tak - odpowiedział. - Mogę spróbować.

- Będziesz potrzebował pomocy. Możesz wziąć Franka, ale pewnie lepszy byłby Thibodeau, jeżeli może się ruszać. Na pewno nie Searles. Dobry z niego chłopak, niestety głupi.

Junior nic nie powiedział. Duży Jim ponownie zapytał siebie, co też się dzieje z tym młodym człowiekiem. Tylko czy naprawdę chciał poznać odpowiedź? Być może, być może. Kiedy już będzie po wszystkim. Na razie miał jeszcze sporo do zrobienia, a czas się kurczył.

- Co mam zrobić? - Najpierw coś sprawdzę.

Duży Jim wziął do ręki komórkę. Za każdym razem oczekiwał, że szatański wynalazek

okaże się równie przydatny jak wymiona u byka, jednak ciągle mu się udawało uzyskać połączenie. Przynajmniej w granicach miasta, a właśnie tego było mu trzeba. Wybrał numer komisariatu. Na posterunku policji odezwały się trzy sygnały z rzędu, zanim Stacey Moggin odebrała. Słysząc było, że się śpieszy, zupełnie straciła urzędowy sznyt. Duży Jim wcale nie był tym zaskoczony, biorąc pod uwagę poranne atrakcje, a w tle jeszcze słysząc było hałas i zamieszanie.

- Policja - rzuciła w słuchawkę. - Jeśli sprawa nie jest paląca, proszę się rozłączyć i zadzwonić później. Jesteśmy bardzo zajęci...

- Mówi Jim Rennie, skarbie. - Wiedział, że Stacey nienawidzi być nazywana skarbem. Wyłącznie dlatego użył tego słowa. - Daj mi komendanta. Myk - myk.

- Właśnie stara się przerwać bójkę. Proszę zadzwonić póź... - Nie będę dzwonił później - przerwał jej Duży Jim. - Twoim zdaniem dzwoniłbym z jakąś mało ważną sprawą? Skarbie, idź tam i przyłóż po łbie najbardziej agresywnemu. A potem niech Pete przejdzie do biura i...

Nie czekała, aż skończy, i nie przełączyła go na oczekiwanie. Z trzaskiem rzuciła słuchawkę na blat. Duży Jim był nie w ciemną bity, jeśli chciał komuś zaleźć za skórę, robił to skutecznie. Gdy usłyszał, jak ktoś kogoś wyzywa od skurczysynów i złodziei, uśmiechnął się rozanielony.

Moment później został przełączony na oczekiwanie, choć Stacey nie zadała sobie trudu, żeby go o tym poinformować. Przez kilka chwil słuchał McGruffa the Crime Doga, aż wreszcie ktoś podniósł słuchawkę. Ciężko dyszący Randolph.

- Mów szybko, Jim, mam tu dom wariatów. Ci, co nie trafili do szpitala z powodu połamanych żeber albo innych takich, są wściekli jak osy. Wszyscy się wzajemnie oskarżają. Staram się nie zamykać ludzi, jak leci, ale połowa z nich chce posiedzieć.

- Czy dzisiaj kwestia zwiększenia sił policyjnych wydaje ci się sensowniejsza, komendancie? - zapytał Rennie.

- O Chryste, tak. Dostaliśmy bęcki. Ta nowa mała... Roux wylądowała w szpitalu z kompletnie rozwaloną dolną połową twarzy. Wygląda jak narzeczona Frankensteina.

Uśmiech Dużego Jima stał się znacznie szerszy. Sam Verdreaux wykonał zadanie. Oczywiście była to kwestia wyczucia. Jeśli człowiek naprawdę musi przekazać piłkę - przy tych rzadkich okazjach, kiedy nie można rzucić samemu - trzeba ją koniecznie podać właściwej osobie.

- Ktoś ją trafił kamieniem - ciągnął Randolph. - Mel Searles też dostał. Na jakiś czas stracił przytomność, teraz już chyba wrócił do formy. Wygląda nieciekawie. Posłałem go do

szpitala na szycie.

- Fatalnie - powiedział Duży Jim.

- Ktoś zaatakował moich ludzi. Nie była to jedna osoba. Naprawdę możesz załatwić więcej ochotników?

- Jestem pewien, że znajdziesz wielu chętnych rekrutów pomiędzy młodymi ludźmi żyjącymi w tym mieście - stwierdził Duży Jim. - Nawet znam kilku takich spośród członków Kościoła Chrystusa Odkupiciela. Na przykład chłopaki Killiana.

- Jim, chłopaki Killiana są głupsi od butów.

- Zgoda. Ale przy tym są silni i słuchają rozkazów. A poza tym umieją strzelać.

- Mamy uzbroić tych żółtodziobów? - Randolph nie był przekonany. A jednocześnie wyraźnie miał nadzieję.

- Po tym, co się dzisiaj wydarzyło? Ależ oczywiście! Myślę, że na początek przyda ci się dziesięciu, może dwunastu praworządnych, godnych zaufania młodych ludzi. Frank i Junior pomogą ci ich ściągnąć. Będziemy potrzebowali więcej, jeżeli to wszystko nie skończy się do przyszłego tygodnia. Zapłacisz kwitami. Dasz im kupony na żywność, kiedy się zacznie racjonowanie. Im i ich rodzinom.

- Jasne. Przyślesz Juniora? Frank jest tutaj. Thibodeau też. Zdrowo oberwał pod sklepem, musieliśmy mu zmienić bandaż, ale już jest w niezłej formie. - Randolph zniżył głos. - Powiedział, że opatrunek zmienił mu Barbara i że wykonał kawał dobrej roboty.

- Zabawne... Pan Barbara nie będzie się zajmował zmienianiem bandażu zbyt długo. Dla Juniora mam inne zajęcie. I dla Thibodeau. Przyślij go do mnie.

- Po co?

- Gdyby ta informacja była ci potrzebna, sam bym ci powiedział.

Po prostu mi go tu przyślij. Później Junior i Frank sporządzą listę nowych rekrutów.

- No dobrze. Jak chcesz.

Rozmowę przerwała świeża awantura. Coś spadło albo zostało rzucone. Rozległ się trzask, gdy rozbiło się coś jeszcze.

- Spokój! - ryknął Randolph.

Uśmiechnięty Duży Jim odsunął telefon od ucha. I tak słyszał doskonale.

- Zabrać tych dwóch... Nie tych, kretyne, tamtych... Nie! Nie aresztować! Wywal ich stąd. Weź za dupę, jeśli inaczej się nie da!

Chwilę później znów trzymał słuchawkę w ręku.

- Przypomnij mi, dlaczego marzyłem o tej robocie, bo jakoś nie pamiętam.

- Ułoży się - pocieszył go Duży Jim. - Jutro będziesz miał paru nowych osiłków,

zdolnych młodych chłopaków... a w czwartek jeszcze z pięciu. Przynajmniej. Teraz przyślij mi tu Thibodeau. I przypilnuj, żeby ta ostatnia cela, na samym końcu, była gotowa na przyjęcie nowego lokatora. Dziś po południu zamieszka w niej pan Barbara.

- Pod jakim zarzutem?

- Cztery morderstwa plus wywołanie zamieszek pod supermarketem. Wystarczy tyle? Rozłączył się, zanim Randolph odpowiedział.

- Co mamy z Carterem zrobić? - zapytał Junior.

- Dzisiaj? Najpierw drobny rekonesans i odrobina planowania. Przy planowaniu wam pomogę. Potem weźmiecie udział w aresztowaniu Barbary. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Nic a nic.

- A jak już Barbara znajdzie się za kratkami, ty i Thibodeau zjecie porządną kolację, bo czeka was pracowita noc.

- Co takiego?

- Spalenie redakcji „Democrata”. Co ty na to? Junior się zdziwił.

- Dlaczego?

Zadając to pytanie, bardzo Dużego Jima rozczarował.

- Dlatego, że w najbliższej przyszłości wydawanie gazety nie będzie leżało w interesie naszego miasta. Masz jakieś obiekcje?

- Tato... przyszło ci może do głowy, że jesteś porąbany? Duży Jim pokiwał głową.

- Po całosci!

7

- Tyle razy byłam w tym gabinecie - powiedziała Ginny Tomlinson swoim całkiem nowym nosowym głosem - a nigdy jakoś nie pomyślałam, że mogłabym sama znaleźć się na leżance.

- Nawet gdybyś pomyślała, to pewnie za nic w świecie byś sobie nie wyobraziła, że będzie cię cerował facet, który ci z rana serwował stek z jajkami.

Barbie starał się utrzymać rozmowę w lekkim tonie, ale ponieważ wciąż opatrywał kolejnych rannych od chwili, gdy z pierwszym kursem karetki znalazł się w szpitalu, był zwyczajnie zmęczony. Podejrzewał, że w dużej części przyczynił się do tego stres. Śmiertelnie się bał, że komuś zaszkodzi, zamiast pomóc. Tę samą obawę widział na twarzy Giny Buffalino i Harriet Bigelow, tyle że one nie miały w głowie tykającego zegarka Jima Renniego.

- Chyba minie trochę czasu, zanim będę mogła znowu zjeść stek - powiedziała Ginny.

Ryży nastawił jej nos, zanim poszedł do innych pacjentów. Barbie mu pomagał, trzymając pielęgniarkę za głowę i dodając jej odwagi. Ryży wetknął jej w dziurki od nosa gazę nasączoną medyczną kokainą. Odczekał, żeby środek znieczulający dobrze zadziałał (przez te dziesięć minut zajął się fatalnie wywichniętym nadgarstkiem oraz zabezpieczył bandażem elastycznym spuchnięte kolano jakiejś kobiety z dużą nadwagą), po czym wyciągnął z nosa pielęgniarki gazowe tampony i chwycił skalpel. Były asystent lekarza był fantastycznie szybki. Barbie nie zdążył zaproponować Ginny, żeby krzyczała „ciągaaj!”, a już było po wszystkim. Ryży wetknął rączkę skalpela w mniej uszkodzone nozdrze i używając jej w roli dźwigni, wyprostował przegrodę.

Całkiem jakby ściągał kołpak, pomyślał Barbie, usłyszawszy niegłośny, lecz wyraźny trzask, gdy nos wrócił mniej więcej na właściwe miejsce. Ginny nawet nie krzyknęła, tylko konwulsyjnie poruszyła palcami, wydzierając dziury w papierze zakrywającym leżankę. Łzy ściekły jej po policzkach.

Potem była już całkiem spokojna - Ryży podał jej dwa percocety - ale z mniej napuchniętego oka ciągle płynęły łzy. Policzki miała fioletowe. Zdaniem Barbiego wyglądała trochę jak Rocky Balboa po walce z Apollem Creedem.

- Spójrz na to od jaśniejszej strony - powiedział.

- Jest taka?

- Oczywiście. Georgia Roux co najmniej przez miesiąc będzie się żywiła zupką i koktajlami mlecznymi.

- Georgia? Tak, słyszałam, że oberwała... Bardzo z nią źle? - Będzie żyła, ale nieprędko zechce spojrzeć w lustro.

- Pięknością nigdy nie była. - I ciszej: - Czy to ona krzyczała? Barbie pokiwał głową. Georgia wyła na cały szpital.

- Ryży dał jej morfinę, lecz na długo nie wystarczyło. Dziewczyna jest wielka jak koń.

- I ma mózg aligatora - dodała Ginny. - Nikomu bym nie życzyła tego, co ją dzisiaj spotkało, ale może faktycznie istnieje reinkarnacja i dziewczyna sobie zasłużyła? - Umilkła na moment. - Jak długo tu jestem? Zegarek mi się stłukł.

Barbie zerknął na swój.

- Wpół do trzeciej. Czyli zdrowieje szanowna pani już jakieś pięć i pół godziny.

Przeciągnął się, aż mu strzeliło w plecach. Napięcie trochę odpuściło. Najgorsze jest czekanie. Uznał, iż poczuje się lepiej, kiedy już trafi do celi. Chyba że wcześniej straci życie. Przeszło mu przez głowę, że dobrze byłoby dać się zabić w czasie aresztowania.

- Dlaczego szanowny pan się uśmiecha?

- A, tak sobie. - Wziął do ręki pęsetę. - Teraz nic nie mów, dobrze? Muszę zrobić, co trzeba. Im prędzej zacznę, tym szybciej skończę.

- Powinam się już pozbierać i zająć chorymi.

- Jeśli to zrobisz, wylądujesz na podłodze i trzeba się będzie zajmować tobą.

Ginny zerknęła na pęsetę.

- Czy ty w ogóle wiesz, jak to się robi?

- Mowa! Stoi przed tobą zdobywca złotego medalu na olimpiadzie w usuwania szkła.

- Masz lepszy bajer niż mój były mąż - uśmiechnęła się Ginny. Zaimponowała mu, bo wiedział, że ból daje się jej we znaki mimo leków.

- Tylko się nie zachowuj jak typowy lekarz u doktora, dobrze? - poprosił.

- To była specjalność doktora Haskell. Kiedyś wbiła mu się drzazga pod paznokieć. Ryży zaoferował się z pomocą, a Czarnoksiężnik na to prychnął i zażądał specjalisty. - Zaśmiała się, po czym od razu skrzywiła i jęknęła.

- Jeśli ci to poprawi humor, wiedz, że ten gliniarz, który cię uderzył, dostał kamieniem w głowę.

- Karma po prostu. I co z nim? Przytomny? Na nogach? - Aha.

Mel Searles z obandażowaną głową wyszedł ze szpitala przed dwiema godzinami.

Gdy Barbie pochylił się, trzymając pęsetę w ręku, Ginny instynktownie odwróciła głowę. Podparł ją, naciskając jak najdelikatniej na mniej spuchnięty policzek.

- Wiem, że trzeba to zrobić. Po prostu boję się o oczy.

- Przy takim ciosie miałaś kupę szczęścia, że ci się szkło z okularów nie powbijało w gałki.

- To prawda. Rób, co masz robić.

- Nawet nie zauważysz, kiedy będzie po wszystkim. Jestem szybki jak błyskawica.

Otarł dłonie, żeby mu się nie ślizgały (z tego samego powodu nie włożył rękawiczek). Naliczył dziesięć drobnych okruchów szkła powbijanych w czoło i skórę wokół oczu, w tym jeden, który rzeczywiście budził niepokój. Mikroskopijny przezroczysty sztylet utkwiał tuż pod kącikiem lewego oka. Barbie sądził, że Ryży sam by go wyjął od razu, tyle że pewnie nie zauważył, skoncentrowany na nosie.

Im szybciej, tym lepiej, pomyślał. Czasem pośpiech jest potrzebny nie tylko przy łapaniu pcheł.

Wyciągnął okruch szkła i wrzucił do plastikowej miski na stole. Na skórze pacjentki zaśniła drobna perełka krwi. Barbie wypuścił powietrze z płuc.

- Dobra. Reszta już bezproblemowa. Nie ma o czym mówić.

- Obyś miał rację.

Akurat usuwał ostatni okruch szkła, gdy w drzwiach stanął Ryży z metalowym pudełeczkiem po miętówkach w dłoni i poprosił o pomoc.

- A dokładnie?

- Jest tu taki jeden wrzód na dupie i usiłuje dać nogę z trefnym towarem. Normalnie z przyjemnością bym mu otworzył drzwi, ale dziś jak raz nam się przyda.

Barbie spojrział na pielęgniarkę.

- Ginny? Jak tam?

Tylko machnęła ręką w kierunku drzwi, więc poszedł za Ryżym.

- Hej, przystojniaku! - zawołała, gdy był już w drzwiach.

Posłała mu całusa. Barbie go złapał.

8

W Chester's Mill był tylko jeden stomatolog. Nazywał się Joe Boxer. Gabinet miał przy końcu Strout Lane, skąd otwierał się malowniczy widok na rzekę i most. Można go było podziwiać na siedząco. Natomiast pacjenci na fotelu, ułożeni w pozycji niemal poziomej, mogli podziwiać zdjęcia chihuahuy Boxera przyklejone na suficie.

- Na jednym z nich ten przeklęty pies wygląda, jakby srał - zwierzył się Dougie Twitchell Ryżemu po którejś z wizyt. - Może te psy w taki sposób siadają, ale coś mi się nie wydaje. Raczej mam wrażenie, że przez te pół godziny, kiedy Box wyrywał mi zęby mądrości, gapiłem się na srającą kuchenną ścierkę ze ślepiami. Chyba robił to śrubokrętem.

Szyld wiszący przed gabinetem przywodził na myśl spodenki koszykarza o rozmiarach giganta. Pomalowany był na zielono i złoto - kolory Mills Wildcats. Napis głosił: JOSEPH BOXER, LEKARZ STOMATOLOG. A niżej widniało: EKSPRESOWO. I rzeczywiście, Boxer uwijał się naprawdę szybko, co do tego wszyscy byli zgodni. Niestety, nie uznawał ubezpieczenia i przyjmował płatność wyłącznie gotówką. Jeżeli trafił do niego jakiś drwal z ropiejącymi dziąsłami oraz policzkami spuchniętymi tak, że przywodził na myśl wiewiórkę z pyszczkiem pełnym orzechów, i zaczynał mówić coś o ubezpieczeniu zdrowotnym, Boxer radził mu, żeby się zwrócił o pieniądze do Kościoła albo do ubezpieczalni, albo gdzie mu tam jeszcze po drodze i wrócił z gotówką.

Jakakolwiek konkurencja zapewne wymusiłaby na nim zmianę tej drakońskiej polityki, lecz żaden z kilku stomatologów, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu lat próbowali utrzymać praktykę w Chester's Mill, jakoś nie podolał. Ludzie gadali, że wszystko przez to, iż

Joe Boxer był zaprzyjaźniony z Jimem Rennie, ale nikt nie miał żadnych dowodów. Tymczasem Boxer krążył po mieście porsche. Na zderzaku miał naklejkę MÓJ DRUGI SAMOCHÓD TO TEŻ PORSCHE!

Gdy Ryży szedł korytarzem, a Barbie właśnie go doganiał, Boxer akurat podążał do wyjścia. Taki przynajmniej miał zamiar. Twitch trzymał go za rękaw. W drugim ręku dentysta dzierżył koszyk wypełniony paczkami mrożonych gofrów Eggo. Nie miał nic więcej, same gofry Eggo. Barbie po raz kolejny odniósł wrażenie, że jednak leży na parkingu przy Karczynie Dippera pobity do nieprzytomności i śni jakiś abstrakcyjny koszmar.

- Nie ma mowy! - krzyknął Boxer. - Muszę włożyć gofry do zamrażarki. Zresztą i tak na pewno nic z tego nie wyjdzie, więc puszczaj!

Barbie zwrócił uwagę na cienki plaster dzielący brew stomatologa na dwie części oraz drugi, szerszy, na jego prawym przedramieniu. Dentysta najwyraźniej stoczył walkę o swoje gofry.

- Powiedz temu głupkowi, żeby zabierał łapy! - zawołał na widok Ryżego. - Już zostałem opatrzony, wracam do domu.

- Nie tak prędko - sprzeciwił się Ryży. - Zostałeś opatrzony gratis, teraz spodziewam się zapłaty.

Boxer był niewysoki, miał najwyżej metr sześćdziesiąt, ale wyprostował się dumnie i wypiął pierś.

- Możesz się spodziewać, czego chcesz. Nie mam upoważnienia do przeprowadzania takich operacji, a poza tym chirurgia szczękowa ma się nijak do przyklejenia dwóch plastrów. Ja muszę zarabiać na życie, za pracę oczekuję zapłaty.

- Jak to mawia pański przyjaciel Rennie - odezwał się Barbie - zapłatę otrzymasz w niebie.

- To nie ma nic wspólnego z...

Barbie podszedł krok bliżej i zajrzał do zielonego plastikowego koszyka. Na rączce widniały słowa WŁASNOŚĆ FOOD CITY. Boxer próbował, bez większego efektu, schować koszyk za siebie.

- Skoro już mowa o pieniądzach, to czy zapłacił pan za gofry?

- Co za pytanie! Każdy brał, co chciał. A ja tylko to. - Popatrzył na Barbiego wyzywająco. - Tak się składa, że mam ogromną zamrażarkę i uwielbiam gofry.

- „Każdy brał, co chciał”. Niezbyt dobra linia obrony przy oskarżeniu o plądrowanie - stwierdził Barbie łagodnie.

Wydawało się, że Boxer bardziej wyprostować się już nie zdoła, a jednak. Twarz miał

buraczkową, prawie fioletową.

- To mnie pan zabierz do sądu! Tylko do którego, co?! W mieście nie ma sądu! Sprawa zamknięta! Ha!

Zaczął się odwracać do wyjścia. Barbie wyciągnął rękę i chwycił koszyk.

- Konfiskuję - oznajmił. - Mowy nie ma!

- Nie? Proszę mnie postawić przed sądem. A, prawda, w mieście nie ma sądu...

Boxer zmierzył go hardym spojrzeniem. Rozciągnął wargi, ukazując drobne, zadbane zęby.

- Gofry pójda do naszej kafejki - stwierdził Ryży. - Świetnie. Są doskonałe.

- I to jak najszybciej, póki jeszcze mamy prąd - mruknął Twitch. - A potem może ponadziewamy je na widelce i upieczemy nad piecem krematoryjnym.

- Nie wolno! - zaprotestował Boxer.

- Postawmy sprawę jasno - zaproponował Barbie. - Dopóki pan nie zrobi tego, czego chce Ryży, nie wypuszczę pana z goframi.

Chaz Bender, z plastrem na nosie i drugim na boku szyi, zaśmiał się głośno. Nie był to śmiech pełen sympatii.

- Płać, doktorcu, płać! - zawołał. - Sam zawsze powtarzasz, że trzeba płacić!

Boxer zmierzył spojrzeniem najpierw Bendera, potem Ryżego.

- Ta operacja nie ma szans powodzenia. Już pana o tym uprzedzałem.

Ryży otworzył pudełeczko po miętówkach i wyciągnął rękę przed siebie. W środku znajdowało się sześć zębów.

- Torie McDonald pozbierała je przed supermarketem. Chodziła na kolanach i macała w kałużach krwi Georgii Roux. Więc jeśli chcesz w najbliższej przyszłości jadać na śniadanie gofry, drogi doktorcu, musisz je na powrót osadzić w szczęce Georgii.

- A jeśli sobie po prostu pójde?

Chaz Bender, nauczyciel historii, postąpił krok do przodu. Zacisnął pięści.

- Wtedy, mój litościwy przyjacielu, ja ciebie na parkingu spiorę na kwaśne jabłko.

- Ja pomogę - zadeklarował się Twitch.

- Ja nie będę pomagał - stwierdził Barbie - ale chętnie popatrzę. Rozległy się śmiechy i oklaski. Zdziwiły Barbiego i trochę zdenerwowały.

Boxer się przygarbił. Został postawiony w sytuacji, która go stanowczo przerastała. Wziął od Ryżego pudełeczko po miętówkach.

- Wprawny chirurg szczękowy w odpowiednich warunkach może by dał radę osadzić te zęby na powrót. Pewnie by się nawet zakorzeniły, chociaż ja bym pacjentowi nie dał żadnej

gwarancji. W zaistniałej sytuacji dziewczyna będzie miała szczęście, jeśli odzyska jeden lub dwa. Bardziej prawdopodobne, że się nimi udławi, kiedy jej wpadną do tchawicy.

Potężna kobieta z szopą płomiennorudych włosów na głowie odsunęła na bok Chaza Bendera.

- Będę pilnowała, żeby do tego nie doszło - powiedziała. - Jestem jej matką.

Doktor Boxer westchnął.

- Pacjentka jest nieprzytomna?

Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, na zawrocie przed szpitalem zatrzymał się zielony wóz komendanta policji oraz radiowóz. Wysiedli z niego Freddy Denton, Junior Rennie, Frank DeLesseps oraz Carter Thibodeau. Z zielonego terenowca - sam komendant Randolph w towarzystwie Jackie Wethington. Na tylnym siedzeniu jechała żona Ryżego. Wszyscy byli uzbrojeni; podchodząc do drzwi szpitala, wyjęli broń. Tłumek w korytarzu patrzył, nic nie rozumiejąc. Joe Boxer zaczął się niepostrzeżenie wycofywać, przestraszony perspektywą aresztowania za kradzież.

Barbie odwrócił się do Everetta.

- Obejrzyj mnie - zażądał. - Nie rozumiem.

- Patrz na mnie! - Barbie podniósł ręce, obrócił je, żeby pokazać obie strony. Potem podciągnął koszulkę, odsłaniając płaski brzuch, następnie odwrócił się do lekarza tyłem. - Widzisz jakieś skaleczenia? Siniaki?

- Nie.

- Postaraj się, żeby oni się o tym dowiedzieli.

Więcej zrobić nie zdążył. Policjanci już byli w drzwiach.

- Dale Barbara? - odezwał się Randolph głośno. - Wystąp. Barbie posłuchał rozkazu, zanim Randolph zdążył unieść broń i w niego wycelować. Wypadki chodzą po ludziach. Niekiedy ludzie im pomagają. Widział zdumienie na twarzy Ryżego. Gina Buffalino i Harriet Bigelow miały oczy wielkie jak talerze. Najważniejszy jednak był Randolph, na nim należało skupić uwagę. Na nim i na jego podwładnych. Wszyscy mieli kamienne twarze, tylko Thibodeau i DeLesseps promienieli. Dla nich właśnie wybiła godzina zemsty. Ryży wyszedł przed Barbiego, jakby chciał go chronić.

- Nie rób tego - mruknął Barbie.

- Ryży! Nie! - krzyknęła Linda.

- Peter, o co chodzi? - odezwał się Ryży. - Barbie mi pomaga. Odwalił mnóstwo roboty.

Barbie bał się przesunąć potężnego lekarza, nawet go dotknąć. Bardzo wolno podniósł

ręce wysoko do góry, obracając wnętrzem dłoni do przodu.

Kiedy zobaczyli, że podnosi ręce, Junior i Freddy Denton ruszyli do niego szybkim krokiem. Junior po drodze potracił Randolpha, beretta w dłoni komendanta wypaliła. Strzał huknął ogłuszająco. Kula weszła w podłogę dziesięć centymetrów od prawego buta Randolpha, wrywając w niej zadziwiająco dużą dziurę. W powietrzu rozszedł się zapach prochu.

Gina oraz Harriet krzyknęły i obie się wycofały z głównego korytarza, niezgrabnie przeskakując nad Joem Boxerem, który pełznął do wyjścia, ukrywając głowę w ramionach. Włosy, zwykle nienagannie uczesane, zwisały mu w strąkach. Brendan Ellerbee, którego Ryży poskładał po niegroźnym wywichnięciu szczęki, kopnął dentystę w przedramię i mu na tę rękę nadepnął. Metalowe pudełeczko po miętówkach wypadło Boxerowi z dłoni, uderzyło o bok lady recepcyjnej, zęby, tak troskliwie pozbierane przez Torie McDonald, rozsypały się po holu.

Junior i Freddy chwycili Ryżego, który nie zrobił najmniejszego gestu, żeby im się sprzeciwić. Był kompletnie osłupiały. Odepchnęli go na bok. Poleciał przez hol, z trudem utrzymując równowagę. W końcu wpadł na Lindę, oboje wylądowali na podłodze.

- Co jest?! - wrzasnął Twitch. - Co jest, do cholery?!!

Carter Thibodeau, lekko utykając, podszedł do Barbiego. Ten, choć doskonale wiedział, na co się zanosi, trzymał ręce w górze. Wiedział, że jeśli je opuści, może stracić życie i kto wie, czy tylko on. Już raz padł strzał, ryzyko następnych znacznie wzrosło.

- Siemasz, koleś - powiedział Carter. - Nie marnujesz czasu. Wyrznął Barbiego w brzuch.

Mimo że Barbie zdążył napiąć mięśnie, i tak zgiął się wpół. Miejscowy osiłek był rzeczywiście silny.

- Przestań! - krzyknął Ryży. Najwyraźniej zaczął się w nim budzić gniew. - Dostyc tego!

Chciał wstać, ale Linda objęła go mocno i przycisnęła do ziemi.

- Zostań - powiedziała. - On jest niebezpieczny.

- Co takiego?! - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Czyś ty oszalała?

Barbie nadal miał uniesione ręce, otwarte dłonie. A że nie mógł się wyprostować, wyglądał, jakby przed kimś bił pokłony.

- Thibodeau - rzucił Randolph. - Odsuń się. Wystarczy.

- Odłóż broń, idioto! - wrzasnął do komendanta Ryży. - Chcesz kogoś zabić?

Randolph obrzucił go spojrzeniem pełnym pogardy, po czym odwrócił się do

Barbiego.

- Stań prosto.

Barbie wykonał polecenie. Ruch był bolesny, jednak jakoś się udało. Wiedział, że gdyby nie był przygotowany na cios, wylądowałby na ziemi i walczył o złapanie oddechu. Wtedy pewnie Randolph pomagałby mu wstać kopniakami. Czy inni policjanci by się do niego przyłączyli, mimo gapiów w holu? Niektórzy pacjenci zawracali, żądni sensacji. Nic dziwnego, taki już jest ten świat.

- Aresztuję cię pod zarzutem zamordowania Angeli McCain, Doreen Sanders, Lestera A. Cogginsa oraz Brendy Perkins - oznajmił Randolph.

Każde nazwisko raniło Barbiego, najmocniej ostatnie. Ta przemiała kobieta... Zapomniała o ostrożności. Trudno ją było za to winić... Nie należy wymagać sprytu od kogoś pogrążonego w żałobie. Mógł winić jedynie siebie, że pozwolił jej iść do Renniego. Że ją do tego zachęcił.

- Co się stało? - zapytał Randolpha. - Coście zrobili, na litość boską?!

- Jakbyś nie wiedział! - prychnął Freddy Denton.

- On jest szaleńcem! - krzyknęła Jackie Wettington. - Cholerny psycholi - Twarz miała zmienioną w maskę nienawiści, oczy zmrużone wściekłością.

Barbie zignorował ich oboje. Patrzył Randolphowi w twarz, ręce trzymał cały czas w górze. Wiedział, że wystarczy najmniejszy pretekst i będzie po nim. Nawet Jackie, zwykle najmiłsza kobieta pod słońcem, mogła dołączyć do oprawców, choć ona musiałaby mieć powód, a nie pretekst. A może się mylił? Porządny ludziami też czasem odbijało.

- Najwłaściwsze pytanie brzmi - odezwał się do Randolpha - jak daleko Renniemu pozwolisz się posunąć. Doskonale wiesz, że on jest w to wszystko zamieszany.

- Stul pysk. - Randolph odwrócił się do Juniora. - Skuć go. Junior wyciągnął do Barbiego rękę, ale zanim zdążył go dotknąć, aresztowany opuścił dłonie i obracając się, przesunął je za plecy. Ryży i Linda Everett leżeli na podłodze w milczeniu. Linda nadal przyciskała męża do podłogi, oddychała ciężko.

- Pamiętaj - odezwał się Barbie do Ryżego, gdy Junior wyjmował kajdanki.

Młody Rennie zatrzaskał plastikowe obręcze i ścisnął, aż się wpiły Barbiemu w nadgarstki.

Ryży wstał. Linda próbowała go ściągnąć z powrotem na ziemię, lecz ją odsunął. Spojrzał na nią tak, jak nie patrzył nigdy w życiu. Był w jego wzroku wyrzut, pretensja, ale i politowanie.

- Peter - odezwał się.

Komendant go zignorował, zaczął się odwracać.

- Mówię do ciebie! - krzyknął Ryży. - Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Randolph obrócił się do niego. Twarz miał jak wykutą z kamienia.

- On wiedział, że po niego przyjdziecie.

- Nic dziwnego - stwierdził Junior. - Psychol z niego pierwsza klasa, ale głupi nie jest.

Ryży nie zwrócił uwagi na komentarz.

- Pokazał mi ręce, twarz, podciągnął koszulkę, żebym obejrzał tułów. Nie ma żadnych śladów, chociaż teraz będzie pewnie miał siniaka w miejscu, gdzie dostał od Thibodeau.

- Trzy kobiety! - stwierdził Carter. - Trzy kobiety i kaznodzieja. Należało mu się.

Ryży nie spuścił wzroku z Randolpha.

- To wszystko jest ustawione.

- Z całym szacunkiem, Eric, nie twoja sprawa - oznajmił Randolph. Włożył broń do kabury. Na szczęście.

- Słusznie - zgodził się Ryży. - Ja jestem od składania ludzi, żaden ze mnie policjant ani prawnik. Ale mówię ci, że jeśli w czasie zatrzymania pojawią się u niego jakieś siniaki i skaleczenia, to niech cię Bóg ma w swojej opiece.

- A co zrobisz? - zapytał Frank DeLesseps. - Wezwiesz Amerykańską Unię Wolności Obywatelskich? - Z wściekłości pobiełały mu usta. - Twój przyjaciel pobił na śmierć cztery osoby. Brenda Perkins ma skręcony kark. Jedna z zamordowanych dziewcząt to moja narzeczona, była wykorzystana seksualnie. Prawdopodobnie także po śmierci. Tak to wygląda.

Gapie, którzy rozpięzchli się po strzale, skupili się bliżej, z ich gardeł wydobył się jęk przerażenia.

- Jego bronisz? - ciągnął Frank. - To powinieneś razem z nim iść za kratki!

- Zamknij się! - huknęła na niego Linda.

A Ryży patrzył na Franka DeLessepsa, chłopca, którego leczył w czasie ospy wietrznej i odry, któremu pomógł się pozbyć wszawicy po obozie letnim, nastawił nadgarstek wywichnięty przy zdobywaniu drugiej bazy. Kiedyś też odratował tego chłopaka po silnym poparzeniu sokiem sumaka jadowitego. Teraz go nie poznawał.

- Aresztujesz mnie? - spytał niegłośnie. - I co dalej? Co zrobisz, kiedy twoja matka będzie miała kolejny atak pęcherzyka żółciowego? Zaczekamy z leczeniem na godziny widzenia w kiciu?

Frank zrobił krok do przodu, uniósł rękę. Chciał uderzyć. Może w twarz, może w brzuch. Junior chwycił go za ramię.

- Na niego też przyjdzie kolej, spokojna głowa. Dostanie za swoje, jak każdy, kto stoi po stronie Barbary. Nie wszystko naraz.

- Po jakiej stronie? - Ryży był autentycznie zdezorientowany. - Tu są jakieś strony? Co to, rozgrywamy mecz?

Junior uśmiechnął się tajemniczo. Ryży odwrócił się do Lindy.

- Słyszysz, co mówią twoi koledzy z pracy?

Nie bardzo potrafiła spojrzeć mu w oczy. W końcu jednak jej się udało.

- Są źli i naprawdę trudno się dziwić. Eric, on zabił cztery osoby, słyszałeś? Dziewczęta prawie na pewno zgwałcił. Pomagałam układać ciała w karawanie. Widziałam plamy.

Ryży pokręcił głową.

- Spędziłem z nim cały ranek. Przez cały ranek nie krzywdził ludzi, tylko im pomagał.

- Daj spokój - odezwał się Barbie. - Odpuść, gigancie. Nie czas teraz...

Junior wyrznął go w żebra. Mocno.

- Masz prawo zachować milczenie, fiucie.

- On to zrobił. - Linda wyciągnęła rękę do Ryżego, lecz jej mąż stał nieruchomo. - Angie trzymała w dłoni jego identyfikator.

Ryżemu odebrało mowę. W milczeniu patrzył, jak Barbie jest prowadzony do wozu komendanta i wsadzany na tylne siedzenie, ciągle z rękami skutymi z tyłu. W pewnej chwili Barbie pochwycił jego spojrzenie. Pokręcił głową. Krótco, tylko raz w lewo i raz w prawo, ale stanowczo.

Potem go zabrali.

W holu zapadła cisza. Junior i Frank wyszli z Randolphem. Carter Jackie oraz Freddy Denton poszli do radiowozu. Linda stała, patrząc na męża wzrokiem błagalnym, a jednocześnie pełnym gniewu. po chwili gniew ustąpił. Podeszła do Ryżego, podniosła rękę, żeby się przytulić, chociaż na kilka sekund.

- Nie - powiedział Eric. Linda zamarła.

- Co z tobą?

- Lepiej powiedz, co z tobą? Naprawdę nie widzisz, co się tutaj dzieje?

- Ryży, ona miała w ręku jego identyfikator!

Pokiwał głową.

- Dowód jak na zamówienie, prawda? Linda opuściła ramiona.

- Cztery osoby - powiedziała. - Trzy pobite tak, że trudno je było rozpoznać. Widzisz, teraz są tu strony i powinieneś się zastanowić, po której stoisz.

- Ty także, kochanie - odparł Ryży.

- Linda! Czekamy! - zawołała Jackie z zewnątrz.

Ryży nagle uświadomił sobie, że mają publiczność. Wielu obecnych nieodmiennie głosowało na Jima Renniego.

- Zastanów się, Lin. I pomyśl o tym, dla kogo pracuje Pete Randolph.

- Linda! - zawołała Jackie po raz drugi.

Linda Everett poszła ze spuszczoną głową. Nie obejrzała się za siebie. Ryży jakoś się trzymał, póki nie weszła do samochodu. Wtedy zaczął się trząść. Przyszło mu do głowy, że musi usiąść, bo upadnie. Poczul czyjąś rękę na ramieniu. To był Twitch.

- W porządku, szefie? - Tak.

W porządku? Barbie został zabrany do więzienia, a on pokłócił się z żoną, po raz pierwszy tak poważnie od przynajmniej czterech lat. Może nawet sześciu. Nie, wcale nie było w porządku.

- Mam pytanie - stwierdził Twitch. - Skoro ci ludzie zostali zamordowani, to dlaczego policja zawiozła ciała do zakładu pogrzebowego, a nie Przywiozła do nas, żebyśmy przeprowadzili sekcję? Czyj to był pomysł?

Zanim Ryży zdążył otworzyć usta, zgasły światła. Szpitalnemu generatorowi skończyło się paliwo.

9

Claire patrzyła, jak zmiotli do czysta chińszczyznę z talerzy, a potem kazała dzieciakom stanąć rzędem w kuchni. Zmierzyła je poważnym spojrzeniem, wszyscy troje odpowiedzieli tym samym. Tacy młodzi, tak przerażająco zdeterminowani. Westchnęła ciężko, podała Joemu plecak. Benny zajrzał do środka. Znalazł tam trzy kanapki z masłem orzechowym i dżemem, trzy jajka faszerowane i trzy butelki mrożonej herbaty oraz sześć owsianych ciasteczek z rodzynkami. Chociaż dopiero co skończył obiad, na ten widok się rozpromienił.

- Rewela, proszę pani. Pani jest naprawdę... Wcale go nie słuchała. Skupiła się na synu.

- Rozumiem, że sprawa jest ważna, więc pozwalam - powiedziała. - Mogę was nawet zawieźć na miejsce, jeżeli...

- Mamo, nie trzeba - zaprotestował Joe. - Tam jest łatwa trasa. - I bezpieczna - dorzuciła Norrie. - Przecież nikt nie jeździ. Claire nie spuszczała wzroku z syna. Śmiertelnie poważnego wzroku.

- Musicie mi przysiąc, że wrócicie do domu przed zmrokiem. I to nie z ostatnim promieniem słońca, tylko jeszcze całkiem za dnia. Po drugie, jeżeli coś znajdziecie, zapamiętacie miejsce i nie zrobicie kompletnie nic więcej. Absolutnie nic. Rozumiem, że jesteście najwłaściwszymi ludźmi do szukania tego czegoś, ale zakończenie tej sprawy należy już do dorosłych. Przysięgacie? Bo jeśli nie, to jadę z wami w roli niańki.

Benny miał wyraźne wątpliwości.

- Coś mi się wydaje, że hondą civic po Black Ridge Road się nie da jechać.

- Wobec tego albo przysięgacie, albo w ogóle was nie puszcę. Pasuje?

Joe przysiągł. Pozostali także. Norrie nawet się przeżegnała. Gdy Joe zaczął zakładać plecak, Claire wsunęła do niego swój telefon komórkowy.

- Niech pan szanowny tego nie zgubi.

- Nie zgubię. - Myślami już był w drodze.

- Norrie - odezwała się Claire - czy mogę ufać, że w razie potrzeby wyhamujesz tych dwóch wariatów?

- Tak, proszę pani - obiecała Norrie Calvert, która setki razy ryzykowała życie na desce z kółkami. - Już ja ich przypilnuję.

- Mam nadzieję - westchnęła Claire. - Mam nadzieję. Pomasowała skronie, jakby ją rozboląła głowa.

- Dzięki za fantastyczny obiad! - powiedział Benny i uniósł rękę. - Pani przybiję piątkę!

- Dobry Boże, co ja robię... - mruknęła Claire i przybiła piątkę.

10

Za wysoką ladą w holu komisariatu, gdzie ludzie przychodzili skarżyć się na takie kłopoty jak kradzież, wandalizm czy niezmordowanie szczekający pies sąsiada, znajdował się pokój przeznaczony na odpoczynek. Stało tam biurko, kilka szafek oraz ekspres do kawy. Nad nim umieszczono ponury napis KAWA I PĄCZKI NIE SĄ ZA DARMO. Było to także miejsce rejestracji. Tam Barbie został sfotografowany przez Freddy'ego Dentona, tam Henry Morrison zdmąknął mu odciski palców. W tym czasie Peter Randolph i Denton stali tuż obok, z wyciągniętą bronią.

- Rozluźnij rękę! - krzyknął Henry. - Rozluźnij!

Nie był to ten sam człowiek, który nad lunchem w Sweetbriar Rose (zawsze była to kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem oraz przyszczypaną gałązką kopru) rozprawiał z Barbiem o rywalizacji między Red Soksami a Yankees. Ten mężczyzna wyglądał, jakby

chętnie wyrznął Dale'a Barbarę w nos z całej siły.

- Nie ruszaj palcami, trzymaj luźno!

Barbie miał ochotę powiedzieć Henry'emu, że trudno rozluźnić dłoń, kiedy się stoi między mężczyznami z bronią w rękę i wie, że nie mieliby nic przeciwko temu, by jej użyć. Mimo to trzymał twarz zamkniętą na kłódkę i skupił się na rozluźnieniu ręki, żeby Henry mógł zdjąć odciski palców. W końcu wyszło całkiem znośnie. W innych okolicznościach Barbie spytałby Henry'ego, po co w ogóle zawracają sobie głowę takim nieistotnym szczegółem, ale w końcu utrzymał język za zębami.

- Gotowe - ocenił Henry, obejrawszy wyraźne odciski. - Zabierzcie go na dół. Muszę umyć ręce. Brud mnie oblepia po samym dotknięciu tego typu.

Jackie z Lindą stały z boku pod ścianą. Teraz, kiedy Randolph i Denton schowali broń i chwycili Barbiego pod ramiona, obie wyciągnęły pistolety. Trzymały je w opuszczonych dłoniach, gotowe do strzału.

- Chętnie bym wyrzygał wszystko, czym mnie nakarmiłeś - rzucił Henry. - Niedobrze mi się robi.

- Daj spokój, Henry - powiedział Barbie. - Zastanów się, co mówisz.

Morrison tylko się odwrócił.

Ostatnio myślenie to tutaj towar deficytowy, skwitował Barbie w duchu.

Co oczywiście było wyjątkowo na rękę Renniemu.

- Lindo - powiedział głośno. - Pani Everett.

- Nie odzywaj się do mnie. - Twarz miała białą jak papier, tylko pod oczami fioletowe półkole. Przypominały siniaki.

- Chodź, słoneczko - rzucił Freddy i solidnie szturchnął Barbiego pięścią w plecy tuż nad nerką. - Apartament czeka.

Joe, Benny i Norrie jechali na rowerach szosą numer sto dziewiętnaście. Popołudnie było gorące, jak latem, mgliste i wilgotne. Ani śladu wiatru. Świerszcze grały sennie w wysokim zielsku. Niebo na horyzoncie przybrało żółtawy kolor, który Joe z początku wziął za chmury. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to zanieczyszczenia osiadające na kloszu. Rzeka Prestile znajdowała się tutaj stosunkowo blisko szosy, więc powinni słyszeć jej szmer i pluskanie. Toczyła wody na południe, w stronę Castle Rock, by połączyć się z potężną Androscoggin. Tymczasem nie słyszeli nic. Tylko te świerszcze i kilka wron kraczących gdzieś na drzewach.

Minęli Deep Cut Road i jakiś kilometr dalej dotarli do Black Ridge Road. Była to droga gruntowa, pełna dziur i występów. Wjazdu strzegły dwa pochylone znaki pokryte czymś białym, jakby szronem. Na tym po lewej stronie napisano ZALECANY NAPIĘD NA CZTERY KOŁA, na prawym NOSNOŚĆ MOSTU - DO CZTERECH TON. ZAKAZ WJAZDU CIĘŻARÓWEK. Oba znaki były podziurawione kulami.

- Uwielbiam miasta, gdzie ludzie regularnie ćwiczą strzelanie - stwierdził Benny. - Od razu wiem, że nie grozi mi El Kliyder.

- Al - Kaida, kretynie.

Benny pokręcił głową, uśmiechnął się pobłaźliwie.

- El Kliyder, straszny meksykański bandyta, który zamieszkał w zachodnim Maine, żeby uniknąć...

- Chodźcie, sprawdzimy, co pokaże licznik - powiedziała Norrie, hamując.

Licznik był w koszyku w rowerze górskim Benny'ego, otulony kilkoma starymi ręcznikami wyciągniętymi ze skrzynki na szmatki w domu McClatcheyów. Benny wyjął urządzenie i podał Joemu. Żółta obudowa odcinała się jaskrawo od zapyłonej trawy.

- Ty włącz. Ja się zdenerwowałem. Joe podał licznik Norrie.

- Cykory. - Dziewczyna pokręciła głową i włączyła urządzenie. Wskazówka natychmiast powędrowała na plus pięćdziesiąt. Joe poczuł, że serce wali mu w gardle zamiast w piersiach.

- Rany! - zawołał Benny. - Jak rakietka!

Norrie przeniosła wzrok ze wskazówki, która stanęła w jednym miejscu (nadal pół skali od czerwonego pola), na Joego. - Jedziemy dalej. - Jedziemy.

12

W komisariacie nie oszczędzano energii. Przynajmniej na razie. Wyłożony zielonymi płytkami korytarz biegł przez całą długość piwnicy pod jarzeniówkami rzucającymi przygnębiająco równe światło. Czy o świcie, czy o północy, tu zawsze było jasno jak w dzień. Komendant Randolph oraz Freddy Denton odeskortowali Barbiego (o ile można to tak nazwać, biorąc pod uwagę ręce zaciśnięte na ramionach aresztanta) po schodach. Za nimi szły dwie policjantki, nadal z bronią w ręku.

Po lewej stronie znajdowało się archiwum. W prawo skręcało się do pięciu cel - po dwie umieszczono po bokach, jedną na samym końcu. Ta ostatnia była najmniejsza, z wąską pryczą i wiszącym sedesem bez deski klozetowej. Właśnie do tej go poprowadzili.

Zgodnie z rozkazami Pete'a Randolpha - który dostał polecenia od Dużego Jima -

nawet najbardziej aktywni aktorzy sceny pod supermarketem zostali zwolnieni do domu (a niby dokąd mieliby uciec?), cele musiały być puste. Dlatego wszystkich zaskoczył Mel Searles, który wypadł z celi numer cztery, gdzie się wcześniej przyczaił. Bandaż zsunął mu się z głowy, oparł na okularach przeciwsłonecznych, które miały maskować dwa barwne siniaki pod oczami. Searles w jednej ręce trzymał skarpetkę z czymś ciężkim w środku. Prowizoryczna maczuga. Barbie w pierwszej sekundzie odniósł wrażenie, że atakuje go bohater książki „Niewidzialny człowiek”.

- Ty draniu! - wrzasnął Mel i zamachnął się potężnie.

Barbie zrobił unik, skarpetka świsnęła mu nad głową, trafiła Freddy'ego Dentona w bark. Freddy zawył, puścił Barbiego. Kobiety za nimi podniosły krzyk.

- Morderca! - krzyknął Mel.

Zamachnął się po raz drugi, tym razem trafił Barbiego w lewe ramię. W skarpecie nie było piasku, raczej ciężarek do przyciskania papierów lub coś podobnego, bo ręka natychmiast zdrętwiała. Szkło albo metal. Przynajmniej bez kantów, bo już by Barbie miał rozciętą skórę.

- Ty skurwielu pierdolony! - ryknął Mel i zamachnął się ponownie.

Tym razem Randolph odchylił się do tyłu, puszczając Barbiego. Barbie chwycił skarpetę, krzywiąc się niemiłosiernie, gdy uderzyła go, zawijając się wokół nadgarstka. Pociągnął mocno i udało mu się odebrać broń napastnikowi. W tej samej chwili Melowi bandaż spadł na oczy.

- Ręce do góry! - krzyknęła Jackie Wettington. - Aresztant, ręce do góry, bo strzelam.

Barbie poczuł zimne kółko między łopatkami. A więc Jackie wsadziła mu lufę w plecy. Jeżeli strzeli, kula przejdzie na wylot. A może strzelić, bo w takim małym mieście, gdzie ludzie żyją bez wielkich problemów, nawet zawodowcy są amatorami.

Upuścił skarpetę. Cokolwiek w niej było, huknęło o linoleum. Podniósł ręce na tyle, na ile mógł. Z lewą miał spory kłopot.

- Proszę pani, rzuciłem broń - powiedział. - Jestem nieuzbrojony, proszę opuścić pistolet.

Mel odsunął bandaż z twarzy. Uderzył Barbiego dwukrotnie. Raz w splot słoneczny i raz w żołądek. Tym razem Barbie nie był przygotowany, więc powietrze uciekło mu z płuc z głośnym charkotem. Złożył się wpół, zatoczył. Mel wyrznął go pięścią w kark... a może to był Freddy? Mógł to być nawet sam nieustraszony przywódca miejscowej policji. Barbie leżał na ziemi, a świat się od niego oddalał. Została tylko dziurka w linoleum. Tę widział bardzo wyraźnie. Z jasnością zatykającą dech w piersiach. I nic dziwnego. W końcu znajdowała się

pięć centymetrów od jego oczu.

- Przestańcie! Dosyć! Dość! - Chociaż głos dobiegł z bardzo daleka, Barbie w zasadzie miał pewność, że słyszy żonę Ryżego. - Przecież leży i nic nie robi, nie widzicie?

Mnóstwo stóp zatańczyło wokół niego w skomplikowanym tańcu. Ktoś mu nadepnął na pośladki, potknął się, krzyknął „Oż cholera!”, potem ktoś go kopnął w biodro. Wszystko to działo się gdzieś daleko. Za jakiś czas pewnie będzie bolało, ale na razie w sumie nie było źle.

Ktoś chwycił go pod pachy i dźwignął. Barbie starał się podnieść głowę, jednak po chwili stwierdził, że łatwiej było pozwolić jej zwisać. Został powleczony korytarzem do ostatniej celi, zielone linoleum ślizgało mu się między stopami. Co Denton powiedział na górze? „Apartament czeka”.

Tyle że pewnie bez czekoladek i obsługi.

Cóż, byle go zostawili w spokoju, żeby mógł się zająć lizaniem ran.

W drzwiach celi ktoś go kopnął, żeby szybciej znalazł się w środku. Poleciał do przodu, udało mu się podnieść prawą rękę, żeby nie walnąć twarzą w pomalowaną na zielono ceglana ścianę. Starał się unieść też lewą rękę, ale go nie posłuchała. Mimo wszystko ochronił głowę, a to już całkiem dobrze. Odbił się od ściany, zatoczył, upadł na kolana, tym razem obok pryczy, jakby miał zamiar odmawiać modlitwę. Za nim zagrzechotały kółka przesuwanych drzwi.

Oparł głowę o pryczę i dźwignął się na nogi. Powoli odzyskiwał czucie w lewej ręce. Obrócił się akurat na czas, by zobaczyć, jak Randolph odchodzi zawadiackim krokiem - pięści miał zaciśnięte, głowę pochyloną jak do ataku. Za nim Denton rozwijał to, co zostało z bandaży Searlesa, a Searles usiłował zabić Barbiego wzrokiem, choć siła spojrzenia nieco ucierpiała z powodu przekrzywionych ciemnych okularów. Za mężczyznami stały dwie kobiety. Na twarzach obu malowało się przerażenie. Linda Everett była jeszcze bledsza niż chwilę wcześniej. Barbie nie miał pewności, ale zdawało mu się, że na jej rzęsach dostrzegł błyszczącą łzę.

Zebrał wszystkie siły.

- Proszę pani! - zawołał. - Policjantko Everett!

Drgnęła zaskoczona. Już dawno nikt nie nazywał jej policjantką. Ostatnio chyba dzieci, kiedy pomagała je przeprowadzać przez jezdnię. Jak dotąd właściwie nie trafiło jej się bardziej odpowiedzialne zadanie... Aż do tego tygodnia.

- Policjantko Everett! Proszę mnie posłuchać!

- Milcz! - warknął Freddy Denton.

Barbie nie zwrócił na niego uwagi. Podejrzewał, że może lada moment stracić

przytomność, więc musiał załatwić sprawę, póki jeszcze wiedział, co robi.

- Proszę przekazać mężowi, żeby zbadał ciała! Zwłaszcza panią Perkins. Niech koniecznie zbada ciała! Nikt ich nie dostarczy do szpitala! Rennie na to nie pozwoli...

Peter Randolph zawrócił do celi. Barbie zdążył zobaczyć, co wyjął z pasa Freddy'ego Dentona, i chciał zasłonić twarz rękami, niestety, były zwyczajnie za ciężkie.

- Dosyć tego - oznajmił Randolph.

Podniósł pojemnik z gazem, wsunął dyszę między pręty i nacisnął spust.

13

W połowie przeżartego rdzą mostu Norrie zatrzymała rower i zapatrzyła się w coś po drugiej stronie parowu.

- Lepiej jedźmy - powiedział Joe. - Póki jeszcze jest jasno.

- Tak, tak - mruknęła Norrie. - Tylko zobacz.

Na drugim brzegu, pod urwiskiem, w schnącym mule, gdzie przed zaistnieniem klosza Prestile płynęła wartko, leżały zwierzęta. Martwe. Jeleń, dwie łanie i młode. Wszystkie o solidnie zaokrąglonych bokach, wcale nie zabiedzone - lato w Chester's Mill było piękne, zwierzęta miały pożywienia w bród. Joe widział chmary much nad padliną, nawet słyszał ich brzęczenie. Normalnie zagłuszyłyby je plusk płynącej wody.

- Co im się stało? - spytał Benny. - Myślicie, że to ma coś wspólnego z tym, czego szukamy?

- Mówisz o promieniowaniu - odezwał się Joe. - Ono raczej nie działa tak szybko.

- Chyba że jest to bardzo wysokie promieniowanie - wtrąciła Norrie niespokojnie.

Joe wskazał igłę licznika Geigera.

- Tutaj wcale nie jest tak źle. Myślę, że nawet gdyby było całkiem w granicach czerwonego pola na skali, to i tak nie zabiłoby takich dużych zwierząt w trzy dni.

- Ten jeleń ma złamaną nogę - powiedział Benny. - Zobaczcie. - A łania dwie - zauważyła Norrie. Ośłoniła oczy dłonią. - Tak, obie przednie. Widzicie? Dziwacznie wykręcone.

Joe uznał, że łania wygląda, jakby miała wykonać skomplikowane ćwiczenie gimnastyczne.

- One chyba skoczyły - powiedziała Norrie. - Zeskoczyły z urwiska jak te stworzonka podobne do szczurów.

- Piklingi - stwierdził Benny.

- Lemingi, ptasi mózdzku - poprawił go Joe.

- Uciekały przed czymś? - spytała Norrie. - Jak myślicie? Żaden z chłopców nie odpowiedział. Obaj wydawali się znacznie młodszy niż przed tygodniem. Jak dzieci słuchające przy obozowym ognisku zbyt strasznej opowieści. Przez parę chwil wszyscy troje stali przy rowerach, spoglądając na martwe zwierzęta i słuchając ospałego brzęczenia much.

- Jedziemy? - spytał w końcu Joe.

- Trzeba by - stwierdziła Norrie. Przełożyła nogę nad ramą roweru i nad nim stanęła.

- No dobra. - Joe wsiadł na swój rower.

- Bracie mojej duszy - powiedział Benny - znowu mnie pakujesz w bagno.

- Co?

- Nieważne. Jedziemy.

Po drugiej stronie mostu zobaczyli wyraźnie, że wszystkie cztery zwierzęta miały połamane nogi. Młode miało też rozbitą czaszkę, pewnie o wielki głaz, który normalnie powinien znajdować się pod wodą.

- Zerknij na licznik - odezwał się Joe.

Norrie włączyła urządzenie. Tym razem strzałka tańczyła w pobliżu liczby siedemdziesiąt pięć.

14

Pete Randolph wyjął z jednej z szuflad biurka Duke'a stary magnetofon kasetowy, sprawdził baterie. Kiedy wszedł Junior Rennie, Randolph wcisnął nagrywanie i ustawił małego soniaka na rogu biurka tak, żeby młody człowiek widział urządzenie.

Junior czuł się przyzwoicie, ostatnia migrena odzywała się jeszcze tylko jako tępe wspomnienie po lewej stronie głowy i był dość spokojny. Przećwiczył wszystko z ojcem, więc wiedział, co mówić.

- Przesłuchanie będzie krótkie - stwierdził Duży Jim. - Czysta formalność.

Miał rację.

- Jak znalazłeś ciała, synu? - zapytał Randolph, kołysząc się w obracanym krześle za biurkiem.

Usunął z blatu wszystkie rzeczy osobiste Perkinsa i schował je do szafki pod ścianą. Teraz, skoro Brenda też nie żyła, chyba wreszcie będzie mógł je wyrzucić do śmieci. Po co komu rzeczy osobiste, jeśli nie ma komu ich przekazać?

- No więc tak - zaczął Junior. - Wracalem z patrolu na sto siedemnastej ... ominęła mnie ta cała awantura pod supermarketem...

- Miałeś szczęście - stwierdził Randolph. - Niezła rozpierducha, jeśli mi wybacysz

szczerłość. Kawy?

- Nie, dziękuję, proszę pana. Miewam migreny, po kawie czuję się gorzej.

- Ach, to i tak fatalny nawyk. Chociaż nie taki zły jak papierosy. Wiesz, że paliłem, zanim zostałem obmyty z grzechu?

- Nie, proszę pana, nie wiedziałem. - Junior miał nadzieję, że ten idiota w mundurze wreszcie przestanie bredzić, pozwoli mu opowiedzieć swoją wersję historii i puści go do domu.

- Tak, tak. Tak właśnie było. Lester Coggins pomógł mi przejść na właściwą stronę. - Randolph położył ręce na piersi. - Zanurzył mnie całego w rzece. Oddał moje serce Jezusowi. Nie byłem wtedy tak wiernym członkiem Kościoła jak niektórzy, a z pewnością nie tak głęboko wierzącym jak na przykład twój tata, ale wielbny Coggins był dobrym człowiekiem.

- Randolph pokręcił głową. - Dale Barbara ma bardzo nieczyste sumienie. Zakładając, że w ogóle ma sumienie.

- Tak jest.

- Za wszystko odpowie. Potraktowałem go gazem, to w ramach zaliczki za jego karygodne czyny. No tak. Wracales z patrolu i co?

- Przypomniało mi się, jak ktoś mówił, że widział samochód Angie w garażu. W garażu McCainów.

- Kto to mówił?

- Frank? - Junior potarł skroń. - Chyba Frank. - Mów dalej.

- Zajrzałem do garażu przez okno i rzeczywiście, był tam jej samochód. Zadzwoiłem do drzwi, ale nikt nie otwierał. Więc poszedłem na tyły. Bałem się... Czuć było...

Randolph pokiwał głową współczująco.

- Jednym słowem, kierowałeś się nosem. Tak postępuje dobry policjant, synu.

Junior podniósł na Randolpha spojrzenie, niepewny, czy komendant z niego żartuje albo drwi, ale tamten miał w oczach wyłącznie szczerzy podziw. Chłopak zdał sobie sprawę, że ojciec znalazł sobie pomocnika (choć raczej należałoby powiedzieć: współnika) jeszcze głupszego niż Andy Sanders. Nie do wiary.

- Mów, śmiało. Wiem, że to dla ciebie trudne. Wszyscy jesteśmy zrozpaczeni.

- Tak jest. No więc w zasadzie było tak, jak pan powiedział. I tylne drzwi były otwarte, więc kierowałem się nosem i trafiłem do spiżarni. Trudno uwierzyć, co tam znalazłem.

- Wtedy zauważyłeś identyfikator?

- Tak. Nie, właściwie nie. To znaczy, widziałem, że Angie ma coś w ręku, na łańcuszku, ale nie wiedziałem co, a nie chciałem niczego dotykać. - Skromnie spuścił wzrok. -

Jestem tylko rekrutem.

- Zachowałeś się doskonale - pochwalił go Randolph. - Bystry z ciebie chłopak. Normalnie mielibyśmy tutaj całą ekipę z biura prokuratora stanowego... Oni by już przyszpilili Barbarę... no, ale niestety sytuacja nie jest normalna. Na szczęście i tak mamy dość dowodów przeciwko niemu. Fatalnie dla niego, że przeoczył brak identyfikatora.

- Zadzwoiłem do ojca - podjął Junior - bo sądząc z tego, co słyszałem przez radiostację, wy byliście bardzo zajęci...

- Zajęci... - Randolph przewrócił oczami. - Synu, nawet się nie domyślasz, co tam się działo. Słusznie zrobiłeś, że zadzwoniłeś do taty. Na dobrą sprawę jest nieomal członkiem sił porządkowych.

- Tata zdołał się skontaktować z Fredem Dentonem i Jackie Wettington. Przyjechali do domu McCainów. Potem, kiedy Freddy robił zdjęcia, zjawiała się jeszcze Linda Everett. A później bracia Bowie z karawanem. Tata pomyślał, że tak będzie najlepiej, bo w szpitalu z powodu zamieszek i tak nie wiedzieli, w co najpierw ręce włożyć.

Randolph pokiwał głową.

- Święta racja. Pomagaj żywym, zapewnij spokój zmarłym. Kto znalazł identyfikator?

- Jackie. Otworzyła dłoń Angie ołówkiem, wtedy spadł na podłogę. Freddy wszystko sfotografował.

- To się przyda na procesie - ocenił Randolph. - Będziemy musieli przeprowadzić go sami, jeżeli klosz nie zniknie. Ale damy sobie radę. Sam wiesz, co jest napisane w Biblii: wiara góry przenosi. O której godzinie znalazłeś ciała, synu?

- Mniej więcej w południe.

Jak już się pożegnałem z dziewczynami. - I od razu zadzwoniłeś do ojca?

- Niezupełnie. - Junior głośno przełknął ślinę. - Najpierw wyszedłem na zewnątrz i zwymiotowałem. Byli strasznie pobici. W życiu nie widziałem czegoś podobnego. - Pozwolił sobie na długi oddech, zadbał, żeby był nieco drżący. Magnetofon raczej nie wychwyci tego drżenia, natomiast Randolph z pewnością. - Dopiero potem zadzwoniłem do taty.

- No dobrze, to chyba wszystko.

Żadnych więcej pytań o czas ani o poranny patrol, żadnej prośby o napisanie raportu - i dobrze, bo ostatnio Juniora od pisania bolała głowa. Randolph wyłączył nagrywanie.

- Dziękuję - powiedział. - Należy ci się wolne na resztę dnia. Idź do domu i odpocznij. Wyglądasz strasznie.

- Chciałbym tutaj być, kiedy pan będzie przesłuchiwał Barbarę. - Nic się nie przejmuj, dziś tego nie zrobię. Niech się pogotuje we własnym sosie co najmniej dwadzieścia cztery

godziny To pomysł twojego taty, doskonały. Przesłuchanie zaczniemy jutro po południu, może nawet wieczorem. Oczywiście będziesz przy tym obecny. Słowo. Przesłuchamy go solidnie.

- Tak jest, proszę pana. Świetnie.

- Żadnego pobłażania.

- Żadnego.

- I dzięki kopule nie będziemy musieli przekazywać go szeryfowi. - Randolph się ożywił. - Synu, to będzie prawdziwy przypadek prania brudów we własnym domu.

Junior nie wiedział, czy powiedzieć „tak” czy „nie”, bo nie miał pojęcia, o czym ten idiota za biurkiem bredzi.

Komendant patrzył na niego jeszcze przez moment, jakby chciał zyskać pewność, że się dobrze zrozumieli, po czym zatarł ręce i wstał.

- Idź do domu, Junior. Na pewno masz dość wrażeń.

- Tak, proszę pana, to prawda. Tak jest. Pójdę do domu i odpocznę.

- Kiedy wielbny Coggins zanurzył mnie w wodzie, miałem w kieszeni paczkę papierosów - wyznał Randolph.

Objął Juniora ramieniem i poprowadził do drzwi. Chłopakowi udało się przywołać na twarz wyraz zainteresowania pełnego szacunku, ale miał wrażenie, że się załamał pod ciężarem ramienia. Zupełnie jakby mu ktoś powiesił na szyi krawat z mięsa.

- Oczywiście całkiem zamokły - ciągnął Randolph. - Do niczego się już nie nadawały. Nie kupiłem następnej paczki. Zostałem uwolniony przez Bożego Syna od szatańskiego nałogu. Taką otrzymałem łaskę.

- Niesamowite - zdołał wydusić Junior.

- Ludzie będą oburzeni śmiercią Brendy i Angie... nic dziwnego, żona komendanta policji... i młoda dziewczyna, która miała przed sobą całe życie. Należy jednak pamiętać, że i wielbny Coggins miał swoich wielbicieli. Nie mówiąc już o miłujących go wiernych.

Junior widział kątem oka grube palce Randolpha na swoim ramieniu. Ciekaw był, co by się stało, gdyby tak raptem przekręcił głowę i ukąsił go z całej siły. Odgryzł któryś palec i wypłuł na podłogę.

- Nie zapominajmy o Dodee.

Całkiem nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział, ale podziałało. Ręka Randolpha zniknęła z jego ramienia. Komendant wyglądał na człowieka rażonego gromem. Faktycznie zapomniał o Dodee.

- Boże drogi! - szepnął. - Dodee. Czy ktoś powiedział Andy'emu?

- Nie wiem, proszę pana.
- Zakładam, że twój ojciec to zrobi.
- Jest bardzo zajęty.

I była to prawda. Duży Jim w gabinecie pisał przemowę na czwartkowe spotkanie. Wygłosi je tuż przed wyborami Rady Miejskiej na czas kryzysu.

- Zadzwoń do niego - postanowił Randolph. - Ale najpierw się pomodlę. Pomodlisz się ze mną, synu?

Junior prędkiej by wlał sobie w majtki gaz do zapalniczek i podpalił, ale tego nie powiedział.

- Mój tata mówi, że lepiej rozmawiać z Bogiem w samotności - stwierdził. - Wtedy człowiek wyraźniej słyszy Jego odpowiedź.

- Racja, synu. To dobra rada.

Zanim Randolph zdołał wymyślić coś jeszcze, Junior wymknął się z biura i z komisariatu. Poszedł do domu zatopiony w myślach, pogrążony w żalobie po stracie dwóch dziewcząt. Zastanawiał się, czy zdoła sobie zapewnić następną. A może więcej niż jedną?

Pod kloszem wszystko było możliwe.

15

Peter Randolph rzeczywiście spróbował się pomodlić, ale nie mógł się skupić. Zresztą, jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc najlepiej było zadbać o własne interesy. W Biblii by tego raczej nie znalazł, lecz taka była prawda. Zadzwoił do Andy'ego Sandersa na komórkę, której numer znajdował się na ściennej tablicy. Miał nadzieję, że nikt nie odbierze, jednak połączenie zostało nawiązane po pierwszym sygnale. Zawsze tak było.

- Witaj, Andy. Mówi komendant Randolph. Muszę ci coś powiedzieć, przyjacielu. Lepiej usiądź.

Rozmowa nie należała do łatwych. Bogiem a prawdą, była koszmarna. Gdy się wreszcie skończyła, Randolph jakiś czas bębnił palcami w blat biurka. Znow przyszło mu do głowy, że nie miałby nic przeciwko, gdyby Duke Perkins siedział na tym miejscu. Absolutnie nic przeciwko. Robota okazała się znacznie trudniejsza, niż przypuszczał. Nie warto było się aż tak wysilać dla oddzielnego pokoju. A nawet dla zielonego wozu. Zwłaszcza że za każdym razem, gdy wsiadał za kierownicę, zsuwał się w dołek wygnieciony przez Duke'a. Nachodziła go wtedy myśl: To nie dla ciebie.

Sanders jechał na komisariat. Chciał stanąć twarzą w twarz z Barbarą. Randolph próbował go odwieść od tego zamiaru. Nie dał rady. W połowie przekonywania, że lepiej

będzie paść na kolana i modlić się za dusze żony oraz córki, a także o siłę do niesienia tego krzyża, usłyszał ciągły sygnał. Andy się rozłączył.

Komendant westchnął, wystukał inny numer. Po dwóch sygnałach Duży Jim odebrał, wyraźnie rozzłoszczony.

- Kto tam? O co chodzi?

- To ja. Wiem, że pracujesz, naprawdę nie chcę ci przeszkadzać, ale czy mógłbyś tu przyjechać? Potrzebuję twojej pomocy.

16

Troje dzieciaków pod niebem coraz mocniej podbarwionym na żółto patrzyło na martwego niedźwiedzia u stóp słupa telefonicznego. Słup był odchylony od pionu, a jakiś metr od ziemi sterczały z niego drzazgi. Widzieli też plamy krwi. I coś jeszcze. Coś białego, co Joe uznał za fragmenty kości. Oraz jakąś szarawą substancję, która musiała być móz...

Odwrócił się, z trudem przełknął ślinę. Prawie mu się udało zapanować nad żołądkiem, kiedy Benny zwymiotował. Rozległo się głośne wilgotne „blee” i zaraz potem zwymiotowała Norrie. Joe poddał się i poszedł w ich ślady.

Gdy skończyli, otworzył plecak, wyjął butelki z herbatą i podał każdemu po jednej. Pierwszym haustem wypłukał usta. Norrie i Benny zrobili to samo. Dopiero potem się napili. Herbata była zbyt słodka i ciepła, lecz spływała przez zaciśnięte gardło jak balsam.

Norrie ostrożnie zrobiła dwa kroki w stronę czarnej, pokrytej muchami sterty pod słupem telefonicznym.

- Biedaczysko - powiedziała. - Nie miał z czego skoczyć, więc rozwalil sobie łeb o słup.

- Może miał wściekliznę - odezwał się Benny cienkim głosem. - I tamte cztery też.

Zdaniem Joego teoretycznie istniała taka możliwość, tylko jakoś trudno mu było w nią uwierzyć.

- Myślałem, czy to samobójstwo. - Nienawidził drżenia w swoim głosie, ale nic nie mógł na to poradzić. - Czasami wieloryby i delfiny się zabijają. Wypływają na plażę. Widziałem to w telewizji. A tato mówi, że ośmiornicom też się to zdarza. Że jeśli dojdzie do zbyt dużego zanieczyszczenia środowiska, zjadają własne jądra.

- Stary, przestań, bo się znowu porzygam - zagroził Benny. Był bardzo zmęczony i nie miał ochoty na żadne dyskusje.

- Myślicie, że tu doszło do skażenia środowiska? - spytała Norrie.

Joe podniósł wzrok na pożółkłe niebo. Potem wskazał na południowy zachód, gdzie

po uderzeniu pocisku pozostała czarna warstwa. Plama miała jakieś sto metrów wysokości, a wszczeg ciągnęła się pewnie ze dwa kilometry. Może więcej.

- No tak - odezwała się Norrie. - Ale tamto to co innego, nie? Joe wzruszył ramionami.

- Jeżeli czujemy nagłą chęć popełnienia samobójstwa, powinniśmy zawrócić - powiedział Benny. - Ja mam kawał życia przed sobą. Jeszcze się nie nagrałem w Warhammera.

- Sprawdź, co mówi licznik na tego niedźwiedzia - zaproponowała Norrie.

Joe wyciągnął czujnik. Igła nie opadła, ale też nie powędrowała bliżej czerwonego pola.

Norrie wskazała na wschód. Tam droga wychodziła z gęstwiny dębów o czarnej korze. Joe uznał, że będą stamtąd widzieli dawny sad jabłkowy znajdujący się na szczycie.

- Pojedźmy przynajmniej tam, gdzie się kończą drzewa - zaproponowała Norrie. - Sprawdzimy odczyt i jeśli będzie wyższy, wracamy. Powiemy doktorowi Everettowi albo Barbarze... albo im obu. Chodźcie, zobaczymy.

Benny wyraźnie miał wątpliwości. - Czy ja wiem...

- Jeżeli czujemy coś dziwnego, zwracamy od razu - zastrzegł Joe.

- Musimy zrobić, co się da - powiedziała Norrie. - Chcę się wydostać z Mill, zanim oszaleję.

Uśmiechnęła się, żeby wiedzieli, że żartuje, ale jej słowa wcale nie zabrzmiały jak żart i Joe wcale ich tak nie odebrał. Ludzie często sobie żartowali, że Chester's Mill jest dziurą zabita dechami, pewnie dlatego piosenka Jamesa McMurtry'ego cieszyła się w mieście taką popularnością. Mieli rację. Mieszkali na zadupiu. Intelktualnym i demograficznym. Była wśród nich tylko jedna osoba pochodzenia azjatyckiego - Pamela Chen, która czasem pomagała Lissie Jamieson w bibliotece. Afroamerykanina można by ze świecą szukać, odkąd rodzina Lavertych wyprowadziła się do Auburn. Nie było też McDonalda, nie mówiąc już o Starbucksie, a kino dawno zamknięte. Mimo wszystko do niedawna miasto wydawało mu się rozległe, miał w nim dla siebie mnóstwo miejsca. Zdziwiający, jak bardzo się skurczyło w jego głowie, gdy sobie uświadomił, że nie może z mamą i tatą po prostu wsiąść do samochodu i pojechać do Lewiston na ostrygi albo na lody do Yodera. No i, co nie bez znaczenia, chociaż w mieście było mnóstwo zapasów, jednak kiedyś się skończą.

- Masz rację - stwierdził. - Musimy zrobić, co się da. Trzeba podjąć ryzyko. Benny, jeśli chcesz, możesz zostać. Ta część misji nie jest obowiązkowa.

- A tam, idę z wami. Nie chcę zostać na szarym końcu.

- Już tam jesteś! - zawołali Joe i Norrie równocześnie, spojrzeli po sobie i wybuchnęli

śmiechem.

17

- Tak, płacz, przyjacielu, płacz!

Głos dobiegał z daleka. Barbie brnął w jego kierunku, ale trudno było otworzyć palące oczy.

- Masz powody do płaczu!

Osoba, która wygłaszała te twierdzenia, sama miała płaczliwy głos. I ten głos był znajomy. Barbie nie mógł otworzyć oczu, powieki miał ciężkie i spuchnięte. Oczy pulsowały w rytm bicia serca. Zatoki miał tak zatkane, że aż mu zatrzęszczało w uszach, kiedy przełknął ślinę.

- Dlaczego ją zabiłeś?! Dlaczego zabiłeś moją córeczkę?! Ktoś mnie potraktował gazem... Denton? Nie, Randolph.

W końcu zdołał otworzyć oczy - dłońmi. Zobaczył przed drzwiami celi Andy'ego Sandersa ze łzami spływającymi po policzkach. A co widział Andy Sanders? Faceta w celi. A facet w celi zawsze wygląda na winnego.

- Była dla mnie najważniejsza na świecie! - krzyknął radny. Obok niego stał Randolph. Wyraźnie nieswój, przestępował z nogi na nogę jak dziecko, któremu przez dwadzieścia minut wzbraniano wyjścia do łazienki. Barbie nie był zdziwiony, że komendant wpuścił do aresztu ojca ofiary. Wcale nie dlatego, że ojciec ofiary był przewodniczącym Rady Miejskiej. Po prostu komendant Peter Randolph nie potrafił mu odmówić.

- No już, Andy... Uspokój się. Chciałeś go zobaczyć, zobaczyłeś, chociaż nie powinienem był cię tu wpuszczać. Winowajca zostanie osądzony, zapłaci za swe zbrodnie. A teraz chodź na górę, naleję ci...

Andy chwycił Randolpha za koszulę. Był od niego dziesięć centymetrów niższy, a mimo to Randolph wyglądał na przestraszonego. Barbie go za to wcale nie winił. Chociaż patrzył na świat przez czerwony filtr, wyraźnie widział, że Andy Sanders jest wściekły.

- Jaki sąd?! Daj mi broń! Sąd dla tego zwyrodnialca?! Jeszcze by się wywinął! Ma wysoko postawionych przyjaciół, wiesz? A ja muszę córkę pomścić. Mam do tego prawo, więc daj mi broń!

Barbie nie przypuszczał, by u Randolpha chęć przypodobania się radnemu była tak ogromna, żeby pozwolił na zastrzelenie aresztanta w celi z własnej broni, ale też nie miał całkowitej pewności. Może istniały jakieś inne przyczyny, dla których Randolph sprowadził tutaj Sandersa.

Dźwignął się na nogi.

- Proszę pana... - Trochę gazu najwyraźniej dostało mu się do ust. Język i gardło też miał napuchnięte, głos nosowy i schrypnięty. - Nie zabiłem pańskiej córki. Nikogo nie zabiłem. Jeśli się pan zastanowi, zrozumie pan, że pański przyjaciel Rennie potrzebuje kozła ofiarnego, a ja jestem najlepszym kandydatem...

Andy nie miał ochoty myśleć. Sięgnął do pasa Randolpha i zaczął wyciągać pistolet z kabury. Randolph postanowił jednak nie dopuścić do morderstwa.

W tym momencie pojawiła się w korytarzu brzuchata postać. Mimo nadwagi poruszała się dość żwawo.

- Andy! - zawołał Duży Jim. - Przyjacielu! Chodź do mnie!

Otworzył ramiona. Andy zostawił w spokoju kaburę komendanta, pobiegł do Renniego niczym zapłakane dziecko w ramiona ojca. I Duży Jim go przytulił.

- Dajcie mi broń! - wymamrotał Andy, unosząc twarz mokrą od łez. - Jim, daj mi broń! Natychmiast! Zastrzelę go jak psa! Mam do tego prawo jako ojciec! On mi zamordował córeczkę...

- I nie ją jedną - powiedział Duży Jim. - A może zabił nie tylko Angie, Lestera i Brendę.

Andy przestał mamrotać. Patrzył w pulchną twarz Dużego Jima kompletnie oszołomiony. I zafascynowany.

- Mam na myśli także twoją żonę - rzekł Duży Jim. - I Duke'a. Myrę Evans. Oraz innych.

- Jak...?

- Ktoś przecież spowodował powstanie klosza, prawda?

- Tak... - Andy nie potrafił powiedzieć więcej, ale Duży Jim łaskawie pokiwał głową.

- Coś mi się wydaje, że ludzie, którzy to zrobili, muszą mieć jakąś wtyczkę. Kogoś, kto będzie mieszał. A kto miesza lepiej niż kuchta? - Objął Andy'ego ramieniem i podprowadził do komendanta Randolpha.

Obejrzał się przez ramię, spojrział na czerwoną, spuchniętą twarz Barbiego, jakby patrzył na obmierzłe robactwo.

- Znajdziemy dowody - oznajmił. - Bez wątplenia. Już pokazał, że nie jest zbyt sprytny i nie potrafi zacierać za sobą śladów.

Barbie skupił uwagę na Randolphie.

- Zostałem wrobiony - powiedział nosowym, chrapliwym głosem. - Na początku Rennie po prostu musiał chronić swój tyłek, ale teraz chodzi mu o przejęcie władzy. Na razie

jest pan mu potrzebny, komendancie, ale gdy sytuacja się zmieni, poświęci i pana bez zmruczenia oka.

- Zamknij się - rzucił Randolph.

Rennie gładził Andy'ego po włosach. Barbiemu przypomniała się matka głaszcząca Missy, cocker - spanielkę, gdy suka była już stara i otepiała.

- Nie martw się, Andy, zbrodniarz zapłaci za swoje czyny. Daję ci słowo. Tylko najpierw ustalimy szczegóły. Co, gdzie, kiedy, dlaczego i kto jeszcze był w to zamieszany. Bo przecież on nie jest sam, na pewno nie jest sam. Ma współników. Zapłaci za to, co zrobił, tylko najpierw wydobędziemy z niego wszelkie informacje.

- Jak zapłaci? - chciał wiedzieć Andy. Patrzył na Dużego Jima nieomal entuzjastycznie. - Jaką cenę zapłaci?

- No cóż, jeżeli wie, jak usunąć klosz, a wcale bym tego nie wykluczał, będziemy musieli zadowolić się osadzeniem go w Shawshank. Na dożywocie.

- To za mało - szepnął Andy. Rennie nadal głąskał go po włosach.

- Natomiast jeżeli kopuła zostanie na miejscu... będziemy musieli sami go osądzić. A kiedy uznamy go za winnego, przeprowadzimy egzekucję. Tak lepiej?

- Dużo lepiej - szepnął Andy.

Rennie głąskał go, głąskał...

- Też mi się tak wydaje.

18

Wyjechali z lasu ramię w ramię i zatrzymali się, patrząc na sad.

- Tam coś jest! - krzyknął Benny. - Widzę!

Joe miał wrażenie, że głos przyjaciela dobiega z dziwnie daleka.

- Ja też - przyznała Norrie. - Wygląda jak...

Chciała powiedzieć „radiolatarnia”, lecz z jej ust dobył się tylko bulgoczący dźwięk „rrrr... rrrr...”, jaki wydaje dziecko bawiące się samochodzikami. Spadła z roweru. Leżała na drodze, ręce i nogi jej drgały.

- Norrie? - Joe pochylił się nad dziewczyną bardziej zdumiony niż zaniepokojony, po czym podniósł wzrok na Benny'ego.

Ich oczy spotkały się tylko na moment, bo po sekundzie Benny także się przewrócił, pociągając na siebie rower. Zaczął się trząść, wierzgać nogami. Licznik Geigera upadł w piach tarczą do dołu.

Joe podszedł na chwiejnych nogach, wyciągnął rękę, która wydawała się jak z gumy.

Odwrócił żółtą skrzyneczkę. Wskazówka skoczyła na plus dwieście, tuż pod czerwone pole na skali. Zobaczył to, po czym wpadł w czarną dziurę wypełnioną pomarańczowymi płomieniami.

Przyszło mu do głowy, że unoszą się one z wielkiej sterty dyń, stosu pogrzebowego halloweenowych latarni. Słyszał jakieś głosy, zagubione i przestraszone. Potem połknęła go ciemność.

19

Gdy Julia wróciła do redakcji po zamieszkach w supermarkecie, Tony Guay, dawny reporter sportowy, który teraz pełnił funkcję całego działu informacyjnego, pisał na laptopie. Podała mu aparat.

- Przerwij to, co robisz, i wydrukuj zdjęcia.

Usiadła przy swoim komputerze, by napisać artykuł. Początek ułożyła w myślach po drodze. „Ernie Calvert, dawny kierownik Food City, zawołał ludzi, żeby weszli tylnymi drzwiami. Specjalnie dla nich je otworzył. Tyle że wtedy było już za późno. Zaczęły się zamieszki”.

Dobry początek. Problem w tym, że nie mogła go wstukać. Bez przerwy naciskała niewłaściwe klawisze.

- Idź na górę i się połóż - powiedział Tony.

- Nie mogę, muszę napisać...

- W tym stanie niczego nie napiszesz. Trzęsiesz się jak w febrze. Nic dziwnego, przeszłaś swoje. Idź, zdrzemnij się godzinę, ja przez ten czas obrobię zdjęcia, wgram je w twój komputer i wstukam twoje notatki. No idź.

Nie chciała go posłuchać, ale wiedziała, że mądrze mówi. W końcu, gdy już zasnęła, spała dłużej niż godzinę. Od piątku nie dosypiała, a piątek minął przed stu laty, więc wystarczyło, że przyłożyła głowę do poduszki, a zasnęła kamiennym snem.

Gdy się obudziła, z przestachem spostrzegła, że cienie w sypialni bardzo się wydłużyły. Musiało być późne popołudnie. Horace! Pewnie nasikał gdzieś w kącie i będzie teraz przepraszał, jakby to była jego wina.

Wsunęła stopy w kapcie, pobiegła do kuchni. Corgi wcale nie skamlał pod drzwiami, żeby go wyprowadzić, tylko spokojnie spał na swoim kocyku między kuchenką a lodówką. Na kuchennym stole był list oparty o solniczkę i pieprzniczkę.

godz. 15.00

Julio!

Razem z Pete'em F. napisaliśmy o wydarzeniach pod supermarketem. Nie jest to wiekopomny tekst, ale go poprawisz. Foty są niezłe. Zajrzał Rommie Burpee, powiedział, że nadal ma mnóstwo papieru, więc pod tym względem wszystko gra. Powiedział też, że powinnaś koniecznie napisać od serca o tym, co się stało. Mówił: „Niepotrzebnie się to stało. Przez całkowity brak kompetencji Chyba że ktoś chciał, żeby do tego doszło. Ja tam bym go z góry nie rozgrzeszał. I nie mówię o Randolphie „. Pete i ja zgadzamy się co do tego, że powinnaś napisać od serca, ale też pamiętając, że musimy być bardzo ostrożni, póki nie poznamy wszystkich faktów. Uznaliśmy, że potrzeba ci snu, byś potem napisała dobry artykuł. Miałaś straszne worki pod oczami, szefowo! Wracam do domu, muszę pobyc trochę z żoną i dziećmiakami Pete idzie na komisariat. Podobno coś tam się stało ważnego.

Tony G.

PS Wyprowadziłem Horace'a. Załatwił wszystko, co trzeba.

Julia, nie chcąc, by Horace zapomniał, że jest jego panią, obudziła go, popieściła i nakarmiła, po czym zeszła na dół, żeby zamknąć informacje i napisać artykuł. Właśnie zaczynała, gdy zadzwonił jej telefon.

- Shumway, „Democrat”.

- Julio! - To był Pete Freeman. - Powinnaś tu przyjechać. Marty Arsenault nie chce mnie wpuścić. Kazał mi, cholera, poczekać! Nawet nie jest gliną, tylko sobie dorabia latem, kierując ruchem, a teraz się z niego zrobił wielki ważniak u bram burdelu!

- Pete... mam tutaj kupę roboty, więc jeżeli...

- Brenda Perkins nie żyje. Nie żyją też Angie McCain i Dodee Sanders...

- Co takiego?!

Zerwała się na nogi tak gwałtownie, że przewróciła krzesło.

- ...i Lester Coggins. Wszyscy czworo zostali zamordowani. A jako podejrzanego aresztowano Dale'a Barbarę. Jest w celi.

- Już biegnę.

- Ożżż... cholera! - wyrwało się Pete'owi. - Idzie Andy Sanders. Mało sobie oczu nie wypłacze. Poprosić go o komentarz albo...

- Nie, nie. Stracił córkę trzy dni po śmierci żony. Nie jesteśmy z „New York Post”. Już leczę.

Nie czekając na odpowiedź, przerwała połączenie. Z początku była dość spokojna, nawet pamiętała, żeby zamknąć redakcję, jednak znalazłszy się na chodniku w upale pod tym

niebem przybrudzonym tabakowymi plamami, straciła spokój i faktycznie puściła się biegiem.

20

Joe, Norrie i Benny leżeli na Black Ridge Road w zbyt mocno rozproszonym słońcu. Mieli drgawki. Paliło ich gorąco. Jakaś wrona, wyraźnie bez śladu myśli samobójczych, przysiadła na drucie telefonicznym i przyglądała się im bystrymi oczkami. Zakrakała raz, po czym wzbiła się w powietrze i odleciała.

- Halloween - mruknął Joe.

- Niech oni przestaną krzyczeć! - jęknął Benny.

- Nie ma słońca - powiedziała Norrie. Macała przed sobą w powietrzu. - Nie ma słońca, o mój Boże, wcale nie ma słońca.

Na szczycie Black Ridge, w sadzie, z którego roztaczał się widok na całe Chester's Mill, błysnęło jasne, fioletoworóżowe światło.

Po piętnastu sekundach rozbłysło ponownie.

21

Julia wpadła na schody komisariatu. Twarz miała jeszcze napuchniętą od snu, włosy z tyłu sterczały jej niepokornie. Gdy Pete zjawił się u jej boku, pokręciła głową.

- Lepiej zostań. Zawołam cię, kiedy dostanę zgodę na wywiad. - Kocham pozytywne myślenie, ale za dużo sobie nie obiecuj.

Zgadnij, kto się zjawił zaraz po Andym? - Pete wskazał hummera zaparkowanego tuż przed hydrantem.

Niedaleko stały Linda Everett i Jackie Wettington zatopione w rozmowie. Obie wyglądały na poważnie wystraszone.

W komisariacie Julię od razu uderzyło, że zrobiło się tam bardzo ciepło. Najwyraźniej wyłączono klimatyzację, pewnie żeby oszczędzać gaz. A przy tym było tłoczno. W holu siedziała jakaś niesłychana liczba młodych ludzi, w tym przynajmniej dwóch z Bóg jeden wie ilu braci Killianów. Tych odróżniało się na pierwszy rzut oka - po charakterystycznych orlich nosach i okrągłych głowach. Młodzi ludzie najwyraźniej wypełniali jakieś formularze.

- A co wpisać, jak się nie miało poprzedniego zajęcia? - spytał jeden drugiego.

Z dołu dobiegały krzyki. To rozpaczał Andy Sanders.

Julia skierowała się w stronę pokoju odpoczynkowego, gdzie była od lat częstym gościem, a nawet zasiliała fundusz kawowo - pączkowy gromadzony w wiklinowym koszyku.

W życiu nikt jej nie zatrzymał, a tym razem zrobił to Marty Arsenault.

- Nie może pani wejść, bardzo mi przykro. Takie rozkazy. - Mówił przeproszającym tonem, zupełnie inaczej niż do Pete'a Freemana.

Akurat wtedy Duży Jim Rennie oraz Andy Sanders pojawili się na szczycie schodów prowadzących do piwnicy, którą policjanci Chester's Mill nazywali kurnikiem. Andy płakał. Duży Jim obejmował go ramieniem i mówił coś uspokajająco. Za nimi szedł Peter Randolph. Mundur miał nieskazitelny, natomiast twarz jak człowiek, który o włos uniknął wybuchu bomby.

- Jim! Pete! - zawołała Julia. - Chcę z wami porozmawiać jako redaktorka „Democrata”!

Duży Jim odwrócił się tylko na tyle, by ją obrzucić spojrzeniem, które mówiło wyraźnie: a ludzie w piekle marzą o wodzie z lodem. Poprowadził Andy'ego w stronę biura komendanta. Mówił do niego o wspólnej modlitwie.

Julia spróbowała się przebić obok biurka strażnika, niestety Marty, nadal z przeproszającym wyrazem twarzy, chwycił ją za ramię.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Marty, kiedy w zeszłym roku poprosiłeś mnie, żebym nie pisała o twojej drobnej sprzeczce z żoną, poszłam ci na rękę. Bo w przeciwnym razie straciłbyś pracę. Jeżeli jest w tobie chociaż cień wdzięczności, teraz mnie wpuść.

Odstąpił o krok.

- Pamiętaj, robiłem, co mogłem, żeby cię zatrzymać, niestety, nie dałem rady - mruknął.

Julia pobiegła przez pokój wypoczynkowy.

- Poświęć mi jedną minutę! - zawołała do Dużego Jima. - I ty, i komendant Randolph jesteście zatrudnieni przez miasto, więc ze mną porozmawiacie.

Tym razem we wzroku Dużego Jima była nie tylko pogarda, ale i wściekłość.

- Nie będziemy rozmawiać. To nie twój interes.

- A jego? - spytała, wskazując Sandersa. - On jest ostatnią osobą, jaka ma prawo zejść do piwnicy!

- Ten skurwiel zamordował mi córkę! - zawył Andy. Duży Jim wycelował w Julię palcem.

- Porozmawiamy z tobą, kiedy uznamy za stosowne. Nie wcześniej.

- Chcę się zobaczyć z Barbarą.

- Na głowę upadłaś? Kobieto! Jest aresztowany pod zarzutem popełnienia czterech

morderstw.

- Jeżeli ojciec jednej z ofiar może się z nim zobaczyć, to dlaczego ja nie?

- Bo nie jesteś ani ofiarą, ani krewną - stwierdził Duży Jim. Uniósł górną wargę, odsłaniając zęby.

- Ma obrońcę?

- Skończyłem z tobą, kobie...

- Jaki obrońca?! - krzyczał Andy. - Powiesić go trzeba! Zabił moją córeczkę!

- Chodź, przyjacielu. - Duży Jim zagarnął zrozpaczonego ojca. - Pomodlimy się do naszego Pana.

- Jakie macie przeciwko niemu dowody? Przyznał się? A jeśli nie, to jakie ma alibi? Jak ono pasuje do czasu zgonu? W ogóle znacie czas zgonu? Skąd, jeżeli ciała zostały dopiero co odkryte? Czy ofiary zostały zastrzelone, ugodzone nożem czy...

- Pete, pozbądź się tej psiej córy - rzucił Duży Jim, nawet się nie odwracając. - Jeśli nie będzie chciała wyjść sama, to ją wyrzucić. A temu, kto pilnuje wejścia, przekaz, że jest zwolniony.

Marty Arsenault skrzywił się niemiłosiernie. Duży Jim odeskortował Andy'ego do biura komendanta i zamknął za sobą drzwi.

- Czy Barbarze postawiono zarzuty? - spytała Julia Randolpha. - Nie wolno go oskarżać, jeśli nie ma obrońcy, doskonale o tym wiesz. To niezgodne z prawem.

Pete Randolph, nadal osłupiały, powiedział straszne słowa:

- Julio, dopóki jesteśmy pod kloszem, zgodne z prawem jest to, co my postanowimy.

- Kiedy zginęły te cztery osoby? Powiedz mi chociaż tyle.

- Cóż, wygląda na to, że dziewczęta straciły życie pierw... Drzwi biura otworzyły się gwałtownie. Julia nie miała wątpliwości, że Duży Jim stał pod nimi i słuchał. Andy siedział za biurkiem, które teraz należało do Randolpha, twarz ukrył w dłoniach.

- Zabierz ją stąd! - warknął Duży Jim. - Więcej tego nie powtórzę.

- Nie możesz mu zamykać ust, nie możesz zabraniać dostępu do informacji mieszkańcom miasta! - krzyknęła Julia.

- Mylisz się i w jednym, i w drugim - stwierdził Duży Jim. - I nikomu nie pomagasz, za to tworzysz problemy. Twoja obecność tutaj jest w najlepszym razie całkowicie zbędna. Jesteś wścibską plotkarą.

Zawsze taka byłaś. I jeżeli nie wyjdiesz w tej chwili, zostaniesz aresztowana. Ostrzegam cię po raz pierwszy i ostatni.

- Doskonale! Aresztujcie mnie! I wsadźcie do celi. - Wyciągnęła przed siebie rękę,

czekając na kajdanki.

Przez chwilę sądziła, że Jim Rennie ją uderzy. Żądę mordu miał wyraźnie wypisaną na twarzy. Opanował się jednak.

- Ostatni raz proszę. - Zwrócił się do Pete'a Randolpha. - Zabierz stąd tę wścibską babę. Jeżeli będzie się opierała, wyrzuc ją.

Trzasnął drzwiami.

Randolph wziął Julię Shumway pod łokieć. Nie patrzył jej w oczy, a policzki miał koloru cegły. Tym razem Julia dała się wyprowadzić.

- No i jednak straciłem robotę - westchnął Marty Arsenault, bardziej zasmucony niż zły. - A na moje miejsce przyjdzie któryś z tych kołków, co to nie odróżniają własnego tyłka od czoła.

- Nie stracisz roboty - powiedział Randolph. - Pogadam z nim. Chwilę później Julia znalazła się przed komisariatem. Zamrugła w oślepiającym słońcu.

- No i...? - spytał Pete Freeman. - Jak poszło?

22

Benny pierwszy odzyskał przytomność. Poza tym, że był strasznie zgrzany, aż mu się koszulka przykleiła do tułowia, czuł się całkiem dobrze. Podpełznął na czworakach do Norrie, potrząsnął ją za ramię. Dziewczyna otworzyła oczy, popatrzyła na niego nie całkiem przytomnie. Włosy jej przylgnęły do zroszonych potem policzków.

- Co się stało? - zapytała. - Chyba zasnęłam. Coś mi się śniło, tylko nie pamiętam co. Jakiś koszmar. Tyle wiem.

Joe McClatchey przetoczył się na brzuch i dźwignął na kolana.

- Jo - Jo? - odezwał się Benny. Ostatni raz zwrócił się do przyjaciela w ten sposób chyba w czwartej klasie podstawówki. - Żyjesz jakoś?

- Tak. Dynie się paliły.

- Jakie dynie?

Joe pokręcił głową. Nie pamiętał. Wiedział tylko, że musi iść do cienia i czegoś się napić. Przypomniawszy sobie o liczniku Geigera. Wygrzebał go z piachu, z ulgą stwierdził, że urządzenie nadal działa. Najwyraźniej w dwudziestym wieku ludzie produkowali rzeczy wyjątkowo solidne.

Pokazał Benny'emu odczyt - plus dwieście. Następnie podsunął żółtą skrzynkę Norrie, ale ona patrzyła w górę, na sad na szczycie Black Ridge.

- Co to takiego?

Joe z początku nic nie dostrzegł. Potem błysnęło fioletowe światło. Tak jasne, że trudno było na nie patrzeć. Po chwili błysnęło znowu. Chłopak spojrzął na zegarek, żeby sprawdzić, jak często miga, ale zegarek zatrzymał się na czwartej zero dwie.

- Chyba tego szukaliśmy - ocenił, wstając.

Sądził, że nogi będzie miał galaretowate, lecz się mylił. Poza tym, że było mu gorąco, nic mu nie dolegało.

- Wynosimy się stąd, zanim nas to coś wysterylizuje - zarządził.

- Staaary, a kto by chciał mieć dzieci? - rzucił Benny. - Jeszcze by się urodziło takie jak ja...

Mimo wszystko wsiadł na rower.

Wrócili tą samą drogą, nie zatrzymując się na odpoczynek ani na picie, póki nie minęli mostu i nie znaleźli się znów na szosie numer sto dziewiętnaście.

SÓL

1

Policjantki stojące przy hummerze Dużego Jima nadal rozmawiały.

- Jackie teraz nerwowo pociągała papierosa - ale zamilkły, gdy obok przechodziła Julia Shumway.

- Julio? - spytała Linda z wahaniem. - Co ci...

Julia się nie zatrzymała. Wciąż jeszcze wszystko w niej wrzało, nie była zdolna do rozmowy z następnymi przedstawicielami prawa i porządku w wydaniu Chester's Mill. Przeszła połowę drogi do redakcji „Democrata”, zanim dotarło do niej, że czuje nie tylko gniew. Przystanęła pod markizą księgarni Mill New & Used Books (ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA - głosiła ręcznie wypisana wywieszka w witrynie), żeby poczekać, aż uspokoi się jej rozkołatanе serce, i wejrzeć w głąb swojej duszy. Długo to nie trwało.

- Głównie to się boję i tyle - stwierdziła i podskoczyła na dźwięk swojego głosu. Nie chciała powiedzieć tego głośno.

Dogonił ją Pete Freeman.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - To było kłamstwo, ale zabrzmiało w miarę dziarsko. Oczywiście nie wiedziała, co mówi jej twarz. Podniosła ręce i spróbowała przygładzić włosy sterczące jak stóg siana z tyłu głowy. Oklapły... i znów stanęły dęba. Jeszcze tylko kołtuna mi do szczęścia brakowało, pomyślała. Brawo. Kropka nad i.

- Już myślałem, że Rennie każe naszemu nowemu komendantowi cię aresztować. - Pete miał wielkie oczy i w tej chwili wyglądał na dużo mniej niż swoje trzydzieści kilka lat.

- Na to liczyłam. - Julia zakresliła dłońmi niewidzialny nagłówek.

- TYLKO DLA „DEMOCRATA”! WYWIAD Z DOMNIEMANYM MORDERCĄ.

- Julio? Co tu się dzieje? To znaczy, oprócz kopuły? Widziałas tych wszystkich gości wypełniających formularze? Trochę to strasznie wyglądało.

- Widziałam i zamierzam o tym napisać. O wszystkim. I myślę, że na zgromadzeniu mieszkańców w czwartek wieczorem nie ja jedna będę miała poważne pytania do Jamesa Renniego. - Położyła dłoń na ramieniu Pete'a. - Postaram się czegoś dowiedzieć o tych morderstwach i co ustalę, to napiszę. A do tego wstępniak, tak mocny, jak tylko się da bez podburzania ludzi. - Prychnęła niewesołym śmiechem. - Jeśli chodzi o podburzanie, Jim

Rennie ma przewagę własnego boiska.

- Nie rozumiem...

- Nieważne, bierz się do roboty. Potrzebuję kilku minut, żeby ochłonać. Potem pomyślę, z kim najpierw porozmawiać. Bo czasu jest mało, jeśli mamy to dziś wydrukować.

- Skserować - powiedział. - He?

- Nie wydrukować. Skserować. Uśmiechnęła się drżącymi ustami i przegnała go gestem. Przy drzwiach redakcji się obejrzał. Pomachała mu, żeby pokazać, że wszystko z nią w porządku, po czym zajrzała przez zakurzoną szybę do księgarni. Kino w centrum było zamknięte od kilku lat, drugie, samochodowe, też nie działało od dawna (miejsce, gdzie jego wielki ekran niegdyś górował nad szosą numer sto dziewiętnaście, zajmował rezerwowy placyk na samochody Renniego), ale obskurny sklepik Raya Towle'a ciągle jakoś się trzymał. Część wystroju witryny stanowiły poradniki. Resztę wypełniały sterty książek w miękkiej oprawie z okładkami przedstawiającymi spowite mgłą posiadłości, damy w opałach oraz nagich do pasa przystojniaków pieszo i konno. Kilku z rzeczonych przystojniaków wywijalo mieczami i było, zdaje się, w samych majtkach. PASJONUJ SIĘ Z NAMI MROCNymi INTRYGAMI! - zachęcał napis po tej stronie.

Mroczne intrygi, rzeczywiście.

Jakby sam klosz wystarczająco nie utrudniał, nie udziwniał życia, to jeszcze trafił się radny z piekła rodem.

Uprzytomniła sobie, że najbardziej ją martwi - przeraża - tempo wydarzeń. Rennie od dawna grał rolę największego, najgroźniejszego koguta na farmie i mogła się po nim spodziewać, że w końcu spróbuje umocnić swoją władzę nad miastem - powiedzmy, po tygodniu czy miesiącu izolacji od świata zewnętrznego. Ale minęły dopiero trzy dni z minutami. A gdyby Cox i jego naukowcy jeszcze dziś przebili się przez kopułę? Albo gdyby zniknęła sama z siebie? Duży Jim zaraz skurczyłby się do dawnego formatu, tyle że byłoby mu łyso.

Gdzie tam łyso, powiedziała sobie, wciąż wpatrzona w MROCNNE INTRYGI. Tłumaczyłby, że robił, co mógł w trudnych okolicznościach. I by mu uwierzyli.

To nadal nie wyjaśniało, dlaczego nie zaczekał z atakiem.

Bo coś poszło nie tak i nie miał wyjścia. A poza tym...

- Poza tym nie jest w pełni zdrow na umyśle - powiedziała do stert książek. - I nigdy nie był.

Nawet jeśli to prawda, jak wyjaśnić fakt, że ludzie, którzy wciąż mają pełne spiżarnie, plądrują supermarket? To bez sensu, chyba że...

Chyba że to on ich podjudził.

Nie no, absurd, specjalność dnia w Cafe Paranoja. A może nie? W zasadzie mogłaby popytać ludzi, którzy byli w Food City, co tam widzieli, tylko czy morderstwa nie są ważniejsze? W końcu nie miała innych prawdziwych reporterów oprócz siebie, no i...

- Julia? Julia Shumway?

Była tak głęboko zamyślona, że omal nie wyskoczyła z pantofli. Obróciła się na pięcie i pewnie by fiknęła, gdyby nie podtrzymała jej Jackie Wettington. Była z nią Linda Everett, i to ona się odezwała. Obie miały nietęgę miny.

- Znajdziesz dla nas chwilę? - spytała Jackie.

- Oczywiście. Słuchanie, co mówią ludzie, to moja praca. Minus jest taki, że potem o tym piszę. Panie to wiecie, mam nadzieję?

- Tylko nie możesz podać naszych nazwisk - zastrzegła Linda. - Jeśli się na to nie zgodzisz, zapomnij o całej sprawie.

- Dla mnie obie jesteście źródłem z kręgów zbliżonych do śledztwa. Może być?

- Jeśli obiecasz, że odpowiesz też na nasze pytania - powiedziała Jackie. - To jak?

- Zgoda.

- Byłaś w supermarkecie, prawda? - spytała Linda. Zdziwniej i zdziwniej.

- Tak. Wy też. Porozmawiajmy więc. Wymieńmy się wrażeniami.

- Nie tutaj - powiedziała Linda. - Nie na ulicy. Za dużo ludzi. W redakcji też nie.

- Uspokój się, Lin. - Jackie położyła dłoń na jej ramieniu.

- Sama się uspokój! - odparowała Linda. - Nie ty masz męża, który uważa, że pomogłaś zapuszkować niewinnego człowieka.

- Męża nie mam - potwierdziła Jackie. Szczęśliwa dziewczyna, pomyślała Julia. Mężowie tak często komplikują życie. - Ale znam miejsce, gdzie możemy pójść. Jest dyskretne i zawsze otwarte... przynajmniej było. Zanim nastał kłosz.

Julia, która właśnie się zastanawiała, z kim zrobić wywiad najpierw, nie miała zamiaru pozwolić, żeby te dwie jej się wymknęły.

- Chodźmy - powiedziała. - Będziemy iść po przeciwnych stronach ulicy, aż miniemy komisariat, zgoda?

Linda zdobyła się na uśmiech.

- Dobry pomysł - stwierdziła.

skrzywiła się, mimo że wcześniej podłożyła sobie poduszkę, żeby ulżyć posiniaczonym i opuchniętym kolanom. Podparła się prawą ręką, lewą, niedawno zwiczną, trzymała przyciśniętą do boku. Nie bolała bardzo - prawdę mówiąc, mniej niż kolana - ale Piper nie zamierzała poddawać jej niepotrzebnym próbom. Aż za łatwo byłoby wywichnąć ją na nowo; wytłumaczono jej to (stanowczo) po tym, jak w szkole odniosła kontuzję na boisku. Złożyła dłonie i zamknęła oczy. Jej język od razu powędrował do pustego miejsca, gdzie do wczoraj miała ząb. Gorsza jednak była pustka w jej życiu.

- Serwus, Nieobecny - powiedziała. - To znowu ja, przychodzę po następną porcję miłości i miłosierdzia Twego. - Łza pociekła spod opuchniętej powieki i spłynęła po opuchniętym (nie wspominając o tym, że kolorowym) policzku. - Jest tam gdzieś moja psina? Tak tylko pytam, bo strasznie mi jej brak. Mam nadzieję, że dasz Clover duchowy odpowiednik kości. Zasłużyła sobie.

Więcej łez, wolnych, gorących, palących.

- Pewnie jej tam nie ma. Większość największych religii jest zgodna co do tego, że psy nie idą do nieba, choć pewne odłamowe sekty... i, zdaje się, „Reader's Digest”... są innego zdania.

Oczywiście, jeśli niebo nie istniało, zagadnienie to było czysto teoretyczne. Koncepcja egzystencji bez nieba, ba, kosmologii bez nieba coraz bardziej przemawiała do resztek jej wiary. Może to nicość; może coś gorszego. Rozległa, bezdrożna równina pod białym nieboskłonem, powiedzmy - miejsce, gdzie godzina zawsze jest żadna, cel podróży nigdzie, a towarzysz nikim. Innymi słowy, jeden wielki niebyt: dla łamiących prawo glin, pastorów, dzieciaków, które przypadkiem się zastrzelały, i gamoniowatych wilczurów, które giną, próbując ocalić życie swojej pani. Żadnej Istoty, która oddzieliłaby ziarno od plew. Było coś kabotyńskiego w modlitwie do takiej koncepcji (jeśli nie wręcz bluźnierczego), ale czasem pomagało.

- Tyle że nie chodzi o niebo - kontynuowała. - Na razie chcę spróbować dojść, w jakim stopniu zawiniłam. Wiem, że w części muszę to wziąć na siebie... poniosły mnie nerwy. Znowu. Moja religia naucza, że Ty dałeś mi wybuchowy charakter i moim zadaniem jest sobie z nim radzić, ale wcale mi się to nie podoba. Bo to trochę tak jak z oddawaniem samochodu do naprawy; mechanicy zawsze znajdą sposób, żeby zrzucić winę na ciebie. Za dużo jeździłeś, za mało jeździłeś, zapomniałeś zwolnić ręczny, nie zamknąłeś okien i deszcz zalał kable. A wiesz, co jest jeszcze gorsze? Skoro jesteś Nieobecny, nie mogę zrzucić nawet części winy na Ciebie. Co więc zostaje? Zastrana genetyka?

Westchnęła.

- Przepraszam za wulgaryzm. Może byś po prostu udał, że go nie było? Tak zawsze robiła moja matka. Następne pytanie: co mam zrobić? To miasto jest w okropnych tarapatach i chciałabym jakoś pomóc, ale nie mogę się zdecydować jak. Czuję się głupia, słaba i zagubiona. Pewnie gdybym była jednym z tych starotestamentowych pustelników, powiedziałabym, że potrzeba mi znaku. W tej chwili zadowolilyby mnie nawet USTĄP PIERWSZEŃSTWA PRZEJAZDU czy ZWOLNIJ, SZKOŁA.

Ledwie skończyła to mówić, drzwi wejściowe otworzyły się i po chwili zamknęły z hukiem. Piper zerknęła przez ramię, po trosze spodziewając się zobaczyć anioła, takiego ze skrzydłami i w płonącej białej szacie. Jak chce walczyć, niech mi najpierw rękę uzdrowi, pomyślała.

To nie był anioł, tylko Romeo Burpee. Wywleczona ze spodni poła koszuli zwisała mu do połowy uda i wyglądał na prawie tak przygnębionego jak Piper. Ruszył przejściem między ławami, kiedy nagle ją zobaczył i znieruchomiał, tak zaskoczony jej widokiem, jak ona jego.

- O rany! - Przy jego wymowie francuskiego Kanadyjczyka z Lewiston zabrzmiało to „ohhany”. - Pardon, nie wiedziałem, że wielebna tu jest. Przyjdę potem.

- Nie. - Podźwignęła się na nogi, znów pomagając sobie tylko prawą ręką. - Już skończyłam.

- Tak naprawdę jestem katolikiem - powiedział (Nie mów, pomyślała Piper) - tylko że w Mill nie ma katolickiego kościoła... o czym wielebna na pewno wie... ale jak to mówią, podczas sztormu każdy port się nada. Pomyślałem sobie, że przyjdę się pomodlić za Brendę. Zawsze ją lubiłem. - Potarł się po policzku. Odgłos jego dłoni szorującej o zarost wydawał się bardzo głośny w ciszy pustego kościoła. Fryzura a la Elvis smętnie opadała mu na uszy. - Właściwie kochałem. Nigdy nic nie powiedziałem, ale chyba wiedziała.

Piper patrzyła na niego z rosnącym przerażeniem. Cały dzień nie wychodziła z plebanii i choć wiedziała, co się wydarzyło w supermarkecie - zadzwoniło do niej kilku parafian - nic nie słyszała o Brendzie Perkins.

- Za Brendę? Co jej się stało?

- Zamordowana. Inni też. Mówią, że zrobił to Barbie. Zgarnęli go. Piper zasłoniła dłonią usta i zachwiała się na nogach. Rommie przyskoczył, podtrzymał ją. I tak stali przed ołtarzem jak młoda para biorąca ślub, kiedy drzwi westybulu znów się otworzyły i Jackie wprowadziła do środka Lindę i Julię.

- Może to jednak nie takie dobre miejsce - stwierdziła Jackie. Kościół był jak pudło rezonansowe, więc choć nie mówiła głośno.

Piper i Romeo Burpee usłyszeli ją doskonale.

- Zostańcie - powiedziała Piper. - Chcę wiedzieć, co się stało. Nie mogę uwierzyć, że pan Barbara... Moim zdaniem nie jest do tego zdolny. Nastawił mi zwichnięte ramię. Był bardzo delikatny. - Pomyślała o tym chwilę. - Na ile to było możliwe w takich okolicznościach. Chodźcie, zapraszam.

- To, że ktoś potrafi nastawić zwichnięte ramię, nie znaczy, że nie jest zdolny zabić - zauważyła Linda, ale przygryzała wargę i kręciła obrączką na palcu.

Jackie dotknęła jej dłoni.

- Miałyśmy to zachować w tajemnicy, Lin... pamiętasz?

- Za późno. Jeśli Julia napisze artykuł, a tych dwoje powie, że nas z nią widzieli, wszystko się wyda.

Piper nie wiedziała, o czym Linda mówi, ale sedno zrozumiała. Prawą ręką zatoczyła łuk.

- Jest pani w moim kościele, pani Everett, i cokolwiek tu powiemy, zostanie między nami.

- Słowo?

- Tak. To co, porozmawiamy? Dopiero co modliłam się o znak i proszę, jesteście.

- Nie wierzę w takie rzeczy - powiedziała Jackie.

- Prawdę mówiąc, ja też nie. - Piper się uśmiechnęła.

- To mi się nie podoba. - Jackie zwróciła się do Julii. - Nieważne, co wielebna mówi, jest za dużo ludzi. Stracić pracę jak Marty to jedno. To mogłabym jakoś przeboleć, pieniądze i tak są marne. Ale podpaść Jimowi Renniemu... - Potrząsnęła głową. - Zły pomysł.

- Ludzi nie jest za dużo - odparła Piper. - Tylu, ilu trzeba. Panie Burpee, potrafi pan trzymać język za zębami?

Rommie Burpee, który w swoim życiu zawarł niejedną szemraną transakcję, skinął głową i położył palec na ustach.

- Pary nie puszcę.

- Chodźmy na plebanię - zaproponowała Piper. Kiedy zobaczyła, że Jackie nadal ma niepewną minę, wyciągnęła do niej lewą rękę... bardzo ostrożnie. - Zastanówmy się wspólnie. Może przy kropelce whisky?

To wreszcie przekonało Jackie.

OGNISTEGO JEZIORA (AP 19:20)
BĘDZIE CIERPIEĆ KATUSZE WE DNIE & W NOCY
NA WIEKI WIEKÓW (20:10)
SPAL NIKCZEMNYCH
OCZYŚĆ SZLACHETNYCH
OGIEŃ OCZYSZCZA OGIEŃ OCZYSZCZA 31
31 JEZUS Z OGNIA NADCHODZI 31

Trzej mężczyźni ściśnięci w sfoferce ciężarówce Zakładu Robót Publicznych patrzyli z niejakim zdumieniem na to enigmatyczne przesłanie. Wymalowane było na magazynie za studiem WCIK, czarną farbą na czerwonym tle, literami tak wielkimi, że zajmowały prawie całą powierzchnię ściany.

Pośrodku siedział Roger Killian, hodowca kur i ojciec okrągłogłowej trzódki. Odwrócił się do Stewarta Bowiego, który prowadził.

- Co to znaczy, Stewie? Odpowiedział Fern Bowie:

- To, że temu bałwanowi Busheyowi do reszty odwaliło, ot co.

- Otworzył schowek i wyjął brudne rękawice robocze, odsłaniając rewolwer kalibru .

38. Sprawdził, czy jest naładowany, zatrzasnął bębenek ruchem nadgarstka i wcisnął broń za pas.

- Wiesz co, Fernie - powiedział Stewart - tak można sobie klejnoty odstrzelić.

- O mnie się nie martw, tylko o niego. - Fern wskazał studio, skąd dolatywała muzyka gospel. - Prawie rok ćpa swoje zapasy i trzeba się z nim obchodzić jak z nitrogliceryną.

- Phil teraz woli, żeby mówić mu Kucharz - rzekł Roger Killian.

Najpierw zatrzymali się przed studiem i Stewart zatrał klaksonem - nie raz, tylko kilka razy. Phil Bushey nie wyszedł. Może ukrywał się w środku, może wałęsał się po lesie za radiostacją, a może nawet, pomyślał Stewart, był w wytwórni. Oblakany. Niebezpieczny. Co nadal nie znaczyło, że z tym pistoletem to dobry pomysł. Przechylił się w bok, wyszarpnął go zza paska Ferna i wsunął pod siedzenie kierowcy.

- Hej! - krzyknął Fern.

- Nie będziesz tam strzelał. Chcesz, żeby nas na księżyc wysadziło? Roger, kiedy ostatnio widziałeś tego zasranego kościotrupa?

Roger przez chwilę myślał.

- Będzie ze cztery tygodnie temu, co najmniej... wtedy, jak z miasta poszedł ostatni duży transport. Kiedy przyleciał ten duży helikopter.

Stewart się zastanowił. Niedobrze. Jeśli Bushey był w lesie, w porządku. Jeśli czał się

w studio, ześwirowany i przekonany, że są federalnymi, to też nie kłopot... chyba żeby postanowił się ostrzeliwać.

Za to jeśli był w magazynie... no, to już mógł być kłopot.

- Na pace wozu jest kilka sporych dragów. Weź jeden. Jak Phil się pokaże i zacznie fikać, przywał mu.

- A co, jeśli ma pistolet? - spytał Roger całkiem roztropnie.

- Nie ma - powiedział Stewart. I choć tak naprawdę nie był tego pewien, miał rozkaz do wykonania: dwa zbiorniki propanu co żywo dostarczyć do szpitala. „A resztę zabierzemy stamtąd najszybciej, jak się da - powiedział Duży Jim. - Oficjalnie kończymy z amfą”.

Stewart przyjął to z niejaką ulgą. Jak już kopuła się zwinie, z pogrzebami też zamierzał skończyć. Przeniesie się gdzieś, gdzie jest ciepło, na Jamajkę czy Barbados. Nie chciał widzieć ani jednego trupa więcej. Wołał jednak nie być tym, kto powie Kucharzowi Busheyowi, że zwijają interes, i poinformował o tym Dużego Jima.

„Kucharza zostaw mnie”, powiedział Duży Jim.

Stewart wjechał dużą pomarańczową ciężarówką za budynek i cofnął ją pod tylne drzwi. Silnik zostawił włączony, żeby napędzał wciągarkę i podnośnik.

- Widział kto kiedy takie dziwo? - zdumiał się Roger Killian. Patrzył na zachód, na niepokojącą czerwoną plamę zachodzącego słońca. Wkrótce miało opaść pod wielką czarną smugę po pożarze lasu i zniknąć w brudnym zaćmieniu.

- Nie gap się - powiedział Stewart. - Chcę to załatwić i się zmyć. Fernie, weź drag. Wybierz jakiś porządny.

Fern przegramolił się przez podnośnik i podniósł deskę mniej więcej długości kija baseballowego. Wziął ją oburącz, machnął na próbę.

- Może być - stwierdził.

- Baskin - Robbins - mruknął Roger w zadumie. Wciąż osłaniał przymrużone oczy i patrzył ku zachodowi. Z przymrużonymi oczami nie wyglądał korzystnie. Przypominał baśniowego trolla.

Stewart przerwał otwieranie tylnych drzwi magazynu - skomplikowany proces, który wymagał uporania się z panelem dotykowym i dwoma zamkami.

- Co tam bredzisz?

- Trzydzieści jeden smaków. - Roger uśmiechnął się, obnażając próchniejące zęby, do których nigdy nie zaglądał Joe Boxer ani żaden inny dentysta.

Stewart nie miał pojęcia, o czym Roger mówi, za to jego brat owszem.

- Nie wydaje mi się, że to na ścianie to reklama lodów - powiedział Fern. - Chyba że

Baskin - Robbins jest w Apokalipsie.

- Zamknijcie się obaj - rzucił Stewart. - Fernie, bądź gotowy z tą dechą. - Popchnął drzwi i zajrzał do środka. - Phil?

- Mów na niego Kucharz - poradził Roger. - Jak na tego kuchnię - bambusa z „South Park”. Tak lubi..

- Kucharzu! - krzyknął Stewart. - Jesteś tam, Kucharzu? Żadnej odpowiedzi. Stewart wszedł w mrok prawie pewien, że lada chwila coś złapie go za rękę, i odszukał włącznik światła. Pstryknął nim, ukazując pomieszczenie, które ciągnęło się przez prawie trzy czwarte długości magazynu. Ściany były z gołego, niewykończonego drewna, szpary między listwami uszczelniono izolacją z różowej pianki. Pomieszczenie wypełniały zbiorniki z płynnym gazem i kanistry wszelkich rozmiarów. Nie miał pojęcia, ile ich tu było, ale gdyby musiał zgadywać, powiedziałby, że czterysta do sześciuset.

Powoli ruszył środkowym przejściem, przyglądając się namalowanym od szablonu napisom na zbiornikach. Duży Jim wyraźnie powiedział, które ma zabrać i że znajdzie je w głębi. Faktycznie tam były. Zatrzymał się przy pięciu zbiornikach do użytku komunalnego, z wypisanym na boku SZPIT. CR. Były między tymi podwędzonymi z poczty i kilkoma z napisem GIMNAZJUM MILL.

- Mamy wziąć dwa - powiedział do Rogera. - Przynies łańcuch, to je przyczepimy. Fernie, ty idź zobacz, czy laboratorium jest otwarte. Jeśli tak, zamknij je. - Rzucił bratu swoje kółko z kluczami.

Fern mógłby się obyć bez tego uciążliwego zadania, ale był posłuszny. Ruszył przejściem między stosami zbiorników z propanem. Kończyły się trzy metry od drzwi - a drzwi, zobaczył z ciężkim sercem, stały uchylone. Za sobą słyszał szcęk łańcucha, potem wycie wciągarki i cichy brzęk pierwszego zbiornika wleczonego do ciężarówki. Odgłosy te wydawały się odległe, zwłaszcza kiedy wyobrażał sobie przyczajonego za drzwiami Kucharza, szalonego, o przekrwionych oczach, upalonego, z TEC - 9 w rękach.

- Kucharzu, jesteś tutaj? - spytał.

Brak odpowiedzi. I choć nie miał powodu tego robić - ba, pewnie sam był szalony, skoro się na to zdecydował - ciekawość wzięła w nim górę i pchnął drzwi swoją prowizoryczną maczugą.

W środku paliły się jarzeniówki, ale ta część magazynu wyglądała na pustą. Dwadzieścia parę kuchenek - dużych elektrycznych grillów, każdy podłączony do oddzielnego wentylatora wyciągowego i zbiornika propanu - było wyłączonych. Na regałach stały garnki, zlewki i kosztowne kolby. W pomieszczeniu śmierdziało (zawsze tak było,

zawsze tak będzie, pomyślał Fern), ale podłoga była zamieciona i panował idealny porządek. Na jednej ze ścian wisiał kalendarz reklamujący komis Renniego, ciągle otwarty na sierpniu. Pewnie wtedy skurwiel zaczął tracić kontakt z rzeczywistością, pomyślał Fern. Odważył się wejść kawałek dalej. Dzięki wytwórni wszyscy stali się bogatymi ludźmi, ale jemu nigdy się tu nie podobało. Przez zapach. Za bardzo przypominał ten w przygotowni ciał w podziemiach zakładu pogrzebowego.

Jeden kąt oddzielono od reszty pomieszczenia grubą stalową płytą. Pośrodku niej były drzwi. Fern wiedział, że Kucharz tam przechowuje towar, krystaliczną metamfetaminę zapakowaną nie w kilkilitrowe torby, tylko w duże worki na śmieci. I nie było to byle gówno. Każdemu ćpunowi szorującemu ulicami Nowego Jorku lub Los Angeles w poszukiwaniu działki oko by zbiegało na widok takich zapasów. Kiedy schowek był pełny, zawierał dość towaru, by zaopatrywać całe Stany Zjednoczone przez miesiące, może nawet rok.

Na cholerę Duży Jim pozwolił mu tyle tego uwarzyć? - zastanawiał się Fern. I czemuś się na to zgodzili? Do głowy nie przychodziła mu żadna odpowiedź oprócz oczywistej: bo mogli. Połączenie geniuszu Busheya i tanich chińskich składników uderzyło im do głowy. Poza tym towar finansował Korporację CIK, która czyniła Boże dzieło na całym Wschodnim Wybrzeżu. Ile razy ktoś zgłaszał wątpliwości, Duży Jim zawsze zwracał na to uwagę. I cytował Pismo Święte: „Bo zasługuje robotnik na swoją zapłatę”, Ewangelia według świętego Łukasza, i „Nie zawiążesz pyska wołowi młócaćemu”, Pierwszy List do Tymoteusza.

Fern nigdy nie kumał, o co chodziło z tymi wołami.

- Kucharzu? - Wszedł jeszcze odrobinę głębiej. - Koleżko?

Nic. Podniósł głowę i zobaczył galerie z nagiego drewna, biegnące wzdłuż dwóch ścian budynku. Przechowywali na nich sterty kartonów, których zawartość wielce zainteresowałaby FBI, Urząd do spraw Żywności i Leków oraz Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni. Na górze nie było nikogo, ale Fern wypatrzył coś nowego: biały przewód poprowadzony wzdłuż poręczy, przytwierdzony ciężkimi klamrami do drewna. Kabel elektryczny? Do czego podłączony? Czyżby świr wstawił tam następne kuchenki? Jeśli tak, Fern ich nie widział. Kabel na oko był zbyt gruby, by zasilac byle proste urządzenie, jak telewizor czy ra...

- Fern! - Aż podskoczył na okrzyk Stewarta. - Jak go tam nie ma, chodź, pomóż nam! Trzeba się zwijać! O szóstej dają aktualne wiadomości i chcę zobaczyć, czy coś wykombinowali!

W Chester's Mill „oni” coraz częściej oznaczali wszystkich i wszystko poza granicami

miasta.

Fern wyszedł, nie spojrzawszy na drzwi, i dlatego nie zobaczył, do czego nowe kable elektryczne były podłączone. Do dużego bloku gliniastej białej substancji leżącego samotnie na małej półce. To był materiał wybuchowy.

Własnego przepisu Kucharza.

4

Kiedy jechali z powrotem do miasta, Roger powiedział:

- Halloween. W dacie jest trzydzieści jeden.

- Jesteś skarbnicą informacji - uznał Stewart.

Roger postukał się w bok swojej niefortunnie ukształtowanej głowy.

- Magazynuję je. Nie specjalnie. To taki dar.

Stewart myślał: Jamajka. Albo Barbados. Na pewno gdzieś, gdzie jest ciepło. Jak tylko klosz zniknie. Nigdy więcej nie chcę widzieć żadnego Killiana. Ani nikogo z tego miasta.

- I jest trzydzieści jeden kart w talii - powiedział Roger.

Fern wbił w niego wzrok.

- Co ty, kurwa...

- Żartuję, jaja sobie z was robię. - Roger wybuchnął przeraźliwym, piskliwym śmiechem, od którego Stewarta rozbolała głowa.

Zbliżali się do szpitala imienia Catherine Russell. Stewart zobaczył szarego forda taurusa odjeżdżającego spod budynku.

- Hej, to doktor Ryży - powiedział Fern. - Na pewno się ucieszy, jak zobaczy, co mu wieziemy. Zatrąb na niego, Stewie.

Stewart zatrąbił.

5

Kiedy bezbożnicy odjechali, Kucharz Bushey wreszcie odłożył pilota otwierającego drzwi garażu. Obserwował braci Bowie i Rogera Killiana z okienka ubikacji w studiu. Przez cały czas, kiedy byli w magazynie i myszkowali w jego rzeczach, trzymał kciuk na guziku. Gdyby wyszli z towarem, nacisnąłby guzik i wysadził cały interes w kosmos.

- Wszystko w Twoich rękach, Jezu - wymamrotał wtedy. - Jak mawialiśmy w dzieciństwie: nie chcę, ale to zrobię.

I Jezus wszystko załatwił. Kucharz przeczuł, że tak się stanie, kiedy usłyszał nadawane

z satelity „God, How You Care for Me” George'a Dow and the Gospel - Tones, i to było prawdziwe przecucie, prawdziwy znak z niebios. Nie przyszli po amfę, tylko po dwa marne zbiorniki płynnego gazu.

Patrzył, jak odjeżdżali, po czym powlókł się ścieżką między tylną ścianą studia a magazynem, w którym miał swoje laboratorium. Teraz to był jego budynek, jego amfa, przynajmniej dopóki nie przyjdzie Jezus i nie zabierze wszystkiego do siebie.

Może w Halloween.

Może wcześniej.

Było o czym myśleć, a ostatnio łatwiej mu się myślało, kiedy był upalony.

Dużo łatwiej.

6

Julia sączyła swoją kropelkę whisky, żeby starczyło na jak najdłużej, ale policjantki dzielnie wypiły do dna. Za mało tego było, żeby się upiły, lecz dość, by rozwiązały im się języki.

- Jestem przerażona - powiedziała Jackie Wettington. Bawiła się pustą szklanką, ale kiedy Piper zaproponowała jej następną lufę, pokręciła głową. - Nie doszłoby do tego, gdyby żył Duke. To jest myśl, do której ciągle wracam. Nawet gdyby miał podstawy sądzić, że Barbara zabił jego żonę, trzymałby się przepisów. Taki po prostu był. A żeby pozwolić ojcu ofiary zejść do paki i stanąć oko w oko ze sprawcą? Nigdy. - Linda kiwała głową potakująco. - Boję się, co może spotkać tego gościa. A poza tym...

- Jeśli może to spotkać Barbiego, może to spotkać każdego z nas?

- dokończyła za nią Julia.

Jackie skinęła głową. Przygryzała wargi. Bawiła się szklanką.

- Gdyby coś mu się stało... niekoniecznie coś tak drastycznego jak lincz, ot, wypadek w celi... nie jestem pewna, czy mogłabym kiedykolwiek znowu włożyć ten mundur.

Główne zmartwienie Lindy było prostsze i bardziej bezpośrednie. Jej mąż uważał, że Barbie jest niewinny. Trawiona furią (i odrazą na wspomnienie tego, co znaleźli w spizarce McCainów) odrzuciła tę możliwość - przecież w szarej, lepkiej dłoni Angie McCain były nieśmiertelniki Barbiego. Ale im więcej o tym myślała, tym bardziej się niepokoiła. Po części dlatego, że zawsze ufała rozsądkowi Ryżego, ale też przez to, co Barbie krzyknął tuż przed tym, jak Randolph potraktował go gazem. „Proszę przekazać mężowi, żeby zbadał ciała. Niech koniecznie zbada ciała!”.

- I jeszcze jedno - powiedziała Jackie, wciąż obracając szklankę.

- Nie pryska się na aresztanta gazem łzawiącym tylko dlatego, że krzyczy. Pamiętam sobotnie wieczory, zwłaszcza po ważnych meczach, kiedy na dołku był hałas jak w porze karmienia w zoo. Trzeba dać się im wykrzyczeć i tyle. W końcu tracą siły i zasypiają. Julia patrzyła na Lindę.

- Powtórz to, co powiedział Barbie - poprosiła ją, kiedy Jackie skończyła.

- Chciał, żeby Ryży obejrzał ciała, zwłaszcza Brendy Perkins. Powiedział, że na pewno nie ma ich w szpitalu. Są u Bowiego, a tak być nie powinno.

- Cholernie to dziwne, fakt, jeśli ich wszystkich zamordowano - rzekł Romeo. - Wielebna wybaczy, że przeklinam.

Piper zbyła go machnięciem ręki.

- Jeśli ich zabił, nie rozumiem, czemu miałoby mu przede wszystkim zależeć na tym, żeby ktoś obejrzał ciała. A jeśli tego nie zrobił, może uważa, że sekcja zwłok wykazałaby jego niewinność.

- Brenda zginęła ostatnia - powiedziała Julia. - Zgadza się?

- Tak - odparła Jackie. - Stężenie pośmiertne jeszcze nie było pełne. Przynajmniej tak mi się wydawało.

- Nie było - potwierdziła Linda. - A skoro stężenie zaczyna się plus minus trzy godziny po śmierci, Brenda prawdopodobnie zginęła między czwartą a ósmą rano. Powiedziałabym, że bliżej ósmej, ale nie jestem lekarzem. - Westchnęła i przeczesła włosy palcami. - Ryży też nie, lecz gdyby go wezwali, mógłby dużo bardziej precyzyjnie ustalić czas zgonu. Nikt tego nie zrobił. Byłam w takim szoku... tyle się działo...

Jackie odsunęła szklankę na bok.

- Słuchaj, Julio... rano byłeś z Barbarą w supermarkecie, prawda? - Tak.

- O dziewiątej z minutami. Wtedy zaczęła się rozróżba. - Tak.

- Kto był tam pierwszy, ty czy on? Bo ja tego nie wiem.

Julia nie pamiętała, ale miała wrażenie, że przyszła tam pierwsza. Barbie zjawił się później, zaraz po Rose Twitchell i Ansonie Wheelerze.

- Uspokoiłmy sytuację, ale to on nam pokazał jak. Pewnie tylko jemu zawdzięczamy, że nie było więcej poważnie rannych. Trudno to pogodzić z tym, co znaleźliście w tej spiżarni. Macie jakieś podejrzenia, w jakiej kolejności ginęli? Oprócz tego, że Brenda była ostatnia?

- Angie i Dodee najpierw - powiedziała Jackie. - U Cogginsa rozkład nie był tak zaawansowany, więc on później.

- Kto ich znalazł?

- Junior Rennie. Zaczął coś podejrzewać, kiedy zobaczył wóz Angie w garażu. Ale nie to jest ważne. Ważny jest Barbara. Jesteś pewna, że przyszedł po Rose i Ansonie? Bo to dobrze nie wygląda.

- Jestem pewna, bo w wozie Rose go nie było. Wysiedli tylko we dwoje. Czyli jeśli zakładamy, że nie był zajęty zabijaniem ludzi, to gdzie mógł...? - Odpowiedź była oczywista.

- Piper, mogę skorzystać z twojego telefonu?

- Jasne.

Julia zerknęła do lokalnej książki telefonicznej, po czym zadzwoniła z komórki Piper do restauracji. Powitanie Rose było szorstkie.

- Zamknięte do odwołania. Banda śmierzdzieli aresztowała mi kucharza.

- Rose? Tu Julia Shumway.

- Aha. Julia. - Ton Rose stał się tylko odrobinę mniej zaczepny. - Czego chcesz?

- Sprawdzam alibi Barbiego. Masz ochotę pomóc?

- A żebyś, kurde, wiedziała. Barbie miałby pozabijać tych wszystkich ludzi? Absurd. Co chcesz wiedzieć?

- Czy był w restauracji, kiedy w Food City zaczęła się rozróżba.

- Oczywiście. - Rose była wyraźnie zdumiona. - A gdzie miałby być zaraz po śniadaniu? Gdy wychodziliśmy z Ansonem, szorował ruszty.

7

Słońce już zachodziło i w miarę jak cienie się wydłużały, Claire McClatchey coraz bardziej się denerwowała. Wreszcie poszła do kuchni po telefon komórkowy męża (zapomniał go wziąć w sobotę rano; zawsze zapominał), żeby zadzwonić na swój. Panicznie się bała, że usłyszy cztery sygnały, a potem własny głos, radosny i rozszczebiotany, nagrany, zanim całe miasto zmieniło się w więzienie z niewidzialnymi kratami. „Cześć, tu poczta głosowa Claire. Zostaw wiadomość po sygnale”.

I co powiedziałaaby wtedy? „Joe, oddzwoń, jeśli jeszcze żyjesz”?

Wyciągnęła palec do klawiszy, ale się zawahała. Tłumaczyła sobie: Jeśli za pierwszym razem nie odbierze, to dlatego, że jedzie na rowerze i nie zdąży wyciągnąć telefonu z plecaka, zanim włączy się poczta głosowa. Kiedy zadzwonię drugi raz, będzie gotowy, bo będzie wiedział, że to ja.

A jeśli poczta głosowa włączy się też za drugim razem? I za trzecim? Po co go w ogóle puściłam? Chyba oszalałam!

Zamknęła oczy i zobaczyła koszmarnie wyrazisty obraz: słupy telefoniczne i witryny

Main Street oblepione zdjęciami Joego, Benny'ego i Norrie, wyglądających jak te dzieciaki z fotografii na tablicach informacyjnych na parkingach przy autostradzie, i podpisy zawsze zawierające słowa OSTATNIO WIDZIANO.

Otworzyła oczy i pośpiesznie wybrała numer, zanim straciła odwagę. Już układała w myśli wiadomość, jaką zostawi - „Zadzwoń za dziesięć sekund i tym razem niech jaśnie pan raczy odebrać” - kiedy, ku jej zaskoczeniu, jej syn odezwał się, głośno i wyraźnie, w połowie pierwszego sygnału.

- Mamó! Hej, mamó! - Żywy, ba, więcej niż żywy. Kipiący od emocji, sądząc po głosie.

Próbowała powiedzieć: „Gdzie jesteś?”, ale z początku nie mogła nic z siebie wydobyć. Ani słowa. Nogi uginały się pod nią, jakby były z gumy. Oparła się o ścianę, żeby nie gruchnąć na podłogę.

- Mamó? Jesteś tam?

W tle usłyszała świst przejeżdżającego samochodu i słabe, ale wyraźne wołanie Benny'ego:

- Doktorze Ryży! Ej, kolo, czekaj! Wreszcie udało jej się odzyskać głos. - Tak. Gdzie jesteś?

- Na Town Common Hill. Właśnie miałem do ciebie dzwonić, bo robi się ciemno... żebyś się nie martwiła... i komora zadzwoniła mi w rękę. Zdziwiłem się, że hej.

No to z bury nici. Są na Town Common Hill. Będą tu za dziesięć minut. Benny pewnie znowu będzie chciał pięć kilo żarcia. Dzięki Ci, Boże!

Norrie mówiła coś do Joego. Brzmiało to jak „powiedz jej, powiedz jej”. I wtedy syn znów krzyknął jej w ucho, tak głośno i radośnie, że musiała trochę odsunąć telefon.

- Mamó, chyba to znaleźliśmy! Jestem prawie pewien! W sadzie na szczycie Black Ridge!

- Co znaleźliście, Joey?

- Nie wiem na pewno, ale chyba to coś, co wytwarza klosz. Prawie na sto procent. Widzieliśmy migające światło, takie jak montują na wieżach radiowych, żeby ostrzegać samoloty, tyle że na ziemi i fioletowe, nie czerwone. Nie podeszliśmy dość blisko, żeby zobaczyć coś więcej. Wszyscy zemdleliśmy. Kiedy się ocknęliśmy, nic nam nie było, ale robiło się pó...

- Zemdleliście?! Wracaj do domu! Wracaj natychmiast, żeby cię mogła obejrzeć!

- Wszystko gra, mamó - powiedział Joe uspokajająco. - To chyba podobnie... jak z kloszem. Gdy dotykasz go pierwszy raz, kopie cię prąd, a potem już nie. Coś na tej zasadzie.

Za pierwszym razem się mdleje, a potem człowiek jest już, jak by to powiedzieć, uodporniony. Zwarty i gotowy. Norrie też tak uważa.

- Nie obchodzi mnie, co ona uważa ani co uważasz ty! Wracaj do domu, żebyśmy mogła zobaczyć, czy nic ci nie jest, bo inaczej tyłek ci uodpornię!

- Dobrze, ale musimy skontaktować się z Barbarą. To on wpadł na pomysł z licznikiem Geigera i, o rany, trafił w dziesiątkę. Trzeba by też ściągnąć doktora Ryżego. Właśnie koło nas przejechał. Benny machał na niego, ale się nie zatrzymał. Zaprosimy jego i pana Barbarę do nas, zgadzasz się? Musimy pomyśleć, jaki będzie nasz następny ruch.

- Joe... pan Barbara jest...

Claire urwała. Czy powie synowi, że pan Barbara - niektórzy zaczęli go nazywać pułkownikiem Barbarą - został aresztowany pod zarzutem wielokrotnego zabójstwa?

- Co? - spytał Joe. - Co z nim? - W jego głosie nie było już radosnego triumfu, pojawił się niepokój. Claire domyślała się, że Joe potrafi wyczuć jej nastrój tak dobrze jak ona jego. I wyraźnie wiązał z Barbarą duże nadzieje. Benny i Norrie pewnie też. Nie była to wiadomość, którą mogła zachować przed nimi w tajemnicy (choć bardzo by chciała), ale nie musiała przekazywać im jej przez telefon.

- Wracaj do domu - powiedziała. - Porozmawiamy tutaj. I... jestem z ciebie strasznie dumna.

8

Jimmy Sirois umarł późnym popołudniem, w tym samym czasie, kiedy Chudzielec Joe i jego przyjaciele pędzili na rowerach z powrotem do miasta.

Ryży na korytarzu obejmował ramieniem Ginę Buffalino i pozwalał jej wypłakać mu się w pierś. Kiedyś czułby się nadzwyczaj niezręcznie, tuląc do siebie zaledwie siedemnastoletnią dziewczynę, ale czasy się zmieniły. Wystarczyło spojrzeć na ten korytarz - teraz oświetlony syczącymi lampami Coleman zamiast spokojnego blasku jarzeniówek - by się o tym przekonać. Jego szpital zmienił się w arkadę cieni.

- Nie twoja wina - pocieszał Ginę. - Nie twoja, nie moja, nawet nie jego. Nie prosił się o cukrzycę.

Choć byli ludzie, którzy żyli z nią całe lata. Ludzie, którzy o siebie dbali. Jimmy, typ pustelnika, mieszkający samotnie na God Creek Road, nie był jednym z nich. Kiedy wreszcie przyjechał do przychodni - w zeszły czwartek - nie mógł nawet wysiąść z samochodu, trąbił dotąd, aż Ginny wyszła sprawdzić, kto to i co się stało. Gdy Ryży ściągnął staruszkowi spodnie, zobaczył zwiotczałą prawą nogę, która przybrała siną barwę. Nawet gdyby Jimmy

doszedł do siebie, uszkodzenia nerwów prawdopodobnie były nieodwracalne.

- W ogóle nie boli, doktorze - zapewnił Rona Haskella tuż przed tym, jak zapadł w śpiączkę. Od tego czasu to odzyskiwał, to tracił świadomość. Z jego nogą było coraz gorzej, a Ryży odwlekał amputację, choć wiedział, że jest nieunikniona, jeśli Jimmy ma mieć choć cień szansy.

Kiedy wysiadł prąd, kroplówka nadal podawała antybiotyki Jimmy'emu i dwu innym pacjentom, ale przestały działać przepływomierze, przez co nie można było dobrać odpowiednich dawek. Co gorsza, padł monitor pracy serca i respirator Jimmy'ego. Ryży odłączył respirator, nałożył staruszkowi na twarz maskę z zaworem i urządził Ginie przyspieszony kurs korzystania z worka ambu. Dobrze sobie radziła i była bardzo sumienna, ale koło szóstej Jimmy umarł i tak.

Teraz była niepocieszona.

Podniosła zalaną łzami twarz znad piersi Ryżego.

- Podałam mu za dużo? - spytała. - Za mało? Udusiłam go?

- Nie. Jimmy zapewne umarłby tak czy inaczej. Przynajmniej ominęła go amputacja.

- Ja już tak dłużej nie mogę! - Gina znów załkała. - To zbyt straszne. Ryży nie wiedział, co na to powiedzieć, ale na szczęście ktoś się wtrącił.

- Dasz radę. - Głos chrapliwy, nosowy. - Musisz, skarbie, bo jesteś nam potrzebna.

To Ginny Tomlinson powoli szła korytarzem.

- Nie powinnaś wstawać z łóżka - powiedział Ryży.

- Pewnie nie - zgodziła się Ginny i z westchnieniem ulgi usiadła po drugiej stronie Giny. Z zalepionym nosem i plastrami na policzkach wyglądała jak bramkarz hokejowy po zaciętym meczu. - Ale tak czy siak, jestem na dyżurze.

- Może jutro...

- Nie, teraz. - Wzięła Ginę za rękę. - Ty też, skarbie. Jak mawiała jedna stara, surowa siostra ze szkoły pielęgniarzkiej: „Wolne to sobie zrobicie, jak krew wyschnie i rodeo się skończy”.

- A jeśli popełnię błąd? - szepnęła Gina.

- Wszyscy je popełniamy. Cała sztuka w tym, żeby ich było jak najmniej. A ja ci pomogę. Wam obu, tobie i Harriet. Co ty na to?

Gina spojrzała z powątpiewaniem na jej opuchniętą twarz, której obrażenia podkreślała para starych okularów wyszperanych gdzieś przez Ginny.

- Starczy pani sił, pani Tomlinson?

- Ty mi pomożesz, ja tobie. Ginny i Gina, Dzielne Dziouchy. - Uniosła pięść. Gina

zdobyła się na uśmiech i delikatnie stuknęła żółwika.

- Wszystko to super, hip, hip, hura i w ogóle - powiedział Ryży - ale jeśli zrobi ci się słabo, znajdź sobie łóżko i chwilę poleż. Zalecenie doktora Ryżego.

Ginny skrzywiła się, bo uśmiech pociągnął w dół skrzydełka jej nosa i zabolalo.

- Co tam łóżko, zajmę starą kozetkę Rona Haskella w pokoju dla personelu.

Zadzwoiła komórka Ryżego. Przegonił kobiety machnięciem ręki. Odeszły pograżone w rozmowie, Gina podtrzymywała Ginny ramieniem.

- Halo, mówi Eric - powiedział.

- Tu żona Erica - odparł przygaszony głos. - Dzwoni, żeby Erica przeprosić.

Ryży wszedł do pustego pokoju badań i zamknął drzwi.

- Nie ma za co przeproszać - rzekł, choć nie był pewien, czy to prawda. - Nadmiar emocji. Puścili go? - To pytanie wydawało mu się całkiem zasadne, zważywszy na to, jakim człowiekiem był Barbie, którego coraz lepiej poznawał.

- Wolałabym nie mówić o tym przez telefon. Możesz przyjść do domu, kochanie? Proszę! Musimy porozmawiać.

Ryży uznał, że właściwie może. Jeszcze niedawno miał jednego pacjenta w stanie krytycznym, który umierając, znacznie uprościł jego życie zawodowe. I choć ulżyło mu, że kobieta, którą kochał, znów się do niego odzywa, nie podobała mu się ta nowa nuta ostrożności w jej głosie.

- Mogę, tylko nie na długo. Ginny jest na nogach, lecz muszę jej pilnować, żeby nie przeszarżowała. Kolacja?

- Tak. - Sprawiała wrażenie, jakby kamień spadł jej z serca. To Ryżego ucieszyło. - Rozmrozę trochę rosółu. Trzeba jeść jak najwięcej mrożonek, żeby się nie zepsuły.

- Jedna sprawa. Nadal uważasz, że Barbie jest winny? Nieważne, co inni sądzą, ale co myślisz ty?

Długa pauza.

- Porozmawiamy, jak przyjedziesz - powiedziała wreszcie. I z tymi słowy się rozłączyła.

Ryży chwilę trzymał telefon w ręku, zanim go schował do kieszeni. W tej chwili wielu rzeczy nie był pewien - czuł się, jakby płynął w morzu niewiadomych - ale co do jednego nie miał wątpliwości: jego żona bała się, że ktoś może ich podsłuchiwać. Kto? Armia? Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

Duży Jim Rennie?

- Absurd - powiedział do pustego pokoju. Potem poszedł poszukać Twitcha i

uprzedzić go, że na jakiś czas wychodzi ze szpitala.

9

Twitch zgodził się mieć oko na Ginny pod jednym warunkiem - że Ryży przed wyjściem zbada Henriettę Clavard, poszkodowaną podczas bijatyki w supermarkecie.

- Co jej jest? - spytał Ryży, obawiając się najgorszego. Henrietta była silna i sprawna jak na starszą panią, ale osiemdziesiąt cztery lata to osiemdziesiąt cztery lata.

- Mówi, tu cytuję, Jedna z tych podłych sióstr Mercier tyłek mi połamala”. Carla Mercier, jak sądzi. Która teraz nazywa się Venziano.

- Jasne - powiedział Ryży, po czym mruknął ni z gruszki, ni z pietruszki: - Miasto nie jest wielkie, wszyscy gramy razem. I co, jest?

- Co jest co, *sensei*?

- Tyłek połamany?

- Nie wiem. Nie chce mi go pokazać. Mówi, i znów cytuję, „moje majtuszki oglądać może tylko profesjonalista”.

Zaczęli dusić się ze śmiechu.

Zza zamkniętych drzwi dobiegł zboląły głos starszej pani:

- Tyłek mam połamany, nie uszy. Wszystko słyszę.

Ryży i Twitch wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem. Twitch przybrał niepokojący odcień czerwieni.

- Ej, koleżkowie - powiedziała Henrietta Clavard za drzwiami - jakby to o wasze tyłki się rozchodziło, nie byłoby wam do śmiechu.

Ryży wszedł do środka, wciąż uśmiechnięty.

- Przepraszam, pani Clavard.

Stała, nie siedziała i, ku jego ogromnej uldze, też się uśmiechnęła.

- A co tam! - Machnęła ręką. - W tym bajzlu trzeba znaleźć coś śmiesznego. Równie dobrze mogę to być ja. - Zamyśliła się. - Poza tym kradłam razem ze wszystkimi. Pewnie mam to, na co zasłużyłam.

10

Tyłek Henrietty Clavard okazał się mocno posiniaczony, ale nie połamany. I dobrze, bo pogruchotana kość ogonowa to naprawdę nic śmiesznego. Ryży dał jej krem uśmierzający ból i kiedy potwierdziła, że ma w domu advil, odesłał ją utykającą, ale zadowoloną. Przynaj-

mniej na tyle zadowolona, na ile dama w jej wieku i o jej temperamencie mogła być z czegokolwiek zadowolona.

Podczas jego drugiej próby ucieczki, jakieś piętnaście minut po telefonie Lindy, dosłownie o krok od drzwi na parking dopadła go Harriet Bigelow.

- Ginny kazała przekazać, że nie ma Sammy Bushey.

- A gdzie jest? - spytał Ryży zgodnie z wpajaną w podstawówce zasadą, że jedynym głupim pytaniem jest to, którego się nie zada.

- Nikt nie wie. Nie ma jej i tyle.

- Może poszła do Sweetbriar Rose zobaczyć, czy serwują kolację. Oby, bo jeśli spróbuje wrócić pieszo do domu, szwy mogą nie wytrzymać.

Harriet wyraźnie się wystraszyła.

- I co, mogłaby się wykrwawić na śmierć? Wykrwawić się przez ciumcię... to byłoby okropne.

Ryży słyszał wiele określeń pochwy, ale to było dla niego nowe.

- Pewnie nie, lecz mogłaby wylądować tu na dłużej. Co z jej dzieckiem?

Harriet wpadła w popłoch. Była śmiertelnie poważną istotką, która w chwilach zdenerwowania bezwiednie mrugała oczami za grubymi szklami okularów; typem dziewczyny, która jakieś piętnaście lat po ukończeniu szkoły z wyróżnieniem pozwalała sobie na załamanie nerwowe.

- Dziecko! O mój Boże, Little Walter! - Zanim Ryży zdołał ją powstrzymać, pognąła w głąb korytarza i wróciła z wypisaną na twarzy ulgą. - Jest. Trochę nieruchawy, ale chyba tak ma z natury.

- W takim razie ona pewnie wróci. Bez względu na to, jakie ma problemy, swojego dzieciaka kocha. Na swój niepokładany sposób.

- Hę? - I znowu to gwałtowne mruganie oczami. - Nieważne. Wrócę, jak tylko będę mógł, Hari. Trzymaj rękę na pulsie.

- Czym? - Wydawało się, że jej powieki lada moment skrzyszają iskry.

Ryży omal nie powiedział „uszy do góry, o to mi chodziło”, ale tym też by nic nie załatwił. Harriet pewnie by spytała, jak ma je podnieść.

- Wracaj do pracy - rzekł. Harriet ulżyło.

- Jasne, doktorze, już się robi.

Ryży odwrócił się, by wyjść, ale teraz stanął przed nim mężczyzna - chudy, całkiem przystojny, jeśli pominąć haczykowaty nos, z gęstymi siwymi włosami związanymi w koński ogon. Trochę przypominał świętej pamięci Timothy'ego Leary'ego. Ryży zaczynał się zastana-

wiać, czy kiedykolwiek stąd wyjdzie.

- W czym mogę panu pomóc?

- Prawdę mówiąc, pomyślałem sobie, że to ja mógłbym pomóc panu. - Nieznajomy wyciągnął kościstą dłoń. - Thurston Marshall. Moja partnerka i ja przyjechaliśmy na weekend nad jezioro Chester, no i uwięziło nas tutaj to coś, cokolwiek to jest.

- Przykro mi to słyszeć.

- Mam pewne doświadczenie medyczne. Odmówiłem służby w wojsku podczas tego burdelu w Wietnamie. Myślałem, żeby wyjechać do Kanady, ale miałem plany... cóż, mniejsza o to. Zarejestrowałem się na liście odmawiających służby ze względu na przekonania i przepracowałem dwa lata jako pielęgniarz w szpitalu dla weteranów w Massachusetts.

To było ciekawe.

- Imienia Edith Nourse Rogers?

- Właśnie tam. Moje umiejętności pewnie trochę się zdezaktualizowały, ale...

- Panie Marshall, z nieba mi pan spadł!

11

Kiedy Ryży ruszył szosą numer sto dziewiętnaście, usłyszał klakson. W lusterku wstecznym zobaczył ciężarówkę Zakładu Robót Publicznych skręcającą na Catherine Russell Drive. Trudno było dojrzeć w czerwonym świetle zachodzącego słońca, ale miał wrażenie, że za kierownicą siedzi Stewart Bowie. Przy drugim rzucie oka w lusterko zobaczył coś, co uradowało jego serce: na platformie ciężarówki były, zdaje się, dwa zbiorniki płynnego gazu. Potem będzie dociekał, skąd się wzięły, może nawet zada kilka pytań, na razie po prostu mu ulżyło, że wkrótce znów będą mieli światło, sprawne respiratory i monitory. Może nie na długo, ale co tam, trzeba żyć dniem dzisiejszym.

Na Town Common Hill zobaczył swojego dawnego pacjenta, Benny'ego Drake'a, z dwójką przyjaciół. Jednym z nich był młody McClatchey, chłopak, który zorganizował transmisję na żywo z uderzenia rakiety. Benny machał ręką i krzyczał; wyraźnie chciał zatrzymać Ryżego i pogadać. Ryży pomachał mu w odpowiedzi, ale nie zwolnił. Bardzo chciał zobaczyć się z Lindą. A także wysłuchać, co miała do powiedzenia, oczywiście, ale głównie wziąć żonę w ramiona i pogodzić się z nią na dobre.

Barbiemu chciało się łać, ale wstrzymywał mocz. Uczestniczył w przesłuchaniach w Iraku i wiedział, jak to się tam odbywało. Nie miał pewności, czy już teraz tak samo będzie tutaj, ale nie mógł tego wykluczyć. Sytuacja rozwijała się błyskawicznie, a Duży Jim bezlitośnie pokazał, że potrafi iść z duchem czasu. Jak większość zdolnych demagogów, nigdy nie lekceważył gotowości swojej publiki do uwierzenia w to, co absurdalne.

Barbie był też strasznie spragniony i nieszczerłownie się zdziwił, kiedy przyszedł jeden z nowych policjantów ze szklanką wody w jednej dłoni i kartką z przypiętym do niej długopisem w drugiej. Tak, właśnie tak to się odbywało: w Falludży, Tikricie, Hilli, Mosulu i Bagdadzie. A teraz, jak się okazuje, także w Chester's Mill.

Tym nowym policjantem był Junior Rennie.

- Jak ty wyglądasz! - powiedział Junior. - Już nie jesteś taki skory stosować chytrych wojskowych sztuczek i bić ludzi, co? - Uniósł rękę, w której trzymał kartkę, i czubkami palców potarł lewą skroń. Papier zaszeleścił.

- Sam nie za dobrze wyglądasz. Junior opuścił rękę.

- Jestem zdrowy jak dzwon.

A to już dziwne, pomyślał Barbie. Niektórzy mówią „zdrowy jak koń”, inni, że mają „serce jak dzwon”, ale nikt nie mówi „zdrowy jak dzwon”. To zapewne nic nie znaczyło, chociaż...

- Jesteś pewien? Oko masz całe czerwone.

- Czuję się zajebiście. I nie przyszedłem rozmawiać o mnie. Barbie, który wiedział, po co Junior przyszedł, spytał:

- To woda?

Junior spojrział na szklankę, jakby o niej zapomniał.

- Taa. Komendant pomyślał, że pewnie cię suszy. Bo w czasie suszy szosa sucha. - Wybuchnął śmiechem, jakby w życiu nie powiedział nic bardziej zabawnego. - Chcesz?

- Tak, proszę.

Junior podał mu szklankę. Barbie sięgnął po nią. Junior cofnął rękę. Oczywiście. Tak właśnie to się odbywało.

- Czemu ich zabiłeś? Ciekaw jestem, Baaarbie. Co, Angie nie chciała ci już dawać dupy? A jak spróbowałeś z Dodee, okazało się, że wolała ciągnąć crack niż kutasa? Może Coggins zobaczył coś, czego nie powinien widzieć? A Brenda zaczęła coś podejrzewać. Bo i czemu nie? Wiesz, sama była gliną. Przez wstrzyknięcie!

Junior zajadłował radośnie, ale pod pozorami wesołości kryła się mroczna czujność. I ból. Barbie był tego prawie pewien.

- Co? Nic do powiedzenia?

- Już powiedziałem. Proszę o wodę. Chce mi się pić.

- Uhm, nie wątpię. Ten gaz łzawiący to paskudztwo, co? Słyszałem, że służyłeś w Iraku. Jak tam było?

- Gorąco.

Junior znów zajadłował. Trochę wody wylało się ze szklanki na jego nadgarstek. Czy dłonie lekko mu drżały? A z kącika tego przekrwionego lewego oka ściekały łzy. Co mu jest, do cholery? Migrena? Coś innego?

- Zabiłeś kogoś? - spytał Junior.

- Tylko moim gotowaniem.

Junior uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Dobre, dobre!”.

- Tam nie byłeś kuchcią, Baaarbie. Byłeś oficerem łącznikowym. Przynajmniej tak to się oficjalnie nazywało. Mój tata sprawdził cię w Internecie. Dużo o tobie nie ma, ale trochę się znalazło. Jego zdaniem byłeś od prowadzenia przesłuchań. A może od brudnej roboty? Co, byłeś takim wojskowym Jasonem Bourne'em?

Barbie nie odpowiedział.

- No powiedz, zabiłeś kogoś? Czy może powinienem spytać ilu? To znaczy, oprócz tych, których załatwiłeś tutaj.

Barbie milczał.

- Kurczę, założę się, że ta woda jest smaczna. Nalałem ją z dystrybutora na górze. Komu wody dla ochłody!

Barbie milczał nadal.

- Tacy jak ty wracają stamtąd z różnymi problemami. Przynajmniej tak mówią w telewizji. Prawda czy źle? Dobrze czy fałsz?

To nie przez migrenę, uznał Barbie. Przynajmniej ja jeszcze o takiej migrenie nie słyszałem.

- Junior, bardzo cię głowa boli?

- Wcale.

- Od jak dawna masz bóle głowy?

Junior ostrożnie postawił szklankę na podłodze. Tego wieczoru miał u boku broń. Wyjął ją i wymierzył między kratami w Barbiego. Lufa drżała lekko.

- Chcesz się dalej bawić w doktora?

Barbie spojrział na pistolet. Broni nie było w scenariuszu, był tego raczej pewien - Duży Jim miał wobec niego plany, prawdopodobnie niezbyt miłe, ale nie obejmowały zastrzelenia Dale'a Barbary w celi w momencie, gdy każdy, kto był na górze, mógł tu przybiec i zobaczyć, że cela nadal jest zamknięta, a ofiara nieuzbrojona. Tyle że nie miał co liczyć na to, że Junior będzie się trzymał scenariusza. Bo Junior był chory.

- Nie. Żadnych zabaw w doktora. Bardzo przepraszam.

- I słusznie. Masz za co. Pardolony pielant. - Junior wydawał się usatysfakcjonowany. Schował pistolet do kabury i znów podniósł szklanke wody. - Moja teoria jest taka, że przez to, co tam widziałeś i robiłeś, wróciłeś cały pojebany. No wiesz, że stresem pourazowym, chorobami wenerycznymi, napięciem przedmiesiączkowym czy jak to zwał. I w końcu puściły ci nerwy. Zgadza się?

Barbie milczał.

Juniorowi to było wyraźnie obojętne. Podał mu szklanke przez kraty.

- Masz, weź.

Barbie sięgnął po szklanke, przekonany, że znów zostanie mu odebrana, ale tak się nie stało. Skosztował wody. Ani zimna, ani zdatna do picia.

- No, pij. Wsypałem tylko pół solniczki, dasz radę, co? W końcu chleb solisz, nie?

Barbie tylko patrzył na Juniora.

- Solisz chleb? Co, skurwysynu? He? Barbie wysunął szklanke przez kraty.

- A weź ją sobie - powiedział Junior wielkodusznie. - I to też. - Podał mu kartkę i długopis. Barbie wziął je i rzucił okiem na kartkę. Mniej więcej to, czego się spodziewał. U dołu było miejsce na jego podpis.

Oddał jedno i drugie. Junior cofnął się niemal tanecznym krokiem, uśmiechając się i kręcąc głową.

- To też zatrzymaj. Tato mówił, że tak od razu tego nie podpiszesz, ale się zastanów. I pomyśl o szklance wody bez soli. I jedzeniu. Wielgachnym cheeseburgerze w rajku. Może nawet z colą. W lodówce na górze jest zimna. Nie napiłbyś się zisznej pymnej coli?

Barbie nie odpowiedział.

- Solisz chleb? No mów, nie krępuj się. To jak, pierdoło? Barbie milczał.

- Jeszcze zmądrzejesz. Jak tylko głód i pragnienie wystarczająco dadzą ci w kość. Tak mówi mój tato, a w tych sprawach zwykle ma rację. Pa, pa, Baaarbie.

Ruszył w głąb korytarza, po czym się odwrócił.

- Wiesz, nie powinienesz być podnosić na mnie ręki. To był twój największy błąd.

Barbie zauważył, że Junior na schodach lekko utyka - czy raczej powłoczy nogą.

Właśnie, powłóczył lewą nogą i dla równowagi prawą ręką podciągał się po poręczy. Był ciekaw, co Ryży Everett sądziłby o takich objawach. I czy kiedykolwiek będzie miał okazję go o to spytać.

Wbił wzrok w niepodpisane przyznanie się do winy. Najchętniej by je podarł i porozrzucił kawałki na podłodze przed celą, ale to byłaby niepotrzebna prowokacja. Położył kartkę na pryczy, a na niej długopis.

Potem podniósł szklankę wody. Sól. Zaprawiona solą. Czuł jej zapach. Nasunęło mu to skojarzenie z obecną sytuacją Chester's Mill... tyle że tu było tak zawsze. Nawet przed nastaniem klosza. Duży Jim i jego kolesie posypywali tę ziemię solą już od jakiegoś czasu. Barbie stwierdził, że jeśli wyjdzie z tego komisariatu żywy, to będzie cud.

Mimo wszystko miał do czynienia z amatorami; zapomnieli o sedesie. Pewnie żaden z nich nigdy nie był w kraju, gdzie nawet odrobina mętnej wody w rowie wygląda kusząco, kiedy człowiek dźwiga czterdzieści kilo sprzętu, a temperatura sięga czterdziestu sześciu stopni Celsjusza. Barbie wylał słoną wodę w kącie celi. Potem nasikał do szklanki i postawił ją pod pryczą. Wreszcie ukląkł przed sedesem jak do modlitwy i pił dotąd, aż poczuł, że brzuch mu pęcznieje.

13

Linda siedziała na schodkach przed drzwiami, kiedy przyjechał Ryży. W ogródku za domem Jackie Wetington bujała na huśtawce Judy i Janelle, które krzyczały, żeby pchała mocniej i wyżej.

Żona wyszła mu na spotkanie z wyciągniętymi ramionami. Pocałowała go w usta, cofnęła się, by na niego spojrzeć, po czym pocałowała go znowu, kładąc dłonie na jego policzkach i rozchylając wargi. Ulotne, wilgotne muśnięcie jej języka natychmiast przyprawiło go o erekcję. Poczula to i przywarła do niego mocniej.

- O rany - powiedział. - Powinniśmy częściej klócić się przy ludziach. A jeśli zaraz nie przestaniesz, to zrobimy przy ludziach coś jeszcze.

- Zrobimy, zrobimy, ale nie przy ludziach. Pierwsza sprawa... czy muszę cię jeszcze raz przeprosić?

- Nie.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do schodków.

- To dobrze. Bo musimy omówić pewne sprawy. Poważne sprawy.

Położył drugą dłoń na jej dłoni.

- Słucham.

Powiedziała mu, co się stało w komisariacie - że wygonili Julię po tym, jak pozwolili Andy'emu Sandersowi zobaczyć więźnia. Powiedziała o tym, jak poszły do kościoła, żeby Jackie mogła pogadać z Julią na osobności, i o późniejszej rozmowie na plebanii, w gronie powiększonym o Piper Libby i Burpeego. Kiedy wspomniała o zauważonych u Brendy Perkins pierwszych oznakach stężenia pośmiertnego, nadstawił uszu.

- Jackie! - zawołał. - Jesteś pewna co do tego stężenia?

- Raczej tak! - odkrzyknęła.

- Hej, tatusiu! - zawołała Judy. - Ja i Jannie zrobimy pętlę!

- Nie ma mowy! - odkrzyknął i wstał, żeby przesłać im całusy. Każda z dziewczynek złapała po jednym; w łapaniu całusów nie miały sobie równych.

- O której widziałaś ciała, Lin?

- Gdzieś koło wpół do jedenastej. Długo po zadymie w supermarkecie.

- Czyli jeśli Jackie ma rację co do tego, że stężenie pośmiertne dopiero się zaczynało... ale nie możemy być tego w stu procentach pewni, zgadza się?

- Nie, ale posłuchaj. Rozmawiałam z Rose Twitchell. Barbara przyszedł do Sweetbriar za dziesięć szósta. Od tego czasu do chwili znalezienia zwłok ma alibi. Więc kiedy musiałby ją zabić? O piątej? Wpół do szóstej? Jak to możliwe, skoro pięć godzin później stężenie pośmiertne dopiero się zaczynało?

- Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Na stopień stężenia wpływa masa różnych czynników. Na przykład temperatura w miejscu przechowywania zwłok. Jak było w tej spiżarni?

- Ciepło. - Wzdrygnęła się. - Było ciepło i śmierdziało.

- A widzisz? W tych okolicznościach mógł ją gdzieś zabić nawet o czwartej w nocy, potem przenieść ciało i wsadzić je do...

- Myślałam, że jesteś po jego stronie.

- Jestem, i tak naprawdę to mało prawdopodobne, bo o czwartej w nocy w spiżarni byłoby dużo chłodniej. Zresztą co robiłby z Brendą o czwartej w nocy? Co powiedziałyby gliny? Że ją posuwał? Nawet gdyby kręciły go starsze, dużo starsze kobiety... trzy dni po śmierci męża, z którym przeżyła trzydzieści kilka lat?

- Powiedzieliby, że to nie było za jej zgodą - odparła ponuro. - Że to był gwałt. Tak jak to już twierdzą w sprawie tych dwóch dziewczyn.

- A co z Cogginsem?

- Jeśli chcą Barbiego zrobić, coś wymyślą.

- Julia to wszystko opublikuje?

- Napisze artykuł i postawi kilka pytań, lecz nie ujawni, że stężenie pośmiertne było we wczesnym stadium. Może Randolph jest za głupi, żeby dojść, skąd wyszła ta informacja, ale Rennie by się domyślił.

- To i tak może być niebezpieczne - powiedział Ryży. - Jeśli nałożą jej kaganiec, raczej nie będzie mogła polecieć do obrońców swobód obywatelskich.

- Ona nie da sobie zamknąć ust. Jest wściekła jak diabli. Uważa nawet, że rozróżba w supermarkecie mogła być wyreżyserowana.

Pewnie była, pomyślał Ryży.

- Cholera, że też nie widziałem tych ciał.

- Mógłbyś je zobaczyć.

- Wiem, co ci chodzi po głowie, skarbie, ale ty i Jackie byście wyleciały z pracy. I nie tylko, jeśli Duży Jim tak rozwiązuje irytujące problemy.

- Nie możemy tego tak zostawić...

- Zresztą zapewne niewiele by to nam dało. Prawdopodobnie nic. Jeśli stężenie pośmiertne u Brendy Perkins zaczęło się między czwartą a ósmą, to teraz rozwinęło się już w pełni i na podstawie stanu zwłok dużo nie ustalę. Może lekarz sądowy dałby radę, ale jest tak nieosiągalny jak obrońcy swobód obywatelskich.

- Może jest coś jeszcze. Coś na jej ciele albo na którejś z pozostałych ofiar. Słyszałeś o tym napisie, który mają w niektórych prosektorjach? „Tu martwi przemawiają do żywych”?

- Marne szanse. Wiesz, co byłoby lepsze? Gdyby ktoś widział Brendę żywą po tym, jak Barbie przyszedł za dziesięć szósta do pracy. Takiej luki by nie załatali.

Judy i Janelle, przebrane w pidżamy, przybiegły dać się wyściskać. Ryży spełnił swoją powinność w tym względzie. Jackie Wettington, która przyszła zaraz po nich, dosłyszała jego ostatnie słowa i powiedziała:

- Popytam ludzi.

- Byle dyskretnie.

- Jasna sprawa. A tak między nami, to nadal nie jestem przekonana. Ostatecznie jego nieśmiertelniki były w ręku Angie.

- I nie zauważył ich zniknięcia od czasu, kiedy je zgubił, do momentu znalezienia ciał?

- Jakich ciał, tatusiu? - spytała Jannie. Westchnął.

- To skomplikowane, słonko. I nie dla małych dziewczynek. Oczy Janelle powiedziały, że to dobrze. Judy tymczasem poszła zerwać kilka późnych kwiatów, ale wróciła z pustymi rękami.

- Usychają. Po brzegach są całe brązowe i w ogóle fuj.

- Pewnie jest dla nich za ciepło - powiedziała Linda i Ryży przez chwilę myślał, że jego żona się rozpłacze. Wkroczył do akcji.

- Dziewczynki, idźcie umyć zęby. Weźcie trochę wody z dzbanka w kuchni. Jannie, wyznaczam cię na oficjalną nalewaczkę wody. No, już was tu nie ma. - Odwrócił się do Lindy. - W porządku?

- Tak. Po prostu... w takich chwilach to mnie rozwała. Myślę sobie: Te kwiaty nie powinny usychać. A potem myślę: W ogóle nic z tego wszystkiego nie powinno się dziać.

Chwilę zastanawiali się nad tym w milczeniu. Wreszcie Ryży się odezwał:

- Powinniśmy zaczekać i zobaczyć, czy Randolph poprosi, żebym obejrzał ciała. Jeśli tak, będę mógł na nie zerknąć bez obaw, że narobię wam kłopotów. Jeśli nie, to już coś nam powie.

- Tymczasem Barbie siedzi w areszcie - zauważyła Linda. - Może w tej chwili próbują go zmusić, żeby się przyznał.

- Przypuśćmy, że machniecie blachami i załatwicie mi wejście do domu pogrzebowego - powiedział Ryży. - I przypuśćmy, że znajdę coś, co Barbiego oczyści. Myślicie, że powiedzą „O kurde, sorki, nasz błąd” i go wypuszczą? I oddadzą mu władzę? Bo tego właśnie chce rząd, całe miasto o tym wie. Myślicie, że Rennie pozwoli...

Zadzwoiła jego komórka.

- Te cholerstwa to najgorszy wynalazek w dziejach - mruknął. Na szczęście nie był to telefon ze szpitala.

- Pan Everett? - Kobieta. Znał ten głos, lecz nie mógł go skojarzyć z nazwiskiem.

- Tak, ale jeśli to nic pilnego, w tej chwili jestem trochę zajęty... - Nie wiem, czy to pilne. Na pewno bardzo ważne. A skoro pan Barbara... czy właściwie pułkownik Barbara... został aresztowany, to pan musi się tym zająć.

- Pani McClatchey?

- Tak, ale powinien pan rozmawiać z Joem. Już go daję.

- Doktor Ryży? - Głos był przejęty, niemal zdyszany.

- Cześć, Joe. O co chodzi?

- Chyba znaleźliśmy generator. Co teraz mamy zrobić? Ciemność zapadła tak nagle, że wszyscy troje wstrzymali oddech, a Linda złapała Ryżego za rękę. Ale to tylko słońce schowało się za wielką smugą od dymu po zachodniej stronie klosza.

- Gdzie?

- Na szczycie Black Ridge.

- Było promieniowanie, synu? - Na pewno było. Jak inaczej by to znaleźli?

- Ostatni odczyt wynosił dwieście - powiedział Joe. - Na granicy bezpieczeństwa. Co mamy robić?

Ryży przejechał dłonią po włosach. Za dużo działa się naraz. Za dużo, za szybko. Zwłaszcza jak dla małomiasteczkowego szaraczka, który nigdy nie uważał się za człowieka zdolnego podejmować decyzje, a co dopiero przywódcę.

- Dzisiaj nic. Już prawie noc. Zajmiemy się tym jutro. Tymczasem, Joe, musisz mi coś obiecać. Nikomu ani słowa. Wiesz ty, wiedzą Benny i Norrie, wie twoja mama. Niech tak zostanie.

- Dobrze. - Joe był jakby przygaszony. - Mamu panu dużo do powiedzenia, ale w sumie możemy poczekać do jutra. - Odetchnął. - Trochę to przerażające, prawda?

- Tak, synu - powiedział Ryży. - Trochę przerażające.

14

Człowiek, w którego rękach spoczywały losy miasta, siedział w swoim gabinecie i wielkimi, łapczywymi kęsami pożerał kanapkę z peklowaną wołowiną, kiedy wszedł Junior. Wcześniej Duży Jim uciął sobie czterdziestopięciominutową drzemkę dla zregenerowania sił. Teraz czuł się odświeżony i znów gotowy do działania. Błat jego biurka zasłany był kartkami papieru, notatkami, które później spali w piecu za domem. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Gabinet oświetlony był syczącymi lampami Coleman, które rzucały oślepiający biały blask. Duży Jim miał dostęp do mnóstwa propanu - ta ilość wystarczyłaby, żeby oświetlać dom i zasilac wszystkie urządzenia przez pięćdziesiąt lat - ale na razie colemany były lepsze. Chciał, żeby przechodzący ulicą ludzie zauważyli to oślepiające białe światło i wiedzieli, że radny Rennie nie ma żadnych specjalnych przywilejów. Że radny Rennie jest taki sam jak oni, tylko bardziej godny zaufania.

Junior kuśtykał. Twarz miał ściągniętą w przykrym grymasie.

- Nie przyznał się.

Duży Jim nie oczekiwał, że Barbara tak od razu się przyzna, i zignorował to.

- Co z tobą? Mizernie wyglądasz.

- Znow bolala mnie glowa, ale juz przestaje. - To byla prawda, choc w czasie rozmowy z Barbiem bolala potwornie. Te niebieskoszare oczy za duzo widzialy.

Wiem, co robiles z nimi w spizarni, mowily. Wiem wszystko.

Po tym, jak wyjal pistolet, musial wytezyc cala silę woli, zeby nie pociagnac za spust i nie zgasic tego przekletego wscibskiego spojzenia na zawsze.

- I kulejesz.

- To przez te dzieci, które znaleźliśmy nad jeziorem. Jedno niosłem na rękach i chyba naciągnąłem jakiś mięsień.

- Jesteś pewien, że to wszystko? Ty i Thibodeau macie robotę do wykonania za... - Duży Jim spojrział na zegarek - ...za jakieś trzy i pół godziny i nie możecie nawalić. Wszystko musi wypaść perfekcyjnie.

- Czemu nie zaraz po zmroku?

- Bo ta wiedźma przygotowuje gazetę. Razem z tymi jej dwoma małymi trollami. Freemanem i tym drugim. Tym od sportu, co zawsze czepia się Wildcatsów.

- Tonym Guayem.

- Tak, z nim. Niezbyt mnie obchodzi, czy coś im się stanie, zwłaszcza jej... - górna warga Dużego Jima uniosła się w upodabniającej go do psa imitacji uśmiechu - ...ale nie może być żadnych świadków. To znaczy żadnych naocznych świadków. Co ludzie usłyszą... to już inna para kaloszy.

- Co chcesz, żeby usłyszeli, tato?

- Jesteś pewien, że dasz radę? Bo mogę wysłać z Carterem Franka zamiast ciebie.

- Nie! Pomogłem ci z Cogginsem i z tą starszą panią dziś rano, i zasługuję, żeby to zrobić!

Duży Jim mierzył go spojrzeniem. Wreszcie skinął głową.

- W porządku. Ale nie wolno ci dać się złapać. Ani nawet zauważyć.

- Bez obaw. Co chcesz, żeby świadkowie... nauszni usłyszeli? Duży Jim powiedział mu. Duży Jim powiedział mu wszystko.

Dobre, pomyślał Junior. Musiał to przyznać: jego kochany tatuńcio niczego nie przeoczył.

15

Kiedy Junior poszedł na górę „dać nodze odpocząć”, Duży Jim dokończył kanapkę, otarł tłuszcz z podbródka, po czym zadzwonił na komórkę Stewarta Bowiego. Zaczął od pytania, które zadaje każdy, kto dzwoni na telefon komórkowy.

- Gdzie jesteś?

Stewart odparł, że właśnie jadą do domu pogrzebowego na drinka. Znając stosunek Dużego Jima do napojów alkoholowych, powiedział to z hardością człowieka pracy. Zrobiłem swoje, teraz daj mi się zrelaksować.

- W porządku, ale poprzestań na jednym. Jeszcze na dziś nie skończyłeś. Fern i Roger też nie.

Stewart zaprotestował stanowczo.

Kiedy już się wygadał, Duży Jim mógł kontynuować:

- Chcę, żebyście wszyscy trzej byli o wpół do dziesiątej w gimnazjum. Będzie kilku nowych policjantów... w tym synowie Rogera, nawiasem mówiąc... wy też macie tam być. - Doznał olśnienia. - Wiecie co? Mianuję was sierżantami Służby Bezpieczeństwa Chester's Mill.

Stewart przypomniał Dużemu Jimowi, że on i Fern mają na głowie czworo nowych nieboszczyków.

- Ci z domu McCainów mogą zaczekać - powiedział Duży Jim. - Nie żyją. Może nie zauważyliście, ale mamy tu poważny kryzys. Dopóki się nie skończy, wszyscy musimy zakasać rękawy i wziąć się do pracy. Robić, co do nas należy. Grać razem. Wpół do dziesiątej w gimnazjum. Ale najpierw mam dla was inne zadanie. Nie potrwa to długo. Daj Ferna.

Stewart spytał, dlaczego Duży Jim chce rozmawiać z Fernem, którego uważał - nie bezzasadnie - za głupszego brata.

- Nie twój interes. Daj go i już.

Fern powiedział „cześć”. Duży Jim nie. Szkoda mu było czasu.

- Służyłeś w ochotniczej straży, zgadza się? Dopóki jej nie rozwiązali?

Fern powiedział, że rzeczywiście był członkiem tej nieoficjalnej przybudówki straży pożarnej Chester's Mill, ale nie dodał, że odszedł rok przed tym, jak ją rozwiązano (bo radni zalecili, żeby z budżetu miasta na rok dwa tysiące ósmy wykreślić środki na jej finansowanie). Przemilczał też fakt, że przez weekendowe zbiórki pieniędzy na Ochotniczą Straż Pożarną miał mniej czasu na picie.

- Pójdiesz na komisariat i weźmiesz klucz do remizy - powiedział Duży Jim. - Potem zobacz, czy są w niej te hydronetki, których wczoraj używał Burpee. Słyszałem, że schowali je tam z Perkinsową. Oby tak było.

Fern stwierdził, że tak w ogóle to hydronetki pochodziły ze sklepu Burpeego, więc poniekąd są własnością Rommiego. Strażacy ochotnicy mieli kilka własnych, ale opchnęli je na eBayu, kiedy jednostkę rozwiązano.

- Może i były jego, ale już nie są - rzekł Duży Jim. - Na czas trwania kryzysu są własnością miasta. Tak samo jak wszystko, co będzie nam potrzebne. Tego wymaga dobro ogółu. A jeśli Romeo Burpee myśli, że odtworzy ochotniczą straż, to się grubo myli.

Fern powiedział - ostrożnie - że z tego, co słyszał, Rommie dobrze się spisał przy gaszeniu pożaru przy Little Bitch Road po uderzeniu rakiet.

- Taki to był pożar jak w popielniczce z niedogaszonymi petami - prychnął Duży Jim.

Żyłka pulsowała mu w skroni, serce biło za mocno. Wiedział, że jadł za szybko i za dużo - znowu - ale nie mógł nic na to poradzić. Kiedy był głodny, napychał się dotąd, aż wszystko zniknęło z talerza. Tak już miał. - Każdy by go ugasił. Nawet ty. Rzecz w tym, że wiem, kto na mnie ostatnim razem głosował, a kto nie. Kto na mnie nie głosował, nie dostanie cukierka.

Fern spytał Dużego Jima, co on, Fern, ma zrobić z hydronetkami.

- Upewnij się tylko, że są w remizie. Potem przyjdź do gimnazjum. Będziemy w sali gimnastycznej.

Fern powiedział, że Roger Killian chce porozmawiać.

Duży Jim przewrócił oczami, ale zczekał.

Roger pragnął wiedzieć, którzy z jego synków załapali się do glin.

Duży Jim westchnął, przeszperał papiery zaśmiecające biurko i znalazł listę nowych policjantów. Większość stanowili uczniowie szkoły średniej, wszyscy płci męskiej. Najmłodszy, Mickey Wardlaw, miał zaledwie piętnaście lat, ale był nie lada zabijaką. Grał na prawej obronie w drużynie futbolowej, dopóki go nie wywalili za picie.

- Ricky i Randall.

Roger zaprotestował, że to jego najstarsi i tylko na nich może liczyć, kiedy trzeba coś zrobić w gospodarstwie. Kto pomoże przy kurach? Duży Jim zamknął oczy i pomodlił się do Boga o siłę.

16

Sammy bardzo wyraźnie czuła tępy, przechodzący falami ból brzucha - jak skurcze miesiączkowe - i dużo ostrzejsze klucie tam niżej. Trudno było nie czuć, bo towarzyszyło każdemu krokowi. Mimo to wytrwale wlokła się naprzód szosą sto dziewiętnaście w kierunku Motton Road. Nie podda się, choćby nie wiadomo jak bolało. Miała jasny cel i nie była to jej przyczepa. Tego, co chciała, w przyczepie nie było, ale wiedziała, gdzie to znaleźć. Dojdzie tam, nawet gdyby miała iść całą noc. Jeśli ból stanie się nie do wytrzymania, w kieszeni dzinsów miała pięć tabletek percocetu, które będzie mogła przeżuć. Szybciej działały, kiedy się je rozgryzało. Tak powiedział jej Phil.

„Zerżnij ją!”.

„Bo wrócimy i cię rozjebimy”.

„Zerżnij dziwkę!”.

„Otwieraj ryj tylko wtedy, jak jesteś na kolanach”.

„Zerżnij ją, rżnij, niech wrzeszczy!”.

„I tak nikt by ci nie uwierzył”.

Ale wielbna Libby uwierzyła i proszę, jak na tym wyszła. Zwichnięty bark. Zabity pies.

„Zerznij dziwkę! Niech wrzeszczy!”.

Sammy myślała, że piskliwy, rozochocony głos tej świni będzie brzmieć w jej uszach aż do śmierci.

Szła. Nad jej głową migotały pierwsze różowe gwiazdy jak iskry oglądane przez brudną szybę.

Światła nadjeżdżającego samochodu rzuciły na drogę długi cień Sammy. Rozklekotany pikap zatrzymał się przy niej.

- Hej, ty tam, wskakuj - powiedział kierowca. Był to Alden Dinsmore, ojciec świętej pamięci Rory'ego, i był pijany.

Sammy mimo to wsiadła - ostrożnie jak inwalida.

Alden chyba tego nie zauważył. Między nogami miał półlitrową puszkę piwa, obok niego stała opróżniona do połowy skrzynka. Puste puszki turlały się i pobrzękiwały.

- Gdzie jedziesz? - spytał Alden.

- Tylko na Motton Road. Jedzie pan w tamtą stronę?

- Gdzie chcesz, tam pojedę. Tak sobie jeżdżę. Jeżdżę i myślę o synu. Umarł w sobotę.

- Bardzo panu współczuję. Skinął głową i napił się.

- Wiesz, w zimie umarł mi tato. Zazapał się na śmierć, biedak. Ro - zed - ma. Ostatni rok życia był pod tlenem, Rory butle mu wymieniał. Kochał tego starego łajdaka.

- Współczuję. - Powtarzała się, ale co innego miała powiedzieć? Łza ściekła mu po policzku.

- Pojadę, gdzie chcesz, panienko. Będę jeździł, aż się piwo skończy. Chcesz piwa?

- Tak, poproszę. - Piwo było ciepłe, ale piła chciwie. Strasznie ją suszyło. Wyjęła z kieszeni jeden percocet i popiła go dużym łykiem. Od razu zaszumiało jej w głowie. I dobrze. Wyciągnęła następną tabletkę i podała Aldenowi. - Chce pan? To dobrze panu zrobi.

Połknął ją i popił piwem. Nawet nie spytał, co to jest. Byli już przy Motton Road. Alden za późno zauważył skrzyżowanie, nie wyrobił się na zakręcie i potracił skrzynkę na listy Crumleyów. Sammy to nie przeszkadzało.

- Weź następne, panienko.

- Dziękuję panu. - Sięgnęła po piwo i otworzyła.

- Chcesz zobaczyć mojego synka? - W blasku świateł deski rozdzielczej oczy Aldena były żółte i mokre. Wyglądały jak ślepiec psa, który wdepnął w dziurę i złamał łapę. - Chcesz zobaczyć Rory'ego?

- Tak, proszę pana. Chętnie. Byłam przy tym, wie pan.

- Jak wszyscy. Wynająłem moją łakę. Pewnie pomogłem go zabić. Nie wiedziałem. Takich rzeczy się nie wie, prawda?

- Tak - powiedziała Sammy.

Alden z kieszeni ogrodników wyciągnął sfatygowany portfel. Zdjął obie ręce z kierownicy, żeby go otworzyć, i mrużąc oczy, przejrzał małe celuloidowe kieszonki.

- Ten portfel dali mi synkowie - powiedział. - Rory i Ollie. Ollie jeszcze żyje.

- Ładny portfel. - Sammy przechyliła się w bok, żeby przytrzymać kierownicę. To samo robiła dla Phila, kiedy razem mieszkali. Wiele razy. Pikap pana Dinsmore'a zataczał się od pobocza do pobocza powolnymi i jakby dostojnymi łukami. O mały włos nie staranował kolejnej skrzynki na listy. Ale to nic, biedny staruszek jechał zaledwie trzydziestką, a Motton Road była pusta. W radiu cicho grała WCIK, nadawali „Sweet Hope of Heaven” Blind Boys of Alabama.

Alden podsunął jej portfel pod nos.

- To on. Mój synek. Z dziadkiem.

- Może ja spojrzę, a pan niech prowadzi? - zasugerowała Sammy.

- Jasne. - Alden przejął kierownicę. Pikap ruszył szybciej i trochę bardziej prosto, cóż, że mniej więcej środkiem jezdni.

Wyblakłe kolorowe zdjęcie przedstawiało chłopca i starszego pana obejmujących się ramionami. Dziadek miał baseballówkę Red Sox i maskę tlenową. Chłopiec uśmiechał się szeroko.

- Piękny chłopak - powiedziała Sammy.

- Taa, piękny chłopak. Piękny mądry chłopak. - Alden zaryczał z bólu jak osioł, ale łzy nie popłynęły. Ślina prysnęła mu z ust. Wóz szarpnął w bok, po czym wrócił na prostą.

- Ja też mam pięknego syna - powiedziała Sammy. Rozplakała się. Przypomniała sobie, że jeszcze niedawno przyjemność sprawiało jej torturowanie lalek Bratz. Teraz już sama wiedziała, jak to jest być w mikrofalówce. Spalać się w mikrofalówce. - Pocałuję go, kiedy go zobaczę. Pocałuję go raz jeszcze.

- Pocałuj go - powiedział Alden. - Tak zrobię.

- Pocałuj, weź w ramiona i przytul.

- Tak zrobię, proszę pana.

- Pocałowałbym mojego synka, jakbym mógł. Pocałowałbym jego zimny policzek.

- Wiem, proszę pana.

- Aleśmy go pochowali. Rano. Na naszej ziemi.

- Bardzo panu współczuję.

- Weź sobie jeszcze piwo.

- Dziękuję. - Wypiła następne piwo. Jeszcze trochę i się upije. Cudownie być pijaną.

I tak sobie jechali, podczas gdy różowe gwiazdy w górze robiły się coraz jaśniejsze, migotały, ale nie spadały; dziś deszczu meteorów nie będzie. Kiedy mijali przyczepę Sammy - przyczepę, do której Sammy już nigdy nie zajrzy - nawet nie zwolnili.

17

Mniej więcej za piętnaście ósma Rose Twitchell zapukała w szybę w drzwiach „Democrata”. Julia, Pete i Tony stali przy długim stole i robili kopie najnowszego, czterostronicowego numeru gazety. Pete i Tony składali kartki; Julia spinała je zszywaczem i odkładała na stos.

Rose zobaczyła, że Julia ją przywołuje energicznym gestem. Otworzyła drzwi i zachwiała się lekko.

- O rany, ale tu ukrop!

- Wyłączyliśmy klimę, żeby oszczędzać prąd - powiedział Pete Freeman - a kopiarka się nagrzewa, kiedy dużo pracuje. Tak jak dzisiaj. - Ale wyglądał, jakby był dumny. Zresztą wszyscy troje tak wyglądali.

- Myślałem, że będziesz zavalona robotą w restauracji - rzekł Tony.

- A skąd. Można by tam dziś na jelenie polować. Zgaduję, że sporo ludzi nie chce spojrzeć mi w oczy, bo mojego kucharza aresztowali za zabójstwo. I pewnie nie chcą spojrzeć w oczy sobie nawzajem po tym, co się stało rano w Food City.

- Weź sobie egzemplarz gazety - zaproponowała Julia. - Jesteś dziewczyną z okładki.

U góry, wypisane czerwonymi literami, widniały słowa **BEZPŁATNE WYDANIE SPECJALNE - KRYZYS POD KLOSZEM BEZPŁATNE**. A pod tym, czcionką szesnastką, której przed dwoma ostatnimi numerami „Democrata” Julia nie używała nigdy:

ROZRUCHY, ZABÓJSTWA

- KRYZYS SIĘ POGŁĘBIA

Na zdjęciu była Rose we własnej osobie, ukazana z profilu. Przy ustach trzymała megafon. Niesforny kosmyk opadał jej na czoło i wyglądała nadzwyczaj pięknie. W tle widać było regały z makaronem i sokami, na podłodze leżało kilka rozbitych butelek, zdaje się sosu

do spaghetti. Podpis głosił:

Cisza po burzy. Rose Twitchell, właścicielka Sweetbriar Rose, tłumi burdę w sklepie z pomocą Dale'a Barbary, aresztowanego za zabójstwo (zob. artykuł poniżej i felieton na str. 4).

- Boże święty! - westchnęła Rose. - Cóż... przynajmniej uchwyciliście mnie od tej lepszej strony. O ile taką mam.

- Rose - oznajmił Tony Guay uroczyście - wyglądasz jak Michelle Pfeiffer.

Prychnęła i pokazała mu środkowy palec. Właśnie otwierała gazetę na stronie z felietonem.

DZIŚ PANIKA, JUTRO WSTYD

Julia Shumway

Nie wszyscy w Chester's Mill znają Dale'a Barbarę - jest w naszym mieście względnie krótko - ale większość jadła potrawy, które przyrządzał w Sweetbriar Rose. Ci, którzy go znają, jeszcze wczoraj nazwaliby go wartościowym członkiem naszej społeczności. W lipcu i sierpniu sędziował mecze softballu, we wrześniu pomagał przy zbiorce książek, w gimnazjum, a dwa tygodnie temu sprzątał śmieci w Dniu Porządkowania Placu Miejskiego.

Dziś jednak Barbie (jak nazywają go znajomi) został aresztowany za cztery brutalne morderstwa. Morderstwa osób znanych i lubianych w naszym mieście. Osób, które, w odróżnieniu od Dale'a Barbary, spędziły tu wiele lat bądź całe swoje życie.

W normalnych okolicznościach Barbie zostałaby zabrany do więzienia okręgowego, miałyby prawo do jednej rozmowy telefonicznej i, gdyby nie stać go było na adwokata, wyznaczono by mu obrońcę z urzędu. Postawiono by mu zarzuty i przystąpiono do zbierania dowodów - czym zajęliby się eksperci, którzy znają się na rzeczy.

Tak się jednak nie stało. Dlaczego? Wiemy to wszyscy: z powodu klosza, który odciął nasze miasto od świata. Czy jednak odciął też dostęp do właściwych procedur prawnych i zdrowego rozsądku? Bez względu na to, z jak szokującą zbrodnią mamy do czynienia, niepoparte dowodami oskarżenia to za mało, by usprawiedliwić sposób traktowania Dale'a Barbary i zrozumieć, dlaczego nowy komendant policji odmawia wyjaśnień i nie zezwala autorce niniejszego felietonu sprawdzić, czy Dale Barbara żyje - choć ojcu Dorothy Sanders, przewodniczącemu rady miejskiej Andrew Sandersowi, pozwolono nie tylko odwiedzić przetrzymywanego mimo braku oficjalnych zarzutów więźnia, ale i go zelżyć...

- Uff! - sapnęła Rose, podnosząc wzrok. - Naprawdę to wydrukujesz?

Julia wskazała sterty kopii.

- Już jest wydrukowane. A co? Masz coś przeciwko?

- Nie, ale... - Rose pośpiesznie przebiegła wzrokiem resztę felietonu, który był bardzo

długi i z akapitu na akapit coraz bardziej przychylny Barbiemu. Kończył się apelem, by zgłaszali się wszyscy, którzy wiedzą coś o zabójstwach, i sugestią, że kiedy kryzys się skończy, bo skończyć się kiedyś musi, postępowanie mieszkańców w sprawie tych morderstw będzie wnikliwie analizowane nie tylko w Maine i Stanach Zjednoczonych, ale i na całym świecie. - Nie boisz się, że narobisz sobie kłopotów?

- Wolność prasy, Rose - powiedział Pete, choć jego głos brzmiał nad wyraz niepewnie.

- Tak postąpiłby Horace Greeley - stwierdziła Julia stanowczo i jej corgi, który dotąd spał na posłaniu w kącie, podniósł łeb na dźwięk swojego imienia. Przyczłapał, żeby dać się swej pani pogłaskać.

- Masz coś jeszcze oprócz tego, co tu jest? - spytała Rose, stukając palcem w felieton.

- Trochę - odparła Julia. - Trzymam to w zanadrzu. Liczę, że zdobędę coś jeszcze.

- Barbie nie mógłby zrobić czegoś takiego. Ale i tak się o niego boję.

Zadzwoił jeden z telefonów komórkowych rozrzuconych po biurku. Tony złapał go.

- „Democrat”, mówi Guay. - Chwilę słuchał, po czym oddał telefon Julii. - Pułkownik Cox. Do ciebie. Jakiś nie w sosie.

Cox. Julia zupełnie o nim zapomniała. Wzięła komórkę.

- Pani Shumway, muszę porozmawiać z Barbiem i dowiedzieć się, jak mu idzie przejmowanie władzy w mieście.

- Jak po grudzie - powiedziała Julia. - Jest w areszcie.

- W areszcie?! Pod jakim zarzutem?

- Zabójstwa. Ściśle, czterech zabójstw. - Żartuje pani!

- Słyszysz pan, żebym się śmiała, pułkowniku?

Nastąpiła chwila ciszy. W tle był gwar rozmów. Kiedy Cox znów się odezwał, mówił ściszym głosem.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- Nie, pułkowniku Cox. Pisałam o tym przez ostatnie dwie godziny, a jak mawiała moja matka, kiedy byłam małą, nie przeżuwa się dwa razy tej samej kapusty. Nadal jest pan w Maine?

- W Castle Rock. Tu mamy wysuniętą bazę.

- W takim razie proponuję, żebyśmy spotkali się tam, gdzie poprzednio. Na Motton Road. Nie mogę dać panu jutrzejszego numeru „Democrata”, chociaż jest bezpłatny, ale mogę go przyłożyć do klosza i sam pan go sobie przeczyta.

- Proszę mi go wysłać e - mailem.

- Nie. Uważam, że e - mail to antyteza prasy. Taka już jestem staroświecka.

- Droga pani, strasznie pani uciążliwa.

- Może i jestem uciążliwa, ale nie jestem pańską drogą panią.

- Czy to zostało ukartowane? Przez Sandersa i Renniego?

- Panie pułkowniku, odwołam się do pańskiego doświadczenia. Czy dwa plus dwa równa się cztery?

Cisza.

- Zobaczymy się za godzinę - rzekł wreszcie.

- Przyprawdzą kogoś. Szefową Barbiego. Myślę, że zainteresuje pana, co ma do powiedzenia.

- Dobrze.

Julia się rozłączyła.

- Rose, przejedziesz się ze mną do klosza?

- Jeśli to pomoże Barbiemu, jasne.

- Zawsze trzeba mieć nadzieję, ale coś mi się wydaje, że zdani jesteśmy tylko na siebie. - Julia odwróciła się do Pete'a i Tony'ego.

- Skończycie to zszywać? Gotowe egzemplarze ułóżcie pod drzwiami i jak będziecie wychodzić, zamknijcie redakcję na klucz. Wyśpijcie się, bo jutro wszyscy robimy za gazeciarzy. Ten numer rozprowadzimy jak za dawnych lat. Do każdego domu w mieście. Okolicznych farm. I Eastchester, oczywiście. Dużo tam nowych ludzi, teoretycznie mniej podatnych na czar Dużego Jima.

Pete uniósł brwi.

- Nasz pan Rennie gra na swoim boisku - ciągnęła Julia. - W czwartek na zebraniu nadzwyczajnym wejdzie na mównicę i spróbuje nakręcić to miasto jak zegarek kieszonkowy. Ale mecz rozpoczynają goście.

- Wskazała gazety. - To jest nasz pierwszy ruch. Jeśli przeczyta to dość ludzi, Rennie będzie musiał odpowiedzieć na kilka trudnych pytań, zanim zacznie się produkować. Może trochę wytrącimy go z rytmu.

- Może nawet bardzo, jeśli ustalimy, kto rzucał kamieniami pod Food City - powiedział Pete. - I wiecie co? Myślę, że nam się uda. Podejrzewam, że to wszystko było zmontowane na chybcika. Na pewno czegoś nie dopilnowali.

- Oby tylko Barbie jeszcze żył, kiedy to coś znajdziemy - powiedziała Julia. Spojrzała na zegarek, - Chodź, Rosie, przejedziemy się. Horace, chcesz nam towarzyszyć?

Chciał.

- Może mnie pan tu wysadzić - powiedziała Sammy przy uroczym parterowym domku w Eastchester. Choć w środku nie paliły się światła, na trawniku było jasno, bo znajdowali się blisko klosza, za którym, na granicy między Chester's Mill a Harlow, rozstawiono mocne reflektory.

- Jeszcze piwko na drogę, panienko?

- Nie, proszę pana, tu moja droga się kończy. - Nieprawda. Musiała jeszcze wrócić do miasta. W żółtym blasku lampki nad przednią szybą Alden Dinsmore wyglądał na osiemdziesiąt, nie czterdzieści pięć lat. Nigdy nie widziała smutniejszej twarzy... może oprócz własnej w szpitalnym lustrze. Pocałowała go w policzek. Zarost ukłuł ją w wargi. Alden podniósł rękę do miejsca, w które go pocałowała, i nawet się lekko uśmiechnął.

- Powinien pan już wrócić do domu. Musi pan pomyśleć o swojej żonie. No i ma pan jeszcze jednego syna, którym musi się opiekować.

- Pewnie masz rację. - Mam.

- Poradzisz sobie?

- Tak, proszę pana. - Wsiadła i odwróciła się do niego. - A pan?

- Postaram się - powiedział.

Trzasnęła drzwiami i obserwowała, jak Alden zawraca. Wjechał do rowu, ale że było w nim sucho, bez trudu się wydostał. Ruszył z powrotem w kierunku szosy, z początku slalomem. Po jakimś czasie tylne światła jego samochodu przestały latać na boki i oddaliły się po w miarę prostej linii. Znów jechał środkiem drogi - zapierdalał po linii, tak nazwałby to Phil - ale to nic, stwierdziła. Było już prawie wpół do dziewiątej, zrobiło się ciemno i jego samochód pewnie będzie jedyny na drodze.

Kiedy tylne światła zniknęły w oddali, podeszła do ciemnego domu. Nie imponował w porównaniu z niektórymi starymi, pięknymi domami na Town Common Hill, ale sama tak ładnego nigdy nie miała. W środku też był ładny. Raz przyjechali tu z Philem, w czasach kiedy jeszcze nie robił nic więcej, tylko sprzedawał małe ilości trawy i gotował za przyczepą amfę na własny użytek. To było, zanim zaczął mieć odjazdy na punkcie Jezusa i chodzić do tego wszawego kościoła, w którym wierzyli, że wszyscy oprócz nich pójdą do piekła. Źródłem kłopotów Phila była religia. Doprowadziła go do Cogginsa, a Coggins lub ktoś inny zmienił go w Kucharza.

Ludzie, którzy tu mieszkali, nie byli ćpunami; ćpuny długo nie nacieszyłyby się takim domem, cała hipoteka uleciałaby z dymem ze skrętów. Ale Jack i Myra Evansowie lubili

sobie od czasu do czasu przypalić i Phil Bushey z przyjemnością dostarczał im towar. Byli miłymi ludźmi i Phil był dla nich miły. W tamtych czasach jeszcze potrafił być miły dla ludzi.

Myra poczęstowała ich mrożoną kawą. Sammy była wtedy zdaje się w siódmym miesiącu - brzuch miała już duży - i Myra spytała ją, czy wolałaby chłopca, czy dziewczynkę. Ot tak, w ogóle bez zadzierania nosa. Jack zabrał Phila do swojego małego gabinetu, żeby mu zapłacić, i Phil zawołał ją: „Hej, skarbie, musisz to obczaić!”.

Wydawało się, że to było tak dawno temu.

Spróbowała otworzyć drzwi wejściowe. Zamknięte na klucz. Podniosła jeden z ozdobnych kamieni okalających rabatkę Myry i waząc go w dłoni, stanęła przed panoramicznym oknem. Po krótkim namyśle nie rzuciła kamieniem, tylko poszła za dom. W tym stanie ciężko byłoby jej wejść przez okno. A nawet gdyby dała radę (i zachowała wystarczającą ostrożność), mogłaby się pokaleczyć na tyle poważnie, że pokrzyżowałyby to jej plany na ten wieczór.

Poza tym to był ładny dom. Nie chciała go dewastować, jeśli nie musiała.

A nie musiała. Ciało Jacka zabrali, miasto nadal funkcjonowało dość dobrze, by tego dopilnować, ale nikt nie pomyślał, żeby zamknąć tylne drzwi. Sammy bez ceregieli weszła do środka. Było ciemniej niż u szopa w dupie - przez brak generatora - ale na kuchence leżała paczka zapalek i w świetle pierwszej Sammy zobaczyła latarkę na stole kuchennym. Latarka działała. Snop światła wyłowił z mroku coś, co wyglądało jak plama krwi na podłodze. Sammy pośpiesznie skierowała go gdzie indziej i ruszyła do gabinetu Jacka Evansa. Był tuż przy salonie, tak mały, że mieściło się w nim w zasadzie tylko biurko i oszklona szafka.

Przesunęła snopem światła z latarki po biurku, po czym podniosła go tak, że odbił się w szklistych ślepiach najcenniejszego trofeum Jacka: łba łosia, którego ustrzelił w TR - 90 przed trzema laty. To właśnie chciał jej pokazać Phil.

„Wyciągnąłem w tamtym roku ostatni los na loterii - powiedział im Jack. - I tym go ustrzeliłem”. Wskazał karabin w szafce. Wyposażony w lunetę, wyglądał przerażająco.

Wtedy w drzwiach stanęła Myra ze szklanką mrożonej kawy, w której grzechotał lód, wyluzowana, ładna i rozbawiona - kobieta, jaką Sammy nigdy nie będzie.

„Był o wiele za drogi, ale pozwoliłam mu go kupić, kiedy obiecał, że w grudniu zabierze mnie na tydzień na Bermudy”.

- Bermudy - powiedziała teraz Sammy, wpatrzona w łeb łosia. - W końcu nigdy tam nie pojechała. Jakie to smutne.

Phil wtedy schował kopertę z pieniędzmi do tylnej kieszeni i powiedział: „Karabin super, ale do ochrony domu raczej się nie nada”.

„O tym też pomyślałem - odparł Jack i choć nie pokazał Philowi, jakie właściwie były skutki jego przemyśleń, wymownie poklepał blat biurka. - Mam dwie cholernie dobre spluwy”.

Phil skinął głową, równie wymownie. Sammy i Myra wymieniły idealnie zgodne spojrzenia mówiące „dorośli mężczyźni, a zachowują się jak dzieci”. Do dziś pamiętała, jak miło jej się wtedy zrobiło, jak bardzo poczuła się akceptowana. Pewnie między innymi dlatego przyjechała tutaj, zamiast szukać gdzie indziej, bliżej miasta.

Rozgryzła następny percocet, po czym zaczęła otwierać szuflady biurka. Nie były zamknięte na klucz, podobnie jak drewniana skrzynka w trzeciej od góry. W środku znalazła zapasowy pistolet świętej pamięci Jacka Evansa, automatyczny springfield XD kalibru .45. Chwilę dłużyła przy magazynku, zanim zdołała go wyciągnąć. Był pełny; drugi leżał w szufladzie. Ten też zabrała. Potem wróciła do kuchni, żeby poszukać torby, w której mogłaby nieść broń. I kluczyków, ma się rozumieć. Do samochodu stojącego w garażu świętej pamięci Jacka i Myry. Ani myślała wracać do miasta pieszo.

19

Julia i Rose właśnie rozmawiały o tym, co miastu przyniesie przyszłość, kiedy ich terażniejszość omal się nie skończyła. Skończyłaby się, gdyby na Esty Bend, jakieś dwa kilometry od ich celu, wpadły na starego pikapa. Julia jednak wyszła z zakrętu w porę, by zobaczyć, że pikap jedzie jej pasem prosto na nią.

Bez namysłu ostro odbiła kierownicą w lewo, zjechała na przeciwny pas i dwa samochody minęły się o centymetry. Horace, który siedział z tyłu zachwycony tym, że załapał się na przejazdkę, zwałił się na podłogę, skowycząc z zaskoczenia. Żadna z kobiet nawet nie krzyknęła. Wszystko wydarzyło się za szybko. W jednej chwili były o włos od śmierci, a co najmniej ciężkiego wypadku; w następnej zagrożenie minęło.

Julia wróciła na swój pas, zjechała na nieutwardzone pobocze i stanęła. Spojrzała na Rose. Rose patrzyła na nią wielkimi oczami, usta miała rozdziawione. Horace wskoczył z powrotem na tylne siedzenie i szczeknął raz, jakby chciał spytać, czemu nie jadą. Na ten dźwięk obie parsknęły śmiechem i Rose zaczęła klepać się po piersi tuż nad bujnym biustem.

- Moje serce, moje serce...

- Moje też - powiedziała Julia. - Niewiele brakowało. Rose znów zaśmiała się drżącym głosem.

- Kochana, jakbym wystawiła łokieć za okno, sukinsyn by mi go ściał.

Julia pokręciła głową.

- Pewnie pijany.
- Na pewno pijany. - Rose prychnęła.
- Dasz radę jechać dalej?
- A ty? - spytała Rose. Julia przytaknęła.
- A ty, Horace?

Horace szczechnął, że jest gotów od urodzenia.

- Cudowne ocalenie wymazuje pecha - powiedziała Rose. - Tak twierdził dziadek Twitchell.

- Oby miał rację - mruknęła Julia i ruszyła. Uważnie wypatrywała świateł nadjeżdżających samochodów, ale nie zobaczyła nic, dopóki mroku nie rozproszyły reflektory rozstawione od strony Harlow. Ani ona, ani Rose nie dostrzegły Sammy Bushey. Za to Sammy je widziała. Stała przed garażem Evansów z kluczami do malibu w dłoni. Kiedy przejechały, podniosła drzwi garażu (musiała to zrobić ręcznie, co było bardzo bolesne) i usiadła za kierownicą.

20

Między sklepem wielobranżowym Burpeego a stacją benzynową Mill Gas & Grocery biegła uliczka łącząca Main Street z West Street. Korzystały z niej głównie wozy dostawcze. O dziewiątej piętnaście tego wieczoru Junior Rennie i Carter Thibodeau szli tą uliczką w niemal całkowitej ciemności. Carter niósł w jednej ręce dwudziestolitrowy kanister, czerwony z żółtym ukośnym paskiem z boku. BENZYNA, głosił napis na pasku. W drugiej dłoni miał megafon na baterie. Megafon był biały, ale Carter owinał go czarną taśmą maskującą, żeby nie rzucał się w oczy, jeśli ktoś spojrzy w ich stronę, zanim wtopią się z powrotem w mrok w głębi uliczki.

Junior niósł plecak. Głowa już go nie bolała i praktycznie przestał utykać. Był przekonany, że jego organizm wreszcie zwalcza to, co zrobiło w nim demolkę. Zapewne jakiś uporczywy wirus. W college'u można złapać wszelkiego rodzaju świństwa i może dobrze się stało, że wyleciał za pobicie tego gnojka.

U wylotu zaułka mieli wyraźny widok na redakcję „Democrata”. Światło wylewało się na pusty chodnik, w środku widzieli krzątających się Freemana i Guaya, którzy nosili sterty papieru i kładli je pod drzwiami. Stary drewniany budynek, w którym mieściła się redakcja i mieszkanie Julii, stał między apteką Sandersa i księgarnią, ale był od nich oddzielony - brukowanym pasażem od strony księgarni i zaułkiem takim jak ten, w którym czaili się z Carterem, od strony apteki. Noc była bezwietrzna i Junior pomyślał, że jeśli jego ojciec

odpowiednio szybko ogłosi mobilizację, obejdzie się bez dodatkowych strat. Nie żeby to go obchodziło. Niechby nawet spłonęła cała wschodnia pierzeja Main Street, jemu to wisiało. Jeszcze jeden kłopot dla Daleka Barbary i tyle. Wciąż czuł na sobie te chłodne, oceniające go oczy. Tak nie można na człowieka patrzeć - zwłaszcza kiedy ten, kto patrzy, jest za kratami. Pierdolony Baaarbie.

- Było go rąbnąć - mruknął Junior.

- Co? - spytał Carter.

- Nic. Gorąco. - Junior otarł czoło.

- No. Frankie mówi, że jak tak dalej będzie, uwędzimy się jak suszone śliwki. Kiedy mamy to zrobić?

Junior wzruszył ramionami z ponurą miną. Ojciec mu mówił, ale on dokładnie nie pamiętał. Może o dziesiątej. Ale co za różnica? Niech ci dwaj w środku się spalą. A jeśli ta suka od gazety jest na górze - może po ciężkim dniu relaksuje się ze swoim ulubionym wibratorem - niech sfajczy się razem z nimi. Więcej kłopotów dla Baaarbiego.

- Załatwmy to teraz - powiedział.

- Jesteś pewien, brachu?

- Widzisz kogoś na ulicy?

Carter spojrzał. Main Street była pusta i prawie ciemna. Słyszał tylko generatory za redakcją i apteką. Wzruszył ramionami.

- No dobra. Czemu nie?

Junior rozpiął plecak i odrzucił klapę. Na wierzchu leżały dwie pary lekkich rękawiczek. Jedną dał Carterowi, drugą włożył sam. Pod spodem był tobołek zawinięty w ręcznik plażowy. Rozpakował go i postawił na połatanym asfalcie cztery butelki po winie. Na samym dnie plecaka był blaszany lejek. Junior włożył go do jednej z butelek i sięgnął po benzynę.

- Daj, ja to zrobię, brachu - powiedział Carter. - Ręce ci latają. Junior spojrzał na nie ze zdumieniem. Nie czuł się słabo ani nic takiego, ale rzeczywiście drżały.

- Nie boję się, jeśli tak sobie pomyślałeś.

- Nie powiedziałem, że się boisz. To nie problem z głową. Każdy to widzi. Musisz pójść do Everetta, bo coś jest z tobą nie tak, a lepszego lekarza nie mamy.

- Czuję się dob...

- Zamknij się, zanim ktoś cię usłyszy. Bierz ręcznik, kurwa, ja to załatwię.

Junior wyjął pistolet z kabury i wypalił Carterowi w oko. Głowa eksplodowała, bryznęła krew i mózg. Junior stanął nad nim i strzelał dalej, raz, drugi, trze...

Potrząsnął głową, żeby odpędzić tę wizję - wyrazistą jak halucynacja - i zorientował się, że o dziwo ściska w dłoni kolbę pistoletu. Może ten wirus jeszcze nie do końca wybył z jego organizmu.

A może to w ogóle nie był wirus.

Co w takim razie? Co?

Smród benzyny uderzył mu w nozdrza tak mocno, że oczy go zapiekły. Carter zaczął napełniać pierwszą butelkę. Kanister robił „bul, bul, bul”. Junior rozpiął boczną kieszonkę plecaka i wyjął nożyce krawieckie matki. Odciął cztery pasy z ręcznika. Jeden wcisnął do pierwszej butelki, po czym wyciągnął i wsadził drugim końcem do szyjki, pozostawiając na wierzchu dyndający kawałek nasączonego benzyną frotte. To samo zrobił z resztą butelek.

Ręce nie trzęsły mu się aż tak, żeby sobie z tym nie poradził.

21

Pułkownik Cox zmienił się od czasu, kiedy Julia widziała go ostatnio. Był całkiem przyzwoicie ogolony jak na tę porę - prawie wpół do dziesiątej wieczorem - a włosy miał uczesane, ale jego zwykle starannie uprasowane spodnie khaki zdążyły się już trochę wymiać, popelinowa kurtka zdawała się na nim wisieć, jakby stracił na wadze. Stał przed kilkoma plamami farby w spreju pozostałymi po nieudanym eksperymencie z kwasem, jakby myślał, że mógłby przejść na drugą stronę, gdyby tylko wystarczająco mocno się skoncentrował.

Zamknij oczy i stuknij trzy razy obcasami, pomyślała Julia. Bo wszędzie dobrze, ale pod kloszem najlepiej.

Przedstawiła Rose Coksovi i Coksa Rose. W czasie ich krótkiej kurtuazyjnej pogawędki rozejrzała się i to, co zobaczyła, zupełnie jej się nie spodobało. Reflektory wciąż były na swoim miejscu i świeciły w niebo jak przed głośną hollywoodzką premierą, zasilane warczącym generatorem, ale ciężarówki zniknęły, podobnie jak wielki zielony namiot, który przedtem był rozbity kilkadziesiąt metrów dalej przy drodze. Został po nim tylko krąg zdeptanej trawy. Cox przyprowadził ze sobą dwóch żołnierzy, ale wyglądali raczej na takich, którzy nie są gotowi stanąć w pierwszym szeregu - może adiutanci, może *atta - chés*. Wartownicy pewnie nadal pełnili straż, tylko zostali wycofani gdzieś dalej, poza zasięg głosu wszelkich nieszczęsnych buców, którzy mogliby podejść od strony Mill, żeby spytać, co się dzieje.

Pytaj teraz, błagaj później, pomyślała Julia.

- Proszę wprowadzić mnie w sytuację, pani Shumway - powiedział Cox.

- Najpierw proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Przewrócił oczami (pomyślała,

że dałaby mu za to w twarz, gdyby mogła go dosięgnąć; wciąż miała skołataną nerwy po tym, jak jadąc tutaj, cudem uniknęła śmierci), ale powiedział, żeby pytała śmiało.

- Czy pozostawiono nas samych sobie?

- Absolutnie nie. - Odparł bez namysłu, lecz nie spojrzawszy jej prosto w oczy. Pomyślała, że to gorszy znak niż ta dziwna pustka po jego stronie kopuły, jak miejsce po cyrku, który odjechał.

- Proszę to przeczytać. - Przyłożyła pierwszą stronę jutrzejszej gazety do niewidocznej powierzchni klosza, jakby wywieszała informację o wyprzedazy w witrynie domu towarowego. Poczowała słabe, ulotne mrowienie w palcach, jak od wyładowania statycznego przy dotknięciu metalu w mroźny zimowy poranek, kiedy powietrze jest suche. A potem nic.

W dziesięć minut przeczytał całą gazetę. Julia przewracała kartki, kiedy o to prosił. Gdy skończył czytać, powiedziała:

- Jak pan zapewne zauważył, liczba reklam mocno spadła, ale pochwalam siebie, że poziom tekstów poszedł w górę. Kurestwo mobilizuje mnie do większego wysiłku.

- Pani Shumway...

- Och, proszę mi mówić Julia. Jesteśmy praktycznie starymi kumplami.

- Dobrze. Ty jesteś Julia, ja JC.

- Postaram się nie mylić cię z tym, co chodził po wodzie.

- Uważasz, że ten typ Rennie robi z siebie dyktatora? Takiego Manuela Noriegę amerykańskiej prowincji?

- Raczej Pol Pota.

- To możliwe?

- Przedwczoraj wyśmiałabym taką sugestię... Ale przedwczoraj nie mieliśmy splądrowanego sklepu. I nie wiedzieliśmy o tych zabójstwach.

- Tego nie zrobił Barbie - powiedziała Rose, kręcąc głową z uporem. - Nigdy w życiu.

Cox pominął to milczeniem - nie dlatego, że ignorował Rose, stwierdziła Julia, lecz przez to, że jego zdaniem podejrzenie tak absurdalne nie zasługiwało na to, by się nim zajmować. Zyskał w jej oczach.

- Sądzisz, Julio, że zabił ich Rennie?

- Myślałam o tym. Wszystko, co robi od pojawienia się klosza... poczynając od wprowadzenia zakazu sprzedaży alkoholu po mianowanie skończonego matola komendantem policji... to czysta polityka obliczona na wzmocnienie jego pozycji.

- Czyli co, morderstwa nie ma w swoim repertuarze?

- Tego nie powiedziałam. Kiedy umarła mu żona, chodziły słuchy, że mógł jej w tym

pomóc. Nie twierdzą, że to prawda, ale samo to, że takie plotki się pojawiają, mówi coś o tym, jak ludzie go widzą.

Cox burknął potakująco.

- Ale nie mogę zrozumieć, co zabójstwo i molestowanie seksualne dwóch nastolatków mogą mieć wspólnego z polityką.

- Barbie nigdy by tego nie zrobił - powtórzyła Rose.

- To samo z Cogginsem, choć jego kościół i stacja radiowa są podejrzenie hojnie finansowane. A Brenda Perkins? Tu już mogła wchodzić w grę polityka.

- Nie macie jak przysłać marines, żeby go powstrzymali, prawda? - spytała Rose. - Możecie tylko patrzeć. Jak dzieci zaglądające do akwarium, w którym największa ryba zabiera cały pokarm, a potem zaczyna pożerać mniejsze.

- Mogę odciąć dostęp do sieci komórkowych. - Cox myślał na głos. - I Internetu. Tyle mogę.

- Policja ma krótkofalówki - powiedziała Julia. - Rennie przerzuci się na nie. A na zebraniu w czwartek, kiedy ludzie zaczną się skarżyć na utratę łączności ze światem zewnętrznym, winą za to obarczy ciebie.

- Planowaliśmy na piątek konferencję prasową. Mógłbym to odwołać. Julii zrobiło się zimno na samą myśl.

- Ani mi się waży. Wtedy nie musiałby się tłumaczyć przed światem.

- Poza tym - dodała Rose - jeśli zablokujecie telefony i Internet, nikt nie będzie mógł powiedzieć wam ani nikomu innemu, co on robi.

Cox chwilę stał w milczeniu, wpatrzony w ziemię. Wreszcie podniósł głowę.

- Co z tym hipotetycznym generatorem, który zasila kopułę? Jakies postępy?

Julia nie była pewna, czy chce powiedzieć Coksowi, że poszukiwania powierzyli uczniowi gimnazjum. Jak się okazało, nie musiała, bo właśnie wtedy zawyła syrena wzywająca do pożaru.

22

Pete Freeman rzucił ostatnią stertę pod drzwi. Wyprostował się, położył sobie dłonie na krzyżu i rozciągnął plecy. Towarzyszący temu trzask był tak głośny, że Tony Guay usłyszał go na drugim końcu pokoju.

- To musiało zboleć.

- E tam! Sama rozkosz.

- Moja żona o tej porze już śpi - powiedział Tony - a w garażu mam zabunkrowaną

flaskę. Wpadniesz na malucha w drodze do domu?

- Nie, wolę od razu... - zaczął Pete i wtedy przez szybę wleciała pierwsza butelka. Kątem oka dostrzegł zapalony knot i zrobił krok do tyłu. Tylko jeden, ale to uchroniło go przed poważnymi oparzeniami, może nawet śmiercią w płomieniach.

Trzasnęło szkło. Benzyna eksplodowała jasnym błyskiem w kształcie manty. Pete jednocześnie uchylił się i obrócił w biodrach. Ognista manta przemknęła obok i zapaliła mu rękaw, po czym wylądowała na dywanie przed biurkiem Julii.

- Co to, kur... - zaczął Tony i wtedy przez okno z wybitą szybą wleciała po łuku następna butelka. Ta rozbiła się na biurku Julii i przeturlała po nim, zapalając rozrzucone papiery i kapiąc ogniem na podłogę. Smród płonącego paliwa dusił.

Pete pobiegł do butli z wodą w kącie, uderzając się zapalonym rękawem w bok. Niezręcznie uniósł butlę i przycisnął ją sobie do brzucha, po czym podstawił płonącą koszulę (ręka pod nią piekła jak spalona słońcem) pod strumień wody.

Z ciemności wyfrunął następny koktajl Mołotowa. Nie doleciał do celu, rozbił się na chodniku, wzniecając małe ognisko na betonie. Macki płonącej benzyny wsunęły się do rynsztoka i zgasły.

- Lej wodę na dywan! - krzyknął Tony. - Lej, zanim wszystko tu się zajmie!

Pete tylko patrzył na niego, oszołomiony i zdyszany. Woda z butli dalej lała się na część dywanu, której, niestety, nie było po co moczyć.

Choć Tony Guay jako dziennikarz sportowy nie mógł się równać z najlepszymi, w liceum był reprezentantem szkoły w trzech dyscyplinach. I mimo upływu dziesięciu lat wciąż miał doskonały refleks. Wyrwał Pete'owi butlę, z której lała się woda, i potrzymał ją najpierw nad biurkiem Julii, a potem nad płonącym dywanem. Może... jeśli się pośpieszy... i jeśli na korytarzu prowadzącym do schowka na materiały biurowe będzie jeszcze jedna czy dwie butle...

- Następne! - krzyknął do Pete'a. - Na zapleczu!

Pete przez chwilę zdawał się nie rozumieć. Wreszcie załapał i wyleciał na korytarz. Tony wszedł za biurko Julii i wylał ostatnie pół litra wody na płomienie, które próbowały zdobyć tam przyczółek.

Wtedy z ciemności wyleciał ostatni koktajl Mołotowa. Ten wyrządził największe szkody. Trafił prosto w sterty gazet ułożone pod drzwiami. Płonące paliwo wlało się pod listwę przypodłogową od frontu redakcji i wystrzeliło w górę. Main Street widziana przez płomienie zmieniała się w rozedrgany miraż. W jego głębi, po drugiej stronie ulicy, Tony wypatrzył dwie niewyraźne postacie. Rosnący zar sprawiał, że wyglądały, jakby tańczyły.

- UWOLNIJCIE DALE'A BARBARĘ, BO INACZEJ TO BĘDZIE DOPIERO POCZĄTEK! - ryknął nagłośniony głos. - JEST NAS WIELU, PUŚCIMY Z DYMEM CAŁE MIASTO! JAK NIE UWOLNICIE DALE'A BARBARY, DROGO ZA TO ZAPŁACICIE!

Tony spojrział w dół i zobaczył płomienną strugę płynącą mu między nogami. Nie miał już wody, żeby ją ugasić. Wkrótce ogień przeżre dywan i skosztuje starego suchego drewna pod nim. Cała przednia część redakcji stała już w płomieniach.

Upuścił pustą butlę i cofnął się. Gdyby nie te cholerne gazety, mógłbym...

Ale było za późno na rozważania typu „co by było gdyby”. Odwrócił się i zobaczył Pete'a stojącego w drzwiach na zaplecze z następną butlą wody. Z jego spalonego rękawa zostały same strzępy. Skóra pod spodem była jaskrawoczerwona.

- Za późno! - krzyknął Tony. Ominął szerokim łukiem biurko Julii, które zmieniło się w słup ognia strzelający pod sam sufit, i podniósł rękę, żeby osłonić twarz od żaru. - Za późno, do tylnego wyjścia!

Pete'owi Freemanowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzucił butlę w coraz silniejszy ogień i uciekł.

23

Carrie Carver na ogół nie chciała mieć nic wspólnego z Mill Gas & Grocery. Choć sklepik spożywczy przy stacji benzynowej od lat był dla niej i męża całkiem przyzwoitym źródłem utrzymania, uważała, że jest ponad to. Kiedy jednak Johnny zasugerował, żeby przewieźli niewykupione jeszcze konserwy do domu - „na przechowanie”, jak to delikatnie ujął - zgodziła się od razu. I choć praca zazwyczaj nie paliła jej się w rękach (lepiej wychodziło jej oglądanie serialu o sędzi Judy), zaofiarowała się z pomocą. Nie była w Food City, ale kiedy po wszystkim poszła tam ze swoją przyjaciółką Leah Anderson, żeby obejrzeć szkody, widok rozbitych szyb i plam krwi na chodniku mocno ją przeraził. Bała się, co przyniesie przyszłość.

Johnny taszczył na zewnątrz kartony zup, potrawek, fasoli i sosów; Carrie układała je na pace ich dodge'a rama. Mieli za sobą mniej więcej połowę roboty, kiedy w głębi ulicy wybuchł pożar. Oboje usłyszeli głos mówiący przez megafon. Carrie miała wrażenie, że zobaczyła dwie czy trzy postacie biegnące zaułkiem obok sklepu Burpeego, ale nie była pewna. Pewności nabierze później, kiedy to w jej relacji liczba ciemnych sylwetek urośnie do czterech, może nawet pięciu.

- Co to znaczy? - spytała. - Kochanie, co to znaczy?

- Że ten przeklęty morderca nie jest sam - powiedział Johnny. - Że ma swój gang.

Carrie, która trzymała rękę na jego ramieniu, w tej chwili wbiła w nie paznokcie. Johnny wyrwał się jej i pobiegł na komisariat, krzycząc na cały głos: „Pali się! Pożar!”. Zamiast ruszyć za nim, Carrie Carver dalej ładowała kartony na wóz. Teraz jeszcze bardziej się bała, co przyniesie przyszłość.

24

Oprócz Rogera Killiana i braci Bowie na trybunach sali gimnastycznej gimnazjum siedziało jeszcze dziesięciu świeżo upieczonych funkcjonariuszy nowo powołanej Służby Bezpieczeństwa Chester's Mill. Ledwie Duży Jim zaczął mowę o spoczywającej na nich wielkiej odpowiedzialności, zawyła syrena. Chłopak nie odczekał tyle, ile mu kazałem, pomyślał. Nijak nie mogę mu ufać. Nigdy nie mogłem, ale teraz jest z nim jeszcze gorzej.

- Cóż, chłopcy - powiedział, zwracając się głównie do młodego Mickeya Wardlawa... Boże, ale z niego byczek! - Miałem wam jeszcze dużo do powiedzenia, ale wygląda na to, że czeka nas trochę emocji. Fernie Bowie, nie wiesz aby, czy w remizie są jakie hydronetki?

Fern powiedział, że zajrzał tego wieczoru do remizy sprawdzić sprzęt i było tam może z tuzin hydronetek. Wszystkie pełne wody, co jakże doskonale się składa.

Duży Jim, z myślą, że sarkazm powinien być zarezerwowany dla tych, którzy są bardziej bystrzy, stwierdził, że to dobry Bóg tak się o nich troszczy. Powiedział też, że jeśli nie jest to tylko fałszywy alarm, obejmie dowództwo, a swoim zastępcą uczyni Stewarta Bowiego.

Masz za swoje, wścibska wiedźmo, pomyślał, kiedy nowi stróże prawa z błyszczącymi oczami ochoczo zerwali się z miejsc. I po co było się mieszać w moje sprawy?

25

- Gdzie pójdziesz? - spytał Carter. Pojechał swoim samochodem ze zgaszonymi światłami na skrzyżowanie West Street z szosą sto siedemnaście. Stał tu budynek stacji benzynowej Texaco, nieczynny od dwa tysiące siódmego roku. Znajdowała się blisko miasta, ale dawała dobrą osłonę. Tam, skąd przyjechali, syrena wyła bez opamiętania, a na niebie ukazała się pierwsza luna, bardziej różowa niż pomarańczowa.

- He? - Junior patrzył na coraz silniejszy blask. Ten widok go podniecał. Żałował, że już oddał dziewczyny.

- Pytałem, gdzie pójdziesz. Twój tato mówił, żeby załatwić sobie alibi.

- Zostawiłem wóz numer dwa za pocztą - powiedział Junior, niechętnie odrywając

oczy od ognia. - Z Freddym Dentonem w środku. On potwierdzi, że byliśmy razem. Całą noc. Mogę przejść tam na skróty. Przy okazji zerknę, jak nam poszło. - Zachichotał piskliwie, prawie jak dziewczyna. Carter spojrzał na niego dziwnie.

- Nie patrz za długo. Podpalacze zawsze wpadają, jak wracają się gapić na pożar. Widziałem w „America's Most Wanted”.

- Nikogo za to nie uwalą oprócz Baaarbiego - powiedział Junior.

- A ty? Gdzie pojedziesz?

- Do domu. Mama potwierdzi, że siedziałem tam całą noc. Poproszę, żeby zmieniła mi opatrunek na ramieniu, to ugryzienie boli jak diabli. Wezmę parę aspiryn. A potem przyjadę gasić ogień.

- W klinice i szpitalu mają prochy mocniejsze niż aspiryna. W aptece też. Trzeba by się tym zainteresować.

- Jasne - powiedział Carter.

- A może... grzejesz amfę? Mógłbym trochę załatwić.

- Amfę? Nie tykam tego. Za to oksy byłoby jak znalazł.

- Oksy! - krzyknął Junior. Czemu sam o tym nie pomyślał? Pewnie pomogłoby na te bóle głowy lepiej niż zomig czy imitrex. - Jasne, brachu! To rozumiem!

Uniósł pięść. Carter stuknął zółwika, ale nie miał zamiaru przyćpać z Juniorem, bo kumpel ostatnio zrobił się jakiś dziwny.

- Lepiej już idź.

- Znikam. - Junior otworzył drzwi i poszedł, wciąż lekko utykając. Carter był zaskoczony tym, jak bardzo mu ulżyło.

26

Barbiego obudziła syrena alarmowa. Zobaczył, że przed jego celą stoi Melvin Searles. Chłopak miał rozpięty rozporek i trzymał w ręku swojego całkiem sporego kutasa. Zaczął szczać. Jego celem wyraźnie było dosikać do pryczy. Nie dał rady. Poprzestał na wypisaniu na betonie rozchlapanej litery S.

- No, Barbie, pij - powiedział. - Na pewno cię suszy. Trochę to słone, ale chuj tam.

- Gdzie się pali?

- Jakbyś nie wiedział - odparł Mel z uśmiechem. Wciąż był blady - musiał stracić dużo krwi - ale głowę miał owiniętą świeżym bandażem.

- Udajmy, że nie wiem.

- Twoi koleśie spalili redakcję - powiedział Mel i obnażył zęby w uśmiechu. Barbie

zrozumiał, że chłopak jest wściekły. I przerażony. - Chcą nas zastraszyć, żebyśmy cię wypuścili. Ale my... się... nie... boimy.

- Po co miałbym spalić redakcję? Czemu nie ratusz? I kim są ci niby moi kołesie?

Mel chował kutasa z powrotem do spodni.

- Jutro nie będzie cię suszyło, Barbie. Bez obaw. Mamy dla ciebie całe wiadro, razem z gąbką.

Barbie milczał.

- Widziałeś w Iraku ten numer z podtapianiem? - Mel pokiwał głową, jakby wiedział, że tak. - Teraz sam się przekonasz, jak to jest. - Wymierzył w niego palcem przez kraty. - Dowiemy się, kim są twoi wspólnicy, skurwielu. I co zrobiłeś, żeby zamknąć to miasto. Podtapianie? Nikt, ale to nikt tego nie zniesie.

Już miał odejść, ale jeszcze się odwrócił.

- I nie w słodkiej wodzie. W słonej. Z samego rana. Masz o czym myśleć.

Mel odszedł korytarzem, ciężko tupiąc. Barbie usiadł na pryczy, spojrzął na schnącą serpentynę moczu na podłodze i wsłuchał się w wycie syreny. Pomyślał o dziewczynie w starym brudnym fordzie F - 150. Blondyneczce, która już miała go zabrać, ale zmieniła zdanie. Zamknął oczy.

POPIÓŁ

1

Ryży stał na placyku przed szpitalem i patrzył na płomienie buchające z jakiegoś budynku przy Main Street, kiedy komórka przypięta do jego paska odegrała krótką melodyjkę. Byli z nim Twitch i Gina - Gina uczepona ramienia Twitcha, jakby liczyła, że on ją ochroni. Ginny Tomlinson i Harriet Bigelow spały w pokoju dla personelu. Ten starszy gość, który zgłosił się na ochotnika, Thurston Marshall, roznosił lekarstwa. Okazał się zaskakująco sprawny i pomocny. Światła i sprzęt znowu działały, sytuacja na razie się w miarę unormowała. Do chwili kiedy rozbrzmiała syrena pożarowa, Ryży, o dziwo, ośmielił się mieć dobry humor.

Zobaczył na ekraniku słowo LINDA.

- Skarbie, wszystko w porządku? - zapytał. - Tutaj tak. Dzieci śpią.

- Wiesz może, co się pa...

- Redakcja gazety. Bądź cicho i słuchaj, bo za jakieś półtorej minuty wyłączę telefon, żeby nie mogli mnie wezwać do pomocy przy gaszeniu pożaru. Jest ze mną Jackie. Popilnuje dzieci. Ty i ja spotkamy się w domu pogrzebowym. Będzie tam też Stacey Moggin. Wpadła tu jakiś czas temu. Jest z nami.

Ryży znał to nazwisko, ale jakoś nie mógł go skojarzyć z twarzą. Przykuły jego uwagę słowa „Jest z nami”. Rzeczywiście tworzyły się dwa obozy: ci z nami i ci z nimi.

- Lin...

- Bądź tam. Za dziesięć minut. Dopóki nie ugaszą pożaru, nic nam nie grozi, bo bracia Bowie są w straży. Tak mówi Stacey.

- Jak to możliwe, że tak szybko zebrali zało...

- Nie wiem i mam to gdzieś. Przyjedziesz? - Tak.

- Nie zostawiaj wozu na parkingu z boku. Pojedź na ten mniejszy, z tyłu. - I po tych słowach głos zamilkł.

- Co się pali? - spytała Gina. - Wiesz?

- Nie - powiedział Ryży. - Bo nikt do mnie nie dzwonił. - Spojrzał na nich oboje twardym wzrokiem.

Gina nie załapała, ale Twitch owszem.

- Zupełnie nikt.

- Po prostu pojechałem, pewnie na wizytę domową, ale nie wiecie dokąd. Nic nie powiedziałem. Jasne?

Gina nadal miała zdumioną minę, lecz pokiwała głową. Przecież ci ludzie przy pożarze byli po jej stronie. Nie kwestionowała tego, niby czemu? Ledwo skończyła siedemnaście lat. My i oni, pomyślał Ryży. Zwykle nie jest to zdrowa sytuacja. Zwłaszcza dla siedemnastolatków.

- Pewnie na wizytę domową - powtórzyła. - Nie wiemy dokąd. - Ni cholery - przytaknął Twitch. - Ty to pasikonik, my marne mrówki.

- Nie róbcie z tego wielkiej sprawy - uprzedził Ryży. Ale to była wielka sprawa, teraz już to wiedział. Pakowali się w kłopoty. I Gina nie była jedynym dzieciakiem, który znalazł się w środku tego wszystkiego. Jego dwie córki teraz twardo spały, nieświadome, że mama i tata wpływają w samo serce sztormu, który mógł okazać się zbyt potężny dla ich małej łódki.

A mimo to...

- Zobaczymy się później - powiedział z nadzieją, że to nie tylko pobożne życzenie.

2

Sammy Bushey skręciła malibu Evansów na podjazd przed szpitalem niedługo po tym, jak Ryży pojechał do domu pogrzebowego; minęli się na Town Common Hill.

Twitch i Gina wrócili do środka i placyk przed szpitalem był pusty, ale Sammy tam się nie zatrzymała. Jak człowiek ma pistolet na siedzeniu obok siebie, robi się ostrożny (łapie schiza, powiedziałby Phil). Pojechała za budynek, na parking dla personelu. Chwyliła czterdziestkępiątkę, wcisnęła za pas dżinsów i zasłoniła T - shirtem. Podeszła do drzwi pralni. Przeczytała tabliczkę z napisem OD 1 STYCZNIA PALENIE W TYM MIEJSCU BĘDZIE ZABRONIONE. Postanowiła, że zrezygnuje, jeśli gałka się nie obróci. To będzie znak od Boga. Za to jeśli drzwi będą otwarte...

Były otwarte. Wśliznęła się do środka jak blada, kulejąca zjawa.

3

Thurston Marshall był wykończony, ale od lat nie czuł się tak szczęśliwy. To nienormalne; był profesorem wyższej uczelni, publikowanym poetą, naczelnym prestiżowego pisma literackiego. Miał piękną młodą partnerkę, inteligentną kobietę, która go ubóstwiała. Żeby podawanie pigułek, smarowanie maścią i opróżnianie basenów (nie wspominając o wytarciu obsranego tyłka małego Busheya godzinę temu) dało mu aż tyle radości - nie no, to

wręcz chore, ale tak było i już. Szpitalne korytarze pachnące środkiem odkażającym i pastą do podłóg kojarzyły mu się z latami młodości. Dziś wspomnienia były szczególnie wyraziste - od zapachu paczuli, wszechobecnego w mieszkaniu Davida Perny, po opaskę w tureckie wzory, którą Thurse miał na głowie podczas odprawianego przy świecach nabożeństwa żałobnego za Bobby'ego Kennedy'ego. Przez cały obchód bardzo cicho nucił pod nosem „Big Leg Woman”.

Zajrzał do pokoju dla personelu. Zobaczył tam pielęgniarkę z rozwalonym kinolem i jej ładniutką asystentkę Harriet śpiące na łózkach polowych. Kozetka była wolna i wkrótce albo sam zdrzemnie się na niej parę godzin, albo pójdzie do domu na Highland Avenue, w którym teraz mieszkał. Pewnie to drugie.

Dziwne rzeczy.

Dziwny świat.

Najpierw jednak ostatni dziś rzut oka na pacjentów. Większość sal w tym mikroskopijnym szpitaliku była pusta. Bill Allnut, któremu z powodu urazu odniesionego w czasie burdy w Food City nie dali zasnąć aż do dziewiątej, teraz już chrapał, przewrócony na bok, żeby nie uciskał sobie podłużnego rozcięcia na potylicy.

Dwie sale dalej leżała Wanda Crumley. Monitor pracy serca pikał, ciśnienie trochę się poprawiło, bo dostała pięć litrów tlenu. Thurse obawiał się, że już nic jej nie pomoże. Za dużo kilogramów; za dużo papierosów. Byli u niej jej mąż i najmłodsza córka. Thurse pokazał Wendellowi Crumleyowi znak zwycięstwa (który w latach jego młodości był znakiem pokoju) i Wendell, z dzielnym uśmiechem, odpowiedział tym samym gestem.

Tansy Freeman, pacjentka z usuniętym wyrostkiem, czytała kolorowy magazyn.

- Czemu wyje syrena? - spytała go.

- Nie wiem, skarbie. Bardzo boli?

- Trzy na dziesięć - powiedziała rzeczowo. - Może dwa. Będę mogła jutro wrócić do domu?

- Decyzja należy do doktora Ryzego, ale w mojej kryształowej kuli widzę, że tak. - I kiedy zobaczył, jak rozpromieniła się na te słowa, nic wiadomo czemu zachciało mu się płakać.

- Wróciła mama tego małego - powiedziała Tansy. - Widziałam ją, jak przechodziła.

- To dobrze - odparł Thurse. Chociaż z dzieckiem większych kłopotów nie było. Raz czy dwa razy trochę popłakał, ale głównie spał, jadł albo leżał wpatrzony apatycznie w sufit. Na imię mu było Walter (Thurse nie miał pojęcia, że właściwym imieniem jest poprzedzające je na wizytówce na drzwiach słowo „Little”), ale Thurston Marshall już ochrzcił go w duchu Śpiącym Królewiczem.

Teraz otworzył drzwi sali numer dwadzieścia trzy, te, do których plastikową przyssawką przyczepiony był żółty napis DZIECKO W ŚRODKU, i zobaczył, że ta młoda kobieta - Gina mu szepnęła, że ją zgwałcili - siedzi obok łóżka. Miała dziecko na kolanach i karmiła je butelką.

- Wszystko w porządku... - Thurse zerknął na nazwisko na wizytówce - ...pani Bushey?

Wymówił je z francuska, Bouchez, ale Sammy go nie poprawiła ani nie powiedziała mu, że w szkole chłopaki przeżywały ją Buśka Kuśka.

- Tak, panie doktorze.

Thurse też nie wyprowadził jej z błędu. Nieokreślona radość - taka, która skrywa w sobie łzy - wezbrała w nim jeszcze trochę bardziej. Kiedy pomyślał, jak niewiele zabrakło, żeby nie zgłosił się na ochotnika... gdyby Caro go nie namówiła... to uczucie by go ominęło.

- Doktor Ryży się ucieszy, że pani wróciła. Walter też. Potrzeba pani środków przeciwbólowych?

- Nie. - Mówiła prawdę. Jej intymne części wciąż pulsowały bólem, ale ten ból był gdzieś daleko. Czowała się, jakby unosiła się nad swoim ciałem, połączona z ziemią cieniutką nitką.

- To znaczy, że pani stan się poprawia.

- Tak - powiedziała Sammy. - Niedługo będzie już zupełnie dobrze.

- Jak go pani nakarmi, proszę położyć się do łóżka, zgoda? Doktor Ryży zajrzy do pani rano. Dobranoc.

- Dobranoc, panie doktorze.

Thurse cicho zaniknął drzwi i ruszył dalej w głąb korytarza. Na końcu była sala tej Roux. Jeden rzut oka do środka i koniec na dzisiaj.

Była otępiała, ale przytomna. W odróżnieniu od młodego mężczyzny, który ją odwiedził. Siedział w kącie i drzemał na jedynym krześle, z pismem sportowym na kolanach i długimi nogami wyciągniętymi przed siebie.

Georgia przywołała Thurse'a gestem, a kiedy nachylił się nad nią, coś szepnęła. Ponieważ mówiła cicho i straciła większość zębów, zrozumiał nie więcej niż dwa słowa. Nachylił się niżej.

- Płofę go nie bufić. - Mówi jak Homer Simpson, pomyślał Thurse. - On jeden do mnie pfyfedł.

Thurse skinął głową. Godziny odwiedzin dawno się skończyły, a skoro chłopak miał niebieską koszulę i broń u boku, pewnie czeka go bura za to, że nie zareagował na wycie

syreny, ale... co złego się stanie? Jeden strażak więcej, jeden strażak mniej, co za różnica? Zresztą spał tak twardo, że nawet syrena go nie obudziła, więc nie byłoby z niego wielkiego pożytku przy gaszeniu ognia. Thurse położył palec na ustach, dając tym młodej kobiecie znak, że są współpiskowcami. Próbowała się uśmiechnąć, po czym się skrzywiła.

Mimo to Thurston nie zaproponował jej środków przeciwbólowych; z karty w nogach łóżka wynikało, że dostała dawkę, która musiała jej wystarczyć do drugiej w nocy. Wyszedł, delikatnie zamknął za sobą drzwi i oddalił się uśpionym korytarzem. Nie zauważył, że drzwi z napisem DZIECKO W ŚRODKU znów są lekko uchylone.

Kozetka w pokoju dla personelu wabiła go do siebie, kiedy przechodził obok, ale postanowił, że jednak wróci na Highland Avenue.

I zobaczy, co z dziećmi.

4

Sammy siedziała przy łóżku z Little Walterem do czasu, aż nowy lekarz poszedł. Potem pocałowała synka w oba policzki i w usta.

- Bądź grzeczny - powiedziała. - Mamusia zobaczy się z tobą w niebie, jeśli ją wpuszczą. Powinni. Już odcierpiała swoje w piekle.

Położyła go w łóżeczku i otworzyła szufladę stolika nocnego. Wcześniej schowała tam pistolet, żeby nie uwierał Little Waltera, kiedy ostatni raz trzymała go w ramionach i karmiła.

Teraz ten pistolet wyjęła.

5

Main Street zablokowały ustawione przodem do siebie radiowozy z migającymi kogutami. Za nimi stał milczący, obojętny, wręcz ponury tłum gapiów.

Horace zwykle był psem cichym, ograniczającym swój wokalny repertuar do radosnego ujadania na powitanie i sporadycznych szczęknięć dla przypomnienia Julii, że jest obecny ciałem i duchem. Kiedy jednak podjechała do krawężnika przy Maison des Fleurs, zaskowyczał cicho na tylnym siedzeniu. Julia, nie odwracając się, wyciągnęła rękę do tyłu i pogłaskała go po łbie. Żeby dodać otuchy jemu i sobie.

- Mój Boże! - jęknęła Rose.

Wysiadły. Julia pierwotnie zamierzała zostawić Horace'a w samochodzie, ale kiedy wydał następny cichy, smętny skowyt - jakby wiedział, jakby naprawdę wiedział - sięgnęła pod fotel pasażera po jego smycz, otworzyła mu tylne drzwi, żeby wyskoczył, po czym

przypięła smycz do jego obroży. Wyszarpnęła z kieszeni fotela aparat fotograficzny i zamknęła drzwi. Przecisnęły się z Rose przez tłum gapiów na chodniku; Horace wyrywał się naprzód na smyczy.

Rupe, kuzyn Piper Libby, policjant na niepełnym etacie, od pięciu lat w Mill, próbował je zatrzymać.

- Dalej nie wolno.

- To mój dom - powiedziała Julia. - Na górze jest wszystko, co mam, ubrania, książki, rzeczy osobiste, wszystko. Na dole jest redakcja gazety, którą założył mój pradziadek. Przez przeszło sto dwadzieścia lat nie ukazała się tylko cztery razy. Teraz się pali. Jeśli nie chcesz dopuścić, żebym na to patrzyła... z bliska... będziesz mnie musiał zastrzelić.

Rupe miał niepewną minę, gdy jednak Julia znów ruszyła naprzód (Horace patrzył na niego nieufnie), odsunął się na bok. Ale tylko na chwilę.

- Pani nie - rzekł do Rose Twitchell.

- Ja tak. Chyba że chcesz następnym razem dostać u mnie czekoladowe frappe z laxigenem.

- Proszę pani... Rose... taki mam rozkaz.

- Niech diabli porwą twój rozkaz - odezwała się Julia głosem bardziej znużonym niż hardym. Wzięła Rose za ramię i poprowadziła ją aż do miejsca, gdzie drgające powietrze, które czuła na twarzy, przestało grzać, a zaczęło prażyć.

Redakcja „Democrata” zmieniła się w piekło. Kilkunastu policjantów nawet nie próbowało gasić pożaru, ale mieli pod dostatkiem hydronetek (na niektórych nadal były nalepki świetnie widoczne w blasku ognia: KOLEJNA WYJĄTKOWA PROMOCJA U BURPEEGO!). Polewali aptekę i księgarnię. Julia stwierdziła, że przy braku wiatru może uda im się uratować oba budynki... i, co za tym idzie, całą wschodnią pierzeję Main Street.

- To nadzwyczajne, że tak szybko przyjechali - stwierdziła Rose.

Julia nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła na płomienie, które strzelały ze świstem w mrok, przesłaniając różowe gwiazdy. Była zbyt zaszokowana, by płakać.

Wszystko, pomyślała. Wszystko.

Wtedy przypomniała sobie o jednym pliku gazet, który wrzuciła do bagażnika, zanim pojechała na spotkanie z Coksem. Prawie wszystko, poprawiła się.

Pete Freeman przebił się przez kordon policjantów polewających fronton i północną ścianę apteki Sandersa. Jedynymi czystymi miejscami na jego twarzy były ślady, które w sady wyryły lzy.

- Julio, tak mi przykro! - Niemalże zawodził. - Prawie to ugasiliśmy... byśmy to

ugasili... ale ostatnia... ostatnia butelka, którą rzuciły te gnoje, wylądowała na gazetach pod drzwiami i... - Wytarł twarz ocalałym rękawem, rozmazując sadzę. - Tak cholernie mi przykro!

Wzięła go w ramiona jak małe dziecko, choć był od niej kilkanaście centymetrów wyższy i kilkadziesiąt kilo cięższy. Przytuliła go, uważając na jego poparzoną rękę.

- Co się stało?

- Butelki z benzyną - wyszłochał. - Ten skurwysyn Barbara.

- On jest w areszcie, Pete.

- Jego kumple! Jego zasrani kumple! Oni to zrobili!

- Co takiego? Widziałeś ich?

- Słyszałem. - Odsunął się, żeby na nią spojrzeć. - Trudno było nie słyszeć. Mieli megafon. Grozili, że jeśli nie uwolnimy Dale'a Barbary, spalą całe miasto. - Uśmiechnął się gorzko. - Uwolnić go? Powinniśmy go powiesić. Niech mi dadzą sznur, sam to zrobię.

Duży Jim podszedł niespiesznym krokiem. W blasku ognia policzki miał pomarańczowe. Oczy mu błyszczały. Jego uśmiech był tak szeroki, że sięgał prawie do płatków uszu.

- I co teraz sądzisz o twoim znajomku Barbiem, Julio?

Julia ruszyła ku niemu i musiała mieć coś wypisane na twarzy, bo Duży Jim cofnął się o krok, jakby w obawie, że może od niej dostać w zęby.

- To nie ma sensu. Żadnego. I dobrze o tym wiesz.

- Och, moim zdaniem ma. Jeśli choć rozważysz możliwość, że to Dale Barbara i jego przyjaciele postawili kopułę, myślę, że to jak najbardziej ma sens. To był zamach terrorystyczny, nic innego.

- Gówno prawda. Byłam po jego stronie, co znaczy, że gazeta była po jego stronie. Wiedział o tym.

- Ale oni mówili... - zaczął Pete.

- Tak. - Nie spojrzała na niego. Oczy wciąż miała utkwione w oświetlonej płomieniami twarzy Dużego Jima. - „Oni” mówili, „oni” mówili, ale kim są ci „oni”? Zadań sobie to pytanie, Pete. Zadań sobie pytanie: jeśli nie zrobił tego Barbie, który nie miał motywu, to kto inny mógł mieć motyw? Komu opłaci się zamknąć Julii Shumway jej niewyparzoną gębę?

Duży Jim odwrócił się i dał znak dwu nowym policjantom - o tym, że byli to policjanci, świadczyły tylko niebieskie chusty zawiązane na bicepsach. Jednym z nich był zwalisty dryblas, sądząc po twarzy nieledwie dziecko. Drugim mógł być tylko jeden z

Killianów; ta okrągła głowa była charakterystyczna jak znak firmowy.

- Mickey, Richie, zabierzcie stąd te dwie panie.

Horace przycupnął u nóg swej pani i warczał. Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej spojrzał z pogardą na małego psa.

- A jeśli nie pójdą dobrowolnie, macie moje pozwolenie na to, żeby rzucić je na maskę najbliższego radiowozu.

- To nie koniec. - Julia wymierzyła w niego palcem. Teraz już i ona się rozplakała, ale jej łzy były zbyt gorące i bolesne, by być łzami smutku. - To nie koniec, ty sukinsynu.

Na twarz Dużego Jima powrócił uśmiech. Błyszczał jak lakier na jego hummerze. I był równie czarny.

- A właśnie że tak. Sprawa załatwiona.

6

Duży Jim ruszył z powrotem w stronę pożaru - chciał patrzeć dotąd, aż z gazety tej wścibskiej baby nie zostanie nic oprócz kupki popiołu - i połknął haust dymu. Serce nagle zamarło mu w piersi, świat rozpląnął się przed oczami jak w jakimś efekcie specjalnym. Po chwili pikawa znowu ruszyła, ale serią nieregularnych uderzeń, od których dech mu zapało. Rąbnął się pięścią w lewą stronę klatki piersiowej i zakasłał silnie; to był doraźny środek zaradczy na arytmie, którego nauczył go doktor Haskell.

Początkowo serce kontynuowało swoją nieregularną galopadę (łup... pauza... łup, łup, łup... pauza), ale z czasem wróciło do normalnego rytmu. Przez chwilę widział je, zatopione w gęstej bryle żółtego tłuszczu, niby żywą istotę, która pogrzebana żywcem, usiłuje się wyswobodzić, zanim jej zabraknie powietrza. Odpędził ten obraz.

Nic mi nie jest. To z przepracowania. Siedem godzin snu i będzie dobrze.

Podszedł komendant Randolph z hydronetką przypiętą do pleców. Po twarzy ściekał mu pot.

- Jim, dobrze się czujesz?

- Tak. - Naprawdę czuł się dobrze. To był szczytowy moment jego życia, szansa, by osiągnąć wielkość, do której, jak wiedział, zawsze był zdolny. Żadna nawalająca pikawa mu tego nie odbierze. - Zmęczony jestem i tyle. Praktycznie chwili przerwy nie miałem.

- Idź do domu - poradził Randolph. - Nigdy bym nie pomyślał, że podziękuję Bogu za klosz, i teraz też tego nie zrobię, ale przynajmniej osłania nas od wiatru. Wszystko będzie dobrze. Moi ludzie są na dachach apteki i księgarni, na wypadek gdyby strzeliły jakieś iskry, więc idź już, idź...

- Którzy ludzie? - Serce powoli się uspokajało. Dobrze.

- Henry Morrison i Toby Whelan na księgarni. Georgie Frederick i jeden ze świeżaków na aptece. Bachor Killianów, zdaje się. Poszedł z nimi Rommie Burpee, zgłosił się na ochotnika.

- Masz krótkofalówkę?

- Jasne.

- A Frederick ma swoją?

- Jak wszyscy pełnoetatowi.

- Powiedz Frederickowi, żeby miał Burpeego na oku.

- Rommiego? Po co, na litość boską?

- Nie ufam mu. Możliwe, że trzyma z Barbarą. - Choć wcale nie Barbara był głównym zmartwieniem Dużego Jima, kiedy chodziło o Burpeego. Facet przyjaźnił się z Brendą. I był nie w ciemię bity.

Randolph się skrzywił.

- Jak myślisz, ilu ich jest? Ilu stoi po stronie tego sukinsyna? Duży Jim pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć, Pete, ale skala tego jest ogromna. Musieli to długo planować. Nie można tylko wskazać palcem nowych w mieście i powiedzieć, że to oni. Niektórzy z tych, co są w to uwikłani, mogli siedzieć tu całe lata. Nawet dziesięciolecia. To się nazywa głęboki kamuflaż.

- Chryste! Ale dlaczego, Jim? Dlaczego, na miłość boską?!

- Nie wiem. Może to jakiś test z nami w roli królików doświadczalnych. A może przewrót. Ten oprych z Białego Domu jest zdolny do wszystkiego. Musimy zaostrzyć środki bezpieczeństwa i uważać na kłamców, którzy będą próbowali podważać nasze wysiłki na rzecz utrzymania porządku.

- Myślisz, że ona... - Ruchem głowy wskazał Julię, która patrzyła, jak redakcję trawia płomienie; pies siedział obok niej i sapał z gorąca.

- Nie wiem na pewno, ale jak się zachowywała po południu? Latała po komisariacie, wrzeszczała, że chce go zobaczyć. Co ci to mówi?

- Mhm - mruknął Randolph. Patrzył na Julię Shumway matowymi oczami, zamyślony.

- I jaka może być lepsza przykrywka, niż spalić własny dom?

Duży Jim wymierzy! w niego palcem, jakby chciał powiedzieć „Możliwe, że trafiłeś w dziesiątkę”.

- Muszę się położyć. Skontaktuj się z George'em Frederickiem. Powiedz, żeby miał swoje lepsze oko na tego Kanadyjca z Lewiston.

- Jasne. - Randolph odpiął od pasa walkie - talkie. Z tyłu dobiegł krzyk Fernalda Bowiego:

- Dach się wali! Wy tam, na ulicy, cofnąć się! Chłopaki na dachach innych budynków, bądźcie gotowi, bądźcie gotowi!

Duży Jim patrzył z ręką na drzwiach swojego hummera od strony kierowcy, jak dach „Democrata” się zapada, wzbijając w czarne niebo fontannę iskier. Ludzie na dachach sąsiednich budynków sprawdzili, czy hydronetki partnerów są gotowe do użycia, po czym stanęli na spocznij i z rozpylaczem w dłoniach czekali na iskry.

Mina Julii Shumway w chwili, kiedy dach „Democrata” runął, ulżyła sercu Dużego Jima bardziej niż wszystkie przekłete lekarstwa i rozruszniki na świecie. Całe lata musiał znosić jej cotygodniowe tyrady i choć nie przyznałby się do tego, że bał się tej baby, na pewno działała mu na nerwy.

A teraz spójrzcie tylko na nią, pomyślał. Ma minę, jakby wróciła do domu i znalazła matkę martwą w wygodce.

- Wyglądasz już lepiej - zauważył Randolph. - Kolory ci wracają. - I czuję się lepiej. Ale i tak pojedę do domu. Chwilę się zdrzemnę.

- Dobra myśl. Jesteś nam potrzebny, przyjacielu. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. A jeśli kopuła nie zniknie... - Randolph potrząsnął głową, ani na moment nie odrywając swoich oczu basseta od twarzy Dużego Jima. - Nie wiem, jak byśmy sobie bez ciebie poradzili, tak to ujmę. Kocham Andy'ego Sandersa jak rodzonego brata, ale w głowie to on za dużo nie ma. A Andrea Grinnell jest do niczego od czasu, kiedy upadła i przetrąciła sobie kręgosłup. To ty jesteś spoiwem Chester's Mill.

Duży Jim był wzruszony tymi słowami. Ścisnął ramię Randolpha.

- Życie oddałbym za to miasto. Tak bardzo je kocham.

- Wiem. Ja też. I nikt nam go nie ukradnie.

- Żebyś wiedział - powiedział Duży Jim.

Odjechał, omijając chodnikiem blokadę ustawioną na północnym krańcu dzielnicy handlowej. Serce znów było równo w jego piersi (no, prawie równo), ale mimo to był zaniepokojony. Będzie musiał zajrzeć do Everetta. To mu się wcale nie uśmiechało; Everett był następnym wścibskim typem, który się uparł, żeby stwarzać kłopoty w czasie, gdy miasto musiało trzymać się razem. Poza tym żaden z niego lekarz. Duży Jim na dobrą sprawę wolałby zwrócić się ze swoimi kłopotami zdrowotnymi do weterynarza, tyle że w mieście żadnego nie było. Nadzieja w tym, że jeśli będzie potrzebował lekarstwa, czegoś, co ustabilizowałoby rytm serca, Everett dobierze właściwe.

Cokolwiek mi da, będę musiał się skonsultować z Andym, pomyślał Duży Jim.

Tak, ale bardziej niepokoiło go coś innego. Chodziło o coś, co powiedział Pete: „Jeśli kopuła nie zniknie”...

Duży Jim tym się nie przejmował. Przeciwnie. Gdyby kopuła zniknęła - to znaczy, zniknęła za szybko - mógłby mieć spore kłopoty, nawet jeśli nikt nie znajdzie wytwórni metamfetaminy.

Na pewno zaraz pojawiliby się różni mądrale, którzy podaliby w wątpliwość jego decyzje. Jedną z pierwszych zasad życia politycznego, jakie poznał, brzmiała: „Ci, którzy potrafią, działają; ci, którzy nie potrafią, kwestionują działania tych, którzy potrafią”. Mogliby nie zrozumieć, że wszystko, co zrobił albo co kazał zrobić, nawet rzucanie kamieniami pod sklepem dziś rano, brało się z troski o tutejszych mieszkańców. A już przyjaciele Barbary z zewnątrz byłiby szczególnie skłonni do przeinaczeń, bo nie chcieliby zrozumieć. Że Barbara miała poza kłosem przyjaciół, i to wpływowych, co do tego Duży Jim nie miał wątpliwości od czasu, kiedy zobaczył list od prezydenta. Na razie jednak nie mogli nic zrobić. I Duży Jim chciał, żeby tak zostało jeszcze parę tygodni. Może nawet ze dwa miesiące.

Prawda była taka, że kopuła mu odpowiadała.

Nie na dłuższą metę, oczywiście, ale dopóki nie rozdzielią między ludzi propanu z rozgłośni, dopóki nie zlikwidują wytwórni i nie spalą doszczętnie magazynu, w którym się mieściła (kolejna zbrodnia, którą trzeba będzie przypisać współpiskowcom Dale'a Barbary), dopóki Barbara nie zostanie osądzony i nie stanie przed policyjnym plutonem egzekucyjnym, dopóki winy za wszelkie działania podjęte w czasie kryzysu nie rozłoży się na możliwie największej osób, a całej zasługi nie przypisze się jednej, mianowicie jemu samemu - do tego czasu kopuła może sobie stać.

Duży Jim postanowił, że przed snem uklęknie i pomodli się za to.

7

Sammy kuśtykała szpitalnym korytarzem, sprawdzając nazwiska na drzwiach i dla pewności zaglądając tam, gdzie nazwisk nie było. Już zaczynała się niepokoić, że tej suki tu nie ma, kiedy podeszła do ostatniej sali i zobaczyła przyczepioną pinezką kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia. Narysowany był na niej pies mówiący „Słyszałem, że źle się czujesz”.

Sammy wyjęła pistolet Jacka Evansa zza pasa dżinsów (teraz już trochę luźniejszych, wreszcie udało jej się stracić kilka kilogramów, lepiej późno niż wcale) i lufą otworzyła kartkę. W środku rysunkowy pies lizał sobie jaja i mówił „Wylizesz się”. Pod spodem były podpisy „Mel, Jim Jr., Carter i Frank”. Właśnie takich gustownych pozdrowień Sammy się po

nich spodziewała.

Pchnęła drzwi lufą pistoletu. Georgia nie była sama. Nie zmaćilo to głębokiego spokoju, jaki ogarniał Sammy, tego niemal pełnego wyciszenia wewnętrznego. Może byłoby inaczej, gdyby mężczyzną śpiącym w kącie był ktoś niewinny - powiedzmy, ojciec czy wujek tej suki - ale to był Frankie, który ją łapał za cycki i zgwałcił ją pierwszy, mówiąc, żeby ryj otwierała tylko wtedy, jak będzie na kolanach. To, że spał, niczego nie zmieniało. Bo tacy jak on zawsze się budzili, żeby dalej robić kurestwa.

Georgia nie spała; ból był zbyt silny, a hipis, który do niej zajrzał, nie zaproponował jej dodatkowej dawki prochów. Zobaczyła Sammy i jej oczy otworzyły się szeroko.

- Wynoch fię. Sammy się uśmiechnęła.

- Mówisz jak Homer Simpson.

Georgia zobaczyła pistolet i wybałuszyła oczy. Otworzyła swoje prawie bezzębne usta i krzyknęła.

Sammy nadal się uśmiechała. I to jeszcze szerzej. Ten krzyk cieszył jej uszy i koił ból.

- Rznij dziwkę - powiedziała. - Tak, Georgia? Tak mówiłaś, ty pizdo bez serca?

Frank obudził się i potoczył wokół nieprzytomnym wzrokiem. Śpiąc, zjechał tyłkiem na sam skraj krzesła i kiedy Georgia znów wrzasnęła, podskoczył i gruchnął na podłogę. Teraz już nosił broń - jak wszyscy policjanci - i sięgnął do kabury.

- Odłóż to, Sammy - rzekł. - Proszę cię, odłóż to, jesteś wśród przyjaciół, bądźmy przyjaciółmi.

- Ryj otwieraj tylko wtedy, jak jesteś na kolanach i robisz łaskę swojemu kumpłowi Juniorowi - odparowała i pociągnęła za spust springfielda. Huk pistoletu automatycznego był ogłuszający w małym pokoju. Pierwsza kula przeleciała Frankiemu nad głową i wybiła okno. Georgia znów krzyknęła. Próbowwała wstać z łóżka, rurka kroplówki i kable monitorów odrywały się od niej. Sammy odepchnęła ją i Georgia upadła krzywo na plecy.

Frankie nadal nie dobył pistoletu. Przerażony i zdezorientowany, szarpał za kaburę i udało mu się tylko podciągnąć sobie pasek po prawej stronie. Sammy chwyciła pistolet obiema rękami, tak jak to widziała w telewizji, i wystrzeliła ponownie. Lewa część głowy Frankiego odpadła. Skalp uderzył w ścianę i przykleił się do niej. Frank podniósł dłoń do rany. Krew tryskała mu przez palce zapadające się w głąb nasiąkniętej gąbki w miejscu, gdzie przedtem była czaszka.

- Wystarczy! - krzyknął. Oczy miał wybałuszone, nabiegłe łzami. - Przestań! Nie rób mi krzywdy! - A potem: - Mamo! Mamusiu!

- Daruj sobie, mamusia źle cię wychowała. - Sammy strzeliła do niego znowu, tym

razem w pierś. Odrzuciło go na ścianę. Jego dłoń wysunęła się z rozwalonej głowy i opadła na podłogę, rozchlapując tworzącą się tam kałużę krwi. Sammy postrzeliła go trzeci raz, w to, czym zadał jej ból. A potem odwróciła się do tej na łóżku.

Georgia leżała skulona w kłębek. Monitor nad jej głową pikał jak szalony. Włosy opadały jej na oczy. Bez przerwy krzyczała.

- Tak mówiłaś? - spytała Sammy. - Różnij dziwkę, zgadza się?

- Phephaham! - Co?

Georgia spróbowała jeszcze raz.

- Phephaham! Phephaham, Hammy! - A potem absurd nad absurdy: - Cofam to!

- Nie możesz. - Sammy strzeliła jej w twarz i w szyję. Georgia podskoczyła tak jak Frankie i znieruchomiała.

Sammy usłyszała tupot biegnących nóg i okrzyki na korytarzu. A także rozespane, zaniepokojone głosy w innych salach. Było jej przykro, że narobiła tyle zamieszania, ale czasem po prostu nie ma się wyboru. Czasem trzeba działać. I dopiero po wszystkim nadejdzie spokój.

Przyłożyła sobie pistolet do skroni.

- Kocham cię, Little Walterze. Mamusia kocha swojego syncia. I pociągnęła za spust.

8

Ryży pojechał West Street, żeby ominąć pożar, i na skrzyżowaniu ze sto siedemnastą odbił z powrotem na Main. U Bowiech było ciemno, paliły się tylko małe elektryczne świece w oknach od frontu. Zgodnie z poleceniem żony pojechał na mniejszy parking z tyłu i zatrzymał się obok długiego szarego karawanu marki Cadillac. Gdzieś w pobliżu terkotał generator.

Już sięgał do klamki, kiedy zaświergotał jego telefon. Wyłączył go, nie patrząc, kto dzwoni, a kiedy podniósł wzrok, przy jego oknie stał policjant. Z wyciągniętą bronią.

To była kobieta. Kiedy się schyliła, Ryży zobaczył burzę kręconych blond włosów i wreszcie skojarzył nazwisko, które podała mu żona, z twarzą. Policyjna dyspozytorka i recepcjonistka z dziennej zmiany. Ryży domyślał się, że w Dniu Klosza albo zaraz potem skłonili ją do przejścia na pełny etat. Zakładał też, że obecnie wykonywane zadanie wyznaczyła sobie sama. Schowała pistolet do kabury.

- Witam, doktorze Ryży. Stacey Moggin. Dwa lata temu leczył mi pan poparzenia sumakiem jadowitym. Wie pan, na... - Poklepała się po tyłku.

- Pamiętam. Miło zobaczyć panią w spodniach, pani Moggin. Zaśmiała się tak, jak

mówiła - cicho.

- Mam nadzieję, że pana nie wystraszyłam.

- Trochę. Właśnie ściszałem komórkę, podnoszę głowę, a tu pani.

- Przepraszam. Proszę do środka. Linda czeka. Mamy mało czasu. Będę stała na czatach. Gdyby ktoś się zjawił, kliknę dwa razy krótkofalówką, Lin to usłyszy na swojej. Jeśli to będą Bowie, zaparkują z boku i będziemy mogli wyjechać na East Street niezauważeni. - Lekko przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się. - Cóż... może to nadmiar optymizmu, ale przynajmniej nierozpoznani. Jeśli dopisze nam szczęście.

Ryży poszedł za nią. Chmura włosów Stacey wskazywała mu drogę jak latarnia morska.

- Włamałyście się?

- Nie, gdzie tam. Mieliśmy klucz na komisariacie. Większość zakładów na Main Street daje nam klucze.

- A dlaczego nam pomagasz?

- Bo to wszystko to ścierna i straszenie ludzi. Duke Perkins dawno by zrobił z tym porządek. No już, wchodzimy. I niech pan to szybko załatwi.

- Tego nie mogę obiecać. Właściwie nie mogę obiecać niczego. Nie jestem lekarzem sądowym.

- No to najszybciej, jak się da. Chwilę później Ryży objął Lindę.

9

Harriet Bigelow krzyknęła dwa razy i zemdląła. Gina Buffalino tylko patrzyła, odrętwiała z szoku.

- Zabierz stąd Ginę - warknął Thurse. Już był na parkingu, kiedy usłyszał strzały. Przybiegł z powrotem i zastał krwawą jatkę.

Ginny otoczyła Ginę ramieniem i wyprowadziła ją na korytarz, gdzie pacjenci, którzy mogli chodzić o własnych siłach - wśród nich Bill Minut i Tansy Freeman - stali przerażeni, z szeroko otwartymi oczami.

- Przenieś ją gdzieś - powiedział Thurse do Twitcha, wskazując na Harriet. - I obciągnij jej spódniczkę, żeby biedaczka przyzwoicie wyglądała.

Twitch wykonał polecenie. Kiedy wrócił z Ginny, Thurse klęczał przy ciele Franka DeLessepsa, który zginął, bo przyszedł w zastępstwie za chłopaka Georgii i został po godzinach odwiedzin. Na prześcieradle, którym przykryta była Georgia, wykwitwały już krwawe maki.

- Możemy coś zrobić, doktorze? - spytała Ginny. Wiedziała, że nie był lekarzem, ale w szoku to samo jej się powiedziało. Patrzyła na rozwalone na podłodze ciało Franka i zasłaniała usta dłonią.

- Tak. - Thurse wstał i jego kościste kolana trzasnęły jak wystrzały z pistoletu. - Wezwijcie policję. To miejsce zbrodni.

- Wszyscy na służbie pewnie gaszą pożar w centrum - stwierdził Twitch. - Pozostali albo tam jadą, albo śpią z wyłączonymi telefonami.

- No to zadzwońcie do kogoś, kogokolwiek, i dowiedźcie się, czy mamy coś zrobić, zanim tu posprzątamy. Zdjęcia albo nie wiem co. Nie żeby były jakieś wątpliwości, przecież wiadomo, co tu się stało. Przepraszam was na chwilę. Idę zwymiotować.

Ginny odsunęła się na bok, przepuszczając Thurse'a do małej ubikacji. Zamknął drzwi, ale odgłosy targających nim torsji i tak były głośne, brzmiały jak dźwięk zwiększającego obroty silnika, do którego dostał się piasek.

Ginny zakreśliło się w głowie i poczuła się tak lekka, jakby miała zaraz oderwać się od ziemi. Zwalczyła to. Kiedy spojrzała na Twitcha, właśnie składał komórkę.

- Ryży nie odbiera - powiedział. - Zostawiłem mu wiadomość. Zadzwoń do kogoś jeszcze? Może do Renniego?

- Nie! - Omal się nie wzdrygnęła. - Do niego nie.

- Do mojej siostry?

Ginny tylko spojrzała na niego. Twitch po chwili spuścił wzrok.

- Może do Andi lepiej nie - wymamrotał.

Ginny dotknęła go nad nadgarstkiem. Skórę miał zimną - efekt szoku.

- Andrea chyba próbuje to rzucić. Była u Ryżego, jestem prawie pewna, że w tej sprawie.

Twitch zsunął dłonie po policzkach, na chwilę zmieniając swoją twarz w maskę smutku z *opera bouffe*.

- Koszmar.

- Tak - odparła Ginny krótko. Potem znów wyciągnęła swoją komórkę.

- Do kogo dzwonisz? - Twitch zdobył się na słaby uśmiech. - Pogromców duchów?

- Nie. Skoro Andrea i Duży Jim odpadają, kto zostaje?

- Sanders, ale z niego nie ma za cholerę pożytku, dobrze wiesz. Dlaczego po prostu nie posprzątamy? Thurston ma rację, to oczywiste, co tu się stało.

Thurston wyszedł z łazienki. Wycierał usta papierowym ręcznikiem.

- Dlatego że obowiązują pewne zasady, młody człowieku. I w tych okolicznościach

jest szczególnie ważne, żebyśmy ich przestrzegali. A przynajmniej starali się, na ile to możliwe.

Twitch podniósł wzrok i zobaczył mózg Sammy Bushey schnący wysoko na ścianie. To, czym kiedyś myślała, teraz wyglądało jak zbrylona owsianka. Wybuchnął płaczem.

10

Andy Sanders siedział w mieszkaniu Dale'a Barbary, na skraju jego łóżka. Okno wypełniała pomarańczowa łuna bijąca z płonącej obok redakcji „Democrata”. Nad sobą słyszał tupot nóg i stłumione głosy - ludzie na dachu, domyślił się.

Wszedł tu schodami z apteki piętro niżej i przyniósł ze sobą brązową torbę. Teraz wyjął z niej szklanekę, butelkę wody Dasani i buteleczkę pigułek oksykodonu, oznaczoną naklejką DLA A. GRINNELL. Pigułki były różowe, dwadzieścia miligramów każda. Wytrząsnął ich trochę, policzył je, wytrząsnął trochę więcej. Dwadzieścia. Czteryście miligramów. Może za mało, żeby zabić Andreę, która zdążyła się na nie uodpornić, ale dla niego wystarczy.

Od szalejącego po sąsiedzku pożaru ściana była gorąca. Andy się lepił od potu. Musiało tu być ze czterdzieści stopni, może więcej. Otarł twarz narzutą.

Niedługo przestaną to czuć. W niebie wiać będzie chłodny wiaterek i wszyscy zasiądziemy do wieczerzy przy stole Pana.

Spodem szklanki rozgniół różowe tabletki na proszek; będzie miał pewność, że zadziałają wszystkie naraz. Jakby wałnąć wołu młotkiem w łeb. Wystarczy się położyć, zamknąć oczy i dobranoc, drogi aptekarzu, zaśnij przy śpiewie aniołów.

Ja... Claudie... i Dodee. Razem na wieki wieków.

Nie sądzę, bracie.

To był głos Cogginsa, Cogginsa w swoim najbardziej srogim i pompatycznym wcieleniu. Andy przerwał rozdrabnianie pigułek.

Samobójcy nie jedzą kolacji z najbliższymi, przyjacielu; idą do piekła i żywią się rozżarzonymi węglami, które wiecznie goreją w brzuchu. Alleluja, bracie! Amen!

- Gadaj zdrów - szepnął Andy i wrócił do rozgniatania tabletek. - Trzymałeś ryj w korycie razem z nami wszystkimi. Czemu miałbym ci wierzyć?

Bo mówię prawdę. Twoja żona i córka patrzą na ciebie z góry I błagają, żebyś tego nie robił. Nie słyszysz ich?

- Nie - powiedział Andy. - I ciebie też nie słyszę. Tylko tchórza, co we mnie siedzi. Całe życie mną rządził. To przez niego Duży Jim ma mnie w garści. I to on wpakował mnie w

ten biznes z amfą. Nie potrzebowałem pieniędzy, nawet nie ogarniam myślą takiej fortuny, po prostu nie umiałem odmówić. Teraz umiem. Nie, mój panie. Nie mam już po co żyć, więc odchodzę. I co na to powiesz?

Wyglądało na to, że Lester Coggins nie powie nic. Andy skończył rozdrabniać pigułki i nalał wody do szklanki. Kantem dłoni zgarnął do niej różowy pył, po czym zamieszał wodę palcem. Tuż obok huczał ogień, krzyczeli ludzie gaszący pożar, po dachu niósł się tupot nóg.

- No to do dna - powiedział Andy... ale nie podniósł szklanki do ust. Choć nie miał już po co żyć, tchórz w nim był silny i nie chciał umrzeć, wstrzymał jego rękę.

- Nie, tym razem nie wygrasz - rzekł Andy, lecz puścił szklanekę, żeby jeszcze raz otrzeć zalaną potem twarz. - Nie zawsze wygrywasz, a na pewno nie teraz.

Podniósł szklanekę. W środku pływało słodkie różowe zapomnienie... odstawił ją na stolik.

Tchórz znowu brał górę. Niech go diabli porwą!

- Panie, ześlij mi znak - szepnął Andy. - Znak, że mogę to wypić. Tylko tak się wydostanę z tego miasta.

Dach redakcji „Democrata” zawalił się w chmurze iskier. Na górze ktoś - chyba Romeo Burpee - krzyknął:

- Bądźcie gotowi, chłopcy, do licha, bądźcie gotowi!

Bądźcie gotowi. To musiał być ten znak. Andy Sanders raz jeszcze uniósł szklanekę pełną śmierci i tym razem tchórz w nim nie wstrzymał mu ręki. Chyba się poddał.

Komórka w kieszeni odegrała pierwsze nuty „You're Beautiful”, sentymentalnego szajsu, który wybrała Claudie. Andy już miał wypić mimo to, ale jakiś wewnętrzny głos mu podszeptał, że to też może być znak. Nie mógł stwierdzić, czy to głos siedzącego w nim tchórza, czy Cogginsa, czy jego własnego serca. A skoro nie miał co do tego pewności, odebrał.

- Pan Sanders? - odezwała się jakaś kobieta. Zmęczona, nieszczęśliwa i przerażona. Jak Andy. - Mówi Virginia Tomlinson... Ze szpitala...

- Ginny, jasne! - Pogodny i uczynny jak dawniej. Dziwne.

- Mamy tu duży problem. Mógłby pan przyjechać?

Światło przeszło mrok w jego duszy. Poczł zdumienie i wdzięczność. Usłyszeć, jak ktoś mówi „mógłby pan przyjechać”... czy już zapomniał, jak przyjemne to uczucie? Pewnie tak, choć przecież właśnie dla niego kandydował na przewodniczącego rady. Nie żeby mieć władzę - to kręciło Dużego Jima. On tylko chciał pomagać. Tak zaczynał; może będzie mógł tak skończyć.

- Panie Sanders, jest pan tam?

- Tak. Trzymaj się, Ginny. Już jadę. - Zawiesił głos. - I odpuść sobie z tym „panem Sandersem”. Mów mi Andy. Wiesz, siedzimy w tym wszyscy razem.

Rozłączył się, zaniósł szklanekę do łazienki i wylał do toalety. Jego dobre samopoczucie - to wrażenie lekkości i zadziwienia - trwało do chwili, kiedy nacisnął dźwignię spłuczki. Wtedy znów otuliła go depresja niczym stary, śmierdzący płaszcz. Potrzebny? Śmieszne. Był tylko głupim Andym, lalką, która siedziała Dużemu Jimowi na kolanach. Tubą. Papugą. Człowiekiem, który odczytywał wnioski i propozycje Dużego Jima jak własne. Którego przydawał się co mniej więcej dwa lata, kiedy potrzeba było kogoś, kto potrafi agitować i bratać się z ludźmi. Bo Duży Jim nie umiał albo nie chciał tego robić.

W buteleczce zostały jeszcze pigułki. W lodówce na dole była jeszcze woda Dasani. Ale Andy nie rozważał tego na serio. Złożył obietnicę Ginny Tomlinson, a był człowiekiem, który słowa dotrzymuje. Z samobójstwa nie zrezygnował, usunął je tylko na plan dalszy. Przełożył debatę nad nim na późniejszy termin, jak to się mawia w małomiasteczkowej polityce. No i - uznał - dobrze byłoby wydostać się z tej sypialni, która omal nie stała się jego całą śmiercią. Wypełniał ją dym.

11

Pracownia braci Bowie mieściła się pod ziemią, dlatego Linda nie bała się zapalić świateł. Były potrzebne Ryżemu do oględzin ciała.

- Zobacz, jaki bałagan - powiedział i zamaszystym gestem wskazał brudną, zdeptaną butami posadzkę, puszki po piwie i napojach orzeźwiających na blatach, a w kącie otwarty kosz na śmieci, nad którym krążyło kilka much. - Gdyby zobaczył to ktoś ze Stanowej Izby Przedsiębiorców Pogrzebowych albo Departamentu Zdrowia, zamknęliby ten interes w nowojorską minutę.

- Nie jesteśmy w Nowym Jorku - przypomniała mu Linda. Patrzyła na stół z nierdzewnej stali pośrodku pokoju. Blat zmatowiał od substancji, które prawdopodobnie lepiej, by pozostały nienazwane, a w jednej z rynien odpływowych leżał zmięty papierek po snickersie. - Chyba nawet nie jesteśmy już w Maine. Pośpiesz się, Eric, tu śmierdzi.

- Dosłownie i w przenośni. - Ten bałagan go raził... diabła tam raził, oburzał go. Ryży dałby Stewartowi Bowiemu w zęby za sam ten papierek rzucony na stół, na którym zmarłym mieszkańcom miasta wytaczano krew.

Na drugim końcu pomieszczenia było sześć szuflad na ciała, wykonanych z nierdzewnej stali. Gdzieś za nimi miarowo dudnił sprzęt chłodzący.

- Propanu im nie brakuje - mruknął. - Bracia Bowie mają chody.

Na szufladach nie było nazwisk - kolejna oznaka niedbalstwa - więc Ryży otworzył wszystkie sześć. Pierwsze dwie były puste, co go nie zaskoczyło. Większość tych, którzy do tej pory umarli pod kloszem, włącznie z Ronem Haskellem i Evansami, pochowano szybko. Jimmy Sirois, który nie miał bliskich krewnych, wciąż leżał w małym prosektorium szpitala.

Ciała, które przyszedł zobaczyć, były w następnych czterech szufladach. Ledwie je wysunął, buchnął odór rozkładu, który przytłumił nieprzyjemne, ale mniej drażniące zapachy środków konserwujących. Linda dostała odruchu wymiotnego i odsunęła się.

- Tylko nie rzygaj, Linny - powiedział Ryży i podszedł do szafek w drugim końcu pomieszczenia. W pierwszej nie było nic oprócz stert starych numerów „Field & Stream”. Zaklął. W drugiej jednak znalazł wszystko, czego potrzebował. Sięgnął pod trokar, który wyglądał, jakby nikt go nigdy nie mył, i wyciągnął dwie jeszcze nierozpakowane zielone plastikowe maski na twarz. Jedną podał Lindzie, drugą założył sam. Przywłaszczył też sobie gumowe rękawiczki. Były jasnożółte, makabrycznie radosne.

- Jeśli boisz się, że pomimo maski się porzygasz, idź na górę, do Stacey.

- Dam radę. Powinnam być świadkiem.

- Nie wiem, jaką wagę miałyby twoje zeznania. W końcu jesteś moją żoną.

- Powinnam być świadkiem - powtórzyła. - Tylko załatw to jak najszybciej.

Szuflady z ciałami były strasznie brudne. Po obejrzeniu reszty pracowni nawet go to nie zdziwiło, ale był zniesmaczony. Linda pamiętała, żeby przynieść stary magnetofon, który znalazła w garażu. Ryży włączył nagrywanie i sprawdził jakość dźwięku; o dziwo, okazała się całkiem przyzwoita. Postawił małego panasonica na jednej z pustych szuflad. Potem wciągnął rękawiczki. Zajął mu to sporo czasu - miał spocone ręce. Pewnie gdzieś tu był talk, ale nie zamierzał tracić czasu na poszukiwania. Już czuł się jak włamywacz. Diabła tam, był włamywaczem.

- Zaczynamy. Jest dwudziesta druga czterdzieści pięć, dwudziesty czwarty października. Badanie odbywa się w pracowni domu pogrzebowego. Która wygląda jak chlew, nawiasem mówiąc. Bowie powinien się wstydzić. Widzę cztery ciała, trzy kobiety i jednego mężczyznę. Dwie kobiety są młode, w wieku około dwudziestu lat. To Angela McCain i Dodee Sanders.

- Dorothy - powiedziała Linda z drugiej strony stołu. - Na imię ma... miała Dorothy.

- Moja pomyłka. Dorothy Sanders. Trzecia kobieta jest w średnim wieku, po pięćdziesiątce. Brenda Perkins. Mężczyzna ma około czterdziestu lat. To wielebny Lester Coggins. Zaznaczam, że jestem w stanie zidentyfikować wszystkie te osoby.

Dał znak żonie. Uniosła maskę na dość długo, by powiedzieć: - Nazywam się Linda Everett, jestem z policji Chester's Mill, numer odznaki siedem, siedem, pięć. Ja także rozpoznaję te cztery ciała.

Ryży dał jej znak, że może się cofnąć. To wszystko i tak było tylko dla picu. Wiedział o tym i domyślał się, że Linda też wie. A mimo to nie czuł się przygnębiony. Od małego chciał być lekarzem i osiągnąłby ten cel, gdyby nie musiał rzucić nauki, żeby zaopiekować się rodzicami, i to, co nim powodowało, kiedy jako uczeń drugiej klasy liceum kroił żaby i ślepią krów na lekcjach biologii, powodowało nim także i teraz: zwyczajna ciekawość. Głód wiedzy. I wiedzę tę posiadzie. Może nie pełną, ale dobre i to.

Tu martwi pomagają żywym, przypomniał sobie. To Linda tak powiedziała? Nieważne.

- Jak widzę, ciało nie poddano zabiegom kosmetycznym, ale wszystkie cztery zostały zabalsamowane. Nie wiem, czy proces zakończono, chyba nie, bo w tętnicach udowych wciąż są rurki. Angela i Dodee... przepraszam, Dorothy... zostały dotkliwie pobite i ich ciała są w stanie daleko posuniętego rozkładu. Cogginsa również pobito... brutalnie... i też jest w stanie rozkładu, choć nie tak zaawansowanego. Mięśnie twarzy i rąk dopiero zaczęły wiotczeć. Brenda... to znaczy, Brenda Perkins... - Urwał i nachylił się nad nią.

- Ryży? - spytała Linda z niepokojem. - Skarbie? Wyciągnął dłoń w rękawiczkę, zmienił zdanie, ściągnął rękawiczkę i dotknął gardła Brendy. Potem uniósł jej głowę i obmacał wielki guz tuż pod karkiem. Ostrożnie opuścił głowę Brendy, po czym przewrócił ciało na bok, żeby obejrzyć plecy i pośladki.

- Jezu! - powiedział. - Ryży? Co?

Choćby to, że nadal jest cała w gównie, pomyślał... ale tego nie nagra. Nawet gdyby Randolph czy Rennie mieli odsłuchać tylko pierwsze sześćdziesiąt sekund, zanim zmiążdżą kasetę obcasem i spalą to, co zostanie. Nie doda tego szczegółu do jej pohańbienia.

Ale będzie pamiętał.

Znowu zaczął mówić:

- U Brendy Perkins widoczne plamy opadowe na pośladkach i udach, wskazujące, że śmierć nastąpiła przed co najmniej dwunastoma, a najprawdopodobniej przed czternastoma godzinami. Duże sińce na obu policzkach. To ślady dłoni. Nie mam co do tego wątpliwości. Ktoś złapał ją za twarz i mocno szarpnął jej głowę w lewo, łamiąc kręgi szczytowy i kręgi obrotowy, czyli pierwsze dwa kręgi szyjne. Stos pacierzowy prawdopodobnie jest przerwany.

- Och, Ryży! - jęknęła Linda.

Uniósł kciukiem jedną powiekę Brendy, potem drugą. Zobaczył to, czego się obawiał.

- Zsinienie policzków i wybroczyny podtwardówkowe... plamki krwi w białkach oczu... wskazują, że śmierć nie nastąpiła od razu. Ofiara nie była w stanie zaczerpnąć tchu, udusiła się. Mogła być przytomna. Miejmy nadzieję, że nie. Niestety, to wszystko, co mogę stwierdzić. Angela i Dorothy umarły wcześniej niż Brenda Perkins i Lester Coggins. Stopień rozkładu wskazuje, że przechowywano je w ciepłym miejscu.

Wyłączył magnetofon.

- Innymi słowy, nie widzę nic, co absolutnie wyklucza winę Barbiego, ani nic, czego byśmy już nie wiedzieli.

- A co, jeśli jego dłonie nie pasują do sińców na twarzy Brendy?

- Ślady są zbyt rozmazane. Lin, czuję się jak największy dureń na świecie.

Wsunął dwie dziewczyny - które powinny buszować po centrach handlowych, sprawdzać ceny kolczyków, kupować ubrania, porównywać swoich chłopaków - z powrotem w ciemność. Potem wrócił do Brendy.

- Linda, podaj mi ścierkę. Widziałem, że kilka jest pod zlewem. Wyglądały nawet na czyste, co w tym chlewie zakrawa na cud.

- Co chcesz...?

- Daj ścierkę i już. Albo dwie. I je zmocz.

- Czy mamy dość czasu, żeby...

- Znajdziemy dość czasu.

Linda patrzyła w milczeniu, jak jej mąż starannie obmywa pośladki i tył ud Brendy Perkins. Kiedy skończył, cisnął brudne szmaty w kąt z myślą, że gdyby bracia Bowie byli tu w tej chwili, jedną wcisnąłby do gęby Stewartowi, a drugą temu jebańcowi Fernaldowi.

Pocałował Brendę w chłodne czoło i wsunął ją z powrotem do chłodzonego schowka. Już miał zrobić to samo z Cogginsem, ale się zawahał. Twarz wielebnego została obmyta, lecz bardzo pobieżnie. Wciąż była krew w uszach, nozdrzach i zaskorupiała na czole.

- Linda, zmocz jeszcze jedną ścierkę.

- Skarbie, jesteśmy tu prawie dziesięć minut. Kocham cię za to, że okazujesz szacunek zmarłym, ale musimy myśleć o żywych...

- Niewykluczone, że coś tu mamy. To było innego rodzaju pobicie. Widzę to nawet bez... zmocz ścierkę.

Nie spierała się z nim dłużej, tylko zwilżyła następną szmatę, wyjęła ją i podała mu. Potem patrzyła, jak ścierał krew z twarzy zmarłego, delikatnie, ale bez czułości, jaką okazywał Brendzie.

Nie była fanką Lestera Cogginsa (który stwierdził podczas jednej ze swoich

cotygodniowych audycji, że dzieciakom, które pójdą na koncert Miley Cyrus, grozi piekło), ale to, co odsłaniał Ryży, przesywało jej serce bólem.

- Mój Boże, wygląda jak strach na wróble, którego dzieci obrzuciły kamieniami.

- Mówiłem ci. Inny rodzaj pobicia. Sprawca nie użył pięści ani nawet nóg.

Linda wskazała palcem.

- Co ma na skroni?

Ryży nie odpowiedział. Jego widoczne nad maską oczy jaśniały zdumieniem.

- Co to, Eric? Wygląda jak... nie wiem... szwy.

- A żebyś wiedziała. - Jego maska zafalowała, gdy schowane pod nią usta wykrzywiły się w uśmiechu. Nie zadowolenia; ponurej satysfakcji. - Na czole też. Widzisz? I na szczęce. Ten cios złamał mu szczękę.

- Jaka broń zostawia takie ślady?

- Piłka baseballowa - powiedział Ryży i wsunął szufladę. - Zwyczajna nie, ale taka pozłacana? Owszem. Jeśli uderzyć nią wystarczająco mocno.

Zbliżył czoło do jej czoła. Ich maski zetknęły się ze sobą. Spojrzał żonie w oczy.

- Jim Rennie ma taką. Widziałem ją u niego na biurku, kiedy poszedłem porozmawiać o zaginionym propane. Co do pozostałych nie mam pewności, ale myślę, że wiemy, gdzie zginął Lester Coggins. I kto go zabił.

12

Kiedy zawalił się dach, Julia nie mogła już dłużej na to patrzeć.

- Chodź do mnie - powiedziała Rose. - Pokój gościnny jest twój, jak długo zechcesz.

- Dzięki, ale nie. Teraz muszę być sama, Rose. Sama, no wiesz... z Horace'em. Muszę pomyśleć.

- Gdzie się zatrzymasz? Dasz sobie radę?

- Tak. - Nie była pewna, czy mówi prawdę. Wydawało się, że z jej głową wszystko w porządku, procesy myślowe funkcjonowały sprawnie, ale miała wrażenie, że jej uczuciom ktoś wstrzyknął dużą dawkę nowokainy. - Może wpadnę później.

Kiedy Rosie odeszła drugą stroną ulicy (i odwróciła się, by jeszcze raz z troską spojrzeć na Julię), Julia wróciła do priusa, wpuściła Horace'a na fotel pasażera, a sama usiadła za kierownicą. Rozejrzała się, wypatrując Pete'a Freemana i Tony'ego Guaya, ale nigdzie ich nie było. Może Tony zabrał Pete'a do szpitala po maść na poparzoną rękę. To cud, że żadnemu z nich nie stało się nic gorszego. A gdyby nie zabrała Horace'a ze sobą na spotkanie z Coksem, pies spaliłby się razem ze wszystkim.

Kiedy naszła ją ta myśl, Julia zorientowała się, że jej uczucia jednak nie były oziębiające, tylko się ukrywały. Z jej ust wyszedł dźwięk - coś jakby jęk, lament. Horace zastrzygł swoimi dużymi uszami i spojrzał na nią z obawą. Próbowła się powstrzymać, nie mogła.

Gazeta jej ojca.

Gazeta jej dziadka.

Jej pradziadka.

Popiół.

Pojechała na West Street i skręciła na opuszczony parking na tyłach starego kina. Zgasila silnik, przyciągnęła Horace'a do siebie i przez pięć minut płakała w porośnięty sierścią, muskularny bark. Horace, trzeba przyznać, zniósł to cierpliwie.

Kiedy się wyplakała, było jej lżej. Czula się spokojniejsza. Może to był spokój zrodzony z szoku, ale przynajmniej znów mogła zebrać myśli. A pierwsza z nich dotyczyła jedyne go ocalałego pliku gazet, który miała w bagażniku. Wychyliła się za Horace'a (który z sympatii liznął ją w szyję) i otworzyła schowek. Wypchany był różnymi szpargałami, ale miała wrażenie, że gdzieś tam... być może...

Jest, Jak dar od Boga. Małe plastikowe pudełeczko ze szpilkami, gumkami, pinezkami i spinaczami. Gumki i spinacze się nie przydadzą, ale pinezki i szpilki...

- Horace, chcesz iść na spacer?

Szczeknął, że w rzeczy samej, chce iść na spacer.

- To dobrze. Bo ja też.

Wzięła gazety i poszła z powrotem na Main Street. Z redakcji „Democrata” zostały już tylko dopalające się zgliszcza, które policjanci polewali wodą (z tych jakże praktycznych hydronetek, pomyślała).

Przezornie napełnionych i przygotowanych do użycia). Ten widok ranił jej serce - to oczywiste - ale już nie tak dotkliwie teraz, kiedy miała coś do zrobienia.

Szła z dostojnie krocącym Horace'em u boku i na każdym kolejnym słupie telefonicznym wieszala jeden egzemplarz ostatniego numeru „Democrata”. Nagłówek ROZRUCHY, ZABÓJSTWA - KRYZYS SIĘ POGŁĘBIA w blasku ognia wydawał się oślepiająco jasny. Teraz żałowała, że nie zdecydowała się na inny, krótszy: STRZEŻCIE SIĘ.

Nie przestała, dopóki nie rozwiesiła wszystkich.

Po drugiej stronie ulicy Peter Randolph usłyszał w walkie - talkie trzy trzaski. Pilne. Z obawą, czego się zaraz dowie, wcisnął kciukiem guzik nadawania i rzucił:

- Komendant Randolph. Mów.

To był Freddy Denton, który jako szef nocnej zmiany został de facto zastępcą komendanta.

- Pete, właśnie dzwonili ze szpitala. Podwójne zabójstwo...

- Co?! - wybuchnął Randolph. Jeden z nowych funkcjonariuszy, Mickey Wardlaw, gapił się na niego jak mongołowaty idiota na swoim pierwszym jarmarku.

Denton mówił dalej, spokojny albo zadowolony z siebie. Jeśli to drugie, niech Bóg się nad nim zmiłuje.

- ...i samobójstwo. Zabiła ta dziewczyna, co krzyczała, że ją zgwałcili. Ofiary to nasi, komendancie. Roux i DeLesseps.

- Pierdolisz!

- Wysłałem tam Rupe'a i Mela Searlesa - powiedział Freddy. - Plus jest taki, że już po wszystkim i nie będziemy musieli zapuszkować jej razem z Barb...

- Sam powinienes być pojechać, Fred. Jesteś najwyższy rangą.

- A kto wtedy zostałby na dyżurze?

Randolph nie miał na to odpowiedzi - pytanie było albo za głupie, albo za mądre. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli sam ruszy dupę i pojedzie do szpitala.

Nie chciał już tej roboty. Ani trochę.

Ale było za późno. A z pomocą Dużego Jima jakoś sobie poradzi. Na tym musiał się skupić: Duży Jim pomoże mu przez to przebrnąć.

Marty Arsenault postukał go w ramię. Randolph omal mu nie przyłożył. Arsenault nawet tego nie zauważył; patrzył na drugą stronę ulicy, gdzie Julia Shumway szła ze swoim psem. Szła z psem i...

Rozwieszała gazety. Przypinała je do słupów telefonicznych.

- Suka nigdy sobie nie odpuści - wydyszał.

- Mam ją zmusić, żeby sobie odpuściła? - spytał Arsenault. Marty aż rwał się do czynu i Randolph prawie że się zgodził.

W końcu jednak pokręcił głową.

- Zaraz zaczęłaby ci gędzić o swoich obywatelskich prawach. Jakby nie wiedziała, że sianie paniki nie jest dobre dla miasta. - Potrząsnął głową. - Pewnie nie wie. Jest okropnie... - Było takie słowo, które dobrze ją określało, pamiętał, że poznał je na francuskim w liceum. Nie liczył, że mu się przypomni, ale się przypomniało. - Okropnie naiwna.

- Powstrzymam ją, komendancie. Co, adwokata wezwie?

- A niech baba ma rozrywkę. Przynajmniej dzięki temu nie zawraca nam głowy. Ja

lepiej pojedę do szpitala. Denton mówił, że ta Bushey zabiła Franka DeLessepsa i Georgię Roux. A potem siebie.

- Chryste! - szepnął Marty i krew odpłynęła mu z twarzy. - Myśli pan, że to też sprawka Barbary?

Randolph już miał powiedzieć, że nie, ale zmienił zdanie. Pomyślał o rzuconym przez tę dziewczynę oskarżeniu o gwałt. Teraz, kiedy się zabiła, brzmiało bardziej wiarygodnie, a plotki, że policjanci z Mill mogli zrobić coś takiego, zaszkodziłyby morale jednostki, a co za tym idzie, całemu miastu. Nie musiał tego usłyszeć od Jima Renniego, by to wiedzieć.

- Nie wiem - powiedział - ale to możliwe.

Marty'emu załzawiły się oczy, od dymu albo żalu. A może jednego i drugiego.

- Trzeba dać znać Dużemu Jimowi, on będzie wiedział, co robić.

- Zajmę się tym. Na razie miej ją na oku. - Randolph skinął głową w stronę Julii. - A jak się w końcu zmęczy i sobie pójdzie, pozrywaj te bzdury i wyrzuć tam, gdzie ich miejsce. - Wskazał wielką pochodnię, która do dziś była redakcją gazety. - Śmieci trzeba sprzątać.

Marty parsknął śmiechem.

- Zrozumiałem, szefie.

I funkcjonariusz Arsenault tak właśnie postąpił. Wcześniej jednak inni mieszkańcy miasta zabrali kilka egzemplarzy gazety, żeby przestudiować je w lepszym świetle - może pięć, może dziesięć. Przez następne parę dni przekazywali je sobie z ręki do ręki i czytali dotąd, aż się dosłownie rozleciały.

14

Kiedy Andy przyjechał do szpitala, na miejscu już była Piper Libby. Siedziała na ławce w holu i rozmawiała z dwiema dziewczynami w białych nylonowych spodniach i fartuchach pielęgniarek... choć Andy'emu wydawały się dużo za młode na prawdziwe pielęgniarki. Obie wyglądały, jakby płakały niedawno i lada chwila miały rozplakać się znowu, lecz Andy widział, że obecność wielebnej Libby działa na nie uspokajająco. Jedno, z czym nigdy nie miał kłopotu, to rozpoznawanie ludzkich uczuć. Czasem żałował, że nie jest równie dobry w myśleniu.

Nieopodal stała Ginny Tomlinson, rozmawiała cicho ze starszym facetem. Oboje byli wyraźnie oszołomieni i wstrząśnięci. Ginny zobaczyła Andy'ego i ruszyła ku niemu. Facet poszedł za nią. Przedstawiła go jako Thurstona Marshalla i wyjaśniła, że pomaga w szpitalu.

Andy obdarzył nowego znajomego szerokim uśmiechem i ciepłym uściskiem dłoni.

- Miło mi. Jestem Andy Sanders. Przewodniczący Rady Miejskiej.

Piper zerknęła na niego z ławki.

- Andy, gdybyś naprawdę był przewodniczącym, wziąłbyś w karby swojego zastępcę.

- Wiem, że ostatnie dni były dla was trudne - powiedział Andy, wciąż uśmiechnięty. - Jak dla nas wszystkich.

Piper spojrzała na niego wyjątkowo zimnym wzrokiem, po czym spytała dziewczyny, czy poszłyby do bufetu na herbatę, bo ona by się chętnie napiła.

- Zadzwoiłam po nią zaraz po tym, jak zadzwoiłam do ciebie - wyjaśniła Ginny przeproszającym tonem, kiedy Piper wyprowadziła dwie młode pielęgniarke. - Dzwoniłam też na policję. Odebrał Fred Denton. - Zmarszczyła nos tak, jak to robią ludzie, kiedy poczują smród.

- Oj, Freddy to dobry chłopak - powiedział Andy szczerze. Nie miał do tego wszystkiego serca (myślni nadal był na łóżku Dale'a Barbary. gdzie planował wypić zatrutą różową wodę), lecz automatycznie Powróciły stare nawyki. Okazało się, że z pragnieniem, by załagodzić sytuację, uspokoić wzburzone wody, jest jak z umiejętnością jazdy na rowerze. - Powiedz, co tu się stało.

Słuchał z zadziwiającym spokojem, jeśli wziąć pod uwagę, że rodzinę DeLesseps znał całe życie, a z matką Georgii Roux był na jednej randce w czasach liceum (Helen pocałowała go z otwartymi ustami, co było miłe, ale miała śmierdzący oddech, co już miłe nie było). Pomyślał, że ten zupełny brak emocji bierze się z wiedzy, że gdyby telefon nie zadzwonił, teraz już byłby nieprzytomny. Może martwy. Po czymś takim nabiera się dystansu do świata.

- Dwoje nowych funkcjonariuszy - powiedział. Miał wrażenie, że mówi zupełnie jak ten nagrany głos, który słyszy się, dzwoniąc do kina z pytaniem o repertuar. - W tym funkcjonariuszka ciężko ranna przy próbie opanowania tego bałaganu w supermarkecie. Ojej.

- Pewnie to nie jest najlepszy moment, by o tym mówić, ale nie darzę waszej policji szczególną sympatią - powiedział Thurston. - Choć skoro funkcjonariusz, który mnie uderzył, już nie żyje, nie ma sensu składać skargi.

- Który? Frank czy młoda Roux? - Ten młodzieniec. Poznałem go mimo... mimo tego, jak został oszpecony.

- Frank DeLesseps uderzył pana? - Andy nie mógł w to uwierzyć. Frankie bite cztery lata przynosił mu „Lewiston Sun” i nie opuścił ani jednego dnia. No, może jeden czy dwa, jak o tym pomyśleć, ale to było w czasie silnych zamieci. I raz, kiedy miał odrę. A może świnkę?

- Jeśli tak się nazywał.

- O rety... to... - Jakie to było? I czy w ogóle miało znaczenie? Czy w ogóle cokolwiek miało znaczenie? Mimo to Andy dzielnie kontynuował. - To godne ubolewania. My w

Chester's Mill wierzymy, że każdy powinien należycie wypełniać swoje obowiązki. Robić to, co słuszne. Rzecz w tym, że w tej chwili jesteśmy, że tak powiem, pod lufą pistoletu. To sytuacja, na którą nie mamy wpływu, rozumie pan.

- Rozumiem. I jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta. Tyle że wie pan... ci funkcjonariusze byli bardzo młodzi. I zachowywali się wyjątkowo niestosownie. Moja towarzyszka również została zaatakowana.

Andy po prostu nie mógł uwierzyć, że ten człowiek mówi prawdę. Policjanci z Chester's Mill nie bili bez powodu (i to poważnego); takie rzeczy dzieją się tylko w dużych miastach, gdzie ludzie nie potrafią żyć ze sobą w zgodzie. Z drugiej strony to, że dziewczyna zabiła dwoje policjantów, a potem siebie, też wydawało się czymś, do czego w Mill nie miało prawa dojść.

Nieważne, pomyślał Andy. Ten człowiek jest nie dość, że spoza miasta, to jeszcze spoza stanu.

- Teraz, kiedy tu jesteś, Andy - powiedziała Ginny - nie jestem pewna, co właściwie mógłbyś zrobić. Twitch zajął się ciałami, a...

Otworzyły się drzwi. Weszła młoda kobieta prowadząca za rękę dwoje rozespanych dzieci. Ten starszy gość - Thurston - uściskał ją. Malcy byli boso i mieli na sobie T - shirty służące im za koszule nocne. Ten chłopca, sięgający mu aż po kostki, był z napisami WIEZIEN 9091 i WŁASNOŚĆ WIEZIENIA STANOWEGO W SHAWSHANK. Córka i wnuczka Thurstona, uznał Andy i znów zatęsknił za Claudette i Dodee. Odpędził ich obraz sprzed oczu. Ginny wezwała go na pomoc i było oczywiste, że sama też jej potrzebowała. Co bez wątpienia oznaczało, że będzie musiał raz jeszcze wysłuchać całej historii - kiedy Ginny ją opowie nie z myślą o nim, lecz o sobie. Żeby mogła sama siebie przekonać, że to wszystko prawda, i powoli zacząć się z tym godzić. Andy nie miał nic przeciwko temu. Zawsze był dobrym słuchaczem, a lepsze to niż patrzeć na trzy trupy. Przecież tak łatwo jest słuchać, byle kretyn to potrafi, ale Duży Jim jakoś nigdy nie mógł się tego nauczyć. Lepszy był w mówieniu. I planowaniu - o, w tym też. Jak to dobrze, że mieli go w tych ciężkich czasach.

Kiedy Ginny kończyła swoją powtórzoną relację, Andy'emu przyszła do głowy pewna myśl. Być może ważna.

- Czy ktoś...

Wrócił Thurston, prowadząc ze sobą kobietę i dzieci.

- Panie przewodniczący Sanders... Andy... to moja partnerka, Carolyn Sturges. A to nasi podopieczni, Alice i Aidan.

- Chcę monia - powiedział Aidan posepnie.

- Za duży jesteś na monia - odparła Alice i szturchnęła go łokciem.

Aidan skrzywił się, ale nie zapłakał.

- Alice, to było niegrzeczne - stwierdziła Carolyn Sturges. - A co wiemy o niegrzecznych ludziach? Alice się rozpromieniła.

- Niegrzeczni ludzie są do dupy! - krzyknęła i wybuchnęła śmiechem. Aidan chwilę pomyślał, po czym jej zawtórował.

- Proszę wybaczyć - powiedziała Carolyn do Andy'ego. - Nie miałam ich z kim zostawić, a Thurse był taki zdenerwowany, kiedy zadzwonił...

Czy to możliwe, że ten stary i ta młoda dama...? Andy'ego zainteresowało to tylko przelotnie, choć w innych okolicznościach pewnie oddałby się głębokim rozważaniom typu: w jakich pozycjach, czy robiła mu po francusku tymi swoimi wilgotnymi usteczkami i tak dalej. Teraz jednak co innego chodziło mu po głowie.

- Czy ktoś powiadomił męża Sammy, że ona nie żyje? - spytał.

- Phila Busheya? - odezwał się Dougie Twitchell, który nadszedł z głębi korytarza. Miał zwieszane ramiona i poszarzałą cerę. - Sukinsyn zostawił ją i wyjechał. Wiele miesięcy temu. - Jego spojrzenie padło na Alice i Aidana Appletonów. - Przepraszam, dzieci.

- Nic się nie stało - powiedziała Caro. - W naszym domu nie ma słów zakazanych. Tak jest prawdziwiej.

- No właśnie - wtrąciła Alice. - Możemy mówić gównu i szczyny, kiedy tylko chcemy, przynajmniej dopóki mama nie wróci.

- Ale nie dziwka - podkreślił Aidan. - Dzwinka jest e - ksistowska. Caro nie zwróciła uwagi na te dygresje.

- Thurse, co się stało?

- Nie przy dzieciach - stwierdził. - Słów zakazanych może nie ma, ale tematy owszem.

- Rodzice Franka wyjechali - powiedział Twitch. - Ale skontaktowałem się z Helen Roux. Przyjęła to w miarę spokojnie.

- Pijana? - domyślił się Andy.

- W sztok.

Andy odszedł kawałek w głąb korytarza. Kilku pacjentów, w koszulach szpitalnych i kapciach, stało odwróconych plecami do niego. Domyślił się, że oglądają miejsce masakry. Nie miał ochoty do nich dołączyć i był zadowolony, że Dougie Twitchell zrobił już wszystko, co trzeba. On sam był aptekarzem i politykiem. Miał za zadanie pomagać żywym, nie zajmować się umarłymi. I wiedział coś, czego ci tutaj nie wiedzieli. Nie mógł im powiedzieć, że Phil Bushey wciąż był w mieście i żył jak pustelnik w budynku rozgłośni. Natomiast mógł

powiadomić Phila o śmierci porzuconej przez niego żony. Mógł i powinien. Oczywiście nie da się przewidzieć, jak Phil zareaguje. Ostatnimi czasy nie był sobą. Może wpadnie w szal. Może nawet zabije posłańca przynoszącego złe wieści. Ale czy byłoby to aż tak straszne? Samobójcy podobno idą do piekła, gdzie całą wieczność żywią się rozżarzonymi węglami, ale ofiary morderstw, Andy był tego prawie pewien, trafiają do nieba, gdzie po wsze czasy jedzą przy stole Pana pieczeń wołową i placek z brzoskwiniami. Razem z najbliższymi.

15

Mimo drzemki, którą ucięła sobie w ciągu dnia, Julia była wykończona. A jeśli nie skorzysta z oferty Rosie, nie miała dokąd pójść. Oprócz swojego samochodu, oczywiście.

Wróciła do priusa, odpięła Horace'owi smycz, żeby mógł wskoczyć na fotel pasażera, i usiadła za kierownicą. Próbowwała pomyśleć. Jasne, lubiła Rose Twitcheli, ale Rosie chciałyby roztrząsać wydarzenia tego długiego, straszego dnia. I zapewne dopytywałyby się, co zrobić w sprawie Dale'a Barbary. Oczekiwałyby od Julii pomysłów, a Julia żadnych nie miała.

Tymczasem Horace patrzył na nią i pytał swoimi stojącymi uszami i błyszczącymi ślepami, co teraz. Przypomniała jej się kobieta, która straciła swojego psa. Piper Libby na pewno ją przyjmie i przenocuje bez zbędnego gadania. A po przespanej nocy Julia może znów będzie w stanie myśleć.

Pojechała do kościoła. Jednak na plebanii było ciemno, a na drzwiach wisiała przypięta pinezką kartka. Julia wyciągnęła pinezkę, zabrała kartkę do samochodu i przeczytała ją w świetle lampki.

Pojechałam do szpitala. Była tam strzelanina.

Julia znów wydała z siebie ten niby - lament, a Horace zaskowyczał do wtóru. Wrzuciła wsteczny, ale zanim odjechała, poszła odnieść kartkę na miejsce, na wypadek gdyby jakiś inny parafianin (lub parafianka) w ciężkich kłopotach szukał (szukała) pociechy u jedynej przewodniczki duchowej w Mill.

Dokąd więc? Do Rosie, mimo wszystko? Ale ona pewnie już położyła się spać. Do szpitala? Julia może i zmusiłaby się, żeby tam pojechać mimo szoku i zmęczenia, gdyby miało to jakiś cel, lecz skoro już nie było „Democrata”, który mógłby donieść, co się stało, nie widziała powodu, żeby narażać się na oglądanie nowych okropieństw.

Zjechała tyłem z podjazdu i skrzyła na Town Common Hill. Nie miała pomysłu, dokąd się wybrać, aż do chwili, kiedy dotarła na Prestile Street. Trzy minuty później już parkowała wóz przed domem Andrei Grinnell. U niej jednak też było ciemno. Nikt nie zareagował na ciche pukanie do drzwi. A że Julia nie mogła wiedzieć, że Andrea leży w łóżku

i po raz pierwszy, odkąd rzuciła prochy, twardo śpi, uznała, że pewnie poszła do brata albo nocuje u któregoś ze znajomych.

Horace tymczasem siedział na wycieraczce pod drzwiami, patrzył na swoją panią i czekał, aż coś postanowi, jak zawsze. Ona jednak miała zbyt wielką pustkę w głowie, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję, i była tak padnięta, że gdyby spróbowała gdzieś pojechać, wyleciałaby z drogi i zabiła ich oboje.

Raz po raz wracała myślami nie do płonącego budynku, w którym zostawiła całe swoje życie, lecz do miny pułkownika Coksa w chwili, kiedy go spytała, czy pozostawiono ich samych sobie.

„Wykluczone - powiedział. - Absolutnie nie”. Ale mówiąc to, nie mógł spojrzeć jej prosto w oczy.

Na ganku była huśtawka. Jeśli nie będzie innego wyjścia, można się na niej przespać. Tylko jeszcze...

Przekręciła gałkę w drzwiach. Były otwarte. Ona się zawahała; Horace nie. Pewien, że wszędzie jest mile widziany, od razu wpadł do środka. Weszła za nim. Pomyślała: Mój pies podejmuje decyzje. Do tego doszło.

- Andrea! - zawołała. - Andi, jesteś? To ja, Julia.

Andrea nie usłyszała. Była na górze, leżała na plecach i chrapała jak kierowca tira po czterech dniach w trasie. Tylko jej lewa stopa jeszcze nie zaprzestała podrygów wywołanych odstawieniem prochów.

W salonie panował mrok, ale nie zupełny; Andi zostawiła w kuchni zapaloną lampkę na baterie. Śmierdziało. Okna były pootwierane, ale przy braku choćby najlżejszego powiewu odór wymiocin nie wywietrzała całkowicie. Ktoś chyba mówił, że Andrea jest chora? Na grype czy coś? Równie dobrze mógł to być głód narkotyczny, jeśli skończyły jej się pigułki.

Tak czy owak, choroba to choroba, a chorzy zwykle nie chcą być sami. Zapewne Andrea przeniosła się do brata. Dom był pusty, a Julia taka zmęczona. Po drugiej stronie pokoju stała ładna długa kanapa, która przyzywała ją do siebie. Jeśli Andi jutro wróci i ją tu zastanie, na pewno zrozumie. Może nawet zrobi jej herbatę. Będą się z tego śmiały.

Odpięła Horace'owi smycz, położyła się i wsunęła sobie poduszkę pod głowę. Pies legł na podłodze, z pyskiem na łapie.

- Bądź grzeczny - powiedziała i zamknęła oczy. Kiedy to zrobiła, znów zobaczyła Coksa, który unikał jej wzroku. Bo podejrzewał, że zostaną pod kloszem jeszcze długo.

Jednak ludzki organizm potrafi zadbać o siebie na sposoby mózgowi nieznane. Julia zasnęła z głową oddaloną o niecały metr od koperty, którą rano próbowała jej dostarczyć

Brenda. W którymś momencie Horace wskoczył na kanapę i zwinął się w kłębek przy kolanach swojej pani. I w takiej właśnie pozycji zastała ich Andrea, kiedy rankiem dwudziestego piątego października zeszła na dół, czując po raz pierwszy od lat, że znów jest sobą.

16

W swym salonie Ryży podał mrożoną herbatę Lindzie, Jackie i Stacey Moggin, po czym opowiedział w skrócie o tym, co zobaczył w piwnicy domu pogrzebowego. Pierwsze pytanie zadała Stacey. Było czysto praktyczne.

- Pamiętaliście, żeby zamknąć na klucz?

- Tak - powiedziała Linda.

- To mi go dajcie, muszę odłożyć na miejsce.

My i oni, pomyślał Ryży znowu. O to będzie chodziło w tej rozmowie.

O to już chodzi. O nasze tajemnice. Ich władzę. Nasze plany. Ich cele.

Linda oddała jej klucz, po czym spytała Jackie, czy były jakieś kłopoty z dziewczynkami.

- Żadnych ataków, jeśli o to się martwisz. Spały jak aniołki przez cały czas, kiedy was nie było.

- Co z tym zrobimy? - spytała Stacey. Była zdeterminowana. - Jeśli chcecie aresztować Renniego, będziemy musieli we czworo przekonać Randolpha, żeby to zrobił. My trzy jako policjantki, Ryży jako pełniący obowiązki lekarza sądowego.

- Nie! - Jackie i Linda powiedziały to razem, Jackie stanowczo, Linda z przerażeniem.

- Mamy hipotezę, ale żadnych dowodów - wyjaśniła Jackie. - Nie jestem pewna, czy Pete Randolph by nam uwierzył, nawet gdybyśmy mieli nagrania z kamer monitoringowych pokazujące, jak Duży Jim skręca Brendzie kark. On i Rennie siedzą w tym razem, na dobre i na złe. A większość policjantów stanęłaby po stronie Pete'a.

- Zwłaszcza ci nowi - powiedziała Stacey, targając kłęb swoich włosów. - Wielu z nich to nie orły, ale są gorliwi. I lubią nosić broń. Poza tym dziś pojawiło się sześciu czy ośmiu następnych. Dzieciaki ze szkoły średniej. Napakowany, durni i pełni entuzjazmu. Przerażają mnie jak diabli. I jeszcze jedno. Thibodeau, Searles i Junior Rennie namawiają nowych, żeby przyprowadzili następnych. Jeszcze parę dni i to już nie będzie policja, tylko armia nastolatków.

- Nikt by nas nie wysłuchał? - spytał Ryży. Właściwie nie z niedowierzaniem; po prostu dla pewności. - Nikt?

- Może Henry Morrison - powiedziała Jackie. - Widzi, co się dzieje, i to mu się nie podoba. Ale pozostali? Godzą się na wszystko. Po części ze strachu, a po części dlatego, że lubią władzę. Tacy goście jak Toby Whelan i George Frederick nigdy nie byli ważni, a tacy jak Freddy Denton to po prostu bydlaki.

- Czyli co z tego wynika? - spytała Linda.

- Że na razie zachowamy to dla siebie. Jeśli Rennie ma na koncie cztery morderstwa, jest bardzo niebezpieczny.

- Ale jeśli będziemy czekać, stanie się bardziej, nie mniej niebezpieczny - zaprotestował Ryży.

- Musimy myśleć o Judy i Janelle. - Linda skubała zębami paznokcie; Ryży od lat nie widział, by to robiła. - Nie możemy ich narażać. Nawet nie biorę tego pod uwagę i tobie też nie pozwolę.

- Ja również mam dziecko - powiedziała Stacey. - Mój Calvin ma dopiero pięć lat. Musiałam zebrać całą odwagę po to tylko, żeby stanąć na czatach przed domem pogrzebowym. Sama myśl, że miałabym pójść z tym do tego tłuka Randolpha... - Nie musiała kończyć, bladość jej policzków była aż nadto wymowna.

- Nikt cię o to nie prosi - stwierdziła Jackie.

- Na razie mogę tylko udowodnić, że tej piłki baseballowej użyto wobec Cogginsa - powiedział Ryży. - Każdy mógł to zrobić, nie tylko Rennie. Kurde, jego własny syn mógł to zrobić.

- Prawdę mówiąc, nie byłby to dla mnie wielki szok. - Stacey znów szarpała się za włosy. - Junior ostatnio jest jakiś dziwny. Wywalili go z Bowdoin za udział w bójce. Nie wiem, czy jego ojciec o tym wie, ale wezwano policję do siłowni, w której to się stało, i widziałam przesłany telegraficznie raport. A te dwie dziewczyny... jeśli zabójstwa miały tło seksualne...

- Miały - rzekł Ryży - Potworność. Lepiej żebyś nie znała szczegółów.

- Ale Brenda nie była napastowana seksualnie - zauważyła Jackie. - Jak dla mnie, to wskazuje, że z Cogginsem i Brendą było inaczej niż z tymi dziewczynami.

- Może Junior zabił dziewczyny, a jego stary Brendę i Cogginsa.

- Ryży czekał, aż ktoś się zaśmieje. Nie doczekał się. - Jeśli tak, pytanie dlaczego.

Pokręciły głowami.

- Musiał być jakiś motyw - ciągnął Ryży. - Ale wątpię, czy chodziło o seks.

- Sądzisz, że facet ma coś do ukrycia - powiedziała Jackie.

- Tak. I domyślam się, kto może wiedzieć co. Człowiek, który siedzi zamknięty w

piwnicy komisariatu.

- Barbara? - zdziwiła się Jackie. - Czemu miałby to wiedzieć?

- Bo rozmawiał z Brendą. Dzień po tym, jak pojawił się klosz, ucięli sobie długą pogawędkę w jej ogródku.

- A ty skąd to wiesz? - zdumiała się Stacey.

- Od Giny Buffalino. Mieszka z rodziną obok Perkinsów i jej okno wychodzi na ich ogródek. Widziała, jak rozmawiali, i wspomniała mi o tym. - Wzruszył ramionami. - Cóż, miasto nie jest wielkie. Wszyscy gramy razem.

- Powiedziałaś jej, żeby trzymała język za zębami, mam nadzieję - rzuciła Linda.

- Nie, bo kiedy mi o tym mówiła, nie miałem powodu podejrzewać, że Duży Jim mógł zabić Brendę. Czy że rozwalił Lesterowi Cogginsowi głowę pamiątkową piłką baseballową. Nie wiedziałem nawet, że oni nie żyją.

- Tak czy owak, nie ma pewności, że Barbie coś wie - powiedziała Stacey. - Oczywiście poza tym, jak przyrządzić fantastyczny omlet z grzybami i serem.

- Ktoś będzie go musiał spytać - stwierdziła Jackie. - Wyznaczam siebie.

- Nawet jeśli coś wie, czy to nam pomoże? - zastanawiała się Linda. - Mamy tu już prawie dyktaturę. Dopiero to do mnie dociera. Pewnie to znaczy, że jestem tępą.

- Raczej ufna niż tępą - sprostowała Jackie - a normalnie ufność to zaleta. Co do pułkownika Barbary, nie dowiemy się, na ile może nam pomóc, dopóki go o to nie spytamy. - Zawiesiła głos. - Wiecie, tak naprawdę nie to jest najważniejsze. On jest niewinny. To jest najważniejsze.

- A jeśli go zabiją? - spytał Ryży otwarcie. - Zastrzelą podczas Próby ucieczki?

- Jestem prawie pewna, że do tego nie dojdzie - powiedziała Jackie.

- Duży Jim chce procesu pokazowego. Mówi się o tym na komisariacie. Chcą przekonać ludzi, że Barbara to pająk oplatający miasto gigantyczną siecią spiskową. Potem będą mogli wykonać na nim egzekucję. Ale nawet gdyby uwijali się jak w ukropie, i tak zajmie im to trochę czasu. Parę tygodni, jeśli dopisze nam szczęście.

- Tyle szczęścia to my mieć nie będziemy - uznała Linda. - Zwłaszcza jeśli Renniemu się śpieszy.

- Może masz rację, ale tak czy owak najpierw musi odbębnić zebranie nadzwyczajne w czwartek wieczorem. I będzie chciał przesłuchać Barbarę. Skoro Ryży wie, że rozmawiał z Brendą, wie to też Rennie.

- Oczywiście, że wie! - Stacey wydawała się zniecierpliwiona. - Byli razem, kiedy Barbara pokazał Jimowi pismo od prezydenta.

Chwilę myśleli o tym w milczeniu.

- Jeśli Rennie coś ukrywa - zastanawiała się Linda na głos - będzie potrzebował czasu, żeby się tego pozbyć.

Jackie się roześmiała. Ten dźwięk w atmosferze pełnej napięcia był niemal szokujący.

- Powodzenia! Cokolwiek to jest, nie wrzuci tego na pakę ciężarówki i nie wywiezie z miasta.

- Coś, co ma związek z propanem? - spytała Linda.

- Może - powiedział Ryży. - Jackie, byłeś w wojsku, prawda?

- W wojskach lądowych. Zaliczyłam dwa okresy służby. W żandarmerii. Nie powąchałam prochu, choć ofiar widziałam dużo, zwłaszcza w drugim okresie. Würzburg, Niemcy, Pierwsza Dywizja Piechoty. No wiecie, Wielka Czerwona Jedynka. Głównie przerywałam bójki w barach albo stałam na warcie przed szpitalem. Znałam takich gości jak Barbie i wiele bym dała, żeby zamiast w tej celi był tu, z nami. Prezydent nie bez powodu powierzył władzę właśnie jemu. A przynajmniej próbował. - Na chwilę zamilkła. - Może dałoby się go uwolnić. Warto o tym pomyśleć.

Pozostałe dwie kobiety - policjantki, a zarazem matki - nic nie odpowiedziały, ale Linda znów zaczęła ogryzać paznokcie, a Stacey szarpać włosy.

- Wiem - powiedziała Jackie. Linda pokręciła głową.

- Nie masz dzieci, które śpią na gorze, ufne, że rano zrobisz im śniadanie, więc nie, nie wiesz.

- Może nie, ale zadaj sobie takie pytanie: jeśli jesteśmy odcięci od świata i jeśli człowiek, który nami rządzi Jest świrem i mordercą, czy sytuacja zmieni się na lepsze, jeśli będziemy siedzieć z założonymi rękami?

- Gdybyśmy go uwolnili - rzekł Ryży - co byś z nim zrobiła? Raczej nie możesz go objąć programem ochrony świadków.

- Nie wiem. - Jackie westchnęła. - Wiem tylko, że prezydent kazał mu przejąć władzę, a ten jebaniec Duży Jim Rennie zrobił go w zabójstwo, żeby do tego nie dopuścić.

- Na razie nie rób niczego - poprosił Ryży. - Nawet nie podejmuj ryzyka rozmowy z nim. W grę wchodzi coś jeszcze, coś, co może wszystko zmienić.

Powiedział im o liczniku Geigera - o tym, jak dostał go w swoje ręce, komu go przekazał i co Joe McClatchey znalazł.

- To wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe - stwierdziła Stacey. - Ten McClatchey ma... ile? Czternaście lat?

- Zdaje się, że trzynaście. Ale bystry z niego chłopak i ja mu wierzę, że licznik na

Black Ridge Road wykazuje skok promieniowania. Jeśli rzeczywiście tam jest to coś, co wytwarza kopułę, i można by to wyłączyć...

- Wtedy to wszystko by się skończyło! - krzyknęła Linda. Oczy jej błyszczały. - A Jim Rennie pękłby jak... jak przebity balon!

- Byłoby miło, co? - powiedziała Jackie Wettington. - Gdyby to było w telewizji, nawet bym chętnie obejrzała.

17

- Phil! - zawołał Andy. - Phil!

Musiał podnieść głos, żeby było go słychać. Bonnie Nandella i The Redemptions grali „My Soul is a Witness” na cały regulator. Te wszystkie „tu - huu” i „o - jee” trochę dezorientowały, podobnie jak jasne światło w rozgłośni. Dopóki nie stanął pod tymi jarzeniówkami, nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ciemno zrobiło się w Mill. I jak bardzo do tego przywykł.

- Kucharzu!

Żadnej odpowiedzi. Zerknął na telewizor (CNN z wyłączonym dźwiękiem), po czym zajrzał przez podłużne okno do studia. Tam też paliły się światła, a cały sprzęt pracował (ciarki go przeszły na ten widok, mimo że Lester Coggins kiedyś wyjaśnił z wielką dumą, że wszystkim steruje komputer), ale Phila nigdzie nie było.

I nagle poczuł kwaśny zapach starego potu. Odwrócił się i proszę, Phil stał tuż za nim, zupełnie jakby wyskoczył spod podłogi. W jednej dłoni trzymał coś, co wyglądało jak pilot do otwierania drzwi garażu. W drugiej pistolet. Pistolet wymierzony w pierś Andy'ego. Na spuście spoczywał palec ze zbielałym knykciem, lufa lekko drżała.

- Cześć, Phil - powiedział Andy. - To znaczy, Kucharzu.

- A ty tu czego? - spytał Kucharz Bushey. Po prostu śmierdział. Miał na sobie dzinsy i T - shirt z napisem WCIK, jedno i drugie utyłane. Był boso (pewnie dlatego wszedł bezszelestnie) i jego stopy pokrywała skorupa brudu. Włosów nie mył z rok albo dłużej. Najgorsze były jego oczy, przekrwione i pełne udreki. - Gadaj szybko, stary, bo inaczej już nigdy nic nikomu nie powiesz.

Andy, który nie tak dawno o mały włos uniknął śmierci od różowej wody, przyjął groźbę ze spokojem, jeśli nie z radością.

- Rób, co musisz, Phil. To znaczy, Kucharzu.

Kucharz uniósł brwi ze zdumieniem. Ospałym, lecz autentycznym. - Tak? - Jak najbardziej.

- Co tu robisz?

- Przynoszę złe wieści. Bardzo mi przykro.

Kucharz to przemyślał, po czym uśmiechnął się, odsłaniając kilka ocalałych zębów.

- Nie ma czegoś takiego jak złe wieści. Powraca Chrystus, a ta dobra nowina przyćmiewa wszystkie złe. To jak bonus na płycie z Dobrą Nowiną. Zgadzasz się?

- Tak, alleluja. Niestety... a może wypadałoby powiedzieć na szczęście... twoja żona jest już u Jego boku.

- Że jak?

Andy wyciągnął rękę i skierował lufę pistoletu do podłogi. Kucharz nie próbował mu przeszkodzić.

- Samantha nie żyje, Kucharzu. Przykro mi, ale dziś odebrała sobie życie.

- Sammy? Nie żyje? - Kucharz wrzucił pistolet do koszyka na korespondencję wychodzącą, który stał na pobliskim biurku. Opuścił też pilota do drzwi garażu, ale go nie odłożył. Przez ostatnie dwa dni nieprzerwanie trzymał go w ręku, nawet przy tych coraz rzadszych okazjach, kiedy udawało mu się zasnąć.

- Przykro mi, Phil. Kucharzu.

Andy przedstawił okoliczności śmierci Sammy tak, jak je zrozumiał, a na koniec dodał pocieszającą wiadomość, że dziecku nic się nie stało. (Nawet w rozpaczy dla Sandersa szklanka była w połowie pełna).

Kucharz zbył wieść o dobrym samopoczuciu Little Waltera machnięciem pilota.

- Rąbnęła dwóch psów? Na to Andy zeszywniał.

- To byli policjanci, Phil. Porządni ludzie. Działała pod wpływem emocji, nie wątpię, ale mimo to postąpiła bardzo źle. Musisz to odwołać.

- Że jak?

- Nie pozwolę, żebyś nazywał naszych policjantów psami. Kucharz się zastanowił.

- Taa, dobra, dobra, odwołuję.

- Dziękuję.

Kucharz zgiął się wpół (to wyglądało tak, jakby szkielet się kłaniał) i zajął Andy'emu w twarz.

- Odważnyś, kurwa, co?

- Nie - odparł Andy szczerze. - Po prostu już mi nie zależy. Kucharz jakby zobaczył coś, co go zaniepokoiło. Chwytał Andy'ego za ramię.

- Bracie, dobrze się czujesz?

Andy wybuchnął płaczem i zwałił się na krzesło pod tabliczką uprzedzającą, że

CHRYSTUS OGLĄDA KAŻDY KANAŁ, CHRYSTUS SŁUCHA KAŻDEJ ROZGŁOŚNI. Oparł głowę o ścianę pod tym dziwnie złowieszczym hasłem, łkając jak dziecko ukarane za podkradanie konfitur. To ten „brat” tak na niego podziałał; ten zupełnie nieoczekiwany „brat”.

Kucharz przyjrzał się Andy'emu z miną przyrodnika obserwującego rzadkie zwierzę w dziczy.

- Sanders, przyjechałeś po to, żebym cię zabił?

- Nie - wykrztusił Andy przez łyżę. - Może. Tak. Nie wiem. Całe życie mi się zawaliło. Moja żona i córka nie żyją. Myślę, że to kara boska za handlowanie tym gównem...

Kucharz skinął głową.

- Może tak być.

- ...i szukam odpowiedzi. Albo spokoju ducha. Czy czegoś takiego. Oczywiście, chciałem też powiedzieć ci o twojej żonie, trzeba robić to, co słuszne...

Kucharz poklepał go po ramieniu.

- I zrobiłeś, bracie. Jestem wdzięczny. Marna z niej była kucharka, o dom dbała jak świnia o gnojówkę, ale upalona ruchała się nieziemsko. Co miała do tych dwóch niebieskich?

Nawet pograżony w rozpacz Andy nie zamierzał wspominać o oskarżeniu o gwałt.

- Pewnie kopuła wyprowadziła ją z równowagi. Słyszałeś o kopule, Phil? Kucharzu?

Kucharz znów machnął ręką, chyba w potakującym geście.

- To, co mówisz o amfie, to prawda. Handlowanie nią to zło. Obraza. Ale robienie jej... to wola Boża.

Andy opuścił dłonie i spojrzał na Kucharza napuchniętymi oczami.

- Tak myślisz? Bo ja nie jestem tego taki pewny.

- Próbowałeś jej?

- Nie! - krzyknął Andy, co najmniej jakby Kucharz spytał go, czy uprawiał seks z cocker - spanielem.

- Wziąłbyś lekarstwo, gdyby przepisał ci je lekarz?

- Cóż... tak, oczywiście, ale...

- Amfa to lekarstwo. - Kucharz z powagą postukał go palcem w pierś. Paznokciec miał ogryziony do krwi i żywego mięsa. - Amfa to lekarstwo. Powiedz to.

- Amfa to lekarstwo - grzecznie powtórzył Andy.

- Zgadza się. - Kucharz wstał. - Lekarstwo na melancholię. To z Raya Bradbury'ego. Czytałeś kiedyś Raya Bradbury'ego? - Nie.

- Ten to dopiero miał jazdy. Kurwa, znał temat jak nikt, alleluja. Chodź ze mną. Odmienię twoje życie.

Przewodniczący rady Chester's Mill polubił amfę jak żaba muchy.

Za kuchenkami stała stara, wyliniała kanapa. Tam Andy i Kucharz Bushey siedzieli pod obrazem przedstawiającym Chrystusa na motocyklu (tytuł: „Twój niewidoczny towarzysz podróży”) i podawali sobie fajkę. Palona metamfetamina pachnie jak szczyny po trzech dniach w odkrytym nocniku, ale po pierwszym, nieśmiałym sztachu Andy nabrał pewności, że Kucharz miał słusność: handlowanie nią to może i dzieło szatana, ale sam towar stworzyć musiał Bóg.

Świat nigdy jeszcze nie miał w jego oczach tej cudownej, delikatnie rozedrganej klarowności. Tętno mu skoczyło, naczynia krwionośne w szyi naprężyły się jak pulsujące sznury, dziąsła mrowiły, a po jajach przechodziły rozkoszne ciarki jak za młodu. A najlepsze było to, że zniknęło znużenie, które przygniatało mu barki i mąciło myśli. Czuł, że mógłby wozić góry taczkami.

- W rajskim ogrodzie było drzewo - powiedział Kucharz, podając mu fajkę. Z obu jej końców wysnuwały się macki zielonego dymu. - Drzewo poznania dobra i zła. Jarzysz?

- Tak. To z Biblii.

- A żebyś, kurteczka, wiedział. I na tym drzewie było jabłko.

- Jasne, jasne. - Andy wziął malutkiego sztacha. Chciał więcej, chciał wypalić wszystko, ale bał się, że jeśli wciągnie dym głęboko do płuc, głowa wystrzeli mu z karku i zacznie latać po całym laboratorium jak rakieta, buchając płomieniami z uciętej szyi.

- Miąszem jabłka tego jest Prawda, skórka zaś Amfa - powiedział Kucharz.

- Niesamowite! Kucharz skinął głową.

- Tak, Sanders. Niesamowite. - Wziął od Andy'ego fajkę. - Niezły towar, co?

- Niesamowity towar.

- Chrystus powróci w Halloween - stwierdził Kucharz. - Może kilka dni wcześniej, trudno powiedzieć. Wiesz, sezon Halloween już się zaczął. Sezon w dupę jebanej czarownicy.

- Podał Andy'emu fajkę i wskazał coś dłonią trzymającą pilota do drzwi garażu. - Widzisz to? Tam, na końcu galerii. Nad drzwiami do magazynu.

- Co? Tę białą bryłę? Co wygląda jak glina?

- To nie glina. To Ciało Chrystusa.

- A te kable, które z niej wychodzą?

- To żyły, którymi płynie Krew Chrystusa.

Andy przemyślał ten koncept. Genialne, stwierdził.

- To dobrze. - Jeszcze chwilę się zastanowił. - Kocham cię, Phil... Kucharzu. Cieszę się, że tu przyszedłem.

- Ja też - powiedział Kucharz. - Słuchaj, chcesz się przejechać? Mam tu gdzieś samochód... zdaje się... ale trochę mnie telepie.

- Jasne. - Andy wstał. Świat przez chwilę wirował mu przed oczami, ale zaraz wrócił do równowagi. - Dokąd chcesz jechać?

19

Ginny Tomlinson spała w rejestracji z głową na okładce pisma „People”, na której Brad Pitt i Angelina Jolie baraszkowali wśród fal na jakiejś małej, seksownej wyspie, gdzie kelnerzy przynoszą człowiekowi drinki z małymi parasolkami. Kiedy coś obudziło ją za piętnaście drugą w nocy z wtorku na środę, zobaczyła przed sobą widmo - wysokiego chudzielca o zapadniętych oczach i włosach sterczących na wszystkie strony. Miał na sobie T - shirt WCIK i dzinsy wiszące nisko na wątych biodrach. Z początku pomyślała, że śni koszmar o żywych trupach, ale potem poczuła zapach. Żaden sen tak nie cuchnie.

- Jestem Phil Bushey - powiedziało widmo. - Przeszedłem po ciało żony. Pochowam ją. Pokaż, gdzie jest.

Ginny nie oponowała. Wydałaby wszystkie ciała, byle tylko się go pozbyć. Poprowadziła go obok Giny Buffalino, która stała przy wózku i obserwowała Kucharza, pobladała z lęku. Kiedy na nią spojrział, cofnęła się.

- Masz już przebranie na Halloween, mała? - spytał. - Tak...

- Kim będziesz?

- Glindą - odparła dziewczyna słabym głosem. - Choć pewnie na imprezę i tak nie pójdę. Jest w Motton.

- Ja przyjdę jako Jezus - powiedział Kucharz. Poszedł za Ginny, brudna zjawa w rozpadających się converse'ach. Nagle się odwrócił. Uśmiechał się. Miał puste oczy. - O rany, ale wam dam popalić.

20

Dziesięć minut później Kucharz Bushey wyszedł ze szpitala, niosąc na rękach zawinięte w prześcieradło ciało Sammy. Jedna bosa stopa, z paznokciami pomalowanymi odlażącym różowym lakierem, kiwała się w górę i w dół. Ginny przytrzymała mu drzwi. Nie spozjrzała, kto siedzi za kierownicą samochodu, który stał z włączonym silnikiem, i Andy'emu

nie wiedzieć czemu ulżyło z tego powodu. Zaczekał, aż Ginny wróci do środka, po czym wysiadł i otworzył jedno skrzydło tylnych drzwi. Kucharz łatwo radził sobie z ciężarem jak na człowieka, z którego właściwie została sama skóra rozpięta na rusztowaniu z kości. Może amfa daje też siłę, pomyślał Andy. Jeśli tak, jego siły już się wyczerpywały. Znow wkradała się depresja. I zmęczenie.

- W porządku - rzucił Kucharz. - Jedź. Ale najpierw daj mi to. Wcześniej zostawił Andy'emu pilota do drzwi garażu. Andy mu go oddał.

- Do domu pogrzebowego?

Kucharz spojrział na niego jak na wariata.

- Do rozgłośni. Kiedy Chrystus powróci, tam przyjdzie najpierw.

- W Halloween.

- Zgadza się. Albo wcześniej. Tymczasem pomożesz mi pochować to dziecko Boże?

- Oczywiście - odparł Andy. Po chwili dodał nieśmiało: - Może najpierw byśmy jeszcze trochę wypalili.

Kucharz roześmiał się i klepnął go w ramię.

- Polubiłeś to, co? Wiedziałem, że tak będzie.

- Lekarstwo na melancholię - powiedział Andy.

- Święta prawda, bracie. Święta prawda.

21

Barbie na pryczy czekał na świt i to, co będzie potem. W Iraku nauczył się nie martwić tym, co niesie przyszłość, i choć w najlepszym razie była to umiejętność niedoskonała, do pewnego stopnia ją opanował. Koniec końców, kto żyje w strachu (a przez lata nabrał przekonania, że przezwyciężenie strachu to mit), przestrzegać musi dwóch zasad, zasad, które powtórzył sobie teraz, kiedy tak leżał i czekał.

Muszę zaakceptować to, co nie zależy ode mnie.

Muszę obrócić wszelkie przeciwności na moją korzyść.

Druga zasada oznaczała konieczność starannego gospodarowania dostępnymi środkami i uwzględnienia ich w swoich planach.

Liczba dostępnych środków: jeden. Jego scyzoryk, schowany w materacu. Był mały, z dwoma zaledwie ostrzami, ale nawet tym krótszym można poderznąć człowiekowi gardło. To ogromne szczęście, że go miał, i zdawał sobie z tego sprawę.

Wszelkie procedury związane z przyjęciem aresztanta, których przestrzegania zapewne domagałby się Howard Perkins, rozpadły się w proch i pył po jego śmierci i awansie Petera

Randolpha. Wstrząsające wydarzenia ostatnich czterech dni zapewne ścięłyby z nóg każdą jednostkę policji na świecie, myślał Barbie, ale tu chodziło o coś więcej. Wszystko sprowadzało się do tego, że Randolph był głupi i niedbały, a w każdym urzędzie jest tak, że szeregowi pracownicy wiernie naśladowują swojego szefa.

Zrobili mu zdjęcia, pobrali odciski palców, ale minęło pięć godzin, zanim zmęczony i zniesmaczony Henry Morrison zszedł na dół i zatrzymał się dwa metry od celi Barbiego. Daleko poza zasięgiem jego rąk.

- Czegoś zapomniałeś? - spytał Barbie.

- Opróżnij kieszenie i wysuń wszystko na korytarz. Potem zdejmij spodnie i wystaw je za kraty.

- Jeśli to zrobię, dostanę do picia coś, czego nie będę musiał siorbać z kibla?

- Co ty gadasz? Junior przyniósł ci wodę. Sam widziałem.

- Dosypał do niej soli.

- Jasne. Na pewno. - Ale Henry jakby się lekko zawahał. Może jeszcze miał w sobie coś z myślącej istoty ludzkiej. - Rób, co ci każe, Barbie... Barbara.

Barbie opróżnił kieszenie: portfel, klucze, drobniaki, mały zwitek banknotów, medalik ze świętym Krzysztofem. Scyzoryk od dawna był w materacu.

- Jak chcesz, możesz mówić mi Barbie, nawet jak założysz mi stryczek i mnie powieszysz. Takie są plany Renniego? Powieszenie? Czy rozstrzelanie?

- Zamknij się i wystaw spodnie przez kraty. Koszulę też. - Henry mówił jak małomiasteczkowy twardziel pełną gębą, ale Barbie widział po nim, że jest niepewny jak nigdy dotąd. Dobrze. To już jakiś początek.

Zeszli na dół dwaj nowi smarkaci policjanci. Jeden miał kanister z gazem łzawiącym; drugi paralizator.

- Pomóc wam, posterunkowy Morrison? - spytał któryś z nich. - Nie, ale możecie stać tam przy schodach i mieć oczy szeroko otwarte, dopóki nie skończę - odparł Henry.

- Nikogo nie zabiłem - powiedział Barbie cicho, ale z całą szczerością, na jaką było go stać. - I myślę, że o tym wiesz.

- Wiem, że jak się nie zamkniesz, to zrobię ci lewatywę paralizatorem.

Henry przeszukał jego ubrania, ale nie kazał Barbiemu rozebrać się do majtek i rozchylić pośladków. Rewizja spóźniona i nieudolna, ale Barbie dał mu kilka punktów za to, że w ogóle pamiętał, by ją przeprowadzić - on jeden.

Po wszystkim Henry odkopnął mu dzinsy - z opróżnionymi kieszeniami i bez zarekwirowanego paska - z powrotem przez kraty.

- Medalika nie oddasz? - Nie.

- Henry, pomyśl. Co miałbym...? - Zamknij się.

Ze spuszczoną głową i rzeczami Barbiego w rękach Henry przecisnął się obok dwóch smarkatych policjantów. Obaj ruszyli za nim; jeden zatrzymał się na dość długo, by radośnie wyszczerzyć zęby do więźnia i przesunąć palcem po szyi.

Od tego czasu Barbie był sam i nie miał nic innego do roboty, jak tylko leżeć na pryczy, patrzeć na małe, wąskie okienko (matowe szkło wzmocnione drutem) i czekając na świt, zastanawiać się, czy naprawdę spróbują go podtapiać, czy Searles tak tylko gadał. Gdyby to zrobili i okazali się w tym tak kiepscy jak w postępowaniu wobec nowo przyjmowanych więźniów, bardzo możliwe, że by go utopili.

Był też ciekaw, czy przed świtem ktoś do niego zejdzie. Ktoś z kluczem. Ktoś, kto mógłby stanąć trochę za blisko drzwi. Z nożem ucieczka nie byłaby całkowicie wykluczona, ale raczej tylko zanim nastanie świt. Może powinien był spróbować, kiedy Junior podał mu słoną wodę... tyle że Junior aż się rwał, żeby użyć broni. Szanse byłyby niewielkie, a Barbie nie był aż tak zdesperowany.

Poza tym... dokąd miałby pójść?

Nawet gdyby uciekł i zniknął, naraziłby swoich przyjaciół na poważne kłopoty. Czekaloby ich intensywne „przesłuchanie” przez gliny pokroju Melvina i Juniora. Teraz Duży Jim jest w siodle i będzie pędził na złamanie karku, aż koń pod nimi padnie.

Barbie zapadł w płytki, niespokojny sen. Śniła mu się blondyneczka w starym fordzie F - 150. Śniło mu się, że go zabrała i wydostali się z Chester's Mill w samą porę. Właśnie rozpięła bluzkę, odsłaniając miseczki koronkowego lawendowego stanika, kiedy ktoś powiedział:

- No, chuju złamany, pobudka!

Jackie Wettington nocowała u Everettów i choć dzieci były cicho, a łóżko w pokoju gościnnym okazało się wygodne, nie mogła zmrużyć oka. O czwartej nad ranem zdecydowała, co trzeba zrobić. Rozumiała, na co się naraża; wiedziała też, że nie będzie mogła spać spokojnie, dopóki Barbie siedzi w celi. Gdyby sama była w stanie zorganizować jakiś ruch oporu czy choćby poważne dochodzenie w sprawie zabójstw, chyba do tej pory już by się do tego wzięła. Jednak za dobrze siebie znała. Owszem, całkiem nieźle sobie radziła w tym, co robiła na wyspie Guam i w Niemczech - głównie sprowadzało się to do wyganiania pijanych żołnierzy z barów, ścigania dezertów i sprzątanania po wypadkach samochodowych na terenie

bazy - ale sytuacja w Chester's Mill] zdecydowanie przerastała możliwości starszego sierżanta. Czy jedynej pełnoetatowej policjantki patrolovej pracującej z bandą prowincjuszy, którzy za plecami nazywali ją posterunkową Buforzastą. Myśleli, że o tym nie wiedziała, ale się mylili. W tej chwili odrobina sztubackiego seksizmu była najmniejszym z jej zmartwień. To wszystko musiało się skończyć, a człowiekiem, który na polecenie prezydenta miał położyć temu kres, był Dale Barbara. Nawet nie życzenie głównodowodzącego było tu najważniejsze. Naczelna zasada - nie zostawia się swoich bez pomocy. To świętość, coś, co rozumie się samo przez się.

Na początek trzeba dać Barbiemu znać, że nie jest sam. Wtedy będzie mógł zaplanować swoje działania.

Kiedy o piątej rano Linda zeszła w szlafroku na dół, przez okna wsączało się pierwsze światło dnia, ukazując zupełnie nieruchome drzewa i krzaki. Nie było nawet najlżejszego podmuchu.

- Potrzebna mi będzie miseczka - powiedziała Jackie. - Mała i nieprzezroczysta. Masz coś takiego?

- Jasne, ale po co ci to?

- Zaniesiemy Dale'owi Barbarze śniadanie. Płatki, A z nimi list.

- O czym ty mówisz?! Jackie, nie mogę. Mam dzieci.

- Wiem. Ale w pojedynkę nie dam rady, bo samej mnie nie wpuszczą. Może gdybym była mężczyzną, ale z tymi... - wskazała swoje piersi - ...nic z tego. Jesteś mi potrzebna.

- Jaki list?

- Jutro wieczorem go uwolnię - powiedziała Jackie ze spokojem, choć wcale nie czuła spokoju. - W czasie zgromadzenia mieszkańców. Do tego nie będziesz mi potrzebna...

- Bo i tak bym ci nie pomogła! - Linda zebrała poły szlafroka.

- Ciszej! Pomyślałam o Rommiem... może go przekonam, że Barbie nie zabił Brendy. Włożymy kominiarki czy coś, żeby nas nie rozpoznali. Nikt się nie zdziwi. Wszyscy w mieście już uważają, że ma wspólników.

- Zwariowałaś!

- Nie. W czasie zebrania załoga komisariatu będzie zredukowana do minimum... trzech, czterech ludzi. Może nawet dwóch. Jestem tego pewna.

- A ja nie!

- Ale do jutrzejszego wieczoru jeszcze kawał czasu. Będzie ich musiał zwozić przynajmniej do wtedy. A teraz dawaj tę miszkę. - Jackie, nie mogę.

- Możesz. - To powiedział Ryży, który stanął w drzwiach. W szortach gimnastycznych

i T - shircie z napisem NEW ENGLAND PATRIOTS wyglądał wręcz jak olbrzym. - Pora podjąć ryzyko. Bez względu na dzieci. Ktoś musi położyć kres temu, co się dzieje.

Linda chwilę patrzyła na niego, przygryzając wargę. Wreszcie schyliła się do jednej z dolnych szuflad. - Miski mam tutaj.

23

Kiedy weszły na komisariat, na stanowisku dyżurnego nie było nikogo - Freddy Denton pojechał do domu się przespać - ale wokół siedziało kilku młodszych policjantów. Rozmawiali przy kawie, dość podekscytowani, by zwlec się z łóżek o porze, jakiej większość z nich od dawna nie doświadczyła w stanie pełnej świadomości. Wśród nich Jackie dostrzegła dwóch spośród licznych braci Killianów, małomiasteczkową harleyówkę i stałą klientkę Karczmy Dippera Lauren Conree oraz Cartera Thibodeau. Pozostałych nie знаła z nazwiska, ale dwóch pamiętała jako chronicznych wagarowiczów ze szkoły średniej, zatrzymywanych też za rozmaite drobne wykroczenia drogowe i związane z narkotykami. Nowi „policjanci” - najnowsi z nowych - nie mieli mundurów, tylko opaski z niebieskiego materiału zawiązane na ramieniu.

Wszyscy oprócz jednego byli uzbrojeni.

- Co tu robicie tak wcześnie? - spytał Thibodeau, podchodząc wolnym krokiem. - Ja mam wymówkę: skończyły mi się prochy przeciwbólowe.

Pozostali zarechotali jak trolle.

- Przyniosłam Barbarze śniadanie - powiedziała Jackie. Bała się spojrzeć na Linde, bała się, jaką minę zobaczy na jej twarzy.

Thibodeau zajrzał do miseczki.

- Bez mleka?

- Obejdzie się - powiedziała Jackie i napluła do płatków. - Ja mu je zaleję.

Podniósł się ogólny aplauz. Kilka osób zaczęło bić brawo. Jackie i Linda doszły do samych schodów, kiedy Thibodeau powiedział:

- Daj no to.

Jackie na moment zamarła. Wyobraziła sobie, że rzuca w niego miseczką, a potem bierze nogi za pas. Powstrzymał ją prosty fakt - nie miały dokąd uciec. Nawet gdyby wydostały się z komisariatu, dopadliby je jeszcze przed War Memorial Plaza.

Linda wyjęła miseczkę z dłoni Jackie i podała Thibodeau. Zajrzał do środka. Potem, zamiast szukać w płatkach ukrytych skarbów, sam też do nich napluł.

- Moje trzy grosze - powiedział.

- Moment, moment - wtrąciła ta Conree. Smukła, ruda, miała ciało modelki i policzki zryte śladami po trądziku. Mówiła trochę niewyraźnie, bo wsadziła sobie palec do nosa po drugi knykieć. - Też coś mam. - Palec wysunął się z dużym glutem na końcu. Pani Conree zostawiła go na płatkach, na co reakcją był kolejny wybuch aplauzu i czyjś okrzyk: „Laurie znalazła zielone złoto!”. - W każdym pudełku płatków powinna być zabawka niespodzianka - powiedziała z tępym uśmiechem. Opuściła dłoń na rękojeść czterdziestki, którą nosiła u boku. Gdyby kiedykolwiek miała okazję strzelić, odrzut pewnie zwałiłby ją z nóg, tak chuda, pomyślała Jackie.

- Wszystko gotowe - stwierdził Thibodeau. - Dotrzymam wam towarzystwa.

- Dobrze - powiedziała Jackie i na myśl o tym, jak bliska była tego, żeby po prostu schować list do kieszeni i spróbować podać go Barbiemu, zrobiło jej się zimno. Ryzyko, które podjęły, nagle zaczęło się wydawać szalone... tyle że teraz było już za późno. - Zostaniesz przy schodach. A ty, Linda, trzymaj się za mną. Nie ma co ryzykować.

Myślała, że Thibodeau zaprotestuje, ale nie miał nic przeciwko temu.

24

Barbie usiadł na pryczy. Po drugiej stronie krat stała Jackie Wet - tington z białą plastikową miseczką w dłoni. Za nią była Linda Everett, która ścisnęła w obu rękach pistolet skierowany lufą w podłogę. Carter Thibodeau zatrzymał się u podnóża schodów. Włosy miał nastroszone, jakby tylko co wstał z łóżka. Spod rozpiętej bluzy od munduru wystawał bandaż założony na ramię ugryzione przez psa.

- Witam, posterunkowa Wettington - powiedział Barbie. Wątle białe światło wkradło się przez szczelinę służącą za okno. O takim brzasku życie wydawało się jednym wielkim żartem. - Nie jestem winny tego, o co się mnie oskarża. Oskarża nieformalnie, bo dotąd nie postawiono mi...

- Zamknij się - rzuciła Linda zza pleców Jackie. - Nic nas to nie obchodzi.

- Dobrze gadasz, Blondi. Tak trzymać. - Carter ziewnął i podrapał się po bandażu.

- Siadaj - zakomenderowała Jackie. - I nie ruszaj się.

Barbie usiadł. Wsunęła plastikową miseczkę przez kraty. Była mała i zmieściła się idealnie.

Podniósł ją. Wypełniona była suchymi płatkami. Na wierzchu połyskiwała ślina i wielki zielony glut, wilgotny, z nitkami krwi. Mimo to burczało mu w brzuchu. Był bardzo głodny.

I zrobiło mu się przykro. Bo po Jackie Wettington, w której na pierwszy rzut oka

rozpoznał była żołnierkę (częściowo po fryzurze, głównie po sposobie bycia), spodziewał się czegoś więcej. Wstręt Henry'ego Morrisona łatwo mógł przeboleć, jej szykany - trudniej. W dodatku ta druga policjantka, żona Ryżego Everetta, patrzyła na niego jak na jakiś rzadki gatunek jadowitego robaka. A miał nadzieję, że przynajmniej kilku pełnoetatowych funkcjonariuszy...

- Jedz! - zawołał Thibodeau. - Przyrządziliśmy ci śniadanko, że palce lizać. Prawda, dziewczyny?

- Prawda - przytaknęła Linda. Kąciki jej ust drgnęły ku dołowi. Za ledwie tik, ale Barbiemu zrobiło się lżej na sercu. Niewykluczone, że tylko udawała. Może to płocha nadzieja, lecz...

Poruszyła się lekko, zasłaniając swoim ciałem Jackie przed Thibodeau... choć w zasadzie nie było takiej potrzeby. Thibodeau usiadł na schodach i próbował zajrzeć pod swój bandaż.

Jackie zerknęła za siebie, by się upewnić, że jest bezpieczna, po czym wskazała na miseczkę, uniosła otwarte dłonie i poruszyła brwiami. „Przepraszam”. Potem wymierzyła dwa palce w Barbiego. „Bądź uważny”.

Skinał głową.

- Smacznego, jebańcu - powiedziała Jackie. - W południe przyniesiemy ci coś lepszego. Może moczburgera.

Od schodów dobiegł rechot Thibodeau.

- Jeśli zostanie ci dość zębów, żeby gryźć - dorzuciła Linda. Barbie by wolał, żeby się nie odzywała. W jej głosie nie było sadystycznej przyjemności ani nawet złości, tylko strach kobiety, która wolałaby być wszędzie, byle nie tutaj. Thibodeau jednak najwyraźniej nie zauważył nic podejrzanego. Wciąż oglądał swoją ranę pod bandażem.

- Chodźmy - powiedziała Jackie. - Nie chcę patrzeć, jak je. Obie kobiety ruszyły korytarzem między celami do schodów. Linda schowała broń do kabury.

- Płatki wystarczająco namoczone? - spytał Thibodeau. - Bo jak nie, to... - Odcharknął głośno.

- Jakoś sobie poradzę - powiedział Barbie.

- Do czasu. Potem przestajesz.

Wrócili schodami na górę. Thibodeau, który szedł ostatni, klepnął Jackie w tyłek. Zamierzyła się na niego ze śmiechem. Dobra była, dużo lepsza od tej Everett. Ale obie właśnie wykazały się nie lada odwagą. Odwagą wprost przerażającą.

Barbie zdjął gluta i pstryknął nim w kąt, w którym sikał. Wytarł ręce w koszulę. Potem

zaczął grzebać w płatkach. Wymacał na dnie świstek papieru.

Postaraj się wytrzymać do jutrzejszego wieczoru. Jeśli cię uwolnimy, znasz jakieś bezpieczne miejsce? Wiesz, co zrobić z tym listem.

Wiedział.

25

Godzinę po tym, jak zjadł list, a potem płatki, usłyszał powolne ciężkie kroki na schodach. Szedł Duży Jim Rennie, już pod krawatem, gotów na następny dzień rządzenia pod kloszem. Za nim szedł Carter Thibodeau i jeszcze ktoś - Killian, sądząc po kształcie głowy. Młody Killian niósł krzesło i miał z tym kłopoty; ciućmok i tyle, jak powiedzieliby o nim starzy jankesi. Podał krzesło Thibodeau, który postawił je przed celą na końcu korytarza. Rennie usiadł, delikatnie przytrzymując kanty w nogawkach, żeby się nie zagniotły.

- Dzień dobry, panie Barbara. - Z satysfakcją położył nacisk na cywilny tytuł.

- Co mogę dla pana zrobić oprócz podania mojego nazwiska, stopnia i numeru identyfikacyjnego... którego chyba nie pamiętam?

- Przyznać się. Oszczędzić nam kłopotów i duszę swą ukoić.

- Pan Searles wspominał wczoraj wieczorem o podtapianiu - powiedział Barbie. - Pytał, czy widziałem to w Iraku.

Usta Renniego wydęte były w lekkim uśmiechu, który zdawał się mówić: „Proszę kontynuować, gadające zwierzęta są tak zajmujące”.

- Odpowiedź brzmi „tak”. „Nie mam pojęcia, jak często stosowano tę technikę w terenie... różnie się mówiło... ale widziałem ją w użyciu dwa razy. Jeden z przesłuchiwanym się przyznał, choć jego przyznanie się było nic niewarte. Człowiek, którego oskarżył o konstruowanie bomb dla AI - Kaidy, okazał się nauczycielem, który czternaście miesięcy wcześniej wyjechał z Iraku do Kuwejtu. Drugi przesłuchiwany dostał drgawek i doznał uszkodzeń mózgu, więc przyznać się nie mógł. Gdyby jednak był w stanie, na pewno by to zrobił. Podczas podtapiania przyznaje się każdy, zwykle po paru minutach. Ze mną na pewno byłoby tak samo.

- To oszczędź pan sobie przykrości - powiedział Duży Jim.

- Wygląda pan na zmęczonego. Dobrze się pan czuje? Nieznaczny uśmiech zastąpiło nieznaczne zmarszczenie czoła rozchodzące się promieniście z głębokiej bruzdy między brwiami Renniego.

- Mój stan zdrowia to nie pańska sprawa. Dobra rada, panie Barbara, Pan mnie nie będziesz zwodził, to ja nie będę zwodził pana. Martw się pan przede wszystkim o swoje zdrowie. Na razie jest dobre, ale to może się zmienić. Lada chwila. Widzisz pan, rzeczywiście zastanawiam się nad tym podtapianiem. Szczerze mówiąc, poważnie to rozważam. Dlatego przyznaj się pan do tych morderstw i już. Oszczędzisz pan sobie bólu i kłopotów.

- Nie sądzę. A jeśli będziecie mnie podtapiać, mogę zacząć mówić o przeróżnych sprawach. Warto wziąć to pod uwagę przy podejmowaniu decyzji, kto jeszcze oprócz pana wysłucha moich zeznań.

Rennie pomyślał o tym. Choć był starannie odszykowany, zwłaszcza jak na tak wczesną porę, miał ziemistą cerę, a jego otoczone fioletowymi kręgami oczka wyglądały jak podbite. Naprawdę nie wyglądał dobrze. Gdyby Duży Jim nagle padł trupem, Barbie dostrzegł dwa możliwe warianty rozwoju wypadków. Jeden był taki, że paskudny klimat polityczny w Mill złagodniałby bez wywołania żadnych kolejnych tornad. Drugi - że rozpętałyby się chaotyczna krwawa jatka, podczas której najpierw zginąłby on (zapewne zlinczowany), a potem nastąpiłaby czystka wśród jego domniemych współpiskowców. Julia mogłaby być pierwsza na tej liście, Rose druga. Przerażeni ludzie głęboko wierzą, że kto z kim przestaje, takim się staje. Rennie odwrócił się do Thibodeau.

- Odsuń się, Carter. Do samych schodów, z łaski swojej.

- Ale jeśli on się na pana rzuci...

- To go zabijesz. I on o tym wie. Prawda, panie Barbara? Barbie skinął głową.

- Zresztą już bliżej nie podejść. I dlatego chcę, żebyś się odsunął. To prywatna rozmowa.

Thibodeau wycofał się z ociąganiem.

- A zatem, panie Barbara, o jakich to sprawach byś pan mówił?

- Wiem wszystko o wytwórni amfy - odparł Barbie niższym głosem. - Komendant Perkins też wiedział i szykował się, żeby pana aresztować. Brenda znalazła dokumentację na jego komputerze. Dlatego pan ją zabił.

Rennie się uśmiechnął. - A to ci ambitna bajeczka.

- Prokurator stanowy będzie innego zdania, zważywszy na pański motyw. Nie mówimy tu o jakiejś chałupniczej instalacji w przyczepie mieszkalnej; to General Motors amfy.

- Jeszcze dziś komputer Perkinsa zostanie zniszczony - rzekł Rennie. - Jej też. Zapewne w domowym sejfie Duke'a są kopie jakichś papierów... nieistotnych, oczywiście; podle, politycznie umotywowane oszczerstwa zrodzone w głowie człowieka, który zawsze

mnie nienawdził. Sejf zostanie otwarty, a papiery spalone. Dla dobra miasta, nie mojego. Mamy sytuację kryzysową. Musimy trzymać się razem.

- Brenda przed śmiercią przekazała komuś kopię tej dokumentacji.

Duży Jim uśmiechnął się szeroko, obnażając dwa rzędkie drobnych zębów.

- Konfabulacja za konfabulację, panie Barbara. Pozwolisz pan? Barbie rozłożył ręce w geście: „Proszę bardzo”.

- W mojej konfabulacji Brenda przychodzi do mnie i mówi mi dokładnie to samo. Że kopię, o której pan mówisz, dała Julii Shumway. Ale ja wiem, że to kłamstwo. Może i chciała dać, ale tego nie zrobiła. A nawet gdyby... - Wzruszył ramionami. - Pańscy poplecznicy wczoraj wieczorem spalili redakcję gazety. Zła decyzja z ich strony. A może to pański pomysł? Barbara powtórzył:

- Jest jeszcze jedna kopia. Wiem gdzie. Jeśli będziecie mnie podtapiać, powiem to. Głośno.

Rennie wybuchnął śmiechem.

- Bardzo przekonująco to zabrzmiało, panie Barbara, ale targuję się całe życie i potrafię rozpoznać blef. Może po prostu powinienem stracić pana bez sądu. Całe miasto by wiwatowało.

- Jak głośno, gdyby zrobił to pan bez wykrycia moich współspiskowców? Nawet Peter Randolph mógłby zakwestionować tę decyzję, a przecież jest tylko tępym, strachliwym lizusem.

Duży Jim wstał. Jego obwisłe policzki przybrały kolor starej cegły.

- Nie wiesz, z kim sobie pogrywasz.

- Wiem. Takich jak ty widziałem w Iraku na pęczki. Noszą turbany zamiast krawatów, ale poza tym są dokładnie tacy sami. I też bredzą o Bogu.

- Cóż, wyperswadowałeś mi podtapianie - powiedział Duży Jim. - A szkoda, bo zawsze chciałem to zobaczyć na własne oczy.

- Nie wątpię.

- Na razie posiedzisz sobie w tej przytulnej celi, dobrze? Pewnie dużo jeść nie będziesz, bo jedzenie przeszkadza w myśleniu. Kto wie? Jeśli pomyślisz konstruktywnie, może znajdziesz mi lepsze powody, żebym cię zachował przy życiu. Na przykład nazwiska tych w mieście, którzy są przeciwko mnie. Pełną listę. Dam ci czterdzieści osiem godzin. Potem, jeśli nie przekonasz mnie do zmiany decyzji, zostaniesz stracony na War Memorial Plaza na oczach całego miasta. Posłużysz za lekcję pogładową.

- Naprawdę nie wygląda pan dobrze, panie radny. Rennie przyjrzał mu się z powagą.

- Tacy jak ty sprawiają większość kłopotów na tym świecie. Gdybym nie sądził, że twoja egzekucja zjednoczy miasto i posłuży jako niezbędne katharsis, kazałbym panu Thibodeau zastrzelić cię tu i teraz.

- Zrób to, a wszystko się wyda - rzekł Barbie. - Całe miasto dowie się o twoich brudnych interesach. Spróbuj wtedy osiągnąć konsensus na tym twoim zasranym zgromadzeniu mieszkańców, ty operetkowy tyranie.

Przez chwilę Duży Jim wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć. Napęczniały mu żyły na szyi i pośrodku czoła, W końcu się jednak uśmiechnął.

- Piątka za włożony trud, panie Barbara. Ale kłamiesz pan.

Wyszedł. Wszyscy wyszli. Barbie usiadł na pryczy, zlany potem. Wiedział, jak blisko jest skraju przepaści. Rennie miał powody, by zostawić go żywego, ale niezbyt mocne. Do tego dochodził list przyniesiony przez Jackie Wettington i Lindę Everett. Pani Everett, sądząc po jej minie, wiedziała dość, by panicznie się bać, i to nie tylko o siebie. Byłoby bezpieczniej, gdyby sam spróbował uciec. Zważywszy na stopień profesjonalizmu obecnej policji Chester's Mill, uważał, że to jest do zrobienia przy użyciu scyzoryka. Potrzebowałby odrobiny szczęścia, ale mógłby sobie poradzić.

Tyle że nie miał jak im przekazać, żeby pozwoliły mu działać samodzielnie.

Położył się i splótł dłonie pod głowę. Jedno pytanie dręczyło go bardziej niż wszystkie pozostałe: co się stało z kopią pliku VADER przeznaczoną dla Julii? Bo do niej nie dotarła. Był pewien, że akurat co do tego Rennie nie kłamał.

Nie miał jak się tego dowiedzieć i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać.

Leżąc na plecach z wzrokiem wbitym w sufit, zaczął to robić.

ZAGRAJ KAWALEK TEJ MARTWEJ KAPELI

1

Kiedy Linda i Jackie wróciły z komisariatu, Ryży i dziewczynki czekali, siedząc na schodku przed drzwiami. Judy i Janelle były jeszcze w koszulkach nocnych - lekkich, bawełnianych, nie flanelowych, które zwykle nosiły o tej porze roku. Choć było przed siódmą, termometr za kuchennym oknem pokazywał osiemnaście stopni.

W normalnych okolicznościach dziewczynki pobiegłyby do mamy przed Ryżym, ale tego ranka wyprzedził je o kilka metrów. Złapał Lindę w tali, a ona objęła go za szyję tak mocno, że niemal boleśnie - to nie był uścisk typu „cześć, przystojniaku”, lecz chwyt tonącego.

- Udało się? - szepnął jej na ucho.

Skinęła głową, muskając włosami jego policzek. Potem się cofnęła. Oczy jej lśniły.

- Byłam pewna, że Thibodeau zajrzy do płatków. Jackie wpadła na to, żeby w nie napluć, to było genialne, ale ja...

- Czemu mama płacze? - spytała Judy. Wyglądała, jakby jej samej też zbierało się na łzy.

- Nie płaczę. - Linda otarła oczy. - No, może troszeczkę. Bo tak bardzo się cieszę, że widzę waszego tatę.

- Wszyscy się cieszymy, że go widzimy! - powiedziała Janelle do Jackie. - Bo mój tata to jest boss!

- Pierwsze słyszę - stwierdził Ryży i mocno pocałował Lindę w usta.

- Buzi - buzi! - krzyknęła Janelle zafascynowana. Judy zasłoniła sobie oczy i zachichotała.

- Chodźcie, dziewczynki, huśtawka czeka - rzuciła Jackie. - A potem ubierzecie się do szkoły.

- Ja chcę zrobić pętle! - krzyknęła Janelle i popędziła przodem.

- Do szkoły? - spytał Ryży. - Serio?

- Serio - powiedziała Linda. - Tylko dla maluchów, w podstawówce na East Street. Pół dnia. Wendy Goldstone i Ellen Vanedestine zgłosiły się na ochotnika do prowadzenia lekcji. Przedszkole i klasy od pierwszej do trzeciej w jednej sali, klasy od czwartej do szóstej w drugiej. Nie wiem, czy czegoś ich nauczą, ale przynajmniej dzieci mają gdzie pójść i da im to

jakie takie poczucie normalności. Może. - Podniosła wzrok ku niebu, które było bezchmurne, a mimo to miało żółtawy odcień. Jak niebieskie oko z zaćmą, pomyślała. - Mnie też przydałoby się trochę normalności. Spójrz na niebo.

Ryży zerknął w górę, po czym odsunął żonę na długość ramienia, żeby jej się przyjrzeć.

- Udało się wam? Jesteś pewna?

- Tak. Ale niewiele brakowało. Takie sytuacje są fajne w filmach szpiegowskich, a w rzeczywistości to koszmar. Nie uwolnię go, kochanie. Przez wzgląd na dziewczynki.

- Dyktatorzy zawsze wykorzystują dzieci jako zakładników. W którymś momencie ludzie muszą powiedzieć, że tak dalej być nie może.

- Ale nie tu i nie teraz. To pomysł Jackie, niech ona się tym zajmie. Ja do tego ręki nie przyłożę i tobie też nie pozwolę.

Ryży wiedział jednak, że gdyby się zdecydował pomóc Barbiemu, ona by go nie powstrzymała. Jeśli to czyniło go bossem, nie chciał nim być.

- Idziesz do pracy? - spytał.

- Oczywiście. Dzieci idą do Marty, Marta zabiera dzieci do szkoły, ja i Jackie meldujemy się na kolejny dzień służby pod kloszem. Inaczej wyglądałoby to podejrzenie. Nie cierpię tego, że muszę myśleć w taki sposób. - Westchnęła ciężko. - Poza tym jestem zmęczona. - Zerknęła do tyłu, żeby się upewnić, że dzieci jej nie usłyszą. - Kurewsko. Prawie oka nie zmrużyłam. Jedziesz do szpitala?

Pokręcił głową.

- Ginny i Twitch będą sami co najmniej do południa... choć z pomocą tego nowego gościa powinni sobie poradzić. Thurston ma lekki newage'owski odchył, ale jest dobry. Ja skoczę do Claire McClatchey. Muszę pogadać z małolatami i pojechać w miejsce, gdzie wykryli skok promieniowania.

- Co mówić, gdyby ktoś pytał, gdzie jesteś? Zastanowił się.

- Prawdę. Przynajmniej częściową. Mów, że oglądam coś, co może być generatorem klosza. Może wtedy Rennie zastanowi się dwa razy nad swoim następnym krokiem.

- A kiedy pytają, gdzie to jest? Bo pytają na pewno.

- Mów, że nie wiesz, ale wydaje ci się, że gdzieś w zachodniej części miasta.

- Black Ridge jest na północy.

- Uhm. Chcę zmylić trop, na wypadek gdyby Rennie kazał Randolphowi posłać za mną kilku kowbojów. Jeśli później ktoś będzie miał do ciebie pretensje, powiesz po prostu, że byłaś zmęczona i coś ci się pomyliło. I posłuchaj, skarbie... zanim pojedziesz na komisariat,

zrób listę ludzi, którzy mogą wierzyć, że Barbie jest niewinny. - Znów to myślenie w kategoriach „my i oni”. - Musimy porozmawiać z nimi przed jutrzejszym zebraniem mieszkańców. Bardzo dyskretnie.

- Jesteś pewien? Po pożarze w nocy całe miasto będzie szukać przyjaciół Dale'a Barbary.

- Czy jestem pewien? Tak. Czy mi się to podoba? Zdecydowanie nie.

Znów podniosła oczy na pożółkłe niebo, potem na dwa dęby przed domem. Bezwładnie zwisające, nieruchome liście traciły żywe kolory, stawały się burobrązowe. Westchnęła.

- Jeśli Rennie zrobił Barbarę, to prawdopodobnie kazał też spalić redakcję. Wiesz o tym, prawda?

- Tak.

- A jeśli Jackie uda się wyciągnąć Barbarę z aresztu, gdzie go przechowa? Gdzie w tym mieście będzie bezpieczny?

- Będę musiał o tym pomyśleć.

- Znajdź generator i go wyłącz, wtedy cała ta zabawa w szpiegów stanie się niepotrzebna.

- Módl się, żeby tak się stało.

- Nie omieszka. Co z promieniowaniem? Nie chcę, żebyś zachorował na białaczkę czy coś takiego.

- Mam pewien pomysł.

- Powinam pytać? Uśmiechnął się.

- Lepiej nie. Jest dość zwariowany. Splotła palce z jego palcami.

- Bądź ostrożny. Pocałował ją lekko.

- Ty też.

Spojrzeni na Jackie, która bujała dziewczynki na huśtawkach. Mieli ważne powody, żeby zachować ostrożność. Mimo to Ryży pomyślał, że musi podjąć ryzyko, by nadal mógł rano przy goleniu patrzeć na swoją twarz w lustrze.

2

Horace lubił jedzenie dla ludzi.

Co tam lubił, uwielbiał. Jako że starzał się i miał lekką nadwagę, nie wolno mu go było jeść, a Julia sumiennie przestała mu rzucać resztki ze stołu, odkąd weterynarz powiedział jej bez ogródek, że swoją hojnością skraca psu życie. Ta rozmowa odbyła się szesnaście

miesiący temu; od tej pory Horace musiał zadowalać się specjalistyczną karmą i od czasu do czasu dietetycznymi przysmakami dla psów. Rzekome przysmaki przypominały kawałki styropianu do wypełniania paczek i sądząc po pełnym wyrzutu spojrzeniu, jakie posyłał jej Horace, zanim brał je do pyska, tak też smakowały. Julia jednak była nieugięta: koniec z przysmażoną skórką kurczaka, koniec z plasterkami wędliny, koniec z ostatnim kęsem paczka.

To ograniczyło spożycie *verboten* wiktuałów, ale go nie zakończyło; narzucona dieta zmusiła Horace'a do poszukiwania żywności, co całkiem mu odpowiadało, bo obudziło w nim myśliwską naturę przodków. Poranne i wieczorne spacerunki szczególnie obfitowały w rozkosze dla podniebienia. Niesamowicie, co ludzie zostawiali w rynsztokach przy Main Street i West Street, którymi wiodła zwykła trasa jego przechadzek. Były tam frytki, chipsy, krakersy z masłem orzechowym, a nawet papierki po lodach, na których zostało jeszcze trochę czekolady. Raz trafił mu się cały hamburger. Przeniósł się z tacki do jego żołądka szybciej, niż można powiedzieć „cholesterol”.

Nie wszystkie znalezione smakołyki udawało mu się dorwać. Czasem Julia zauważała, co zwęszył, i przyciągała go do siebie na smyczy, zanim mógł to chapnąć. Ale na brak łupów nie narzekał, bo na spacerunki z nim często chodziła z książką albo złożonym egzemplarzem „New York Timesa” w ręku. Nie zawsze lubił być ignorowany na rzecz „Timesa” - na przykład kiedy chciał, żeby porządnie podrapała go po brzuchu - ale na przechadzkach wołał, by pozostawała w stanie błogiej nieświadomości, bo to oznaczało pyszne przekąski.

Tego ranka był ignorowany. Julia i ta druga kobieta - mieszkanka tego domu, bo jej zapach czuć było wszędzie, zwłaszcza w pobliżu pomieszczenia, gdzie ludzie chodzą robić kupę i oznaczać swoje terytorium - rozmawiały w kuchni. Raz ta druga rozpląkała się, a Julia ją uściskała.

- Czuję się lepiej, ale jeszcze niezupełnie dobrze - mówiła Andrea. Horace czuł zapach kawy, którą piły. Zimnej, nie gorącej. Czuł też ciasteczka. Z lukrem. - Nadal tego chcę. - Jeśli mówiła o ciasteczkach z cukrem, Horace się z nią utożsamiał.

- Głód może trwać długo - powiedziała Julia - a na nim się nie kończy. Chylę czoło przed twoją odwagą, Andi, ale Ryży miał rację... zerwać z tym tak od razu to głupie i niebezpieczne. Masz cholernie szczęście, że nie dostałaś drgawek.

- Nie wiem, może dostałam. - Andrea napiła się kawy, Horace usłyszał siorbnięcie. - Miałam strasznie wyraziste sny. Jeden o pożarze. Wielkim. W Halloween.

- Ale już ci lepiej.

- Trochę. Zaczynam myśleć, że dam radę. Julio, jesteś u mnie mile widzianym

gościem, lecz myślę, że mogłabyś znaleźć coś lepszego. Ten smród...

- Można coś z nim zrobić. Kupimy u Burpeego wentylator na baterie. Jeśli propozycja pokoju z wyżywieniem jest wiążąca... i obejmuje Horace'a, przyjmę ją. Nikt, kto próbuje rzucić nałóg, nie powinien robić tego w samotności.

- Chyba inaczej się nie da, złociutka.

- Wiesz, co mam na myśli. Dlaczego się na to zdecydowałaś?

- Bo po raz pierwszy, odkąd zostałam wybrana, to miasto może mnie potrzebować. I w dodatku Jim Rennie zagroził, że pozbawi mnie tabletek, jeśli przeciwstawię się jego planom.

Horace wyłączył się z rozmowy. Bardziej interesował go zapach płynący do jego wyczulonego nosa ze szczeliny między ścianą a bokiem kanapy. To na tej kanapie Andrea lubiła siedzieć w lepszych (cóż, że dzięki lekom) czasach, czasem oglądając „Ściganych” (pomysłową kontynuację „Zagubionych”) czy „Taniec z gwiazdami”, czasem jakiś film na HBO. W filmowe wieczory często przegryzała popcorn z mikrofal. Miskę stawiała na stoliku przy kanapie. A że ćpuny rzadko dbają o porządek, sporo popcornu spadło na podłogę. To właśnie wyczuł Horace.

Zostawił kobiety, żeby dalej sobie gadały, po czym wsunął się pod stół, a następnie do szczeliny. Było tam wąsko, ale stół tworzył naturalny most, a Horace był względnie szczupły, zwłaszcza odkąd przeszedł na dietę odchudzającą. Pierwsze kawałki leżały tuż za kopertą z wydrukiem pliku VADER. Horace przednimi łapami stał na nazwisku swojej pani (starannie wypisanym drukowanymi literami przez nieżyjącą Brendę Perkins) i zaczął zmiatać zaskakująco obfite łupy, kiedy Andrea i Julia wróciły do salonu.

Zanieś to jej, powiedziała jakaś kobieta.

Podniósł łeb i zastrzygł uszami. To nie była Julia ani ta druga; to był martwy głos. Horace, jak wszystkie psy, słyszał martwe głosy dość często, czasem nawet widział ich właścicieli. Martwi są wszędzie wokół, ale żywi ich nie dostrzegają, tak jak nie czują większości z dziesięciu tysięcy aromatów otaczających ich w każdej sekundzie każdego dnia.

Zanieś to Julii, to jej potrzebne, to do niej należy.

Żarty jakieś. Julia nigdy w życiu nie zjadłaby niczego, co miał w pysku, Horace wiedział to z długoletniego doświadczenia. Nawet gdyby wypchnął to nosem na środek pokoju, nie wzięłaby tego do ust. To było jedzenie dla ludzi, owszem, ale teraz stało się jedzeniem z podłogi.

Nie popcorn. Tę...

- Horace! - odezwała się Julia tym ostrym tonem, którym dawała mu do zrozumienia, że jest niegrzeczny. Takiego tonu używała, gdy mówiła: „Och ty niedobry ty, myślałam, że

jesteś mądrzejszy”, ple, ple, ple. - Gdzieś ty tam wlaź? Wychodź!

Horace wrzucił wsteczny. Obdarzył ją najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów - ojej, Julia, jak ja cię kocham - w nadziei, że żadne ziarenko popcornu nie przykleiło mu się do nosa. Kilka dorwał, ale czuł, że jeszcze nie napoczął prawdziwej żyły złota.

- Co, szukasz jedzenia?

Horace usiadł i spojrzał na nią ze stosownym uwielbieniem. Najzupełniej szczerym - bardzo Julię kochał.

- Do czegoś ty się tam dobrał? - Schyliła się, by zajrzeć do szczeliny między kanapą a ścianą.

Nie zdążyła, bo ta druga kobieta zaczęła się krztusić. Zaciśnęła ręce na brzuchu, usiłując powstrzymać dygotanie, ale nic to nie dało. Pachniała teraz inaczej i Horace wiedział, że zaraz puści pawia. Patrzył uważnie. W ludzkim pawiu czasem trafiały się smaczne kąski.

- Andi, wszystko w porządku? - spytała Julia.

Głupie pytanie, pomyślał Horace. Nie czujesz jej zapachu? Cóż, to pytanie też było głupie. Jego pani ledwo czuła swój własny zapach, nawet jak była spocona.

- Tak. Nie. Niepotrzebnie zjadłam tę bułkę z rodzynkami. Będę...

- Andrea wypadła z pokoju. Żeby dodać jeszcze jeden zapach do tych dochodzących z pomieszczenia na szczyne i kupy, domyślił się Horace. Julia ruszyła za nią. Horace chwilę się zastanawiał, czy nie wleźć z powrotem pod stolik, ale poczuł bijącą od pani woń niepokoju i pobiegł do niej.

Zupełnie zapomniał o martwym głosie.

3

Ryży zadzwonił do Claire McClatchey z samochodu. Było wcześniej, ale odebrała po pierwszym sygnale, co go nie zaskoczyło. Ostatnimi czasy nikt w Chester's Mill nie spał dobrze, chyba że z pomocą farmakologii.

Obiecała, że dzieciaki w komplecie będą u niej w domu najpóźniej o wpół do dziewiątej, sama przywiezie Norrie i Benny'ego, jeśli będzie trzeba. Zniżyła głos i dodała:

- Myślę, że Joe zabujał się w Norrie Calvert.

- Byłby głupi, gdyby pozostał obojętny - stwierdził Ryży.

- Będzie ich pan musiał tam zabrać?

- Tak, ale nie do strefy wysokiego promieniowania. Obiecuję, pani McClatchey.

- Proszę mi mówić Claire. Jeśli mam puścić mojego syna z tobą tam, gdzie zwierzęta podobno popełniają samobójstwo, wypada, żebyśmy byli ze sobą po imieniu.

- Ściągnij Benny'ego i Norrie, daję słowo, że na tej wycieczce będą pod moją opieką.

Pięć minut po zakończeniu rozmowy Ryży skreślił ze złowieszczo pustej Motton Road na Drummond Lane, krótką uliczkę, przy której stały najlepsze domy w Eastchester. Najładniejszy był ten z nazwiskiem BURPEE na skrzynce na listy. Wkrótce Ryży siedział już w kuchni państwa Burpee i pił kawę (gorącą - ich generator jeszcze działał) z Rommiem i jego żoną Michelą. Oboje byli bladzi i posepni. Romeo już zdążył się ubrać, Michela chodziła w podomce.

- Myślisz pan, że ten Barbie naprawdę zabił Brendę? - spytał Rommie. - Bo jak tak, przyjacielu, to sam go utłukę.

Michela położyła dłoń na jego ramieniu.

- Aż tak głupi nie jesteś, skarbie.

- Myślę, że go wrobili - powiedział Ryży. - Jeśli komuś powtórzycie, że tak mówiłem, wszyscy możemy mieć kłopoty.

- Rommie zawsze kochał tę kobietę. - Michela uśmiechała się, ale w jej głosie brzmiała mroźna nuta. - Czasem sobie myślę, że bardziej niż mnie.

Rommie nie potwierdził ani nie zaprzeczył - sprawiał wrażenie, jakby w ogóle jej nie usłyszał. Nachylił się ku Ryżemu z powagą w brązowych oczach.

- Co pan gadasz, doktorze? Wrobili go? Jak?

- Teraz nie chcę w to wchodzić. Jestem tu w innej sprawie. Też poufnej, niestety.

- To nie chcę tego słyszeć. - Michela wyszła z pokoju i zabrała kawę ze sobą.

- No, tej nocy kochania z kobitą nie będzie - stwierdził Rommie.

- Przykro mi.

Rommie wzruszył ramionami.

- Mam drugą, na drugim końcu miasta. Misha wie, ale udaje, że nie wie. Co to za inna sprawa?

- Paru dzieciaków uważa, że znaleźli to, co wytwarza kopułę. Są młodzi, ale bystrzy. Ufam im. Mieli licznik Geigera i wykryli skok promieniowania na Black Ridge Road. Niegroźny, lecz nie podeszli za blisko.

- Blisko czego? Co tam zobaczyli?

- Błyszczące fioletowe światło. Wiesz, gdzie jest stary sad?

- Jasne. Ziemia McCoyów. Wozilem tam dziewczyny na macanko. Całe miasto widać jak na dłoni. Miałem starego willysa... - Na chwilę popadł w zadumę. - Ech, nieważne. Błyszczące światło?

- Znaleźli też martwe zwierzęta, kilka jeleni, niedźwiedzia. Wyglądały, jakby

popelniły samobójstwo.

Rommie jeszcze bardziej spoważniał.

- Jadę z tobą.

- Zgoda... ale nie do samego końca. Tam pojedzie tylko jeden z nas. Niech to będę ja.

Ale potrzebny mi będzie kombinezon chroniący przed promieniowaniem.

- To znaczy?

Ryży mu powiedział. Kiedy skończył, Rommie wyciągnął ponad stołem paczkę winstonów.

- Moje ulubione cudzesy - rzekł Ryży i wziął jednego. - I co ty na to?

- Pomóc mogę, jasne - odparł Rommie, zapalając papierosa jemu i sobie. - W sklepie mam wszystko, całe miasto o tym wie. Ale lepiej, żeby nie dali twojego zdjęcia do gazety, bo będziesz wyglądał tak, że boki zrywać.

To mi nie grozi. Redakcja sfajczyła się w nocy.

- Słyszałem. Znowu ten Barbara. Jego kumple. Wierzysz w to?

- Ano, taki już jestem łatwowierny. Jak Bush gadał, że w Iraku były bomby jądrowe, tom mu uwierzył. Tłumaczyłem ludziom: „Gość wie, co mówi”. No i że Oswald działał sam, o, w to też wierzę.

- Przestałbyś się zgrywać! - dobiegło wołanie Micheli z drugiego pokoju.

Rommie obdarzył Ryżego szerokim uśmiechem mówiącym „Widzisz, co muszę znosić”.

- Dobrze, moja droga - powiedział szarmancko. Potem znów odwrócił się do Ryżego. - Zostaw swój wóz tutaj. Pojedziemy moją furgonetką. Podrzucisz mnie do sklepu, a sam pojedziesz po dzieciaki. Ja ci przygotuję kombinezon. Ale co do rękawic... nie wiem.

- Wezmę ołowiowe z pracowni rentgenowskiej szpitala. Sięgają po łokcie. Mogę zabrać jeden fartuch...

- Dobry pomysł, po co masz narażać swoje plemniki...

- Możliwe, że są tam też pokryte ołowiem gogle, które technicy i radiolodzy nosili w latach siedemdziesiątych. Choć nie wiem, czy ich nie wyrzucili. Mam nadzieję, że poziom promieniowania nie będzie dużo wyższy od ostatniego odczytu dzieciaków, który jeszcze mieścił się w normie.

- Mówiłeś, że nie podeszli za blisko. Ryży westchnął.

- Jeśli wskazówka licznika Geigera dojdzie do ośmiuset czy tysiąca jednostek na sekundę, płodność będzie najmniejszym z moich zmartwień.

Zanim wyszli, Michela - teraz już w krótkiej spódniczce i spektakularnie obcisłym

sweterku - wpadła z powrotem do kuchni i nawymyślała mężowi od głupców. Narobi im kłopotów. Tak było nieraz i znowu tak będzie. Tylko że te kłopoty mogą być gorsze od wszystkich dotychczasowych.

Rommie wziął ją w ramiona i zaczął szybko mówić po francusku. Zarzuciła go serią słów w tym samym języku. Odpowiedział jej. Uderzyła go dwa razy pięścią w bark, po czym rozplakała się i pocałowała go. Już za drzwiami Rommie odwrócił się do Ryżego z przepaszającą miną i wzruszył ramionami.

- Nic na to nie poradzi - powiedział. - Ma poetycką duszę i charakter psa ze śmietnika.

4

Kiedy Ryży i Romeo Burpee przyjechali do sklepu, na miejscu był już Toby Manning. Czekał, żeby otworzyć i obsługiwać klientów, jeśli takie będzie życzenie Romea. Towarzyszyła mu Petra Searles, która pracowała w aptece naprzeciwko. Siedzieli na krzesłach ogrodowych ze zwisającymi z poręczy przywieszkami WYPRZEDAŻ NA POŻEGNANIE LATA.

- Na pewno nie chcesz mi nic powiedzieć o tym kombinezonie, który zamierzasz skonstruować do... - Ryży spojrzął na zegarek. - Do dziesiątej?

- Lepiej nie - powiedział Rommie. - Uznałbyś mnie za wariata. No już, jedź. Weź te rękawice, gogle i fartuch. Pogadaj z dziećmi. Daj mi trochę czasu.

- Otwieramy, szefie? - spytał Toby, kiedy Rommie wysiadł. - Nie wiem. Może po południu. Na razie mam trochę roboty. Ryży odjechał. Dopiero na Town Common Hill uprzytomnił sobie, że Toby i Petra mieli na ramionach niebieskie opaski.

5

Jakieś dwie sekundy przed tym, kiedy już miał dać za wygraną, znalazł w głębi schowka w pracowni rentgenowskiej rękawice, fartuch i jedną parę ołowiowych gogli. Gogle miały zerwany pasek, ale był pewien, że Rommie da radę go spiąć zszywaczem. Na szczęście cały szpital wydawał się pogrążony we śnie, więc nie musiał nikomu tłumaczyć, co robi.

Wyszedł z powrotem na zewnątrz, powąchał powietrze - stęchłe, z domieszką nieprzyjemnego swędu spalenizny - i spojrzął ku zachodowi, na zawieszoną nad ziemią czarną plamę w miejscu, gdzie uderzyły rakiety. Wyglądała jak nowotwór skóry. Kopuła musiała zniknąć, i to szybko, bo inaczej jego pacjenci z astmą i POChP zaczną mieć kłopoty. A oni tak naprawdę byli tylko kanarkami w kopalni węgla.

Niebo pożółkło jak palce palacza.

- Niedobrze - mruknął Ryży i wrzucił swoją zdobycz na tył wozu. - Bardzo niedobrze.

6

Kiedy przyjechał do domu McClatcheyów, była tam już cała trójka dzieci, dziwnie przygaszonych jak na maolaty, które, jeśli los im będzie sprzyjać, jeszcze przed końcem tej październikowej srody mogły zostać obwołane bohaterami narodowymi.

- Gotowi? - spytał Ryży, okazując więcej entuzjazmu, niż w rzeczywistości czuł. - Zanim tam pojedziemy, musimy zajrzeć do Burpego, ale to nie powinno potrwać dłu...

- Najpierw muszą ci coś powiedzieć - wtrąciła Claire. - Robi się coraz gorzej. Napijesz się soku pomarańczowego? Chcemy go wykończyć, zanim się zepsuje.

Ryży pokazał palcami, że tylko troszeczkę. Nigdy nie przepadał za sokiem pomarańczowym, ale chciał się jej pozbyć z pokoju i wyczuł, że sama też wołała wyjść. Była blada, w jej głosie brzmiał strach. Nie sądził, by z powodu tego, co dzieci znalazły na Black Ridge; chodziło o coś innego.

Tylko tego mi brakowało, pomyślał.

- Walcie - powiedział, kiedy poszła.

Benny i Norrie popatrzyli na Joego, a on westchnął, odgarnął włosy z czoła, po czym jeszcze raz westchnął. Trudno było rozpoznać w tym poważnym młodzieńcu rozbrykanego maolata, który trzy dni temu wymachiwał transparentem na łące Aldena Dinsmore'a. Twarz miał bladą jak matka, a na czole wykwitło mu kilka pryszczu - może jego pierwszych. Ryży widział już takie nagłe ataki trądziku. To były pryszczu od stresu.

- Co się stało, Joe?

- Ludzie mówią, że jestem bystry - powiedział Joe i Ryży zobaczył z niepokojem, że chłopak jest bliski łez. - Może i jestem, ale czasem wolałbym nie być.

- Bez obaw - wtrącił Benny. - Pod wieloma ważnymi względami jesteś matoł.

- Zamknij się, Benny - powiedziała Norrie życzliwie. Joe nie zważał na nich.

- Tatę ogrywałem w szachy, jak miałem sześć lat, mamę, jak miałem lat osiem. W szkole jadę na samych szóstkach. W konkursach naukowych zawsze jestem pierwszy. Od dwóch lat sam piszę programy komputerowe. To nie przechwałki. Wiem, że jestem kujon.

Norrie uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego dłoni. Wziął ją za rękę.

- Ale ja tylko wiążę ze sobą fakty, rozumiecie? To wszystko. Jeżeli A, to B. Jeżeli nie A, to B odpada. A z nim zapewne reszta alfabetu.

- O czym właściwie mówimy, Joe?

- Nie wierzę, że kucharz z restauracji popełnił te morderstwa. To znaczy, my nie wierzymy.

Wyraźnie mu ulżyło, kiedy Norrie i Benny pokiwali głowami. Ale to było nic w porównaniu z wyrazem radości (zmieszanej z niedowierzaniem), który wypłynął na jego twarz, kiedy Ryży powiedział:

- Ja też nie.

- Mówiłem ci, że kolo ma łeb! - wykrzyknął Benny. - I fantastycznie zakłada szwy.

Claire przyniosła małą szklankę soku. Ryży wypił. Sok był ciepły, ale zdatny do picia. Bez generatora najwyżej do jutra.

- Dlaczego pan uważa, że to nie on zabił? - spytała Norrie.

- Najpierw wy. - Generator na Black Ridge chwilowo usunął się w myślach Ryżego na dalszy plan.

- Wczoraj rano widzieliśmy panią Perkins - powiedział Joe. - Byliśmy na placu i właśnie ruszaliśmy na poszukiwania z licznikiem Geigera. Wchodziła na Town Common Hill.

Ryży odstawił szklankę na stolik obok swojego krzesła i pochylił się z dłońmi splecionymi między kolanami.

- O której to było?

- Zegarek mi stanął w niedzielę przy kłoszu, więc nie wiem na pewno, ale kiedy ją widzieliśmy, w supermarkecie była rozróżba. Czyli musiało to być gdzieś tak piętnaście po dziewiątej. Nie później.

- I nie wcześniej. Bo rozróżba już trwała. Słyszeliście ją.

- Uhm - powiedziała Norrie. - Był duży hałas.

- I jesteście w stu procentach pewni, że to była Brenda Perkins? Nie jakaś inna kobieta? - Serce Ryżemu łomotało w piersi. Jeśli Brendę widziano żywą w trakcie burdy, Barbie rzeczywiście był niewinny.

- Wszyscy ją znamy - odparła Norrie. - Była nawet moją zastępową w skautach, zanim odeszłam. - Fakt, że tak naprawdę wyrzucili ją za palenie papierosów, wydawał się nieistotny, więc go pominęła.

- A ja wiem od mamy, co ludzie mówią o tych morderstwach - dorzucił Joe. - Powiedziała mi wszystko, co wie. Na przykład o tych nieśmiertelnikach.

- Mama nie chciała powiedzieć wszystkiego, co wiedziała - wyjaśniła Claire - ale mój syn potrafi być bardzo uparty, a ten szczegół wydawał się ważny.

- I słusznie - przytaknął Ryży. - Dokąd poszła pani Perkins? Tym razem odpowiedział Benny.

- Najpierw do pani Grinnell, ale musiała jej powiedzieć coś przykrego, bo pani Grinnell zatrzęsła jej drzwi przed nosem.

Ryży zmarszczył brwi.

- Serio - poparła Benny'ego Norrie. - Zdaje się, że pani Perkins przyniosła jej pocztę. Dała pani Grinnell kopertę. Pani Grinnell ją wzięła i trzasnęła drzwiami. Tak jak mówił Benny.

- Hm - mruknął Ryży. Od ostatniego piątku poczta ani razu nie dotarła do Chester's Mill. Co innego jednak wydawało się ważne: Brenda żyła i załatwiała swoje sprawy w czasie, kiedy Barbie miał alibi. - Dokąd poszła później?

- Na drugą stronę Main i w głąb Mill Street - odparł Joe.

- Ulicy, przy której jesteśmy.

- Właśnie.

Ryży odwrócił się do Claire. - Czy...

- Tu jej nie było - powiedziała Claire. - Chyba że w czasie kiedy sprawdzałam w piwnicy, jakie konserwy mi zostały. Byłam tam pół godziny. Może czterdzieści minut. Chciałam... chciałam uciec od tych hałasów pod sklepem.

Benny zauważył to samo co dzień wcześniej:

- Mill Street ma cztery przecznice długości. Dużo domów.

- Dla mnie nie to jest ważne - rzekł Chudzielec Joe. - Dzwoniłem do Ansona Wheelera. On do dziś czasem przychodzi z deską do skate - parku w Oxfordzie. Pytałem go, czy pan Barbara wczoraj rano był w pracy. Powiedział, że tak. I że pan Barbara poszedł do Food City, kiedy zaczęła się rozróżba. Od tej pory był z Ansonem i panią Twitchell. Czyli pan Barbara ma alibi na czas śmierci pani Perkins, a pamiętacie, że jeżeli nie A, to nie B? Ani nie reszta alfabetu?

Ryży uznał, że ta metafora jest trochę zbyt matematyczna jak na ludzkie sprawy, lecz rozumiał, o co Joemu chodzi. Barbie może i nie miał alibi w przypadku reszty ofiar, ale fakt, że wszystkie porzucono w jednym miejscu, przemawiał za tym, że zginęły z ręki tej samej osoby. A skoro Duży Jim załatwił co najmniej jedną z nich - o czym świadczyły ślady szwów na twarzy Cogginsa - to zapewne pozostałe też.

Albo zrobił to Junior. Junior, który teraz nosił pistolet i odznakę.

- Musimy pójść na policję, prawda? - zapytała Norrie.

- Ja bym się bała - stwierdziła Claire, - I to bardzo. A jeśli Rennie zabił Brendę Perkins? On też mieszka przy tej ulicy.

- To samo wczoraj mówiłam - zauważyła Norrie.

- I czy nie wydaje się prawdopodobne, że skoro jeden radny zatrzaskał jej drzwi przed nosem, poszła do następnego w okolicy?

- Wątpię, czy jest jakiś związek, mamó - powiedział Joe (nieco pobłaźliwie).

- Może i nie, ale mimo wszystko mogła pójść do Jima Renniego. A Peter Randolph... - Pokręciła głową. - Kiedy Duży Jim każe podskakiwać, Peter pyta, jak wysoko.

- Dobrze, pani McClatchey! - krzyknął Benny. - Rządzisz, o matko mojego...

- Dziękuję, Benny, ale w tym mieście rządzi Jim Rennie.

- Co robimy? - Joe patrzył na Ryżego stropiony.

Ryży znów pomyślał o smudze na kloszu. O żółtym niebie. O swędzie dymu w powietrzu. Pomyślał też o determinacji Jackie Wethington, by uwolnić Barbiego. Mimo ryzyka pewnie była to dla niego większa szansa niż zeznania trojga dzieci, zwłaszcza kiedy wysłuchujący ich komendant bez instrukcji dałby radę co najwyżej tylek sobie podetrzeć.

- Na razie nic. Dale Barbara jest bezpieczny tam, gdzie jest. - Ryży miał nadzieję, że to prawda. - Musimy zająć się tą drugą sprawą. Jeśli naprawdę znaleźliście generator kopuły i uda nam się go wyłączyć...

- Reszta problemów rozwiąże się sama. - Norrie Calvert wyglądała, jakby kamień spadł jej z serca.

- Całkiem możliwe - stwierdził Ryży.

7

Kiedy Petra Searles wróciła do apteki (robić inwentaryzację, wyjaśniła), Toby Manning spytał Rommiego, czy może w czymś pomóc. Rommie pokręcił głową.

- Idź do domu. Zobacz, co możesz zrobić dla mamy i taty.

- Jest tylko tata. Mama w sobotę rano pojechała do supermarketu w Castle Rock. Mówi, że w Food City jest za drogo. Co będziesz robić?

- Nic ciekawego - odparł Rommie wymijająco. - Powiedz no... po coście zawiązali sobie z Petrą te niebieskie ścierki na ramionach?

Toby zerknął na opaskę, jakby zupełnie o niej zapomniał.

- Tak żeby okazać solidarność. Po tym, co się stało wczoraj w szpitalu... po tym wszystkim, co się działo...

Rommie skinął głową.

- Nie wzięli cię chyba do policji?

- Nie, gdzie tam. Pamiętasz, jak po jedenastym września prawie wszyscy nosili kaski i koszule nowojorskiej straży pożarnej i policji? To coś w tym stylu. - Toby się zamyślił. -

Gdyby potrzebowali pomocy, pewnie bym się do nich zgłosił, ale wygląda na to, że nieźle sobie radzą. Na pewno nie będę ci potrzebny?

- Uhm. No już, zmykaj. Zadzwoń po ciebie, jeśli postanowię otworzyć po południu.

- Dobra. - Toby'emu oczy błyszczały. - Moglibyśmy urządzić Wyprzedaż Pod Kloszem. Jak to mówią: kiedy życie rzuca ci kłody pod nogi, zbuduj z nich dom.

- Może, może - powiedział Rommie, ale wątpił, czy do takiej wyprzedaży dojdzie. Tego ranka był mniej niż zwykle zainteresowany wciskaniem ludziom tandety za na pozór okazyjne ceny. Czuł, że przez ostatnie trzy dni zaszły w nim głębokie przemiany. Po części przyczyniło się do tego ugaszenie pożaru i koleżeńska atmosfera, która zapanowała później. Wtedy miasto ukazało swoje prawdziwe oblicze, pomyślał. Swoją lepszą stronę. Głównym powodem była jednak śmierć Brendy Perkins... o której wciąż myślał jako o Brendzie Neale. Kiedyś gorąca z niej była dziewczyna; jak tylko się okaże, kto na zawsze ugasił w niej ten żar - o ile Ryży miał rację, że nie zrobił tego Dale Barbara - ten ktoś za to zapłaci. Rommie Burpee osobiście tego dopilnuje.

W głębi jego olbrzymiego sklepu był dział z materiałami do prac remontowych, dogodnie ulokowany obok działu dla majsterkowiczów. Rommie wziął z półki solidne nożyce do metalu, po czym udał się w najdalszy, najciemniejszy i najbardziej zakurzony zakątek swojego królestwa. Tu odszukał dwa tuziny dwudziestokilowych rolek arkuszy blachy ołowianej, używanej do krycia dachów i izolowania kominów. Dwie rolki (i nożyce) załadował do wózka na zakupy, przeszedł z nim przez sklep do działu sportowego i przystąpił do wybierania reszty elementów. Kilka razy wybuchnął śmiechem. Uda się, ale Ryży Everett będzie wyglądał *très amusant*.

Kiedy skończył, rozprostował obolałe plecy, a wtedy w oczy rzucił mu się plakat na drugim końcu działu sportowego, przedstawiający jelenia w celowniku. Nad jeleniem widniało przypomnienie: WKRÓTCE SEZON ŁOWIECKI - PORA SIĘ ZBROIĆ!

Rommie uznał, że faktycznie dobrze byłoby się uzbroić, A nuż Rennie lub Randolph wpadną na pomysł, żeby skonfiskować broń wszystkim oprócz glin.

Popchnął drugi wózek do zamkniętych gablot z karabinami, przebierając bez patrzenia w wiszącym u pasa okazałym pękem kluczy. Sklep Burpeego sprzedawał wyłącznie produkty marki Winchester, a ponieważ sezon łowiecki zaczynał się już za tydzień, Rommie uznał, że w razie gdyby ktoś pytał, da radę wytłumaczyć kilka ubytków na półkach. Wybrał wildcata kalibru .22, samopowtarzalny black shadow i dwa black defendery, też samopowtarzalne. Do tego dorzucił 70 extreme weather (z lunetą) i 70 featherweight (bez). Wziął amunicję do wszystkich sztuk broni, po czym poszedł z wózkiem do swojego gabinetu i włożył cały

arsenał do starego zielonego sejfu schowanego pod podłogą.

To już obłąd, pomyślał, obracając pokrętle.

Ale nie czuł się, jakby popadał w obłąd. A kiedy wyszedł przed sklep, żeby zaczekać na Ryżego i dzieci, przypomniał sobie, że musi zawiązać sobie na ramieniu niebieską ścierkę. I powiedzieć Ryżemu, żeby zrobił to samo. Kamuflaż to niegłupi pomysł.

Wie to każdy łowca jeleni.

8

O ósmej tego ranka Duży Jim był z powrotem w domu, w swoim gabinecie. Carter Thibodeau - którego postanowił uczynić swoim stałym ochroniarzem - siedział z nosem w numerze pisma „Car and Driver”, pochłonięty lekturą porównania bmw H 2012 z fordem vesperem R/T 2011. Obie bryki wyglądały super, ale tylko wariat mógł nie wiedzieć, że bmw rządzi. To samo, pomyślał, dotyczyło każdego, kto nie rozumiał, że pan Rennie jest bmw H miasta Chester's Mill.

Duży Jim czuł się dość dobrze, bo po wizycie u Barbary godzinę się zdrzemnął. W najbliższych dniach będzie potrzebował wielu takich drzemek dla zregenerowania sił. Musiał stale być czujny, panować nad sytuacją. Nie chciał przed sobą przyznać, że boi się też kolejnych ataków arytmii.

Z Thibodeau u boku czuł się dużo spokojniejszy, zwłaszcza że Junior ostatnio był tak niezrównoważony. Carter Thibodeau miał wygląd oprycha, ale na razie dobrze się wczuwał w rolę adiutanta. Duży Jim nie był jeszcze tego całkowicie pewny, lecz myślał sobie, że ten młody człowiek, o dziwo, może okazać się bystrzejszy od Randolpha.

Postanowił to sprawdzić.

- Synu, ilu ludzi pilnuje supermarketu? Wiesz może?

Carter odłożył czasopismo, z tylnej kieszeni wyjął mały, sfatygowany notes i chwilę go wertował. To się Dużemu Jimowi spodobało.

- W nocy było pięciu, trzech pełnoetatowych i dwóch nowych. Żadnych kłopotów. Dziś będzie tylko trzech. Sami nowi. Aubrey Towle... jego brat ma księgarnię, wie pan... Todd Wendlestat i Lauren Conree.

- Tuszysz, że to wystarczy? - He?

- Pytam, czy spodziewasz się, że to wystarczy. „Tuszyć” to „spodziewać się”.

- Taa, powinno. Bo jest dzień i w ogóle.

Bez pauzy na zastanowienie się, co też szef może chcieć usłyszeć. Rennie był pod wrażeniem.

- Dobrze. Teraz posłuchaj. Jeszcze dziś rano spotkaj się ze Stacey Moggin. Każ jej obdzwonić wszystkich naszych policjantów. Niech o siódmej przyjdą do Food City. Chciałbym z nimi pogadać.

Tak naprawdę zamierzał wygłosić następne przemówienie. I tym razem pójdzie na całość. Nakręci ich jak zegarek kieszonkowy dziadunia.

- Jasne. - Carter zrobił notatkę w swojej małej książeczce adiutanta.

- I niech każdy postara się przyprowadzić nowego człowieka. Carter przesunął ogryziony ołówek w dół listy w swoim notesie.

- Mamy już... niech policzę... dwudziestu sześciu.

- To może jeszcze nie wystarczyć. Pamiętasz, co wczoraj rano działo się w sklepie, a w nocy w redakcji tej Shumway. My albo anarchia, Carter. Wiesz, co to słowo znaczy?

- Eee, tak jest. - Carter Thibodeau był prawie pewien, że chodzi o anemię, a jego nowy szef chce przez to powiedzieć, że jak nie wezmą ludzi za mordę, to wszyscy będą słabi czy coś. - Może trzeba by poszukać po domach broni?

Duży Jim uśmiechnął się szeroko. Tak, pod wieloma względami świetny chłopak.

- Mamy to w planach. Pewnie weźmiemy się do tego w przyszłym tygodniu.

- Jeśli kopuła jeszcze będzie stała. Myśli pan, że będzie?

- Tak sędzę. - Musiała. Tyle jeszcze zostało do zrobienia. Trzeba było dopilnować, żeby zapasy propanu rozdzielono między mieszkańców miasta. I żeby wytwórnia amfy za rozgłośnią zniknęła bez śladu. Poza tym, co istotne, jeszcze nie osiągnął wielkości. Choć był już na najlepszej drodze. - Tymczasem każ dwu policjantom, tym pełnoetatowym, skoczyć do Burpeego i skonfiskować broń. Jeśli Romeo Burpee będzie się stawiał, niech powiedzą, że chodzi o to, by nie trafiła w ręce kumpli Dale'a Barbary. Zrozumiałeś?

- Uhm. - Carter znowu coś zapisał. - Denton i Wethington? Mogą być? Duży Jim się zasepił. Wethington, dziewczyna z dużymi cycusiami.

Nie ufał jej. Inna sprawa, że za policjantkami nie przepadał z zasady, bo policja nie jest dla dziewczyn, ale w jej przypadku chodziło o coś więcej. O to, jak na niego patrzyła.

- Freddy Denton tak, Wethington nie. Henry Morrison też nie. Wyślij Dentona z George'em Frederickiem. Niech schowają broń w zabezpieczonym pomieszczeniu na komisariacie.

- Rozumiem.

Zadzwoił telefon. Rennie odebrał, jeszcze bardziej zasepiony.

- Radny Rennie - powiedział.

- Witam. Mówi pułkownik James O. Cox. Kieruję Projektem Klosz, Uznałem, że czas,

abyśmy porozmawiali.

Duży Jim z uśmiechem odchylił się na oparcie krzesła.

- A zatem niech pan mówi, pułkowniku, i niechaj Bóg pana błogosławi.

- Mam informacje, że aresztował pan człowieka, którego prezydent Stanów Zjednoczonych wyznaczył na tymczasowego zarządcę Chester's Mill.

- To by się zgadzało, panie pułkowniku. Pan Barbara oskarżony jest o zabójstwo. A właściwie cztery zabójstwa. Nie wydaje mi się, że prezydent chce, by rządził nami seryjny morderca. Raczej nie poprawiłoby to jego pozycji w sondażach.

- A zatem pan sprawuje władzę.

- Skądże znowu - powiedział Rennie z jeszcze szerszym uśmiechem. - Jestem tylko skromnym wiceprzewodniczącym rady. Decyzje podejmuje Andy Sanders, a aresztowania dokonał Peter Randolph... nasz nowy komendant policji, jak zapewne panu wiadomo.

- Innymi słowy, pańskie ręce są czyste. Takie zajmie pan stanowisko, kiedy kłosz zniknie i zacznie się dochodzenie.

Duży Jim z przyjemnością słuchał frustracji brzmiącej w głosie tego łachadojdy. Skurczybyk z Pentagonu przywykł, że to on trzyma stery; teraz pierwszy raz zobaczył, jak to jest, kiedy ktoś steruje nim.

- A czemuż miałyby być brudne, pułkowniku Cox? U jednej z ofiar znaleziono nieśmiertelniki Barbary. Trudno o bardziej niezbity dowód.

- Jakże dogodnie.

- Niech pan to sobie nazywa, jak pan chce.

- Jeśli włączy pan którąkolwiek ze stacji informacyjnych, przekona się, że aresztowanie Barbary budzi poważne wątpliwości, zwłaszcza w świetle jego wzorowej postawy w wojsku. Padają też pytania o pańską przeszłość, która już tak wzorowa nie jest.

- Myśli pan, że to mnie zaskakuje? Wasi ludzie świetnie potrafią manipulować informacjami. Robicie to od czasów Wietnamu.

- Według CNN prowadzone jest śledztwo w sprawie stosowania przez pana niedozwolonych praktyk handlowych. Podobno naciągał pan klientów na kupno samochodów po cenach wyższych niż w ofercie. NBC podaje, że w roku dwa tysiące ósmym był pan przedmiotem dochodzenia w sprawie nieetycznych zasad udzielania pożyczek. Zdaje się, że naliczał pan nielegalnie wysokie odsetki? Około czterdziestu procent? A potem zajmował samochody osobowe i ciężarówki, spłacone już dwa, ba, nawet trzy razy. Pańscy wyborcy zapewne to oglądają.

Wszystkim tym zarzutom ukręcono łeb. Zapłacił duże pieniądze, żeby tak się stało.

- Ludzie z mojego miasta wiedzą, że w tych programach informacyjnych pokażą każdą bzdurę, byle sprzedać kilka tubek maści na hemoroidy i opakowań proszków nasennych więcej.

- To nie wszystko. Według prokuratora generalnego stanu Maine poprzedni komendant policji, zmarły w ostatnią sobotę, prowadził przeciw panu śledztwo w sprawie oszustw podatkowych, sprzeniewierzenia funduszy i majątku miasta oraz w sprawie współudziału w przestępstwach związanych z narkotykami. Nie ujawniliśmy tych najświeższych informacji prasie i nie mamy zamiaru tego robić... jeśli pójdzie pan z nami na kompromis. Niech pan ustąpi z Rady Miejskiej. Pan Sanders także powinien odejść. Proszę przekazać władzę radnej Andrei Grinnell i Jacqueline Wettington, która zostanie oficjalną przedstawicielką prezydenta w Chester's Mill.

Duży Jim był tak zaskoczony, że z miejsca stracił resztki dobrego humoru.

- Człowieku, czyś ty zwariował?! Andi Grinnell to ćpunka, uzależniona od oksykodonu, a ta Wettington nie ma w tym swoim takim siakim owakim łbie jednej szarej komórki!

- Zapewniam cię, Rennie, że to nieprawda. - Już nie był „panem Rennie”; wyglądało na to, że sielanka się skończyła. - Wettington otrzymała pochwałę za pomoc w rozbiciu siatki handlarzy narkotyków działającej w szpitalu wojskowym w Würzburgu w Niemczech i osobiście polecił ją Jack Reacher, który, moim skromnym zdaniem, jest największym twardzielem, jaki kiedykolwiek służył w żandarmerii wojskowej. Wystarczy, do licha?

- „Skromnym zdaniem”? Nie ma w panu krzty skromności, a pańskie bluźnierstwa rażą moje uczucia religijne. Jestem chrześcijaninem.

- Chrześcijaninem, który handluje narkotykami, według moich informacji.

- Słowa nie kamienie, nigdy mnie nie zranią. - Zwłaszcza pod kopułą, pomyślał Duży Jim z uśmiechem. - Macie choć jakie dowody?

- Daj spokój, Rennie... między nami twardzielami, czy to ma znaczenie? Kloz to większe wydarzenie medialne niż jedenasty wrzeźnia. I na razie zaskarbia wam sympatię. Jeśli jednak nie okażesz gotowości do kompromisu, tak cię obsmaruję, że do końca życia się nie oczyścisz. Jak tylko kloz zniknie, postawię cię przed podkomisją senacką, wielką ławą przysięgłych, i wsadzę do więzienia. Obiecuję. Wystarczy jednak, że ustąpisz, a zapomnimy o całej sprawie. To też ci obiecuję.

- Jak tylko kloz zniknie... - Rennie się zamyślił. - To znaczy kiedy?

- Może wcześniej, niż ci się wydaje. Planuję wejść do miasta pierwszy. Z miejsca zakuję cię w kajdanki i odstawię na samolot, który zabierze cię do Fort Leavenworth w stanie

Kansas, gdzie do czasu procesu będziesz gościem Stanów Zjednoczonych.

Dużemu Jimowi na chwilę odjęło mowę. Co za bezczelne zuchwalstwo! Wreszcie parsknął śmiechem.

- Gdyby dobro miasta naprawdę leżało ci na sercu - podjął Cox - ustąpiłbyś ze stanowiska. Zobacz, co się dzieje pod twoim kierownictwem: sześć zabójstw... w tym dwa w szpitalu ostatniej nocy, jak słyszeliśmy... samobójstwo i splądrowanie sklepu. Nie nadajesz się do tej roboty.

Duży Jim sięgnął po złotą piłkę baseballową, ścisnął ją w dłoni i pomyślał: Gdybyś tu był, pułkownik Cox, dałbym ci próbkę tego, co spotkało Cogginsa. Bóg mi świadkiem, zrobiłbym to. Carter Thibodeau patrzył na niego z niepokojem.

- Rennie?

- Jestem tu. - Pauza. - A pan jesteś tam. - Następna pauza. - A klosz nie zniknie. Myślę, że obaj to wiemy. Możecie zrzucić na niego swoją największą bombę atomową, sprawić, że okoliczne miasta przez dwieście lat nie będą nadawać się do zamieszkania, i zabić wszystkich w Chester's Mill promieniowaniem, jeśli tu przeniknie, a klosz przetrwa. - Teraz już oddychał szybko, ale serce biło mocno i równo w jego piersi. - Bo to woła Boża.

W głębi duszy w to wierzył. Tak jak wierzył, że wolą Boga jest, by wziął to miasto na swoje barki i dźwigał je na nich przez najbliższe tygodnie, miesiące i lata.

- Co takiego?

- Słyszał mnie pan. - Rennie był świadom, że stawia wszystko, całą swoją przyszłość, na to, że klosz będzie nadal istnieć. Świadom, że niektórzy ludzie uznają go za szaleńca. I świadom, że ludzie ci to bezbożni poganie. Tacy jak pułkownik James O. Łachadojda Cox.

- Rennie, bądź rozsądny. Proszę.

Dużemu Jimowi spodobało się to „proszę”; od razu wrócił mu dobry humor.

- Zrekapitulujmy, dobrze, pułkownik Cox? Tu rządzi Andy Sanders, nie ja. Choć naturalnie jestem wdzięczny za kurtuazyjny telefon takiego ważnego człowieka jak pan pułkownik. I choć nie wątpię, że Andy doceni pańską propozycję pokierowania nami... zdalnie, że tak powiem... myślę, że zgodzi się ze mną, jeśli powiem, że może pan wziąć sobie tę swoją ofertę i wsadzić ją tam, gdzie słońce nie dochodzi. Jesteśmy tu sami i poradzimy sobie sami.

- Ty jesteś szalony - powiedział Cox ze zdumieniem.

- Tak bezbożnicy nazywają wierzących. To ich ostatnia linia obrony przeciwko wierze. Przywykliśmy do tego i nie żywię do pana urazy. - To było kłamstwo. - Mogę o coś spytać?

- Proszę.

- Odetniecie nam telefony i komputery?

- Chciałbyś, co?

- Oczywiście, że nie. - Następne kłamstwo.

- Telefony i Internet zostają. A w piątek mimo wszystko odbędzie się konferencja prasowa. Na której, zapewniam, usłyszysz kilka trudnych pytań.

- Nie wybieram się w najbliższym czasie na żadne konferencje prasowe, pułkowniku. Andy też nie. A pani Grinnell raczej nie jest w stanie mówić do rzeczy, biedactwo. Może pan więc odwołać tę swoją...

- O nie, bynajmniej. - Czy w głosie Coksa pobrzmiewał uśmiech?

- Konferencja prasowa odbędzie się w piątek w południe. Dość wcześnie, żeby w wieczornych wiadomościach mogli sprzedać dużo maści na hemoroidy.

- I kto z miasta pańskim zdaniem na nią przyjdzie?

- Wszyscy, Rennie. Bez wyjątku. Bo pozwolimy ich krewnym podejść do klosza na granicy z Motton... gdzie, jak być może pamiętasz, rozbił się samolot z panią Sanders. Media relacjonować będą wszystko od początku do końca. To będzie jak dzień odwiedzin w więzieniu stanowym, tyle że z udziałem samych niewinnych. No, pomijając ciebie.

Rennie znów wpadł w furję.

- Nie możesz tego zrobić!

- Och, właśnie że mogę. - Tak, to był uśmiech. - Możesz sobie siedzieć po swojej stronie klosza i grać mi na nosie; ja mogę robić to samo po mojej stronie. Odwiedzający ustawią się w szeregu i ci, którzy zechcą, włożą T - shirty z napisami DALE BARBARA JEST NIEWINNY, UWOLNIĆ DALE'A BARBARĘ i JAMES RENNIE MUSI ODEJŚĆ. Będą wzruszające spotkania, dłonie przyciskane do dłoni oddzielonych kloszem, może nawet próby pocałunków. To będzie świetny materiał dla telewizji i kawał doskonałej propagandy. Co najważniejsze, sprawi to, że ludzie z twojego miasta zaczną się zastanawiać, czemu pozwalają, żeby kierował nimi taki nieudacznik jak ty.

Głos Dużego Jima zniżył się do gardłowego pomruku.

- Nie dopuszczę do tego.

- Niby jak? Przeszło tysiąc ludzi. Wszystkich nie powystrzelasz.

- Teraz pułkownik zmienił nieco ton. - No, panie radny, dogadajmy się. Możesz jeszcze wyjść z tego bez ujmy na honorze. Wystarczy, żebyś oddał stery.

Duży Jim zobaczył Juniora, wciąż w spodniach od pidżamy i kapciach, sunącego korytarzem jak duch w stronę drzwi domu i ledwo go zauważył. W głowie kołatała mu jedna myśl: władza w rękach Andrei Grinnell i cycatej funkcjonariuszki jako jej zastępczyni.

To był żart. Kiepski żart.

- Pułkownika Cox, pierdol się pan.

Rozłączył się, obrócił na krześle i cisnął złotą piłką baseballową. Trafiła w zdjęcie Tigera Woodsa z autografem. Szybka się stłukła, rama spadła na podłogę, a Carter Thibodeau, który przywykł do tego, że to on straszy innych, a nie jego straszą, zerwał się na równe nogi.

- Panie Rennie, wszystko w porządku?

Wyglądało na to, że nie. Na policzkach radnego wykwitły nieregularne fioletowe plamy. Jego małe oczka były szeroko otwarte i wychodziły z wypełnionych zbitym tłuszczem orbit. Żyłka pulsowała mu na czole.

- Nie odbiorą mi tego miasta. Nigdy - wyszeptał Duży Jim.

- Pewnie że nie - powiedział Carter. - Bez pana poszlibyśmy na dno.

To Dużego Jima trochę uspokoiło. Sięgnął po telefon, po czym przypomniał sobie, że Randolph poszedł do domu się przespać. Nowy komendant od początku kryzysu prawie oka nie zmrużył i zapowiedział Carterowi, że nie zwlecze się z łóżka co najmniej do południa. Nic to. I tak nie było z niego pożytku.

- Carter, napisz krótki list. Pokaż go Morrisonowi, jeśli to on dziś rano kieruje komisariatem, i zostaw na biurku Randolpha. A potem od razu wróć tutaj. - Urwał, przez chwilę zastanawiał się ze zmarszczonym czołem. - I zobacz, czy Junior też się tam wybiera. Wyszedł, kiedy rozmawiałem z pułkownikiem Róbtą, Co Ja Chcę, przez telefon. Jeśli nie, nie szukaj go, ale jeśli tak, sprawdź, czy wszystko z nim w porządku.

- Jasne. Co ma być w tym liście?

- „Drogi komendancie Randolph, Jacqueline Wettington ma niezwłocznie zostać wydalona z policji Chester's Mill”.

- Wydalona, to znaczy zwolniona? - W rzeczy samej.

Carter bazgrał w swojej książeczce i Duży Jim dał mu trochę czasu, żeby się ze wszystkim wyrobił. Znowu czuł się dobrze. Lepiej niż dobrze. Jak natchniony.

- Do tego dopisz: „Drogi posterunkowy Morrison, kiedy Wettington dziś przyjdzie do pracy, proszę ją poinformować, że zostaje zwolniona ze służby, i kazać zabrać manatki. Jeśli zażąda wyjaśnień, niech pan jej powie, że w związku z reorganizacją jednostki nie będzie nam dłużej potrzebna”.

- „Potrzebna” pisze się przez „sz”, panie Rennie?

- Ortografia nie jest ważna. Liczy się treść.

- Dobrze. Jasne.

- Gdyby miała jeszcze jakieś pytania, niech zgłosi się do mnie.

- Zrozumiałem. To wszystko?

- Nie. Przekaż ludziom, że kto zobaczy ją pierwszy, ma jej zabrać odznakę i broń. Gdyby się stawiała i mówiła, że pistolet to jej własność osobista, niech wypiszą pokwitowanie i powiedzą, że po zakończeniu kryzysu albo dostanie go z powrotem, albo wypłacimy jej odszkodowanie.

Carter chwilę jeszcze gryzmolił, po czym podniósł głowę.

- Jak pan myśli, co się dzieje z Juniorem, panie Rennie?

- Nie wiem. Może to tylko migrena. Nie mam czasu się tym zajmować. Są ważniejsze sprawy. - Wskazał notes. - Pokaż to.

Carter wykonał polecenie. Jego pismo wyglądało jak pełne zawijasów kulfony trzecioklasisty, ale niczego nie pominął. Rennie podpisał się u dołu.

9

Carter zaniósł owoce swojej pracy sekretarskiej na komisariat. Henry Morrison przyjął je z niedowierzaniem bliskim buntowi. Carter rozejrzał się za Juniorem, ale go tam nie było i nikt go nie widział. Poprosił Henry'ego, żeby miał oczy szeroko otwarte.

Potem, pod wpływem impulsu, zszedł na dół odwiedzić Barbiego, który leżał na pryczy z rękami pod głową.

- Dzwonił twój szef - powiedział. - Ten Cox. Pan Rennie nazywa go pułkownikiem Róbtą, Co Ja Chcę.

- Nie wątpię - odparł Barbie.

- Pan Rennie kazał mu spierdalać. I wiesz co? Twój koleżka z wojska musiał to potulnie przełknąć. Co ty na to?

- Nie jestem zaskoczony. - Barbie dalej wpatrywał się w sufit. Mówił spokojnym głosem. Denerwująco spokojnym. - Carter, myślałeś, do czego to wszystko zmierza? Próbowałeś spojrzeć na to z szerszej perspektywy?

- Nie ma żadnej szerszej perspektywy, Baaarbie. Już nie. Barbie patrzył w sufit z lekkim uśmiechem, od którego w kącikach ust zrobiły mu się dołki. Carter miał ochotę otworzyć drzwi celi i skuć gównolizowi mordę. Przypomniawszy sobie jednak, co stało się na parkingu karczmy. Niech się Barbara przekona, czy te jego nieczyste sztuczki wystarczą, żeby poradzić sobie z plutonem egzekucyjnym. Niech spróbuje.

- Jeszcze się zobaczymy, Baaarbie.

- Na pewno - powiedział Barbie. Nadał na niego nie patrzył. - Miasto nie jest wielkie, synu, i wszyscy gramy razem.

Kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi plebanii, Piper Libby była jeszcze w T - shircie i szortach - stroju, który służył jej za pidżamę. Otworzyła drzwi, przekonana, że to Helen Roux przyszła godzinę za wcześnie na spotkanie w sprawie pogrzebu Georgii. Ale to była Jackie Wethington. W mundurze, tyle że bez odznaki na lewej piersi i pistoletu na biodrze. Wyglądała na oszołomioną.

- Jackie? Co się stało?

- Zwolnili mnie. Ten bydlak się na mnie uwziął, odkąd na imprezie bożonarodzeniowej dałam mu po łapach, jak próbował mnie macać, ale to pewnie niejedyny, a nawet nie główny powód...

- Wejdz - powiedziała Piper. - W kredensie w spiżarni znalazłam małą kuchenkę turystyczną, chyba po poprzednim pastarze, jest na gaz i, o dziwo, działa. Nie napiłabyś się gorącej herbaty?

- Chętnie - odparła Jackie. Łzy zakręciły jej się w oczach i spłynęły na policzki. Wytarła je prawie ze złością.

Piper zaprowadziła ją do kuchni i zapaliła stojącą na blacie kuchenkę turystyczną z jednym palnikiem.

- A teraz mów.

Jackie nie pominęła wyrazów współczucia Henry'ego Morrisona, nieudolnych, ale szczerych.

- Mówił szeptem - relacjonowała, biorąc filiżankę od Piper. - Zrobiło się tam jak na jakimś cholernym gestapo. Przepraszam, że klnę.

Piper zbyła to machnięciem ręki.

- Henry powiedział, że jeśli jutro na zebraniu zaprotestuję, tylko pogorszę sytuację, bo Rennie wyskoczy z jakimiś wyssanymi z palca zarzutami o niekompetencję. I pewnie ma rację. Tyle że na dziś rano najbardziej niekompetentnym człowiekiem w naszej jednostce jest ten, kto nią kieruje. A co do Renniego... kaptuje do policji ludzi, którzy będą wobec niego lojalni w razie protestów przeciwko temu, co robi.

- To oczywiste - przytaknęła Piper.

- Ci nowi są w większości za młodzi, żeby kupić piwo, ale broń noszą. Myślałam, czy nie powiedzieć Henry'emu, że jest następny do odstrzału... mówił, jak Randolph kieruje jednostką, a wazelinarze na pewno podali to dalej... ale poznałam po jego minie, że już to wie.

- Mam iść do Renniego?

- To nic nie da. Tak naprawdę nie żałuję, że już mnie tam nie ma, po prostu nigdy nie jest miło, jak człowieka zwalniają. Teraz mam duży kłopot, bo po tym, co stanie się jutro wieczorem, podejrzenie od razu padnie na mnie. Możliwe, że będę musiała zniknąć razem z Barbiem. Zakładając, że znajdziemy jakieś miejsce, gdzie można będzie zniknąć.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Zaraz ci wyjaśnię. I od tego momentu robi się niebezpiecznie. Jeśli nie zachowasz tego dla siebie, wyląduję na dołku. Może Rennie nawet postawi mnie razem z Barbarą przed plutonem egzekucyjnym.

Piper przyjrzała jej się z powagą.

- Za czterdzieści pięć minut przyjdzie matka Georgii Roux. Zdążysz w tym czasie wszystko powiedzieć?

- Swobodnie.

Jackie zaczęła od wyników oględzin ciał w domu pogrzebowym. Opisała ślady po szwach na twarzy Cogginsa i złotą piłkę baseballową, którą widział Ryży. Odetchnęła głęboko i przedstawiła swój plan uwolnienia Barbiego podczas nadzwyczajnego zebrania mieszkańców następnego wieczoru.

- Tyle że nie mam pojęcia, gdzie można by go zadekować, jeśli nam się uda. - Upiła łyk herbaty. - I co ty na to?

- Że chcę jeszcze jedną herbatę. A ty? - Nie, dzięki.

Piper podeszła do blatu.

- To, co planujesz, jest strasznie niebezpieczne... zresztą nie muszę ci tego mówić... ale chyba inaczej nie da się uratować życia niewinnemu człowiekowi. Ani przez moment nie wierzyłam, że Dale Barbara jest winny tych morderstw, a po moich własnych przejściach z lokalną policją to, że gotowi są go stracić, byle nie dać mu przejąć władzy, nie jest dla mnie wielkim zaskoczeniem. - Bezwiednie poszła tokiem myślenia Barbiego: - Rennie nie patrzy na sytuację z szerszej perspektywy, gliny też nie. Obchodzi ich tylko to, kto rządzi w ich kurniku. Taki styl działania to prosta droga do katastrofy. Wróciła do stołu.

- Praktycznie od pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałam, żeby objąć pastorat, wiedziałam, że Jim Rennie to potwór w stanie embrionalnym. A teraz... wybac, jeśli zabrzmiało to melodramatycznie... potwór się narodził.

- Dzięki Bogu - powiedziała Jackie.

- Dzięki Bogu, że potwór się narodził? - Piper uśmiechnęła się i uniosła brwi.

- Nie, dzięki Bogu, że jesteś na tak.

- To jeszcze nie wszystko, prawda?

- Tak. Chyba że nie chcesz w to wejść.

- Skarbie, ja już w to weszłam. Jeśli można iść do więzienia za spiskowanie, mnie mogą posadzić za to, że cię wysłuchałam i na ciebie nie doniosłam. Już jesteśmy, według określenia z lubością używanego przez nasz rząd, rodzimymi terrorystami.

Jackie przyjęła to spostrzeżenie w ponurym milczeniu. - Na „Uwolnić Dale'a Barbarę” to się nie kończy, mam rację? Chcesz zorganizować czynny ruch oporu.

- Na to wychodzi. - Jackie zaśmiała się dość bezradnie. - Po sześciu latach w wojsku nigdy bym się tego nie spodziewała. Zawsze wyznawałam zasadę, że z ojczyzną trzeba być na dobre i na złe... ale nie przeszło ci przez myśl, że klosz może nie zniknąć? Ani tej jesieni, ani tej zimy? Może nawet nie w następnym roku ani w ogóle za naszego życia?

- Owszem. - Piper była spokojna, tylko krew odpłynęła jej z twarzy. - Jak chyba każdemu w Mill, mniej lub bardziej świadomie.

- W takim razie zastanów się. Chcesz spędzić rok albo pięć lat pod rządami dyktatora i psychopaty? Wytrzymamy pięć lat?

- Pewnie że nie.

- Kiedy więc mamy go powstrzymać, jeśli nie teraz? On sam może już nie być w stanie embrionalnym, ale machina, którą buduje, jest jeszcze w powijakach. To najlepszy moment. - Jackie zawiesiła głos. - A jeśli każe policji odebrać broń zwykłym obywatelom, być może jedyny.

- Co mam zrobić?

- Zorganizujemy spotkanie tu, na plebanii. Dziś wieczorem. Z udziałem tych ludzi, o ile przyjdą. - Z tylnej kieszeni wyjęła listę, nad którą mocno się z Lindą Everett napracowały.

Piper rozłożyła kartkę wyrwaną z zeszytu. Osiem nazwisk. Podniosła głowę.

- Lissa Jamieson, bibliotekarka z tymi kryształkami? Ernie Calvert? Jesteś pewna tych dwojga?

- Kto bardziej od bibliotekarki przyda się w walce z raczkującą dyktaturą? A co do Erniego... o ile wiem, po wczorajszych zajęciach w supermarkecie, gdyby spotkał płonącego Jima Renniego, nawet by na niego nie naszczał, żeby go ugasić.

- Barwne, choć trochę za dużo zaimków.

- Chciałam, żeby Julia Shumway wybadala Erniego i Lisę, ale teraz będę mogła się tym zająć osobiście. W końcu mam dużo wolnego czasu. Zabrzęczał dzwonek u drzwi.

- Przyszła matka w żałobie. - Piper się podniosła. - Pewnie już pod lekkim gazem. Lubi likier kawowy, ale bólu nim raczej nie ukoi.

- Nie powiedziałaś, co sądzisz o tym spotkaniu - przypomniała Jackie.

Piper Libby się uśmiechnęła.

- Przekaż pozostałym rodzimym terrorystom, żeby przyszli między dziewiątą a wpół do dziesiątej. Pieszko i pojedynczo... jak we francuskim ruchu oporu. Nie ma co się obnosić z tym, co robimy.

- Dziękuję. Bardzo.

- Nie ma za co. W końcu to też moje miasto. Mogłabyś z łaski swojej wymknąć się tylnymi drzwiami?

11

Na tyle furgonetki Rommiego leżała sterta czystych szmat. Ryży związał dwie ze sobą i powstała w ten sposób chusta omotał sobie dolną część twarzy, ale mimo to jego nos, gardło i płuca wypełniał smród martwego niedźwiedzia. W ślepiach, otwartym pysku i odkrytym mózgu zaległy się już pierwsze larwy.

Ryży wstał, cofnął się i lekko zachwiał. Rommie przytrzymał go za łokieć.

- Jeśli zemdleje, niech pan go łapie - powiedział Joe nerwowo. - Może dorosłych to bierze z większej odległości.

- To tylko przez ten smród - wyjaśnił Ryży. - Już dobrze.

Ale nawet z dala od niedźwiedzia świat pachniał nieprzyjemnie. Powietrze było ciężkie i zadymione, jakby całe miasto Chester's Mill zmieniło się w wielki, zamknięty pokój. Oprócz smrodu dymu i rozkładającego się zwierzęcia czuł woń gnijącej roślinności i bagienny odór, który bez wątpienia dobywał się z wysychającego łożyska Prestile. Żeby chociaż wiał wiatr, pomyślał, ale były tylko pojedyncze, słabe podmuchy niosące następne paskudne zapachy. Niebo na zachodzie pokrywały chmury - pewnie w New Hampshire lało jak z cebra - ale kiedy docierały do klosza, rozstępowały się jak rzeka na potężnej skale. Ryży już przestał wierzyć, że pod kopułą może spaść deszcz. Zanotował sobie w pamięci, by zajrzeć na kilka internetowych stron meteorologicznych... o ile znajdzie wolną chwilę. Życie nabrało strasznego tempa i zapanował w nim okropny bałagan.

- Może misio zdechł na wściekliznę? - spytał Rommie.

- Wątpię. Myślę tak jak dzieciaki. Popelnił samobójstwo. Władowali się do furgonetki - Rommie zajął fotel kierowcy - i powoli ruszyli Black Ridge Road pod górę. Ryży trzymał na kolanach cykający miarowo licznik Geigera. Patrzył Jak wskazówka zbliża się do dwustu.

- Stop, panie Burpee! - krzyknęła Norrie. - Zanim wyjedziemy z lasu! Jeśli ma pan zemdleć, lepiej żeby nie stało się to w czasie jazdy, nawet z prędkością piętnastu kilometrów

na godzinę.

Rommie posłusznie zjechał na pobocze.

- Wyskakiwać, małolaty. Będę was niańczył. Doktor dalej pojedzie sam. - Odwrócił się do Ryżego. - Weź wóz, ale jedź powoli i zatrzymaj się, jak tylko promieniowanie niebezpiecznie podskoczy. Albo jak ci się zakręci w głowie. Będziemy szli za tobą.

- Niech pan będzie ostrożny, panie Everett - powiedział Joe.

- I niech się pan nie martwi, jak pan zemdleje i wyleci z drogi - dodał Benny. - Gdy się pan ocknie, wypchniemy wóz z powrotem.

- Dzięki za troskę - zachnął się Ryży. - Prawdziwy dobry Samarytanin z ciebie.

- He?

- Mniejsza z tym.

Ryży usiadł za kierownicą, cykający licznik postawił na fotelu pasażera. Ruszył i bardzo powoli wyjechał z lasu. Black Ridge Road pięła się w stronę sadu. Z początku nie zauważył nic niezwykłego i na chwilę przejęło go głębokie rozczarowanie. Nagle oślepiło go fioletowe światło. Wcisnął hamulec. Rzeczywiście coś tam było w gąszczu zaniedbanych jabłoni. W lusterku wstecznym zobaczył, że wszyscy znieruchomieli tuż za nim.

- Ryży! - zawołał Rommie. - W porządku?

- Widzę to. Policzył do piętnastu i fioletowe światło błysnęło znowu. Już sięgał po licznik Geigera, kiedy Joe zajrzał przez okno od strony kierowcy. Nowe pryszcze znaczyły jego skórę jak stygmaty.

- Czuje pan coś? Kręci się panu w głowie? Mąci w oczach? - Nie.

Joe wskazał do przodu.

- Tam urwał nam się film. O, dokładnie w tym miejscu. Ryży zobaczył rysy w ziemi po lewej stronie drogi.

- Idźcie tam. Zobaczymy, czy zemdlejecie.

- Rany! - jęknął Benny, podchodząc do Joego. - Co ja jestem, królik doświadczalny?

- Szczerze mówiąc, myślę, że królikiem doświadczalnym jest Rommie. Dasz radę, Rommie?

- Uhm. - Romeo Burpee odwrócił się do dzieci. - Jeśli zemdleję, a wy nie, zaciągnijcie mnie tutaj z powrotem. Wygląda na to, że tu to coś nie sięga.

Poszli, czujnie obserwowani przez Ryżego zza kierownicy. Już dochodzili do znaków na ziemi, kiedy Rommie zwolnił kroku i zachwiał się. Norrie i Benny przytrzymali go z jednej strony, Joe z drugiej. Ale Rommie nie upadł. Po chwili stanął prosto.

- Trochę zakręciło mi się w głowie. Może to tylko siła sugestii, ale teraz już wszystko

gra. A wy, małolaty, poczuliście coś?

Pokręcili głowami. Ryży nie był zaskoczony. To rzeczywiście było jak ospa wietrzna: łagodna choroba, głównie dotykająca dzieci, które przechodzą ją raz i potem są uodpornione.

- Jedź dalej - powiedział Rommie. - Nie masz co taszczyć tam całej tej blachy, jeśli nie musisz. Ale uważaj.

Ryży powoli ruszył naprzód. Słyszał, że licznik Geigera cyka coraz szybciej, ale nie czuł nic niezwykłego. Światło na wzniesieniu błyskało w piętnastosekundowych odstępach. Podjechał do Rommiego i dzieci, wyprzedził ich.

- Nic nie czu... - zaczął i wtedy to nastąpiło. Właściwie nie zawrót głowy, lecz poczucie, że dzieje się coś dziwnego, i osobliwe wyostrenie zmysłów. Dopóki to trwało, miał wrażenie, że jego głowa zmieniła się w teleskop, przez który mógł widzieć wszystko, choćby było nie wiadomo jak daleko. Mógłby zobaczyć swojego brata jadącego do pracy w San Diego, gdyby chciał.

Gdzieś z sąsiedniego wszechświata dobiegło wołanie Benny'ego:

- O kurde, doktor Ryży odlatuje!

Ale on wciąż doskonale widział polną drogę przed sobą. E tam doskonale, bosko. Każdy kamyk, każdy odprysk miki. Jeśli odbił w bok - a chyba to zrobił - to tylko po to, żeby ominąć człowieka, który nagle wyrósł na środku drogi. Był to chudy mężczyzna w komicznie przekrzywionym wysokim czerwono - białym - niebieskim cylindrze. Miał na sobie dzinsy i T-shirt z napisem SWEET HOME ALABAMA ZAGRAJ KAWAŁEK TEJ MARTWEJ KAPELI.

To nie człowiek, to kukła na Halloween, uświadomił sobie Ryży.

No tak, jasne. Cóż innego mogło mieć dłonie z zielonych rydli ogrodniczych, głowę z worka i wyszyte białe krzyżyki zamiast oczu?

- Doktorze! Doktorze! - wołał Rommie. Kukła na Halloween stanęła w ogniu.

Chwilę później już jej nie było. Została tylko droga, wzniesienie i fioletowe światło, które błyskało w piętnastosekundowych odstępach, jakby poganiało: „Szybciej, szybciej, szybciej”.

12

Rommie otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Doktorze... Ryży... wszystko gra?

- Tak. Przyszło i poszło. Pewnie ty miałeś tak samo. Rommie, widziałeś coś?

- Nie. Przez chwilę tylko jakby zaleciało ogniem. Ale może dlatego, że powietrze jest

takie zadymione.

- Ja widziałem ognisko pełne płonących dyń - powiedział Joe. - Już to panu mówiłem, prawda?

- Tak. - Wtedy Ryży nie przywiązał do tego większej wagi. Teraz przypomniał sobie, co usłyszał z ust własnej córki.

- Ja słyszałem krzyki - rzekł Benny. - Ale reszty nie pamiętam.

- Też je słyszałam - wtrąciła Norrie. - Był dzień, ale zrobiło się ciemno. Krzyczeli ludzie. I sadza opadała mi na twarz.

- Doktorze, lepiej wracajmy - powiedział Rommie.

- Nie, jeśli jest cień szansy na to, żeby wyciągnąć stąd moje dzieci... i wszystkie dzieci w mieście.

- Założę się, że niektórzy dorośli też by chętnie sobie poszli - zauważył Benny. Joe szturchnął go łokciem.

Ryży spojrzał na licznik Geigera. Wskazówka zatrzymała się na dwustu.

- Zostańcie tutaj - rzucił.

- Doktorze - odezwał się Joe - a jeśli promieniowanie będzie za wysokie i straci pan przytomność? Co wtedy?

Ryży pomyślał o tym.

- Jeśli będę blisko, wyciągnijcie mnie stamtąd. Ale nie ty, Norrie. Sami faceci.

- Dlaczego nie ja? - obruszyła się.

- Bo może kiedyś będziesz chciała mieć dzieci. Takie z tylko dwojgiem oczu i kończynami we właściwych miejscach.

- Jasne. Nie ruszam się stąd.

- Reszcie krótkie wystawienie na promieniowanie nie powinno zaszkodzić. Przez „krótkie” rozumiem „bardzo krótkie”. Gdybym był w połowie zbocza albo już w sadzie, zostawcie mnie.

- Tak nie uchodzi - zaprotestował Rommie.

- Nie mówię, że na dobre. Masz w sklepie jeszcze trochę tej blachy, Rommie?

- Uhm. Trzeba ją było przywieźć.

- Zgadzam się, ale nie da się przewidzieć wszystkiego. W najgorszym wypadku weźmiecie resztę blachy, zakryjecie nią okna samochodu i po mnie przyjedziecie. Kurde, może wtedy już będę na nogach i sam wrócę do miasta.

- Taa... albo będziesz leżał nieprzytomny i dostaniesz śmiertelną dawkę.

- Słuchaj, Rommie, prawdopodobnie niepotrzebnie się martwimy. Myślę, że z tymi

zawrotami głowy czy utratą przytomności jest tak jak z innymi zjawiskami związanymi z kloszem. Odczuwasz to raz, a potem to już na ciebie nie działa.

- Możliwe, że ryzykujesz życie.

- Kiedyś trzeba.

- Powodzenia! - Joe wsadził pięść przez okno.

Ryży stuknął ją lekko, po czym przybił żółwika także z Norrie i Bennym. Rommie Burpee również wyciągnął pięść.

- Małolaty mogą, to ja też.

13

Dwadzieścia metrów za miejscem, gdzie Ryży miał wizję kukły w cylindrze, cyknięcia licznika Geigera przeszły w trzeszczący terkot. Wskazówka stanęła na czterystu, tuż poza krawędzią obszaru zaznaczonego na czerwono.

Zjechał na bok i wyciągnął ekwipunek, którego wolałby na siebie nie wkładać. Spojrzał na pozostałych.

- Ostrzegam... i zwracam się przede wszystkim do pana, panie Benny Drake. Kto się zaśmieje, wraca pieszo.

- Nie będę się śmiał - obiecał Benny.

Już wkrótce śmiali się wszyscy. Ryży też. Najpierw zdjął dżinsy i na bokserki naciągnął treningowe spodenki, jakie noszą gracze w futbol, z wciśniętymi w miejsce ochraniaczy na pośladki i uda kawałkami blachy ołowianej. Następnie włożył nagołenniki i je też owinął blachą. Do tego doszedł ołowiowy kołnierz chroniący tarczycę i ołowiowy fartuch osłaniający jądra. Ten był największy, jaki mieli, i sięgał aż do jasnopomarańczowych nagołenników. Ryży zastanawiał się, czy nie zawiesić sobie drugiego fartucha na plecach (uważał, że lepiej głupio wyglądać, niż umrzeć na raka płuc), ale uznał, że lepiej nie. Z całym ekwipunkiem ważył już przeszło sto pięćdziesiąt kilo. A promieniowanie nie ulegało zakrzywieniu. Jeśli będzie zwrócony twarzą do jego źródła, nic mu się nie powinno stać.

Chyba.

Do tej pory Rommiemu i dzieciakom udawało się ograniczać do dyskretnych chichotów i kilku zduszonych parsknięć. Jakoś się jeszcze opanowali, kiedy Ryży wypchał czepek kąpielowy w rozmiarze XL dwoma kawałkami blachy ołowianej i naciągnął go sobie na głowę, ale gdy włożył sięgające po łokcie rękawice, a potem gogle, nie wytrzymali.

- To żyje! - krzyknął Benny, chodząc w kółko z wyciągniętymi rękami jak potwór Frankensteina. - Panie, to żyje!

Rommie zatoczył się na pobocze i usiadł na kamieniu, rycząc ze śmiechu. Joe i Norrie runęli na drogę i tarzali się jak kury w piachu.

- Wracacie pieszo. Wszyscy - powiedział Ryży, ale kiedy wsiadał (nie bez trudu) z powrotem do furgonetki, też się śmiał.

Fioletowe światło przed nim błyskało jak latarnia morska.

14

Henry Morrison wyszedł z komisariatu, kiedy głośnie, niewybredne żarty, którymi przerzucali się nowi rekruci - godne szatni w przerwie meczu - stały się nie do wytrzymania. Źle się działo, bardzo źle. Chyba wiedział to, jeszcze zanim Thibodeau, oprych, który teraz ochraniał radnego Renniego, przyniósł rozkaz wywalenia Jackie Wettington, świetnej policjantki i porządnego człowieka.

Henry uznał, że to początek szeroko zakrojonej akcji usuwania starszych policjantów, tych, których Rennie uważał za stronników Duke'a Perkinsa. On sam będzie następny. Freddy Denton i Rupert Libby pewnie zostaną; Rupe był umiarkowanym palantem, Denton totalnym. Linda Everett wyleci. Stacey Moggin pewnie też. A wtedy, jeśli nie liczyć durnowatej Lauren Conree, policja Chester's Mill znów stanie się klubem tylko dla chłopców.

Powoli jechał Main Street, która była prawie zupełnie pusta - niczym w wymarłym mieście z westernu. Niechluj Sam Verdreaux siedział pod markizą starego kina. Butelka między jego kolanami zapewne nie zawierała pepsi, ale Henry się nie zatrzymał. A niech sobie pije, stary moczymorda.

Johnny i Carrie Carver zabijali deskami witryny Gas & Grocery. Oboje mieli na ramionach niebieskie opaski, które zaczęły pojawiać się w całym mieście. Ciarki przechodziły Henry'ego na ich widok.

Teraz żałował, że nie wziął etatu w policji w Orono, który proponowali mu rok temu. Nie byłby to dla niego awans, poza tym wiedział, że jak studenciaki sobie popiją czy przyćpają, może być z nimi masa kłopotów, ale zarabiałby lepsze pieniądze, a Frieda mówiła, że uczelnie w Orono są z najwyższej półki.

Koniec końców jednak Duke skłonił go do pozostania, bo obiecał, że na następnym zgromadzeniu mieszkańców przeforsuje podwyżkę dla niego o pięć tysiaków, i zdradził mu - w głębokim zaufaniu - że wyleje Petera Randolpha, jeśli ten sam nie odejdzie. „Awansowałeś na zastępcę komendanta, to następne dziesięć patoli rocznie - powiedział wtedy Duke. - A jak przejdę na emeryturę, mógłbyś wskoczyć na moje miejsce, gdybyś tylko chciał. Alternatywa jest taka, że będziesz rozwoził zarzyganych studenciaków po akademikach.

Przemyśl to”.

Henry uznał, że to brzmi nieźle, Frieda też (choć z mniejszym entuzjazmem), a dzieci oczywiście odetchnęły z ulgą, bo nie miały ochoty się przeprowadzać. Tyle że teraz Duke nie żył, Chester's Mill było pod kloszem, a lokalna policja zmieniała się w coś bardzo niedobrego, śmierdzącego.

Skręcił na Prestile Street i zobaczył Juniora stojącego przy żółtej taśmie rozciągniętej wokół domu McCainów. Junior był tylko w spodniach od pidżamy i kapciach. Wyraźnie chwiał się na nogach.

Pierwszą myślą Henry'ego była ta, że Junior i Niechluj Sam mają dziś ze sobą wiele wspólnego.

Druga jego myśl poświęcona była policji. Na razie wciąż jeszcze w niej służył, nawet jeśli wkrótce miało się to skończyć, a jedną z najbardziej stanowczych zasad Duke'a Perkinsa było: „Nie chcę nigdy widzieć nazwiska funkcjonariusza policji Chester's Mill w kronice kryminalnej »Democrata«,„. A Junior był funkcjonariuszem.

Henry zatrzymał wóz numer trzy przy krawężniku i poszedł tam, gdzie Junior kołysał się w przód i w tył.

- Hej, Junior, chodź, pojedziemy na komisariat, tam napijesz się kawy i... - Nie dokończył. Zauważył, że chłopak ma mokre spodnie od pidżamy. Junior się złał.

Zaniepokojony i zniesmaczony jednocześnie - nikomu nie wolno było tego zobaczyć, Duke przewracałby się w grobie - chwycił Juniora za ramię.

- Chodź, synu. Robisz z siebie widowisko.

- Dziewczuszkami moimi były - powiedział Junior, nie odwracając się. Kołysał się coraz szybciej. - Zaśpiłem je, żeby je ciulić. Niebłobrze. Pszczółki. - Zaśmiał się i splunął. Czy raczej spróbował. Gruba biała nitka zwisała z jego podbródka, zakołysała się jak wahadło.

- Wystarczy. Zabieram cię do domu.

Tym razem Junior się odwrócił i Henry zobaczył, że nie jest pijany Jego lewe oko było jasnoczerwone i miało rozszerzoną źrenicę. Usta opadały w lewym kącie, odsłaniając kilka zębów. To zimne, nieruchome spojrzenie na chwilę przypomniało Henry'emu „Mr. Sardonicus”, film, który przeraził go w dzieciństwie.

Junior nie powinien iść na komisariat na kawę ani do domu, żeby to odespać. Junior powinien trafić do szpitala.

- Chodź, chłopcze - powiedział Henry. - Idziemy.

Junior z początku wydawał się dość uległy. Doszedł z Henrym prawie do samochodu, ale znów się zatrzymał.

- Tak samo pachniały i to było fajne - powiedział. - Szybko, szybko, szybko, zaraz spadnie śnieg.

- Jasne, oczywiście. - Henry liczył, że zdoła zaprowadzić Juniora wokół maski radiowozu do bocznych drzwi i posadzić z przodu, teraz jednak wydawało się to niepraktyczne. Trzeba go będzie dać na tył, choć tylne siedzenia radiowozów zwykle dość intensywnie pachniały.

Junior obejrzał się przez ramię na dom McCainów i na jego częściowo zastygłą twarz wypłynął wyraz tęsknoty.

- Dziewczuszki! - krzyknął. - Wysuwany! Niebłobrze, pszczołki! Wszystko to pszczołki, ty mupi głatole! - Wystawił język i zagrał nim na wargach; wydał dźwięk, jakby Struś Pędziwiatr w obłoku kurzu zerwał się do ucieczki przed Kojotem. Potem zaśmiał się i ruszył w stronę domu.

- Nie, Junior! - Henry złapał go za gumkę spodni od pidżamy. - Musimy...

Junior obrócił się zaskakująco szybko. Już się nie śmiał; jego twarz była rozedrganą kocią kołyską nienawiści i furii. Rzucił się na Henry'ego, wymachując pięściami. Wystawił język i przygryzł go kłapiącymi zębami. Bełkotał, a może mówił w dziwnym języku pozbawionym samogłosek.

Henry instynktownie usunął się na bok. Junior minął go i zaczął okładać pięściami kogut radiowozu. Rozwalił jedną lampę, rozcinając sobie knykcie. Ludzie wychodzili z domów zobaczyć, co się dzieje.

- Gthn bnnt mt! - wrzeszczał Junior. - Mnt! Mnt! Gthn! Gthn! Noga zsunęła mu się z krawężnika do rynsztoka. Zachwiał się, ale nie upadł. Z podbródka zwiślała mu już nie tylko ślina, ale i krew; obie dłonie miał mocno pokaleczone i okrwawione.

- No bo tak mnie straszycie wkurzyła! - krzyknął. - Kopłem ją kolanem, coby się zamkła, ale wziena i szpadła w fał! Wszędzie gówno! Ja... ja... - Zamilkł. Chyba oprzytomniał. - Potrzebuję pomocy - rzekł. Potem pyknął wargami, wydając dźwięk donośny jak wystrzał z pistoletu, i runął na twarz między zaparkowanym radiowozem a chodnikiem.

Henry zawiózł go do szpitala na sygnale. Nie myślał o ostatnich słowach Juniora, tych, które prawie miały sens. Nie chciał w to wnikać.

I bez tego miał dość problemów.

Ryży powoli wjeżdżał na Black Ridge, raz po raz zerkając na licznik Geigera, który teraz już trzeszczał jak radio AM ustawione między stacjami. Wskazówka przeszła z czterystu

na 1K. Ryży gotów był się założyć, że na szczycie dociągnie do 4K. Wiedział, że to dobrze nie wróży - jego „kombinezon ochronny” był, delikatnie mówiąc, prowizoryczny - ale jechał dalej, powtarzając sobie, że rady się kumulują, a zatem jeśli się pośpieszy, nie przyjmie śmiertelnej dawki. Może na jakiś czas wypadnie mi trochę włosów, ale nie ma mowy, żeby to promieniowanie mnie zabiło, tłumaczył sobie. Jak w nalocie bombowym: dopadam do celu, robię swoje i zmykam.

Włączył radio, złapał WCIK i natychmiast wyłączył. Zamrugał, żeby oczyścić oczy z zalewającego je potu. Mimo włączonej klimatyzacji w samochodzie było piekielnie gorąco. W lusterku wstecznym zobaczył współuczestników ekspedycji. Stali zbici w grupkę. Wydawali się bardzo mali.

Trzeszczenie ucichło. Spojrzał na licznik. Wskazówka opadła do zera.

Omali się nie zatrzymał, ale uprzytomnił sobie, że gdyby to zrobił, Rommie i dzieciaki pomyślą, że ma kłopoty. Pewnie siadła bateria... nie, lampka zasilania wciąż jasno świeciła.

Na szczycie wzgórza droga kończyła się placikiem przed podłużną czerwoną stodołą. Stała tam stara ciężarówka i jeszcze starszy traktor z jedynym zachowanym kołem. Stodoła wydawała się w niezłym stanie, choć niektóre okna miała wybite. Za nią widać było opuszczony wiejski dom, którego dach częściowo się zawalił, pewnie pod ciężarem śniegu.

Wrota stodoły były otwarte i mimo zamkniętych w furgonetce okien i włączonej na full klimatyzacji Ryży czuł przywodzący na myśl jabola zapach starych jabłek. Zatrzymał się przed domem. Schody na ganek przegradzał łańcuch z tabliczką: WSTĘP WZBRONIONY POD GROŻBĄ KARY. Tabliczka była stara, zardzewiała i widocznie nieskuteczna. Puszki po piwie walały się po całym ganku, na którym rodzina McCoyów musiała kiedyś przesiadywać w letnie wieczory, chłodzić się na łagodnym wietrze i oglądać rozległe widoki: po prawej całe miasto Chester's Mill, po lewej panorama sięgająca aż po New Hampshire. Na ścianie, która kiedyś była czerwona, a teraz przybrała wyblakły odcień różu, ktoś napisał sprejem WILDCATS PANY. Wykonany sprejem innego koloru napis na drzwiach głosił SEZAM ORGII. Ryży domyślał się, że to pobożne życzenie jakiegoś spragnionego seksu nastolatka. A może nazwa kapeli metalowej.

Podniósł licznik i postukał w niego palcem. Wskazówka drgnęła, urządzenie kilka razy cyknęło. Wyglądało na to, że jest sprawne; po prostu nie wykrywało żadnego istotnego promieniowania.

Wysiadł z furgonetki i - po krótkiej debacie z samym sobą - zdjął większą część swojej prowizorycznej osłony, zostawiając tylko fartuch, rękawice i gogle. Potem ruszył przy boku stodoły z czujnikiem licznika w wyciągniętej do przodu ręce, obiecując sobie, że jak tylko

wskazówka skoczy, wróci po resztę „kombinezonu”.

Kiedy jednak wyszedł zza stodoły i światło błysnęło nie więcej niż czterdzieści metrów od niego, wskazówka ani drgnęła. Wydawało się to niemożliwe - bo przyjął, że promieniowanie jest w jakiś sposób powiązane ze światłem. Znalazł tylko jedno prawdopodobne wytłumaczenie: generator wytwarzał pas promieniowania, żeby odstraszyć ciekawskich. Żeby się chronić. Może to było przyczyną jego zawrotów głowy i omdleń dzieci. Zabezpieczenie. Jak kolce jeżozwierza czy śmierdząca wydzielina skunksa.

Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że licznik nawala? - pomyślał. Może właśnie w tej chwili wystawiam się na śmiertelną dawkę promieni gamma. Przecież to cholerstwo to zabytek z czasów zimnej wojny.

Kiedy jednak zbliżył się do skraju sadu, zobaczył wiewiórkę, która smyrgnęła w trawie i wbiegła na drzewo. Usiadła na gałęzi uginającej się pod ciężarem niezbranych owoców. Miała błyszczące ślepka i puszysty ogon. Wyglądała na zdrową jak ryba. Nie widział żadnych zwierzęcych truchel w trawie ani na zarośniętych ścieżkach między drzewami. Żadnych ofiar promieniowania.

Był już bardzo blisko światła, regularne błyski stały się tak jasne, że przy każdym musiał zamykać oczy. Na prawo cały świat zdawał się leżeć u jego stóp. Widział miasto odległe o sześć kilometrów. Siatka ulic, iglica kościoła kongregacyjnego, kilka połyskujących jadących samochodów. Widział niski murowany budynek szpitala imienia Catherine Russell i daleko na zachodzie czarną smugę w miejscu, w które trafiły rakiety. Wisiała nad ziemią jak znamię na policzku dnia. Niebo w górze było bladobłękitne, prawie swojego normalnego koloru, ale na linii horyzontu błękit przechodził w niezdrową żółć. Ryzy był prawie pewien, że po części spowodowały to zanieczyszczenia - ten sam syf, który zabarwił gwiazdy na różowo - ale podejrzewał, że główna tego przyczyna jest dużo bardziej banalna: jesienne pyłki oblepiające niewidoczną powierzchnię kopuły.

Ruszył dalej. Im dłużej tu będzie - zwłaszcza w tym miejscu, poza zasięgiem wzroku - tym bardziej jego przyjaciele będą się niepokoić. Chciał pójść prosto do źródła światła, ale najpierw wyszedł z sadu na skraj zbrocza. Widział stąd pozostałych, choć z tej odległości wyglądali jak punkciki. Odstawił licznik Geigera, po czym powoli pomachał rękami nad głową, żeby pokazać, że nic mu nie jest. Odpowiedzieli tym samym gestem.

- No dobra - powiedział. Jego dłonie, schowane w ciężkich rękawicach, były śliskie od potu. - Zobaczmy, co my tu mamy.

W szkole podstawowej na East Street trwała przerwa na drugie śniadanie. Judy i Janelle Everett siedziały na końcu placu zabaw ze swoją przyjaciółką Deanną Carver, która miała sześć lat. Na lewym rękawie T - shirta nosiła niebieską opaskę. Przed wyjściem do szkoły zażądała jej od Carrie, bo chciała upodobnić się do rodziców.

- Po co to? - spytała Janelle.

- To znaczy, że lubię policję - powiedziała Deanna, odgryzając kęs batonika.

- Też chcę taką - stwierdziła Judy. - Tylko żółtą. - Wymówiła to słowo bardzo starannie. Raz, kiedy jeszcze była mała, powiedziała „żółtą” i Jannie się z niej śmiała.

- Nie ma żółtych, tylko niebieskie. Ten batonik jest pyszny. Chciałabym mieć takich miliard.

- Byś utyla - zauważyła Janelle. - Byś pękła.

Pochichrały się z tego, po czym na chwilę zamilkły i obserwowały starsze dzieci - Judy i Janelle pogryzały przy tym domowej roboty krakersy z masłem orzechowym. Kilka dziewczynek grało w klasy. Chłopaki łążyły po drabinkach, a pani Goldstone bujała bliźniaczki Pruitt na huśtawce. Reszta dzieci grała w piłkę pod okiem pani Vanedestine.

Wszystko wygląda normalnie, pomyślała Janelle, ale normalne nie jest. Nikt nie krzyczy, nikt nie beczy, bo zadrapał sobie kolano, Mindy i Mandy Pruitt nie błagają pani Goldstone, żeby podziwiała ich identyczne fryzury. Wszyscy wyglądają tak, jakby tylko udawali, że jest przerwa na drugie śniadanie, nawet dorośli. I wszyscy - z nią włącznie - co rusz ukradkiem zerkają na niebo, które powinno być błękitne, a jest brudne.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsza była ta obezwładniająca pewność, że stanie się coś złego.

- W Halloween miałam być Małą Syrenką - powiedziała Deanna - ale nie będę. Niczym nie będę. W ogóle nie chcę nigdzie wychodzić. Boję się Halloween.

- Miałaś zły sen? - spytała Janelle.

- No. - Deanna wyciągnęła do niej swój batonik. - Chcesz resztę? Nie jestem głodna.

- Nie. - Janelle nie chciała nawet reszty swoich krakersów z masłem orzechowym, co było zupełnie do niej niepodobne. A Judy zjadła tylko pół krakersa. Janelle przypomniało się, jak kiedyś Audrey na jej oczach zapędziła mysz w kąt garażu. Pamiętała Jak pies szczekał i nie pozwalał myszy uciec. Zrobiło jej się wtedy smutno i zawołała mamę, żeby zabrała Audrey i nie pozwoliła jej pożreć myszki. Mama śmiała się, ale to zrobiła.

Teraz to oni byli myszami. Jannie zapomniała większość snów, które przyśniły jej się

w czasie ataków, ale tyle wiedziała.

Teraz to ich zapędzono w ką.

- Będę siedzieć w domu. - W oku Deanny zaszkliła się łza, czysta, jasna, idealna. - Całe Halloween. Nawet do szkoły nie pójdę, a co to. Nikt mnie nie zmusi.

Pani Vanedestine zostawiła grających w piłkę i zadzwoniła na koniec przerwy, ale trzy dziewczynki nie wstały od razu.

- Już jest Halloween. Zobaczcie. - Judy wskazała na drugą stronę ulicy, gdzie na ganku Wheelerów leżała dynia. - I tam. - Tym razem pokazała im dwa tekturowe duchy po bokach drzwi poczty. - O, i tam.

Jej palec wymierzony był w trawnik przed biblioteką. Stała tam wypchana kukła, dzieło Lissy Jamieson. Z założenia niewątpliwie miała być śmieszna, ale to, co bawi dorosłych, często przeraża dzieci, i coś mówiło Janelle, że kukła z trawnika przed biblioteką odwiedzi ją tego wieczoru, kiedy będzie leżała w ciemności i czekała na sen.

Głowę miała z worka, z białymi krzyżykami z nici zamiast oczu. Kapelusz wyglądał jak ten, który nosił kot Prot z bajki doktora Seussa. Ręce były z rydli ogrodowych (wstrętne chciwe łapiska, pomyślała Janelle), a na koszuli widniał jakiś napis. Nie rozumiała, co znaczy, ale mogła odczytać słowa: SWEET HOME ALABAMA ZAGRAJ KAWAŁEK TEJ MARTWEJ KAPELI.

- Widzicie? - Judy nie płakała, ale jej oczy były szeroko otwarte i poważne, pełne wiedzy zbyt skomplikowanej i zbyt mrocznej, by wyrazić ją słowami. - To już Halloween.

Janelle wzięła siostrę za rękę i podniosła ją na nogi.

- Wcale nie - powiedziała... ale bała się, że Judy ma rację. Stanie się coś złego, coś związanego z ogniem. Nie będzie cukierków, tylko psikusy. Brzydkie psikusy. Złe psikusy.

- Chodźmy - zaproponowała Judy Deannie. - Będziemy śpiewać piosenki i w ogóle. Będzie fajnie.

Zwykle było, ale nie tego dnia. Nawet przed wielkim bum na niebie fajnie nie było. Janelle nie mogła przestać myśleć o kukle z białymi krzyżykami zamiast oczu. I okropnym napisie: ZAGRAJ KAWAŁEK TEJ MARTWEJ KAPELI.

Cztery lata przed tym, jak stanął klosz, umarł dziadek Lindy Everett i każde z wnucząt dostało w spadku po nim niedużą, ale przyzwoitą sumkę. Czek Lindy opiewał na kwotę 17 232 dolarów i 4 centów. Większą tego część odłożyła z myślą o przyszłych studiach Judy i Janelle, ale uznała, że ma pełne prawo wydać kilka stów na Ryżego. Zbliżały się jego

urodziny, a marzył o gadzecie Apple TV.

W trakcie ich małżeństwa kupiła mu droższe prezenty, lecz z żadnego nie miał większej radochy. Od tej chwili mógł sobie ściągać filmy z netu, a potem oglądać je w telewizorze, a nie na mniejszym ekranie monitora, i był z tego powodu w siódmym niebie. Gadżet ten wyglądał jak biały plastikowy kwadrat o bokach długości około siedemnastu centymetrów i miał niecałe dwa centymetry grubości. Obiekt, który Ryży znalazł na Black Ridge, tak bardzo przypominał jego przystawkę Apple TV, że w pierwszej chwili pomyślał, że nią jest... zmodyfikowaną tak, by mogła wciążyć całe miasto, a nie tylko przesyłać na telewizor „Małą syrenkę” przez Wi - Fi i w wysokiej rozdzielczości.

Przedmiot na skraju sadu McCoyów był ciemnoszary, nie biały, i zamiast wytłoczonego u góry znajomego logo w kształcie jabłka Ryży zobaczył niepokojący symbol:



Nad symbolem była osłonięta daszkiem wypukłość mniej więcej wielkości knykcia jego małego palca. W daszku tkwiła soczewka wykonana ze szkła albo kryształu. To z niej wydobywały się fioletowe błyski.

Ryży schylił się i dotknął powierzchni generatora - o ile to był generator. Silny impuls przeszył jego rękę i rozszedł się na całe ciało jakby został rażony prądem. Próbował się cofnąć. Nie dał rady. Mięśnia zupełnie mu stężały. Licznik Geigera zatrzeszczał i umilkł. Ryży nie miał pojęcia, czy wskazówka wyszła poza granicę bezpieczeństwa bo oczami też nie mógł ruszać. Światło zniknęło ze świata, uciekało jak woda wciągana do otworu odpływowego.

Umrę, pomyślał z nagłym przyplływem jasności i spokoju. I to w tak głupi spo...

W ciemności pojawiły się twarze - tylko że nie były to twarze ludzkie i później nie będzie pewien, czy to w ogóle były twarze. Wyglądały jak geometryczne bryły obite skórą. Odrobinę upodabniały je do ludzi romboidalne kształty po bokach. Mogły to być uszy. Głowy - jeśli to były głowy - odwróciły się do siebie, jakby rozmawiały. Ryżemu wydawało się, że dosłyszał śmiech. Wyobraził sobie dzieci na placu zabaw obok podstawówki na East Street - na przykład jego córki i ich przyjaciółkę Deannę Carver - wymieniające się na przerwie słodyczami i tajemnicami.

Wszystko to trwało sekundy, a potem minęło. Szok ulotnił się tak nagle i całkowicie jak przy pierwszym dotknięciu powierzchni klosza; tak szybko jak jego zawroty głowy i

towarzyszająca im wizja kukły w przekrzywionym cylindrze. Klęczał na szczycie wzgórza wznoszącego się nad miastem i pocił się w swoich ołowianych akcesoriach, to wszystko.

A mimo to obraz tych obitych skórą głów pozostał. Nachylonych ku sobie i śmiejących się w jakiejś obrzydliwie dziecięcej znowie.

Ronnie i dzieciaki są tam na dole i na mnie patrzą, pomyślał. Muszę im pokazać, że nic mi nie jest.

Podniósł ręce nad głowę - teraz już poruszały się swobodnie - i pomachał nimi powoli, zupełnie jakby serce nie tłukło się w jego piersi jak wystraszony zając, jakby po torsie nie ściekały mu ostro pachnące strużki potu.

Malutkie figurki na drodze pomachały do niego.

Kilka razy odetchnął głęboko, żeby ochłonać, po czym przysunął czujnik licznika Geigera do płaskiego szarego kwadratu na gąbczastym dywanie trawy. Wskazówka drgała tuż pod piątką. Promieniowanie tła, nic ponadto.

Ryży nie miał wątpliwości, że ten płaski kwadratowy przedmiot jest źródłem ich kłopotów. Jakieś istoty - nie ludzie, istoty - więziły ich przy jego użyciu. To nie wszystko. Wykorzystywały go też do obserwacji.

I bawiły się. Dranie się śmiali. Słyszał ich.

Ściągnął fartuch, narzucił go na skrzynkę, cofnął się. Przez chwilę nie działo się nic. Potem rozszedł się gryzący swąd. Lśniąca powierzchnia arkusza blachy ołowianej w plastikowej powłoce złuszczyła się i pokryła bąblami, buchnęły płomienie, aż w końcu fartuch po prostu się rozpadł. Przez chwilę widać było jeszcze płonące kawałki, z których największy wciąż leżał na skrzynce. Zaraz potem te resztki uległy całkowitej dezintegracji. Było tylko kilka wirujących drobinek popiołu. I smród.

Czy ja to widziałem naprawdę? - spytał Ryży sam siebie. Czuł swąd spalonego plastiku i mocniejszy smród, zapewne stopionego ołowiu, ale fartuch zniknął.

Ze skrzynki błysnęło fioletowe światło. Czy te impulsy odnawiały klosz, tak jak dotknięcie palcem klawiatury komputera może odświeżyć ekran? Czy to one pozwalały skórzanym łbom oglądać miasto? Jedno i drugie? Ani jedno, ani drugie?

Powiedział sobie, że ma więcej nie podchodzić do tego płaskiego kwadratu. Powiedział sobie, że w tej chwili najrozsądniej byłoby pobiec z powrotem do furgonetki (nieobciążony fartuchem mógłby biec), a potem dać gaz do dechy, zwalniając tylko po to, żeby zabrać czekających w dole towarzyszy.

Zamiast tego znów podszedł do skrzynki i padł przed nią na kolana, w pozie jak na jego gust za bardzo kojarzącej się z oddawaniem czci.

Ściągnął jedną rękawicę, dotknął ziemi obok dziwnego przedmiotu i pośpiesznie cofnął oparzoną dłoń. Kawalki płonącego fartucha wyparty część trawy. Następnie sięgnął do samej skrzynki, szykując się na następne poparzenie albo porażenie... choć ani jedno, ani drugie nie było tym, czego bał się najbardziej; lękał się, że znów zobaczy te skórzane kształty nachylone ku sobie i śmiejące się porozumiewawczo.

Ale nie stało się nic. Żadnych wizji, żadnego gorąca. Szara skrzynka była chłodna w dotyku, choć widział na własne oczy, jak rzucony na nią fartuch ołowiowy pokrył się bąblami, a potem stanął w ogniu.

Błysnęło fioletowe światło. Ryży uważał, żeby nie wsunąć przed siebie dłoni. Chwytał skrzynkę za boki, żegnając się w duchu z żoną i córkami i przepraszając je za to, że jest takim cholernym głupcem. Czekał, aż stanie w ogniu i spłonie. Kiedy to nie nastąpiło, spróbował podnieść skrzynkę. Choć zajmowała tyle miejsca co talerz, była jak przyspawana. Leżała na dywanie trawy i kiedy wsunął dłonie głębiej pod spód, jego palce zetknęły się ze sobą. Splótł je i jeszcze raz spróbował podnieść szary kwadrat. Żadnego porażenia, żadnych wizji, żadnego gorąca. Ale skrzynka nawet nie drgnęła.

Mam w rękach obiekt pochodzenia pozaziemskiego, pomyślał. Maszynę z innego świata. Możliwe, że przez chwilę nawet widziałem jej operatorów.

Z intelektualnego punktu widzenia to było zadziwiające - wręcz osłupiające - ale nie budziło większych emocji, bo Ryży był zbyt oszołomiony.

No to co teraz? - myślał nieskładnie. Co teraz, do licha?

Nie wiedział. I wyglądało na to, że jednak nie jest zupełnie wyprany z uczuć, bo ogarnęła go czarna rozpacz i ledwo się powstrzymał, żeby nie wyrazić tej rozpacz krzykiem. Czworo ludzi w dole mogłoby go usłyszeć i pomyśleć, że ma kłopoty. Które, oczywiście, miał. Zresztą nie on jeden.

Podniósł się. Nogi mu drżały i sprawiały wrażenie, jakby lada chwila miały się pod nim ugiąć. Gorące, parne powietrze zdawało się oblepiać jego skórę jak olej. Powoli ruszył do furgonetki między ciężkimi od jabłek drzewami. Tylko jednego był pewien: Duży Jim za nic w świecie nie może się dowiedzieć o generatorze. Nie dlatego, że spróbowałyby go zniszczyć, wręcz przeciwnie. Najprawdopodobniej wystawiłby przy nim wartę, by mieć pewność, że generator dalej będzie robił swoje, a co za tym idzie, że on sam dalej będzie mógł robić swoje. Dużemu Jimowi przynajmniej na razie odpowiadało to, jak sprawy stoją.

Ryży otworzył drzwi furgonetki i właśnie wtedy, jakiś kilometr na północ od Black Ridge, powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. To było tak, jakby Bóg wychylił się z nieba i wypalił z boskiej strzelby. Ryży musiał osłonić oczy od rażącego blasku drugiego,

tymczasowego słońca, które zapłonęło na niebie nad granicą między TR - 90 a Chester's Mill. Na kloszu rozbił się następny samolot. Tylko że tym razem nie była to byle seneca V. Czarny dym buchał z miejsca uderzenia, które, jak oszacował Ryży, znajdowało się na wysokości co najmniej sześciu tysięcy metrów. Jeśli czarna plama po trafieniach rakiet była pieprzykiem na policzku dnia, to ten nowy ślad był wielkim nowotworem skóry.

Ryży zapomniał o generatorze. Zapomniał o czterech czekających na niego osobach. Zapomniał o własnych dzieciach, dla których dopięto co naraził się na spalenie żywcem i wyparowanie. Na dwie minuty poddał się trwodze.

Szczałki spadały na ziemię po drugiej stronie klosza. Najpierw zgruchotana przednia część samolotu pasażerskiego, potem płonący silnik, za silnikiem kaskada niebieskich foteli lotniczych - do wielu wciąż pasami byli przypięci pasażerowie; po fotelach ogromne lśniąca skrzydło, rozkołysane jak kartka papieru na wietrze. Za skrzydłem ogon, prawdopodobnie boeinga 767. Z jasnozielonym kształtem na ciemnozielonym tle. Ryżemu wyglądało to na trójlistną koniczynę.

A potem kadłub samolotu zwałił się na ziemię i wznicił pożar lasu.

18

Eksplozja wstrząsa miastem i wszyscy wychodzą popatrzeć. Całe Chester's Mill wychodzi popatrzeć. Ludzie stoją przed domami, na podjazdach, na chodnikach, na środku Main Street I choć niebo na północ od ich więzienia jest zachmurzone, muszą osłonić oczy od blasku - tego, który Ryży ze szczytu Black Ridge wziął za drugie słońce.

Oczywiście widzą, co to jest; co bardziej bystroocy spośród nich odczytują nawet nazwę na burcie, zanim samolot zniknie pod linią drzew. Nic nadprzyrodzonego, zdarzyło się to już wcześniej, kilka dni temu (choć, trzeba przyznać, na mniejszą skalę). Jednak w mieszkańcach Chester's Mill budzi to ponury lęk, który od tej pory panować będzie w mieście aż do samego końca.

Każdy, kto kiedykolwiek opiekował się śmiertelnie chorym, powie wam, że przychodzi taki moment, kiedy zaprzeczenia cichną i następuje powolne pogodzenie się z losem. Dla większości mieszkańców Chester's Mill moment ten nastąpił późnym rankiem w środę, dwudziestego piątego października, kiedy stali sami albo z sąsiadami i patrzyli, jak przeszło trzystu ludzi spada do lasu w TR - 90.

Weześniej tego ranka może piętnaście procent mieszkańców nosiło niebieskie „opaski solidarności”; do zachodu słońca ta liczba się podwoi. O świcie następnego dnia opaski będzie miało pięćdziesiąt procent ludności.

Zaprzeczenia ustępują na rzecz akceptacji; akceptacja rodzi uzależnienie. To też powie wam każdy, kto kiedykolwiek opiekował się śmiertelnie chorym. Chorzy potrzebują kogoś, kto będzie im przynosił pigułki i szklanki zimnego, słodkiego soku do popicia. Kogoś, kto będzie smarował ich obolałe stawy kojącym żelem z arniki. Kogoś, kto będzie siedział z nimi ciemną nocą, gdy godziny dłużą się w nieskończoność. Kogoś, kto powie: „Śpij już, rano będzie lepiej. Jestem tu, więc śpij. Śpij już. Śpij spokojnie, ja się wszystkim zajmę. Śpij”.

19

Posterunkowy Henry Morrison zawiózł Juniora do szpitala - chłopak do tego czasu zaczął trochę kontaktować, choć nadal bredził - i Twitch zabrał go na wózku. Henry'emu od razu ulżyło.

W informacji dostał numery telefonów Dużego Jima, domowy i do jego gabinetu w ratuszu, ale pod żadnym nikt nie odbierał - to były linie naziemne. Właśnie słuchał automatu mówiącego, że numer telefonu komórkowego Jamesa Renniego jest zastrzeżony, kiedy rozległa się eksplozja. Wybiegł na zewnątrz razem ze wszystkimi, którzy mogli chodzić o własnych siłach, i stanął na placyku przed wejściem, wpatrzony w nowy czarny ślad na niewidocznej powierzchni klosza. Ostatnie szczątki samolotu powoli opadały na ziemię.

Duży Jim rzeczywiście był w swoim gabinecie w ratuszu, ale wyłączył telefon, by w spokoju pracować nad obydwoma przemówieniami - dzisiejszym, do policjantów, i jutrzejszym, którego wysłucha całe miasto. Usłyszał wybuch i wypadł na zewnątrz. Jego pierwszą myślą było, że Cox odpalił bombę jądrową. Taką siaką owaką jądrowkę! Gdyby rozbiła kopułę, wszystko na nic!

Zauważył, że stoi obok Ala Timmonsa, woźnego z ratusza. Al wskazał mu coś wysoko na niebie, na północy. Kłęby dymu. Przypominały Dużemu Jimowi wybuchy pocisków przeciwlotniczych w starym filmie o drugiej wojnie światowej.

- To był samolot! - krzyknął Al. - I to duży! Chryste! Co, nikt im nie powiedział?

Duży Jim poczuł ostrożną ulgę i jego serce, które waliło jak młot spadowy, trochę się uspokoiło. Jeśli to był samolot... tylko samolot, a nie bomba jądrowa czy jakiś superpocisk...

Zaświergotała jego komórka. Wyszarpnął ją z kieszeni marynarki i rozłożył.

- Peter? To ty?

- Nie, panie Rennie. Mówi pułkownik Cox.

- Coście zrobili?! - krzyknął Rennie. - Na litość boską, coście zrobili tym razem?!

- Nic. - W głosie Coksa nie było już tego szorstkiego, władczego tonu, tylko szok. - Nie mieliśmy z tym nic wspólnego. To... proszę chwilę poczekać.

Rennie czekał. Main Street była pełna ludzi wpatrzonych w niebo z rozdziawionymi ustami. Renniemu przywodzili na myśl owce w ludzkim stroju. Jutro wieczorem wpakują się do ratusza i zaczną się: Meee, meee, meee, kiedy sytuacja się poprawi? I meee, meee, meee, opiekuj się nami, dopóki to nie nastąpi. A on to zrobi. Nie dlatego, że chce, ale dlatego, że taka jest wola Boża.

Cox wrócił do telefonu. Już nie był tym samym człowiekiem, który straszył Dużego Jima, żeby go zmusić do odejścia. I tak właśnie ma być, koleś, pomyślał Rennie. Dokładnie tak.

- Z moich wstępnych ustaleń wynika, że samolot linii Air Ireland numer 179 uderzył w klosz i eksplodował. Leciał z Shannon do Bostonu. Mamy już dwóch świadków, którzy niezależnie od siebie twierdzą, że widzieli koniczynkę na jego ogonie, a ekipa telewizji ABC, która kręciła materiał tuż za strefą kwarantanny w Harlow, sfilmowała... jeszcze sekundę.

Trwało to o wiele dłużej niż sekunda, a nawet minuta. Serce z wolna powracało do swojego normalnego tempa (jeśli sto dwadzieścia uderzeń na minutę można tak nazwać), ale teraz znów przyspieszyło i łupnęło przeciągle, gubiąc rytm. Duży Jim zakaszłał i uderzył się pięścią w pierś. Serce na moment jakby się uspokoiło, po czym wpadło w pełną arytmieję. Pot wystąpił mu na czoło. Światło dnia, dotąd przyćmione, nagle stało się aż za jasne.

- Jim? - zaniepokoił się Al Timmons i choć stał tuż obok, jego głos zdawał się dochodzić z odległej galaktyki. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Zostań tu. Możliwe, że będziesz mi potrzebny. Cox wrócił do telefonu.

- To rzeczywiście był samolot Air Ireland. Właśnie obejrzałem materiał ABC przedstawiający moment katastrofy. Reporterka dogrywała komentarz i to stało się dokładnie za jej plecami. Wszystko zarejestrowali.

- Na pewno wzrośnie im oglądalność.

- Panie Rennie, były między nami nieporozumienia, ale mam szczerą nadzieję, że przekáže pan swoim wyborcom, że nie mają powodu do niepokoju.

- Niech mi pan wyjaśni, jak coś takiego można... - Serce znów mu zatrzepotało. Nie mógł zaczerpnąć tchu. Ponownie walnął się w pierś, tym razem mocniej, i usiadł na ławce obok wyłożonej cegłą ścieżki, która biegła od ratusza do chodnika. Al teraz już patrzył na niego z troską i lękiem. Nawet w tym momencie, kiedy tyle się wokół działo, Duży Jim ucieszył się na ten widok. Był zadowolony, że uchodzi za człowieka niezastąpionego. Owce potrzebują pasterza.

- Rennie, jesteś tam?

- Jestem. Jak to się stało? Jak to się mogło stać? Myślałem, żeście wszystkich

uprzedzili.

- Pewności nie mamy i mieć nie będziemy, dopóki nie znajdziemy czarnej skrzynki, ale mniej więcej się domyślamy. Co prawda rozesłaliśmy komunikat nakazujący wszystkim komercyjnym przewoźnikom omijać klosz, lecz tędy biegnie zwykły tor lotu 179. Sądzymy, że ktoś zapomniał przeprogramować autopilota. Tak po prostu. Przekażę wam dalsze szczegóły, jak tylko je dostaniemy, na razie jednak najważniejsze jest, aby nie dopuścić do wybuchu paniki w mieście.

W pewnych okolicznościach panika to dobra rzecz. W pewnych okolicznościach może - jak plądrowanie sklepu czy podpalenia - mieć zbawienne skutki.

- Głupota na ogromną skalę, ale mimo to wypadek, nic więcej - mówił Cox. - Proszę dopilnować, żeby ludzie się o tym dowiedzieli.

Będą wiedzieli to, co im powiem, i uwierzą w to, w co każę im wierzyć, pomyślał Rennie.

Jego serce zaperkotało jak tłuszcz na rozgrzanej płycie, na chwilę wróciło do bardziej normalnego rytmu, po czym znów zaczęło perkotać. Wcisnął czerwony guzik, nie odpowiadziawszy Cokowski, i wrzucił telefon z powrotem do kieszeni.

- Zabierz mnie do szpitala, Al - powiedział z całym spokojem, na jaki mógł się zdobyć. - Nie najlepiej się czuję.

Al Timmons - który nosił „opaskę solidarności” - wydawał się zaniepokojony jak nigdy.

- Jasne, Jim. Siądź sobie, ja pójdę po samochód. Nie możemy pozwolić, żeby coś ci się stało. To miasto cię potrzebuje.

Jakbym nie wiedział, pomyślał Duży Jim, siedząc na ławce, wpatrzony w wielką czarną plamę na niebie.

- Znajdź Cartera Thibodeau i powiedz mu, żeby przyszedł tam do mnie. Chcę mieć go pod ręką.

Zamierzał jeszcze wydać inne polecenia, ale w tym właśnie momencie serce stanęło na amen. Renniemu pod nogami na chwilę rozwarła się ciemna otchłań wieczności. Wydał zduszony okrzyk i uderzył się w pierś. Serce ruszyło galopem. Powiedział do niego w myśli: Tylko mi tu teraz nie zdychaj, za dużo mam do zrobienia. Ani mi się waż, ty łachadojdo. Ani mi się waż!

- Co to było? - spytała Norrie wysokim, dziecięcym głosem, po czym sama sobie

odpowiedziała: - Samolot, prawda? Samolot pełen ludzi. - Wybuchnęła płaczem. Chłopcy usiłowali wstrzymać łzy, bezskutecznie. Rommiemu też chciało się płakać.

Joe obejrzał się na zjeżdżającą z wzniesienia furgonetkę. Na samym dole dodała gazu, jakby Ryży nie mógł się doczekać powrotu. Kiedy podjechał i wyskoczył z wozu, Joe zauważył jeszcze jeden powód jego pośpiechu - fartuch ołowiowy zniknął.

Zanim Ryży zdążył cokolwiek powiedzieć, zadzwoniła jego komórka. Rozłożył ją, spojrzął na numer na wyświetlaczu, po czym odebrał. Spodziewał się Ginny, ale to był ten nowy, Thurston Marshall.

- Tak, co tam? Jeśli chodzi o ten samolot, widziałem... - Chwilę słuchał zasepony, po czym pokiwał głową. - Dobra, jasne. Już jadę. Każ Ginny albo Twitchowi podać mu dwa miligramy valium przez kroplówkę. Nie, lepiej trzy. I powiedz mu, żeby się uspokoił. To wbrew jego naturze, ale niech choć spróbuje. Jego synowi dajcie pięć miligramów.

Złożył telefon i spojrzął na nich.

- Obaj Rennie są w szpitalu, starszy z atakiem serca. Dureń jeden, od dwóch lat powinien nosić rozrusznik. Thurston mówił, że młodszy, sądząc po objawach, może mieć glejaka. Oby się mylił.

Norrie podniosła zalaną łzami twarz. Obejmowała ramieniem Benny'ego Drake'a, który nerwowo ocierał oczy. Kiedy Joe podszedł i stanął obok niej, drugą ręką objęła jego.

- To nowotwór mózgu, prawda? - zapytała. - Taki groźny.

- Praktycznie wszystkie są groźne, kiedy atakują młodych ludzi w wieku Juniora Renniego.

- Co znalazłeś tam na górze? - spytał Rommie. - I gdzie pana fartuch? - dodał Benny. - Znalazłem to.

- Generator? - powiedział Rommie. - Jesteś pewien?

- Uhm. Czegóż takiego w życiu nie widziałem. Ani ja, ani, jak sądzę, nikt inny na Ziemi.

- Coś z innej planety - szepnął Joe. - Wiedziałem! Ryży spojrzął na niego twardym wzrokiem.

- Tylko nikomu o tym nie mów. Wy też nie. Gdyby ktoś pytał, odpowiadajcie, że nic nie znaleźliśmy.

- Nawet mojej mamie? - spytał Joe żałośnie.

Ryży omal nie uległ, ale obrócił swoje serce w kamień. Tajemnicę w tej chwili znało już pięć osób. Zdecydowanie za dużo. Małolaty jednak zasłużyły, żeby ich do niej dopuścić, a Joe i tak ją odgadł.

- Nawet mamie, przynajmniej na razie.
- Nie mogę jej okłamywać. Nie da rady. Ma taki matczyzny radar.
- To wytłumacz, że kazałem ci złożyć przysięgę milczenia i że tak dla niej będzie lepiej. Gdyby nalegała, odeślij ją do mnie. Muszę wracać do szpitala. Rommie, ty prowadź. Ja mam stargane nerwy.
- Nie powiesz nam... - zaczął Rommie.
- Powiem wszystko. Po drodze. Może nawet wykombinujemy, co z tym zrobić.

21

Godzinę po tym, jak boeing 767 linii Air Ireland rozbił się o klosz, Rose Twitchell wmaszerowała do komisariatu policji Chester's Mill z nakrytym serwetką talerzem. Dyżur znów pełniła Stacey Moggin, sądząc z wyglądu, tak samo zmęczona i rozkojarzona jak Rose.

- Co to?
- Lunch. Dla mojego kucharza. Dwie opiekane kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem.

- Rose, nie wolno mi cię tam wpuścić. Nie mogę tam wpuszczać nikogo.

Mel Searles właśnie opowiadał dwóm nowym rekrutom o motorodeo, które wiosną oglądał w Portland. Obejrzał się.

- Ja mu to zaniosę, pani Twitchell.
- Wykluczone - powiedziała Rose.

Mel sprawiał wrażenie zaskoczonego. I lekko urażonego. Zawsze lubił Rose i myślał, że ona jego też.

- Boję się, że upuścisz talerz - wyjaśniła, choć nie była to cała prawda; po prostu mu nie ufała. - Widziałam, jak grasz w futbol, Melvin.

- Oj, co też pani, nie jestem aż taki łamaga. - I chcę zobaczyć, czy nic mu nie jest.
- Nie wolno go odwiedzać. Komendant Randolph zabronił, na bezpośrednie polecenie radnego Renniego.

- A ja tam zejdę i tak. Jeśli chcesz mnie powstrzymać, będziesz musiał użyć tego swojego paralizatora, a jeśli to zrobisz, nigdy więcej nie dostaniesz u mnie takich wafli z truskawkami, jakie lubisz, z mięciutkim ciastem na środku. - Rozejrzała się. - Poza tym nie widzę tu żadnego z tych dwóch. A może coś mi umknęło?

Mel zastanowił się, czy nie być stanowczy, choćby po to, żeby zrobić wrażenie na świeżym narybku, ale uznał, że lepiej nie. Naprawdę lubił Rose. I jej wafle, zwłaszcza kiedy były takie lekko rozciamicane. Podciągnął pasek.

- No dobra. Ale pójdę z panią i nic mu pani nie da, dopóki nie zajrzę pod tę serwetkę.

Uniosła ją. Pod spodem były dwie kanapki i liścik napisany na odwrocie rachunku ze Sweetbriar Rose. O treści: „Trzymaj się. Wierzymy w Ciebie”.

Mel wyjął liścik, zmiął go i rzucił w stronę kosza na śmieci. Niecelnie. Jeden z rekrutów polecił go podnieść.

Mel wziął pół kanapki i ugryzł potężny kęs.

- I tak wszystkiego by nie zjadł - wytłumaczył Rose.

Rose nic nie odpowiedziała, ale kiedy schodziła za nim po schodach, przemknęło jej przez myśl, żeby rozwalić mu łeb talerzem. Była w połowie korytarza na dole, kiedy Mel powiedział:

- Dalej nie można, pani Twitchell. Ja mu to zaniosę.

Oddała mu talerz i patrzyła ze smutkiem, jak Mel klęka, wsuwa talerz przez kraty i oznajmia:

- Lunch podano, me - sje.

Barbie nie spojrział na niego. Patrzył na Rose.

- Dziękuję. Choć jeśli to Ansonje zrobił, nie wiem, jak wdzięczny będę po pierwszym kęsie.

- Ja je zrobiłam - powiedziała. - Barbie... dlaczego cię pobili? Próbowaleś uciekać? Wyglądasz okropnie.

- Nie uciekałem, stawiałem opór przy aresztowaniu. Zgadza się, Mel?

- Nie bądź taki dowcipny, bo wejdę tam i zabiorę ci te kanapki.

- Chcesz, to spróbuj - rzekł Barbie. - Zobaczymy, czy dasz radę. - Kiedy Mel nie wykazał ochoty, by przyjąć propozycję, Barbie znów odwrócił się do Rose. - Słyszałem wybuch. To był samolot? Musiał być duży.

- W ABC mówili, że pasażerski, linii Air Ireland. Wypełniony do ostatniego miejsca.

- Niech zgadnę. Leciał do Bostonu albo Nowego Jorku i jakiś geniusz zapomniał przeprogramować autopilota.

- Nie wiem. Na razie nic nie mówią.

- Starczy tych pogaduszek. - Mel wrócił i wziął ją za ramię. - Idziemy, bo inaczej będę miał przez panią kłopoty.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Dobrze się czujesz? - spytała Barbiego.

- Uhm. Pogodziłaś się już z Jackie Wettington?

Co miała odpowiedzieć? Nie klóciła się z Jackie, więc nie miała po co się z nią godzić.

Odniosła wrażenie, że Barbie lekko pokręcił głową. Miała nadzieję, że to nie było złudzenie.

- Jeszcze nie - powiedziała.

- Powinnaś. Powiedz jej, żeby nie była świnia, i tyle.

- Już to widzę - mruknął Mel. Uczepił się ramienia Rose. - No chodźmy, niech mnie pani nie zmusza, żebyśmy wyciągnął ją siłą.

- Przekaż jej, że powiedziałem, że jesteś w porządku! - zawołał Barbie, kiedy ruszyła po schodach na górę, tym razem przodem, z Melem deptającym jej po piętach. - Naprawdę powinniście pogadać. I dzięki za kanapki.

„Przekaż jej, że powiedziałem, że jesteś w porządku”. To była wiadomość dla niej, nie miała co do tego wątpliwości. Nie sądziła, by Mel to wychwytał. Zawsze był tępy. Pewnie dlatego Barbie zaryzykował.

Rose postanowiła jak najszybciej odszukać Jackie i przekazać jej wiadomość: „Barbie mówi, że jestem w porządku. Barbie mówi, że możesz ze mną rozmawiać”.

- Dziękuję, Mel - powiedziała, kiedy wrócili do sali odpraw. - To ładnie z twojej strony, że pozwoliłeś mi to zrobić.

Mel rozejrzał się i kiedy nie zauważył nikogo wyższego rangą od siebie, odprężył się.

- Żaden kłopot, ale kolacji to już mu pani nie zanieś, nie ma mowy. - Zamyślił się, po czym uderzył w filozoficzny ton. - A co tam, niech sobie zje coś dobrego. Bo za tydzień o tej porze będzie tak przypieczony jak te kanapki, co mu je pani zrobiła.

Zobaczymy, pomyślała Rose.

22

Andy Sanders i Kucharz siedzieli przy magazynie WCIK i palili amfę. Przed nimi, na łące otaczającej wieżę radiową, był usypany z ziemi wzgórek oznakowany krzyżem zbitym z listew. Leżała pod nim Sammy Bushey, dręczycielka lalek Bratz, ofiara gwałtu, matka Little Waltera. Kucharz stwierdził, że później może ukradnie taki prawdziwy krzyż z cmentarza nad Chester Pond. Jeśli starczy czasu. A to nie było pewne.

Uniósł pilota do drzwi garażu.

Andy'emu żal było Sammy, podobnie jak Claudette i Dodee, ale jego smutek stał się smutkiem obserwowanym na dystans, schowanym w swoim własnym kloszu; można go było zobaczyć, przekonać się, że istnieje, ale nijak nie dało się do niego dostać. A to dobrze. Próbował to wytłumaczyć Kucharzowi Busheyowi, choć w połowie wszystko trochę poplątał - takie to było zawile. Kucharz mimo to pokiwał głową, a potem podał Andy'emu dużą szklaną faję. Z boku wytrawione były słowa SPRZEDAŻ ZABRONIONA.

- Dobrze, co? - powiedział Kucharz.

- A jak! - odparł Andy.

Potem przez jakiś czas rozprawiali na dwa podstawowe tematy nowo nawróconych ćpunów: jaki to dobry towar mają i jakiego ten dobry towar daje im kopa. W którymś momencie na północy nastąpił potężny wybuch. Andy osłonił oczy, które piekły go od dymu. Omal nie upuścił bongy, ale Kucharz w porę złapał.

- O w mordę, to samolot! - Andy próbował się podnieść, lecz nogi, choć rozpięła je energia, nie utrzymały jego ciężaru. Usiadł z powrotem.

- Nie, Sanders - powiedział Kucharz. Kiedy tak siedział w rozkroku, przypominał Andy'emu Indianina z fajką pokoju.

Między Andym a Kucharzem stały oparte o ścianę cztery automatyczne AK - 47, rosyjskiej produkcji, ale importowane - jak wiele innych wysokiej jakości produktów przechowywanych w magazynie - z Chin. Było tam też pięć skrzyń ułożonych jedna na drugiej, wypełnionych magazynkami po trzydzieści pocisków każdy, i jeszcze jedna, zawierająca granaty RGD - 5. Kucharz powiedział Andy'emu, co znaczy napis ideogramami na skrzyni: „Tylko tego, kurwa, nie upuść”.

Kucharz wziął jeden z AK - 47 i położył go sobie na kolanach.

- To nie był samolot - rzekł z naciskiem.

- Nie? A co?

- Znak od Boga. - Kucharz spojrzał na to, co wymalował na ścianie magazynu: dwa cytaty (luźno zinterpretowane) z Apokalipsy, z mocno wyeksponowaną liczbą 31. Potem odwrócił się do Andy'ego. Smuga dymu na północy już się rozpraszała. Pod nią świeży dym unosił się z lasu, na który spadł samolot. - Pomyliłem daty - powiedział w zadumie. - Halloween rzeczywiście wypadnie w tym roku wcześniej. Może dziś, może jutro, może pojutrze.

- Albo popojutrze - usłużnie dodał Andy.

- Może - przyznał Kucharz - ale myślę, że wcześniej. Sanders!

- Co, Kucharzu?

- Weź karabin. Teraz jesteś w armii Pana. Jesteś chrześcijańskim żołnierzem. Nie będziesz więcej lizał dupy temu zasranemu odszczepieńcowi.

Andy wziął kałasznikowa i położył go sobie na nagich udach. Przyjemnie było poczuć ciężar i ciepło karabinu. Sprawdził, czy jest zabezpieczony. Był.

- O jakim zasranym odszczepieńcu mówisz, Kucharzu? Kucharz spojrzał na niego z głęboką pogardą, ale kiedy Andy sięgnął po fajkę, oddał ją bez sprzeciwu. Starczy dla nich obu,

aż do samego końca, a koniec zaiste był bliski.

- O Renniem. O tym zasranym odszczepieńcu.

- To mój przyjaciel... kumpel... ale bywa upierdliwy, masz rację - przyznał Andy. - Rany boskie, ale dobry towar.

- Fakt - przytaknął Kucharz ponuro i wziął od niego bongę (którego Andy nazywał w duchu fajką pokoju). - Najlepszy z dobrych, najczystszy z czystych i co jeszcze, Sanders?

- Lekarstwo na melancholię! - odparł Andy z werwą.

- A to, co to jest? - Wskazał nowy czarny ślad na kłoszu. - Znak! Od Boga!

- Otóż to. - Kucharz dał się udobruchać. - Ten odlot dał nam sam Bóg. Wiesz, co się stało, kiedy Bóg otworzył siódmą pieczęć? Czytałeś w ogóle Apokalipsę?

Andy mgliście pamiętał, że na obozie dla młodych chrześcijan, na którym był jako nastolatek, mówili coś o aniołach wyskakujących spod siódmej pieczęci jak klauni z samochodziku w cyrku, ale nie chciał tego tak ująć. Kucharz mógłby to uznać za bluźnierstwo. Dlatego tylko pokręcił głową.

- Tak też myślałem - powiedział Kucharz. - Nasłuchałeś się kazań u Odkupiciela, ale kazania to nie nauka. Kazania to nie to samo co prawdziwe, kurde, wizje. Rozumiesz?

Andy rozumiał tylko tyle, że chce następnego macha, ale pokiwał głową.

- Kiedy otwarto siódmą pieczęć, pojawiło się siedmiu aniołów z siedmioma trąbami. I za każdym razem, jak któryś odstawiał solówkę, na ziemię spadały plagi. Masz, sztachnij się, to ci się pomoże skupić.

Jak długo już tu siedzieli i palili? Wydawało się, że wiele godzin. Czy naprawdę widzieli katastrofę samolotu? Andy nie był pewien. Wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne. Może powinien się zdrzemnąć. Ale cudownie, wręcz bosko było siedzieć tu z Kucharzem i łączyć przyjemne z pożytecznym, odlot z nauką.

- Prawie się zabiłem, lecz Bóg mnie ocalił - wyznał Kucharzowi. Ta myśl była tak zachwycająca, że łzy stanęły mu w oczach.

- Taa, taa, to akurat oczywiste. Reszta nie. Dlatego słuchaj.

- Słucham.

- Jak pierwszy anioł zatrąbił, krew spadła na ziemię. Jak zatrąbił drugi, do morza runęła góra ognia. Czyli chodzi o wulkany i takie tam.

- Tak! - krzyknął Andy i niechętny pociągnął za spust AK - 47 leżącego mu na kolanach.

- Uważaj - rzekł Kucharz. - Gdyby nie był zabezpieczony, odstrzeliłbyś mi zaganiacza i bym go na tamtej sośnie musiał szukać. Masz, walnij macha. - Wręczył Andy'emu fajkę.

Andy nawet nie pamiętał, że wcześniej mu ją oddał. W ogóle to która godzina? Wyglądało, że jest po południu, ale jak to możliwe? Nawet nie zgłodniał w porze lunchu, a przecież lunchu nigdy nie opuszczał, to był jego ulubiony posiłek.

- Słuchaj, Sanders, bo przechodzimy do tego, co ważne. Kucharz następny fragment mógł zacytować z pamięci, bo odkąd przeniósł się tu, do rozgłośni, gruntownie przestudiował Apokalipsę; czytał ją raz po raz, obsesyjnie, niekiedy aż do chwili, kiedy świt słał się na horyzoncie.

- „I trzeci anioł zatrąbił: i spadła z nieba wielka gwiazda! Płonąca jak pochodnia!”.

- Właśnieśmy to widzieli!

Kucharz skinął głową. Jego oczy utkwione były w czarnej, rozmazanej plamie w miejscu, gdzie Air Ireland 179 dokonał żywota.

- „A imię gwiazdy zowie się Piołun, i wielu ludzi pomarło od wód, bo stały się gorzkie”. Sanders, jest w tobie gorzycz?

- Nie! - zapewnił go Andy.

- Nie. My jesteśmy wyluzowani. Ale teraz, kiedy gwiazda Piołun zajaśniała na niebie, przyjdą ludzie pełni gorzycy. Bóg mi to powiedział, Sanders, nie bujam. Sprawdź mnie, a przekonasz się, że nigdy nie wstawiam kitu. Będą chcieli odebrać nam to wszystko. Rennie i jego zakłamani kolesie.

- Nigdy! - krzyknął Andy. Nagle ogarnął go straszliwy, paranoiczny lęk. Może już tu są! Zakłamani kolesie skradają się wśród drzew! Zakłamani kolesie nadjeżdżają Little Bitch Road w konwoju ciężarówek! Teraz, kiedy Kucharz o tym wspomniał, rozumiał nawet, dlaczego Rennie miałyby chcieć to zrobić. Nazwałby to „pozbyciem się dowodów”.

- Kucharzu! - Złapał swojego nowego przyjaciela za ramię.

- Trochę lżej, Sanders. To boli. Nieco połuźnił uścisk.

- Duży Jim mówił, żeby zabrać stąd zbiorniki z propanem... to pierwszy krok!

Kucharz skinął głową.

- Już raz tu byli. Zabrali dwa. Pozwoliłem im. - Zamilkł i poklepał granaty. - Następnym razem nie pozwolę. Wchodzisz w to?

Andy pomyślał o kilogramach narkotyku w budynku, o którego ścianę się opierali.

- Bracie mój! - powiedział i wziął Kucharza w objęcia. Kucharz był rozpalony i śmierdział, lecz Andy wyściskał go z entuzjazmem. Łzy płynęły mu po twarzy, której nie ogolił w dzień powszedni po raz pierwszy od przeszło dwudziestu lat. To było coś wspaniałego. To było... było... Braterstwo!

- Bracie mój - zaszlochał Kucharzowi w ucho.

Kucharz odsunął go od siebie i spojrział na niego z poważną miną.

- Jesteśmy wysłannikami Pana - stwierdził.

A Andy Sanders - teraz już zupełnie sam na tym świecie, tylko z wychudłym prorokiem u boku - powiedział amen.

23

Jackie znalazła Erniego Calverta za domem, kopiającego w ogródku. Choć w rozmowie z Piper mówiła co innego, tak naprawdę trochę bała się do niego zwrócić, ale, jak się okazało, niepotrzebnie. Ścisnął jej ramiona dłońmi zaskakująco silnymi jak na tak zażywnego, niskiego starszego pana. Oczy mu błyszczały.

- Dzięki Bogu, że ktoś widzi, co ten gaduła wyprawia! - Opuścił dłonie. - Przepraszam, umazałem ci bluzkę.

- Nic się nie stało.

- On jest niebezpieczny, posterunkowa Wettington. Wiesz o tym, mam nadzieję?

- Tak.

- I cwany. Zaplanował tę rozróbę w sklepie jak terrorysta, który podkłada bombę.

- Nie wątpię.

- Ale jest też głupi. Cwaniactwo i głupota to mieszanka wybuchowa. Bo widzisz, jeden może pociągnąć za sobą wielu. Do samego piekła. Weźmy takiego Jima Jonesa, pamiętasz go?

- To ten, co skłonił swoich zwolenników, żeby wypili truciznę. Czyli co, przyjdiesz na spotkanie?

- A żebyś wiedziała. I nikomu nie powiem ani słowa. Chyba że chcesz, żebym pogadał z Lissą Jamieson. Chętnie to zrobię.

Zanim Jackie mogła odpowiedzieć, zadzwoniła jej komórka. Osobista; służbową zdała razem z odznaką i pistoletem.

- Halo, mówi Jackie.

- *Mihi portatōe vulneratos*, sierżant Wettington - powiedział nieznany jej głos.

„Przynieście nam swoich rannych”. Dewiza jej dawnej jednostki z Würzburga. Jackie odparła bez namysłu:

- Na noszach, o kulach czy w worach, wszystkich poskładamy na wczoraj. Kto mówi, do licha?

- Pułkownik James Cox, Jackie odsunęła telefon od ust.

- Dasz mi chwilę, Ernie?

Skinął głową i wrócił do grządek. Jackie powoli podeszła do płotu na końcu podwórka.

- Co mogę dla pana zrobić, pułkowniku? I czy to bezpieczna linia?

- Pani sierżant, jeśli ten wasz Rennie może podsłuchiwać telefony na komórkę wykonywane spoza klosza, to mamy przechłapanie.

- Rennie nie jest mój.

- Dobrze wiedzieć.

- I nie służę już w wojsku. Szpital w Würzburgu dawno zniknął z mojego lusterka wstecznego.

- Cóż, to nie do końca prawda, pani sierżant. Na polecenie prezydenta Stanów Zjednoczonych została pani przywrócona do czynnej służby. Witam z powrotem.

- Panie pułkowniku, nie wiem, czy panu dziękować, czy posłać pana do wszystkich diabłów.

Cox zaśmiał się bez większej wesołości.

- Jack Reacher pozdrawia.

- Od niego dostał pan mój numer?

- Razem z rekomendacją. Pochwała z ust Reachera wiele znaczy. Pytała pani, co może dla mnie zrobić. Odpowiedź jest prosta. Po pierwsze, wyciągnąć Dale'a Barbarę z tarapatów. Chyba że sądzi pani, że jest winny tego, o co go oskarżają.

- Nie, panie pułkowniku. Nie mam wątpliwości, że jest niewinny. Nie mamy. Ja i jeszcze kilka osób.

- Bardzo dobrze. - Nie sposób było nie usłyszeć ulgi w jego głosie. - Po drugie, może pani wysadzić tego bydlaka Renniego z siodła.

- To robota dla Barbiego. Jeśli... jest pan pewien, że ta linia jest bezpieczna?

- Na sto procent.

- Jeśli uda się nam go wyciągnąć.

- Pracujecie nad tym, mam nadzieję?

- Tak, panie pułkowniku, można tak powiedzieć.

- Doskonale. Ile Brunatnych Koszul ma Rennie?

- W tej chwili około trzydziestu, ale nadal przyjmuje nowych. A tu w Mill to raczej Niebieskie Koszule, ale rozumiem, co pan ma na myśli. Niech go pan nie lekceważy, pułkowniku. Ma w kieszeni prawie całe miasto. Spróbujemy uwolnić Barbiego i niech się pan modli, żeby nam się udało, bo sama Dużemu Jimowi niewiele zrobię. Obalanie dyktatorów bez pomocy z zewnątrz przerasta moje możliwości o jakieś dziesięć kilometrów. A tak dla

pańskiej informacji, czasy mojej służby w policji Chester's Mill się skończyły. Rennie wywalił mnie na zbity pysk.

- Proszę mnie informować na bieżąco, kiedy tylko i jak tylko będzie możliwe. Niech pani wyciągnie Barbarę z paki i przekaże mu dowodzenie nad swoją partyzantką. Jeszcze zobaczymy, kto tu wyleci na zbity pysk.

- Panie pułkowniku, tak trochę chciałby pan tu być, mam rację?

- Całym sercem. - Bez najmniejszego wahania. - W dwanaście godzin zmusiłbym sukinsyna, żeby zwinął kramik.

Prawdę mówiąc, Jackie w to powątpiewała; pod kopułą wszystko wyglądało inaczej. Ludzie z zewnątrz tego nie rozumieli. Tu nawet czas był inny. Pięć dni temu było normalnie. A teraz proszę.

- Jeszcze jedno - rzekł pułkownik Cox. - Wiem, że ma pani mnóstwo roboty, ale proszę znaleźć chwilę, żeby rzucić okiem na telewizor. Zamierzamy robić co w naszej mocy, żeby utrudnić Renniemu życie.

Pożegnała się i przerwała połączenie. Potem podeszła do Erniego.

- Masz generator? - spytała.

- W nocy zdechł - powiedział z cierpkim humorem.

- No to chodźmy gdzieś, gdzie jest sprawny telewizor. Znajomy mówił, żebyśmy obejrzeliby wiadomości.

Poszli do Sweetbriar Rose. Po drodze spotkali Julię Shumway i wzięli ją ze sobą.

ZAŁATWIONY

1

Restauracja Sweetbriar była zamknięta do piątej po południu, kiedy to Rose planowała podać lekką kolację, głównie resztki z poprzednich posiłków. Właśnie robiła sałatkę ziemniaczaną, zerkając w telewizor nad kontuarem, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. To byli Jackie Wettington, Ernie Calvert i Julia Shumway. Rose przemierzyła pustą restaurację, wycierając ręce w fartuch, i otworzyła. Horace truchtał przy nodze Julii i szczyrzył się życzliwie. Rose upewniła się, że tabliczka ZAMKNIĘTE jest na miejscu, i zamknęła za nimi drzwi na zamek.

- Dzięki - powiedziała Jackie.

- Nie ma sprawy - odparła Rose. - I tak chciałam się z tobą zobaczyć.

- Przyszliśmy na telewizję. Byłam u Erniego i po drodze spotkaliśmy Julię. Siedziała naprzeciwko swojego domu i wzdychała nad zgliszczami.

- Wcale nie wzdychałam - zaprotestowała Julia. - Horace i ja zastanawialiśmy się, jak tu wydrukować gazetę po zgromadzeniu mieszkańców. Obszerna nie będzie, pewnie dwie strony, nie więcej, ale wyjdzie. Tak postanowiłam.

Rose zerknęła na telewizor. Na ekranie ładna młoda kobieta mówiła coś do kamery. Pod nią był pasek z napisem MATERIAŁ DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ABC. Nagle nastąpił huk i na niebie rozkwitła kula ognia. Reporterka drgnęła, krzyknęła, obejrzała się w popłochu. W tym momencie kamerzysta już odwracał obiektyw od niej i kierował go na spadające szczątki samolotu.

- Na okrągło dają powtórki katastrofy - powiedziała Rose. - Jeśli jeszcze tego nie widzieliście, proszę bardzo. Jackie, rano byłam u Barbiego... zaniósłam mu kanapki i puścili mnie na dół, do celi. Melvin Searles robił za przyzwoitkę.

- Tylko pozazdrościć - zażartowała Jackie.

- Co z nim? - spytała Julia. - Nic mu nie jest?

- Wygląda jak skaranie boskie, ale chyba ma się dobrze. Powiedział... może powinnam ci to przekazać na osobności, Jackie.

- O cokolwiek chodzi, możesz mówić przy Erniem i Julii.

Rose zastanawiała się tylko chwilę. Jeśli nie zaufa Erniemu Calvertowi i Julii Shumway, to komu?

- Powiedział, żebym z tobą pogadała. Że mamy się pogodzić, tak jakbyśmy się pokłócili. Kazał ci przekazać, że jestem w porządku.

Jackie obróciła się do Erniego i Julii. Rose odniosła wrażenie, że w jej spojrzeniu było nieme pytanie, a w ich - odpowiedź.

- Jeśli Barbie mówi, że jesteś w porządku, to jesteś - stwierdziła Jackie i Ernie skwapliwie przytaknął. - Kochana, organizujemy dziś małe spotkanko. Na plebanii. To tak jakby tajemnica...

- Nie tak jakby. Tajemnica, koniec, kropka - wtrąciła Julia. - A biorąc pod uwagę, co dzieje się w mieście, lepiej żeby się nie wydała.

- Jeśli chodzi o to, o czym myślę, piszę się na to. - Po czym Rose zniżyła głos. - Ale bez Ansona. Nosi tę cholerną opaskę.

W tej chwili na ekranie telewizora pojawiła się plansza CNN Z OSTATNIEJ CHWILI, której towarzyszyła irytująca, złowieszcza muzyka w tonacji molowej, zapowiadająca każdy nowy materiał dotyczący klosza. Rose spodziewała się zobaczyć Andersona Coopera albo swojego ukochanego Wolfiego - obaj przebywali w Castle Rock - ale przed kamerą stała Barbara Starr, korespondentka w Pentagonie. W tle widać było miasteczko namiotów i przyczep mieszkalnych, które służyło za wysuniętą bazę wojska w Harlow.

„Don, Kyra... pułkownik James O. Cox, twarz Pentagonu od czasu pojawienia się w ubiegłą sobotę monstrialnej zagadki, jaką jest klosz, lada moment wygłosi drugi od początku kryzysu komunikat dla mediów. Jego temat dziennikarze poznali dosłownie przed chwilą i nie ulega wątpliwości, że będzie to coś, co zelektryzuje dziesiątki tysięcy Amerykanów, którzy mają bliskich w odciętym od świata Chester's Mill. Powiedziano nam, że... - Posłuchała czegoś w słuchawce. - Przed państwem pułkownik Cox”.

Cztery osoby w restauracji usiadły na stołkach przy kontuarze i patrzyły, jak obraz na ekranie przeskakuje na ujęcie wnętrza dużego namiotu. Około czterdziestu dziennikarzy siedziało na składanych krzesłach, wielu stało w głębi. Szeptali między sobą. Na prowizorycznym podwyższeniu było podium z mikrofonami, otoczone flagami amerykańskimi. Tło stanowił biały ekran.

- Całkiem profesjonalnie zorganizowane jak na coś przygotowanego na chybcika - zauważył Ernie.

- Och, myślę, że szykowali to od jakiegoś czasu - odparła Jackie, pamiętając swoją rozmowę z Coksem.

Poła po lewej stronie namiotu uchyliła się i niski, wysportowany mężczyzna o szpakowatych włosach ruszył dziarskim krokiem do podwyższenia. Nikt nie pomyślał, żeby

dostawić schodki czy choćby skrzynię, na której można by stanąć, ale dla głównego prelegenta nie stanowiło to kłopotu; wskoczył na podwyższenie bez trudu, nawet nie zwalniając kroku. Był w zwykłym mundurze polowym w kolorze khaki. Jeśli miał order, to nie na widoku. Na jego bluzie nie było nic oprócz naszywki z napisem PŁK J. COX. Nie miał w ręku żadnych notatek. Dziennikarze natychmiast zamilkli, a Cox posłał im lekki uśmiech.

- Od samego początku powinien był prowadzić konferencje prasowe - powiedziała Julia. - Niezły jest.

- Ciii, Julia - rzuciła Rose.

„Panie i panowie, dziękuję za przybycie - zaczął Cox. - Będę się streszczał, potem odpowiem na kilka pytań. Jeśli chodzi o Chester's Mill i to, co wszyscy nazywamy kloszem lub kopułą, sytuacja nie uległa zmianie. Miasto pozostaje odcięte od świata, nie mamy pojęcia, co powoduje taki stan rzeczy ani jaka była tego pierwotna przyczyna, i wszelkie nasze próby rozbicia bariery jak dotąd zakończyły się niepowodzeniem. Oczywiście, gdyby było inaczej, wiedzieliby państwo o tym. Sprawą jednak zajmują się najlepsi naukowcy w Ameryce i na świecie. Obecnie rozważamy kilka możliwości. Proszę nie pytać jakich, bo na razie i tak nie uzyskają państwo żadnych odpowiedzi”.

Dziennikarze zaszemrali z niezadowoleniem. Cox pozwolił im na to. Napis na pasku zmienił się na NA CHWILĘ OBECNĄ ŻADNYCH ODPOWIEDZI. Kiedy szepty ucichły, Cox kontynuował:

„Jak państwo wiecie, ustanowiliśmy wokół kopuły strefę zakazaną, początkowo o szerokości półtora kilometra, w niedzielę powiększoną do trzech, a we wtorek do sześciu kilometrów. Były po temu liczne powody, z których najważniejszy to ten, że klosz jest niebezpieczny dla osób z pewnymi implantami, takimi jak na przykład rozrusznik serca.

Obawialiśmy się też, że pole generujące kopułę może wywoływać inne szkodliwe skutki, nie tak wyraźnie widoczne”.

„Ma pan na myśli promieniowanie, panie pułkowniku?” - zapytał ktoś.

Cox zmroził go wzrokiem i kiedy uznał, że reporter wystarczająco najadł się wstydu (nie Wolfie, zauważyła Rose z zadowoleniem, tylko ten łysiejący, wyszczekany gaduła z Fox News), mówił dalej:

„Teraz już jesteśmy przekonani, że żadnych szkodliwych skutków nie ma, przynajmniej na krótką metę, dlatego też wyznaczaliśmy piątek, dwudziestego siódmego października... to pojutrze... na dzień odwiedzin dla tych, którzy mają bliskich pod kloszem”.

Reakcją był prawdziwy grad pytań. Cox przeczekał go, a kiedy publiczność się uciszyła, wziął pilota z półki pod podium i wcisnął guzik. Na białym ekranie wyskoczyło

zdjęcie w wysokiej rozdzielczości (w opinii Julii zdecydowanie za dobre, by mogło pochodzić z Google Earth). Pokazywało Mill i oba miasta na południe, Motton i Castle Rock. Cox odłożył pilota i wyjął laserowy wskaźnik.

Na pasku u dołu telewizora teraz widniał komunikat PIĄTEK DNIEM ODWEIDZIN BLISKICH POD KOPUŁĄ. Julia się uśmiechnęła. Cox tak zaskoczył CNN, że zapomnieli włączyć autokorektę.

„Sądzimy, że możemy przyjąć tysiąc dwustu odwiedzających - rzekł pułkownik lakonicznie. - Grono to będzie ograniczone tym razem do bliskich krewnych... a wszyscy się modlimy, żeby nie musiało być następnego razu. Miejsca zbiórki będą tutaj, na terenach targowych w Castle Rock, i tutaj, na torze wyścigowym Oxford Plains Speedway. - Wskazał oba miejsca. - Oddamy do dyspozycji odwiedzających dwa tuziny autokarów, po dwanaście w każdym z wymienionych miejsc. Udostępnią je okoliczne okręgi szkolne, które tego dnia odwołają lekcje, żeby pomóc w akcji, i gorąco im za to dziękujemy. Dwudziesty piąty autokar, dla dziennikarzy, będzie czekał pod sklepem wędkarskim Shinera w Motton. - Ironicznym tonem: - Ponieważ sprzedają tam też alkohol, jestem pewien, że większość z państwa zna ten sklep. Pozwolimy też, żeby zabrał się z nami jeden, powtarzam, jeden wóz transmisyjny. Zorganizujecie państwo wspólną transmisję, panie i panowie, a jej nadawcę wyłonicie w drodze losowania”.

Reakcją na to był ogólny jęk, ale tylko pro forma.

„W autokarze dla dziennikarzy jest czterdzieści osiem miejsc, a, jak widać, mamy tu setki przedstawicieli mediów z całego świata”...

„Tysiące!” - krzyknął siwowłosy mężczyzna i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Kurczę, miło, że przynajmniej niektórzy dobrze się bawią - powiedział Ernie Calvert z goryczą.

Cox pozwolił sobie na uśmiech.

„Dziękuję, że wyprowadził mnie pan z błędu, panie Gregory. Miejsca zostaną przydzielone poszczególnym agencjom... sieciom telewizyjnym, Reuters, TASS, AP i tak dalej... i te agencje wybiorą swoich przedstawicieli”.

- Z CNN ma być Wolfie, tyle powiem - oznajmiła Rose. Dziennikarze przekrzykiwali się jeden przez drugiego.

„Dacie mi państwo kontynuować? - spytał Cox. - A ci z was, którzy wysyłają esemesy, niech przestaną z łaski swojej”.

- Ooo - powiedziała Jackie. - Lubię stanowczych facetów.

„Chyba pamiętacie, że nie wy tu jesteście najważniejsi? Czy zachowywalibyście się

tak, gdyby chodziło o zawał w kopalni albo ludzi uwięzionych pod gruzami po trzęsieniu ziemi?”.

Odpowiedziała mu cisza. Taka cisza zapada na lekcji w czwartej klasie, kiedy nauczyciel wreszcie traci cierpliwość. Naprawdę jest stanowczy, pomyślała Julia i przez chwilę całym sercem pragnęła, by Cox był tu, pod kloszem, i wziął sprawy w swoje ręce. Ale, rzecz jasna, gdyby śwynie miały skrzydła, z nieba leciałby bekon.

„Waszym zadaniem, panie i panowie, jest pomóc nam rozpowszechnić tę wiadomość, a kiedy już tego dokonacie, dopilnować, by dzień odwiedzin przebiegł bez zakłóceń”.

Na pasku u dołu ekranu pojawiły się słowa PRASA POMOŻE ODWEIDZAJĄCYM BLISKICH W PIĄTEK.

„Ostatnie, czego chcemy, to masowy spęd krewnych z całego kraju do zachodniego Maine. W najbliższej okolicy mamy już blisko dziesięć tysięcy członków rodzin osób uwięzionych pod kopułą; hotele, motele i kempingi pękają w szwach. Nasza wiadomość dla krewnych z innych części kraju brzmi: Jeśli was tu nie ma, nie przyjeżdżajcie. Nie tylko nie dostaniecie przepustki dla odwiedzających, ale i zostanieie zawróceni w punktach kontrolnych tu, tu, tu i tu”.

Wskazał Lewiston, Auburn, North Windham i Conway w New Hampshire.

„Krewni obecni na miejscu powinni zarejestrować się u wyznaczonych do tego celu oficerów, którzy już pełnią dyżury na terenach targowych i torze wyścigowym. Jeśli zamierzacie państwo natychmiast wskoczyć do samochodu, nie róbcie tego. To nie wyprzedaż bielizny pościelowej i zajęcie pierwszego miejsca w kolejce niczego nie gwarantuje. Odwiedzających wybierzemy przez losowanie, w którym uczestniczyć będą tylko osoby zarejestrowane. Każdy składający wniosek o przepustkę będzie musiał okazać dwa dokumenty ze zdjęciem. Postaramy się dać pierwszeństwo tym, którzy mają w Mill dwoje lub więcej krewnych, ale niczego nie obiecujemy. I ostrzegam: każdy, kto będzie chciał w piątek wsiąść do autokaru bez przepustki bądź z przepustką sfałszowaną... innymi słowy, zakłóci przebieg operacji... trafi do więzienia. To nie żarty. Załadunek do autokarów zacznie się w piątek o ósmej rano. Jeśli przebiegnie sprawnie, będą państwo mogli spędzić z bliskimi co najmniej cztery godziny, może więcej. Jeśli zrobi się bałagan, pobyt wszystkich przy kloszu ulegnie skróceniu. Powrót nastąpi o siedemnastej zero zero”.

„Gdzie jest miejsce odwiedzin?!” - krzyknęła jakaś kobieta.

„Właśnie do tego przechodziłem. - Cox wziął pilota i zrobił zbliżenie szosy sto dziewiętnaście. Jackie dobrze знаła to miejsce; omal nie wpadła tam na klosz. Widziała dachy domu Dinsmore'ów, ich budynków gospodarczych i obór. - Przy kopule od strony Motton jest

plac, na którym odbywa się pchli targ. - Cox pokazał to miejsce wskaźnikiem. - Tam zaparkują autokary. Odwiedzający wysiadą i podejną do klosza pieszo. Po obu jego stronach są łąki, na których jest dość miejsca. Wszystkie wraki zostały stamtąd usunięte”.

„Czy odwiedzającym wolno będzie podejść do samej kopuły?” - spytał jakiś reporter.

Cox znów spojrział w obiektyw kamery, zwracając się bezpośrednio do potencjalnych odwiedzających. Rose mogła sobie wyobrazić nadzieję i strach tych ludzi, wpatrzonych w ekrany telewizorów w barach i motelach, wsłuchanych w radia samochodowe, czuła bowiem to samo.

„Odwiedzający będą dopuszczeni na odległość dwóch metrów od kopuły - powiedział Cox. - Uważamy, że to bezpieczny dystans, choć niczego nie gwarantujemy. To nie karuzela, którą poddano próbom bezpieczeństwa. Apeluję do osób z elektronicznymi implantami: trzymajcie się z dala! Tego musicie państwo dopilnować sami. My nie możemy oglądać piersi każdego z osobna i szukać blizn po wszczępieniu rozrusznika. Odwiedzający zostawią też w autokarach wszystkie urządzenia elektroniczne, w tym, ale nie tylko, iPody, telefony komórkowe i blackberry. Reporterów z kamerami i mikrofonami trzymać będziemy w pewnym oddaleniu. Miejsce przy kopule jest dla odwiedzających i o czym rozmawiać będą z bliskimi, to wyłącznie ich sprawa. Proszę państwa, z waszą pomocą to się uda. Parafrazując znany cytat ze »Star Treka«, pomóżcie nam, by tak się stało. - Odłożył wskaźnik. - A teraz odpowiem na kilka pytań. Podkreślam: kilka. Proszę, panie Blitzer”.

Rose się rozpromieniła. Wzniosła filiżankę świeżej kawy w toaście do ekranu.

- Wolf, przystojniaku! Możesz jeść krakersy u mnie w łóżku, kiedy tylko chcesz.

„Pułkownik Cox, czy są plany, by przeprowadzić konferencję prasową z udziałem władz miasta? Słyszeliśmy, że faktyczną kontrolę nad nim sprawuje wiceprzewodniczący rady, James Rennie. Co słyhać w tej sprawie?”.

„Staramy się zorganizować konferencję z udziałem i pana Renniego, i innych przedstawicieli władz miejskich. Rozpocznie się w południe, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z naszymi planami”.

Jego słowa powitał spontaniczny aplauz reporterów. Nic nie cieszyło ich bardziej od konferencji prasowej, no, może oprócz przyłapania wysoko ceniącego się polityka w łóżku z wysoko ceniącą się prostytutką.

„Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, konferencja prasowa odbędzie się w tym samym miejscu, na drodze - powiedział Cox. - Przedstawiciele miasta, kimkolwiek będą, staną po swojej stronie kopuły, a wy, panie i panowie, po swojej”.

Gwar podekscytowanych głosów. Już widzieli, jak wymowny to będzie obraz.

Cox wskazał palcem.

„Pan Holt”.

Lester Holt z NBC porwał się na równe nogi.

„Na ile jest pan pewien udziału pana Renniego? Pytam, bo pojawiły się doniesienia o jego niegospodarności i śledztwie w jego sprawie prowadzonym przez prokuratora generalnego stanu Maine”.

„Też o tym słyszałem - powiedział Cox. - Nie jestem w stanie tego skomentować, ale może pan Rennie zechce to zrobić.

- Zamilkł i prawie się uśmiechnął. - Ja na jego miejscu chciałbym, na pewno”.

„Pułkownik Cox, Rita Braver z CBS. Czy to prawda, że Dale Barbara, człowiek, którego wyznaczył pan na tymczasowego administratora Chester's Mill, został aresztowany za zabójstwo? A co więcej, policja Chester's Mill uważa go za seryjnego mordercę?”.

Wśród dziennikarzy i przy kontuarze w Sweetbriar Rose zapadła martwa cisza.

„To prawda - powiedział Cox i natychmiast podniósł się szmer.

- Ale nie mamy jak zweryfikować tych zarzutów ani zbadać dowodów, jeśli takie są. Podobnie jak państwo, wiemy tyle, co usłyszymy przez telefon i wyczytamy w Internecie. Dale Barbara jest zasłużonym żołnierzem, oficerem. Nigdy nie był aresztowany. Znam go od lat i poręczyłem za niego przed prezydentem Stanów Zjednoczonych. Na podstawie mojego obecnego stanu wiedzy nie mam powodu twierdzić, że popełniłem błąd”.

„Panie pułkowniku, Ray Suarez, PBS. Czy sądzi pan, że zarzuty przeciwko porucznikowi... teraz już pułkownikowi Barbarze mogą mieć podłoże polityczne? Że James Rennie wsadził go do aresztu, aby uniemożliwić mu przejęcie władzy zgodnie z poleceniem prezydenta?”.

I o to właśnie chodzi w drugiej części tej szopki, uprzytomniła sobie Julia. Cox zmienił stacje informacyjne w Głos Ameryki, a my jesteśmy ludźmi za murem berlińskim. Była pełna uznania.

„Proszę w piątek zapytać o to radnego Renniego, jeśli będzie pan miał okazję, panie Suarez. - Cox mówił z kamiennym spokojem. - Panie i panowie, to wszystko”.

Wyszedł tak dziarsko, jak wszedł, i zanim reporterzy mogli rzucić za nim choćby jeszcze jedno pytanie, zniknął.

- O rany! - mruknął Ernie.

- No - powiedziała Jackie.

Rose wyłączyła telewizor. Była zarumieniona, pełna energii.

- O której jest to spotkanie? Nie załuję ani jednego słowa pułkownika Coksa, ale to

może jeszcze bardziej utrudnić Barbiemu życie.

2

Barbie dowiedział się o konferencji prasowej Coksa, kiedy zaczerwieniony Manuel Ortega zszedł na dół i mu o niej powiedział. Ortega, dawniej zajmujący się do pracy u Aldena Dinsmore'a, teraz miał niebieską koszulę roboczą, blaszaną odznakę domowej roboty i czterdziestkępiątkę wiszącą u drugiego paska, zapiętego nisko na biodrach, jak u rewolwerowca. Barbie znał go jako spokojnego gościa o rzadziejących włosach i permanentnie spalonej słońcem skórze, który lubił zamawiać na kolację śniadanie - naleśniki, bekon, lekko przysmażone jajka - i opowiadać o krowach rasy Belted Galloway, do których kupna nie mógł przekonać pana Dinsmore'a. Mimo swojego nazwiska był jankesem do szpiku kości i miał cierpkie, jankeskie poczucie humoru. Barbie zawsze go lubił. Tamten Manuel w niczym jednak nie przypominał tego tutaj, obcego człowieka, z którego poczucie humoru doszczętnie wyparowało. Przyniesioną przez siebie wiadomość o najnowszym wydarzeniu prawie w całości wykrzyczał przez kraty, okraszając ją sporą dawką tryskającej z ust śliny. Jego twarz była wręcz radioaktywna od furii.

- Ani słowa o tym, że znaleźli twoje nieśmiertelniki w ręku tej biednej dziewczyny, ani jednego, kurwa, słowa! A potem jeszcze ten zapluty łajdak naskoczył na Jima Renniego, jedyne go człowieka, dzięki któremu to miasto trzyma się razem! Człowieka, który żyły sobie dla nas wypruwa!

- Spokojnie, Manuel - powiedział Barbie.

- Dla ciebie posterunkowy Ortega, skurwysynu!

- Dobrze. Posterunkowy Ortega. - Barbie siedział na pryczy i myślał o tym, jak łatwo byłoby Ortedze wyjąć starego schofielda i zacząć strzelać. - Ja jestem tutaj, Rennie tam. Jak dla niego to pewnie dobry układ.

- Zamknij ryja! - wydarł się Manuel. - Wszyscy tu jesteśmy! Pod tą zasraną kopułą! Alden nic tylko chła, chłopak, co mu został, nie chce jeść, a pani Dinsmore ciągle płacze za Rorym. Jack Evans strzelił sobie w łeb, wiedziałeś? A te wojskowe zarzygańce nie mają nic lepszego do roboty, jak rzucać błotem. Same kłamstwa! A przecież ty wszczynasz zadymy w supermarkecie i gazetę nam spalasz! Pewnie żeby pani Shumway nie mogła wydrukować, kim naprawdę jesteś!

Barbie milczał. Był przekonany, że jedno słowo wypowiedziane na własną obronę nieuchronnie przypłaciłby życiem.

- Tak załatwiają każdego polityka, co im nie pasuje - ciągnął Manuel. - Chcą, żeby

zamiast chrześcijanina rządził nami seryjny morderca i gwałcieciel... gwałcieciel trupów! Nisko upadli. - Wyjął pistolet, uniósł go, wymierzył przez kraty. W oczach Barbiego otwór lufy wydawał się wielki jak wjazd do tunelu. - Jeśli kopuła zniknie, zanim postawią cię pod najbliższą ścianą i przewierzą ci flaki, sam znajdę chwilę, żeby to zrobić. Jestem pierwszy w kolejce, a za mną czeka wielu.

Barbie milczał i czekał na śmierć albo następny oddech. Kanapki od Rose Twitchell próbowały cofnąć mu się do gardła i go udusić.

- My tu staramy się przeżyć, a ci tylko by obsmarowywali człowieka, który ratuje to miasto przed chaosem. - Manuel wcisnął wielki pistolet z powrotem do kabury. - Pierdol się. Nie jesteś tego wart.

Ze spuszczoną głową i zgarbionymi ramionami ruszył do schodów.

Barbie oparł się plecami o ścianę i wypuścił powietrze z ust. Na czole miał pot. Dłoń, którą uniósł, by go otrzeć, drżała.

3

Kiedy furgonetka Romea Burpeego skrzyła na podjazd McClatcheyów, z domu wybiegła Claire. Płakała.

- Mamo! - krzyknął Joe i wyskoczył, zanim Rommie zatrzymał wóz. Reszta wysypała się za nim. - Mamo, coś złego się stało?

- Nie - wyszlochała Claire, złapała go i mocno wyściskała. - Będzie dzień odwiedzin! W piątek! Może zobaczymy się z twoim tatą!

Joe wznosił radosny okrzyk i porwał ją do tańca. Benny uściskał Norrie... i skorzystał z okazji, żeby skraść jej całusa. To ci cwaniak, pomyślał Ryży. Poprosił Rommiego, żeby go zabrał do szpitala. Kiedy wyjeżdżali tyłem na drogę, pomachał Claire i dzieciakom. Był zadowolony, że udało mu się uniknąć rozmowy z panią McClatchey; matczyzny radar mógł działać też na asystentów lekarza.

Telefon komórkowy dźwięknął raz. Ryży rozłożył go i przeczytał esemes: SPOTKANIE 2130 PLEBANIA KONG. BĄDŹ, JAK CHCESZ BYĆ W NASZEJ PACZCE. JW.

- Jeśli obaj Rennie nie zamęczą mnie na śmierć - powiedział do Burpeego, składając telefon - chcesz dziś wieczorem pójść ze mną na pewne spotkanie?

Ginny czekała na niego w holu szpitala.

- Mamy tu Dzień Renniech - oznajmiła z miną wskazującą, że wcale nie jest z tego powodu niezadowolona. - Thurse Marshall był u obu. Ten człowiek z nieba nam spadł! Widać, że nie trawi Juniora... to on i Frankie poturbowali go nad stawem... ale zachowywał się jak profesjonalista w każdym calu. Powinien się tym zająć na stałe, nie marnować się na jakiejś anglistyce. - Zniżyła głos. - Jest lepszy ode mnie. I dużo lepszy od Twitcha. - Gdzie jest teraz?

- Wrócił tam, gdzie mieszka, żeby zobaczyć się z tą swoją młodą laską i dwójką dzieci, które wzięli do siebie. I autentycznie troszczy się o te maluchy.

- O mój Boże, Ginny się zakochała - powiedział Ryży z szerokim uśmiechem.

- Nie bądź smarkacz. - Spiorunowała go wzrokiem.

- W których salach są Rennie?

- Junior w siódemce, senior w dziewiętnastce. Senior przyszedł z tym Thibodeau, ale musiał go po coś wysłać, bo swojego syna odwiedził sam. - Uśmiechnęła się cynicznie. - Nie został z nim długo. Głównie gadał przez komórkę. Młody nic, tylko siedzi, choć znów kontaktuje. Nie było tak, kiedy przywiózł go Henry Morrisom.

- A arytmia Dużego Jima? Na czym stoimy?

- Thurston ją załagodził.

Tymczasowo, pomyślał Ryży nie bez satysfakcji. Kiedy valium przestanie działać, jego serducho znów puści się w płasy.

- Najpierw idź do młodego - powiedziała Ginny. Byli w holu sami, ale nadal mówiła zniżonym głosem. - Nie lubię go i nigdy nie lubiłam, ale teraz mi go szkoda. Chyba długo nie pociągnie.

- Thurston powiedział Renniemu coś o stanie Juniora?

- Tak, że to może być coś poważnego. Ale widać te jego telefony są ważniejsze. Pewnie ktoś mu powiedział o dniu odwiedzin w piątek. Jest wkurzony z tego powodu.

Ryży pomyślał o skrzynce na Black Ridge, płaskim pudełeczku o powierzchni może ze trzystu centymetrów kwadratowych, którego w żaden sposób nie mógł podnieść. Pomyślał też o roześmianych skórzanych łbach, które widział przez ułamek sekundy.

- Pewni ludzie po prostu nie lubią gości - powiedział.

- Jak się czujesz, Junior?

- W porządku. Lepiej. - Młody Rennie wydawał się osowiały.

Miał na sobie szpitalną koszulę i siedział przy oknie. Światło było bezlitosne dla jego wychudłej twarzy. Wyglądał jak czterdziestolatek po przejściach.

- Powiedz, co się stało, zanim straciłeś przytomność.

- Miałem iść do szkoły, ale zamiast tego poszedłem do Angie. Chciałem jej powiedzieć, żeby pogodziła się z Frankiem. Strasznie jest chłopak zdolowany.

Ryży już miał spytać, czy Junior wie, że Frank i Angie nie żyją, ale po namyśle zmienił zdanie. Spytał o co innego.

- Miałeś iść do szkoły? A co z kloszem?

- Ano tak. - Ten sam apatyczny, beznamiętny głos. - Zapomniałem.

- Ile masz lat, synu?

- Dwadzieścia... jeden?

- Jak miała na imię twoja matka? Junior zastanowił się chwilę.

- Tiger Woods - powiedział wreszcie i zarechotał przeraźliwie, ale jego ospała, wymizerowana twarz ani na chwilę nie zmieniła wyrazu.

- Kiedy pojawił się klosz?

- W sobotę.

- Czyli jak dawno temu? Junior zmarszczył brwi.

- Tydzień? - powiedział w końcu. Potem: - Dwa tygodnie? Trochę już tu jest, to na pewno. - Wreszcie odwrócił się do Ryżego. Jego oczy błyszczały od valium. - Baaarbie kazał ci o to wszystko pytać? Wiesz, to on ich zabił. - Skinął głową. - Znaleźliśmy jego siemieniortelniki. - Pauza. - Nieśmiertelniki.

- Barbie nic mi nie kazał. Jest w areszcie.

- Niedługo będzie w piekle - stwierdził Junior suchym, rzeczowym tonem. - Postaramy się go stracić. Tak powiedział mój tata. W Maine nie ma kary śmierci, ale mówi, że tu jest stan wojenny. Sałatka jajeczna ma za dużo kalorii.

- To prawda. - Ryży owinał rękaw do pomiaru ciśnienia wokół jego ręki. - Możesz podać nazwiska trzech ostatnich prezydentów?

- Jasne. Bush, Push i Tush. - Junior wybuchnął dzikim śmiechem, ale jego twarz pozostała bez wyrazu.

Ciśnienie wynosiło 147 na 120. Ryży spodziewał się, że będzie gorzej.

- Pamiętasz, kto był u ciebie przede mną?

- Uhm. Ten stary, cośmy go znaleźli z Frankiem nad stawem zaraz przed tym, jakeśmy znaleźli dzieciaki. Mam nadzieję, że nic im nie jest. Były słodkie.

- Pamiętasz ich imiona?

- Aidan i Alice Appleton. Poszli my do klubu i taka ruda zbrandzlowała mnie pod stolikiem. Myślałem, że mi go uro - ruro - urwie, zanim włączy. - Pauza. - Skończy.

- Uhm. - Ryży sięgnął po wzniernik oczny. Z prawym okiem Juniora wszystko było w porządku. Lewe miało obrzmiałą tarczę nerwu wzrokowego, stan znany jako tarcza zastoinowa. Typowy objaw zaawansowanych nowotworów mózgu i towarzyszącego im obrzęku.

Odłożył wzniernik, po czym zbliżył palec wskazujący do twarzy Juniora.

- Spróbuj trafić palcem w mój palec. A potem dotknij swojego nosa.

Junior zrobił to. Ryży zaczął powoli przesuwać palec z boku na bok.

- Próbuj dalej.

Juniorowi raz udało się trafić i w poruszający się palec, i w swój nos. Potem dotknął palca Ryżego, ale zamiast do nosa sięgnął do swojego policzka. Za trzecim razem nie trafił w palec i dotknął swojej prawej brwi.

- Łatwizna. Jeszcze? Mogę tak cały dzień. Ryży odsunął się z krzesłem.

- Przyślę do ciebie Ginny Tomlinson z receptą.

- A potem będę mógł iść do sromu? Znaczy, do domu?

- Zostaniesz u nas do jutra. Na obserwacji.

- Przecież nic mi nie jest, no nie? Przedtem bolała mnie głowa, mało nie pękła, ale mi przeszło. Jestem zdrowy, prawda?

- Na razie nic ci nie mogę powiedzieć - odparł Ryży. - Najpierw chcę porozmawiać z Thurstonem Marshalllem i zajrzeć do paru książek.

- Przecież ten gość to nie lekarz. Angielskiego uczy.

- Może i tak, ale dobrze się z tobą obszedł. Lepiej niż ty i Frank z nim, jak słyszałem. Junior machnął ręką lekceważąco.

- Oj tam, jaja sobie robiliśmy. A dzieciaki potraktowaliśmy dobrze, nie?

- Temu nie zaprzeczę. Na razie sobie odpocznij. Może pooglądasz telewizję?

Junior pomyślał chwilę. - Co na kolację? - spytał.

W tych okolicznościach jedynym pomysłem Ryżego na zmniejszenie obrzęku tego, co

uchodziło za mózg Juniora Renniego, było to, by podać mu manitol w kroplówce. Wyjął z przegródki w drzwiach kartę choroby i zobaczył przyklejony do niej liścik wypisany nieznanym mu, pełnym zawijasów charakterem pisma:

Doktorze Everett, może by podać temu pacjentowi manitol? Ja nie mogę tego zaordynować, nie wiem, ile tego potrzeba.

Thurse

Ryży wpisał odpowiednią dawkę. Ginny miała rację. Thurston Marshall był dobry.

7

Drzwi sali Dużego Jima zastał otwarte, ale w środku nie było nikogo. Usłyszał jego głos dochodzący z ulubionego pokoju drzemek świętej pamięci doktora Haskella. Poszedł tam. Nie pomyślał, żeby wziąć kartę chorego - tego przeoczenia później miał pożałować.

Duży Jim ubrany siedział przy oknie z telefonem przyciśniętym do ucha, mimo że na ścianie wisiała tabliczka z jaskrawoczerwonym telefonem komórkowym przekreślonym czerwonym X, umieszczona tam specjalnie dla niepiśmiennych. Ryży pomyślał, że wielką frajdą byłoby powiedzieć Dużemu Jimowi, by skończył rozmowę. Może nie był to najbardziej dyplomatyczny sposób rozpoczęcia badania połączonego z dyskusją, ale zamierzał to zrobić. Ruszył do przodu i nagle stanął. Jak wryty.

Obudziło się wyraziste wspomnienie. Jak nie mogąc zasnąć, wstał, żeby wziąć sobie kawałek babki z żurawiną i pomarańczami, i usłyszał w pokoju dziewczynek cichy skowyt Audrey. Jak poszedł zobaczyć, co się stało. Jak usiadł na łóżku Jannie pod Hannah Montana, jej aniołem stróżem.

Czemu to wspomnienie przyszło dopiero teraz? Dlaczego nie podczas spotkania z Dużym Jimem w jego gabinecie?

Bo wtedy nie wiedział o morderstwach. Był zafiksowany na punkcie propanu. I dlatego że Janelle nie miała ataku, tylko mówiła przez sen.

„On ma złotą piłkę. To zła piłka”.

Nawet ostatniej nocy, w kostnicy, to wspomnienie nie powróciło. Dopiero teraz, dużo za późno.

Z tego wynika, że ten gadżet na Black Ridge nie wytwarza dużego promieniowania, pomyślał. Emituje coś innego. Można to nazwać sztucznie wywoływanym jasnovidzeniem, można to nazwać czymś, na co jeszcze w ogóle nie ma nazwy. A jeśli Jannie miała rację co do tej złotej piłki baseballowej, to rację mogły też mieć wszystkie dzieci, które jak Sybilla przepowiadały, że w Halloween stanie się coś złego. Ale czy „w Halloween” znaczy

dokładnie tego dnia? Czy też może wcześniej?

To drugie wydawało się Ryżemu bardziej prawdopodobne. Dla dzieci z całego miasta, aż nadto podekscytowanych wizją zbierania słodyczy po domach, Halloween już się zaczęło.

- Nie obchodzi mnie, co tam masz, Stewart - mówił Duży Jim do telefonu. Trzy miligramy valium jakoś niespecjalnie go odprężyły. - Jedźcie tam z Fernaldem i zabierzcie Rogera ze so... he? Co? - Chwilę słuchał. - Sam to powinieneś wiedzieć. Nie oglądasz tej takiej siakiej owakiej telewizji? Jeśli będzie wam pyskował, to...

Podniósł głowę i zobaczył Ryżego w drzwiach. Przez chwilę miał minę człowieka, który odtwarza odbywaną właśnie rozmowę w pamięci i usiłuje stwierdzić, ile przybysz mógł z niej usłyszeć.

- Stewart, ktoś tu jest. Odezwę się do ciebie i obyś wtedy powiedział mi to, co chcę usłyszeć, - Rozłączył się bez pożegnania, pokazał Ryżemu telefon i obnażył małe górne zęby w uśmiechu. - Wiem, wiem, to bardzo nieładnie, ale sprawy miasta nie mogą czekać. - Westchnął. - Niełatwo być tym, na kogo wszyscy liczą, zwłaszcza kiedy człowiek źle się czuje.

- To musi być trudne - przytaknął Ryży.

- Pomaga mi Bóg. Chcesz wiedzieć, jaką zasadą kieruję się w życiu, kolego?

Nie chcę, pomyślał Ryży.

- Pewnie - powiedział.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. - Tak pan sądzi?

- Ja to wiem. I zawsze staram się pamiętać, że kiedy modlimy się o to, czego chcemy, Bóg puszcza nasze prośby mimo uszu. Za to kiedy modlimy się o to, czego potrzebujemy, o, wtedy Bóg zamienia się w słuch.

- Uhm. - Ryży wszedł do pokoju dla personelu. W telewizorze na ścianie leciało CNN. Dźwięk był ściszony, ale zza gadającej głowy wyglądała fotografia Jamesa Renniego seniora; czarno - biała, nieładna. Pokazywała Dużego Jima z palcem w górze i uniesioną górną wargą. Nie w uśmiechu, lecz w zadziwiająco psim grymasie. Na pasku u dołu widniało pytanie: CZY MIASTO SPOD KŁOSZA BYŁO BAZĄ PRODUCENTÓW NARKOTYKÓW? Obraz przeskoczył na reklamę komisji Dużego Jima, która zawsze kończyła się tym, że jeden ze sprzedawców (nigdy sam Duży Jim) wrzeszczał: „Ten nie żałuje, kto u Dużego Jima kupuje!”.

Duży Jim wskazał gestem na ekran i uśmiechnął się smutno.

- Widzisz, co kolesie Barbary z zewnątrz mi robią? W sumie czemu tu się dziwić? Kiedy Chrystus przyszedł odkupić ludzkość, kazali mu wnieść krzyż na Kalwarię, gdzie

skonał w męce.

Ryżego nie po raz pierwszy naszła refleksja o tym, jakże dziwnym lekiem jest valium. Nie wiedział, czy w *vino* naprawdę jest *veritas*, ale w valium było jej pod dostatkiem. Kiedy podawało się je ludziom - zwłaszcza przez kroplówkę - często można było usłyszeć, jak sami siebie naprawdę postrzegają.

Ryży przysunął sobie krzesło i przygotował stetoskop.

- Proszę podciągnąć koszulę. - Kiedy Duży Jim odłożył telefon, żeby wykonać polecenie, Ryży schował go do swojej kieszeni na piersi. - Wezmę to, dobrze? Zostawię w rejestracji. Tam można korzystać z komórek. Krzesła nie są tak miękkie jak tutaj, ale da się wytrzymać.

Spodziewał się, że Duży Jim zaprotestuje, może nawet wybuchnie, on jednak nawet nie pisnął, tylko obnażył sterczące brzuszysko godne Buddy i duże, obwisłe piersi nad nim. Ryży go osłuchiwał. Było dużo lepiej, niż oczekiwał. Zadowoliliby go sto dziesięć uderzeń na minutę z umiarkowanym przedwczesnym skurczem komorowym. Tymczasem pompa Dużego Jima zasuwała dziewięćdziesiątką, bez żadnych zaburzeń rytmu.

- Czuję się dużo lepiej - powiedział Duży Jim. - To było ze stresu. Żyję w straszliwym stresie, mówię ci. Odpocznę tu sobie godzinę, dwie... Wiedziałeś, że widać stąd całe centrum, kolego? I jeszcze raz zajrzę do Juniora. Potem po prostu sam się wypiszę i...

- Powodem był nie tylko stres. Ma pan nadwagę, jest pan w kiepskiej formie.

Duży Jim obnażył górne zęby w tym swoim sztucznym uśmiechu.

- Kieruję firmą i miastem, kolego... nawiasem mówiąc, jedno i drugie jest na plusie. Przez to raczej nie mam czasu na bieżnię i takie tam.

- Panie Rennie, dwa lata temu wystąpiły u pana objawy napadowego częstoskurczu przedsionkowego.

- Wiem. Sprawdziłem to w Internecie, pisali, że zdrowi ludzie często mają...

- Ron Haskell powiedział panu jasno i wyraźnie, że musi pan, po pierwsze, przestać tyć, po drugie, brać leki zwalczające arytmie, a jeśli nie poskutkują, rozważyć poddanie się zabiegowi w celu skorygowania powodującego ją problemu.

Duży Jim zrobił minę nieszczęśliwego dziecka uwięzionego na wysokim krzeselku.

- Bóg mi tego zabronił! Bóg powiedział: żadnego rozrusznika! I Bóg miał rację! Duke Perkins miał rozrusznik i proszę, jak na tym wyszedł!

- O jego żonie nie wspominając - powiedział Ryży łagodnym tonem. - Jej też przyniósł pecha. Widać znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym momencie.

Duży Jim przyjrzał mu się badawczo swoimi świńskimi oczkami. Potem zerknął na

sufit.

- Widzę, że światła znowu się palą, co? Załatwiłem ci propan. Niektórzy potrafią być naprawdę niewdzięczni. Cóż, człowiek na moim stanowisku przyzwyczaja się do tego.

- Jutro wieczorem znów go zabraknie. Duży Jim potrząsnął głową.

- Jutro wieczorem będziecie mieli tyle gazu płynnego, że do Bożego Narodzenia wam starczy. Obiecuję ci to, bo masz dobre podejście do pacjenta i w ogóle miły z siebie gość.

- Jakoś trudno mi być wdzięcznym za to, że ktoś oddaje mi coś, co i tak mi się należy. Tak już mam.

- Aha, stawiasz się na równi ze szpitalem? - prychnął Duży Jim.

- Czemu nie? Pan dopiero co przyrównał siebie do Chrystusa. Wróćmy do pańskich kłopotów zdrowotnych, dobrze?

Duży Jim z niechęcią machnął swoimi dużymi dłońmi o grubych palcach.

- Valium to nie lekarstwo - tłumaczył Ryży. - Jeśli pan stąd wyjdzie, jeszcze przed piątą może pan znowu dostać palpacji. Albo serce klapnie panu na dobre. Plus jest taki, że zanim w mieście zrobi się ciemno, może stanąć pan przed obliczem swojego Zbawiciela.

- Cóż więc zalecasz? - Rennie mówił ze spokojem. Odzyskał panowanie nad sobą.

- Mogę przepisać panu coś, co prawdopodobnie rozwiązałoby problem przynajmniej na krótką metę. Lekarstwo.

- Jakie?

- Ale nie za darmo.

- Wiedziałem - powiedział Duży Jim cicho. - Wiedziałem, że jesteś po stronie Barbary, odkąd przyszedłeś do mnie i zacząłeś wyliczać, czego byś chciał.

Tak naprawdę Ryży prosił wówczas tylko o propan, ale puścił te słowa mimo uszu.

- A skąd pan już wtedy wiedział, że w ogóle jest coś takiego, jak „strona” Barbary? Przecież morderstw jeszcze nie wykryto.

Oczy Dużego Jima zabłyśły z rozbawienia albo paranoi.

- Mam swoje sposoby i sposobiki, kolego. No to czego chcesz w zamian? Co mam ci dać za lek, który uchroni mnie przed atakiem serca? - I, zanim Ryży mógł odpowiedzieć: - Niech zgadnę. Mam uwolnić Barbarę, zgadza się?

- Nie. Zlinczowaliby go zaraz za drzwiami komisariatu.

Duży Jim parsknął śmiechem.

- A jednak masz trochę oleju w głowie.

- Chcę, żeby ustąpił pan ze stanowiska. Sanders też. Oddacie władzę Andrei Grinnell. Julia Shumway pomoże jej do czasu, aż Andi wyjdzie z nałogu.

Tym razem Duży Jim zaśmiał się głośniej i na dokładkę klepnął się w udo.

- To ja myślałem, że Cox jest stuknięty... on chciał, żeby Andrei pomogła ta z dużymi balonami... ale ty jesteś jeszcze gorszy. Shumway! Toż ta psia córka zna się na zarządzaniu jak ślepy na kolorach!

- Wiem, że zabiłeś Cogginsa.

Ryży nie chciał tego powiedzieć, ale słowa wyszły z jego ust, zanim mógł się powstrzymać. Zresztą co w tym złego? Byli tu tylko we dwóch, jeśli nie liczyć Johna Robertsa z CNN, patrzącego na nich z telewizora na ścianie. Poza tym warto było to zrobić, żeby zobaczyć skutki. Duży Jim po raz pierwszy, odkąd pogodził się z istnieniem klosza, był wytrącony z równowagi. Usiłował zachować obojętność i mu się nie udało.

- Oszalałeś!

- Wiesz, że nie. Wczoraj wieczorem byłem w domu pogrzebowym i obejrzałem ciała wszystkich ofiar.

- Nie miałeś prawa! Nie jesteś lekarzem sądowym! Ani nawet takim siakim owakim lekarzem!

- Spokojnie, Rennie. Policz do dziesięciu. Pamiętaj o swoim sercu. - Ryży zawiesił głos. - E, pieprzyć twoje serce. Coggins miał ślady na całej twarzy i głowie. Bardzo nietypowe, ale łatwe do zidentyfikowania. Ślady szwów. Nie mam wątpliwości, że będą pasowały do pamiątkowej piłki baseballowej, którą widziałem na twoim biurku.

- To nic nie znaczy. - Rennie zerknął w stronę otwartych drzwi łazienki.

- Znaczy wiele. Zwłaszcza kiedy weźmie się pod uwagę, że wszystkie ciała porzucono w tym samym miejscu. Czyli morderca Cogginsa zamordował i resztę. Myślę, że to byłeś ty. Albo ty i Junior. Co, działaliście w tandemie? Tak było?

- Nie będę tego słuchać! - Duży Jim próbował wstać. Ryży pchnął go z powrotem na krzesło. Było to zadziwiająco łatwe. - Ani kroku! Do diaska, ani kroku!

- Czemu go zabiłeś? - spytał Ryży. - Co, groził, że powie ludziom o twoim narkobiznesie? Uczestniczył w nim?

- Ani kroku! - powtórzył Rennie, choć Ryży już usiadł. Nie przyszło mu do głowy, że Rennie mówi do kogoś innego.

- Mogę to zachować w tajemnicy i dać ci coś, co pomoże na częstoskurcz lepiej niż valium. Ty w zamian musisz tylko ustąpić. Ogłosisz swoją rezygnację... z powodów zdrowotnych... na rzecz Andrei jutro na zebraniu mieszkańców. Odejdiesz jako bohater.

Teraz to już na pewno nie odmówi, pomyślał Ryży. Jest przyparty do muru.

Rennie znów odwrócił się w stronę otwartych drzwi łazienki.

- Teraz możecie wyjść - powiedział.

Carter Thibodeau i Freddy Denton wyłoniли się z łazienki, gdzie ukrywali się - i słuchali.

8

- A szlag by to - powiedział Stewart Bowie.

On i jego brat byli w piwnicy domu pogrzebowego. Stewart właśnie nakładał makijaż Arletcie Coombs, kolejnej samobójczynie z Mill.

- Szlag by to kurwa małpie w dupę.

Rzucił telefon komórkowy na blat i z szerokiej kieszeni na przodzie gumowanego zielonego fartucha wyjął paczkę herbatników o smaku masła orzechowego. Stewart musiał coś przegryźć, kiedy był zdenerwowany. Zawsze jadł niechlujnie („Jak prosię”, mawiał ich tata, kiedy mały Stewie wstawał od stołu) i teraz okruszki sypały się na zwróconą ku górze twarz Arletty, na której bynajmniej nie gościł wyraz spokoju; jeśli myślała, że wyżłopanie płynu do przetykania rur to szybki i bezbolesny sposób ucieczki spod klosza, srodze się myliła. Skubaństwo wyżarło w niej dziurę od żołądka po plecy.

- Co jest? - spytał Fern.

- Po cholere ja się spiknąłem z tym Renniem?

- Dla kasy?

- A na co mi teraz kasa? - wyrzekął Stewart. - Co, zaszaleję i wykupię pół sklepu Burpeego? Już mi, kurwa, na samą myśl staje! - Otworzył szarpnięciem usta starej wdowy i wepchnął w nie resztę herbatnika. - Masz, cipo, nażryj się.

Chwycił swoją komórkę i wybrał numer ze spisu.

- Jak go nie będzie - powiedział, może do Ferna, ale, co bardziej prawdopodobne, do siebie - pojedę tam, znajdę go, złapię jego kure i mu w dupsko wsę...

Roger Killian był. I to w swoim zafajdanym kurniku. Stewart słyszał gdakanie. Słyszał też kaskady smyczków Mantovaniego dobywające się z aparatury nagłaśniającej w kurniku. Kiedy były tam dzieciaki, leciała Metallica albo Pantera.

- Tu Stewie. Trzeźwyś, bracie?

- Prawie - przytaknął Roger, co pewnie znaczyło, że przypalał amfę.

- Przyjedź do miasta. Będziemy z Fernem czekać na ciebie na parkingu służb miejskich. Weźmiemy dwie duże ciężarówki, te z dźwigami, i pojedziemy do WCIK. Trzeba przewieźć cały propan do miasta. W jeden dzień nie obrócimy, ale Jim mówił, że musimy zacząć. Jutro zwerbuję paru chłopaków z tej choliernej prywatnej armii Jima, jeśli zgodzi się

ich użyczyć... i dokończymy.

- Nie no, Stewart, nie teraz! Kury muszę nakarmić! Wszystkie chłopaki, co mi zostały, poszły do policji!

Co znaczy, pomyślał Stewart, że chcesz siedzieć w tej swojej kanciapie, palić amfę, słuchać gównianej muzyki i oglądać na kompie pornole z lesbami. Nie wiedział, jak człowiekowi może stać w smrodzie kurzego łajna tak gęstym, że nożem by go pokroił, ale Rogerowi Killianowi jakoś się udawało.

- To nie misja dla ochotników, bracie. Dostałem rozkaz i teraz wydaję rozkaz tobie. Pół godziny. I jak zobaczysz gdzieś któregoś ze swoich dzieciaków, zgarnij go ze sobą.

Rozłączył się, zanim Roger mógł znowu zacząć marudzić. Przez chwilę stał nieruchomo i kipiał ze złości. Ostatnie, co chciał robić w to środowe popołudnie, to taszczyć zbiorniki z propanem do ciężarówek... ale to właśnie będzie robił, o tak. Bez dwóch zdań.

Porwał szlauch ze zlewu, wcisnął go w sztuczną szczękę Arletty Coombs i puścił wodę. Ciśnienie było tak duże, że trup podskoczył na stole.

- Popij ciastka, babciu - warknął. - Cobyś się nie zadławiła.

- Przestań! - krzyknął Fern. - Wytryśnie przez dziurę w jej... Za późno.

9

Duży Jim spojrział na Ryżego z uśmiechem mówiącym: „I na co ci to było?”. Potem odwrócił się do Cartera Thibodeau i Freddy'ego Dentona.

- Chłopcy, słyszeliście, jak pan Everett próbował mnie zastraszyć?

- Jasne - powiedział Freddy.

- Słyszeliście, jak groził, że nie da mi pewnych ratujących życie lekarstw, jeśli nie zgodzę się ustąpić?

- Uhm - powiedział Carter i obdarzył Ryżego złowrogim spojrzeniem.

Jak mogłem być tak głupi? - zastanawiał się Ryży. To był ciężki dzień - złożmy to na karb tego.

- Lekarstwem, o którym mowa, mógł być środek o nazwie werapamil, który ten długowłosy podał mi przez kroplówkę. - Duży Jim obnażył zęby w kolejnym nieprzyjemnym uśmiechu.

Werapamil. Ryży po raz pierwszy - i, jak się miało okazać, nie ostatni - sklął się za to, że nie wziął karty Dużego Jima z przegródki w drzwiach i jej nie obejrzał.

- Z jakimi przestępstwami mamy tu do czynienia, jak sądzicie? - spytał Duży Jim. - Groźby karalne?

- Jasne, i próba wymuszenia - powiedział Freddy.

- Gdzie tam wymuszenia, zabójstwa - dodał Carter.

- A jak myślicie, kto go do tego namówił?

- Barbie - rzekł Carter i dał Ryżemu w zęby. Ryży nie spodziewał się ciosu i nawet nie próbował się zasłonić. Zatoczył się do tyłu, wpadł na krzesło i zwałił się na nie bokiem, krwawiąc z ust.

- To było stawianie oporu podczas aresztowania - stwierdził Duży Jim. - Ale to jeszcze mało. Na podłogę z nim, chłopaki. Dawać go na podłogę.

Ryży próbował uciec, ale ledwo wstał z krzesła, Carter złapał go za rękę i obrócił ku sobie. Freddy podstawił mu nogę. Carter go popchnął. Jak dzieci na placu zabaw, pomyślał Ryży, przewracając się.

Carter przypadł do niego. Ryży zdołał zadać jeden cios - w twarz, ale Carter tylko się otrząsnął i chwilę potem już siedział mu na piersi.

Tak, zupełnie jak na szkolnym placu zabaw, tylko że nie było dyżurnego, który przerwałby bójkę.

Ryży odwrócił się do Renniego, który teraz już stał.

- Nie chcesz tego zrobić - wydyszał. Jego serce waliło jak młotem. Ledwo mógł zaczerpnąć powietrza. Thibodeau był bardzo ciężki. Freddy Denton klęczał obok nich. Przypominał Ryżemu sędziego wyreżyserowanej walki w wrestlingu.

- Ależ chcę, Everett - powiedział Duży Jim. - Mało tego, muszę, Bóg z tobą. Freddy, weź moją komórkę. Ma ją w kieszeni na piersi, nie chcę, żeby się zepsuła. Łachadojda ją ukradł. Możecie mu to dopisać do rachunku, jak go zabierzecie na dotek.

- Inni wiedzą - powiedział Ryży. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny. I tak głupi. Wmawianie sobie, że nie on pierwszy zlekceważył Jamesa Renniego seniora, nie pomogło. - Inni wiedzą, co zrobiłeś.

- Może - odparł Duży Jim. - Ale co to za jedni? Koleżkowie Dale'a Barbary jak ty. Wywołali burdę w supermarkecie. Spalili redakcję gazety. Postawili klosz, co do tego nie mam wątpliwości. To jakiś rządowy eksperyment, tak myślę. Ale nie jesteśmy szczurami w pudełku, co? Jak sądzisz, Carter?

- Nie.

- Freddy, na co czekasz?

Freddy przez cały ten czas słuchał Dużego Jima z miną mówiącą „teraz rozumiem”. Wyjął jego telefon komórkowy z kieszeni na piersi Ryżego i rzucił na sofę.

- Od kiedy to planowaliście, Ryży? Od kiedy planowaliście zamknąć nas w mieście,

żeby zobaczyć, co zrobimy?

- Freddy, posłuchaj, co mówisz - powiedział Ryży. A właściwie wyrzeźił. Boże, jaki ten Thibodeau był ciężki! - To obłąd. Bzdura zupełna. Nie widzisz, że...

- Połóżcie jego dłoń na podłodze - rzucił Duży Jim. - Lewą. Freddy wykonał polecenie. Ryży próbował walczyć, ale szans nie miał żadnych.

- Przykro mi to robić - rzekł Rennie, stawiając but na zaciśniętą dłoń Ryżego - lecz mieszkańcy miasta muszą wiedzieć, że mamy element terrorystyczny pod kontrolą.

Mógł sobie mówić do woli, że mu przykro. Ryży zobaczył inny motyw jego działania sterczący pod gabardynowymi spodniami. Renniemu sprawiało to przyjemność, i to nie tylko intelektualną.

A potem but nacisnął i zaczął miażdżyć. Mocno, mocniej, jeszcze mocniej. Twarz Dużego Jima skurczyła się z wysiłku. Pot wystąpił mu nad brwiami.

Nie krzycz, powiedział sobie Ryży. Sprowadziłbyś Ginny, a wtedy i ona wpadnie w ten kocioł. Poza tym on chce, żebyś krzyczał. Nie daj mu tej satysfakcji.

Jednak kiedy usłyszał pierwszy trzask, krzyknął. Nie wytrzymał.

Potem był drugi trzask. I trzeci.

Duży Jim cofnął się o krok, usatysfakcjonowany.

- Podnieście go i zabierzcie do aresztu. Niech sobie pogada ze swoim kolegą.

Freddy oglądał dłoń Ryżego, która już zaczynała puchnąć. Trzy palce były mocno powykrzywiane.

- Jesteś załatwiony - powiedział z wielkim zadowoleniem. W drzwiach stanęła Ginny z szeroko otwartymi oczami.

- Co wy robicie, na litość boską?

- Aresztujemy tego bydlaka za próbę wymuszenia, odmowę udzielenia pomocy i usiłowanie zabójstwa - powiedział Freddy Denton. Carter dźwignął Ryżego Everetta na nogi.

- A to tylko na początek. Stawiał opór, to go obezwładniliśmy. Niech nam pani zejdzie z drogi.

- Odbiło wam! - krzyknęła Ginny. - Ryży, twoja ręka!

- Nic mi nie jest. Zadzwoń do Lindy. Powiedz jej, że ci bandyci...

Nie dokończył. Carter schwycił go za kark, przygiął i wyprowadził za drzwi, szepcząc mu na ucho:

- Gdybym wiedział na pewno, że ten stary zna się na leczeniu tak jak ty, sam bym cię zabił.

To wszystko w zaledwie cztery dni z minutami, myślał Ryży z niedowierzaniem, kiedy

Carter prowadził go w głąb korytarza, zataczającego się i zgiętego prawie wpół pod naporem ręki, która ścisnęła mu kark. Jego lewa dłoń nie była już dłonią, tylko ryczącą z bólu masą pod nadgarstkiem.

Był ciekaw, czy skórzane łby dobrze się bawią.

10

Dopiero późnym popołudniem Linda wreszcie odszukała bibliotekarkę Mill. Lissa jechała na rowerze szosą numer sto siedemnaście w stronę miasta. Wyjaśniła, że rozmawiała z wartownikami wystawionymi przy kloszu i starała się wyciągnąć z nich więcej informacji o dniu odwiedzin.

- Nie wolno im się spoufalać z ludźmi z miasta, ale niektórzy na to nie zważają - powiedziała. - Zwłaszcza jak się rozepnie trzy górne guziki bluzki. To idealne zagajenie rozmowy. Przynajmniej jeśli chodzi o chłopaków z wojska. Co do marines... myślę, że mogłabym się rozebrać do naga i odtńczyć macarenę, a i tak by nawet nie pisnęli. Chyba są odporni na seksapil. - Uśmiechnęła się. - Nie żeby można mnie było pomylić z Kate Winslet.

- Jakież ciekawe plotki?

- Nie. - Lissa siedziała okrakiem na rowerze i zaglądała do Lindy przez okno pasażera. - Nie wiedzą nic a nic. Ale strasznie się o nas martwią; to mnie wzruszyło. I słyszą tyle pogłosek co my. Jeden pytał, czy to prawda, że już przeszło sto osób popełniło samobójstwo.

- Wsiądziesz na chwilę?

Lissa uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Aresztujesz mnie?

- Chcę o czymś z tobą pogadać.

Lissa oparła rower na nóżce i wsiadła, odsuwając na bok podkładkę do wypisywania mandatów i niesprawny radar pistoletowy. Linda powiedziała jej o potajemnej wizycie w domu pogrzebowym, a potem o planowanym spotkaniu na plebanii. Odpowiedź Lissy była natychmiastowa i zdecydowana.

- Będę i niech mnie tylko ktoś spróbuje powstrzymać. Wtedy radio odchrząknęło i odezwała się Stacey.

- Wóz cztery, wóz cztery. Zgłoś się.

Linda chwyciła mikrofon. Nie myślała o Ryżym, tylko o dziewczynkach.

- Tu czwórka, Stacey. Mów.

Odpowiedź Stacey Moggin zmieniła niepokój Lindy w czyste przerażenie.

- Mam dla ciebie złą wiadomość, Lin. Powiedziałabym ci, żebyś się na to

przygotowała, lecz na coś takiego raczej się nie da przygotować. Aresztowali Ryżego.

- Co?! - krzyknęła Linda, ale nie wcisnęła guzika nadawania z boku mikrofonu.

- Wsadzili go do paki z Barbiem. Chyba ma złamaną rękę, trzymał dłoń przyciśniętą do piersi, była cała opuchnięta. - Zniżyła głos. - Mówili, że stawiał opór podczas aresztowania. Odbiór.

Tym razem Linda pamiętała, żeby włączyć mikrofon.

- Zaraz tam będę. Powiedz mu, że już jadę. Odbiór.

- Nie mogę - odparła Stacey. - Nie puszczają na dół nikogo oprócz funkcjonariuszy ze specjalnej listy... a mnie na niej nie ma. Jest cały wachlarz zarzutów, w tym usiłowanie zabójstwa i współudział w zabójstwie. Jak będziesz wracać do miasta, jedź spokojnie. Nie dadzą ci się z nim zobaczyć, więc nie ma sensu, żebyś po drodze rozwalila sobie miejsce pracy...

Linda trzy razy wcisnęła guzik włączający mikrofon. Potem powiedziała:

- Właśnie że się z nim zobaczę.

Ale się myliła. Komendant Peter Randolph, świeży i wypoczęty po drzemce, czekał na nią na szczycie schodów przed komisariatem. Zażądał, żeby zdała odznakę i broń. Jako żona Ryżego ona również była podejrzana o próbę obalenia legalnych władz miasta i podburzanie do buntu.

W porządku, chciała mu powiedzieć. Aresztuj mnie i zamknij w piwnicy z moim mężem. Potem jednak pomyślała o córkach, które teraz pewnie były u Marty i czekały, aż po nie przyjedzie, czekały, żeby jej opowiedzieć, jak było w szkole. Pomyślała też o wieczornym spotkaniu na plebanii. Jeśli trafi za kraty, nie będzie mogła w nim uczestniczyć, a to spotkanie w tej chwili stało się ważne jak nigdy.

Bo skoro jutro i tak mieli uwolnić jednego więźnia, to czemu by nie uwolnić od razu dwóch?

- Powiedz mu, że go kocham - rzuciła Linda, rozpinając pas i zsuwając z niego kaburę. Tak czy owak, pistolet za bardzo jej ciążył. Przeprowadzanie idących do szkoły maluchów przez jezdnię, upominanie gimnazjalistów, żeby nie palili i nie przeklinali... o, to była jej specjalność.

- Przekażę tę wiadomość, pani Everett.

- Czy ktoś obejrzał jego rękę? Słyszałam, że może być złamana. Randolph zmarszczył brwi.

- Kto to pani powiedział?

- Nie wiem, kto dzwonił. Nie przedstawił się. Chyba jeden z naszych, ale sygnał na sto

siedemnastej nie jest najmocniejszy. Randolph chwilę pomyślał i postanowił nie drażnić tematu.

- Z ręką Ryżego wszystko w porządku - powiedział. - A dla pani nie ma tu już żadnych „naszych”. Proszę wracać do domu. Później na pewno będziemy chcieli zadać pani kilka pytań.

Poczuła wzbierające łzy. Powstrzymała je.

- A co mam powiedzieć córkom? Że tatuś siedzi w więzieniu? Wiesz, że Ryży to porządny człowiek. Boże, przecież to on w zeszłym roku wykrył u ciebie chory pęcherzyk żółciowy!

- Z tym to ja raczej pani nie pomogę, pani Everett - powiedział Randolph; wyglądało na to, że czasy, kiedy nazywał ją Lindą, minęły bezpowrotnie. - Ale sugeruję, żeby nie mówiła im pani, że tatuś w zмовie z Dale'em Barbarą zamordował Brendę Perkins i Lestera Cogginsa... co do pozostałych nie mamy pewności, to były bez wątpienia zabójstwa na tle seksualnym i mógł o nich nie wiedzieć.

- To obłąd!

Randolph jakby jej nie słyszał.

- Próbował też zabić radnego Renniego, odmawiając mu niezbędnych leków. Na szczęście Duży Jim był przewidujący i kazał dwóm policjantom przysłuchiwać się tej rozmowie z ukrycia. - Pokręcił głową. - Grozić nieudostępnieniem ratujących życie leków człowiekowi, który przypłacił zdrowiem troskę o to miasto. Oto jakiego masz porządnego męża. Porządnego jak cholera, nie ma co.

Poszła, żeby jeszcze bardziej nie pogarszać swojej sytuacji. Przed sobą miała długie pięć godzin do spotkania na plebanii. Nie przychodziło jej do głowy, dokąd może pójść, co zrobić.

I nagle wpadła na pomysł.

11

Z dłonią Ryżego bynajmniej nie było wszystko w porządku. Nawet Barbie to widział, mimo że dzieliły ich trzy puste cele.

- Ryży... mogę ci jakoś pomóc? Ryży zdobył się na uśmiech.

- Nie, chyba że masz na zbyciu ze dwie aspiryny. Darvocet byłby jeszcze lepszy.

- Właśnie mi się skończyły. Nic ci nie dali?

- Nie, ale już trochę mniej boli. Przeżyję. - Te słowa zabrzmiały dzielnie, choć tak naprawdę bolało jak diabli, a zaraz miało zboleć jeszcze bardziej. - Muszę jednak coś zrobić

z tymi palcami.

- Powodzenia.

O dziwo, żaden palec nie był złamany, za to jedna kość dłoni owszem. Piąta śródrečna. Jedyne, co mógł na to poradzić, to oderwać paski z T - shirta i unieruchomić nimi dłoń. Ale najpierw...

Chwycił palec wskazujący, wywichnięty w stawie międzypaliczkowym bliższym. W filmach zawsze robili takie rzeczy szybko, bo tak było bardziej dramatycznie. Niestety, w rzeczywistości pośpiech mógł zaszkodzić, zamiast pomóc. Ryży powoli, stopniowo zwiększał nacisk. Straszliwy ból promieniował aż do szczęki. Palec skrzypiał jak zawias dawno nieotwieranych drzwi. Gdzieś, jednocześnie w pobliżu i w innym kraju, Ryży dostrzegł Barbiego, który stał przy drzwiach celi i obserwował.

I nagle, jak za sprawą magii, palec się wyprostował, a ból złagodniał. Przynajmniej w tym jednym palcu. Ryży usiadł na pryczy zdyszany jak po sprincie.

- Już? - spytał Barbie.

- Nie całkiem. Muszę jeszcze nastawić mój palec od pokazywania „pierdol się”. Może się przydać.

Chwycił środkowy palec i zaczął od nowa. I znów, kiedy wydawało się, że ból już gorszy być nie może, wywichnięty staw wskoczył na swoje miejsce. Został jeszcze tylko mały palec, który odstawał w bok jak przy wznoszeniu toastu.

I wzniosłbym toast, gdybym mógł, pomyślał Ryży. Za najbardziej porąbany dzień w dziejach. Przynajmniej w dziejach Erica Everetta.

Zaczął owijać palec. Też bolało, a na to żadna prowizorka nie mogła pomóc.

- Co zrobiłeś? - spytał Barbie, po czym dwa razy głośno pstryknął palcami. Wskazał sufit i przystawił dłoń do ucha. Czy naprawdę wiedział, że areszt jest na podsłuchu, czy tylko to podejrzewał? Ryży uznał, że to bez znaczenia. Najlepiej będzie zachowywać się tak, jakby podsłuch był, choć trudno było uwierzyć, by któremuś z tych partaczy przyszło do głowy go założyć.

- Nieopatrznie próbowałem namawiać Dużego Jima do ustąpienia - powiedział Ryży. - Nie wątpię, że dorzucą jeszcze kilkanaście innych zarzutów, ale w gruncie rzeczy posadzili mnie za to, że poradziłem mu, by się tak nie forsował, jeśli nie chce dostać zawału.

Rzecz jasna, pominął wątek z Cogginsem, ale stwierdził, że tak będzie lepiej, jeśli chce zachować zdrowie.

- Jak tu karmią?

- Nieźle - rzekł Barbie. - Rose przyniosła mi lunch. Ale lepiej uważaj na wodę. Bywa

trochę za słona.

Rozłożył palec wskazujący i środkowy prawej dłoni, wskazał nimi na swoje oczy, a potem na usta. „Patrz uważnie”.

Ryży skinął głową.

„Jutro wieczorem”, powiedział Barbie bezgłośnie.

„Wiem”, odparł Ryży, poruszając ustami w sposób tak przerysowany, że wargi znów mu popękały i zaczęły krwawić.

Barbie dodał jeszcze: „Potrzebujemy... kryjówki”.

Ryży pomyślał, że dzięki Joemu McClatcheyowi i jego przyjaciółom z tym akurat nie będzie problemu.

12

Andy Sanders dostał ataku drgawek.

Tak to się musiało skończyć. Nie był przyzwyczajony do amfy, a wypalił jej dużo. Był w studiu WCIK, słuchał podniosłych dźwięków „How Great Thou Art” w wykonaniu orkiestry symfonicznej Our Daily Bread i udawał, że dyryguje. Widział samego siebie lecącego nad ginącymi w nieskończoności strunami skrzypiec.

Kucharz poszedł gdzieś z bongiem, ale zostawił Andy'emu zapas tłustych podrasowanych papierosów, które nazywał superdopałami.

- Z tymi ostrożnie, Sanders - powiedział. - To dynamit. „Kto nie nawykł do picia, niechaj łagodnym będzie”. Pierwszy List do Tymoteusza. To dotyczy też dopałów.

Andy solennie pokiwał głową, ale po wyjściu Kucharza kurzył jak demon. Dwa superdopały, jeden zaraz po drugim. Zaciągał się dotąd, aż z każdego zostały tylko gorące pety, które parzyły go w palce. Przypominający odór pieczonych kocich szczyń zapach amfy piał się coraz wyżej na liście jego ulubionych metod aromaterapii. Był w połowie trzeciego dopała i wciąż dyrygował jak Leonard Bernstein, kiedy wciągnął do płuc wyjątkowo duży haust i urwał mu się film. Upadł na podłogę i podrygiwał w rzece świętej muzyki. Toczył pianę spomiędzy zaciśniętych zębów. Półotwarte oczy uciekły mu w głąb i widziały rzeczy, których nie było. Przynajmniej jeszcze nie.

Ocknął się dziesięć minut później, dość rześki, by popędzić przed siebie ścieżką między studiem a długim czerwonym magazynem na tyłach.

- Kucharzu! - wrzeszczał. - Kucharzu, gdzie jesteś? Nadchodzą!

Kucharz Bushey wyszedł bocznymi drzwiami z magazynu. Włosy sterczały mu jak tłuste pióra. Ubrany był w brudne spodnie od pidzamy, zasikane w kroku i u dołu umazane

trawą. Zadrukowane rysunkowymi żabami mówiącymi KUM, KUM, zwisały niepewnie z jego wystających, kościstych bioder, odsłaniając z przodu kępkę włosów łonowych i z tyłu przedziałek w zadku. W jednym ręku trzymał AK - 47 ze starannie wymalowanymi na kolbie słowami BOŻY WOJOWNIK. Pilota do drzwi garażu miał w drugiej dłoni. Odłożył Bożego Wojownika, ale Bożego Pilota do Drzwi już nie. Chwycił Andy'ego za ramiona i mocno nim potrząsnął.

- Sanders, przestań histeryzować!

- Nadchodzą! Ludzie pełni goryczy! Tak jak mówiłeś! Kucharz pomyślał o tym.

- Ktoś zadzwonił i dał ci cynk?

- Nie, to była wizja! Urwał mi się film i miałem wizję!

Kucharz otworzył oczy szeroko. Jego podejrzliwość przeszła w szacunek. Przeniósł wzrok z Andy'ego na Little Bitch Road i z powrotem.

- Co widziałeś? Ilu? Wszyscy czy tylko kilku, jak ostatnio? - Ja...ja...ja...

Kucharz znów nim potrząsnął, tym razem delikatniej.

- Uspokój się, Sanders. Jesteś teraz w Armii Pana i...

- Jestem chrześcijańskim żołnierzem!

- Jasne, jasne, jasne. A ja twoim dowódcą. Więc melduj.

- Jadą dwiema ciężarówkami.

- Tylko dwiema? - Tak.

- Pomarańczowymi? - Tak!

Kucharz podciągnął spodnie od pidżamy (niemal od razu opadły do poprzedniej pozycji) i skinął głową.

- Wozy służb miejskich. Pewnie to ci sami trzej durnie, bracia Bowie i pan Kura.

- Pan...?

- Killian, kto inny? Pali amfę, ale nie rozumie, czemu amfa służy. To głupiec. Znowu jadą po propan.

- Mamy się schować? Pozwolimy im go zabrać?

- Tak zrobiłem poprzednio. Ale nie tym razem. Nie będę się więcej ukrywał i pozwalał ludziom coś stąd wynosić. Gwiazda Piołun zapłonęła. Pora, by słudzy Boży wzniesli sztandar. Jesteś ze mną?

I Andy - który pod kloszem stracił wszystko, co kiedykolwiek się dla niego liczyło - nie wahał się ani chwili. - Tak!

- Aż po kres, Sanders? - Po kres!

- Gdzieś zostawił giwerę?

Jeśli Andy dobrze pamiętał, była w studiu, oparta o plakat Pata Robertsona obejmującego ramieniem świętej pamięci Lestera Cogginsa.

- Chodźmy po nią - powiedział Kucharz, podniósł Bożego Wojownika i sprawdził magazynek. - Od tej pory masz ją nosić ze sobą, jasne?

- Dobra.

- Jest tam skrzynia z amunicją?

- Uhm. - Andy wtaszczył jedną raptem godzinę temu. Przynajmniej wydawało mu się, że to było przed godziną; superdopały mają to do siebie, że zakrzywiają bieg czasu.

- Moment - powiedział Kucharz. Podeszedł wzdłuż bocznej ściany magazynu do skrzyni z chińskimi granatami i przyniósł trzy. Dwa dał Andy'emu i kazał mu je schować do kieszeni. Trzeci powiesił za zawleczkę na lufie Bożego Wojownika. - Sanders, mówili mi, że po wyjęciu zawleczki masz siedem sekund na to, żeby pozbyć się tego kurestwa, ale kiedy wypróbowałem jeden w żwirowni, wyszło mi, że to raczej cztery sekundy, nie siedem. Azjatom nie można ufać. Pamiętaj.

Andy obiecał, że zapamięta.

- No dobra, chodźmy po twoją broń.

- Załatwimy ich? - spytał Andy z wahaniem. Kucharz był zaskoczony.

- Nie. Chyba że będziemy musieli.

- To dobrze. - Andy mimo wszystko naprawdę nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

- Ale jeśli będą uparci, zrobimy, co konieczne. Rozumiesz?

- Tak - powiedział Andy. Kucharz klepnął go w ramię.

13

Joe spytał matkę, czy Benny i Norrie mogliby zostać na noc. Claire powiedziała, że nie ma nic przeciwko, jeśli ich rodzice się zgodzą. Tak naprawdę przyniosłoby jej to nawet pewną ulgę. Po ich przygodzie na Black Ridge wolała mieć młodzież pod okiem. Mogliby zrobić prażoną kukurydzę na opalanym drewnem piecyku i kontynuować hałaśliwą partyjkę monopolu, którą zaczęli przed godziną. Prawdę mówiąc, nieco zbyt hałaśliwą; trajkotanie i radosne pohukiwania wydawały się podszyte nerwowością, wymuszone. Wcale jej się to nie podobało.

Matka Benny'ego się zgodziła, matka Norrie - ku pewnemu zaskoczeniu Claire - też.

- Dobrze się składa - powiedziała Joanie Calvert. - Odkąd to się zaczęło, mam ochotę się ubzdryngolić. Wygląda na to, że dziś trafi się okazja. Aha, Claire, powiedz Norrie, że ma jutro pójść do dziadka i go ucałować.

- Kto jest jej dziadkiem?

- Ernie. Znasz Erniego, nie? Wszyscy go znają. Martwi się o nią. Ja czasem też. Ta deskorolka... - Głos Joanie zabrzmiał tak, jakby się wzdrygnęła.

- Przekażę jej.

Ledwie Claire odłożyła słuchawkę, ktoś zapukał do drzwi. W pierwszej chwili nie poznała tej kobiety w średnim wieku, o bladej, napiętej twarzy.

Potem uprzytomniła sobie, że to Linda Everett, która zwykle pilnowała przejścia przez jezdnię przed szkołą i wlepiała mandaty kierowcom nadużywającym gościnności stref ograniczonego parkowania na Main Street. I wcale nie była w średnim wieku. Tylko tak wyglądała.

- Linda! Wejdz, proszę. Co się stało? Coś z Ryżem? Coś stało się Ryżemu? - Myślała o promieniowaniu... lecz w jej podświadomości kłębiły się dużo straszniejsze kosmary.

- Aresztowali go.

Partia monopolu została przerwana. Gracze stali w drzwiach salonu i patrzyli w skupieniu na Lindę.

- Postawili mu całą litanię zarzutów, włącznie ze współudziałem w zabójstwach Lestera Cogginsa i Brendy Perkins.

- Nie! - krzyknął Benny.

Claire pomyślała, czy ich nie wygonić, i uznała, że to byłoby na nic. Rozumiała, czemu Linda tu przyszła, mimo to trochę miała do niej żal. Do Ryżego też, bo wplątał w to dzieci. Tyle że chcąc nie chcąc, wszyscy byli w to wplątani, prawda? Pod kloszem nie miało się innej możliwości.

- Wszedł Renniemu w paradę - powiedziała Linda. - Do tego to się tak naprawdę sprowadza. Do tego w mniemaniu Dużego Jima sprowadza się wszystko: kto wchodzi mu w paradę, a kto nie. Zupełnie zapomniał, w jak ciężkiej jesteśmy sytuacji. Nie, jest jeszcze gorzej. On tę sytuację wykorzystuje.

Joe spojrzał na Lindę z powagą.

- Pani Everett, czy pan Rennie wie, gdzie byliśmy dziś rano? Czy słyszał o skrzynce? Bo chyba byłoby lepiej, żeby nic o niej nie wiedział.

- Jakiej skrzynce?

- Tej, którą znaleźliśmy na Black Ridge - powiedziała Norrie. - My widzieliśmy tylko światło, które wytwarza; Ryż pojechał obejrzeć ją z bliska.

- Nie mógł go wyłączyć - dodał Benny. - Ani nawet podnieść, choć mówił, że jest bardzo mała. To generator.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała Linda.

- Czyli Rennie też nie - stwierdził Joe. Wyglądał, jakby wielki ciężar spadł mu z barków.

- Skąd wiesz?

- Bo inaczej kazałby glinom nas przesłuchać - powiedział Joe. - A gdybyśmy milczeli, nas też by zamknął.

W oddali rozległy się dwa słabe odgłosy wystrzałów. Claire przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi.

- To były fajerwerki czy strzały?

Linda nie wiedziała, a ponieważ odgłosy nie dobiegły z miasta - wtedy byłyby głośniejsze - nic jej to nie obchodziło.

- Dzieci, powiedzcie, co się stało na Black Ridge. Wszystko. Co widzieliście wy i co widział Ryży. A wieczorem będziecie musieli to powtórzyć pewnym ludziom. Pora, żebyśmy zebrali do kupy wszystko, co wiemy. Prawdę mówiąc, trzeba to było zrobić wcześniej.

Claire otworzyła usta, by powiedzieć, że nie chce się w to angażować, ale zmieniła zdanie. Bo nie było innego wyboru.

14

Studio WCIK stało w sporym oddaleniu od Little Bitch Road i prowadzący do niego podjazd (utwardzony, w dużo lepszym stanie niż sama droga) miał prawie pół kilometra długości. W miejscu, gdzie łączył się z Little Bitch, po jego bokach rosły dwa stuletnie dęby. Ich jesienne listowie, w normalnych okolicznościach na tyle barwne, by zasłużyć na pokazanie w kalendarzu czy broszurze turystycznej, teraz było brązowe i zwisało smętnie. Andy Sanders stał za jednym z grubych pni. Kucharz za drugim. Słyszeli zbliżający się warkot ciężarówek. Andy otarł oczy z potu.

- Sanders! - usłyszał. - Co?

- Odbezpieczyłeś broń? Sprawdził.

- Tak.

- Dobra. Słuchaj i zapamiętaj to sobie. Jak ci powiem, że masz strzelać, skoś skurwysynów! Z góry na dół, z przodu i z tyłu! Jak nie powiem, że masz strzelać, stój i nic nie rób. Jasne?

- T - tak.

- Nie sądzę, żeby ktoś miał zginąć. Dzięki Bogu, pomyślał Andy.

- Nie, jeśli to tylko obaj Bowie i pan Kura - mówił dalej Kucharz. - Ale pewności nie

mam. Gdybym jednak musiał przejść do ataku, mogę na ciebie liczyć?

- Tak. - Bez wahania.

- I zabierz palec ze spustu, do cholery, bo sobie łeb odstrzelisz. Andy spojrzał w dół, zobaczył, że faktycznie zaciska palec na spuście kałasznikowa. Czym prędzej go cofnął.

Czekali. Andy słyszał w głowie bicie własnego serca. Powiedział sobie, że głupotą jest się bać - gdyby wtedy szczęśliwie nie zadzwonił telefon, już by nie żył - ale to nie pomogło. Bo otworzył się przed nim nowy świat. Wiedział, że ten świat może okazać się ułudą (nie zapomniał, co prochy zrobiły z Andi Grinnell), ale i tak był lepszy od gównianego świata, w którym żył dotąd.

Boże, proszę, spraw, żeby sobie poszli, modlił się. Proszę.

Pojawiły się ciężarówki. Jechały powoli i buchały ciemnym dymem w dogasającym świetle dnia. Andy wyjrzał ukradkiem zza drzewa i zobaczył dwóch mężczyzn w pierwszym wozie. Pewnie bracia Bowie.

Kucharz długo stał w bezruchu. Andy już zaczynał myśleć, że może zmienił zdanie i pozwoli, żeby zabrali propan. Wtedy Kucharz wyszedł zza drzewa i puścił dwa szybkie strzały.

Upalony czy nie, był dobrym strzelcem. Obie przednie opony pierwszej ciężarówki oklapły. Szoferka podskoczyła parę razy jak w tańcu pogo i wóz znieruchomiał. Ten, który jechał z tyłu, omal na niego nie wpadł. Do Andy'ego doleciały słabe dźwięki muzyki, jakiś hymn, i domyślił się, że kierowca drugiego samochodu nie dosłyszał strzałów, bo zagłuszyło je radio. Szoferka pierwszej ciężarówki wyglądała na pustą. Obaj mężczyźni się schowali.

Kucharz Bushey, wciąż bosy i ubrany tylko w spodnie od pidżamy KUM, KUM (pilota do drzwi garażu zatknął za opadającą gumkę), wyszedł z kryjówki.

- Stewarcie Bowie! - zawołał. - Fernie Bowie! Wsiadajcie, porozmawiamy! - Oparł Bożego Wojownika o dąb.

Żadnej reakcji z szoferki pierwszej ciężarówki, za to drzwi drugiej otworzyły się i wysiadł Roger Killian.

- Czego stanęliście?! - wrzasnął. - Muszę wracać kury karmić... - Wtedy zobaczył Kucharza. - O, siemano, Philly! Co tam?

- Na ziemię! - ryknął jeden z braci Bowie. - Pieprzony świr strzela! Roger spojrzał na Kucharza, potem na oparty o drzewo AK - 47.

- Może i strzelał, ale już odłożył kałacha. Poza tym jest sam. Co się dzieje, Phil?

- Teraz jestem Kucharz. Mów mi Kucharz.

- No dobra, Kucharzu, co się dzieje?

- Wychodź, Stewart! - zawołał Kucharz. - Ty też, Fern! Nikomu nic się nie stanie. Chyba.

Otworzyły się drzwi po obu stronach pierwszej ciężarówki.

- Sanders! - powiedział Kucharz, nie odwracając się. - Jeśli któryś z tych dwóch idiotów ma broń, strzelaj. Nie baw się w ogień pojedynczy; od razu poszatkuj ich jak ser na taco.

Ale żaden z braci Bowie nie miał broni. Fern trzymał ręce w górze.

- Do kogo mówisz, stary? - spytał Stewart.

- Pokaż im się, Sanders - powiedział Kucharz.

Andy zrobił to. Teraz, kiedy wyglądało na to, że zagrożenie krwawą jatką minęło, zaczynał się dobrze bawić. Gdyby wpadł na to, żeby wziąć ze sobą superdopał, na pewno bawiłby się jeszcze lepiej.

- Andy? - zdumiał się Stewart. - Co ty tu robisz?

- Zostałem wcielony do Armii Pana. A wy jesteście ludźmi pełnymi gorczy. Wiemy o was wszystko i nie macie tu czego szukać.

- He? - zdziwił się Fern. Opuścił ręce. Przód pierwszej ciężarówki powoli opadał ku drodze, w miarę jak z dużych przednich opon uciekało powietrze.

- Dobrze powiedziane, Sanders - pochwalił go Kucharz. Zwrócił się do Stewarta: - Wsiądźcie wszyscy trzej do drugiej ciężarówki i wracajcie w cholerę do miasta. Jak już tam będziecie, powiedzcie temu odszczepieńcowi i synowi diabła, że WCIK teraz jest nasze. Włącznie z wytwórnią i wszystkimi zapasami.

- Phil, co ty, kurwa, gadasz? - Kucharz jestem.

Stewart z irytacją machnął ręką.

- Nazywaj się, jak sobie chcesz, powiedz mi tylko, o co tu cho...

- Wiem, że twój brat jest głupi - przerwał mu Kucharz - a pan Kura nie zawiąże sobie butów bez instrukcji obsługi...

- Hej! Uważaj, co mówisz! - obruszył się Roger.

Andy uniósł AK. Pomyślał, że kiedy będzie miał okazję, napisze na kolbie CLAUDETTE.

- Nie, to ty uważaj.

Roger Killian zbladł i cofnął się o krok. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło podczas przemówień na zebraniach mieszkańców i Andy uznał, że to bardzo przyjemne.

Kucharz mówił dalej, jakby nie było żadnej przerwy.

- Ale ty masz trochę oleju w głowie, Stewart, więc nią rusz.

Zostaw furę tu, gdzie stoi, i wróć do miasta drugą. Powiedz Renniemu, że wszystko, co tu jest, nie należy już do niego, tylko do Boga. Powiedz mu, że Gwiazda Piołun zapłonęła i jeśli nie chce przyśpieszyć nadejścia apokalipsy, lepiej niech nas zostawi w spokoju.

- Zastanowił się. - Możesz mu też powiedzieć, że nadal będziemy puszczać muzykę. Jemu to pewnie obojętne, ale niektórym w mieście da pociechę.

- Wiesz, ilu Duży Jim ma gliniarzy? - spytał Stewart.

- Sram na to.

- Chyba ze trzydziestu. Jutro będzie pewnie pięćdziesięciu. A pół miasta nosi niebieskie opaski na znak poparcia. Jeśli napuści ich na was, pójda.

- Nawet to mu nie pomoże - powiedział Kucharz. - Pokładamy wiarę w Panu, On daje nam siłę dziesięciu ludzi.

- Cóż - wtrącił Roger, popisując się swoją biegłością w rachunkach - to jest was w sumie dwudziestu. I tak za mało.

- Zamknij się - rzucił Fern. Stewart spróbował raz jeszcze.

- Phil... to znaczy, Kucharzu... wyluzuj, przecież to nic wielkiego. On nie chce towaru, tylko propan. Połowa generatorów w mieście stoi. Do weekendu padną trzy czwarte. Daj nam zabrać propan.

- Muszę na nim gotować. Przykro mi.

Stewart spojrział na niego jak na wariata. Pewnie Kucharz jest wariatem, pomyślał Andy. I ja też. Ale Jim Rennie również był szaleńcem, więc bilans wychodził na zero.

- No już, zmykajcie - powiedział Kucharz. - I przekazcie mu, że jeśli spróbuje nasłać na nas swoje zastępy, pożałuje.

Stewart przemyślał to i wzruszył ramionami.

- Nie moja brocha. Chodź, Fern. Roger, ja poprowadzę.

- I bardzo dobrze - powiedział Roger Killian. - Nie cierpię zmieniać biegów. - Posłał Kucharzowi i Andy'emu ostatnie spojrzenie pełne nieufności i ruszył do drugiej ciężarówki.

- Bóg z wami, chłopaki! - zawołał Andy. Stewart obejrzał się przez ramię.

- I z wami też. Bo będziecie potrzebowali Jego pomocy.

Nowi właściciele największej wytwórni metamfetaminy w Ameryce Północnej stali obok siebie i patrzyli, jak duża pomarańczowa ciężarówka cofa się do drogi, nieporadnie zawraca na trzy i odjeżdża.

- Sanders!

- Tak, Kucharzu?

- Chcę żywszej muzyki, i to już. Temu miastu potrzeba Mavis Staples. I Clark Sisters.

Jak już to nastawię, zapalimy sobie.

Oczy Andy'emu wezbrały łzami. Objął ramieniem kościste barki człowieka dawniej znanego jako Phil Bushey i uściskał go.

- Kocham cię, Kucharzu.

- Dzięki, Sanders. I nawzajem. Pamiętaj, żeby mieć naładowaną broń. Od tej pory musimy pełnić straż.

15

Duży Jim siedział przy łóżku syna. Przez okno wpadało pomarańczowe światło zwiastujące zachód słońca. Douglas Twitchell zrobił Juniorowi zastrzyk i chłopak twardo spał. Pod pewnymi względami, Duży Jim to wiedział, byłoby lepiej, gdyby Junior umarł; żywy, z nowotworem uciskającym mózg, był nieprzewidywalny. Jasne, to jego syn, krew z krwi jego, ale on musiał brać pod uwagę większe dobro: dobro miasta. Wystarczyłoby wziąć z szafy jedną z zapasowych poduszek i...

Wtedy zadzwonił jego telefon. Duży Jim spojrzał na nazwisko na ekraniku i zmarszczył brwi. Coś poszło nie tak. Inaczej Stewart nie dzwoniłby tak wcześniej.

Słuchał z narastającym zdumieniem. Andy? Tam? Andy z karabinem?

Stewart czekał na jego odpowiedź. Na instrukcje, co robić. Nie ty jeden, kolego, pomyślał Duży Jim i westchnął.

- Daj mi chwilę. Muszę pomyśleć. Oddzwonię.

Rozłączył się i rozważył ten nowy problem. Mógłby jeszcze dziś wieczorem zabrać tam grupę policjantów. Pod pewnymi względami był to kuszący pomysł - zagrzać ich do boju mową w supermarkecie i samemu pokierować akcją. Jeśli Andy zginie, tym lepiej. Wtedy James Rennie senior stałby się jedyną władzą w mieście.

Chociaż... nazajutrz miało się odbyć nadzwyczajne zebranie mieszkańców. Przyjdą wszyscy, padną pytania. Jasne, mógł bez trudu przekonać ludzi, że wytwórnia metamfetaminy to sprawka Barbary i przyjaciół Barbary (w mniemaniu Dużego Jima Andy Sanders właśnie został oficjalnym przyjacielem Barbary), mimo to... nie.

Nie.

Chciał, żeby jego trzoda była przerażona, ale nie żeby wpadła w panikę. Panika nie sprzyjałaby jego celowi, jakim było ustanowienie pełni władzy nad miastem. A jeśli pozwoli Andy'emu i Busheyowi jeszcze jakiś czas zostać tam, gdzie są, co złego się stanie? Może będzie to nawet korzystne. Zrobią się zbyt pewni siebie. Może pomyślą, że o nich zapomniano, bo narkotyki są bogate w witaminę ogłupienia.

Za to piątek - czyli pojutrze - był wyznaczonym przez tego łachadojdę Coksa dniem odwiedzin. Wszyscy znowu pociągną na farmę Dinsmore'ów. Burpee na pewno i tym razem będzie sprzedawał hot dogi. A w czasie kiedy ta rozpsiajucha będzie trwać i Cox urządzi swoją jednoosobową konferencję prasową. Duży Jim będzie mógł osobiście poprowadzić oddział szesnastu czy osiemnastu policjantów na rozgłośnie i usunąć tych dwóch kłopotliwych ćpunów.

Tak. Taka była odpowiedź.

Oddzwonił do Stewarta i kazał mu dać sobie na wstrzymanie.

- Myślałem, że chcesz ten propan - powiedział Stewart.

- Dostaniemy go - odparł Duży Jim. - I możesz nam pomóc zająć się tymi dwoma, jeśli chcesz.

- Pewnie, chcę jak cholera. Ten sukinsyn... przepraszam, Duży Jimie... ten skurczybyk Bushey musi dostać za swoje.

- I dostanie. W piątek po południu. Nic na wtedy nie planuj.

Duży Jim znów czuł się świetnie, serce biło powoli i miarowo w jego piersi, nie zaczynało się ani nie kołatało. I dobrze, bo tyle było do zrobienia, poczynając od dzisiejszej inspirującej mowy do policji w supermarkecie, idealnym miejscu na to, by uświadomić świeżo upieczonym gliniarzom znaczenie porządku. Doprawdy, nie ma to jak widok zniszczeń, by skłonić ludzi do posłuszeństwa.

Ruszył do drzwi, po czym zawrócił i pocałował śpiącego syna w policzek. Może trzeba się będzie Juniora pozbyć, ale na razie to też mogło poczekać.

16

Nad miasteczkiem Chester's Mill znów zapada noc; kolejna noc pod kloszem. Nie udamy się jednak na spoczynek; czekają nas dwa spotkania, wypada też zajrzeć do pewnego welsh corgie. Horace tego wieczoru dotrzymuje towarzystwa Andrei Grinnell i choć na razie cierpliwie czeka, to nie zapomniał o popcornie między kanapą a ścianą.

Chodźmy więc, ty i ja, gdy wieczór jest rozpostarty na niebie niby pacjent na stole uśpiony eterem. Chodźmy, gdy na niebie ukazują się pierwsze odbarwione gwiazdy. To jedyne miasto na obszarze tego i trzech sąsiednich stanów, gdzie je dziś widać. Nad całą północną Nową Anglią pada deszcz i widzowie telewizyjnych kanałów informacyjnych wkrótce będą mieli okazję zobaczyć niezwykle zdjęcia satelitarne przedstawiające dziurę w chmurach, idealnie odwzorowującą przypominający skarpetkę zarys Chester's Mill. Tu świecą gwiazdy, ale gwiazdy są brudne, bo klosz jest brudny.

W Tarker's Mills i części Castle Rock znanej jako View leje jak z cebra; meteorolog CNN, Reynolds Wolf (nie mylić z ulubieńcem Rose Twitchell, Wolfiem), mówi, że choć na razie nie można mieć całkowitej pewności, wygląda na to, że pędzone przez prąd powietrza z zachodu chmury wpadają na zachodni bok klosza, zostają wyciśnięte jak gąbki, a następnie rozchodzą się na północ i południe. Nazywa to „fascynującym zjawiskiem”.

Suzanne Malveaux, prowadząca, pyta go o długoterminową prognozę pogody pod kloszem, gdyby kryzys miał się przeciągnąć.

„Doskonałe pytanie - odpowiada Reynolds Wolf. - Na pewno wiemy tylko tyle, że w Chester's Mill dziś nie pada, choć powierzchnia klosza jest na tyle przepuszczalna, że trochę wilgoci może przesączyć się do środka w miejscach, gdzie ulewa jest najbardziej intensywna. Meteorolodzy Narodowej Administracji Oceanu i Atmosfery twierdzą, że na dłuższą metę szanse na jakiegokolwiek opady pod kloszem są nikłe. A wiemy, że rzeka Prestile, główna droga wodna Chester's Mill, praktycznie wyschła. - Uśmiecha się, obnażając piękne zęby, takie w sam raz do telewizji. - Dzięki Bogu za studnie artezyjskie!”.

„Oj tak!” - mówi Suzanne, a potem na ekranach telewizorów Ameryki pojawia się gekon reklamujący firmę ubezpieczeniową Geico.

To tyle, jeśli chodzi o wiadomości telewizyjne; poszybujmy teraz nad pewnymi wyludnionymi ulicami za kościół kongregacyjny i plebanię (tam spotkanie jeszcze się nie zaczęło, ale Piper już napełniła duży ekspres do kawy, a Julia robi kanapki w świetle syczącej lampy Coleman), za dom McCainów, otoczony smętnie zwisającą żółtą taśmą policyjną, w dół Town Common Hill za ratusz, który woźny Al Timmons i paru jego kolegów sprzątają i pucują w przygotowaniu do jutrzejszego nadzwyczajnego zgromadzenia mieszkańców, za War Memorial Plaza, gdzie posąg Luciena Calverta (pradziadka Norrie; na pewno nie muszę wam tego mówić) od dawien dawna pełni straż.

Po drodze zajrzyjmy do Barbiego i Ryżego, co? Nie będzie kłopotu, żeby dostać się na dół; w sali odpraw są tylko trzej policjanci, a Stacey Moggin, która ma dyżur, śpi z głową złożoną na przedramieniu. Reszta jest w supermarkecie Food City, gdzie Duży Jim nakręca ich swoim najnowszym przemówieniem, ale nawet gdyby tu byli, nic by to nie zmieniło, bo jesteśmy niewidzialni. Poczuliby najwyżej słaby podmuch, kiedy przelatyalibyśmy obok nich.

W pace niewiele jest do oglądania, bo nadzieja jest niewidzialna jak my. Dwaj więźniowie nie mają nic innego do roboty, jak tylko czekać na jutrzejszy wieczór i liczyć, że wszystko ułoży się po ich myśli. Ryżego boli dłoń, ale mniej niż się spodziewał, a obrzęk nie jest tak duży. Poza tym Stacey Moggin, złoto dziewczyna, niech Bóg ją błogosławi, koło

piątej przemyciła mu dwa excedriny.

Na razie ci dwaj mężczyźni - nasi bohaterowie, jak sądzę - siedzą na pryczach i grają w dwadzieścia pytań. Teraz kolej na Ryżego, żeby zgadywać.

- Istota żywa, roślina czy minerał? - pyta.

- Ani to, ani to, ani to - odpowiada Barbie.

- Jak to? Do jednej z tych kategorii musi się łąpać.

- Wcale nie - mówi Barbie. Myśli o Papie Smurfie.

- Kantujesz. - Nie.

- Na pewno.

- Nie marudź, tylko pytaj.

- Jakaś podpowiedz?

- Nie. To twoje pierwsze „nie”. Zostało ci jeszcze dziewiętnaście pytań.

- Zaraz, zaraz. To nie fair.

Zostawimy ich, żeby jakoś radzili sobie z brzemieniem następnych dwudziestu czterech godzin, dobrze? Sami zaś polećmy dalej, obok wciąż tłącej się góry popiołu, która została z redakcji „Democrata” (niestety, już niesłużącego „miasteczku w kształcie buta”), obok apteki Sandersa (osmalonej, ale wciąż stojącej, choć Andy Sanders już nigdy nie przestąpi jej progu), obok księgarni i kwaciarni Maison des Fleurs, w której wszystkie *fleurs* już zwiędły albo właśnie wędną. Omińmy dołem zgaszone światła na skrzyżowaniu sto dziewiętnastej i sto siedemnastej (potrącamy je; zatrzęsły się lekko, ale zaraz nieruchomieją) i przetnijmy parking przy Food City. Nie robimy nawet szmeru.

Wielkie witryny supermarketu zostały zabite sklejką zarekwirowaną w składzie drzewnym Tabby'ego Morrella, a Jack Cale i Ernie Calvert wytarli najbardziej zabrudzone miejsca, ale w Food City nadal panuje potworny bałagan, pudła i tekstylia leżą porozrzucane gdzie popadnie. Ocalałe towary (innymi słowy to, co nie trafiło do spiżarni w całym mieście albo na parking pojazdów służbowych za komisariatem) walają się bezładnie na półkach. Lodówki na zimne napoje, piwo i lody są zdemolowane. Śmierdzi rozlanym winem. Duży Jim Rennie chce, by ten pozostały po rozróbie chaos zobaczyli jego nowi - i w większości niezwykle młodzi - funkcjonariusze. Chce, by dotarło do nich, że tak wyglądać może całe miasto, i jest dość przebiegły, by wiedzieć, że nie musi mówić tego wprost. Zrozumieją przesłanie: tak to się kończy, kiedy pasterz zaniedbuje swoje obowiązki i trzoda wpada w panikę.

Czy musimy słuchać jego przemówienia? A gdzie tam. Posłuchamy Dużego Jima jutro wieczorem, to powinno wystarczyć. Zresztą wszyscy wiemy, co w tym przemówieniu jest -

demagogia i rock and roll to największe specjalności Ameryki. Jednego i drugiego nasłuchaliśmy się już wystarczająco.

Mimo to, zanim pójdziemy dalej, powinniśmy przyjrzeć się twarzom funkcjonariuszy. Zwróćcie uwagę, jak są zasłuchani, a potem przypomnijcie sobie, że wielu z obecnych (Carter Thibodeau, Mickey Wardlaw i Todd Wendlestat, że wymienię tylko trzech) to matoly, które w szkole co najmniej raz w tygodniu musiały zostawać w kozie za złe zachowanie na lekcji czy bójki w łazience. Rennie jednak ich zahipnotyzował. W rozmowach w cztery oczy zawsze radzi sobie kiepsko, ale kiedy stoi przed tłumem... fiu - fiu i siu - bi - du, jak mawiał stary Clayton Brassey, kiedy jeszcze miał kilka sprawnych szarych komórek na krzyż. Duży Jim mówi im o „cienkiej niebieskiej linii” i „dumie, jaką daje stanie ramię w ramię z kolegami z jednostki”, i że „to miasto na was liczy”. I różne inne teksty. Stare dobre teksty, które nigdy nie tracą uroku.

Zmienia temat. Teraz mówi o Barbiem. Wyjaśnia słuchaczom, że przyjaciele Barbiego wciąż gdzieś tam są, sieją zamęt i podburzają ludzi dla własnych niecznych celów. Zniżonym głosem dodaje:

- Będą mnie próbowali zdyskredytować, oczernić. Ich kłamstwom nie będzie końca.

Reakcją jest pomruk niezadowolenia.

- Będziecie słuchać tych kłamstw? Pozwolicie, żeby mnie zdyskredytowali? Pozwolicie, żeby to miasto zostało bez silnego przywódcy w godzinie najcięższej próby?

Odpowiedź może być tylko jedna: chóralne „nie!!!”. I choć Duży Jim mówi dalej (jak większość polityków wierzy, że rzeczywistość należy nie tylko upiększać, ale i przemalowywać), teraz już możemy go zostawić.

Podążmy wyludnionymi ulicami na plebanię kościoła kongregacyjnego. I patrzcie! Oto ktoś, komu możemy towarzyszyć - trzynastolatka w spranych džinsach i oldskulowym skateboardowym T - shircie Winged Ripper. Hardy dąs buntowniczkę, który wprawia jej matkę w rozpacz, tego wieczoru zniknął z twarzy Norrie Calvert. Zastąpił go wyraz zadziwienia, upodabniający ją do małej dziewczynki. Podążamy za jej spojrzeniem i widzimy duży, okrągły księżyc wynurzający się z chmur na wschód od miasta. Ma kolor i kształt świeżo przekrojonego różowego grejpfruta.

- O mój Boże! - szepcze Norrie. Z zaciśniętą w pięść dłońią między małymi wzgórkami piersi patrzy na ten przedziwny różowy księżyc. Potem idzie dalej, zdumiona, ale nie aż tak, by zapomnieć, że musi się od czasu do czasu rozglądać, by sprawdzić, czy nikt jej nie zauważył. Tak kazała Linda Everett - mieli przychodzić pojedynczo, nie rzucać się w oczy i dopilnować, by nikt ich nie śledził.

„To nie zabawa”, powiedziała im Linda. Jej blada, napięta twarz wywarła na Norrie większe wrażenie niż jej głos. „Jeśli nas złapią, nie poprzestaną na odebraniu nam punktów życia czy wykluczeniu nas z następnej kolejki. Młodzież rozumie?”.

„Mogę pójść z Joem?”, spytała wówczas pani McClatchey. Była prawie tak blada jak pani Everett.

Pani Everett potrząsnęła głową. „Zły pomysł”. I to zrobiło na Norrie największe wrażenie z tego wszystkiego. Nie, to nie zabawa, lecz sprawa życia lub śmierci.

Ach, oto i kościół, i przylegająca do niego plebania. Norrie widzi jasne białe światło lampy Coleman na tyłach, przy wejściu kuchennym. Wkrótce będzie w środku, poza zasięgiem wzroku tego strasznego różowego księżycy. Wkrótce będzie bezpieczna.

Tak właśnie sobie myśli, kiedy z najgłębszych ciemności wyłania się cień i chwyta ją za ramię.

17

Norrie była zbyt zaskoczona, by krzyknąć. Może to i dobrze, bo kiedy różowy księżyc oświetlił twarz człowieka, który ją zatrzymał, zobaczyła, że to Romeo Burpee.

- Wystraszył mnie pan na śmierć - szepnęła.

- Przepraszam. Stoję na czujce. - Rommie puścił ją i rozejrzał się wokół. - Gdzie posiałaś narzeczonych?

Uśmiechnęła się na to pytanie.

- Nie wiem. Mieliśmy przyjść pojedynczo, z różnych stron. Tak kazała pani Everett. - Spojrzała w dół wzgórza. - Zdaje się, że idzie mama Joego. Wejźmy do środka.

Poszli w stronę światła lampy. Drzwi plebanii były otwarte. Rommie zapukał lekko w bok osłaniającej je siatki przeciw owadom.

- Rommie Burpee z przyjaciółką - powiedział. - Jeśli jest jakieś hasło, nikt nam go nie poda.

Piper Libby wpuściła ich do środka. Spojrzała ze zdziwieniem na Norrie.

- A ty to kto?

- A niech mnie, toż to moja wnusia! - powiedział Ernie, który właśnie wszedł do pokoju. Miał szklanekę lemoniady w ręku i szeroki uśmiech na twarzy. - Chodź tu, dziecko. Stęskniłem się za tobą.

Norrie mocno go wyściskała i pocałowała. Nie spodziewała się, że tak szybko wypełni polecenie matki, ale zrobiła to z radością. No i jemu mogła wyznać coś, czego w obecności kumpli nie wyciągnęliby z niej nawet na torturach.

- Dziadziu, tak bardzo się boję.

- Jak my wszyscy, kwiatuszku. - Przytulił ją mocniej. - Nie wiem, co tu robisz, ale skoro już jesteś, może napijesz się lemoniady?

Norrie zobaczyła ekspres.

- Wolałabym kawę.

- Ja też - wtrąciła Piper. - Nasypałam kawy i już miałam go włączyć, kiedy przypomniało mi się, że nie mam prądu. - Lekko potrząsnęła głową, jakby po to, żeby oprzytomnieć. - W takich chwilach to mnie rozwała.

Ktoś zapukał do tylnych drzwi. Weszła Lissa Jamieson z wypiekami na twarzy.

- Schowałam rower w garażu wielebnej. Mam nadzieję, że wielebna nie ma nic przeciwko temu.

- Nie. A jeśli zawiążujemy tu przestępczy spisek, jak bez wątplenia stwierdziliby Rennie i Randolph, lepiej mów mi Piper.

18

Wszyscy przyszedli za wcześnie i Piper tuż po dziewiątej otworzyła zebranie Komitetu Rewolucyjnego Chester's Mill. Uderzyła ją nierówna reprezentacja płci: osiem kobiet i tylko czterech mężczyzn. Z tych czterech jeden w wieku emerytalnym, a dwaj za młodzi, by wejść do kina na film od lat osiemnastu. Piper musiała przypomnieć samej sobie, że setki armii partyzanckich z całego świata dawały broń do ręki kobietom i dzieciom nie starszym niż te tutaj. Co nie znaczyło, że tak należy robić, ale czasem to, co słuszne, kolidowało z tym, co konieczne.

- Chciałabym, żebyśmy na chwilę pochylili głowy - powiedziała.

- Ja nie będę się modlić, bo nie jestem już pewna, z kim właściwie rozmawiam, kiedy to robię. Wy jednak, być może, zechcecie powiedzieć parę słów Bogu, cokolwiek pod tym pojęciem rozumiecie, bo dziś potrzebna nam będzie wszelka pomoc.

Zrobili, o co prosiła. Niektórzy wciąż jeszcze mieli spuszczone głowy i zamknięte oczy, kiedy podniosła wzrok, by na nich spojrzeć: dwie dopiero co zwolnione policjantki, emerytowany kierownik supermarketu, naczelna nieistniejącej gazety, bibliotekarka, właścicielka lokalnej restauracji, kobieta rozłączona przez kłosz z mężem, bez przerwy kręcąca obrączką na palcu, miejscowy potentat handlu detalicznego i troje wyjątkowo poważnych dzieci ściśniętych na sofie, Zakończyła modlitwy:

- No już, amen. Zebranie poprowadzi Jackie Wettington, bo ona jedna wie, co robi.

- To za dużo powiedziane - odparła Jackie. - W dodatku przedwcześnie. Bo ja oddam

głos Joemu McClatcheyowi.

Joe bardzo się zdziwił. - Mnie?!

- Ale zanim zacznie - ciągnęła Jackie - poproszę jego przyjaciół, żeby stanęli na czujce. Norrie przed budynkiem, Benny na tyłach.

- Chcieli protestować, więc uniosła dłoń. - Nie chodzi o to, żeby was spławić. To naprawdę ważne zadanie. Nie muszę wam mówić, że byłoby niedobrze, gdyby moiżni tego miasta przyłapali nas na tajnym zebraniu. Wy dwoje jesteście najmniejsi. Znajdźcie ciemne miejsce i tam się przyczajcie. Jeśli zobaczycie kogoś, kto będzie wyglądał podejrzanie, lub nadjeżdżający radiowóz, klaśnijcie w dłonie, o tak. - Klasnęła raz, potem dwa razy, potem jeszcze raz. - Później wszystko wam zreferujemy, obiecuję. Od tej pory dzielimy się informacjami i nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Kiedy wyszli, Jackie zwróciła się do Joego.

- Opowiedz o tej skrzynce, o której mówiłeś Lindzie. Wszystko, od początku do końca.

Joe wstał jak uczeń wywołany do odpowiedzi i mówił dość długo.

- ... A potem wróciliśmy do miasta. I ten drań Rennie kazał aresztować Ryżego. - Otarł pot z czoła i usiadł z powrotem na kanapie.

Claire objęła go ramieniem.

- Joe uważa, że byłoby źle, gdyby Rennie dowiedział się o tej skrzynce - powiedziała. - Sądzi, że Rennie pewnie by chciał, by nadal robiła to, co robi, zamiast spróbować ją wyłączyć czy zniszczyć.

- Moim zdaniem ma rację - stwierdziła Jackie. - A zatem jej istnienie i lokalizacja to nasz pierwszy sekret.

- No nie wiem... - powiedział Joe.

- Co? - spytała Julia. - Uważasz, że powinien o niej wiedzieć?

- Może. Tak jakby. Muszę pomyśleć.

Jackie przeszła do następnego tematu, nie zadając chłopakowi więcej pytań.

- Druga sprawa. Chcę spróbować wyciągnąć Barbiego i Ryżego z aresztu. Jutro wieczorem, podczas zgromadzenia mieszkańców. To Barbie jest człowiekiem, którego prezydent wyznaczył na zarządzającego miastem...

- Każdy byłby lepszy od Renniego - burknął Ernle. - Niekompetentny sukinsyn! Myśli, że miasto do niego należy.

- W jednym jest dobry - stwierdziła Linda. - W wywoływaniu kłopotów, kiedy mu to pasuje. Burda w supermarkecie, pożar redakcji... myślę, że do jednego i drugiego doszło na

jego rozkaz.

- To oczywiste - przytaknęła Jackie. - Człowiek, który jest w stanie zabić własnego pastora...

Rose wybałuszyła na nią oczy.

- Twierdzisz, że Cogginsa zabił Rennie?

Jackie powiedziała im o pracowni w piwnicy domu pogrzebowego i o tym, że ślady na twarzy Cogginsa pasowały do złotej piłki baseballowej, którą Ryży widział w gabinecie Renniego. Słuchali z przerażeniem, ale bez niedowierzania.

- Dziewczyny też? - odezwała się Lissa Jamieson cichym, zatrwożonym głosem.

- O to podejrzewam jego syna. Te zabójstwa prawdopodobnie nie miały związku z machinacjami politycznymi Dużego Jima. Junior zasnął dziś rano. Nawiasem mówiąc, pod domem McCainów, gdzie ciała zostały znalezione. Przez niego.

- Co za zbieg okoliczności - skwitował Ernie.

- Jest w szpitalu. Ginny Tomlinson twierdzi, że to prawie na pewno nowotwór mózgu. Który może wywoływać agresywne zachowanie.

- Zabijali do spółki? Ojciec i syn? - Claire tuliła Joego mocno jak nigdy.

- Nie całkiem do spółki. Można powiedzieć, że mają te same gwałtowne skłonności. Zakodowane w genach, ujawniające się w stresie.

- Ale ciała były w jednym miejscu, co wyraźnie wskazuje, że jeśli morderców było dwóch, musieli ze sobą współpracować - stwierdziła Linda. - Z czego wynika, że mój mąż i Dale Barbara są prawie na pewno w rękach zabójcy, który wykorzystuje ich, żeby zmontować wielką teorię spisku. Jeśli jeszcze nie zginęli w areszcie, to tylko dlatego, że Rennie chce, by posłużyli za przykład dla innych. Chce ich publicznej egzekucji. - Zaciśnęła powieki, by powstrzymać łzy.

- Nie mogę uwierzyć, że tak daleko zaszedł - powiedziała Lissa. Trzymała w ręku krzyż ankh, który nosiła na szyi, i kręciła nim to w jedną, to w drugą stronę. - Na litość boską, przecież to sprzedawca używanych samochodów.

Nastała cisza.

Po dłuższej chwili przerwała ją Jackie.

- Teraz, kiedy zdradziłam wam, co z Lindą planujemy, to już jest prawdziwy spisek. Zagłosujemy. Kto chce w tym uczestniczyć, niech podniesie rękę. Ci, którzy tego nie zrobią, będą mogli wyjść, pod warunkiem że obiecują nie wygadać, o czym tu mówiliśmy. Czego i tak lepiej nie robić; jeśli nie powiecie, kto tu był i czego dotyczyła rozmowa, nie będziecie musieli tłumaczyć, skąd to wiecie. Narażamy się na niebezpieczeństwo. Możemy trafić za

kratki, może nas spotkać coś jeszcze gorszego. Dlatego proszę, kto chce zostać, ręka w górę.

Joe podniósł rękę pierwszy, ale Piper, Julia, Rose i Ernie Calvert nie pozostali daleko w tyle. Linda i Rommie zgłosili się jednocześnie.

Lissa spojrzała na Claire McClatchey. Claire westchnęła i skinęła głową. Obie podniosły dłonie.

- Brawo, mama! - ucieszył się Joe.

- Jeśli kiedykolwiek powiesz ojcu, w co ci się pozwoliłam wpakować - odparła - nie trzeba będzie Jamesa Renniego, żeby cię powiesić, Sama to zrobię.

19

- Linda nie może iść po nich na komisariat - powiedział Romeo Burpee.

- Jak nie ona, to kto? - zdziwiła się Jackie.

- Ty i ja, słonko. Linda pójdzie na zebranie. Gdzie będzie kilkaset osób, które w razie czego zeznają, że ją widziały.

- Czemu nie ja? - obruszyła się Linda. - Przecież tam trzymają mojego męża.

- Właśnie dlatego - powiedziała Julia po prostu.

- Jak chcesz to załatwić? - spytał Rommie, zwracając się do Jackie.

- Cóż, proponuję, żebyśmy założyli maski...

- No coś ty! Takie? - Rose zrobiła groteskowo złą minę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Dobrze się składa - oznajmił Rommie. - W sklepie mam spory wybór masek na Halloween.

- Może będę Małą Syrenką - powiedziała Jackie, lekko rozmarzona. Zorientowała się, że wszyscy na nią patrzą, i spiekła raka. - Zresztą wszystko jedno. Tak czy owak będzie nam potrzebna broń. Mam w domu zapasową berettę. Ty coś masz, Rommie?

- Zabunkrowałem kilka karabinów i strzelb w sklepowym sejfie. Co najmniej jeden z lunetą. Przyznam, nie myślałem, że przydadzą się właśnie do tego, ale że się przydadzą, to wiedziałem.

- Będzie wam też potrzebny samochód - odezwał się Joe. - I nie twoja furgonetka, Rommie, bo wszyscy ją znają.

Ernie miał pomysł.

- Weźmy wóz z komisji Jima Renniego. Trzyma tam kilka furgonetek z dużym przebiegiem, które wiosną odkupił od firmy telekomunikacyjnej. Stoją daleko z tyłu. Jeśli skorzystamy z jego samochodu, to, jak to się mówi, sprawiedliwości stanie się zadość.

- A kluczyki skąd weźmiesz? - spytał Rommie. - Włamiesz się do jego gabinetu w komisie?

- Jeśli wybierzemy wóz bez elektronicznego zapłonu, mogę go odpalić, zwierając kable na krótko. - Ernie łypnął spode łba na Joego i dodał: - Wolałbym, abyś nie mówił tego mojej wnuczce, młody człowieku.

Joe udał, że zapina sobie usta na suwak, i wszyscy znów się roześmiali.

- Nadzwyczajne zebranie mieszkańców zaczyna się jutro o siódmej wieczorem - powiedziała Jackie. - Jeśli pójdziemy na komisariat koło ósmej...

- Skoro muszę iść na to cholerne zebranie - wtrąciła Linda - mogę się na coś przydać. Włożę sukienkę z dużymi kieszeniami i wezmę policyjną krótkofalówkę... tę zapasową, która została w moim prywatnym samochodzie. Wy będziecie czekać w furgonetce na mój sygnał.

Do pokoju wkradało się napięcie, wszyscy to czuli. Ich plany zaczynały stawać się realne.

- Poczekamy na rampie załadowniczej za moim sklepem - rzucił Rommie Burpee. - Gdzie nikt nas nie będzie widział.

- Jak już Rennie zacznie się produkować na dobre - mówiła dalej Linda - kliknę trzy razy krótkofalówką. To będzie dla was sygnał, żebyście ruszali.

- Ilu policjantów będzie w komisariacie? - spytała Lissa.

- Spróbuję się tego dowiedzieć od Stacey Moggin - powiedziała Jackie - ale raczej niewiele. Bo i co mieliby tam robić? Duży Jim jest przekonany, że nie ma żadnych prawdziwych przyjaciół Barbiego, tylko ci, których sam wymyślił.

- Poza tym będzie chciał dopilnować, żeby jego delikatna pupcia była dobrze chroniona - dokończyła Julia złośliwie.

Część osób się zaśmiała, ale matka Joego wyglądała na głęboko zaniepokojoną.

- Mimo wszystko kilku ich tam będzie. A jeśli stawią opór? - Nie zrobią tego - powiedziała Jackie. - Pozamykamy ich w celach, zanim skojarzą, co się dzieje. - A gdyby jednak?

- To postaramy się ich nie zabić. - Linda mówiła spokojnie, ale oczy miała jak stworzenie, które zebrało całą odwagę w ostatniej desperackiej próbie ocalenia własnego życia. - Jeśli klosz zostanie na dłużej, i tak wielu ludzi zginie. Egzekucja Barbiego i mojego męża na War Memorial Plaza to będzie dopiero początek.

- Przypuścimy, że ich uwolnicie. Gdzie ich zabierzecie? - spytała Julia. - Tutaj?

- Wykluczone! - Piper dotknęła swoich wciąż opuchniętych ust. - Ja już jestem na czarnej liście Renniego. I tego typu, co teraz robi za jego osobistego ochroniarza, Thibodeau.

Mój pies go pogryzł.

- Okolica centrum raczej odpada - zastanawiała się Rose. - Mogliby przeszukać wszystkie domy. Mają wystarczająco dużo glin.

- A do tego ludzi z niebieskimi opaskami - dodał Rommie.

- Do któregoś z domków letniskowych nad jeziorem? - spytała Julia.

- Można by - powiedział Ernie - ale o tym też mogą pomyśleć.

- Jednak to może być najlepsze rozwiązanie - stwierdziła Lissa.

- Panie Burpee, ma pan jeszcze te rolki blachy ołowianej? - spytał Joe.

- Jasne, całe mnóstwo. I mów mi Rommie.

- Jeśli pan Calvert jutro ukradnie furgonetkę, mógłby pan po kryjomu wjechać nią za swój sklep i wrzucić na tył kilka wyciętych kawałków blachy? Dość dużych, żeby dało się nimi zasłonić okna?

- Chyba tak...

Joe spojrzał na Jackie.

- A czy mogłaby się pani skontaktować z pułkownikiem Coksem, gdyby to było konieczne?

- Tak - odpowiedziały Jackie i Julia jednocześnie, po czym spojrzały na siebie zaskoczone.

Rommie plasnął się ręką w czoło.

- Myślisz o starym domu McCoyów, zgadza się? Na Black Ridge. Tam, gdzie jest skrzynka.

- Uhm. Może to zły pomysł, ale gdybyśmy wszyscy musieli uciekać... gdybyśmy byli tam razem, moglibyśmy bronić skrzynki. Wiem, to wydaje się zwariowane, bo w końcu ona jest źródłem wszystkich problemów, ale nie możemy pozwolić, żeby dorwał się do niej Ren - nie.

- Mam nadzieję, że nie skończy się to powtórką z Alamo w sadzie jabłoniowym - powiedział Rommie - ale rozumiem i pochwalam twój pomysł.

- Jest coś jeszcze, co moglibyśmy zrobić - dodał Joe. - To trochę ryzykowne i może nic z tego nie wyjść, ale...

- Wal! - Julia patrzyła na Joego McClatcheya ze zdumieniem i podziwem.

- Cóż... Rommie, czy licznik Geigera nadal jest w twojej furgonetce?

- Chyba tak.

- Może ktoś mógłby go odnieść do schronu przeciwiatomowego. - Joe odwrócił się do Jackie i Lindy. - Czy któraś z was mogłaby się tam dostać? Wiem, że was zwolnili, ale...

- Al Timmons chyba nas wpuści - powiedziała Linda. - A Stacey Moggins wpuściłby na pewno. Stacey jest z nami. Nie ma jej tu tylko dlatego, że jest na służbie. Po co tak ryzykować, Joe?

- Bo... - Mówił powoli, zupełnie jak nie on, ważąc każde słowo. - Cóż... tam jest promieniowanie, rozumiecie? Szkodliwe promieniowanie. To tylko taki pas... założę się, że można go przebyć bez żadnych zabezpieczeń i nie stanie się nic złego, pod warunkiem że człowiek jechałby szybko i nie robił tego za często... ale oni tego nie wiedzą. W ogóle nie mają pojęcia, że tam jest promieniowanie. A nie wykryją go bez licznika Geigera.

Jackie się zasepiła.

- Fajny pomysł, chłopcze, ale wolałabym nie dawać Renniemu do zrozumienia, dokąd się wybieramy. To jakoś nie pasuje do mojego wyobrażenia o bezpiecznej kryjówce.

- To nie musiałyby być tak. - Joe nadal mówił wolno, szukając luk w swoim rozumowaniu. - To znaczy nie do końca. Jedna z was mogłaby skontaktować się z Coksem. Kazać mu zadzwonić do Renniego z informacją, że wykryli promieniowanie miejscowe. Niech Cox powie coś w stylu: „Nie możemy wskazać, gdzie dokładnie, bo pojawia się i znika, ale jest dość wysokie, może nawet zagraża życiu, więc uważajcie. Nie macie tam aby licznika Geigera?”.

Długo myśleli o tym w ciszy. Wreszcie Rommie powiedział:

- Zabierzemy Barbarę i Ryżego na farmę McCoyów. Sami też tam uciekniemy, jeśli będziemy musieli. A kiedy oni spróbują się tam dostać...

- Wykryją licznikiem Geigera skok promieniowania i zwieją do miasta, osłaniając rękami swoje nic niewarte gonady - wychrypiął Ernie. - Claire McClatchey, masz w domu geniusza.

Claire mocno uściskała Joego, tym razem obiema rękami.

- Żeby tak jeszcze sprzątał swój pokój! - westchnęła.

20

Horace leżał na dywaniku w salonie Andrei Grinnell z pyskiem na łapie i ślepiami utkwionymi w kobiecie, z którą zostawiła go jego pani. Julia zwykle wszędzie zabierała go ze sobą; był spokojny i grzeczny, nawet gdy widział kota, choć kotów nie lubił, bo śmierdziały chwastami. Tego wieczoru jednak Julię tknęło, że jego widok mógłby być bolesny dla Piper Libby, która dopiero co straciła własnego psa. Pomyślała, że Andi polubiła Horace'a i może przy nim łatwiej zapomni o objawach głodu narkotykowego, które złagodniały, ale nie minęły.

Przez jakiś czas to się sprawdzało. Andi znalazła gumową piłkę w pudełku z zabawkami swojego jedyne go wnuka (który z zabawek tych dawno wyrósł). Horace posłusznie uganiał się za piłką i przynosił ją w zębach, tak jak wypada posłusznemu psu, choć nie było to dla niego wielkie wyzwanie; wolał łapać piłki w locie. Ale praca to praca, sumiennie ją wykonywał dotąd, aż Andi zaczęła dygotać, jakby zrobiło jej się zimno.

- Cholera, znowu mnie bierze!

Położyła się na kanapie, drżąc na całym ciele. Przycisnęła do piersi jasiak i wbiła wzrok w sufit. Wkrótce zaczęła szczekać zębami. Ten dźwięk bardzo denerwował Horace'a.

Przyniósł jej piłkę w nadziei, że tym ją zabawi, ale go odepchnęła.

- Nie, kochanie, nie teraz. Daj mi to przecierpieć.

Horace zaniósł piłkę przed zgaszony telewizor i położył się. Dygotanie kobiety złagodniało, a wraz z nim osłabł zapach choroby. Jej ściskające jasiak ramiona stopniowo się rozluźniały, wreszcie zasnęła.

Co znaczyło, że pora coś przekąsić.

Horace znów wśliznął się pod stół i przeszedł po kopercie z wydrukiem pliku VADER. Za nią była popcornowa nirwana. O szczęście niepojęte!

Wciąż pałaszował, wywijając pozbawionym ogona zadem w niemal ekstatycznej rozkoszy (porozrzucane kawałki były niewiarygodnie maślane, niewiarygodnie słone i - co najlepsze - leciutko zjełczałe), kiedy znów przemówił ten martwy głos.

Zanieś jej to.

Przecież nie mógł. Pani nie było.

Tej drugiej.

Martwy głos nie tolerował sprzeciwu, a poza tym popcorn już prawie się skończył. Horace zostawił sobie kilka kawałków na później, po czym cofnął się, aż koperta znalazła się przed nim. W pierwszej chwili zapomniał, co miał zrobić. Zaraz jednak mu się przypomniało i wziął ją w zęby.

Dobry piesek.

Coś zimnego dotknęło Andrei policzka. Odepchnęła to i przewróciła się na drugi bok. Już uciekała z powrotem w objęcia uzdrawiającego snu, gdy nagle usłyszała szczeknięcie.

- Cicho bądź, Horace! - Nakryła głowę jaśkiem.

Rozległo się następne szczeknięcie, po czym na jej nogach wylądowało siedemnaście kilo psa.

- Au! - krzyknęła Andi i usiadła prosto. Zobaczyła przed sobą dwoje świecących orzechowych ślepi i radośnie wyszczerzony lisi pyszczek. Coś ten radosny grymas przecinało. Duża koperta. Horace upuścił ją i zeskoczył na podłogę. Miał zakaz wchodzenia na cudze meble, ale tym razem, sądząc z tego, co mówił martwy głos, sprawa była pilna.

Andrea podniosła kopertę naznaczoną wgnieceniami od ostrych zębów Horace'a i słabymi śladami jego łap. Strzepnęła przyklejony do niej kawałek popcornu. Z przodu widniały wypisane drukowanymi literami słowa PLIK VADER. A pod spodem, też drukowanymi literami: JULIA SHUMWAY.

- Horace, skąd to masz?

Oczywiście nie mógł jej odpowiedzieć, ale nie musiał. Kawałek popcornu zrobił to za niego. Wtedy powróciło wspomnienie, mgliste i nierzeczywiste jak sen. A może to był sen? Czy Brenda Perkins naprawdę przyszła do niej po tej pierwszej strasznej nocy po odstawieniu leków? Wtedy, kiedy na drugim końcu miasta ludzie plądrowali supermarket?

„Czy mogłabyś mi to przechować, skarbie? Dosłownie pół godzinki? Muszę załatwić pewną sprawę, nie chcę tego nosić ze sobą”.

- Była tu - powiedziała do Horace'a - i miała tę kopertę. Ja ją wzięłam... tak mi się wydaje... ale potem musiałam wymiotować. Którys już raz. Chyba rzuciłam ją na stolik, kiedy biegłam do ubikacji. Spadła? Znalazłeś ją na podłodze?

Horace szczechnął głośno. Może w ten sposób przytaknął; a może chciał powiedzieć: „To ja już mogę się bawić piłką, jak chcesz”.

- Cóż, dzięki. Dobry piesek. Dam to Julii, jak tylko wróci.

Andrea nie była już senna ani nie drżała. Brenda została zamordowana. Musiało się to stać zaraz po tym, jak zostawiła tu tę kopertę. Co mogło znaczyć, że jest w niej coś ważnego.

- Tak tylko zerknę, zgoda? - powiedziała.

Horace znów szczechnął. Andi Grinnell odebrała to jako „Czemu nie?”.

Otworzyła kopertę i większość tajemnic Dużego Jima wysypała jej się na kolana.

22

Claire wróciła do domu pierwsza. Następny zjawił się Benny, po nim Norrie. Siedzieli we troje na ganku McClatcheyów, kiedy przyszedł Joe, skradając się przez trawniki w ciemności. Benny i Norrie pili ciepłe napoje gazowane. Claire sączyła z butelki piwo męża, bujając się na huśtawce na ganku. Joe usiadł obok niej i objęła ramieniem jego kościste barki. Jest delikatny, pomyślała. Nie zdaje sobie z tego sprawy, ale tak jest. Ot, ptaszyna.

- Zaczynaliśmy się o ciebie martwić, facet. - Benny otworzył mu butelkę z napojem.

- Pani Shumway miała jeszcze kilka pytań o skrzynkę - wyjaśnił Joe. - Nie na wszystkie umiałem odpowiedzieć. Rany, ciepło na dworze, nie? Jak w letnią noc. - Spojrzał w niebo. - I obczajcie ten księżyc.

- Nie chcę. - Norrie się wzdrygnęła. - Jest straszny.

- Dobrze się czujesz, Joe? - spytała Claire.

- Tak, mam. A ty? Uśmiechnęła się.

- Nie wiem. Czy to się uda? Jak myślicie? Pytam serio.

Przez chwilę milczeli, a to przeraziło ją najbardziej ze wszystkiego. Wreszcie Joe cmoknął ją w policzek i powiedział:

- Uda się.

- Jesteś pewien? - Uhm.

Zawsze potrafiła poznać, kiedy kłamał - choć wiedziała, że tę umiejętność straci, gdy syn będzie starszy - ale tym razem mu tego nie wytknęła. Pocałowała go. Jej oddech był ciepły i przez to, że pachniał piwem, jakiś taki ojcowski.

- Byle nie było rozlewu krwi.

- Nie będzie - powiedział Joe. Znowu się uśmiechnęła.

- Dobra, to mi wystarczy.

Jeszcze czas jakiś siedzieli w ciemności i prawie się do siebie nie odzywali. Potem weszli do domu, pozostawiając miasto uśpione pod różowym księżycem.

Było tuż po północy.

WSZĘDZIE KREW

1

Było wpół do pierwszej w nocy z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty października, kiedy Julia weszła do domu Andrei. Zrobiła to po cichu, niepotrzebnie, jak się okazało, usłyszała bowiem muzykę płynącą z małego przenośnego radia Andi. Staples Singers radośnie zagrzewali wiernych pieśnią „Get Right Church”.

Horace nadszedł korytarzem, żeby ją powitać, wywijając zadem i szczerząc kły w tym lekko szalonym uśmiechu, do jakiego zdolne są chyba tylko welsh corgi. Oddał jej pokłon na rozstawionych łapach i Julia poskrobała go za uszami - to było jego czule miejsce.

Andrea siedziała na kanapie i piła herbatę.

- Przepraszam za tę muzykę - powiedziała i ściszyła radio. - Nie mogłam zasnąć.

- To twój dom, kochana - odparła Julia. - A jak na WCIK, nieźle dają czadu.

- Teraz leci tylko skoczne gospel. Czuję się, jakbym wygrała na loterii. Jak spotkanie?

- W porządku. - Julia usiadła.

- Chcesz o tym pogadać?

- Po co ci następne zmartwienie? Myśl lepiej o swoim zdrowiu. I wiesz co? Wyglądasz już lepiej.

Mówiła prawdę. Andrea wciąż była blada i dużo za chuda, ale ciemne kręgi pod jej oczami lekko przyblakły, a w samych oczach pojawił się niewidziany dotąd blask.

- Dzięki, że tak mówisz.

- Horace był grzeczny?

- Bardzo. Bawiliśmy się piłką, potem oboje się trochę zdrzemnęliśmy. Jeśli wyglądam lepiej, to pewnie dlatego. Nic tak nie poprawia urody jak drzemka.

- A jak twoje plecy?

Andi się uśmiechnęła. Był to dziwnie znaczący uśmiech, praktycznie pozbawiony wesołości.

- Nie najgorzej. Nie strzyka, nawet jak się schylam. Wiesz co? Myślę sobie, że ciało i umysł lekomana są współpiskowcami. Jeśli mózg chce prochów, ciało mu pomaga. Mówi: „Nie przejmuj się, nie miej wyrzutów sumienia, wszystko w porządku, ja naprawdę cierpię”. To właściwie nie jest hipochondria ani nic tak prostego. Tylko... - Urwała i jej oczy nabrały nieobecnego spojrzenia, jakby myślami znalazła się gdzieś daleko.

Gdzie? - zastanawiała się Julia.

Gdziekolwiek to było, Andi zaraz stamtąd wróciła.

- Ludzka natura potrafi być destrukcyjna. Powiedz, czy zgodzisz się, że miasto jest jak żywy organizm?

- Tak - odparła Julia bez wahania.

- I czy ten organizm może mówić, że odczuwa ból, by mózg mógł brać narkotyki, których pragnie?

Julia przemyślała to i skinęła głową. - Tak.

- A w tej chwili mózgiem tego miasta jest Duży Jim, prawda?

- Tak, kochana. Można tak to określić.

Andrea usiadła na kanapie z lekko spuszczoną głową. Wyłączyła małe radio na baterie i wstała.

- Pójdę już spać. Chyba nawet zasnę.

- To dobrze. - A potem, z powodu, którego nie potrafiłaby wyjaśnić, Julia spytała: - Andi, czy coś się stało, kiedy mnie nie było?

Andrea zrobiła zdziwioną minę.

- Ależ tak. Bawiliśmy się z Horace'em piłką. - Schyliła się bez najmniejszego grymasu bólu, choć jeszcze przed tygodniem twierdziłaby, że nie jest w stanie tego zrobić, i wyciągnęła rękę. Horace podszedł i dał się pogłaskać. - Świetnie aportuje.

2

Już w swoim pokoju Andrea usiadła na łóżku, otworzyła kopertę z wydrukiem i zaczęła czytać od nowa. Tym razem z większą uwagą. Kiedy w końcu schowała kartki z powrotem do koperty, była prawie druga w nocy. Włożyła kopertę do szuflady stolika przy łóżku. W szufladzie był też pistolet kalibru .38, który przed dwoma laty dostała na urodziny od Douga. Ten prezent ją wtedy przeraził, ale brat upierał się, że samotna kobieta musi mieć się czym bronić.

Teraz wyjęła go, otworzyła bębenek i sprawdziła komory. Ta, która wskoczy pod kurek przy pierwszym naciśnięciu spustu, była pusta, zgodnie z instrukcjami Twitcha. Pięć pozostałych było pełne. Na górnej półce w szafie miała więcej nabojów, ale i tak nie zdąży przeładować. Do tego czasu mała armia gliniarzy już ją zastrzeli.

Poza tym, jeśli pięć strzałów jej nie wystarczy, żeby zabić Renniego, pewnie i tak nie zasługiwała na to, żeby żyć.

- W końcu po co odstawiłam prochy? - mruknęła, odkładając pistolet z powrotem do

szuflady. Teraz, kiedy nie miała mózgu zamulonego oksykodonem, odpowiedź wydawała jej się oczywista: po to, żeby we właściwym momencie nie zadrżała jej ręka. - Amen - powiedziała i zgasiła światło.

Pięć minut później już spała.

3

Junior był całkowicie rozbudzony. Siedział przy oknie na jedynym krześle w szpitalnej sali i patrzył, jak dziwny różowy księżyc opada i znika za czarną plamą na kopule. Tę plamę widział po raz pierwszy. Była większa i ulokowana dużo wyżej niż ślady po nieudanych atakach raketowych. Czyżby w czasie, kiedy leżał nieprzytomny, znowu próbowali rozbić klosz? Właściwie nic go to nie obchodziło. Wiedział, że kopuła wciąż stoi, bo w przeciwnym razie miasto byłoby rozświetlone jak Vegas i pełne żołnierzy. Och, tu i tam paliły się pojedyncze światła, wskazujące domy cierpiących na nieuleczalną bezsenność, ale większość Chester's Mill spała głęboko. A to dobrze, bo Junior musiał pomyśleć o pewnych sprawach.

A ściśle - o Baaarbiem i jego przyjaciółach.

Juniora nie bolała głowa, kiedy siedział przy oknie, wróciła mu też pamięć, ale świadom był, że jest bardzo chory. Całą lewą stronę ciała ogarniała podejrzana słabość, a z lewego kącika ust co jakiś czas ciekła mu ślina. Kiedy ocierał ją lewą ręką, czasem czuł dotyk na skórze, czasem nie. W dodatku po lewej stronie jego pola widzenia wisiała duża ciemna plama w kształcie dziurki od klucza. Jakby coś się zerwało w tej gałce ocznej. I pewnie tak się stało.

Pamiętał dziki szal, jaki czuł w Dniu Klosza. Pamiętał, jak gonił Angie korytarzem do kuchni, jak rzucił ją na lodówkę, kopnął w twarz. Pamiętał dźwięk, jaki temu towarzyszył - jakby pod oczami miała porcelanowy talerz, który roztrzaskał swoim kopniakiem. Ten szal minął. Zastąpiła go jedwabista wściekłość, która wsączała się do jego żył z niewyczerpanego źródła w głębi jego głowy.

Ten stary pierdziel, którego z Frankiem wyciągnęli z wyra nad jeziorem, przyszedł wieczorem, żeby go zbadać. Zachowywał się profesjonalnie, zmierzył mu temperaturę i ciśnienie, spytał, czy boli go głowa, nawet sprawdził gumowym młoteczką odruch kolanowy. Potem, kiedy wyszedł, Junior usłyszał rozmowę i śmiechy. Padło nazwisko Barbiego. Junior podkraść się do drzwi.

To był stary pierdziel i jedna z wolontariuszek, ta ładna Latynoska, co nazywała się Buffalo czy jakoś tak. Miała rozpiętą bluzkę i pierdziel miętolił jej cycki. Ona trzymała rękę w jego rozporku i waliła mu konia. Otaczała ich zjadliwie zielona poświata.

- Junior i jego kumpel mnie pobili - mówił stary pierdziel - ale teraz jego kumpel nie żyje i on też niedługo zdechnie. Na rozkaz Barbiego.

- Lubię obciągać Barbiemu, bo jego fiut jest słodki jak miód - powiedziała ta Buffalo, a stary pierdziel odparł, że on też. Potem, kiedy Junior zamrugał oczami, ci dwoje już tylko szli korytarzem. Nie było żadnej zielonej poświaty, żadnych świstów. Czyli może to mu się tylko przywidziało. A może nie. Jedno było pewne: wszyscy tkwili w tym po uszy. Wszyscy trzymali z Barbiem. A Barbie niby siedział w areszcie, ale tylko chwilowo. Pewnie po to, żeby zaskarbić sobie sympatię. Wszystko to część plaaanu Baaarbiego. Poza tym myślał, że w areszcie jest poza zasięgiem Juniora.

- Błąd - szepnął Junior, siedząc przy oknie, wpatrzony w noc szwankującym wzrokiem. - Duży błąd.

Świetnie wiedział, co mu jest. Nagle doznał olśnienia i wszystko stało się jasne. I niezaprzeczalnie logiczne. Cierpiał na zatrucie talem, jak ten Rosjanin w Anglii. Nieśmiertelniki Barbiego były pokryte warstwą pyłu talowego, Junior ich dotknął i teraz przez to umierał. A ponieważ do mieszkania Barbiego wysłał go ojciec, to znaczyło, że on też był w to zamieszany. Był kolejnym... jak się na takich mówi...

- Fagasem - szepnął Junior. - Tylko jednym z wielu fugasów - chrustasów Baaarbiego.

Kiedy tak się nad tym zastanowić - i jeśli miało się jasny umysł - to było doskonale logiczne. Ojciec chciał zapewnić sobie jego milczenie w sprawie Cogginsa i Perkins. Stąd zatrucie talem. Wszystko trzymało się kupy.

Przez parking za trawnikiem przebiegł wilk, sadił wielkie susy. Na trawniku leżały dwie nagie kobiety splecione w pozycji sześćdziesiąt dziewięć. „Sześć, dziewięć! Dziewięć, sześć! Ty i ja mamy co jeść!” - wdali z Frankiem, kiedy byli mali i widzieli dwie dziewczyny idące razem. Nie rozumieli, co to znaczy, wiedzieli tylko, że to nieprzyzwoite. Jedna z pizdolizek wyglądała jak Sammy Bushey. Pielęgniarka - Ginny, tak miała na imię - mówiła mu, że Sammy nie żyje, co, jak widać, było kłamstwem i oznaczało, że Ginny też należy do spisku; spisku Baaarbiego.

Jest w tym mieście ktoś, kto w nim nie uczestniczy? Ktoś, kogo Junior mógłby być pewny?

Tak, uprzytomnił sobie, dwoje takich ktosów. Dzieci, które znaleźli z Frankiem na brzegu jeziora, Alice i Aidan Appletonowie. Pamiętał ich wystraszone oczy, pamiętał, jak dziewczynka przytuliła się do niego, kiedy wziął ją na ręce. Gdy powiedział, że teraz już jest bezpieczna i nic złego się nie stanie, spytała: „Obiecujesz?”. Wtedy przytaknął. Przyjemnie było to obiecać. I czuć ciężar tego wtulonego weń, ufego dziecka.

Nagle podjął decyzję. Zabije Dale'a Barbarę. I każdego, kto zechce mu w tym przeszkodzić. A potem znajdzie swojego ojca i jego też zabije... o czym marzył od lat, choć aż do teraz nigdy w pełni się do tego przed sobą nie przyznał.

Gdy to załatwi, odszuka Aidana i Alice. Zabije każdego, kto spróbuje go powstrzymać. Zabierze dzieci z powrotem nad Chester Pond i zaopiekuje się nimi. Dotrzyma słowa danego Alice. Jeśli to zrobi, nie umrze. Dopóki będzie się zajmował tymi dziećmiakami, Bóg nie da mu umrzeć od zatrucia talem.

Teraz po trawniku płaśały Angie McCain i Dodee Sanders, ubrane w spódniczki cheerleaderek i swetry z dużymi W, symbolami Mills Wildcats, na piersi. Widząc, że Junior na nie patrzy, zaczęły kręcić biodrami i zadzierać spódniczki. Ich twarze rozlewały się i trzęsły pod wpływem rozkładu. Skandowały: „Do spizarki zapraszamy! Tam się znowu pobzykamy! Do boju... nasi!”.

Junior zamknął oczy. Otworzył. Jego dziewczyny zniknęły. Kolejne przywidzenie, jak ten wilk. Co do tych lasek w pozycji sześćdziesiąt dziewięć nie był pewny.

Może jednak nie zabierze dzieci nad jezioro. To dość daleko od miasta. Może zamiast tego zaprowadzi je do spizarki McCainów. To bliżej. I dużo tam jedzenia.

No i, oczywiście, było tam ciemno.

- Zaopiekuję się wami, dzieciaki - powiedział. - Będę was chronił. Po śmierci Barbiego cały spisek się rozpadnie. Po chwili oparł czoło o szybę i też zasnął.

4

Henrietta Clavard nie połamala się, ale posiniaczony tyłek bolał jak skurczybyk - w wieku osiemdziesięciu czterech lat, jak się przekonała, wszystko, co człowiekowi nawala, boli jak skurczybyk - i w pierwszej chwili myślała, że właśnie ból tyłka obudził ją o świcie w ten czwartkowy poranek. Jednak tylenol, który wzięła o trzeciej nad ranem, wciąż działał. Zresztą przed snem znalazła krążek z pianki, który jej świętej pamięci mąż podkładał sobie pod tyłek (John Clavard miał hemoroidy), i to bardzo pomogło. Nie, co innego musiało wyrwać ją ze snu.

Po chwili zorientowała się, że wyje Buddy, seter irlandzki Freemanów. Nigdy nie wył. Był najgrzeczniejszym psem na Battle Street, krótkiej uliczce zaraz za Catherine Russell Drive. Poza tym generator Freemanów stanął. Henrietta pomyślała, że chyba właśnie to ją obudziło, nie pies. Z pewnością generator uśpił ją wieczorem. Nie hałasował jak inne, nie wyrzucał w powietrze kłębow niebieskiego dymu; wydawał tylko cichy, stonowany pomruk, który - o dziwo - brzmiał kojąco. Musiał dużo kosztować, myślała Henrietta, ale Freemanowie

mogli sobie pozwolić na taki wydatek. Will był właścicielem salonu Toyoty, na który Duży Jim Rennie miał kiedyś chrapkę, i choć dla większości dealerów samochodowych przyszły ciężkie czasy, Will zawsze wydawał się wyjątkiem od reguły. Zaledwie rok temu on i Lois dobudowali do domu gustowny aneks.

Ale ten skowyt... Zupełnie jakby tego psa coś bolało. Tacy mili ludzie jak Freemanowie na pewno od razu zajęliby się cierpiącym zwierzakiem... czemu więc tego nie robią?

Henrietta wstała z łóżka (krzywiąc się z lekka, kiedy jej tyłek wysunął się z wygodnego otworu w krążku z pianki) i podeszła do okna. Doskonale widziała dwupoziomowy dom Freemanów, choć światło było szare i anemiczne, nie ostre i czyste, jak to zazwyczaj bywało w poranki pod koniec października. Przy oknie słyszała Buddy'ego jeszcze wyraźniej, ale nie widziała żywej duszy. W domu było ciemno. Wydawałoby się, że Freemanowie wyjechali, ale oba samochody stały przed domem. Zresztą dokąd mieliby wyjechać?

Buddy nadal wył.

Henrietta włożyła podomkę i kapcie i wyszła na zewnątrz. Kiedy stała na chodniku, podjechał samochód. To był Douglas Twitchell, na pewno w drodze do szpitala. Wsiadł. Miał napuchnięte oczy, w rękę ścisnął kartonowy kubek kawy z logo Sweetbriar Rose z boku.

- Wszystko w porządku, pani Clavard?

- U mnie tak, ale u Freemanów coś się stało. Słyszysz to? - Uhm.

- Czyli oni też to słyszą. Czemu nic nie robią? Ich samochody stoją pod domem...

- Sprawdzę. - Twitch napił się kawy i postawił ją na masce auta.

- Proszę tu zostać.

- Nonsens - powiedziała Henrietta Clavard.

Przeszli jakieś dwadzieścia metrów chodnikiem i skręcili na podjazd Freemanów. Pies wył i wył. Henriecie zimno się robiło od tego skowytu, choć poranek był ciepły.

- Śmierdzi jak w Rumford, kiedy byłam świeżo po ślubie i wszystkie papiernie jeszcze pracowały - powiedziała. - To nie może być zdrowe.

Twitch burknął coś i wcisnął dzwonek Freemanów. Kiedy nie było odpowiedzi, najpierw zapukał, potem załomotał do drzwi.

- Zobacz, czy są otwarte - powiedziała Henrietta.

- Nie wiem, czy powinienem...

- Oj tam, banialuki. - Przepisnęła się obok niego i przekręciła gałkę. Drzwi ustąpiły. Dom za nimi był cichy i pełny głębokich cieni.

- Will! - zawołała. - Lois! Jesteście?

Jedyną odpowiedzią był następny skowyt.

- Pies wyje za domem - zorientował się Twitch.

Szybciej byłoby przejść przez dom, ale żadne z nich nie chciało tego zrobić, więc wybrali dłuższą drogę - podjazdem, a potem przez wiatę między domem i garażem, w którym Will trzymał nie samochody, lecz swoje zabawki: dwa skutery śnieżne, quada, motor terenowy Yamaha i wypasiona hondę gold wing.

Podwórze Freemanów otaczał wysoki płot. Furtka była za wiatą. Twitch otworzył ją i natychmiast wpadło na niego trzydzieści kilka kilo oszalałego setera. Krzyknął z zaskoczenia i osłonił się rękami, ale pies nie chciał go pogryźć. Buddy całym sobą błagał o ratunek.

Oparł się łapami o ostatni czysty fartuch Twitcha, brudząc go ziemią.

- Przestań! - krzyknął Twitch. Odepchnął Buddy'ego, który spadł na ziemię, ale zaraz podskoczył znowu, zostawiając świeże ślady na fartuchu i oblizując mu policzki długim różowym językiem.

- Buddy, siad! - zakomenderowała Henrietta i Buddy natychmiast przycupnął na ziemi, skamląc i tocząc ślepiami po ich twarzach. Pod nim zaczęła się rozlewać kałuża moczu.

- Pani Clavard, to nie wygląda dobrze.

- Fakt - przytaknęła Henrietta.

- Może niech pani lepiej zostanie z psem...

Henrietta raz jeszcze powiedziała, że to nonsens, i wmaszerowała na podwórze Freemanów. Twitch ją dogonił. Buddy powłókł się za nimi ze spuszczonym łbem i podkulonym ogonem, skamląc żałośnie.

Był tam wyłożony kamiennymi płytami taras, a na nim grill starannie przykryty zieloną plandeką z napisem KUCHNIA NIECZYNNNA. Dalej, na skraju trawnika, stało podwyższenie z drzewa sekwoi. Na nim było jacuzzi Freemanów. Twitch pomyślał, że wysoki płot był po to, by mogli siedzieć tam nago, może się nawet do siebie poumizgiwać, gdyby wzięła ich na to chętką.

Will i Lois siedzieli w jacuzzi także i teraz, ale dni ich umizgów dobiegły końca. Na głowach mieli przezroczyste plastikowe torebki. Torebki wydawały się zaciśnięte na szyi albo sznurkiem, albo brązowymi gumkami. Były zaparowane od wewnątrz, ale nie na tyle, by Twitch nie mógł dostrzec spurpurowiałych twarzy. Między doczesnymi szczątkami Willa i Lois Freeman, na podeście z drzewa sekwoi stały butelka whisky i mała fiolka leków.

- Stój - powiedział. Nie wiedział, czy mówi do siebie, do pani Clavard, czy może do Buddy'ego, który właśnie wydał kolejny smętny skowyt. Na pewno nie do Freemanów.

Henrietta się nie zatrzymała. Podeszła do jacuzzi, wmaszerowała po dwóch stopniach, trzymając plecy prosto jak żołnierz, spojrzała na twarze swoich jakże sympatycznych (i całkowicie normalnych, powiedziałyby) sąsiadów, zerknęła na butelkę whisky, zobaczyła, że to glenlivet (przynajmniej odeszli z klasą), po czym podniosła fiolkę z etykietką z apteki Sandersa.

- Ambien czy lunesta? - spytał Twitch głucho.

- Ambien. - Była zadowolona, że głos dobywający się z jej wyschniętego gardła i ust brzmi normalnie. - Jej. Choć jak widać, wczoraj się podzieliła z mężem.

- Jest list?

- Tutaj nie. Może w środku.

Ale go nie było, przynajmniej w żadnym z oczywistych miejsc, a raczej nie widzieli powodu, by samobójcy mieli schować list pożegnalny. Buddy chodził za nimi z pokoju do pokoju i już nie wył, tylko cicho, chrapliwie skamlał.

- Chyba wezmę go do siebie - powiedziała Henrietta.

- Będzie pani musiała. Ja zadzwonię po Stewarta Bowiego, żeby przyjechał i zabrał... ich. - Wskazał kciukiem za plecy. Kotłowało mu się w żołądku, ale nie to było najgorsze. Najgorsza była depresja, która wkradła się w jego serce, okryła cieniem jego zwykle pogodną duszę.

- Nie rozumiem, czemu to zrobili - powiedziała Henrietta. - Gdybyśmy byli pod kloszem rok... czy nawet miesiąc... może. Ale niecały tydzień? Jak ktoś jest zrównoważony, nie reaguje tak na kłopoty.

Twitch miał wrażenie, że rozumie, co nimi kierowało, ale nie chciał tego powiedzieć Henriecie. Prawda była taka, że będą pod kloszem miesiąc, rok, może dłużej. I to bez deszczu, z malejącymi zapasami i coraz brudniejszym powietrzem. Jeśli najbardziej otrzaskane z technologią państwo świata dotąd nie rozgryzło, co właściwie wydarzyło się w Chester's Mill (a tym bardziej nie rozwiązało problemu), zapewne szybko tego nie dokona. Will Freeman musiał to zrozumieć. A może to był pomysł Lois. Może kiedy zdechł generator, powiedziała: „Zróbmy to, kiedy jeszcze możemy mieć w jacuzzi ciepłą wodę, kochanie. Ucieknijmy spod klosza, póki jeszcze mamy co jeść. Zgoda? Ostatnia kąpiel i kilka pożegnalnych drinków”.

- Może ten samolot przepelnił czarę - powiedział Twitch. - Air Ireland, który wczoraj wpadł na klosz.

Henrietta nie odpowiedziała. Odcharknęła i splunęła do zlewu kuchennego. Ten odruch, pełen wzdrygnięcia, jakoś szokował. Wyszli z powrotem na zewnątrz.

- Inni zrobią to samo, prawda? - spytała, kiedy dotarli na koniec podjazdu. - Bo samobójstwo czasem roznosi się przez powietrze. Jak katar.

- Niektórzy już to zrobili. - Twitch nie wiedział, czy samobójstwo jest bezbolesne, jak to było w pewnej piosence, ale w odpowiednich warunkach mogło być zaraźliwe. Może zwłaszcza wtedy, gdy sytuacja jest bez precedensu, a powietrze zaczyna cuchnąć tak jak w ten bezwietrzny, nienaturalnie ciepły poranek.

- Samobójcy to tchórze - powiedziała Henrietta. - Od tej reguły nie ma wyjątków.

Twitch pomyślał o ojcu, który długo i powoli konał na raka żołądka.

Henrietta nachyliła się do psa, wspierając ręce na kościstych kolanach. Buddy wyciągnął szyję, by ją obwąchać.

- Chodź do sąsiadki, kudłaty przyjacielu. Mam trzy jajka. Możesz je zjeść, zanim się zepsują.

Już miała odejść, ale jeszcze odwróciła się do Twitcha.

- Tchórze - powiedziała z naciskiem.

5

Jim Rennie wypisał się ze szpitala imienia Catherine Russell, wyspał się we własnym łóżku i obudził wypoczęty. Choć nigdy by tego otwarcie nie przyznał, po części dzięki temu, że wiedział, iż Juniora nie ma w domu.

Teraz, o ósmej, jego czarny hummer stał zaparkowany dwa domy od restauracji Sweetbriar Rose (przed hydrantem, ale co tam - straż pożarna w tej chwili nie istniała). Duży Jim jadł śniadanie z Peterem Randolphem, Melem Searlesem, Freddyem Dentonem i Carterem Thibodeau. Carter zajął swoje ostatnimi czasy zwykle miejsce po jego prawicy. Tego ranka miał dwa pistolety: własny u boku i, w kaburze pod pachą, berettę taurus, którą niedawno zdała Linda Everett.

Kwintet ten zajął stolik choleryków w głębi restauracji, bez skrupułów przeganiając stałych bywalców. Rose trzymała się od nich z daleka. Wysłała Ansona, żeby zajął się nimi.

Duży Jim zamówił trzy jajka sadzone, podwójną porcję kielbasy i grzanek smażoną w tłuszczu z bekonu. Takie robiła jego matka. Wiedział, że powinien uważać na cholesterol, ale dziś potrzebował dużo energii. Dziś i przez kilka następnych dni, potem wszystko będzie pod kontrolą. Wtedy zajmie się swoim poziomem cholesterolu (tę bajeczkę opowiadał sobie od dziesięciu lat).

- Gdzie obaj Bowie? - spytał Cartera. - Chciałem, żeby tu, chorobcia, byli, więc gdzie są?

- Dostali wezwanie na Battle Street. Państwo Freeman popełnili samobójstwo.

- Ten łachadojda się zabił?! - krzyknął Duży Jim. Nieliczni klienci, z których większość siedziała przy kontuarze i oglądała CNN, obejrżeli się, po czym uciekli z oczami. - No proszę! Wcale mnie to nie dziwi!

Przyszło mu do głowy, że teraz salon Toyoty w każdej chwili może być jego... ale czemu miałby go chcieć? Dostał mu się dużo bardziej smakowity kąsek: całe miasto. Zaczął już przygotowywać listę dekretów, które ogłosi, gdy tylko cała władza wykonawcza przejdzie w jego ręce. To stanie się tego wieczoru. A poza tym od lat nie znosił Willa Freemana, włazipupy, i jego żony, tej cycatej psiej córki.

- Chłopcy, on i Lois jedzą śniadanie w niebie. - Zamilkł, po czym wybuchnął śmiechem. Mało to dyplomatyczne, ale nie mógł się powstrzymać. - Ani chybi w pomieszczeniach dla służby.

- Kiedy Bowie tam byli, dostali następne wezwanie - powiedział Carter. - Na farmę Dinsmore'ów. Też samobójstwo.

- Kto? - spytał komendant Randolph. - Alden? - Nie. Jego żona, Shelley.

Jej akurat było trochę żal.

- Pochylmy na chwilę głowy - powiedział Duży Jim i wyciągnął ręce. Carter wziął jedną; Mel Searles drugą, Randolph i Denton zamknęli krąg.

- Bożenasz, pobłogosław tenieszczęśnedusze, wimięPanaszegoJezusaChrystusamen - wymamrotał Duży Jim i podniósł głowę. - Jest drobna sprawa do załatwienia, Peter.

Peter wyjął notes. Carter miał już swój na stoliku, obok talerza; chłopak coraz bardziej się Dużemu Jimowi podobał.

- Znalazłem brakujący propan - oświadczył Duży Jim. - Jest w radiostacji.

- Jezu! - wykrzyknął Randolph. - Musimy wysłać po niego ciężarówki!

- Tak, ale nie dzisiaj - odparł Duży Jim. - Jutro, jak wszyscy pójdą spotkać się z krewnymi. Już zacząłem przygotowania. Pojadą tam znowu bracia Bowie i Roger, ale potrzebnych będzie też kilku funkcjonariuszy. Fred, ty i Mel. Oprócz tego jeszcze z pięciu. Ty, Carter, nie. Chcę, żebyś był przy mnie.

- Po co ci policja? Żeby zabrać zbiorniki z propanem? - zdziwił się Randolph.

- Cóż, to przez naszego przyjaciela Dale'a Barbarę i jego próby zdestabilizowania miasta. - Duży Jim wytarł złotko kawałkiem grzanki.

- Jest tam dwóch uzbrojonych ludzi, wygląda na to, że mogą pilnować wytwórni narkotyków czy czegoś takiego. Myślę, że Barbara założył ją długo przed tym, jak zjawił się tu osobiście. Misternie wszystko zaplanował. Jeden ze strażników to Philip Bushey.

- Ta menda - burknął Randolph.

- Drugim, przykro mi to mówić, jest Andy Sanders. Randolph właśnie nabijał smażone ziemniaki na widelec. Upuścił go z brzękiem. - Andy!

- Smutne, ale prawdziwe. Wciągnął go w to Barbara... co wiem z dobrego źródła, ale nie pytajcie o szczegóły. Mój informator chce pozostać anonimowy. - Duży Jim westchnął i wcisnął do ust wysmarowany żółtkiem kawałek grzanki. Boże jedyny, ależ doskonale się czuł tego ranka! - Widać Andy potrzebował pieniędzy. Jak słyszałem, bank miał lada dzień zająć jego aptekę. Głowy do interesów to on nigdy nie miał, oj nie.

- Ani do rządu miastem - dodał Freddy Denton.

Duży Jim zazwyczaj nie lubił, jak podwładni mu przerywali, ale tego ranka podobało mu się wszystko.

- Niestety, to prawda - powiedział, po czym nachylił się nad stolikiem na tyle, na ile pozwalał jego wielki brzuch. - Wczoraj ostrzelali z Busheyem jedną z ciężarówek, które tam wysłałem. Podziurawili opony. Te łachadojdy są niebezpieczne.

- Uzbrojeni narkomani - stwierdził Randolph. - Koszmar każdego policjanta. Ludzie, którzy tam pojadą, będą musieli włożyć kamizelki kuloodporne.

- Dobry pomysł.

- I nie rękę za bezpieczeństwo Andy'ego.

- Bóg z tobą, wiem o tym. Rób, co konieczne. Potrzebujemy tego propanu. Miasto się go domaga i na dzisiejszym zebraniu zamierzam ogłosić, że znaleźliśmy nowe źródło.

- Na pewno nie mogę pojechać, panie Rennie? - spytał Carter.

- Wiem, że żałujesz, ale chcę cię mieć jutro przy sobie, nie na tej ichniej imprezie dla odwiedzających. Randolpha też. Ktoś musi koordynować sytuację, bo zanoszą się na to, że wyjdzie z tego jedna wielka rozpsiajucha. Postaramy się nie dopuścić, żeby kogokolwiek stratowano. Choć kilku zdeptanych pewnie się trafi, bo ludzie nie potrafią się zachować. Lepiej powiedz Twitchellowi, żeby czekał tam z karetką.

Carter zanotował to.

Duży Jim znów odwrócił się do Randolpha. Twarz przyoblekł w wyraz smutku.

- Przykro mi to mówić, Pete, ale mój informator sugerował, że Junior też mógł mieć coś wspólnego z tą wytwórnią narkotyków.

- Junior? - wtrącił się Mel. - Nie, nie Junior.

Duży Jim skinął głową i otarł suche oko nasadą dłoni.

- Mnie też trudno w to uwierzyć. Ba, nie chcę w to uwierzyć, ale wiecie, że on jest w szpitalu?

Pokiwali głowami.

- Przedawkowanie narkotyków - szepnął Rennie, wychylając się nad stolikiem jeszcze dalej. - To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie tego, co się z nim dzieje. - Wyprostował się i znów utkwiał wzrok w Randolphie. - Nie próbujcie podjechać główną drogą, będą się tego spodziewać. Jakies półtora kilometra na wschód od rozgłośni jest droga dojazdowa...

- Wiem, która - powiedział Freddy. - Kiedyś był tam zagajnik Sama Verdreaux, potem przejął go bank. Zdaje się, że teraz cała ta ziemia jest własnością Kościoła Chrystusa Odkupiciela.

Duży Jim przytaknął z uśmiechem, choć tak naprawdę parcela ta należała do korporacji z Nevady, której był prezesem.

- Podjedźcie tamtędy i podkradnijcie się do rozgłośni od tyłu. Jest tam głównie starodrzew, nie powinniście mieć kłopotów.

Zadzwoiła jego komórka. Spojrzał na ekranik i już miał zaczekać, aż włączy się poczta głosowa, ale pomyślał: A co tam, do diaska. Czuł się tego ranka tak dobrze, że słuchanie, jak Cox się pieni, mogło być nawet przyjemne.

- Mówi Rennie. Czego pan chce, pułkowniku Cox? Posłuchał i jego uśmiech lekko przybladł.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz pan prawdę?

Posłuchał jeszcze czas jakiś, po czym rozłączył się bez pożegnania. Przez chwilę siedział ze zmarszczonym czołem. Potem podniósł głowę i zwrócił się do Randolpha.

- Mamy licznik Geigera? Może w schronie przeciwiatomowym?

- Oj, nie wiem. Trzeba spytać Ala Timmonsa.

- Znajdź go, niech sprawdzi.

- To coś ważnego? - spytał Randolph, a Carter w tej samej chwili rzucił:

- Promieniowanie, szefie?

- Nie ma powodu do niepokoju - powiedział Duży Jim. - Jak to ująłby Junior, facet sobie ze mną pogrywa i tyle. Jestem tego pewien. Ale sprawdźcie, co z tym licznikiem Geigera. Jeśli go mamy i jeśli działa, przynieście mi go.

Randolph był wyraźnie przerażony.

Teraz Duży Jim żałował, że nie czekał, aż włączy się poczta głosowa. I że nie trzymał gęby na kłódkę. Searles na pewno to rozgada. Randolph też. A to pewnie nic takiego, ot, ten nadęty łachadojda próbuje mu zepsuć dobry dzień. Może najważniejszy dzień jego życia.

Dobrze choć, że Freddy Denton pozostał skupiony - na tyle, na ile potrafił - na sprawie

najważniejszej.

- O której mamy uderzyć na rozgłośnie, panie Rennie?

Duży Jim przeleciał myślą wszystko, co wiedział o rozkładzie dnia odwiedzin, po czym się uśmiechnął. To był uśmiech szczery, rozlewający radość po jego zatłuszczonych policzkach i odsłaniający drobne zęby.

- O dwunastej. Wtedy pogaduchy na drodze sto dziewiętnastej będą już trwać w najlepsze, Miasto opustoszeje. Dlatego ruszycie i zdejmiecie tych łachadojdów, co przetrzymują nasz propan, w samo południe. Jak w starym westernie.

6

Kwadrans po jedenastej w ten czwartkowy poranek furgonetka Sweetbriar Rose toczyła się na południe szosą sto dziewiętnaście. Jutro będzie tu wielki korek i smród spalin, dziś jezdnia była złowieszczo pusta. Za kierownicą siedziała sama Rose. Ernie Calvert zajął fotel pasażera. Norrie była między nimi, na obudowie silnika. W rękach ścisnęła swoją deskorolkę oklejoną nalepkami z logo dawno nieistniejących zespołów punkowych, jak Stalag 17 i The Dead Milkmen.

- Strasznie tu śmierdzi - powiedziała Norrie.

- To przez Prestile, słonko - wyjaśniła Rose. - Tam, gdzie wpływa do Motton, zmienia się w wielkie, cuchnące bajoro. - Wiedziała, że ten smród to coś więcej niż tylko fetor wysychającej rzeki, ale tego nie powiedziała. Tak czy tak oddychać musieli, więc nie było sensu martwić się tym, co wdychają. - Rozmawiałś z matką?

- Uhm - przytaknęła Norrie ponuro. - Pojedzie, ale nie jest zachwycona.

- Weźmie całe zapasy żywności, kiedy będzie trzeba?

- Tak. W bagażniku naszego samochodu. - Norrie nie dodała, że Joanie Calvert najpierw spakuje cały zapas gorzały, żywność będzie na drugim miejscu. - Co z promieniowaniem, Rose? Nie możemy okleić blachą wszystkich samochodów, które tam pojadą.

- Jak ktoś przejedzie tamtędy raz czy dwa razy, nie powinno się stać nic złego. - Rose sprawdziła to osobiście w Internecie. Dowiedziała się też, że zagrożenie zależy od mocy promieniowania, ale uznała, że nie ma co niepokoić ich faktami, na które nie mieli wpływu. - Najważniejsze, żeby ograniczyć czas przebywania w obszarze napromieniowanym... a Joe mówił, że ten pas nie jest szeroki.

- Mama Joego nie będzie chciała pojechać - stwierdziła Norrie. Rose westchnęła. To już wiedziała. Dzień odwiedzin dobra rzecz, jasne, ale miał też swoje wady. Z jednej strony

odwróci uwagę od ich ucieczki, ale z drugiej ci, których bliscy znaleźli się poza kloszem, będą chcieli się z nimi zobaczyć. Może McClatcheya nie wylosują, pomyślała.

Przed nimi był komis Jima Renniego z wielkim billboardem: TEN SIĘ RADUJE, KTO U DUŻEGO JIMA KUPUJE! PYTAJCIE NAS O KREDYT!

- Pamiętaj... - zaczął Ernie.

- Wiem - przerwała mu Rose. - Jeśli ktoś jest w środku, wracamy do miasta.

Jednak wszystkie miejsca parkingowe ZAREZERWOWANE DLA PERSONELU były puste, w salonie wystawowym nie było żywej duszy, a na drzwiach wejściowych wisiała biała tabliczka z informacją ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA. Rose pośpiesznie wjechała za budynek. Stały tu szeregi samochodów i ciężarówek, za których szybami leżały kartki z cenami i sloganami typu WYJĄTKOWA OKAZJA, CZYSTY JAK ŁZA i WPADNĘ W OKO KAŻDEMU (z O przerobionymi na dziewczęce oczy z długimi rzęsami). To były zajęzione szkapki ze stadniny Dużego Jima, w niczym nieprzypominające wypasionych czystej krwi rumaków z Detroit i Niemiec, stojących przed budynkiem. Na drugim końcu parkingu, przy siatce oddzielającej posesję Dużego Jima od zaśmieconego młodnika, był rząd furgonetek firmy telekomunikacyjnej. Na niektórych wciąż widniało logo AT&T.

- To te - powiedział Ernie i sięgnął za fotel. Wyjął długi cienki pasek metalu.

- Toż to wytrych - zauważyła Rose, rozbawiona mimo zdenerwowania. - A na cóż ci wytrych, Ernie?

- Został z czasów, kiedy jeszcze pracowałem w Food City. Zdziwiłabyś się, ilu ludzi zatrząskuje kluczyki w samochodzie.

- Jak go odpalisz, dziadziu? - spytała Norrie. Ernie uśmiechnął się blado.

- Coś wykombinuję. Stań tu, Rose.

Wysiadł i potruchtał do pierwszej furgonetki, zaskakująco zwinnie jak na siedemdziesięciolatka. Zajrzał przez szybę, potrząsnął głową i przeszedł do następnego wozu. Potem do trzeciego - ale ten miał kaptur. Dopiero przy czwartym odwrócił się do Rose i podniósł kciuk.

- Dobra, Rose. Ruszaj.

Rose domyśliła się, że Ernie nie chce, żeby wnuczka widziała go posługującego się wytrychem. To ją rozczuliło i bez słowa pojechała z powrotem przed komis. Tu znów się zatrzymała.

- Jesteś zdecydowana, skarbie?

- Tak - powiedziała Norrie, wysiadając. - Jeśli go nie odpali, najwyżej wrócimy do miasta pieszo.

- To prawie pięć kilometrów. Da radę? Norrie była blada, ale zdobyła się na uśmiech.

- Dziadzio mógłby mnie zachodzić na śmierć. Robi sześć kilometrów dziennie, żeby, jak to mówi, naoliwić stawy. Proszę już jechać, zanim ktoś panią zobaczy.

- Odważna z ciebie dziewczyna.

- Wcale nie czuję się odważna.

- To tak jak wszyscy odważni ludzie, kochanie.

Rose ruszyła w stronę miasta. Norrie odprowadziła ją wzrokiem, po czym zaczęła leniwie jeździć na deskorolce po parkingu przed komisem. Asfalt był lekko nachylony, więc pruć sklejkę musiała tylko w jedną stronę... choć była tak nakręcona, że wydawało jej się, że mogłaby wjechać na sam szczyt Town Common Hill i nawet nie poczuć zmęczenia. Kurde, w tej chwili pewnie mogłaby gruchnąć tyłkiem na asfalt i nawet by nie zabolowało. A jeśli ktoś się zjawi? Cóż, przysłała tu z dziadziem, który chciał pooglądać furgonetki. Teraz czeka na niego, potem wrócą razem do miasta. Dziadzio uwielbiał spacerować, wszyscy to wiedzieli. Bo musiał sobie stawy naoliwić. Tyle że Norrie uważała, że to nie był jedyny, a nawet nie główny powód. Zaczął chodzić na te swoje spacerki, kiedy babci zaczęło się mącić w głowie (nikt nie powiedział wprost, że to alzheimer, ale wszyscy wiedzieli).

Norrie myślała, że w ten sposób zwalczał smutek. Czy to w ogóle da się zrobić? Jej zdaniem, tak. Wiedziała, że kiedy jeździła na desce, kiedy w skateparku w Oxfordzie odstawiała zarąbistego podwójnego kinka czy coś, nie było w jej sercu miejsca na nic oprócz radości i strachu. Radość była panią domu, strach mieszkał w szopie na tyłach.

Po krótkiej chwili, która wydawała się długa, zza budynku wyjechała furgonetka niegdyś należąca do firmy telekomunikacyjnej, z dziadziem za kierownicą. Norrie wzięła deskę pod pachę i wskoczyła do środka. Po raz pierwszy przejedzie się kradzioną bryką.

- Dziadziu, jesteś gość - powiedziała i pocałowała go.

7

Joe McClatchey szedł do kuchni po puszkę soku jabłkowego (kilka jeszcze zostało w ich niedziałającej lodówce), kiedy usłyszał, jak jego mama mówi „Bump”, i znieruchomiał.

Wiedział, że jego rodzice poznali się na studiach na uniwersytecie stanu Maine i że w tamtych czasach znajomi Sama McClatcheya mówili na niego „Bump”, ale mama ostatnio rzadko go tak nazywała, a jeśli już, to śmiała się przy tym i rumieniła, jakby to przezwisko miało nieprzyzwoity podtekst. Czy tak było - Joe tego nie wiedział. Wiedział za to, że skoro wymknęło jej się teraz, jakby cofnęła się do przeszłości, musiała być zdenerwowana.

Podszedł trochę bliżej drzwi kuchni. Były otwarte i przyblokowane klinem. Zobaczył

swoją matkę z Jackie Wettington, która tego dnia miała na sobie bluzkę i sprane dżinsy zamiast munduru. Gdyby podniosły głowy, też mogłyby go dojrzeć. Nie miał zamiaru się skradać, czułby się nie w porządku, zwłaszcza kiedy mama jest zdenerwowana. Na razie patrzyły tylko na siebie. Siedziały przy stole kuchennym, Jackie trzymała Claire za rękę. Joe zauważył, że jego mama ma mokre oczy. Na ten widok zachciało mu się płakać.

- Nie możesz - mówiła Jackie. - Wiem, że chcesz, ale nie możesz i tyle. Nie, jeśli wszystko potoczy się dziś zgodnie z planem.

- Chociaż zadzwonię do niego i wytłumaczę, dlaczego mnie nie będzie! Albo wyślę e-maila! O właśnie, tak będzie najlepiej!

Jackie potrząsnęła głową. Była życzliwa, ale stanowcza.

- Mógłby komuś powiedzieć i mogłoby to dotrzeć do Renniego. Jeśli Rennie coś zwietrzy, zanim odbijemy więźniów, grozić nam będzie katastrofa.

- Powiem mu, żeby zachował to tylko i wyłącznie dla siebie...

- Claire, czy ty tego nie rozumiesz? Stawka jest zbyt wysoka. Idzie o życie dwóch ludzi. I nasze. - Zawiesiła głos. - Życie twojego syna.

Claire zwiesiła ramiona, ale zaraz znów je wyprostowała.

- To ty weź Joego. Przyjadę po dniu odwiedzin. Rennie nie będzie mnie podejrzewał. Dale'a Barbary nie znam w ogóle, a Ryżego tylko na tyle, żeby mówić mu dzień dobry na ulicy. Chodzę do doktora Hartwella w Castle Rock.

- Ale Joe zna Barbiego - cierpliwie tłumaczyła Jackie. - To Joe zorganizował transmisję na żywo, kiedy odpalili rakiety. I Duży Jim o tym wie. Nie sądzisz, że może cię aresztować i maglować dotąd, aż mu powiesz, gdzie jesteśmy?

- Nigdy bym się nie wygadała - zapewniła Claire. - Nigdy!

Joe wszedł do kuchni. Claire wytarła policzki i próbowała się uśmiechnąć.

- O, cześć, kochanie. Właśnie mówiłyśmy o dniu odwiedzin i...

- Mamo, na maglowaniu by się nie skończyło - powiedział Joe. - On by cię torturował. Wyglądała na zszokowaną.

- Och, tego by nie zrobił. Wiem, to nieprzyjemny facet, ale przecież jest radnym i...

- Był radnym - uściśliła Jackie. - Teraz szykuje się do roli cesarza. A każdy odpowiednio przesłuchiwany wcześniej czy później zaczyna mówić. Chcesz, żeby Joe sobie wyobrażał, jak wyrywają ci paznokcie?

- Przestań! - powiedziała Claire. - To okropne! Próbowała się wyrwać, ale Jackie nie puściła jej dłoni.

- Wybór jest taki: wszystko albo nic, a teraz już za późno, żeby zdecydować się na nic.

Sprawy poszły w ruch i nie da się tego zatrzymać. Gdyby Barbie uciekł sam, bez naszej pomocy, Duży Jim może by nawet machnął na to ręką. Bo każdy dyktator musi mieć kogoś, kim mógłby straszyć ludzi. Ale Barbie sam nie będzie, prawda? A to znaczy, że Rennie będzie chciał nas odszukać i wykończyć.

- Żałuję, że się w to wplątałam. Że byłam na tym spotkaniu i puściłam na nie Joego.

- Przecież musimy go powstrzymać! - zaprotestował Joe. - Pan Rennie próbuje zmienić Mill w państwo policyjne!

- Jak ja mam kogokolwiek powstrzymać?! - krzyknęła Claire. - Jestem gospodynią domową, do cholery!

- Nie wiem, czy to cię pocieszy - powiedziała Jackie - ale miejscówkę na ten wyjazd masz prawdopodobnie od chwili, kiedy dzieciaki znalazły skrzynkę.

- To mnie nie pociesza. Wcale.

- Poniekąd nawet mamy szczęście - ciągnęła Jackie. - Nie wciągnęliśmy w to wielu niewinnych ludzi. Jeszcze nie.

- Rennie i jego policja i tak nas znajdą - przekonywała ją Claire.

- Nie zdajesz sobie z tego sprawy? To za małe miasto, żeby się w nim bez końca ukrywać.

- Wtedy będzie nas już więcej. - Jackie uśmiechnęła się niewesoło.

- Będziemy lepiej uzbrojeni. I Rennie będzie tego świadom.

- Musimy jak najszybciej zająć stację radiową - powiedział Joe.

- Niech ludzie poznają inną wersję wydarzeń. Prawda musi pójść w świat.

Jackie zabłysły oczy.

- Doskonały pomysł, Joe.

- Dobry Boże! - Claire zakryła twarz dłońmi.

8

Ernie podjechał furgonetką firmy telekomunikacyjnej pod rampę załadowniczą sklepu Burpeego. Niniejszym zostałem przestępcą, pomyślał. A moja dwunastoletnia wnuczka moją współniczką. Hm, może skończyła już trzynaście lat? To i tak bez różnicy; nie sądził, by Peter Randolph potraktował ją jak młodocianą, gdyby ich złapali.

Rommie otworzył tylne drzwi sklepu, zobaczył, że to oni, i wyszedł na rampę ze strzelbami w obu rękach.

- Były jakieś kłopoty?

- Poszło jak po maśle - powiedział Ernie i wdrapał się na schody prowadzące na

rampe. - Drogi są puste. Masz więcej broni?

- Kilka sztuk. W środku, za drzwiami. Norrie niech też pomoże. Norrie podniosła dwa karabiny i podała dziadkowi, który włożył je na tył furgonetki. Rommie przysunął do rampy niski wózek transportowy z kilkunastoma rolkami blachy ołowianej.

- Na razie nie trzeba tego rozładowywać. Wytnę tylko kilka kawałków na okna. Przednią szybę zasłonimy już na miejscu. Zostawimy szczelinę, jak w starym czołgu Sherman, żeby widać było drogę, i będziemy tak jechać. Norrie, kiedy my z Erniem się zajmujemy robotą, ty spróbuj wypchnąć tamten drugi wózek. Jeśli nie dasz rady, zostaw, weźmiemy go potem.

Drugi wózek wyładowany był kartonami żywności, głównie w puszkach i w postaci koncentratu, w sam raz na biwak. Jedno pudło wypełniały opakowania przecenionego napoju w proszku. Wózek był ciężki, ale jak już Norrie ruszyła go z miejsca, toczył się łatwo. Gorzej było z hamowaniem. Gdyby Rommie, stojący za furgonetką, nie podniósł ręki i go nie odepchnął, pewnie zjechałby z rampy.

Ernie skończył zasłaniać tylne okienka skradzionej furgonetki kawałkami blachy ołowianej, do których mocowania nie szczędził taśmy klejącej. Otarł czoło.

- To ryzykowne jak cholera, Burpee - stwierdził. - Wychodzi na to, że pojedziemy do sadu McCoyów całym konwojem.

Rommie wzruszył ramionami, po czym zaczął ładować prowiant, ustawiając pudła wzdłuż ścian, żeby zostawić w środku miejsce dla pasażerów, których mieli nadzieję zabrać później. Na plecach jego koszuli rozgałęziała się plama potu.

- Trzeba liczyć, że jak się szybko i dyskretnie uwiniemy, zebranie odwróci od nas uwagę. Wielkiego wyboru nie mamy.

- Czy Julia i pani McClatchey będą miały okna zasłonięte ołowiem? - spytała Norrie.

- Tak. Pomogę im w tym po południu. Potem będą musiały zostawić samochody za sklepem. Nie można paradować po mieście z oknami zakrytymi ołowiem, ludzie by się zdziwili.

- A co z twoim escalade? - spytał Ernie. - Reszta prowiantu zmieściłaby się w nim swobodnie. Twoja żona mogłaby wyjechać nim...

- Misha nie jedzie - powiedział Rommie. - Nie chce mieć z tym nic wspólnego. Prosiłem, prawie na kolanach błagałem, a ona swoje. Właściwie spodziewałem się tego, dlatego nie powiedziałem jej nic ponadto, co już wiedziała... czyli niewiele, chociaż to nie uratuje jej skóry, jeśli wpadnie Renniemu w łapy. Ale to do niej nie trafia.

- Czemu? - spytała Norrie z szeroko otwartymi oczami i dopiero kiedy zobaczyła

zmarszczone czoło dziadka, uświadomiła sobie, że mogła popełnić nietakt.

- Bo już taki z niej uparciuch. Tłumaczyłem, że mogą jej zrobić coś złego. „Niech spróbują”, ona na to. Cała Misha. Mówi się trudno. Jak później będzie okazja, może się tu zakradnę i spytam, czy nie zmieniła zdania. Ponoć to przywilej kobiety. No, do roboty, jeszcze trochę pudeł załadujmy. I nie przywalcie broni kartonami. Może być potrzebna.

- Nie mogę uwierzyć, że cię w to wciągnąłem, mała - powiedział Ernie.

- Luzik, dziadziu. Wolę być z wami niż z tamtymi. - I to była prawda.

9

Stuk! Cisza.

Stuk! Cisza.

Stuk! Cisza.

Ollie Dinsmore siedział po turecku półtora metra od klosza ze swoim starym harcerskim plecakiem u boku. Plecak był pełny kamieni, które pozbierał przed domem. Ollie w drodze tutaj zataczał się pod jego ciężarem, przekonany, że płócienny spód lada moment się urwie i cała amunicja się wysypie. Jednak proszę, dotarł do celu. Wybrał następny kamień - ładny, gładki, wypolerowany przez jakiś prastary lodowiec - i rzucił w klosz znad głowy. Kamień uderzył w, wydawało się, powietrze i odbił się. Ollie podniósł go i cisnął raz jeszcze.

Stuk! Cisza.

Kopuła ma jedną zaletę, pomyślał. Wprawdzie przez nią stracił brata i matkę, ale, kurde balanga, jeden ładunek amunicji starczał na cały dzień.

Kamienie jak bumerangi, pomyślał i uśmiechnął się. Uśmiech, choć szczery, nadawał mu dość straszny wygląd, bo jego twarz była dużo za chuda. Mało jadł i nie zanosilo się na to, by wkrótce miała mu wrócić ochota na jedzenie. Usłyszeć strzał, a potem znaleźć własną matkę leżącą obok stołu kuchennego w zadartej sukience, z majtkami na wierzchu i odstrzeloną połową głowy... coś takiego nie poprawia apetytu.

Stuk! Cisza.

Po drugiej stronie klosza wrzało jak w ulu; wyrosło tam miasteczko namiotowe. Dżipy i ciężarówki śmigaly w tę i we w tę, setki żołnierzy uwijało się jak w ukropie, dowódcy wykrzykiwali rozkazy i wymyślali im, często jednym tchem.

Obok namiotów już rozbitych właśnie stawiano trzy nowe, długie. Zatknięte przed nimi tabliczki informowały, że będą to PUNKT OBSŁUGI ODWIEDZAJĄCYCH 1, PUNKT OBSŁUGI ODWIEDZAJĄCYCH 2 i PUNKT OPATRUNKOWY. Przed innym Jeszcze dłuższym, widniał napis BUFET. A zaraz po tym, jak Ollie usiadł i zaczął rzucać kamieniami,

przyjechały dwie ciężarówki wiozące na platformach toi - toie. Teraz radośnie wyglądające niebieskie ubikacje stały już w równych rzędach, daleko od miejsca, gdzie zbiorą się ludzie, by porozmawiać z bliskimi, których będą mogli zobaczyć, ale nie dotknąć.

Z głowy jego matki wyciekło coś, co wyglądało jak spleśniały dżem truskawkowy, i Ollie nie mógł zrozumieć, dlaczego zrobiła to w ten sposób i w tym miejscu. Dlaczego w pomieszczeniu, w którym jedli posiłki? Aż tak źle z nią było, że zapomniała, że ma jeszcze jednego syna, który może kiedyś znowu będzie jadł (o ile wcześniej nie umrze z głodu), ale nigdy nie zapomni tego koszmarnego widoku.

Tak, pomyślał. Aż tak źle. Bo Rory zawsze był jej ulubieńcem. Mnie ledwo zauważała, chyba że zapomniałem nakarmić krowy albo posprzątać oborę. Albo kiedy dostawałem mierne na półrocze. Bo on miał same celujące.

Rzucił kamieniem.

Stuk! Cisza.

Kilku żołnierzy stawiało tabliczki przy kloszu, po dwie w każdym miejscu. Na tych odwróconych w stronę Mill napisane było:

UWAGA!

**DLA WŁASNEGO BEZPIECZEŃSTWA
TRZYMAJCIE SIĘ W ODLEGŁOŚCI 2 METRÓW
(3 KROKÓW)!**

Ollie domyślał się, że na tabliczkach skierowanych w drugą stronę jest to samo, i tam może spełnią swoje zadanie, bo porządku pilnować będzie cała masa ludzi. Za to tutaj będzie pewnie z ośmiuset mieszkańców miasta i może dwudziestu paru gliniarzy, w większości nowo przyjętych. Trzymać ludzi na dystans po tej stronie to będzie tak, jakby próbować osłonić zamek z piasku przed nadciągającą wielką falą.

Miała mokre majtki, a między jej rozłożonymi nogami była kałuża. Posikała się albo tuż przed tym, jak pociągnęła za spust, albo tuż potem. Ollie podejrzewał, że potem.

Rzucił kamieniem.

Stuk! Cisza.

W pobliżu był jeden żołnierz. Nie miał na rękawach żadnych insygniów, więc Ollie domyślił się, że to szeregowy. Wyglądał na jakieś szesnaście lat, ale musiał być starszy. Ollie co prawda słyszał opowieści o małolatach, którzy podawali się za starszych, by przyjęto ich do wojska, ale przypuszczał, że to było w czasach, kiedy ludzie jeszcze nie mieli komputerów,

które wyłapywałyby takie oszustwa.

Żołnierz rozejrzył się, sprawdził, czy nikt nie patrzy, po czym odezwał się zniżonym głosem. Miał akcent z Południa.

- Ej, młody! Przestań z łaski swojej, co? Pierdolca zaraz dostanę.

- To idź gdzie indziej - powiedział Ollie. Stuk! Cisza.

- Kiedy nie mogę. Rozkazy.

Ollie nie odpowiedział. Rzucił następnym kamieniem. Stuk! Cisza.

- Po kiego to robisz? - spytał żołnierz. Coś tam jeszcze majstrował przy dwóch postawionych przez siebie tabliczkach, tylko po to, żeby móc pogadać z Olliem.

- Bo wcześniej czy później któryś się nie odbije. A wtedy wstanę, pójdę sobie i nigdy więcej nie zobaczę tej farmy. Nigdy więcej nie wydoję krowy. Jakie powietrze macie tam, po drugiej stronie?

- Dobrze. Tylko że się ochłodziło. Jestem z Karoliny Południowej. W październiku bywa u nas zupełnie inaczej, mówię ci.

Tam, gdzie siedział Ollie, niecałe trzy metry od chłopaka z Południa, było gorąco. I śmierdziało.

Żołnierz wskazał coś za plecami Olliego.

- Zostaw te kamienie i krowami się zajmij. Zagoń je do obory i wydój albo nasmaruj im wymiona jakąś maścią.

- Nie trzeba ich gonić. Same wiedzą, gdzie iść. Tylko że teraz nie ma co ich doić, a balsamu do wymion nie potrzebują. Przestały dawać mleko.

- Serio?

- No. Tata mówi, że coś jest nie tak z trawą. Trawa się psuje, bo powietrze się psuje. Wiesz, nie za ładnie tu pachnie. Gównem jedzie.

- Tak? - Żołnierz wydawał się zafascynowany. Ze dwa razy stuknął młotkiem w tabliczki, choć wyglądały na solidnie osadzone.

- Uhm. Moja mama zabiła się dziś rano.

Żołnierz już podnosił młotek, żeby stuknąć tabliczkę raz jeszcze. Teraz opuścił go do boku.

- Pierdolisz.

- Nie. Zastrzeliła się przy stole kuchennym. To ja ją znalazłem.

- O w mordę. To straszne. - Żołnierz podszedł do klosza.

- Jak w niedzielę umarł mój brat, zabraliśmy go do miasta, bo jeszcze żył... ledwo, ledwo... ale moja mama była zupełnie martwa, więc pochowaliśmy ją na pagórku. Mój tata i

ja. Lubiła to miejsce. Było tam ładnie, zanim wszystko zrobiło się takie... syfiaste.

- Jezu, małaolat, toż ty piekło przeszedłeś!

- Ciągle w nim jestem - powiedział Ollie i jakby te słowa otworzyły zawór gdzieś w głębi jego duszy. Rozplakał się. Wstał i podszedł do klosza. On i młody żołnierz byli oddaleni o niecałe pół metra. Żołnierz uniósł rękę i skrzywił się lekko, kiedy przeszył go słaby wstrząs elektryczny. Położył na kloszu dłoń z rozstawionymi palcami. Ollie zrobił to samo po swojej stronie. Ich ręce zdawały się stykać, palec z palcem, dłoń z dłonią, ale to był daremny gest, który następnego dnia powtarzany będzie bez końca setki, tysiące razy.

- Chłopcze...

- Szeregowy Ames! - wrzasnął ktoś. - Zabierajcie stamtąd tyłek, ale to już!

Szeregowy Ames podskoczył jak dziecko przyłapano na podkradaniu dzemu.

- Do mnie! Szybko!

- Trzymaj się, młody - rzucił szeregowy Ames i pobiegł dostać burę. Ollie domyślał się, że na burze się skończy, bo przecież nie można zdegradować szeregowego. Na pewno nie zamkną go w więzieniu za rozmowę z jednym ze zwierząt z zoo. Nawet nie dostałem orzeszka, pomyślał Ollie.

Przez chwilę patrzył na krowy, które nie dawały już mleka - a nawet prawie nie skubały trawy - po czym usiadł przy swoim plecaku. Wyszukał następny ładny, okrągły kamień. Pomyślał o złuszczającym się lakierze na paznokciach jego martwej matki, obok której leżał wciąż dymiący pistolet. Potem rzucił. Kamień uderzył w klosz i się odbił.

Stuk! Cisza.

10

O czwartej w to czwartkowe popołudnie, gdy nad północną Nową Anglią utrzymywało się zachmurzenie, a nad Chester's Mill niby przyćmiony reflektor świeciło słońce wpadające przez mającą kształt skarpety dziurę w chmurach, Ginny Tomlinson poszła zobaczyć, co u Juniora. Spytała, czy dać mu coś na ból głowy. Powiedział, że nie, po czym zmienił zdanie i poprosił o parę tabletek tylenolu albo advilu. Kiedy wróciła, podszedł, żeby je wziąć. Na jego karcie zapisała: „Wciąż utyka, ale już jakby mniej”.

Kiedy Thurston Marshall zajrzał tam czterdzieści pięć minut później, pokój był pusty. Uznał, że Junior zszedł do świetlicy, ale tam była tylko Emily Whitehouse, dochodząca do siebie po ataku serca. Thurse spytał ją, czy widziała utykającego młodego człowieka o ciemnoblond włosach. Powiedziała, że nie. Thurse wrócił do pokoju Juniora i zajrzał do szafy. Była pusta. Młody człowiek z podejrzeniem guza mózgu ubrał się i opuścił szpital z

pominięciem wszelkich formalności.

11

Junior poszedł do domu. Teraz, kiedy się rozruszał, rozgrzał mięśnie, już praktycznie nie utykał. W dodatku ciemna plama w kształcie dziurki od klucza po lewej stronie jego pola widzenia skurczyła się do rozmiarów szklanej kulki. Może jednak nie dostał pełnej dawki talu. Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej musiał spełnić obietnicę daną Bogu. Jeśli zaopiekuje się rodzeństwem Appleton, Bóg zaopiekuje się nim.

Kiedy wychodził ze szpitala (tylnymi drzwiami), zabicie ojca było pierwsze na liście jego spraw do załatwienia. Jednak gdy dotarł do domu - domu, w którym umarła jego matka, domu, w którym zginęli Lester Coggins i Brenda Perkins - rozmyślił się. Gdyby zabił ojca już teraz, nadzwyczajne zebranie mieszkańców zostałoby odwołane. A Junior wiedział, że zebranie to dobra przykrywka dla jego najważniejszego zadania. Większość glin będzie w ratuszu i na placu, dzięki czemu łatwiej się dostanie do kicia. Żałował tylko, że nie ma zatrutych nieśmiertelników. Przyjemnie byłoby wcisnąć je konającemu Baaarbiemu do gardła.

Zresztą Dużego Jima nie zastał w domu. Jediną żywą istotą w środku był wilk, ten sam, którego Junior widział nad ranem, biegnącego przez szpitalny parking. Stał w połowie schodów, patrzył na niego i głucho warczał. Miał poszarpaną sierść i żółte ślepia. Na jego szyi wisiały nieśmiertelniki Dale'a Barbary.

Junior zamknął oczy, policzył do dziesięciu. Kiedy znowu spojrzął, wilka już nie było.

- Teraz to ja jestem wilkiem - szepnął do nagrzanego, pustego domu. - Jestem wilkołakiem!

Poszedł na górę. Znowu kulał, ale tego nie zauważył. Jego mundur był w szafie, razem z berettą 92 taurus. Policja miała takich tuzin, kupionych głównie za pieniądze Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Sprawdził magazynek - był pełny. Piętnaście nabojów. Włożył pistolet do kabury, zacisnął pas (nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo schudł) i wyszedł z pokoju.

U szczytu schodów przystanął, zastanawiając się, gdzie by tu pójść do czasu, aż zacznie się zebranie i będzie mógł przystąpić do działania. Nie chciał z nikim rozmawiać, nie chciał nawet, by ktokolwiek go zobaczył. I naraz przyszło olśnienie: przecież znał kryjówkę, w dodatku położoną blisko centrum wydarzeń. Ostrożnie zszedł po schodach - znów kulał jak poprzednio, a lewą stronę twarzy miał odrętwiałą, jakby mu zamarzła - i powłókł się w głąb korytarza. Zatrzymał się na chwilę pod drzwiami gabinetu ojca. Może otworzyć sejf i spalić schowane w nim pieniądze? Uznał, że szkoda zachodu. Jak przez mgłę przypomniał sobie

dowcip o bankierach na bezludnej wyspie, którzy zbili fortunę, sprzedając sobie nawzajem swoje ubrania, i szczerką śmiechem, choć nie pamiętał puenty i tak czy owak nigdy do końca nie rozumiał tego kawału.

Słońce skryło się za chmurami na zachód od klosza i na zewnątrz zrobiło się ponuro. Junior wyszedł z domu i zniknął w półmroku.

12

Kwadrans po piątej Alice i Aidan Appleton weszli do ich pożyczonego domu.

- Caro, zabierzesz nas na to ważne zebranie? - zapytała Alice. Carolyn Sturges, która właśnie robiła na blacie Coralee Dumagen kanapki z chleba Coralee Dumagen (czerstwego, ale jadalnego)

- z masłem orzechowym i dżemem - była zdumiona. W życiu nie słyszała o dzieciakach, które chciałyby uczestniczyć w spotkaniu dorosłych. Ba, gdyby ktoś jej to zaproponował, powiedziałyby, że woli uciec, gdzie pieprz rośnie, byle uniknąć takiego nudziarstwa. A teraz miała ochotę dać się skusić. Bo jeśli pójdą dzieci, ona będzie mogła pójść z nimi.

- Naprawdę chcecie tam iść? Oboje?

Jeszcze kilka dni temu Carolyn powiedziałyby, że dzieci to nie dla niej, że chce być nauczycielką i pisarką. Chciała pisać powieści, choć to duże ryzyko, bo co zrobić, jak człowiek poświęci mnóstwo czasu na wysmażenie tysięcznicowej książki, która okaże się do niczego? Co innego poezja... podróże po kraju (może motocyklem)... wieczory autorskie, seminaria... Byłaby wolna jak ptak... Super! Może poznałaby paru interesujących facetów, z którymi piłaby wino i rozmawiała w łóżku o Sylvii Plath. Za sprawą Alice i Aidana zmieniła zdanie. Pokochała ich. Chciała, żeby klosz się rozwalił - to jasne - ale kiedy będzie musiała tych dwoje oddać matce, serce ją zaboli. Miała nadzieję, że ich też, choć trochę. To pewnie podle z jej strony, ale tak było.

- Chcesz, Aidan? Spotkania dorosłych bywają okropnie długie i nudne.

- Chcę - powiedział Aidan. - Chcę zobaczyć wszystkich ludzi. Wtedy Carolyn zrozumiała. Wcale nie dyskusja o zasobach miasta i tego, jak z nich korzystać, tak ich interesowała. Bo i niby dlaczego? Alice miała dziewięć, Aidan pięć lat. Ale chce zobaczyć wszystkich zebranych razem niby jedna wielka rodzina - to już miało sens.

- Będziecie grzeczni? Nie będziecie się wiercić ani za dużo szeptać?

- Oczywiście - powiedziała Alice z godnością.

- I wysikacie się do sucha przed wyjściem?

- Tak! - Tym razem dziewczynka przewróciła oczami, żeby pokazać, jaka z tej Caro denerwująca głupolka... i Caro była tym poniekąd zachwycona.

- W takim razie zapakuję te kanapki. Mamy dwie puszkę coli dla dzieci, które potrafią być grzeczne i pić przez słomkę. To znaczy, o ile wspomniane dzieci wysikają się do sucha, zanim znów wleją sobie do buzi jakiś płyn.

- Lubię pić przez słomkę - powiedział Aidan. - A woopsy będą?

- Chodzi mu o ciastka Whoopie Pies - wyjaśniła Alice.

- Wiem, ale nie mamy. Za to chyba są razowe krakersy. Takie z cukrem cynamonowym.

- Razowe krakersy z cukrem cynamonowym rządzą! - wykrzyknął Aidan. - Kocham cię, Caro.

Carolyn się uśmiechnęła. Pomyślała, że żaden z wierszy, które przeczytała, nie był tak piękny. Nawet ten Williamsa o zimnych śliwkach.

13

Andrea Grinnell powoli, ale pewnie zeszła po schodach, podczas gdy Julia patrzyła na nią ze zdumieniem. Andi zmieniała się nie do poznania. Po części zawdzięczała to makijażowi i rozczesaniu kędzierzawego kołtuna, w jaki ostatnio zmieniły się jej włosy, ale to jeszcze nie wszystko. Patrząc na nią, Julia uprzytomniła sobie, jak dawno nie widziała radnej Grinnell wyglądającej normalnie. Tego wieczoru miała na sobie wystrzałową czerwoną suknię przewiązaną paskiem w talii - chyba od Ann Taylor - i niosła dużą płócienną torbę ściąganą sznurkiem.

Nawet Horace się gapił.

- Jak wyglądam? - spytała Andi, kiedy zeszła na dół. - Jakbym mogła polecieć na zebranie, gdybym miała miotłę?

- Wyglądasz świetnie. Chyba ci dwadzieścia lat ubyło.

- Dzięki, skarbie, ale na górze mam lustro.

- Jeśli ci nie pokazało, o ile lepiej wyglądasz, przejrzyj się w tym na dole. Tu jest lepsze światło.

Andi przełożyła torbę do drugiej ręki, jakby była ciężka. - No, może rzeczywiście. Trochę lepiej.

- Na pewno starczy ci sił?

- Tak myślę. Jeśli znowu zacznie mnie telepać, wymknę się bocznymi drzwiami. - Nie zamierzała się wymknąć, czy będzie ją telepało, czy nie.

- Co masz w torbie?

Lunch dla Jima Renniego, pomyślała Andrea. Którym go nakarmię na oczach całego miasta.

- Na zebrania mieszkańców zawsze biorę robótkę. Czasem są takie rozwlekłe i nudne.

- Dziś nie powinno być nudno - powiedziała Julia.

- Przyjdiesz, co?

- Tak sędzę - odparła Julia wymijająco. Spodziewała się, że przed końcem zebrania będzie już daleko od centrum Chester's Mill. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Trafisz sama?

Andi obdarzyła ją komicznym spojrzeniem mówiącym „Mamo, proszę cię”.

- Do końca ulicy, potem w dół i jestem na miejscu. Chodzę tam od lat.

Julia spojrzała na zegarek. Była za piętnaście szósta.

- Nie za wcześnie wychodzisz?

- Jeśli się nie mylę, Al zacznie wpuszczać ludzi o szóstej, a chcę zająć dobre miejsce.

- Jako radna powinnaś być na podium - powiedziała Julia. - Jeśli tego chcesz.

- Nie, nie sędzę. - Andi znów przełożyła torbę do drugiej ręki. W środku naprawdę była jej robótką, a oprócz niej wydruk pliku VADER i trzydziestkaósemka, którą dostała od brata, żeby mieć czym bronić domu. Do obrony miasta też się nada, pomyślała. Miasto rzeczywiście było jak żywy organizm, ale pod jednym względem przewyższało ludzki. Jeśli miało chory mózg, można było dokonać przeszczepu. I jak dobrze pójdzie, obejdzie się bez zabijania. Modliła się o to.

Julia patrzyła na nią pytająco. Andrea uprzytomniła sobie, że odplynęła myślami.

- Chyba usiądę dziś wśród zwykłych ludzi. Ale w odpowiednim czasie powiem, co mam do powiedzenia. Możesz być tego pewna.

14

Andi miała rację, mówiąc, że Al Timmons otworzy salę o szóstej. O tej porze Main Street, przez cały dzień praktycznie pusta, zapełniała się już obywatelami zdążającymi do ratusza. Inni schodzili w grupkach z Town Common Hill, od strony uliczek osiedlowych. Z Eastchester i Northchester przyjeżdżały pierwsze samochody, większość wypchana ludźmi. Wyglądało na to, że tego wieczoru nikt nie chciał być sam.

Przyszła na tyle wcześnie, że mogła wybrać dowolne miejsce. Zdecydowała się usiąść w trzecim rzędzie od sceny, przy przejściu. Przed nią, w drugim rzędzie, była Carolyn Sturges z małymi Appletonami. Dzieci wybałuszały oczy na wszystko i wszystkich. Chłopiec ścisnął

w dłoni krakersa.

Linda Everett też przyszła wcześniej. Andi wiedziała od Julii, że Ryży został aresztowany - zupełny absurd - i zdawała sobie sprawę, że jego żona musi być zdruzgotana, Linda jednak dobrze to ukrywała pod znakomicie dobranym makijażem i ładną sukienką z dużymi naszywanymi kieszeniami. Mimo marnego samopoczucia (suchość w ustach, ból głowy, rewolucja w żołądku) Andi była pełna podziwu dla jej odwagi.

- Chodź, Linda, siądź koło mnie. - Poklepała sąsiednie miejsce. - Co u Ryżego?

- Nie wiem. - Linda prześliznęła się obok niej i usiadła. Coś w jednej z tych zabawnych kieszeni łupnęło w drewno. - Nie puszczają mnie do niego.

- Niebawem to się zmieni - powiedziała Andrea.

- To prawda - odparła Linda ponuro. Wychyliła się do przodu. - Cześć, dzieci, jak się nazywacie?

- To Aidan - przedstawiła małego Caro - a to...

- Jestem Alice. - Dziewczynka wyniośle podała rękę jak królowa mówiąca do lojalnego poddanego. - My z Aidanem... znaczy Aidan i ja... jesteśmy ksierotami. Znaczy sierotami klosza. Thurston to wymyślił. Potrafi robić magiczne sztuczki, na przykład wyjmować monetę z ucha.

- Cóż, wygląda na to, że spadliście na cztery łapy - powiedziała Linda z uśmiechem. Wcale nie miała ochoty się uśmiechać; była zdenerwowana jak nigdy w życiu. Nie, „zdenerwowana” to zbyt łagodne słowo. Była przerażona jak diabli.

15

O wpół do siódmej parking za ratuszem był już pełny. Wkrótce samochody zastawiły też całą Main Street, a także ulice West i East. Za piętnaście siódma zapchały się nawet parkingi przy poczcie i remizie, a w ratuszu praktycznie nie było już wolnych miejsc siedzących.

Duży Jim przewidział, że może być nadkomplet, i Al Timmons, z pomocą kilku świeżo upieczonych gliniarzy, ustawił na trawniku ławki z sali zebrań Legionu Amerykańskiego. Na niektórych nadrukowane było POPIERAJCIE NASZE WOJSKO, na innych GRAJ W BINGO! Po obu stronach drzwi wejściowych stały wielkie głościki.

Większość lokalnych policjantów - w tym wszyscy weterani, oprócz jednego - była na miejscu, żeby pilnować porządku. Kiedy spóźnialscy narzekali, że muszą siedzieć na dworze (albo stać, gdy nawet ławki na placu się zappełniły), komendant Randolph mówił im, że trzeba było przyjść wcześniej; kto pierwszy, ten lepszy. Poza tym, dodawał, jest przyjemny, ciepły

wieczór, a później na pewno znowu pokaże się wielki różowy księżyc.

- Byłby przyjemny, gdyby nie ten smród - powiedział Joe Boxer. Dentysta był w fatalnym nastroju od czasu scysji w szpitalu dotyczącej jego zdobycznych gofrów Eggo. - Mam nadzieję, że przez to będzie dobrze słyhać. - Wskazał głośniki.

- Wszystko usłyszysz, bez obaw - zapewnił komendant Randolph. - Wzięliśmy je z Karczmy Dippera. Tommy Anderson mówił, że to najnowszy krzyk techniki, i sam je podłączył. Traktuj to jak film w kinie samochodowym, tyle że bez obrazu.

- Traktuję to jak wrzód na dupie - powiedział Joe Boxer i zaczął nerwowo poprawiać kanty spodni.

Junior patrzył ze swojej kryjówki pod mostem Pokoju na schodzących się ludzi. Wyglądał przez szparę w drewnianej obudowie. Był zdumiony - tylu mieszkańców miasta w jednym miejscu! - i zadowolony, że wystawili głośniki. Dzięki nim będzie wszystko słyszał. Ruszy, jak tylko jego ojciec zacznie przemawiać.

Niech Bóg zmiłuje się nad tymi, którzy staną mi na drodze, pomyślał.

Nawet w zapadającym zmierzchu nie mógł nie zauważyć brzuchatej sylwetki ojca. Poza tym w ratuszu był dziś prąd i światło z jednego z okien kreśliło wydłużony prostokąt sięgający na skraj zastawionego samochodami parkingu, do miejsca gdzie stał Duży Jim. Carter Thibodeau był u jego boku.

Duży Jim nie miał poczucia, że ktoś go obserwuje - czy raczej miał poczucie, że obserwują go wszyscy, a to na jedno wychodzi. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że właśnie minęła siódma. Jego zmysł polityczny, wyostrzony przez lata, mówił mu, że ważne spotkanie powinno zaczynać się dziesięć minut po czasie; nie wcześniej, nie później. Co znaczyło, że pora grzać silniki. Trzymał w ręku teczkę z tekstem przemówienia, ale jak już złapie rytm, nie będzie mu potrzebna. Wiedział, co powie. Miał wrażenie, że ostatniej nocy wygłosił całe przemówienie we śnie, nie raz, lecz kilka razy, i za każdym razem było coraz lepsze.

Trącił Cartera łokciem.

- No to jedziemy.

- Dobra. - Carter pobiegł do Randolpha stojącego na stopniach przed ratuszem (Pewnie łachadojda sądzi, że wygląda jak Juliusz Cezar, pomyślał Duży Jim) i przyprowadził go.

- Wejdziemy bocznymi drzwiami - powiedział Duży Jim. Zerknął na zegarek. - Za pięć... nie, cztery minuty. Ty, Peter, pójdziesz przodem, ja za tobą, Carter za mną. Idziemy prosto na podium, jasne? Pewnym krokiem... niech nikt mi się, chorobcia, nie garbi. Będą brawa. Stójcie na baczność, dopóki nie zaczną przycichać. Wtedy usiądźcie. Peter, ty po mojej lewej ręce, Carter po prawej. Ja wejdę na mównicę. Najpierw modlitwa, potem wszyscy

wstają, żeby odśpiewać hymn. Później zabiorę głos, a dalej to już poleci szybko jak kupa przez gęś. Przegłosują wszystko, co zaproponuję. Jasne?

- Denerwuję się jak czarownica na stosie - wyznał Randolph.

- Niepotrzebnie. Będzie dobrze. Mylił się. Bardzo.

16

Gdy Duży Jim i jego świta szli do bocznych drzwi ratusza, Rose skręcała restauracyjną furgonetką na podjazd McClatcheyów. Za nią jechał nierzucający się w oczy sedan chevrolet prowadzony przez Joanie Calvert.

Claire wyszła z domu z walizką i płóciennym workiem z prowiantem. Joe i Benny Drake też mieli walizki, choć większość ubrań w tej Benny'ego pochodziła z szuflad komody Joego. Benny niósł też mniejszy płócienny worek z łupami ze spiżarni McClatcheyów.

U stóp wzgórza buchnął aplauz nagłośniony przez wzmacniacze.

- Szybko! - powiedziała Rose. - Zaczynają. Pora wiać. Towarzysząca jej Lissa Jamieson rozsunęła drzwi furgonetki i zaczęła podawać rzeczy do środka.

- Macie blachę ołowianą? - spytał Joe.

- Tak, i kilka dodatkowych kawałków dla Joanie. Dojedziemy w miejsce, gdzie według ciebie zaczyna się niebezpieczna strefa, i tam pozasłaniamy okna. Daj tę walizkę.

- Wiecie chyba, że to szaleństwo - powiedziała Joanie Calvert. Podeszła od swojego wozu do furgonetki Sweetbriar po w miarę prostej linii, co kazało Rose sądzić, że walnęła nie więcej niż jednego drinka dla kurażu. To dobrze.

- Pewnie masz rację - powiedziała. - Jesteś gotowa? Joanie westchnęła i objęła córkę za ramiona.

- Na co? Skok na główkę w przepaść? Czemu nie? Jak długo będziemy musieli tam zostać?

- Nie wiem - przyznała Rose. Joanie znowu westchnęła.

- Cóż, przynajmniej jest ciepło. Joe zwrócił się do Norrie.

- Gdzie twój dziadek?

- Z Jackie i panem Burpeem, w wozie, który ukradliśmy Renniemu. Będzie czekał przed komisariatem, kiedy oni pójdą po Ryżego i pana Barbarę. - Posłała mu uśmiech pełen śmiertelnego przerażenia. - Robi za ich kierowcę.

- Stary, a głupi - stwierdziła Joanie Calvert. Rose miała ochotę wziąć ją na stronę i dać durnej babie w pysk, i rzut oka na Lissę powiedział jej, że nie ona jedna. Ale nie był to dobry moment na kłótnie, a tym bardziej na bójki.

W jedności siła, pomyślała Rose.

- A co z Julią? - spytała Claire.

- Pojedzie z Piper. I swoim psem.

Z głośników w centrum (którym wtórowały głosy siedzących na ławkach przed ratuszem) dobiegł „The Star Spangled Banner” w wykonaniu Zjednoczonego Chóru Chester's Mill.

- Ruszajmy - powiedziała Rose. - Ja pojedę przodem.

- Przynajmniej jest ciepło - powtórzyła Joanie Calvert tonem ponurego żartu. - Chodź, Norrie, pilotuj swoją starą matkę.

17

Po południowej stronie Maison des Fleurs był pas dla samochodów dostawczych. Tam, przodem do ulicy, stała kradziona furgonetka firmy telekomunikacyjnej. Ernie, Jackie i Rommie Burpee słuchali hymnu narodowego dochodzącego z głębi ulicy. Jackie zapiekło pod powiekami. Nie tylko ona się wzruszyła. Siedzący za kierownicą Ernie wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę i ocierał oczy.

- Wychodzi na to, że Linda nie musi dać nam sygnału - powiedział Rommie. - Nie spodziewałem się, że będą głośniki. Nie wzięli ich ode mnie.

- Mimo wszystko dobrze, że ludzie ją tam widzą - odparła Jackie. - Masz maskę, Rommie?

Podniósł wytłoczone w plastiku oblicze Dicka Cheney'a. Choć asortyment miał bogaty, nie znalazł dla Jackie maski Małej Syrenki, musiała się zadowolić twarzą Hermiony, kumpeli Harry'ego Pottera.

Maska Erniego, przedstawiająca Dartha Vadera, leżała za siedzeniem, ale Jackie sądziła, że gdyby rzeczywiście ją musiał założyć, pewnie byłoby z nimi krucho. Nie powiedziała tego głośno.

Co to ma za znaczenie? - pomyślała. Kiedy się okaże, że nie ma nas w mieście, wszyscy bez trudu się domyślą dlaczego.

Ale podejrzewać to nie to samo co wiedzieć, a jeśli Rennie i Randolph nie będą mieli niczego oprócz podejrzeń, może krewnych i znajomych, którzy zostaną w mieście, nie spotka nic gorszego od ostrych przesłuchań.

Może. Jackie zdała sobie sprawę, że w tych okolicznościach to duże słowo. Bardzo duże.

Hymn dobiegł końca. Znów rozbrzmiały oklaski, po czym wiceprzewodniczący rady

zaczął przemawiać. Jackie sprawdziła pistolet - to był jej zapasowy - i pomyślała, że najbliższe minuty będą chyba najdłuższymi w jej życiu.

18

Barbie i Ryży stali przy drzwiach swoich cel i słuchali pierwszych słów przemówienia Dużego Jima. Dzięki głośnikom przed ratuszem słyszeli wszystko głośno i wyraźnie.

„Dziękuję! Dziękuję wam wszystkim i każdemu z osobna! Dziękuję za przybycie! I dziękuję za to, że jesteście najdzielniejszymi, najtwardszymi i najbardziej zaradnymi ludźmi w całych Stanach Zjednoczonych Ameryki!”.

Entuzjastyczny aplauz.

„Panie i panowie... i dzieci też, widzę, że jest kilkoro na widowni”...

Serdeczny śmiech.

„Jesteśmy w potwornie trudnym położeniu. To już wiecie. Dziś zamierzam wam powiedzieć, jak to się stało, że się w nim znaleźliśmy. Nie wiem wszystkiego, ale tym, co wiem, podzielę się z wami, bo na to zasługujecie. Kiedy już nakreślę wam ogólny obraz sytuacji, czeka nas krótka lista ważnych spraw do omówienia. Przede wszystkim jednak pragnę wam powiedzieć, jak DUMNY z was jestem, jaką POKORĄ przepełnia mnie myśl, że zostałem wybrany przez Boga... i was... by przewodzić wam w tym krytycznym momencie, i pragnę was ZAPEWNIĆ, że razem sprostamy tej próbie i wyjdziemy z niej SILNIEJSI, WIERNIEJSI i LEPSI! Może teraz jesteśmy Izraelitami na pustyni”...

Barbie przewrócił oczami, a Ryży zrobił pięścią ruch, jakby walił konia.

„...ale wkrótce wejdziemy do Kanaanu, a tam czekać na nas będą stoły mlekiem i miodem zastawione przez Pana naszego i rodaków naszych!”.

Burza okłasków. Brzmiało to jak owacja na stojąco. Pewien, że nawet jeśli cele są na podsłuchu, trzej czy czterej policjanci na górze w tym momencie skupili się w drzwiach komisariatu i słuchają Dużego Jima, Barbie powiedział:

- Bądź gotów, przyjacielu.

- Jestem gotów - odparł Ryży. - Wierz mi, jestem.

Byle tylko Lindy nie było wśród tych, którzy planują tu wparować, pomyślał. Nie chciał, żeby kogokolwiek zabiła, ale jeszcze ważniejsze było to, by sama nie narażała życia. Nie dla niego.

Niech zostanie tam, gdzie jest. Może ten facet to wariat, ale przynajmniej dopóki Linda jest z resztą miasta, nic jej nie grozi...

Tak właśnie myślał, kiedy padły pierwsze strzały.

Duży Jim był w euforii. Robił z nimi, co chciał; dosłownie jedli mu z ręki. Setki ludzi, ci, co na niego głosowali, i ci, co nie. Nigdy jeszcze nie widział takiego tłumu w tej sali, nawet podczas debat o modlitwie w szkole czy finansowaniu szkół. Siedzieli udo przy udzie, ramię przy ramieniu, wielu na zewnątrz, i słuchali jak zaczarowani. Teraz, kiedy Sanders zdezerterował, a Grinnell była na widowni (nie mógł nie zauważyć tej czerwonej sukienki w trzecim rzędzie), miał tych ludzi w garści. Błagali go oczami, by się nimi zaopiekował. By ich ocalił. A jego triumfu dopełniała straż osobista u boku i szeregi policjantów - jego policjantów - stojących pod ścianami sali. Nie wszyscy jeszcze dostali mundury, ale każdy miał broń. W dodatku co najmniej setka osób na widowni nosiła niebieską opaskę na rękawie. Jakby miał prywatną armię.

- Przyjaciele, mieszkańcy mojego miasta, jak większość z was wie, aresztowaliśmy niejakiego Dale'a Barbare...

Wybuchła burza gwizdów i syków. Duży Jim zaczekał, aż przycichnie, na pozór śmiertelnie poważny, w duchu szeroko uśmiechnięty.

- ...bo zamordował Brendę Perkins, Lestera Cogginsa i dwie śliczne dziewczyny, które wszyscy znaliśmy i kochaliśmy, Angie McCain i Dodee Sanders.

Znowu gwizdy, przeplatające się z okrzykami „Powiesić go!” i „Terrorysta!”. Wydawało się, że to o terrorystce krzyknęła Velma Winter, kierowniczka pierwszej zmiany w sklepie Browniego.

- Nie wiecie za to czegoś innego - ciągnął Duży Jim - a mianowicie, że klosz to efekt spisku, dzieło elitarnej grupy bezwzględnych naukowców, potajemnie finansowane przez frakcję działającą w łonie rządu. Jesteśmy królikami doświadczalnymi, przyjaciele, a Dale Barbara był człowiekiem wyznaczonym do tego, by śledzić przebieg tego eksperymentu i kierować nim od wewnątrz!

Reakcją było nieme oszołomienie. A potem ryk oburzenia.

Kiedy przycichł, Duży Jim mówił dalej. Jego szeroka twarz płonęła szczerością (a może od nadciśnienia). Tekst przemówienia leżał przed nim, wciąż nieotwarty. Nie musiał do niego zaglądać. Sam Bóg używał jego strun głosowych i poruszał jego językiem.

- Pewnie się zastanawiacie, co mam na myśli, mówiąc o potajnym finansowaniu. Odpowiedź jest przerażająca, acz prosta. Dale Barbara, przy współudziale nieustalonej dotąd liczby mieszkańców miasta, założył wytwórnę narkotyków, która dostarczała wielkie ilości krystalicznej metamfetaminy baronom narkotykowym z całego Wschodniego Wybrzeża, w

tym kilku powiązanych z CIA. I choć nie wyjawiał nam jeszcze nazwisk wszystkich swoich współpracowników, jednym z nich, jak się zdaje... i mówię to wam z bólem serca, jest Andy Sanders.

Wrzawa i okrzyki zdumienia z widowni. Duży Jim zauważył, że Andi Grinnell zaczęła podnosić się z miejsca, ale usiadła z powrotem. I tak ma być, pomyślał. Siedź tam i się nie ruszaj. Jeśli będziesz na tyle głupia, żeby mi się postawić, pożrę cię żywcem. Albo wskażę cię palcem i oskarżę. Wtedy to oni pożrą cię żywcem.

- Szefem Barbary, jego oficerem prowadzącym jest człowiek, którego widzieliście w wiadomościach. Podaje się za pułkownika armii amerykańskiej, tak naprawdę jednak jest wysoko postawionym członkiem kliku naukowców i urzędników rządowych odpowiedzialnych za ten szatański eksperyment. Tu mam potwierdzające ten fakt zeznanie Barbary. - Poklepał się po sportowej marynarce, której wewnętrzna kieszeń zawierała jego portfel i podręczny Nowy Testament ze słowami Chrystusa wydrukowanymi na czerwono.

Tymczasem znowu rozbrzmiały okrzyki „Powiesić go!”. Duży Jim ze spuszczoną głową i poważną twarzą podniósł rękę i głosy w końcu ucichły.

- Nad karą dla Barbary głosować będzie całe miasto... jako jedno, zjednoczone ciało oddane sprawie wolności. Wszystko w waszych rękach, panie i panowie. Jeśli zadecydujecie, że powinno się go stracić, zostanie stracony. Lecz dopóki jestem waszym przywódcą, nie będzie żadnego wieszania. Wyrok wykona policyjny pluton egzekucyjny...

Przerwał mu dziki aplauz i większość zebranych porwała się na równe nogi. Duży Jim nachylił się do mikrofonu.

- ...ale dopiero jak zdobędziemy wszystkie bez wyjątku informacje, wciąż skrywające się w głębi jego podłego serca. Serca zdrajcy!

Teraz stali już prawie wszyscy. Andi siedziała w trzecim rzędzie obok przejścia między siedzeniami i patrzyła na niego oczami, które powinny być łagodne, zamglone i zagubione, ale nie były. A patrz sobie, ile chcesz, pomyślał. Bylebyś dalej tam grzecznie siedziała.

Tymczasem upajał się aplauzem.

20

- Już? - spytał Rommie. - Jak myślisz, Jackie?

- Jeszcze chwilę - powiedziała.

Tak mówił jej instynkt, a zwykle mogła na nim polegać. Później będzie się zastanawiać, ile istnień ludzkich można byłoby ocalić, gdyby powiedziała Rommiemu: „Dobra, jedziemy”.

Wyglądając przez szczelinę w bocznej ścianie mostu Pokoju, Junior zobaczył, że wstali nawet ludzie z ławek przed ratuszem, i ten sam instynkt, który kazał Jackie jeszcze chwilę zaczekać, jemu powiedział, że pora ruszać. Kuśtykając, zszedł z mostu i ruszył przez plac do chodnika. Znów usłyszał głos potwora, który go spłodził (Duży Jim podjął przerwane przemówienie), kiedy skierował się do komisariatu. Ciemna plama po lewej stronie jego pola widzenia znowu się powiększyła, ale umysł miał jasny.

Idę, Baaarbie, myślał. Idę po ciebie.

- Ci ludzie są mistrzami dezinformacji - ciągnął Duży Jim - i kiedy pójdziecie pod ścianę klosza zobaczyć się z bliskimi, kampanią przeciwko mnie przybierze na sile. Cox i jego pomagierzy nie cofną się przed niczym. Oczernią mnie, nazwą kłamcą i złodziejem, może nawet powiedzą, że to ja kierowałem ich narkotykowym biznesem...

- Bo tak było - powiedział ktoś głośno, wyraźnie.

To była Andrea Grinnell. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, gdy stanęła prosto, niby żywy wykrzyknik w czerwonej sukni. Przez chwilę patrzyła na Dużego Jima z chłodną pogardą, po czym odwróciła się do ludzi, którzy wybrali ją do rady, kiedy przed czterema laty stary Billy Cale, ojciec Jacka Cale'a, umarł na wylew.

- Musicie na chwilę zapomnieć o swoich obawach - powiedziała. - Wtedy zrozumiecie, że on wam chce wmówić coś zupełnie absurdałnego. Jim Rennie uważa, że można was wpędzić w popłoch jak bydlę podczas burzy. Mieszkam wśród was całe moje życie i myślę, że się myli.

Duży Jim czekał na okrzyki protestu. Nie doczekał się. Niekoniecznie dlatego, że mieszkańcy miasta jej uwierzyli - po prostu byli zaskoczeni. Alice i Aidan Appletonowie odwrócili się o sto osiemdziesiąt stopni, klęczeli na ławkach i z otwartymi buziami gapili się na panią w czerwieni. Caro była równie oszołomiona.

- Tajny eksperyment? Co za bzdura! Nasz rząd przez kilkadziesiąt ostatnich lat zrobił wiele świństw, pierwsza to przyznam, ale żeby więzić całe miasto za jakimś polem siłowym? Jedyne po to, żeby sprawdzić, co zrobimy? Idiocyzm! Tylko przerażeni ludzie mogą uwierzyć w coś takiego. Rennie to wie, więc podsycy strach.

Duży Jim na chwilę zgubił rytm, ale szybko odzyskał rezon. No a poza tym, rzecz jasna, miał mikrofon.

- Panie i panowie, Andrea Grinnell to zacna kobieta... szkoda, że dziś nie jest sobą. Oczywiście, jest w takim samym szoku jak my wszyscy, lecz oprócz tego, przykro mi to mówić, boryka się z ciężkim uzależnieniem od leków, a to wskutek upadku, po którym zaczęła brać silnie uzależniający środek o nazwie...

- Od kilku dni nie miałam w ustach nic mocniejszego od aspiryny - powiedziała Andrea donośnym głosem. - I weszłam w posiadanie dokumentów, które pokazują...

- Searles! - huknął Duży Jim. - Ty i kilku funkcjonariuszy delikatnie, ale stanowczo wyproście radną Grinnell z sali i odprowadźcie ją do domu. Albo do szpitala na obserwację. Nie jest sobą.

Rozległ się szmer aprobaty, lecz nie było to entuzjastyczne poparcie, na jakie liczył. A Mel Searles zrobił tylko jeden krok naprzód, kiedy Henry Morrison położył mu rękę na piersi i ze słyszalnym łupnięciem odepchnął go z powrotem pod ścianę.

- Dajmy jej dokończyć - rzekł Henry. - Ona też jest członkiem władz miasta, więc dajmy jej dokończyć.

Mel spojrzał na Dużego Jima, ale Duży Jim wpatrywał się jak zahipnotyzowany w Andi, która wyciągnęła z torby dużą kopertę. Od razu zorientował się, co to jest i skąd Andrea to ma. Brenda Perkins, pomyślał. Co za suka! Umarła, ale jej podłość wciąż żyje.

Kiedy Andi podniosła kopertę, zaczęła się trząść. Wracały dreszcze, te cholerne dreszcze. Nie mogły wybrać gorszego momentu, ale nie była zaskoczona; nawet powinna się tego spodziewać. To przez stres.

- Dokumenty w tej kopercie dostałam od Brendy Perkins. - Przynajmniej głos miała pewny. - Zgromadzili je jej mąż i prokurator generalny stanu. Duke Perkins prowadził przeciwko Jamesowi Renniemu dochodzenie w związku z długą listą poważnych przestępstw.

Mel spojrzał na swojego przyjaciela Cartera, szukając podpowiedzi, co robić. A Carter spojrzał na niego wzrokiem jasnym i prawie rozbawionym. Wskazał na Andree, po czym przyłożył kant dłoni do gardła. „Ucisz ją”. Tym razem, kiedy Mel ruszył naprzód, Henry Morrison go nie zatrzymał - jak prawie wszyscy w sali, patrzył na Andree Grinnell.

Marty Arsenault i Freddy Denton dołączyli do Mela, kiedy przemykał wzdłuż sceny, zgięty wpół jak widz przebiegający przed ekranem kinowym. Po drugiej stronie ratusza Todd Wendlestat i Lauren Conree też ruszyli ze swoich miejsc. Dłoń Wendlestata spoczywała na urzęniętym kawałku orzechowej laski, który służył mu za pałkę; Conree trzymała rękę na kolbie pistoletu.

Andi zauważyła, że nadchodzą, ale nie zamilkła.

- Dowody są w tej kopercie, i wierzę, że są to dowody... - „za które Brenda Perkins

oddała życie”, chciała dokończyć, ale w tym momencie ściągana sznurkiem torba wysliznęła się z jej drżącej, śliskiej od potu dłoni, upadła na podłogę w przejściu między siedzeniami i lufa trzydziestkiósemki wysunęła się z zaciśniętego niby usta w ciup otworu jak peryskop.

W zalegającej salę ciszy wszyscy usłyszeli, co powiedział Aidan Appleton:

- O rany! Ta pani ma pistolet!

Przez moment wszyscy milczeli jak rażeni gromem. Potem Carter Thibodeau zerwał się z miejsca i wbiegł przed swojego szefa, krzycząc:

- Broń! Broń!

Aidan zsunął się z ławki, żeby popatrzeć z bliska.

- Nie, Ade! - krzyknęła Caro i schyliła się, by go powstrzymać, w tej samej chwili, kiedy Mel strzelił po raz pierwszy.

Kula wyrwała otwór w wypolerowanej drewnianej podłodze dokładnie przed nosem Carolyn Sturges. Drzazgi wleciały w górę. Jedna trafiła ją tuż pod prawym okiem. Popłynęła krew. Jak przez watę Carolyn usłyszała, że teraz już wszyscy krzyczeli. Uklękła, złapała Aidana za ramiona i podała go do tyłu między udami jak piłkę do rugby. Wskoczył z powrotem na swoje miejsce przestraszony, ale cały i zdrowy.

- Broń! Ona ma broń! - krzyknął Freddy Denton i odepchnął Mela na bok. Później będzie przysięgał, że ta młoda kobieta sięgała po pistolet, a tak w ogóle to tylko chciał ją zranić.

23

Dzięki głośnikom troje ludzi w skradzionej furgonetce usłyszało zmianę przebiegu uroczystości w ratuszu. Przemówienie Dużego Jima i towarzyszący mu aplauz przerwała jakaś kobieta, która mówiła głośno, ale stała za daleko od mikrofonu, żeby mogli wychwycić poszczególne słowa. Jej głos utonął w ogólnej wrzawie przeplatanej okrzykami. Potem padł strzał.

- Co u licha? - powiedział Rommie. Następne strzały. Dwa, może trzy. I krzyki.

- Nieważne - stwierdziła Jackie. - Jedź, Ernie, szybko! Jeśli mamy to załatwić, to tylko teraz.

24

- Nie! - krzyknęła Linda, zrywając się na równe nogi. - Nie strzelać! Tu są dzieci! Tu są dzieci!!!

W ratuszu rozpętało się piekło. Może przed chwilą nie byli stadem bydła, teraz jednak to się zmieniło. Rozpoczął się dziki pęd do wyjścia. Pierwszym kilku osobom udało się wydostać, potem tłum się zaklinował. Nieliczni, którzy zachowali resztki zdrowego rozsądku, rzucili się przejściami pod ścianą i na środku sali do drzwi po bokach sceny, byli jednak w mniejszości.

Linda podała rękę Carolyn Sturges, pragnąc wciągnąć ją między ławki, gdzie było względnie bezpiecznie, kiedy wpadł na nią rozpędzony Toby Manning. Jego kolano trafiło Lindę w tył głowy i poleciała do przodu, zamroczona.

- Caro! - krzyczała Alice Appleton gdzieś w oddali. - Caro, wstawaj! Caro, wstawaj! Caro, wstawaj!

Carolyn się podniosła i wtedy Freddy Denton strzelił jej prosto między oczy. Dzieci zaczęły piszczeć. Twarze miały upstrzone piegami z jej krwi.

Linda czuła jak przez gruby kozuch, że ludzie ją kopią i po niej depczą. Podźwignęła się na rękach i kolanach (wstanie w tej chwili nie wchodziło w grę) i wczłogała się w głąb rzędu naprzeciwko tego, w którym siedziała. Dłonią trafiła w kałużę krwi Carolyn.

Alice i Aidan próbowali dostać się do Caro. Andrea świadoma, że tam, w przejściu między siedzeniami, może stać im się coś bardzo złego (i pragnąca oszczędzić im widoku zabitej kobiety, którą uznała za ich matkę), wyciągnęła ręce nad ławką z przodu, żeby ich przytrzymać. Upuściła kopertę z napisem VADER.

Carter Thibodeau na to właśnie czekał. Wciąż stał przed Rennie i osłaniał go własnym ciałem, ale w dłoni miał pistolet oparty o przedramię drugiej ręki. Teraz pociągnął za spust i kobieta w czerwonej sukni - ta, która wywołała całe to zamieszanie - poleciała do tyłu.

W ratuszu panował chaos, lecz Carter na to nie zważał. Zszedł ze schodów i spokojnym krokiem ruszył w miejsce, gdzie upadła kobieta w czerwonej sukni. Biegących z naprzeciwka roztrącał na boki. Zapłakana dziewczynka próbowała ucześcić się jego nogi i odrzucił ją kopniakiem.

Kopertę dostrzegł dopiero po chwili. Leżała obok wyciągniętej ręki Andrei Grinnell. Słowo VADER przecinał krwawy ślad buta. Wciąż spokojny pośród chaosu, Carter rozejrzał się i zobaczył, że Rennie patrzy na bezładną ucieczkę swojej publiczności z twarzą wyrażającą szok i niedowierzanie. To dobrze.

Wyszarpnął koszulę ze spodni. Jakaś krzycząca kobieta - to była Carla Venziano - wpadła na niego i odtrącił ją pod ścianę. Potem wcisnął kopertę z aktami VADER za pas na plecach i zakrył koszulą.

Zawsze dobrze mieć ubezpieczenie.

Wycofał się w stronę podium, żeby nie dostać od kogoś z zaskoczenia. U podnóża schodów odwrócił się i wbiegł na górę. Randolph, nieustraszony komendant policji, wciąż siedział na swoim miejscu z rękami na mięsistych udach. Można by go wziąć za posąg, gdyby nie żyła pulsująca na jego czole.

Carter chwycił Dużego Jima za ramię.

- Chodźmy, szefie.

Duży Jim spojrzał na niego, jakby niezupełnie wiedział, gdzie jest, a nawet kim jest. Potem jego oczy trochę się przejaśniły.

- Grinnell?

Carter wskazał kobietę leżącą między ławkami. Wokół jej głowy rozlewała się kałuża w kolorze jej sukni.

- W porządku - powiedział Duży Jim. - Idziemy. Na dół. Ty też, Peter. Wstawaj. - A kiedy Randolph nadal siedział wpatrzony w rozszalały motłoch, Duży Jim kopnął go w goleń.
- Rusz się!

W zamieszaniu nikt nie usłyszał strzałów w sąsiednim budynku.

25

- Co tam się dzieje, do licha? - spytał Ryży.

- Nie wiem - powiedział Barbie. - Ale raczej nic dobrego.

W rataszu padły następne strzały, a po nich rozbrzmiał jeszcze jeden, tym razem dużo bliżej. Na górze. Barbie miał nadzieję, że to swoi... wtedy jednak usłyszał rozpaczliwy krzyk: „Nie, Junior! Czyś ty oszalał? Wardlaw, pomóż mi!”. I kolejne strzały. Cztery, może pięć.

- O Jezu! - jęknął Ryży. - Mamy kłopoty.

- Wiem - odparł Barbie.

26

Junior przystanął na schodach przed komisariatem i zerknął przez ramię w stronę ratasza, gdzie właśnie wybuchł rwetes. Ludzie zajmujący ławki przed budynkiem stali i wyciągali szyje, ale nie mogli niczego zobaczyć. On też nie. Może ktoś zabił jego ojca - oby; to oszczędziłoby mu fatygi, ale tymczasem miał sprawę do załatwienia na komisariacie. A ściśle - w pace.

Wszedł w drzwi z napisem PRACUJEMY RAZEM: WASZA LOKALNA POLICJA I

WY. Stacey Moggin pośpiesznie ruszyła ku niemu. Za nią był Rupe Libby. W sali odpraw, przed tabliczką z marudnym upomnieniem KAWA I PĄCZKI NIE SĄ ZA DARMO, stał Mickey Wardlaw. Wprawdzie był z niego kawał chłopa, ale w tej chwili wydawał się przerażony i niepewny siebie.

- Nie możesz tu wchodzić, Junior - powiedziała Stacey.

- Właśnie że mogę. - „Właśnie” zabrzmiało jak „faśnie”. To przez odrętwienie w kąciku ust. Zatrucie talem! Barbie! - Jestem policjantem. - „Hieftem fofifjantem”.

- Na razie to ty jesteś pijany. Co tam się dzieje? - Pewnie uznawszy, że i tak nie będzie jej w stanie odpowiedzieć do rzeczy, pchnęła go w pierś. Zachwiał się na niesprawnej nodze i omal nie upadł. - Idź stąd, Junior. - Obejrzała się przez ramię i wypowiedziała swoje ostatnie słowa na tym świecie: - Zostań tam, gdzie jesteś, Wardlaw. Nikt nie zejdzie na dół.

Kiedy odwróciła się z powrotem, zamierzając wyrzucić Juniora z komisariatu, zobaczyła przed sobą lufę policyjnej beretty. Zdażyła jeszcze tylko pomyśleć: O nie, nie ośmieliliby się... - po czym bezbolesna rękawica bokserska uderzyła ją między piersiami i odrzuciła do tyłu. Upadając na plecy, zobaczyła od dołu zdumioną twarz Ruperta Libby'ego. A potem umarła.

- Nie, Junior! Czyś ty oszalał?! - krzyknął Rupe, sięgając po broń. - Wardlaw, pomóż mi!

Ale Mickey Wardlaw tylko stał z wybałuszonymi oczami, kiedy Junior wpakował kuzynowi Piper Libby pięć kul. Lewa ręka mu zdrętwiała, lecz prawa była sprawna. Nie musiał nawet być szczególnie dobrym strzelcem, mając nieruchomy cel dwa metry przed sobą. Pierwsze dwa naboje wbiły się w brzuch Rupe'a, odrzucając go na biurko Stacey Moggin, które się przewróciło. Trzeci strzał poszedł bokiem, ale następne dwa trafiły w głowę. Rupert upadł w groteskowo baletowej pozycji, z nogami w szerokim rozkroku i głową - tym, co z niej zostało - opadającą z biurka na podłogę jak w ostatnim głębokim pokłonie.

Junior pokuśtykał do sali odpraw z dymiącą berettą w wyciągniętej ręce. Nie pamiętał, ile oddał strzałów. Wydawało mu się, że siedem. Może osiem. Albo tysiąc pięćset sto dziewięćset - kto to mógł wiedzieć? Znów rozboleła go głowa.

Mickey Wardlaw uniósł dłoń. Był przerażony. Usiłował się uśmiechać pojednawczo.

- Nie będę ci przeszkadzał, bracie. Rób, co musisz. - I pokazał znak pokoju.

- Jasne - odparł Junior. - Bracie.

Strzelił. Zwalisty Mickey ze znakiem pokoju obramowującym dziurę po oku gruchnął na podłogę. Drugie oko, ocalałe, wywróciło się do góry dnem i spojrzało na Juniora z niemą pokorą strzyżonej owcy. Junior strzelił raz jeszcze, dla pewności. Potem rozejrzał się wokół.

Wyglądało na to, że ma cały komisariat dla siebie.

- No dobra - powiedział. - No... dobra.

Ruszył w stronę schodów, po czym wrócił do ciała Stacey Moggin. Upewnił się, że miała berettę taurus jak on, i wyjął magazynek ze swojego pistoletu. Zastąpił go pełnym, zabranym z jej pasa.

Zrobił w tył zwrot, zachwiał się, upadł na kolano i wstał. Czarna plama po lewej stronie jego pola widzenia teraz wydawała się wielka jak pokrywa studzienki i podejrzewał, że jego lewe oko trafił szlag. Ale nic to, jeśli jedno zdrowe mu nie wystarczy, żeby zastrzelić człowieka zamkniętego w celi, to jest ostatni niedojda. Przeszedł przez salę odpraw, pośliznął się na krwi świętej pamięci Micka Wardlawa i omal znowu nie fiknął. W porę odzyskał równowagę. Głowa mu pękała, lecz był z tego zadowolony. Dzięki temu jestem skoncentrowany, pomyślał.

- Cześć, Baaarbie! - zawołał w dół schodów. - Wiem, co mi zrobiłeś, i idę po ciebie. Jak chcesz się pomodlić, lepiej się pośpiesz.

27

Ryży patrzył, jak utykające nogi schodzą po metalowych stopniach. Czuł zapach dymu z wystrzałów, czuł zapach krwi i zdawał sobie sprawę, że jego godzina wybiła. Już nigdy nie zobaczy Lindy ani córek. Kulejący przyszedł po Barbiego, ale po drodze nie przeoczy zamkniętego w klatce asystenta lekarza.

Ukazała się pierś Juniora, potem jego szyja i wreszcie głowa. Ryży zobaczył jego usta, opadające po lewej stronie w zastygłym obleśnym uśmiechu, i lewe oko, które płakało krwią. Bardzo z nim źle, pomyślał. Cud, że w ogóle trzyma się na nogach, i szkoda, że jeszcze trochę nie zaczekał. Wkrótce nie byłby już w stanie przejść przez ulicę.

Jakby z innego świata dobiegł głos z ratusza, słabo słyszalny, choć wzmacniany przez megafon:

- NIE UCIEKAJCIE! BEZ PANIKI! ZAGROŻENIE MINĘŁO! MÓWI POSTERUNKOWY HENRY MORRISON. POWTARZAM: ZAGROŻENIE MINĘŁO!

Junior pośliznął się, ale wtedy był już na ostatnim stopniu. Zamiast przewrócić się i złamać sobie kark, tylko upadł na jedno kolano. Przez dłuższą chwilę odpoczywał w tej pozycji jak bokser, który czeka, aż sędzia odliczy do ośmiu, żeby wstać i kontynuować walkę. Ryżemu wydawało się, że ten świat, jakże dla niego ważny, nagle stał się rozrzedzony, niematerialny i był już tylko pojedynczą warstwą gazy dzielącą go od tego, co będzie potem. O ile będzie cokolwiek.

Przewróć się! - nakazał w myśli Juniorowi. Zwał się na pysk. Strać przytomność, skurwysynu!

Ale Junior z wysiłkiem podźwignął się na nogi, wbił wzrok w pistolet w swojej dłoni, jakby widział takie dziwo pierwszy raz w życiu, po czym spojrzął w głąb korytarza, ku celi na końcu, gdzie Barbie stał z rękami zaciśniętymi na kratkach i patrzył na niego.

- Baaarbie - wyszeptał Junior śpiewnie i ruszył naprzód.

Ryży cofnął się o krok z nadzieją, że morderca go nie zauważy. I zabije się, jak skończy z Barbie. Wiedział, że to tchórzliwe myśli, ale wiedział też, że to myśli praktyczne. Nie mógł nic zrobić dla Barbiego, lecz sam może zdoła przeżyć.

I może by mu się upiekło, gdyby był w jednej z cel po lewej stronie korytarza, bo Junior nie widział na tamto oko. Cóż, kiedy zamknęli go w celi po prawej i Junior zauważył poruszenie. Zatrzymał się, spojrzął na Ryżego. Jego na poły zastygła twarz ułożyła się w minę zdumioną i chytrą jednocześnie.

- Fyszy - powiedział. - Tak ci na imię? A może inaczej? Nie pamiętam.

Ryży chciał błagać o darowanie życia, ale język przywarł mu do podniebienia. Zresztą co mu da błaganie? Ten młody człowiek już podnosił pistolet. Zaraz strzeli. Nic na tym świecie go nie powstrzyma.

W krańcowej desperacji Ryży szukał tego samego zapomnienia, co wielu innych w ostatnich chwilach przytomności - przed przerwaniem przełącznika, otwarciem klapy w podłodze, strzałem z pistoletu przyciśniętego do skroni. To sen, pomyślał. Wszystko, od początku do końca. Klosz, szaleństwo na łące Dinsmore'a, splądrowanie sklepu; i ten młody człowiek. Kiedy pociągnie za spust, sen się skończy, a ja obudzę się w moim własnym łóżku, w chłodny, rześki jesienny poranek. Odwrócę się do Lindy i powiem: „Ależ miałem koszmar, nie uwierzysz”.

- Zamknij oczy, Fyszy - powiedział Junior. - Tak będzie lepiej.

28

Pierwszą myślą Jackie Wettington po wejściu do holu komisariatu była: O mój Boże, wszędzie krew.

Stacey Moggin leżała przy ścianie pod tablicą informacyjną programu współpracy z mieszkańcami, z rozpostartą wokół głowy burzą blond włosów i pustymi oczami utkwionymi w suficie. Inny policjant - nie poznała, który to - zwiślał z przewróconego biurka z nogami rozstawionymi w niewiarygodnie szerokim szpagacie. Za nim, w sali odpraw, trzeci gliniarz leżał martwy na boku. To musiał być Wardlaw, jeden z nowych. Nikt inny nie był tak

potężnie zbudowany. Jego krew i mózg zbryzgały napis nad stolikiem z ekspresem do kawy. Teraz był on treści K WAI PAŃ NIE SĄ DARMO.

Zza jej pleców dobiegło ciche stuknięcie. Obróciła się gwałtownie i dopiero kiedy zobaczyła w celowniku Romea Burpeego, uświadomiła sobie, że podniosła broń. Rommie nawet jej nie zauważył; wpatrywał się w trzech martwych policjantów. Tym, co stuknęło, była jego maska Dicka Cheney, którą zdjął i upuścił na podłogę.

- Jezu, co tu się stało? - spytał. - Czy to... Nie dokończył, bo z paki dobiegł okrzyk:

- Hej, jebańcu! Ale cię załatwiłem, co? Na cacy!

A potem, nie do wiary, śmiech. Piskliwy, maniackalny. Jackie i Rommie przez chwilę mogli tylko patrzeć na siebie, niezdolni do jakiegokolwiek ruchu.

Aż w końcu Rommie powiedział:

- Zdaje się, że to Barbara.

29

Ernie Calvert siedział za kierownicą furgonetki firmy telekomunikacyjnej, która stała z włączonym silnikiem przy krawężniku, obok napisu TYLKO DLA INTERESANTÓW. MAKSYMALNY CZAS POSTOJU 10 MIN. Pozamykał wszystkie drzwi w obawie, że któryś ze spanikowanych ludzi uciekających z ratusza będzie chciał ją ukraść. Wyjął nawet zza fotela kierowcy karabin, który schował tam Rommie, choć nie był pewien, czy potrafiłby strzelić do kogoś, kto próbowałby się włamać; znał tych ludzi, od lat sprzedawał im żywność. Przerażenie sprawiło, że ich twarze wyglądały obco, ale to nie znaczyło, że swych klientów i sąsiadów nie rozpoznawał.

Widział Henry'ego Morrisona, który kursował tam i z powrotem po trawniku przed ratuszem jak pies gończy wietrzący trop, krzyczał coś przez megafon i usiłował choć trochę zapanować nad chaosem. Ktoś go przewrócił, ale Henry natychmiast się podniósł. Bóg z nim.

A oto i pozostali: George Frederick, Marty Arsenault, młody Searles (łatwo go było poznać po bandażu, który wciąż nosił na głowie), obaj bracia Bowie, Roger Killian i kilku innych nowych policjantów. Freddy Denton schodził po szerokich schodach ratusza z pistoletem w ręku. Ernie nigdzie nie widział Randolpha, choć ktoś, kto nie znał realiów, mógłby uważać, że sam komendant policji powinien dowodzić akcją przywracania porządku, która nawiasem mówiąc, sama była o krok od popadnięcia w chaos.

Ernie realia znał. Peter Randolph zawsze był nieudolnym fanfaronem i jego nieobecność na tym konkretnym Bajzel Show wcale go nie dziwiła. Ani nie niepokoiła. Niepokoiło go co innego - fakt, że nikt nie wychodził z komisariatu, a w środku padły kolejne

strzały. Stłumione, jakby dobiegły z piwnicy, w której trzymano więźniów.

Ernie, zwykle niezbyt bogobożny, teraz zaczął się modlić. Żeby nikt z uciekających z ratusza nie zauważył starego człowieka za kierownicą furgonetki stojącej z zapalonym silnikiem. Żeby Jackie i Rommie wyszli cali i zdrowi, z Barbarą i Everettem czy bez nich. Przyszło mu do głowy, że mógłby po prostu odjechać. Wstrząsające, jak kusząca była to myśl.

Zadzwoniła jego komórka.

Przez chwilę siedział nieruchomo, niepewny, co właściwie słyszy, po czym wyszarpnął ją zza pasa. W okienku zobaczył JOANIE. Jednak dzwoniła nie jego synowa, lecz Norrie.

- Dziadziu! Wszystko w porządku?

- Tak - powiedział, patrząc na otaczający go chaos.

- Wyciągnęliście ich?

- Właśnie to robią, kochanie - odparł z nadzieją, że to prawda. - Nie mogę rozmawiać. Nic wam nie grozi? Jesteście... tam?

- Tak! Dziadziu, to w nocy świeci! Pas promieniowania! Samochody też świeciły, ale przestały! Julia mówi, że to nie jest niebezpieczne! Że to tylko tak dla picu, by odstraszać ludzi!

Lepiej na to nie licz, pomyślał Ernie.

Z komisariatu dobiegły dwa następne stłumione, głuche odgłosy wystrzałów. Na dole, w pace, ktoś zginął; nie było innej możliwości.

- Norrie, nie mogę teraz rozmawiać.

- Będzie dobrze, dziadziu?

- Tak, tak. Kocham cię, Norrie.

Schował telefon. To świeci, pomyślał. Był ciekaw, czy kiedykolwiek zobaczy to na własne oczy. Wzgórze Black Ridge było blisko (w małym mieście wszystko jest blisko), teraz jednak wydawało się odległe. Spojrzał na drzwi komisariatu, próbując zmusić swoich przyjaciół siłą woli, żeby wyszli. A kiedy tego nie zrobili, wysiadł z wozu. Nie mógł tu dłużej sterczeć. Musiał wejść do środka i sprawdzić, co się dzieje.

30

Barbie zobaczył, jak Junior podnosi broń. Usłyszał, jak Junior mówi Ryżemu, żeby zamknął oczy. Krzyknął bez namysłu:

- Hej, jebańcu! Ale cię załatwiłem, co? Na cacy!

I zaśmiał się jak wariat, który miga się od przyjmowania leków.

A więc tak się śmieję, kiedy szykuję się na śmierć, pomyślał Barbie. Będę to musiał zapamiętać. Co rozbawiło go jeszcze bardziej.

Junior odwrócił się do niego. Na prawej stronie jego twarzy odbiło się zaskoczenie; lewa zastygła w gniewnym grymasie. Na ten widok Barbiemu przypomniał się jakiś czarny charakter, o którym czytał w dzieciństwie, pewnie jeden z wrogów Batmana, ci zawsze byli najstraszniejsi. Potem przypomniało mu się, że kiedy jego młodszy brat Wendell próbował powiedzieć „wróg”, wychodziło mu „fiuk”, i to rozśmieszyło go jak jeszcze nic w życiu.

W sumie to nie taka najgorsza śmierć, pomyślał, kiedy wysunął obie dłonie za kraty i pokazał Juniorowi dwa środkowe palce. Co mówił Stubb z „Moby Dicka”? „Jakikolwiek los mnie czeka, wyjdę mu na spotkanie ze śmiechem”.

Junior zobaczył gest Barbiego - w stereo - i zupełnie zapomniał o Ryżym. Ruszył w głąb krótkiego korytarza z pistoletem w wyciągniętej ręce. Zmysły Barbiego były niezwykle wyostrzone, ale im nie ufał. Kroki i głosy na górze to na pewno tylko złudzenie. Grać trzeba do ostatniego gwizdka. Choćby po to, żeby dać Ryżemu jeszcze kilka oddechów i chwil życia.

- Wreszcie jesteś, śmierdziu - powiedział. - Pamiętasz, jak ci obiłem mordę tamtego wieczoru w karczmie? Ryczałeś jak ostatnia cipa.

- Wcale nie.

Zabrzmiało to jak nazwa egzotycznego dania w chińskiej restauracji. Junior nie mówił. Bełkotał. Krew z lewego oka ściekała mu po pokrytym ciemnym zarostem policzku. Barbie pomyślał, że może ma szansę. Niewielką, owszem, ale lepsze to niż nic. Zaczął chodzić od ściany do ściany przed swoją pryczą i sedesem, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Teraz już wiem, jak czuje się mechaniczna kaczka na strzelnicy, pomyślał. To też będę musiał zapamiętać.

Junior śledził jego ruchy zdrowym okiem.

- Zerznąłeś ją? Zerznąłeś Angie? - „Fefnąłeś fią? Fefnąłeś An - fii?”.

Barbie się zaśmiał. W tym szalonym śmiechu nadal nie rozpoznawał własnego, ale nie było w nim krzty fałszu.

- Czy ją zerznąłem? A jak myślisz? Junior, ruchałem ją, w co popadnie, od przodu i od tyłu, na lewym i prawym boku. Ruchałem ją, aż śpiewała „Hail to the Chief i „Bad Moon Rising”. Ruchałem ją, aż waliła pięścią w podłogę i żądała jeszcze. Ruchałem ją...

Junior przechylił głowę w stronę pistoletu. Widząc to, Barbie bez zwłoki rzucił się w lewo. Junior strzelił. Kula trafiła w mur na końcu celi, rozrzucając wokół ciemnoczerwone odpryski. Część uderzyła w kraty - choć od huku dzwoniło mu w uszach, Barbie usłyszał metaliczny grzechot, jakby ziaren groszku w blaszanym kubku - ale żaden nie trafił tego

potwora z pistoletem w ręku. Cholera. W głębi korytarza Ryży krzyknął coś, pewnie usiłując odwrócić uwagę Juniora, ale na to było już za późno. Junior miał swój najważniejszy cel na muszce.

O nie, nie tak szybko, pomyślał Barbie. Wciąż się śmiał. To było wariactwo, obłęd, ale co tam. Nie tak szybko, ty jednooki skurwysynu.

- Mówiła, że ci nie stawał, Junior. Nazywała cię El Flaczasty Supremo. Śmialiśmy się z tego, kiedy się... - Skoczył w prawo w tej samej chwili, kiedy Junior pociągnął za spust. Tym razem usłyszał świst kuli tuż obok skroni. W powietrze znów wzbiły się odpryski cegły. Jeden dziabnął Barbiego w kark.

- No, Junior, co z tobą? Strzelasz tak, jak świstaki rachują. Masz źle w głowie? Angie i Frank zawsze tak mówili...

Barbie zamarkował ruch w prawo, po czym przebiegł na lewą stronę celi. Junior strzelił trzy razy. Huk był ogłuszający, swąd spalonego prochu mocny i intensywny. Dwa pociski utkwily w murze, trzeci z głośnym „dziąg” trafił w dolną część metalowego sedesu. Woda zaczęła wylewać się na podłogę. Barbie wpadł na ścianę celi z takim impetem, że zęby mu zadzwoniły.

- Mam cię - wydyszał Junior. „Mam fię”. Ale w najgłębszej głębi szczątków swojej przegrzanej maszyny do myślenia wcale nie był tego taki pewny. Lewe oko miał ślepe, prawe przesłaniała mgła. Widział nie jednego, lecz trzech Barbiech.

Strzelił i tym razem znienawidzony sukinsyn padł na podłogę. Ta kula też chybiła. Na środku poduszki w wezłowie pryczy otworzyło się małe czarne oko. Ale przynajmniej Barbie leżał. Koniec z tymi jego płasami. Dzięki Bogu, że załadowałem nowy magazynek, pomyślał Junior.

- Otrułeś mnie, Baaarbie.

Barbie nie miał pojęcia, o czym on mówi, ale skwapliwie przytaknął.

- A żebyś wiedział, gnoju parszywy. Żebyś, kurwa, wiedział. Junior wsunął berette przez kraty i zamknął chore lewe oko; dzięki temu liczba Barbiech zmalała do dwóch. Przygryzł język. Po jego twarzy lała się krew i pot.

- Teraz spróbuj pobiegać, Baaarbie.

Barbie biegać nie mógł, czołgał się prosto na Juniora. Następną kulą świsnęła mu nad głową i jak przez mgłę poczuł pieczenie pośladka; pocisk rozdarł mu dzinsy i majtki, zerwał naskórek pod nimi.

Juniora odrzuciło do tyłu. Potknął się, mało nie upadł, przytrzymał się krat celi i podniósł z powrotem na nogi.

- Nie ruszaj się, skurwysynu!

Barbie zaczął macać pod pryczą w poszukiwaniu noża. Zupełnie o nim zapomniał.

- Chcesz dostać w plecy? - usłyszał głos Juniora za sobą. - No dobra, mnie tam bez różnicy.

- Strzelaj! - krzyknął Ryży. - Strzelaj!!!

Zanim padł następny strzał, Barbie zdążył pomyśleć: Jezu Chryste, Everett, po czyjej ty stronie jesteś?

31

Jackie zeszła po schodach, Rommie za nią. Zdążyła tylko zauważyć mgiełkę dymu z wystrzałów unoszącą się wokół okratowanych lamp i poczuć swąd prochu, gdy Ryży Everett zaczął krzyczeć: „Strzelaj! Strzelaj!!!”.

Zobaczyła Juniora Renniego na końcu korytarza, uczeponego krat celi, którą gliny czasem nazywały Ritzem. Coś krzyczał, ale tak bełkotał, że nic się nie dało zrozumieć.

Nie myślała. Nie kazała też Juniorowi podnieść rąk i się odwrócić. Po prostu wpakowała mu dwie kule w plecy. Jedna wbiła się w jego prawe płuco, druga przeszła serce. Junior umarł, zanim osunął się na podłogę, z twarzą wciśniętą między kraty i oczami podciągniętymi do góry tak mocno, że wyglądał jak japońska maska pośmiertna.

Zza niego wyłonił się Dale Barbara we własnej osobie, kucający na pryczy ze skrzętnie ukrywanym nożem w dłoni. Nawet nie miał okazji go rozłożyć.

32

Ktoś złapał posterunkowego Henry'ego Morrisona za ramię. Freddy Denton. Nie był tego wieczoru jego ulubieńcem i już nigdy nim nie będzie. Nie żeby kiedykolwiek był, pomyślał Henry gorzko.

Denton wskazał palcem.

- Po co ten stary dureń Calvert idzie na komisariat?

- A skąd mam, do cholery, wiedzieć? - spytał Henry i złapał przebiegającego obok Donniego Baribeau, który wykrzykiwał jakieś brednie o terrorystach. - Zwolnij! - ryknął Donniemu w twarz. - Już po cyrku! Wszystko gra!

Donnie strzygł Henry'ego i opowiadał mu te same zwietrzałe dowcipy dwa razy w miesiącu przez ostatnie dziesięć lat, ale teraz spojrział na niego jak na zupełnie obcego człowieka. Potem wyrwał się i pobiegł w kierunku East Street, gdzie był jego zakład. Może

chciał się tam schronić.

- Cywile nie mają dziś czego szukać na komisariacie - powiedział Freddy. Mel Searles dopadł do niego.

- To może byś tak to sprawdził, snajperze? - rzucił Henry. - I zabierz tego tłuca ze sobą. Bo tu nie ma z was żadnego pożytku.

- Sięgała po broń - powiedział Freddy po raz pierwszy i nie ostatni. - I nie chciałem jej zabić. Tylko, no, drasnąć ją.

Henry nie miał zamiaru o tym dyskutować.

- Idź tam i wyproś staruszka. Przy okazji upewnij się, że nikt nie próbuje odbić więźniów, kiedy my tu latamy jak kury z urzniętymi głowami.

Otępiały oczy Freddy'ego Dentona rozblęły.

- Więźniowie! Mel, idziemy!

Ledwie ruszyli, a już zatrzymał ich wzmocniony megafonem głos Henry'ego, stojącego trzy metry za nimi.

- I SCHOWAJCIE BRONŃ, IDIOCI!

Freddy wykonał polecenie, Mel też. Przecięli War Memorial Plaza i wbiegli na schody komisariatu z pistoletami w kaburach, co zapewne było bardzo korzystne dla dziadka Norrie.

33

Wszędzie krew, pomyślał Ernie, dokładnie tak jak Jackie. Patrzył z przerażeniem na tę krwawą jatkę, dopiero po dłuższej chwili mógł się ruszyć. Kiedy Rupe Libby wpadł na biurko, wszystko się z szuflad wysypało. Pośród szpargałów leżał czerwony plastikowy prostokąt. Ernie modlił się, by ci na dole mieli jeszcze po co z niego skorzystać.

Właśnie schylał się, żeby go podnieść (i mówił sobie, że nie może się porzygać, że w dolinie A Shau w Wietnamie było dużo gorzej), kiedy ktoś za jego plecami powiedział:

- Ożeż ja cię w mordę! Wstawaj, Calvert, powoli. Ręce do góry.

Ale Freddy i Mel jeszcze nie dobyli broni, kiedy u szczytu schodów ukazał się Rommie, który przyszedł poszukać tego, co Ernie już znalazł. W rękach miał samopowtarzalny black shadow ze swojego sejfu i bez wahania wymierzył go w dwóch policjantów.

- Możecie wejść, chłopaki - powiedział. - I trzymajcie się razem. Ramię w ramię. Jak zobaczę między wami prześwit, strzelę. I nie myślcie, że tak tylko ozorem chlapię.

- Odłóż to - rzekł Freddy. - Jesteśmy z policji.

- Kutasy jesteście, nie policja. Stańć mi tam, pod tablicą ogłoszeniową. I dalej ocierać

się ramionami. Ernie, co ty tu robisz, u licha?

- Usłyszałem strzały. Zaniepokoiłem się. - Ernie Calvert uniósł czerwoną kartę magnetyczną otwierającą cele. - To powinno się wam przydać. Chyba że... chyba że nie żyją.

- Żyją, ale niewiele brakowało. Zanieś to Jackie. Ja popilnuję chłopaków.

- Nie możecie ich uwolnić, są więźniami - zaprotestował Mel. - Barbie to morderca. Ten drugi szantażował pana Renniego jakimiś lewymi papierami... czy coś.

Rommie nie tracił czasu na odpowiedź.

- Idź już, Ernie. Szybko.

- Co z nami będzie? - spytał Freddy. - Nie zabijesz nas, co?

- Po co miałbym cię zabijać, Freddy? Wisisz mi jeszcze za tę glebogryzarkę, co ją kupiłeś na wiosnę. I zalegasz z ratami. Nie, zamkniemy was w pace. Zobaczymy, jak wam się tam spodoba. Trochę capi szczynami, ale kto wie, może to wam podpasuje.

- Musieliście zabić Micka? - spytał Mel. - To był tylko mało rozgarnięty dzieciak.

- Nikogośmy nie zabili. Wasz koleżka Junior to zrobił - powiedział Rommie. Choć jutro wieczorem już nikt nie będzie w to wierzył, pomyślał.

- Junior! - krzyknął Freddy. - Gdzie jest?

- Jakbym miał zgadywać, powiedziałbym, że przerzuca węgiel w piekle. Taką robotę dają tam nowym.

34

Barbie, Ryży, Jackie i Ernie weszli na górę. Dwaj byli więźniowie wyglądali, jakby nie do końca mogli uwierzyć, że żyją. Rommie i Jackie zaprowadzili Freddy'ego i Mela do paki. Na widok skulonego Juniora Mel wykrzyknął:

- Pożalujecie tego!

- Zamknij ryja i włącz do swojego nowego domu - nakazał mu Rommie. - Będziecie w jednej celi. Zawsze to różniej.

Jak tylko Rommie i Jackie wrócili na górę, dwaj zamknięci w pace zaczęli wrzeszczeć.

- Więcej stąd, dopóki możemy - powiedział Ernie.

35

Na schodach przed budynkiem Ryży spojrzął w górę na różowe gwiazdy i odetchnął powietrzem, które jednocześnie śmierdziało i pachniało nadzwyczaj słodko. Odwrócił się do Barbiego.

- Myślałem, że już nigdy nie zobaczę nieba.

- Ja też. Pyskajmy stąd, póki jest okazja. Co powiesz na Miami Beach?

Ryży wciąż jeszcze się śmiał, kiedy wsiadał do furgonetki. Kilku policjantów było na trawniku przed ratuszem i jeden z nich - Todd Wendlestat - spojrzał w stronę komisariatu. Ernie mu pomachał; Rommie i Jackie poszli za jego przykładem. Wendlestat odpowiedział tym samym gestem, po czym schylił się, by pomóc kobiecie, która wyłożyła się w trawę, kiedy zawiodły ją wysokie obcasy.

Ernie zwarł kable elektryczne zwisające pod deską rozdzielczą. Silnik zaskoczył, boczne drzwi zamknęły się z trzaskiem i furgonetka zjechała na drogę. Powoli potoczyła się Town Common Hill pod górę, omijając nielicznych oszołomionych uczestników zgromadzenia, którzy szli po jezdni. Wkrótce centrum miasta zostało z tyłu i wóz skierował się ku Black Ridge, nabierając prędkości.

MRÓWKI

1

Po raz pierwszy zobaczyli poświatę za zardzewiałym starym mostem, pod którym nie było już nic oprócz mulistej strużki. Barbie wychylił się do przodu między przednimi siedzeniami furgonetki.

- Co to? Wygląda jak największy zegar Indiglo na świecie.

- Promieniowanie - odparł Ernie.

- Bez obaw - dorzucił Rommie. - Blachy mamy aż nadto.

- Kiedy na was czekałem, Norrie zadzwoniła do mnie z telefonu matki - powiedział Ernie. - Mówiła o tym promieniowaniu. Podobno według Julii to tylko taki... strach na wróble, że tak powiem. Nic groźnego.

- Wydawało mi się, że Julia kończyła dziennikarstwo, nie fizykę - stwierdziła Jackie. - Bardzo jest miła i bystra, ale mimo wszystko opancerzymy tę furę, co? Bo nie uśmiecha mi się dostać raka jajników albo piersi w prezencie na czterdzieste urodziny.

- Pojedziemy gazem - obiecał Rommie. - Możesz sobie nawet położyć kawałek tej blachy na dzinsach, jak chcesz się czuć pewniej.

- Takie to śmieszne, że zapomniałam się zaśmiać - odparowała... po czym mimo wszystko parsknęła śmiechem, kiedy wyobraziła sobie siebie w ołowianych gatkach, z modnymi wcięciami po bokach.

Dojechali do martwego niedźwiedzia pod słupem telefonicznym. Zobaczyliby go, nawet gdyby mieli zgaszone światła, bo w tym miejscu połączony blask różowego księżyca i pasa promieniowania był dość silny, by dało się przy nim czytać gazetę.

Podczas gdy Rommie i Jackie zasłaniaли okna furgonetki blachą, pozostali ustawili się w półkolu wokół rozkładającego się niedźwiedzia.

- Nie od promieniowania - myślał Barbie na głos.

- Nie - zgodził się Ryży. - To samobójstwo. - I nie jest jedyny.

- Tak. Ale wydaje się, że mniejszym zwierzętom nic nie grozi. Widzieliśmy z dziećmi sporo ptaków, a w sadzie była wiewiórka. Całkiem zwawa.

- Czyli Julia prawie na pewno ma rację - stwierdził Barbie. - Świetny pas to jeden strach na wróble, a martwe zwierzęta drugi. To tak jakby na wszelki wypadek nosić i pasek, i szelki.

- Nie chwytam, przyjacielu - powiedział Ernie.

Za to Ryży, który na studiach medycznych poznał zasadę podwójnego zabezpieczenia, rozumiał doskonale.

- Dwa ostrzeżenia, żeby nie iść dalej - wytłumaczył. - Martwe zwierzęta w dzień, świecący pas promieniowania nocą.

- Zawsze myślałem - wtrącił Rommie, który dołączył do nich na skraju drogi - że promieniowanie świeci tylko w filmach science fiction.

Ryżego korciło, by powiedzieć mu, że właśnie żyją w filmie science fiction, a przekona się o tym, kiedy podejdzie bliżej do tej dziwnej skrzynki na wzgórzu. Ale oczywiście Rommie miał rację.

- Bo ono ma być widoczne - rzekł. - Po to są też martwe zwierzęta. Masz je zobaczyć i pomyśleć: Hm, jeśli działa tam jakiś promień powodujący samobójstwa dużych ssaków, lepiej nie będę tam wchodził. W końcu sam jestem dużym ssakiem.

- Ale dzieciaków to nie odstraszyło - zauważył Barbie.

- Bo są młodzi - powiedział Ernie. I dodał po chwili namysłu: - Poza tym to deskorolkarze. Są z innej gliny ulepiani.

- Nadal mi się to nie podoba - stwierdziła Jackie - ale skoro i tak nie mamy wyboru, może przejedźmy przez ten Pas Van Allena, zanim stracę resztki odwagi. Po tym, co się stało na komisariacie, trochę jestem roztrzęsiona.

- Moment - powstrzymał ją Barbie. - Coś tu nie pasuje. Mniej więcej wiem co, ale muszę chwilę pomyśleć, jak to wyrazić słowami.

Czekali. Księżyc i promieniowanie oświetlały szczątki niedźwiedzia. Barbie patrzył na nie. Wreszcie uniósł głowę.

- No dobra, oto co nie daje mi spokoju. Są jacyś „oni”. Wiemy o tym, bo skrzynka, którą znalazł Ryży, to nie jest naturalne zjawisko.

- Bez dwóch zdań, to przedmiot wytworzony - powiedział Ryży. - Ale nie na Ziemi. Dałbym sobie za to głowę uciąć. - Wtedy przypomniał sobie, jak niewiele brakowało niecałą godzinę temu, by głowę mu odstrzelono, i zadrżał.

- Na razie to pomińmy - rzekł Barbie. - Są jacyś „oni” i gdyby naprawdę chcieli trzymać nas na dystans, mogliby to zrobić. W końcu trzymają cały świat z dala od Chester's Mill. Gdyby chcieli dopilnować, żebyśmy nie zbliżali się do ich skrzynki, czemu nie osłonili jej minikloszem?

- Albo harmonicznym dźwiękiem, który usmażyłby nasze mózgi jak kurze udka w mikrofalach - zasugerował Ryży, wczuwając się w atmosferę chwili. - Czy po prostu

prawdziwym promieniowaniem.

- Może to jest prawdziwe promieniowanie - zauważył Ernie. - Co więcej, licznik Geigera, któryście tu przytaszczyli, w zasadzie to potwierdził.

- Owszem - przyznał Barbie - ale czy to znaczy, że to, co licznik Geigera odczytuje, jest niebezpieczne? Ani Ryży, ani dzieci nie mają zmian chorobowych, nie tracą włosów ani nie wymiotują wyściółką żołądka.

- Przynajmniej na razie - mruknęła Jackie.

- Optymistka - rzucił Rommie. Barbie zignorował te dygresje.

- Skoro mogą stworzyć barierę tak mocną, że odbija najlepsze rakiety Ameryki, na pewno mogliby wygenerować pas promieniowania, który by zabijał od razu. To leżałoby nawet w ich interesie. Paru ludzi, którzy zginęliby straszną śmiercią, zniechęciłoby ciekawskich dużo skuteczniej niż kilka martwych zwierząt. Nie, myślę, że Julia ma rację i ten tak zwany pas promieniowania okaże się nieszkodliwą poświatą, podrasowaną tak, by rejestrowały ją nasze detektory. Które tym istotom pozaziemskim pewnie wydają się prymitywne jak diabli.

- Ale po co to? - wybuchnął Ryży. - Na co im w ogóle bariera? Nie mogłem podnieść tego cholerstwa ani nawet go poruszyć! A kiedy położyłem na tym ołowiowy fartuch, to się zapalił. Choć sama skrzynka jest chłodna w dotyku!

- Jeśli ją chronią, musi być jakiś sposób, żeby ją zniszczyć albo wyłączyć - odezwała się Jackie. - Tylko że...

Barbie uśmiechał się do niej. Czuł się dziwnie, prawie jakby unosił się nad własną głową.

- Śmiało, Jackie. Powiedz to.

- Tylko że tak naprawdę wcale jej nie chronią, prawda? Nie przed tymi, którzy są zdeterminowani do niej podejść.

- To nie wszystko - dorzucił Barbie. - Czy nie można by powiedzieć, że właściwie wskazują ją palcem? Joe McClatchey i jego przyjaciele praktycznie szli szlakiem z okruszków.

- Macie, nędzni Ziemianie - powiedział Ryży. - I co możecie z tym zrobić wy, którzy macie dość odwagi, by podejść?

- Tak to mniej więcej wygląda - stwierdził Barbie. - Ruszajmy na górę.

- Lepiej oddaj mi kierownicę - powiedział Ryży do Ernego. - Kawalek dalej jest

miejsce, gdzie dzieciaki zemdlały, a Rommiemu niewiele do tego zabrakło. Ja też coś czułem. I miałem taką jakby halucynację. Zobaczyłem kukłę na Halloween, która stanęła w ogniu.

- Następne ostrzeżenie? - spytał Ernie.

- Nie wiem.

Ryży wyjechał z lasu na otwarty, skalisty teren ciągnący się pod górę do sadu McCoyów. Światło przed nimi było tak jasne, że musieli zmrużyć oczy, ale blask ten nie miał żadnego źródła, wisiał w powietrzu i tyle. Jak świecenie robaczek świętojańskich, tyle że milion razy silniejsze. Pas miał pięćdziesiąt metrów szerokości. Za nim znów zaczynała się ciemność, rozpraszana tylko różową księżycową poświatą.

- Jesteś pewien, że tym razem nie zaślabniesz? - spytał Barbie.

- To chyba tak jak z dotykaniem klosza; po pierwszym razie jest się uodpornionym. - Ryży usiadł wygodnie za kierownicą, wrzucił bieg i powiedział: - A teraz, panie i panowie, trzymajcie się i uważajcie, żeby sztuczne szczęki wam nie wyleciały.

Wecisnął pedał gazu tak mocno, że tylne koła zabuksowały. Furgonetka wjechała w światło. Byli zbyt dobrze opancerzeni, by zobaczyć, co stało się potem, ale widziało to kilkoro ludzi, którzy czekali na górze i obserwowali ich - z narastającym niepokojem - ze skraju sadu. Wóz przez chwilę był doskonale widoczny, jak gdyby skupił się na nim snop światła reflektora. Kiedy wyjechał ze świetlnego pasa, przez kilka sekund jarzył się jak pokryty warstwą radu. I niczym kometa ciągnął za sobą stopniowo przygasający, jasny ogon.

- O ja cię kręcę! - wykrzyknął Benny. - To najlepszy efekt specjalny, jaki w życiu widziałem.

A potem poświata otaczająca furgonetkę zgasła i ogon zniknął.

3

Kiedy jechali przez świetlny pas, Barbie poczuł lekki zawrót głowy; nic ponadto. W oczach Erniego świat rzeczywisty - ta furgonetka, otaczający go ludzie - zniknął i zastąpiło go wnętrze pokoju hotelowego, wypełnione zapachem sosny i rykiem wodospadu Niagara. I oto jego żona od raptem dwunastu godzin, ubrana w szlafrok, który był właściwie tylko tchnieniem lawendowego dymu, podeszła do niego, wzięła go za ręce, położyła je na swoich piersiach i powiedziała: „Tym razem nie będziemy musieli przestać, kochanie”.

Nagle usłyszał okrzyk Barbiego i wrócił do rzeczywistości.

- Ryży! Stój! Dostała jakiegoś ataku!

Ernie obejrzał się i zobaczył, że Jackie Wettington drży, ma wywrócone oczy i rozczapierzone palce.

- Podnosi krzyż i wszystko płonie! - krzyczała. Ślina tryskała jej z ust. - Świat płonie! Ludzie płoną! - Wydała przeraźliwy pisk.

Ryży omal nie wjechał do rowu, wrócił na środek jezdni, wyskoczył z wozu i pobiegł wokół maski do bocznych drzwi. Kiedy Barbie je rozsunał, Jackie skuloną dłonią ocierała ślinę z brody. Rommie obejmował ją ramieniem.

- Dobrze się czujesz? - spytał ją Ryży.

- Teraz już tak. Ja tylko... to było... wszystko stało w ogniu. Był dzień, ale było ciemno. Ludzie p - p - płonęli... - Rozplakała się.

- Mówiłaś coś o człowieku z krzyżem - powiedział Barbie.

- To był duży biały krzyż, na sznurku albo rzemyku. Miał go na piersi. Nagiej piersi. Potem podniósł go na wysokość swojej twarzy. - Zaczerpnęła powietrza i wypuściła je serią krótkich, urywanych wydechów. - Już zaciera mi się to w pamięci. Ale... o rany!

Ryży pokazał jej dwa palce i spytał, ile widzi. Jackie udzieliła poprawnej odpowiedzi i wodziła wzrokiem za jego kciukiem, kiedy przesuwał go najpierw z boku na bok, potem z góry na dół. Poklepał ją po ramieniu, po czym spojrzał nieufnie na świetlny pas. Jak to mówił Gollum o Bilbo Bagginsie? „Podstępny jest, sskarbie”.

- A co z tobą, Barbie? Wszystko gra?

- Uhm. Lekko zakręciło mi się w głowie i tyle. Ernie?

- Widziałem moją żonę. I hotelowy pokój, w którym spędziliśmy miesiąc miodowy. Wyraźnie jak na dłoni.

Wrócił pamięcią do chwili, kiedy żona do niego podeszła. Nie myślał o tym od lat, a to wstyd, zaniedbać tak piękne wspomnienie. Biel jej ud pod króciutkim szlafrokiem; regularny ciemny trójkąt jej włosów łonowych; sutki preżące się pod jedwabiem, niemal drapiące go w dłonie, kiedy wsunęła mu język w usta i oblizała wewnętrzną stronę jego dolnej wargi.

„Tym razem nie musimy przestać, kochanie”.

Ernie odchylił się na oparcie i zamknął oczy.

4

Ryży wjechał na wzniesienie - teraz już powoli - i zatrzymał wóz między stodołą a rozpadającym się domem. Były tam już furgonetki z restauracji Sweetbriar Rose i sklepu Burpeego oraz chevrolet malibu. Prius Julii stał w stodole. Horace siedział przy jego tylnym zderzaku, jakby pilnował samochodu. Nie wyglądał na szczęśliwego psa i nie wyszedł im na powitanie. Wewnątrz domu paliły się dwie lampy Coleman.

Jackie wskazała furgonetkę z napisem U BURPEEGO WYPRZEDAŻ TRWA

OKRĄGLY ROK z boku.

- A to skąd się tu wzięło? Twoja żona jednak zmieniła zdanie? Rommie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli tak myślisz, nie znasz Mishy. Nie, to Julii należą się podziękowania. Zwerbowała swoich dwóch superreporterów. Te chłopaki...

Urwał, kiedy spośród zalegających sad cieni, rozświetlonych księżycową poświatą, wyłoniły się Julia, Piper i Lissa Jamieson. Szły chwiejnym krokiem, ramię przy ramieniu, trzymały się za ręce i płakały.

Barbie podbiegł do Julii i wziął ją za ramiona. W wolnej dłoni niosła latarkę, którą upuściła na porośniętą chwastami ziemię przed domem. Podniosła oczy na Barbiego i zmusiła się do uśmiechu.

- Widzę, że pana wyciągnęli, pułkowniku Barbara. Jeden zero dla nas.

- Co wam się stało? - spytał Barbie.

Przybiegli Joe, Benny i Norrie, za nimi ich matki. Okrzyki małych ucichły, kiedy zobaczyli, w jakim kobiety są stanie. Horace ze szczekaniem rzucił się do swojej pani. Julia uklękła i wtuliła w niego twarz. Obwąchał ją, nagle się cofnął, usiadł i zawył. Julia ukryła twarz w dłoniach, jakby ze wstydu. Norrie wzięła Joego i Benny'ego za ręce. Byli poważni i wystraszeni. Pete Freeman, Tony Guay i Rose Twitchell wyłonili się z domu, ale nie podeszli; stali zbici w grupkę przy drzwiach kuchni.

- Poszłyśmy to obejrzyć - powiedziała Lissa matowym głosem. Jej zwykły niepoprawny optymizm pod hasłem „jeju, jakie życie jest piękne” zniknął bez śladu. - Uklękłyśmy wokół tego czegoś. Jest na tym symbol, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam... to nie z kabały...

- Okropność! - Piper ocierała oczy. - A potem Julia tego dotknęła. Ona jedna, ale my... my wszystkie...

- Widziałyście ich? - spytał Ryży. Julia opuściła ręce.

- Tak. Coś strasznego.

- Skórzane łby - powiedział Ryży.

- Co takiego? - zdziwiła się Piper. Potem skinęła głową. - Fakt, można ich tak nazwać. Twarze bez twarzy. Wysokie twarze.

Wysokie twarze, pomyślał Ryży. Znow pomyślał o swoich córkach wymieniających się z przyjaciółką Deanną słodyczami i tajemnicami. Potem przypomniał sobie najlepszego kumpla z lat dzieciństwa - w drugiej klasie pokłócili się na śmierć i życie - i ogarnęło go przerażenie.

- Co ci się stało? - zapytał Barbie zdezorientowany.

- Nic. Tylko... jak byłem mały, miałem kolegę. Nazywał się George Lathrop. Kiedyś dostał na urodziny lupę. I czasem... na przerwie... razem...

Ryży pomógł Julii wstać. Horace wrócił do niej, jakby to, co go wystraszyło, z czasem słabło, tak jak to było z poświatą otaczającą furgonetkę.

- Co robiliście? - spytała Julia, już prawie spokojna. - Powiedz.

- To było w starej podstawówce na Main Street. Tylko dwie sale, w jednej uczyły się klasy jeden - cztery, w drugiej pięć - osiem. Plac zabaw był niewybrukowany. - Zaśmiał się drżącym głosem. - Kurczę, nie było nawet wody bieżącej, tylko wychodek, który dzieciaki nazywały...

- Miodowym Domkiem - powiedziała Julia. - Też tam chodziłam.

- George i ja wymykaliśmy się za drabinki, pod samo ogrodzenie. Były tam mrowiska. Podpalaliśmy mrówki.

- Nie przejmuj się - powiedział Ernie. - Mnóstwo dzieci robi takie, a nawet gorsze rzeczy - On z paroma kolegami kiedyś zamoczyli ogon bezdomnego kota w nafcie i podpalili. To było wspomnienie, którym nie podzielił się z innymi. Głównie przez to, jak się śmialiśmy, kiedy ten kocina uciekł, pomyślał. O Boże, aleśmy mieli ubaw.

- Mów dalej - powiedziała Julia. - To już wszystko.

- Nieprawda - odparła.

- Słuchajcie - powiedziała Joanie Calvert. - Nie wątpię, że wspomnienia z dzieciństwa mają głęboki sens psychologiczny, ale raczej nie czas na...

- Cicho, Joanie - rzuciła Claire.

Julia ani na chwilę nie oderwała oczu od twarzy Ryżego.

- Czemu to dla ciebie takie ważne? - spytał Ryży. W tej chwili czuł się tak, jakby wokół nie było żadnych świadków. Jakby byli tu tylko we dwoje.

- Po prostu to powiedz.

- Któregoś dnia, kiedy... to robiliśmy... naszła mnie myśl, że mrówki też mają własne życie, swój mały świat. Wiem, to brzmi jak jakieś sentymentalne bzdety... Wtedy pomyślałem sobie: „Robimy im krzywdę. Spalamy je na ziemi i może smażyjemy żywcem w ich podziemnych domkach”. W przypadku tych, które poczuły na własnej skórze działanie lupy Georgiego, nie było wątpliwości. Niektóre przestawały się ruszać, ale większość rzeczywiście stawała w ogniu.

- To okropne - powiedziała Lissa. Znów trzymała ankh i kręciła nim z boku na bok.

- Tak. I pewnego dnia kazałem Georgiemu przestać. Nie chciał. Powiedział: „To

wojna jajcowa”. To pamiętam. Nie Jądrowa”, tylko „jajcowa”. Próbowałem zabrać mu lupę. No i zaraz się pobiliśmy i lupa się potłukła.

Urwał.

- Nie, to nie tak było, choć tak się wtedy tłumaczyłem i nawet lanie od ojca nie skłoniło mnie do zmiany tej wersji. Prawdą było to, co George powiedział swoim rodzicom: potłukłem to cholerstwo specjalnie. - Wskazał w mrok. - Tak samo rozbiłbym tamtą skrzynkę, gdybym mógł. Bo teraz to my jesteśmy mrówkami, a ona lupą.

Ernie znów pomyślał o kocie z płonącym ogonem. Claire McClatchey przypomniała sobie, jak w trzeciej klasie z najlepszą koleżanką usiadły na rozryczanej dziewczynie, której obie nie znosiły. Dziewczyna była nową uczennicą i miała śmieszny akcent z Południa, który sprawiał, że mówiła jak z ustami pełnymi purée. Im bardziej beczała, tym głośniej się śmiały. Romeo Burpee wspominał, jak tego wieczoru, kiedy Hillary Clinton popłakała się w New Hampshire, upił się, wznosił toast do ekranu i powiedział: „No to koniec z tobą, bekso, usuń się na bok, a męską robotę zostaw mężczyznom”.

Barbiemu przypomniała się pewna sala gimnastyczna: żar pustyni, smród gówna, śmiechy.

- Chcę to zobaczyć na własne oczy - powiedział. - Kto pójdzie ze mną?

Ryży westchnął. - Ja.

5

Podczas gdy Barbie i Ryży podchodzili do skrzynki z dziwnym symbolem i jasnym, pulsującym światłem, radny James Rennie był w celi zajmowanej do tego wieczoru przez Barbiego.

Carter Thibodeau pomógł mu podnieść ciało Juniora na pryczę.

- Zostaw mnie z nim - powiedział Duży Jim.

- Szefie, wiem, że musi być panu ciężko, ale jest ze sto spraw, którymi trzeba się zająć już teraz.

- Jestem tego świadom. I zajmę się nimi. Najpierw jednak muszę chwilę pobyc z moim synem. Pięć minut. Potem weźmiesz dwóch ludzi i zabierzecie go do zakładu pogrzebowego.

- Dobrze. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Junior był porządny gość.

- Wcale nie - powiedział Duży Jim łagodnym tonem człowieka, który mówi, jak jest, i tyle. - Ale był moim synem i kochałem go. A poza tym... ma to też swoje plusy.

Carter pomyślał.

- Wiem.

Duży Jim się uśmiechnął.

- Wiem, że wiesz. Zaczynam myśleć, że powinienem mieć takiego syna jak ty.

Carter pokraśniał z zadowolenia i wbiegł po schodach do sali odpraw.

Kiedy zniknął, Duży Jim usiadł na pryczy i położył głowę Juniora na swoich kolanach. Na twarzy chłopca nie było żadnych obrażeń, oczy zamknął mu Carter. Gdyby nie zakrzepła krew na koszuli, można by pomyśleć, że śpi.

Był moim synem i kochałem go...

To była prawda. Owszem, zamierzał poświęcić Juniora, ale miało to swój precedens: wystarczy przypomnieć sobie, co stało się na wzgórzu Kalwarii. I, jak Chrystus, chłopak umarł dla sprawy. Wszelkie szkody, jakie Andrea Grinnell wyrządziła swoją gadaniną, zostaną naprawione, jak tylko całe miasto usłyszy, że Barbie zabił kilku ofiarnych policjantów, w tym jedyne go syna ich przywódcy. Barbie na wolności, zapewne znowu snujący perfidne plany, był politycznym atutem.

Duży Jim posiedział jeszcze chwilę, rozczesując palcami włosy Juniora i w skupieniu wpatrując się w jego spokojną twarz. Potem, zniżonym głosem, zaśpiewał mu tak, jak robiła to jego żona, kiedy ich synek był jeszcze niemowlęciem w łóżeczku, patrzącym na świat szeroko otwartymi, pełnymi zadziwienia oczami.

- Płyn, dziecino, po niebie, księżycem srebrzystym; płyn, dziecino, po morzu rosy, pośród obłoków puszystych... płyn, dziecino, płyn... płyn przez morze...

Tu urwał. Nie pamiętał, jak było dalej. Podniósł głowę Juniora i wstał. Jego serce zatrzępotало gwałtownie i wstrzymał oddech... ale zaraz się uspokoiło. Pewnie koniec końców będzie musiał wziąć jeszcze trochę tych pastylek z apteki Andy'ego, ale na razie miał robotę.

6

Zostawił Juniora i powoli wszedł po schodach, trzymając się poręczy. Carter był w sali odpraw. Ciało już wyniesiono i podwójna warstwa gazet wchłaniała krew Micka Wardlawa.

- Chodźmy do ratusza, nim zaroi się tu od glin - powiedział do Cartera. - Dzień odwiedzin oficjalnie zaczyna się za... - spojrzął na zegarek - mniej więcej dwanaście godzin. Mamy dużo roboty.

- Wiem.

- I nie zapomnij o moim synu. Chcę, żeby Bowie zrobili wszystko, jak należy. Ciało ma wyglądać godnie, trumna ma być porządna. Powiedz Stewartowi, że go zabiję, jeśli zobaczę Juniora w czymś z tej tandety, którą trzyma na zapleczu.

- Zajmę się tym. - Carter zapisał polecenia w notesie.

- I powiedz mu też, że niebawem z nim porozmawiam. - Kilku policjantów weszło frontowymi drzwiami. Byli bardzo młodzi i niedoświadczeni. Wydawali się przybici, z oczu wyczierał im strach. Duży Jim dźwignął się z krzesła, na którym przysiadł, żeby złapać oddech.

- Pora ruszać.

- Jasne - powiedział Carter. Ale przystanął. Duży Jim się obejrzał.

- Coś cię gryzie, synu?

Carterowi spodobało się to, że pan Rennie tak go nazwał. Jego rodzony ojciec zginął przed pięcioma laty. Rozbił pikapa na jednym z bliźniaczych mostów w Leeds. Nie była to wielka strata. Thibodeau senior znęcał się nad żoną i obydwoma synami (starszy brat Cartera obecnie służył w marynarce), ale to akurat Carterowi tak bardzo nie przeszkadzało; jego matka znieczulała się likierem kawowym, a sam Carter zawsze potrafił przyjąć parę ciosów ojca. Nie, u starego wkurzało go to, że był marudą i durniem. Ludzie myśleli, że Carter też jest durniem - kurde, nawet Junior tak uważał - ale się mylili. Pan Rennie to rozumiał i na pewno nie był marudą.

Carter stwierdził, że już się nie waha, co zrobić.

- Mam coś, co mogłoby się panu przydać.

- Co ty powiesz?

Wcześniej Carter skorzystał z tego, że Duży Jim pierwszy zszedł na dół, i skoczył do swojej szafki. Teraz otworzył ją i wyjął kopertę z wypisanym drukowanymi literami słowem VADER. Podał ją Dużemu Jimowi. Odcisnięty na niej krwawy ślad buta zdawał się świecić.

Duży Jim otworzył kopertę.

- Jim - powiedział Peter Randolph. Wszedł niezauważony, stał przy przewróconym biurku w rejestracji. Wyglądał na wyczerpanego.

- Chyba opanowaliśmy sytuację, ale nie mogę znaleźć kilku nowych funkcjonariuszy. Coś mi się widzi, że nas zostawili.

- Można to było przewidzieć - powiedział Duży Jim. - Wróć, jak tylko zapanuje spokój i zrozumieją, że Dale Barbara nie wpadnie do miasta na czele bandy krwiożerczych kanibali, by ich pożreć żywcem.

- Ale skoro mamy na głowie ten cholerny dzień odwiedzin...

- Jutro prawie wszyscy będą się zachowywać wzorowo, Pete, a jeśli trafią się wyjątki, jestem pewien, że mamy dość funkcjonariuszy, żeby sobie z nimi poradzić.

- A co zrobimy w związku z tą konferencją pra...

- Nie widzisz, że jestem ździebko zajęty? Nie widzisz tego, Pete? Na litość boską! Przyjdź za pół godziny do sali konferencyjnej w ratuszu. Omówimy wszystko, co tylko

zechcesz. Na razie zostaw mnie, do diaska, w spokoju.

- Oczywiście. Wybacz. - Pete wycofał się sztywny i obrażony.

- Stój - powiedział Rennie. Randolph znieruchomiał.

- Nie złożyłeś mi kondolencji z powodu śmierci syna.

- Ja... bardzo mi przykro.

Duży Jim zmierzył go spojrzeniem.

- I słusznie.

Kiedy Randolph wyszedł, Rennie wyciągnął papiery z koperty, rzucił na nie okiem, po czym wcisnął je z powrotem do środka. Spojrzał na Cartera z autentycznym zaciekawieniem.

- Czemu nie dałeś mi tego od razu? Zamierzałeś to zatrzymać? Teraz, kiedy już tę kopertę oddałeś, Carter nie widział innego wyjścia, jak tylko powiedzieć prawdę.

- Uhm. Przynajmniej na jakiś czas. Tak na wszelki wypadek.

- Na wszelki wypadek? Czego się obawiałeś? Carter wzruszył ramionami.

Duży Jim nie drażył tematu. Jako człowiek rutynowo zbierający haki na wszystkich, którzy mogliby mu bruździć, nie musiał. Bardziej interesowało go co innego.

- Czemu zmieniłeś zdanie?

Carter znów uznał, że jedyne wyjście to powiedzieć prawdę.

- Bo chcę być pańskim człowiekiem, szefie. Duży Jim uniósł krzaczaste brwi.

- Doprawdy. Bardziej niż on? - Wskazał ruchem głowy drzwi, którymi dopiero co wyszedł Randolph.

- On? Przecież to pajac.

- Tak. - Duży Jim położył dłoń na ramieniu Cartera. - To prawda. Chodź. A jak już będziemy w ratuszu, pierwsze, co zrobimy, to spalimy te papiery w piecyku w sali konferencyjnej.

7

Rzeczywiście skórzane głowy były wysokie. I potworne. Barbie zobaczył je, jak tylko zelżał przesywający jego ręce silny impuls podobny do porażenia prądem. W pierwszym odruchu chciał puścić skrzynkę, ale zwalczył to i trzymał ją dalej, patrząc na stwory, które ich więziły. Więziły i dla zabawy torturowały, jeśli Ryży miał rację.

Ich twarze - o ile to były twarze - składały się z samych kantów, ale kanty te były miękkie i zdawały się zmieniać z sekundy na sekundę, jakby nie skrywała się pod nimi żadna trwała forma. Nie potrafił określić, ilu ich było ani gdzie byli. Z początku miał wrażenie, że jest ich czterech, potem że ośmiu, a w końcu że tylko dwóch. Budzili w nim głęboką odrazę -

byli do tego stopnia obcy, że tak naprawdę w ogóle nie był w stanie ich postrzegać. Ta część jego mózgu, która odpowiadała za interpretację bodźców odbieranych przez zmysły, nie potrafiła odkodować przekazu płynącego z oczu.

Moje oczy nie zobaczyłyby ich nawet przez teleskop, pomyślał. Te stwory są w odległej galaktyce.

Wprawdzie rozsądek mu podpowiadał, że właściciele skrzynki mogą mieć bazę pod lodem na biegunie południowym albo krążyć po orbicie Księżyca w swoim odpowiedniku statku kosmicznego „Enterprise” - ale był przekonany, że są w domu... cokolwiek to słowo dla nich oznaczało. Obserwowali. I dobrze się bawili.

Tak być musiało, bo się śmiali, sukinsyny.

I nagle znów znalazł się w sali gimnastycznej w Falludży. Było gorąco, wentylatory pod sufitem bełtały gęste, cuchnące potem powietrze. Puścili wszystkich przesłuchiowanych oprócz dwóch abduki, którzy byli na tyle nierozważni, by pyskować dzień po tym, jak dwie prymitywne bomby zabiły sześciu Amerykanów, a snajper siódmego, Carstairsa, chłopaka z Kentucky, którego wszyscy lubili. Zaczęli więc przeganiać abduki po sali na kopach i ściągać im ubrania, i Barbie chciałby móc powiedzieć, że w tym momencie wyszedł, ale tego nie zrobił. Chciałby też móc powiedzieć, że nie brał w tym udziału, ale to byłaby nieprawda. Dostali amoku. Pamiętał, jak trafił jednego z abduki w kościsty, obesrany tyłek, pamiętał czerwony ślad, jaki zostawił jego but. Obaj abduki byli już wtedy nadzy. Pamiętał, jak Emerson kopnął drugiego w dyndające *cojones* tak mocno, że poleciały do góry, i powiedział: „To za Carstairsa, brudasie zajebany”. Ktoś wkrótce miał wręczyć flagę jego mamie siedzącej na składanym krześle obok grobu, tak to już jest. A potem, kiedy do Barbiego zaczynało docierać, że teoretycznie jest przełożonym tych ludzi, sierżant Hackermeyer podniósł jednego z tamtych za rozwijające się resztki hidżabu, jedyne, co zostało z jego ubrania, przycisnął go do ściany, przyłożył mu pistolet do głowy i nastąpiła chwila ciszy, i w jej trakcie nikt nie powiedział „nie”, nikt nie powiedział „nie rób tego”, i sierżant Hackermeyer pociągnął za spust, i krew chlusnęła na ścianę, i tyle, pa, pa, abduki, napisz parę słów, jak nie będziesz zajęty rodziewiczaniem hurys.

Barbie puścił skrzynkę i spróbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ryży złapał go i przytrzymał.

- Chryste! - jęknął Barbie, kiedy wreszcie stanął o własnych siłach.

- Widziałeś ich, prawda? - Tak.

- To dzieci? Jak sądzisz?

- Może. - Ale to nie było to, co podpowiadało mu serce. - Prawdopodobnie.

Wolno ruszyli z powrotem.

- Wszystko gra? - spytał Rommie.

- Tak - powiedział Barbie. Musiał pogadać z dziećmi. I z Jackie. Z Ryżym też. Ale nie teraz. Najpierw musiał ochłonać.

- Na pewno? - Tak.

- Rommie, masz jeszcze w sklepie trochę tej blachy ołowianej? - spytał Ryży.

- Uhm. Zostawiłem ją na rampie załadowniczej.

- To dobrze - powiedział Ryży i pożyczył od Julii komórkę. Mógł tylko mieć nadzieję, że Linda jest w domu, nie w pokoju przesłuchań na komisariacie.

8

Rozmowa z Ryżym była z konieczności krótka, niecałe pół minuty, ale Lindzie Everett to wystarczyło. Usiadła przy stole kuchennym, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała z ulgi, najciszej jak się dało, bo na górze było już czworo dzieci, nie, jak dotąd, tylko dwoje. Wzięła do siebie małych Appletonów.

Alice i Aidan byli zrozpaczeni - dobry Boże, trudno się dziwić - ale towarzystwo Jannie i Judy pomogło. Podobnie jak benadryl dla wszystkich. Na prośbę córek Linda rozłożyła w ich pokoju śpiwory i teraz we czworo spali na podłodze między łózkami, Judy i Aidan przytuleni do siebie.

Kiedy już prawie się opanowała, ktoś zapukał do drzwi kuchennych. W pierwszej chwili pomyślała, że to policja, ale oni by załomotali.

Podeszła do drzwi, po drodze zatrzymując się, by wziąć ścierkę z końca blatu i wytrzeć sobie twarz. W pierwszej chwili gościa nie poznała, bo włosy miał niezwiązane w koński ogon. Opadały mu na ramiona, przez co był podobny do starej praczki, która po długim, ciężkim dniu dostała straszną wiadomość.

Thurston Marshall przez chwilę stał na progu.

- Caro nie żyje? - Miał niski, ochryply głos. - Naprawdę nie żyje?

- Niestety tak - powiedziała Linda, też zniżonym głosem. Przez wzgląd na dzieci. - Panie Marshall, tak mi przykro.

Przez moment nadal stał nieruchomo. Potem złapał się za siwe kosmyki opadające mu na policzki i zaczął się kołysać w przód i w tył. Linda nie wierzyła w romanse między ludźmi, których dzieli duża różnica wieku; pod tym względem była staroświecka. Dałaby Marshallowi i Caro Sturges góra dwa lata, może zaledwie pół roku - zależy, kiedy skończyłyby się fajerwerki w łóżku - ale tego wieczoru nie mogła wątpić w miłość tego człowieka. Ani w jego

rozpacz.

Cokolwiek ich łączyło, dzieci to pogłębiły, pomyślała. Klosz też.

Pod kloszem wszystko przeżywało się bardziej intensywnie. Już teraz miała wrażenie, że są pod nim nie kilka dni, lecz całe lata. Świat zewnętrzny zacierał się jak sen po przebudzeniu.

- Proszę wejść, panie Marshall. Tylko niech pan nie hałasuje. Dzieci śpią. Moje i pańskie.

9

Podawała mu owocową herbatę - nie zimną, nawet nie schłodzoną. Wypił połowę, odstawił szklanke, po czym roztarł oczy pięściami jak dziecko, które dawno powinno było położyć się spać. Linda się zorientowała, że usiłuje zapanować nad sobą, siedziała więc w milczeniu i czekała.

Odetchnął głęboko i sięgnął do kieszeni na piersi starej niebieskiej koszuli roboczej. Wyjął rzemyk i związał sobie włosy. Linda uznała to za dobry znak.

- Niech mi pani powie, co się stało. I jak to się stało.

- Wszystkiego nie widziałam. Ktoś nieźle mi przykopał w tył głowy, kiedy próbowałam odciągnąć pańską... Caro... na bok.

- Postrzelił ją jeden z gliniarzy, zgadza się? Jeden z gliniarzy z tego cholernego miasta, zwariowanego na punkcie glin i broni.

- Tak. - Sięgnęła nad stołem i wzięła go za rękę. - Ktoś krzyknął „broń”. I broń była. Miała ją Andrea Grinnell. Możliwe, że przyniosła ją z myślą, żeby zastrzelić Renniego.

- Pani zdaniem ten fakt usprawiedliwia to, co spotkało Caro?

- Broń Boże, nie. A Andi została zwyczajnie zamordowana.

- Caro zginęła, próbując chronić dzieci, prawda? - Tak.

- Dzieci, które nawet nie były jej własne. Linda nie odpowiedziała.

- Choć tak naprawdę były. Jej i moje. Czy nazwać to zrzędzeniem losu, czy zrzędzeniem kopuły, były nasze, były dziećmi, których inaczej nigdy byśmy nie mieli. I dopóki kopuła nie zniknie, są moimi dziećmi.

Linda rozmyślała gorączkowo. Czy mogła temu człowiekowi zaufać? Ryzy ufał mu na pewno; mówił, że gość jest cholernie dobrym medykiem jak na kogoś, kto tak długo nie robił w tym fachu. No i Thurston nienawidził tych, którzy trzymali władzę pod kloszem. Miał po temu powody.

- Pani Everett...

- Proszę, mów mi Linda.

- Linda, mógłbym przespać się u ciebie na kanapie? Chciałbym tu być, na wypadek gdyby się w nocy obudzili. A jeśli wstaną dopiero rano... oby... chciałbym, żeby zobaczyli mnie, kiedy zejda na dół.

- Jasne. Zjemy razem śniadanie. Będą płatki. Mleko jeszcze nie skwaśniało, ale już mu niewiele brakuje.

- Brzmi nieźle. Po śniadaniu pójdziemy sobie. Jeśli jesteś tutejsza, wybaczone słowa, lecz mam Chester's Mill po dziurki w nosie. Nie mogę wyjechać daleko, ale gdzieś się usunę. Jedynym pacjentem szpitala w poważnym stanie był syn Renniego, a dziś po południu sam wyszedł. Kiedyś wróci. Paskudztwo, które rośnie mu w głowie, zmusi go do tego, ale na razie...

- On nie żyje.

Thurston nie wyglądał na zaskoczonego. - Umarł?

- Został zastrzelony. W areszcie.

- Chciałbym powiedzieć, że mi przykro, ale nie mogę.

- Ja też nie. - Linda nie wiedziała, co Junior tam robił, ale mogła się domyślić, jak przedstawi to jego rozpaczający ojciec.

- Zabiorę dzieci z powrotem nad jezioro, tam gdzie byliśmy z Caro, kiedy to wszystko się zaczęło. Jest tam cisza i spokój, i na pewno znajdzie się dość żywności, żeby nam na jakiś czas starczyło. Kto wie, może w którymś z domów będzie generator. Ale jeśli chodzi o życie we wspólnocie... - nadał tym słowom satyryczne brzmienie - .. Ja już dziękuję. Alice i Aidan też.

- Znam lepszą kryjówkę.

- Poważnie? - A kiedy Linda nie odpowiedziała, dotknął jej dłoni.

- Musisz komuś zaufać. Równie dobrze tym kimś mogę być ja.

Linda powiedziała mu więc wszystko, nawet że przed wyjazdem z miasta na Black Ridge będą musieli zabrać blachę ołowianą z za sklepu Burpego. Rozmawiali prawie do północy.

Północna część domu McCoyów nie nadawała się do niczego - po silnych opadach śniegu ostatniej zimy dach zawalił się do salonu - ale od zachodu była jadalnia prawie tak długa jak wagon kolejowy i tam zebrali się uciekinierzy z Chester's Mill. Barbie najpierw wypytał Joego, Norrie i Benny'ego o to, co widzieli, czy co im się śniło, kiedy stracili

przytomność na skraju świetlnego pasa.

Joe pamiętał płonące dynie. Norrie powiedziała, że wszystko poczerniało i że słońce zniknęło. Benny z początku twierdził, że nic nie pamięta. Nagle zakrył usta dłonią. Przypomnił sobie.

- Krzyki. Słyszałem krzyki. To było straszne. Zamyślił się nad tym w milczeniu.

- Płonące dynie to żadna wskazówka, pułkowniku Barbara - odezwał się Ernie. - Jeśli liczy pan, że wskażą nam jakiś trop, to nie bardzo widzę jaki. Pewnie w każdej stodole w mieście są ich całe sterty. Rok był dobry dla dyń. - Zawiesił głos. - Przynajmniej był dobry do tej pory.

- Ryży, a co widziały twoje córki?

- Mniej więcej to samo - odparł Ryży i powiedział im wszystko, co pamiętał.

- Odwołać Halloween... Wszystko przez wielką dynię... Trzeba ją złapać... - mamrotał Rommie zamyślony.

- Hej, ludzie, ja tu widzę pewną prawidłowość - rzekł Benny.

- Nie może być, Sherlocku - rzuciła Rose ku ogólnemu rozbawieniu.

- Twoja kolej, Ryży - powiedział Barbie. - Co się działo, kiedy zemdlałeś, jadąc tutaj?

- Zemdleć nie zemdlałem. A wszystkie te wizje można wytłumaczyć presją, pod jaką się znaleźliśmy. Zbiorowa histeria ze zbiorowymi halucynacjami włącznie to częste zjawisko w sytuacjach stresowych.

- Dzięki, doktorze Freud - uciał Barbie. - Teraz powiedz nam, co widziałeś.

Kiedy Ryży doszedł do opisu wysokiego cylindra w barwach narodowych, Lissa Jamieson krzyknęła:

- To kukła na trawniku przed biblioteką! Ma na sobie mój stary T - shirt z cytatem z Warrena Zevona...

- „Sweet home Alabama, zagraj kawałek tej martwej kapeli” - powiedział Ryży. - I dłonie z rydli ogrodowych. W każdym razie zapaliła się i zniknęła. A z nią zawroty głowy.

Spojrzał na nich. Na ich szeroko otwarte oczy.

- Spoko, ludzie, pewnie widziałem tę kukłę, zanim to wszystko się zaczęło, i moja podświadomość po prostu wypluła ten obraz. - Wymierzył palcem w Barbiego. - Jeśli znów nazwiesz mnie doktorem Freudem, dam ci w zęby.

- A widziałeś ją wcześniej? - spytała Piper. - Może jak pojechałeś odebrać dziewczynki ze szkoły? Bo biblioteka jest dokładnie naprzeciwko placu zabaw.

- O ile pamiętam, nie. - Ryży nie dodał, że ostatnio odebrał córki ze szkoły na początku miesiąca, a nie sądził, by wtedy w mieście były jakieś dekoracje na Halloween.

- Twoja kolej, Jackie - powiedział Barbie. Zwilżyła wargi.
- To naprawdę ważne?
- Tak sędzę.
- Płonący ludzie... i dym, kłęby dymu, przez które przy każdym ich ruchu przeświecał ogień. Wydawało się, że cały świat płonie.
- Ludzie krzyczeli, bo się palili - wtrącił Benny. - Teraz pamiętam. - Raptownie wtulił twarz w ramię matki. Objęła go mocno.
- Do Halloween zostało jeszcze pięć dni - powiedziała Claire.
- Wątpię - stwierdził Barbie.

11

Opalany drewnem piecyk w sali konferencyjnej ratusza był zakurzony i zaniedbany, ale wciąż zdalny do użytku. Duży Jim się upewnił, że przewód kominowy jest otwarty (skrzypiał jak od rdzy), po czym wyjął papiery Duke'a Perkinsa z koperty naznaczonej krwawym śladem buta. Przekartkował je kciukiem, skrzywił się, kiedy zobaczył, co w nich jest, po czym wrzucił wszystkie do piecyka. Kopertę zachował.

Carter rozmawiał przez telefon ze Stewartem Bowiem, mówił mu, czego Duży Jim chce dla swojego syna, poganiał go, żeby natychmiast się tym zajął. Dobry chłopak, pomyślał Duży Jim. Może wysoko zajść. Jeśli tylko będzie pamiętał, gdzie jego miejsce w szyku. Ludzie, którzy to zapominali, płacili wysoką cenę. Andrea Grinnell się o tym przekonała.

Na półce obok piecyka leżała paczka zapalek. Duży Jim zapalił jedną i przytknął do wydruków. Zostawił piecyk otwarty, żeby móc patrzeć, jak papiery płoną. Bardzo to był przyjemny widok.

Podszedł Carter.

- Stewart Bowie czeka przy telefonie. Mam mu powiedzieć, że oddzwoni pan do niego później?

- Daj - powiedział Duży Jim i wyciągnął rękę po telefon. Carter wskazał kopertę.

- Nie spali pan tego?

- Nie. Chcę, żebyś ją wypchał czystymi kartkami z kserokopiarki. Trzeba było chwili, żeby Carter zrozumiał.

- Ućpała się i miała zwidy, zgadza się?

- Biedaczka - przytaknął Duży Jim. - Idź do schronu przeciwoatomowego, synu. Tam. - Wskazał kciukiem drzwi niedaleko piecyka. Gdyby nie stara metalowa tabliczka z czarnymi trójkątami na żółtym polu, można by ich w ogóle nie zauważyć. - Są tam dwa pomieszczenia.

Na końcu drugiego jest mały generator.

- Dobra...

- W podłodze przed generatorem znajdziesz właz. Trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby go zobaczyć. Unieś go i zajrzyj do środka. Powinno tam być osiem lub dziesięć małych kanistrów płynnego gazu. Były tam, kiedy ostatnio sprawdzałem. Zobacz, ile ich jest.

Czekał, czy Carter spyta po co, on jednak już się odwrócił, by wykonać polecenie. Duży Jim sam więc mu powiedział.

- To tylko tak na wszelki wypadek, synu. Nie przeoczyć żadnego szczegółu, oto tajemnica sukcesu. No i mieć Boga po swojej stronie, rzecz jasna.

Kiedy Carter wyszedł, Duży Jim wcisnął guzik wznowienia rozmowy... i jeśli Stewarta nie będzie po drugiej stronie, już on mu da popalić.

Ale Stewart był.

- Jim, przyjmij wyrazy głębokiego współczucia - powiedział. Od razu, bez wahania; punkt dla niego. - Zajmiemy się wszystkim. Myślę, że najlepsza będzie trumna Wieczny Spoczynek... z dębu, tysiąc lat wytrzyma.

Bujać to my, a nie nas, pomyślał Duży Jim? ale milczał. - I zobaczysz prawdziwe arcydzieło. Twój syn będzie wyglądał, jakby miał się lada chwila obudzić i uśmiechnąć.

- Dzięki, kolego - powiedział Duży Jim, myśląc: Oby.

- A co się tyczy jutrzejszej akcji...

- Miałem do ciebie dzwonić w tej sprawie. Zastanawiasz się, czy to nadal aktualne, więc od razu mówię: tak.

- Ale wobec tego wszystkiego, co się wydarzyło...

- Nic się nie wydarzyło - uciął Duży Jim. - Za co możemy podziękować łasce Bożej. Amen, Stewart?

- Amen - posłusznie odparł Stewart Bowie.

- Ot, rozpsiajucha wywołana przez niezrównoważoną psychicznie kobietę z pistoletem. Teraz jest już na wieczerzy z Jezusem i wszystkimi świętymi, nie mam co do tego wątpliwości, bo to nie była jej wina.

- Ale...

- Nie przerywaj mi, kiedy mówię. To wina leków. Wyżarły jej mózg. Ludzie zrozumieją wszystko, jak tylko się trochę uspokoją. To wielkie szczęście Chester's Mill, że ma tak mądrych i dzielnych mieszkańców. Ufam, że mnie nie zawiodą, zawsze tak było, zawsze tak będzie. Poza tym w tej chwili myślą tylko o spotkaniu z najbliższymi. Nasza akcja rozpocznie się w południe, tak jak było zaplanowane. Ty, Fern, Roger, Melvin Searles.

Dowodził będzie Fred Denton. Może wziąć jeszcze czterech czy pięciu ludzi, jeśli uzna, że będą potrzebni.

- Nie masz nikogo lepszego? - spytał Stewart.

- Fred jest w porządku.

- A co z Thibodeau? Tym chłopakiem, który kręci się koło cie...

- Ile razy otwierasz usta, gadasz bzdury. Zamknij się choć raz i posłuchaj. Mówimy tu o wychudzonym ćpunie i aptekarzu, który nawet gęsi by nie przepłoszył. Amen?

- Taa, amen.

- Weźcie ciężarówki służb miejskich. Jak tylko skończymy rozmawiać, zgarnij Freda, musi gdzieś tam być, i wytłumacz mu co i jak. Powiedz mu, żebyście się zabezpieczyli na wszelki wypadek. Na zapleczu komisariatu mamy cały ten majdan od Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, kamizelki kuloodporne i nie wiem, co tam jeszcze, więc czemu by z tego nie skorzystać. Potem pojedziecie zdjąć tych dwóch gości. Propan jest nam potrzebny.

- A co z wytwórnią? Pomyślałem sobie, że może trzeba by ją spalić...

- Czyś ty zdumiał?! - wykrzyknął Duży Jim. Carter, który właśnie wrócił, patrzył na niego zaskoczony. - Z tymi wszystkimi chemikaliami w środku? Redakcja tej Shumway to jedno, magazyn to zupełnie inna para kaloszy. Uważaj, kolego, bo zacznę myśleć, żeś głupi jak Roger Killian.

- W porządku. - Stewart wydawał się nadąsany, ale Duży Jim uznał, że polecenie wykona. Tak czy owak, nie miał już dla niego czasu. Lada chwila przyjdzie Randolph.

Niekończąca się parada głupców, pomyślał.

- No dobrze, tyle tego. Chwalmy Pana. - Oczami wyobraźni Duży Jim widział siebie siedzącego Stewartowi na plecach i wgniatającego mu twarz w ziemię. Ten obraz podniósł go na duchu.

- Chwalmy Pana - wymamrotał Stewart Bowie.

- Amen, bracie. - Duży Jim się rozłączył.

12

Wkrótce potem wszedł komendant Randolph, zmęczony, ale już jakby mniej niezadowolony.

- Myślę, że część młodszych rekrutów straciliśmy na dobre... Dodson, Rawcliffe i młody Richardson odeszli, ale większość została. I mam kilku nowych. Joe Boxer, Gruby Norman, Aubrey Towle... wiesz, ten, którego brat jest właścicielem księgarni...

Duży Jim dość cierpliwie wysłuchał tej litanii, choć tylko jednym uchem. Zaczekał, aż

Randolph umilknie, i wtedy podsunął mu kopertę po wypolerowanym blacie stołu konferencyjnego.

- Oto czym wymachiwała biedna Andrea. Sam zobacz. Randolph zawahał się, po czym otworzył kopertę i wyciągnął zawartość.

- Same czyste kartki.

- Święta racja. Kiedy jutro zbierzesz swoich ludzi... punkt siódma w komisariacie, bo mrówki wylegną z mrowiska bladym świtem, wujowi Jimowi możesz wierzyć... dopilnuj z łaski swojej, by się dowiedzieli, że biedaczka była tak pomyłona jak ten anarchista, który zastrzelił prezydenta McKinleya.

- McKinley to nie góra? - spytał Randolph.

Duży Jim poświęcił chwilę na to, żeby pomyśleć, gdzie też synek pani Randolph był, kiedy rozum rozdawali. Potem mówił dalej. Osiem godzin to on dziś nie pości, ale może choć pięć, przy dobrych układach. Potrzebował tego. On i jego biedne stare serducho.

- Weźcie wszystkie radiowozy. Dwóch policjantów w każdym. Dopilnuj, żeby mieli gaz łzawiący i paralizatory. Ale jeśli któryś strzeli z broni palnej na oczach reporterów, kamer i całego takiego siakiego owakiego świata... flaki mu wypruję i na szelki przerobię.

- Tak jest.

- Niech jadą poboczami sto dziewiętnastej, po obu stronach tłumu. Nie na sygnale, ale z włączonymi kogutami.

- Jak na paradzie - powiedział Randolph.

- Tak, Pete, jak na paradzie. Drogę zostawcie ludziom. Tym w samochodach każcie wysiąść i dalej iść pieszo. Korzystajcie z megafonów. Chcę, żeby na miejsce dotarli porządnie zmęczeni. Zmęczeni ludzie zwykle nie rozrabiają.

- Nie sądzisz, że wypadałoby dać kilku funkcjonariuszy do pościgu za zbiegłymi więźniami? - Randolph zobaczył, że oczy Dużego Jima błysnęły, i pojednawczo uniósł dłoń. - Tak tylko pytam.

- Cóż, i zasługujesz na odpowiedź. W końcu jesteś komendantem policji. Jest nim, Carter?

- Uhm - mruknął Carter.

- Odpowiedź brzmi „nie”, komendancie Randolph, bo... i teraz słuchaj uważnie... oni nie mogą uciec. Chester's Mill otacza kopuła, więc absotywnie, definitywnie nie mają dokąd uciec. Rozumiesz, do czego zmierzam? - Zauważył, że Randolph czerwienieje na twarzy, i dodał: - Zastanów się, zanim odpowiesz. Przynajmniej ja tak zrobiłbym na twoim miejscu.

- Rozumiem.

- W takim razie zrozum też to: póki Dale Barbara jest na wolności, że o jego współspiskowcu Everecie nie wspomnę, ludzie tym skwapliwiej szukać będą ochrony u swoich władz. A my, mimo nawału obowiązków, staniemy na wysokości zadania, mam rację?

Randolph wreszcie załapał. Może i nie wiedział, że McKinley to nie tylko nazwa góry, ale i nazwisko prezydenta, lecz chyba dotarło do niego, że Barbie na dachu jest pod wieloma względami bardziej dla nich użyteczny niż Barbie w garści.

- Tak - powiedział. - Na pewno. Bez dwóch zdań. Co z konferencją prasową? Skoro cię na niej nie będzie, chcesz wyznaczyć...

- Nie, nie chcę. Będę tu, na moim stanowisku, gdzie moje miejsce, zajęty obserwacją rozwoju wypadków. A niech sobie media robią konferencję z tysiącem ludzi czy ilu ich tam obsiadzie południowy kraniec miasta jak gapie plac budowy. I życzę im powodzenia z tłumaczeniem bełkotu, jaki usłyszą.

- Niektórzy mogą mówić o nas niezbyt pochlebnie - zauważył Randolph.

Duży Jim błysnął lodowatym uśmiechem.

- To dlatego Bóg dał nam szerokie barki, kolego. Poza tym co ten wścibski łachadojda Cox zrobi? Wmaszeruje tu i zdejmie nas z urzędu?

Randolph zachichotał, bo tak wypadało, i już ruszył do drzwi, kiedy przypomniało mu się coś jeszcze.

- Ludzi będzie dużo, spędzą tam sporo czasu. Wojsko po swojej stronie postawiło toi - toie. Może powinniśmy zrobić coś podobnego u nas? Zdaje się, że mamy ich kilka w magazynie. Głównie dla ekip drogowców. Al Timmons mógłby...

Duży Jim spojrzał na niego tak, jakby uważał, że komendant policji zwariował.

- Gdyby to zależało ode mnie, ludzie siedzieliby jutro bezpiecznie w domach, zamiast wylegać z miasta jak Izraelici z Egiptu. - Znacząco zawiesił głos. - Jak kogoś przypili, niech, chorobcia, idzie w krzaki.

13

Kiedy Randolph wreszcie poszedł, Carter spytał:

- Jeśli dam słowo, że to nie po to, żeby się podlizać, mogę coś panu powiedzieć?

- Tak, oczywiście.

- Uwielbiam obserwować pana w akcji, panie Rennie.

Duży Jim wyszczerzył zęby w uśmiechu - szerokim, promiennym, który rozświetlił całą jego twarz.

- Cóż, będziesz miał po temu okazję, synu. Uczyłeś się od całej reszty, teraz ucz się od

najlepszych.

- Taki mam plan.

- W tej chwili chcę, żebyś mnie podwiózł do domu. Spotkamy się jutro punkt ósma. Przyjedziemy tutaj i obejrzymy całą szopkę na CNN. Ale najpierw posiedzimy sobie na Town Common Hill i popatrzymy na exodus. Właściwie to smutne. Izraelici bez Mojżesza.

- Mrówki bez mrowiska - dodał Carter. - Pszczoły bez ula.

- Zanim po mnie przyjedziesz, chcę, żebyś odwiedził parę osób. Czy chociaż spróbował. Założyłem się z samym sobą, że ich nie zastaniesz, bo zdezerterowały.

- Kto taki?

- Rose Twitchell i Linda Everett. Żona medyka. - Znam ją.

- I Julia Shumway. Słyszałem, że miała się zatrzymać u Libby, tej pastorki z niewychowanym psem. Jak znajdziesz którąś z nich, wypytaj ją o miejsce pobytu naszych zbiegów.

- Ostro czy delikatnie?

- Umiarkowanie. Niekoniecznie chcę schwytać Barbarę i Everetta już teraz, ale dobrze byłoby wiedzieć, gdzie są.

Na schodach przed budynkiem Duży Jim wciągnął głęboki haust cuchnącego powietrza, po czym westchnął z satysfakcją. Carter też był zadowolony. Raptem przed tygodniem wymieniał tłumiki i nosił okulary ochronne, żeby płyty rdzy z przeżartych solą układów wydechowych nie dostały mu się do oczu. Dziś był wpływowym człowiekiem na stanowisku. Dla takiego awansu warto trochę pooddychać śmierdzącym powietrzem.

- Mam do ciebie pytanie - zagał Duży Jim. - Jeśli nie chcesz odpowiedzieć, nie ma sprawy.

Carter spojrzał na niego z zaciekawionym.

- Ta Bushey - ciągnął Duży Jim. - Jaka była? Dobra? Carter zawahał się, po czym powiedział:

- Z początku trochę sucha, ale raz - dwa się naoliwiła.

Duży Jim się roześmiał. Zabrzmiało to metalicznie, jak odgłos monet sypiących się z automatu do gier.

Północ. Różowy księżyc opada ku horyzontowi za Tarker's Mills, tam - być może - zostanie aż po świt, kiedy to zmieni się w widmo, zanim zupełnie zniknie.

Julia przedarła się przez sad w miejsce, gdzie ziemia McCoyów schodziła w dół

zachodnim zboczem Black Ridge, i nie była zaskoczona widokiem ciemnej postaci siedzącej pod drzewem. Po jej prawej stronie skrzynka z nieznanym symbolem - najmniejsza, najdziwniejsza latarnia morska świata - błyskała co piętnaście sekund.

- Barbie? - spytała Julia cicho. - Co u Kena?

- Pojechał do San Francisco na Paradę Równości. Zawsze wiedziałem, że coś z tym chłopakiem jest nie tego.

Zaśmiała się, wzięła jego dłoń i pocałowała.

- Przyjacielu, ogromnie się cieszę, że jesteś bezpieczny. Wziął ją w ramiona i pocałował w oba policzki.

- Przyjaciółko, ja też.

Przeszedł ją dreszcz od szyi po kolana. Dreszcz, który rozpoznała, choć nie czuła go od dawna. Spokojnie, dziewczyno, pomyślała. Jest dość młody, by być twoim synem.

No tak... gdyby zaszła w ciążę w wieku trzynastu lat.

- Reszta śpi - powiedziała. - Nawet Horace. Jest z dziećmiakami. Rzucali mu patyki i tak się naganiał, że praktycznie szurał ozorem po ziemi. Założę się, że jest w siódmym niebie.

- Próbowałem zasnąć. Nie mogłem.

Dwa razy prawie mu się udało i przy obu okazjach znalazł się z powrotem w pace, twarzą w twarz z Juniorem Renniem. Za pierwszym razem potknął się, zamiast zrobić unik w prawo, i gruchnął na pryczę, gdzie był idealnym celem. Za drugim Junior sięgnął niewyobrażalnie długą plastikową ręką za kraty i przytrzymał go dość długo, by zabić. To wtedy Barbie opuścił stodołę, gdzie spali mężczyźni, i przyszedł tutaj. Powietrze wciąż pachniało jak w pokoju zmarłego pół roku wcześniej nałogowego palacza, ale było lepsze niż w mieście.

- Tak mało świateł tam, w dole - powiedziała Julia. - W zwykłą noc byłoby ich dziesięć razy więcej, nawet o tej porze. Latarnie uliczne wyglądałyby jak podwójny sznur pereł.

- Jest to. - Barbie nadal ją obejmował, ale uniósł drugą rękę i wskazał świetlny pas. Gdyby nie kopuła, na której się nagle urywał, byłby idealnym okręgiem, a tak wyglądał jak podkowa.

- Jak myślisz, dlaczego Cox o tym nie wspomniał? Przecież muszą to widzieć na zdjęciach satelitarnych. - Zastanowiła się. - Przynajmniej mnie nic nie powiedział. Może tobie coś mówił.

- Nie, a powiedziała by. Co znaczy, że go nie widzą.

- Myślisz, że kopuła... blokuje jego obraz?

- Coś w tym stylu. Cox, sieci telewizyjne, świat zewnętrzny... nie widzą go, bo nie

muszą. A my mamy widzieć.

- Jak sądzisz, Ryży ma rację? Jesteśmy tylko mrówkami dręczonymi przez okrutne dzieci z lupą? Jakie inteligentne istoty pozwoliłyby swoim dzieciom robić coś takiego innym inteligentnym istotom?

- Uważamy, że jesteśmy inteligentni, ale czy oni też tak myślą? Wiemy, że mrówki są owadami społecznymi, budowniczymi, założycielami kolonii, nadzwyczajnymi architektami. Ciężko pracują, jak my. Toczą nawet wojny na tle rasowym, czarne przeciwko czerwonym. Wiemy o nich to wszystko, ale nie zakładamy, że są inteligentne.

Owinęła się ciaśniej jego ramieniem, choć nie było zimno.

- Inteligentne czy nie, tak się nie robi.

- Zgadzam się. Jak zapewne większość ludzi. Ryży wiedział to już w dzieciństwie. Ale większość dzieci nie postrzega świata w kategoriach moralnych. Do tego się dochodzi latami. Osiągając wiek dorosły, przeważnie odrzucamy dziecinne zachowania, do których należy też podpalanie mrówek lupą czy wyrywanie muchom skrzydełek. Pewnie z ich dorosłymi jest tak samo. Jeśli w ogóle zauważają takich jak my. Kiedy ostatnio pochylałaś się nad mrowiskiem, żeby poobserwować?

- Ale mimo wszystko... gdybyśmy znaleźli na Marsie mrówki czy choćby mikroby, nie zniszczylibyśmy ich. Bo życie we wszechświecie jest cenne. Wszystkie pozostałe planety w naszym układzie to pustkowie, na litość boską!

Barbie pomyślał, że gdyby naukowcy z NASA wykryli życie na Marsie, zniszczyliby je bez najmniejszych skrupułów, byle tylko móc je umieścić na szkiełku mikroskopowym i przebadać, ale nie powiedział tego głośno.

- Gdybyśmy byli na wyższym stopniu rozwoju technologicznego... albo duchowego, bo może tego właśnie potrzeba, żeby podróżować po otaczającym nas wielkim nieznanym... może byśmy zobaczyli, że życie jest wszędzie. Że jest tyle zamieszkałych światów i inteligentnych form życia, ile mrowisk w tym mieście.

Jego dłoń spoczywała na krągłości z boku jej piersi. Julia dawno nie czuła tam dotyku męskiej ręki, a bardzo to było przyjemne.

- Jedno wiem na pewno - mówił dalej Barbie. - Istnieją inne światy oprócz tych, które możemy zobaczyć przez nasze liche ziemskie teleskopy. Czy nawet teleskop Hubble'a. I... tych istot nie ma wśród nas. To nie jest inwazja. One tylko patrzą. I... może się bawią.

- Wiem, jakie to uczucie, kiedy ktoś się tobą bawi.

Patrzył na nią. Z odległości w sam raz do pocałunku. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby ją pocałował. O nie, zupełnie nic.

- Kogo masz na myśli? Renniego?

- Czy wierzysz, że są chwile, które rzutują na całe życie człowieka? Przelomowe wydarzenia, które naprawdę nas zmieniają?

- Tak - powiedział, myśląc o czerwonym uśmiechu, który jego but zostawił na pośladku abdula. Zwyczajnym pośladku człowieka, który żył swoim zwyczajnym, szarym życiem. - Zdecydowanie.

- Mnie coś takiego spotkało w czwartej klasie. W podstawówce na Main Street.

- Opowiedz o tym.

- Długo to nie potrwa. To było najdłuższe popołudnie w moim życiu, ale historia jest krótka.

Czekał.

- Jestem jedynaczką. Mój ojciec był właścicielem lokalnej gazety. Zatrudniał dwóch reporterów i jednego sprzedawcę reklam, ale poza tym właściwie wszystko robił sam i to mu odpowiadało. Od zawsze było oczywiste, że jak przejdzie na emeryturę, przejmę po nim interes. Tak sądzili on, moja matka, moi nauczyciele, no i ma się rozumieć ja też. Studia miałam zaplanowane od początku do końca. Nic tak podrzędnego jak uniwersytet stanu Maine, co to, to nie, nie dla córki Ala Shumwaya. Córka Ala Shumwaya pójdzie do Princeton. Kiedy byłam w czwartej klasie, proporzec Princeton wisiał nad moim łóżkiem i praktycznie miałam już spakowane walizki.

Wszyscy, ze mną włącznie, niemal czcili ziemię, po której stapałam. To znaczy, wszyscy oprócz moich kolegów z klasy. Wtedy nie rozumiałam przyczyn, ale teraz dziwię się, że ich nie zauważyłam. Ja byłam tą, co siedzi w pierwszej ławce, zawsze podnosi rękę, gdy pani Connaught o coś pyta, i zawsze zna dobrą odpowiedź. Oddawałam zadane prace przed czasem i zgłaszałam się po dodatkowe. Byłam kujonką i trochę skarżypytą. Raz, kiedy pani Connaught wróciła do klasy po tym, jak zostawiła nas na kilka minut samych, małemu Jessiemu Vachonowi leciała krew z nosa. Pani Connaught zagroziła, że jeśli nie wskażemy winowajcy, wszyscy zostaniemy w kozie. Podniosłam rękę i powiedziałam, że Andy Manning walnął Jessiego w nos, bo Jessie nie chciał mu pożyczyć gumki. I nie widziałam w moim zachowaniu nic złego, bo przecież to była prawda. Rozumiesz, o czym mówię?

- Przecież słyszę.

- Pewnego dnia, niedługo potem, sześć dziewczyn zaczęło się na mnie pod mostem Pokoju. Prowodyrką była Lila Strout, dziś Lila Killian... wyszła za Rogera Killiana i dobrze jej tak. Nigdy nie daj sobie wmówić, że dorośli nie chowają uraz z lat dziecińczych.

Zaprowadziły mnie na estradę. Z początku się wrywałam, aż w końcu dwie z nich...

jedną była Lila, drugą Cindy Collins, matka Toby'ego Manninga... mnie uderzyły. I to nie w ramię, jak to zwykle robią dzieci. Cindy przywaliła mi w twarz, a Lila prosto w prawy cycek. Ależ to był ból! Piersi właśnie zaczynały mi rosnać i bolały, nawet jak się ich nie dotykało.

Rozbeczałam się. Zwykle jest to sygnał, przynajmniej wśród dzieci, że sprawy zaszły wystarczająco daleko. Nie tego dnia. Kiedy zaczęłam ryczeć, Lila powiedziała: „Zamknij się, bo dostaniesz jeszcze gorzej”. W dodatku nie było nikogo, kto by je powstrzymał. W to zimne, słotne popołudnie na placu byliśmy tylko my.

Lila wykrzyknęła: „Skarżypyta bez kopyta! Język lata jak łopata!” i puściła mi krew z nosa. Reszta dziewczyn się śmiała. Mówiły, że dostaję lanie za to, że nakablowałam na Andy'ego, i wtedy tak myślałam, ale teraz wiem, że powodów było wiele. Nawet to, że wszystkie moje spódniczki, bluzki i wstążki do włosów pasowały do siebie. Inne dziewczyny nosiły ubrania, ja kostiumy. Naskarzenie na Andy'ego to była kropla, która przelała czarę.

- Jak bardzo się nad tobą znęcały?

- Biły mnie po twarzy. Ciągnęły za włosy. I... opluły mnie. Wszystkie. Po tym, jak nogi ugięły się pode mną i upadłam. Płakałam jak jeszcze nigdy, zasłaniałam twarz rękami, ale czułam to. Ślina jest ciepła, wiesz?

- Uhm.

- Nazywały mnie lizuską, świętoszką i paniusią srającą fiołkami. A potem, kiedy myślałam, że to już koniec, Corrie Macintosh powiedziała: „Ściągnijmy jej gacie!”. Bo tamtego dnia byłam w spodniach, takich ładnych, które mama zamówiła z katalogu. Uwielbiałam je.

To były spodnie, w jakich można by zobaczyć studentkę idącą przez dziedziniec Princeton, Tak wtedy myślałam.

Tym razem stawiałam większy opór, ale oczywiście wygrały. Cztery mnie przytrzymały, a Lila i Corrie zdjęły mi spodnie. Potem Cindy Collins zaczęła się śmiać. „Kurde, ma Puchatka na majtasach!”. Rzeczywiście miałam, razem z Kłapouchym i Maleństwem. Wszystkie wybuchnęły śmiechem, a ja... ja robiłam się mniejsza... mniejsza... i mniejsza. Aż podłoga estrady zmieniła się w wielką, płaską pustynię, a ja w owada tkwiącego na jej środku. Umierającego na jej środku.

- Innymi słowy, byłaś jak mrówka pod lupą.

- Och, nie! Nie, Barbie! Było zimno, nie gorąco. Marzłam na kość. Miałam gęsią skórę na nogach. Corrie powiedziała: „Majtasy też jej zabierzmy!”, ale tak daleko nie były gotowe się posunąć. Lila wzięła moje śliczne spodnie i wrzuciła je na dach nad estradą. Potem sobie poszły, Lila ostatnia. Powiedziała mi jeszcze: „Jeśli tym razem nakablujesz, wezmę nóż

brata i utnę ci nochal”.

- I co było potem? - spytał Barbie. Tak, jego dłoń z całą pewnością opierała się o bok jej piersi.

- Z początku nic poza tym, że wystraszona dziewczynka kuciała na estradzie i zastanawiała się, jak wrócić do domu, żeby pół miasta nie zobaczyło jej w śmiesznej, dziecięcej bieliźnie. Czułam się jak najmniejsze, najgłupsze kurczątko na świecie. Wreszcie postanowiłam zaczekać, aż się ściemni. Wiedziałam, że mama i tata będą się martwić, może nawet zadzwonią na policję, ale miałam to gdzieś. Zamierzałam czekać do zmroku i zakraść się do domu bocznymi uliczkami. Chować się za drzewami, gdyby ktoś się zjawił.

Musiałam się chwilę zdrzemnąć, bo nagle zobaczyłam nad sobą Kaylę Bevins. Ona też w tym wszystkim uczestniczyła, biła mnie po twarzy, ciągnęła za włosy, pluła na mnie razem ze wszystkimi. Może nie gadała tyle co reszta dziewczyn, ale brała w tym udział. Trzymała mnie, kiedy Lila i Corrie ściągały mi spodnie, a jak się okazało, że ich jedna nogawka zwisa z krawędzi dachu, wdrapała się na balustradę i zarzuciła tę nogawkę na dach, żebym nie mogła jej sięgnąć.

Błagałam, żeby już nie robiła mi krzywdy. Zapomniałam o dumie i godności. Błagałam, żeby nie ściągała mi majtek. A potem żeby mi pomogła. Ona tylko stała i słuchała, jakbym była dla niej niczym. Bo byłam dla niej niczym. Wtedy to wiedziałam. Chyba z biegiem lat wspomnienie o tym się zatarło, ale teraz ta przykra prawda jakby do mnie wróciła.

Wreszcie zabrakło mi sił, tylko leżałam i siąkałam nosem. Ona chwilę jeszcze na mnie patrzyła, aż w końcu ściągnęła swój sweter. Stary, obszerny, brązowy, sięgał jej prawie po kolana. Była z niej duża dziewczyna, więc i sweter był duży. Narzuciła go na mnie i powiedziała: „Pójdź w nim do domu, będzie wyglądał jak sukienka”.

Chodziłam z nią do szkoły jeszcze osiem lat, aż do ukończenia liceum w Mills, i nigdy więcej nie zamieniłyśmy słowa. Ale do dziś czasem słyszę w snach, jak mówi to jedno zdanie: „Pójdź w nim do domu, będzie wyglądał jak sukienka”. I widzę jej twarz. Twarz bez nienawiści ani gniewu, ale i bez litości. Nie zrobiła tego ani ze współczucia, ani po to, żeby mnie uciszyć. Nie wiem, co nią powodowało, nie wiem, czemu w ogóle wróciła. A ty?

- Też nie - powiedział i pocałował ją w usta. Pocałunek, choć ulotny, był ciepły, wilgotny i cudowny.

- Czemu to zrobiłeś?

- Bo wyglądałaś, jakby tego ci było trzeba, a mnie było tego trzeba na pewno. Co stało się potem, Julio?

- Włożyłam sweter i poszłam do domu... cóż by innego? A moi rodzice czekali.

Dumnie uniosła podbródek.

- Nigdy im nie powiedziałam, co się stało, i nigdy się o tym nie dowiedzieli. Przez jakiś tydzień w drodze do szkoły widziałam moje spodnie leżące na stożkowym dachu estrady. Za każdym razem czułam wstyd i ból... jak nóż wbity w serce. Aż któregoś dnia zniknęły. Ból nie minął zupełnie, ale od tego czasu stał się łżejszy. Tępy, nie ostry.

Nigdy nie naskarżyłam na dziewczyny, choć mój ojciec był wściekły i uziemił mnie do czerwca. Mogłam chodzić tylko do szkoły, nigdzie indziej. Nie puścił mnie nawet na wycieczkę do Muzeum Sztuki w Portland, na którą cieszyłam się cały rok. Powiedział, że będę mogła pojechać i odzyskam wszystkie przywileje, jeśli tylko podam nazwiska dzieci, które się nade mną „pastwiły”. Tak to określał. Ja jednak nie chciałam. Trzymanie ust na kłódkę to dziecięcy odpowiednik jednego z Dziesięciu Przykazań, ale nie tylko dlatego.

- Postąpiłaś tak, bo w głębi ducha uważałaś, że zasłużyłaś na to, co cię spotkało.

- „Zasłużyłam” to złe słowo. Uważałam, że sobie na to zapracowałam, a to zupełnie co innego. Od tej pory moje życie się zmieniło. Nadal dobrze się uczyłam, ale już nie wrywałam się tak często do odpowiedzi. Wciąż walczyłam o dobre oceny, lecz nie byłam na nie pazerna. Mogłam skończyć liceum na pierwszym miejscu, ale w drugim półroczu ostatniej klasy odpuściłam sobie. Na tyle, żeby dać wygrać Carlene Plummer. Nie chciałam wygłaszać przemówienia na zakończeniu roku, ściągać na siebie uwagi. Zdobyłam kilku przyjaciół, tych najlepszych przy paleniu fajek za szkołą.

Największą zmianą było to, że poszłam na studia na uniwersytet stanowy, nie do Princeton... gdzie, nawiasem mówiąc, mnie przyjęli. Mój ojciec pieklił się, grzmiał, że nie pozwoli, by jego córka poszła na byle prowincjonalną uczelnię, lecz postawiłam na swoim.

Uśmiechnęła się.

- No, prawie. Cóż, kompromis to sekretny składnik miłości, a ja bardzo kochałam mojego tatę. Kochałam ich oboje. Planowałam pójść na uniwersytet stanu Maine w Orono, ale w wakacje po skończeniu liceum w ostatniej chwili złożyłam podanie do Bates... powołując się na, jak to nazywają, szczególne okoliczności... i mnie przyjęli. Ojciec kazał mi opłacić wpisowe z własnych oszczędności, co zrobiłam z chęcią, bo w rodzinie, po szesnastu miesiącach starć granicznych między państwem Rygorystycznych Rodziców a mniejszym, ale dobrze ufortyfikowanym księstwem Zdeterminowanej Nastolatki, wreszcie nastął jaki taki pokój. Wybrałam dziennikarstwo, a to do końca zasypało dzielącą nas przepaść... która pojawiła się po tamtym dniu na estradzie. Moi rodzice nigdy się nie dowiedzieli. Nie jestem tu, w Mill, z powodu tego, co wtedy zaszło... to, że przejmę „Democrata”, było w zasadzie z góry przesądzone... ale w dużej mierze przez to jestem taka, jaka jestem.

Znów podniosła na niego oczy błyszczące od łez i uporu.

- Jednak nie jestem mrówką. Nie... jestem... mrówką.

Pocałował ją znowu. Objęła go mocno. A kiedy wyszarpnął jej bluzkę ze spodni i powędrował dłonią w górę, by objąć jej pierś, wsunęła mu język do ust. Gdy oderwali się od siebie, dyszała ciężko.

- Chcesz tego? - spytał. - Tak. A ty?

Wziął jej dłoń i położył na swoich dzinsach, żeby sama poczuła, jak bardzo.

Chwilę później był już nad nią, oparty na łokciach. Wzięła jego członek w rękę i nakierowała na cel.

- Tylko niech pan uważa, pułkowniku Barbara. Trochę zapomniałam, jak to się robi.

- Z tym jest jak z jazdą na rowerze - powiedział Barbie. Okazało się, że miał rację.

15

Po wszystkim, kiedy leżała z głową na jego ramieniu, wpatrzona w różowe gwiazdy, spytała go, o czym myśli. Westchnął.

- O snach. Wizjach. Cokolwiek to jest. Masz swoją komórkę?

- Jak zawsze. I bateria dzielnie się trzyma, choć nie wiem, jak długo pociągnie. Do kogo chcesz zadzwonić? Zgaduję, że do Coksa.

- Zgadłaś. Masz jego numer zapisany w pamięci? - Tak.

Julia sięgnęła po odrzucone na bok spodnie i zdjęła telefon z paska. Wybrała numer zapisany pod COX i podała komórkę Barbiemu, który niemal od razu zaczął mówić. Cox musiał odebrać po pierwszym sygnale.

- Witam, pułkowniku. Tu Barbie. Jestem na wolności. Zaryzykuję i podam panu, gdzie jesteśmy. Na Black Ridge. Stary sad McCoyów. Macie to na swoich... macie. No jasne. I macie satelitarne zdjęcia całego miasta, zgadza się?

Chwilę słuchał, po czym spytał Coksa, czy na tych zdjęciach widać świetlistą podkowę otaczającą wzniesienie i kończącą się na granicy z TR - 90. Cox zapewne odpowiedział przecząco i poprosił o szczegóły.

- Nie teraz - rzucił Barbie. - Na razie chcę, żeby pan coś dla mnie zrobił. Im prędeziej, tym lepiej. Będą potrzebne dwa chinooki.

Wyjaśnił, o co chodzi. Cox wysłuchał go i coś odpowiedział.

- W tej chwili nie mogę wchodzić w szczegóły - rzekł Barbie - zresztą pewnie i tak niewiele by pan z tego zrozumiał. Proszę uwierzyć mi na słowo, że dzieją się tu bardzo porąbane rzeczy, a myślę, że będzie jeszcze gorzej. Może dopiero w Halloween, jeśli dopisze

nam szczęście. Ale na to nie liczę.

16

Podczas gdy Barbie rozmawiał z pułkownikiem Jamesem Coksem, Andy Sanders siedział oparty o ścianę magazynu za radiostacją WCİK i patrzył na nienormalne gwiazdy. Był upalony, że hej, czuł się jak w raju, wrzucał na luz i jak to tam jeszcze można nazwać. Gdzieś pod tym wszystkim jednak drążył go głęboki smutek - dziwnie spokojny, niemal kojący - niby rwąca podziemna rzeka. W całym swoim prozaicznym, praktycznym, nudnym życiu nigdy nie miał przecucia. Aż do teraz. To była jego ostatnia noc na tym świecie. Kiedy przyjdą ludzie pełni goryczy, on i Kucharz Bushey opuszczą ten padół. To wcale nie takie straszne.

- I tak już gram dogrywkę - powiedział. - Od czasu, kiedy o mało nie wziąłem tych pigułek.

- Co tam mówisz, Sanders? - Kucharz nieśpiesznie nadszedł ścieżką zza rozgłośni, świecąc latarką na ziemię tuż przed swoimi bosymi stopami. Ozdobione żabami spodnie od pidżamy wciąż ledwo trzymały się na jego kościstych biodrach. Teraz miał na szyi zawieszony duży biały krzyż, a na ramieniu niósł Bożego Wojownika z kołyszącymi się u kolby dwoma granatami, przywiązanymi do kawałka rzemienia. W dłoni, w której nie trzymał latarki, miał pilota do drzwi garażu.

- Nic, Kucharzu - rzekł Andy. - Tak tylko do siebie gadam. Mam wrażenie, że ostatnio nikt oprócz mnie nie słucha.

- Bzdury gadasz, Sanders. Zupełne, wierutne prze - bzdur - ności. Bóg słucha. Podłącza się do naszych dusz jak FBI do telefonów. Ja też słucham.

Piękno tych słów - i ulga, jaką przyniosły - sprawiły, że Andy'emu serce wezbrało wdzięcznością. Podał Kucharzowi bonga.

- Sztachnij się. Ten towar rozpali ci w piecu.

Kucharz zaśmiał się ochryple, wziął głębokiego macha, zatrzymał dym w płucach, po czym wypuścił go, kaszląc.

- Jebudu! - powiedział. - Boża moc! Moc na całą noc, Sanders!

- A żebyś wiedział - przytaknął Andy. Tak zawsze mawiała Dodee i na myśl o niej znów pękło mu serce. Z roztargnieniem otarł oczy. - Skąd masz ten krzyż?

Kucharz wskazał latarką w stronę rozgłośni.

- Coggins ma tam gabinet. Krzyż leżał w jego biurku. Górna szuflada była zamknięta na klucz, ale wyłamałem zamek. Wiesz, co jeszcze tam było, Sanders? Najbardziej chore świerszczyki, jakie w życiu widziałem.

- Z dziećmi? - spytał Andy. Nie byłby zaskoczony. Kaznodzieja, którego diabeł porywa w swoje szpony, zwykle upada bardzo nisko. Dość nisko, by w cylindrze wleźć pod grzechotnika.

- Gorzej, Sanders. - Kucharz zniżył głos. - Z Azjatkami. - Podniósł z ud Andy'ego AK - 47. Poświecił latarką na kolbę i ukazało się starannie wypisane markerem imię CLAUDETTE.

- Moja żona - wyjaśnił Andy. - Była pierwszą ofiarą klosza. Kucharz ścisnął jego ramię.

- Dobry z ciebie człowiek, skoro ją pamiętasz, Sanders. Cieszę się, że Bóg nas połączył.

- Ja też. - Andy wziął od niego fajkę. - Ja też, Kucharzu.

- Wiesz, co może się jutro zdarzyć, nie?

Andy ścisnął kolbę Claudette. To była wystarczająca odpowiedź.

- Najprawdopodobniej będą w kamizelkach kuloodpornych, więc jeśli dojdzie do walki, mierz w głowy. Żadnych pojedynczych strzałów, od razu ich koś. A kiedy będzie się zanosilo na to, że nas pobiją... wiesz, co się stanie wtedy, zgadza się?

- Tak.

- Po kres, Sanders? - Kucharz podniósł pilota do drzwi garażu na wysokość twarzy i oświetlił go latarką.

- Po kres - przytaknął Andy. Dotknął pilota lufą Claudette.

17

Ollie Dinsmore zerwał się z koszmaru przekonany, że coś jest nie tak. Leżał w łóżku, patrzył na blade i jakby brudne światło zagląające przez okno, i próbował wmówić sobie, że to był tylko sen, jakaś paskudna mara, której nie mógł sobie do końca przypomnieć. Pamiętał tylko ogień i krzyki.

Nie krzyki. Wrzaski.

Tani budzik tykał na stoliku obok łóżka. Za piętnaście szósta, a z kuchni nie dobiegają odgłosy krzątania ojca. Co bardziej wymowne, nie czuć zapachu kawy. Ojciec zawsze był na nogach najpóźniej piętnaście po piątej („Krowy nie będą czekać”, tak brzmiało pierwsze przykazanie Aldena Dinsmore'a), i o wpół do szóstej zwykle już parzyła się kawa.

Nie tego ranka.

Ollie wstał i wciągnął wczorajsze dzinsy.

- Tato!

Żadnej odpowiedzi. Nic, tylko tykanie zegara i - w oddali - muczenie jednej niezadowolonej mułki. Chłopca ogarnęło przerażenie. Powiedział sobie, że nie ma powodu, że jego rodzina - jeszcze przed tygodniem kompletna i szczęśliwa - przeżyła już tyle tragedii, że Bóg nie dopuści do następnej przynajmniej przez jakiś czas. Tak sobie mówił, ale sam w to nie wierzył.

- Tato!

Generator za domem wciąż pracował i Ollie zobaczył w kuchni zielone cyferki na wyświetlaczach kuchenki i mikrofal, ale ekspres do kawy stał ciemny i pusty. W salonie też nie było nikogo. Kiedy Ollie kładł się spać, ojciec oglądał wiadomości. Telewizor nadal grał, choć ze ściszym dźwiękiem. Nadawano reklamę. „Wydajecie czterdzieści dolców miesięcznie na papierowe ręczniki. Toż to wyrzucanie pieniędzy w błoto!” - mówił podejrzanie wyglądający typ z innego świata, gdzie takie rzeczy mogły mieć znaczenie.

Ojciec poszedł nakarmić krowy, to wszystko.

Tylko czy wówczas nie wyłączyłby telewizora, żeby oszczędzać prąd? Mieli co prawda duży zbiornik propanu, ale przecież kiedyś się w końcu wyczerpie.

- Tato!

Nadal żadnej odpowiedzi. Ollie podszedł do okna i wyjrzał na oborę. Nikogo. Z narastającym lękiem ruszył korytarzem do pokoju rodziców i już zbierał się w sobie, by zapukać, kiedy się zorientował, że nie ma takiej potrzeby. Drzwi były otwarte. Zobaczył duże podwójne łóżko rozgrzebane (poza oborą ojciec wydawał się ślepy na bałagan) i puste. Ollie już chciał wyjść, gdy poczuł przerażenie. Odkąd sięgał pamięcią, na ścianie w tym pokoju wisiał ślubny portret rodziców. Teraz go nie było. Został po nim tylko jaśniejszy kwadrat na tapecie.

To nie powód, żeby się bać, tłumaczył sobie Ollie. Ruszył dalej w głąb korytarza. Były jeszcze jedne drzwi, przez ostatni rok otwarte, teraz zamknięte. Wisiało na nich coś żółtego. Kartka. Zanim podszedł dość blisko, by ją przeczytać, rozpoznał pismo ojca. Nic dziwnego, wystarczająco wiele listów napisanych tymi kulfonami czekało na niego i Rory'ego, kiedy wracali ze szkoły, i wszystkie kończyły się tak samo.

Pozamiatajcie oborę, potem idźcie się bawić. Wypielcie pomidory i fasolę, potem idźcie się bawić. Przynieście do domu pranie matki i uważajcie, żeby nie wlokło się w błocie. Potem idźcie się bawić.

Czas zabaw minął, pomyślał Ollie ponuro.

Potem jednak zaświtała mu nadzieja. Może to tylko sen. Czy nie było to możliwe? Po śmierci brata od rykoszetu i samobójstwie matki czemu nie miałyby mu się przyśnić, że budzi

się w pustym domu?

Znów zamuczała krowa i nawet to zabrzmiało jak dźwięk słyszany we śnie.

Pokój za drzwiami z kartką kiedyś zajmował dziadek Tom. Cierpiący na powoli wyniszczającą go niewydolność serca, zamieszkał z nimi, kiedy nie mógł dłużej radzić sobie sam. Przez jakiś czas udawało mu się dokuśtykać do kuchni, żeby tam zjeść z resztą rodziny, ale pod koniec był przykuty do łóżka, najpierw z rurką wetkniętą w nos, a potem w plastikowej masce, której prawie nigdy nie zdejmował. Rory raz powiedział, że wygląda w niej jak najstarszy kosmonauta świata, i mama dała mu za to w gębę.

Pod koniec wszyscy na zmianę wymieniali mu butle z tlenem i któregoś wieczoru mama znalazła go martwego na podłodze, jakby próbował wstać z łóżka i od tego umarł. Zawołała Aldena, który przyszedł, spojrzął, osłuchał pierś staruszka, po czym zakręcił tlen. Mama się rozplakała. Od tej pory pokój prawie zawsze był zamknięty.

W tym liście na drzwiach tak było napisane:

Przepraszam. Idź do miasta, Ollie. Przygarną cię Morganowie, Dentonowie albo wielbna Libby.

Ollie długo patrzył na kartkę, po czym obrócił gałkę dłońią, która zdawała się należeć do kogoś innego. Miał nadzieję, że nie będzie zbyt okropnie.

Nie było. Jego ojciec leżał na łóżku dziadzia z dłońmi splecionymi na piersi. Włosy miał uczesane jak zawsze przed wyjściem do miasta. W rękach trzymał fotografię ślubną. W kącie wciąż stała jedna ze starych zielonych butli tlenowych dziadka; na jej zaworze wisiała baseballówka Red Sox, ta z napisem MISTRZOWIE ŚWIATA.

Ollie potrząsnął ramieniem ojca. Czuł zapach gorzały i w jego sercu na kilka sekund odżyła nadzieja (zawsze uparta, czasem znienawidzona). Może się tylko upił.

- Tato! Tatusiu! Wstawaj!

Nie czuł muśnięcia oddechu na swoim policzku i teraz zauważył, że oczy ojca są niedomknięte; między górnymi a dolnymi powiekami widać było małe białe półksiężycy. W powietrzu wisiał zapach tego, co jego matka nazywała *eau de siki*. Jego ojciec uczesał włosy, ale kiedy umierał, podobnie jak jego świętej pamięci żona zsikał się w gacie. Ollie był ciekaw, czy zmieniłby zamiary, gdyby wiedział, że tak to się może skończyć.

Powoli cofnął się od łóżka. Teraz, kiedy chciał czuć się tak, jakby to był zły sen, nie mógł. To była zła rzeczywistość. Nie można się przebudzić. Ścisnęło go w żołądku i słup ohydnej cieczy podszedł mu do gardła. Pobiegł do łazienki, gdzie stanął przed nim nieznajomy o płonących oczach. Krzyknął, ale zaraz rozpoznał samego siebie w lustrze nad umywalką.

Ukląkł przy sedesie, przytrzymując się zamontowanych z myślą o dziadku poręczy dla kalek, jak nazywali je z Rorym, i zwymiotował. Kiedy wszystko wyleciało, spuścił wodę (dzięki generatorowi i porządnej, głębokiej studni spłuczka wciąż działała), zamknął klapę i usiadł na niej, dygocząc na całym ciele. Obok, w umywalce, stały dwie buteleczki po lekach dziadzia Toma i flaszka po jacku danielsie. Puste. Ollie wziął jedną z buteleczek. PERCOCET, przeczytał na etykiecie. Drugiej już nie obejrzał.

- Zostałem sam - powiedział.

„Przygarną cię Morganowie, Dentonowie albo wilebna Libby”...

Nie chciał, żeby ktoś go przygarnął - nie był bezdomnym zwierzakiem. Czasem nie cierpiał tej farmy, ale zawsze bardziej ją kochał. Tę farmę, te krowy, ten stos drewna na opał. Był ich właścicielem, ale i ich własnością. Wiedział, że Rory wyjechałby i zrobił wielką, wspaniałą karierę, najpierw na studiach, a potem w jakimś mieście daleko stąd, gdzie chodziłby do teatru, galerii sztuki i takich tam. Jego młodszy brat był na tyle bystry, by do czegoś w życiu dojść. On może miał dość oleju w głowie, by wyrobić się ze spłacaniem pożyczek z banku i kart kredytowych, ale niewiele ponadto.

Postanowił pójść nakarmić krowy. Da im podwójną porcję, jeśli będą miały apetyt. Może nawet trafi się jedna czy dwie mučki, które będą chciały, żeby je wydoić. Jeśli tak, chętnie napije się mleka prosto od krowy, jak w dzieciństwie.

Potem pójdzie na sam kraniec łąki i będzie rzucał kamieniami w kopułę, aż zaczną się schodzić ludzie przybywający na spotkanie z bliskimi. „Będzie się działo”, powiedziałyby jego ojciec. Ollie nie miał nikogo, z kim chciałby się zobaczyć, może oprócz szeregowego Amesa z Karoliny Południowej. Może przyjadą ciocia Lois i wujek Scooter - mieszkali niedaleko, w New Gloucester - ale nawet jeśli, to co miałby im powiedzieć? „Cześć, wujek, wszyscy oprócz mnie nie żyją, dzięki za wizytę”?

Nie, jak ludzie spoza klosza zaczną się schodzić, on pójdzie tam, gdzie pochowali mamę, i obok wykopie drugi dół. Kiedy spracowany położy się do łóżka, może uda mu się zasnąć.

Maska tlenowa dziadzia Toma dyndała na haczyku w drzwiach łazienki. Mama starannie ją umyła i tam powiesiła. Po co? Nie wiadomo. Gdy na tę maskę patrzył, prawda wreszcie zwała się na niego z całą mocą i to było tak, jakby fortepian gruchnął na marmurową posadzkę. Ollie ukrył twarz w dłoniach i kołysał się na sedesie w przód i w tył, w przód i w tył...

Linda Everett spakowała konserwy do dwóch toreb na zakupy, które miała położyć pod drzwiami, ale ostatecznie postanowiła zostawić w spiżarni do czasu, aż Thurse i dzieci będą gotowi do wyjazdu. Kiedy zobaczyła przez okno nadchodzącego młodego Thibodeau, uznała, że dobrze zrobiła. Bała się tego chłopaka śmiertelnie, ale miałyby dużo więcej powodów do strachu, gdyby zobaczył dwie torby wypchane puszkami zupy, fasoli i tuńczyka. „Wybieramy się dokądś, pani Everett? Porozmawiajmy o tym”.

Kłopot polegał na tym, że spośród wszystkich nowych glin przyjętych przez Randolpha jeden Thibodeau był bystry.

Czemu Rennie nie mógł przysłać Searlesa? - pomyślała Linda.

Bo Melvin Searles to tępak. Proste, drogi Watsonie.

Zerknęła przez okno kuchenne do ogródka i zobaczyła, że Thurston buja Jannie i Alice na huśtawce. Audrey leżała nieopodal z pyskiem na łapie. Judy i Aidan byli w piaskownicy. Judy obejmowała Aida - na ramieniu i zdawała się go pocieszać. Linda kochała ją za to. Miała nadzieję, że spławi pana Cartera Thibodeau, zanim pięć osób na podwórku zauważy jego obecność. Swoją przygodę z aktorstwem zakończyła rolą Stelli w „Tramwaju zwanym pożądaniem” na studiach, ale dziś znowu musi wyjść na scenę. Najlepszą recenzją będzie to, że ona i ludzie za domem zachowają wolność.

Pośpieszyła przez salon, układając twarz w stosownie zaniepokojoną minę, i otworzyła drzwi. Carter stał na wycieracze z napisem WITAMY, z uniesioną pięścią - właśnie chciał zapukać. Linda musiała zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w twarz; miała przeszło metr siedemdziesiąt, ale on był dużo wyższy.

- No proszę - powiedział z uśmiechem. - Zwarta, czujna i gotowa, choć jeszcze nie ma wpół do ósmej.

Właściwie nie miał wielkiej ochoty się uśmiechać; to nie był owocny poranek. Nie zastał ani wielebnej, ani suki z gazety, ani jej dwóch reporterów, ani Rose Twitchell. Restauracja była otwarta i młody Wheeler pilnował interesu, ale zapewnił, że nie ma pojęcia, gdzie może być Rose. Był wiarygodny. Wyglądał jak pies, który zapomniał, gdzie zakopał ulubioną kość. Sądząc z zapachów płynących z kuchni, o gotowaniu też nie miał pojęcia. Carter poszedł na tyły zobaczyć, czy jest tam furgonetka Sweetbriar. Zniknęła. Nie był zaskoczony.

Z restauracji pojechał do sklepu Burpeego. Najpierw dobijał się od frontu, potem od tyłu, gdzie jakiś nieuważny ekspedient zostawił rolki materiału do krycia dachów. Przecież

mógł je stąd ukraść pierwszy lepszy złodziej. Chociaż po co komu materiał do krycia dachów w mieście, w którym już nie pada?

Carter myślał, że dom Everettów też będzie pusty, wybrał się tam tylko po to, by móc powiedzieć, że wypełnił instrukcje szefa co do joty, ale idąc podjazdem, usłyszał głosy dzieci na podwórku za domem. Poza tym stał tu jej van. Na pewno jej, na desce rozdzielczej był przyklejony kogut. Szef chciał, żeby przesłuchania były umiarkowanie ostre, ale skoro Carter nie znalazł nikogo oprócz Lindy Everett, uznał, że nie zaszkodzi jej trochę przycisnąć. Czy to jej się spodoba, czy nie - raczej nie - będzie musiała odpowiedzieć nie tylko za siebie, ale i za tych, których nie zastał. Tyle że zanim zdążył otworzyć usta, to ona pierwsza zaczęła mówić. I nie tylko mówić; wzięła go za rękę i, o dziwo, wciągnęła do środka.

- Znaleźliście go? Proszę, Carter, czy Ryży jest cały i zdrowy? Bo jeśli nie... - Puściła jego dłoń. - Jeśli nie, mów cicho, dzieci są za domem i nie chcę, żeby się jeszcze bardziej martwiły.

Carter ominął ją, poszedł do kuchni i wyjrzał przez okno nad zlewem.

- Co tu robi ten hipis lekarz?

- Przyprował dzieci, którymi się opiekuje. Caro zabrała je wczoraj na zebranie i... wiesz, co się z nią stało.

Tej paplaniny Carter się nie spodziewał. Może baba rzeczywiście nic nie wie. Przemawiał za tym fakt, że wczoraj przysłała na zebranie, a dziś była w domu. A może tylko próbowała go zmylić. Może to był jej, jak to się nazywa, atak wyprzedzający. Bardzo możliwe, w końcu była cwana. I całkiem apetyczna jak na starszą laskę.

- Znaleźliście go? Czy Barbara... - Bez trudu udała, że łamie jej się głos. - Czy Barbara coś mu zrobiła? I gdzieś go porzuciła? Możesz powiedzieć mi prawdę.

Uśmiechnął się.

- Ty pierwsza. - Co?

- Ty pierwsza, mówię. Ty mi powiedz prawdę.

- Wiem tylko, że zniknął. - Zwiesiła ramiona. - A ty nie wiesz, gdzie jest. Widać to po tobie. A jeśli Barbara go zabije? A jeśli już go za...

Carter złapał ją, obrócił jak partnerkę na wiejskiej potańcówce i wykręcił jej rękę za plecy, aż ramię zatrzeszczało. Zrobił to tak niesamowicie płynnym, szybkim ruchem, że zanim się zorientowała, co zamierzał, było już za późno.

On wie! Wie i zrobi mi krzywdę! Będzie bił, aż powiem...

W uchu czuła jego gorący oddech. Zarost łaskotał jej policzek, przypawiając o dreszcze.

- Nie bajeruj bajeranta, mamuśka. Ty i Wettington zawsze trzymałyście się razem, papużki nierozłączki, kurde. Chcesz mi wmówić, że nie wiedziałaś, że zamierzała uwolnić twojego mężula? Tak mam to rozumieć?

Szarpnął jej rękę do góry i Linda musiała przygryźć wargę, żeby stłumić krzyk. Tam były dzieci, Jannie właśnie wołała do Thurse'a, żeby bujał ją wyżej. Nie może krzyczeć, bo przybiegną...

- Gdyby mi powiedziała, poszłabym z tym do Randolpha - wydyszała. - Myślisz, że narażałabym Ryżego, kiedy wiem, że nic nie zrobił?

- E tam nic. Groził szefowi, że jeśli nie ustąpi, nie da mu leków. Szantażował go, kurwa mać. Sam słyszałem. - Znów szarpnął jej rękę. Jęknęła. - Masz coś o tym do powiedzenia, mamuśka?

- Może to zrobił, może nie. Nie widziałam go, nie rozmawiałam z nim, więc skąd mam wiedzieć? Ale mimo wszystko nie ma w mieście lepszego od niego lekarza. Rennie nie skazałby go na śmierć. Może Barbarę, ale nie Ryżego. A teraz mnie puść.

W pierwszej chwili już prawie to zrobił. To, co mówiła, trzymało się kupy. Potem wpadł na lepszy pomysł i zaprowadził ją do zlewu.

- Pochyl się, mamuśka. - Nie!

Znów szarpnął jej rękę. Miała wrażenie, że zaraz wyrwie jej ramię ze stawu.

- Pochyl się. Jakbyś miała sobie umyć te śliczne blond włoski.

- Linda! - zawołał Thurston. - Jak ci idzie?

Jezu, tylko niech nie pyta o prowiant! Proszę cię, Jezu!... I uderzyła ją inna myśl: gdzie walizki dzieci? Każda z dziewczynek spakowała małą torbę podróżną. A jeśli stoją w salonie?

- Powiedz mu, że wszystko gra - powiedział Carter. - Nie chcemy mieszać do tego hipisa. Ani dzieci. Mam rację?

Boże, tak. Ale gdzie ich walizki?

- Dobrze! - odkrzyknęła.

- Już kończysz?! - zawołał. Och, Thurse, weź się zamknij!

- Jeszcze pięć minut!

Thurston przez chwilę stał nieruchomo z taką miną, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, potem jednak wrócił do bujania dziewczynek.

- Dobra robota. - Carter napierał na nią i miał wzwód. Czują jego członek na siedzeniu dzinsów. Wydawał się wielki jak klucz francuski. - Co już kończysz?

Już miała powiedzieć „Robić śniadanie”, ale w zlewie były brudne talerze. Przez chwilę w głowie huczała jej pustka i wręcz chciała, żeby znów się o nią pocierał, bo jak

faceci zaczynają myśleć kutasem, rozum im się przełącza na obraz kontrolny.

On jednak znów pociągnął jej rękę do góry.

- No, mamuśka, powiedz coś. Bo tatuś będzie niezadowolony.

- Ciastka! - wydyszała. - Powiedziałam, że zrobię ciastka. Dzieci prosiły!

- Pieczenie ciastek bez prądu... - zastanawiał się na głos. - Najlepsza sztuczka tygodnia.

- To takie, których nie trzeba piec! Zobacz w spizarce, sukinsynu! - Gdyby tam zajrzał, rzeczywiście znalazłby na półce ciasto w proszku, z którego robiło się niewymagające pieczenia owsiane ciasteczka. Ale oczywiście gdyby potem popatrzył w dół, zobaczyłby też spakowany prowiant. A mógłby to zrobić, gdyby zauważył, ile półek w spizarce jest pustych.

- Nie wiesz, gdzie on jest. - Znów naparł na nią członkiem. Pulsujący ból ramienia sprawił, że prawie tego nie poczuła. - Jesteś tego pewna.

- Tak. Myślałam, że ty to wiesz. Że przyszedłeś z wiadomością, że coś mu się stało albo że u - u...

- Zgrabną masz dupcię, ale myślę, że kłamiesz jak najęta. - Poderwał jej rękę jeszcze wyżej i teraz ból stał się straszliwy. Krzyk już - już wydierał się z jej gardła, ale jakoś wytrzymała. - Myślę, że dużo wiesz, mamuśka. A jeśli mi wszystkiego nie powiesz, wyrwę ci ramię ze stawu. Ostatnia szansa. Gdzie on jest?

Linda pogodziła się z tym, że wyjdzie z tego ze złamaną ręką albo barkiem. Pytanie, czy zdoła się powstrzymać od krzyku, który ściągnąłby tu Thurstona i dzieci. Ze spuszczoną głową i włosami opadającymi do zlewu powiedziała:

- Siedzi mi w dupie. Pocałuj ją, skurwysynu, to może wyskoczy i powie ci cześć.

Zamiast złamać jej rękę, Carter się roześmiał. To był całkiem dobry tekst. I wierzył jej. Nie ośmieliłaby się tak pyskować, gdyby kłamała. Szkoda tylko, że miała na sobie levisy. Ruchańsko tak czy owak pewnie nie wchodziłoby w grę, ale gdyby była w spódnicy, dużo mniej by go od tego dzieliło. Cóż, jebanko na sucho to nie najgorszy początek dnia, nawet jeśli musiał poprzestać na ocieraniu się o dzinsy zamiast ładnych, miękkich majteczek.

- Nie ruszaj się i trzymaj gębę na kłódkę. Jeśli będziesz grzeczna, może wyjdiesz z tego w jednym kawałku.

Usłyszała brzęk sprzączki jego paska i zgrzyt rozporoka. Potem znów zaczęło się o nią ocierać to co wcześniej, tyle że oddzielone już dużo cieńszą warstwą materiału. W głębi ducha była mgliście zadowolona, że włożyła względnie nowe dzinsy; mogła mieć nadzieję, że paskudnie go podrapią.

Byle Judy i Janelle nie weszły i nie zobaczyły mnie w tej chwili, myślała gorączkowo.

Nagle przywarł do niej mocniej. Dłonią, którą nie trzymał jej ręki, ścisnął jej pierś.

- Hej, mamuśka - mruknął. - Hej - hej, o rany! - Poczowała przeszywający go spazm, ale nie wilgoć, która następuje po takich spazmach jak dzień po nocy. Dżinsy były na to za grube, chwała Bogu. Chwilę potem uścisk dłoni ciągnącej jej rękę do góry wreszcie zelżał. Linda myślała, że się popłacze z ulgi, ale nie zrobiła tego. Nie chciała. Odwróciła się. Zapinał pasek.

- Lepiej zmień spodnie, zanim weźmiesz się do robienia ciastek. Przynajmniej ja bym je zmienił. - Wzruszył ramionami. - Ale kto wie, może ciebie to kręci. Różne są gusta.

- To teraz w ten sposób pilnujecie prawa? Tak wasz szef chce, żebyście to robili?

- Jego interesuje raczej ogólny obraz sytuacji. - Carter odwrócił się w stronę spiżarki i galopujące serce Lindy na chwilę zamarło. Potem zerknął na zegarek i szybkim ruchem zapiął rozporek. - Jeśli mąż skontaktuje się z tobą, zadzwoń do pana Renniego albo do mnie. Tak będzie najlepiej, wierz mi. Bo jeśli tego nie zrobisz, a ja się o tym dowiem, następnym razem spuszczę ci się prosto w dupała. Czy dzieci będą patrzeć, czy nie. Mnie publika nie przeszkadza.

- Wyjdź, zanim przyjdą.

- Poproś ładnie, mamuśka.

Wiedziała, że zaraz zajrzy tu Thurston, więc w końcu powiedziała.

- Proszę.

Ruszył do drzwi, po czym zajrzał do salonu i przystanął. Zobaczył małe walizki. Była tego pewna.

Ale co innego mu chodziło po głowie.

- I zdaj tego koguta, którego widziałem w twoim vanie. Jakbyś nie pamiętała, przypominam, że zostałam wylana.

19

Była na górze, kiedy Thurston i dzieci weszli trzy minuty później. Najpierw zajrzała do pokoju dzieci. Torby podróżne były na ich łóżkach. Z jednej wystawał miś Judy.

- Hej, szkraby! - zawołała wesoło. *Toujours gai*, oto cała ona. - Pooglądajcie sobie książeczki z obrazkami, zaraz przyjdę!

Thurston podszedł do podnóża schodów.

- Naprawdę powinniśmy...

Zobaczył jej minę i znieruchomiał. Przywołała go gestem.

- Mamo! - krzyknęła Janelle. - Możemy wypić ostatnią pepsi, jeśli się nią podzielę?!

Choć normalnie zawetowałyby pomysł picia coli o tak wczesnej porze, tym razem się

zgodziła.

- Tylko nie porozlewajcie! Thurse doszedł do połowy schodów.

- Co się stało?

- Ciszej. Przyszedł glina. Carter Thibodeau.

- Ten napakowany, wysoki, z szerokimi barami?

- Ten sam. Przyszedł wypytać mnie o...

Thurse zbladł i Linda wiedziała, że w tej chwili odtwarzał sobie w pamięci, co do niej wołał, kiedy myślał, że była sama.

- Chyba wszystko gra - powiedziała - ale chcę, żebyś sprawdził, czy naprawdę poszedł. Był pieszo. Wyjrzyj na ulicę, a potem zerknij przez płot na podwórko Edmundsów. Ja muszę zmienić spodnie.

- Co ci zrobił?!

- Nic! - syknęła. - Upewnij się, że poszedł, a jeśli tak, spadamy stąd w cholere.

20

Piper Libby puściła skrzynkę, usiadła na piętach i ze łzami wzbierającymi w oczach patrzyła na miasto. Myślała o swoich nocnych modlitwach do Nieobecnego. Teraz wiedziała już, że dała się nabrać. Bo Nieobecny był obecny. Tylko że nie był Bogiem.

- Widziała ich pani?

Aż podskoczyła. Stała za nią Norrie Calvert. Wydawała się chudsza. I starsza. Kiedyś będzie piękna, stwierdziła Piper. W oczach swoich kumpli pewnie już jest piękna.

- Tak, kochanie.

- Czy Ryży i Barbie mają rację? Czy ci ludzie, co na nas patrzą, to tylko dzieci?

Może trzeba na nich spojrzeć okiem dziecka, żeby to stwierdzić, pomyślała Piper.

- Nie jestem na sto procent pewna, skarbie. Sama zobacz. Norrie popatrzyła na nią niepewnie.

- Jeśli zacznę... sama nie wiem... świrować czy coś, odciągnie mnie pani?

- Tak. I nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz. Nie traktuj tego jak wyzwanie.

Ale Norrie tak to potraktowała. I była ciekawa. Ukłękła w wysokiej trawie i mocno chwyciła skrzynkę z obu boków. Natychmiast przeszył ją prąd. Głowa odskoczyła jej do tyłu tak gwałtownie, że kręgi szyjne trzasnęły jak wyłamywane palce. Piper już wyciągała do niej rękę, ale opuściła ją, bo w tej samej chwili Norrie się rozluźniła. Podbródek opadł jej na pierś, a oczy, które zacisnęła, kiedy poraził ją prąd, otworzyła znowu. Były zamglone, nieprzytomne.

- Dlaczego to robicie? - spytała. - Dlaczego? Ręce Piper pokryła gęsia skórka.

- Powiedźcie! - Łza wypłynęła z oka Norrie i kapnęła na skrzynkę, gdzie zaskwierczała i zniknęła. - Powiedźcie!

Cisza się przeciągała. Wreszcie, po wydawało się bardzo długim czasie, dziewczyna puściła skrzynkę i odchyliła się, aż usiadła na piętach.

- Dzieciaki.

- Na pewno?

- Na pewno. Nie mogłam policzyć, ile ich było. To ciągle się zmieniało. Są w skórzanych czapkach. Mają wredne gęby. Były w goglach i patrzyły w swoją skrzynkę. Tylko że ta ich jest jak telewizor. Widzą wszystko, całe miasto.

- Skąd wiesz?

Norrie bezradnie pokręciła głową.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wiem. To wredne dzieciaki z wrednymi gębami. Nigdy więcej nie dotknę tej skrzynki. Czuję się brudna. - Popłakała się.

Piper wzięła ją w ramiona.

- Kiedy spytałaś ich dlaczego, co powiedzieli? - Nic.

- Jak myślisz, słyszeli cię?

- Tak. Po prostu mnie olali.

Z tyłu dobiegł narastający, miarowy łopot. Od północy nadlatywały dwa śmigłowce transportowe, prawie ocierające się o czubki drzew w TR - 90.

- Niech lepiej uważają na klosz, bo rozbiją się jak ten samolot! - krzyknęła Norrie.

Helikoptery się nie rozbiły. Dotarły na skraj bezpiecznej przestrzeni powietrznej, odległej o jakieś trzy kilometry, i zaczęły opadać.

21

Cox powiedział Barbiemu o starej drodze zaopatrzeniowej, która biegła od sadu McCoyów do granicy z TR - 90, i zapewnił, że wygląda na przejezdną. Barbie, Ryży, Rommie, Julia i Pete Freeman ruszyli nią około wpół do ósmej w piątek rano. Barbie ufał Cokowski, ale zdjęciom starej drogi dla ciężarówek zrobionym z wysokości trzystu kilometrów już niekoniecznie, więc pojechali furgonetką, którą Ernie Calvert ukradł z komisji Jima Renniego. Gdyby gdzieś ugrzęzła, nie byłaby to wielka strata. Pete nie miał aparatu fotograficznego; jego cyfrowy nikon przestał działać, kiedy podszedł z nim do skrzynki.

- E.T. nie lubić paparazzich, brachu - powiedział Barbie. Wydawało mu się, że to w miarę zabawny tekst, ale Pete nie miał poczucia humoru, kiedy chodziło o jego aparat.

Dawna furgonetka firmy telekomunikacyjnej dojechała do samej kopuły i teraz cała piątka patrzyła, jak dwa ogromne CH - 47, kołyszac się, opadają ku zarośniętej łące od strony TR - 90. Był tam dalszy odcinek drogi i wirniki chinooków wzbijały wielkie kłęby kurzu. Barbie i pozostali osłonili oczy, odruchowo i najzupełniej niepotrzebnie; kurz dolatywał do kopuły i rozchodził się na boki.

Śmigłowce lądowały powoli, dostojnie, jak otyłe damy siadające na fotelach kinowych ździebko za małych na ich tyłki. Barbie usłyszał przeraźliwy zgrzyt metalu o wystający głąz i helikopter po lewej stronie ociężale odleciał trzydzieści metrów w bok, zanim ponowił próbę.

Z otwartej kabiny pierwszego śmigłowca wyskoczyła postać, która przeszła przez chmurę wzburzonego pyłu, rozgarniając ją niecierpliwie na boki. Barbie wszędzie rozpoznałby tego srogiego, krępego kurdupla. Zbliżając się, Cox zwolnił kroku i wysunął rękę przed siebie jak niewidomy szukający przeszkód w ciemności. I po chwili już ścierał kurz po swojej stronie.

- Dobrze widzieć was na wolności, pułkowniku Barbara. - Tak jest.

Cox przesunął spojrzenie w bok.

- Witam panią, pani Shumway, i was, pozostali przyjaciele Barbary. Chcę usłyszeć wszystko, ale będziecie się musieli streszczać... zorganizowałem szopkę na drugim końcu miasta i chcę tam być.

Cox wskazał kciukiem za plecy, gdzie już rozpoczął się rozładunek. Na trawie stawiano dziesiątki wentylatorów Air Max z podłączonymi do nich generatorami. To były te duże, zauważył Barbie z ulgą. Takich się używa do osuszania kortów tenisowych i boksów na torach wyścigowych po silnych ulewach. Każdy przyśrubowany był do dwukołowej platformy. Generatory wyglądały, jakby miały moc góra dwadzieścia koni mechanicznych. Oby to wystarczyło.

- Pierwsza sprawa: chcę, żebyś mi powiedział, że te wentylatory nie będą potrzebne.

- Pewności nie mam - odparł Barbie - ale niestety, nie mogę tego wykluczyć. Przydałoby się ustawić kilka od strony drogi sto dziewiętnaście, gdzie mieszkańcy miasta spotkają się z krewnymi.

- Wieczorem. Wcześniej nie da rady.

- Weźcie parę stąd - zaproponował Ryży. - Jeśli będziemy potrzebowali wszystkich, to i tak mamy przesrane na amen.

- Nic z tego, synu. Może gdyby się dało przeciąć przestrzeń powietrzną nad Chester's Mill, ale wówczas problem by nie istniał, prawda? A ustawienie szeregu zasilanych generatorami potężnych wentylatorów w miejscu, gdzie będą odwiedzający, trochę mijałoby

się z celem. Nikt by nic nie słyszał. Te cacka strasznie hałasują. - Zerknął na zegarek. - No dobrze, ile zdążycie mi powiedzieć w piętnaście minut?

PRZEDWCZESNE HALLOWEEN

1

Za piętnaście ósma prawie nowa honda odyssey green Lindy Everett podjechała do rampy załadowniczej za sklepem Burpeego. Thurse zajmował miejsce obok kierowcy. Dzieci (zdecydowanie zbyt ciche jak na dzieci wyruszające na przygodę) były na tylnym siedzeniu. Aidan tulił do siebie łeb psa. Audrey, zapewne wyczuwając rozpacz chłopca, cierpliwie to znosiła.

Ramię Lindy wciąż pulsowało bólem - trzy aspiryny nie pomogły - i nie mogła wymazać z pamięci twarzy Cartera Thibodeau. Ani jego zapachu, mieszanki potu i wody kolońskiej. Cały czas się spodziewała, że lada chwila podjedzie od tyłu radiowozem i zablokuje im drogę ucieczki.

„Następnym razem spuszczę ci się prosto w dupała. Czy dzieci będą patrzeć, czy nie?”. Zrobiłby to. Na pewno. I choć nie mogła wyjechać z miasta na dobre, musiała uciec nowemu Piętaszkowi Renniego jak najdalej.

- Weź całą rolkę i nożyce do metalu - powiedziała do Thurse'a.

- Są pod tym kartonem mleka. Tak mówił Ryży.

Thurston otworzył drzwi, ale się zawahał.

- Nie mogę. A jeśli będą potrzebne komuś innemu?

Nie miała zamiaru się z nim spierać; pewnie skończyłoby się na tym, że nawrzeszczałyby na niego i wystraszyła dzieci.

- Rób, jak chcesz. Tylko się pośpiesz.

- Postaram się.

Wydawało się, że ciął tę blachę całą wieczność, i Linda musiała się powstrzymać, żeby nie wychylić się przez okno i nie spytać go, czy jest starą babą od urodzenia, czy to przyszło z wiekiem.

Trzymaj głowę krótko, nakazywała sobie. Wczoraj stracił kogoś, kogo kochał.

Tak, a jeśli się nie pośpieszą, ona mogła stracić wszystko. Na Main Street byli już ludzie kierujący się w stronę sto dziewiętnastej i gospodarstwa mlecznego Dinsmore'ów, pragnący zająć najlepsze miejsca. Linda podskakiwała za każdym razem, kiedy policyjny megafon ryczał: **DROGA JEST ZAMKNIĘTA DLA SAMOCHODÓW! WSZYSCY OPRÓCZ OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH MUSZĄ IŚĆ PIESZO!**

Thibodeau był bystry i coś wyniuchał. A jeśli wróci i zobaczy, że jej wóz zniknął? Czy zaczęłyby go szukać? Tymczasem Thurse jakby nigdy nic dalej wycinał kawałki blachy z rolki. Odwrócił się i myślała, że już skończył, ale nie, tylko mierzył na oko przednią szybę. Znow zaczął ciąć. Oderwał następny kawałek. Może specjalnie chciał doprowadzić ją do szału. Durne myśli, ale jak już się pojawiły, nie dawały się odegnąć.

Wciąż czuła, jak Thibodeau ociera się o jej tyłek. Łaskotanie jego zarostu. Paluchy ściskające jej pierś. Zdejmując spodnie, miała nie patrzeć na to, co zostawił na ich siedzeniu, ale nie wytrzymała. Jedyнным określeniem, jakie przyszło jej do głowy, było „męski bryzg”, i musiała nieźle się wysilić, żeby nie zwrócić śniadania. Co też by go zadowoliło, gdyby o tym wiedział.

Pot wystąpił jej na czoło.

- Mamo! - krzyknęła Judy nad samym jej uchem. Linda znowu podskoczyła. -
Przepraszam, nie chciałam cię nastraszyć. Mogę coś zjeść?

- Nie teraz.

- Czemu ten pan gada przez megafon?

- Kochanie, nie mogę teraz z tobą rozmawiać.

- Jesteś zdołowana?

- Tak. Trochę. Usiądź spokojnie.

- Zobaczymy się z tatusiem?

- Tak. - Chyba że nas złapią i zostanę zgwałcona na waszych oczach. - No już, usiądź.

Wreszcie przyszedł Thurse. Dzięki Bogu! Wydawało się, że niesie dość wyciętych kwadratów i prostokątów z ołowiu, by opancerzyć czołg.

- A widzisz? Nie było tak źle... o cholera.

Dzieci zachichotały i Linda poczuła się, jakby szorstkie pilniki pocierały jej mózg.

- Dwadzieścia pięć centów za brzydkie słowo, panie Marshall - powiedziała Janelle.

Thurse patrzył w dół stropiony. Miał nożyce do metalu zatknięte za pas.

- Tylko schowam ...

Linda wyrwała mu je, zanim mógł dokończyć, oparła się chwilowej pokusie, by wbić ostrza po uchwyt w jego wątłą pierś - opanowanie godne uznania, stwierdziła - i wysiadła, żeby własnoręcznie odłożyć nożyce na miejsce.

W tej samej chwili jakiś samochód wsunął się za odysseya, zastawiając dostęp do West Street, jedyny wyjazd z tego ślepego zaułka.

Na szczycie Town Common Hill, tuż poniżej rozwidlenia, na którym od Main Street odchodziła Highland Avenue, stał z włączonym silnikiem hummer Jima Renniego. Z dołu dobiegały nagłośnione przez megafony nawoływania, by ludzie zostawili samochody i szli pieszo. Chodnikami płynęła rzeka mieszkańców miasta, wielu niosło plecaki. Duży Jim patrzył na nich z ową pełną znużenia pogardą, jaką czują tylko opiekunowie, którzy wykonują swoją pracę nie z miłości, lecz z poczucia obowiązku.

Jedna osoba szła pod prąd - Carter Thibodeau. Kroczył środkiem ulicy, co jakiś czas odpychając ludzi na boki. Dotarł do hummera, wsiadł i wytarł rękawem pot z czoła.

- O rany, klima fajna rzecz. Jeszcze nie ma ósmej, a na dworze jest już dwadzieścia kilka stopni. Powietrze cuchnie jak zarębana popielniczka. Przepraszam za wyrażenie, szefie.

- Jak ci poszło?

- Kiepsko. Rozmawiałem z posterunkową Everett. Eks - posterunkową Everett. Reszta nawiała.

- Wie coś?

- Nie. Doktorek się do niej nie odezwał. A Wetington robiła ją w balona. Mydliła jej oczy i wciskała kit.

- Jesteś pewien? - Uhm.

- Były z nią dzieciaki?

- Tak. I ten hipis. Ten, co panu pikawę wyregulował. Plus te dwa dzieciaki, które Junior i Frankie znaleźli nad stawem. - Carter pomyślał o tym. - Skoro jego laska nie żyje, a jej mąż dał dyla, pewnie już pod koniec tygodnia będą się gzić jak norki. Jeśli chce pan, szefie, żeby ją jeszcze raz przycisnęła, nie ma sprawy.

Duży Jim uniósł palec z kierownicy, by pokazać, że to nie będzie konieczne. Co innego zaprzętało jego uwagę.

- Spójrz na nich, Carter.

Carter nie mógł ich nie widzieć. Tłum opuszczających miasto gęstniał z minuty na minutę.

- Większość będzie przy kloszu o dziewiątej, choć ich tacy siacy owacy krewni zjawiają się dopiero o dziesiątej. Najwcześniej. Do tego czasu ich porządnie przesuszysz. W południe ci, co nie pomyśleli, żeby wziąć wodę, będą żłopać krowie siki z sadzawki Aldena Dinsmore'a, Bóg z nimi. Bóg musi być z nimi, bo większość to ludzie za głupi, żeby pracować, i zbyt strachliwi, żeby kraść.

Carter parsknął śmiechem.

- Oto z czym mamy do czynienia - powiedział Rennie. - Motłoch. Taka siaka owaka hołota. Czego ci ludzie chcą, Carter?

- Nie wiem, szefie.

- Wiesz, wiesz. Chcą zarcia, Oprah, muzyki country i ciepłego łóżka, żeby mieć gdzie się trykać po zachodzie słońca. I robić więcej podobnych sobie. Boże mój drogi, idzie następny tubylec.

Komendant Randolph gramolił się na wzgórze, ocierając czerwoną twarz chusteczką.

Dużemu Jimowi zebrało się na wygłoszenie wykładu.

- Naszym zadaniem, Carter, jest opiekować się nimi. Może to się nam nie podobać, możemy czasem myśleć, że nie są tego warci, ale to obowiązek, którym obarczył nas Bóg. Tylko że aby go wypełnić, musimy najpierw zadbać o siebie, i dlatego przedwczoraj dużo świeżych owoców i warzyw z Food City trafiło do gabinetu sekretarza Rady Miejskiej. Nie wiedziałeś o tym, co? To nic. Ty wyprzedzasz resztę o krok, ja wyprzedzam o krok ciebie i tak ma być. Nauka jest prosta: Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają.

- Tak jest.

Przyszedł Randolph. Ciężko dyszał, miał podkrążone oczy i wyglądał, jakby stracił na wadze. Duży Jim wcisnął guzik opuszczający szybę po jego stronie.

- Wsiadaj, komendancie, pooddychaj klimatyzowanym powietrzem. - A kiedy Randolph ruszył do przednich drzwi od strony pasażera, Duży Jim dodał: - Nie tam, to miejsce Cartera. Ty usiądź z tyłu.

3

To nie radiowóz zatrzymał się za odysseyem; to była szpitalna karetka. Za kierownicą siedział Dougie Twitchell. Miejsce pasażera zajmowała Ginny Tomlinson ze śpiącym dzieckiem na kolanach. Tylne drzwi się otworzyły i wysiadła Gina Buffalino, wciąż w uniformie wolontariuszki. Dziewczyna, która wyszła za nią, Harriet Bigelow, miała na sobie dżinsy i T - shirt z napisem REPREZENTACJA OLIMPIJSKA USA W CAŁOWANIU.

- Co... co... - Tylko tyle Linda mogła z siebie wydobyć. Serce waliło jej jak oszalałe, krew tak mocno łomotała w głowie, że wręcz czuła, jak bębunki jej w uszach trzepoczą.

- Ryży zadzwonił i kazał nam jechać do sadu na Black Ridge - powiedział Twitch. - Nawet nie wiedziałem, że tam jest sad, ale Ginny go zna i... Linda, skarbie, blada jesteś jak widmo.

- Nic mi nie jest. - Zdała sobie sprawę, że zaraz zemdleje. Uszczypnęła się w płatki

uszu; tej sztuczki Ryży nauczył ją dawno temu. Jak wiele jego ludowych metod leczenia (inną było ubijanie torbieli grzbietem grubej książki), także i ta okazała się skuteczna. Linda już mogła się odezwać spokojniej. - Kazał wam najpierw przyjechać tutaj?

- Tak. Po to. - Wskazał rolkę blachy ołowianej na rampie załadowniczej. - Na wszelki wypadek, tak powiedział. Ale będą mi potrzebne te nożyce.

- Wujek Twitch! - krzyknęła Janelle i wbiegła prosto w jego objęcia.

- Jak się masz, koteczku? - Uściskał ją, podniósł zamaszystym ruchem i postawił z powrotem na ziemi. Janelle spojrzała przez szybę na dziecko w fotelu pasażera.

- Jak jej na imię?

- To jest on - powiedziała Ginny. - A na imię ma Little Walter.

- Super!

- Jannie, wsiadaj, musimy jechać - rzuciła Linda.

- Ej, ludzie, a kto pilnuje interesu? - spytał Thurse. Ginny zrobiła zawstydzoną minę.

- Nikt. Ale Ryży mówił, żeby się nie przejmować, chyba że jest ktoś, kto wymaga stałej opieki. A oprócz Little Waltera nikogo takiego nie było. Dlatego zabrałam dziecko i tyle nas widziano. Może będziemy mogli tam wrócić później, tak sądzi Twitch.

- Ktoś będzie musiał - powiedział Thurse ponuro. Linda nie po raz pierwszy stwierdziła, że Thurston Marshall chyba jest zaprogramowany na czarnowidztwo. - Trzy czwarte miasta idzie pieszo drogą sto dziewiętnaście do kopuły. Jakość powietrza jest fatalna, a o dziesiątej, kiedy przyjadą autokary z odwiedzającymi, będzie ze trzydzieści stopni. Jeśli Rennie i jego pomagierzy zrobili cokolwiek, żeby zapewnić ludziom schronienie, mnie nic o tym nie wiadomo. Przed zachodem słońca będzie w Chester's Mill wielu chorych. Przy odrobinie szczęścia skończy się na udarach słonecznych i atakach astmy, ale może się też zdarzyć kilka ataków serca.

- Może powinniśmy wrócić. - Gina się zawahała. - Czuję się jak szczur uciekający z tonącego okrętu.

- Nie! - wykrzyknęła Linda tak ostrym tonem, że spojrzeli na nią wszyscy, nawet Audi.

- Ryży mówił, że wydarzy się coś złego. I że nie musi się to stać dzisiaj... ale może. Weźcie ołów na okna karetki i zwijajcie się. Ja nie odważę się tu czekać. Dziś rano odwiedził mnie jeden z oprychów Renniego. Jeśli przejedzie koło mojego domu i zobaczy, że samochód zniknął...

- No dobra, ruszaj - powiedział Twitch. - Cofnę wóz, żebyś mogła wyjechać. Odradzam Main Street, tam już jest bałagan.

- Main Street, obok komisariatu? - Linda prawie się wzdrygnęła.

- Nie, dzięki. Taksówka mamuśki pojedzie West Street do Highland.

Twitch zajął miejsce za kierownicą karetki, a dwie młode pielęgniarki wolontariuszki wsiadły z powrotem na tył; Gina jeszcze niepewnie zerknęła przez ramię na Lindę.

Linda przystanąła i spojrzała najpierw na śpiące, spocone dziecko, a potem na Ginny.

- Może wieczorem będziecie mogli wrócić z Twitchem do szpitala, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Powiecie, że wyjechaliście do chorego kawał drogi stąd, w Northchester czy gdzieś. W każdym razie cokolwiek się stanie, ani słowa o Black Ridge.

- Jasne.

Teraz łatwo tak mówić, pomyślała Linda. Trudniej będzie ci trzymać usta na kłódkę, kiedy Carter Thibodeau wsadzi ci głowę do zlewu.

Wepchnęła Audrey do środka, zasunęła drzwi i usiadła za kierownicą.

- Jedźmy stąd - powiedział Thurse, zajmując miejsce obok niej.

- Nie czułem tak paranoicznego lęku od czasu zadym w latach sześćdziesiątych.

- To dobrze - odparła. - Bo totalna paranoja równa się totalna czujność.

Cofnęła wóz, omijając karetkę, i wyjechała na West Street.

4

- Jim - odezwał się Randolph z tylnego siedzenia hummera - właśnie myślałem o tym nalocie.

- Co ty nie powiesz. Może podzielisz się swoimi przemyśleniami?

- Jestem komendantem policji. Jeśli mam wybierać między pilnowaniem tłumu na farmie Dinsmore'ów a dowodzeniem nalotem na wytwórnię narkotyków, w której mogą być uzbrojeni narkomani strzegący nielegalnych substancji... cóż, wiem Jaka jest moja powinność. Tak to ujmijmy.

Duży Jim stwierdził, że nie chce się z nim spierać. Dyskusje z idiotami są bezproduktywne. Randolph nie miał pojęcia, jaka broń może być składowana w rozgłośni. Prawdę mówiąc, Duży Jim też nie (kto mógł wiedzieć, czego Bushey nakupował za pieniądze firmy), ale przynajmniej potrafił wyobrazić sobie najgorsze, co było intelektualnym wyczynem nieosiągalnym dla tego gaduły w mundurze. A gdyby coś się Randolphowi stało... czy nie zdecydował już, że Carter byłby jego więcej niż godnym następcą?

- W porządku, Pete. Nie daj Boże, żebym miał ci przeszkodzić w spełnieniu twojej powinności. Od tej chwili jesteś dowodzącym akcją, a Fred Denton twoim zastępcą. Zadowolony?

- I to jak, kurczę blaszka! - Randolph wyprężył pierś. Wyglądał jak gruby kogut, który

zaraz zapieje. Duży Jim, choć nie był znany z poczucia humoru, musiał stłumić śmiech.

- No to idź na komisariat, zacznij zbierać ekipę. I pamiętaj o ciężarówkach służb miejskich.

- Jasne! Uderzamy w południe! - Komendant potrząsnął pięścią.

- Podejdziecie od strony lasu.

- A właśnie, Jim, chciałem o tym z tobą pogadać. To chyba trochę zbyt skomplikowane. Las za rozgłównią jest dość gęsty... będzie tam na pewno sumak pnący... i sumak jadowity, który jest jeszcze gor...

- Skorzystacie z drogi dojazdowej - powiedział Duży Jim. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. - Uderzycie od strony, z której się was nie spodziewają.

- Ale...

- Kula w łeb jest dużo gorsza od sumaka jadowitego. Miło było z tobą pogadać, Pete. Cieszę się, że jesteś taki... - Jaki właściwie? Nadęty? Śmieszny? Durny?

- Taki gorliwy - podsunął mu Carter.

- Dzięki, Carter, z ust mi to wyjąłeś. Pete, powiedz Henry'emu Morrisonowi, że od tej chwili to on odpowiada za pilnowanie tłumu na sto dziewiętnastej. I powtarzam: skorzystaj z drogi dojazdowej.

- Naprawdę uważam...

- Carter, otwórz mu drzwi.

5

- O mój Boże! - Linda gwałtownie odbiła w lewo. Van wjechał na krawężnik niecałe sto metrów od skrzyżowania Main i Highland Street. Trzy dziewczynki zaśmiały się, kiedy wóz podskoczył, ale biedny mały Aidan zrobił przerażoną minę i znów złapał za łeb cierpliwie to znoszącą Audrey.

- Co się stało? - warknął Thurse.

Zaparkowała na jakimś trawniku, za drzewem. Był to spory dąb, ale van też był duży, a z gałęzi opadła już większość apatycznie zwisających liści. Linda chciała wierzyć, że są dobrze ukryci, ale nie mogła.

- To hummer Jima Renniego. Tam, na samym środku tego cholernego skrzyżowania.

- O, jak brzydko zakłęś! - powiedziała Judy. - Dwa razy po dwadzieścia pięć centów.

Thurse wyciągnął szyję.

- Jesteś pewna?

- Myślisz, że ktoś inny w mieście jeździ takim monstrem?

- O Jezu! - wykrzyknął Thurston.

- Dwadzieścia pięć centów! - Tym razem Judy i Jannie powiedziały to razem.

Lindzie zaschło w ustach, język przywarł jej do podniebienia. Thibodeau właśnie wysiadał z hummera od strony pasażera i gdyby spojrział w tym kierunku...

Jeśli nas zobaczy, rozjadę go, postanowiła. Z tą myślą przyszedł pewien perwersyjny spokój.

Thibodeau otworzył tylne drzwi hummera. Wsiadł Peter Randolph.

- Ten pan dłubie sobie w siedzeniu - obwieściła wszem wobec Alice Appleton. - Moja mama mówi, że jak kogoś takiego zobaczysz, to oznacza, że pójdziesz do kina.

Thurston Marshall wybuchnął śmiechem i Linda, której zupełnie było nie do śmiechu, zawtórowała mu. Wkrótce śmiali się wszyscy, nawet Aidan, choć z pewnością nie rozumiał, czemu im tak wesoło. Zresztą sama Linda też nie bardzo to wiedziała.

Randolph zszedł ze wzgórza, wciąż skubiąc siedzenie spodni od munduru. Właściwie nie było w tym nic aż tak śmiesznego, ale przez to mieli jeszcze większy ubaw.

Nie chcąc być gorsza, Audrey zaczęła szczekać.

6

Gdzieś szczekał pies.

Duży Jim usłyszał to, ale nie zadał sobie trudu, żeby się obejrzeć. Widok Petera Randolpha schodzącego sprężystym krokiem ze wzgórza wprowadził go w doskonały nastrój.

- Niech pan patrzy, jak se gacie z tyłka wydlubuje - zauważył Carter. - Mój ojciec mawiał, że jak zobaczysz kogoś, kto tak robi, to znaczy, że pójdziesz do kina.

- On pójdzie tylko do radiostacji, nigdzie indziej - powiedział Duży Jim - i jeśli uprze się, żeby zaatakować od frontu, tam już zostanie. Jedźmy do ratusza, pooglądamy sobie ten karnawał w telewizji. A jak nam się znudzi, znajdziesz tego hipisa lekarza i powiesz mu, że jak spróbuje gdzieś wybyć, wsadzimy go do aresztu.

- Tak jest. - To zadanie Carterowi odpowiadało. Mógłby przy okazji znowu przycisnąć eks - posterunkową Everett i tym razem ściągnąć jej gacie.

Duży Jim wrzucił bieg i powoli zjechał ze wzgórza, trąbiąc na ludzi, którzy nie dość szybko schodzili mu z drogi.

Kiedy tylko skręcił przed ratusz, przez skrzyżowanie przemknął van odyssey zmierzający za miasto. Na Upper Highland Street nie było pieszych i Linda błyskawicznie nabierała prędkości. Thurse Marshall zaczął śpiewać „The Wheels on the Bus” i zaraz dołączyły do niego wszystkie dzieci.

Linda, która z każdym skokiem licznika o dziesiątą część kilometra czuła, że strach stopniowo ją opuszcza, wkrótce zaczęła śpiewać razem z nimi.

7

W Chester's Mill nastał dzień odwiedzin i wśród ludzi idących szosą w stronę farmy Dinsmore'a, gdzie demonstracja Joego McClatcheya zakończyła się tak tragicznie raptem pięć dni temu, czuć nastrój niecierpliwego wyczekiwania. Są pełni nadziei (nawet jeśli nie do końca szczęśliwi), pomimo wspomnienia tego, co stało się wtedy - a także pomimo upału i śmierdzącego powietrza. Horyzont za kloszem wydaje się zamazany, niebo nad drzewami pociemniało od pyłu. Lepiej jest, kiedy się spojrzy prosto w górę, ale też nie tak, jak być powinno. Błękit nieba ma żółtawy odcień, jak zaćma na oku starca.

- Tak wyglądało niebo nad papierniami w latach siedemdziesiątych, kiedy pracowały pełną parą - mówi Henrietta Clavard, ta od nie całkiem połamanego tyłka. Podaje butelkę piwa imbirowego idącej obok Petrze Searles.

- Nie, dziękuję - mówi Petra. - Mam wodę.

- Zaprawiłaś ją wódką? - pyta Henrietta. - Bo ja tak. Pół na pół, skarbie - Nazywam to „canada dry z dopalaczem”.

Petra bierze butelkę i pociąga porządny łyk.

- O rany! - mówi.

Henrietta rzeczowo kiwa głową.

- Tak, moja pani. Może nic wykwintnego, ale umiła życie. Wielu pielgrzymów niesie transparenty - zamierzają je pokazać gościom ze świata zewnętrznego (i oczywiście kamerom) jak widownia porannego programu telewizyjnego na żywo. Jednak te pokazywane w porannych programach są zawsze radosne. Co innego te tutaj. Na niektórych, zachowanych z niedzielnej demonstracji, są hasła **ŻĄDAMY WOLNOŚCI! I WYPUŚCIĆ NAS, DO CHOLERY!** Widać też nowe: **RZĄDOWY EKSPERYMENT: DLACZEGO???, DOŚĆ TUSZOWANIA FAKTÓW!** i **JESTEŚMY LUDŹMI, NIE KRÓLIKAMI DOŚWIADCZALNYMI!** Na tym, który niesie Johnny Carver, napisane jest **W IMIĘ BOŻE, PRZESTAŃCIE TO ROBIĆ, ZANIM BĘDZIE ZA PÓŹNO!!** Transparent Friedy Morrison zapytuje - niegramatycznie, ale z pasją - **ZA KOGO ZBRODNIE UMIERAMY?** Ten Bruce'a Yardleya jako jedyny niesie pozytywne przesłanie. Przyczepiony do dwumetrowego drąga i owinięty niebieską krepiną (przy kloszu będzie górował nad wszystkimi pozostałymi), jest następującej treści: **POZDRAWIAM MAMĘ I TATĘ W CLEVELAND! KOCHAM WAS!**

Na dziewięciu czy dziesięciu są odwołania do Biblii. Bonnie Morrell, żona właściciela

miejskiego składu drzewnego, niesie transparent, który wzywa: **NIE WYBACZAJCIE IM, ALBOWIEM WIEDZA, CO CZYNIA!** Na tym Triny Cale widnieje hasło: PAN JEST MOIM PASTERZEM pod rysunkiem czegoś, co zapewne jest owcą, choć trudno z całą pewnością rozpoznać.

Donnie Baribeau poprzestał na prostym **MÓDLICIE SIĘ ZA NAS**.

Marta Edmunds, która czasem pilnuje dzieci Everettów, nie uczestniczy w tej pielgrzymce. Jej były mąż mieszka w South Portland, ale Marta wątpi, czy się pokaże, a nawet gdyby, to co miałyby mu powiedzieć? „Zalegasz z alimentami, sukinsynu”? Podąża Little Bitch Road, nie drogą sto dziewiętnaście. Plus tego jest taki, że nie musi iść pieszo. Jedzie swoją acurą (z klimą włączoną na maksa). Zmierza do przytulnego domku, w którym Clayton Brassey dożywa swoich dni. To jej stryjeczny prapradziadek, a może wujeczny... choć nie jest pewna, czy rzeczywiście są krewnymi, a jeśli tak, to jak bliskimi, wie, że on ma generator. Jeśli wciąż działa, będzie mogła obejrzeć wszystko w telewizji. Chce się też upewnić, że wujek Clayt ma się dobrze - a przynajmniej na tyle dobrze, na ile to możliwe, gdy człowiek ma sto pięć lat, a jego mózg zmienił się w owsiankę.

Nie ma się dobrze. Clayton Brassey stracił zaszczytne miano najstarszego żyjącego mieszkańca miasta. Siedzi w salonie, w swoim ulubionym fotelu, ze swoim wyszczerbionym emaliowanym nocnikiem na kolanach i pamiątkową laską od „Boston Post” opartą o ścianę nieopodal, i jest zimny jak skurczybyk. Nigdzie nie widać Nell Toomey, jego praprawnuczki i głównej opiekunki - poszła pod ścianę klosza z bratem i szwagierką.

- Och, wujku... - mówi Marta. - Przykro mi, ale widać przyszedł na ciebie czas.

Idzie do sypialni, wyjmuje z szafy czyste prześcieradło. Nakryty nim staruszek wygląda trochę jak zasłonięty mebel w opuszczonym domu. Komoda czy coś. Marta słyszy pyrkotanie generatora za domem i myśli: A co tam. Włącza telewizor, wybiera CNN i siada na kanapie. Po chwili zapomina, że dotrzymuje towarzystwa trupowi.

Na ekranie widzi ujęcie z lotu ptaka, filmowane przez teleobiektyw z helikoptera krążącego nad placem pod pchli targ w Motton, na którym zaparkują autokary z odwiedzającymi. Wewnątrz klosza ci, którzy wyruszyli najwcześniej, są już na miejscu. Za nimi ciągnie się pielgrzymka, dwupasmową asfaltową drogę zapełnia od pobocza do pobocza aż po Food City. Podobieństwo mieszkańców miasta do wędrujących mrówek jest uderzające.

Spiker papie jak najęty, często używa słów „cudowne” i „niesamowite”. Kiedy po raz drugi powtarza „W życiu nie widziałem czegoś takiego”, Marta myśli: Nikt nie widział, tłumoku, i wycisza dźwięk. Zastanawia się, czy nie wstać i nie poszukać w kuchni czegoś na ząb (może nie uchodzi jeść, kiedy w pokoju jest trup, ale jest głodna, do cholery), kiedy obraz

dzieli się na pół. Po lewej stronie drugi helikopter śledzi kolumnę autokarów wyjeżdżających z Castle Rock, a na pasku u dołu pojawia się napis: ODWIEDZAJĄCY BĘDĄ NA MIEJSCU KILKA MINUT PO 10.00.

A więc jest czas, żeby przygotować sobie małe co nieco. Marta znajduje krakersy, masło orzechowe i - co najlepsze - trzy butelki zimnego budweisera. Znosi wszystko na tacy do salonu i siada.

- Dzięki, wujku - mówi.

Nawet z wyłączonym dźwiękiem (a właściwie zwłaszcza z wyłączonym dźwiękiem) dwa zestawione ze sobą obrazy przykuwają uwagę, hipnotyzują. Kiedy pierwsze piwo uderza jej do głowy (jakże rozkosznie!), Marta uprzytamnia sobie, że to tak jakby czekać na zderzenie potężnej siły z nieruchomym obiektem, aby zobaczyć, czy w momencie ich zetknięcia ze sobą nastąpi eksplozja.

Niedaleko gęstniejącego tłumu, na pagórku, Ollie Dinsmore kopie grób ojca. Teraz opiera się na łopacie i patrzy na schodzących się ludzi: dwustu, czterystu, potem ośmiuset. Co najmniej ośmiuset. Widzi kobietę z dzieckiem w nosidełku na plecach i zastanawia się, czy ona zwariowała, żeby zabierać małe dziecko na dwór w takim upale, na domiar złego bez czapki, która chroniłaby mu głowę. Przybywający mieszkańcy miasta stoją w zamglonym słońcu, nerwowo czekają na autokary. Ollie myśli o tym, jak powolny i smutny będzie ich powrót po zakończeniu całej tej szopki - taki kawał drogi do miasta w popołudniowym skwarze. A potem wraca do pracy.

Za rozrastającym się tłumem, na obu poboczach szosy sto dziewiętnaście policja - kilkunastu funkcjonariuszy, w większości nowych, pod komendą Henry'ego Morrisona - parkuje radiowozy z błyskającymi kogutami. Ostatnie dwa przyjeżdżają spóźnione, bo Henry kazał wyładować ich bagażniki pojemnikami z wodą zaczerpniętą z kranu w remizie strażackiej, gdzie, jak odkrył, generator nie tylko działa, lecz powinien wytrzymać jeszcze parę tygodni. Wody jest zdecydowanie za mało, śmiesznie mało jak na tak wielki tłum. Zachowają ją dla ludzi, którzy zasłabną na słońcu. Henry ma nadzieję, że nie będzie takich wielu, ale wie, że kilku się trafi, i klnie na Jima Renniego za brak odpowiednich przygotowań. Jest świadom, że Rennie po prostu ma to wszystko gdzieś, a to, zdaniem Henry'ego, czyni jego zaniedbanie szczególnie karygodnym.

Przyjechał z Pamelą Chen, bo ona jedyna z nowych „policjantów kryzysowych” cieszy się jego pełnym zaufaniem, i kiedy widzi, jak wielki jest tłum, każe jej zadzwonić do szpitala. Chce, żeby w pobliżu czuwała karetka. Pamela wraca pięć minut później z wiadomością, która Henry'emu wydaje się niewiarygodna i całkowicie niezaskakująca zarazem. Telefon w

rejestracji odebrała jedna z pacjentek, młoda kobieta, która przysłała wcześniej rano ze złamanym nadgarstkiem. Powiedziała, że cały personel zniknął razem z karetką.

- No to znakomicie - mówi Henry. - Mam nadzieję, że znasz się na udzielaniu pierwszej pomocy, bo dziś może ci się to przydać.

- Umiem robić sztuczne oddychanie - odpowiada Pamela. - To dobrze. - Henry wskazuje na Joego Boxera, dentystę i miłośnika gofrów Eggo. Boxer nosi niebieską opaskę na ramieniu i z miną ważniaka przegania ludzi na pobocza (większość nie zwraca na niego uwagi). - A jak kogoś zabolą ząb, ten zarozumiały balas mu go wyrwie.

- Tylko tym, którzy zapłacą. - Pamela miała do czynienia z Joe Boxerem, kiedy wyrznęły jej się zęby mądrości. Powiedział wówczas coś o „wymianie przysługi za przysługę”, patrząc na jej piersi w sposób, który zupełnie jej się nie podobał.

- Zdaje się, że na tylnym siedzeniu mam czapkę Red Sox - mówi Henry. - Jeśli tak, mogłabyś ją zanieść tam? - Wskazuje kobietę, którą wcześniej zauważył Ollie, tę niosącą dziecko z gołą głową. - Nałóż czapkę dziecku, a matce powiedz, że jest idiotką.

- Czapkę zaniosę, ale nic takiego nie powiem - odpowiada Pamela cicho. - To Mary Lou Costas. Ma siedemnaście lat, rok temu wyszła za kierowcę tira, który jest prawie dwa razy starszy od niej, i pewnie liczy na to, że on przyjdzie się z nią zobaczyć.

Henry wzdycha.

- I tak jest idiotką, ale w wieku siedemnastu lat pewnie wszyscy tak mamy.

A ludzie ciągle nadchodzą. Jeden mężczyzna, jak się zdaje, nie ma wody, za to taszczy wielki radiomagnetofon, w którym ryczy muzyka gospel nadawana przez WCIK. Dwaj jego koledzy rozwijają transparent. Jest na nim słowo RATUN - Q z wielkimi, nieudolnie narysowanymi płaczącymi oczami wewnątrz Q.

- Będzie źle - mówi Henry i oczywiście ma rację, ale nawet sobie nie wyobraża, jak bardzo źle.

Powiększający się tłum czeka na słońcu. Ci ze słabymi pęcherzami idą w krzaki na zachód od drogi, żeby się wysikać. Większość doznaje licznych zadrapań, zanim mogą sobie ulżyć. Jedna otyła kobieta (Mabel Alston; cierpi też na chorobę, którą nazywa cukrzyczką) skręca sobie nogę w kostce, leży i wrzeszczy. Dwaj mężczyźni przychodzą z pomocą, stawiają ją na zdrowej nodze. Lennie Meechum, naczelnik poczty (przynajmniej do tego tygodnia, kiedy doręczanie przesyłek zostało wstrzymane do odwołania), pożyczka od kogoś łaskę dla niej. Potem mówi Henry'emu, że trzeba zawieźć Mabel do miasta. Henry odpowiada, że wszystkie wozy są mu potrzebne tutaj. Będzie musiała odpocząć w cieniu.

Lennie wskazuje rękami oba pobocza.

- Może nie zauważyłeś, ale po jednej stronie jest pastwisko krów, a po drugiej chaszczce. Cienia nie ma nigdzie.

Henry macha ręką na oborę Dinsmore'ów.

- Tam cienia jest pod dostatkim.

- To pół kilometra stąd! - oburza się Lennie.

Tak naprawdę to góra dwieście metrów, ale Henry nie chce się spierać.

- Posadź ją na przednim siedzeniu mojego wozu.

- Na słońcu jest strasznie gorąco - mówi Lennie. - Będzie potrzebowała fabrycznego powietrza.

Tak, Henry wie, że będzie potrzebowała klimatyzacji, co znaczy, że trzeba będzie włączyć silnik, a to strata paliwa. Na razie go nie brakuje - o ile dadzą radę je wypompować ze zbiorników Gas & Grocery. Cóż, będzie się tym martwił później.

- Kluczyk jest w stacyjce - mówi. - I ustaw na minimum, rozumiesz?

Lennie mówi, że tak zrobi, i wraca do Mabel, ona jednak nie chce nigdzie iść, choć po jej policzkach leje się pot, a twarz ma czerwoną jak burak.

- Jeszcze się nie załatwiłam! - wydziera się. - Muszę się załatwić!

Leo Lamoine, jeden z nowych funkcjonariuszy, podchodzi do Henry'ego. Bez tego towarzystwa Henry mógłby się obejść; Leo ma mózg rzepy.

- Jak ona tu doszła, staruszk? - pyta. Leo Lamoine jest typem człowieka, który do każdego zwraca się per „staruszk”.

- Nie wiem, ale jakoś dała radę - mówi Henry ze znużeniem. Zaczyna go boleć głowa.

- Zbierz kilka kobiet, niech pójdą z nią za mój radiowóz i podtrzymają ją, kiedy będzie sikać.

- Których, staruszk?

- Dobrze zbudowanych - mówi Henry i odchodzi, zanim nagła silna pokusa, by rozkwaśnić Lamoine'owi nos, stanie się nie do zniesienia.

- Co z was za policjanci? - pyta jakaś kobieta, kiedy z czterema innymi odprowadza Mabel za radiowóz numer trzy, gdzie Mabel robi siku, trzymając się zderzaka, schowana dla przyzwoitości za ich plecami.

„Dzięki Renniemu i Randolphowi, waszym nieustraszonym przywódcom, nieprzygotowani”, chciałby odpowiedzieć Henry, ale tego nie robi. Wie, że swoją gadatliwością narobił sobie kłopotów poprzedniego wieczoru, kiedy opowiedział się za tym, żeby wysłuchano Andrei Grinnell. Mówi więc tylko:

- Jedyni, jakich macie.

Uczciwie trzeba powiedzieć, że większość ludzi, jak kobieca straż honorowa Mabel,

chętnie pomaga sobie nawzajem. Kto pamiętał, by wziąć wodę, dzieli się nią z tymi, którzy jej nie mają, i prawie wszyscy piją oszczędnie. Jednak w każdej dużej grupie trafią się idioci, a tutaj można ich poznać po tym, że żłopią łąpczywie, bez opamiętania. Niektórzy przegryzają ciastka i krakersy, po których będą jeszcze bardziej spragnieni. Dziecko Mary Lou Costas zaczyna płakać niespokojnie pod czapką Red Sox, która jest dla niego o wiele za duża. Mary Lou ma butelkę wody, polewa przegrzaną głowę i szyję córeczki. Wkrótce butelka będzie pusta.

Henry chwyta Pamelę Chen i znów wskazuje Mary Lou.

- Weź tę butelkę i przelej do niej trochę wody z naszych zapasów. I postaraj się, żeby jak najmniej ludzi cię widziało, bo inaczej do południa wszystko nam wypiją.

Pamela wykonuje polecenie i Henry myśli: Przynajmniej ona jedna z tego towarzystwa mogłaby być dobrą małomiasteczkową policjantką, gdyby chciała tę robotę.

Nikt nie zadaje sobie trudu, żeby spojrzeć, dokąd Pamela idzie. To dobrze. Kiedy zjawia się autobusy, ci ludzie na jakiś czas zupełnie zapomną o upale i pragnieniu. Oczywiście gdy odwiedzający odjadą... a ich czekać będzie długa wędrówka z powrotem do miasta...

Henry wpada na pewien pomysł. Rozgląda się po swoich „funkcjonariuszach”. Widzi wielu tumanów i tylko garstkę osób, którym ufa; Randolph zabrał większość tych w miarę rozgarniętych na jakąś tajną akcję. Henry sądzi, że ma to związek z narkotykowym biznesem, o którego prowadzenie Andrea oskarżyła Renniego, ale jego to nie interesuje. Wie tylko, że nie ma ich tutaj, a on nie może załatwić tej sprawy osobiście.

Ale wie, kto może to zrobić, i wzywa go do siebie.

- Czego chcesz, Henry? - pyta Bill Allnut.

- Masz klucze do szkoły?

Allnut, który od trzydziestu lat jest woźnym w gimnazjum, kiwa głową.

- Tutaj. - Pęk kluczy zwisający u jego paska skrzy się w zamglonym słońcu. - Noszę je zawsze, a bo co?

- Weź wóz numer cztery. Wracaj do miasta jak najszybciej, tylko nie rozjedź mi po drodze żadnych spóźnialskich. Weź jeden z autobusów szkolnych i przywieź go tutaj. Taki z czterdziestoma czterema miejscami.

Allnut nie wygląda na zadowolonego. Jego szczęka tężeje w tym charakterystycznym jankeskim wyrazie, którego Henry - w końcu też jankes - dość się w życiu naoglądał, by dobrze go poznać i znieawidzić. To małoduszna mina mówiąca „Muszę zatroszczyć się o siebie, kolego”.

- Nie upchniesz tylu ludzi do jednego gimbusa, zwariowałaś?

- Nie wszystkich - mówi Henry - tylko tych, którzy nie dadzą rady wrócić o własnych siłach. - Myśli o Mabel i przegrzanym dziecku Mary Lou Costas, ale oczywiście o trzeciej tego popołudnia będzie więcej osób, które nie zdołają dojść do miasta. Ani w ogóle chodzić.

Szczęka Billa Allnuta tężeje jeszcze mocniej; jego podbródek sterczy jak dziób okrętu.

- O nie, mój panie. Przyjeżdżają moi dwaj synowie z żonami, tak mówili. Przywiozą dzieci. Nie chcę się z nimi rozminąć. I nie zostawię mojej żony samej. Jest cała w nerwach.

Henry ma ochotę wziąć tego człowieka za bety i potrząsnąć nim za to, że jest tak głupi (i wręcz udusić go za samolubstwo). Zamiast tego żąda, by Allnut oddał mu klucze, i prosi, żeby pokazał, który otwiera parking dla autobusów. Potem każe mu wrócić do żony.

- Przykro mi, Henry - mówi Allnut - ale muszę zobaczyć się z dziećmi i wnukami. Zasluguję na to. Nie prosiłem chromych, kulawych i ślepych, żeby tu przyleźli, i nie mam zamiaru płacić za ich głupotę.

- Jasne, dobry z siebie Amerykanin, bez dwóch zdań - mówi Henry. - Zejdz mi z oczu.

Allnut otwiera usta, żeby zaprotestować, zmienia zdanie (może przez coś, co wyczytał z twarzy posterunkowego Morrisona) i odchodzi, powłócząc nogami. Henry woła Pamelę, która nie oponuje, kiedy dostaje polecenie, że ma jechać do miasta, pyta tylko, gdzie i po co. Henry wszystko jej wyjaśnia.

- No dobra, ale... czy te gimbusy mają ręczną zmianę biegów? Bo takich nie umiem prowadzić.

Henry wykrzykuje to pytanie do Allnuta, który stoi ze swoją żoną Sarah przy kloszu; oboje niecierpliwie obserwują pustą drogę po drugiej stronie granicy z Motton.

- Szesnastka jest z ręczną! - odkrzykuje Allnut. - W pozostałych są automatyczne! I niech pamięta o blokadzie! Autobusy nie zapalą, dopóki kierowca nie zapnie pasa!

Henry każe Pamelę jechać i śpieszyć się, ale w granicach rozsądku. Chce mieć ten autobus jak najszybciej.

Początkowo ludzie przy kloszu stoją i patrzą niecierpliwie na pustą drogę. Potem większość siada. Ci, którzy przynieśli koce, rozkładają je. Niektórzy osłaniają transparentami głowy od zamglonego słońca. Rozmowy zamierają i wyraźnie słychać, jak Wendy Goldstone pyta swoją przyjaciółkę Ellen, gdzie podziały się świerszcze - bo nic nie śpiewa w wysokiej trawie.

- A może ogłuchłam? - zastanawia się Wendy.

Nie ogłuchła. Świerszcze albo milczą, albo pozdychały.

W studiu WCIK przewiewne (i przyjemnie chłodne) wnętrza rozbrzmiewa głosem

Erniego „The Barrel” Kellogga, który wraz z His Delight Trio daje czadu w „I Got a Telephone Cali from Heaven and It Was Jesus on the Line”. Dwaj mężczyźni nie słuchają. Oglądają telewizję. Są porażeni obrazami na przedzielonym na pół ekranie (tak jak Marta Edmunds, która jest przy swoim drugim budweiserze i zupełnie zapomniała o trupie pod prześcieradłem). Porażeni jak cała Ameryka i - a jakże - cały świat.

- Spójrz na nich, Sanders - szepcze Kucharz.

- Patrzę - mówi Andy. Trzyma Claudette na kolanach. Kucharz proponował mu też dwa granaty ręczne, lecz Andy tym razem odmówił. Boi się, że wyciągnie z któregoś zawleczkę i zbaranieje. Widział coś takiego w jednym filmie. - To niesamowite, ale nie uważasz, że wypadałoby się przygotować na przyjęcie naszych gości?

Kucharz wie, że Andy ma rację, tylko że trudno mu oderwać wzrok od tej strony ekranu, na której helikopter śledzi kolumnę autobusów i duży wóz transmisyjny na jej czele. Nawet z wysoka poznaje okolicę, przez którą jadą. Odwiedzający są już blisko.

Wszyscy jesteśmy już blisko, myśli Kucharz.

- Sanders!

- Co?

Kucharz podaje mu blaszane pudełeczko po tabletkach na gardło.

- Głaz ich nie skryje, martwe drzewo nie daje schronienia, ulgi świerszcz. Nie pamiętam, z której to księgi.

Andy otwiera pojemnik, widzi sześć grubych skrętów upchniętych w środku i myśli: Oto żołnierze ekstazy. To najbardziej poetycka myśl w jego życiu i aż płakać mu się chce ze wzruszenia.

- Amen, Sanders? - Amen.

Kucharz wyłącza pilotem telewizor. Chciałby zobaczyć moment przyjazdu autokarów - upalony czy nie, obłąkany czy nie, lubi historie o wzruszających spotkaniach jak każdy - ale ludzie pełni goryczy mogą się zjawić w każdej chwili.

- Sanders!

- Tak, Kucharzu.

- Wyprowadzę wóz Pomocy Bliźniemu z garażu i zaparkuję go po drugiej stronie magazynu. Będę miał zza niego dobry widok na las.

- Podnosi Bożego Wojownika, na którym dyndają granaty. - Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że przyjdą od tamtej strony. Jest tam droga dojazdowa. Pewnie myślą, że o niej nie wiem...

- Przekrwione oczy mu rozbłyskują. - A Kucharz wie więcej, niż się ludziom wydaje.

- Wiem. Kocham cię, Kucharzu.

- Dzięki, Sanders. Ja ciebie też kocham. Jeśli przyjdą od strony lasu, dam im wyjść na otwarty teren, a potem skoszę ich jak pszenicę w porze żniw. Ale nie możemy postawić wszystkiego na jedną kartę. Dlatego chcę, żebyś ty był od frontu, tam gdzie zaczailiśmy się ostatnio. Jeśli część z nich nadejdzie stamtąd... Andy unosi Claudette.

- Otóż to, Sanders - przytakuje Kucharz. - Ale się nie śpiesz. Zaczekaj, aż wyjdzie ich jak najwięcej, zanim zaczniesz strzelać.

- Dobrze. - Andy'ego czasem ogarnia poczucie, że to wszystko mu się śni; tak jest i teraz. - Jak pszenicę w porze żniw.

- Zaiste. A teraz słuchaj, bo to ważne. Jeśli usłyszysz, że strzelam, nie leć od razu do mnie. Ja też do ciebie nie przybiegnę, kiedy ty dasz ognia. Mogą się domyślić, że nie jesteśmy razem, ale jestem na to przygotowany. Umiesz gwizdać?

Andy wkłada dwa palce do ust i wydaje przenikliwy gwizd.

- Nieźle, Sanders. Co tam nieźle, doskonale.

- Nauczyłem się tego w podstawówce. - Andy nie dodaje: „Kiedy życie było dużo prostsze”.

- Zrób to, dopiero kiedy będziesz w poważnych opałach. Wtedy przyjdę. Tak samo ty, jeśli usłyszysz, że gwizdę, leć co sił w nogach, żeby dać mi wsparcie.

- W porządku.

- Zapalmy na szczęście. Co ty na to, Sanders? Andy popiera ten wniosek.

Na Black Ridge, na skraju sadu McCoyów, siedemnastu wygnańców z miasta stoi na tle rozmytej linii horyzontu jak Indianie z westernu Johna Forda. Większość patrzy w niemej fascynacji na cichą procesję ludzi idących drogą numer sto dziewiętnaście. Są oddaleni o dziewięć kilometrów, ale tak wielkiego tłumu nie sposób nie dojrzeć.

Jeden Ryży patrzy na coś, co jest bliżej, a czego widok przepelnia go ulgą tak wielką, że dusza mu wręcz śpiewa. Srebrny van odyssey mknie Black Ridge Road. Ryży wstrzymuje oddech, kiedy wóz dociera na skraj drzew, do świetlnego pasa, teraz znowu niewidocznego. Ma dość czasu, żeby pomyśleć, jak strasznie by było, gdyby ten, kto prowadzi - przypuszcza, że to Linda - stracił przytomność i rozbił vana, ale oto honda mija strefę zagrożenia. Może leciuteńko zniosło ją na bok, lecz Ryży wie, że mogło to być złudzenie. Wkrótce tu będą.

Wszyscy stoją sto metrów od skrzynki, ale Joe McClatchey ma wrażenie, że mimo to czuje lekki impuls, który wbija się w jego mózg przy każdym błysku lawendowego światła. Może wyobraźnia płata mu figle, on jednak tak nie sądzi.

Barbie stoi obok niego, obejmując ramieniem panią Shumway. Joe stuka go w bark i

mówi:

- Mam złe przeczucia, panie Barbara. Tylu ludzi razem. Znosi się na coś straszego.

- Wiem - mówi Barbie.

- Oni patrzą. Skórzane łby. Czuję ich.

- Ja też - mówi Barbie.

- I ja - dorzuca Julia głosem tak cichym, że ledwo ją słysząc.

W sali konferencyjnej ratusza Duży Jim i Carter Thibodeau patrzą w milczeniu, jak przedzielony na pół obraz na ekranie telewizora przechodzi w ujęcie z powierzchni ziemi. Z początku obraz skacze jak film wideo kręcony tuż przed nadejściem tornado albo tuż po wybuchu bomby - pułapki. Widać niebo, żwir, biegnące nogi. Ktoś mamrocze: „Szybciej, pośpieszcie się”.

Wolf Blitzer mówi: „Przyjechał wóz transmisyjny. Wyraźnie im się śpieszy, ale jestem pewien, że za chwilę... tak. O mój Boże, zobaczcie”.

Kamera skupia się na setkach mieszkańców Chester's Mill przy kłoszu dokładnie w chwili, kiedy podnoszą się na nogi. Wyglądają jak wierni na mszy pod gołym niebem, wstający po modlitwie. Ci z tyłu pchają tych z przodu na kłosz; Duży Jim widzi rozplaszczony nosy, policzki i usta, jakby mieszkańcy miasta napierali na szklaną ścianę. Przez chwilę kręci mu się w głowie i uprzytamnia sobie dlaczego. Po raz pierwszy może zobaczyć, jak to wygląda z zewnątrz. Po raz pierwszy zdaje sobie sprawę ze skali tego wydarzenia. Po raz pierwszy dociera do niego, że to dzieje się naprawdę. Po raz pierwszy naprawdę się boi.

Rozlega się słaby, lekko stłumiony przez kopułę odgłos wystrzałów z pistoletu.

„Zdaje się, że słyszę strzały - mówi Wolf Blitzer. - Anderson Cooper, słyszysz strzały? Co się dzieje?”.

Odpowiedź Coopera słysząc tak słabo, jakby mówił przez telefon satelitarny z głębi australijskiego buszu. „Wolf, jeszcze nie dotarliśmy na miejsce, ale mam tu mały monitor i wygląda na to, że...”.

„Już widzę - mówi Wolf. - Wydaje się, że...”.

- To Morrison - mówi Carter. - Gość ma jaja, trzeba mu przyznać.

- Jutro wylatuje - odpowiada Duży Jim. Carter spogląda na niego z uniesionymi brwiami.

- Za to, co powiedział wczoraj na zebraniu? Duży Jim mierzy w niego palcem.

- Wiedziałem, żeś bystry.

Przy kłoszu Henry Morrison nie myśli o wczorajszym zebraniu ani o odwadze, ani

nawet o wypełnianiu swoich obowiązków. Myśli, że jeśli czegoś nie zrobi, i to szybko, ludzie zostaną przygnieci do klosza. Dlatego strzela w powietrze. Kilku innych policjantów - Todd Wendlestat, Rance Conroy i Joe Boxer - idzie za jego przykładem.

Wołania (i krzyki bólu przyduszonych z pierwszego szeregu) zastępuje pełna oszołomienia cisza. Henry sięga po megafon.

- ROZSUŃCIE SIĘ! ROZSUŃCIE SIĘ, DO JASNEJ CHOLERY! STARCZY MIEJSCA DLA WSZYSTKICH, JEŚLI TYLKO SIĘ, KURWA WASZA MAĆ, ROZSUNIECIE!

Przekleństwa działają jeszcze bardziej otrzeźwiająco od wystrzałów i choć największe uparciuchy zostają na drodze (z Billem i Sarah Allnut na czele; są tam także Johnny i Carrie Carver), inni zaczynają się rozchodzić wzdłuż klosza. Niektórzy kierują się w prawo, ale większość w lewo, na łąkę Aldena Dinsmore'a, bo tamtędy łatwiej się idzie. Są w tym gronie Henrietta i Petra, lekko zataczające się pod wpływem sporej dawki canada dry z dopalaczem.

Henry chowa broń do kabury i mówi pozostałym policjantom, żeby zrobili to samo. Wendlestat i Conroy wykonują polecenie, ale Joe Boxer dalej trzyma w ręku swoją trzydziestkęósemkę z krótką lufą - tania pukawka, jakich Henry widział wiele.

- Zmusz mnie! - prychna, a Henry myśli: To tylko senny koszmar. Zaraz obudzę się we własnym łóżku, podejść do okna i zobaczę piękny, rześki dzień jesienny.

Mieszkańcy Mill, którzy zdecydowali się nie pójść do klosza w dniu odwiedzin (niepokojąco wielu dlatego, że zaczynają mieć problemy z oddychaniem), mogą oglądać w telewizji, co się dzieje. Ze czterdziestu ściągnęło do Karczmy Dippera. Tommy i Willow Anderson są przy kloszu, ale zostawili knajpę otwartą, z włączonym szerokoekranowym telewizorem. Ludzie, którzy zbierają się na parkiecie, patrzą w ekran w milczeniu, choć słychać pojedyncze szlochy. Obraz w wysokiej rozdzielczości jest krystalicznie czysty, Rozdziera serce.

Nie tylko oni są poruszeni widokiem ośmiuset ludzi, którzy ustawiają się w szeregu wzdłuż niewidzialnej bariery, część z rękami opartymi o, jak się wydaje, powietrze. Wolf Blitzer mówi: „Nigdy jeszcze nie widziałem tak głębokiej tęsknoty wypisanej na ludzkich twarzach. Ja... - Głos mu się załamuje. - Myślę, że pozwolę, by obrazy mówiły same za siebie”.

Milknie. I dobrze. Ta scena nie wymaga komentarza.

Podczas konferencji prasowej Cox powiedział: „Odwiedzający wysiadą i podejść do klosza pieszo... będą dopuszczeni na odległość dwóch metrów od klosza, uważamy, że to bezpieczny dystans”. Oczywiście nie tak to się odbywa. Ledwie drzwi autokarów się

otwierają, a już wylewa się z nich rzeka ludzi wykrzykujących imiona swoich najbliższych. Niektórzy upadają i zostają stratowani (wskutek tego szaleńczego pędu jedna osoba zginie, a czternaście odniesie obrażenia, z tego sześć poważne). Żołnierze, którzy próbują strzec dostępu do strefy zakazanej bezpośrednio przed kloszem, zostają zmieceni na bok. Żółte taśmy ZAKAZ WSTĘPU zrywają się i giną w kurzu wzbijanym przez biegnące nogi. Tłum nowo przybyłych prze naprzód i rozstawia się po swojej stronie klosza, większość płacze, wszyscy wołają żony, mężów, dziadków, synów, córki, narzeczonych. Cztery osoby albo skłamały, że nie mają elektronicznych urządzeń medycznych, albo o nich zapomniały. Trzy umierają na miejscu. Czwarta, która nie dostrzegła na liście zakazanych urządzeń swojego aparatu słuchowego na baterie, przeżyła tydzień w śpiączce, zanim skona wskutek licznych wylewów krwi do mózgu.

Pomału ludzie ustawiają się we właściwych miejscach, a kamery widzą to wszystko. Podpatrują mieszkańców miasta i odwiedzających, którzy przyciskają dłonie do przeciwnych stron niewidzialnej bariery; obserwują próby pocałunków; przyglądają się mężczyznom i kobietom patrzącym sobie z płaczem w oczy; wychwytyują tych, którzy omdleją zarówno wewnątrz klosza, jak i poza nim, i tych, którzy padają na kolana i modlą się, zwrócenie twarzami do siebie, ze złożonymi dłońmi wzniesionymi ku niebu; rejestrują obraz człowieka z zewnątrz, który zaczyna bić pięściami w przeszkodę oddzielającą go od ciężarnej żony i przestaje, dopiero kiedy zdiera sobie skórę i w powietrzu zawisają krople jego krwi; wpatrują się w starą kobietę, która palcami o opuszkach zbielełych i wygładzonych na niewidocznej powierzchni próbuje głaskać czoło rozsłochanej wnuczki.

Helikopter prasowy znów startuje i krąży w powietrzu, przesyłając obrazy podwójnego węża ludzi ciągnącego się przez trzysta metrów. Po stronie Motton liście płoną i grają kolorami późnej jesieni; w Chester's Mill zwisają smętnie. Za plecami mieszkańców miasta - na drodze, na łące, w krzakach - walają się dziesiątki porzuconych transparentów. W chwili spotkania (czy prawie spotkania) polityka i protest zeszyły na plan dalszy.

Candy Crowley mówi: „Wolf, jest to bez wątpienia najsmutniejsze, najdziwniejsze wydarzenie, jakiego byłam świadkiem przez wszystkie lata pracy w zawodzie dziennikarza”.

Jednak istoty ludzkie, trzeba im to przyznać, potrafią się przystosować do każdych warunków. Radosne podniecenie i poczucie osobliwości sytuacji stopniowo zaczynają słabnąć. Wzruszające powitania przechodzą w normalne rozmowy. A za plecami odwiedzających wynoszeni są ci, którzy zasłabli. Po stronie Mill nie ma namiotu Czerwonego Krzyża, do którego można by ich zabrać. Policja układa ich w skąnym cieniu radiowozów, gdzie mają czekać na Pamelę Chen i autobus.

W komisariacie grupa mająca szturmować radiostację WCIK ogląda te sceny z taką samą niemą fascynacją jak wszyscy. Randolph pozwala im na to; jest jeszcze trochę czasu. Odhacza nazwiska na liście, po czym daje znak Freddy'emu Dentonowi, by wyszedł z nim na schody przed budynkiem. Spodziewał się, że Freddy będzie rozżalony utratą pozycji dowódcy na jego korzyść (Peter Randolph całe życie oceniał innych według siebie), ale Freddy z ulgą zdejmuje z siebie odpowiedzialność. To dużo poważniejsza sprawa niż wywalanie starych meneli ze sklepów spożywczych. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby przypisać sobie całą zasługę, gdyby wszystko dobrze poszło, lecz jeśli coś będzie nie tak? Randolph nie ma takich skrupułów. Jeden bezrobotny opryszek i poczciwy aptekarz, który nawet gówna nie nazwałby gównem? Co złego może się stać?

I na tych schodach, z których niedawno spadła Piper Libby, Freddy dowiaduje się, że jednak nie uda mu się całkowicie wymigać od roli dowódcy. Randolph wręcza mu kartkę. Jest na niej siedem nazwisk. Jedno należy do Freddy'ego. Pozostałe sześć to Mel Searles, George Frederick, Marty Arsenault, Aubrey Towle, Gruby Norman i Lauren Conree.

- Zabierzesz tych ludzi drogą dojazdową - mówi Randolph. - Wiesz, która to?

- Uhm, odchodzi od Little Bitch po tej stronie miasta. Ojciec Sama Niechluję ją tamtędy popro...

- Nie obchodzi mnie, kto ją poprowadził - przerywa mu Randolph.

- Masz pojechać na jej koniec i tyle. W południe ty i twoi ludzie przejdziecie przez las na tyły budynku rozgłośni. W południe, Freddy. To znaczy, że nie minutę przed czy minutę po.

- Wydawało mi się, że wszyscy mieliśmy podejść od tamtej strony, Pete.

- Plany się zmieniły.

- Duży Jim wie o tym?

- Duży Jim jest radnym, Freddy. Ja jestem komendantem policji. A przy okazji twoim przełożonym, więc może byś tak się zamknął i posłuchał?

- Prze - praaszam - mówi Freddy i przystawia sobie dłonie do uszu w geście co najmniej beczelnym.

- Ja zaparkuję przy drodze, która biegnie przed rozgłośnią. Wezmę ze sobą Stewarta i Fernę. I Rogera Killiana. Jeśli Bushey i Sanders będą dość głupi, by stawić wam opór... innymi słowy, jeśli usłyszymy strzały za rozgłośnią, my zajdziemy ich od tyłu. Jasne?

- Uhm. - Prawdę mówiąc, Freddy ma wrażenie, że to całkiem niegłupi plan.

- No dobrze, zsynchronizujmy zegarki. - Że jak? Randolph wzdycha.

- Muszą pokazywać tę samą godzinę, żeby południe wypadło dla nas obu w tym

samym momencie.

Freddy nadal ma zdumioną minę, ale wykonuje polecenie. W komisariacie ktoś - chyba Gruby - krzyczy:

- Oho, następny fiknął! Układają tych cherlaków za radiowozami jak drewno na podpałkę!

Reakcją jest ogólny śmiech i aplauz. Chłopcy są nakręcenii, podekscytowani, że wyznaczono ich do, jak to nazywa Melvin Searles, „roboty z szansą na to, żeby sobie postrzelać”.

- Ruszamy o jedenastej piętnaście - mówi Randolph Freddy'emu.

- Czyli jeszcze czterdzieści pięć minut możemy pooglądać telewizję.

- Chcesz popcorn? - pyta Freddy. - Jest go od czorta w kredensie nad mikrofalą.

- Czemu nie?

Przy kloszu Henry Morrison idzie do swojego samochodu i bierze chłodny napój. Ma przepocony mundur i nie pamięta, by kiedykolwiek był tak zmęczony (myśli, że to w dużym stopniu wina niezdrowego powietrza - jakoś nie może złapać tchu), ale ogólnie jest zadowolony z siebie i swoich ludzi. Udało im się zapobiec przygnieceniu ludzi do klosza, nikt po tej stronie nie umarł - jeszcze - i tłum się uspokaja. Pół tuzina kamerzystów biega tam i z powrotem po stronie Motton, rejestrując możliwie najwięcej wzruszających spotkań. Henry wie, że to naruszenie prywatności, ale myśli sobie, że Ameryka i cały świat mają prawo to zobaczyć. A ludzie przeważnie nie oponują. Niektórym nawet się to podoba, mają swoje piętnaście minut. Henry ma czas poszukać swoich rodziców, choć nie jest zaskoczony, kiedy nigdzie ich nie widzi. Mieszkają hen, w Derry, i są już w podeszłym wieku. Wątpi, czy w ogóle zgłosili się do loterii, która wyłoniła grono odwiedzających.

Od zachodu nadlatuje nowy śmigłowiec i choć Henry tego nie wie, w środku jest pułkownik James Cox. Cox też nie jest niezadowolony z dotychczasowego przebiegu dnia odwiedzin. Powiedziano mu, że nie widać, by po stronie Chester's Mill ktokolwiek szykował się do konferencji prasowej, ale to go nie zaskakuje ani nie miesza mu szyków. Po lekturze zebranej przez siebie obszernej dokumentacji bardziej by się zdziwił, gdyby Rennie tu przyszedł. Cox przez lata salutował wielu różnym ludziom i potrafi z kilometra wyczuć tchórza mocnego tylko w gębie.

W tym momencie zauważa długi szereg odwiedzających i, naprzeciw nich, uwięzionych mieszkańców miasta. Na ten widok zapomina o Jamesie Rennie.

- Niesamowite - szepcze. - Coś niesamowitego. Przy kloszu policjant ochotnik Toby Manning krzyczy:

- Jedzie autobus! - Choć cywile ledwo to zauważają, jako że zajęci są rozmowami z krewnymi bądź ich poszukiwaniem, policjanci wznoszą wiwat.

Henry Morrison przechodzi na tył radiowozu. Rzeczywiście, duży żółty gimbus właśnie mija komis Jima Renniego. Pamela Chen może i waży pięćdziesiąt kilo, a i to jak przemoknie do suchej nitki, ale spisała się na medal.

Henry spogląda na zegarek i widzi, że jest dwadzieścia po jedenastej. Damy radę, myśli. Wszystko będzie dobrze.

W tym samym czasie trzy duże pomarańczowe ciężarówki wtaczają się na Town Common Hill. Peter Randolph jest w trzeciej, ściśnięty razem ze Stewartem, Fernem i Rogerem (śmierdzącym kurami). Kiedy kierują się szosą sto dziewiętnaście na północ, w stronę Little Bitch Road i rozgłośni, Randolpha uderza pewna myśl i ledwo się powstrzymuje, żeby nie palnąć się w czoło.

Siłę ognia mają wystarczającą, ale zapomnieli hełmów i kamizelek kuloodpornych.

Wrócić po nie? Jeśli to zrobią, zajmą pozycje najwcześniej kwadrans po dwunastej, może nawet później. A kamizelki i tak pewnie byłyby zbędnym środkiem ostrożności. Będzie jedenastu przeciwko dwóm, a ci dwaj zapewne są tak upaleni, że nie wiedzą, jak się nazywają.

Powinno pójść jak z płatka.

8

Andy Sanders zajął stanowisko za tym samym dębem, za którym ukrył się podczas pierwszej wizyty ludzi pełnych goryczy. Nie wziął granatów, lecz miał sześć magazynków zatkniętych za pas i jeszcze cztery uwierające go w krzyż. Następnym dwadzieścia kilka było w drewnianej skrzyni u jego stóp. Dość amunicji, by dać odpór całej armii... choć gdyby Duży Jim rzeczywiście wysłał przeciwko nim armię, pewnie załatwiliby go w try miga. W końcu był tylko człowiekiem od wydawania pigułek.

Nie mógł uwierzyć, że to robi, ale też coś w nim czuło ponurą satysfakcję. I oburzenie. Niech Duzi Jimowie tego świata sobie nie myślą, że mogą mieć wszystko czy że mogą innym wszystko zabierać. Tym razem nie będzie negocjacji, polityki ani ustępstw. Andy stanie u boku swojego przyjaciela. Swojej bratniej duszy. Zdawał sobie sprawę, że myśli jak nihilista, ale to mu nie przeszkadzało. Całe swoje życie kalkulował i ćpuńska filozofia „pieprzyć wszystko” była upajającą zmianą na lepsze.

Usłyszał nadjeżdżające ciężarówki i zerknął na zegarek. Nie chodził. Według pozycji żółtobiałej plamy, która kiedyś była słońcem, Andy ocenił, że musi być prawie południe.

Wysłuchał się w narastające dudnienie silników dieslowskich i kiedy się rozdzieliło,

zrozumiał, że jego *compadre* przejrzał zamiary ludzi pełnych goryczy. Część tamtych skręcała na tyły rozgłośni, ku biegnącej tamtędy drodze dojazdowej.

Andy raz jeszcze głęboko zaciągnął się superdopałem, wstrzymał oddech najdłużej, jak mógł, po czym wydmuchnął powietrze ustami.

Z żalem upuścił skręta i go zadeptał. Nie chciał, by dym (bez względu na to, jak rozkosznie rozjaśniający umysł) zdradził jego kryjówkę. Kocham cię, Kucharzu, pomyślał i odbezpieczył kałasznikowa.

9

Wyboistą drogę dojazdową przegradzał lekki łańcuch. Freddy, siedzący za kierownicą pierwszej ciężarówki, nawet się nie zawahał, po prostu zerwał go kratą na masce wozu. Obie ciężarówki (drugą prowadził Mel Searles) wjechały do lasu.

Stewart Bowie był za kierownicą trzeciego wozu. Zatrzymał się na środku Little Bitch Road, wskazał wieżę radiową WCIK, po czym spojrzął na Randolpha, przyciśniętego do drzwi z półautomatycznym HK między kolanami.

- Podjedź kilkaset metrów dalej - polecił Randolph - potem zatrzymaj się i zgaś silnik.

- Dopiero jedenasta trzydzieści pięć. Doskonale. Mieli dużo czasu.

- Jaki jest plan? - spytał Fern.

- Taki, że czekamy do południa. Jak tylko rozlegną się strzały, ruszymy i zajdziemy głupków od tyłu.

- Nasze wozy strasznie hałasują - powiedział Roger Killian. - Tamci je usłyszą. Stracimy ten, jak to się nazywa, ewenement zaskoczenia.

- Nic nie usłyszą - zapewnił Randolph. - Będą siedzieć w rozgłośni i oglądać telewizję w klimatyzowanym komforcie. Ani się obejrzą, a będzie po wszystkim.

- Nie powinniśmy byli wziąć kamizelek kuloodpornych czy czegoś takiego? - spytał Stewart.

- Po co dźwigać taki ciężar w upał? Bez obaw. Te dwa błazny wylądują w piekle, zanim się zorientują, że nie żyją.

10

Tuż przed dwunastą Julia się zorientowała, że Barbie gdzieś zniknął. Znalazła go w domu McCoyów. Właśnie ładował konserwy na tył furgonetki Sweetbriar Rose. Schował też kilka toreb do kradzionego wozu firmy telekomunikacyjnej.

- Co robisz? Przecież dopiero je wczoraj wyładowaliśmy. Barbie zwrócił ku niej napiętą, poważną twarz.

- Wiem i myślę, że to był błąd. Może dlatego, że jestem tak blisko tej skrzynki, ale nagle czuję, że mam nad głową tę lupe, o której mówił Ryży, i że lada chwila zaświeci przez nią słońce. Obym się mylił. Przyjrzała mu się uważnie.

- Jest tego więcej? Jeśli tak, pomogę ci. Zawsze będzie to można później wyjąć z powrotem.

- Tak. - Barbie uśmiechnął się z wysiłkiem. - Zawsze będzie to można później wyjąć z powrotem.

11

Na końcu drogi dojazdowej była mała polana z dawno opuszczonym domem. Tam właśnie zatrzymały się dwie pomarańczowe ciężarówki i oddział szturmowy wysiadł. Dwójkami ściągnęli z wozów długie, ciężkie płócienne worki, na których widniały wypisane od szablonu słowa DEPARTAMENT BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO. Na jednym jakiś dowcipniś dopisał markerem PAMIĘTAJCIE ALAMO. W środku były półautomatyczne HK, dwa samopowtarzalne mossbergi na osiem kul i amunicja, amunicja, amunicja.

- Ee, Fred - zagadnął Gruby Norman. - Nie powinniśmy włożyć kamizelek czy coś?

- Zajdziemy ich od tyłu, Gruby. Bez obaw. - Freddy miał nadzieję, że sprawia wrażenie pewnego siebie. Tak naprawdę łaskotało go w żołądku.

- Damy im szansę się poddać? - spytał Mel. - Znaczą się, w końcu pan Sanders to radny.

Freddy myślał o tym wcześniej. Myślał też o Ścianie Pamięci, na której wisiały zdjęcia trzech policjantów z Chester's Mill, którzy zginęli na służbie od czasu drugiej wojny światowej. Nie było mu pilno do nich dołączyć, a ponieważ komendant Randolph nie dał wyraźnych instrukcji w tej sprawie, uznał, że decyzja należy do niego.

- Jeśli podniosą ręce, będą żyć - powiedział. - Jeśli będą bez broni, będą żyć. W każdej innej sytuacji ich rozjebimy. Ktoś ma jakieś ale?

Nikt nie miał. Była jedenasta pięćdziesiąt sześć. Zaraz się zacznie.

Popatrzył na swoich ludzi (sami faceci, oprócz Lauren Conree, która jednak miała tak zaciętą twarz i tak małe piersi, że mogła za faceta uchodzić), wziął głęboki wdech i powiedział:

- Za mną. Gęsiego. Na skraju lasu zatrzymamy się i wybadamy sytuację.

Obawy Randolpha związane z sumakiem jadowitym okazały się bezpodstawne, a

odstępny między drzewami były tak duże, że szło się dość łatwo, nawet z ciężką bronią. Freddy był pełen uznania dla swojego małego oddziału za to, że tak cicho - powiedziałby nawet, że bezszelestnie - przedzierał się przez kępy jałowców, których nie dało się ominąć. Zaczynał wierzyć, że będzie dobrze. Prawdę mówiąc, już się nie mógł doczekać. Teraz, kiedy ruszyli, łaskotanie w żołądku minęło bez śladu.

Tylko spokojnie, pomyślał. Spokojnie i cicho. A potem - bum! I ani się obejrzą, a już będzie po ptakach.

12

Kucharz, przyczajony za niebieskim wozem dostawczym zaparkowanym w wysokiej trawie za magazynem, usłyszał ich niemal od razu po tym, jak opuścili polanę, na której stare domostwo rodziny Verdreaux stopniowo zapadało się w ziemię. Słuch miał wyostrzony narkotykami, a mózg w stanie najwyższej gotowości bojowej i odnosił wrażenie, że robią tyle hałasu co stado bizonów szukających najbliższego wodopoju.

Przebiegł na przód auta i ukląkł z karabinem opartym na zderzaku. Granaty, które dotąd wisiały na lufie Bożego Wojownika, teraz położył na ziemi za sobą. Pilota zaczepił na pasku pidżamy KUM, KUM. Pot błyszczał na jego chudych, upstrzonych pryszczami plecach.

Bądź cierpliwy, tłumaczył sobie Kucharz. Nie wiesz, ilu ich jest. Daj im wyjść na otwarty teren, zanim zaczniesz strzelać, wtedy raz - dwa ich skoś.

Rozrzucił przed sobą kilka zapasowych magazynków do Bożego Wojownika i czekał z głęboką nadzieją, że Andy nie będzie musiał gwizdnąć. I on sam też nie. Możliwe, że mimo wszystko uda im się wyjść z tego cało. Że bój to nie będzie ich ostatni.

13

Freddy Denton dotarł na skraj lasu, odgarnął lufą karabinu gałąź jodły i wyjrzał. Zobaczył zarośniętą łąkę, a na jej środku wieżę radiową wydającą ciche buczenie, które czuł w plombach swoich zębów.

Wieżę otaczała siatka obwieszona tabliczkami WYSOKIE NAPIĘCIE. W oddali, na lewo od jego pozycji, stał parterowy budynek rozgłośni oraz duża czerwona stodoła. Domyślał się, że to magazyn. Albo wytwórnia narkotyków. Albo jedno i drugie.

Marty Arsenault przybliżył się ostrożnie. Koszulę od munduru znaczyły mu ciemne, okrągłe plamy potu. W oczach miał przerażenie.

- Co tam robi ten wóz? - spytał, wskazując lufą karabinu.

- To furgonetka Pomocy Bliźniemu - powiedział Freddy. - Rozwożą posiłki obłożnie chorym i innym takim. Nie widziałeś jej w mieście?

- Widziałem i nawet pomagałem ją ładować - odparł Marty. - W zeszłym roku przeszedłem od katolików do Chrystusa Odkupiciela. Czemu tu stoi? Lepszego miejsca nie mają? - Powiedział „mają” tak, że zabrzmiało to jak skarga niezadowolonej owcy.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - burknął Freddy. - Są w studiu.

- Skąd wiesz?

- Bo tam jest telewizor i wszystkie stacje pokazują wielką imprezę przy kloszu.

Marty uniósł HK.

- Może na wszelki wypadek ostrzelać ten wóz? A nuż jest w nim bomba. Albo oni.

Freddy pchnął lufę w dół.

- Jezus, Maria! Czyś ty zwariował?! Nie wiedzą, że tu jesteśmy, i chcesz im to zdradzić? Urodziła twoja matka jakieś mądre dzieci?

- Wal się - powiedział Marty. Po chwili namysłu dodał: - Twoja matka też niech się wali.

Freddy obejrzał się przez ramię.

- Dobra, ludzie, ruszamy. Podejźmy na ukos przez łąkę do studia. Zajrzyjcie przez okna od tyłu, żeby ich zlokalizować. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Pójdzie jak z płatka.

Aubrey Towle, człowiek oszczędny w słowach, powiedział:

- Zobaczymy.

14

- Nic nie słyszę - powiedział Fern Bowie w ciężarówce, która została na Little Bitch Road.

- Usłyszysz - rzekł Randolph. - Cierpliwości. Była dwunasta zero dwie.

15

Kucharz obserwował ludzi pełnych goryczy, którzy wyłonili się z ukrycia i przemykali na ukos przez łąkę, kierując się ku tylnej ścianie studia. Trzej byli w prawdziwych policyjnych mundurach; pozostała czwórka miała na sobie cywilne niebieskie koszule. Rozpoznał Lauren Conree (starą klientkę z czasów, kiedy handlował trawą) i Grubego Normana, lokalnego dealera hery. Był tam też Mel Searles, kolejny stary klient, kumpel Juniora. A także kumpel Franka DeLessepsa, co pewnie oznaczało, że uczestniczył w gwałcie na Sammy. Cóż,

poczynając od dziś, nigdy więcej nikogo nie zgwałci.

Siedmiu. Po tej stronie. Ilu po stronie Sandersa - kto wie?

Czekał, czy wyjdą następni, a kiedy nikt więcej się nie pojawił, zerwał się na nogi, oparł łokcie na masce wozu dostawczego i krzyknął:

- Oto dzień Pański nadchodzi okrutny, najwyższe wzburzenie i straszny gniew. Żeby ziemię uczynić pustkowiem!

Obrócili głowy, ale na chwilę zamarli w bezruchu, nie próbowali ani podnieść broni, ani uciekać. Żadni z nich policjanci, zauważył Kucharz. Ot, ptaki siedzące na ziemi, za głupie, żeby latać.

- I wygładzić z niej grzeszników! Izajasz, rozdział trzynasty! Sela, skurwysyny!

Po tej homilii i wezwaniu na sąd Kucharz otworzył ogień, kosząc ich z lewa na prawo. Dwaj mundurowi i Gruby Norman polecili do tyłu jak zepsute lalki, malując wysoką trawę swoją krwią. Ci, którzy ocaleli, wyrwali się z paraliżu. Dwaj uciekli w stronę lasu. Conree i ostatni z mundurowych rzucili się biegiem do studia. Kucharz powiódł za nimi lufą i znów otworzył ogień. Kałasznikow plunął krótką serią i ucichł. Magazynek był pusty.

Conree złapała się za kark, jakby coś ją ukąsiło, runęła twarzą w trawę, dwa razy wierzgnęła nogami i znieruchomiała. Ten drugi, łysy, dopadł na tyły studia. Kucharz nie przejął się zbyt dwoma, którzy zwiali do lasu, ale nie chciał pozwolić, żeby Łysol mu się wymknął - bo gdyby wyszedł za róg budynku, pewnie zobaczyłby Sandersa i mógłby strzelić mu w plecy.

Kucharz chwycił nowy magazynek i nasadą dłoni wcisnął go na miejsce zużytego.

16

Frederick Howard Denton, vel Łysol, nie myślał o niczym, kiedy dotarł na tyły studia WCIK. Zobaczył, jak młoda Conree upadła z przestrelonym gardłem, i to był koniec wszelkich racjonalnych kalkulacji. Teraz wiedział tylko, że nie chce, by jego zdjęcie trafiło na Ścianę Pamięci. Musiał gdzieś się schronić, a kryjówkę dostrzegał jedną: w budynku. Przed sobą miał drzwi. Za nimi jakaś grupa gospel śpiewała „We'll Join Hands Around the Throne”.

Freddy schwycił gałkę. Nie chciała się obrócić.

Zamknięte.

Upuścił broń, podniósł ręce i krzyknął:

- Poddaję się! Nie strzelać, podda...

Trzy potężne ciosy trafiły go w dolną część pleców. Widział, jak na drzwiach rozbryzguje się czerwona plama, i zdążył pomyśleć: Trzeba było wziąć kamizelki

kuloodporne. Potem osunął się na ziemię, z jedną ręką wciąż zaciśniętą na gałce. Świat uciekł od niego w dal, skurczył się do jednego, jasno świecącego punkcika, który zaraz zgasł. Freddy puścił gałkę. Umarł na kolanach, oparty o drzwi.

17

Melvin Searles też nie myślał. Gdy kule ścięły z nóg idących przed nim Marty'ego Arsenault, George'a Fredericka i Grubego Normana, poczuł, jak co najmniej jeden pocisk świsnął mu dosłownie, kurwa, przed oczami, a takie rzeczy raczej nie sprzyjają myśleniu.

Po prostu uciekł.

Przedzierał się przez gąszcz, nie bacząc na gałęzie chłoszczące go po twarzy, raz przewrócił się i wstał, w końcu wypadł na polanę, na której stały ciężarówki. Najrozsądniej byłoby odpalić jedną i odjechać, ale Mel rozstał się z rozsądkiem. Pewnie biegłby dalej drogą dojazdową aż do Little Bitch, gdyby drugi ocalały uczestnik ataku na tyły radiostacji nie złapał go za ramię i nie pchnął na pień dużej sosny.

To był Aubrey Towle, brat właściciela księgarni. Potężny, ociężały, jasnooki. Czasem pomagał swojemu bratu Rayowi układać książki na regałach, ale rzadko się odzywał. Niektórzy w mieście uważali, że jest ograniczony umysłowo, ale teraz na ograniczonego nie wyglądał. Ani na spanikowanego.

- Idę załatwić skurwysyna - rzekł.

- Powodzenia, kolego. - Mel oderwał się od drzewa i znów odwrócił się w kierunku drogi dojazdowej.

Aubrey Towle pchnął go z powrotem na pień, tym razem mocniej. Odgarnął włosy z oczu, po czym wymierzył karabin Heckler & Koch w brzuch Mela.

- Nigdzie nie pójdziesz.

Z tyłu dobiegł terkot karabinu. I krzyki.

- Słyszałeś to? - spytał Mel. - Chcesz tam wracać? Aubrey spojrzał na niego cierpliwie.

- Nie musisz ze mną iść, ale będziesz mnie osłaniał. Rozumiesz? Bo inaczej sam cię rozwałę.

18

Twarz komendanta Randolpha przeciął pełen napięcia uśmiech.

- Nieprzyjaciel podjął walkę na tyłach celu. Wszystko zgodnie z planem. Ruszaj, Stewart. Podjazdem. Wsiądziemy i przejdziemy przez studio.

- A jeśli są w stodole? - spytał Stewart.

- To i tak dopadniemy ich od tyłu. No już, ruszaj! Zanim będzie za późno!

Stewart Bowie ruszył.

19

Andy słyszał strzały za magazynem, ale że Kucharz nie gwizdnał, został na miejscu, bezpiecznie schowany za drzewem. Liczył, że nie dzieje się tam nic złego, bo w tej chwili miał własne problemy - na podjazd skręcała ciężarówka służb miejskich.

Kiedy się zbliżała, Andy okrążał drzewo, tak by pień cały czas go przed nią zasłaniał. Zatrzymała się. Wysiadło czterech ludzi. Andy był prawie pewien, że trzech z nich to ci sami, którzy przyjechali tu poprzednio... a już co do pana Kury nie miał najmniejszych wątpliwości. Wszędzie rozpoznalby te umazane gównem zielone gumiaki. Ludzie pełni goryczy. Nie miał zamiaru pozwolić, by zaskoczyli Kucharza.

Wyłonił się zza drzewa i zaczął iść środkiem podjazdu, z Claudette przy piersi. Chrząst żwiru pod jego nogami był skutecznie zagłuszany, bo ciężarówka stała z zapalonym silnikiem, a ze studia płynęła głośna muzyka gospel.

Andy uniósł kałasznikowa, ale czekał. Niech zbiorą się w grupę, jeśli mają taki zamiar, myślał. I rzeczywiście, do drzwi studia podeszli w grupie.

- No proszę, toż to pan Kura i jego przyjaciele - powiedział Andy, cedząc słowa prawie jak John Wayne. - Jak się macie, chłopaki?

Zaczęli się odwracać. To dla ciebie, Kucharzu, pomyślał Andy i otworzył ogień.

Pierwszą salwą zabił obu braci Bowie i pana Kurę. Randolpha tylko drasnął. Wyjął magazynek tak, jak Kucharz go nauczył, wziął następny zza pasa spodni i wcisnął na miejsce. Komendant Randolph czołgał się w stronę drzwi studia z krwią ściekającą po prawej ręce i nodze. Obejrzał się przez ramię. Miał wybałuszone, błyszczące oczy i spoconą twarz.

- Proszę, Andy - wyszeptał. - Mieliliśmy rozkaz, żeby nic ci nie zrobić, tylko przywieźć cię do miasta, żebyś mógł dalej pracować z Jimem.

- Jasne - powiedział Andy i nawet się roześmiał. - Już ci wierzę. Zamierzaliście zabrać cały ten...

Za studiem gruchnęła długa, zacinająca się seria. Kucharz mógł być w tarapatach, mógł potrzebować jego pomocy. Andy uniósł Claudette.

- Proszę, nie zabijaj! - krzyknął Randolph. Oslonił twarz dłonią.

- Myśl lepiej o pieczeni, którą zjesz na wieczerzy z Jezusem - powiedział Andy. - Toż za trzy sekundy już będziesz serwetkę rozkładał.

Długa seria z kałasznikowa odrzuciła Randolpha prawie pod same drzwi. Andy popędził za studio, w biegu wymieniając częściowo zużyty magazynek.

Z łąki doleciał głośny, przenikliwy gwizd.

- Idę, Kucharzu! - zawołał Andy. - Trzymaj się, już idę! Coś wybuchło.

20

- Oślaniaj mnie - powiedział Aubrey ponuro. Stał na skraju lasu. Wcześniej zdjął koszulę, rozerwał ją na dwoje i jedną połowę przewiązał sobie czoło, najwyraźniej chcąc się upodobnić do Rambo. - A jeśli chodzi ci po głowie, żeby mnie rąbnać, lepiej traf za pierwszym razem, bo inaczej wrócę tu i gardło ci poderżnę.

- Będę cię osłaniał - obiecał Mel. I słowa dotrzyma. Przynajmniej tu, na skraju lasu, będzie bezpieczny.

Prawdopodobnie.

- Ćpun stuknięty. Nie ujdzie mu to na sucho. - Aubrey oddychał szybko, zbierał odwagę. - Menda. Pojebany ćpun. - I, podnosząc głos: - Idę po ciebie, ćpunie pojebany!

Kucharz wyszedł z za furgonetki Pomocy Bliźniemu, by obejrzyć swoje ofiary. Właśnie odwracał się w stronę lasu, kiedy spomiędzy drzew wyskoczył Aubrey Towle wrzeszczący na całe gardło.

W tej samej chwili Mel dał ognia i choć pociski przeleciały daleko od niego, Kucharz instynktownie przykucnął. Kiedy to zrobił, pilot do drzwi garażu wysunął się z opadającego pasa jego spodni od pidzamy i wpadł w trawę. Kucharz schylił się, żeby go podnieść, i wtedy Aubrey puścił serię z karabinu. Kule z głuchym brzękiem podziurawiły bok wozu Pomocy Bliźniemu, kreśląc na nim zwariowany wzór. Roztrzaskały okno po stronie pasażera na lśniące kawałki. Jeden z nabojów odbił się z brzękiem od paska metalu z boku przedniej szyby.

Kucharz zostawił pilota i odpowiedział ogniem. Stracił jednak element zaskoczenia, a Aubrey Towle nie był łatwym celem. Biegł zygzakiem w stronę wieży radiowej. Nie znajdzie tam schronienia, ale zjedzie z linii ognia Searlesa. Zużył cały magazynek, lecz ostatnim pociskiem drasnął tego ćpuna w lewą skroń.

Trysnęła krew, Kucharzowi pasmo włosów spadło na ramię, gdzie przykleiło się do potu. Klapnął na tyłek i na chwilę wypuścił Bożego Wojownika z ręki. Zaraz chwycił go z powrotem. Nie sądził, by był poważnie ranny, ale uznał, że najwyższy czas, by Sanders przyszedł mu z pomocą, jeśli może. Włożył dwa palce do ust i gwizdnął.

Aubrey Towle dotarł do siatki otaczającej wieżę radiową i w tym samym momencie

Mel ponownie otworzył ogień ze skraju lasu. Mierzył w tył furgonetki Pomocy Bliźniemu. Pociski porozrywały blachę, znacząc ją metalowymi hakami i kwiatami. Ekspłodował zbiornik paliwa, tył wozu uniósł się na poduszce ognia.

Kucharz poczuł potworny żar na plecach i miał czas, by pomyśleć o granatach. Wybuchną? Zobaczył, że człowiek przy wieży radiowej mierzy w niego, i nagle wybór stał się jasny: albo odpowiedzieć ogniem, albo chwycić pilota do drzwi. Wybrał pilota i kiedy ścisnął go w dłoni, powietrze wokół niego nagle rozbrzmiało bzyčeniami niewidocznych pszczół. Jedna użądliła go w ramię; inna wbiła się w jego bok i zrobiła mu przemeblowanie we wnętrznościach. Zachwiał się i upadł, znów wypuszczając pilota z ręki. Sięgnął po niego i wtedy znów nadleciały pszczoły. Wczołgał się w wysoką trawę, zostawiając pilota. Teraz całą nadzieję pokładał w Sandersie. Człowiek spod wieży radiowej - jedyny odważny spośród siedmiu ludzi pełnych goryczy, pomyślał Kucharz, zaprawdę powiadam wam - ruszył ku niemu. Boży Wojownik stał się bardzo ciężki, całe ciało było ciężkie, ale Kucharz zdołał podźwignąć się na kolana i pociągnąć za spust.

I nic.

Albo się zaciął, albo magazynek był pusty.

- Ty tłuksie pierdolony - powiedział Aubrey Towle. - Ćpunie pojebany. Masz, to sobie przyćpaj, popierdolo...

- Claudette!!! - zakrzyknął Sanders.

Towle obrócił się, ale było za późno. Padła krótka, głośnie seria i cztery chińskie kule kalibru 7,62 prawie zerwały Aubreyowi głowę z karku.

Andy pobiegł do przyjaciela, który kłęcząc w trawie, brocząc krwią z barku, boku i skroni. Cała lewa strona twarzy Kucharza była czerwona i mokra.

- Kucharzu! Kucharzu! - Andy padł na kolana i uściskał go. Żaden z nich nie zauważył, że Mel Searles, ostatni żyjący uczestnik nalotu, wyłonił się z lasu i ostrożnie ruszył w ich stronę.

- Trzeba nacisnąć... - szepnął Kucharz.

- Co? - Andy spojrzał na cyngiel Claudette, ale było oczywiste, że Kucharz nie to miał na myśli.

- Pilot - wyszeptał Kucharz. Jego lewe oko tonęło we krwi, drugie patrzyło na Andy'ego przytomnie. - Pilot do drzwi, Sanders.

Andy wypatrzył pilota do drzwi garażu leżącego w trawie. Podniósł go i dał przyjacielowi. - Ty... też... Sanders. Andy objął dłonią dłoń Kucharza.

- Kocham cię, Kucharzu - powiedział i pocałował jego suche, upstrzone krwią usta.

- Ja... ciebie... też... Sanders.

- E, pedały! - krzyknął Mel, wręcz nieprzytomnie radosny. Stał zaledwie dziesięć metrów od nich. - Idźcie do wyra! Nie, zaraz, mam lepszy pomysł! Idźcie do diabła!

- Teraz... Sanders... teraz.

Mel zaczął strzelać.

Kule odrzuciły Andy'ego i Kucharza na bok, ale zanim zostali rozdzieleni, ich połączone dłonie wcisnęły biały guzik z napisem OTWIERANIE.

Eksplozja była biała i wszechogarniająca.

21

Uchodźcy z Chester's Mill jedzą lunch na skraju sadu, kiedy rozlega się strzelanina - nie na drodze sto dziewiętnaście, gdzie trwa spotkanie mieszkańców miasta z bliskimi, ale na południowym zachodzie.

- To na Little Bitch Road - mówi Piper. - Szkoda, że nie mamy lornetki.

Jednak i bez lornetki widzą żółty błysk w chwili wybuchu wozu Pomocy Bliźniemu. Twitch je plastikową łyżką kurczaka na ostro.

- Nie wiem, co tam się dzieje, ale to na pewno w rozgłośni - mówi.

Ryży łapie Barbiego za ramię.

- Tam jest propan! Był im potrzebny do produkcji narkotyków! Tam jest propan!

Barbie doznaje czystej trwogi. Wie, że zaraz się stanie. To ostatnia chwila, kiedy najgorsze jest jeszcze przed nimi. Potem w odległości sześciu kilometrów oślepiająca biała iskra rozświetla zamglone niebo niby błyskawica, która strzela w górę zamiast w dół. Chwilę później tytaniczna eksplozja rozrywa powietrze. Czerwona kula ognia pochłania najpierw wieżę radia WCIK, potem drzewa za nią, a w końcu cały horyzont z północy na południe.

Ludzie na Black Ridge krzyczą, ale sami siebie nie słyszą przez potężny, zgrzytliwy, narastający huk czterdziestu kilogramów plastiku i czterdziestu tysięcy litrów propanu przemienionych w mieszanekę wybuchową. Zasłaniają oczy i zataczają się do tyłu, depcząc po swoich kanapkach i rozlewając napoje. Thurston bierze Alice i Aidana na ręce i Barbie przez chwilę widzi jego twarz na tle ciemniejącego nieba - przerażoną twarz człowieka wpatzonego w otwierające się prawdziwe bramy piekieł i ocean ognia czekający za nimi.

- Musimy wracać do samochodów! - wrzeszczy Barbie. Julia wtula się w niego i płacze. Obok Joe McClatchey usiłuje pomóc swojej zapłakanej matce wstać. Ci ludzie nie posłuchają żadnego polecenia, nigdzie nie pójda, przynajmniej na razie.

Ku południowemu zachodowi, gdzie w ciągu najbliższych trzech minut większa część

Little Bitch Road przestanie istnieć, żółtoniebieskie niebo ciemniejsze i Barbie ma czas pomyśleć z doskonałym spokojem: Teraz jesteśmy pod lupą.

Eksplozja wybija wszystkie okna w prawie całkowicie wyludnionym centrum, wyrzuca okiennice w powietrze, przewraca słupy telefoniczne, wrywa drzwi z zawiasów, zgniata skrzynki na listy. Na całej Main Street włączają się autoalarmy. Duży Jim Rennie i Carter Thibodeau mają wrażenie, że pod salą konferencyjną zatrzęśła się ziemia.

Telewizor wciąż gra. Wolf Blitzer pyta tonem pełnym autentycznego niepokoju: „Co to? Anderson Cooper? Candy Crowley? Chad Myers? Soledad O'Brien? Czy ktoś wie, co to było, u licha? Co się dzieje?”.

Przy kloszu najnowsze gwiazdy amerykańskiej telewizji odwracają się plecami do kamer, osłaniają oczy i patrzą w stronę miasta. Jedna kamera wędruje do góry. Na ekranie widać potężną kolumnę czarnego dymu i wirujących szczątków na horyzoncie.

Carter zrywa się na nogi. Duży Jim chwyta go za nadgarstek.

- Jeden rzut oka - mówi. - Żeby zobaczyć, jak źle to wygląda. A potem tyłek w troki i wracaj. Może będziemy musieli przejść do schronu.

- Dobra.

Carter wbiega po schodach i rzuca się w głąb korytarza. Pod jego nogami chrzęszczą odłamki szyb z niemal doszczętnie zniszczonych drzwi frontowych. To, co widzi, kiedy wychodzi na stopnie przed budynkiem, tak dalece przekracza wszelkie jego wyobrażenia, że zamiera w bezruchu, myśląc: To jak największa, najokropniejsza burza, jaką świat widział, tylko jeszcze gorsze.

Niebo na zachodzie jest czerwonopomarańczową pożogą otoczoną skłębionymi chmurami w odcieniu hebanowej czerni. Powietrze już cuchnie gazem, który eksplodował. Słychać ryk jakby tuzina hut stali pracujących pełną parą.

A nad głową Cartera sunie czarna chmura uciekających ptaków.

Ten widok - ptaki, które nie mają dokąd uciec - wrywa Cartera z paraliżu. To i wzmagający się wiatr. W Chester's Mill od sześciu dni nie było wiatru, a ten, który wieje teraz, cuchnie gazem, jest gorący i ohydny.

Ogromny dąb przewraca się na Main Street, pociągając za sobą płatanię zerwanych przewodów elektrycznych.

Carter ucieka z powrotem w głąb korytarza. Duży Jim stoi u szczytu schodów. Jego nalana twarz jest blada, przerażona i - jak nigdy - niezdecydowana.

- Na dół - mówi Carter. - Do schronu. Nadciąga ogień. A jak tu dotrze, pożre to miasto żywcem.

- Co ci idioci zrobili? - jęczy Duży Jim.

Cartera to nie interesuje. Jeśli zaraz się stąd nie ruszą, podzielą los tamtych idiotów.

- W schronie jest sprzęt do oczyszczania powietrza, szefie? - Tak.

- Podłączony do generatora?

- Tak, oczywiście.

- Dzięki Bogu za to. Może mamy szansę.

Carter pomaga Dużemu Jimowi zejść po schodach, żeby było szybciej, i ma tylko nadzieję, że nie ugotują się tam żywcem.

Drzwi Karczmy Dippera były otwarte, zablokowane klinami, ale impet wybuchu wyrzuca kliny i zamyka drzwi. Rozbryźnięte szkło wdziera się do środka jak wyrzucone potężnym kasznięciem i kaleczy kilku ludzi stojących na końcu parkietu. Brat Henry'ego Morrisona, Whit, ma przeciętą tętnicę szyjną.

Tłum rzuca się w popłochu do wyjścia, zapominając o szerokoekranowym telewizorze. Tratują nieszczęsnego Whita Morrisona, który umiera w powiększającej się kałuży własnej krwi. Wpadają na drzwi i następní ludzie odnoszą rany, przeciskając się przez otwory o ostrych krawędziach.

- Ptaki! - wykrzykuje ktoś. - O Boże, spójrzcie na te ptaki! Większość jednak patrzy na zachód, nie w górę - na zachód, skąd, pod niebem czarnym jak w środku nocy, nadciąga ognista zagłada.

Ludzie biegną środkiem szosy numer sto siedemnaście. Kilku wskakuje do swoich samochodów i na parking, gdzie dawno, dawno temu Dale Barbara dostał wycisk, dochodzi do licznych stłuczek. Velma Winter wsiada do swojego starego datsuna pikapa i, ominąwszy całą demolkę na parking, odkrywa, że uciekający pieszo zablokowali jej zjazd na drogę. Spogląda w prawo - na ognistą burzę, która wydyma się ku nim niby wielka płonąca suknia, pochłaniając las między Little Bitch a centrum - i na ślepo rusza przed siebie, nie bacząc na ludzi. Uderza w Carlę Venziano, która ucieka z dzieckiem w ramionach. Velma czuje, jak koła pikapa przetaczają się po nich, i twardo zamyka uszy na wrzask Carli, która ma połamany kręgosłup i przygniata do ziemi pogruhotane ciało małego Stevena. Velma wie jedno. Musi się stąd wydostać. Musi się jakoś wydostać.

Spotkania przy kloszu zakończyły się z chwilą nadejścia apokalipsy. Ci wewnątrz zaprzątnięci są czymś ważniejszym od krewnych: gigantycznym grzybem dymu, który rośnie na północny zachód od nich, podnoszony muskułem ognia wysokim już na prawie półtora kilometra. Czując pierwsze, leciuteńkie muśnięcie wiatru, kulą się pod kloszem, ignorując ludzi za ich plecami. Zresztą ludzie za ich plecami się wycofują. Mają szczęście - mogą.

Henrietta Clavard czuje zimną dłoń na ramieniu. Odwraca się i widzi Petrę Searles. Włosy Petry wysunęły się ze spinek, którymi były upięte, wiszą jej przy twarzy.

- Masz jeszcze trochę tego rozweselacza? - pyta Petra i zdobywa się na upiorny uśmiech mówiący „zabawmy się”.

- Skończył się, niestety.

- Cóż... chyba to i tak nieważne.

- Trzymaj się mnie, kochana - mówi Henrietta. - Trzymaj się mnie. Nic nam nie będzie.

Kiedy jednak Petra spogląda starej kobiecie w oczy, nie widzi w nich wiary ani nadziei. Zabawa prawie się skończyła.

Teraz spójrzcie. Ośmiuset ludzi jest przyciśniętych do klosza. Z zadartymi do góry głowami i szeroko otwartymi oczami patrzą, jak pędzi ku nim nieuchronna zguba.

Oto Johnny i Carrie Carver, i Bruce Yardley, który pracował w supermarkcie Food City. Oto Tabby Morrell, właściciel składu drzewnego, z którego wkrótce zostanie tylko wirujący popiół, i jego żona Bonnie; Toby Manning, sprzedawca ze sklepu Burpeego; Trina Cole i Donnie Baribeau; Wendy Goldstone ze swoją przyjaciółką, też nauczycielką, Ellen Vanedestine; Bill Allnut, który nie chciał jechać po autobus, i jego żona Sarah, która wzywa Jezusa, by ją ocalił, wpatrzona w nadciągający ogień. Oto Todd Wendlestat i Manuel Ortega z twarzami uniesionymi ku zachodowi, gdzie świat znika pośród dymu. Tommy i Willow Anderson, którzy już nigdy nie ściągną do swojej karczmy żadnej kapeli z Bostonu. Zobaczcie ich wszystkich, całe miasto przyparte do niewidzialnego muru.

Za nimi odwiedzający z cofania się przechodzą do odwrotu, a z odwrotu do najzwyklejszej ucieczki. Zapominają o autobusach i biegną drogą w stronę Morton. Kilku żołnierzy zostaje na miejscu, ale większość rzuca broń i pędzi za tłumem, oglądając się za siebie nie częściej niż Lot, kiedy opuścił Sodomę.

Cox nie ucieka. Cox podchodzi do klosza i wykrzykuje:

- Halo! Oficerze dowodzący!

Henry Morrison odwraca się, podchodzi do pułkownika i opiera dłonie na twardej, mistycznej powierzchni, której nie widzi. Coraz trudniej oddychać. Zły wiatr popychany przez burzę ognia uderza w klosz, wpada w wir, po czym zawraca w stronę głodnej istoty, która nadchodzi - czarnego wilka o czerwonych ślepiach. Tu, na granicy z Motton, czekają jagnięta, którymi się pożywi.

- Pomóż nam - mówi Henry.

Cox spogląda na burzę ognia i ocenia, że dotrze do tłumu za najwyżej kwadrans, a

może już za trzy minuty. To nie pożar, nie eksplozja; w tym zamkniętym i już zanieczyszczonym środowisku to kataklizm.

- Nie mogę, panie posterunkowy - mówi.

Zanim Henry może odpowiedzieć, Joe Boxer łapie go za rękę. Coś bełkocze.

- Przestań, Joe - mówi Henry. - Nie ma dokąd uciec, pozostaje się tylko modlić.

Ale Joe Boxer się nie modli. Wciąż trzyma swoją pukawkę z lombardu i rzuciwszy ostatnie oszalałe spojrzenie na nadciągającą pożogę, przystawia sobie lufę do skroni jak człowiek, który gra w rosyjską ruletkę. Henry próbuje mu wyrwać pistolet, ale jest za późno. Boxer pociąga za spust. W dodatku nie umiera od razu, choć z jego głowy tryska fontanna krwi. Odchodzi, zataczając się, macha tym kretyńskim pistolecikiem jak chusteczką, krzyczy. Wreszcie pada na kolana, wyrzuca ręce ku ciemniejszemu niebu, jakby dostąpił objawienia, i zwała się twarzą na przerywaną białą linię na szosie.

Henry znów się odwraca do pułkownika Coksa, od którego dzieli go metr i milion kilometrów jednocześnie.

- Tak mi przykro, przyjacielu - mówi Coks. Pamela Chen podchodzi chwiejnym krokiem.

- Autobus! - wrzeszczy do Henry'ego przez narastający huk. - Trzeba nim przez to przejechać! To nasza jedyna szansa!

Henry wie, że to żadna szansa, ale kiwa głową, spogląda na Coksa po raz ostatni (Cox nigdy nie zapomni strasznych, pełnych rozpaczycy oczu tego policjanta), bierze Pammie Chen za rękę i rusza za nią do autobusu numer dziewiętnaście, podczas gdy z naprzeciwka pędzi skłębiona czerń.

Ogień dociera do centrum i bucha wzdłuż Main Street jak płomień z lutownicy wewnątrz rury. Most Pokoju wyparowuje. Duży Jim i Carter kulą się w schronie przeciwatomowym, kiedy ratusz imploduje nad ich głowami. Mury komisariatu zapadają się do środka, po czym strzelają wysoko w niebo. Posąg Luciena Calverta zrywa się z cokołu na War Memorial Plaza. Lucien wzlataje w płonąca ciemność z mężnie wzniesionym karabinem. Na trawniku przed biblioteką kukła na Halloween w zabawnym cylindrze i z rydlami zamiast rąk staje w płomieniach. Podnosi się potężny świst jakby Bożego odkurzacza i głodny tlenu ogień wciąga zdrowe powietrze do swojego jedyne, trującego płuca. Budynki przy Main Street - nieczynne kino Globe, apteka Sandersa, sklep Burpeego, stacja benzynowa, księgarnia, kwiaciarnia Maison des Fleurs, zakład fryzjerski - wybuchają jeden po drugim, wyrzucając szyldy, towary, gonty i szkło w powietrze jak konfetti w sylwestra. W domu pogrzebowym ciała ludzi, którzy ostatnio powiększyli grono zmarłych, pieką się w

metalowych szufladach jak kurczaki w brytfannach. Na koniec swojego triumfalnego przemarszu po Main Street ogień pochłania supermarket Food City, po czym pędzi dalej, ku Karczmie Dippera, gdzie na parkingu krzyczą ludzie. Ostatnie, co widzą na tym świecie, to wysoka na sto metrów ściana ognia, która ochoczo mknie im na spotkanie. Płomienie suną po drogach, zmieniając asfalt w żupę. W tym samym czasie pożar ogarnia Eastchester, biorąc na zakąskę domy miejscowych bogaczy i nielicznych bogaczy kulących się wewnątrz. Michela Burpee biegnie do piwnicy, ale już za późno. Jeszcze zobaczy roztopiającą się lodówkę i kuchnia wokół niej eksploduje.

Żołnierze stojący przy granicy między Tarker a Chester - najbliżej epicentrum katastrofy - zataczają się do tyłu, kiedy ogień bezsilnie dobija się pięściami do klosza, malując go na czarno. Czują przenikający przez niego żar, który w ciągu kilku sekund podnosi temperaturę o dwadzieścia stopni, podpiekając liście na pobliskich drzewach. Jeden z żołnierzy powie później: „To było tak, jakbyśmy stali na zewnątrz szklanej kuli, w której wybuchła bomba jądrowa”.

Ludzie skupieni przy kloszu zaczynają być bombardowani martwymi i umierającymi ptakami - uciekające wróble, drozdy, wilgowrony, wrony, mewy, nawet gęsi wpadają na kopułę, której tak szybko nauczyły się unikać. A przez łąkę Dinsmore'a pędzi oszalone stado psów i kotów z całego miasta. Są tam też skunksy, świstaki, jeżozwierze. Wśród nich widać sadzące wielkie susy jelenie, kilka niezdarnie galopujących łosi i oczywiście krowy Aldena Dinsmore'a, wywracające ślepiami i ryczące rozpaczliwie. Całym impetem wpadają na klosz. Zwierzęta, które mają szczęście, giną od razu. Pozostałe leżą nabite na własne połamane kości, wyją, piszczą, miauczą i ryczą.

Ollie Dinsmore widzi Dolly, piękną krowę rasy brązowej szwajcarskiej, swoją ulubienicę. Dolly, która kiedyś zdobyła pierwszą nagrodę na wystawie, galopuje ciężko w stronę klosza, a jakiś wyżeł kąsa ją po już zakrwawionych kopytach. Krowa wpada na barierę z chrupnięciem, którego Ollie nie słyszy przez ryk nadciągającego ognia... za to słyszy je w wyobraźni, a kiedy widzi, jak pies, też przecież skazany na zgubę, rzuca się na biedną Dolly i zaczyna rozszarpać jej bezbronne wymię, czuje się nawet gorzej niż wtedy, kiedy znalazł ojca martwego.

W tym momencie wyrywa się z odrętwienia. Nie wie, czy ma choć cień szansy na przeżycie, ale nagle sobie przypomina butlę tlenową z zawieszoną na niej baseballówką Red Sox zmarłego ojca. I maskę tlenową dziadzia Toma zwisającą z haczyka w drzwiach łazienki. Kiedy rzuca się biegiem w stronę farmy, na której przeżył całe swoje życie - farmy, która wkrótce przestanie istnieć - w głowie ma tylko jedną w pełni składną myśl: piwnica na

ziemniaki. Wykopana pod stodołą i pod wzgórzem może być bezpieczna.

Wygnańcy wciąż stoją na skraju sadu. Mimo wysiłków Barbiego nie słyszą go, a co za tym idzie, nie ruszają się z miejsca. Musi ich jednak skłonić, żeby wrócili do samochodów. Szybko.

Mają stąd panoramiczny widok na całe miasto i Barbie przewiduje, którędy pójdzie ogień, tak jak generał wytycza najbardziej prawdopodobną trasę przemarszu najeźdźczej armii na podstawie zdjęć z lotu ptaka. Pożar zmierza na południowy wschód i być może, zostanie na zachodnim brzegu Prestile. Rzeka, choć wyschnięta, powinna mimo wszystko posłużyć za naturalny pas ochronny. Wytworzony przez ogień piekielny wichur dodatkowo pomoże utrzymać płomień z dala od najbardziej wysuniętego na północ kwadrantu miasta. Jeśli pożar dojdzie do samego klosza na granicy z Castle Rock i Motton - czyli do obcasa i podeszwy buta - części Chester's Mill graniczącej z TR - 90 i północnym Harlow mogą ocaleć. Przynajmniej od ognia. Ale nie ogień jest największym zmartwieniem Barbiego.

Martwi go wiatr.

W tej chwili czuje go na ramionach i między rozstawionymi nogami; dmie tak silnie, że targa jego ubraniem i rozwiewa włosy Julii. Powietrze ucieka od nich, żeby podsycić ogień; powietrze, którego braku nie ma jak uzupełnić w niemal hermetycznie zamkniętym Mill. Barbie ma koszmarną wizję martwych złotych rybek unoszących się na powierzchni wody w akwarium, w którym wyczerpał się tlen.

Julia wskazuje mu coś w dole - postać wlokącą się Black Ridge Road, ciągnącą za sobą jakiś wózek. Z tej odległości nie widać, czy uchodźcą jest mężczyzna, czy kobieta. Na pewno udusi się dużo wcześniej, nim dotrze na wyżej położone tereny.

Barbie bierze Julię za rękę i zbliża usta do jej ucha.

- Musimy ruszać. Weź Piper za rękę, ona niech złapie tego, kto jest obok niej. Wszyscy...

- A co z nim?! - krzyczy Julia, wciąż patrząc na samotnego piechura. Ten człowiek ciągnie na wózku coś ciężkiego, bo jest zgarbiony i porusza się bardzo powoli.

Barbie musi ją przekonać, bo czas ucieka.

- Mniejsza o niego. Wracamy. Teraz. Niech wszyscy się wezmą za ręce, byśmy nikogo nie zgubili. Jeśli nie ruszymy teraz, potem może być za późno. Zabraknie nam powietrza.

Na szosie numer sto siedemnaście Velma Winter jedzie swoim datsunem na czele kolumny uciekających samochodów. Myśli tylko o ogniu i dymie, które wypełniają lusterko wsteczne. Pędząc ponad setką, wpada na klosz, o którym w panice zupełnie zapomniała (jeszcze jeden ptak, innymi słowy, tylko że na ziemi). Kolizja następuje w tym samym

miejscu, gdzie Billy i Wanda Debec, Nora Robichaud i Elsa Andrews ucierpieli tydzień wcześniej, zaraz po pojawieniu się klosza. Wyrzucony do tyłu silnik pikapa przecina Velmę na pół. Górna część jej ciała wylatuje przez przednią szybę, ciągnąc za sobą wstążki jelit, i rozbryzguje się na kloszu jak tłusty robak. Jest to początek karambolu z udziałem dwunastu samochodów, w którym ginie wielu ludzi. Większość jest tylko ranna, ale nie będą cierpieć długo.

Henrietta i Petra czują, że oblewa je żar. Podobnie jak setki osób przyciśniętych do klosza. Wiatr unosi ich włosy i targa ubraniami, które wkrótce staną w ogniu.

- Weź mnie za rękę, kochana - mówi Henrietta.

Razem patrzą, jak duży żółty autobus bierze szeroki zakręt, zataczając się z boku na bok. Pędzi po samej krawędzi rowu i omal nie rozjeżdża Richiego Killiana, który najpierw uskakuje mu z drogi, a potem daje zwinnego susa do przodu, łapie się tylnych drzwi i kuca na zderzaku.

- Mam nadzieję, że im się uda - mówi Petra.

- Ja też, kochana. - Ale w to nie wierzę.

Niektóre z jeleni wyskakujących z nadciągającej pożogi płoną.

Henry siedzi za kierownicą autobusu. Pamela stoi obok niego, trzyma się chromowanej poręczy. Pasażerowie to kilkunastu mieszkańców miasta, w większości ci, których wniesiono do środka, kiedy zasłabli. Wśród nich są Mabel Alston, Mary Lou Costas i dziecko Mary Lou, wciąż w czapce Henry'ego. Dzielny Leo Lamoine też wsiadł, choć jego słabość jest psychiczna raczej niż fizyczna; wyje z przerażenia.

- Gazu! Jedź na północ! - krzyczy Pamela. Ogień już prawie do nich dotarł, jest niecałe pięćset metrów przed nimi, a jego ryk trzęsie światem w posadach. - Jedź w pizdu i nie zatrzymuj się, żeby nie wiadomo co!

Henry wie, że to beznadziejne, ale ponieważ wie też, że woli skończyć w taki właśnie sposób, niż kuląc się bezradnie z plecami przyciśniętymi do kopuły, włącza reflektory i rusza. Pamelę odrzuca do tyłu, na kolana Chaza Bendera, nauczyciela - przyprowadzono go do autobusu, kiedy dostał palpacji serca. Chaz przytrzymuje Pammie. Rozlegają się piski i okrzyki strachu, ale Henry ledwo je słyszy. Wie, że mimo włączonych świateł droga zaraz zniknie mu z oczu, ale co z tego? Jako glina pokonał ten odcinek tysiące razy.

Użyj Mocy, Luke, myśli i nawet się śmieje, kiedy wjeżdża w rozplomioną ciemność, wciskając gaz do dechy. Trzymający się tylnych drzwi autobusu Richie Killian nagle nie może złapać tchu. Zdąży jeszcze zobaczyć, jak jego ręce zajmują się ogniem. Chwilę później temperatura na zewnątrz wzrasta do pięciuset stopni i spalony Richie odrywa

się od zderzaka jak skrawek mięsa od rozgrzanego grilla.

Światła w autobusie są zapalone i rzucają na przerażone, zalane potem twarze pasażerów słabą poświatę jak w kafejce o północy, a na zewnątrz panuje nieprzenikniona ciemność. W urywających się nagle snopach światła z reflektorów wirują kłęby popiołu. Henry jedzie na pamięć, ciekaw, kiedy opony pod nim eksplodują. Wciąż się śmieje, choć sam siebie nie słyszy przez rżenie silnika, przypominające pisk oparzonego kota. Trzyma się drogi; dobre i to. Kiedy wreszcie przebiją się przez tę ścianę ognia? Czy to w ogóle możliwe? Zaczyna myśleć, że tak. Dobry Boże, ileż ona może mieć grubości?

- Jeszcze trochę! - krzyczy Pamela. - Uda się!

Może, myśli Henry. Może i tak. Ale Chryste Panie, ten żar! Sięga do gałki od klimatyzacji, pragnąc podkreślić ją na maksa, i wtedy szyby wylatują do wewnątrz. Autobus wypełnia się ogniem. Nie! - myśli Henry. Nie! Nie! Nie teraz, kiedy jesteście tak blisko!

Gdy osmalony autobus wynurza się z dymu, Henry nie widzi nic prócz czarnego pustkowie. Z drzew zostały żarzące się kikuty, droga zmieniała się w bulgoczący rów. A potem od tyłu okrywa go płaszcz ognia i Henry Morrison nie czuje już nic. Autobus numer dziewiętnaście ześlizguje się ze szczątków drogi i przewraca na bok. Płomienie strzelają z wybitych okien. Szybko czerniejący napis z tyłu ostrzega: ZWOLNIJ, PRZYJACIELU! KOCHAMY NASZE DZIECI!

Ollie Dinsmore pędzi przez stodołę. Na szyi ma maskę tlenową dziadzia Toma, w rękach, których nigdy by o taką siłę nie podejrzewał, dźwiga dwie butle (drugą wypatrzył, gdy przebiegał przez garaż). W górze słychać trzeszczenie i chrobot; to dach zajął się ogniem. Zapalają się także dynie pod zachodnią ścianą stodoły, ich zapach jest mocny i mdły, jak na Święcie Dziękczynienia w piekle.

Ogień zmierza ku południowej stronie klosza, szybko pokonując ostatnie sto metrów. Obory Dinsmore'a wylatują z hukiem w powietrze. Henrietta Clavard patrzy na nadciągające płomienie i myśli: Cóż, jestem stara. Swoje przeżyłam. Nie to co ta biedna dziewczyna.

- Odwróć się, kochana - mówi do Petry - i połóż głowę na moim łonie.

Petra Searles unosi ku niej zalaną łzami i bardzo młodą twarz.

- Będzie bolało?

- Tylko przez sekundkę, kochanie. Zamknij oczy, a jak je otworzysz, już będziesz obmywać nogi w chłodnym strumyku. Petra wypowiada swoje ostatnie słowa:

- Byłoby miło.

Zamyka oczy. Henrietta robi to samo. Pochłania je ogień. W jednej sekundzie są, w następnej... nie ma ich.

Cox wciąż jest po drugiej stronie klosza, a kamery nadal filmują z bezpiecznego miejsca na placu pod pchli targ. Cała Ameryka patrzy z przerażeniem i fascynacją. Komentatorzy oniemieli i na ścieżce dźwiękowej słycać jedynie ogień, który ma wiele do powiedzenia.

Cox przez chwilę wciąż widzi długi wąż ludzi, czy właściwie samych sylwetek na tle pożaru. Większość z nich - podobnie jak wygnańcy na Black Ridge, którzy wreszcie wracają do domu McCoyów i swoich samochodów - trzyma się za ręce. Potem ogień rozlewa się po kloszu i już ich nie ma. Jakby w zadośćuczynieniu za ich zniknięcie, sam klosz staje się widoczny - wielka osmalona ściana strzelająca w niebo. Zatrzymuje na sobie większą część żaru, ale przepuszcza go dość, by zmusić Coksa do ucieczki. Pułkownik w biegu zdiera z siebie dymiącą koszulę.

Zgodnie z przewidywaniami Barbiego ogień poszedł po linii przecinającej Chester's Mill na ukoś, z północnego zachodu na południowy wschód. Wkrótce zadziwiająco szybko zgaśnie. Zużył tlen; pozostawił formaldehyd, kwas solny, dwutlenek węgla, czad i śladowe ilości innych, równie szkodliwych gazów. A oprócz tego duszące chmury pyłu złożonego z obróconych w parę domów, drzew i - oczywiście - ludzi.

Pozostawił po sobie truciznę.

22

Wygnańcy - dwudziestu ośmiu ludzi i dwa psy - pojechali w konwoju na granicę z TR - 90, znanym najstarszym mieszkańcom miasta jako Kanton, ściśnięci w trzech furgonetkach, dwóch samochodach i karetce. Kiedy dotarli na miejsce, zapadły ciemności i coraz trudniej było oddychać.

Barbie wcisnął hamulec priusa Julii i podbiegł do klosza. Zaniepokojony podpułkownik z kilkoma żołnierzami wyszli mu na spotkanie. Dystans do przebiegnięcia nie był duży, ale kiedy Barbie dopadł do czerwonej linii wymalowanej sprejem na kloszu, ledwo zapał. Czyste powietrze uciekało jak woda przez otwór odpływowy.

- Wentylatory! - wydyszał do podpułkownika. - Włączcie wentylatory!

Claire McClatchey i Joe wypadli z furgonetki Burpeego, chwiejąc się na nogach. Następny był wóz firmy telekomunikacyjnej. Ernie Calvert wysiadł, zrobił dwa kroki i gruchnął na kolana. Norrie i jej matka próbowały pomóc mu wstać. Obie płakały.

- Pułkowniku Barbara, co się stało? - spytał podpułkownik. Według naszywki na jego mundurze polowym nazywał się Stringfellow. - Proszę o raport.

- Pieprzyć wasz raport! - krzyknął Rommie. Niósł na rękach półprzytomne dziecko,

Aidana Appletona. Thurse Marshall szedł za nim chwiejnym krokiem, obejmując ramieniem Alice; cały przód jej oproszonej brokatem bluzki był w wymiocinach. - Włącz pan te wentylatory, ale już!

Stringfellow wydał rozkaz i uchodźcy uklękli z rękami przyciśniętymi do klosza. Chciwie łowili ustami słaby podmuch czystego powietrza, który wentylatory były w stanie precyzyjnie przecisnąć przez barierę.

Za nimi szalał pożar.

OCALENI

1

Z dwóch tysięcy mieszkańców Mill zaledwie trzystu dziewięćdziesięciu siedmiu wychodzi cało z pożaru, większość w północno - wschodniej części miasta. Nim zapadnie noc i rozmyta ciemność wewnątrz klosza przejdzie w zupełny mrok, zostanie ich stu sześciu.

Gdy w sobotę rano wschodzi słońce, przeświecające słabo przez jedyny niezaczerniony sadzą fragment klosza, Chester's Mill ma już tylko trzydziestu dwóch mieszkańców.

2

Ollie zatrzasnął drzwi piwnicy na ziemniaki, zanim uciekł na dół. Pstryknął też przełącznikiem, niepewny, czy światła będą działać. Działały. Kiedy potykając się, zbiegał do piwnicy (w której było chłodno, ale już czuł wdzierający się za nim żar), przypomniał sobie ten dzień przed czterema laty, kiedy pod stodołę zajęchała ekipa z Ives Electric, która przywiozła nowy generator.

- Za taką cenę lepiej, żeby to kurestwo działało jak trza - powiedział wtedy Alden, żując żdźbło trawy - bo zastawiłem się po uszy, żeby to kupić.

Działo jak trza, i wtedy, i teraz, choć Ollie wiedział, że niedługo przestanie. Pochłonie je ogień, tak jak pochłonał wszystko inne.

Na środku betonowej podłogi stał sortownik ziemniaków, złożony układ pasków, łańcuchów i kół zębatach, który wyglądał jak starożytna machina tortur. Za nim leżała wielka sterta kartofli. W tym roku obrodziły i Dinsmore'owie skończyli wykopki zaledwie trzy dni przed pojawieniem się klosza. W normalnych okolicznościach Alden i jego synowie posortowaliby je przez listopad, a potem sprzedali na targu w Castle Rock i rozmaitych stoiskach przydrożnych w Motton, Harlow i Tarker's Mills. W tym roku kartofle pieniędzy nie przyniosą. Za to może ocalą Olliemu życie.

Pobiegł na skraj sterty i przystanął, by obejrzeć obie butle. Wskazówka na tej z domu była w połowie skali, na tej z garażu tkwiła na zielonym polu. Ollie z brzękiem upuścił częściowo zużyta butlę na podłogę i podłączył maskę do drugiej. Robił to wiele razy za życia dziadzia Toma, więc uwiął się w kilka sekund.

Ledwie zawiesił sobie maskę z powrotem na szyi, zgasły światła.

W piwnicy było coraz cieplej. Padł na kolana i zaczął się zagrzebywać w zimnej masie ziemniaków, odpychając się nogami, ciałem osłaniając butlę, ciągnąc ją za sobą jedną ręką. Drugą wykonywał niezdarne ruchy jak przy pływaniu.

Słyszał, jak sypie się za nim lawina ziemniaków, i zwalczył zrodzoną z panicznego lęku pokusę, by się wycofać. To było tak, jakby został żywcem pochowany, i wmawianie sobie, że jeśli się żywcem nie pochowa, to umrze na pewno, niewiele pomagało. Sapał, kaszlał, wdychał chyba tyle samo brudu z ziemniaków, co powietrza. Nałożył maskę tlenową na twarz i... nic.

Majstrował przy zaworze butli chyba całą wieczność, serce tłukło się w jego piersi jak zwierzę w klatce. W ciemności pod powiekami zaczęły rozkwitać czerwone kwiaty. Zimny ciężar przygniatał go coraz silniej. Był szalony, że się na coś takiego poważył, tak szalony jak Rory, kiedy postanowił strzelać w klosz, i teraz zapłaci za to cenę. Umrze.

Wreszcie palcami odnalazł zawór. Z początku pokrętko ani drgnęło, ale Ollie uprzytomnił sobie, że kręci w złą stronę. Zmienił kierunek i do maski wpłynęło chłodne, błogosławione powietrze.

Drgnął, kiedy ogień wywalił drzwi u szczytu schodów. Przez chwilę widział brudną kolebkę, w której leżał. Pod ziemniakami zaczęło się robić gorąco i był ciekaw, czy opróżniona do połowy butla, którą zostawił przy sortowniku, wybuchnie. Zastanawiał się też, ile czasu zyskała mu ta pełna i czy w ogóle było warto.

Ale to jego mózg snuł takie rozważania. Dla ciała liczyło się tylko jedno: przeżyć. Ollie zaczął wpełzać głębiej w stos ziemniaków, ciągnąc butlę za sobą i poprawiając maskę na twarzy, ilekroć się przekrzywiła.

3

Gdyby bukmacherzy z Las Vegas przyjmowali zakłady, kto przeżyje katastrofę w dniu odwiedzin, szanse Sama Verdreaux wynosiłyby jeden do tysiąca. Nie takie jednak niespodzianki już się zdarzały - dlatego ludzie uparcie wracają do zielonego stolika - i to właśnie Sam był ową mozolnie wlokącą się Black Ridge Road postacją, którą Julia wypatrzyła tuż przed tym, jak wygnańcy pobiegli do samochodów.

Niechluj Sam, koneser denaturatu, przeżył z tego samego powodu co Ollie. Miał tlen.

Przed czterema laty poszedł do doktora Haskella (Czarnoksiężnika - pamiętacie go). Poskarżył się, że ostatnio jakoś ciągle brak mu tchu. Doktor Haskell posłuchał świszczącego oddechu starego opoja i spytał go, jak dużo pali.

- Cóż - odparł wówczas Sam - jakem mieszkał w lesie, bywało, że cztery paczki

dziennie, ale teraz, jak żyję z renty i zasiłku z pomocy społecznościovej, trochę się ograniczam.

Doktor Haskell poprosił o doprecyzowanie owego „trochę”. Sam odpowiedział, że zszedł do może dwóch paczek dziennie. Eaglesów.

- Kiedyś kurzyłem chesterfoggi, ale teraz robią je tylko z filtrem - wyjaśnił. - I są drogie. Eaglesy to tanioccha, a filtr można z nich oderwać. - Po czym zaniósł się kaszlem.

Doktor Haskell nie wykrył raka płuc (co było pewną niespodzianką), ale zdjęcia rentgenowskie sugerowały porządnie rozwiniętą rozedmę, powiedział więc Samowi, że zapewne do końca życia będzie musiał przyjmować tlen. Była to mylna diagnoza i prognoza, ale bądźcie dla człowieka wyrozumiali. Jak mawiają lekarze, kiedy słyszysz tętent kopyt, nie myślisz, że to zebry. Ludzie na ogół widzą to, co spodziewają się zobaczyć, prawda? A choć doktor Haskell umarł, można powiedzieć, śmiercią bohatera, nikt, z Ryżym Everettem włącznie, nigdy nie uważał go za drugiego Gregory'ego House'a. Niechłuj Sam tak naprawdę chorował na zapalenie oskrzeli, które przeszło mu niedługo po tym, jak Czarnoksiężnik postawił swoją diagnozę.

Wtedy jednak Sam był już zapisany na cotygodniowe dostawy tlenu od Castles in the Air (firmy z siedzibą w Castle Rock, rzecz jasna) i z usługi tej nigdy nie zrezygnował. Bo i czemu miałby zrezygnować? Jak lekarstwa na nadciśnienie, tlen przysługiwał mu w ramach czegoś, co nazywało się ubezpieczenie zdrowotne. Sam tak naprawdę nie rozumiał, o co w tym ubezpieczeniu zdrowotnym chodziło, ale wiedział, że dzięki niemu nie musi płacić za tlen z własnej kieszeni. Odkrył też, że wdychanie czystego tlenu poprawia nastrój.

Czasem jednak mijały całe tygodnie, zanim przypominało mu się, żeby zajrzeć do małej obskurnej szopy, którą w myśli nazywał barem tlenowym. Kiedy goście z Castles in the Air przyjeżdżali po puste butle (o czym często zapominali), Sam szedł do swojego baru tlenowego, otwierał zawory, opróżniał zbiorniki, ładował je do starego czerwonego kombi swojego syna i zawoził je tam, gdzie czekała jasnyniebieska ciężarówka z namalowanymi bąbelkami powietrza.

Gdyby nadal mieszkał przy Little Bitch Road, w starym domu rodziny Verdreaux, spaliłby się na węgiel (jak Marta Edmunds) chwilę po pierwszym wybuchu. Jednak dom i zagajniki, które niegdyś go otaczały, zostały dawno temu zajęte za niepłacenie podatków (i odkupione za bezcen w dwa tysiące ósmym roku przez jedną z kilku firm - wydmuszek Jima Renniego). Jednak jego młodsza siostra miała kawałek ziemi nad strumieniem God Creek i tam Niechłuj mieszkał w dniu, kiedy świat eksplodował. Chałupa była skromna, załatwiać się musiał w wygodce na zewnątrz (jedynym źródłem bieżącej wody była pompa ręczna w

kuchni), ale co tam, ważne, że podatki były opłacone, siostrzyczka tego pilnowała... a on miał ubezpieczenie zdrowotne.

Nie był dumny z roli, jaką odegrał w wywołaniu rozróby w supermarkecie. Przez lata wypił z ojcem Georgii Roux morze piwa i gorzały. Miał wyrzuty sumienia, że rzucił kamieniem w twarz jego córki. Ciągłe myślał o tym, jak złamana szczęka Georgii opadła niczym niesprawne usta lalki brzuchomowcy. Mógł ją zabić, na Boga żywego. To pewnie cud, że tak się nie stało... choć długo nie pociągnęła. Wtedy nasza go jeszcze smutniejsza myśl: Gdyby zostawił ją w spokoju, nie wylądowałyby w szpitalu. A gdyby nie było jej w szpitalu, pewnie żyłaby do dziś.

Jeśli tak na to spojrzeć, on ją zabił.

Kiedy coś wybuchło w rozgłośni, usiadł prosto, wybudzony z pijackiego snu, złapał się za serce i rozejrzał gorączkowo. Z okna nad jego łóżkiem wyleciała szyba. Zresztą ze wszystkich pozostałych też, a drzwi wejściowe, wychodzące na zachód, zerwały się z zawiasów.

Przestąpił przez nie, wyszedł na zachwaszczone, zawalone oponami podwórko i zamarł w bezruchu, patrząc ku zachodowi, gdzie cały świat płonął.

4

W schronie przeciwiatomowym, nad którym niegdyś stał ratusz, generator - mały, przedpotopowy, w tej chwili jedyna rzecz, która ratowała lokatorów schronu przed przeniesieniem się na tamten świat - pracował miarowo. Zasilane z baterii lampy awaryjne rzucały żółtawy blask z kątów głównego pomieszczenia. Carter siedział na jedynym krześle, Duży Jim zajmował większą część starej dwuosobowej sofy i jadł sardynki z puszki, wygrzebując grubymi palcami jedną po drugiej i kładąc je na słonych krakersach.

Niewiele mieli sobie do powiedzenia; całą ich uwagę zaprzętał przenośny telewizor znaleziony w sypialni. Odbierał jedną tylko stację - WMTW z Poland Spring - ale to wystarczało. Skala spustoszeń przechodziła ludzkie pojęcie. Centrum było zniszczone. Zdjęcia satelitarne pokazywały, że z lasów wokół jeziora Chester zostały hałdy żużlu, a tłum zebrany z okazji dnia odwiedzin na szosie numer sto dziewiętnaście obrócił się w proch i pył na dogorywającym wietrze. Do wysokości sześciu tysięcy metrów klosz stał się widoczny: niekończący się, czarny od sadzy mur więzienny otaczający spalone w siedemdziesięciu procentach miasto.

Niedługo po wybuchu temperatura w schronie zaczęła odczuwalnie wzrastać. Duży Jim kazał Carterowi włączyć klimatyzację.

- Generator to wytrzyma? - spytał wówczas Carter.

- Jeśli nie, to się usmażymy - odparł Duży Jim z irytacją - więc co za różnica?

Nie waż się na mnie burczeć, pomyślał Carter. Przez ciebie to wszystko się stało. Ty za to odpowiadasz.

Wstał, żeby poszukać klimatyzatora, i przez głowę przebiegła mu następna myśl: Te sardynki strasznie cipa. Ciekaw był, jak zareagowałby szef, gdyby mu powiedział, że to, co pcha sobie do gęby, śmierdzi starą trupią cipą.

Ale Duży Jim mówił do niego „synu” tak, że brzmiało to szczerze, więc Carter trzymał gębę na kłódkę. A klimatyzator od razu zaczął działać. Jednak dźwięk dodatkowo obciążonego generatora stał się trochę niższy. Teraz jeszcze szybciej spali ich zapasy płynnego gazu.

Nieważne, on ma rację, trzeba to było włączyć, powiedział sobie Carter, oglądając nadawane bez przerwy sceny zniszczenia. Większość zdjęć robiły satelity albo wysoko latające samoloty zwiadowcze. U dołu prawie cały klosz był nieprzezroczysty.

Z wyjątkiem północno - wschodniego krańca miasta. Około trzeciej po południu na ekranie nagle ukazał się obraz tej okolicy, filmowany tuż z za tętniącej życiem placówki wojskowej w lesie.

„Mówi Jake Tapper, jestem w TR - 90, obszarze zaraz na północ od Chester's Mill. Bliżej nie pozwolono nam podejść, ale jak państwo widzą, mamy tu grupę ocalonych, powtarzam, mamy tu grupę ocalonych”.

- Tu też są ocaleni, głupku jeden - powiedział Carter.

- Zamknij się - rzucił Duży Jim. Krew nabiegła do jego tłustych policzków i przecięła czoło falistą linią. Oczy wyszły mu z orbit, zacisnął pięści. - To Barbara. To ten skurczybyk Dale Barbara!

Carter też go dostrzegł. Obraz leciał z kamery o bardzo długiej ogniskowej, przez co był rozedrgany - to było tak, jakby patrzeć na ludzi przez falujące od upału powietrze - ale mimo to wystarczająco wyraźny. Barbara. Pyskata pastorka. Lekarz hipis. Grupka dzieci. Linda Everett.

Suka kłamała od samego początku, pomyślał. Kłamała, a dumny Carter jej uwierzył.

„Ten warkot, który państwo słyszycie, to nie helikoptery - mówił Jake Tapper. - Jeśli można trochę cofnąć kamerę...”.

Kamera cofnęła się, ukazując szereg potężnych wentylatorów na wózkach transportowych, każdy z własnym generatorem. Na widok całej tej mocy, odległej o zaledwie kilka kilometrów, Cartera aż skręcało z zazdrości.

„Teraz państwo widzicie - ciągnął Tapper. - Nie helikoptery, lecz wentylatory przemysłowe. Czy można znowu zrobić zbliżenie ocalonych?”

Kamera skierowała się na nich. Jedni klęczeli, inni siedzieli przy samym kloszu, dokładnie na wprost wentylatorów. Carter widział, że ich włosy poruszają się na lekkim wietrzyku. Może nie falowały, ale na pewno się poruszały. Jak rośliny w leniwym prądzie podwodnym.

- Toż to Julia Shumway! - zdumiał się Duży Jim. - Powinienem był zabić tę psią córkę, kiedy miałem szansę.

Carter nie zwracał na niego uwagi. Patrzył w telewizor.

„Połączony podmuch czterdziestu ośmiu wentylatorów powinien tych ludzi przewrócić, Charlie - powiedział Jake Tapper - ale z miejsca, w którym jesteśmy, wygląda na to, że dociera do nich tylko tyle powietrza, ile potrzeba, by utrzymać ich przy życiu w atmosferze, która zmieniała się w trującą zupę z dwutlenku węgla, metanu i Bóg wie czego jeszcze. Nasi eksperci twierdzą, że większość ograniczonych zasobów tlenu w Chester's Mill zużył ogień. Jeden z owych ekspertów, Donald Irving, profesor chemii w Princeton, powiedział mi przez telefon, że powietrze wewnątrz klosza w tym momencie może nie różnić się zbytnio od atmosfery Wenus”.

Na ekranie pojawiła się zaniepokojona twarz Charliego Gibsona, bezpiecznego w Nowym Jorku. (Cholerny fuksiarz, pomyślał Carter).

„Czy wiadomo już, co mogło być przyczyną pożaru?”

Przeskok na Jake'a Tappera... a potem na ocalonych, w ich małej kapsule powietrza zdatnego do oddychania.

„Nie, Charlie. Doszło do jakiegoś wybuchu, tyle wiemy na pewno, ale nie mamy żadnych nowych informacji ani od wojska, ani z Chester's Mill. Niektóre z osób, które widzisz u siebie na monitorze, z pewnością mają telefony komórkowe, ale wygląda na to, że kontakt utrzymują wyłącznie z pułkownikiem Jamesem Coksem, który przyleciał tu przed czterdziestoma pięcioma minutami i już z nimi rozmawiał. W czasie gdy kamera pokazywać będzie ten ponury widok z naszego, przyznać należy, odległego punktu obserwacyjnego, pozwól, że podam zaniepokojonym widzom w Ameryce i na całym świecie nazwiska osób zgromadzonych przy kloszu, które udało się zidentyfikować. Myślę, że w studiu macie zdjęcia kilku z nich, a jeśli tak, możecie je pokazać, kiedy wyczytam nazwiska. Chyba mam je w kolejności alfabetycznej, lecz mogę się mylić”.

„W porządku, Jake. A zdjęcia mamy, ale mów powoli”.

„Pułkownik, do niedawna porucznik Dale Barbara, siły zbrojne Stanów

Zjednoczonych”. - Na ekranie pojawiło się zdjęcie Barbiego w mundurze pustynnym. Obejmował ramieniem radośnie wyszczerzonego irackiego chłopca. Jake Tapper mówił dalej:

„Wielokrotnie odznaczony weteran wojenny, ostatnio kucharz w lokalnej restauracji. Angelina Buffalino... mamy jej zdjęcie?... nie?... dobra. Romeo Burpee, właściciel miejscowego sklepu wielobranżowego”. - Tu pokazali fotografię, na której Rommie stał z żoną przy ogrodowym grillu, ubrany w T - shirt z napisem DAJ BUZIAKA, JESTEM FRANCUZEM.

„Ernest Calvert, jego córka Joan i córka Joan, Eleanor Calvert”. - To zdjęcie wyglądało jak zrobione na zlocie rodzinnym; było na nim pełno Calvertów. Norrie, ponura i śliczna jednocześnie, miała deskorolkę pod pachą.

„Alva Drake... jej syn Benjamin Drake...”.

- Wyłącz to - burknął Duży Jim.

- Szczęściarze, nie siedzą w norze - powiedział Carter z rozżaleniem. - Czuję się jak zasrany Saddam Husajn, kiedy się ukrywał.

„Eric Everett, jego żona Linda i ich dwie córki...”.

„Kolejna rodzina!” - powiedział Charlie Gibson z entuzjazmem, jakiego nie powstydziliby się mormon.

Duży Jim miał już tego dość. Wstał i sam wyłączył telewizor gwałtownym ruchem nadgarstka. A że wciąż miał w rękę puszkę sardynek, trochę oleju wylało mu się na spodnie.

Nigdy tego nie wywabisz, pomyślał Carter, ale tego nie powiedział.

Ja to oglądałem, pomyślał Carter, ale tego nie powiedział.

- Ta pismaczka... - Duży Jim zadumał się i usiadł. Poduszki z sykiem zapadły się pod jego ciężarem. - Zawsze była przeciwko mnie. Wszystkiego próbowała, Carter. Wszystkiego. Przynieś mi następną puszkę sardynek, co?

Sam se ją przynieś, pomyślał Carter, ale tego nie powiedział. Wstał i przyniósł następną puszkę.

Zamiast skomentować dostrzeżone przez siebie podobieństwo między zapachem sardynek a wonią narządów płciowych martwej kobiety, zadał pytanie, które wydawało się logiczne.

- Co zrobimy, szefie?

Duży Jim zdjął kluczyk ze spodu puszek i odwinął nim wieczko, odsłaniając kolejną eskadrę martwych ryb. W blasku światła awaryjnych połyskiwały od tłuszczu.

- Zaczekamy, aż powietrze się oczyści, potem pójdziemy na górę i zaczniemy odbudowę, synu. - Westchnął, położył ociekającą rybę na krakersie i zjadł go. Okruchy lepiły

się do kropli oleju na jego wargach. - Tak zawsze robią ludzie tacy jak my. Ludzie odpowiedzialni. Ci, którzy ciągną pług.

- A jeśli powietrze się nie oczyści? W telewizji mówili...

- Olaboga, niebo spada nam na głowy, olaboga, niebo spada nam na głowy! - wyrecytował Duży Jim dziwnym (i dziwnie niepokojącym) falsetem. - Toż od lat to powtarzają, nie wiesz? Naukowcy i te mięczaki, liberałowie. Trzecia wojna światowa! Reaktory jądrowe przetopią wszystko aż do środka Ziemi! W roku dwutysięcznym staną komputery! Warstwa ozonowa zniknie! Lodowce stopnieją! Będą huragany! Ocieplenie globalne! Zapluci, tchórzliwi ateści, którzy nie ufają woli kochającego, troskliwego Boga! Którzy nie chcą wierzyć, że w ogóle jest coś takiego jak kochający, troskliwy Bóg!

Duży Jim wymierzył tłustym, ale stanowczo wyprostowanym palcem w Cartera.

- Wbrew poglądom świeckich humanistów niebo nie spada nam na głowy. Nic nie poradzą na to, że są tchórzem podszyeci, synu... Winny ucieka nawet wtedy, kiedy go nikt nie ściga, wiesz, Księga Kapłańska... ale to nie zmienia Bożej prawdy: ci, co Mu zaufali, odzyskują siły, otrzymują skrzydła jak orły... Księga Izajasza. Tam, na zewnątrz, teraz jest smog, nic innego. Po prostu trzeba trochę czasu, żeby się rozszedł.

Jednak dwie godziny później, tuż po czwartej w to piątkowe popołudnie, z wnęki, w której mieścił się mechaniczny system podtrzymywania życia, dobiegło przenikliwe pikanie.

- Co to? - spytał Carter.

Duży Jim, zgarbiony na kanapie z przymkniętymi oczami (i tłuszczem z sardynek na obwisłych policzkach), usiadł prosto i wyteżył słuch.

- Oczyszczacz powietrza - powiedział. - Mamy podobny w salonie wystawowym w komisie. Przydatny gadżet. Nie dość, że odświeża powietrze, to jeszcze zapobiega tym takim wyładowaniom statycznym, co kopią człowieka w mroźne dni...

- Jeśli powietrze w mieście jest coraz czystsze, czemu włączył się oczyszczacz?

- Może skocz na górę, Carter. Uchyl drzwi i zobacz, jak jest. Uspokoiliby cię to?

Carter nie wiedział, czy to by go uspokoiło, czy nie, pewien był jednak, że musi się ruszyć, bo zwariuje. Wszedł na schody.

Ledwie zniknął, Duży Jim wstał i podszedł do szeregu szuflad między kuchenką a małą lodówką. Poruszał się zaskakująco szybko i zwinnie jak na tak tęgiego człowieka. To, czego szukał, znalazł w trzeciej szufladzie.

U szczytu schodów Cartera powitał dość złowieszczy napis na drzwiach:

CZY NIE POWINIENESZ SPRAWDZIĆ

POZIOMU PROMIENIOWANIA?

POMYŚL!

Carter pomyślał. I wnioskiem, do jakiego doszedł, był ten, że Duży Jim pieprzył głupoty, kiedy mówił, że powietrze się oczyści. Widok szeregu tych ludzi przed wentylatorami dowodził, że między Chester's Mill a światem zewnętrznym praktycznie nie było wymiany powietrza.

Mimo to nie zaszkodzi sprawdzić.

Z początku drzwi nie chciały ustąpić. Paniczny strach na niejasną myśl, że mogli zostać pogrzebani żywcem, kazał mu pchnąć mocniej. Tym razem lekko się poruszyły. Usłyszał rumor spadających cegieł i szuranie drewna. Może dałoby się je otworzyć szerzej, ale nie było po co. Powietrze wpadające przez dwucentymetrową szczelinę w ogóle nie było powietrzem, lecz czymś, co śmierdziało jak wnętrze rury wydechowej przy włączonym silniku. Nie potrzebował nowoczesnych przyrządów, by wiedzieć, że poza schronem żyłby nie dłużej niż dwie, trzy minuty.

Co powiedzić Renniemu?

Nic, zasugerował zimny głos w głębi jego duszy, głos, który chciał mu pomóc przetrwać. Jeśli usłyszysz coś takiego, stanie się jeszcze gorszy. Jeszcze trudniej będzie z nim wytrzymać.

A cóż to właściwie znaczyło? Czy to w ogóle było ważne, skoro i tak umrą w schronie, kiedy zabraknie gazu do generatora? A w takim razie czy w ogóle cokolwiek miało znaczenie?

Zszedł z powrotem na dół. Duży Jim siedział na sofie.

- No i...?

- Nie jest dobrze - powiedział Carter.

- Ale oddychać się da?

- No... tak. Tylko że można by się od tego nieźle rozchorować. Lepiej poczekajmy, szefie.

- Oczywiście, poczekamy - powiedział Duży Jim, jakby Carter zaproponował coś zupełnie innego. Jakby Carter był największym głupcem we wszechświecie. - Nic nam nie będzie. Zaopiekuje się nami Bóg. Jak zawsze. Tymczasem mamy tu czyste powietrze, nie jest za gorąco i jedzenia nam nie brakuje. Może poszukasz jakichś słodczy, synu? Batonów i takich tam? Jeszcze bym coś przekąsił.

Nie jestem twoim synem, twój syn nie żyje, pomyślał Carter... ale tego nie powiedział.

Poszedł do pokoju sypialnego zobaczyć, czy są tam na półkach jakieś batony.

5

Około dziesiątej tego wieczoru Barbie zapadł w niespokojny sen, tuląc się do leżącej obok Julii. Przez jego sny przewijał się Junior Rennie. Junior stojący pod drzwiami jego celi. Junior z pistoletem w ręku. I tym razem nie było nadziei na ratunek, bo powietrze na zewnątrz stało się trucizną i wszyscy umarli.

Mary wreszcie zniknęły i Barbie zapadł w głębszy sen, podobnie jak Julia z głową zwróconą w stronę klosza i przesączającego się przez nią świeżego powietrza. Było go dość, by przeżyć, ale za mało, żeby oddychać pełną piersią.

O drugiej nad ranem coś Barbiego obudziło. Spojrzał przez przybrudzony klosz na światła wojskowego obozu po drugiej stronie. I wtedy ten dźwięk rozległ się znowu. To był kaszel, niski, ostry i rozpaczliwy.

Gdzieś po prawej stronie błysnęła latarka. Barbie wstał, starając się nie obudzić Julii, i ruszył w kierunku światła, przestępując przez towarzyszy, którzy spali w trawie. Większość rozebrała się do bielizny. Oddaleni o trzy metry wartownicy mieli na sobie budrysówki i rękawice, ale tu było bardzo gorąco.

Ryży i Ginny klęczeli przy Erniem Calvercie. Ryży miał stetoskop na szyi i maskę tlenową w dłoni. Podłączona była do małej czerwonej butli z napisem KARETKA SZPIT. CR NIE WYJMOWAĆ PO ZUŻYCIU WYMIENIĆ. Norrie i jej matka stały obok niespokojne, przytulone do siebie.

- Przepraszam, że cię obudził - powiedziała Joanie. - Jest chory.

- Jak ciężko? - spytał Barbie. Ryży potrząsnął głową.

- Nie wiem. Objawy są takie jak przy zapaleniu oskrzeli czy ciężkim przeziębieniu, ale winne jest to niezdrowe powietrze. Podąłem mu trochę czystego tlenu z karetki. Na jakiś czas pomogło, ale... - Wzruszył ramionami. - I nie podoba mi się to, jak bije mu serce. Ernie ostatnio żyje w dużym stresie, a nie jest już młodzieniaszkiem.

- Nie ma więcej tlenu? - spytał Barbie. Wskazał czerwoną butlę, która bardzo przypominała gaśnicę; ludzie trzymają takie w schowkach w kuchni i zawsze zapominają napelnić. - To wszystko?

Podszedł Thurse Marshall. W świetle latarki wydawał się ponury i zmęczony.

- Jest jeszcze jedna, ale uzgodniliśmy... Ryży, Ginny i ja...

że zachowamy ją dla maluchów. Aidan też zaczął kaszleć. Przynależem go jak najbliżej klosza i wentylatorów, ale to nie pomogło. Zaczniemy podawać Aidanowi, Alice,

Judy i Janelle resztę powietrza w małych dawkach, jak tylko się obudzą. Może gdyby żołnierze ustawili więcej wentylatorów...

- Obojętnie, ile świeżego powietrza puszcza - stwierdziła Ginny - do środka przedostanie się tylko trochę. A nawet będąc przy samym kloszu, i tak wdychamy cały ten syf. Wiadomo, kto najgorzej to znosi.

- Najstarsi i najmłodszy - powiedział Barbie.

- Idź, połóż się - poradził mu Ryży. - Oszczędzaj siły. Tu nic nie możesz zrobić.

- A ty?

- Staram się. W karetce jest środek udroźniający górne drogi oddechowe. I adrenalina, jakby co.

Barbie poczołgał się z powrotem wzdłuż klosza z głową zwróconą w stronę wentylatorów - teraz już wszyscy automatycznie tak robili - i przeraziło go, jak bardzo się zmęczył, zanim dotarł do Julii. Serce mu waliło, był zdyszany.

Julia nie spała.

- Co z nim?

- Nie wiem - przyznał Barbie - ale nic dobrego. Podali mu tlen z karetki i nie ocknął się.

- Tlen! Jest jeszcze? Ile go zostało?

Wyjaśnił, jak wygląda sytuacja, i ze smutkiem zauważył, że blask w jej oczach nieco przygasł.

Wzięła go za rękę. Palce miała spocone, ale zimne.

- Jesteśmy jak górnicy zasypiani w kopalni.

Siedzieli oparci o klosz. Między nimi szemrał leciuteńki podmuch. Miarowy warkot wentylatorów stał się jedynie tłem dźwiękowym. Podnosili głosy, żeby go przekrzyczeć, ale poza tym zupełnie go nie zauważali.

Zauważylibyśmy, gdyby umilkł, pomyślał Barbie. A potem już nigdy nie zauważylibyśmy niczego.

Julia uśmiechnęła się blado.

- Jeśli się o mnie martwisz, przestań. Czuję się nieźle jak na zasapaną republikankę w średnim wieku. Przynajmniej dałam się jeszcze ten jeden raz bzyknąć. I to porządnie.

Barbie odwzajemnił uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie, wierz mi.

- Co z tą minijądrówką, którą mają w niedzielę wypróbować? Jak myślisz?

- Nic nie myślę. Mam tylko nadzieję.

- Jak duża?

Nie chciał jej powiedzieć prawdy, ale na nią zasługiwała.

- Na podstawie wszystkiego, co stało się dotąd i co wiemy o istotach sterujących skrzynką... niezbyt.

- Powiedz mi, że się nie poddajesz.

- To akurat prawda. Nawet nie boję się tak bardzo, jak pewnie powinienem. I przyzwyczailem się do smrodu.

- Serio? Zaśmiał się.

- Nie. A ty? Bardzo się boisz?

- Tak, ale głównie jestem smutna. Oto jak kończy się świat, nie hukiem, lecz sapaniem. - Znow zakasłała, zasłaniając pięścią usta. Barbie słyszał, że inni też kaszlą. Wśród nich musiał być ten chłopczyk, przybrany synek Thurstona Marshalla. Rano dostanie coś lepszego, pomyślał Barbie, po czym przypomniał sobie, jak Thurston to ujął: „Powietrze w małych dawkach”. Dziecko nie powinno być zmuszone tak oddychać.

Nikt nie powinien być zmuszony tak oddychać.

Julia splunęła w trawę.

- Nie mogę uwierzyć, że sami to sobie zrobiliśmy. Istoty, które sterują skrzynką... skórzane łby... może i puściły to wszystko w ruch, ale myślę, że są tylko dziećmi, które oglądają nas dla zabawy. Może grają w ich odpowiednik gry wideo. Są na zewnątrz. My jesteśmy w środku i sami doprowadziliśmy do tego, co się stało.

- Nie obwiniaj się, i bez tego masz dość problemów - powiedział Barbie. - Jeśli ktokolwiek za to odpowiada, to tylko Rennie. On założył wytwórnię narkotyków, on zaczął podkraść propan z całego miasta. On wysłał tam ludzi i sprowokował jakieś starcie, jestem tego pewien.

- Ale kto go wybrał? - spytała Julia. - Kto dał mu możliwość robienia tego wszystkiego?

- Nie ty. „Democrat” prowadził kampanię przeciwko niemu. A może się mylę?

- Masz rację, ale tylko jeśli chodzi o ostatnie osiem lat. Z początku moja gazeta... innymi słowy ja... uważała, że Rennie spadł nam z nieba. Kiedy przekonałam się, jaki jest naprawdę, był już mocno okopany na swojej pozycji. I miał nieszczęsnego, zawsze uśmiechniętego, głupiego Andy'ego Sandersa, za którego plecami mógł się chować.

- Mimo to nie możesz winić...

- Mogę i winię. Gdybym wiedziała, że ten zacietrzewiony, niekompetentny sukinsyn kiedyś będzie nami rządził w czasie prawdziwego kryzysu, chyba... chyba... chyba utopiłabym

go jak kocię w worku.

Zaśmiał się, po czym zakaszłał.

- Z dnia na dzień coraz mniej masz w sobie z republika... - Urwał nagle.

Ona też to usłyszała. Grzechot i skrzypienie w ciemności. Dźwięk zbliżał się i w końcu wypatrzyli powłóczącą nogami postać ciągnącą wózek.

- Kto idzie?! - zawołał Dougie Twitchell.

Przybysz odpowiedział głosem lekko przytłumionym. Jak się okazało, przez maskę tlenową.

- No dzięki Bogu - powiedział Niechluj Sam. - Zdrzemnąłem się na poboczu i myślałem, że nie starczy mi powietrza, żeby tu dojść. Ale jestem. I w samą porę, bo butlę mam prawie pustą.

6

W sobotę przed brzaskiem obóz wojskowy przy szosie sto dziewiętnastej wyglądał smętnie. Zostało tylko trzydziestu kilku żołnierzy i jeden chinook. Dwunastu ludzi ładowało do niego duże namioty i kilka wentylatorów Air Max, które Cox kazał przenieść na południową stronę klosza, jak tylko doszły go wieści o wybuchu. Nie włączono ich nawet na moment. Zanim dotarły na miejsce, nie było już nikogo, kto skorzystałby z odrobiny świeżego powietrza, które mogły przecisnąć przez barierę. Pożar zgasł o szóstej po południu, kiedy zabrakło mu paliwa i tlenu, ale po tej stronie Chester's Mill nikt nie ocalał.

Kilkunastu ludzi zwijało namiot, w którym mieścił się punkt opatrunkowy. Ci, których to zadanie ominęło, wykonywali najstarszy z obowiązków żołnierza: porządkowanie terenu. Dostali tę robotę po to tylko, żeby się nie obijali, ale wyznaczeni do niej nie mieli nic przeciwko temu. Nic nie mogło zatrzeć w ich pamięci koszmaru, który oglądali zeszłego popołudnia. Zbieranie papierków, puszek, butelek i niedopałków trochę pomogło czymś zająć myśli. Wkrótce nadejdzie świt i potężny chinook rozgrzeje silnik. Oni wsiądą i przeniosą się gdzie indziej. Już nie mogli się doczekać.

Jednym z nich był szeregowy Clint Ames z Hickory Grove w Karolinie Południowej. Miał w ręku zielony plastikowy worek na śmieci i powoli szedł przez zdeptaną trawę, podnosząc co jakiś czas a to porzucony transparent, a to zgniecioną puszkę po coli, żeby ten upierdliwy sierżant Groh w razie czego widział, że coś robi. Prawie zasypiał na stojąco i w pierwszej chwili pomyślał, że pukanie, które usłyszał (brzmiało tak, jakby ktoś stukał knykциями w gruby półmisek z pyreksu), to część snu. Tym bardziej że zdawało się dochodzić z drugiej strony klosza.

Żołnierz ziewnął i przeciągnął się, uciskając sobie ręką krzyż. Kiedy to robił, pukanie rozległo się znowu. Rzeczywiście dochodziło zza zaczernionej ściany klosza.

A potem usłyszał głos. Słaby, nierzeczywisty, niczym głos ducha. Aż ciarki go przeszły.

- Jest tam kto? Czy ktoś mnie słyszy? Proszę... umieram. Chryste, czy on znał ten głos? Brzmiał zupełnie jak...

Ames rzucił wór ze śmieciami i podbiegł do kopuły. Położył dłonie na jej zaczernionej, wciąż ciepłej powierzchni.

- Pastuszek krów? To ty?

Ja zwariowałem, pomyślał. To niemożliwe. Nikt nie mógł ocaleć z tej burzy ogniowej.

- Ames!!! - ryknął sierżant Groh. - Co ty tam robisz, do licha?

Już miał się odwrócić, kiedy głos za osmaloną powierzchnią rozległ się znowu.

- To ja. Nie... - Nastąpiła seria urywanych kaszlnięć. - Nie odchodź. Jeśli tam jesteś, nie odchodź.

W tej chwili pojawiła się dłoń. Była widmowa jak głos, palce miała umorusane sadzą. Ścierała brud po wewnętrznej stronie klosza. Po chwili ukazała się twarz. Ames z początku jej nie rozpoznał. Dopiero po chwili się zorientował, że pastuszek jest w masce tlenowej.

- Kończy mi się powietrze - wyrzęził chłopak. - Wskazówka jest na czerwonym... od dawna.

Szeregowy Ames spojrzał w jego udręczone oczy. Chwilę patrzyli na siebie. I wtedy powziął twarde postanowienie: nie pozwoli chłopakowi umrzeć. Nie po tym wszystkim, przez co przeszedł... choć jakim cudem zdołał przetrwać?

- Młody, słuchaj. Uklęknij i...

- Ames, nygusie zasrany! - ryknął sierżant Groh i ruszył w jego stronę. - Dość obijania się, do roboty! Nie mam dziś cierpliwości do twoich żałosnych numerów!

Szeregowy Ames całą uwagę skupił na chłopaku, który wpatrywał się w niego przez brudną ścianę.

- Padnij i zeskrob brud na samym dole! Ale już!

Twarz zniknęła. Ames miał nadzieję, że małolat wziął się do roboty, a nie po prostu zemdłał.

Dłoń sierżanta opadła na jego ramię.

- Ogłuchłeś? Mówię ci, żebyś...

- Przynieście wentylatory, sierżancie! Musimy ustawić wentylatory!

- Co ty gada...

- Tam jest ktoś żywy! - krzyknął Ames sierżantowi w twarz.

7

Kiedy Niechluj Sam dotarł do obozu uchodźców przy kloszu, w czerwonym wózku miał już tylko jedną butlę z tlenem, a wskazówka na jej tarczy tkwiła tuż przy zerze. Nie wyraził obiekcji, kiedy Ryży wziął od niego maskę i nałożył ją na twarz Erniego Calverta, podczołgał się tylko do klosza, w miejsce gdzie siedzieli Barbie i Julia. Tam ukląkł i wziął głęboki wdech. Czuwający u boku Julii Horace spojrział na niego z zaciekawieniem.

Sam przewrócił się na plecy.

- Mało go, ale i tak jest lepsze niż to, jakie miałem. Resztówka na dnie butli nigdy nie jest tak smaczna jak pierwszy łyk.

Po czym - niewiarygodne - zapalił papierosa.

- Zgaś to, czyś ty oszalał? - powiedziała Julia.

- Długo na to czekałem - odparł Sam, zaciągając się z lubością. - W pobliżu tlenu nie wolno palić, rozumiecie. Bo można by się wysadzić w powietrze. Choć niektórzy się tym nie przejmują.

- A, dajcie mu palić - rzekł Rommie. - To na pewno nie gorsze niż ten syf, którym oddychamy. Kto wie, może smoła w płucach go chroni.

Podszedł Ryży i usiadł.

- Butla poległa, ale Ernie zaczerpnął z niej kilka dodatkowych oddechów. Wydaje się, że śpi spokojniej. Dzięki, Sam.

Niechluj zbył go machnięciem ręki.

- Moje powietrze jest wasze, doktorze. A przynajmniej było. Tak w ogóle to nie możecie zrobić go więcej w tej waszej karetce? Ci goście, co mi butle przywozili, zanim rozpętała się cała ta chryja, robili tlen normalnie w swojej ciężarówce. Mieli jakąś pompę czy coś.

- Ekstraktor tlenu - powiedział Ryży. - Tak, mamy go w karetce. Niestety, jest zepsuty.

- Obnażył zęby w grymasie, który miał uchodzić za uśmiech. - Od trzech miesięcy.

- Czterech - uściślił Twitch, podchodząc. Patrzył na papierosa Sama. - Zostały ci jeszcze jakieś?

- Nawet o tym nie myśl! - zaprotestowała Ginny.

- Boisz się, że zasmrodzę ten raj dymem, słonko? - spytał Twitch, ale kiedy Sam podsunął mu wymiętą paczkę, nie poczęstował się.

- Osobiście złożyłem wniosek o zakup nowego ekstraktora - ciągnął Ryży. - Do

zarządu szpitala. Odpowiedzieli, że w budżecie nie ma już środków, ale może miasto by pomogło. No to wysłałem prośbę do Rady Miejskiej.

- Czyli do Renniego - stwierdziła Piper Libby.

- Otóż to. W odpowiedzi dostałem pismo z obietnicą, że mój wniosek zostanie rozpatrzony na listopadowym posiedzeniu w sprawie budżetu. Czyli pozostaje nam czekać. - Ryży machnął rękami i roześmiał się.

Stopniowo schodzili się pozostali. Patrzyli z zaciekawieniem na Sama. I z przerażeniem na jego papierosa.

- Jak tu dotarłeś? - spytał Barbie.

Sam ochoczo opowiedział swoją historię. Zaczął od tego, jak po zdiagnozowaniu u niego rozedmy załapał się na regularne dostawy tlenu dzięki ubezpieczeniu zdrowotnemu, i jak czasem nie nadążał z opróżnianiem butli. Opowiedział o tym, jak usłyszał eksplozję, i co zobaczył, kiedy wyszedł na zewnątrz.

- Wiedziałem, co się święci, gdy tylko zobaczyłem, jaka była potężna - mówił. Grono jego słuchaczy powiększyło się o żołnierzy po drugiej stronie klosza. Wśród nich był Cox ubrany w bokserki i podkoszulek. - Widziałem już wielkie pożary, jak pracowałem w lesie. Parę razy musieliśmy rzucić wszystko i uciekać przed ogniem, i jakby jedna z tych starych ciężarówek, którymiśmy jeździli w tamtych czasach, ugrzęzła w błocie, byłoby po nas. Najgorsze są pożary wierzchołkowe, bo wytwarzają własny wiatr. Od razu wiedziałem, że z tym będzie tak samo. Musi wybuchło coś wielgachnego. Co to było?

- Propan - powiedziała Rose.

Sam poskrobał się po pokrytym siwą szczecina podbródkiem.

- Uhm, ale nie tylko, też jakieś chemikalia, bo część płomieni była zielona... Gdyby ogień poszedł w moją stronę, nie byłoby ze mnie czego zbierać. Z was też. Ale poniosło go na południe. Nie zdziwiłbym się, gdyby ukształtowanie terenu miało z tym coś wspólnego. No i łożysko rzeki. W każdym razie wiedziałem, co się stanie, i zabrałem butle z baru tlenowego...

- Skąd? - spytał Barbie.

Sam wziął ostatniego sztacha i zgasił papierosa na ziemi.

- A, tak sobie nazwałem szopę, w której je trzymam. Miałem pięć pełnych...

- Pięć! - jęknął Thurston Marshall.

- Ano - przytaknął Sam radośnie - ale pięciu bym nie dał rady holować. Wiecie, mam swoje lata.

- Nie mogłeś poszukać samochodu czy ciężarówki? - spytała Lissa Jamieson.

- Pani szanowna, prawo jazdy zabrali mi siedem lat temu. A może osiem. Zbyt dużo

mandatów za jazdę po pijaku. Gdyby mnie złapali za kółkiem, wsadziliby mnie za kraty i wyrzucili klucz.

Barbie zastanowił się, czy nie wskazać zasadniczej luki w jego rozumowaniu, ale uznał, że szkoda powietrza.

- Pomyślałem sobie, że z czterema butlami na tym małym wózku jakoś sobie poradzę, i uszedłem może kilkaset metrów, kiedy zacząłem ciągnąć z pierwszej. Musiałem, rozumiecie.

- Wiedziałaś, że tu jesteśmy? - spytała Jackie Wettington. - Nie, pani szanowna. Tu jest wysoko, to wszystko, a miałem świadomość, że moje powietrze z puszek kiedyś się skończy. Nie wiedziałem nic o was ani o tych wentylatorach. Po prostu to jedyne miejsce, gdzie mogłem pójść.

- Czemu zajęło ci to tyle czasu? - spytał Pete Freeman. - God Creek jest niecałe pięć kilometrów stąd.

- A to właśnie dziwna sprawa - odparł Sam. - Szedłem sobie drogą... no wiecie, Black Ridge Road... i aż do mostu wszystko było okay. Dalej ciągnąłem tlen z pierwszej butli, choć robiło się straszecznie gorąco i... moment! Widzieliście tego martwego niedźwiedzia? Tego, co wyglądał, jakby sam sobie rozwalił łeb o słup telefoniczny?

- Tak - powiedział Ryży. - Niech zgadnę. Kawalek za niedźwiedziem zakręciło ci się w głowie i straciłeś przytomność.

- Skąd pan wiedziałeś?

- Przyjechaliśmy stamtąd. Działa tam jakaś siła. Zdaje się, że najmocniej odczuwają ją dzieci i ludzie starzy.

- Taki stary to ja nie jestem - obruszył się Sam. - Wcześniej osiwiiałem, jak mama.

- Jak długo byłeś nieprzytomny? - spytał Barbie.

- No, zegarka nie noszę, ale kiedy ruszyłem dalej, było już ciemno, więc trochę to trwało. Raz się obudziłem, bo ledwo mogłem oddychać, podłączyłem się więc do nowej butli i znowu zasnąłem. A żebyście wiedzieli, jakie sny miałem! Istny cyrk! I w końcu obudziłem się na dobre. Było ciemno. Wymieniłem butlę. Nie miałem z tym kłopotu, bo tak naprawdę zupełnie ciemno nie było. Niby przez tę sadzę z pożaru, co osiadła na kloszu, powinno być ciemniej niż u kota w dupie, ale w miejscu, gdzie leżałem, jest jasna smuga. W dzień jej nie widać, a w nocy wygląda, jakby latały miliardy świetlików.

- Świetlny pas, tak my to nazywamy - powiedział Joe. On, Norrie i Benny stali blisko siebie. Benny kasłał, zasłaniając usta dłonią.

- Dobra nazwa - stwierdził Sam z aprobatą. - W każdym razie wtedy już wiedziałem,

że ktoś tu jest, bo słyszałem wentylatory i widziałem światła. - Wskazał obóz po drugiej stronie klosza. - Nie wiedziałem, czy dam radę dojść, zanim skończy mi się powietrze. Wleźć na wzgórze to mordega i ciągnąłem o - dwa jak smok... ale się udało.

Patrzył z zaciekawieniem na Coksa.

- Hej tam, pułkowniku Klink, widzę pański oddech. Albo włóż pan kurtkę, albo chodź pan do nas, tu jest ciepło. - Zarechotał, obnażając nieliczne ocalałe zęby.

- Nazywam się Cox, nie Klink, i jest mi tu dobrze.

- Co ci się śniło, Sam? - spytała Julia.

- Ciekawe, że właśnie pani o to pyta, bo ze wszystkich snów pamiętam tylko jeden, o pani. Leżała pani na estradzie na placu i płakała.

Julia mocno ścisnęła rękę Barbiego.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Bo była pani przykryta gazetami - odparł Sam. - Numerami „Democrata”. I tuliła je do siebie tak, jakby... z góry przepraszam, ale sama pani pytała... jakby pod spodem była pani goła. Miał kto kiedyś dziwniejszy sen?

Walkie - talkie Coksa piknęło trzy razy. Zdjął je z pasa.

- Co jest? Streszczaj się, jestem zajęty. Wszyscy usłyszeli odpowiedź:

- Znaleźliśmy po południowej stronie kogoś, kto przeżył, panie pułkowniku. Powtarzam: mamy tu kogoś, kto przeżył.

8

Kiedy rankiem dwudziestego ósmego października weszło słońce, ostatni członek rodziny Dinsmore'ów mógł o sobie powiedzieć, że przeżył - i nic ponadto. Ollie leżał, przywierając całym ciałem do klosza, i wdychał powietrze, którego duże wentylatory po drugiej stronie dostarczały akurat tyle, żeby utrzymać go przy życiu.

Wcześniej musiał oczyścić wystarczająco duży fragment klosza po swojej stronie, zanim skończy się tlen w ostatniej zachowanej butli. To była ta sama, którą zostawił przy sortowniku, gdy zagrzebał się w kartoflach. Pamiętał, jak się zastanawiał, czy wybuchnie. Nie wybuchła. Dzięki niej Oliver H. Dinsmore nie leżał martwy w kurhanie z ziemniaków.

Kłęczał więc po swojej stronie klosza i zdrapywał czarną, paskudną skorupę, świadom, że wśród jej składników są ludzkie szczątki. Co rusz kłuły go kawałki kości. Bez nieustającego wsparcia szeregowego Amesa na pewno dałby za wygraną. Ale Ames mu na to nie pozwolił i ciągle darł się na niego, żeby skrobał, do cholery, zdrap ten syf do czysta, pastuszku krów, musisz to zrobić, żeby wentylatory na cokolwiek się zdały.

Ollie chyba nie poddał się dlatego, że Ames nie znał jego imienia. Jakoś to jeszcze znosił, kiedy dzieciaki w szkole wołały za nim „wsiur” i „krowodój”, ale za nic w świecie nie zamierzał umierać, słuchając, jak jakiś burak z Karoliny Południowej nazywa go pastuszkim krów.

Wreszcie wentylatory włączyły się z rykiem i poczuł na przegrzanej skórze pierwsze słabe podmuchy. Zerwał wówczas maskę i przycisnął twarz do brudnej powierzchni klosza. Potem, dysząc ciężko i wykasłując sadzę, dalej zdrapywał zwęgloną skorupę. Widział Amesa po drugiej stronie, klęczącego z rękami na ziemi i głową przekrzywioną jak człowiek próbujący zajrzeć do mysiej dziury.

- O to chodzi! - krzyknął szeregowy. - Zaraz przyniosą jeszcze dwa wentylatory. Nie dawaj za wygraną, pastuszk! Nie rezygnuj! Ani mi się waż!

- Ollie - wysapał w odpowiedzi. - Co?

- Na imię mam... Ollie. Nie nazywaj mnie... pastuszkim.

- Będę cię nazywał Ollie od dziś do końca świata, bylebyś dalej robił sobie okienko, przez które wentylatory będą ci dmuchać.

To cud, ale do Olliego docierało wystarczająco dużo powietrza, by pozostał żywy i przytomny. Przez szczelinę w sadzy widział rozjaśniający się świat. Światło też pomagało, choć widział różany blask świtu skalany przez warstwę brudu, która wciąż pokrywała klosz od jego strony. Światło niesło nadzieję, bo tu, w środku, wszystko było ciemne, zwęglone i milczące.

O piątej rano próbowali zluzować Amesa, ale Ollie krzyknął do niego, żeby został, więc Ames nie zgodził się odejść. Jego dowódca ustąpił. Powoli, z przerwami na to, by przyciskać usta do klosza i nabierać powietrza, Ollie opowiedział o tym, jak przeżył.

- Wiedziałem, że muszę poczekać, aż pożar zagaśnie, więc oszczędzałem tlen. Dziadzio Tom kiedyś mi mówił, że jak spał, jedna butla starczała mu na całą noc, dlatego leżałem nieruchomo. Długo w ogóle nie musiałem z niej korzystać, bo pod ziemniakami było powietrze.

Przyłożył wargi do powierzchni klosza, czując smak sadzy, i choć wiedział, że ten osad to mogą być prochy człowieka, który dwadzieścia cztery godziny temu jeszcze żył, nie zważał na to. Chciwie wciągnął powietrze, po czym wykasł kawałki czarnej skorupy, zanim mógł mówić dalej.

- Z początku pod kartoflami było zimno, ale potem zrobiło się ciepło i w końcu gorąco. Myślałem, że spale się żywcem. Nade mną płonęła stodoła. Wszystko płonęło. Żar był wielki, ale nie trwało to długo. Nie ruszałem się z miejsca, dopóki nie zużyłem pierwszej

butli. Wtedy musiałem wyjść. Bałem się, że druga wybuchła, ale niepotrzebnie.

Wciągnął powietrze przez klosz. To było tak, jakby próbować oddychać przez grubą, brudną szmatę.

- I te schody. Gdyby były z drewna, nie z betonowych bloków, nie miałbym jak wyjść. Z początku nawet nie próbowałem. Od razu wczołgałem się z powrotem w ziemniaki, bo było tak gorąco. Te na wierzchu upiekły się w mundurkach. A potem, kiedy było mi coraz trudniej wciągać powietrze, zrozumiałem, że tlen w drugiej butli też się kończy.

Urwał, bo wstrząsnął nim atak kaszlu.

- Głównie chciałem tylko jeszcze raz usłyszeć ludzki głos, zanim umrę. Cieszę się, że trafiłem na ciebie, szeregowy Ames.

- Na imię mi Clint, Ollie. I nie umrzesz.

Jednak oczy, które patrzyły przez brudną szczelinę u dołu klosza, niczym przez szybkę w trumnie, zdawały się znać inną, prawdziwszą prawdę.

9

Kiedy brzęczyk włączył się po raz drugi, Carter wiedział, co to znaczy, mimo że ten dźwięk wyrwał go ze snu. Nic mu się nie śniło, coś w nim bowiem nie spało i nie zaśnie ani na chwilę, dopóki to wszystko się nie skończy albo dopóki on sam nie umrze. Domyślał się, że to instynkt samozachowawczy, stróż nieustannie czuwający w głębi umysłu.

Ten drugi raz nastąpił o wpół do ósmej w sobotę rano. Wiedział to, bo miał zegarek, którego tarcza podświetlała się za naciśnięciem guzika. Lampy awaryjne zgasły w nocy i w schronie przeciwatomowym panowały nieprzeniknione ciemności.

Usiadł prosto i poczuł, że coś wbija mu się w kark. Pewnie ta latarka, z której korzystał w nocy. Wymacał ją i włączył. Był na podłodze. Duży Jim leżał na kanapie. To Duży Jim szturchnął go tą latarką.

Oczywiście, że kanapa należy się jemu, pomyślał Carter z goryczą. Przecież to on jest szefem, nie?

- No już, synu - powiedział Duży Jim. - Rusz się.

Czemu ja? - pomyślał Carter... ale tego nie powiedział. Padło na niego, bo szef był stary, szef był gruby, szef miał chore serce. I dlatego że szef był szefem, rzecz jasna. James Rennie, cesarz Chester's Mill.

Cesarz używanych samochodów, oto kim jesteś, pomyślał Carter. I wali od ciebie potem i olejem z sardynek.

- Rusz się. - Duży Jim był poirytowany. I wystraszony. - Na co czekasz? Carter wstał z

latarką, której światło odbiło się od pełnych półek w schronie (tyle puszek sardynek!), i poszedł do pokoju sypialnego. Wciąż paliła się tam jedna lampa awaryjna, ale już migotała i dogasała.

Brzęczyk był tu głośniejszy, jego dźwięk przeszedł w jednostajne „aaaaaaaaaa”. Odgłos nadciągającej zagłady.

Nigdy stąd nie wyjdziemy, pomyślał Carter.

Poświecił latarką na włącz przed generatorem, uparcie wydającym to monotonne, irytujące buczenie, które Carterowi z jakiegoś powodu skojarzyło się z tyradami szefa. Może dlatego, że za jednym i drugim skrywał się ten sam durny nakaz: Nakarm mnie, nakarm mnie, nakarm mnie. Daj propan, daj sardynki, daj superbezołowiową do mojego hummera. Nakarm mnie. I tak umrę, a potem umrzesz ty, ale co z tego? Kogo to, do jasnej ciasnej, obchodzi? Nakarm mnie, nakarm mnie, nakarm mnie.

W schowku było już tylko sześć zbiorników propanu. Kiedy wymieni ten, który się kończył, zostanie pięć. Pięć gównianych małych kanisterków to wszystko, co trzyma ich przy życiu. Kiedy się wyczerpią, oczyszczacz powietrza padnie, a wtedy się uduszą.

Carter wyciągnął ze schowka jeden, ale tylko postawił go obok generatora. Nie miał zamiaru podłączać nowego, dopóki poprzedni nie będzie zupełnie pusty, pomimo tego drażniącego „aaaaaaaaaa”. O nie. Jak to mówili w reklamach kawy Maxwell House, jest dobra do ostatniej kropli. Propan też.

Ale to buczenie rzeczywiście działało na nerwy. Carter mógłby odszukać alarm i go uciszyć, tylko skąd wtedy będą wiedzieli, że generator siada?

Jesteśmy jak dwa szczury uwięzione pod wiadrzem odwróconym do góry dnem.

Liczył w pamięci. Zostało sześć zbiorników, jeden starcza na jakieś jedenaście godzin. Ale gdyby wyłączyli klimatyzację, może dałoby się z każdego wyciągnąć jedną czy dwie dodatkowe godziny. Przyjmijmy ostrożnie, że jedną. Dwanaście razy sześć to... moment...

Przez to „aaaaaaaaaa” obliczenia były trudniejsze, ale wreszcie się z nimi uporał. Siedemdziesiąt dwie godziny dzieliły ich obu od strasznej śmierci przez uduszenie w tej ciemnicy. A dlaczego było tak ciemno? Bo nikt nie pomyślał, żeby włożyć nowe baterie do lamp awaryjnych. Pewnie nie były wymieniane ze dwadzieścia lat, jeśli nie dłużej. Szef oszczędzał pieniądze. A dlaczego w schowku zostało tylko siedem nędznych zbiorników, kiedy w radiostacji WCIK były całe tryliardy litrów, które tylko czekały, aż ktoś je wysadzi w powietrze? Bo szef lubił mieć wszystko tam, gdzie mu pasowało.

Kiedy tak Carter siedział i słuchał tego „aaaaaaaaaa”, przypomniał sobie jedno z powiedzonek ojca: „Uciulasz centa, stracisz dolara”. Idealnie pasowało do Renniego.

Renniego cesarza używanych samochodów. Renniego ważnego politykiem. Renniego narkotykowego barona. Ile zarobił na tych narkotykach? Milion dolarów? Dwa miliony? Jakże to w ogóle miało znaczenie?

Pewnie nigdy by tego nie wydał, pomyślał Carter, a teraz to już za chuj tego nie zrobi. Bo i co miałby za to kupić tu, na dole? Sardynek mu nie zabraknie, a są za darmo.

- Carter! - Z ciemności doleciał głos Dużego Jima. - Wymienisz to, czy dalej będziemy słuchać tego brzęczenia?

Carter już miał krzyknąć, że poczekają, że liczy się każda minuta, ale w tej właśnie chwili „aaaaaa” wreszcie ucichło. Razem z „bip - bip - bip” oczyszczacza powietrza.

- Carter!

- Robi się, szefie. - Z latarką ściśniętą pod pachą wyciągnął pusty zbiornik, postawił pełny na metalowej platformie dość dużej, by zmieścić się na niej pojemnik dziesięć razy większy, i go podłączył.

Liczyła się każda minuta... czy aby na pewno? Dlaczego właściwie, skoro tak czy owak w końcu się uduszą?

Jego wewnętrzny stróż uznał, że to głupie pytanie. Jego wewnętrzny stróż uważał, że siedemdziesiąt dwie godziny to siedemdziesiąt dwie godziny i liczy się każda minuta tych siedemdziesięciu dwóch godzin. Bo kto wie, co się stanie? Może wojskowi wreszcie wykombinują, jak rozbić kopułę. Może nawet zniknie sama z siebie, tak nagle i niewytłumaczalnie, jak się pojawiła.

- Carter, co ty tam robisz? Toż moja babka uwinęłaby się szybciej, a ona nie żyje!

- Już prawie.

Upewnił się, że zbiornik jest dobrze podłączony, położył kciuk na przycisku uruchamiającym mały generator (z myślą, że jeśli bateria silnika rozruchowego jest tak stara jak baterie lamp awaryjnych, to mają kłopot) i nagle się zawahał.

Propanu starczy na siedemdziesiąt dwie godziny dla nich obu. Ale gdyby był tu sam, czas by się wydłużył do dziewięćdziesięciu, może nawet stu godzin - wystarczyłoby wyłączyć oczyszczacz powietrza dotąd, aż powietrze stanie się zbyt gęste. Wcześniej podsunął ten pomysł Dużemu Jimowi, który z miejsca postawił weto. „Mam chore serce - przypomniail. - Im gęstsze powietrze, tym większe zagrożenie, że zaczniesz mi nawalać”.

- Carter! - Znowu ten upierdliwy głos. - Co tam się dzieje?

- Wszystko gotowe, szefie! - zawołał Carter i wcisnął guzik. Rozrusznik zawarczał i generator natychmiast zaskoczył.

Muszę to przemyśleć, powiedział sobie Carter, ale jego wewnętrzny stróż był innego

zdania. Jego wewnętrzny stróż uważał, że każda minuta zwłoki to minuta stracona.

Był dla mnie dobry, powiedział sobie Carter. Powierzał mi obowiązki.

E tam obowiązki. Dał ci tylko brudną robotę, którą sam nie chciał się kalać. I tę norę, w której umrzesz. To też.

Carter podjął decyzję. Wyjął beretę z kabury i wrócił do głównego pomieszczenia. Zastanawiał się, czy schować ją za plecami, żeby szef się nie zorientował, ale postanowił tego nie robić. W końcu ten człowiek nazywał go „synem”, może nawet od serca. Zasługiwał na coś lepszego niż kula w tył głowy i śmierć bez pożegnania z tym światem.

10

Na północno - wschodnim krańcu miasta nie było ciemno; tu klosz, choć mocno zabrudzony, pozostał przezroczysty. Słońce przebijało się przez niego i malowało wszystko na intensywny róż.

Norrie podbiegła do Barbiego i Julii. Kaszłała, krztusiła się, ale mimo to biegła.

- Mój dziadzio ma atak serca! - krzyknęła i upadła na kolana, z trudem łapiąc powietrze.

Julia wzięła dziewczynę w ramiona i odwróciła jej twarz w stronę ryczących wentylatorów. Barbie poczołgał się ku grupce wygnańców otaczającej Erniego Calverta, Ryżego Everetta, Ginny Tomlinson i Dougiego Twitchella.

- Dajcie mu tlenu! - warknął Barbie.

- Nie ma - powiedział Tony Guay. - Podali mu to, co zostało... tę resztkę, którą mieliśmy zachować dla dzieci... ale...

- Adrenalina - rzucił Ryży i Twitch podał mu strzykawkę. Ryży zrobił zastrzyk. - Ginny, zacznij robić masaż serca. Jak się zmęczysz, Twitch cię zmieni. A potem ja.

- Ja też chcę. - Joanie łzy płynęły po policzkach, ale wyglądała na opanowaną. - Chodziłam na kurs.

- Ja też, na ten sam co ty - dodała Claire. - Pomogę.

- Też zaliczyłam ten kurs - powiedziała Linda cicho. - I w lecie byłam na dodatkowych szkoleniach.

Miasto nie jest wielkie, wszyscy gramy razem, pomyślał Barbie. Ginny - o twarzy wciąż opuchniętej od odniesionych obrażeń - zaczęła uciskać pierś Erniego. Ustąpiła miejsca Twitchowi w tej samej chwili, kiedy do Barbiego podeszły Julia i Norrie.

- Uratują go? - spytała Norrie.

- Nie wiem - powiedział Barbie. Tak naprawdę wiedział; i to było najgorsze.

Twitch zastąpił Ginny. Barbie patrzył na krople potu kapiące z jego czoła na koszulę Erniego. Po jakichś pięciu minutach Twitch przerwał masaż serca, dusząc się od kaszlu. Kiedy Ryży ruszył ku niemu, pokręcił głową.

- Odszedł. - Twitch odwrócił się do Joanie. - Tak mi przykro, pani Calvert.

Joanie zadrżała, skuliła się. Z jej ust wyrwał się okrzyk rozpacz, który przeszedł w atak kaszlu. Norrie przytuliła matkę i sama też znowu zaczęła się krztusić.

- Barbie - powiedział ktoś. - Można na dwa słowa?

To był Cox, teraz ubrany w brązowy mundur polowy i kurtkę z polarem, chroniącą od zimna panującego po drugiej stronie. Barbiemu nie spodobała się jego poważna mina. Podeszli razem z Julią.

- W bazie lotniczej Kirkland w Nowym Meksyku zdarzył się wypadek - mówił Cox zniżonym głosem. - Przeprowadzali ostatnie testy miniaturowej bomby jądrowej, którą zamierzaliśmy wypróbować i... szlag by to.

- Wybuchła?! - spytała Julia z przerażeniem.

- Nie, proszę pani, rdzeń się stopił. Zginęli dwaj ludzie, kilku innych wkrótce umrze wskutek oparzeń i choroby popromiennej. Krótko mówiąc, straciliśmy bombę. Straciliśmy pieprzoną bombę.

- To była jakaś usterka? - spytał Barbie, To by oznaczało, że bomba i tak nic by nie pomogła.

- Nie, pułkowniku. Dlatego właśnie użyłem słowa „wypadek”. Wypadki biorą się z pośpiechu, a my śpieszyliśmy się jak diabli.

- Tak mi przykro z powodu śmierci tych ludzi - powiedziała Julia. - Czy powiadomiono już ich bliskich?

- Zważywszy na to, w jakiej sami jesteście sytuacji, to bardzo miło, że pani o tym pomyślała. Wkrótce ich powiadomimy. Do wypadku doszło o pierwszej w nocy. Prace nad Little Boy Dwa już trwają. Powinien być gotowy za trzy dni. Góra cztery. Barbie skinął głową.

- Dziękuję, pułkowniku, ale nie jestem pewien, czy mamy tyle czasu. Za ich plecami podniósł się przeciągły, piskliwy jęk rozpacz - jęk dziecka. Kiedy Barbie i Julia odwrócili się, żaloszny lament przeszedł w ostry atak kaszlu i serię gwałtownych wdechów. Zobaczyli, jak Linda klęka przy starszej córce i bierze ją w ramiona.

- Nie mogła umrzeć! - krzyczała Janelle. - Audrey nie mogła umrzeć!

Ale umarła. Golden retriever Everettów zdechł w nocy, cicho i bez ceregieli, leżąc między śpiącymi dziewczynkami.

Kiedy Carter wrócił do głównego pomieszczenia, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Chester's Mill jadł płatki z pudełka ozdobionego rysunkiem barwnego ptaka. Carter z niezliczonych śniadań w latach dzieciństwa rozpoznał Tukana Sama, świętego patrona płatków Froot Loops.

Pewnie są nieświeże jak diabli, pomyślał Carter i na moment zrobiło mu się żal szefa. Potem przypomniał sobie o różnicy między siedemdziesięcioma paroma a osiemdziesięcioma czy może nawet stu godzinami powietrza i obrócił serce w kamień.

Duży Jim wygrzebał jeszcze trochę płatków z pudełka, po czym zobaczył beretkę w dłoni Cartera.

- No, no - powiedział.

- Przykro mi, szefie.

Duży Jim rozłożył dłoń i płatki spadły z niej kaskadą z powrotem do pudełka, ale że rękę miał spoconą, kilka kolorowych krążków przylepiło mu się do wnętrza dłoni. Pot lśnił na jego czole i wyciekał spod cofniętej linii włosów.

- Synu, nie rób tego.

- Muszę, panie Rennie. Osobiście nic do pana nie mam.

Naprawdę w sumie nic do niego nie miał. Po prostu byli tu uwięzieni, to wszystko. A ponieważ stało się to wskutek decyzji podjętych przez Dużego Jima, Duży Jim będzie musiał za to zapłacić.

Rennie postawił pudełko na podłodze. Zrobił to ostrożnie, jakby bał się, że je potłucze, jeśli nie będzie uważał.

- A więc w czym rzecz?

- Wszystko sprowadza się do... powietrza.

- Powietrza. Rozumiem.

- Mogłem wejść tu z pistoletem za plecami i strzelić panu w głowę, ale nie chciałem tak tego zrobić. Chciałem dać panu czas, żeby się pan przygotował. Bo był pan dla mnie dobry.

- Skoro tak, nie każ mi cierpieć, synu. Jeśli nie żywisz do mnie urazy, nie każ mi cierpieć.

- Nic pan nie poczuje. Załatwię to szybko. Jakbym dobijał rannego jelenia w lesie.

- Możemy o tym pomówić? - Nie, szefie. Podjąłem decyzję. Duży Jim skinął głową.

- Dobrze więc. Mogę najpierw się chwilę pomodlić? Pozwolisz mi? - Tak, szefie, jeśli

pan chce. Byle szybko. Wie pan, mnie też nie jest z tym lekko.

- Wierzę ci. Dobry z ciebie chłopak, synu.

Carter, który nie płakał, odkąd skończył czternaście lat, poczuł pieczenie w kącikach oczu.

- Nazywanie mnie synem nic panu nie pomoże.

- Już mi pomaga. I kiedy widzę, że jesteś taki wzruszony... to też pomaga.

Duży Jim zwał cielsko z kanapy i ukląkł. Robiąc to, przewrócił pudełko płatków i parsknął smutnym śmiechem.

- To był marny ostatni posiłek, tyle ci powiem.

- Domyślam się. Przykro mi.

Duży Jim odwrócił się plecami do Cartera i westchnął.

- Ale nic to, za chwilę już będę jadł pieczeń przy stole Pana. - Przycisnął palec do górnej części swojego karku. - Mierz tutaj. W pień mózgu. Dobrze?

Carter przełknął ślinę. Czuł się, jakby miał w gardle wielki kłęb kłaków.

- Tak jest, szefie.

- Uklęknieś ze mną, synu?

Carter, który obywatel się bez modlitw jeszcze dłużej niż bez łez, prawie powiedział „tak”. Potem przypomniał sobie, jak przebiegły potrafi być Duży Jim. Teraz pewnie nie knuł żadnego podstępu, pewnie był już ponad takie rzeczy, ale Carter widział go w akcji i nie zamierzał ryzykować. Potrząsnął głową.

- Zmów modlitwę. I niech będzie krótka, jeśli chcesz dojść do „amen”.

Na kolanach, odwrócony plecami do Cartera, Duży Jim złożył dłonie na poduszce sofy, w której wciąż było zagłębienie od pokaźnego ciężaru jego tyłka.

- Dobry Boże, to ja, Twój sługa, James Rennie. Wychodzi na to, że wkrótce będę u Ciebie. Kielich jest już u ust moich i nie mogę...

Wyrwał mu się głośny, suchy szloch.

- Zgaś światło, Carter. Nie chcę na twoich oczach płakać. Nie tak powinien umierać mężczyzna.

Carter wyciągnął pistolet do przodu, aż lufa prawie dotknęła karku Dużego Jima.

- No dobra, ale to twoja ostatnia prośba. - Zgasił światło. Ledwie to zrobił, zrozumiał, że popełnił błąd, ale było już za późno. Usłyszał, że szef się poruszył, i Chryste, alez szybko śmigał jak na grubasa z chorym sercem. Carter strzelił. W błysku z lufy zobaczył, że we wgniezionej poduszce pojawił się otwór po kuli. Szef już nie klęczał przed sofą, ale nie mógł uciec daleko. Carter pstryknął włącznikiem latarki. W tym samym momencie Duży Jim

dźgnął do przodu nożem rzeźnickim, który wziął z szuflady obok kuchenki w schronie. Piętnaście centymetrów stali wbiło się w żołądek Cartera Thibodeau.

Carter wrzasnął z bólu i strzelił znowu. Duży Jim poczuł, że kula świsnęła mu tuż obok ucha, ale się nie cofnął. On też miał wewnętrznego stróża, który pomagał mu przetrwać i od lat go nie zawiódł, i stróż ten ostrzegał teraz, że jeśli się cofnie, to zginie. Podźwignął się chwiejnie na nogi, ciągnąc nóż w górę, patrosząc tego durnego gówniarza, który myślał, że przechytry Dużego Jima Renniego.

Carter wrzasnął znowu, kiedy nóż rozpruwał jego wnętrzności. Duży Jim poczuł, że na jego twarz trysnęły krople krwi, wyrzucone, miał głęboką nadzieję, ostatnim tchnieniem chłopaka. Odepchnął go. W świetle upuszczonej latarki Carter zatoczył się do tyłu, z chrzęstem rozdeptując rozsypane płatki Froot Loops. Trzymał się za brzuch, krew lała mu się przez palce. Zaczął łapać się półek i padł na kolana w deszczu sardynek Vigo, małży Snow's i zup Campbell's. Przez chwilę został w tej pozycji, jakby jednak zmienił zdanie i postanowił się pomodlić. Włosy opadały mu na twarz. Wreszcie ręka mu się ześliznęła i runął na podłogę.

Duży Jim odłożył nóż, bo uznał, że to byłby za duży wysiłek dla człowieka chorego na serce (raz jeszcze obiecał sobie, że podkuruje się, jak tylko ten kryzys się skończy). Podniósł pistolet Cartera i podszedł do tego durnia.

- Carter? Jesteś tu jeszcze?

Carter jęknął, próbował się przewrócić na plecy, dał za wygraną.

- Wsadzę ci kulkę w kark, ale najpierw dam ci jedną, ostatnią radę. Słuchasz?

Carter znów jęknął. Duży Jim uznał to za przytaknięcie. - Rada jest taka: nigdy nie dawaj dobremu politykowi czasu na modlitwę.

Pociągnął za spust.

12

- On chyba umiera! - krzyknął szeregowy Ames.

Sierżant Groh ukląkł obok niego i spojrzał przez brudną szczelinę u dołu klosza. Ollie Dinsmore leżał na boku, z wargami niemal przyciśniętymi do powierzchni, którą teraz już widzieli dzięki wciąż oblepiającym ją zanieczyszczeniom. Swoim najlepszym głosem instruktora musztry Groh wrzasnął:

- Ollie Dinsmore! Wystąp!

Chłopak powoli otworzył oczy i spojrzał na dwóch mężczyzn, którzy, choć kucali niecałe pół metra od niego, byli w zimniejszym, czystszyms świetle.

- Co? - szepnął.

- Nic, synu - powiedział Groh. - Śpij dalej. - Odwrócił się do Amesa. - Wyluzujcie, szeregowy. Nic mu nie jest.

- Nieprawda. Niech pan na niego spojrzy!

Groh wziął Amesa za ramię i - nie bez życzliwości - podniósł go na nogi.

- Wiem - przytaknął ściszym głosem. - Nie jest z nim dobrze, ale żyje, śpi i teraz potrzebuje mniej tlenu. Idź, weź sobie coś do jedzenia. Jadłeś śniadanie?

Ames pokręcił głową. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby coś zjeść.

- Chcę tu zostać, na wypadek gdyby się obudził. - Zawiesił głos i zebrał odwagę. - Chcę tu być, kiedy umrze.

- Na razie mu to nie grozi - powiedział Groh. Nie miał pojęcia, czy to prawda. - Weź sobie coś z wozu, chociaż kromkę chleba z mortadellą. Fatalnie wyglądasz, żołnierzu.

Ames wskazał ruchem głowy chłopca śpiącego na spalonej ziemi. Jego twarz była umorusana, pierś niemal niezauważalnie podnosiła się i opadała.

- Jak pan myśli, sierżancie, ile jeszcze wytrzyma? Groh pokręcił głową.

- Raczej niedługo. Ktoś z grupy po drugiej stronie już dziś umarł, kilku innych jest w ciężkim stanie. A tam są lepsze warunki. Czystsze powietrze. Musisz się przygotować na najgorsze.

Amesowi zbierało się na łzy.

- Dzieciak stracił całą rodzinę.

- Idź, weź sobie coś do jedzenia. Popilnuję go, dopóki nie wrócisz.

- Ale potem będę mógł zostać?

- Skoro dzieciak chce z wami być, szeregowy, to z wami będzie. Możecie tu zostać do samego końca.

Groh patrzył, jak Ames pędzi do ustawionego obok helikoptera stołu, na którym leżało trochę jedzenia. Tu była godzina dziesiąta w ładny, późnojesienny poranek. Świeciło słońce, roztapiając resztki szronu. Jednak raptem parę metrów stąd rozciągał się skryty pod kloszem świat wiecznego zmierzchu, świat, w którym powietrze nie nadawało się do oddychania, a czas stracił wszelkie znaczenie. Groh przypomniał sobie staw w parku w swojej rodzinnej miejscowości, Wilton w stanie Connecticut. W stawie tym pływały wielkie złote karpie. Dzieciaki je dokarmiały. Jednemu z ogrodników przytrafił się wypadek z nawozem sztucznym i żegnajcie, rybki. Wszystkie dziesięć czy dwanaście unosiło się bez życia na powierzchni wody.

Kiedy teraz patrzył na brudnego śpiącego chłopaka po drugiej stronie klosza, nie mógł

nie pomyśleć o tych karpkach... tyle że chłopak to nie ryba.

Wrócił Ames, jedząc coś, na co wyraźnie nie miał ochoty. Marny żołnierz, zdaniem sierżanta, ale dobry chłopak o dobrym sercu.

Szeregowy Ames usiadł. Sierżant Groh dotrzymał mu towarzystwa. Koło południa dostali meldunek z północnej strony klosza, że umarł następny z ocalonych. Aidan Appleton. Kolejne dziecko. Sierżantowi wydawało się, że dzień wcześniej poznał jego matkę.

- Kto to zrobił? - spytał go Ames. - Kto to wszystko nakręcił, sierżancie? I dlaczego?

Groh potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia.

- To zupełnie bez sensu! - krzyknął Ames. Za nimi Ollie poruszył się, stracił kontakt z powietrzem i na powrót przysunął uśmiechniętą twarz do słabego podmuchu przesączającego się przez barierę.

- Nie budź go - powiedział Groh i pomyślał: Jeśli umrze we śnie, będzie lepiej dla nas wszystkich.

13

O drugiej kaszleli już wszyscy wygnañcy, z wyjątkiem - niewiarygodne, ale prawdziwe - Sama Verdreaux, który w tej trującej atmosferze czuł się jak ryba w wodzie, i Little Waltera Busheya, który nic, tylko spał i od czasu do czasu ssał trochę mleka albo soku. Barbie siedział oparty o klosz, obejmując Julię ramieniem. Nieopodal był Thurston Marshall, a obok niego przykryte ciało Aidana Appletona, którego śmierć była przerażająco nagła. Kaszlący nieprzerwanie Thurse trzymał na kolanach Alice. Płakała długo, zanim wreszcie usnęła. Sześć metrów dalej Ryży tulił do siebie żonę i córeczki, które też przed zaśnięciem płakały. Wcześniej Ryży zaniósł martwą Audrey do karetki, żeby dziewczynki nie musiały na nią patrzeć. Idąc tam, wstrzymywał oddech; już piętnaście metrów od klosza powietrze robiło się duszące, śmiertelnie groźne. Kiedy po powrocie zaczerpnął powietrza, stwierdził, że chłopca też powinien tam zanieść. Audrey będzie mu dobrą towarzyszką; zawsze lubiła dzieci.

Joe McClatchey klapnął obok Barbiego. Jego blada twarz upstrzona była trądzikiem, a pod oczami miał kręgi fioletowe jak sińce.

- Moja mama śpi.

- Julia też - ostrzegł go Barbie - więc mów cicho. Julia otworzyła jedno oko.

- Nie śpię - powiedziała i od razu zamknęła oko. Zakaszłała, ucichła, po czym znów złapał ją kaszel.

- Benny jest poważnie chory - szeptał Joe. - Ma gorączkę, jak ten mały, zanim umarł. -

Zawahał się. - Moja mama też jest bardzo ciepła. Może to tylko dlatego, że jest tu tak gorąco, ale... nie wydaje mi się. Co będzie, jeśli ona umrze? Jeśli wszyscy umrzemy?

- Nie umrzemy - zapewnił go Barbie. - Coś wymyślą. Joe potrząsnął głową.

- Nieprawda. I dobrze pan o tym wie. „Nikt z zewnątrz nie może nam pomóc. - Obrzucił wzrokiem czarne pustkowie w miejscu, gdzie jeszcze dzień wcześniej było miasto, i wybuchnął chrapliwym, skrzeczącym śmiechem, który brzmiał tym straszniej, że słyhać w nim było autentyczne rozbawienie. - Chester's Mill było miastem od tysiąc osiemset ósmego roku, uczyliśmy się tego w szkole. Przeszło dwieście lat. I tydzień wystarczył, żeby zetrzeć je z powierzchni ziemi. Jeden tydzień. Co pan na to, pułkowniku Barbara?

Barbie nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

Joe zasłonił usta, zakasłał. Wentylatory za ich plecami ryczały nieprzerwanie.

- Jestem bystry. Nie żebym się chwalił... ale jestem bystry. Barbie pomyślał o przygotowanej przez niego transmisji z uderzenia rakiety.

- Wiadoma rzecz, Joe.

- W filmach Spielberga rozwiązanie w ostatniej chwili zawsze znajduje bystry dzieciak, zgadza się?

Barbie poczuł, że Julia znowu się poruszyła. Teraz już otworzyła oboje oczu i patrzyła na Joego z uwagą. Łzy płynęły po policzkach chłopca.

- Żaden ze mnie dzieciak ze Spielberga. Gdybym był w Parku Jurajskim, dinozaury pożarłyby nas na pewno.

- Może wreszcie skórzany łbom się znudzi - powiedziała Julia rozmarzonym głosem.

- Czy raczej łebkom. Dzieci zwykle szybko się nudzą i zaczynają bawić w coś innego. Albo rodzice wołają je na kolację. - Zakaszłała gwałtownie.

- Tamci chyba nie jedzą - mruknął Joe ponuro. - Może w ogóle nie mają rodziców.

- Albo czas biegnie dla nich inaczej - dodał Barbie. - Może w ich świecie dopiero co usiedli wokół swojej skrzynki. Może dla nich ta zabawa dopiero się zaczyna. Nawet nie wiemy na pewno, czy są dziećmi.

- To dzieci - włączyła się do rozmowy Piper Libby. Była rozpalona, włosy lepiły jej się do policzków.

- Skąd wiesz? - spytał Barbie.

- Po prostu wiem. - Uśmiechnęła się. - Są Bogiem, w którego przestałam wierzyć jakieś trzy lata temu. Bóg okazał się bandą małych łobuzów grających na międzygwiazdnym Xboksie. Zabawne, prawda? - Jej uśmiech stał się szerszy, po czym wybuchnęła płaczem.

Julia patrzyła na skrzynkę z migającym fioletowym światłem. Była zamyślona i jakby

lekko rozmarzona.

14

Jest sobotni wieczór w Chester's Mill. Wieczór, w który zwykle spotykały się członkinie Zakonu Gwiazdy Wschodniej (a po spotkaniu często chodziły do Henrietty Clavard, gdzie przy winie przerzucały się swoimi najlepszymi sprośnymi dowcipami). Wieczór, w który Peter Randolph i jego kumple grali w pokera (i też przerzucali się sprośnymi dowcipami). Wieczór, w który Stewart i Fern Bowie często jeździli na dziwki do burdelu na Lisbon Street w Lewiston. Wieczór, w który wielebny Lester Coggins organizował spotkania modlitewne dla młodzieży na plebanii Odkupiciela, a Piper Libby - potańcówki dla młodzieży w podziemiach swojego kościoła. Wieczór, w który w Karczmie Dippera huczało do pierwszej w nocy (około wpół do pierwszej pijane towarzystwo intonowało swój hymn „Dirty Water”, piosenkę, którą dobrze znają wszystkie zespoły z Bostonu). Wieczór, w który Howie i Brenda Perkins spacerowali po placu miejskim, trzymając się za ręce, i kłaniali się napotykanym znajomym parom. Wieczór, w który nieraz widziano, jak Alden Dinsmore, jego żona Shelley i ich dwaj synowie rzucają sobie piłkę w blasku księżyca. W Chester's Mill (jak w większości niedużych miast, gdzie wszyscy grają razem) sobotnie wieczory zwykle były najlepszymi wieczorami do tańca, bzykania i marzeń.

Nie ten wieczór. Ten jest czarny i zdaje się nie mieć końca. Wiatr ucichł. Zatrute powietrze jest gorące i nieruchome. Tam, gdzie była szosa numer sto dziewiętnaście, dopóki nie stopił jej piekielny żar, Ollie Dinsmore leży z twarzą przyciśniętą do swojej szczeliny w żużlu i wciąż uparcie trzyma się życia, a zaledwie pół metra od niego szeregowy Ames cierpliwie trwa na warcie. Jakiś mądrała chciał skierować na chłopaka reflektor; Ames (przy wsparciu sierżanta Groha - nie taki diabeł straszny, jak go malują) zdołał temu zapobiec, tłumacząc, że reflektorem to się świeci na śpiących terrorystów, nie nastolatków, którzy pewnie nie dożyją wschodu słońca. Ale Ames ma latarkę i co jakiś czas ogląda chłopca w jej świetle, by się upewnić, że jeszcze oddycha. Ilekroć włącza latarkę, spodziewa się zobaczyć, że słabe ruchy piersi Olliego ustały. W głębi ducha nawet na to liczy. W głębi ducha zaczął godzić się z prawdą: bez względu na to, jak zaradny okazał się Ollie Dinsmore i jak heroicznie walczył, nie ma dla niego przyszłości. Okropnie jest patrzeć na jego nieustający bój o przetrwanie. Tuż przed północą szeregowy Ames sam też zasypia, trzymając latarkę luźno w dłoni.

Podobno Jezus zapytał Piotra: „Spicie? Jednej godziny nie mogliście czuwać ze mną?”.

Do czego Kucharz Bushey mógłby dorzucić: „To z Mateusza, Sanders”.

Tuż po pierwszej w nocy Rose Twitchell potrząsa Barbiem, wyrывая go ze snu.

- Thurston Marshall nie żyje - mówi. - Ryży z Doughiem włożą ciało pod karetkę, żeby mała nie przeżyła szoku, kiedy się obudzi. - Po czym dodaje: - O ile się obudzi. Alice też jest chora.

- Już wszyscy jesteśmy chorzy - odpowiada Julia. - Wszyscy oprócz Sama i tego ospałego bobasa.

Ryży i Twitch wracają w pośpiechu od skupiska samochodów, padają przed jednym z wentylatorów i zaczynają łowić powietrze dużymi, chrapliwymi wdechami. Twitch dostaje ataku kaszlu i Ryży przysuwa go jeszcze bliżej powietrza tak mocno, że czoło Twitcha uderza w kopułę. Wszyscy słyszą brzęk.

Rose nie skończyła jeszcze swojego raportu.

- Z Bennym też jest źle. - Zniża głos do szeptu. - Zdaniem Ginny może nie dożyć wschodu słońca. Gdybyśmy tylko mogli coś, cokolwiek zrobić.

Barbie nie odpowiada. Julia też nie, patrzy tylko znowu w kierunku skrzynki, której nie można ruszyć z miejsca, choć ma niecałe trzysta centymetrów kwadratowych powierzchni i może z półtora centymetra grubości.

Czerwonawy księżyc wreszcie wynurza się zza brudu na wschodniej ścianie klosza i rzuca krwawy blask. Jest koniec października i w Chester's Mill ten październik jest najokrutniejszym miesiącem, mieszającym pamięć z pożądaniem. Na tej martwej ziemi nie ma bzów. Ani bzów, ani drzew, ani trawy. Księżyc patrzy w dół na popioły.

15

Duży Jim obudził się w ciemności. Jego serce znów zgubiło rytm. Uderzył się w pierś. I wtedy włączył się alarm generatora, sygnalizujący, że w zbiorniku kończy się propan: „Aaaaaaaa... Nakarm mnie, nakarm mnie”.

Duży Jim zerwał się i krzyknął. Jego biedne, zmaltretowane serce szarpało się, krztusiło, zamierało, potem przyspieszało obroty, usiłując nadgonić zaległości. Czuł się jak stary samochód z zepsutym gaźnikiem, gruchot, który można przyjąć w rozliczeniu, ale którego sprzedać się nie da. Taki, co nadaje się tylko na złom. Złapał powietrze i uderzył się w pierś. Atak był tak ostry jak ten, po którym poszedł do szpitala. Może nawet ostrzejszy.

„Aaaaaaaa” - dźwięk jakiegoś ogromnego, potwornego owada, który był z nim tutaj, w ciemności. Kto wie, co mogło się tu zakraść, kiedy spał?

Szukał po omacku latarki. Drugą ręką na przemian walił się w pierś i ją rozcierał,

mówiąc sercu, żeby się uspokoiło, żeby nie zachowywało się jak takie siakie owakie dziecko. Nie przeszedł przez to wszystko po to tylko, by umrzeć w mroku.

Znalazł latarkę, podźwignął się na nogi i potknął o ciało martwego adiutanta. Krzyknął znowu i padł na kolana. Latarka nie rozbiła się, ale odturlała w bok, przesuwając snop światła po dolnej półce, zastawionej pudełkami spaghetti i puszkami pasty pomidorowej.

Duży Jim poczołgał się po nią. Otwarte oczy Cartera Thibodeau poruszyły się w smudze światła.

Jim Rennie ociekał potem, koszula lepiła się do niego. Serce wydało jeszcze jedno przeciągłe łupnięcie, po czym, o dziwo, wróciło do swojego normalnego rytmu.

Cóż, nie, nie całkiem normalnego. Ale przynajmniej bardziej normalnego niż przedtem.

- Carter? Synu? Żyjesz?

To niedorzeczne. Wypatroszył go jak rybę na brzegu rzeki, a potem strzelił mu w potylicę. A mimo to mógłby przysiąc... no, prawie przysiąc... że oczy chłopaka...

Odpędził myśl, że Carter zaraz wyciągnie rękę i złapie go za gardło. Powiedział sobie, że to normalne, że czuje się lekko

(przerażony)

podenerwowany, bo przecież chłopak o mało go nie zabił. A mimo to wciąż spodziewał się, że Carter lada moment poderwie się, przyciągnie go do siebie i zatopi zęby w jego gardle.

Duży Jim przycisnął palce do szyi Cartera, tuż pod jego szczęką. Lepka od krwi skóra była zimna, pulsu nie było. Pewnie że nie. Chłopak był martwy. Nie żył od dwunastu godzin, może dłużej.

- Teraz już jesz wieczerzę ze swym Zbawicielem, synu - szepnął Duży Jim. - Pieczeń wołową z purée z groszku. Na deser szarlotka.

Od razu poczuł się lepiej. Poczołgał się po latarkę i choć usłyszał za plecami jakiś ruch - może szmer dłoni przesuwającej się po betonowej podłodze, szukającej po omacku - nie odwrócił się. Musiał nakarmić generator. Musiał uciszyć to „aaaaaaa”.

Kiedy wyciągał ze schowka jeden z czterech jeszcze pełnych zbiorników, znów dostał ataku arytmii. Usiadł obok otwartego włazu, sapiąc i usiłując zmusić kaszlem serce, by wróciło do regularnego rytmu. I modlił się, nieświadom, że jego modlitwa to praktycznie lista żądań i usprawiedliwień: Spraw, żeby to ustało, nie ma w tym mojej winy, wydobądź mnie stąd, starałem się ze wszystkich sił, spraw, żeby wszystko było tak jak kiedyś, zawiedli mnie niekompetentni współpracownicy, uzdrów moje serce.

- W imię Chrystusa, Pana Naszego, amen - powiedział. Ale dźwięk tych słów - jak grzechot kości w grobowcu - raczej przeszywał dreszczem, niż pocieszał.

Kiedy jego serce wreszcie trochę się uspokoiło, chrapliwy skowyt alarmu ucichł. Zbiornik się opróżnił całkowicie. W drugim pomieszczeniu schronu zrobiło się tak ciemno jak w pierwszym; jedyna działająca lampa awaryjna zgasła siedem godzin wcześniej. Usiłując odłączyć pusty zbiornik i dźwignąć nowy na platformę obok generatora, Duży Jim przypomniał sobie mgliście, jak rok czy dwa lata temu przybił pieczętą ODRZUCONO na wniosku o przeprowadzenie prac konserwacyjnych w schronie. Ale nie mógł się za to winić. Budżet miasta nie był nieograniczony, a ludzie nic, tylko by wyciągali ręce: Nakarm nas, nakarm nas.

Al Timmons powinien był to zrobić z własnej inicjatywy, powiedział sobie. Na litość boską, czy odrobina inicjatywy to wygórowane żądanie? Czy nie między innymi za to płacimy personelowi technicznemu? Mógł pójść do tego zabojada Burpeego i poprosić, żeby ofiarował je miastu, na Boga. Ja bym tak zrobił.

Podłączył zbiornik do generatora. I wtedy jego serce znów się zacięło. Drgnął i stracił latarkę do schowka, gdzie brzęknęła o zbiorniki gazu. Soczewka się roztrzaskała. Był w absolutnej ciemności.

- Nie! - krzyknął. - Nie, Boże, nie!!!

Ale Bóg nie odpowiedział. Cisza i mrok napierały, przeciążone serce tłukło się i krztusiło. Zdradzieckie bydlę!

Nieważne. W pokoju obok na pewno jest druga latarka. I zapalki. Musiał je tylko znaleźć. Czemu Carter ich nie zgromadził w jednym miejscu? - denerwował się. Przenieśli tego chłopaka. Myślałem, że będą z niego ludzie, a skończył jako trup.

Parsknął śmiechem, lecz zaraz umilkł. Ten dźwięk w zupełnej ciemności zabrzmiał strasznie.

Nieważne. Trzeba włączyć generator.

No właśnie. Generator to problem numer jeden. Kiedy go uruchomi i oczyszczacz powietrza znów zacznie pikać, będzie mógł jeszcze raz sprawdzić, czy dobrze podłączył zbiornik. Wtedy znajdzie nową latarkę, może nawet lampę Coleman. Tyle światła, ile będzie potrzeba przy następnej wymianie zbiornika.

- I o to chodzi - powiedział na głos. - Jak chcesz, żeby coś było porządnie zrobione, musisz to zrobić sam. Wystarczy spytać Cogginsa. Albo tę psią córkę Perkins. Oni to wiedzą. - Zaśmiał się znowu. Nie mógł się powstrzymać, bo to naprawdę było zabawne. - Przekonali się. Nie drażni się dużego psa, kiedy ma się tylko krótki patyk. O nie. Nigdy w życiu.

Poszukał po omacku włącznika, znalazł go, wcisnął. I nic. Powietrze nagle zgęstniało. Wcisnąłem nie ten guzik, to wszystko.

Wiedział, że to nieprawda, ale wierzył w to, bo w niektóre rzeczy wierzyć trzeba. Chuchnął sobie na palce jak gracz próbujący zaczarować kości przed rzutem. Potem sięgnął po omacku do guzika.

- Boże - powiedział - to ja, Twój sługa, James Rennie. Proszę, spraw, żeby ten przeklęty rupieć się uruchomił. Zaklinam Cię w imię Syna Twego, Jezusa Chrystusa.

Wcisnął włącznik.

Nic.

Siedział w ciemnościach, z nogami dyndającymi w schowku, usiłując opanować panikę, która chciała pożreć go żywcem. Musiał pomyśleć. Nie było łatwo. Kiedy człowiek przebywa w ciemności, kiedy jego serce w każdej chwili może wszcząć jawny bunt, myślenie jest trudne.

A co najgorsze, wszystko, czego dokonał i do czego dążył przez ostatnie trzydzieści lat swojego życia, wydawało się nierzeczywiste. Tak nierzeczywiste jak ludzie po drugiej stronie klosza. Chodzili, mówili, jeździli samochodami, nawet latali samolotami i śmigłowcami. Ale tu, pod kloszem, nic z tego wszystkiego nie miało znaczenia.

Weź się w garść! - krzyknął w duchu. Jeśli Bóg nie chce ci pomóc, pomóż sam sobie.

No dobra. Pierwsza sprawa to światło. Wystarczy nawet pudełko zapalek. Na którejś półce w drugim pomieszczeniu musiało coś być. Będzie szukał po omacku - bardzo powoli, bardzo metodycznie - aż to znajdzie. A potem wyszpera baterie do tego takiego siakiego owakiego silnika rozruchowego. Baterie gdzieś tu są, wiedział na pewno, bo generator jest mu potrzebny. Bez generatora umrze.

A nawet jeśli go uruchomisz, co będzie później? - zapytał sam siebie. Co będzie, kiedy skończy się propan?

Ach, przecież do tego czasu na pewno coś się wydarzy. Nie było mu pisane tu umrzeć. Pieczeń wołowa przy stole Jezusa? Nie, on za taki posiłek dziękuje. Jeśli nie może siedzieć u szczytu stołu, woli być głodny.

Na tę myśl znów się roześmiał. Bardzo powoli i ostrożnie wrócił do drzwi prowadzących do głównego pomieszczenia. Trzymał ręce wyciągnięte do przodu jak ślepiec. Po siedmiu krokach natrafiły na ścianę. Przesunął się w prawo, wodząc czubkami palców po drewnie i... aha! Pustka. Drzwi. Dobrze.

Przeszedł przez nie, szurając nogami, teraz już poruszając się pewniej w ciemności. Doskonale pamiętał rozkład tego pomieszczenia. Półki po bokach, kanapa dokładnie przed...

Znów potknął się o tego takiego siakiego owakiego gnojka i upadł jak długi. Rąbnął czołem w podłogę i krzyknął - bardziej z zaskoczenia i oburzenia niż z bólu, bo dywan zamortyzował uderzenie. Ale, o Boże, między jego nogami była martwa dłoń. Zdawała się trzymać go za jaja.

Na czworakach poczołgał się naprzód i głową walnął w kanapę. Wdrapał się na nią i szarpnął nogi na górę jak człowiek uciekający z wody, w której, jak sobie właśnie uświadomił, roi się od rekinów.

Leżał rozdygotany i nakazywał sobie spokój. Musiał się uspokoić, bo inaczej naprawdę dostanie zawału.

„Kiedy będzie pan miał atak arytmii, musi pan wprowadzić się w stan wewnętrznej równowagi i oddychać głęboko”, powiedział mu ten doktor hipis. Wtedy Duży Jim uznał, że to newage'owskie bzdety, ale teraz nic innego mu nie pozostawało - werapamilu nie miał - więc będzie musiał spróbować.

I to jakby poskutkowało. Po dwudziestu głębokich wdechach i długich, powolnych wydechach poczuł, że serce mu się uspokaja.

W ustach nie miał już tego metalicznego smaku. Niestety, pierś przygniatał mu ciężar. Ból rozpełzał się po lewej ręce. Duży Jim wiedział, że to objawy zawału serca, ale myślał, że równie dobrze może to być niestrawność po sardynkach. To nawet bardziej prawdopodobne. Długie, wolne oddechy pomagały na serce (które i tak pójdzie sobie przebadać, kiedy ten bajzel się skończy, może nawet w końcu ulegnie i pozwoli sobie wszcześcić bajpasy). Problemem było gorąco. Gorąco i duchota. Musiał znaleźć latarkę i uruchomić generator. Jeszcze tylko jedna, może dwie minuty...

Ktoś tu oddycha...

No tak, wiadomo. Ja tu oddycham.

A mimo to był pewien, że słyszał kogoś jeszcze. Więcej niż jedną osobę. Miał wrażenie, że jest tu z nim kilku ludzi. I że wie, kim są.

To niedorzeczne.

Tak, ale jeden z oddychających był za kanapą. Drugi czaił się w kącie. A trzeci stał metr przed nim.

Nie. Dość tego!

Brenda Perkins za kanapą. W kącie Lester Coggins ze zwisającą, wywichniętą szczęką.

A na wprost...

- Nie - powiedział Duży Jim. - To nie ma sensu. Za cholerę. Zamknął oczy i próbował

skupić się na braniu długich, powolnych oddechów.

- Ładnie tu pachnie, tato - wycedził stojący przed nim Junior. - Jak w spizarce. Jak moje dziewczyny.

Duży Jim wrzasnął.

- Pomóż mi wstać, brachu - odezwał się Carter z podłogi. - Nielicho mnie pociął. I jeszcze postrzelił.

- Przestańcie - szepnął Duży Jim. - Nie słyszę ani słowa, więc przestańcie. Liczę oddechy. Uspokajam serce.

- Ciągle mam te papiery - powiedziała Brenda Perkins. - I mnóstwo kopii. Wkrótce będą rozwieszane na wszystkich słupach telefonicznych, tak jak Julia rozwiesiła ostatni numer swojej gazety. „Grzech wasz dosięgnie was”, Księga Liczb, rozdział trzydziesty drugi.

- Ciebie nie ma!

A wtedy coś - jakby palec - musnęło jego policzek. Duży Jim znowu wrzasnął. Schron przeciwatomowy był pełen ludzi, którzy, choć martwi, wdychali coraz bardziej cuchnące powietrze i podchodzili do niego. Nawet w ciemności widział ich blade twarze. Widział oczy swojego nieżyjącego syna.

Zerwał się z kanapy, młóćąc pięściami czarne powietrze.

- Won! Zostawcie mnie!

Rzucił się do schodów i potknął o najniższy stopień. Tym razem nie było dywanu, który zamortyzowałby uderzenie. Krew zalała mu oczy. Martwa dłoń głaskała go po karku.

- Zabiłeś mnie - powiedział Lester Coggins, ale że miał złamaną szczękę, zabrzmiało to jak „Aaaieeee hieeee”.

Duży Jim wbiegł po schodach na górę i wpadł całym swoim sporym ciężarem na drzwi. Otworzyły się z przenikliwym zgrzytem, odpychając blokujące je zwęglone deski i porozrzucane cegły. Powstała szczelina dość duża, by się przez nią przecisnął.

- Nie! - warknął. - Nie dotykać mnie! Niech żadne mnie nie dotyka! W gruzach sali konferencyjnej ratusza panowała ciemność jak w schronie. A powietrze tu było do niczego.

Zdał sobie z tego sprawę przy trzecim oddechu. Jego serce, które i tak już zbyt wiele wycierpiało, raz jeszcze podeszło mu do gardła. I tam już zostało.

Nagle poczuł, że od gardła po pępek miażdży go ogromny ciężar. Z wysiłkiem, jak człowiek brnący w błocie, wrócił do drzwi. Próbował przecisnąć się przez szczelinę, ale tym razem utknął. Z jego rozdziawionych ust i zaciskającego się gardła wyszedł straszny dźwięk - „aaaaaaaaa nakarm mnie nakarm mnie nakarm mnie”.

Machnął ręką jeszcze raz, potem drugi, rozpaczliwie szukając ratunku.

Coś pogłaskało go po dłoni.

- Taaatuuuusiu - usłyszał.

16

W niedzielę tuż przed świtem coś wyrwało Barbiego ze snu. Obudził się z ociąganiem, kaszląc i odwracając się instynktownie w stronę klosza i wentylatorów. Kiedy kaszel wreszcie zelżał, Barbie obejrzał się i zobaczył Julię. Włosy zwisały jej w strąkach, policzki pały od gorączki, ale patrzyła przytomnie.

- Benny Drake zmarł przed godziną.

- O Jezu! Przykro mi. - Jego głos był ochrypły, skrzeczący. Sam go nie poznawał.

- Muszę dostać się do tej skrzynki, która generuje klosz - powiedziała. - Jak?

Potrząsnął głową.

- To niewykonalne. Nawet gdybyś mogła coś z nią zrobić, jest na wzniesieniu, kilkaset metrów stąd. My musimy wstrzymywać oddech, żeby dojść choćby do samochodów, a są raptem piętnaście metrów od nas.

- To da się zrobić - powiedział ktoś.

Obejrzeni się i zobaczyli Niechluję Sama Verdreaux. Palił ostatniego papierosa i patrzył na nich trzeźwym spojrzeniem. Był naprawdę trzeźwy - po raz pierwszy od ośmiu lat.

- To da się zrobić - powtórzył. - Pokażę wam jak.

PÓJDŹ W NIM DO DOMU, BĘDZIE WYGLĄDAŁ JAK SUKIENKA

1

Było wpół do ósmej rano. Zebrali się w komplecie, dołączyła nawet zdruzgotana matka Benny'ego Drake'a, której oczy były czerwone od łez. Alva obejmowała ramieniem Alice Appleton. Cały rezon i tupet tej małej dziewczynki zniknęły bez śladu; przy każdym oddechu z jej wątej piersi dobywało się rzeżenie.

Kiedy Sam skończył mówić, nastąpiła chwila ciszy... rzecz jasna, nie licząc wszechobecnego warkotu wentylatorów.

- To szaleństwo - stwierdził wreszcie Ryży. - Umrzecie. - A jeśli tu zostaniemy, przeżyjemy? - odparował Barbie.

- Po co w ogóle mielibyście próbować? - spytała Linda. - Nawet jeśli pomysł Sama wypali i tam dojedziecie...

- Myślę, że wypali - powiedział Rommie.

- Na pewno - dodał Sam. - Słyszałem o tym od jednego gościa, nazywał się Peter Bergeron, niedługo po wielkim pożarze w Bar Harbor, w czterdziestym siódmym. Pete miał swoje wady, ale kłamcą nie był.

- Nawet jeśli się uda, to po co? - dociekała Linda.

- Bo jeszcze nie spróbowaliśmy jednego - odparła Julia. Teraz, kiedy podjęła decyzję, a Barbie obiecał, że z nią pojedzie, była w pełni opanowana. - Nie próbowaliśmy błagać.

- Oszalałaś! - wykrzyknął Tony Guay. - Myślisz, że w ogóle coś usłyszą? A nawet gdyby, że cię wysłuchają?

Julia spojrzała na Ryżego ze śmiertelnie poważną miną.

- Kiedy twój kolega George Lathrop podpalał mrówki swoją lupą, słyszałeś, żeby błagały?

- Mrówki nie mogą błagać.

- Powiedziałaś: „Naszła mnie myśl, że mrówki też mają własne życie, swój mały świat”. Dlaczego właściwie naszła cię taka myśl?

- Bo... - Urwał i wzruszył ramionami.

- Może jednak je usłyszałeś - powiedziała Lissa Jamieson.

- Z całym szacunkiem, to pieprzenie w bambus - zawyrokował Pete Freeman. -

Mrówki to mrówki. Nie potrafią błagać.

- Za to ludzie owszem - stwierdziła Julia. - Czy my też nie mamy swojego małego świata?

Na to nie odpowiedział nikt.

- Co innego nam pozostaje?

Pułkownik Cox odezwał się za ich plecami. Zupełnie o nim zapomnieli. Świat zewnętrzny i jego mieszkańcy stracili dla nich znaczenie.

- Ja bym na waszym miejscu spróbował. Nie powołujcie się na mnie, ale... tak. Spróbowałbym. Barbie?

- Już się zgodziłem - rzekł Barbie. - Ona ma rację. Nic innego nam nie pozostaje.

2

- Pokażcie no te worki - powiedział Sam.

Linda podała mu trzy zielone worki na śmieci. W dwu z nich przywiozła ubrania dla siebie i Ryżego i kilka książek dla dziewczynek (koszule, spodnie, skarpety i bielizna teraz leżały bezładnie rozrzucone za grupką ocalałych). Trzeci był darem od Rommiego - dotąd trzymał w nim dwie strzelby na jelenie. Niechłuj Sam obejrzał wszystkie trzy, znalazł dziurę w tym po strzelbach i cisnął go na bok. Dwa były całe.

- No dobra, słuchajcie uważnie. Do skrzynki najlepiej będzie podjechać wozem pani Everett, ale najpierw trzeba go tu przyprorowadzić. - Wskazał odyseya. - Jest pani pewna, że okna są zamknięte? Bo od tego będzie zależeć życie.

- Były zamknięte - zapewniła Linda. - Mieliliśmy włączoną klimatyzację.

Sam spojrział na Ryżego.

- Przyprorowadzisz go pan tutaj, doktorze, ale wpierw wyłączysz pan to fabryczne powietrze. Rozumiesz pan dlaczego?

- Żeby zachować powietrze, które jest w środku.

- Jak pan otworzysz drzwi, wniesiesz pan ze sobą trochę tego syfu, jasne, ale niedużo, jeśli się pan pośpieszysz. W środku nadal będzie zdrowe powietrze. Powietrze z miasta. Ci, co pojedą, będą mieli czym oddychać aż do samej skrzynki. Ta stara furgonetka się nie nada, nie tylko dlatego, że okna są pootwierane...

- Inaczej się nie dało - powiedziała Norrie, patrząc na kradziony wóz firmy telekomunikacyjnej. - Klimatyzacja była zepsuta. Dziadzio tak mówił. - Łza powoli spłynęła z jej lewego oka i przecięła brud na policzku. Teraz brud już był wszędzie, z mrocznego nieba opadała sadza tak drobna, że niemal niewidoczna.

- To nieważne, kochanie - powiedział jej Sam. - Te opony tak czy tak są gównie warte.
Od razu widać, z czyjego komisu to bryka.

- Może przyda się mój wóz - powiedział Rommie, - Pójdę po niego.

Sam kręcił głową.

- Samochód pani Shumway byłby lepszy, bo ma mniejsze, bardziej poręczne opony.
Poza tym są nowe. Powietrze w nich na pewno jest świeższe.

Joe McClatchey nagle uśmiechnął się szeroko.

- Powietrze z opon! Wystarczy wpuścić je do worków na śmieci! Domowej roboty akwalung! Panie Verdreaux, to genialne!

Niechluj Sam też się uśmiechnął, obnażając wszystkie sześć swoich ocalałych zębów.

- Nie mnie wypada chwalić, synu, tylko Pete'a Bergerona. Opowiadał kiedyś o dwu gościach, których pożar w Bar Harbor odciął od świata. Nic im nie było, ale powietrze nie nadawało się do oddychania. Zerwali więc kapturek z zaworka opony ciężarówki i na zmianę wciągali powietrze prosto z niej, aż dym się rozwiął. Opowiadali, że smakowało paskudnie, jakby starymi zdechłymi rybami, ale dzięki niemu przeżyli.

- Jedna opona wystarczy? - spytała Julia.

- Być może, ale lepiej nie polegać na zapasowej, jeśli to taka gumówka, co starcza na przejechanie raptem trzydziestu kilometrów.

- Nie - powiedziała Julia. - Nie cierpię takich. Poprosiłam Johnny'ego Carvera, żeby dał mi nową. - Spojrzała w stronę miasta. - Johnny pewnie nie żyje. Carrie też.

- Zdejmujemy też jedną z samochodu, tak na wszelki wypadek - powiedział Barbie. - Masz podnośnik, co?

Julia skinęła głową.

Rommie Burpee uśmiechnął się niewesoło.

- To co, zrobimy sobie wyścig, doktorze? Twój van przeciw hybrydzie Julii.

- Ja przyprowadzę priusa - powiedziała Piper. - Ty nigdzie się nie ruszaj, Rommie. Cholernie kiepsko wyglądasz.

- Pastorka, a jak się wyraża - burknął Rommie.

- Ciesz się, że nadal mam dość energii, żeby ci nawrzucać. - Prawdę mówiąc, po wielebnej Libby nie widać było, by tryskała energią, ale Julia mimo to oddała jej kluczyki. Żadne z nich nie wyglądało na gotowe na tańce, hulanki i swawole, a Piper nie była w najgorszym stanie; Claire McClatchey pobladła jak widmo i nie miała siły wstać.

- No dobra - rzekł Niechluj. - Mamy jeszcze jeden mały kłopot, ale najpierw...

- Co? - spytała Linda. - Jaki znowu kłopot?

- Na razie nie ma się co tym martwić. Najpierw przyprowadźmy tu ten złom na kółkach. Kiedy chcecie spróbować?

Ryży spojrzął na pastorkę Pierwszego Kościoła Kongregacyjnego w Chester's Mill. Piper skinęła głową.

- Nie ma na co czekać - powiedział Ryży.

3

Cox i prawie setka żołnierzy zebrali się po swojej stronie klosza i obserwowali wydarzenia w niemym skupieniu, jak widzowie meczu tenisowego.

Ryży i Piper wzięli serię głębokich wdechów przy kloszu, by nabrać jak najwięcej tlenu. Potem, trzymając się za ręce, pobiegli do samochodów. Tam się rozdzielili. Piper upadła na jedno kolano, upuściła kluczyki do priusa i wszyscy widzowie jęknęli.

Zaraz jednak porwała je z trawy i wstała. Ryży czekał już w odysseyu z włączonym silnikiem. Piper otworzyła drzwi małego zielonego samochodu i dała nura do środka.

- Mam nadzieję, że pamiętali o wyłączeniu klimatyzacji - powiedział Sam.

Samochody zakreśliły niemal równocześnie, prius ruszył za dużo większym vanem jak terier zaganiający owcę. Podjechały szybko do klosza, podskakując na nierównej ziemi. Wygnańcy rozbiegli się przed nimi, Alva z Alice Appleton na rękę, Linda z kaszlącymi córkami po bokach.

Prius zatrzymał się niecałe pół metra od brudnej bariery, a Ryży zawrócił i cofnął odysseya pod samą kopułę.

- Twój mąż ma jaja, trzeba mu to przyznać. I płuca jak miechy - rzekł Niechluj do Lindy.

- Bo rzucił palenie - odparła Linda i albo nie usłyszała zduszonego prychnięcia Twitcha, albo udała, że go nie słyszy.

Ryży nie tracił ani chwili. Zatrzasnął za sobą drzwi, rzucił się do klosza.

- Bułka z masłem - powiedział... i zaczął kaszleć.

- Czy powietrze w środku nadaje się do oddychania? - zapytała Linda.

- Jest lepsze niż tutaj. - Zaśmiał się z roztargnieniem. - Sam miał też rację co do czegoś innego... ile razy drzwi się otwierają, ucieka trochę dobrego powietrza, a wpada trochę złego. Pewnie dacie radę dojechać do skrzynki bez powietrza z opon, ale wrócić już raczej nie.

- Żadne z nich nie będzie prowadzić - odezwał się Sam. - Ja poprowadzę.

Barbie rozciągnął usta w pierwszym od wielu dni autentycznym uśmiechu.

- Zdaje się, że zabrali ci prawko.

- Ja tu żadnych glin nie widzę. - Sam odwrócił się do Coksa. - A pan, pułkowniku, widzi tu jakichś lokalnych albo powiatowych misiaków?

- Ani jednego - powiedział Cox. Julia wzięła Barbiego na bok.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - Tak.

- Zdajesz sobie sprawę, że szanse są w najlepszym razie mizerne? - Tak.

- Potraficie błagać, pułkowniku Barbara?

Wrócił pamięcią do tej sali gimnastycznej w Falludży, gdzie Emerson kopnął jednego jeńca w jaja tak mocno, że poleciały mu do góry, a Hackermeyer podniósł drugiego za hidżab, przystawił mu pistolet do głowy i krew trysnęła na ścianę, jak tryskała zawsze, od czasów gdy ludzie walczyli maczugami.

- Nie wiem - rzekł. - Wiem tylko, że teraz moja kolej.

4

Rommie, Pete Freeman i Tony Guay podnieśli lewarkiem priusa i zdjęli jedną z opon. Był to mały samochód, w normalnych okolicznościach zapewne zdołaliby dźwignąć jego tył gołymi rękami. Nie tym razem. Choć wóz stał zaparkowany blisko wentylatorów, musieli co chwila podbiegać do kopuły po powietrze, zanim skończyli. Ostatecznie Rose zastąpiła Tony'ego, który kaszlał tak gwałtownie, że nie dawał już rady.

W końcu jednak się udało. Mieli dwie nowe opony, które stały oparte o klosz.

- Na razie nieźle - powiedział Sam. - Czyli zostaje już tylko ten jeden mały kłopot.

Spojrzeli na niego pytająco.

- Peter, znaczy ten mój znajomy, mówił, że tamci goście oberwali zawór i wdychali powietrze prosto z opony, ale tu nie da się tak zrobić. Trzeba nadmuchać worki, czyli otwór musi być większy. Żaden problem przekłuć opony, ale musimy potem wsadzić w dziurę jakąś słomkę czy rurkę, bo więcej powietrza nam ucieknie, niż złapiemy. Czyli... jak będzie? - Rozejrzał się z nadzieją. - Ma ktoś namiot? Taki z pustymi w środku aluminiowymi masztami?

- Dziewczynki mają namiot do zabawy - powiedziała Linda - ale został w domu, w garażu. - Przypomniała sobie, że nie ma już ani garażu, ani przyległego doń domu, i wybuchnęła szaleńczym śmiechem.

- Może być obudowa długopisu? - spytał Joe.

- Za mała - powiedział Barbie. - Ryży? Nie masz czegoś w karetkce?

- Rurka do tracheotomii? - spytał Ryży z powątpiewaniem, po czym sam sobie

odpowiedział: - Nie. Też za mała.

Barbie odwrócił się w stronę klosza.

- Pułkownika Cox? Jakież pomysły? Cox z ociąganiem pokręcił głową.

- Pewnie mamy tu z tysiąc rzeczy, które by się nadawały, ale żadnej wam nie podam.

- Nie możemy pozwolić, żeby to nam przeszkodziło! - powiedziała Julia. Barbie słyszał w jej głosie ostrą nutę paniki. - Olać te worki! Weźmiemy opony i będziemy wdychać powietrze prosto z nich!

Zanim skończyła, Sam już kręcił głową.

- To nie wystarczy. Przykro mi, ale mówię, jak jest.

Linda nachyliła się ku kloszowi, wzięła kilka głębokich oddechów, ostatni zatrzymała w płucach. Potem poszła na tył swojego odyseya, starła trochę sadzy z tylnej szyby i zajrzała do środka.

- Torba nadal tam jest. Dzięki Bogu.

- Jaka torba? - spytał Ryży.

- Ta z Best Buy, z prezentem urodzinowym dla ciebie. Na ósmy listopada, zapomniałeś?

- Jasne. Specjalnie. Kto, u licha, chce mieć czterdzieści lat? Co to takiego?

- Wiedziałam, że gdybym przyniosła to do domu i nie zapakowała od razu, znalazłbyś tego samego dnia. Strasznie jesteś wścibski. Więc zostawiłam to w wozie.

- Co mu kupiłaś, Linnie? - spytała Jackie Wettington.

- Prezent dla nas wszystkich, mam nadzieję - odparła Linda.

5

Kiedy byli gotowi, Barbie, Julia i Niechluj Sam wyściskali i wycalowali wszystkich, z dziećmi włącznie. Dwudziestu paru wygnańców, którzy mieli tu zostać, nie żywiło wielkiej nadziei. Barbie próbował sobie wmówić, że powodem jest wyczerpanie i brak tchu.

- Powodzenia, pułkowniku Barbara - powiedział Cox.

Barbie podziękował mu skinieniem głowy, po czym odwrócił się do Ryżego. Ryży był ważniejszy, bo znajdował się pod kloszem.

- Nie trać otuchy i innym też na to nie pozwól. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, opiekuj się nimi, jak długo zdołasz.

- Jasne. A wy róbcie co w waszej mocy. Barbie przechylił głowę w stronę Julii.

- Wszystko w jej rękach. I kto wie, może damy radę wrócić, nawet jak się nie uda.

- Na pewno - powiedział Ryży. Mówił z entuzjazmem, ale jego oczy zdradzały, co

sądził naprawdę.

Barbie klepnął go w ramię i podszedł do Sama i Julii przy kopule. Znow zaczął brać głębokie wdechy sączącego się przez nią świeżego powietrza.

- Na pewno chcesz to zrobić? - zapytał Sama.

- Tak. Muszę za coś odpokutować.

- A za cóż to, Sam? - spytała Julia.

- Wolę nie mówić. - Uśmiechnął się z lekka. - Zwłaszcza szefowej lokalnej gazety.

- Gotowa? - spytał Julię Barbie.

- Tak. - Złapała go za rękę, ścisnęła mocno. - Na tyle, na ile to możliwe.

6

Rommie i Jackie Wettington ustawili się przy tylnych drzwiach vana. Kiedy Barbie krzyknął „Jazda!”, Jackie otworzyła je, a Rommie wrzucił do środka dwie opony z priusa. Barbie i Julia wskoczyli w ślad za nimi i po ułamku sekundy trzasnęły zamykane drzwi. Sam Verdreaux, stary i zapijaczony, ale wciąż zwinny jak pasikonik, był już za kierownicą odysseya i rozgrzewał silnik.

Powietrze w vanie cuchnęło jak świat zewnętrzny w jego obecnej wersji - na tę woń składał się swąd spalonego drewna z domieszką smrodu farby lub terpentyny - ale i tak było lepsze od tego, które wdychali przez klosz, nawet przy kilkudziesięciu wentylatorach pracujących z pełną mocą.

Niedługo przestanie być lepsze, pomyślał Barbie. We trójkę zaraz je zużyjemy.

Julia złapała charakterystyczną żółto - czarną torbę Best Buy i odwróciła ją do góry dnem. Wypadł plastikowy walec ze słowami PERFECT ECHO na górze. I, pod spodem: 50 PŁYT CD DO NAGRYWANIA. Zaczęła zdrapywać celofanowe opakowanie, lecz nie chciało się przerwać. Barbie sięgnął po scyzoryk i serce mu zamarło. Nie miał go. Jego nóż teraz już był tylko bryłką żużlu pod tym, co zostało z komisariatu.

- Sam! Proszę, powiedz, że masz jakiś nóż! Niechluj bez słowa rzucił scyzoryk na tylne siedzenie.

- Po tacie. Noszę go całe życie i chcę dostać z powrotem.

Rękojeść była z intarsjowanego drewna, mocno wytarta ze starości, ale nóż okazał się ostry. Będzie nim można rozciąć opakowanie i porządnie przekłuć opony.

- Szybciej! - krzyknął Sam i zwiększył obroty silnika. - Nie ruszam, dopóki mi nie powiecie, że macie, co trzeba, a silnik nie będzie chodził wiecznie w tym powietrzu!

Barbie rozciął celofan. Kiedy Julia przekręciła plastikowy walec o pół obrotu w lewo,

odłączył się od podstawy. Czyste kompakty, które miały być prezentem urodzinowym dla Ryżego Everetta, trzymały się na czarnym plastikowym wałku. Wysypała płyty na podłogę i objęła dłonią wałek. Jej usta zacisnęły się z wysiłku.

- Daj, porno... - powiedział, ale w tym momencie wyrwała wałek.

- Dziewczyny też bywają silne. Zwłaszcza gdy są śmiertelnie przerażone.

- Jest pusty w środku? Bo jak nie, to wracamy do punktu wyjścia.

Podniosła wałek do twarzy. Barbie zjrzał w jeden jego koniec i na drugim zobaczył jej niebieskie oko.

- Możemy zaczynać - rzekł.

- Jesteś pewien, że to zadziała? - Sam wrzucił bieg.

- Jasne! - odparował Barbie, bo „A skąd ja, do cholery, mam wiedzieć?” nie pocieszyłoby nikogo. Z nim samym włącznie.

7

Ocaleni zebrani przy kloszu patrzyli w milczeniu, jak van pędzi pełną drogą prowadzącą do, jak ostatnio nazywała to Norrie, błyskacza. Odyssey zanurzył się w smogu, zmienił w widmo i zniknął.

Ryży i Linda stali razem, każde z dzieckiem na ręku.

- Co o tym sądzisz? - spytała Linda.

- Trzeba mieć nadzieję, że będzie dobrze - odparł.

- I być przygotowanym na najgorsze?

- To też.

8

Mijali dom McCoyów, kiedy Sam zawołał:

- Wjeżdżamy do sadu! Trzymajcie się mocno, dzieci, bo nie zatrzymam tego skubańca, nawet gdybym miał urwać podwozie.

Wóz podskoczył gwałtownie, wyrzucając do góry Barbiego z jedną z opon w ramionach. Julia ścisnęła drugą jak rozbitek koło ratunkowe. Obok przemykały jabłonie. Liście wyglądały na brudne i oklapłe. Większość owoców opadła na ziemię, strącona przez wiatr, który przewalił się przez sad po wybuchu.

Odyssey znowu potężnie podskoczył, Barbie i Julia razem z nim. Julia wylądowała na kolanach Barbiego, ale nie puściła opony.

- Skąd masz prawo jazdy, stary pierdzielu?! - krzyknął Barbie. - Z Sears and Roebuck?
- Z Walmarta! - odkrzyknął Niechluj ze śmiechem. - W Wally World wszystko jest tańsze! - Nagle przestał rechotać. - Widzę to. Jasne fioletowe światło. Podjadę. Zaczekajcie, aż stanę, zanim zaczniecie ciąć opony, jeśli nie chcecie ich dokumentnie rozpruć.

Po chwili wcisnął pedał hamulca i van zatrzymał się z chrzęstem na nierównej nawierzchni. Barbie i Julia polecili na oparcie tylnego siedzenia. Teraz już wiem, jak czuje się bila we flipperze, pomyślał Barbie.

- Prowadzisz jak bostoński taryfiarz! - oburzyła się Julia.

- Bylebyście pamiętali... że należy mi się dwadzieścia procent napiwku. - Sam zaniósł się silnym kaszlem.

- Dobrze się czujesz, Sam?

- Nie bardzo - odparł bez emocji. - Coś we mnie krwawi. Możliwe, że gardło, chociaż to chyba gdzieś głębiej. Zdaje się, że pękło płuco. - Znów zaczął kaszleć.

- Co możemy zrobić? Opanował kaszel.

- Każcie im wyłączyć ten ich cholerny zakłócacz, żebyśmy mogli stąd wyjechać. Skończyły mi się fajki.

9

- To robota tylko dla mnie - powiedziała Julia. - Żeby nie było wątpliwości.

Barbie skinął głową. - Ta jes.

- Ty jesteś tylko i wyłącznie moim chłopcem do podawania powietrza. Zamienimy się, jeśli to, co wypróbuję, nie zadziała.

- Byłoby łatwiej, gdybym wiedział, co konkretnie zamierzasz. - Nie ma w tym nic konkretnego. Mam tylko intuicję i odrobinę nadziei.

- Nie bądź taką pesymistką. Masz też dwie opony, dwa worki na śmieci i wałek.

Uśmiechnęła się. To rozświetliło jej napiętą, umorusaną twarz.

- Dzięki za przypomnienie.

Sam znów kaszlał zgięty wpół nad kierownicą. Coś wypłuł.

- Dobry Boże i Jezusku malutki, ależ to paskudztwo - wymamrotał. - Pośpieszcie się.

Barbie przedziurawił oponę nożem i ledwie wyciągnął ostrze, usłyszał świst powietrza. Julia włożyła mu wałek do ręki, wprawnie jak pielęgniarzka w sali operacyjnej. Barbie wbił go do dziury, zobaczył, że kauczuk zaciska się wokół niego... i wtedy poczuł na spoconej twarzy boski podmuch powietrza. Wziął głęboki wdech, nie mógł się powstrzymać. To powietrze było dużo świeższe, dużo bogatsze od tego, które wentylatory przeciskały przez

klosz. Jego mózg jakby się przebudził i Barbie błyskawicznie podjął decyzję. Zamiast nakryć prowizoryczną dyszę workiem na śmieci, oderwał z jednego z nich długi, postrzępiony pasek.

- Co ty robisz?! - krzyknęła Julia.

Nie było czasu jej wyjaśniać, że nie ona jedna ma intuicję. Zatkanął wałek kawałkiem plastiku.

- Zaufaj mi. Idź do skrzynki.

Jeszcze raz spojrzała na niego okrągłymi oczami, po czym rozsunęła drzwi odysseya. Prawie upadła na ziemię, podniosła się, potknęła o wzniesienie i gruchnęła na kolana obok błyskacza. Barbie poszedł za nią z obiema oponami. W kieszeni miał nóż Sama. Ukląkł i podał Julii oponę, z której sterczał czarny wałek.

Wyszarpnęła zatyczkę, wciągnęła powietrze - jej policzki zapadły się z wysiłku - i wypuściła na bok, po czym wzięła następny wdech. Łzy ściekały jej po twarzy, zmywając z niej brud. Barbie też płakał. Nie ze wzruszenia; czuli się tak, jakby złapał ich najpaskudniejszy kwaśny deszcz na świecie. Tu było dużo gorzej niż przy kopule.

Julia jeszcze raz zaczerpnęła tchu.

- Dobrze - wydyszała świszczącym szeptem. - Ale dobrze. Nie smakuje rybami. Ani kurzem. - Znów wzięła wdech, po czym przechyliła oponę w stronę Barbiego.

Odsunął ją, kręcąc głową, choć zaczynały go boleć płuca. Poklepał się po piersi i wskazał na Julię.

Wzięła następny głęboki oddech, potem jeszcze jeden. Barbie uciskał oponę od góry, żeby jej pomóc. Słabo, jakby w jakimś innym świecie, słyszał niemilknący kaszel Sama. Rozewie go na strzępy, pomyślał. Czuł, że zaraz sam pęknie, jeśli nie weźmie oddechu, i kiedy Julia drugi raz podsunęła mu oponę, nachylił się nad prowizoryczną słomką. Zaczął ssać, usiłując wciągnąć zakurzone, cudowne powietrze aż do dna płuc. Było go za mało, wydawało się, że nie ma prawa go wystarczyć, i przez moment

(Boże, ja tonę)

już prawie wpadał w panikę. Pokusa, by rzucić się biegiem do vana - mniejsza o Julię, niech sama sobie radzi - była nie do odparcia... ale ją odparł. Zamknął oczy, oddychał i usiłował odnaleźć w sobie wewnętrzny spokój, który musiał gdzieś tam być.

Spokojnie, mówił sobie. Powoli. Spokojnie.

Wciągnął trzeci długi, pewny wdech z opony i jego łomoczące serce zaczęło trochę się uspokajać. Patrzył, jak Julia pochyla się i chwytła skrzynkę z boków. Nic się nie stało. Barbiego to nie zaskoczyło. Dotknęła jej, kiedy byli tu pierwszym razem, i wtedy się uodporniła.

Nagle plecy Julii wygięły się w łuk. Jęknęła. Barbie próbował podsunąć jej słomkę z wałka, ale go zignorowała. Krew trysnęła jej z nosa i zaczęła ściekać z kącika prawego oka.

- Co się dzieje?! - zawołał Sam. Jego głos był przytłumiony, zduszony.

Nie wiem, pomyślał Barbie. Nie wiem, co się dzieje.

Ale wiedział jedno: jeśli Julia wkrótce nie zaczerpnie tchu, umrze. Wyciągnął wałek z opony, wziął go w zęby i wbił nóż Sama w drugą oponę. Wsunął wałek do otworu i zatkał go paskiem plastiku.

A potem czekał.

10

Oto czas, który czasem nie jest:

Jest w ogromnym, białym pokoju bez dachu, z obcym, zielonym niebem nad głową. To... pokój zabaw? Tak, pokój zabaw. Ich pokój zabaw.

(Nie, leży na środku estrady).

Jest kobietą w pewnym wieku.

(Nie, małą dziewczynką).

Nie ma czasu.

(Jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty, całe życie przed nią).

Musi zaczerpnąć powietrza z opony.

(Wcale nie).

Coś na nią patrzy. Coś straszego. Ale ona też to coś przeraża, bo jest większa, niż być powinna, i jest tutaj. Nie powinno jej tu być. Powinna być w skrzynce. A mimo to jest niegroźna. To coś wie o tym, choć jest

(tylko dzieckiem)

bardzo młode; tak naprawdę dopiero co skończyło przedszkole.

Ty nie istniejesz - mówi to coś.

Właśnie że istnieję. Wierz mi. Wszyscy istniejemy

Skórzany łeb patrzy na nią swoją twarzą bez oczu. Zasepia się. Kąciki jego ust opadają, choć tak naprawdę ust nie ma. A do Julii dociera to, jak wielkie miała szczęście, że zastała jedno z nich samo. Zwykle jest ich więcej, ale teraz

(poszły do domu na kolację poszły do domu na lunch poszły do łóżka poszły do szkoły wyjechały na wakacje, nieważne, nie ma ich)

gdzieś poszły. Gdyby były tu wszystkie razem, przepędziłyby ją. Ta tutaj też mogłaby to zrobić, ale jest zaciekawiona.

Ta?

Tak.

To dziewczynka.

Uwolnij nas, proszę. Pozwól nam żyć naszym życiem.

Żadnej odpowiedzi. Żadnej odpowiedzi. Żadnej odpowiedzi. A potem:

Wy nie istniejecie naprawdę. Jesteście...

Czym? Co ona mówi? *Jesteście zabawkami ze sklepu?* Nie, ale to coś w tym rodzaju.

Przez głowę Julii przebiega wspomnienie mrówczej fermy, którą miał jej brat, kiedy byli mali. Niecałą sekundę później obraz ten znika. Mrówcza ferma to też nie do końca trafne określenie, ale jak „zabawki ze sklepu”, bliskie prawdy. Do przyjęcia, tak się mówi.

Jak możecie żyć własnym życiem, skoro nie istniejecie naprawdę?

WŁAŚNIE ŻE ISTNIEJEMY! - krzyczy i to jest właśnie ten jęk, który słyszy Barbie. -
ISTNIEJEMY TAK SAMO JAK WY!

Cisza. Istota o stale zmieniającej się skórzanej twarzy w ogromnym białym pokoju bez dachu, który jakimś cudem jednocześnie jest estradą w Chester's Mill, milczy. Potem:

Udowodnij to.

Podaj mi rękę.

Nie mam ręki. Nie mam ciała. Ciała nie istnieją naprawdę. Ciała są snami.

To wpuść mnie do twojego umysłu!

Skórzanołowe dziecko tego nie robi. Nie chce.

Więc Julia sama się do niego dostaje.

11

Oto miejsce, które miejscem nie jest:

Na estradzie jest zimno, a ona tak bardzo się boi. Mało tego, jest... upokorzona? Nie, to coś dużo gorszego niż upokorzenie. Gdyby знаła słowo „upodłona”, powiedziałaaby: „Tak, właśnie tak, jestem upodłona”. Zabrały jej spodnie.

(A gdzie indziej żołnierze kopią nagich ludzi w sali gimnastycznej. To cudzy wstyd, mieszający się z jej wstydem).

Płacze.

(Jemu chce się płakać, ale wstrzymuje łzy. Nie może się wtrącać).

Dziewczyny zostawiły ją samą, ale z nosa wciąż leci jej krew - Lila dała jej w twarz i zagroziła, że obetnie jej nos, jeśli Julia naskarzy, i wszystkie ją opluły, a ona teraz leży tutaj i musiała strasznie płakać, bo ma wrażenie, że krew leci jej nie tylko z nosa, ale i z oka, i jakoś

nie może złapać tchu. Lecz wolałaby wykrwawić się na estradzie, niż wrócić do domu w tych durnych dziecięcych majtkach. Niechby nawet wykrwawiła się z setek ran, byle tylko nie musiała patrzeć, jak ten żołnierz

(Barbie stara się nie myśleć o tym żołnierzu, ale ilekroć go sobie przypomina, nazywa go w duchu „Hackermeyer hackermonstrum”)

podnosi nagiego mężczyznę za to coś

(hidżab)

co ma na głowie, bo Julia wie, co stanie się potem. To, co zawsze dzieje się potem, kiedy jest się pod kloszem.

Widzi, że jedna z dziewczyn wróciła. To Kayla Bevins. Stoi i patrzy z góry na głupią Julię Shumway, która myślała, że jest mądra. Głupią małą Julię Shumway w jej dziecięcych majtkach. Czy Kayla przysłała zabrać jej też majtki i wrzucić je na dach estrady, żeby Julia musiała wrócić do domu naga, osłaniając pipkę rękami? Dlaczego ludzie są tak podli?

Zamyka oczy nabiegłe łzami i kiedy otwiera je znowu, Kayla wygląda inaczej. Teraz zamiast twarzy ma taki nieustannie zmieniający się skórzany kask, na którym nie widać współczucia, miłości ani nawet nienawiści.

Tylko... zainteresowanie. Tak, właśnie to. Co się z tym czymś stanie, kiedy zrobię... to?

Julia Shumway nie zasługuje na nic więcej. Julia Shumway się nie liczy; odnajdźcie najmarniejszą z marnych istot, a ona jest jeszcze niżej, ot, smyrgający tu i tam robak. W dodatku nagi robak, robak - więzień; robak - więzień w sali gimnastycznej, któremu została tylko rozwijająca się czapka na głowie i ostatnie wspomnienie wonnych, świeżo upieczonych chlebków *khubz* w dłoniach jego żony. Julia jest kotem z podpalonym ogonem, mrówką pod mikroskopem, muchą, której ciekawskie palce trzecioklasisty wyrrywają skrzydełka w deszczowy dzień, zabawką znudzonych dzieci bez ciał, które mają cały wszechświat u swych stóp. Jest Barbiem, jest Samem umierającym w vanie Lindy Everett, jest Olliem konającym pośród popiołów, jest Alvą Drake oplakującą zmarłego syna.

Ale przede wszystkim jest dziewczynką skuloną na najeżonych drzazgami deskach estrady na placu miejskim, dziewczynką ukaraną za swoją niewinną pychę, dziewczynką, która popełniła błąd, myśląc, że jest duża, gdy tak naprawdę była mała, że się liczy, gdy tak naprawdę się nie liczyła, że światu na niej zależy, gdy świat tak naprawdę jest wielką niesprawną lokomotywą z silnikiem, ale bez reflektora. I całym swoim sercem i duszą Julia krzyczy:

PROSZE, DAJCIE NAM ŻYĆ! PROSZE, BŁAGAM!

Przez krótką chwilę to ona jest skórzanym łbem w białym pokoju; to ona jest dziewczynką, która (sama nie wie dlaczego) wróciła na estradę. Przez jeden straszny moment to Julia jest katem, nie ofiarą. Jest nawet żołnierzem z pistoletem, hackermonstrum, które śni się Dale'owi Barbarze do dziś, tym, którego nie powstrzymał.

A potem znowu jest tylko sobą.

I patrzy w górę, na Kaylę Bevins.

Rodzina Kayli jest uboga. Jej ojciec ścina drzewa w TR - 90 i pije w pubie Freshiego (którego miejsce kiedyś zajmie Karczma Dippera). Jej matka ma wielkie różowe znamię na policzku, przez co dzieciaki nazywają ją Wiśniową Mordą albo Truskawkowym Pyskiem. Kayla nie ma żadnych ładnych ubrań. Dziś jest w starym brązowym swetrze, starej spódnicy w kratę, pościeranych pantoflach i białych, opadających skarpetkach. Ma obtarte kolano, ślad po tym, jak upadła albo ktoś ją przewrócił na placu zabaw. To Kayla Bevins, na pewno, tylko że jej twarz jest teraz skórzana. I choć przyobleka się w przeróżne kształty, żaden z nich nie przypomina człowieka.

Teraz widzę, jak dziecko wygląda w oczach mrówki będącej pod lupą, myśli Linda. Mrówki, która podnosi wzrok tuż przed tym, jak staje w ogniu.

PROSZĘ CIĘ, KAYLA! PROSZĘ CIĘ! MY ŻYJEMY!

Kayla spogląda na nią z góry. Nie robi nic. Potem krzyżuje ręce przed sobą - w tej wizji ma ludzkie ręce - i ściąga sweter przez głowę.

Kiedy zaczyna mówić, w jej głosie nie ma miłości; nie ma też żalu ani skruchy.

Ale może jest litość.

Mówi...

12

Julia odleciała od skrzynki jak odtrącona niewidoczną dłonią. Wstrzymywany oddech wyrwał się z jej ust. Zanim mogła zaczerpnąć powietrza, Barbie złapał ją za ramię, wyciągnął pasek plastiku i nakierował jej usta na wałek sterczący z opony, z nadzieją że nie skaleczy jej nim w język ani - Boże broń - nie przebiję podniebienia. Nie mógł jednak pozwolić, by oddychała zatrutym powietrzem. Była tak niedotleniona, że mogłaby dostać konwulsji albo od razu umrzeć.

Wydawała się nieprzytomna, ale chyba go rozumiała. Zamiast się wyrwać, objęła oponę kurczowym uściskiem i zaczęła gorączkowo ssać powietrze przez wałek. Barbie czuł wstrząsające ją silne dreszcze.

Sam Niechluj wreszcie przestał kaszleć. Rozległ się inny dźwięk. Julia wciągnęła

następny potężny wdech z opony i podniosła głowę. Jej głęboko zapadnięte, ocienione oczy były szeroko otwarte.

Szczekał pies. To musiał być Horace, bo przecież żaden inny nie ocalał. I...

Barbie zdumiony schwycił jej ramię mocnym uściskiem.

Skrzynka z dziwnym symbolem unosiła się półtora metra nad ziemią.

13

Horace pierwszy poczuł świeże powietrze, bo był najbliżej ziemi. Zaczął szczekać. Potem zaskakująco zimny podmuch na spoconych plecach poczuł Joe. Siedział oparty o kopułę i kopuła się podnosiła. Spojrzał na Norrie drzemiącą z rozpaloną twarzą na jego piersi i zobaczył, że kosmyk jej brudnych, pozlepianych włosów faluje. Otworzyła oczy.

- Co... ? Co się dzieje?

Joe był zbyt oszołomiony, żeby odpowiedzieć. Czuł, że coś chłodnego przesuwa się po jego plecach, jakby podnosząca się nieskończenie wielka szyba.

Horace szczekał jak szalony, ze schyłym grzbietem i nosem przy ziemi. Zwykle kiedy przyjmował tę pozycję, oznaczało to, że chce się bawić, ale nie tym razem. Wsunął nos pod unoszącą się kopułę i wahał zimne, słodkie, świeże powietrze.

Raj!

14

Po południowej stronie klosza szeregowy Ames też drzemał. Siedział po turecku na nieutwardzonym poboczu szosy sto dziewiętnaście, opatulony kocem jak Indianin. Powietrze nagle pociemniało, jakby materializowały się koszmary. Ames zakaszłał i obudził się.

Sadza wirowała mu wokół butów i osiadała na nogawkach spodni. Skąd się brała, na litość boską? Przecież pożar był tylko wewnątrz. I wtedy to zobaczył. Klosz podnosił się jak gigantyczna roleta. To było niemożliwe - przecież sięgał na wiele kilometrów w głąb ziemi, nie tylko w górę - ale naprawdę się podnosił.

Ames poczołgał się naprzód na czworakach i wziął Olliego Dinsmore'a za rękę. Przez chwilę czuł, jak unosząca się kopuła ociera się o jego plecy - w dotyku przypominała szkło - i zdążył pomyśleć: Jeśli teraz opadnie, to przetnie mnie na pół. A potem już wyciągał chłopaka.

Myślał, że wlecze za sobą zwłoki.

- Nie! - krzyknął. Poniósł Olliego w stronę jednego z ryczących wentylatorów. - Ani mi się waż umierać, pastuszku!

Ollie zaczął kaszleć, po czym przechylił się na bok i zwymiotował. Nadbiegli inni żołnierze, krzyząc radośnie. Sierżant Groh na czele też krzyczał ze szczęścia.

Ollie znów rzygnął.

- Nie mów na mnie pastuszek - szepnął.

- Wezwijcie karetkę! - wrzasnął Ames. - Potrzebna nam karetka!

- Nie, zabierzemy go helikopterem do szpitala stanowego - powiedział Groh. - Latałeś kiedyś helikopterem, mały?

Ollie potrząsnął głową. A potem obrzygał mu buty. Sierżant Groh rozpromieniony uścisnął jego brudną dłoń.

- Witaj z powrotem w Stanach Zjednoczonych, synu. Witaj z powrotem na świecie.

Ollie objął Amesa za szyję. Tracił przytomność. Próbował zachować ją dość długo, by powiedzieć „dziękuję”, ale nie dał rady. Zanim znów spowiła go ciemność, poczuł jeszcze, jak żołnierz z Południa całuje go w policzek.

15

Po północnej stronie pierwszy na wolność wydostał się Horace. Popędził do pułkownika Coksa i zaczął tańczyć wokół jego nóg. Nie miał ogona, ale to mu nie przeszkadzało; merdał całym zadem.

- A niech mnie! - powiedział Cox. Wziął psa na ręce i Horace zaczął lizać go po twarzy jak oszalały.

Ocaleni stali razem po swojej stronie (linia demarkacyjna była wyraźnie widoczna w trawie, soczystej po jednej stronie, szaroburej po drugiej) i zaczynali rozumieć, ale jeszcze nie śmieli uwierzyć. Ryży, Linda, Judy i Janelle, Joe McClatchey i Norrie Calvert u boku swoich matek. Ginny, Gina Buffalino i Harriet Bigelow objęte ramionami. Twitch ścisnął swoją siostrę Rose, która szlochała i tuliła do siebie Little Waltera. Piper, Jackie i Lissa trzymały się za ręce. Za nimi stali Pete Freeman i Tony Guay, cały ocalały personel „Democrata”. Alva Drake opierała się o Rommiego, który trzymał na rękach Alice Appleton.

Patrzyli, jak brudna powierzchnia klosza szybko wzbija się w niebo. Jesienna szata drzew po drugiej stronie rozdzierała serce swoim przepychem.

Słodkie, świeże powietrze rozwiewało ich włosy i osuszało spoconą skórę.

- Albowiem widzieliśmy jak w zwierciadle, niejasno - powiedziała zapłakana Piper Libby. - Teraz zaś widzimy twarzą w twarz.

Horace wyskoczył z rąk pułkownika Coksa i zaczął wywijać ósemki w trawie, szczekając, węsząc i próbując obsikać wszystko naraz.

Ocaleni patrzyli z niedowierzaniem na łuk jasnego nieba wieńczący późnojesienny niedzielny poranek w Nowej Anglii. A ponad nimi brudna bariera, mur ich więzienia, wznosiła się coraz szybciej, kurcząc się do rozmiarów długiej kreski wykreślonej ołówkiem na niebieskiej kartce.

Ptaka zanurkował ku ziemi w miejscu, gdzie niedawno była kopuła. Na jego widok Alice Appleton - wciąż u Rommiego na rękach - roześmiała się głośno.

16

Barbie i Julia klęczeli nad oponą i na zmianę brali oddechy. Skrzynka na ich oczach znów się podniosła. Z początku poruszała się wolno, a na wysokości dwudziestu metrów zawisała w powietrzu, jakby miała moment zawahania. Potem strzeliła prosto w górę, z o wiele za dużą prędkością, by ludzkie oko mogło za nią nadążyć; to byłoby tak, jakby próbować zobaczyć pocisk w locie. Klosz odlatywał albo był w jakiś sposób zwijany.

Skrzynka, pomyślał Barbie. Ciągnie klosz do góry, tak jak magnes przyciąga opilkę żelaza.

Nadlatywał wiatr. Barbie ujrzał coraz bliższe falowanie trawy. Potrząsnął ramieniem Julii i wskazał prosto na północ. Brudnoszare niebo znów było błękitne i tak jasne, że raziło oczy. Kształty drzew stały się wyraźne, ostre.

Julia podniosła głowę znad opony i odetchnęła.

- Nie wiem, czy to dobry... - zaczął Barbie, ale wtedy podmuch doleciał do nich. Zobaczył, jak wiatr unosi włosy Julii, i poczuł, jak osusza pot na jego twarzy delikatnie niczym dłoń kochanki.

Julia znów zakaszła. Poklepał ją lekko po plecach i robiąc to, zaczerpnął powietrza. Wciąż było śmierdzące i drapało w gardle, ale nadawało się do oddychania. Niezdrowe powietrze uciekało na południe, wypierane przez świeże, wpływające od strony granicy klosza z TR - 90 - czy raczej od strony miejsca, gdzie była granica klosza z TR - 90. Drugi oddech był lepszy. Trzeci jeszcze lepszy. Czwarty był darem od Boga.

A raczej od pewnej skórzanołowej dziewczynki.

Barbie i Julia przytulili się obok czarnego kwadratu ziemi, który został po skrzynce. Już nic tu nie wyrośnie. Nigdy.

17

- Sam! - krzyknęła Julia. - Musimy iść po Sama!

Kiedy pobiegli do odysseya, wciąż kaszleli, ale Sam już nie. Siedział pochylony nad kierownicą, z szeroko otwartymi oczami, i oddychał płytko. Całą brodę miał we krwi, a gdy Barbie odchylił go do tyłu, zobaczył, że niebieska koszula przybrała brudną, purpurową barwę.

- Udźwigniesz go? - spytała Julia. - Dasz radę go zanieść do żołnierzy?

Odpowiedź prawie na pewno brzmiała „nie”, Barbie jednak rzekł:

- Mogę spróbować.

- Nie - szepnął Sam. - Za bardzo boli. - Z każdym słowem z jego ust wypływała świeża krew. - Udało się?

- Dzięki Julii - powiedział Barbie. - Nie wiem jak, ale zrobiła, co trzeba.

- Po części za sprawą tego człowieka z sali gimnastycznej - wyjaśniła. - Tego, którego zastrzeliło hackermonstrum.

Barbie rozdziawił usta, ona jednak tego nie zauważyła. Objęła Sama i pocałowała go w oba policzki.

- To też twoja zasługa, Sam. Przywiozłeś nas tutaj i widziałeś dziecko na estradzie.

- W moim śnie nie byłeś dzieckiem - szepnął Sam. - Byłaś dorosła. - Ale ta mała dziewczynka wciąż była tutaj... - Julia dotknęła swojej piersi. - I nadal jest. Żyje.

- Pomóście mi wysiąść - poprosił Sam. - Chcę przed śmiercią poczuć zapach świeżego powietrza.

- Ty przecież nie...

- Cichaj, kobieto. Oboje wiemy, jak jest.

Wzięli go za ręce, delikatnie wydobyli zza kierownicy i położyli na ziemi.

- Ale pachnie... - Odetchnął głęboko, zakaszłał i krew chlusnęła mu z ust. - Czuję kapryfolium.

Julia odgarnęła mu włosy z czoła. Położył dłoń na jej dłoni.

- Czy... czy było im przykro?

- Była tylko jedna istota. Gdyby było więcej, nic by z tego nie wyszło. Nie da się walczyć z tłumem zdecydowanym na okrucieństwo. I nie... nie było jej przykro. Okazała litość, ale nie skruchę.

- To nie to samo, prawda? - Nie. Zupełnie nie.

- Litość jest dla silnych. Mnie pozostaje tylko skrucha. Zrobiłem to, co zrobiłem, przez gorzałę, ale i tak żałuję. Cofnąłbym to, gdybym mógł.

- Cokolwiek to było, odpokutowałeś - powiedział Barbie. Wziął Sama za lewą rękę. Na palcu serdecznym wisiała obrączka ślubna, groteskowo duża w porównaniu z wychudłą

dłonią.

Sam przeniósł na Barbiego spojrzenie swoich oczu w wyblakłym odcieniu jankeskiego błękitu i usiłował się uśmiechnąć.

- Może i tak... za sam czyn. Ale to, co zrobiłem... zrobiłem z przyjemnością. A za coś takiego nigdy się nie da odpokutować... - Znow zaczął kaszleć i krew bryznęła z jego niemal bezzębnych ust.

- Już starczy - powiedziała Julia. - Nie próbuj mówić. - Spojrzała na Barbiego. - Nie ma co go przenosić. Trzeba będzie ściągnąć pomoc.

- Och, to niebo! - powiedział Sam Verdreaux.

To były jego ostatnie słowa. Westchnął, jego pierś opadła i już się nie podniosła. Barbie chciał zamknąć mu oczy, ale Julia złapała go za rękę.

- Niech patrzy. Nawet jeśli nie żyje, niech patrzy jak najdłużej. Usiedli obok niego. Śpiewały ptaki. I gdzieś wciąż szczeakał Horace.

- Powinam iść poszukać mojego psa - odezwała się Julia po dłuższej chwili.

- Tak - odparł. - Pojedziemy vanem? Potrząsnęła głową.

- Chodźmy pieszo. Chyba damy radę przejść tych kilkaset metrów, jeśli nie będziemy się forsować... jak sądzisz?

Pomógł jej wstać.

- Przekonajmy się - powiedział.

18

Kiedy szli, trzymając się za ręce, Julia powiedziała mu wszystko o swoim, jak to nazwała, pobycie wewnątrz skrzynki.

- Czyli - stwierdził - pokazałaś jej okropności, do jakich jesteśmy zdolni, a mimo to nas uwolniła.

- Oni wiedzą o tych okropnościach wszystko.

- Ten dzień w Falludży to najgorsze wspomnienie w moim życiu. Jest tak straszne, bo... byłem katem, nie ofiarą.

- Nie ty to zrobiłeś, tylko ten drugi żołnierz.

- To bez znaczenia. Ten człowiek został zabity. Nie żyje.

- Czy doszłoby do tego, gdyby było was tylko dwóch w tej sali gimnastycznej?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- To obwiniaj za to los. Albo Boga. Albo wszechświat. Ale przestań obwiniać siebie.

Na to zapewne nie zdobędzie się nigdy, rozumiał jednak słowa wypowiedziane przez

Sama przed śmiercią. Żal za wyrządzone zło może i jest lepszy niż nic, ale nawet najgłębszy żal po fakcie nigdy nie będzie dostateczną pokutą za przyjemność czerpaną z niszczenia czy chodzi o podpalanie mrówek, czy zabijanie jeńców.

Wtedy, w Falludży, nie odczuwał przyjemności. Przynajmniej pod tym względem mógł się uznać za niewinnego. A to dobrze.

Nadbiegali żołnierze. On i Julia będą sami jeszcze minutę. Może dwie.

- Kocham cię za to, co zrobiłaś.

- Wiem - powiedziała ze spokojem. - To wymagało wielkiej odwagi.

- Wybaczysz mi, że podkrađłam ci wspomnienia? Nie chciałam, to stało się samo.

- Wybaczam całkowicie.

Żołnierze byli coraz bliżej. Cox biegł razem z nimi, Horace płaśał mu pod nogami. Wkrótce pułkownik tu dotrze, spyta, co u Kena, i z tym pytaniem świat przyjmie ich z powrotem do siebie.

Barbie podniósł wzrok ku błękitnemu niebu i głęboko odetchnął coraz czystszym powietrzem.

- Nie mogę uwierzyć, że klosza nie ma.

- Myślisz, że kiedyś wróci?

- Może nie na tę planetę i nie za sprawą tych samych dzieci. Te dorosną i wyjdą z pokoju zabaw, ale skrzynka zostanie. Znajdą ją inne dzieci. Wcześniej czy później... krew zawsze tryska na ścianę.

- To okropne.

- Może i tak, ale mogę powiedzieć ci coś, co powtarzała mi matka?

- No pewnie. Wyrecytował:

- „Po nocy zawsze przychodzi dzień”. Julia się zaśmiała. To był piękny dźwięk.

- Co skórczanogłowa dziewczynka powiedziała ci na końcu? - spytał. - Powiedz szybko, bo żołnierze zaraz tu będą, a to coś, co przeznaczone jest tylko dla nas.

Wydawała się zaskoczona, że tego nie wiedział.

- Powiedziała to samo, co Kayla. „Pójdź w nim do domu, będzie wyglądał jak sukienka”.

- Mówiła o tym brązowym swetrze? Znow wzięła go za rękę.

- Nie. O naszym życiu. Naszym małym świecie.

Przemyślał to.

- Jeśli to jest dar od niej, włóżmy go na siebie.

Horace zauważył swoją panią. Wyrwał naprzd slalomem między biegnącymi

żołnierzami i kiedy ich wyprzedził, wrzucił czwarty bieg. Uśmiechał się otwartym pyskiem.
Julia ukłękła na poplamionej sadzą trawie i wyciągnęła ręce.

- Chodź do mamusi, skarbie! - krzyknęła.

Podskoczył. Złapała go i poleciała do tyłu ze śmiechem. Barbie pomógł jej wstać.

Razem wrócili do świata przyobleczeni w wielki dar: zwyczajne życie.

Litość to nie miłość, pomyślał Barbie... ale kiedy jest się dzieckiem, podarowanie ubrania nagiemu to musi być krok we właściwym kierunku.

22 listopada 2007 - 14 marca 2009

OD AUTORA

Pierwszą próbę napisania „Pod kopułą” podjąłem w 1976 roku i po dwóch tygodniach pracy, której efektem było jakieś siedemdziesiąt pięć napisanych stron, czmychnąłem od tej książki z podkulonym ogonem. Tamten rękopis zaginął dawno temu, ale kiedy w 2007 roku usiadłem, żeby zacząć od nowa, pamiętałem początkowy fragment - „Samolot i świstak” - dość dobrze, by odtworzyć go praktycznie słowo w słowo.

Tym, co mnie przytłaczało, nie była duża liczba postaci - lubię książki gęsto zaludnione - lecz kłopoty formalne, jakie stwarzała sama opowieść, a szczególnie ekologiczne i meteorologiczne następstwa pojawienia się klosza. Fakt, że te właśnie zagadnienia były powodem, dla którego ta książka wydawała mi się ważna, sprawił, że czułem się jak tchórz - i leń - ale za nic w świecie nie chciałem czegoś schrzanić. Dlatego zająłem się czymś innym, lecz pomysł z kloszem ani na moment nie wypadł mi z głowy.

W następnych latach mój serdeczny przyjaciel Russ Dorr, asystent lekarza z Bridgeton w stanie Maine, pomagał mi z medycznymi detalami w wielu książkach, zwłaszcza „Bastionie”. Pod koniec lata 2007 roku spytałem go, czy byłby skłonny podjąć się dużo poważniejszego zadania. Zgodził się i myślę, że dzięki Russowi większość podanych w książce szczegółów technicznych jest poprawna. To Russ zgromadził informacje o naprowadzanych komputerowo raketach, ruchach prądu strumieniowego, przepisach na metamfetaminę, przenośnych generatorach, możliwych postępach w technologii telefonów komórkowych i stu innych rzeczach. To także Russ wymyślił domowej roboty kombinezon ochronny Ryżego Everetta i zdał sobie sprawę, że ludzie mogą przez pewien czas oddychać powietrzem z opon. Czy popełniliśmy błędy? Jasne! Gros z nich jednak okaże się moją sprawką, konsekwencją tego, że źle zrozumiałem bądź zinterpretowałem niektóre jego odpowiedzi.

Moimi pierwszymi dwoma czytelnikami były moja żona Tabitha i moja synowa Leanora Legrand. Obie były surowe, a zarazem życzliwe.

Dzięki pracy redaktorskiej Nan Graham dinozaur, jakim była pierwotna wersja tej książki, skurczył się do rozmiarów nieco zgrabniejszego potwora; każda strona rękopisu poznaczona była jej poprawkami. Winien jej jestem wielkie podziękowania za wszystkie te poranki, kiedy wstawiała o szóstej i brała ołówek do ręki. Staralem się napisać książkę, która ani na chwilę nie spuszcza nogi z gazu. Nan rozumiała to i ilekroć słabłem, dociskała moją nogę swoją i krzyczała (na marginesach, jak to redaktorzy mają w zwyczaju): „Szybciej,

Steve! Szybciej!”.

Surendra Patel, któremu ta książka jest zadedykowana, był moim przyjacielem i niezawodnym źródłem pociechy przez trzydzieści lat. W czerwcu 2008 roku dostałem wiadomość, że umarł na zawał serca. Usiadłem na schodach mojego gabinetu i zapłakałem. A potem wróciłem do pracy. Tego by ode mnie oczekiwał.

Zostałeś jeszcze Ty, Wierny Czytelniku. Dzięki, że przeczytałeś tę opowieść. Jeśli bawiłeś się przy niej tak dobrze jak ja, obaj nieźle na tym wyszliśmy.

S.K.

SPIS RZECZY

Niektórzy spośród obecnych w Chester's Mill w dniu powstania klosza.....	6
Samolot i świstak.....	9
Barbie.....	12
Junior i Angie.....	17
Drogi i bezdroża.....	25
Od cholery martwych ptaków.....	36
Rozpsijucha.....	50
Gramy razem.....	67
Dobro miasta, dobro mieszkańców.....	87
Modły.....	111
Szaleństwo, ślepotą, niepokój serca.....	137
Gorzej być nie może.....	167
Kwik, kwik, kwik.....	200
Nadciąga pocisk.....	236
Mam cię.....	275
Różowe gwiazdy spadają.....	314
Wzucie się.....	356
W kiciu.....	400
Sól.....	448
Popiół.....	499
Zagraj kawałek tej martwej kapeli.....	549
Załatwiony.....	603
Wszędzie krew.....	652
Mrówki.....	701
Przedwczesne Halloween.....	744
Ocaleni.....	787
Pójdź w nim do domu, będzie wyglądał jak sukienka.....	825
Od autora.....	846
Spis rzeczy.....	848